

CIZIA ZYKË

ZŁOTO

CZEŚĆ PIERWSZA

Nareszcie w Golfito... Kiedy wysiadamy z autobusu, jesteśmy połamani i mamy wszystkiego dość. Przez ponad dziesięć godzin byliśmy skazani na tę ich salsę. Ogłuszająca muzyka, przytłaczający upał i ścisk, po trzy osoby na siedzeniu — taka podróż to istne piekło.

Diane, która siedziała przy oknie, nie miała problemów. Na mnie pakowała się galaretowata, śmierdząca Indianka, która usadowiła się koło mnie, ale która na szczęście w połowie drogi opuści autobus, za to na jej miejsce siądzie mały bezzębny staruszek, przejawiający wobec mnie nadmiar czułości, wkrótce zaśnie z głową na moim ramieniu zamiast poduszki. Wymierzam mu przyjacielski cios łokciem w żebra, chyba go zabolalo, bo ciche pojękiwanie towarzyszyło mi aż do Golfito...

Na moją prośbę kierowca wysadził nas przed hotelem Delfina, podobnym do wszystkich innych budynków w tym kraju. Jest to stary, drewniany dom z dachem pokrytym cynkowaną blachą. Po kilku stopniach wchodzimy do recepcji. Pusto. Tylko wyjący telewizor świadczy o ludzkiej obecności. Na dźwięk mego pięknego, silnego głosu pojawia się mała starowinka.

Dzień dobry, moja śliczna! Daj nam pokój dwuosobowy.

— Pięćdziesiąt colonów, płatne z góry.

— Zgoda, moja piękna...

Pokazuje nam pokoje. Jak zwykle, wygląda to ponuro. Diane wybiera pokój z balkonem, bo wydaje się najmniej brudny i jest tam chłodniej. Łóżko pamięta lepsze dni, a pościel budzi obrzydzenie. Każę ją zmienić. Przy okazji Diane prosi o ręczniki i mydło. Stara trochę marudzi. Mamrocze kilka zdań, w których przewija się słowo „*gringos*”. Nie są to zapewne uprzejmości, ale w końcu przynosi to, czego żądamy.

Podczas gdy Diane się rozbiera, zdejmuję moją trzydziestkę ósemkę wraz z kaburą, której nowe skórzane rzemienie obtarły mi ramię. Następnie wyjmuję z torby Diane Biblię, wrywam z niej kartkę i robię skręta z mango-rosa, doskonałej miejscowej marihuany; wypalimy go razem pod prysznicem.

Jest to prysznic wyłącznie z nazwy, raczej ponura klita o mokrych i lepkich ścianach, w której na wysokości twarzy wycieka strumyczek wody.

Nie ma wieszaka ani nawet gwoźdźcia. Obrzydzenie miesza się z błogością, jakiej doznajemy gdy woda spływa po naszych umęczonych ciałach.

Spokojni i rozluźnieni wychodzimy na ulice Golfito poszukać czegoś do jedzenia.

Przebiegająca pomiędzy szeregiem burdelików z jednej strony, a z drugiej domów na palach, pod które wdziera się morze, linia kolejowa i pokryta dziurami droga zajmują cały środek tego małego portu, wciśniętego między zatokę a wzgórze. Golfito pełni rolę punktu załadunkowego, zbudowanego przez amerykańskie towarzystwa bananowe, i mieszkają tu wyłącznie pracownicy tych ostatnich, a także paru sklepikarzy i zwyczajna w takich małych tropikalnych przystaniach fauna ludzka. Wybór restauracji nie jest trudny, gdyż wszystkie mają do zaoferowania wyłącznie casado, narodową potrawę składającą się z ryżu, frijoles, gotowanego banana i również gotowanego małego kawałka mięsa.

Kiedy już zaspokoiliśmy głód, korzystamy z wieczornego chłodu i oglądamy życie ulicy. Łazi tam paru typów bez zajęcia, jacyś pijacy i mnóstwo kurew.

Jedna właśnie sunie przed nami. Jest ogromna.

— Podoba ci się? — pyta mnie z uśmiechem Diane.

— Uważam, że jest bardzo sexy. Wyobrażasz sobie bladą główkę któregoś z tych małych Ticos ściśniętą tymi udami?

Wybuchy naszego śmiechu sprawiają, że kurwa odwraca się:

— Que pasa?

— Nic, nic, ślicznotko.

Odchodzi. Śledzimy ją wzrokiem. Parę metrów dalej zatrzymuje ją jakiś facet, który chyba za dużo wypił. Sposób, w jaki dotyka jej i stara się ją chwycić, nie pozostawia wątpliwości co do jego zamiarów. Chce ją przelecieć, tu na środku ulicy. Gruba wymierza mu wspaniałe policzki i facet łąduje na stolikach pobliskiej kawiarni. Ulica ożywia się. Rozlegają się śmiechy i krzyki:

— Dalej, zabij go!

Kurwa wykonuje w kierunku swoich kibiców obsceniczny gest i znika w jakimś barze.

— Niezły temperament — mówi Diane.

Wygląda dziś olśniewająco. Jej jasnozielone oczy, długie blond włosy, opalona zdrowa skóra, jaką może mieć tylko dziewczyna urodzona i wychowana pod zwrotnikiem, wszystko to tworzy przyjemny kontrast z naszym odrażającym otoczeniem.

Mam na nią ochotę i ona to czuje.

— Wracajmy do hotelu — mówi i całuje mnie.

* * *

Zapadła już noc. Diane śpi. Ja nie mogę zasnąć i wychodzę na balkon. Rozmyślam tu, oparty o balustradę, pociągając wielkiego skręta z mango-rosa.

Dwa lata temu, kiedy wraz z Diane, którą tam poznałem, opuściliśmy Karaiby, nie mieliśmy żadnych trosk. Przyszłość wydawała się kryształowa. W rok później zmarł nasz syn i zły los brutalnie wdarł się w nasze szczęście. Od tego czasu przemierzaliśmy świat w poszukiwaniu przygody, zanurzając się całkowicie w narkotykach i hazardzie. Od azjatyckich palarni opium po kasyno w Monte Carlo, poprzez Makao, Bangkok i Las Vegas, szukałem przygody wszędzie, aż bez grosza wylądowałem na tym kontynencie.

W sąsiednim kraju okazja szybkiego interesu przyniosła forszę na jakiś czas. Pośredniczenie między miłym handlarzem bronią i równie miłym dealerem kokainy to praca szybka i popłatna. Ale mój zwykły brak rozsądku sprawił, że przepuściłem dwadzieścia tysięcy dolarów w kasynie równie szybko, jak je zarobiłem, i granicę Kostaryki przekroczyłem z dwunastoma dolcami w kieszeni.

W przeciwieństwie do większości ludzi nie przejmuję się brakiem pieniędzy. Odkąd ukończyłem osiemnaście lat i włóczę się po świecie, bieda nigdy nie chwyciła mnie za gardło. Niczego nie posiadam. Pieniądze są nie w moich kieszeniach, ale leżą bezpiecznie w kieszeniach innych. Nie mam już ani centa: nie szkodzi, zawsze znajdzie się sposób, żeby zarobić, tak czy inaczej.

Byłem parę razy milionerem, ale za każdym razem pieniądze znikwały równie łatwo, jak się pojawiały. Dla mnie są one ważne tylko wtedy, kiedy je wydaję. Gdybym miał oszczędzać, przestałbym być sobą i nigdy nie przeżyłbym tych wszystkich przygód, jakie stały się moim udziałem. Ograniczona mentalność nie pozwala przeżyć czegoś wielkiego. Przez całe

moje życie ostatni grosz przeznaczony będzie na błysk, na komfort, i nie zamierzam robić ustępstw na rzecz średniactwa.

Jedyną rzeczą, jaka mnie rzeczywiście zajmuje, która jest motorem mojego działania, tym, co ciska mnie dookoła świata, jest poszukiwanie coraz to ciekawszych pomysłów. Po wielkiej przygodzie potrzebuję jeszcze większej. A nie zawsze jest to łatwe.

W tym nadmiernie uregulowanym świecie ciężko jest być człowiekiem przygody i postępować według własnych praw. Dla mnie nie ma rzeczy zakazanych: chcę coś zrobić, a więc mogę to. Niestety! dzisiejszy świat stał się zbyt mały. Nie można już wykroić sobie królestwa, przeżyć przygody poza zasięgiem prawa, bo walka jest nierówna. Wszystko jest urządzone pod słabych, zjednoczonych pod sztandarem praw, których należy przestrzegać. W ten sposób łatwo im walczyć z tymi, którzy chcieliby iść własną drogą. To już nie jest walka mężczyzny z mężczyzną. Wszystkie moje przygody przeciwstawiały mnie różnym rządóm: w Afryce, w Azji, na Karaibach, a to z góry oznacza przegraną. Jestem sto razy uczciwszy od tych wszystkich przywódców Trzeciego Świata, na których się natykam, ale oni mają posłuch i zaufanie międzynarodowe. Czy Kostaryka da mi wreszcie tę przygodę, której od tak dawna szukam? Zbadałem już całą Amerykę Środkową, byłem w Salwadorze z jego lewicową partyzantką i w Nikaragui, gdzie partyzantka jest prawicowa. Ale jestem zbyt niezależny i stałem się zbyt nieczuły, by znaleźć w sobie święty płomień rewolucjonisty. Utopią jest poszukiwanie lepszego świata, bo zawsze będą wyzyskiwacze i wyzyskiwani. I choć nie jest dobrze być wyzyskiwaczem, to jeszcze gorzej gdy się jest wyzyskiwanym. Tak czy owak, walczę tylko dla siebie.

* * *

Na pierwszy rzut oka Kostaryka nie jawi się jako kraina przygody. Ten mały kraj, wciśnięty między Panamę na południu i Nikaraguę na północy, to jakby Szwajcaria, w której w ciągu paru miesięcy przeprowadzono by dewaluację o siedemset procent... Zaczyna pojawiać się nędza, na razie bardzo dyskretnie, bo choć przeciętny Tico nie ma pieniędzy, ciągle jeszcze stać go na podstawowe produkty jak ryż, fasola, banany i kawa. W Kostaryce nie ma jeszcze głodu, ale nie ma już luksusu. Pierwszy kontakt z nią nawiązałem przeszukując prekolumbijski cmentarz w centrum kraju. Zajmowałem się podobną działalnością piętnaście lat wcześniej w Peru, ale warunki były tam

inne. Tutaj dżungla, choć rośnie bujnie, nie jest przyjemna, i choć dokuczał nam brak pożywienia, to przede wszystkim we znaki dawały się colloradillas, mikroskopijne owady, które dziesiątkami wślizgują się pod skórę, zbierają się w okolicy podbrzusza i powodują swędzenie nie do wytrzymania. Najtrudniejsza okazała się jednak sprzedaż przedmiotów prekolumbijskich: w Kostaryce sztuka nie ma żadnej wartości, i antykwariusze interesują się wyłącznie złotem i nefrytem. Czasami proponowali mi trzy czy cztery dolary za precjoza mające ponad tysiąc lat! W związku z tym piękna gliniana waza, która skutecznie stawiała czoło upływowi czasu, zakończyła swój żywot na mordzie jednego z tych kretynów, właściciela galerii sztuki prekolumbijskiej.

Na szczęście Diane przejęła pałeczkę. Udało jej się sprzedać sporo przedmiotów członkom ambasady francuskiej. No i poznała Szlomo.

Żeby tylko nie okazało się, że ten sympatyczny Żydek z półświatka mnie okłamał. Powiedział mi, że tracę czas i że w tym kraju są bardziej opłacalne zajęcia. Twierdził, że na południu jest miejsce pełne złota, półwysep Osa. Jeśli mu wierzyć, wystarczy się schylić, żeby je zgarnąć. Dał mi również do zrozumienia, że jest to zakątek niebezpieczny, zamieszkały przez zbiorowisko awanturników i przestępców uciekających przed sprawiedliwością.

Zainteresowała mnie ta jego opowieść. Nie chodzi mi o złoto, bo wiem, że w tych sprawach ludzie zawsze przesadzają, ale o to życie, które mi opisał. Zrozumiałem z tego, że półwysep Osa to zapomniane miejsce, prawie bez łączności z resztą kraju, miejsce niebezpieczne i do pewnego stopnia wyjęte spod prawa: właśnie takie okolice lubię.

Toteż w dwa dni później dałem kopniaka ostatnim garnkom, jakie mi zostały — tysiąc pięćset lat rozwalilo się o ścianę — i wsiedliśmy do autobusu jadącego do Golfito, skąd trzeba przeprowić się statkiem na półwysep Osa.

Kilka dobrych restauracji, kupno od tegoż Szlomo rewolweru Smith and Wesson kaliber 38, z długą lufą, oraz dwustu gramów mango-rosa i suszonych hongos; wszystko to poważnie naruszyło zyski ze sprzedaży. Jutro rano wsiadamy na statek do Puerto Jimenez, jedynej wioski na półwyspie. Liczę pieniądze. Zostało mi osiemnaście dolarów.

* * *

Na przystani statek zakotwiczony jest o dziesięć metrów od brzegu i pasażerowie grzecznie siedzą na nabrzeżu, w pełnym słońcu, które zaczyna

zdrowo przypiekać. Ktoś mi mówi, że zaraz odpływamy, ale znam miejscowe zwyczaje i idziemy poczekać w chłodzie, w tej samej knajpie co poprzedniego dnia. Z tranzystora dobiega „*Capri, c'est fini*”, melodia dość nieoczekiwana w tym zapadłym kącie. Po upływie godziny sytuacja nie ulega zmianie, tyle że słońce coraz mocniej grzeje tłumek na nabrzeżu. Mija jeszcze godzina i marynarze zaczynają przewozić pasażerów łodziami. Najpierw zabierają ludzi, potem bagaże. Czekamy, aż załadują ostatnią skrzynię, i wsiadamy. Statek to mały barkas długości dwudziestu metrów, do połowy zakryty plandeką i wyładowany do maksimum.

Rozsiadłszy się wygodnie na dziobie, podczas gdy wszyscy tłoczą się na ławkach rufowych, palimy skręta przyglądając się delfinom, które bawią się w fali dziobowej. Nieco później przechodzę na rufę, żeby się trochę rozejrzeć w tłumie. Jest wiele kobiet, krowiastych, o mocnej budowie, i paru mężczyzn, całkiem wysuszonych, z narzędziami w ręku, którzy prawdopodobnie jadą spróbować szczęścia na półwyspie.

Całkiem z tyłu mały facecik o twarzy łasicy opowiada coś, otoczony gromadą słuchaczy. Pokazuje im bryłkę złota, pierwszą, jaką widzę w tych stronach. Podchodzę i chwilę rozmawiamy. Nazywa się Jeremy. Był dawniej pilotem w kompanii bananowej, potem otworzył bar w Puerto Jimenez i handluje złotem, jak wszyscy mieszkańcy. Zaprasza nas do swojego baru, gdybyśmy potrzebowali informacji. Po dwu godzinach żeglugi dopływamy.

Przybicie do Puerto Jimenez jest dosyć zabawne, nie ma portu, nie ma mola. Statek zatrzymuje się, gdy braknie wody pod kilem, i każdy na własną rękę przedostaje się na ląd. Muszę zdjąć swoje wysokie buty i podwinąć nogawki spodni, żeby przenieść Diane na plażę. Wśród krzyków i śmiechów każdy urządza się, jak potrafi, żeby wyładować swoje rzeczy na brzeg. Trzej marynarze, nasza załoga, przenoszą kobiety, jeden drugiemu podstępnie wciska co starsze, by samemu wziąć młode, co pozwala nieco wynagrodzić sobie fatygę. Udajemy się do baru Jeremy'ego, Rancho de Oro, znajdującego się nieco dalej w głąb lądu, żeby przemyśleć dalsze działania i napić się czegoś, bo upał staje się nie do wytrzymania.

* * *

Bar jest niezły. Cały z bambusa, dobrze przewietrzony, nie śmierdzi tak jak inne. Jest mało ludzi, bo to pora sjesty. W kącie zauważam faceta, który różni się od innych. Siedzi sam przy stole, mając przed sobą wagę i

imponującą ilość puszek z piwem, które regularnie opróżnia. Ma około czterdziestki, niebieskie oczy, a spod baseballowej czapki wciśniętej na łysiejącą czaszkę wymyka się kilka blond kosmyków, co zdradza w nim gringo, jednego z tych Amerykanów szukających szczęścia w Kostaryce. Podchodzę:

- Jestem Juan Carlos.
- Dzień dobry, ja nazywam się Wayne.
- Mogę się dosiąść?
- Jasne.

Wayne to były marine, mieszkający w Kostaryce od kilku lat. Włóczył się po całym świecie, zanim przyjechał tutaj. Bywaliśmy w tych samych miejscach: Azja, Afryka, różne parszywe zakątki, i czujemy do siebie sympatię.

Mieszka w Golfito, ożenił się z Ticą i prowadzi kilkuetapowy handel. Na półwyspie skupuje po niskich cenach złoto i raz na miesiąc jeździ sprzedawać je do Miami, skąd przywozi dolary. Potem wymienia je na czarnym rynku, co znowu przynosi zysk. Na takim handlu zarabia się dwukrotnie i jest to proste, bo krajowy bank nie skupuje złota po kursie światowym. Wayne opowiada mi, że dawniej jeździł ze swoją wagą w góry, kupować złoto jeszcze taniej, bezpośrednio od poszukiwaczy rozproszonych po dżungli. Ostudziła go trochę zasadzka, z której wyszedł cało jedynie dzięki kamizelce przeciwkulowej, którą stale nosi.

Teraz skupuję w Puerto Jimenez. Przyjeżdżam w niedzielę, kiedy ci faceci schodzą z gór. Zysk jest mniejszy, ale ryzyko też. Muszę myśleć o rodzinie — mówi z uśmiechem.

W jego słowach wyczuwam żal człowieka, schwytanego w pułapkę takiego życia, z żoną i dziećmi, w tym kraju, gdzie się wszystko wali. Kiedy mówię mu o swoich planach, niepokoi się:

- Masz broń?
- Tak, nie ma sprawy.
- A narzędzia, wyposażenie, konia? — pyta, spoglądając na moje sfatygowane buty.
- Nie, ale dam sobie radę, nie ma sprawy.
- Jeśli chcesz, żebym ci pomógł, gdybyś potrzebował forsy...

— Nie, naprawdę wszystko w porządku. Ale gdybyś mógł mi wskazać kogoś, kto jedzie w jakieś interesujące miejsce, to byłoby fajnie.

— Zajmę się tym, wpadnij tu wieczorem.

— Do zobaczenia.

Wybór hotelu jest o tyle łatwy, że jest tylko jeden, pośrodku wsi. Puerto Jimenez rozciąga się na kilometr, wzdłuż szerokiej, zakurzonej drogi przygniecionej słońcem. Na ulicach nie ma żywej duszy, wszyscy przestrzegają sjeisty za zamkniętymi okiennicami. Naprzeciwko banku, budynku przypominającego rozmiarami szalet, siedzi rozwalony na krześle gliniarz z karabinem na kolanach. Na ziemi przed barem leży pijak, żałosna pozostałość wczorajszej zabawy. Trzech innych facetów drzemie na krzesłach w cieniu pod daszkiem. Są to jedyne widoczne oznaki życia w Puerto Jimenez.

Idę samotnie środkiem tej nie kończącej się ulicy, przytłoczony upałem, wdychając nieruchome powietrze przesycone kurzem, i mam wrażenie, jakbym przyjechał do miasta duchów. Na końcu ulicy widzę posterunek policji, którego wnętrze będzie mi niestety wkrótce dane poznać.

Wieczorem wracam do baru, gdzie bez trudności zasięgam języka, bo poszukiwacze złota, biedni pijani oreros, są bardzo rozmowni. Stawiają wszystkim i są szczęśliwi mogąc kupić drinka dla gringos. Jak przekonać się, ile jest prawdy w ich pijackich opowieściach?

Puerto Jimenez żyje tylko w nocy. Kurwy wyruszają na poszukiwanie oreros, żeby odebrać im ich złoto. Bary wypełniają się tymi biedakami goniącymi za przyjemnościami i wydatkami, a kurwy i szakale starają się im w tym pomóc. Rankiem oreros kończą w rynsztoku, z kieszeniami wywróconymi przez dzieciaki szukające ostatnich colonów. Przez całą noc Puerto Jimenez wypełnione jest hałasem ich pijatyk, śmiechów i bójek.

Nieco później pojawia się Wayne w towarzystwie innego Europejczyka, Hansa, oraz Tico imieniem Memo. Hans to Niemiec zamieszkały w Puerto Jimenez, i także poszukuje złota. Memo wyjeżdża jutro rano do Karate. Umawiamy się, i odchodzi do swoich towarzyszy.

— Jak będziesz w Karate, zajdź do Bretta, to równy gość — mówi Wayne.

Po kilku szklaneczkach wracamy do hotelu.

Memo przychodzi po nas o czwartej rano, w towarzystwie jakiegoś siłacza o twarzy debila. Wypijamy szybko kawę i ruszamy. Diane niesie swój neseser, ja nasz wspólny plecak. Po przejściu dwustu metrów czuję, że zaczyna mi ciążyć, i przywołuję kolegę Memo. Po krótkiej dyskusji zgadza się, by w zamian za moje ostatnie pięć dolarów nieść mój plecak aż do Karate. Zostaje mi tylko kilka monet, ale będę przynajmniej szedł bez obciążenia.

Po pół godzinie Memo postanawia iść skrótem przez góry. Zaczynają się przyjemności. Dżungla to prawdziwy piec, wilgotny i duszny, jesteśmy cali złani potem. Ziemia jest przesycona wodą po deszczach, a roślinność zatrzymuje wilgoć. Nie ma przetartej ścieżki i wielokrotnie trzeba przebijać się za pomocą maczet. Moja budowa nie pozwala mi biec przez błoto nie zanurzając się, jak to robią mali Ticos. A kiedy się wywracam, padam całym ciężarem ciała. Diane, zadziwiająco lekka i zwinna, porusza się jakby spacerowała po łące. O ile Ticas są grube, o tyle Ticos mali i szczupli. Są przystosowani do biegania po dżungli.

Idę boso, z butami zawieszonymi na szyi; w błocie tak jest wygodniej. Kiedy teren jest płaski człowiek pogrąża się po kolana, a na przejściach i zejściach ślizga się. Nam jeszcze jakoś to idzie, bo mamy wolne ręce, gorzej temu idiotcie z niewygodnym plecakiem. Jest niesamowicie silny, ale dostaje potężnie w kość. Coraz to potyka się i wywraca, w krótkim czasie jest całkowicie pokryty błotem. Jest to nieprzyjemne, bo w ten sposób brudzi mi plecak. W pewnej chwili ześlizguje mu się noga i dostaje straszliwego szwungu; zjeżdża ponad trzydzieści metrów i leży nieruchomo, bo spadający za nim plecak walnął go w głowę. Wszyscy się zaśmiewają, tylko on jakby mniej, bo go zabolalo. Ale w końcu jego poczciwa wielka mordka krzywi się w głupawym uśmiechu, i pomagając sobie myślami o zarobku podnosi plecak i idzie dalej. W takich warunkach maszerujemy cały dzień. Z rzadka tylko zatrzymujemy się, by orzeźwić się gorzkimi pomarańczami, zebranymi po drodze, albo żeby zapalić skręta. Memo od dawna znikł w przedzie, powiedziałem mu, żeby na nas nie czekał.

Jest dziesiąta wieczór kiedy docieramy do plaży, jesteśmy w Rio Oro, o dwie godziny drogi od Karate. Za ostatnie monety kupuję kilka podpłomyków i jakieś napoje gazowane, którymi dzielimy się we trójkę. Diane i ja decydujemy się tutaj przenocować. Żeby pozbyć się naszego tragarza, którego rosnąca sympatia staje się trochę uciążliwa, wskazuję mu drogę

przyjacielskim klepinięciem w ramię i mówię, że spotkamy się następnego dnia w Karate. Odchodzi w noc, trochę zdezorientowany, ale szczęśliwy, że zyskał trochę pieniędzy i nowych przyjaciół.

Próbujemy spać na plaży, ale pomimo zmęczenia nie potrafimy zasnąć. Przeszkadza nam upał, komary i wilgoć piasku. Z przyjemnością witamy świt. Mam chęć na kawę i papierosa, ale nie został mi już ani jeden centavo.

* * *

O świcie wyruszamy do Karate. Po drodze dostrzegam na piasku ślady żółwia. Jaja złożone są jakieś trzydzieści centymetrów pod powierzchnią. Biorę dziesięć i zasypuję pozostałe. Zjadamy je na surowo — to nasze śniadanie. Siedzimy tak na plaży, kiedy pojawia się tubylec na koniu.

— Cześć!

— Cześć! Dokąd idziecie?

— Idziemy do Karate.

— Ja też.

— Wspaniale, dobrze się składa, bo moja żona jest zmęczona.

I nie dając mu czasu na stawianie zbyt wielu pytań, każę mu zejść z konia, sadzam w siodle Diane i daję jej plecak.

Ochłonawszy z wrażenia facet bez sprzeciwu towarzyszy mi na piechotę. Zawiesza sobie ostrogi na szyi i zaczyna przemowę, która trwa aż do Karate. Jest jedenasta, kiedy stary mówi, pokazując nam drewniany dom w stylu europejskim:

— Karate. Tu jest dom Kanadyjczyków, którzy kierują kopalnią. Mój zięć mieszka z drugiej strony, pięćdziesiąt metrów stąd. Chodźcie ze mną, napijemy się kawy.

Podchodzimy do chaty z drewna i liści palmowych, z dachem z ocynkowanej blachy. Dwoje gołych dzieci bawi się na progu z prosiakiem. Z pocerowanego hamaka podnosi się facet i pozdrawia starego.

— Dzień dobry dziadku, jak zdrowie?

— Dobrze, Saltarana, Bogu dzięki. Spójrz, przyprowadziłem ci dwoje Francuzów, którzy przyszli z Jimenez.

— Francuzi? Bardzo dobrze, wejdźcie, usiądźcie. Przysuwa dwa kulawe krzesła i woła żonę.

— Ej, Negra, przygotuj kawy, mamy gości. Jesteście głodni, chcecie coś zjeść?

Podczas gdy pomagam Diane zejść z konia i biorę plecak, Saltarana krząta się, przeganiając dzieci, które patrzą na nas z rozdziawionymi ustami. Zmęczeni siadamy w cieniu.

Saltarana to niski gość o szybkich ruchach, wygląda sympatycznie. Jego przenikliwe oczy patrzą na nas badawczo, kiedy pijemy kawę.

— Co chcecie tutaj robić, szukać złota?

Podczas gdy z nim rozmawiam, senora proponuje Diane prysznic. Saltarana mieszka tu od dwóch lat, trochę współpracuje z Kanadyjczykami, oddając im drobne usługi.

— Gringos mało stykają się z oreros, ja służę im jako łącznik, a Negra u nich sprząta. Jest ich dwóch, zarządzają kopalnią: mister Bili to manager obozu, a Fucking to główny mechanik.

— Fucking?

— Tak, nazywają go tak, bo używa tego słowa w każdym zdaniu. To dureń — konkluduje Saltarana.

Wkrótce wyciąga wagę i małą flaszeczkę. Wysypuje z niej złoto i waży je, podczas gdy stary liczy pieniądze. Saltarana wyjaśnia mi, że razem handlują. Stary kupuje od niego złoto, które on sam skupuje od oreros. W tych stronach wszelka działalność koncentruje się na takich sprawach.

Saltarana proponuje, żebyśmy z Diane zostali u niego.

— Jest dość miejsca — mówi.

Odsłania brudną zasłonę i wskazuje na piętrowe łóżko. Zwracam się do Diane. Nasze spojrzenia spotykają się. Nie jest to Ritz, a nawet jest to prawdopodobnie jedno z najbrudniejszych miejsc, jakie widzimy, odkąd jesteśmy razem. Ale nie mamy wyboru, przygoda wymaga wyrzeczeń. Przyjmujemy zaproszenie.

— No, to świetnie — mówi Saltarana — będę mógł wyjechać.

Patrzę na niego zaskoczony.

— Rozumiesz, chciałbym się zabawić, ale nie mogę wyjechać na zbyt długo, bo mi wszystko rozkradną. Raz po powrocie zastałem wyważone drzwi, ukradziono mi cały sprzęt kuchenny. Ale jeśli wy będziecie tutaj, mogę bez problemów pojechać do Jimenez. Możecie się tutaj wygodnie urządzić, jest pełno zapasów.

W kilka minut później wyjeżdżają na starym motocyklu, on, żona i oba dzieciaki. Znają mnie wszystkiego kilka godzin.

Resztę popołudnia spędzam na luzie, razem z Diane leżymy na plaży i jemy. Wieczorem, podczas gdy ona przygotowuje kolację, idę do pulperii, sklepu spożywczego tuż obok. Alkohol oznacza nocne życie. Pulperia to spory, oświetlony budynek, z którego dochodzą krzyki i odgłosy pijatyki. Kiedy wchodzę, jakiś ledwo trzymający się na nogach Tico potrąca mnie, wybiegając, by na zewnątrz wyrzygać wszystkie wnętrności. Bar jest pełny i wielu facetów leży już na ziemi bez przytomności. Pulperia jest przestronna: składa się z części magazynowej, gdzie trzyma się stosy worków z ryżem, frijoles i innymi towarami pierwszej potrzeby, oraz z sali barowej, od której oddziela ją lada z dziesiątkami butelek guarro. Śmierdzi rzygowinami i rozlanym alkoholem. Przedzieram się jakoś do baru; za ladą stoi gringo, wspomagany przez milutką kelnerkę, który nalewa klientom i wrzeszczy na pijaków. Jest to wysoki blondyn około czterdziestki, nadużywanie alkoholu wyryło na jego twarzy głębokie bruzdy. Spozstrzega mnie i podchodzi:

— Ty jesteś ten Francuz, co dzisiaj przyjechał? Miło poznać, ja jestem Brett — mówi wyciągając rękę.

— Miło mi, nazywam się Juan Carlos.

— Jesteś sam? Mówiono mi, że przyjechałeś z bardzo piękną kobietą. Wiesz, tutaj wiadomości rozchodzą się szybko i wszystkie docierają do pulperii.

Przerywa, by opieprzyć jakiegoś Tico, który robi obsceniczne gesty do jego żony.

— Już nie mogę wytrzymać z tymi kretynami, jedni debilniejsi od drugich. Jedyne, co potrafią, to chlać i drzeć się. Jestem tu już od trzech lat i mam ich dość. Całe szczęście, że całe swoje złoto wydają u mnie. A ty, co cię tu sprowadza? Chcesz spróbować szczęścia szukając złota?

— Tak, o Karate powiedział mi Wayne. Mówił, że jest tu ciekawie. Kazał cię pozdrowić.

— Wayne, ten stary wariat! Ciągle handluje złotem? Któregoś dnia go wykończą. Napijesz się czegoś?

— Chętnie.

Brett jest szczęśliwy, mogąc się wyżalić przed Europejczykiem.

— Popatrz na te wraki — mówi, wskazując na dwu chudziutkich starców, którzy właśnie weszli, z rozlatującym się radiomagnetofonem w rękę. — Co wieczór tu przyłożą z tą swoją cholerną muzyką. Mają tylko dwie

kasety i słucham tego przez całą noc. Mieszkają tuż nad nami. Mają co najmniej po dziewięćdziesiąt lat, i są razem od dziesięciu lat. Krzyczą na siebie jak stare małżeństwo.

Dwaj starcy są wysuszeni i cali pomarszczeni, ich skóra jest spalona przez słońce. Mają kończyny powykrzywiane wskutek pracy przy poszukiwaniu złota, a ich ręce wyglądają jak dzioby nart.

— Mówiono mi o dwóch Kanadyjczykach, jacy oni są?

— Ci dwaj idioci? Od nich wynajmuję pulperię. Nie chcą tu żadnych obcych, bo boją się konkurencji. Na początku opowiadali mi, że chcą zamknąć kopalnię, że tu wcale nie ma dużo złota. Dlatego zgodziłem się wziąć w ajencję tę rudę. Zawracanie głowy! Pracują jak dzicy i wydobywają kilo dziennie. Tutaj ich nigdy nie spotkasz, żyją na uboczu i nie mieszają się z pospółstwem. Swoim pracownikom też zabronili tu przychodzić.

Hałas w pulperii wzmacnia się i zaczynam odczuwać skutki braku snu. Już mam odejść, gdy zatrzymuje mnie Brett.

— Domyślam się, że skoro przyjechałeś do tej zapadłej dziury, to jesteś goły. Tutaj o to się nie martw, damę wszystkim na kredyt, bo to jedyne miejsce, gdzie można coś kupić. Więc gdybyś czegoś potrzebował, nie krępuj się. My, biali, musimy sobie pomagać...

— Do jutra.

Wracam do Diane. Ponura chata uległa przemianie! Małe sprzątanie i dwie dobrze ustawione świece wystarczyły, żeby ją upiększyć. Diane przygotowała prosty i smaczny posiłek: żółwie jaja gotowane z przyprawami, ryż i smażone frijoles, trochę kokosu i pieczone banany. Opowiadam jej o tym, czego się dowiedziałem: jest tu złoto, dużo złota. Pozostaje jeszcze dowiedzieć się, jak najlepiej się do niego dostać. Wychodzimy na plażę, ale komary, maleńkie, lecz żarłoczne, szybko zmuszają nas do odwrotu.

* * *

Następnego dnia wcześniej rano budzi mnie głośnie walenie do drzwi. Ktoś woła Saltaranę. Otwieram i widzę małego grubasa, który patrzy na mnie zaskoczony.

— Gdzie jest ten kretyn Saltarana i co pan tu robi?! — wrzeszczy.

Czego ode mnie chce ten dureń? Już mam mu dać po mordzie, kiedy odzywa się drugi facet.

— Ej, spokojnie, szukamy tylko Saltarany. Nazywam się Bili, a ten to Fucking.

Wyjaśniam mu, że Saltarana wyjechał i że mieszkam tu tymczasowo.

— Zarządzamy kopalnią. Niech pan do nas zajrzy któregoś dnia — mówi mi na odchodnym.

Bili robi wrażenie sympatyczne, ale Fucking to mały sukinsyn. Diane i ja postanawiamy zrobić trochę porządku w domu. Skoro mamy tu jakiś czas pozostać, niech się chociaż trochę nadaje do życia.

Rozwalam piętrowe łóżko i buduję jedno większe, po czym, kiedy Diane zatyka szpary w deskach za pomocą liści palmowych, zdejmuję zasłonę i stawiam zamiast niej ściankę z bambusa i plecionych liści.

Kiedy kończymy robotę, Diane wybucha śmiechem. Fakt, że naruszyliśmy trochę przestrzeń życiową Saltarany, ale lubię czuć się swobodnie tam, gdzie mieszkam. Zresztą Ticos przyzwyczajeni są do życia w tłoku.

Cała wioska składa się z domu Kanadyjczyków, domu Saltarany, pulperii i lepianki obu starców tuż nad nią oraz czterech chałupek nad rzeką Karate. Wyżej, na brzegu rio, znajduje się obozowisko Karate Mining Company, z warsztatami maszynowymi i hangarem, gdzie śpią pracownicy; jeszcze wyżej — obóz oreros. Jest to składanka z kartonowych i plastikowych opakowań, sklecona przez poszukiwaczy złota, którzy trzymają się razem i wzajemnie sobie pomagają.

Jest ich około setki, żyją wraz z kobietami i dziećmi w błocie, tłoku i niewygodzie, bez perspektyw na przyszłość. Znam takie miejsca. Złoto to dla mnie nic nowego. Widziałem już obozy poszukiwaczy złota w Gabonie i Brazylii, przy granicy z Wenezuelą. Wszędzie te same wszy i ta sama nędza. Ci faceci pracują cały dzień, żeby przepić zarobek w parę godzin. Jeśli zdecydowałem się na tę przygodę, to na pewno nie po to, żeby robić jak oni. Najpierw muszę zasięgnąć jak najwięcej informacji, żeby jak najlepiej je wykorzystać.

Wracamy do domu. Wiem, że Saltarana wraca za parę dni, i chcę wykorzystać ten czas, żeby trochę odpocząć z Diane.

* * *

Wieczorem wracam sam do pulperii. Jest to strategiczne miejsce w Karate, bo wszystkie wiadomości przechodzą tędy: ktoś znalazł taką a taką

bryłkę złota, kogoś zabiło osuwisko, w takim a takim miejscu znaleziono super złoże. Im później w noc, tym fantastyczniejsze stają się opowieści: rozmiary bryłek rosną wraz z ilością wypitych butelek.

Brett stał się rasistą i nienawidzi ich. Trzeba przyznać, że ze względu na panujące tu warunki życia tutejsi Ticos to ani mięczaki, ani luminarze. Otepiali od zwierzęcej pracy, z mózgiem zniszczonym przez alkohol z przemytu, wielu z nich to zwykłe wraki ludzkie.

Czasami Brett ma kłopoty z opanowaniem sytuacji. Jest żonaty i nie zawsze budzi wystarczająco dużo respektu, żeby zostawiono jego żonę w spokoju. Poza tym popełnia ten błąd, że od czasu do czasu upija się z nimi, co przełamuje pewne bariery. Ticos nie potrafią rozróżnić grzeczności i poufałości i często robią się nachalni. Zwłaszcza w tej pulperii, gdzie po zapadnięciu zmroku nikt już nie trzyma się na nogach. Bijatyki są na porządku dziennym i Brett często musi używać siły. Wynosi, ciągnąc za nogi, na wpół nieprzytomnych facetów rozłożonych na brudnej podłodze, wyrzuca ich na dwór i tam czekają końca z nosem we własnych rzygowinach.

Atmosfera jest ciężka, ale tu właśnie mogę najwięcej dowiedzieć się i spotkać poszukiwaczy złota.

— Widzisz, takie jest całe ich życie — mówi mi Brett. — Pracują kilka dni, po czym wszystko przepuszczają w jedną noc. Zauważ, nie mówię tego, żeby się skarżyć, wszystko ląduje w mojej kieszeni — dodaje z uśmiechem. — A ty co zamierzasz, pójdziesz z nimi?

— Nie, nie mam mentalności niewolnika. Chcę jak najwięcej dowiedzieć się o złocie i znaleźć sposób, żeby z tego skorzystać, ale nie mam zamiaru harować jak idiota. Musi mnie tylko ktoś nauczyć szlamowania, przynajmniej podstaw. Potem dam sobie radę, nie ma sprawy.

— To nic trudnego. Każdy z tych kretynów powie ci wszystko, co chcesz, jeśli mu postawisz. Przedstawić ci któregoś?

— Nie, w porządku, mam inny pomysł. Dziękuję.

Następnego dnia z dwiema butelkami guarro pod pachą odwiedzam obu starców. Są w trakcie poważnej kłótni. Zaskoczeni moją wizytą przerywają tę scenę rodzinną. Na widok butelek rozchmurzają się.

— Słuchajcie, przyjaciele. Mam dla was propozycję. Muszę się nauczyć szlamowania. Stawiam picie tak długo, aż będę ekspertem.

Interes im się podoba i traktują moją propozycję bardzo poważnie. W poczuciu własnej ważności majestatycznie schodzą do rzeki. Moja metoda jest prosta: parę ruchów miską i łyk guarro. Do szlamowania służy rodzaj wielkiej miski z lekkim wgłębieniem pośrodku. Po wypełnieniu jej kilkoma łopatami złotonośnego żwiru trzeba przykucnąć z pięcioma kilogramami w rękach i pochylić się lekko do przodu. Nie dość, że mało elegancka, pozycja ta powoduje przede wszystkim ból w krzyżu.

Przykucnięci w wodzie, z miską na wpół zanurzoną, starcy wprawiają ją w ruch okrężny. Powstaje w ten sposób prąd wodny, który wraz z siłą odśrodkową stopniowo wyrzuca kamienie i piasek. Dość często trzeba przerywać ruch i rozdzielać je, żeby nie tworzyły zlepionych kawałów, a potem potrząśnięciem od prawej do lewej zsuwać złoto, które jest cięższe, na dno miski, zwanej tutaj catiadora. Wszystko to jest niby proste, ale wymaga wprawy. Wystarczy trochę za dużo wody, trochę zbyt gwałtowne poruszenie i drobne ziarnka złota wylatują z miski.

Ćwiczę przez część dnia, ale plecy mnie pieką. Kiedy uznaję, że mam dość, obie butelki są puste, a staruszkowie pełni. Zostawiam ich leżących na brzegu rzeki i wracam do Diane, żeby spędzić z nią popołudnie na plaży. Nieco później nadchodzą moi nauczyciele, wyczuwający dobrą okazję. Sporo wysiłku kosztuje mnie pozbycie się ich. Znam już podstawowe ruchy i zamierzam poćwiczyć. Zresztą... i tak nie mam ambicji zostania mistrzem. Jeżeli catiadora będzie stanowić część mojego przyszłego wyposażenia, zawsze znajdę jakiegoś kretyna, który będzie sobie za mnie niszczył krzyż.

Wrócił Saltarana ze swoją rodziną. Jest trochę zaskoczony zmianami, ale godzi się z nimi. Przeszedłem na dietę z owoców avocado i żółwich jaj. Poczciwe żółwie przychodzą składać jaja pod sam dom, wystarczy wyjść wcześniej rano na plażę i iść po śladach, by wkrótce powrócić ze sporym zapasem. Próbowałem robić sadzone, ale białko nie chce się ścinać. Najlepiej gotować jaja z przyprawami, bo skorupka jest miękka i porowata i przepuszcza cały aromat. Menu uzupełniamy orzechami kokosowymi, których pełno na plaży. Zeskrobujemy wiórki i dodajemy je do wody, w której gotuje się ryż i frijoles, co nadaje tym potrawom specyficzny smak; dzięki temu jakoś wytrzymujemy codzienne gotowane jarzyny. Żona Saltarany stara się, jak może, by stosując się do moich rad urozmaicić jadłospis, choć nie rozumie

po co. Karmieni od dzieciństwa gotowanymi mącznymi potrawami Ticos nie mają wymagającego podniebienia.

* * *

Teraz już co rano chodzę wzdłuż rzeki i obserwuję oreros. Na Osa wydobywa się złoto z rzeki. Praca odbywa się pod gołym niebem, w małych rios. Niesione z prądem złoto zmieszane jest ze szlamem, zalegającym na dnie. Trzeba to wszystko przesiać, aż dojdzie się do litej skały. Istnieje na to tylko jedna metoda: trzeba zdjąć wszystko! Po wybraniu miejsca, którego bogactwo ocenia się na podstawie zawartości paru początkowych catiadoras, trzeba je oczyścić z dużych kamieni. Jest to praca niesłychana.

Kamienie o wadze kilku ton trzeba rozbijać zwykłym łomem, waląc w nie cały dzień w pełnym słońcu. W tej dziedzinie Ticos są zadziwiający. Mali i wysuszeni skaczą na te kamienie i walą w nie bez przerwy całymi godzinami. Następnie przesuwają bieg rio, a w każdym razie jego części, zostawiając tylko tyle przepływu wody, ile wymaga canoa, bardzo proste urządzenie, typowe na Osa.

Jest to rodzaj skrzyni o trzech ściankach: ma pięćdziesiąt centymetrów szerokości na metr pięćdziesiąt długości, z dwiema deseczkami wysokimi na piętnaście centymetrów, które wyznaczają przepływ wody i złotonośnego żwiru. Wejście jest całkowicie otwarte, a przy wyjściu zrobiony jest mały pięciocentymetrowy próg łamiący prąd wody. Wystarczy teraz jedna lub dwie osoby, by łopata łądować do skrzyni żwir, który prąd przepłukuje. Przykucnięty przy canoa facet wyjmuje większe kamienie i bez przerwy miesza, żeby żwir nie osiadał. Ruch ten jest bardzo ważny, bo prąd wody pokrywa kamyczki, a złoto, o większym ciężarze właściwym, pozostaje na miejscu; ale jeśli pozwolić, żeby ziemia i żwir osadzały się, złoto ślizga się po kamieniach i odpływa. Cała tajemnica to regularność tego ruchu, w połączeniu z umiejętnym ustawieniem prądu wody i odpowiednim kątem nachylenia canoa. Jeśli te warunki są spełnione, wystarczy bez przerwy łądować skrzynię tak, by przepływ wody był regularny.

Siedząc wygodnie na skale, pociągając skręta z mango–rosa, patrzę jak się męczą. Po pewnym czasie robi się dziura tak głęboka, że schylając się nad łopata zaczynają połykać wodę. Wtedy zamykają canoa i przedłużają sztuczne koryto o paręset metrów, żeby obniżyć poziom wody. To prawdziwe prace

ziemne, robota dla wariatów. Przechodzę od grupy do grupy. Wszyscy stosują tę samą metodę, mniej lub bardziej się przykładając.

Kiedy wczesnym popołudniem podnoszą canoa, podchodzę blisko, ciekawy wyników. Wysypują zawartość skrzyni do miski i pojawia się złoto. Nie wierzę własnym oczom: od dwu do dziesięciu gramów! Cały dzień zwariowanej pracy, a tu prawie nic. Niedługo później dzielę się swoimi spostrzeżeniami z Brettem.

— Ci wszyscy to amatorzy — mówi ze śmiechem. — Nie ma tu jednego zawodowca. To czy uprawa bananów, to dla nich to samo. Niektórzy wiedzą o tym tyle, co ty i ja, a rzeka została już parę razy wyczyszczona. Prawdziwi oreros, ci, którzy rzeczywiście znajdują złoto, żyją w górach, wiele dni drogi stąd. Schodzą tu tylko od czasu do czasu, i zawsze mają pełną kieszeń. Łatwo ich rozpoznać: urządzają największe zabawy.

— Daleko stąd?

— Niektórzy o kilka dni drogi, inni o kilka godzin. Ale żeby się tam dostać, musisz mieć gumowe buty — mówi, patrząc na moje bose stopy. — Na pewno nie będę miał twojego rozmiaru, ale poproś pilota samolotu Kompanii, żeby ci przywiózł z San José.

Zmuszam się do codziennego chodzenia do pulperii, żeby zdobywać informacje. Staję się w końcu znany jako ten Francuz, który chce szukać złota, i różni faceci zaczynają sami do mnie przychodzić pogadać. Zawarłem znajomość z miejscowym dealerem. Bywa tu regularnie z jucznym koniem. Trawka jest tania. Mimo to handel daje zyski nie mniejsze, niż alkohol. Ale ponieważ nie udziela kredytu i nie jest lubiany, dealer nie ma bezpiecznego życia: jego poprzednika znaleziono w dżungli z głową rozłupaną maczetą. Kieszenie miał opróżnione.

* * *

Choć mają spokojny charakter, Ticos stają się czasem gwałtowni po wypiciu. Szybko sięgają po maczetę i w pulperii robi się gorąco od ich ekscesów. Któregoś wieczoru rozmawiam z Brettem, kiedy dwóch facetów dobiera się do jego żony. Daje jednemu w zęby, ale drugi wyciąga maczetę. Podchodzę i walę go butelką prosto w twarz, po czym dla równowagi dokładam jeszcze w tył głowy. Piwo mu nie służy, i facet rozkłada się jak długi z zakrwawioną mordą. Obaj mają dość. Brett robi porządek i wyciąga

ich na zewnątrz wśród śmiechów gawiedzi. Obaj zostają tam do rana. Nie niepokoję się o nich, wiem, że mają mocne kości.

Następnego dnia spotykam swoją ofiarę w pulperii. Uśmiecha się szeroko, co pozwala mi zobaczyć, że w starciu z butelką stracił wszystkie zęby. Nadal ma przy sobie maczetę, więc oczekuję ostrej reakcji, ale jego uśmiech jest szczery.

— Cześć, Francuz, jak leci?

— Dobrze, a u ciebie?

— Bardzo dobrze. Dobra zabawa wczoraj była, schlaliśmy się strasznie, ale było wesoło. Wracam w góry, bo jestem splukany. Do zobaczenia następnym razem.

I odchodzi w dżungłę. Zabawa kosztowała go wszystkie zęby, ale dobrze się bawił. Tacy właśnie są Ticos — nie są pamiętliwi.

* * *

Prawie wszystkie popołudnia spędzam z Diane na plaży. Często towarzyszy nam mała córeczka Saltarany, która poczuła do mnie sympatię. Chodzi za nami wszędzie i często zasypia w naszym łóżku. Na skraju plaży przywiązane są konie Bretta — jest to jedyne miejsce, gdzie jest trochę trawy. Czasami dosiadamy ich i urządzamy sobie długie przejażdżki wzdłuż pasa startowego. Jest to ubity kawałek plaży, na którym regularnie ląduje samolot Kompanii.

Któregoś dnia słyszymy, jak się zbliża, gdy nagle któryś ze żrebaków Bretta, przestraszony hałasem, wybiega na pas. Samolot, który właśnie kończy kołowanie, robi ostry skręt i wywraca się: załoga nie odnosi obrażeń, ale maszyna nie nadaje się do użytku. Kanadyjczycy muszą ją rozebrać i wysłać kawałek po kawałku samolotem wynajętym na tę okoliczność; nie poprawi to ich stosunków z Brettem, które już i tak były napięte.

Jesteśmy oboje dobrymi pływakami i często się kąpiemy, choć morze jest wzburzone. Fala jest bardzo silna i trzeba zanurkować pod pierwszymi grzywaczami i przedostać się nieco dalej, żeby móc spokojnie popływać. Nigdy jednak nie wychodzimy za daleko, bo dużo tu rekinów, zwłaszcza pod wieczór.

Któregoś wieczoru, gdy wraz z Diane wracamy z długiej przechadzki wzdłuż plaży, zauważam jakieś zbiegowisko. Około dwudziestu ludzi

oświetla brzegi rzeki i morze przy ujściu. Kiedy przychodzę do Saltarany, wyjaśnia mi:

— Łódź się wywróciła. Było siedmiu rybaków. Mieli kłopoty z silnikiem, więc chcieli tu dobić do brzegu, wpływając do ujścia rzeki. Ale w ciemności nie zauważyli przyboju. Fala uderzyła ich z boku i wywróciła łódź. Jednego odnaleziono. Leży u Billa, ma zwichnięte ramię. Ale nie wiem, czy pozostali się uratowali.

Rano żaden z pozostałej szóstki nie pojawił się. Pogrzebem zajęły się rekiny.

* * *

Dwa dni później przychodzi do mnie Juanito, brat Saltarany.

— Jeśli interesuje cię złoto, może przyjdiesz pracować do nas? Mam bardzo dobre miejsce.

Pokazuje mi trzydzieści dwa gramy złota, wynik wczorajszej pracy we trzech. Idę z nim z ciekawości. Właściwie nie lubię pracy grupowej, ale jeśli miejsce jest tego warte, może uda mi się go przekonać, żeby pracował dla mnie. Jego miejsce znajduje się u podnóża bardzo stromego zbocza, które wznosi się nad nami jak ściana. Prąd wody i wyrobiska wdarły się w głąb, a ziemia i tak jest rozmiękczona deszczami, bardzo gwałtownymi o tej porze roku.

— Ej, Juanito — mówię, wskazując na zbocze — nie boisz się, że ci to spadnie na głowę?

— No, zdarza się — odpowiada, uśmiechając się swoimi pieńkami zębów. — Ale najpierw spada piasek i małe kamyczki. Trzeba tylko szybko uciekać. Jest trochę niebezpiecznie, ale opłaca się.

Rzeczywiście, jeśli nie liczyć kilku fałszywych alarmów, które zmuszają nas do panicznych ucieczek, ranek przebiega bez problemów. Około południa, kiedy deszcz przestaje padać, następuje niczym nie zapowiedziany zawał. Ledwo zdążamy znaleźć schronienie. Osuwa się całe zbocze, nasza praca zostaje pogrzebana pod setkami metrów sześciennych ziemi. Wielka skała, która leciała wprost na nas, zatrzymuje się na pniu drzewa...

Patrzę na zaprzepaszczonego owoc naszego wysiłku. Juanito jeszcze się śmieje z własnego strachu, mówi coś o wynajęciu traktora Kompanii, żeby odgarnąć ziemię, jak to się zwykle robi. Uzmysławiam sobie, że za każdym razem cały jego zarobek przepada, pochłonięty przez koszty wynajmu; biorąc

pod uwagę usytuowanie jego miejsca poszukiwań, ziemia będzie się znów osuwać. Pocziwy kretyn! Mam ochotę dać mu po ryju: narażać moje życie w tak głupi sposób, dla zarobku, który z góry jest stracony! Zostawiam idiotę marzącego o miliardach i wracam do domu.

* * *

Zaczynam mieć tego dość. Co ja tu robię? Przyjechałem gotów na wszystko, żeby pnąć się pod górę, ale to co tu zastałem to nędza. Nie jestem tu po to, żeby ryc ziemię jak kret i wydobyć parę gramów gówna! Nawet gdybym wszystkich w okolicy wziął za mordę i zmusił do pracy dla mnie, nie jest pewne, czy by mi starczyło na papierosy.

Ponieważ ciągle węższę dookoła, stałem się postacią znaną i wielu oreros robi mi różne propozycje. Nic ciekawego. Co do Kompanii, moja obecność jest wyraźnie niewygodna. Mr Bili przyjął mnie grzecznie, ale Fucking boczy się na mnie. Pomimo to czuję, że ten półwysep może być punktem wyjścia do ciekawej przygody.

Zauważyłem, że spośród poszukiwaczy złota, którzy przychodzą do pulperii, niektórzy przynoszą wyłącznie bryłki. Saltarana, z którym często spędzam wieczory, wyjaśnia mi to.

— Ci oreros nie mają nic wspólnego z tymi tutaj. Jeżdżą do dżungli, gdzie mają swoje obozowiska. Pracują w parku narodowym Corcovado, tam jest rezerwat: to nielegalne i całe kilometry nie ma praktycznie nikogo. Tutaj wszystko zostało zryte i przeszukane przez czterdzieści lat, nie zostało już nic; tam są ziemie dziewicze, bryłki złota leżą na powierzchni. Życie jest tam ciężkie, ale się bardziej opłaca.

Oto prawdziwi poszukiwacze złota! Wychodzą w góry samotnie, albo po dwóch czy trzech, obładowani jak muły, zabierając tylko najpotrzebniejsze rzeczy: ryż, mąkę, cukier i kawę. Idą do dżungli na kilka tygodni, zwykle do stałego miejsca, które maskują przed odejściem. Żyją tam bez żadnych wygód, śpią na pniach ściętych drzew, osłonięci dachem z liści albo z plastyku. Czasami nie wracają, jeśli padną ofiarą jaguara, jadowitego węża, osuwiska albo nieuczciwego współnika: w dżungli wszystko załatwia się bez świadków. Nikt nie wie, ilu jest takich ludzi, i nikt się nimi nie interesuje. Czuję, że właśnie tam powinienem wyruszyć.

* * *

Już od szeregu dni oczekuję na buty. Ciągłe chodzę bosy, i w ten sposób daleko nie zajdę. Ten kretyn pilot przywiózł mi za małe, i doprawdy nie widzę, co mógłbym z nimi zrobić, chyba żeby kazać mu je zjeść. Ten gruby Amerykanin jest głupszy niż dziesięciu Ticos razem wziętych. Któregoś dnia, chcąc zrobić wrażenie na Diane, proponuje, że złowi dla niej langusty. Włazi do wody w płetwach, masce z rurką do oddychania. Połów odbywa się szybko. Pierwsza fala wyrzuca go jak meduzę, wielką galaretowatą masę rozwaloną na piasku. Nadciąga druga fala, porywa go i ciągnie w kierunku pełnego morza. Trzeba za nim biec, wyciągać go na wpół utopionego, z przekrzywioną maską. Ironiczny uśmiech Diane ostudza na razie jego zapał do podwodnych łowów.

Postanawiam wyruszyć. Nie mogę ani zostawić Diane tutaj, ani zabrać jej ze sobą. Muszę być sam i mieć wolne ręce, gotów na każdą ewentualność. Spędzam z Diane dużo czasu, wiedząc, że wkrótce trzeba będzie się na jakiś czas rozstać. Chodzimy razem pracować na catiadorze. Diane jest zręczniejsza ode mnie. Kiedy szlamujemy w miejscu, które Juanito wskazał nam jako dziewicze i z którego zrezygnował, moja towarzyszka znajduje swoją pierwszą bryłkę: osiem gramów, siedem gramów czystego złota. Na przestrzeni kwadratu o boku pięćdziesięciu centymetrów znajdujemy dwadzieścia pięć gramów złota w ciągu godziny. Wskazując nam to miejsce, Juanito na pewno nie podejrzewał, że będzie ono tak szczęśliwe...

Wieczorem na plaży Diane pyta mnie o moje plany.

— Myślisz, że uda nam się coś zrobić? Saltarana jest bardzo miły, ale nie możemy spędzić u niego reszty życia.

* * *

— Sądzę, że jedyna opłacalna rzecz na początek, jeśli chodzi o złoto, to skupywać je w górach i sprzedawać w Panamie. Ale do tego trzeba forsy. Złoto z Karate mi jej nie zapewni. Muszę iść w góry, do parku narodowego Corcovado, mówią, że tam jest najwięcej złota. Niemożliwe, żebym nie znalazł przynajmniej stu gramów.

— Dobra, nareszcie się trochę poruszamy. Kiedy idziemy?

— Nie, moja śliczna, nie mogę cię zabrać ze sobą na górę. To nie są warunki życia dla ciebie, dosyć już przeszłaś. Pójdę sam, a ty poczekaś na mnie w San José.

Mina jej rzędzie, w oczach maluje się rozczarowanie. Biorę jej twarz w dłoń.

— To tylko dwa albo trzy tygodnie. Będziesz mieszkać u tego pedała Jean–Paula. Jest sympatyczny i będziesz miała z nim spokój. Punktem kontaktowym będzie hotel America. Ale mamy jeszcze czas. Jeszcze pobędziemy trochę razem.

* * *

Często spędzam wieczory z Saltaraną. Jest szczęśliwy goszcząc nas u siebie. Dużo rozmawiamy, zadaje mi wiele pytań na temat krajów, które poznałem, na temat zwyczajów ich mieszkańców. W wielkim atlasie szkolnym, który zna na pamięć, pokazuję mu trasy moich podróży. Czasem trudno jest coś wytłumaczyć takiemu Tico, który nigdy nie wyjeżdżał ze swojego kraju.

Diane zaraziła Negrę, żonę Saltarany, swoim zamiłowaniem do morskich kąpiel, i zabawne jest obserwować je razem na plaży: Diane, wysoką blondynkę w tahitańskim sarongu, i Negrę, przypominającą suszoną, pomarszczoną śliwkę, w kostiumie kąpielowym, którego majtki podchodzą jej do pępka.

Ale tego wieczoru wyczuwam jakieś skrępowanie. Saltaraną wierci się niespokojnie i nie ośmiela się odezwać. Pomagam mu.

— No, gadaj, co cię tak trapi.

— Chodzi o Kanadyjczyków.

— Co z Kanadyjczykami?

— No, nie chcą, żebyś tu został. To znaczy zwłaszcza Fucking nalega, żebyś wyjechał. Zdaje się, że nie pasuje im, że jeszcze jeden cudzoziemiec interesuje się tu złotem. Dotąd byli sami, boją się konkurencji. Powiedzieli, żeby ci przekazać, żebyś wyjechał.

Nie dziwi mnie to ze strony Fuckinga. Odkąd o mało co nie dostał po ryju, nie mówi mi dzień dobry, a nawet unika spotkań ze mną. Mr Bili zawsze zachowywał się poprawnie, ale nic ponadto... Z drugiej strony rozumiem ich. Jako jedyni cudzoziemcy mają mniej kłopotów z utrzymaniem autorytetu. Nie mają łatwych stosunków z Ticos. W ciągu kilku tygodni stałem się o wiele bardziej znany od nich i nieustannie pojawiają się oreros proponując mi różne spółki. Kanadyjczycy muszą czuć się wyeliminowani z gry.

— Zrozum mnie — ciągnie Saltaraną — ja chciałbym, żebyś został, ale to moi szefowie i...

Jest mu głupio. Lubi mnie, ale musi przede wszystkim myśleć o swojej rodzinie, o pracy. Te sukinsyny o tym wiedzą i wykorzystują to, żeby wyrzucić nacisk na niego, zamiast porozmawiać bezpośrednio ze mną.

— Nie martw się, Saltaraną. Nie chcę, żebyś miał przeze mnie kłopoty. Zresztą, i tak mam zamiar wyjechać.

Ale on zniża głos i kiwa, żebym się przysunął.

— Mam pomysł. Wiem, że masz rewolwer — mówi z uśmiechem, a oczy mu błyszczą. — Co tydzień wożą złoto do San José. Jest tam czasami i dziesięć kilo. Trzeba zabić tylko trzech ludzi: pilota i dwóch konwojentów. Podzielimy się w Guacanaste. Co ty na to?

Prosty plan. Widać, że jest z niego dumny, i bardzo dziwi się, kiedy z uśmiechem odmawiam.

Ta wiadomość ułatwia mi decyzję. Pójdę w góry, a Diane poleci do San José samolotem Kompanii. Zostawię jej złoto, jakie mam, trzydzieści pięć gramów, czyli około czterystu pięćdziesięciu dolarów, bo liczę, że znajdę więcej na górze.

Ciągle chodzę boso. Ale nie ma sprawy, jestem zadowolony, że będzie trochę ruchu. Kiedy będę sam, bez odpowiedzialności za kogoś, będzie mi łatwiej coś osiągnąć, jak zawsze. Przede wszystkim chcę odesłać Diane w bezpieczne miejsce. To jedyna dziewczyna, jaką dotąd kochałem, i mamy za sobą pięć lat pięknego życia. Urodzona na wyspach, córka jednego z ostatnich poszukiwaczy przygód na Karaibach, Diane ma wrodzoną klasę i siłę charakteru, które tak bardzo cenię u kobiet. Była bogata, lecz rzuciła wszystko, żeby mi towarzyszyć. Ale nasze ostatnie przygody odbiły się na jej zdrowiu. Stworzona do życia w luksusie nie czuje się na swoim miejscu w tej ponurej dżungli. Historia naszej miłości jest zbyt piękna, by dać jej zwiędnąć w takich warunkach. Brak prywatności, tłok, jaki panuje w tej chacie, to zaprzeczenie życia, jakie chciałbym jej zapewnić. Wolę, żeby pojechała odpocząć i wykurować się w stolicy, podczas gdy ja pójdę harować w góry: potem przyjadę po nią, myślę, że za parę tygodni, i mam nadzieję, że nie z pustymi rękami.

Odprowadzam ją do samolotu.

— Szczęśliwej podróży, i baw się dobrze w San José.

- Ciężko mi będzie bez ciebie...
- Nie martw się, kochanie, będziemy razem za kilka tygodni.

* * *

Wyruszam bardzo wczesnie rano, w szortach i koszuli, z dwudziestoma pięcioma nabojami w jednej kieszeni, a hongos i paczuszką mango–rosa w drugiej. Nie zapomniałem też o mojej cennej Biblii, wetkniętej za kaburę. To całe moje wyposażenie.

Mój pierwszy etap prowadzi do chaty Juana. Wskazówki, jakich mi udzielił, są raczej ogólne. Mam iść wzdłuż plaży aż do rzeki Madrigal, potem iść w górę jej biegu i zaliczyć cztery dopływy. Następnie powinienem teoretycznie napotkać małą rzeczkę, przy której stoi trafione piorunem drzewo. Gdzieś tam znajduje się chata Juana.

Droga wzdłuż rzeki Madrigal jest ciężka. Nie ma wytyczonej ścieżki, bo jest to już park narodowy Corcovado i wstęp poszukiwaczom złota jest tu wzbroniony. Zmusza mnie to do stąpania po kamieniach i skałach, żeby nie zostawić zbyt widocznych śladów. Rzeka wezbrała i wkrótce jestem przemoczony od stóp do głów. Niepokoję się o swój rewolwer, bo nie mam smaru, żeby chronić go przed rdzą, a w tych stronach moja trzydziestka ósemka jest raczej nieodzowna. Czwarty dopływ wydaje się strasznie odległy i zaczynam mieć wątpliwości, bo mamy środek pory deszczowej i ciągłe ulewne deszcze tworzą liczne małe strumienie. Skręcam za którymś z nich i przedzieram się przez kilka godzin, nie widząc żadnego drzewa trafionego przez piorun. Brzegi stają się coraz bardziej strome, a strumień coraz bardziej się zwęża, aż w końcu znika zupełnie. Musiałem się pomylić, a idę już od sześciu godzin.

Wiem teraz, że zmyliłem drogę, i nie mam zielonego pojęcia, którądy dalej. Bolał mnie stopy, całe zakrwawione, pocierane o ostre kamienie. Wielkie skały zmuszają do ciągłych obejść. Bez maczety przedzieranie się jest bardzo trudne. Zaczyna zapadać zmrok, kiedy wreszcie znajduję poszukiwane drzewo. Najwyższy czas. Idę wzdłuż rzeki aż do jej źródła, niczego nie widzę, dopiero wracając słyszę regularne uderzenia siekiery. Nie ma wątpliwości, jestem na miejscu!

Siadam na skale, w dobrze widocznym miejscu na środku rzeki, i wykrzykuję zawołanie poszukiwaczy złota z Osa, podobne do wycia kojota. Czekam parę chwil i krzyczę jeszcze raz. Stuk siekiery ustał i czuję, że ktoś

mnie obserwuje. Muszę dać im czas na rozpoznanie mnie. Słyszę za sobą cichy trzask, to Juan.

— Cześć, Francuz, jak leci?

— Cześć, Juan! Co u ciebie? Przyszedłem cię odwiedzić i wierz mi, że miałem cholerne kłopoty, żeby się tu dostać i cię odnaleźć.

Na twarzy Juana rozkwita uśmiech. Jest małym, muskularnym facetem około trzydziestki i jego bezzębny uśmiech wzbudza sympatię.

— Bo jesteśmy dobrze schowani, musimy uważać, strażnicy parku to prawdziwe skurwysyny. Od czasu do czasu przechodzą tędy. Chodź!

Idę za nim, ale o parę metrów z boku, żeby nie wydeptać ścieżki, która mogłaby zaprowadzić strażników do jego chaty.

— Fakt, że ci kretyni nie są zbyt sprytni — mówi Juan — ani zbyt skuteczni, ale zdarza się, że nakryją jakichś oreros. Wtedy wszystko konfiskują, złoto i narzędzia. Jak się ktoś stawia, to go wsadzają. A większość poszukiwaczy to recydywa i nie chcą wracać do pudła.

* * *

Chata to wielkie słowo, plastikowa płachta rozpięta na czterech słupkach, kąt na palenisko, wspólne łóżko trzydzieści centymetrów nad ziemią, zbudowane z powiązanych pni pokrytych liśćmi. Z Juanem mieszka dwóch facetów. Jeden młody, mały chytry i podstępny pedzio, do którego z miejsca czuję antypatię, i małomówny staruch, który zajmuje się gotowaniem.

Nie wydają się zachwyceni moim przybyciem.

— Możesz tu spać — mówi Juan wskazując mi łóżko — pomieścimy się.

— Dziękuję ci, ale moja religia zabrania mi spać z innymi mężczyznami, zbuduję sobie łóżko. Możesz mi pożyczyć maczetę?

— Pomogę ci.

Nie mogłem mu powiedzieć, że ten ścisk i brud budzi we mnie wstręt. Nie zrozumiałby tego. Dla nich higiena to rzecz nieznaną. Zresztą spędzają całe dni w wodzie i czują się czyści.

Szybko budujemy łóżko koło ogniska. Cztery rozwidlone gałęzie wbite w ziemię i położone na nich kije podtrzymują pnie balsy przecięte wzdłuż na pół. W przeciwieństwie do Ticos okorowuję je, żeby pozbyć się owadów. Następnie pokrywam całość palmowymi liśćmi.

Kiedy kończymy, noc już zapadła. Czuję się zmęczony i brudny, więc schodzę do rzeki, żeby się umyć. Znajduję naturalne zagłębienie. Woda choć zimna jest przyjemna i działa na mnie kojąco. Korzystam z tego i piorę szorty, majtki i koszulę. Wracam do obozu nago. Mały pedzio siedzi przed chatą i obserwuje mnie. Zawieszam ubranie nad ogniem i siadam na łóżku. Zajęty smarowaniem broni nie od razu zauważam tego małego durnia przed sobą. Patrzy na mnie bezwstydnie.

— Ty skurwysynu, przestaniesz się gapić, zjeżdżaj stąd! — mówię, zakrywając przyrodzenie liśćmi.

— Och, Francuz... jaki delikatny! — odpowiada, kręcąc tyłkiem.

Nie omyliłem się co do tego małego degenerata, jeszcze ze sobą nie skończyliśmy. Nie mam nic przeciwko pedałom, pod warunkiem, że zostawiają mnie w spokoju.

Po skromnym posiłku — ryż, frijoles i kawa — rozmawiamy. Kartki Biblii są suche i robię skręta z mango–rosa, którego palimy wspólnie. Po kilku minutach robi się wesoło i języki rozwiązują się. Staruch i młody, którzy, jak się teraz dowiaduję, żyją razem, nigdy nie opuszczają dżungli. Juan przynosi im z Karate wszystko, czego potrzebują. Jakieś ciemne sprawy przygnały ich tutaj i zmuszają do ukrywania się. Juan zasnął i głośno chrapie. Mały pedzio zasypuje mnie pytaniami:

— Francja to gdzie?

— Daleko stąd.

— Konno ile dni?

Stary, trochę mniej ciemny od przyjaciela, tłumaczy mu, że trzeba podróżować samolotem albo statkiem. Zaczynają dyskutować. Korzystam z tego i zamykam oczy. W środku nocy, kiedy drzemię, jakieś dotknięcie budzi mnie gwałtownie. Mały pedzio jest obok, z ręką na moim brzuchu. Zalewa mnie odraza i z całej siły walę go pięścią w mordę. Przewraca się i wrzeszczy. Zaraz przybiega stary, podnosi go, całuje, głaszcze i ogląda przy blasku ognia. Jego mała żonka ma zakrwawione, rozchylone wargi i patrzy na mnie z nienawiścią. Będę musiał się pilnować.

Kiedy budzę się o świcie, cały zziębnięty, deszcz ciągle pada. Na Osa leje bez przerwy. Tego dnia ulewa jest tak silna, że uniemożliwia pracę. Założyłem mokre jeszcze rzeczy, dzień mija monotony i smutny.

Drugiego dnia, korzystając z przejaśnienia, o brzasku wychodzimy nad rio. Ciągłe to samo ścierwo: przenosić kamienie, rozwalać skały, łopata ładować ziemię do canoa. Wczesnym popołudniem przerywamy, oczyściwszy kilka metrów sześciennych żwiru. Juan podnosi canoa.

— Popatrz, Francuz, popatrz jak się świeci!

Patrzę: kilka rozproszonych ziarenek, parę gramów, nie więcej... Mam ochotę wszystko rozwalić...

Juan wyczuwa moje rozczarowanie:

— Dzisiaj jest mało. Jeszcze nie doszliśmy do ciekawej żyły, ale zobaczysz jutro...

I następnego dnia widzę rzeczywiście. Nieustanny deszcz spowodował osunięcie się ziemi, która całkowicie zasypała nasze wykopki: powrót do punktu wyjścia...

Jeszcze jeden stracony ranek. Marnuję czas i atmosfera się pogarsza. Znowu starliśmy się z gówniarzem, który chciał mnie posłać po wodę, za co dostał po pysku.

* * *

Po południu, mając dość wysłuchiwania ich głupot, poszedłem do lasu. Wkrótce spotykam stado małp, które siedzą wysoko na drzewach. To congos, wyjce, których głos słyhać na kilka kilometrów. Mają sympatyczne mordy, i nieruchomieją, żeby mi się przyjrzeć. Sympatyczne czy nie, mam ochotę na mięso. Postrzelałbym trochę, ale boję się, że hałas przyciągnie strażników parku. Szkoda.

Trochę dalej widzę iguanę na jakiejś gałęzi. Niestety! Kamień chybia celu, i idę dalej. Tego samego popołudnia oglądam całkiem malutkie żabki o niesamowitych kolorach: czerwono–zielono–złoto–platynowe. Czegoś tak dziwnego nigdy jeszcze nie widziałem ani w Amazonii, ani w innych lasach tropikalnych. Później dowiem się, że zwykle dotknięcie jednej z nich może zwalić człowieka z nóg. W drodze powrotnej mam szczęście i natykam się na węża boa. Nareszcie mięso! Tym razem nie daję zwierzęciu żadnych szans. Cios maczetą i wracam szczęśliwy do obozu: mój organizm jest mięsożerny i nie wystarczają mu mączne potrawy.

W przeciwieństwie do innych węży, których pełno na półwyspie, boa nie jest niebezpieczny. Ukąszenie większości tych węży jest śmiertelne, zwłaszcza tu, w parku narodowym, i jest to stały przedmiot obaw wszystkich

poszukiwaczy złota na Osa. Jest tych gadów tysiące, od całkiem małego węża koralowego aż do cascabella muda, grzechotnika osiągającego trzy metry długości, nie zapominając o tercio pello, spotykanym najczęściej, wężu bocaraca i innych świństwach, których nazw nawet nie znam. Gady te kęsają najczęściej w ręce i palce u nóg. Facet ugryziony w palec ucina go sobie maczetą. Czasami to wystarczy, ale wielu kituje. Nabrałem zwyczaju, za przykładem oreros, dokładnie przeszukiwać łóżko przed położeniem się spać. Bardzo też uważam, kiedy chodzę, bo ciągle jestem boso. W ciągu dnia spotyka się wiele węży, a w nocy, żeby uniknąć ryzyka nadeptnięcia na jakiegoś po ciemku, moi towarzysze siusiają do łóżka pomimo smrodu, jaki panuje dookoła chaty. Wczoraj rano, kiedy przenosiłem kamienie, żeby zbudować sztuczne koryto wody, pod jednym z nich zauważyłem tercio pello. Ledwo zdążyłem odskoczyć w tył. Tercio pello to jadowity wąż z ogromnymi kłami, zdolnymi przebić każdą parę butów.

Kiedy przychodzę do chaty, szybko oprawiam i czyszczę boa, po czym tnę go na porcje. Uczta. Tego wieczoru muszę wysłuchać codziennej porcji głodnych kawałków, historyjek w stylu: „*Pewnego dnia byłem na polowaniu i natknąłem się na miejsce pełne bryłek złota. — I co zrobiłeś? — Nic, przecież tropiłem dziką świnie...*” Szukam ucieczki w dużych ilościach mango–rosa, to świetny środek nasenny.

* * *

Czwarty dzień to powtórzenie poprzednich, i mam już zupełnie dość. Po południu Juan poszedł do Karate i ma wrócić jutro. Dałem mu swoją część złota, żeby mi kupił suszonego mięsa. Noc to prawdziwe piekło. Budzi mnie gwałtowne ukłucie w palec. Myśl o węzach stała się już obsesją i chcę sobie uciąć palec. Zatrzymuje mnie stary: To skorpion, ukąszenie nie jest śmiertelne.

Może nie jest śmiertelne, ale boli jak diabli, tak że przez całą noc nie mogę zmrużyć oka. Siedzę przy ognisku. Wstaje dzień. Oba pedały najwyraźniej nie mają zamiaru brać się do roboty, więc próbuję trochę pospać.

Parę godzi później, po wypiciu kawy, postanawiam przesiać parę catiadoras nad rzeką. Robię kilka bezowocnych prób, znajduję parę ziarenek, których nawet nie chce mi się wybierać, i daję spokój. Kiedy wracam, zastaję odrażającą scenę. Z kolanami w błocie, ze spodniami spuszczoneymi do kostek, stary rżnie szczeniaka, na którego twarzy maluje się zadowolenie.

Rany boskie! Co ja tu robię z tymi zboczeńcami? Robi mi się niedobrze i wchodzę do chaty. Podjąłem decyzję: czekam na mięso, które ma przynieść Juan, i odchodzę z tego gówna. Wiem, że o dwie godziny drogi stąd, w górę rzeki, znajduje się chata Miguela, który mieszka z dwiema kurwami sprowadzonymi z Jimenez. Widziałem je podczas pobytu w Karate, muły ledwie były w stanie unieść ich wielkie cielska. Miguel to równy gość, dobry orero. Podgrzewam frijoles, kiedy pojawia się Juan. Nie ma żadnych zapasów, trzyma tylko napoczętą butelkę guarro.

— Gdzie moje mięso?

— Słuchaj, Francuz, w Karate była zabawa, trochę wypilem, poza tym zdaje się, że nie było już mięsa.

Kręci i sam się gubi w swoich pijackich kłamstwach.

— Ty świnió, upiłeś się za moje złoto.

W przypiływie pijackiej czułości kładzie mi rękę na ramieniu i pakuje mi swoją śmierdzącą gębę pod sam nos.

— Nie gniewaj się, Francuz! Popatrz, przyniosłem guarro, to lepsze niż mięso.

Ogarnia mnie wściekłość. Chwytam menażkę z gotującymi się frijoles i ciskam mu ją prosto w ryj. Juan pada na kolana i wyje z bólu. Robi mi się żal tego durnia, żałuję swojego odruchu. Jego wrzaski sprowadzają tamtych dwóch: są zaskoczeni, ale nic nie mówią. To, że nie ufam szczeniakowi, ratuje mi życie. Rzuca się na mnie z maczetą. Ledwo zdążam wyciągnąć rewolwer.

— Rzuć to, świnió! Rzuć maczetę, bo rozwalę ci łeb!

Niechętnie zatrzymuje się i puszcza broń. Boi się.

Kładź się, rozłóż ręce i nogi. Jest posłuszny. Stary stoi bez ruchu, też się boi.

— Ty, stary pedale, zajmij się Juanem.

Biorę maczetę i systematycznie rozwalam cały obóz, tnę plandekę z plastyku, rąbię łóżka, rozgrzebuje palenisko. Przechodząc daję kopniaka w głowę gówniarza, który ciągle leży...

— Nie ruszaj się, skurwysynu!

Juan jęczy i trzyma się za głowę. Biedak nie jest zły, tyle że to szmata.

Cały czas trzymam ich na muszce i powoli oddalam się. Czuję się bardziej spokojny, ulżyło mi.

Droga do Miguela jest łatwa. Nie ma obawy, bym się zgubił, bo trzeba tylko iść wzdłuż tego samego rio przez dwie godziny. Bolą mnie stopy, bo nie zagoiły się jeszcze całkowicie. Muszę się często zatrzymywać i wyjmować małe kamyczki, które dostają się w pęknięcia skóry. Czuję się wolny i dżungla wydaje się sympatyczniejsza. Przez pewien czas towarzyszy mi horda congos, ich wrzask jest ogłuszający. Przestało padać i mango–rosa sprawia, że droga wydaje się niemal przyjemna. Straciłem już poczucie czasu, kiedy spostrzegam chatę Miguela. Ku mojemu zaskoczeniu wybudował ją właśnie tu, nad brzegiem rio, w ogóle bez maskowania. Być może, ze względu na odległość, większą niż do Juana, nie ma tu niebezpieczeństwa najścia strażników.

W miarę, jak się zbliżam, słyszę wybuchy śmiechu, po czym rozbrzmiewa serenada śpiewana falsetem. Jeszcze kilka kroków i odkrywam niespodziewany widok. Siedząc na pniu drzewa przed chałupą obie grube, które widziałem w Karate, okrzykami dopingują Miguela, klęczącego przed nimi. Jedna z nich dostrzega mnie i przerywa mu ruchem ręki. Miguel wraca na ziemię i obserwuje mnie.

— Ej, ktoś ty?

— Jestem Juan Carlos, przychodzę z Karate.

— A, to ty jesteś Francuz? Mieszkałeś u Saltarany, prawda? Słyszałem o tobie. Chodź, wejdz, witamy. To ten Francuz, co szuka złota — dodaje, zwracając się do grubasek.

* * *

Miguel jest mały, krępy i robi wrażenie bardzo sympatycznego. W jego obozie panuje dobry nastrój. Lepianka jest prostej konstrukcji, podobna do innych. Przewidując pracowite noce, zbudował sobie ogromne małżeńskie łóże. Pod sufitem, zawieszane na czterech sznurkach i dobrze widoczne z daleka, znajduje się pudło kartonowe, z którego wystają liście mango–rosa. Cały wieczór spędzamy paląc i żartując. Choć sam palę dużo, jestem pod wrażeniem ilości trawki, jaką zdołamy wypalić tej nocy. To już nie skręty, ale ogromne rulony z papieru gazetowego, które podajemy sobie dookoła. Szybko nawiązujemy z Miguelem nić sympatii, i proponuje mi nawet jedną ze swoich narzeczonych. Grzecznie odmawiam, wymawiając się zmęczeniem, i układamy się do snu. W tym wielkim łóżu znajduje się miejsce i dla mnie, i oceniając jego rozmiary zastanawiam się, czy Miguel nie zamierzał

sprowadzić tu więcej dziewczynek. Teraz śpi pomiędzy obiema przyjaciółkami. Jest bardzo drobny i całkowicie zniknął w tych zwałach sadła, które zdają się go okrywać, żeby nie zmarzł. Dostrzegam jego twarz na wpół zatopioną w galaretowatej piersi, jest rozradowany, szczęśliwy. Zasypiam utrzymując odpowiednią odległość. Nie mam ochoty zostać przygnieciony podczas nocnych miłosnych czułości.

Rano Miguel pokazuje mi swoją pracę. Jest to imponujące. Są tu całe tony kamieni poukładanych jedno na drugich, tworzących mur o długości kilkuset metrów. Widać tu bardzo systematyczną robotę i Miguel jest z niej dumny. Jego metoda jest prosta: wybiera z potoku wszystkie kamienie, po czym, kiedy woda staje się przejrzysta, nurkuje używając starej maski i zbiera bryłki złota.

Zauważyłem, że moje pytania krępują go. To już nie ten wesoły i niefrasobliwy Miguel, którego widziałem wczoraj w nocy. Szybko domyślam się dlaczego.

— Ile gramów wybierasz dziennie?

— To zależy od przejrzystości wody i... Słuchaj, Francuz, będę z tobą bardzo szczerzy. Jesteś tu miłym gościem. Lubisz się bawić i ja też. Ale lubię samotność i mam zwyczaj pracować sam. To wszystko jest moje, pracuję tu już długo i...

Przerywam mu:

— Nie ma sprawy, Miguel, rozumiem cię. Ja też lubię być sam, i nie mam zamiaru tu zostawać. Chcę tylko podleczyć stopy.

Rozluźnia się.

— Dziękuję, że mnie rozumiesz. Znów się uśmiecha.

— Jeśli chodzi o stopy, to możesz tu zostać ile chcesz. Jesteś tu mile widziany. Zostań z nami, pal, jedz, kochaj się, zrobisz mi przyjemność.

Po czym woła młodszą dziewczynę:

— Rosa! Zajmij się nogami Francuza, wylecz go porządnie. Wkrótce Rosa wraca z naręczem liści, które gotuje i przekształca w jednolitą papkę. Nakłada mi tę masę na skórę, a całość owija czystymi szmatami, które zawiązuje mi wokół stóp. Czuję się, jakbym chodził w onucach, ale od razu odczuwam ulgę. Rosa jest zadowolona za swego dzieła. W podziękowanie klepię ją czule w ogromne pośladki.

Szybko zaprzyjaźniam się z obiema dziwkami. Grubszej nadaję imię Poufiasse — gruby kurwiszon — i wyjaśniam jej, że tak we Francji nazywa się pewien piękny kwiat. Dziewczyna ta to tępą krowa, wyrachowana, zawodowa kurwa. Lepsze są moje stosunki z Rosą. Jest prawie tak samo gruba, ale ma ładniutką buzię. Szybko opowiada mi swoje życie. Nie zawsze była dziwką, nieporozumienia z ojczymem zmusiły ją do opuszczenia domu, rodziny i do porzucenia studiów w Panamie. Od tego czasu trwała jej degrengolada i w końcu znalazła się w burdelu w Jimenez, przyjmując sześćdziesięciu klientów dziennie. Potem zjawił się Miguel i na jego propozycję postanowiła przyjść do dżungli:

— Chcę zostać tu rok i odłożyć wystarczająco dużo forsy, żeby wrócić do kraju.

Prawie mi jej żal, szkoda że jest taka gruba...

Miguel, który jest samotnikiem, doznał nagłego przypływu żądy po znalezieniu większej ilości bryłek. Ponieważ nie czuje się swobodnie w mieście, postanowił przenieść przyjemności tam, gdzie mieszka. Pewnego ranka wyruszył więc i po paru dniach powrócił z tymi dwoma potworami. Biorąc pod uwagę ich masę, wyobrażam sobie, jak się musiała czuć biedna szkapa. Od tej pory prowadzą słodkie życie, przesiadując całymi dniami na skałach i patrząc, jak Miguel pracuje. Z cycami na wierzchu, z ogromnymi majtkami podciągniętymi po sam pępek, wtórując sobie do śmiechu głośnym popierdywaniem, spędzając czas na żarciu, paleniu i sraniu. Wodzą go za nos, wyjadają mu wszystkie zapasy, zabierają mu całe złoto. Każą mu nawet śpiewać. Przekonały go, że ma piękny głos. Więc śpiewa co wieczór, i bardzo bawi mnie widok tego małego facecika klękającego na jedno kolano, z zamkniętymi oczami, i śpiewającego romanse tym wielkim masom tłuszczu, które w nagrodę klepią go czule po głowie.

Zbudowałem sobie własne łóżko, bo choć Miguel ciężko pracuje cały dzień, nie przeszkadza mu to kopulować jak królik przez większą część nocy.

Któregoś popołudnia Poufiasse, zainteresowana moim portfelem gringo, proponuje mi swoje usługi.

— Dziękuję, grubasku, ale jesteś naprawdę zbyt brzydka.

— A Francuzki są ładne?

Wy tłumaczenie tej krowie różnicy między szczupłym ciałem Europejki i jej galaretowatą owłosioną masą przekracza moje siły. Przyjmuję natomiast ustne pieszczoty Rosy, która obciąża mi druta z zadziwiającą delikatnością.

* * *

Moje stopy już się zagoiły. Maści Rosy, zmieniane kilkakrotnie w ciągu dnia, okazały się skuteczne. Smaruję właśnie rewolwer, kiedy zbliża się do mnie:

— Odjeżdżasz?

— Tak, jutro rano.

Bez słowa odwraca się do pudła, zawieszzonego pod sufitem, i wyjmuje z niego dwie duże garście mango–rosa, zawija je w plastik i podaje mi.

— Masz, to dla ciebie.

— Nie sądzisz, że to za dużo? Zostaje was tu troje.

Uśmiecha się i kiwa, żebym z nią poszedł. Przechodzimy pięćset metrów, do wykarczowanego miejsca, gdzie czeka na mnie niespodzianka. To plantacja trawki, dziesięć metrów na dwadzieścia, niektóre krzewy osiągnęły cztery metry wysokości. W drodze powrotnej pytam:

— Miguel nie boi się kłopotów ze strażnikami?

— Miguel ma wśród nich wielu przyjaciół i dość złota, żeby mu nie przeszkadzali.

Wieczorem, kiedy kończą się serenady, zadaję mu parę pytań na temat miejscowych oreros, żeby zorientować się, dokąd pójść:

— Na tej quebrada nie ma już nikogo, jestem ostatni. Z drugiej strony, w dolinie, jest ich sporo, ale nie są dobrzy. Właściwie tylko El Gato: on jest dobry i jego miejsce jest dosyć bogate.

— El Gato, ten stary, który pracuje z Chato? Są w tych stronach?

— Tak, znasz ich?

— Widywałem ich parę razy w Karate. To dobra wiadomość. Odwiedzę ich.

O świcie żegnam się z Rosą, która przywiązała się do mnie i prosi, żebym ją zabrał ze sobą:

— Zgoda, ale pod warunkiem, że zanieziesz mnie aż do El Gato.

Wszyscy się śmieją, oprócz niej. Nie chcę jej sprawiać przykrości, ale nie wyobrażam sobie siebie w górach z taką masą tłuszczu.

Klepię ją po policzku.

— Przecież wiesz, że to niemożliwe, a poza tym nie jest ci tutaj źle, masz szansę się stąd wydostać.

— Tak, masz pewnie rację. Życzę ci szczęścia, Francuz.

* * *

Wczoraj wieczorem Miguel rozpoczął obszernie i mętne wyjaśnienia, żeby wskazać mi drogę. Żyje od lat w dżungli i czuje się w niej równie swobodnie jak na ulicach miasta, więc nie potrafi zrozumieć, że dla mnie wszystkie drzewa są podobne. Z jego wskazówek wynika, że powinienem iść w górę w linii prostej, potem wzdłuż grzbietu aż do następnej doliny i zejść do niej. Tam gdzieś mieszka El Gato. Wydaje się to proste, kiedy się słucha, ale kiedy już się jest w dżungli, otoczony taką samą roślinnością z tyłu, z przodu i po bokach, rzeczy mają się trochę inaczej. „*Idź wzdłuż grzbietu*”. Najpierw trzeba wiedzieć, że już się dotarło do tego grzbietu!...

Wchodzę więc na pierwszą górę, schodzę z niej, wspinam się na drugą, idę wzdłuż jakiegoś grzbietu, potem wzdłuż innego, w końcu — gównno, zgubiłem się zupełnie. Nie ma tu nawet rzeki, która wskazywałaby jakiś kierunek. Żadnych punktów orientacyjnych. Wchodzę, schodzę, łażę w kółko. Jest ślisko i parę razy wykładam się elegancko. Mijają godziny. Do cholery, mam tego dość, drę się aż uszy puchną na całą tę kurewską zieleń bez sensu, na tę cholerną ulewę i na gówniane błoto. Nigdy nie lubiłem dżungli, ale teraz jej nienawidzę. Co ja tu robię? Dlaczego nie zostałem dróżnikiem albo urzędnikiem?

Zaczyna zapadać zmierzch, gdy postanawiam się zatrzymać. Na dzisiaj starczy. Wspinam się na drzewo i usadawiam na grubej rozwidlonej gałęzi, kilka metrów nad ziemią. Węże to nocne stworzenia i wolałbym ich unikać. Zapalki mi zamokły i nie mogę zapalić skrzeta. Na szczęście zostało mi kilka hongos. Tak czy inaczej, wiem że nie zasnę, bo pada deszcz i kęsażą komary.

Hongos zrobiły się niesmaczne, całe zawilgły, i zjadam je wszystkie. W nocy halucynacje i wrzeszczę „*Idź wzdłuż grzbietu*”. Zwierzęta zamilkły i moje wybuchy śmiechu brzmią dziwacznie w tej dżungli. O świcie straciłem głos, ciągle mam przywidzenia i jestem cały potłuczony, bo spadłem na mordę. Ponownie ruszam w drogę, w fatalnym stanie, ze smakiem żółci w ustach. Na szczęście nieco później udaje mi się znaleźć mały strumyczek. Piję i zimna woda dobrze mi robi. Idę wzdłuż brzegu dwa kilometry, ale potem strumień znika między skałami.

Od wczoraj zjadłem tylko cztery słodkowodne krewetki, na surowo. Wprawdzie dookoła są palmitos, ale nie mam maczety. Siadam na dłuższą chwilę, suszę zapalki na kamieniu i zapalam sobie skręta. Pierwszy sztach jest cudowny, nie chce mi się już ruszać. Zapada noc i oczyszczam sobie akurat tyle miejsca, ile trzeba, żeby się położyć. Mam gdzieś owady i węże!

Ranek znów zastaje mnie przy życiu, jestem jeszcze bardziej głodny i jeszcze brudniejszy. Idę dalej, ciągle w dół. Słyszę plusk wody. Jestem uratowany. Ta rzeka jest zbyt duża, by gdzieś zniknąć. Wiem, że wystarczy iść z jej biegiem, by natrafić na ludzi albo dojść do morza. Myję się, kładę na skale i zasypiam na słońcu.

Drzemię, kiedy budzi mnie wrażenie czyjejś obecności. Patrzy na mnie przybyły nie wiadomo skąd mały staruszek, w łachmanach, rozczochrany, z dużym workiem przywiązany sznurkami do pleców i z wysłużoną maczetą w dłoni. Wydaje się być równie zaskoczony, jak ja.

— Cześć, jak się masz?

Siada naprzeciwko mnie nie zdejmując worka i zapala papierosa.

— Co tu robisz?

— Szukam chaty El Gato. Wiesz, gdzie to jest?

— Bardzo blisko — mówi, wskazując bliżej nie określony kierunek. — Idziesz godzinę wzdłuż grzbietu, i trafiasz, to proste.

Jeszcze jeden kretyn każe mi iść wzdłuż grzbietu. Rozzłoszczony kładę rękę na rewolwerze i mówię:

— Słuchaj, stary debilu, skoro to tak bardzo blisko, to pójdziesz ze mną.

Wstaje, trochę spięty. Biorę maczetę, którą położył na skale. Biedny staruszek nie okłamał mnie, po niecałej godzinie podchodzenia jesteśmy w obozie El Gato.

* * *

— Cześć, Gato, jak leci?

— Cześć, Francuz, cieszę się że cię widzę. Wejdz i siadaj.

— Myślałem już, że się zesram, gdyby nie ten miły pan, nie byłoby mnie tutaj.

— Napij się kawy w nagrodę — mówi Gato do starego.

Staruszek wypija kawę i odchodzi. Powiedzieć, że rozstajemy się wylewnie, byłoby przesadą.

— Przychodzisz pracować z nami?

— Tak. Czemu nie. Gdzie Chato?

— O Boże! Biedny Chato! Dwa dni temu ugryzła go bocaraca. Nie był to ładny widok. Spuchła mu cała szyja i twarz. Wczoraj go pochowaliśmy. Skurwysyn odkitował w złym momencie, bo mamy dużo pracy. Całe szczęście, że przyszedłeś go zastąpić.

Śmierć w górach to takie proste. Nie ma formalności, żadnych sekcji zwłok. Urząd stanu cywilnego czasami zostanie zawiadomiony, przypadkiem, po paru miesiącach albo po paru latach, kiedy ciała tych nieszczęśników dawno już zmieszały się z błotem półwyspu. Zapomniani przez rodziny nie zostawiają za sobą nikogo, niektórzy nigdy nie mieli dokumentów, nigdy nie mieli metryki, prawnie rzecz biorąc nigdy nie istnieli.

* * *

Obóz Gato jest doskonale zorganizowany. Trzy niezależne łóżka oddzielone liśćmi. Będę spał na pryczy Gato, ale nie chcę jego koców. Pomocnikiem, a raczej służącym El Gato jest czystej krwi Indianin, potężny i prymitywny osiłek, który zajmuje się chatą. Nie jest to kucharz–gastronom, ale gotuje przyzwoicie. Obóz zaopatrzone jest w urozmaicone jedzenie, które Gato każe sobie regularnie donosić. Są zapasy suszonego mięsa, kilka rodzajów warzyw, a nawet przyprawy, jak olej kokosowy i różne rodzaje pieprzu. Indianin często udaje się do dżungli na polowanie i wraca ze świeżymi palmitos, gorzkimi pomarańczami i korzeniami yuca.

Zostanę z nimi przez kilka tygodni. Ze wszystkich poszukiwaczy złota, jakich znam, El Gato jest najlepszy. Dokonuje systematycznego przesiewu żwiru i postępując wzdłuż litej skały dennej powoli przesuwają się z biegiem rzeki. Niezależnie od pogody pracujemy każdego ranka. Uzbrojony w łom Indianin rozwała grudy i odłupuje złotonośne kawałki od dużych skał. Wali bez przerwy, nie zdradzając zmęczenia. Nie odzywa się, nie odpoczywa, i mam czasami wrażenie, że jego mózg pracuje w zwolnionym tempie, jak naoliwiona maszyna.

Gato nie wychodzi z canoa, wyciąga kamyki i ułatwia przepływ wody, który wymywa ziemię i pozwala, by złoto osiadało na dnie. Po regularności jego ruchów widać, że zna się na tej robocie.

Około pierwszej podnosimy skrzynię: nigdy nie schodzimy poniżej dziesięciu gramów dziennie na osobę, co odpowiada około stu pięćdziesięciu dolarom; co wieczór pobieram swoją działkę. Nie jest to dużo, ale można

wytrzymać. Obliczyłem, że po paru tygodniach będę miał mały kapitalik, nie licząc możliwości pojawienia się dużej bryłki. Czemu nie?

* * *

Popołudnia są spokojne. Często wychodzę z Indianinem do lasu na polowanie. Ma karabin kaliber 22, którego suchy odgłos wystrzału nie niesie daleko. To rodzaj starego garłacza, cały pordzewiały, złożony z części różnych broni. Kolba zrobiona jest z kawałka drewna z grubsza rzeźbionego. Pomimo to jestem zdumiony celnością Indianina. Nigdy nie widziałem, żeby chybił. Zabiera ze sobą zawsze tylko trzy naboje, ale pierwszy wystarczy, by zapewnić nam mięso. Dwa pozostałe są tylko na wszelki wypadek. Indianie, którzy mają karabiny, są wszyscy doskonałymi strzelcami, bo nędza zmusza ich, żeby trafiali, poza tym są trudności w zdobywaniu naboji. Gato opowiada mi, że widział jak Indianin polował na jaguara i położył go jednym strzałem kalibru 22 na komorę. Najczęściej spotykamy pavos, rodzaj indyka, a także tukany i małpy. Raz przynosimy pizote, małe zwierzę o smacznym mięsie. Jest nie większe od lisa, ale widziałem raz jak walczyło z trzema psami i zwyciężyło. Indianin tłumaczy mi, że żyje tu dużo „*chanchos del monte*”, mięsożernych pekari, które zjadają wszystko na swej drodze, w tym i poszukiwaczy złota.

Któregoś popołudnia, kiedy wracamy z polowania, słyszę głośny hałas łamanych gałęzi. Indianin pokazuje na migi, żeby szybko wchodzić na drzewo, i zaraz potem pojawia się stado „*chanchos del monte*”. Indianin na swoim drzewie błyskawicznie składa się do strzału i jedno po drugim zabija dwa ostatnie. Później pytam go, po co ta ostrożność.

— Chancho jest niebezpieczny — mówi, ładując sobie jednego na plecy — i nie boi się niczego. Jeśli cię zobaczy, będzie próbował podkopać drzewo, żeby cię zjeść. — Chciałbym dowiedzieć się czegoś więcej, ale ten wysiłek intelektualny zmęczył go. Gato udzieli mi dalszych wyjaśnień:

— Jeśli siedzisz wyżej niż metr nad ziemią, możesz się niczego nie obawiać, bo nie zobaczą cię. Nigdy nie podnoszą głowy. Gdybyś kiedy na nie polował, nigdy nie strzelaj do prowadzących stado, to przewodnicy i jeśli padną, pozostałe nie ruszą się z miejsca. Będziesz skazany na siedzenie na drzewie przez kilka dni. Byłem w takiej sytuacji. To bardzo niebezpieczne zwierzęta, nawet jaguar ich unika.

— Miejmy nadzieję, że nas nie odwiedzą.

Gato fatalistycznie wzrusza ramionami.

— Gdyby tak się stało, nie mamy szans.

Miłe zwierzątka.

* * *

Wieczory są spokojne. El Gato, który wiele przeżył w dżungli, ma pełno prawdziwych i zmyślonych historii do opowiedzenia. Pochodzi z Nikaragui, od wielu lat żyje w Kostaryce i często opowiada mi o swoim kraju, nie wyjaśniając dokładnie powodów wyjazdu. Sądzę, że był zamieszany w jakąś nieczystą sprawę, jak wszyscy faceci na tym półwyspie. Jest inteligentny i bardziej wykształcony niż przeciętny orero. Sprytny, może trochę za bardzo, przywiązał do siebie tego Indianina, który podziwia go jak boga i towarzyszy mu od lat; powierza mu nawet swoją część złota i słucha z otwartymi ustami, kiedy Gato snuje swoje opowieści. Gato jest urodzonym gawędziarzem i może mówić całymi godzinami nie męcząc się.

— Wiesz, nie zawsze byłem poszukiwaczem złota. Przedtem obrabiałem groby, byłem huaguero. Teraz już przestałem, bo duchy Indian tego nie lubią.

— Zajmowałem się tym w Linea Vieja, ale znalazłem tylko jakieś skorupy bez wartości.

— Wybrałeś złe miejsce. W Talamanca, z drugiej strony półwyspu, żyło wielu Indian, więc są i groby, prawie we wszystkich jest złoto, a w górach są prawdziwe skarby.

Opowiada mi historię pewnego Hiszpana, znanego wśród huaqueros.

— Facet szedł do Talamanca, gdzie żyją jeszcze plemiona dzikich Indian, i za każdym razem wracał z niesamowitymi rzeczami: maski, duże posążki. Mówiono, że odkrył legendarne miasto, w którym Indianie schronili się przed Hiszpanami. Kiedyś nie wrócił. Zbyt ostro traktował Indian. Pewnie zabili go tam na górze, nikt nigdy nie odnalazł tego miejsca.

W jego opowieściach jest sporo legend i przesady, ale jest też czasem trochę prawdy. Opowiada mi także o lagunie Chocohuaco, zagubionej w środku półwyspu:

— Jest tam super żyła, ale przywłaszczył ją sobie siłą jeden Tico zwany Barbaroja, prawdziwy skurwysyn, twardy i niebezpieczny.

* * *

Kolejne dni upływają w tym samym rytmie. Produkcja złota idzie regularnie, ale jedna rzecz wydaje mi się dziwna: wydobywamy tylko ziarenka, z rzadka niewielkie bryłki. Dziwi mnie to, bo kiedy się pracuje w górze rzeki, powinno się ich znajdować więcej, i to sporych, takich, jakie mi pokazywał w Karate. Zaczynam mieć wątpliwości co do Gato. Obserwuję go ukradkiem od czasu do czasu, ale ponieważ pracuje boso i w szortach, nie bardzo wiem, jak mógłby kraść. Nurtuje mnie to, ale nie chcę mu nic mówić wprost, żeby go nie spłoszyć.

Któregoś ranka, kiedy ostrożnie kieruję rozmowę na te tory, pojawia się jakiś facet z mułem.

Na jego widok Gato ryczy z uciechy, rzuca wszystko, podbiega do niego i całuje, niesamowicie podniecony. Indianin patrzy na nich, zbity z tropu. Podchodzę, właśnie ubijają interes.

— Ile ci zostało?

— Dwa galony. Ostatnie, ale to dobre guarro.

— Sprzedaj mi oba.

— Nie, mogę ci sprzedać tylko litr, bo mam się spotkać z innymi ludźmi, a oni dobrze płacą.

— Zapłacę, ile zechcesz, ale na miłość boską sprzedaj mi wszystko.

Biegiem pędzi do dżungli, gdzie schował butelkę, w której trzyma całe swoje złoto. Obserwuję tymczasem przybysza. Zdejmuje z muła dwie pichingas, trzy- i półlitrowe butelki z plastyku. Poznałem już po zapachu. To sprzedawca guarro z przemytu, podłego i bardzo mocnego bimbru pędzonego nielegalnie przez chłopów na półwyspie. Wrzucają do garnka wszystkiego po trochu i dodają jeszcze 90-procentowego spirytusu. Na mózg działa to jak trucizna.

Gato wraca jeszcze bardziej podniecony, z butelką pełną złota w ręku:

— Wymień cenę, płacę.

Po dyskusji mistrzowsko poprowadzonej przez sprzedawcę, Gato odważa mu czterdzieści gramów złota w zamian za cenne butelki. To Cena zupełnie wariacka, pięćdziesięciokrotnie przekraczająca rzeczywistą wartość tego gówna. Ale Gato ma to gdzieś, gotów jest sprzedać ojca, matkę, żonę i dzieci, a nawet siebie samego, jeśli będzie trzeba, byle tylko mieć guarro. Sprzedawca jeszcze nie zdążył odjechać, a już Gato siada na skale i zaczyna pić długimi pociągnięciami.

Wychyla tych siedem litrów w dwa dni, w pojedynkę. Ja nie piję, Indianin także nie. Dwa dni, w ciągu których będzie wrzeszczał, rzygał, wywracał się na mordę, robił pod siebie, krótko mówiąc niesamowity chlew. Pierwsza butelka nie wystarczy mu do końca dnia: łązi po obozie, rozwała różne rzeczy. Muszę odpierać jego pijackie przyływy czułości; wreszcie leży, ale wkrótce budzi się, znowu pociąga potężny łyk, potyka się i ponownie przewraca. Sporą część następnych dwóch dni spędza leżąc w kącie, z cenną butelką przyciśniętą do piersi, gadając od rzeczy i śpiewając. Od czasu do czasu w przyływie energii wstaje z poważnymi postanowieniami, ale na szczęście nie jest w stanie długo utrzymać się na nogach.

Nie pracuję przez te dwa dni, przesiewam tylko kilka catiadoras. Czekam, aż mu przejdzie, wiem, że starzy pijacy mają rzadko spotykaną wytrzymałość, ale ten naprawdę mi imponuje.

Indianin nie spuszcza z niego oczu, podnosi go z ziemi, nie pozwala mu oddalać się od obozu, wszystko w sposób zdradzający długoletnie doświadczenie. Drugi galon zostaje opróżniony w połowie trzeciego dnia i wydawszy ostatnie czknięcie Gato osuwa się nieprzytomny. Indianin podnosi go jak szmacianą lalkę i kładzie do łóżka. Jestem ciekaw, w jakim stanie Gato się obudzi.

Następnego dnia, cały blady, w zarzyganym ubraniu, woła Indianina ochrypłym głosem:

— Kręci mi się w głowie, przynieś mi butelkę.

Znów zaczyna chrapać, a Indianin wyjaśnia mi, że po takim przepiciu jedyny sposób, żeby powrócić do normy, to dalej pić, tylko bardzo mało, żeby wybić klin klinem. Idzie do Karate kupić butelkę.

* * *

Postanawiam iść z nim, żeby poznać drogę. Żeby dojść do Karate, trzeba przejść koło chaty Miguela, a poza tym przynajmniej raz będę szedł przez dżunglę bez obawy, że pobłądzę.

Indianin rusza kłusem. Moje stopy są teraz w dobrym stanie, pokryły się zrogowaciałym naskórkiem i mogę bez problemu dotrzymywać mu kroku. Pożyczam od niego maczetę, żeby znakować drzewa na powrót. Trzy godziny później jesteśmy u Miguela: o ile to szybciej w linii prostej! Ale jestem wykończony i zaczekam tu z Miguelem i jego towarzyszkami na powrót Indianina.

Ten nie zatrzymuje się i pędzi dalej z tą samą szybkością. Robię sobie zapas trawki, moja prawie się skończyła. Cieszą się ze spotkania ze mną, a Rosa mówi, że schudłem. Opowieść o Gato pijanym w trupa rozbawia ich, ze smutkiem przyjmują wiadomość o śmierci Chato. Indianin wraca tuż przed zapadnięciem zmroku. Jak to możliwe, że obrócił tak szybko? Nie jest nawet zdyszany. Proponuję zostać tu na noc.

— Muszę iść, mój pan jest chory, potrzebuje mnie.

— Ale za dziesięć minut będzie noc, bałwanie! Dokąd chcesz iść?

Prosi Miguela o świeczkę i sporządza sobie latarnię z puszki od konserw, w której wycina otwór z jednej strony. Bierze ten swój halogen, kiwa mi ręką na pożegnanie i znika w mroku. Skoro on może, to ja też. Idę za nim.

Gato potrzebował całego dnia, żeby dojść do siebie. Siedzi na łóżku ze szklanką w ręku, popija małymi łyчками i nie odzywa się.

Nazajutrz jest już w formie i możemy wrócić do pracy.

Pracuję już z Gato ponad trzy tygodnie i mam prawie sto dziesięć gramów złota. Wszystko idzie dobrze, ale jestem niespokojny, bo chociaż odżywiam się przyzwoicie, siły mnie opuszczają i czuję, że poważnie schudłem. Poza tym źle sypiam z powodu wilgoci, a łóżko z pni drzew, nawet starannie ułożonych, jest niewygodne.

Wielokrotnie słyszałem, jak Gato wraca znad brzegu rzeki z catiadorą i cicho kładzie się z powrotem do łóżka. Któregoś ranka, kiedy jest jeszcze szaro, widzę, jak wychodzi z obozu niosąc catiadorę. Pozwalam mu się trochę oddalić, po czym wstaję i idę za nim. Słońce jeszcze nie wstało. Staram się stąpać cicho, idę po omacku. Już się wydaje, że go zgubiłem, kiedy nagle go dostrzegam. Przykucnięty o dziesięć metrów ode mnie, sra do catiadory. Rozumiem od razu. W czasie pracy ten skurwieli ukradkiem połyka bryłki złota, a potem odzyskuje je z drugiej strony. Zalewa mnie wściekłość. Jedno doprowadza mnie do pasji, to kiedy ktoś stara się mnie nabrać. I do tego ten sukinsyn używa catiadory, w której gotujemy ryż! Mam ochotę go rozwalić. Powoli wyciągam rewolwer. Ale jego instynkt oszusta każe mu Podnieść głowę. Zauważa mnie z rewolwerem w dłoni i rzuca się w bok. Kula trafia w ziemię dokładnie między jego nogami i Gato z opuszczonymi spodniami rzuca się do ucieczki. To ratuje mu życie, bo nigdy nie strzelam ludziom w plecy. Podchodzę, nie tyle, żeby zobaczyć, co jest w misce — można się domyślić — ale dlatego, że w panice Gato zapomniał o swoim cennym słoiku.

Podnoszę go. Jest tam co najmniej dwieście pięćdziesiąt gramów złota, wszystko w bryłkach. Podczas gdy dzieliliśmy się ziarenkami, ten sukinsyn zgarniał grubsze kawałki. Żałuję, że chybiłem. Kiedy wracam do obozu, zastaję stojącego przerażonego Indianina, który patrzy, jak podchodzę, trzymając słoik i rewolwer. Słyszał strzał. Jest przekonany, że zabiłem Gato i myśli, że teraz kolej na niego.

— Nie bój się. Nie zabiłem Gato. Ale powiedz mu, że miał szczęście. Powiedz mu też, że nie chcę go więcej widzieć i żeby postarał się nigdy nie znaleźć na mojej drodze, bo następnym razem zatłukę go.

— Si, senior.

— I nie zostawaj z nim, bo nigdy od niego nic nie dostaniesz.

— Si, senior.

Biedak nie jest w stanie powiedzieć czegokolwiek innego, najwyraźniej to wszystko przekracza zdolności jego pojmowania i moje słowa są zbyt skomplikowane dla jego mózgu idioty. Patrzy na mnie, kompletnie zbity z tropu, pewien, że zabiłem jego boga.

Nie chcę dłużej tu zostawać i przed odejściem biorę jego strzelbę, łamię kolbę o słup chaty i rzucam mu bryłkę około dziesięciu gramów. Pada u jego stóp, ale bałwan jej nie podnosi. Będzie musiał zapewne natężyć się przez kilka dni, żeby zrozumieć, o ile wcześniej nie pęknie mu głowa. Zostawiam go pogrążonego w bezmyślności i odchodzę do Karate.

* * *

Wściekłość mi minęła. Śmieję się sam do siebie na wspomnienie Gato uciekającego z obsranym tyłkiem. Nie zrobiłem w końcu najgorszego interesu. Dzięki jego nieuczciwości mam teraz trzysta pięćdziesiąt gramów złota. Przesypuję swój udział do słoika. Jestem w drodze od mniej więcej godziny, kiedy robi mi się ciemno przed oczami. W kilka minut jestem zlany potem i nogi odmawiają mi posłuszeństwa. Muszę usiąść na ziemi. Kręci mi się w głowie i źle widzę. Tracę przytomność. Przez cały dzień i całą noc będę tak leżał na ziemi, wstrząsany dreszczami. Nie jestem w stanie się podnieść, najmniejszy ruch to udręka. Jest mi gorąco, pocę się i szczękam zębami. Nad ranem kryzys nieco ustępuje i powoli ruszam w dalszą drogę. Każdy krok wymaga wysiłku, muszę się trzymać drzew, bo mam zawroty głowy. W takim stanie docieram do obozu Miguela, idąc za znakami, które ponacinałem na drzewach.

— Co ci się stało, Francuz? — pyta Miguel.

Nie jestem w stanie mówić i chcę tylko jednego, położyć się. Padam na łóżko, ukrywając uprzednio złoto pod materacem z liści: mam zaufanie do Miguela i Rosy, ale Poufiasse nie dowierzam.

Rosa, zadowolona, że mnie widzi, ale zaniepokojona moim stanem, zdejmuje mi przemoczoną koszulę i okrywa mnie kilkoma kocami, po czym masuje mi ręce i nogi. Przez dwa dni najgłębszego kryzysu mającę nieprzytomny. Rosa, która dużo się mną zajmuje, pyta mnie któregoś ranka:

— Kto to jest Diane? Twoja ukochana?

Potwierdzam.

— Kiedy majaczysz, ciągle wymawiasz jej imię.

To prawda, że dużo myślę o Diane i chciałbym ją znów zobaczyć.

Miguel nie niepokoi się. Dla niego wszystkie choroby to mai de ventre, z niestrawności, i wystarczy poczekać, aż przejdzie. Tymczasem zaczynam mieć trudności w poruszaniu rękami i wszystko robię w zwolnionym tempie. Nie jestem w stanie połykać, a kiedy już połknę, natychmiast rzygam, wszystkim, nawet płynami, a pocę się przy tym jak potępieniec; mój mocz jest mętny, śmierdzący. Rozpoznaję symptomy malarii, choroby, która wlecze się za mną od ponad dziesięciu lat. Ale ten nawrót wydaje mi się poważniejszy.

Nad ranem trzeciego dnia nie ma żadnej poprawy. Rozumiem, że jeśli tu zostanę, to umrę. Muszę spróbować wrócić do Karate. Wysilek, jaki robię wstając z łóżka, powoduje zawrót głowy i rzyganie żółcią. Wyobrażam sobie, jakie męczarnie czekają mnie w drodze. Poczciwa Rosa proponuje, że będzie mi towarzyszyć, ale biorąc pod uwagę trudności, jakie ma z poruszaniem się, nie byłaby mi na nic przydatna.

* * *

To prawdziwe piekło. Będzie trwało kilka dni. Każdy krok jest ciężki, idę powoli, ledwo powłóczę nogami. Najmniejsze wzniesienia pokonuję na czworakach, ciągle się zatrzymując. Przy pierwszym zejściu, niezdolny do utrzymania własnego ciężaru, staczam się aż do rzeki. Na wpół przytomny długo leżę w błocie, z nogami w wodzie, nie mogąc się podnieść. Boli mnie całe ciało, tracę przytomność. Pierwsze promienie słońca rozgrzewają mnie i dają mi siły, potrzebne do dalszej drogi. Od dłuższego już czasu z mojej podartej koszuli nie zostały nawet strzępy i przywiązałem resztki szortów przy pomocy pasków do kabury. Pomimo wszystkich upadków udało mi się

zachować mój cenny słoik. Kiedy koło południa wśród rzędnych liści dostrzegam wreszcie plażę, mam ochotę krzyknąć z radości. Ale to jeszcze nie koniec mojej mordegi.

Na plaży posuwam się krótkimi odcinkami. Wyznaczam sobie jakiś punkt: palmę kokosową, dużą skałę, krzak, w odległości jakichś stu metrów, po czym staram się do niego dotrzeć. Pokonuję te krótkie odległości, nie spuszczać wzroku z wybranego celu. Kładę się następnie, żeby nabrać sił, i znów ruszam: palma, skała, palma. Każdy etap to zwycięstwo, które dodaje sił do następnego, ale postoje są coraz dłuższe. Zmuszam się do dalszego ruchu, bo jeśli zatrzymam się na dłużej, pozostanę już na miejscu. Często odczuwam silną pokusę, żeby się poddać, ale pragnienie wydostania się stąd i chęć zobaczenia Diane pchają mnie naprzód. Docieram wreszcie do Karate.

* * *

Saltarana nie poznaje mnie. Jestem brudny, nie goliłem się od pięciu tygodni, wychudłem, oczy błyszczą mi od gorączki. Idzie sprowadzić Mr Billa.

Kanadyjczyk zabiera mnie do siebie. Zaniepokojony moim stanem proponuje odwieźć mnie nazajutrz do San José samolotem Kompanii.

Rano odbieram swoje czyste rzeczy, pozostawione u Saltarany. Moje dzinsy zwisają jak worek i z dużą trudnością wkładam swoje wysokie buty. Mozolnie golę się i odkrywam w lustrze swoją twarz: rozumiem teraz zaskoczenie Saltarany, naprawdę wyglądam jak trup. Oddaję Saltaranie rewolwer.

Wsiadam do samolotu pod ironicznym spojrzeniem Fuckinga, ten sukinsyn ma uciechę widząc mnie w takim stanie.

* * *

W San José furgonetka Kompanii odbiera nas z lotniska i podwozi na centralny plac, gdzie Kanadyjczycy mają swoje biura, pięćdziesiąt metrów od hotelu America. Te ostatnie metry wydają mi się bardzo długie i zajmują dużo czasu. Zaskoczony, widząc mnie w takim stanie właściciel pomaga mi wejść po schodach prowadzących do recepcji. Czeka tu na mnie list od Diane, z którego dowiaduję się, jak się z nią skontaktować.

Proszę recepcjonistkę o wykręcenie numeru.

— Halo?

— Cześć, ślicznotko.

— Gdzie jesteś?

— W San José, malutka. Słuchaj, nie zadawaj mi pytań, jestem chory. Weź taksówkę i przyjedź po mnie do hotelu America. Pośpiesz się, mała.

Odkładani słuchawkę. Tych kilka słów wyczerpało mnie, ale jestem szczęśliwy. Zaraz zobaczę Diane.

W kilka minut później przyjeżdża. Jej uśmiech znika, kiedy mnie widzi.

— Kochanie, co się z tobą stało?

— Mam malarię. To nic poważnego, ale muszę odpocząć.

Jej piękne zielone oczy szukają mężczyzny, z którym rozstała się przed pięcioma tygodniami. Chce rzucić mi się w objęcia, ale odpycham ją łagodnie, bo wiem, że jestem brudny i śmierdzący.

W taksówce, która wiezie nas do Jean–Paula, przytulona do mnie Diane przygląda mi się i widzę, że z trudem powstrzymuje łzy. Kiedy dojeżdżamy, pomaga mi wyjść z samochodu. Sadza mnie w fotelu, całuje w czoło i idzie przygotować kąpiel. Później wraca i rozbiera mnie delikatnie, ostrożnie zdejmując mi buty, bo moje stopy są opuchnięte i bolą.

Pół godziny później jestem czysty i zaczynam wyglądać jak człowiek. Owinięty w szlafrok wypijam herbatę. Diane siedzi naprzeciwko i przygląda mi się. Oboje czujemy się jakby skrępowani, bo żadne nie ośmiela się zacząć mówić o mojej chorobie. Diane zauważyła oczywiście podczas kąpieli, jak bardzo schudłem, ale czy może domyślać się, jak niedobrze się czuję? Daję jej słoik ze złotem, mam właśnie opowiedzieć jej o Gato, kiedy czuję nadchodzący nowy kryzys i pod wpływem gwałtownych dreszczy upuszczam filiżankę.

— Chodź, połóżysz się — mówi Diane.

— Nie bój się, to tylko atak malarii. Nie ma sprawy.

Potem przyjeżdża Jean–Paul. On również jest wstrząśnięty. Przykryty stosem kocy muszę wyglądać jeszcze chudziej. Odciąga Diane na bok, nie ośmiela się zadawać pytań przy mnie, a poza tym, jak wielu homoseksualistów, panicznie boi się chorób.

Sprowadza lekarza, swojego przyjaciela, który mieszka po drugiej stronie ulicy. Jest to poczciwy facet, mierzy mi gorączkę i szybko osłuchuje. Rozpoznanie: gorączka zakaźna. Chce natychmiast przewieźć mnie do szpitala. Poznałem już szpitale w krajach Trzeciego Świata, w Afryce, w Azji

i Ameryce Południowej i nie mam najmniejszej ochoty poznać ich ponownie. Wiem, co mi jest, doskonale mogę leczyć się sam, tamci byliby zdolni mnie wykończyć.

— To nierozsądne — mówi — pan potrzebuje stałej opieki. Trzeba przeprowadzić analizy, żeby zidentyfikować wirusa. To może być zaraźliwe, nie ma pan prawa odmawiać hospitalizacji.

Przekonują mnie nie rozsądne słowa dobrego doktora, ale oczy Diane, która spojrzeniem błaga, abym się zgodził.

W szpitalu Calderon Guardia doktor załatwia formalności, podczas gdy ja żegnam się z Diane. Leżę na noszach, trzymając jej dłonie w moich, i staram się ją pocieszyć. Jej piękna twarz zalana jest łzami. Zdaję sobie sprawę, jak bardzo ją kocham. Zaledwie ją odnalazłem, znów muszę opuścić. Żal ściska mi serce.

— Nie bój się, wyjdę z tego.

Doktor rozmawia z kolegą po fachu i widzę w spojrzeniu pielęgniarek, które przychodzą po mnie, że już postawiły na mnie krzyżyk. Dla nich jestem żywym trupem. Zabierają mnie na łóżku na kółkach. Diane zostaje na korytarzu i patrzy, jak odjeżdżam. Wstrząsa nią niepohamowany płacz. Kiwam jej ostatni raz ręką i tracę ją z oczu.

Żeby mnie trochę rozluźnić, pielęgniarz robi mi zastrzyk przeciwkurczowy, jedyny zabieg, jakiego doświadczę przez dziesięć dni spędzonych w tym szpitalu. Podczas gdy młody lekarz sporządza moją kartę, jestem ważony: sześćdziesiąt dwa kilo. W pięć tygodni schudłem o dwadzieścia osiem kilo!

Dają mi pokój jednoosobowy, akurat naprzeciwko dużej sali, gdzie jest ciemno i panuje cisza. Wieczorem mała, okrągła pielęgniarka przynosi mi kolację: połykam kilka kęsów i zaraz wszystko zwracam.

Daje mi środki uspokajające i nasenne. Proszę ją o więcej, bo wiem, że mój organizm, przyzwyczajony do nadmiaru narkotyków, stał się odporny na takie środki. Nafaszerowany proszkami zasypiam, słuchając jej szczebiotania.

Ona też budzi mnie nazajutrz w porze obiadowej. Jest miła, ale gadatliwa. Szczęśliwa, że może porozmawiać z cudzoziemcem, zasypuje mnie pytaniami na temat Osa i Paryża. Przestaję jej słuchać, bo od paru chwil słyszę dziwne dźwięki dochodzące z sali naprzeciwko. Jest to rodzaj wzmożonego rżenia. Przerrywam potok słów mojej pielęgniarki i pytam ją:

— Kto robi ten hałas?

Z szerokim uśmiechem otwiera drzwi. Jest tam dwanaście łóżek, a na nich dwunastu konających, którzy czekają, skazani, pod krzyżem zawieszonym na ścianie. Z jednego z łóżek rozlega się rżenie, które mnie zaintrygowało, coś w rodzaju urywanego oddechu. Jest to przedsiomek śmierci, wstawia się tam chorych, którzy nie mają już żadnych szans wyzdrowienia.

Rozumiem teraz, dlaczego położono mnie na wspólnej sali, w drugim skrzydle szpitala. Te sukinsyny umieściły mnie tutaj, żeby zaoszczędzić sobie zbędnej fatygi. Całe szczęście, że nie razem z tymi biedakami. Jeszcze nie wiem, czy przeżyję. Ale jedno jest pewne: nie zamierzam zdychać tutaj. Najlepszym rozwiązaniem będzie kula w łeb. Następnej nocy prawie nie śpię. Tak jak przewidywałem, środki nasenne nie są wystarczająco silne. Rozmyślałem o Diane, o naszym zmarłym synku, o tym cholernym pechu, który pastwi się nad nami już ponad dwa lata. Diane, która urodziła się do życia w szczęściu, dostaje cios za ciosem.

Zagłębiając się w rozmyślaniach słyszę nagle jakiś hałas na korytarzu. Zauważam też, że ustało rżenie starego. Zaciekawiony wstaję.

Stary odwalił kitę i stoją nad nim dwie pielęgniarki, które, nie przestając rozmawiać, ściągają mu spodnie od piżamy. Następnie, ciągle gadając, rutynowym ruchem, naciskają mu mocno brzuch, żeby się wypróżnił, po czym, nie zdradzając najmniejszych emocji, pomimo smrodu, zawijają go w prześcieradło i rzucają na wózek. I hop! — jeszcze jeden prezencik dla robaków. W ich ruchach nie ma nic ludzkiego, żadnego uczucia, są zapewne zblazowane setkami trupów, które tak zapakowały.

Ale najbardziej wstrząsają mną krzyże nad łózkami. Biedacy! Od chwili, kiedy mają ten kurewski krzyż nad głową, wiadomo, że już po nich. Cud im nie przysługuje. „*Dobra, stary, masz tu swój krzyż, a teraz szybko zdychaj*”. A potem hipokryta w sutannie uroni krokodyle łzy nad ich wzorowym życiem. Wracam do pokoju, bardziej zdecydowany niż kiedykolwiek, by wyjść stąd żywy.

* * *

Następnego dnia, po śniadaniu, którego wreszcie nie zwymiotowałem, otrzymuję przywilej odwiedzin przez księdza. Ten sęp nie traci czasu.

— Mój synu, czy mówisz po hiszpańsku?

— Nie — odpowiadam.

— Czy jesteś gotów stanąć przed obliczem twego Stwórcy?

Ten też już mnie pogrzebał. Przerywam mu:

— Słuchaj, skurwysynu, przerznąłem sześć zakonnic i jedną matkę przełożoną, kopulowałem, szczałem i srałem po kościołach, ale nigdy nie zdarzyło mi się wypierdolić księdza. Twoja mordą mi się nie podoba, więc wystarczy, że mi obciągniesz druta, może to otworzy mi bramy raj.

Padlinożerca wstaje, urażony.

— Mój synu, ty majaczysz!

— Won stąd, ścierwo, śmierdzisz.

Łapię za but, żeby mu przyłożyć po ryju. Ale mój ruch jest zbyt słaby i zbyt powolny. Trafiam go w ramię. Ogarnęła mnie nienawiść i wstaję, żeby z nim skończyć. Padlinożerca cofa się do drzwi, robi w moim kierunku znak krzyża, ale w ostatniej chwili uchyla się. Znika, kiedy szukam drugiego buta. Jestem zadowolony, że przepędziłem to ścierwo. Szatan został pokonany.

Mam gdzieś religię, nie przeszkadza mi ona. Wiem, że słabi potrzebują czegoś, czego mogliby się ucześcić, jakiejś marchewki, żeby zapomnieć o kiju. Cierp, bracie mój, zamknij pysk i pracuj, miejsce w raju masz zapewnione... To nie dla mnie.

Ale nienawidzę tych szakali w sutannach. Z wyjątkiem paru misjonarzy, których spotkałem podczas moich przygód, są to hipokryci, sybaryci i wyzyskiwacze. Zwłaszcza w krajach słabo rozwiniętych, gdzie łatwowierność mas jest największa. W Sahelu, dotkniętym straszliwą suszą, podczas gdy dzieci zdychały z głodu i padały jak muchy, widziałem jak handlują żywnością, jak wymuszają względy zgłodniałych dzieci za miskę ryżu. Bezpieczni w swoich misjach ci nowocześni księża żarli, pili i kopulowali jak świnię, podczas gdy dookoła umierali ludzie. A jednocześnie odprawiają msze i w kazaniach propagują abnegację i skruchę.

Pewnego razu dorwałem jednego i przyłożyłem mu. Miałem potem przez to sporo kłopotów z lokalnymi władzami, które handlowały z księżmi.

Ten incydent przysporzył mi popularności w tej części szpitala. Chorzy i lekarze przychodzą oglądać „*el Frances*”, poszukiwacza złota, który zwariował. Lekarz przyniósł mi pudełko szachów. Pracuje na innym oddziale, ale wymyka się kiedy tylko może, by dowiedzieć się o moje zdrowie i zagrać ze mną partyjkę. Jest wierzący i praktykujący, nie rozumie mojego postępk

wobec padlinożercy, i prowadzimy długie teologiczne rozmowy. To poczciwy facet i wiele mu zawdzięczam.

Cały czas nie jestem leczony, ale codziennie te wampiry pobierają mi krew, żeby robić analizy. Nie zwracam już pożywienia i zaczynam jeść regularnie, wiem, że się z tego wyliżę.

* * *

Co wieczór gram w szachy z małym staruszkim, byłym profesorem. Leży na oddziale kardiologii od dwóch miesięcy, i wie, że jest już skazany. Jest miły, ale to klasyczny przypadek: wcześniej się ożenił, ma dwoje dzieci i całe życie pracował. Choć jest żarliwym katolikiem, cholernie się boi śmierci, a jego żona zawsze go zdradzała i już o nim zapomniała. Zdycha teraz samotnie w szpitalu, dzieci nie odwiedzają go nigdy. Któregoś dnia zaczyna płakać i roztkliwiać się nad sobą. Przerywam mu natychmiast:

— Słuchaj, profesorku, miałeś takie życie, jakie sobie wybrałeś, nie licz, że będę cię żałował.

Nie lubię, jak ktoś rozczula się nad sobą.

Dziś wieczór nie przyszedł na szachy. Odnajduję go później: przenieśli go na salę umarłaków. Leży nieprzytomny, wiem, że już z nim koniec. Śmierć dała mu mata przede mną.

Rano widzę, jak padlinożerca, w jeszcze większym transie niż zwykle, udziela mu ostatniego namaszczenia. Wygląda jak kruk pilnujący zdobyczy. Tego już za wiele, podnoszę wiadro z wodą i rzucam w niego, wykrzykując przekleństwa. Niestety, nie wróciłem jeszcze do dawnej zręczności i całą przesyłkę dostaje mój profesor. Ksiądz ucieka co sił w nogach. Spojrzenia pielęgniarzy mówią mi, że chyba posunąłem się trochę za daleko. Żeby tylko nie uznali mnie za wariata! Z niepokojem widzę, jak nadchodzi dyrektor i mówi:

— Nie wiem, jakie są zwyczaje we francuskich szpitalach, ale w Kostaryce umierającym należy się szacunek. Wypisujemy pana dziś po południu.

Przełożona pielęgniarek, wydając mi ubranie, każe mi obiecać, że zgłoszę się na badania. Obiecuję, ale wiem, że nigdy tu nie wrócę. Pozostał mi tylko uporczywy ból głowy. Dzwonię do Diane, żeby przyjechała mnie zabrać.

Pół godziny później opuszczam szpital. Znów mi się udało. Na jak długo?

CZEŚĆ DRUGA

Małe przyjemności docenia się naprawdę dopiero wtedy, kiedy się było ich pozbawionym. Te cztery tygodnie w San José poświęciłem przede wszystkim na poszukiwanie miłych wrażeń, szczęśliwych chwil, radości, jakie daje miasto.

Kiedy opuściłem szpital zamieszkaliśmy w luksusowym Grand Hotel de Costa Rica, w samym centrum San José. Po tylu ciężkich przeżyciach czułem przemożną potrzebę czystości i normalnego życia.

Bardzo szybko sprzedaliśmy złoto, nie dotykając go, nawet go nie ważąc. Wziął to na siebie jubiler przy Drugiej Alei, któremu je sprzedaliśmy. Nie rozumiał, dlaczego tak wzdragaliśmy się przed wzięciem tego złota do ręki. Nie mógł wiedzieć, jakie ponure były jego losy. W każdym razie miałem w kieszeni trzy tysiące osiemset dolarów, kiedy wyszedłem wreszcie na gorące stołeczne słońce.

San José, choć daleko mu do czystości i ożywienia stolic zachodnich, oferuje więcej przyjemności niż jakiekolwiek inne miasto w Ameryce Środkowej. Zbudowane jest na modłę amerykańską, z ponumerowanymi ulicami, ale zachowuje mimo to swój latynoski charakter. W dzień jest hałaśliwe i pełne ruchu, ale w nocy puste. Nie należy się w nim spodziewać mocnych wrażeń. Nie jest to stolica występku i gwałtu. W porównaniu do swych sąsiadów, Managui czy Panama–City, dobrze zasługuje na swoje miano „*Szwajcarii Ameryki Łacińskiej*”. W San José znaleźć można wszystko, ale w małych dawkach.

Kurwy idą spać o trzeciej rano, bary otwarte dwadzieścia cztery godziny na dobę policzyć można na palcach jednej ręki, a w Zona Roja, niebezpiecznej dzielnicy miasta, najgorsza rzecz, jaka może spotkać człowieka, to potrącenie przez pijaka wychodzącego z jakiejś spelunki. Jest to chłopska stolica. Emanują z niej bezpieczeństwo, spokój, co stanowi miłe zaskoczenie dla przyjeżdżającego tu z krajów sąsiednich. Bardzo mi to odpowiada, dostałem swój przydział wrażeń, potrzebuję spokoju.

Diane i ja jesteśmy szczęśliwi, mogąc znów być razem w łóżku, i żadna przyjemność nie może równać się z tą, jaką dają nam te od dawna oczekiwane zbliżenia. Spędzamy całe dni w pokoju, odizolowani od świata.

Powinienem przestać palić, ale nie udaje mi się to.

* * *

Diane czuje się dobrze. Rozkoszuje się tym okresem spokoju, kiedy jestem z nią, daleko od niebezpieczeństw Osa. Choć nie mówi mi tego wprost, wiem, że wolałaby tam nie wracać i że pragnie miejskiego życia. Jean–Paul mówił nam o nocnym lokalu, który chce sprzedać jego sąsiadka, Amerykanka mieszkająca tu od lat. Cena jest przystępna, lokal jest świetnie usytuowany, akurat naprzeciwko hotelu. Gdyby go dobrze urządzić, byłby to dobry interes: Diane jest zainteresowana, ja nie.

Miałem już kilka nocnych lokali. Pierwszy, kiedy miałem osiemnaście lat, w Argentynie, potem dwa inne w Toronto, w wieku dwudziestu jeden lat. Miasta już mi nie odpowiadają, a możliwości przygód w lokalach są ograniczone. Ale przede wszystkim wiem, że moja droga wiedzie przez Osa. Nie po to tyle wycierpiałem, nie po to spędziłem całe tygodnie na poznawaniu złota i musiałem znosić głupotę oreros, żeby teraz to wszystko rzucić. Na razie kończę okres rekonwalescencji. Ale bezczynność już mi ciąży i chciałbym znaleźć jakieś zajęcie.

Zaczynam więc kręcić się po San José w poszukiwaniu przygody. Szybko znajduję cztery miejsca, które mogą być ciekawe: Manolo, rodzaj kawiarni w centrum, do której przychodzą prawie wszyscy turyści i gdzie można zawrzeć jakąś znajomość. Soda Palace, najstarszy bar w mieście, zawsze pełny. Spotyka się tu większość Europejczyków, mieszkających w Kostaryce. Są na ogół w starszym wieku, znają wszystkie możliwości tego kraju, prowadząc tu mniej lub bardziej legalne rodzaje handlu i przemytu. Wegetują tu, korzystając ze słońca i małych dziewczynek.

Bar hotelu Costa Rica, jedyny w całym San José posiadający taras, to również dobre miejsce. Zatrzymują się tu na ogół inwestorzy gringos, i między jednym daniem a drugim omawia się wiele ważnych kontraktów: od real estate business po zakup ładunków broni lub narkotyków. I wreszcie Esmeralda, miejsce spotkań handlarzy sztuką prekolumbijską, które poznałem próbując sprzedawać moje skorupy podczas pierwszego pobytu.

* * *

Okazję, której szukam, załatwia mi Diane, odwiedzając ambasadę francuską, by odebrać listy. Znają ją tam dobrze ze względu na nasze

wykopaliska i dawny handel: jeden z pracowników prosi ją o skontaktowanie się z jego przyjacielem, również dyplomatą, ale w ambasadzie... (przemilczę tu nazwiska tych skorumpowanych urzędników). Następnego dnia udaję się tam i zostaję przyjęty przez sympatyczną parę.

— Czego chcieli? — pyta mnie Diane po powrocie.

— Myślę, że mamy coś ciekawego. Ci mali spryciarze chcieliby kupić pół kilo prekolumbijskiego złota. Szukają niewielkich przedmiotów, które można nosić jako biżuterię. Podobno są kolekcjonerami, ale ja w to nie wierzę. Chcą dać nie więcej niż czterdzieści dolarów za gram.

I czego chcą za taką cenę?

— Po prostu imitacji! Są na tyle chytry, żeby nie mówić tego wprost, ale wiedzą, że za taką cenę nie dostaną nic autentycznego.

Moja głowa, żeby znaleźć dobre imitacje.

— Myślisz, że tu takie są?

— Tam, gdzie autentyki są w cenie, muszą też być i imitacje. Widziałem fałszerzy sztuki prekolumbijskiej w Peru, w Ekwadorze i w Kolumbii, więc tu na pewno też są. Poszukam, będę przynajmniej miał coś do roboty.

* * *

Esmeralda jest jednym z kilku barów czynnych całą dobę. Wieczorem spotykają się tu mariachis, pieśniarze sprowadzeni z Meksyku, których można poznać po wielkich sombrerach, obcisłych spodniach z trzema rzędami miedzianych guzików po bokach i po tępcie wypisanej na twarzy. W ciągu dnia zbiera się tu sztab handlarzy sztuką prekolumbijską.

Można by ich sobie wyobrazić z mordami przestępców, ale w rzeczywistości wyglądają zupełnie inaczej. Są to wszystko mali spokojni staruszkowie o pocziwym wyglądzie ojców rodzin. Po kieszeniach mają poupychane przedmioty ze złota i nefrytu; czekają na klienta. Tylko jeden facet postarał się o własny styl, zawsze w ciemnych okularach i z wypomadowanymi włosami. Wygląda jak sutener z Marsylii lat pięćdziesiątych.

Wchodzę do tej speluny i spotykam starego znajomego, Carlosa Fince. To niski grubas około pięćdziesiątki, jowialny. Zawsze próbuje wepchnąć mi jakieś bezwartościowe gówienka po niesamowitych cenach.

— Słuchaj, Carlos, mam kupca na małe złote huacas...

Nie zdążyłem jeszcze skończyć zdania, a ten już wypakował zawartość kieszeni na stół: kawałki ceramiki, nefryt i bezwartościowe kawałki złota. Już widzę, jak za chwilę dołoży swój zegarek i buty i zaproponuje cenę za wszystko.

— Nie, Carlos, to mnie nie interesuje. Chcę kupić pół kilo złota w posążkach. Możliwie jak najmniejszych, nie droższych niż dwadzieścia pięć dolarów za gram. Dostaniesz dobrą prowizję, jeśli mi to załatwisz. Wystarczą dobre imitacje.

Na dźwięk słowa „*imitacje*” udaje zgorszonego. Waha się i rozumiem go. Jest tylko pośrednikiem i jeśli ujawni mi swoje źródła, ryzykuje, że wypadnie z obiegu. W końcu jednak obietnica dobrego procentu skłania go, żeby mi pomóc.

Muszę mu teraz zostawić trochę czasu. Jeśli, jak podejrzewam, działa tu ekipa fałszerzy, moje zamówienie powinno postawić ich na nogi.

* * *

Często rozmawiam z małymi czyścicielami butów, mają świetne informacje. Pracują jako naganiacze prostytutek i sprzedawcy trawki, i są doskonałymi przewodnikami. Któregoś wieczoru jeden z nich prowadzi mnie do zadziwiającego miejsca, zwanego Bunkrem. Jest to dom położony w czerwonej dzielnicy. Wejścia broni wielka krata, i żeby zostać wpuszczonym, trzeba się przedstawić. Kilka schodków, korytarz i oto prawdziwa melina. W tej piwnicy, zamienionej na bar, spotykają się młodzi przedstawiciele półświatka z całego San José: chuligani, czyściciele, sprzedawcy, złodzieje i kurwy, nie brakuje nikogo. Trawka i alkohol są tu w wolnej sprzedaży, i cała ta zdrowa młodzież rozkłada się tutaj, naćpana i schlana do granic możliwości.

Carlos dostał w końcu jakieś informacje. Kiedy zjawiamy się w Esmeraldzie, jeszcze go nie ma. Zgłaszają się natomiast inni handlarze. Rozeszło się już, że działam w tym interesie, i przychodzą spróbować szczęścia. Oglądamy rozpakowywanie mnóstwa różnych podlutkich przedmiotów o wygórowanych cenach. Zbyt wielu pośredników pobiera po drodze swoją działkę.

Zabawiam się chwilę z jednym z handlarzy.

— Popatrz, Francuz, ładne to jest, nie?

— Ładne, bardzo ładne.

- Oddam ci to za pięć tysięcy colonów. Cena specjalnie dla ciebie.
- Fakt, to zupełnie niedrogo.
- To jak, kupujesz? — pyta z nadzieją w głosie.
- Nie.

Taki dialog głuchych zawsze mnie rozwesela. Kiedy ci kretyni stają się zbyt nachalni z tymi swoimi świecidełkami, Diane oświadcza im, że wszystko to jest brzydkie, co ostatecznie kończy dyskusję.

Na szczęście zjawia się Carlos Finca. Udało mu się skontaktować z paroma osobami. Odwiedzamy kolejno Colmana, szefa Casa del Cacique przy Drugiej Alei, grubego Sergio, właściciela punktu skupu złota, dyrektora Galerii Sztuki Prekolumbijskiej i Julio Nargasa, który ma kantor wymiany w Alei Centralnej.

Nie jestem w stanie ubić żadnego interesu, gdyż wszyscy oni zasłaniają się zaświadczeniami o autentyczności przedmiotów, co oznacza wysokie ceny. Prawdopodobnie nieczęsto zdarza im się cudzoziemiec poszukujący imitacji. Tym zawodowym oszustom nigdy nie przyszło do głowy, żeby imitacje sprzedawać jako imitacje, uczciwy handel uwłaczałby ich godności. Trudno. Boli mnie głowa i szybko ucinam jałowe dyskusje. Jeśli zgłoszą się ci cwaniacy z ambasady, powiem im, żeby sami sobie załatwiali sprawunki! Tak czy inaczej, jestem rekonwalescentem i nie mam ochoty się przemęczać.

Jestem nadal w tym stanie ducha, kiedy stary Carlos znów zjawia się w hotelu:

— Francuz, Chocho chce się z tobą widzieć. Twoja propozycja go interesuje.

Nie wierzę w to zbyt, ale nie mam nic do stracenia i idę na spotkanie. W ten sposób poznaję Chocho Verde, największego fałszerza w Kostaryce.

Nie chciałbym, żeby wyglądało, że się powtarzam, mówiąc, iż jest gruby, więc wiedźcie, że tutaj dobrobyt oznacza otyłość. Porządny brzusek jest zewnętrzną oznaką bogactwa, podobnie jak w Azji.

Chocho Verde jest uśmiechnięty. Jest inteligentniejszy od swoich kolegów, zmierza prosto do celu:

— Dzień dobry, Francuz. Carlos mówił mi, czego szukasz. Za tę cenę mogę ci dać tylko imitacje.

Nareszcie ktoś zrozumiał.

— Zgoda, ale muszą być dobre, żeby przeszły w Europie, a przede wszystkim złoto musi mieć ponad dwadzieścia karatów.

— Chcesz je tam sprzedać?

— Nie, dostałem zamówienie. Ale sądzę, że mój kupiec będzie nimi handlował w Europie.

— Dobrze, pokażę ci kilka rzeczy z mojej wytwórni. Niestety, nie robię tego dużo, bo to staranna robota, ale zaopatruję całe San José.

— Rozmawiałem z Julio Nargasem i innymi, mówili mi głównie o autentykach.

— Zaopatrują się u mnie — mówi z szerokim uśmiechem. — Jeśli kiedykolwiek mieli coś autentycznego, to naprawdę przypadek. Zaraz ci to wytłumaczę. Kiedy ktoś znajduje huacas, nigdy nie zostają one długo na miejscowym rynku. Albo szybko wysyła się je do Stanów, albo moi naganiacze przynoszą je do mnie. Oryginalne przedmioty służą jako wzory. Stosujemy wosk, tak jak Indianie. Jak chcesz, mogę ci pokazać kilka moich wyrobów, które są w Muzeum Złota w San José. Jest też parę w muzeach amerykańskich i europejskich. Jestem z nich bardzo dumny! Wystarczy, że ci powiem, iż zdarzyło mi się kupić je jako autentyczne przedmioty, które wyprodukowałem parę lat wcześniej.

— Więc eksperci są tacy słabi?

— Jeśli chodzi o prekolumbijskie złoto, nie ma prawdziwych ekspertów. Udało mi się oszukać najbardziej znanego ze wszystkich, którzy się za takich uważają. Nazywa się Noli i mieszka w Nowym Jorku. Kiedy wysyłam mu większą przesyłkę, umieszczam w niej dziesięć procent autentyków. Zdarzało się już, że odsyłał mi oryginały twierdząc, że są fałszywe. To naprawdę dureń. Co do ekspertów na miejscu, to poza starym Carlosem Holtzerem, który robi się już ślepy, nie ma nikogo...

Uważam, że gruby Chocho lubi się chwalić, ale jego imitacje są doskonałe. Nie jest rzeczą łatwą przekonać go, żeby sprzedał mi swoje wyroby po dwadzieścia pięć dolarów za gram. W końcu, po dłuższej dyskusji, dochodzimy do porozumienia. W sumie do zapłacenia jest dwanaście tysięcy pięćset dolarów. Będę musiał wpłacić siedem tysięcy jako kaucję za towar i pięć tysięcy pięćset po sprzedaży.

Interes jest dobry, ale jestem w ślepej uliczce. Skąd wziąć pieniądze na kaucję? Z forsy przywiezionej z Osa zostało mi tylko dwa tysiące dolarów.

Tymczasem nie mogę przyprowadzić moich klientów do Chocha z dwóch powodów: zależy im na zachowaniu incognito, a poza tym ten stary lis Chocho postarałby się załatwić sprawę bez pośrednika. Rozwiązanie znajduję dzięki francuskojęzycznym turystom, których spotykam u Manola.

* * *

Trzeba tu powiedzieć, że parę dni wcześniej, w Esmeraldzie, spotkałem paru facetów. Spodobały się im moje wysokie buty, nawiązaliśmy stosunki. Podają się za Kanadyjczyków, jeden to Żyd, repatriant z Algierii, drugi jest hiszpańskim Baskiem. Dwa dni po mojej rozmowie z Chocho znów spotykam u Manola repatrianta Davida Baska Roberto. Ten ostatni pyta mnie, jak szybko zarobić trochę forsy. Młodszy, David, jest sympatyczny, taki paryski cwaniaczek. Roberto jest sprytniejszy, ale nie robi tak miłego wrażenia: to bandyta bez klasy. Spadają mi z nieba. Zobaczymy, jacy są naprawdę.

— Chcecie szybko zarobić tysiąc dolarów?

— Jasne — mówi Roberto. — Co trzeba zrobić?

— Mam na widoku jeden interes, ale brak mi gotówki. Potrzebuję pożyczyć pięć tysięcy dolarów na parę godzin. Jeśli macie tyle, zapłacę wam tysiąc dolarów odsetek.

Patrzą po sobie. David nastawiony jest entuzjastycznie, ale Roberto nie ma zaufania:

— Jaką mamy gwarancję? Co to za interes? W końcu nie znamy się.

Pytania te, choć uzasadnione, denerwują mnie. Gruby Bask nie podoba mi się.

— Słuchaj, grubasie, nie ma dla ciebie żadnych gwarancji. Pytałeś, jak zrobić szybką forszę: masz okazję. A interes to handel sztuką prekolumbijską.

Do rozmowy włącza się David:

— Juan Carlos, nie denerwuj się, Roberto niepokoi się o pieniądze, bo mamy wprowadzić pięć tysięcy dolarów, ale to cały nasz majątek. Zrobiliśmy parę numerów z czekami podróznymi, żeby zarobić taką sumę, i było trochę ryzyka.

— Jak chcecie, mogę załatwić mój deal w pensjonacie America, wynajmę tam pokój obok waszego. W ten sposób będziecie mogli pilnować waszej cennej forsy. Nic więcej nie mogę zrobić.

— Mnie to odpowiada — mówi David.

Roberto ma opory, ale w końcu się zgadza.

* * *

Następnego dnia załatwiam sprawę z moim Włochem, który już zaczynał się niecierpliwić. Najzabawniejsze jest to, że chciał zachować incognito, a był szpiegowany ze wszystkich stron. Z jednej zaufany człowiek Chocha, który miał mnie pilnować i stale urzędował w hallu. Z drugiej oba pajace. Po godzinie Włoch wyszedł z pięciuset gramami różnych wyrobów ze złota: orłów, żab, czarowników; wszystko świetne imitacje i jako takie zostały sprzedane.

Po spłaceniu wszystkich operacja tą przyniosła mi na czysto sześć tysięcy dolarów. Nie jest to Eldorado, ale wystarczy, żeby wrócić na Osa i zająć się kupnem–sprzedażą. Dokończę rekonwalescencji tam, bo nie chcę przepuścić całego kapitału w San José.

Tego samego dnia David i Roberto zapraszają nas do restauracji, żeby to oblać. Podczas kolacji opowiadam im o Osa i o moich zamiarach. Są bardzo zainteresowani i chcą mi towarzyszyć. Jako prawdziwy oportunistą Roberto proponuje nawet, że odda mi do dyspozycji swoją forszę, w ramach swego rodzaju spółki. Tak bardzo nalegają, że sam nie wiem dlaczego, ale się godzę. Dla nich to ciekawy epizod, dobre wspomnienia na przyszłość, a jeśli coś pójdzie źle, zawsze mogą wrócić do tatusia i mamusi. W moim przypadku przygoda to styl życia i najmniejszy błąd może mieć tragiczne skutki. Takim jak ja zasiłku dla bezrobotnych jeszcze się nie wypłaca.

Nie wiem, czy to ten cholerny ból głowy przeszkadza mi w myśleniu, czy po prostu jestem do nich dobrze nastawiony po przysłudze, jaką mi wyświadczyli, dość że umawiamy się na następny dzień.

Całej naszej czwórce kończą się wizy i musimy wyjechać z kraju. Najprościej jest polecieć samolotem na San Andres, małą kolumbijską wyspę o godzinę lotu od San José.

Wieczorem, kiedy jesteśmy sami, zafrasowana Diane pyta mnie:

— Dlaczego chcesz zaprzętać sobie głowę tymi szczeniakami? Dave jest miły, ale to nie ten format. A Roberto to łajza, nie mam do niego zaufania. To wykorzystywacz i hipokryta.

— OK, wiem, że to nie najlepsi faceci. Ale po przysłudze, jaką mi oddali, nie mogłem odmówić. Zawsze możemy się rozstać z nimi, jeśli zaczną przeszkadzać.

— Równie dobrze można to zrobić teraz.

— Słuchaj, ślicznotko. Rozumiem, że wolałabyś być sama ze mną, ale co się stało, to się stało. Dałem słowo i nie będę go odwoływał. Jak będzie, zobaczymy.

Jeszcze dziś nie potrafię wytłumaczyć tego błędu inaczej, jak tylko swoją chorobą.

* * *

Dobrze nam robi podróż na San Andres. Wiem, że już niedługo będziemy w tym syfie na Osa, i pobyt w takiej letniskowej miejscowości jest bardzo przyjemny. Po południu plaża, wieczorem kasyno i cały dzień kokaina.

Jest to jeden z nielicznych przypadków w moim życiu, kiedy w kasynie zachowuję się rozsądnie. Wiem, że czeka mnie akcja, i nie ryzykuję. Właściwie to beczynność pcha mnie do hazardu: gdy tylko zaczynam się nudzić, szukam jakiegoś stołu do gry, i nieszczęście jest blisko. Ostatnie dwa lata były pechowe: kasyna w Makao, Vegas i Panamie zabrały mi około stu pięćdziesięciu tysięcy dolarów, moje ostatnie pieniądze.

Diane zwraca mi uwagę, że nasz krupier zatrzymuje duże banknoty, zamiast wkładać je do skrzynki. Jest bardzo zręczny, potrafi rozdać całą talię kart trzymając w zagięciu dłoni złożony banknot. Wie, że zauważyliśmy jego sztuczkę, i dyskretnie zwiększa nasze zyski, najwidoczniej ma układ z kontrolerem stołu. Roberto, podniecony kokainą i grą, któremu myśl o zbliżającej się wyprawie na Osa uderzyła do głowy, chciałby krupiera zaszantażować. Biedny mały europejski frajer, chciałby się zmierzyć z Kolumbijczykami... Moja odmowa go usadza. Ma ochotę odstawić twardego, ale zachowuje jeszcze trzeźwe spojrzenie i woli posuwać się pod moją osłoną. Naprawdę nie jest to dobry nabytek.

* * *

Powrót do San José odbywa się bez problemów. Na miejscu nasz „koleś” z ambasady francuskiej robi mi wspianiały prezent. Magnum 357, cały chromowany. Broń była już używana, ale jest wspianiała. Chciał mi w ten sposób podziękować za przysługę, jaką wyświadczyłem jego przyjacielom z tamtej ambasady. Po zrobieniu ostatnich zakupów wsiadamy do samolotu lecącego do Golfito. W mieście są jakieś zamieszki i musimy lądować w Coto 47, małej bananowej miejscowości około czterdziestu kilometrów dalej. Wynajmujemy tu taksówkę bagażową.

Mały, nie rzucający się w oczy Tico prosi, bym zgodził się go zabrać. Kiedy przyjeżdżamy do Golfito, taksówkę zatrzymują demonstranci, którzy blokują ulice. Muszę wynająć barkas, który przewozi nas do łodzi China, cały czas w towarzystwie milczącego małego Tico. Podróż przebiega spokojnie, Dave i Bask są podnieceni zbliżającą się przygodą. Mnie zmęczył cały ten ranek i odpoczywam na dziobie razem z Diane. Przed zaśnięciem przechodzi mi przez głowę myśl, że wciąż nie mam określonego planu co do mojej przyszłej działalności na Osa. Ale zobaczymy na miejscu...

* * *

Po przyjeździe idziemy wszyscy do baru Jeremy'ego, Rancho de Oro. Spotykam tu Wayne'a, który nadal siedzi przed baterią puszek z piwem. Wygląda, jakby nie wstawał od stołu odkąd się rozstaliśmy. Jego widok sprawia mi przyjemność. Słyszał o mojej chorobie. Ponieważ Ticos mają skłonność do przesady, jest zdziwiony, że jeszcze żyję.

— Myślałem, że nie żyjesz. Co się z tobą działo?

Opowiadam mu zwięźle moje przygody w Karate i Madrigal. Historyjka o Gato, którego dobrze zna, rozśmiesza go do łez.

— To twoja ekipa? — pyta, wskazując na Roberta i Dave'a.

— Niezupełnie. To dwaj turyści, którzy mają ochotę na trochę emocji. Jadą ze mną w góry. Mamy mały kapitalik, postaram się, żeby dla nas popracował, będziemy kupować złoto i sprzedawać je w Panamie.

— Dokąd chcesz pojechać?

— Jeszcze nie wiem.

— W takim razie radzę ci Cerro de Oro. Wydobywają tam sporo złota.

— To daleko?

Nadal nie miałem przed oczami mapy Osa, może byłby już czas sobie taką kupić.

— Jedziesz drogą na północ, przekraczasz rzekę Tigre, potem dalej aż do lądowiska w Las Palmas. Potem zapytasz się kogoś, bo trzeba iść ścieżkami w górach.

— Leci tam jakiś samolot?

— Możesz wynająć. Ale to niedaleko, lepiej weźcie ciężarówkę.

W tym momencie Tico, który jechał z nami taksówką, podchodzi i prosi, żeby mógł się do nas dołączyć. Jest mały, tłusty, ma ciemną skórę i dumnie obnosi śmieszny bródkę muszkietera. Tylko jego oczy zdradzają temperament.

Gestem zamykam usta Roberto, który już chce go odprawić, i proszę, żeby usiadł z nami.

— Nazywam się Manuel Sanchez Riviera — mówi, ściskając nam dłonie. — Słuchałem, o czym mówicie. Ja też przyjechałem tu kupować złoto. Widzę, że znacie okolicę. Gdybyśmy razem pojechali do Las Palmas, moglibyśmy podzielić się kosztami, a na miejscu każdy działałby na własną rękę. W ten sposób zmniejszymy ryzyko.

Wysławia się doskonałą angielszczyzną, i nie wygląda na głupiego. Poza tym obecność jakiegoś Tico w grupie to dobra rzecz. A zresztą, skoro już wziąłem tych dwóch szczeniaków, którzy udają kowbojów, czemu nie zabrać i tego Sancho Pansy?

— W porządku, chcę wyruszyć jutro rano, samolotem do Las Palmas. Jeśli cię to interesuje, możesz jechać z nami.

Kiedy Sancho zajmuje się telefonicznym zamówieniem samolotu w Golfito, podchodzi do mnie Roberto.

— Po co zabierasz tego pajaca? Jest nas wystarczająco dużo, żebyśmy nie musieli jeszcze jego brać sobie na głowę.

— Słuchaj, kutasie, ja tu jestem od podejmowania decyzji. Ty masz tylko prawo nie zabierać głosu. Jak ci się nie podoba, zabieraj swoją forszę i zjeżdżaj.

— Nie denerwuj się, Juan Carlos, tak tylko mówiłem.

Roberto to typ faceta, którego trzeba ostro usadzać, jeśli się nie chce, żeby wlał człowiekowi na głowę. O ile Dave może być sympatyczny z tym swoim wyglądem wiecznie zdziwionego chłopaczka, o tyle oportunizm grubego Baska jest nieprzyjemny.

* * *

Następnego dnia spożywamy właśnie obfite śniadanie, kiedy pojawia się pilot wynajętego samolotu. Nie robi piorunującego wrażenia. Jest niski, z brzuszkiem, i nosi zbyt dużą czapkę, co nadaje mu naprawdę kretyński wygląd. No, ale nie wierzymy pozorom, może jest to dobry pilot.

Ku mojemu zaskoczeniu nie lecimy jeszcze od pięciu minut, a już samolot podchodzi do lądowania. Sądząc, że są jakieś kłopoty, pytam:

— Co się stało, przyjacielu?

— To tu. Jesteśmy na miejscu.

Ledwo mam czas porządnie mu przyłożyć w czapkę, co oślepia go na chwilę, i już lądujemy wśród chóralnych śmiechów. Płacę pilotowi, daję mu dobry napiwek, żeby nie gniewał się za ten żart, a przede wszystkim, żeby sobie kupił mniejszą czapkę. Obiecuje, że wróci po nas za trzy dni.

Ponieważ mamy sporo bagażu, wysyłam Dave'a i grubego do Las Palmas po taksówkę.

Kiedy odjeżdżają, Sancho pokazuje mi z dumą broń, jaką nosił ukrytą za pasem. Jest to mały rewolwer bębnekowy kaliber 22, broń dla dzieciaka. Na widok mojego Magnum 357 dostaje straszliwych kompleksów. Biedak, był taki dumny ze swojego gnata!

Las Palmas to ostatnia wioska przed górami. Jest tam właściwie tylko pięć czy sześć domów i knajpka, do której też kierujemy pierwsze kroki. Uniżony właściciel rzuca się, by przygotować nam kawę. Nazywa się Alfredo i potwierdza, że oreros rzeczywiście są w Cerro de Oro, o cztery godziny konnej jazdy. Jest więc już za późno, żeby pojechać tam i wrócić tego samego dnia. Dowiaduję się jednak, że jest też mały obóz o około półtorej godziny drogi, w górę rzeki Rincon. Alfredo sprawia wrażenie łasego na pieniądze i zgadza się wynająć nam konie. Proponuje nawet, że przenocuje nas u siebie.

W obozie nie ma tłoku i udaje nam się kupić zaledwie trzydzieści gramów złota. Odbyłem całą tę podróż po to, żeby wreszcie coś zaczęło się dziać. No i dzieje się, ale głównie dla Sancha. Rzeka wezbrała i trzeba bardzo uważać przy przeprawie. Kiedy wracamy, jego koń ślizga się przy podchodzeniu na brzeg i obaj wpadają do wody, a silny prąd porywa ich natychmiast. Ogarnięty paniką Sancho dostaje się w wiry i wrzeszczy wniebogłosy. Udaje się nam go złapać, kiedy zatrzymują go jakieś gałęzie. Jest do połowy rozebrany i stracił buty.

— Moja torba, moja torba! — krzyczy. — Wszystkie moje pieniądze są przytroczone do siodła!

Na chwilę ogarnia nas panika, ale na szczęście jego koniowi udało się wydostać na brzeg. Siodło przekręciło się, ale torba nadal jest na swoim miejscu. Dave, który poszedł przyprowadzić zwierzę, donosi mi, że portfel Sancha jest nieźle wypchany, samymi banknotami po tysiąc colonów.

Po tym incydencie wracamy do Alfreda. Postanowiłem, że u niego zamieszkamy. Wolę codzienne osiem godzin konnej jazdy niż życie w błocie.

Alfredo jest trochę zaskoczony dowiadując się, że został właśnie dyrektorem hotelu, ale bez większych oporów przenosi swoje rzeczy, by zająć mały pokój wraz z żoną i dziećmi, zostawiając mi swój pokój, dokąd wprowadzam się z Diane. Trzeba przecież dbać o pierwszych klientów. Pozostali członkowie naszej ekipy usadawiają się w sali jadalnej. Widzę, że Roberto jest niezadowolony, bo też chciałby specjalne przywileje, ale nie ośmiela się głośno protestować.

Wieczorem przekonuję się, że nie omyliłem się co do Sancho. Opowiedział Alfredowi, że jestem bardzo bogaty, że zamierzam kupować mnóstwo rzeczy i że trzeba mnie dobrze traktować. Wysławia się za swobodą właściwą ludziom wykształconym, co tak bardzo imponuje chłopom. Potrafi zamieszać w głowie frajerowi w kilka minut. To oszust, ale sprytny i szybki. Jego niepozorny wygląd sprawia, że ludzie biorą go za oferwę, ale nie zasługuje na to. Jego jedyny słaby punkt to tchórzostwo, i dlatego instynktownie szuka u mnie ochrony.

W przeciwieństwie do dwóch pozostałych, którzy udają kowbojów i nieustannie się z niego nabijają, sądzę że Sancho jest z całej grupy najwartościowszy. Szybko znajdujemy wspólny język. Cenię jego szybkość myślenia i jego skuteczność, on zaś czuje się ze mną bezpieczny. Spodobał mu się sposób, w jaki zawładnąłem domem Alfreda. Przedstawienie z tym ostatnim trwa i nie waham się wydać trochę pieniędzy, żeby utrwalić swoją reputację. Kiedy późnym wieczorem decyduję, że potrzebujemy świeżych koni na następny dzień, nikomu nie pali się do wyjścia w błoto, w środku nocy, na ciągle lejący deszcz. Syn właściciela, Carlito, poczciwy chłopak, niedorozwinięty umysłowo, biegnie ochoczo, kiedy proponuję mu dwieście colonów.

Spędzam przyjemną noc w przytulnej sypialni. O świcie Alfredo ze swoją megierą przynoszą mi śniadanie do łóżka. Jest to dla mnie miła niespodzianka i chwalę go. Na jego twarzy pojawia się rumieniec zadowolenia. Wygląda na to, że bardzo sobie bierze do serca swoją nową pracę. Na dworze pogoda ohydna, ciągle jednakowo leje.

Całuję Diane na pożegnanie i wychodzę. Przyprawdzają nam trzy konie i małego muła. Mój koń, najsilniejszy, jest już osiodłany i czeka na mnie pod dachem. Obserwuję podstępą walkę moich towarzyszy, z których żaden nie chce jechać na mule. W końcu dostaje go Sancho, powolniejszy albo bardziej

bojaźliwy. To dosyć komiczny widok, kiedy ten grubas drepce koło nas, i wszystkich to bawi. Ale niebawem przekonamy się, że to właśnie on wychodzi na tym najlepiej.

Chłopak, który wynajął nam konie, towarzyszy nam, gdyż to on zaopatruje pulperię w Cerro de Oro. Jest pieszo i biegnie truchtem przed nami. Wygląda na to, że nie będzie łatwo, bo ulewa wzmaga się i droga jest w fatalnym stanie, cała rozmiękła. Konie zanurzają się niekiedy aż po pierś w lepkim czerwonym błocie. Te biedne zwierzęta są wyjątkowo odporne i odważne. Trwa to całą godzinę. Godzinę posuwania się w linii prostej wzdłuż rio w błotach, które niesamowicie wykańczają konie. Potem zaczynają się wzgórza. Rincon wiję się w niezliczonych meandrach. Trzeba więc ustawicznie przeprowiać się i pokonywać śliskie brzegi, by kilkaset metrów przejść po płaskim i błotnistym leśnym poszyciu, a następnie wszystko zaczynać od nowa; powtarza się to ze dwadzieścia razy.. Wezbrana rzeka jest głęboka i prąd bardzo silny, na swoim małym mule Sancho wielokrotnie zanurza się prawie całkowicie. Wszyscy mamy wodę powyżej kolan, obok szybko przepływają pnie drzew, a każdy mógłby porwać konia razem z jeźdźcem.

Zejscia i podejścia są męczące, stoki bardzo strome. Ostatecznie okazuje się, że Sancho jest w lepszej sytuacji, bo jego muł stąpa pewnie i wspina się bez trudności. Natomiast konie ślizgają się i wiele razy upadają, staczając się nawet po parę metrów. Za wyjątkiem Sancha jesteśmy wkrótce pokryci błotem od stóp do głów. Gdyby nie to, że panuje dobry humor, podróż byłaby piekłem.

Każdy upadek wywołuje wybuchy śmiechu. Mały Dave nabił sobie ogromnego guza na czole, ale przejażdżka podoba mu się.

— To jednak fantastyczne — mówi, jadąc u mego boku. — O takiej przygodzie zawsze marzyłem. Jak tylko będę mógł, kupię sobie ostrogi i kapelusz. Nie wiesz, gdzie można tanio dostać rewolwery?

— Nie, Dave, żadnej broni. Posiadanie broni to odpowiedzialność, trzeba umieć ją ponosić. Jeżeli masz rewolwer to po to, żeby go używać?

— No tak.

— A jeżeli rozwalisz kogoś przy świadkach, co wtedy?

— No, będę uziemiony.

— A właśnie, a przy okazji my też. Więc póki jesteś ze mną, żadnych gnatów. Możemy się razem wygłupiać, możemy wariować ile chcesz, ale wszystko ma swoje granice, zgoda?

— Zgoda, szefie.

* * *

Po czterech i pół godziny tej spacerowej przejażdżki docieramy wreszcie do Cerro de Oro. Jest to na granicy parku narodowego rcovado. Wioska składa się z około dwudziestu biednych, brudnych lepianek. Zatrzymujemy konie przed ranchem, które wygląda na mniej rozwalające się od innych i jest położone trochę na uboczu.

Właściciel, Andres, gość o wyglądzie starego pirata, przyjmuje nas całkiem uprzejmie i częstuje kawą. Jest gadatliwy i dużo opowiada o okolicy. Dowiaduję się od niego, że złotem handluje tu już dwóch facetów. Jeden to Europejczyk, Patrick, mieszkający na Osa od piętnastu lat. Drugi to Tico, nazywa się Cartago i prowadzi jedyną pulperię w okolicy. Zdaje się, że Andres nie pała do niego sympatią. To skurwysyn, złodziej. Kupuje złoto za bezcen, a sprzedaje swoje towary pięć czy sześć razy drożej niż normalnie. Jest tu najbogatszy. Nikt go nie lubi, ale wszyscy są od niego zależni.

Kilka minut później jesteśmy gotowi do kupowania złota. Urządziłem się pośrodku wioski, pod dachem z plastyku, pożyczyłem od Andresa stół i krzesło. Przede mną stoi waga, po prawej leży rewolwer, po lewej stos tysiąccolonowych banknotów i kalkulator. Dave i Roberto stoją koło mnie, Sancho poszedł nagoniać klientów.

Pierwszy chętny to mały bezzębny staruszek. Podchodzi ostrożnie, rozumiem go: nasza grupka nie wygląda zachęcająco.

— Słyszałem, że kupujecie złoto.

— Zgadza się. Jeśli masz do sprzedania, kupuję.

— O, ja nie mam dużo. Tylko jeden gram.

Wyjmuje z kieszeni kawałek folii aluminiowej, w którą zawiniętych jest kilka ziarenek.

— Ile płaci Cartago, właściciel pulperii?

— Sto pięćdziesiąt colonów za gram.

— A to złodziej! A ja zapłacę sto siedemdziesiąt pięć colonów za gram. A tobie, ponieważ wyglądasz pocziwie, dam mały prezent — mówię, dając mu sto osiemdziesiąt colonów.

Odchodzi zachwycony. Płacąc za złoto sto siedemdziesiąt pięć colonów za gram, to znaczy siedem i pół dolara, robię dobry interes, bo w mieście cena wynosi od dwunastu do trzynastu dolarów.

Kilka minut później stary wraca w towarzystwie dwóch oreros.

— Oni też chcą sprzedać.

Kupuję od nich złoto, siedem i dziesięć gramów. Wtedy stary wyjmuję z kieszeni butelkę. Tym razem ma prawie dwadzieścia gramów. Stary kłamca! A właściwie zrozumiała ostrożność!

Ledwo wrócili do obozu przekazać wiadomość o nas, a już napływają sprzedający. Wychodzą ze wszystkich stron i muszę ustawić ich w kolejkę, żeby uniknąć bałaganu. Niektórzy mają bardzo mało, jeden czy dwa gramy, inni większe ilości.

Siedzę tak cały dzień. Sancho robi reklamę i bez przerwy nazywa mnie „*Don Juan Carlos*”. Ma dryg do nabierania chłopów. Znając ceny Cartago, opowiada im o spółdzielni, o kontroli sprzedaży, o guarro za pół ceny. Jest tak przekonujący, że po paru godzinach wszyscy są przekonani, że jestem ich wybawcą, że dzięki mnie wszystko się zmieni. Niewiele z tego wszystkiego zrozumieli, oprócz tego, że alkohol będzie tańszy. Sancho nacina ich też za pomocą kalkulatora, kompensując moją szczodrość.

Od czasu do czasu mówię mu głośno, żeby dołożył trochę pieniędzy, bo facet porządnie wygląda albo wydaje mi się sympatyczny. Przyczynia się to do tworzenia mojej reputacji. Jestem teraz dla wszystkich „*Don Juan Carlos*”.

W całej tej operacji interesuje mnie nie tylko zysk, ale także to, by ludzie mnie poznali. Sancho, który stale usiłuje nacinać poszukiwaczy złota na wadze albo przy liczeniu, niepokoi się moją hojnością:

— Jesteś pewien, że w ten sposób coś zarobimy?

— Nic się nie bój, to metoda „*Ben Zyke*”. Chcę, żeby wszyscy mnie znali i wiedzieli, że jestem hojny. Po paru dniach takiej akcji już same moje obietnice będą warte tyle, co gotówka.

— Ale to trochę ryzykowne, można przy tym stracić kapitał — mówi ten tępak Roberto.

— Grubasie, to, co tu widzisz, to osiemnaście lat doświadczenia w krajach słabo rozwiniętych. Wyniki gwarantowane.

— A jak się nie powiedzie? — pyta.

— Jeśli się nie powiedzie, to będziesz zrujnowany! Powierzyłeś mi swoje pieniądze, bo mi zaufałeś, więc rób tak dalej. Ale jeśli potrafisz robić kanty z czekami podróznymi wśród poszukiwaczy złota, nie krępuj się, niech każdy robi to, co umie.

Ta gruba świnia nie potrafi się nie wtrącać i denerwuje mnie to. Parę razy muszę go usadzać, kiedy próbuje mieszać się do transakcji. Po południu zjawia się facet o twarzy gringo.

— To Patrick — szepcze mi Sancho, zaniepokojony, stając bliżej mnie.

Podbijając cenę zgarnęliśmy całą jego klientelę. Oczekuję gwałtownej reakcji, jestem gotów.

— Co, przyjechaliście kupować złoto? — mówi.

— Jak widzisz.

— Ile płacicie?

— Sto siedemdziesiąt pięć colonów za gram.

— W porządku, ale nie podbijajcie za bardzo ceny, chłopaki, żebym też mógł trochę kupić.

I to wszystko.

Bardziej go to nie rusza. Nie będzie nam przeszkadzał. Natomiast Cartago się nie pokazuje. Do końca dnia skupiłem dwieście gramów.

* * *

Zapada zmierzch, kiedy daję sygnał do odjazdu. Podróż w tę stronę była ciężka, ale powrót w nocy przez dżunglę będzie gorszy. Nie widać absolutnie nic, całe szczęście, że konie znają drogę. Trzeba kłaść się zwierzętom na szyi, żeby nie dostać gałęzią prosto w głowę. Jest po dziesiątej, kiedy docieramy do Las Palmas, przemoczeni, ubłoceni i wyczerpani.

Szybko jemy świetny posiłek przyrządzony przez żonę Alfreda, pod kierunkiem Diane. Alfredo nadal jest bardzo usłużny, przynosi mi do pokoju wiadra gorącej wody, żebym mógł się umyć. Wszyscy szybko padają na łóżka, dziś w nocy o czwartej ruszamy z powrotem.

* * *

Następnego dnia w Cerro de Oro sprzedający przychodzą ze wszystkich stron. Cartago się nie zjawiał, mówię o tym ze starym Andresem:

— Ten tchórz nie przyjdzie. Jest bez jaj. Powinieneś otworzyć tu pulperię — mówi mi.

- Myślałem o tym. Będę musiał tu wybudować mały dom.
- Jak chcesz, możesz używać mojego ranca.
- Wspaniale! Za ile mi je wypożyczysz?

Stary Andres musi rzeczywiście nienawidzić Cartago, bo odpowiada:

- Za darmo. Jeśli tylko udupi to tego sukinsyna, będę zadowolony.

* * *

Tego wieczoru, kiedy Dave i Roberto już padli, Sancho bierze mnie na stronę:

— Podoba mi się bardzo sposób, w jaki prowadzisz interesy. Chciałbym, żebyśmy zostali wspólnikami. Mam w tej chwili sześć tysięcy dolarów i kilka traktorów, odziedziczonych po moim ojcu, mam też landrower i jacht. Jeśli mogą się do czegoś przydać, są do twojej dyspozycji. Pomyśl o tym!

Na myśleniu spędzę całą noc. To, czego w ciągu paru dni dowiedziałem się o okolicy, w połączeniu z propozycją Sancha każe mi widzieć przyszłość w nowym kształcie. Wszystko zaczyna się układać, powoli powstaje plan.

Rano naradzam się z Sanchem.

— Dużo myślałem tej nocy — mówię mu. — Sądzę, że powinniśmy wrzucić wyższy bieg. Musimy działać na wielką skalę, a przede wszystkim szybko. Jeśli dasz radę, wybijemy się błyskawicznie. Czy jesteś gotów wszystko postawić na współpracę ze mną?

— Mam do ciebie pełne zaufanie. Jeśli dalej będziemy tak współpracować, jestem gotów iść za tobą na całego. Tylko jedna sprawa: chcę pracować z tobą, tamci dwaj mnie nie interesują.

— Nie obiecywałem im niczego, ale lubię być lojalny. Oddali mi przysługę. Zatrzymam ich przy sobie miesiąc, żeby mogli trochę zarobić. Potem możemy się rozstać.

— Wolałbym, żeby zniknęli szybciej, ale rozumiem cię.

— Doskonale, jedna sprawa załatwiona. A teraz powiedz mi, czy możesz dysponować landrowerem i łodzią natychmiast i jakiej mocy jest silnik jachtu?

— Mogę je mieć od razu, należą do mnie. Silnik ma czterdzieści pięć koni. Co do traktorów, muszę się skontaktować z matką, ona zajmuje się sprawami rodziny. Ale jak się dowie, że to poważna sprawa, nie będzie robić trudności.

— W porządku. W takim razie proponuję, żebyśmy zostali wspólnikami przy wydobywaniu złota nad Rincon. Ty dajesz maszyny, ja swoją znajomość złota i zmysł handlowy. Czterdzieści pięć procent dla ciebie, pięćdziesiąt pięć dla mnie!

— Dlaczego taka różnica? — pyta.

— Po prostu dlatego, że nie potrafię wyobrazić sobie spółki z równymi udziałami. Miałbym wrażenie, że jestem niedoceniany, a to nie wpływa dobrze na interesy. Mam nadzieję, że potrafisz to zrozumieć.

— We wszystkim działasz inaczej niż inni, więc można się spodziewać, że rozumiesz też inaczej. Dobra, niech tak będzie — mówi, wyciągając rękę.

— W porządku! Skoro zgodziliśmy się, dawaj forszę i idź obudzić tamtych frajerów. Mamy dużo do zrobienia.

Po upływie dziesięciu minut cała piątka siedzi przy stole popijając pierwszą poranną kawę. Wyjaśniam Dave'owi i Roberto układ, jaki zawarłem z Sanchem.

— Ale na swoją forszę musicie zapracować. Obaj zajmiecie się pulperią, którą mam zamiar założyć w Cerro de Oro, u Andresa. Wspólnie ustalimy ceny towarów. Będziemy sprzedawać przede wszystkim alkohol, to daje największy zysk. W porządku?

— Tak czy owak, nie mamy wielkiego wyboru — odpowiada Roberto.

— Zgadza się. Ale nie bójcie się, nie straciecie na tym.

Dave jest zarazem i zawiedziony, i szczęśliwy. Zawiedziony, że przygoda kończy się za miesiąc, szczęśliwy, że nie stanie się to jutro. Roberto trochę się boczy, bo czuje, że wymyka mu się dobry interes, i żałuje, że nie potrafił go wykorzystać. Podsumowuję.

— Diane i ja zostajemy tutaj. Wy wyruszacie do roboty. Musicie zdążyć na samolot, który przylatuje dziś rano. Polecicie nim do Golfito. Stamtąd weźmiecie samolot Samsy do San José. Sancho i Roberto zrobią zakupy dla pulperii, zaraz zrobię listę. Sancho, daję ci trochę forsy, będziesz za nią odpowiedzialny. Po zrobieniu zakupów ty, Roberto, wynajmiesz samolot, żeby to wszystko przewieźć tutaj. Sancho i Dave, sprowadzicie samochód i jacht lądem. Pamiętajcie o rezerwacji na promie dla samochodu. Macie czas to wszystko załatwić w trzy dni. Teraz pośpieszcie się, bo niedługo będzie tu samolot. Wszystko jasne, żadnych problemów?

— Nie, w porządku! — odpowiadają.

— Dobrze. Sancho, chodź do mojego pokoju, dam ci pieniądze.

Kiedy jesteście sami, mówię mu:

— Jesteś odpowiedzialny za tę forszę. Pilnuj, żeby Roberto nie nakupował jakichś głupstw.

Ponieważ obaj się nienawidzą, wysyłając ich razem jestem pewien, że będą się dokładnie nawzajem pilnować. Po godzinie już ich nie ma i nareszcie zostajemy sami z Diane.

* * *

Popołudnie spędzam na uczeniu jej strzelania z Magnum 357. Ticos, przyzwyczajeni do suchych odgłosów kalibru 22, są przerażeni wystrzałami z Magnum, które brzmią jak strzały z armaty. Dwa dni później jedziemy zobaczyć obóz oddalony o dwie i pół godziny od Cerro de Oro. Wypożyczyłem trzy konie, żeby mieć jednego na zapas. Diane nie odstaje, jeździ doskonale. Z pistoletem Sancha za pasem imponuje Ticos dużo bardziej, niż moi dwaj kowboje. Jest bardzo kobieca, ale jednocześnie emanuje z niej siła charakteru, co robi duże wrażenie na tutejszych facetach, przyzwyczajonych do grubych, rozlazłych krów. Diane umie wymóc szacunek i czują to. Sekunduje mi bez zarzutu i w ciągu dnia kupujemy sto siedemdziesiąt gramów złota.

Wieczorem wracamy do Cerro de Oro spędzić noc w naszym przyszłym kantorze. Stary Andres, bardzo usłużny, pożycza nam dwa hamaki.

Zauważyłem w oddali Cartago, właściciela pulperii. Wygląda, jakby chciał nas unikać. Dla śmiechu Diane macha mu przyjaźnie ręką, co zmusza go do zrobienia tego samego. Czuję, że będziemy dobrymi sąsiadami...

* * *

Wracamy do Las Palmas następnego dnia wczesnym rankiem. Mam nadzieję, że wszyscy będą punktualni i że będzie można szybko wystartować. Pierwszy przyjeżdża Dave... za kierownicą landrowera. Wszystko poszło dobrze i przywiózł nawet mały silniczek pomocny przy płukaniu złotonośnego szlamu. Następnie jedziemy po Sancha, który powinien już być na przystani w Playa Blanca. Zostawiamy łódź pod opieką żony Andresa, starej czarownicy, która puszcza się od czasu do czasu.

Samolot przywozi Roberto niedługo później. Towaru jest prawie tona i musimy obracać samochodem parę razy, żeby wszystko wyładować. Alkohol

stanowi ponad połowę ładunku, reszta jest dość zróżnicowana: ryż, frijoles, pasta do zębów, aż po podłe komiksy, które są ulubioną lekturą oreros.

Kończymy właśnie składanie tego wszystkiego tymczasowo u Alfreda, kiedy przychodzi do mnie Sancho, trochę skrępowany.

— Juan Carlos, nie wiem, czy dobrze zrobiłem, pozwoliłem Robertowi kupić sobie rewolwer — mówi mi.

— Kurwa! To niesamowite! Więc nie masz więcej oleju w głowie niż tamci! Powinieneś wiedzieć, że to początek kłopotów. Do cholery, nie przyjechaliśmy tutaj, żeby się bawić!

— Tak, wiem, ale cały dzień zamęczał mnie opowiadając, że część pieniędzy należy do niego, że bierze na siebie odpowiedzialność, że to się przyda w górach itd. Poza tym dał mi do zrozumienia, że w zasadzie ma twoją zgodę.

— Nigdy w życiu. No, dobra, skoro już się stało, trzeba teraz coś zrobić. Zawołaj no tu tego durnia.

Przychodzi Roberto, ma już rewolwer za pasem, to brazylijski kaliber 38 z długą lufą.

— I co, zadowolony jesteś? — mówię mu. — Kaprys spełniony?

— Słuchaj, Juan Carlos, to nie jest tylko kaprys. Jeśli Dave i ja mamy sami zostać tam na górze, broń może być potrzebna. W końcu będziemy tam mieli sporo złota, jeśli wszystko dobrze pójdzie. Poza tym w naszym kapitale jest też część mojej forsy. Możesz odliczyć ten zakup z mojej części zysków.

Nie mam ochoty tracić czasu na takie historie. Męczą mnie już, że wszystko im muszę mówić.

— W porządku! Masz go! Stało się! Ale to na twoją odpowiedzialność. W razie kłopotów na mnie nie licz. I możesz go nosić wyłącznie w pulperii. Nie chcę go w ogóle tutaj widzieć, i żebyśmy już do tej sprawy nie wracali.

Całe szczęście, że za miesiąc już ich tu nie będzie!

* * *

Następnego dnia zaczynamy przewozić towar do Cerro de Oro. Wynająłem dziewięć koni, ale zajmie to sporo czasu. Szklane butelki tłukłyby się w czasie upadków, więc żeby ograniczyć straty musimy obciążać konie minimalnie, nie więcej jak po trzydzieści kilo. Żeby wszystko przewieźć potrzeba kilku dni. Roberto zostaje na górze, podczas gdy ja pilnuję przewozów. Nasz przewodnik też zabiera część ładunku, to on zwykle

zaopatruje pulperię Cartago. Ten ostatni ma przed sobą widmo plajty i zaczyna być porządnie niezadowolony. W Cerro de Oro karawana dziewięciu koni załadowanych alkoholem to wielkie wydarzenie. Moje obietnice zaczynają wyglądać realnie.

Pomimo naszej ostrożności mamy pewne straty, bo zwierzęta jednak od czasu do czasu się przewracają: tłuką się głównie butelki, no i parę tubek pasty do zębów przybrało dziwne kształty. Cały ładunek nabrał silnego zapachu guarro, nawet komiksy. Tym lepiej, to przyciągnie klientów. Jak zabraknie alkoholu, zawsze będą mogli destylować mydło.

Zostaję na pierwszy dzień, żeby nadzorować otwarcie. Moje ceny są o dwadzieścia pięć procent niższe od cen Cartago, ale i tak zyski są ogromne: dochodzą do czterokrotnej wartości cen zakupu w San José, odliczając koszty transportu. Za towar można płacić w colonach albo w złocie. Od pierwszego dnia mamy tłumy klientów.

Teraz, kiedy pulperia działa, mogę zostawić Dave'a i Roberto samych i zająć się drugą częścią naszej działalności z Sanchem. Na mapie sztabowej zakreśliliśmy teren długości czterech kilometrów wzdłuż brzegu rzeki Rincon.

Mój plan jest prosty. Wiem, że chociaż w górze rzeki jest złoto, znajduje się ono również w dolnym biegu. Jest to jednak złoto drobne, które można wydobywać mechanicznie. Mój projekt polega na tym, by wykupić ziemię w dole rzeki i wprowadzić na nie maszyny albo później je sprzedać. Przeprowadzamy więc zwiad na miejscu i jesteśmy w ciągłym ruchu, odwiedzając właścicieli rozproszonych wzdłuż rzeki.

Moja metoda zakupu ziemi oparta jest na kilku zasadach. Po pierwsze, właściciele nie są poszukiwaczami złota. To drobni farmerzy, którzy wegetują sadząc trzy banany i dwa strąki fasoli, nie myśląc o wydobywaniu złota na swoich gruntach. Ponadto playones, jak nazywają tu te ziemie, nie nadają się do uprawy: są położone nad samą rzeką i często zalewane. Ich wartość jest więc bardzo mała i mogę je kupować po bardzo niskich cenach.

Po drugie, i jest to punkt najważniejszy, cała ta operacja bazuje na spadku wartości miejscowej waluty w stosunku do dolara. W ciągu trzech miesięcy kurs tego ostatniego wzrósł z ośmiu do dwudziestu pięciu colonów, i to jeszcze nie koniec. Tak szybka dewaluacja może się tylko nasilić, i jest mi to na rękę, bo sprzedam złoto w Panamie za dolary.

Od ręki wypłacam każdemu właścicielowi dwa do trzech procent sumy w zamian wypisuje mi pokwitowanie, które, choć prawnie jest bez wartości, blokuje możliwość sprzedaży ziemi. Umawiamy się, że pozostała część należności rozłożona zostanie na raty na okres roku, bez odsetek. Jest oczywiste, że do tego czasu, wobec wzrostu kosztów utrzymania i przy stałym spadku wartości colona, ustalona cena stanowić będzie mniej więcej równowartość pół kilo ryżu za hektar...

Oczywiście, jest to szyte trochę grubymi nićmi, ale dla miejscowego chłopca rozumowanie takie jest zbyt skomplikowane. Całkowicie otumanieni przez Sancha ci ludzie rozumieją tylko jedno: jakiś wariat chce im dać pieniądze za ziemię bez wartości. Ponadto obiecuję każdemu pracę dla przynajmniej jednego członka rodziny, bo zawsze znajdzie się jakiś kretyń, który widział już kiedyś traktor albo który ma jakieś ogólne wyobrażenie o tym, jak posługiwać się łopata.

W ten sposób wszyscy są zadowoleni. Oni pozbywają się zbędnych gruntów, a ja za bezcen staję się właścicielem terenu długości czterech kilometrów, na którym znaleźć można złoto.

Po porozumieniu się ze wszystkimi właścicielami mam zamiar zaprowadzić całą grupę do adwokata, aby zalegalizować umowy. Wszystko to jest dosyć wyczerpujące. Sancho i ja wracamy do Las Palmas późnym wieczorem i ponownie wyruszamy przed świtem. Mało zajmuję się zakupem złota, bo liczę na obroty pulperii.

Niestety, na górze nie idzie tak, jak bym sobie życzył. Dave i Roberto szaleją i muszę ich kontrolować. Kiedy przyjeżdżam rano, zawsze na ziemi leżą zalani w trupa Ticos. Nie wygląda to porządnie, a ja nie lubię u siebie bałaganu. Mam na nich specjalny sposób. Strzelam w ziemię o pięć centymetrów od ich głów. Choć są całkowicie pijani, zwykle zrywają się na równe nogi i wylatują na dwór, nie starając się zrozumieć, co się dzieje. Jest to niezła rozrywka, ale wolałbym, aby sprzątanie odbywało się przed moim przybyciem. Ponadto Dave, cały zadowolony, oznajmia mi, że pod koniec wieczoru podnoszą ceny, wtedy kiedy klienci są już pijani.

— To, co robicie, to głupota — mówię im. — To nie ma sensu. Nie wzbogacimy się oszukując paru facetów na piętnaście czy dziesięć colonów. Nie przyjechaliśmy tutaj dla szybkiego i podłego zysku. Ja działam na dużą skalę. Do tego trzeba się tu zadomowić i wzbudzić zaufanie.

— To nie są wielkie sumy...

— Tak, ale to szkodzi naszej reputacji. Sancho i ja jeździmy po całej okolicy i opowiadamy o współpracy, o spółdzielniach, a wy, żeby zarobić szybko trzy grosze, popełniacie ten sam błąd, co Cartago. Ta nędzna forsa, którą w ten sposób zyskacie, nie pokryje nawet napiwków, jakie zostawiam chłopom, u których piję kawę.

— Ale nikt nie zdaje sobie sprawy....

— Zawsze znajdzie się jakiś kretyn, który coś zauważy. Poza tym nie podoba mi się ta sklepikarska mentalność. To, że sprzedajemy guarro pięć czy dziesięć razy drożej, to normalne. Jeśli chcą się upić, muszą za to zapłacić. Płacą za ryzyko, jakie podejmujemy sprzedając alkohol bez licencji. Ale oszukiwać trzy czy cztery colony na produktach spożywczych...

— W porządku, nie wiedziałem, że nie uznajesz naciągania frajerów.

— To nie jest naciąganie. To nędzne, małe oszustwo. Takie małe rzeczy to za łatwe.

* * *

Pomimo wszystko zyski są bardzo wysokie. Ilość złota szybko się powiększa, bo wszyscy kupują u nas.

Po tygodniu zapas alkoholu zostaje wyczerpany. Czteryście litrów w sześć dni, gratuluje! Jestem szczęśliwy, że mogłem sprowadzić do tego górskiego zakątka dobrodziejstwa cywilizacji!

* * *

Kiedy przygotowujemy się do odnowienia zapasu, Roberto i Dave mówią mi, że nie chcą już siedzieć tam, na górze.

— Nudno tu. W ciągu dnia oreros pracują i nie ma nikogo. Wieczorem wszyscy się tu złączą, schlani, i musimy znosić ich idiotyzmy.

— Zachowujcie dystans.

— Mimo wszystko nie jest zabawne żyć tutaj na stałe. Trudno mieć do nich pretensję.

— W takim razie co proponujecie? Zamknąć pulperię?

Nie, rozmawialiśmy o tym z wnukiem Andresa, zgadza się dla nas pracować. Jest uczciwy i łatwo go będzie kontrolować. W ten sposób będziemy mogli jeździć z tobą.

Znam chłopaka, i fakt, że można mu zaufać. Tak czy owak, na pewno nie zrobi więcej głupstw niż ci dwaj.

* * *

I znów wszyscy spotykamy się w Las Palmas. Atmosfera jest czasem trochę ciężka, zwłaszcza z powodu grubego Roberta, który nie ma żadnego *savoir vivre*'u i zachowuje się jak świnia. Diane kilkakrotnie przywołuje go do porządku, ale jest to nieprzyjemne. Natomiast dochodzę do wniosku, że Dave jest całkiem sympatyczny. Jest wprawdzie całkowicie nieodpowiedzialny, robi sporo głupstw bez poważnych następstw, ale wprowadza do naszych stosunków element wesołości. Jest zawsze roztargniony i dużo rzeczy psuje. Udaje mu się nawet spowodować początek pożaru w kawiarni.

Nasza obecność ożywia wioskę. Jest mała, do naszego przyjazdu była spokojna i nigdy nie widziała takiego burdelu. Czasami spędzamy w niej kilka dni pod rząd, odpoczywając i wygłupiając się. Jest sporo strzelaniny, bo udając, że ćwiczymy, co wieczór strzelamy sobie na tylnym podwórku, na końcu którego przechodzi ścieżka. Po zapadnięciu zmroku nikt nie ośmiela się na nią zapuścić. Na pewno trochę przesadzamy, ale dzięki mojej reputacji hojnego miliardera, który ma lekkiego fioła, nikt nie ma odwagi podnieść głosu. Zajęliśmy już kawiarnię całkowicie i stajemy się coraz bardziej znani.

Rozeszła się pogłoska, że Don Juan Carlos kupuje ziemię, i często rankiem grzecznie czeka na mnie parę osób. Jedni przychodzą proponować mi swoją ziemię, inni mają najróżniejsze pomysły. Sancho, doskonale odgrywający rolę sekretarza, przysyła mi ich pojedynczo i wysłuchuję ich jedząc śniadanie, po czym podejmuję stosowną decyzję. Większość przychodzi, żeby opowiadać brednie, więc odsyłam ich do diabła.

Zaczynam kłaść łapę na okolicy i nie tracimy żadnej okazji, żeby umocnić swoją pozycję.

* * *

Któregoś dnia wioska organizuje turno. Jest to rodzaj jarmarku z orkiestrą, a przede wszystkim okazja do wypicia. Jako „*notabl*” muszę uczestniczyć.

W pewnym momencie jeden z chłopów wystawia na licytację małego pieczonego prosiaka. To zaczyna być interesujące! Żeby przedłużyć zabawę,

podbijam ostatnią cenę trzykrotnie. Ku mojemu zdumieniu ktoś wykrzykuje sumę wyższą. To mój stary przyjaciel Cartago, który przyszedł wziąć udział w święcie i chce mnie przelicytować. Poczekaj staruchu, ja ci pokażę.

Cena idzie w górę w sposób niewiarygodny, osiągając niebotyczny poziom. Tu chodzi o prestiż i Cartago musi przegrać. Ale ten bałwan upiera się. Mam nawet ochotę dać mu wygrać, żeby zobaczyć, jak będzie płacił. Ale muszę bronić swojej reputacji, bo dla Ticos ten, kto wygra prosiaka, będzie silniejszy. Każda nowa stawka witana jest okrzykami radości. W końcu mój przeciwnik kapituluje wśród powszechnych drwin, i zabieramy prosiaka za równowartość dwustu pięćdziesięciu dolarów, zupełnie wariacką cenę w owym czasie.

Najbardziej cieszy się hodowca: za tę cenę byłby gotów oddać całą swoją trzodę, fermę i żonę. Szpan zawsze mnie bawił, więc wysyłam Sancha do mikrofonu, żeby ogłosił, że spółka stawia uczestnikom zabawy skrzynkę piwa. Wywołuje to entuzjazm.

Powtarzam ten numer przez całą noc. Daję znak piosenkarzowi, a ten ryczy do mikrofonu:

— I jeszcze jedna skrzynka w prezencie od spółki!

Wywołuje to natychmiastowy run na bar, potężną przepychankę przy akompaniamencie okrzyków: „*Niech żyje spółka! Niech żyje Don Juan Carlos!*” Normalnie orkiestra gra do północy, ale płacę chłopakom, żeby grali do czwartej rano pod warunkiem, by krzyczeli „*Niech żyje spółka!*” po każdej piosence. Okrzyk podchwytyją wszyscy.

Ponieważ nie pijemy alkoholu, palimy ogromne skręty przez całą noc, siedząc spokojnie przy stoliku i napawając się widokiem.

O świcie łąka wokół orkiestry zamieniona jest w błotnisty placyk, błotem pokryci są wszyscy, a kilkunastu facetów schlanych na umór leży na ziemi. Po takiej zabawie nikt od Dos Brassos do Las Palmas nie może nie wiedzieć o spółce.

* * *

Nadal kupuję ziemię, ale teraz to chłopci przyjeżdżają prosić, żebym ich odwiedził. Jedziemy zawsze wszyscy i korzystam z tego, by przeprowadzać na każdej parceli małe badanie zawartości złota.

Któregoś dnia pojechaliśmy obejrzeć teren o półtorej godziny drogi od Las Palmas. Towarzyszy nam Carlito. Kiedy zbieramy się w drogę powrotną,

Dave proponuje spływ „*pniomobilem*”. Polega to na tym, żeby dać się ponieść prądowi w wezbranej rzece, uczepiwszy się jednego z licznie przepływających pni drzew. Pomysł jest wariacki, bo prąd jest bardzo silny, ale przyjmujemy go z entuzjazmem, za wyjątkiem Sancha. Powierzam broń i pieniądze Diane, która wraca z Carlitem i końmi. I wchodzimy do wody.

Płynie się bardzo szybko, czepiamy się pni w pojedynkę albo w paru, Sancho jest przerażony i każdy zabawia się popychaniem go. Często pień zaczepia o brzeg albo zatrzymuje się wśród gałęzi, a czasem prąd robi się szybszy i rzuca nami o skały. Jesteśmy trochę poobijani, ale jest dużo śmiechu. Naprawdę niebezpiecznie jest tylko wtedy, kiedy trafiamy na wiry. Niekiedy zdarza się zaporę z gałęzi, woda przepływa pod nimi i dosłownie nas wsysa. Jest to przerażające, bo kiedy pień zbyt się zanurza, prąd dociska nas do dna i nie ma możliwości wypłynąć na powierzchnię. Sancho pierwszy zniknie w ten sposób całkowicie pod wodą, po czym pojawi się pięć metrów dalej, na wpół utopiony. To samo przydarza się kolejno każdemu z nas. Ale takie są reguły gry.

Docieramy do domu zziębnięci na kość. Nasza rzeczna eskapada trwała trzy godziny.

* * *

Rozmawiałem praktycznie z wszystkimi właścicielami gruntów i, pomiędzy dwiema wyprawami, jedziemy na górę kupować złoto. Pulperia nadal działa, wnuk Andresa jest w porządku i przyjeżdżam pobrać z kasy pieniądze raz na tydzień. Dwukrotnie już odnowiliśmy zapas alkoholu, który przywozimy z Golfito łodzią.

Pewnego ranka ruszamy z kopyta i widzę, jak Dave, którego siodło jest źle zamocowane, powoli traci równowagę, jak na zwolnionym filmie, by wreszcie spaść na ziemię. Bardzo nas to bawi, zwłaszcza Sancha, który mści się jak tylko może. Po godzinie zresztą sam fika wspaniałego kozła i wali się na ziemię. Rzecz wygląda poważniej, i jest trochę zamroczony. Dopiero przyjazne, ale energiczne uderzenia dłonią po policzkach przywracają mu przytomność. Po południu, kiedy znów galopujemy wśród krzaków, przychodzi kolej na mnie: uderzam głową w gniazdo os zawieszzone pod jakąś gałęzią. Uderzenie wyrzuca mnie z siodła i ląduję na ziemi nie zdążywszy nawet jęknąć, do czego miałbym pełne prawo. Osy bowiem atakują mnie natychmiast i muszę uciekać, a za moim przykładem idą konie, które

rozbiegają się na wszystkie strony: ukłucia owadów doprowadzają je do obłądu.

Takie są właśnie te przyjemne momenty, które dodają smaczku naszemu codziennemu życiu.

Podczas naszych zakupów złota Sancho nie może się powstrzymać od oszustw. Używając wagi i kalkulatora zyskuje po parę colonów na gramie. Nie popieram tego, ale pozwalam mu działać, bo jest to zgodne z jego charakterem skąpca. Fakt, nie ma żadnej chwały w okradaniu w ten sposób analfabetów, jakimi są poszukiwacze złota, którzy i tak nie osiągną zbyt wielkich zysków. Któregoś dnia zauważają machlojki Sancha i ogarnia ich wściekłość. Pozwalam im trochę przetrzepać mu skórę, żeby miał nauczkę. Kiedy zabierają się do pokrajania go na kawałki, wyciągam broń: nie mogę pozwolić, żeby mi go zlikwidowali, jeszcze go potrzebuję!

Robi mi Wyrzuty, że nie interweniowałem wcześniej. Wyjaśniam mu: — Skoro oszukujesz, musisz ponosić za to odpowiedzialność. Nie podoba mi się twoje postępowanie, ale nie zostawiłbym cię samego: chciałem tylko, żebyś zrozumiał.

Poza tą drobną wadą Sancho robi doskonałą robotę. Dzięki jego podejściu do chłopów, sposobowi, w jaki przedstawia mnie i przyjmuje Ticos w Las Palmas, zrobiliśmy duże postępy w skupywaniu gruntów. Mój zapas złota dochodzi do dwóch kilogramów, ale chcę dalej kupować jak najwięcej, bo spadek colona jest coraz szybszy.

Jedynym mankamentem całej sytuacji jest to, że utrzymanie pięciu osób na przyzwoitym poziomie kosztuje dosyć drogo i że stałe przebywanie razem staje się nieco uciążliwe. Któregoś dnia, chcąc być z Diane sami, wyjeżdżamy we dwoje jeepem do Puerto Jimenez, żeby kupić trawkę. Ale przybór wód uniemożliwia przeprawę przez rzeki samochodem, więc decydujemy się popłynąć łodzią do Golfito. Roberto ma po nas przyjechać do Playa Blanca o czwartej po południu.

Podróż w tamtą stronę przebiega bez problemów i po kupieniu trawki urządzamy sobie wspaniałą obiadkę z Wayne'em, który cieszy się z ponownego spotkania. Wyjeżdżamy o drugiej, bo na przepłynięcie zatoki potrzeba około półtorej godziny. Leje jak z cebra, ale nie niepokoję się tym. Jesteśmy w połowie drogi, kiedy wybuchają burza. Sztorm na zatoce, nie wiedziałem nawet, że coś takiego istnieje! Zrywa się wiatr, fale uderzają ze

wszystkich stron i zalewają łódź. Przekazuję ster Diane, która jest lepszym żeglarzem ode mnie, i biorę się za wybieranie wody. Ulewa wzmagą się, i po dziesięciu minutach nie widać zupełnie nic, żadnego brzegu, tracimy orientację. Płyniemy na ślepo, starając się przede wszystkim unikać dużych fal. Po kilku godzinach kręcenia się w kółko zauważamy nagle, przez krótką chwilę, w przerwie między kolejnymi atakami deszczu, jakieś wzniesienia dokładnie przed dziobem. Diane steruje w tamtym kierunku mając nadzieję, że nie będzie po drodze podwodnych skał. Ku naszemu wielkiemu zaskoczeniu udaje się nam dobić do plaży. Trzeba wyciągnąć łódź daleko w piasek, bo fale mogłyby ją porwać jak źdźbło słomy. Zupełnie nie znamy tego miejsca. Kierujemy się ku chatce rybackiej, gdzie jakiś starzec, osłonięty przed deszczem, patrzy w naszym kierunku.

Udziela nam gościny i dowiadujemy się, że jesteśmy w Playa Sancudo, o dwadzieścia kilometrów na południe od punktu wyjścia! Jeszcze godzina i znaleźlibyśmy się na pełnym oceanie w tej naszej łupince... Śpimy u starego i rankiem wyruszamy. Szybko docieramy do Playa Blanca, gdzie wszyscy już myśleli, że zatonęliśmy. Żeby przeciąć wylewne powitania, każę siodłać konie i natychmiast wyruszamy w góry.

* * *

Dziś zrobiłem małe podsumowanie. Jesteśmy na półwyspie praktycznie od miesiąca, mam ponad dwa kilogramy złota, około dwudziestu czterech tysięcy dolarów, i zostało mi już tylko trzy tysiące dolarów gotówką: czas przejść do dalszej części programu. Roberto i Sancho pojedą do Panamy sprzedać złoto i przywieźć dolary; razem z Diane i Dave'em będziemy na nich czekać w San José. Później pojedę z Sanchem do jego matki, żeby omówić nasze plany „maszynowe”.

* * *

Wyjechaliśmy wcześniej rano. Po bezproblemowym przepłynięciu zatoki dobijamy do przystani w Golfito. Czeka tu brat Sancha.

Telefonowaliśmy do niego wczoraj wieczorem, i jechał całą noc, żeby dostarczyć nam rodzinny samochód, który zawiezie Sancha i Roberto do Panamy. Szybkie powitanie i odjeżdża na lotnisko. Przekazujemy łódź Wayne'owi, po czym wszyscy razem jedziemy do Villa Nelly, małego miasta oddalonego o około dwadzieścia kilometrów od granicy panamskiej. Chcę

zostawić ich samych dopiero w ostatniej chwili, żeby upewnić się, że wszystko idzie dobrze.

Jest małe ryzyko: moment przekraczania ze złotem granicy. Bank w Kostaryce bowiem nie skupuje jeszcze złota po cenach międzynarodowych. Gdyby celnicy coś wyczuli, oznaczałoby to konfiskatę kruszcu, wysoką grzywnę, a może nawet więzienie. Po tylu wysiłkach byłby to naprawdę pech. Umieszczam nasze dwa kilo w oparciu fotela kierowcy. Małe są szansę, by skrupulatnie przeszukali kostarykański samochód. Udzielam ostatnich instrukcji:

— Sancho, ty odpowiadasz za złoto. Nie rozstawaj się z nim nigdy. Masz z nim spać i srać. Ty, Roberto, zapewniasz ochronę Sancha, ale złota nie dotykasz. Jasne?

Gruby Bask jest dotknięty, ale przytakuje. Mówię dalej:

— Tu jest adres Alda, to mój przyjaciel, Włoch, który mieszka w Panamie. Zaprowadzi was do Nata Mendeza, poważnego jubilera, który dobrze płaci. Inna sprawa: jak tylko sprzedacie złoto, wracacie natychmiast do San José, będę tam na was czekał. Nie wydawajcie za dużo, powodzenia.

Na lotnisku w Villa Nelly czeka nas przykra niespodzianka, samolot już odleciał. Następny będzie dopiero jutro. Villa Nelly jest zbyt obrzydliwe, by siedzieć tam choćby dwadzieścia cztery godziny, więc postanawiamy wracać do Golfito taksówką.

* * *

Po południu, w hotelu Delfina, jesteśmy z Diane w trakcie sjesty, kiedy do drzwi puka Dave.

— Wejdz.

— Nudzi mi się. Fajnie byłoby mieć trochę trawki. Naprawdę musisz? Wiesz, jestem sam i nudzi mi się.

Dobra, poczekaj na mnie w swoim pokoju. Przyjdę po ciebie. Diane, niezadowolona, zwraca mi uwagę:

— Jesteś zbyt miły dla Dave'a. Jutro wyjeżdżamy, mógłby chyba obejść się bez trawki jeden dzień.

— Masz rację, ślicznotko, i za parę dni stać mnie będzie na to, żeby się ich pozbyć. Ja też chciałbym być sam z tobą.

Dzwonię do Fernanda, mojego zwykłego dostawcy. Umawiamy się za godzinę w Las Cabinas Tortugas, spokojnym miejscu przy wyjeździe z Golfito.

Kiedy przyjeżdżamy, Fernando już czeka. Przywiózł pół kilo mango-rosa. To o wiele za dużo, ale kupuję, bo Fernando nie jest drobnym handlarzem. Zajmuje się hurtem i ma szereg plantacji rozrzuconych w dżungli na Osa; jeśli przyjechał, to głównie po to, żeby zrobić mi przyjemność.

* * *

Samolot odlatuje o dziewiątej rano, a ten kretyn recepcjonista nas nie obudził. Podczas gdy Diane pakuje rzeczy, biegnę obudzić Dave'a:

— Pośpiesz się, jesteście spóźnieni. Trzeba to zakopać — mówię, podając mu paczkę trawki. — Wziąłem trochę, mam w slipach.

— Nie ma sensu, wezmę to ze sobą. Skoro mam spluwę, mogę mieć i trawkę.

— Jaką spluwę?

— No tak, trzydziestkę ósemkę Roberto. Prosił, żebym ją trzymał na wypadek gdybyśmy nie wrócili na półwysep.

— Ale z was durnie! Nie po to Sancho i ja zostawiliśmy naszą broń w Las Palmas, żeby teraz ryzykować z twoją.

— Nie bój się, Juan Carlos, biorę wszystko na siebie.

— Nie będziemy teraz tracić czasu na dyskusje, jesteście już spóźnieni. Rób jak chcesz!

Męczące jest ciągle dawanie rad, poza tym nie mam ochoty być matką kwoką. Niech sobie sam radzi!

Kiedy przyjeżdżamy na lotnisko, samolot już czeka. Taksówka zostawia nas jakieś sto metrów od czegoś w rodzaju hangaru, który służy za poczekalnię, po drugiej stronie pasa. Idąc w tym kierunku, z torbą w ręku, zdaję sobie sprawę z dużej ilości mundurów dookoła. Zawsze jest tu policjant, ale dziś doliczam się sześciu. Idę usiąść na ławce i obserwuję niecodzienne ożywienie, panujące na tym wiejskim lotnisku. Po mojej prawej niski, metrowy murek wyznacza granicę poczekalni; przede mną znajduje się okienko, gdzie odbywa się rejestracja pasażerów; naprzeciwko, po prawej, stoi stół, przy którym gliny przeszukują bagaże. Nie robią tego systematycznie, ale jest nas troje Europejczyków i możemy być pewni, że

padnie na nas: czuć kłopoty na odległość. Staram się wyglądać obojętnie i mówię do Dave'a, który siedzi obok mnie:

— Trzeba się pozbyć trawki, bo będziemy przeszukiwani. Najlepiej przerzucić ją dyskretnie za murek. Potem wsiadamy osobno, nie wstawaj razem ze mną.

— Ale trawka jest zawinięta razem z rewolwerem!

— Wyrzucić wszystko!

Zasłonięty przez Diane przerzucam moją małą paczuszkę trawki przez mur. W krajach latynoskich rewizje w tak intymnych miejscach są rzadkością, ale nigdy nie podejmuję zbędnego ryzyka. Podczas gdy Dave wstaje, Diane i ja idziemy ku stołowi przeszukać. Tak jak przewidywałem, sprawdzają nas. Kiedy przeszukują moją torbę, rozglądam się dyskretnie dookoła i widzę, że Dave'a nie ma na sali. Idziemy do samolotu, kiedy go dostrzegam. Jest o pięćdziesiąt metrów od baraku i wraca do poczekalni, w asyście dwóch gliniarzy.

— Kurwa, co za dureń!

Domyślam się, że ten palant nie chciał po prostu wyrzucić rewolweru i próbował oddalić się, żeby go schować. Tak jakby facet łązący samotnie po lotnisku mógł nie zwrócić na siebie uwagi! Miejscowi gliniarze są głupi, ale wszystko ma swoje granice!

Jest zielony ze strachu. Po jego minie poznaję, że nie miał czasu pozbyć się czegokolwiek. Tylko cud może go uratować. Wmieszany w grupę innych pasażerów, którzy obserwują tę scenę dziesięć metrów dalej, patrzę, jak kłopoty zbliżają się wielkimi krokami. Teraz gliny przeszukują jego rzeczy i znajdują, zawinięte w spodnie, najpierw rewolwer, potem trawkę. Otaczają go natychmiast z bronią w pogotowiu.

Teraz już wpadł, i to po uszy. Co za pech! Nie mogę nic dla niego zrobić, a już na pewno interweniować. Zastanawiam się, do jakiego adwokata zwrócić się o pomoc, kiedy ten kretyn, ten idiota, robi najgłupszą, najbardziej nieprofesjonalną z możliwych rzeczy: przywołuje mnie wielkimi machnięciami ręki. Dureń! Niewiarygodny dureń! Typowa reakcja ogarniętego paniką dziecka. Co ja niby mam zrobić?

Zaskoczeni gliniarze spoglądają na mnie i jeden z nich kiwa na mnie, żebym podszedł. Szepczę dyskretnie do Diane, żeby się nie ruszała, i idę.

Zbliżając się do nich staram się opanować rosnącą wściekłość, ale nie mogę się pohamować, by nie warknąć na Dave'a:

— I co bałwanie, udało ci się!

— Zna pan tego człowieka? — pyta mnie najstarszy stopniem gliniarz, ciemnawy, o aroganckiej mordzie.

Tak, trochę.

— Jesteście razem?

— Nie, spotkaliśmy się tutaj.

Staje się cud, moja odpowiedź wydaje się mu wystarczać. Są zadowoleni, że mają ofiarę, i nie zajmują się już moją osobą. Są cali podnieceni i zatrzymują odprawę pasażerów. Potem ładują Dave'a, cały czas pod lufą, do jeepa i znikają nawet na mnie nie spojrzawszy. Zostaje tylko jeden, w cywilu, w ciemnych okularach. Taki błąd z ich strony jest raczej wyjątkowy i może się zdarzyć tylko w takim bananowym kraju. Ale mam doświadczenie w podobnych sytuacjach i wiem, że to tylko odroczenie. Na pewno znajdzie się jakiś oficer mniej tępy od innych, który zada sobie pytanie, czy Dave rzeczywiście był sam, i zareaguje bardziej inteligentnie. Korzystam z tej chwili wytchnienia, żeby przekazać całą forszę Diane.

— Zaraz po mnie wrócą, ślicznotko. Musimy się rozstać. Jeśli uda ci się przedostać, wsiadaj do samolotu jak gdyby nigdy nic. Nie martw się o mnie, porozumiem się z tobą za pośrednictwem Jean-Paula.

— Jesteś pewien, że wrócą?

— Całkowicie pewien, jeśli samolot nie odleci w ciągu dwóch minut, jestem ugotowany.

Rzeczywiście, po pięciu minutach jeep wraca na pełnym gazie. Wyskakują z niego i mierzą do mnie. Musiał ich ktoś opieprzyć i czuję, że są wściekli. Bardzo uważam, żeby nie robić gwałtownych ruchów, bo wyczuwam, że nie są pewni siebie i w każdej chwili mogą strzelać. Podczas gdy jeden z nich szybko mnie rewiduje, widzę, jak gliniarz w cywilu daje im znak, żeby zwinęli również Diane. Ty skurwysynu! Tego się najbardziej obawiałem.

W jeepie mam czas pocieszyć Diane.

— Wszystko będzie dobrze, o niczym nie wiesz, nic nie rozumiesz i to wszystko.

Po przyjeździe, na posterunek rewidują mnie ponownie i zamykają w jednej celi z Dave'em. Drugi błąd. Diane siedzi w biurze i ledwo mam czas dać jej znak, że wszystko w porządku.

* * *

O tym, że wszystko w porządku, zupełnie nie jestem przekonany i czuję do Dave'a straszną nienawiść wchodząc do celi. Rzadko zdarzało mi się tak bardzo chcieć kogoś zabić. Staram się jakoś sobie wytłumaczyć, że nie należy rozwalać go od razu o ścianę. To, że narobił mi kłopotów... to ryzyko zawodowe, ale że narobił ich Diane, to co innego. Nie po raz pierwszy znajduję się w takiej sytuacji, ale pierwszy raz zdarza mi się, że zamieszana zostaje moja towarzyszka. Zwykle, kiedy czuję niebezpieczeństwo, odsuwam osoby, na których mi zależy, i sam wychodzę na pierwszą linię. Reakcja Dave'a była zbyt kretyńska, żebym mógł ją przewidzieć. To właśnie przez ten łańcuch głupstw: zabranie rewolweru, trawki, to idiotyczne machanie do mnie, właśnie przez to Diane teraz jest tutaj. Doprowadza mnie to do szału, bo znam latynoamerykańskie pudła i wiem, że jest się czego obawiać.

Kiedy drzwi zamykają się za mną, zapada długa cisza. Jeśli tylko Dave otworzy mordę, nie potrafię się pohamować. Czuje to i milczy. Patrzę na niego. Siedzi tu przede mną, przybity, ze łzami w oczach. To gnida, chłopaczek zagubiony w czymś, co go przerasta. Prawie czuję dla niego litość i to go ratuje.

Po dłuższej chwili przerywa milczenie:

— Przepraszam — mówi, nie podnosząc głowy.

— Nie chcę twoich przeprosin. Zrobiłeś swoje, teraz trzeba się stąd wydostać.

— Nie masz do mnie żalu?

— Mam do ciebie dużo żalu, ale policzymy się później. Na razie chcę ograniczyć straty. Trzeba skorzystać z tego niesamowitego błędu, jaki popełnili wsadzając nas razem. Nadstaw uszy, kutasie, powiem ci, co masz dalej robić.

Mówię do niego przez dwie godziny. Staram się przekazać mu doświadczenie całego życia pełnego przygód i aresztowań. Przede wszystkim nie załamywać się. Trzeba ponosić konsekwencje swoich błędów. Jestem przyzwyczajony do przemocy, a teraz już wiem, że on nie jest.

— Jeśli zorientujesz się, że przesłuchanie będzie brutalne, jeśli zaczną bić, nie trać czasu, rzuć się na nich. Twoja jedyna szansa to stracić przytomność jak najszybciej, żeby nie czuć bicia. Jak zrobisz tak dwa albo trzy razy, zaczną cię szanować.

— Myślisz, że może być aż tak źle?

— Szczerze ci mówię, nie mam pojęcia. W tym kraju nigdy nie byłem aresztowany. Na pierwszy rzut oka nie wyglądają zbyt groźnie, ale na tym kontynencie gliny to zawsze skurwysyny. Więc lepiej być gotowym na wszystko. Trzeba przygotować swoją wersję, żeby to się trzymało kupy. Po pierwsze, zaprzeczam jakiegokolwiek współpracy z tobą, ledwo cię znam i to wszystko. Żeby móc działać skutecznie, muszę być na wolności z Diane. Natomiast posłuchaj mnie dobrze! Jeśli zrobisz wszystko tak, jak ci mówię, dam ci słowo honoru mężczyzny, że wydostanę cię stąd obojętnie jakimi środkami, niezależnie od tego, ile trzeba będzie zapłacić czy jakie wysiłki w to włożysz. Możesz mi zaufać, rozumiesz?

— Rozumiem.

— Ale jeśli załamiesz się, jeśli mnie wydasz albo znów popełnisz jakiś idiotyzm, pogrążę cię i dostaniesz dwadzieścia lat. W tej sprawie także możesz mi zaufać. Jasne?

— Jasne, Juan Carlos.

— Dobra, a teraz wbij to sobie dobrze do głowy. Nikogo nie możesz wydać, a zwłaszcza tego od plantacji. Jeśli nasza sprawa zbyt się rozrośnie, nie będzie już można nic zrobić. Trzeba, żeby było jak najmniej reperkusji. Przygotuj sobie rysopis faceta, który sprzedał ci trawkę. Najlepiej opisać jakiegoś twojego kumpla, w ten sposób nie będziesz się plątał w zeznaniach. Ale to nie może też być zbyt dokładnie. Przygotuj sobie jakąś porządną historyjkę: jak do ciebie podszedł, gdzie dobiliście targu itd. A przede wszystkim podkreślaj, że to tylko do własnego użytku. To bardzo ważne, bo tutaj są bardzo ostrzy dla handlarzy.

— A broń?

— Broń jest mniej ważna. Wymyśl jakiegoś innego faceta, na przykład turystę, który ci ją sprzedał przed odjazdem.

Wymyślam dla niego historyjkę, każę mu ją powtórzyć kilkakrotnie, żeby upewnić się, że nie będzie pomyłek. To dzieciak, może się załamać, a

wszystko zależy od tego, jak się zachowa. Co za szczęście, że zamknęli nas razem!

Po dwóch godzinach gliniarz otwiera drzwi.

— Ty — mówi, wskazując na mnie palcem — chodź za mną!

Daję ostatnią radę Dave'owi:

— Przede wszystkim nie daj się nabrać na klasyczne kawałki z łagodnością i obietnicami. Pamiętaj, że to wszystko skurwysyny. Powodzenia, mały!

Podczas gdy strażnik zamyka drzwi celi Dave'a, pytam go:

— Gdzie moja żona?

— Z nią wszystko dobrze. Nie martw się.

Nie wygląda na zbyt rozgarniętego i staram się wyciągnąć z niego jak najwięcej.

— Dokąd idziemy?

— Zmieniamy ci celę. Opieprzyli nas za to, że byliście razem.

— Kto was opieprzył?

— Ci z Narkotyków. Zawiadomiliśmy ich. Dwóch ma dzisiaj przylecieć samolotem. Jesteście terrorystami?

— Nie, dlaczego?

— Bo tydzień temu porwano samolot z Liberii. Dlatego teraz wszystkich sprawdzają.

Co za pech! Wpaść przez prawdopodobnie jedyne porwanie samolotu, jakie kiedykolwiek miało miejsce w Kostaryce! Siedząc w górach oczywiście nie czytałem gazet.

Strażnik zamyka mnie w celi sąsiadującej z celą Dave'a. To naprawdę zawodowcy... Zresztą nie mam mu już nic do powiedzenia. Zaczynam się poważnie obawiać o Diane. Wielokrotnie aresztowano mnie w tych niedorozwiniętych krajach i wiem, do czego potrafią być zdolni gliniarze. Świadomość, że jest się w ich rękach, poczucie bezsilności, doprowadzają mnie do szaleństwa, i łażę w kółko po moim lochu. Wiem, że Diane ma wystarczającą siłę charakteru, żeby zaimponować tym, kretynom, ale mimo wszystko...

Czas upływa i muszę się zrelaksować. Kładę się na kawałku tektury i staram się rozluźnić. Co za kurestwo! Kiedy wszystko się tak dobrze układało i moje wysiłki miały przynieść rezultaty! Teraz mogę stracić wszystko, w tym

także wolność. A wszystko przez głupotę jakiegoś szczeniaka. I ten cholerny Roberto! Pośrednio to on jest wszystkiemu winien.

Jest noc, kiedy otwierają się drzwi i budzę się z drzemki. Tym razem prowadzą mnie do biura, zakładają mi kajdanki. Po drodze dostrzegam Diane, siedzącą samotnie w jakimś pokoju. Wygląda na całkowicie odprężoną i daje mi znak ręką, z kciukiem podniesionym do góry: wszystko w porządku.

Wielki kamień spada mi z serca. Niesamowita Diane, wodzi ich pewnie za czubek nosa. Jestem znów pełen animuszu, kiedy wchodzę do biura, gdzie czeka na mnie dwóch agentów z Narkotyków. Zaskakuje mnie ich wygląd. Są młodzi, mają długie włosy i wyglądają jak Randall i Hopkirk w wersji latynoskiej. Najwyraźniej oba te błazny nie przyjechały tutaj dla zabawy, bo natychmiast przystępują do ataku najklasycznější metodą:

— Wiemy wszystko, nie próbuj nas oszukiwać, bo to nie ma sensu. Jeśli powiesz prawdę i będziesz współpracował, postaramy się, żebyś nie miał kłopotów. Jesteś w gównie po uszy, więc staraj się nie wpaść głębiej! Jasne?

— Jasne!

— Kto ci sprzedał trawkę?

To nie moja trawka. Nie mam nic wspólnego z tą sprawą.

— Nie wiedziałeś, że twój kolega miał to przy sobie?

— Absolutnie nie. Prawie go nie znam, spotkaliśmy się w Gofito przypadkiem.

— Ale palisz trawkę, prawda?

— Skąd, nigdy w życiu.

— A to co jest? — mówi jeden z nich i pokazuje mi maszynkę do skrętów i paczkę bibułki.

Cholera, zapomniałem o tej maszynie, była w torebce Diane. Nigdy jej nie używam, to przede wszystkim pamiątka. Trzeba przede wszystkim chronić Diane.

Glina zauważył moje zmieszanie i nalega.

— No więc, palisz?

— Tak, bardzo dużo i od dawna. Urodziłem się w Maroku, a tam jest to na wpół legalne. W mojej rodzinie wszyscy palą, ojciec, dziadek, ja sam odkąd miałem czternaście lat, nie uważam tego za przestępstwo.

Widzę, że są zaskoczeni moją odpowiedzią. Nie wyglądają groźnie, a wiem, że pierwsze pięć minut decyduje o wszystkim. Jeśli uda mi się wyrwać

ich z ich roli, jeśli potrafię nawiązać rozmowę jak mężczyzna z mężczyzną, jestem pewien, że szybko ich opanuję. Więc drażę dalej:

— Rozumiecie, mieszkam na Osa. Szukam złota. Nie wiem, czy znacie tamte strony, ale to paskudna okolica. Pełno węży, komarów i innych świństw. Trawka to dla mnie środek nasenny.

— Mieszkasz na Osa? Znamy półwysep, jeździmy tam czasem, żeby tropić plantacje. Fakt, że to piekło. Gdzie mieszkasz dokładnie?

— W Cerro de Oro.

— A, tak, wiem. To nad Rincon, prawda?

Zupełnie zapomnieli, po co ta rozmowa. Rozmawiamy teraz o półwyspie, o zakątkach, które znają. Wiem, że już nie ma problemu, że wszystko będzie dobrze. To mieszcuchy i leserzy. Dla nich Osa to ciężki kawałek chleba i potrafią docenić wartość faceta, który mieszka tam na stałe. Uważają to za wyczyn: Europejczyk, któremu udaje się tam przeżyć! Atmosfera rozluźnia się całkowicie, można wyczuć nawet nić sympatii między nami. Oczywiście, od czasu do czasu zadają mi pytanie o trawkę, ale to resztki zawodowych przyzwyczajzeń. Mają Dave'a i to im wystarczy.

Dla zasady próbują jeszcze raz:

— Ta trawka miała zostać sprzedana w San José?

— Daję wam słowo, że nie. Ja tym nie handluję. Mój biznes to złoto. Ćpam, ale nigdy nie handlowałem narkotykami.

To zresztą prawda, nigdy nie zajmowałem się handlem narkotykami. Nigdy też nikogo nie namawiałem do brania.

— W porządku, jesteś wolny. Twoja żona też. Nie wnosimy przeciwko tobie żadnych zarzutów.

Czuję się szczęśliwy i dziękuję im.

Kiedy chcą zdjąć mi kajdanki, powstaje zamieszanie. Wyjeżdżając w pośpiechu z San José zapomnieli zabrać kluczyków. Gdyby to świństwo nie obcierało nadgarstków, sytuacja byłaby nawet komiczna.

— Słuchajcie, przepiłujcie te kajdanki, zapłacę za nie.

— To nie takie proste, możemy dostać za to naganę.

— To co zrobimy? Są za ciasne i obcierają mnie.

— Pójdź nam na rękę, poczekaj do jutra. Załatwimy jakiegoś ślusarza. Powiemy twojej żonie, żeby przyniosła coś do jedzenia, i damy wam jakiś wygodny kąć na dzisiejszą noc.

Sytuacja się odwróciła, teraz oni mi dziękują za wyrozumiałość. Jest to dość zabawne, ale mimo wszystko wolałbym być już wolny.

Korzystam z mojej nowej sytuacji, żeby upomnieć się o Dave'a.

— Nie bądźcie zbyt ostrzy z tym chłopakiem, nie jest taki zły.

— Nic się nie bój, zrobimy tylko tyle, ile będzie trzeba. Poczekaj w stołówce, przyprowadzę ci go później.

Ponad godzina czekania w napięciu. Jeśli Dave dobrze zapamiętał lekcję, wszystko pójdzie dobrze. Wierzę, że tak będzie, bo Dave jest sympatyczny, a ci dwaj nie są świniami.

Czuję się już dużo lepiej, kiedy przynoszą mi niesamowitą wyżerkę, pięć pieczonych kurczaków, które kupiła Diane. Zabieram się za drugiego, kiedy wchodzi Dave. Jest uśmiechnięty i wygląda dobrze.

— I co, bez kłopotów?

— Zupełnie. Powiedziałem dokładnie to, co mi kazałeś, i wszystko poszło dobrze. Nie byli tacy straszni, jak opowiadałeś — dodaje.

Ty mały cwaniaczku. Nie zapominaj, że rozmawiałem z nimi pierwszy i że zrobiłem główną robotę. A teraz jedz!

— Wiem. Mówili mi, że cholernie się ciebie bali. Dlatego nałożyli ci kajdanki. Faktycznie, przy ich posturze musieli nabrać sporych kompleksów.

Wrócił już całkowicie do siebie i nawet udaje mi się go rozśmieszyć, kiedy opisuję mu, jak wyglądał na lotnisku. Zaprosiłem na kolację obu agentów z Narkotyków, ale odmówili ze względu na pozostałych gliniarzy. Kiedy pijemy kawę, zjawia się gruby sierżant, ogląda moje nadgarstki i proponuje spróbować otworzyć zamek bez klucza. Przez pół godziny męczy się nad tym, bez powodzenia, i opowiada mi pochlebne rzeczy o senor Monge, faworycie w zbliżających się wyborach prezydenckich. Nie bardzo rozumiem, dlaczego zwraca mi tym głowę, ale potakuję wszystkiemu, co mówi.

Dave wrócił już do celi, a ja jestem zmęczony i chcę spać. Jeden z agentów, Luis, przygotowuje dla mnie posłanie, trochę improwizowane, ale wygodne. Jest bardzo miły i zupełnie nie wygląda na inspektora. Ze swoimi kręconymi blond włosami do ramion przypomina raczej hippisa. Czuje sympatię do Dave'a i widać, że jest skrepowany całą tą historią. Pytam go:

— Co teraz zamierzacie zrobić?

— Musimy wysłać raport do San José. Będziemy próbowali maksymalnie złagodzić zarzuty przeciwko Dave'owi, ale nic więcej zrobić nie

możemy. Cała ta sprawa narobiła tam hałasu i nie można teraz tego zatuszować. No, dobranoc, Juan Carlos.

— Cześć, Luis, i dziękuję za wszystko.

Rano, po nadzwyczaj niewygodnej nocy, zostaję wreszcie uwolniony z kajdanków. Luis sprowadził klucz od kolegi z innego wydziału. Mogę więc opuścić posterunek, uściskawszy niezliczoną liczbę dłoni. Poznany poprzedniego wieczoru gruby sierżant odwozi mnie jeepem do hotelu w Golfito, gdzie zamieszkała Diane. Zanim się rozstaniemy, ściskając dłonie po raz trzeci, prosi, abym o nim nie zapomniał. Nie rozumiem, o co mu chodzi, ale obiecuję.

Po tych długich chwilach niepokoju trudno opisać radość, jaką Diane i ja odczuwamy będąc znowu razem. Biorę prysznic, a ona opowiada:

— Byli dla mnie bardzo mili od początku do końca. Nie są pewnie przyzwyczajeni do Europejczyków.

— Bardzo się o ciebie bałem.

— Miałam szczęście. W pokoju, gdzie mnie trzymali, był telewizor i nadawali właśnie jakieś przemówienie Monge. Bez żadnych specjalnych zamiarów powiedziałem: „*O, Monge.*” Gliniarz popatrzył na mnie jakoś dziwnie i zapytał, czy go znam. Skorzystałam z okazji i powiedziałam mu, że mój mąż zna go trochę, bo robił interesy z Partido del Pueblo Unido. Jego stosunek do mnie zmienił się natychmiast, stał się prawie służalczy i rozkazał innym, żeby dali mi spokój.

— Brawo, ślicznotko, dobrze to rozegrałaś. Teraz rozumiem, dlaczego ten dureń sierżant zanudzał mnie gadaniem o Monge, po prostu chciał się podlizać. Gdyby tylko wiedział!

* * *

Po zasłużonym odpoczynku idę odwiedzić Dave'a. Został przewieziony do więzienia w Golfito. Budynek jest malutki: poczekalnia z barierką pośrodku, drzwi wychodzące na patio, wokół którego rozmieszczone są cele, w głębi hangar i wszystkiego dwóch strażników.

Dave nie wygląda już tak świeżo, jak wczoraj.

— Jak tam? Nie wyglądasz najlepiej.

— Strasznie tu brudno. Widzisz te cele tam z tyłu? Są zalane. Wszyscy siedzimy w hangarze.

— Kupię ci, co potrzeba. Chcesz prześcieradła? Koce?

— Tak, i materacyk piankowy, jeśli gdzieś znajdziesz. Do spania nic nie dają.

— Dobra, zajmę się tym, niedługo ci przyślę przez kogoś. Coś jeszcze?

— Trochę forsy. Są tu tacy cwaniacy, co sprzedają z zewnątrz fajki. Podają je przez szpary w deskach.

— Dobra, ale uważaj, twoja sprawa jest poważna. Dobrze się zachowałeś, w porządku, główne niebezpieczeństwo minęło, i dałem słowo, że cię wydostanę: dotrzymam go. Więc postaraj się dalej trzymać.

— Dziękuję, mam do ciebie zaufanie.

— A propos, nie masz problemów z innymi więźniami?

— Nie, wszystko w porządku. Jest tylko dwóch takich, co udają twardych ludzi.

— Zawołaj ich tu, pogadam z nimi.

Wiem, że w zamkniętym pomieszczeniu, jakim jest więzienie, zawsze znajdzie się paru kretynów, i że sprawą podstawową jest, żeby od początku się postawić. Ci dwaj to płotki, od dwudziestu do dwudziestu pięciu lat, nie są niebezpieczni, ale głupi. Daję każdemu papierosa.

— Posłuchajcie mnie uważnie. Dave to mój brat. Nie zostanie tu długo, ale jak będziecie mu bruździć, to się z wami policzę, jasne?

— Jasne.

Gliny przysłuchują się temu i podoba im się moja postawa. Jeden z nich daje mi znak, że nie będzie kłopotów.

* * *

Jest już późno tej nocy, kiedy ktoś puka do drzwi naszego pokoju. To Fernando, handlarz trawką. Słyszał o naszych kłopotach i zapewne nie spał od wczoraj. Nie bardzo wie, jak zacząć, więc od razu odpowiadam na pytanie, które go dręczy.

— Możesz się nie obawiać, nikt nie wymienił twojego nazwiska. Nie jesteś w ogóle zamieszany w tę sprawę, możesz spać spokojnie. Ale na przyszłość nie rób takich głupstw, żeby przychodzić do mnie do hotelu, nawet w nocy.

— Wiem, ale nie mogłem się z tobą skontaktować, a muszę wiedzieć. Jesteś pewien, że nie będę miał kłopotów?

— Dlaczego miałbyś mieć? Nikt cię nie wydał.

— Dziękuję ci.

— Nie ma za co, to normalne. Muszę teraz wyciągnąć z pudła chłopaka, zanim przeniosą go gdzie indziej. Jaki jest najlepszy adwokat w Golfito?

— José Araya. Jest doskonały, ale bardzo drogi. Jest naprawdę najlepszy i wyciągnął mnie już parę razy z takich historii. Ma świetne stosunki ze wszystkimi osobami w mieście. Jego biuro jest na dole. Jeśli chcesz, spotkamy się jutro o dziewiątej u niego. Jest moim adwokatem, więc nikt się nie zdziwi, że do niego przychodzę.

— Doskonale. A teraz lepiej, żebyś zniknął.

Wychodząc odwraca się:

— Tu mało kto potrafi trzymać język za zębami. Więc gdybyś potrzebował forsy na adwokata albo jakiejś pomocy, możesz zwrócić się do mnie. Jestem ci to winien.

— Forsy mam dość. Gdybym czegoś potrzebował, zawiadomię cię, nie ma sprawy. Dobranoc.

— Dobranoc, do jutra.

* * *

Następnego dnia punktualnie o dziewiątej jestem u adwokata. Zgodnie z umową poczciwy Fernando już czeka. Na pewno mówił już o mnie, ale przedstawia mnie mimo wszystko:

— To porządny facet. Trzeba mu pomóc. Zasluguje na to.

Adwokat to duży, tłusty facet o twarzy kruka. Jego żywe oczka przypatrują mi się uważnie zza wielkich okularów. Wygląda na maksymalnie skorumpowanego, właśnie kogoś takiego szukam. W tych krajach uczciwy adwokat dużo nie zarobi. Im więcej bierze, tym więcej ma szans przeprowadzić swoją sprawę, pod warunkiem, że mu się dobrze zapłaci. Ci faceci mają szósty zmysł wyczuwający forszę i senior Araya nie jest wyjątkiem.

— Pańska sprawa jest poważna, to więcej niż przestępstwo. Czytał pan dzisiejszą „*La Cronica*”?

Podaje mi miejscową gazetę. Na trzeciej stronie jest artykuł o złapaniu trojga niebezpiecznych europejskich terrorystów, zatrzymanych z bronią i narkotykami. Jest to źle napisane, ale ma swoją wymowę. Artykuł nie jest długi, miewałem lepsze notowania w innych krajach. Oddaję mu gazetę i oświadczam:

— To nic strasznego, ludzie szybko zapominają o takich sprawach.

— Ludzie tak, ale nie aparat sprawiedliwości. Jak już kogoś mają, nie chcą go puścić. Trudno będzie bronić w tej sprawie.

Normalna technika, przyciemnia obraz ile się da. Żeby zyskać na czasie, pytam go:

— Więc co pan proponuje?

— Najlepiej byłoby załatwić umorzenie, a potem postarać się, żeby akta zaginęły. Sędzia to mój przyjaciel z lat dziecińczych. Ale to nie będzie łatwe, on tak bardzo kocha pieniądze... Nie wiem, czy będzie pan w stanie zapłacić...

Przerywani grubemu cwaniakowi:

— Proszę pana, nie będziemy nic owijać w bawełnę. Chcę, żeby ta osoba została zwolniona przed końcem tygodnia i mogę za to zapłacić panu dwadzieścia tysięcy dolarów.

Ogrom sumy przyprawia go o dreszcz, w Kostaryce to fortuna. Wiem o tym, ale nie będę się targował o czyjąś wolność. Muszę dotrzymać słowa i uważałbym za sknerstwo ścibolić jakieś grosze, kiedy Dave ma do mnie pełne zaufanie.

— Za taką cenę nie będzie trudności.

Mam nadzieję, w twoim własnym interesie, bałwanie!

— Wyplączę panu natychmiast dwa tysiące dolarów. Resztę otrzyma pan za cztery, najpóźniej pięć dni.

— Nie mogę panu dać pokwitowania, rozumie pan dlaczego...

— Nie jest mi potrzebne, nie wierzę w papierki. Ale chcę być dobrze zrozumiany: z chwilą, kiedy przyjmie pan te pieniądze, zobowiązuje się pan do uwolnienia małego przed końcem tygodnia. Po zawarciu umowy nie będę uznawał żadnych tłumaczeń ani oszustw. Nie mam jeszcze pary uszu adwokata w mojej kolekcji, ale mogę to uzupełnić.

— Doskonale rozumiem. Będzie wypuszczony przed końcem tygodnia.

Wychodząc z biura zdaję sobie sprawę, że to pokerowe zagranie. Jeśli adwokat nie dotrzyma słowa, będę musiał dotrzymać mojego. Pozostanie mi tylko strzelić mu w łeb i spróbować uciec za granicę, a przedtem siłą uwolnić Dave'a z więzienia.

* * *

Po południu i następnego dnia odwiedzamy Dave'a. Strażnicy przyzwyczaili się do naszych wizyt i do moich napiwków. Możemy z nim

rozmawiać bez nadzoru. Zdarza się nawet, że gadamy sobie przed wejściem do więzienia.

Rano trzeciego dnia przyjeżdżają dwaj Kanadyjczycy, których poznałem parę tygodni wcześniej w San José. Czytali o sprawie w gazetach i oto nadciąga kawaleria z odsieczą. Snują plany napadu na posterunek policji i wysadzenia więzienia w powietrze. Znowu dwóch twardzieli od siedmiu boleści, ładna mi odsiecz! Czuję się trochę śmiesznie z tymi dwoma niedoszłymi kowbojami, którzy łażą za mną wszędzie, i pozbywam się ich wysyłając obu do Puerto Jimenez, gdzie mają na mnie czekać.

Sancho i Roberto powinni być już w San José. Kiedy telefonuję do nich, wiedzą już o Dave'ie. Szybko zapewniam ich, że wszystko w porządku. Przede wszystkim trzeba nie dopuścić do paniki, pod wpływem której mogliby odmówić przyjazdu. Jeśli tylko Sancho domyśli się, co zamierzam zrobić z forszą, na pewno nie przyjedzie. Umawiam się z nimi na następny dzień rano w restauracji Miramar. Jest to spokojne miejsce poza Golfito.

Nazajutrz wszyscy się spotykamy. Widok grubego Baska, winnego całej tej sprawie, podsycy moją nienawiść. Krótko ucinam wszelkie rozważania na temat losu Dave'a:

— Tutaj wszystko w porządku. W Panamie sprawy poszły gładko?

— Tak, u nas też wszystko było w porządku — mówi Roberto śmiejąc się.

Poczekaj, tłusta świnió, mam dla ciebie niespodziankę.

— Musiałem ostro pilnować Roberto. Podejrzewam, że chciał ukraść złoto — oskarża Sancho.

— Zwariowałeś, czy co? — odpowiada gruby.

Zaczynają się kłócić, najwyraźniej mają się wzajemnie dość i jestem pewien, że Sancho mówi prawdę. Wtrącam się:

— Dobra, zobaczymy później. Ile dokładnie jest forsy?

— Dwadzieścia jeden tysięcy siedemset siedemdziesiąt pięć dolarów — mówi Sancho podając mi plik banknotów i kwit.

Szybko przeliczam i wkładam całość do kieszeni. Teraz, kiedy mam forszę w garści, możemy się porachować.

Trzeba się zająć Dave'em. Mogę go wyciągnąć z pudła, ale adwokat dużo żąda. Opłacę go z twojej części, Roberto, i z części Dave'a.

— Zaraz, bez wygłupów! Dlaczego z mojej części? Jak się wygłupił, to niech teraz płaci! Nie mam zamiaru tracić forsy, żeby go teraz stąd wyciągać.

Szmata, gotowa poświęcić kumpla dla forsy. Wiedziałem, że to łajza, ale nie sądziłem, że do tego stopnia. Wstaję i rozwalam mu pysk pięścią.

— Jesteś zwykły kutas. Wpędziłeś nas wszystkich w gówno, a teraz jesteś gotów porzucić kumpla, ty ścierwo!

Gruba świnia siedzi na ziemi z zakrwawioną twarzą, bierny i upodlony. Powiększa to moje obrzydzenie i kontynuuję lekcję kopniakami w mordę i korpus: nie ma sensu brudzić sobie rąk na tym gnoju. Ucieka w kierunku drogi na czworakach, poganiany kopniakami w dupę.

— Won stąd, kutasie. Żebyś cię tu nigdy więcej nie spotkał. Ostatni kopniak, popycham go w odpowiednim kierunku i patrzę, jak oddala się drogą, całkowicie zniszczony.

Sancho milczy. Ale czuję, że wewnątrz kipi z radości. Jego najgorszy wróg został wreszcie wyeliminowany.

Parę minut później jestem u José Araya, adwokata. Wyciągam osiemnaście tysięcy dolarów w banknotach studolarowych. Razem tworzy to na stole ładną kupkę forsy. Szmata jest wzruszony i drży, licząc pieniądze. Podejrzewam, że tak naprawdę cały czas w to nie wierzył.

— Przypominam panu naszą umowę — mówię mu. — Niech pan nie zapomina, że zostały cztery dni.

— Teraz to kwestia godzin, załatwimy wszystko bardzo szybko.

— Mam nadzieję. Proszę pamiętać, że jeśli nie dotrzyma pan swojej obietnicy, ja dotrzymam mojej.

Odprawia mnie do drzwi, cały ociekający służalczością. Jestem pewien, że użyczyłby mi swojego tyłka gdybym tego zażądał.

Kiedy wychodzę, podjąłem już decyzję. Jeśli Dave nie będzie wolny do końca tygodnia, załatwię to bez dalszych pośredników.

Mam już pewien pomysł, jak to zrobić. Postanawiam nie wtajemniczać nikogo, ale muszę mieć wolne ręce. Nie chcę narażać Diane na niebezpieczeństwo. Korzystam z tego, że mówi mi o bolącym zębie, i oświadczam jej:

— Wykorzystasz to, że siedzimy tu i nic nie robimy, i pojedziesz do dentysty do San José.

Jej kobieca intuicja, połączona z doświadczeniem, jakiego nabrała żyjąc u mojego boku, jest nieomylna.

— Nie mam ochoty jeździć teraz do San José. Dentysta może poczekać.

Moje niezadowolenie musi być widoczne, bo dodaje:

— Charlie, ty coś szykujesz.

— Kochanie, nie zmuszaj mnie, żebym kłamał. Muszę zostać sam i mieć wolne ręce. Wsiadaj jutro w samolot, będę do ciebie dzwonił codziennie.

* * *

Muszę teraz dopracować swój plan. Idę do Wayne'a. Potrzebuję jego pomocy i wiem, że umie dochować tajemnicy. Poza tym temu byłemu komandosowi mój pomysł powinien się spodobać.

Siedzi w domu, oczywiście z butelką w ręku.

— Cześć, Wayne.

— Cześć, Juan Carlos, co nowego? Ciągłe w gównie?

— Tak, właśnie dlatego przyszedłem. Masz w tej chwili jakąś broń?

— Bardzo mało. Wszystko idzie do Nikaragui.

— Potrzebowałbym dynamitu, znajdzie się trochę?

— Mam kilka lasek. Widzę, że zabierasz się poważnie do rzeczy!

Chcesz wysadzić w powietrze Golfito?

— Nie, tylko adwokata i może więzienie.

— Fantastycznie! Chcesz, żebym ci pomógł?

— Nie, dziękuję.

Wstaje. Poczciwy Wayne, to naprawdę równy facet. Chodzi po pokoju, podaje mi jakieś pudełka.

— Mam osiem lasek dynamitu, pięć zapalników, sporo lontu. Jaka długość będzie ci potrzebna?

— Mniej więcej na piętnaście minut, to wystarczy.

— Mam też kamizelkę kuloodporną, jeśli chcesz, i mogę ci dać czterdziestkę piątkę.

— Nie, wystarczy. Nie mam zaufania do pistoletów, zbyt łatwo się zacinają.

— Nie potrzeba ci nic innego? Co masz zamiar zrobić?

— Wysadzić w powietrze adwokata i skorzystać z zamieszania, żeby uwolnić Dave'a. Odwiedzę go o trzeciej. Podczas sjesty jest tylko jeden stary strażnik. Jak tylko przyprowadzi mi Dave'a, wyciągam spluwę i daję mu w

łeb. W jego wieku nie powinien być zbyt wytrzymały. Lubił mnie, będzie miał niespodziankę swego życia. Na zewnątrz będzie czekał samochód, którym zwiejemy do portu. Tam bierzemy łódź i płyniemy do Punta Burrica, potem parę godzin przez dżunglę i jesteśmy w Panamie.

— To powinno dać się zrobić. Jesteś pewien, że będzie tylko jeden strażnik?

— Jeden czy dwóch, to wszystko jedno, wystarczy dla wszystkich.

— Jesteś pewien, że nie potrzebujesz pomocy? Mógłbym na przykład zająć się adwokatem.

— Nie, obiecałem mu, że sam się nim zajmę. Przywiążę go do krzesła, wsadzę mu laskę w usta i parę do kieszeni i zapalę lont na piętnaście minut. Akurat tyle będzie mi potrzeba na resztę działań.

— Ja bym mu wsadził dynamit w tyłek — mówi Wayne w zamyśleniu — przypomina mi to różne przyjemne rzeczy. Mam też dwa szwajcarskie paszporty, gdybyś chciał.

— Jasne, powiedz, ile ci będę winien. Zostawię to wszystko tutaj, przyjdę zabrać tuż przed akcją.

— Zapłacisz mi, jeśli dotrzesz do Panamy. Ale koniecznie zawiadom mnie, zanim zaczniesz. Weźmiemy z żoną trochę kokainy i pójdziemy napić się piwa w pobliżu, żeby obejrzeć widowisko. W Golfito rzadko coś się dzieje.

— Dobra, Wayne, obiecuję.

* * *

Następnego dnia rano odprowadzam Diane na lotnisko. Czuję, że jest niespokojna i staram się jak mogę odwrócić jej uwagę. Daję jej dość pieniędzy, żeby w razie czego nie została na lodzie. Po odlocie samolotu wracam do hotelu, gdzie śpi jeszcze Sancho. Budzę go.

— Pojedziemy do Las Palmas, a potem do Puerto Jimenez. Czekają tam na mnie Kanadyjczycy. Jeśli się zgodzisz, damy im bombę* [* Silnik używany przy wydobywaniu złota] i zabierzemy ich do Karate. Znam tam jedną żyłę złota. To nam da trochę forsy. Musimy coś zarobić, bo adwokat nas splukał. — Idziemy odwiedzić Dave'a przed odjazdem. Na widok jego smutnej gęby rozumiem, że ma już dość.

— Uszy do góry, mały, już niedługo!

W Las Palmas odbieram spluwę, po czym z pomocą Alfreda i jego syna Carlito ładujemy silnik i rury od bomby do landrowera. Po dwóch godzinach jesteśmy w Puerto Jimenez, gdzie odnajduję moich Kanadyjczyków w barze Rancho de Oro. Są pełni entuzjazmu i znajdują wspólny język z Sanchem.

Sancho sparzył się na cudzoziemcach, ale czuje, że ci dwaj playboye z pustymi głowami nie są niebezpieczni. Jeśli się nimi dobrze pokieruje, mogą zrobić dobrą robotę. — Macie okazję zacząć przygodę. Zabieram was do Karate samolotem, przewieziemy sprzęt. Tam zostaniecie u mojego kumpla, Saltarany. On wam pokaże ciekawe miejsce do roboty i nauczy, jak się do tego zabrać.

Po dwudziestu minutach samolot jest gotów. Znów poleci z nami ten sam mały pilot. Tym razem trochę marudzi, kiedy ładujemy silnik i rury. Ma zresztą rację. Silnik jest czarny od smarów, ubłocone rury zajmują całą wolną przestrzeń, tak że musimy wyjąć fotele dla pasażerów. Jego ładny mały samolocik nagle wygląda mniej porządnie, i pilotowi zupełnie się to nie podoba. Siłą sadzam go za sterami i każę mu startować. Rury sterczą dookoła niego i krępują jego swobodę ruchów. Kładziemy się na nich i skręcając się ze śmiechu staramy się jako tako je unieruchomić, żeby w ogóle był w stanie pilotować. Nie udaje się jednak uniknąć, by jedna z rur nie uderzyła go w którymś momencie w kark.

Kiedy lądujemy w Karate, Saltarana czeka na nas. Szybko przedstawiam mu sytuację w trakcie wyładowywania samolotu. Następnie odlatujemy bez zbędnej zwłoki, bo zapada już noc. Kanadyjczycy są trochę zaskoczeni tempem działania, niech więc przyzwyczajają się od razu do warunków.

Noc spędzamy w Puerto Jimenez. O świcie, kiedy odpływamy łodzią do Golfito, Sancho zadaje mi pytanie, które dręczy go od pewnego czasu:

— Ile zapłaciłeś adwokatowi?

— Dwadzieścia tysięcy dolarów.

— Dwadzieścia tysięcy dolarów! Ależ to za dużo! Można było załatwić to dużo taniej!

— Nie mogłem targować się o wolność chłopaka. Może ty też wolałbyś, żeby został w pudle, co?

— Nie, nie. Ale przecież to cały nasz kapitał!

— Zawracasz głowę. Już się stało i nie żałuję tego, więc się przymknij. Mam inne sprawy do przemyślenia.

Postanowiłem przystąpić do akcji za dwa dni. Dłużej nie mogę czekać, bo jeśli przewiozą Dave'a do innego więzienia albo do San José, wszystko przepadnie. Poproszę Fernanda, handlarza trawką, żeby pożyczył mi samochód. Niech zgłosi, że mu go ukradli. Proponował mi swoją pomoc, powinien się zgodzić.

* * *

Zdarzało mi się już odwiedzać budynki państwowe z bronią w ręku, ale czuję się trochę podniecony. Pierwszy raz biorę się za więzienie. Wszystko ma kiedyś swój pierwszy raz. Jedyne, czego żałuję, to że trzeba będzie porzucić wszystko, co tutaj mamy. Tyle roboty na nic. Ale słowo jest słowem! Przy trybie życia, jaki sam sobie wybrałem, jeżeli nie dotrzymam tej obietnicy, nie będę mógł spojrzeć w lustro.

Z takimi myślami wracam do hotelu. Kiedy otwieram drzwi swojego pokoju, czeka na mnie niespodzianka: na moim łóżku Dave śpi jak małe dziecko. Adwokat dotrzymał słowa. Wayne będzie rozczarowany.

* * *

Tego samego dnia jedziemy do San José. Wolę nie zostawać zbyt długo w okolicy. Tak czy owak, trzeba podsumować sytuację, poza tym matka Sancha czeka na nas, żeby przejść do dalszego ciągu naszej operacji: musimy wszystko na nowo przemyśleć, z dwudziestu czterech tysięcy dolarów zostało nam już tylko trzy tysiące.

Poza tym, po przeżyciach ostatnich dni, każdy z nas potrzebuje trochę odpocząć. Odnajduję Diane, która jest szczęśliwa, że znowu jesteśmy razem, i odwiedzamy matkę Sancha. Dave wyjechał świętować swoje uwolnienie z jakąś przyjaciółką w San Pedro.

Pani Riviera nie jest przyjemnym partnerem do interesów. Projekty jej nie interesują, liczą się tylko wyniki. Spotkanie przebiega raczej chłodno, bo wysokość wynagrodzenia adwokata stanęła jej kością w gardle.

— Nie rozumiem, jak pan mógł użyć wspólnego kapitału dla pańskiego przyjaciela bez porozumienia z nami — zaczyna.

— Proszę pani, decyzje podejmuję wyłącznie ja i postępuję zgodnie z tym, co uważam za stosowne. Gdybym miał to zrobić jeszcze raz, zrobiłbym to. Proszę pamiętać, że gdyby chodziło o pani syna, zrobiłbym to samo. Nie chodzi tu o przyjaźń, ale o lojalność.

— No dobrze, stało się, jest za późno, żeby coś zmienić. Ale powiedz mi, Sancho, czy doprawdy konieczne było wynajmowanie samolotu, żeby przewieźć silnik do Karate, trzy kilometry dalej, i dlaczego nikt go nie pilnuje?

— Mamo, przecież wiesz, że dowodzi tu Juan Carlos...

Biedny mały Sancho drży przed swoją mamusią, jak przyłapany na gorącym uczynku uczeń. Diane i ja ledwo powstrzymujemy się od śmiechu. Wiedziałem, że to tchórz, ale do tego stopnia? Stara mówi dalej.

— A teraz proszę mi wyjaśnić sprawę tej spółki w stosunku czterdzieści pięć do pięćdziesięciu pięciu procent, podczas gdy my wnosimy praktycznie cały kapitał.

Zaczyna mnie wkurzać. Od czasu gdy zacząłem biegać szybciej niż mój ojciec, nikt nigdy nie wydawał mi rozkazów. Byłoby źle, gdyby moją grzeczność wzięła za słabość. Jeśli nadal będzie do mnie mówić takim tonem, to mimo swego wieku narazi się na parę niespodzianek... Przerwywam jej zdecydowanie.

— Proszę mnie posłuchać. Pieniądze można zrobić wszędzie. To nie problem znaleźć kogoś, kto chce zainwestować. Ja znam się na złocie i mam doświadczenie w dzungli, nie każdy może o sobie powiedzieć to samo. O spółkę prosił mnie pani syn, ja nikogo nie szukałem. Ale nie jest za późno, żeby zerwać umowę, nie zamierzam nikogo do niczego nakłaniać.

— Nie, nie miałam tego na myśli. Zresztą za bardzo się zaangażowaliśmy, żeby się teraz wycofać. Możemy współpracę ciągnąć dalej, ale pod jednym warunkiem: że Dave nie będzie już uczestniczył, jest zbyt nieodpowiedzialny.

— Nie. Nie po to wyciągnąłem tego dzieciaka z więzienia, żeby wyrzucać go na bruk bez grosza. Zamierzam trzymać go przy sobie, aż zarobi sobie paręset dolarów. Nie może być mowy o tym, żeby teraz go zostawić. Ale niech się pani nie obawia, nie mam zamiaru trzymać go wiecznie, to kwestia paru tygodni.

Ostatecznie decydujemy się kontynuować współpracę. Musimy zapewnić sobie wystarczająco duży teren, żeby się urządzić i rozpocząć wydobywanie. Ale wychodząc z tego spotkania nie mam już takiej wiary w przyszłość. Stara zdenerwowała mnie, nie mam ochoty na ustępstwa i straciłem cały szacunek dla Sancha, który jest zdecydowanie zbyt tchórzliwy.

Zostajemy kilka dni w San José, żeby skorzystać z dobrych restauracji i kin, po czym wracamy do Las Palmas.

Wszyscy tam wiedzą o aresztowaniu, a przy ich skłonności do przesady, Ticos sporo do sprawy dodali. Postanawiamy zostać na miejscu, żeby wybrać jakiś teren, ale atmosfera nie jest już ta sama. Nie wygłupiamy się jak dawniej, nie możemy szaleć, bo nie ma forsy, nie ma też już poczucia wspólnoty. O ile zacząłem czuć sympatię do Dave'a, o tyle Sancho budzi we mnie obrzydzenie.

Siedzimy tu od dwóch dni, kiedy pojawia się jeden z Kanadyjczyków, których zostawiłem w Karate. Schudł i porusza się z trudnością. Z tego, co mówi, wynika, że sprawy mają się tam źle.

— Zostawiłeś nas jak śmieci. Myśleliśmy, że szybko wrócisz. Zupełnie się nie znamy na złocie, a twój koleś Saltarana ma to gdzieś. To leser, nie kiwnął nawet palcem, żeby nam pomóc, nie wydobyliśmy ani grama.

Z trudnością zachowuje powagę. Fakt, że trochę chciałem się ich pozbyć. Całą operację ustawiłem na wypadek, gdyby adwokat dotrzymał słowa, ale tak dalece w to nie wierzyłem, pewien, że będę musiał wybrać drugie rozwiązanie i uciec z kraju, iż nie przywiązywałem w ogóle do tego wagi. Kiedy opadł entuzjazm, jaki ich ogarnął w samolocie, Kanadyjczycy musieli poczuć się trochę zagubieni na tej plaży, z silnikiem na głowie.

— Dobra, nic się nie stało. I tak potrzebuję silnika, żeby zacząć tu prace. Wracaj tam i powiedz Claude'owi, że przyjadę za parę dni.

— Nie wrócę tam, mam tego dość! Wystarczy mi wyprawa w tę stronę, rozwalilem sobie nogi. Dla mnie koniec z Osa. Wracam do San José.

Jego przygoda nie trwała długo.

* * *

Pojechałem dziś obejrzeć kawałek ziemi. Stary chłop chce wynieść się z okolicy razem ze swoim synem i sprzedaje swoje grunty. Otoczone dżunglą, na granicy parku narodowego, o trzy i pół godziny drogi pieszo od Las Palmas, mają powierzchnię stu hektarów i cena nie jest wysoka. Interesuje mnie to, bo pieniądze idą szybko. Nie mam wyboru. Następnego dnia trzeba jechać do Golfito załatwić formalności.

Sancho nie pali się do tego, rozzłościł go Dave swoimi wygłupami w samochodzie, ale udaję, że nie dostrzegam jego humorów i przypieram go do ściany.

— Sancho, trzeba działać. Mamy teren, trzeba sprowadzić traktory, zanim skończy się forsa.

— Przecież to za wcześnie, nie ma tu żadnej drogi. Traktorem nie wszędzie przejedziesz, może się coś popsuć.

— Musimy spróbować, nawet gdybyśmy mieli je tu wciągać w częściach.

— To głupota, mam tego dosyć. Czy nie lepiej byłoby raczej postawić tu pulperię i spokojnie skupywać złoto?

— To nie daje dostatecznie dużych zysków, poza tym już za późno, żeby się cofać. Chyba nie opuścisz nas teraz?

— Zgoda, zostanę jeśli odeślesz Dave'a. Dla niego wszystko to zabawa. Nie można nic zrobić z nim na poważnie. Dzisiaj o mało co nie utopił w rzece samochodu. Co robi jutro?

Odkąd zobaczył, jak przepędziłem Roberto, nabrał animuszu. Ale, na jego nieszczęście, nie potrafię go już znieść. Nawet jego wygląd przyprawia mnie o mdłości. To, że wszyscy czepiają się Dave'a sprawia, że jeszcze bardziej go lubię. To prawda, że jest nieodpowiedzialny, ale mam słabość do wariatów.

— Sancho, mówiłem ci już, że nie przyjmuję żadnych warunków, a już na pewno nie ten. Jeśli chcesz ze mną pracować, to albo z Dave'em, albo wcale. To moje ostatnie słowo.

— No, w takim razie chyba was zostawię. Jestem już zmęczony tymi ciągłymi wygłupami. Zabieram swoje zabawki.

— Może tak będzie lepiej. Mamy inne podejście do życia i różne zasady. Proponuję, że podzielimy się forszą, która została. Jeśli chcesz, możesz wziąć jeepa i łódź ale niestety zabieram bombę. Bez niej nic nie mogę zrobić, oddam ci ją później.

Nie jest zachwycony rozstaniem ze swoim silnikiem, ale sposób rozwiązania stanowi dla niego miłe zaskoczenie: wyobrażał sobie już, że stracił wszystko. Daję mu tysiąc dwieście dolarów i jeden dzień na spakowanie się.

Wiem, że to szaleństwo odprawiać go teraz, jego, który zapewniał nam wszystko, po to, żeby zatrzymać Dave'a, który sprawia same tylko kłopoty. Ale miałem go już dość, nie pierwszy raz, że wypuszczam wspaniały interes dla przyjaźni. Cholerne sentymenty, zawsze daję się nabrać na to samo!

Po odjeździe Sancha jadę do Golfito z właścicielem ziemi, żeby zarejestrować moją nową posiadłość. Płacę z góry dziesięć tysięcy colonów, reszta później, ciągle ta sama metoda. Po powrocie spotykam Claude'a, drugiego Kanadyjczyka, który przyjechał ciężarówką z Jimenez. Mówi mi, że silnik został powierzony Saltaranie. Jego kumpel ostatecznie opuścił półwysep, ale on chciałby pracować ze mną. Ta decyzja pozostania, pomimo porażki, jakiej doznali w Karate, pokazuje, że ma zmysł walki. Jest silny i ma dobrą mentalność. To niezły nabytek.

Zostajemy w Jimenez trzy dni, okres potrzebny poprzedniemu właścicielowi na wybudowanie dachu na moim terenie; zapewnił mnie, że zdąży w tak krótkim czasie. Następnie lecimy do Karate po silnik, ciągle z tym samym pilotem. Jest to potężny i bardzo ciężki silnik, działa jak motopompa i będzie służył do wyrzucania strumienia wody na zbocze, żeby je wypłukiwać. Wynajmuję ciężarówkę, żeby przewieźć go do Las Palmas, zostajemy tam dwa dni, po czym idziemy w górę.

I wszystko zaczyna się od nowa.

Cały dzień zajmuje nam przebycie drogi, która normalnie wymaga trzech i pół godziny. Silnik przewraca konie po kilka razy. Ma kształt potężnej zwartej bryły i nie można rozłożyć ciężaru na grzbiecie zwierzęcia. Poza tym przymocowaliśmy do ogonów koni setki metrów rur, które zahaczają po drodze o drzewa i zwalniają marsz. Niesiemy ponadto prowiant i cały sprzęt potrzebny do życia przez dłuższy czas w obozie. Mamy nawet kurę, prezent od kobiety pracującej w pulperii.

Wyprawa ta wygląda trochę jak ucieczka, ale jestem zadowolony opuszczając Las Palmas, bo żyłem tam przez pewien czas na szerokiej stopie i teraz nie mogę znieść finansowych ograniczeń.

Kiedy docieramy wreszcie pod wieczór, przemoczeni i ubłoceni, obiecane schronienia nie ma: stoją zaledwie główne słupy i jedna czwarta dachu. Możemy tylko rozwiesić hamaki. Następnego dnia czeka nas sporo roboty.

Przez tydzień pracujemy jak wariaci, żeby urządzić sobie znośny kąt w tej dżungli, która jest tu jeszcze gęstsza niż gdzie indziej. Wstajemy o czwartej rano i harujemy do nocy, z małymi przerwami na jedzenie. Miejsce jest naprawdę obrzydliwe, niesamowicie wilgotne — trzydzieści metrów niżej płynie rzeka — i roślinność odradza się niewiarygodnie szybko. Całe dnie

spędzamy na wycinaniu maczetą terenu o promieniu pięćdziesięciu metrów dookoła domu, ale jakiś gatunek roślin uparcie się utrzymuje, odrasta prawie tak szybko, jak wycinamy, rośnie pięć centymetrów dziennie: czegoś takiego jeszcze nie widziałem! Pod nogami mamy czerwone, lepkie błoto. Co do węży, jest ich wszędzie pełno. Trzy osoby kładą dach, pod energicznym kierownictwem Diane.

Postanowiłem zbudować drogę od rzeki do domu. Różnica wzniesień wynosi trzy metry: trzy schodki, odcinek płaski, trzy schodki itd., wszystko na szerokości trzydziestu metrów. To wariacka robota, bo zdecydowałem, że całość będzie wysypana żwirem. Oznacza to nieustające przenoszenie na plecach jutowych worków pełnych rzecznoego żwiru, który wysypujemy na przestrzeń oszalowaną drewnem. Jest to ciężka i wyczerpująca praca. Odkąd powróciłem do dżungli, moje ciało znów osłabło i mam dezynterię. Wykonuję swoją część roboty, ale to tylko pogarsza mój stan. Całe szczęście, że Dave przykłada się, a Claude, zbudowany jak atleta, jest bardzo skuteczny. Droga staje się powoli rzeczywistością i jest to piękny widok. Kiedy żyje się w takiej zgniłej dziurze, człowiek potrzebuje zrobić coś estetycznego, bez praktycznego pożytku, ale co pozwala na zachowanie ludzkiej tożsamości. Żaden z Ticos nie rozumie sensu takiej drogi w stylu japońskim, i fakt, że stanowi ona niemałe zaskoczenie tutaj, w środku dżungli.

Ze swej strony Diane zajmuje się domem. Zaczęła od wydzielenia jego części przeznaczonej dla nas dwojga, tak aby powstało coś w rodzaju prywatnego pokoju; reszta, stanowiąca świetlicę i sypialnię dla innych, ma charakter przechodni. Diane organizuje wszystko ze smakiem i rozsądkiem, prowadzi całkiem znośną kuchnię i zarządza domem jakby to było paryskie mieszkanie.

Choć nie ma jeszcze ścian i roślinność wdziera się do kuchni, nie ma mowy o wchodzeniu do domu w ubłoconych butach. Oboje chcemy stworzyć coś czystego w tym syfie.

Jemy bardzo dużo, ale niezbyt dobrze. Ryż z przyprawami, fasola z przyprawami, banany. Tych ostatnich zjadamy tak dużo, że nie mają czasu dojrzeć. Jedna kiść starczy nam na trzy dni. Dave obżera się niewiarygodnie, potrafi sam wtrząchnąć całą kiść; po raz pierwszy w życiu wykonuje tak ogromną pracę fizyczną. Wszyscy mamy ochotę zjeść kurę, ale bestia ukrywa

się. Choć jest jeszcze bardzo młoda, wszyscy szukamy cudu w postaci małego jajka.

* * *

Wyzaczyłem swoje terytorium i przy pomocy rewolweru wbijam to do głowy okolicznej ludności. Chcę, aby kiedy wyjdziemy w dżungłę, Ticos nauczyli się, że nie wolno się tu zbliżać. Mają zwyczaj chodzić na skróty przez moją ziemię, więc strzelam ponad głowami tych, którzy się pojawiają. Gdyby im na to pozwolić, wkrótce zasiedliby razem z nami do stołu. Poza tym bawi mnie ich widok, kiedy podskakują z przerażenia i zwiewają ile sił. Naprzeciwko domu biegnie ścieżka i zabroniłem nią przechodzić po zapadnięciu zmroku. Każdemu, kto zlekceważy zakaz, gwarantuję mocne przeżycia. Niejeden porzuca swój ładunek, by móc szybciej uciekać. Ustawiłem wielką tablicę: POSIADŁOŚĆ PRYWATNA. WEJŚCIE WZBRONIONE, i ludzie muszą obchodzić drugim brzegiem rzeki, który jest praktycznie niedostępny. Nie obchodzi mnie to. Jestem u siebie i nie chcę widzieć tu żadnego z tych kretynów.

Przyzwyczajony jestem do jeżdżenia po świecie mając tylko dżinsy, koszulę i parę wysokich butów. Niczego nie posiadam, ale kiedy zdarzy mi się mieć coś na własność, mój zmysł posiadania krańcowo się wyostrza. Opowieści szybko się rozchodzą i wkrótce nikt nie zbliża się, nie krzyknąwszy najpierw „*Don Juan Carlos!*”. Poza tym Ticos nie mają żadnego szacunku dla piękna, i jeden z nich posuwa się nawet do przejechania konno po naszych zwirowych schodach. Rozwścieczona Diane strzela do niego, i koń oraz jeździec uciekają, każdy w swoją stronę.

Wieczór jest jedyną porą, kiedy można się odprężyć. Po ryżu z przyprawami palimy ogromne skręty. Łapiemy nawet Radio Golfito na małym odbiorniku tranzystorowym Diane. Ich hasło reklamowe zawsze nas rozśmiesza: „*Radio Golfito, największe radio świata*”. Raz odwiedziłem redakcję, wszystko mieści się w pomieszczeniu trzy metry na siedem!

Wieczory te to nasze przywileje po ciężkiej całodzienniej pracy, bo atmosfera jest dobra. Dave nadal się wygłupia, ale w końcu nauczył się pewnych reguł dobrego wychowania. Nie wpada już bez uprzedzenia o różnych porach dnia i nocy do mojego pokoju. Claude natomiast jest bardzo spokojny, na luzie, ale też lubi wygłupiać się bez opamiętania. Dużo palimy i wieczorem, kiedy jesteśmy naćpani, byle głupstwo nas rozśmiesza.

Zasadzamy się na przykład na Ticos, którzy usiłują przemknąć się ścieżką, i ich podskoki, kiedy kula świszcze im koło ucha, powodują wybuchy śmiechu. Wszyscy czworo jesteśmy dobrymi strzelcami, i kiedy jesteśmy na haju, urządzamy konkursy, kto strzeli bliżej faceta: kto trafi, przegrywa!

Musiałem rozstać się z pracownikami, którzy budowali dom, któryś powiedział jedno słowo za dużo do Diane. Opieprzyłem ich, a głównemu winnemu zagroziłem, że powieszę go za jaja. Powiedziałem to, nie przywiązując do tego specjalnej wagi, ale on potraktował to bardzo serio i wszyscy odeszli nie czekając na ciąg dalszy.

Głównym problemem jest nawrót malarii. Niezdrowy klimat i złe wyżywienie osłabiły mnie i choroba znów bierze górę. Mam nieustającą biegunkę, w nocy nie mogę spać, pocę się i mam dreszcze. Diane ciągle zmienia przepoconą pościel. Nad ranem jestem wykończony i chciałbym spać, ale muszę wstawać: jestem tu szefem i jeśli sam do wszystkiego nie przyłożę ręki, nikomu nic się nie zechce.

Którejś nocy idę spać do hamaka. Nie mogę już znieść łóżka i chcę, żeby Diane mogła parę godzin spokojnie pospać. Hamak jest prawie przegniły i zwisa tuż nad ziemią. O świcie coś wyrywa mnie z drzemki: dziesięć centymetrów od mojej ręki, która zwisa do ziemi, kura mocnymi dziobnięciami w nasadę głowy zabija metrowego tercio pello. Mało brakowało, bym w nocnych konwulsjach uderzył go ręką. Dzielna mała kurka! Uratowała mi życie, a przy okazji i sobie, bo teraz nie wolno już jej zjeść.

* * *

Wielu ludzi przychodzi do mnie, żeby sprzedać złoto, podczas gdy ja nie mam ani grosza, żeby móc je kupić. Mówię im, że na razie się urządzam, że zobaczymy później. Daje mi to też okazję do porozmawiania z nimi, i odkrywam nowy aspekt Osa. Niektórzy to nikaraguańscy uchodźcy, byli bojownicy sił antysandinowskich, inni są Kubańczykami, którzy kilka lat wcześniej poprosili o azyl w ambasadzie Wenezueli na Kubie.

Jeden z nich daje Diane w prezencie małpkę, schwytaną w dżungli. Jest to colorado. Nazywamy go Arturo. To prawdziwy mały diabeł, istny dopust boży. Znajdujemy go, albo jego ślady, w pościeli, w workach, których zawartość została rozsypana, na dachu, z którego zrywa liście, na stole, kiedy spożywamy posiłek, w talerzach. Ma zwłaszcza zwyczaj podnosić pokrywki

garnków i zawsze parzy się przy tej okazji: pełno wtedy wrzasku i wymachiwania łapami, co powoduje nieopisany bałagan. Arturo polubił też naszą kurę i biega za nią, żeby powyrywać jej pióra na pamiątkę: rozpoczyna się wtedy diabelski korowód latający po całym domu i nie oszczędzający niczego...

Biorąc pod uwagę, jak mało mamy mięsa, oraz burdel, jaki urządzają dookoła, mam naprawdę ochotę zjeść oba zwierzaki, ale one są święte. Z Arturo biciem nic się nie wskóra; jeśli go uderzę albo przywiążę, rozlegają się potworne wrzaski. Czasem mam chęć go udusić, ale Diane bierze go w obronę, i Arturo biegnie schronić się u niej po każdym swoim wyczynie. Doskonale wie, kiedy przekroczył dozwolone granice. Ale lubimy go i wieczorami dajemy mu trawki, żeby bawił się razem z nami. Dmuchamy mu dymem w nos, bo lubi to, i potem wariuje jeszcze bardziej. Dobrą stroną tego jest, że później zasypia.

* * *

Przychodzi do mnie często jeden staruszek. Nazywa się Tonio. Od dawna mieszka na granicy parku. Rząd chce go wysiedlić za odszkodowaniem. W związku z tym stary musi pojechać do San José. Ale odkąd pamięta, zawsze był poszukiwaczem złota, w ciągu pięćdziesięciu sześciu lat opuścił półwysep dwa razy, i chciałby, żebym z nim pojechał, bo boi się miasta. On właśnie pomaga mi sprawdzić zawartość złota w ziemi.

W ciągu czterech dni intensywnej roboty we czterech wykopujemy rów na całą długość parceli. Znajdujemy złoto wszędzie, na metrze głębokości. Wynik jest doskonały, ale nie można tu pracować ręcznie. Potrzebne są maszyny, a ja nie mam już grosza, żeby je wynająć. Muszę szybko zarobić parę tysięcy dolarów, żeby rozpocząć wydobywanie.

Tonio opowiada mi o wyschniętym potoku, z którego wykopuje złotonośny żwir; ładuje go następnie do worka, przenosi do rzeki, która płynie pięćdziesiąt metrów dalej, i tam przepłukuje, otrzymując pięć gramów czystego złota dziennie. Właśnie czegoś takiego mi trzeba, bo mając maszynę mogę doprowadzić wodę i zwiększyć wydajność. Jedynym problemem jest to, że miejsce znajduje się w głębi parku, półtorej godziny drogi stąd. Samo wchodzenie jest tam zabronione, nie mówiąc już o pracy z silnikiem. Wybieram się na zwiad z Toniem i sprawdzam, czy mówił prawdę. Miejsce

jest bogate, ale dojście do niego bardzo trudne. Droga jest zbyt stroma dla koni, i zanosi się na dobrą zabawę przy wnoszeniu sprzętu.

Wracamy. Perspektywa działania podnieca mnie.

— Dave, weźmiesz konie i pojedziesz do Las Palmas kupić dwa dwudziestolitrowe kanistry benzyny.

— Ale... chyba nie chcesz wnosić tam silnika?

— Właśnie że tak, pójdziemy tam pracować.

— Przecież widziałeś to z bocze, konie w żaden sposób nie dadzą rady tam podejść!

— Kto mówi o koniach? Wszystko wniesiemy na plecach. Chyba nie przeraża cię tak mała odległość?

— Owszem, przeraża. I tak już się wywalamy, kiedy nie mamy ładunku... To wariactwo!

— To dobrze się składa, bo tu są sami wariaci. Pośpiesz się, musisz już wyruszyć jeśli chcesz wrócić przed północą. Musimy całą odkrytą część drogi pokonać po ciemku. Nikt nic nie może wiedzieć, bo inaczej doniosą strażnikom. No, jazda, ruszaj się!

Wyruszamy w nocy, jak spiskowcy, jeden koń niesie silnik, drugi benzynę. Zwierzęta są zmęczone wyprawą do Las Palmas i z trudnością dochodzą pod z bocze. Tu dopiero zaczynają się przyjemności. Jest jeszcze gorzej, niż sądziłem. To z bocze jest potworne. Ślizgamy się nawet mając wolne ręce. Ten cholerny silnik jest naprawdę ciężki i nie ma żadnego uchwytu. Jedyne wyjście, to żeby każdy po kolei niósł go na plecach. Choć podkładamy sobie poduszkę z juty, zawsze w którymś miejscu wrzyna się w plecy metalowy kant. Szczupli jak zapałki Dave i Tonio ledwo dają radę udźwignąć to żelastwo. Powierzamy więc każdemu z nich po kanistrze, a dodatkowo mają przywiązane do Pasa po kilkadziesiąt metrów rur, bo jedna ręka musi być wolna, żeby móc czepiać się drzew. Claude i ja wymieniamy się. Na skutek mojej biegunki oraz braku snu i pożywienia jestem bardzo słaby i z ledwością posuwam się w górę. Oddaję ciężar Claude'owi co dziesięć metrów. Na szczęście jest przyzwyczajony do gór i czyni cuda. Przesuwa się o trzydzieści metrów, powoli, ale pewnie: nie ma mowy o upadku, zostałby przygnieciony przez silnik albo, co może jeszcze gorsze, upuściłby go i pozwoliłby mu spaść na sam dół.

Podczas gdy jeden z nas niesie silnik, drugi czyści mu przejście, ze względu na węże. Gdy bowiem idzie się zgiętym w pół pod ciężarem, czepiając się jedną ręką korzeni i drzew, nie ma żadnej możliwości obrony przed nagłym atakiem.

Podejście zabiera nam cały dzień. Kiedy dochodzimy do rzeki, Świeczki tańczą mi przed oczami, dostaję zawrotu głowy i muszę się położyć. Miałbym ochotę przeleżeć tak całą noc, ale to niemożliwe, i ponownie ruszam w drogę na miękkich nogach.

* * *

Następnego dnia bardzo wcześnie rano jesteśmy ponownie na miejscu. Podczas gdy urządzam canoa, Claude i Dave uruchamiają silnik. Ten rusza na pełnych obrotach i Dave, przestraszony hałasem, który nagle rozlega się w leśnej ciszy, zatrzymuje go. I nie ma siły, żeby go ponownie zapalić. Próbujemy wszystkiego. Jak wariaci ciągniemy za ten cholerny sznurek, szczerząc zęby z nienawiścią. Mam chęć rozwalić go w drobny mak i rozsypać po okolicy; miotamy przekleństwa, ale nic to nie zmienia. Ta cholerna kupa żelastwa drwi sobie z nas, nieruchoma i milcząca. Żaden z nas nie zna się ani trochę na mechanice, a zresztą nie mamy nawet śrubokręta! Wszyscy są przygnębieni i czuję ich niepokój przed tym, co ich czeka. Po krótkiej ciszy wypowiadam złowróżbne zdanie: — No dobra, zabieramy go.

Może się to wydawać szalone, ale jestem uparty i mam zwyczaj doprowadzić do końca to, co zacząłem. Zrobimy to, nawet gdybyśmy mieli przy tym zdechnąć. To jedyne wyjście, i ten gówniany silnik nie będzie nami rządził: od rozkazów jestem tutaj ja!

Transportujemy go na dół, częściowo zsuwając się, częściowo niosąc, a każdy ma ochotę delikatnie go popchnąć tak, by stoczył się na sam dół i rozwalił tam o skały.

Kiedy docieramy do domu, jest jeszcze jasno. Wszyscy są wykończeni, ale nie mogę pozwolić na upadek morale. Nie załamamy rąk po jednej porażce.

— Dave i Claude, ładujcie konie, zdążycie jeszcze na łódź China odpływającą do Golfito z Playa Blanca o czwartej rano. Poszukajcie tam jakiegoś mechanika, niech to naprawi i wracajcie.

— Ale jesteśmy wykończeni. Do Las Palmas jest długa i ciężka droga, zesrać się można!

— Wszyscy sramy ze zmęczenia, i jeszcze długo tak będzie. Widzisz przecież, w jakim jestem stanie. To nie obóz wakacyjny, jak się chce przygody, to trzeba na nią zasłużyć. No, jazda, żebyście byli z powrotem jutro wieczorem. I przy okazji kupcie trochę trawki, już prawie nic nie ma.

Że nie ma co jeść, jakoś ujdzie, ale kiedy nie ma co palić, to już za wiele.

Następnego dnia, po nocy malarycznych drgawek, kiedy właśnie zapaliłem sobie pierwszego porannego skręta, wyciągnięty na łóżku, nagle dom zapelnia się mundurowymi. Pojawiają się ze wszystkich stron. Przez drzwi, przez okna, zewsząd mierzą lufy karabinów.

— Nie ruszać się! Ręce do góry!

Coś takiego! Skąd oni się tu wzięli? Chyba nie chcą zaczynać na nowo? To już staje się tradycją! W naturalnym odruchu połykam skręta, reszta trawki spoczywa bezpiecznie przy moich jajach, jak zawsze, nawet tutaj. Wyczuwa się napięcie i gliny są nerwowe. Ledwo zdążyłem ruszyć ręką, a już krzyczą, żebym się nie ruszał. To znów gliniarze z Commando Sur, ale tym razem z Jimenez. Szybko przeszukują mnie i zaczynają rewizję w całym domu. Każą nam wyjść z sypialni. Przeszukują absolutnie wszystko, opróżniają worki; jeden wchodzi na krzesło i starannie zagląda za każdą deskę, maca wśród liści na dachu; potem pójdą podwracać kamienie i pnie drzew wokół domu i przeszukają nawet najbliższą okolicę w dżungli. Nie wiem, kto ich tu nasłał i czego szukają, i staram się domyśleć. Diane nie daje się ponieść panice i pilnuje, żeby niczego nie ukradli.

Pytam ich, czego chcą.

— Zamknij się i siedź spokojnie — mówi jakiś oficer, mierząc do mnie, bo zrobiłem krok do przodu.

— Zaraz, mogę wiedzieć, co mi się zarzuca?

— Gdzie masz broń? Gdzie jest trawka?

— Spluwę zgubiłem podczas przeprawy przez rzekę, a trawki tutaj nie ma.

Facet wybucha śmiechem.

— Daj spokój, Francuz, wiemy, że jesteś szybki. Znamy sprawę Golfito, nie wmawiaj nam, że z ciebie świętoszek! Gdzie masz rewolwer?

— Naprawdę go zgubiłem. Możecie wszystko przeszukać, sami zobaczycie.

— Właśnie mamy zamiar. A jak znajdziemy, będzie z tobą źle. Doskonale wiem, gdzie jest moja spluwa. O dwadzieścia centymetrów od jego nóg, w moim bucie, tu, na ziemi. Nie przyszło mu do głowy tam sprawdzić; jeśli to zrobią, nie wiem, co im powiem. To samo, gdyby któryś zechciał obejrzeć moje jaja. Jestem w szortach i trawka sterczy, jak cholera.

— A forszę gdzie schowałeś?

To coś nowego! Nie rozumiem, przecież nie chodzi im o tych parę tysięcy colonów. A nawet jeśli uważają mnie za bogacza, to nie jest to zabronione.

Kiedy już mnie odpytali i przeszukali wszystko dookoła, odprężają się trochę. Proponuję im kawę i pozwalają mi ją przyrządzić. Wykorzystując moment, kiedy odwrócony jestem plecami, szybkim ruchem wrzucam torebkę z trawką do ognia. Mam zaledwie dość czasu, żeby wciągnąć pierwszy dym. Zapach palącego się plastyku wypiera zapach trawki, a dom jest na tyle przewiewny, że nie zwrócili na to uwagi. Kiedy wracam z kawą, dostrzegam na dworze Sancha z glinami. Wygląda na przestraszonego, zbitego z tropu.

— Przykro mi, Juan Carlos, mnie też zwinęli. Musiałem im powiedzieć o naszych interesach w Panamie.

Wygląda nieszczególnie, czy to strach po wydaniu mnie, czy dlatego, że go aresztowali? Diane zwraca mi nagle uwagę, że spod koszuli wystaje mu rękojeść pistoletu. Wskazuję na broń palcem.

— Chcesz, żebym uwierzył, że zostawili ci broń po aresztowaniu, ty ścierwo!

Sam fakt, że wyciągnąłem ku niemu palec, napawa go przerażeniem, i szybko rozumiem całą prawdę. Wszystko jasne: ostre działanie gliniarzy, ich pytania. Musiał im powiedzieć, że jestem niebezpieczny, że lepiej strzelać bez ostrzeżenia. Kiedyś Dave chciał go nastraszyć i naopowiadał mu, że jestem byłym najemnikiem i że największą przyjemność sprawia mi obcinanie głów... Zdaję sobie również sprawę, że nigdy nie uwierzył w wysokość sumy wypłaconej adwokatowi. Najwidoczniej umówił się z glinami, że podzieli się po połowie wszystkim, co u mnie znajdą, i obiecał im też pewnie, że będą mogli skonfiskować mi broń: ich pensje na pewno nie wystarczą, żeby kupić chromowany Magnum 357.

Potem dostrzegam jednookiego, który sprzedał mi ziemię, i Carlita, syna Alfreda, który najprawdopodobniej przyprowadził ich tutaj, bo Sancho nie wiedział gdzie jestem. Wszyscy trzej oskarżają mnie o najgorsze

przestępstwa. Kiedy statek tonie, szczury opuszczają pokład. Od dawna nie mieli pieniędzy, więc czemu nie użyć najpodlejszych chwytów. Gliniarze zabrali mi paszporty, ich szef mówi do mnie:

— Paszporty zatrzymuję. Macie nakaz opuszczenia półwyspu. Pakujcie się. Odprowadzimy was. Nie chcemy was tutaj więcej widzieć. Za dużo narozrabialiście. Zarzuca ci się groźenie śmiercią jednemu z pracowników, nielegalne posiadanie broni, strzelanie do ludzi, zażywanie narkotyków, przemyt złota i na koniec budowę domu na terenie rezerwatu leśnego! Zrozumcie, że w tej sytuacji możecie tylko szybko zniknąć.

Czuję się przybity, muszę usiąść.

— Nie mogę. Jestem zbyt chory, żeby dzisiaj wyjechać.

— Co ci jest?

— Biegunka i malaria. Ledwo trzymam się na nogach.

— Fakt, że nie wyglądasz najlepiej.

I staje się to, co stawało się przez całe moje życie za każdym razem, gdy mnie aresztowano. Po pierwszych trudnych chwilach pozyskuję ich sobie wzbudzając sympatię i szacunek. Tworzy się jakaś więź, coś możliwego tylko między mężczyznami.

Porucznik Nogales nie jest tu wyjątkiem. To twardy facet, ale potrafi rozpoznać swoje alter ego. Dyskutujemy przez godzinę. Gość jest w porządku i inteligentniejszy od przeciętnej, domyślam się, że unізoność tamtych donosicieli budzi w nim lekkie obrzydzenie. Czuję, że jest gotów mi pomóc.

— W porządku, dam wam kilka dni czasu, żebyś mógł dojść do siebie. Ale muszę zabrać silnik.

— Dlaczego? Należy do mnie. Był własnością spółki, którą mieliśmy z Sanchem.

— Nie, nie — wtrąca ten ostatni, przysłuchujący się wszystkiemu z tyłu. — Jest mój. Mam dokumenty, na moje nazwisko.

Mały szmaciarz, potrzebuje osłony dokumentów! Jak będę miał czas, zajmę się tobą kiedy będzie mniej świadków. Na razie spluwam mu prosto w mordę.

— Uspokój się — mówi Nogales. — Mogę ci pójść na rękę, ale nie przesadzaj. Sancho ma rację.

— Dobrze. Ale wysłałem silnik do naprawy do Golfito, możecie go tam odebrać.

— Pójdziemy tam. Wpadnij do mnie jak się lepiej poczujesz, pogadamy. Przyszli tu wykończeni, bo wybrali dłuższą drogę. Z sympatii do Nogalesa pokazuję im skrót.

Dwie godziny później, kiedy omawiamy z Diane niedawne wydarzenia, nadchodzi Dave i Claude.

Obaj mają dziwne miny, szybko dowiaduję się dlaczego. Przypadek sprawił, że spotkali gliniarzy w środku dżungli. Mówiłem Claude'owi, żeby nie tracił czasu, ale nie spodziewałem się, że tak szybko się uwiną! Mechanik przewiózł ich swoją ciężarówką, żeby nie musieli czekać na łódź, więc sporo zyskali na czasie. Na ich nieszczęście gliny zabrały silnik i znalazły trawkę przytroczoną do jednego z siedel. Claude przytomnie wziął wszystko na siebie, bo jako recydywiście Dave'owi groziłyby poważne kłopoty. Nogales poszedł im na rękę, zabrał tylko paszporty. Sporo mamy ostatnio kontaktów z gliniarzami!

Postanawiam wszystko załatwić jak najszybciej i następnego dnia wyruszamy z Diane do Jimenez.

* * *

Przyjmują mnie bardzo sympatycznie. Widząc, jak źle wyglądam, Nogales częstuje mnie nawet obiadem w swoim gabinecie. Nasze stosunki są teraz dobre, przeprosza mnie za wczorajsze gwałtowne zachowanie.

— Rozumiesz, masz tu taką opinię i zgłoszono przeciwko tobie takie zarzuty, że musiałem się zabezpieczyć. Mogę ci teraz powiedzieć, że wszyscy baliśmy się i byliśmy gotowi do walki. Co teraz zamierzasz? Nie możesz zostać tam na górze, ta historia narobiła za dużo hałasu.

— Nie mam dokąd pójść. Nie mam grosza, muszę zarobić trochę forsy.

— Słuchaj, coś ci zaproponuję. Wyjeżdżam do San José na Boże Narodzenie. Wracam piątego stycznia. Obiecuj mi, że do tego czasu wyjedziesz. Dziś jest piętnasty, masz dwadzieścia dni. Tylko tyle mogę zrobić, załatwię to z przełożonymi. Ale gdybyś po moim powrocie jeszcze tu był, aresztuję cię... Daj mi słowo i oddam ci paszporty.

— Daję ci je, nie ma sprawy.

* * *

Korzystamy z pobytu w Jimenez, żeby kupić trochę jedzenia, ryż i fasolę, na więcej nas nie stać. I pięćset gramów trawki. Miejmy nadzieję, że

będziemy mieli czas ją wypalić. Chcę jeszcze tylko zafundować sobie jakieś mięsne danie, bo za każdym razem, jak dobrze zjem, spada mi gorączka. W Rancho de Oro, dokąd się udajemy, spotykam Hansa i jego kumpla Faulknera, też Niemca, ożenionego z dziewiętnastoletnią Tică. Jest na półwyspie od niedawna i wygląda jeszcze porządnie. Wyglansowane wysokie buty, kapelusz stetson, zadbana twarz, wygląda jak kowboj z reklamy papierosów.

Opowiadam im o sobie. Interesuje ich to, zwłaszcza Faulknera, który ma już bombę, zainstalowaną na rzece Tigre.

— Wszystko powinno było się udać, miejsce jest świetne, ale nie mam już silnika.

— Moja bomba wydobywa tylko dziesięć gramów dziennie. A tam, na górze, ile miałeś?

— Praktycznie dwieście gramów dziennie kiedy nie było problemów.

To grube kłamstwo, ale muszę coś wykombinować. Ten wygląda milutko ze swoją gębą salonowego awanturnika, a jego silnik może mi się przydać.

— Moglibyśmy może zrobić z tobą spółkę i przewieźć bombę na górę. Kiedy możemy do ciebie przyjechać?

— Kiedy chcecie, jak najszybciej.

Odwożę mnie samochodem do Las Palmas. W czasie drogi przekonuję ich ostatecznie. Muszę mieć ten silnik. W końcu godzą się przywieźć go następnego dnia do Las Palmas, a tam wynająć przewodnika, który przyprowadzi ich do mnie.

Wkrótce nadchodzą Faulkner, jego żona i pracownik Tico. Faulkner odsunął Hansa od sprawy, wyczuł interes i nie chce się dzielić. Jak widać, pod pozorami operetkowego kowboja ukrywa się pirat, i to najgorszego rodzaju, z tych, co potrafią wyeliminować własnych przyjaciół. Nawet takich, którzy oddali im przysługę, jak w tym przypadku. Hans nauczył go wszystkiego o półwyspie. Nie mam już ochoty patyczkować się z Faulknerem.

Kiedy przychodzą, ubłoceni i zmęczeni, myślą, że dokonali wyczynu. Nie rozładowuję konia, bo chcę, żeby doszedł z nami na zbocze, żadnego odpoczynku. Faulkner panicznie boi się węży, jest przerażony widząc, jak je zabijamy. Zmyślamy różne historie, każdy opowiada, że właśnie widział wielkiego niedaleko, muszę przerwać Dave'owi, który zaczyna przesadzać: gotów jest już opisać gada dziesięciometrowej długości.

Silnik Faulknera jest jeszcze cięższy niż nasz, ale we czterech zdołaliśmy go wnieść przed zapadnięciem zmroku. Wysięk, błoto i węże całkowicie demoralizują Viele Schlange (Dużo Węży), jak go już nazywamy. Od początku wydawał się wszystkim antypatyczny. Nie znosi zwierząt i nie rozumie, co robią w domu ta kura i ta małpa, która ciągnie go za włosy. Próbuje udobruchać Arturo, który gryzie go do krwi. Diane zauważa:

— To nie może być dobry człowiek, bo Arturo go nie lubi.

Ta uwaga o małpie grzebie go całkowicie. Wieczorem nie jest w stanie zjeść kolacji, zbyt pikantnej: specjalnie dosypaliśmy trochę za dużo chili i nawet dla nas jest trochę za ostra. Wyciąga więc z plecaka cały stos żarcia, konserwy, mleko w proszku, rosół w kostkach; jego żona otwiera puszkę i jedzą oboje na uboczu, nie dzieląc się z nikim: o, stary, to nieładnie!

Kiedy nadchodzi pora snu, Faulkner przeżywa chwile niepewności. Przygotowaliśmy mu naprędce łoże małżeńskie na samym środku sali ogólnej. Dave, Claude i Tino mają hamaki dookoła i spoglądają z ukosa na jego żonę. Ubrani w piżamy wyglądają wśród pozostałych trochę śmiesznie, kowbojski wygląd gdzieś się ulotnił. Czuję się głodny i przemykam się do kuchni. Są tam już Dave, Claude i Arturo, za stołem pełnym jego żarcia. Urządzamy małą nocną orgię, zjadamy łyżkami nawet jego mleko w proszku. Arturo zrozumiał, na czym polega zabawa, i milczkiem obżera się wszystkim, co mu się uda złapać. Kiedy opuszczamy kuchnię, nie została nawet połowa prowiantu.

Przy śniadaniu Faulkner jest trochę niezadowolony. Arturo, cały w mleku, staje się kozłem ofiarnym.

— Dlaczego zjadłeś zapasy Viele Schlange? To bardzo brzydko! — mówi Diane poważnym tonem.

Faulkner nie daje się nabrać, ale nie ośmiela się nic powiedzieć.

Idziemy do pracy. Mnóstwo czasu zabiera nam zainstalowanie rur i kiedy pod wieczór wracamy, ukrywszy silnik, mamy tylko osiem gramów złota. Viele Schlange jest niezadowolony. Jego pracownik, który zrozumiał, do czego wszystko zmierza, odchodzi, jak tylko docieramy do domu. Woli nocną wędrowną niż spędzenie tutaj drugiej nocy. Faulkner znalazł Arturo (który naprawdę zaczyna nabierać niedobrych zwyczajów) w swoim łóżku, zawiniętego w prześcieradło. Na wrzask Faulknera małpa ucieka skrzecząc i zostawia na pamiątkę ładne gówienko na poduszce.

Ledwo nasza miła para położyła się do łóżka, w kuchni rozpoczynają się harce. Tym razem dajemy Arturo kostki bulionu, żeby móc resztę zjeść w spokoju. Mamy wytchnienie do chwili, kiedy uda mu się zdjąć opakowanie. Zaśmiewamy się do łez obżerając się jednocześnie. Zostawiamy wszystkiego jedną kostkę bulionu. Nawet Arturo wydaje się syty.

Po przebudzeniu, jakby naumyślnie, Dave zabija w kuchni dwa węże. Viele Schlange ma dziwną minę i idzie do pracy z pustym żołądkiem: jedna kostka rosółu to trochę mało na śniadanie.

Faulkner zaczyna nas denerwować. Ciągłe się wtrąca, zrzędzi, udziela rad. Fakt, że spodziewał się dwustu gramów dziennie, i że jest zdrowo rozczarowany. Okolica nie jest zła, ale nikomu nie chce się pracować, poza tym mam już dość tego durnia. Nagle daję Dave'owi i Claude'owi znak do odejścia, bierzemy nasze narzędzia i bez słowa, nawet nie zatrzymując silnika, odchodzimy.

Faulkner jest zaskoczony, wrzeszczy coś po niemiecku. Biegnie za nami, przerażony, potem wraca i usiłuje ukryć swój silnik. W końcu, ze strachu przed zostaniem samemu na górze, schodzi z nami wrzeszcząc wniebogłosy. Nie słuchamy go, zaśmiewamy się wesoło. Żeby się wreszcie przymknął, grozę mu łomem. Uspokaja się.

Kiedy docieramy do domu, zaczyna się ostatni akt. Wszyscy otwarcie nabijają się z niego i im dowcip jest cięższy, tym bardziej nas bawi. Claude śpiewa mu niemieckie piosenki robiąc różne miny...

Mógłbym z nim poważnie pracować, ale postąpił z Hansem zbyt pochamsku, żeby nasze stosunki mogły dobrze się układać. Całkowicie stracił swój dziarski wygląd, jego żona nienawidzi nas za to, że go ośmieszamy. Faulkner prosi, żebym pomógł mu sprowadzić na dół silnik, więc odsyłam go do wszystkich diabłów. Próbuje z innymi, ale odpowiedziami są tylko wulgarne gesty. Zresztą zabroniłem użycia koni do tej roboty, uważam, że źle ostatnio wyglądają...

Zdenerwował się wreszcie i zaczyna krzyczeć. Na początku jest to zabawne, ale po pewnym czasie mamy już dość. Czuję się trochę osłabiony, więc mówię do Claude'a:

— Proszę cię, daj temu panu po mordzie.

Wstaje, a Faulkner, który nie mówi po francusku, myśli, że kazałem Claude'owi mu pomóc. Jest zaskoczony, kiedy dostaje w ryj. Claude ma metr

dziewięćdziesiąt pięć, a on metr siedemdziesiąt, więc nie ośmiela się mu oddać. Ale można wyczuć, że nie sprawiło mu to przyjemności.

Myślę sobie, że właściwie jeśli zostawi swój silnik na górze, nic mi nie przeszkodzi dalej go używać. Mógłbym mu go skonfiskować, ale ostatnio za dużo już mieliśmy do czynienia z glinami.

Faulkner biega tam i z powrotem i w końcu znajduje trzech Ticos, którzy godzą się znieść mu na dół silnik i canoa. Wchodzą z wynajętym koniem i wracają z samym silnikiem.

* * *

Przygoda dobiega końca, zbliża się termin. Idę do Golfito sprzedać złoto wydobyte w ciągu ostatnich dni, żeby kupić coś na Boże Narodzenie. Wayne daje mi trochę kokainy. Spędzamy przyjemną Wigilię przy świecach, całkowicie naćpani. Jest wesoło, panuje atmosfera zakończenia przygody, wiemy, że niedługo się rozstaniemy.

Przed odejściem zbieramy chłopów i sprzedajemy wszystko: konie, garnki, łopaty i nawet canoa Faulknera; dostajemy w ten sposób parę tysięcy colonów, akurat tyle, żeby wrócić do cywilizacji. Potem Dave nie może oprzeć się pokusie podpalenia resztek. Siedząc na pniu drzewa i paląc grube skręty, patrzymy, jak uchodzi z dymem nasz były dom; wypuściliśmy kurę do lasu, nie chcemy nic za sobą zostawiać.

Piechotą schodzimy do Las Palmas, niosę Arturo na ramieniu. Jest 3 stycznia 1982. Nie miałem szczęścia na półwyspie: za pierwszym razem wyszedłem z niego ciężko chory, za drugim razem wyrzucili mnie.

CZEŚĆ TRZECIA

Rozstaliśmy się z Diane. Trzy miesiące, które upłynęły od wydalenia mnie z Osa, były spokojnym zakończeniem pięknej miłości. Spotkałem Diane pięć lat wcześniej na jednej z wysp Morza Karaibskiego, dokąd przybyłem splukany z amazońskiej dżungli. Diane była bogata i piękna, jej ojciec był ostatnim poszukiwaczem przygód na Karaibach. Piastował stanowisko mera na sąsiedniej wyspie, ożeniony z kobietą pochodzącą z białej rodziny od wieków zamieszkałej na wyspach; mieli trzy wspaniałe córki. Diane była z nich najpiękniejsza. Przez półtora roku żyliśmy po królewsku. Zorganizowałem przedsiębiorstwo handlowe, przynoszące spore zyski, i nie odmawialiśmy sobie niczego. W końcu jednak rasizm i liczni wrogowie, których sobie narobiłem, zmusili mnie do opuszczenia wyspy, a Diane była już w ciąży. Chciałem innego środowiska dla mojego dziecka. Zamieszkałem w Turcji, potem w Egipcie, wreszcie na Oceanie Indyjskim. Kiedy jechaliśmy do Hiszpanii, gdzie czekał na mnie interes w przemyśle rozrywkowym, wydarzyło się nieszczęście, które spowodowało mój upadek.

Cizia, mój roczny syn, zmarł na moich rękach, w parę chwil, na nieznaną chorobę. Narkotyki i hazard zawsze stanowiły część mojego życia; tym razem jednak, żeby zapomnieć o naszej rozpacz, pograżyliśmy się w nich do dna: Azja, Hongkong, Makao, cała lista porażek, prowadzących na Osa.

Po takiej serii niepowodzeń muszę zostać sam, żeby rozpocząć od zera.

Po wyjeździe z Osa poszedłem do Wayne'a, któremu zostawiłem moje Magnum 357 w zamian za pięćset dolarów. Za te pieniądze kupiłem parę dzieł sztuki prekolumbijskiej o gwarantowanej autentyczności, które dałem Dave'owi, żeby sprzedał je we Francji. Zostawiając mu pieniądze, wywiązałem się z moich zobowiązań. Zgodnie z umową odesłał mi moje pięćset dolarów i zachował dla siebie zysk. Forsa nadeszła akurat w dniu wybrania Monge, kandydata Partido del Pueblo Unido, na miejsce Carazo, który zrujnował kraj.

Pozostawszy sam z Diane mogłem poświęcić tylko jej te ostatnie chwile. Jako dziecko słońca i morza, wychowane na wyspie, chciała zamieszkać na plaży. Ale odejść z Osa nic stamtąd nie wynosząc nie jest w moim stylu. Wróciliśmy tam więc, ale od innej strony, dyskretnie.

Przedostaliśmy się przez mokradła Sierpe, gdzie przechodzi druga droga. Początkowo miałem zamiar udać się do Isla Violin, gdzie, jak głoszą legendy, zakopany jest skarb Morgana, słynnego pirata, gdzieś w grocie nad samym brzegiem morza.

Wielu już go poszukiwało, ale na próżno. Czekają nas rozczarowanie. W wyniku naturalnych ruchów podłoża woda naniosiła piasek i muł, a morze cofnęło się o dwadzieścia metrów od czasów Morgana. Musielibyśmy więc przeszukać nie pas wybrzeża nad samą wodą, ale odcinek o szerokości dwudziestu metrów, zatem zbyt wielki, by móc go dokładnie przeczesać.

Potem pojechałem naprzeciwko, do Guerra, odwiedzić starego Don Nizaro, którego ziemia pokryta jest prekolumbijskimi cmentarzami. Okolice jednak pełna jest colloradillas i komarów; nie chciałem, by Diane dłużej musiała cierpieć z ich powodu.

W końcu przystałem na jej życzenie: po dwunastu godzinach marszu przez las docieramy do zatoki Drake'a. Jest to wspaniałe miejsce, na którego spokojne i jasne wody przybył zgodnie z legendą korsarz Sir Francis Drake, by uzupełnić zapas wody pitnej.

Nasze przybycie do Drake miało dosyć zabawny przebieg. Miałem zaledwie paręset dolarów w kieszeni, kiedy wynająłem pokój w jedynej pulperii tej rybackiej wioski. Jednakże pulpero natychmiast zaproponował mi sprzedaż ziemi. Takie sytuacje zdarzały mi się przez całe życie, a ostatnio nawet często, odkąd parę siwych włosów na skroniach nadaje mi bardziej szacowny wygląd. Choć nie miałem grosza przy duszy, wyobrażano sobie, że jestem bogaty, i wielu właścicieli gruntów, hoteli czy sklepów miało chęć zawrzeć ze mną transakcję.

Choć rzeczywiście wspaniały, teren z pewnością nie był wart astronomicznej ceny, jakiej za niego zażądał: pięćdziesięciu tysięcy dolarów. Zarobek całego życia Tico! Zgodnie z moim zwyczajem przyjmuję propozycję. Mówię jednak, że muszę najpierw pomieszkać tam trochę, żeby upewnić się, czy okolice mi odpowiada. Facet pośpiesznie wyprowadza się ze swego domu i wynajmuje mi go za dwieście colonów miesięcznie, czyli za cztery dolary.

Od tego dnia pulpero, który jest najważniejszą postacią w wiosce, staje się wobec nas doprawdy służalczy; liczy na złoty interes. Tak urządzony, w spokoju, spędziłem moje ostatnie trzy miesiące z Diane.

* * *

Oboje wiemy, że to koniec naszej miłości. Nie chcę, by nadal cierpiała, i muszę być sam, by ponownie wypłynąć na powierzchnię. Po długiej serii niepowodzeń muszę wszystko wyczyścić wokół siebie, chcę startować z nie zapisaną tablicą. Znaleźliśmy się w ślepych zaułku. Ale chciałem, byśmy rozstali się z dobrymi wspomnieniami.

Miejsce jest wspaniałe. Jest to półwysep z jednej strony ograniczony morzem, a z drugiej przez rio oddzielające nas od wioski, co zapewnia nam pewną swobodę. Są tu długie piaszczyste plaże, a fala nie jest zbyt silna.

Roślinność jest dobrze utrzymana, w większości składa się z drzew owocowych. Jest źródło wody pitnej, z którego korzystają rybacy, śródki terenu zabetonowana płyta pamiątkowa przypomina o pobycie tu Drake'a.

Przeżyliśmy tu z Arturo spokojne dni, bez dużych wydatków, bo i nasze potrzeby były skromne. Miejscowi nie byli dotknięci gorączką złota. Większość to rybacy, spokojni i uprzejmi. Był tam też jedyny piekarz na całym półwyspie, wypiekający doskonały chleb. Co robił na tym końcu świata?

Spędzałem wiele czasu na łowieniu w rio, w którego skalnych zakamarkach pełno było przepysznych ryb podobnych do barweny. Przychodzący po wodę rybacy przynosili mi krewetki, raki, różne ryby, które zjadaliśmy na gorąco z najróżniejszymi sosami lub na surowo. Menu uzupełniały równie liczne owoce i doskonałe korzenie yuca.

I wreszcie pulpero zostawił nam kilkanaście kur, które w zamian za opiekę składały dla nas jajka. Jeśli od czasu do czasu zdarzyło się, że któraś wylądowała w garnku, nie było to wynikiem złośliwości.

Od czasu do czasu chodziłem na polowanie z miejscowymi. Wychodzili bez strzelby tropić tepesquintle, rodzaj górskiego zająca, dysponując tylko psem, który zmuszał zwierzynę do chronienia się w norze. Potem wystarczyło już tylko rozkopać norę maczetą, żeby wyciągnąć zająca. Jest to bardzo sportowy rodzaj polowania, bo podczas gdy pies biegnie za zającem, myśliwy musi nadążyć za psem. Na szczęście ten ostatni zmienia sposób szczekania w zależności od tego, czy idzie za tropem, czy już widzi zwierzynę.

Jedynym ciemnym punktem tego rajy były rekiny, od których w morzu aż się roiło. Już sama kąpiel była niebezpieczna, a oddalenie się o kilkanaście metrów od brzegu uznano by za szaleństwo. Wieczorem zarzucaliśmy długie

wędki z ogromnymi haczykami, a nad ranem, o ile nie wyprzedziły nas żarłacze, wyciągaliśmy małe rekiny–młoty.

Wykorzystywałem te spokojne dni, żeby całkowicie powrócić do zdrowia. Nawroty gorączki ustąpiły, ale chciałem wzmocnić ciało, by uniknąć ponownego kryzysu. Dużo pływałem w rio i biegałem po plaży na dalsze odległości o ile słońce nie grzało zbyt mocno. Bardzo ceniliśmy sobie te chwile intymności, pierwsze od dłuższego już czasu, tylko we dwoje, bez żadnych trosk, bez innego zajęcia niż dbanie o siebie samych.

Żeby nie tkwić w całkowitej beczynności, od czasu do czasu wybierałem się, w towarzystwie miejscowego chłopca, na prekolumbijski cmentarz oddalony o około dziesięciu kilometrów, położony na skraju plaży. Ciągłe dbając o kondycję, starałem się pokonywać owych dziesięć kilometrów biegiem.

Cmentarz nie był zbyt bogaty, ale znalazłem tam parę małych złotych przedmiotów. Po sprzedaniu ich amerykańskim turystom mogłem zafundować Diane podróż do San José, żeby mogła odebrać listy od swojej rodziny.

Stary Nizaro, chytry jak lis, żył w otoczeniu swoich dziesięciorga dzieci, siedmiu ogromnych córek i trzech synów. Jego dom był doprawdy obrzydliwy i podejrzewam, że musiał mieć w przeszłości solidną plamę na życiorysie, skoro zdecydował się na życie w takim tłoku, w tej dziurze pełnej komarów. Opowiedział mi, że kiedy miał dwadzieścia lat, ktoś wpakował mu w głowę kulę kalibru 22. Pocisk wszedł przez policzek, zostawiając dobrze widoczną małą, różową bliznę, i zatrzymał się na kręgosłupie, gdzie zresztą tkwi nadal. Będąc w pełni sił i zdrowia Nizaro uznał usuwanie go za zbyt ciężkie. Dożywszy siedemdziesięciu trzech lat stary całe życie spędził na poszukiwaniu złota i przeszukiwaniu prekolumbijskich cmentarzy. Znał doskonale cały półwysep i jego informacje miały wartość. Opowiedział mi, jak znalazł siedmiusetgramową bryłkę złota w miejscu zwanym Rancho Quemado — Spalone Ranczo.

— To bardzo bogate miejsce, chyba najbogatsze na całym półwyspie, ale wypędził mnie stamtąd dziesięć lat temu jeden skurwysyn: nazywa się Barbaroja. Ma tylko jedno oko, to złodziej i morderca. Zabronił komukolwiek zbliżać się do swojego terytorium i wprowadził tam własne prawa.

— Słyszałem o tym. Opowiedział mi to pewien orero w Karate, ale nie wiedziałem, że to ty znalazłeś tę bryłkę.

— Oczywiście że ja! Zresztą to przeze mnie nazywają to miejsce Rancho Quemado. Spaliłem dom podczas suszenia mięsa dzikiej świni. Kto ci o tym opowiadał?

— Gato, orero, którego spotkałem w Karate.

— Gato? Znam go. Pracowaliśmy razem. Niezły pijak i spryciarz, tedy jego specjalnością było połykanie bryłek i odzyskiwanie ich później. Niejednego w ten sposób nabrał. Mnie też.

Historia się powtarza! Przynajmniej mam satysfakcję, że nie powiększyłem grona frajerów. Opowieści starego interesowały mnie, bo nie porzuciłem całkowicie myśli o powrocie do poszukiwania złota.

W ciągu tych trzech miesięcy przygotowywałem się już do następnej przygody i pomału zabierałem się do pracy. Za pomocą catiadory przeprowadziłem testy we wszystkich okolicznych rzekach, z dobrymi wynikami: na tym półwyspie złoto jest wszędzie. Trzy razy w tygodniu wybierałem się do dżungli na zwiady i w krótkim czasie poznałem wszystkie strumienie. Przeszukałem nawet dookoła całą lagunę Chaco–huaca, niedaleko miejsca, o którym mówił stary Nizaro. Złoto występowało wszędzie, w szczególności dookoła laguny. Doszedłem do wniosku, że te mokradła, gdzie zbiegała się spora część quebradas półwyspu, musiały stanowić ogromny zbiornik złota. Ale aby dotrzeć do kruszcu, trzeba by zainwestować setki tysięcy dolarów w maszyny potrzebne do oczyszczenia terenu.

* * *

Miałem poza tym jeszcze inny projekt. Piękno okolicy nasunęło mi myśl o trochę specjalnym hotelu dla miliarderów. Oprócz zwykłych przyjemności, jakie oferować można w odludnych miejscach, mógłbym klientom zaproponować inne usługi: połów rekinów, polowanie na kajmany w lagunie, poszukiwanie złota i wykopaliska na prekolumbijskich cmentarzach. Czy jakkolwiek hotel może oferować taki program?

Ponieważ chłopcy skwapliwie przychodzili do mnie z propozycjami sprzedaży swoich ziem, po upływie trzech miesięcy zawarłem już wstępne umowy na zakup prawie całej zatoki, a przynajmniej tych jej części, które mnie interesowały. Zawsze ta sama historia. Jeszcze bardziej splukany niż poprzednio, zapłaciłem wszystkim obietnicami. To wystarczało aż nadto. Ale im bardziej angażowałem się w ten projekt, tym mniej mnie interesował: naprawdę pociągało mnie znowu Osa.

Nie wiedziałem jeszcze jak, ale musiałem tam wrócić. I wiedziałem, że muszę to zrobić sam.

* * *

Był początek maja i nasz słodki romans z Diane trwał już trzy miesiące. Choć było pięknie, czysto i jasno, nie po to walczyłem całe życie, żeby zasnąć na plaży nad Pacyfikiem. Diane, która mnie dobrze знаła, wiedziała, że nie pozostanę już dłużej beczynny. Ona również czuła, że nadchodzi czas rozstania. W naszych stosunkach było coraz mniej słów, rozumieliśmy się bez nich. Rano budziliśmy się ciasno objęci, nie rozstawaliśmy się przez cały dzień. Myśl o rozejściu się sprawiała mi straszny ból.

Muszę powiedzieć, że przeżyłem już wszystko, bardzo wcześnie w moim życiu poznałem aż do przesytu kobiecy i przyjemności, jakich mogą dostarczyć. Diane jest jedyną, którą kochałem, jedyną godną tego, by być matką moich dzieci. Była moją towarzyszką na dobre i złe, bez żadnych ograniczeń, przez ponad pięć lat. Bywaliśmy na wozie i pod wozem, wszystko znosiła, szczerą, lojalną z inicjatywą. Obdarzona rzadką siłą charakteru, jako jedyna miała równorzędne miejsce u mego boku. Była obecna, walcząc wraz ze mną, w sytuacjach, kiedy wielu mężczyzn załamałoby się. Nigdy nie okazała zmęczenia, nigdy słowa wyrzutu z powodu sytuacji, w które ją wciągałem. Była stworzona do miłości, ale ja nie potrafię żyć tylko dla miłości. I właśnie dlatego, że kocham ją jak rzadko kogo kochałem w swoim życiu, nie chcę jej już mieszać do moich zwariowanych historii. Ze mną nie ma przyszłości. Jutro mogę zostać miliarderem i wszystko przepuścić w ciągu tygodnia, żeby znów znaleźć się na ulicy bez grosza w kieszeni.

* * *

Dobrze wiedząc, że nie ma alternatywy, Diane chciałaby zostać jeszcze jakiś czas ze mną. Udało mi się przekonać ją, by pojechała ze mną do San José i stamtąd zatelefonowała do swego ojca, który natychmiast przysłał jej bilet lotniczy. Wiedziałem, że kiedy usłyszy znajomy głos, powrócą dobre wspomnienia i to pomoże jej przeżyć te trudne chwile. Nie czułem się winny. Nie zostawiałem jej samej w nieznanym mieście. Miała powrócić do bezpiecznego schronienia swej rodziny, do miejsc, w których żyła szczęśliwie zanim pojawiłem się w jej życiu.

Podjęła tylko jedną, rozpaczliwą próbę zabrania mnie ze sobą na tę jej wyspę. Ale nie mogłem wrócić bez grosza do miejsca, które opuszczałem jako zwycięzca.

Naszą ostatnią noc spędziliśmy nie śpiąc, patrząc na siebie, rozmawiając, starając się wzajemnie po raz ostatni nasycić oczy swoim obrazem.

Nasze pożegnanie na lotnisku było krótkie, ale jakże pełne treści. Żadnych łez, żadnych zbędnych słów. Cierpieliśmy w środku, oboje jednakowo. Nie było potrzeby tego wyrażać:

— Czy zobaczę cię jeszcze?

— Kto wie, ślicznotko? W każdym razie mam nadzieję, że tak. A teraz uciekaj! Nie utrudniaj tego jeszcze bardziej!

Ostatni pocałunek, przepojony miłością, i odeszła, nie odwracając się.

* * *

Po tym rozstaniu nie mam już ochoty zostawać w stolicy, a jest jeszcze za wcześnie, by wracać na Osa. Mam ochotę pojechać do Punta Burrica. W toku rozmów z handlarzami sztuki prekolumbijskiej dowiedziałem się, że największy przedmiot ze złota znaleziony w tym kraju pochodzi właśnie stamtąd. To wystarczy, żebym tam pojechał, bez żadnych dokładniejszych planów. Teraz przede wszystkim potrzebuję zapomnieć o pięciu latach życia we dwoje, ponownie przyzwycząić się do kawalerstwa, stanu, który przecież był dla mnie przez długie lata czymś naturalnym.

Dwa dni temu spotkałem młodego Francuza, Nicolasa, który słyszał o mnie i poszukiwał mnie. Jest podróżnikiem, wyjechał z Francji przed paroma miesiącami i szuka emocji poza wydeptanymi ścieżkami. Poprosił, żebym go zabrał ze sobą. Jest trochę podobny do Dave'a, paryski punk, włosy ufarbowane na czerwono i kolczyk w uchu, wygląda na trochę mniej nieodpowiedzialnego, ale za to na bardziej przekupnego. Ma chęć się zabawić i ja też. Dlatego zgadzam się, choć męczą mnie już trochę amatorzy. Poza tym nigdy nie potrafiłem nikomu odmówić przygody. Tak czy owak, do Punta Burrica postanowiłem pojechać na wycieczkę, bez żadnych poważnych zamiarów. Przyda się ktoś, z kim można po drodze pogadać i powygłupiać się.

Umawiamy się, że pojedziemy bezpośrednio na południe. Nicolas nie wygląda zbyt potężnie, więc żeby mi nie odstawał w drodze, poradziłem mu, by wziął jak najmniej rzeczy, a w końcu, żeby nie brał po prostu nic. Trzeba

powiedzieć, że tyle już łąziłem po tej dżungli, że traktuję ją trochę jak park. Mimo wszystko Nicolas wygląda na zaskoczonego:

— Co mam zabrać? — spytał mnie. — Coś specjalnego?

— Nie, nic. Nie zwracaj sobie głowy.

— Hamak?

— Nie. Zawsze znajdziemy jakiegoś frajera, u którego można przenocować.

— To przynajmniej maczetę na węże?

— Jeśli bardzo chcesz, ale to ciężkie i niezbyt estetyczne. Poza tym o węzach dużo się mówi, ale one boją się jeszcze bardziej niż ty.

I w ten sposób wyruszamy z rękami w kieszeniach, wzdłuż tej plaży bez końca. Droga jest naprawdę bardzo prosta: jest tylko jeden sposób, żeby się dostać do Punta Burrica. Trzeba iść plażą, a potem podejść ścieżką, używaną przez przemytników bydła, w kierunku Panamy i przejść przez indiański rezerwat. Później się zobaczy. Nie mamy bagaży, zwykła przechadzka. Żywność kupujemy po drodze u miejscowych chłopów. Wszystko idzie dobrze, tyle że do wieczora ciągle nie dotarliśmy do ścieżki przemytników. Naciera na nas przypływ i musimy podejść wzdłuż pierwszego napotkanego rio. O zmroku znajdujemy się w miejscu oddalonym od wszelkich dróg. Zarządzam nocleg.

— No dobra, śpimy tutaj. Trzeba się rozłożyć, zanim zrobi się zupełnie ciemno.

— Gdzie?

— Ja biorę tę gałąź. Znajdź sobie jakąś wygodną niedaleko. Nicolas jest trochę zdziwiony, ale skoro zachowuję się, jakbym uważał to za zupełnie naturalne, dostosowuje się.

— Zgoda. Kto się kładzie ostatni, gasi światło.

Przed snem robię sobie ostatniego skręta. Ze wzruszeniem stwierdzam, że doszedłem do końca Starego Testamentu. Przy ostatnim świetle dnia czytam nawet przez chwilę kilka wersetów Ewangelii według Świętego Mateusza patrzącemu na mnie ze zdziwieniem Nicolasowi. Wkrótce, pod wpływem zmęczenia i trawki, zasypiamy.

Następnego dnia odnajdujemy ścieżkę. Widać świeże ślady po przejściu bydła. Idziemy za nimi i dostrzegamy obozowisko Indian, do którego kierujemy swoje kroki.

Nie należy wyobrażać sobie Indian jako potężnych, opalonych facetów przystrojonych w pióra. To raczej banda degeneratów, którzy zidiocieli wskutek wielokrotnych małżeństw w ramach jednej rodziny. Są gościnni, ale ich jedzenie jest obrzydliwe. Kobiety pozostają w ukryciu i obserwują nas dyskretnie, podczas gdy mężczyźni siedzą wokół nas. Kiedy zabieramy się do odejścia, najstarszy pyta mnie:

- W jaki sposób znaleźliście drogę?
- Poszliśmy za śladami bydła, trochę niżej.

Wyglądają na zaskoczonych i odbywają ożywioną naradę. Następnie chwytają za strzelby, wskakują na konie i galopem opuszczają wioskę. Domyślam się, że mają układy z przemytnikami i że ci ostatni przeszli nocą, żeby nie musieć wywiązać się z umowy. Tak czy owak, to nie nasza sprawa, odnajduję Nicolasa, który kręci się w okolicy kuchni.

— Chodź, spływamy. Zdaje się, że ci kretyni wstąpili na ścieżkę wojenną.

* * *

Łazimy tak trzy dni, czasem po stronie panamskiej, czasami po kostarykańskiej. Na płaskowyżu jest dość gospodarstw, żebyśmy mogli często zatrzymać się, tu wypić kawę, tam coś przekąsić, jeszcze gdzie indziej kupić papierosy albo się przespać. Pora deszczowa skończyła się i słońce już nie grzeje tak mocno. W rozmowie z jakimś chłopakiem dowiaduję się, że w regionie Punta Burrica, w Penas Blanca, od paru lat mieszka stary Duńczyk imieniem Lars. Z ciekawości postanawiam go odwiedzić.

Natychmiast proponuje nam, żebyśmy zamieszkali u niego tak długo, jak zechcemy. Rzadko ktoś go odwiedza i jest zadowolony, że ma z kim pogadać. Jest to wartościowy facet i doceniam go od razu. Długo pracował w tym kraju i w końcu wycofał się z czynnego życia, osiadając w tym zapadłym kącie na skraju plaży. Cywilizacja już go nie interesuje, woli siedzieć tutaj i wychowywać swego syna, trzynastoletniego szczeniaka, który jeździ na nim jak na łysej kobyle. Pomimo swoich sześćdziesięciu ośmiu lat Lars pozostaje potężnym facetem.

Jest bardzo wysokim blondynem o grubych kościach. Zaopatruje się w Puerto Armuelles, w Panamie, i dwa dni zajmuje mu przeniesienie na własnych plecach trzydziestokilowych zakupów. W Europie ludzie w jego wieku nie potrafią już nawet przejść przez ulicę. Lars nie chce zaopatrywać

się na miejscu, bo odkąd statek przywożący towar rozbił się na przybrzeżnych skałach, ceny wzrosły trzykrotnie.

Jego dom urządzony jest bardziej niż skromnie, ale stół zastawiony przyzwoicie, i całe szczęście, bo apetyty mamy wilcze i w ciągu trzech tygodni, jakie u niego spędzimy, porządnie nadwyrężymy jego zapasy. Zebrał około trzydziestu owoców avocado i sądził, że starczy mu to na tydzień. Następnego dnia jest zaskoczony stwierdzając, że nie ma już ani jednego. W nocy byliśmy trochę głodni i buszowaliśmy w kuchni. Hojny Lars powiedział nam, że możemy czuć się jak u siebie w domu, być może to był błąd. Sam jem dużo, ale zadziwiają mnie możliwości Nicolasa. Facet jest wysoki i chudy, ale je za czterech i zastanawiam się, gdzie udaje mu się to wszystko pomieścić.

Postanawiam zostać u Larsa do siedemnastego czerwca, dnia, w którym chcę powrócić do cywilizacji, żeby obejrzeć piłkarski Mundial.

Zaraz po przybyciu znalazłem w chacie catiadorę i całe wyposażenie poszukiwacza złota, w tym również metalową canoa i rury. Potem, ku mojemu wielkiemu zdziwieniu, dowiedziałem się, że Lars jest inżynierem geologiem.

— Pracowałem w różnych miejscach dla towarzystw górniczych, głównie na Alasce — opowiada nam Lars. — W Kostaryce przez dwadzieścia pięć lat zarządzałem kopalnią miedzi. Ale nie mogę już znieść Ticos. Często nie przychodzą, są leniwi, nie mają żadnej etyki zawodowej.

— Ale ten sprzęt jest twój?

— Tak, pracowałem trochę w okolicy z ciekawości. W tych rzekach jest wszędzie złoto, ale w małych ilościach. Zresztą gorączka złota już mnie od dawna nie bierze. Interesują mnie inne minerały, bardziej estetyczne. Na plaży jest zakątek, gdzie pełno agatów.

— Ja też szukałem złota. Chętnie bym się rozejrzał tutaj z twoim sprzętem.

— Proszę bardzo, powodzenia. Zabierz mojego syna, dobrze zna tutejsze rzeki.

— Dziękuję. Są tu może prekolumbijskie cmentarze?

— Słyszałem, że miejscowi znajdowali jakieś przedmioty, ale jeśli chcesz, poznam cię z Pedro. To stary Indianin, ma osiemdziesiąt sześć lat i nie wspina się już zbyt dobrze, ale może ci udzielić wielu informacji.

Następnego dnia wybieram się obejrzeć parę strumieni. Złoto jest rzeczywiście, ale nie nadaje się do wydobywania. Występuje w postaci zwanej „*microgold*”, ziarenek wielkości połowy łebka od szpilki, może się to opłacać tylko przy wydobywaniu na wielką skalę, Nicolas, który nigdy nie miał do czynienia ze złotem, jest zafascynowany i nie rozumie mojej rezygnacji.

— Jesteś pewien, że to się nie nadaje? Przecież to złoto, nie?

— Oczywiście, ale widziałeś wielkość? Musisz zbierać tysiąc takich drobinek, żeby uzyskać jeden gram. Jeśli chcesz, możesz zacząć wydobywanie, trzeba tylko zainwestować milion dolarów w maszyny.

— Szkoda, pierwszy raz widzę złoto. Kurczę! To jednak robi wrażenie.

— Zrobi większe wrażenie, jak znajdziesz bryłki parogramowe. Zdarzało mi się to na Osa.

— Tego właśnie nie rozumiem. Znasz interesujące miejsca. Dlaczego tam nie wrócimy? Nie kapuję zupełnie.

— Stary, za długo by opowiadać. Nie chcę wracać na ten półwysep, chyba że po to, żeby zacząć coś na wielką skalę.

Poza tymi wycieczkami nie robię nic naprawdę poważnego. Nawet kiedy chłopak prowadzi nas na miejsce, gdzie ma znajdować się prekolumbijski cmentarz, wyprawa nie ma charakteru naprawdę serio. Któregoś dnia wychodzimy z dwoma psami i jesteśmy w drodze od godziny, kiedy psy wpadają na trop pizote, rodzaju lisa żyjącego na drzewach. Natychmiast rzucamy wszystko: nasze plany i związany z nimi sprzęt. Cmentarz, złoto, nefryt, wszystko to traci znaczenie wobec możliwości najedzenia się świeżego mięsa. Zwierzę jest bardzo agresywne i rani oba psy, ale kładzie je cios maczetą w głowę. Zdobywamy dziesięć kilo mięsa, które starczą nam na półtora dnia. Lars, który nie jest mięsożerny, nie może ochłonąć ze zdumienia. Jeśli chodzi o opowiadania chłopaka, są tak barwne, że nie warto tracić czasu na sprawdzanie wszystkiego. Jest paskudny. Nie podoba mi się sposób, w jaki wykorzystuje swojego ojca. Któregoś dnia smarkacz prowadzi nas do pewnego Indianina, który miał znaleźć jakieś groby. W rzeczywistości niczego takiego nie było, po prostu miał ochotę z nami pogadać. Przy okazji prosi nas, żeby naprawić mu radio. Nicolas z grzeczności próbuje, ale ponieważ nie zna się na tym zupełnie, rozwała aparat doszczętnie.

Mieszkamy tak od tygodnia, kiedy zawiadomiony przez Larsa Pedro przychodzi się z nami spotkać. Chodzi o lasce, której koniec zakończony jest żelaznym hakiem służącym do czepiania się drzew przy podchodzeniu. Nareszcie Indianin, który po tych górach chodzi wolniej niż ja! Pokazuje nam molejones de hule, kule z naturalnego kauczuku, którymi Indianie oznaczali granice swoich cmentarzy i wiosek.

— Co o tym myślisz? — pyta, dumny ze swego znaleziska.

— Moim zdaniem to relleño, wioska. Jest tam oczywiście trochę skorup, ale są zbyt rozproszone, nie warto.

W drodze powrotnej Nicolas pyta:

— Więc co, nic tam nie ma? Tyleśmy się nałazili przez tego starucha i wszystko na nic? Znowu tylko traciliśmy czas?

— Nie, tym razem nie. Jest bardzo możliwe, że to cmentarz, zajmiemy się tym.

— To dlaczego zgasiłeś starego?

— Nie chcę, żeby ktoś o tym wiedział, bo inaczej uderzy mu to do głowy i nie odczepimy się już od niego. Poza tym wygadałby się i z całej okolicy zlecieliby się faceci i wszystko rozbabrali. A my przeprowadzimy to spokojnie. Spróbuj znaleźć u Larsa żelazny pręt długości półtora metra i po cichu zorganizuj łopatę. Ciągle wszędzie szperasz, więc pewnie wiesz, gdzie to można znaleźć.

— Jemu też nic nie powiesz?

— Nie, wolę nie. Jego syn by wszystkim rozgadał.

— Ale przecież i tak ciągle za nami łązi. Nie będzie łatwo się go pozbyć.

— Zrób mu numer w twoim stylu, niech się obrazi na jeden dzień.

* * *

Wracamy tam po trzech dniach. Technika jest prosta: wbija się w ziemię pręt żelazny w kształcie litery T. Po tysiącu lat ziemia nie jest całkowicie ubita i jeśli ma się wprawna rękę, można wyczuć różnice konsystencji. Po wielu próbach natykam się na warstwę kamieni na głębokości pięćdziesięciu centymetrów. To zupełnie mały cmentarzyk. Ma cztery metry na sześć i otoczony jest murkiem wysokości trzydziestu centymetrów, zbudowanym z doskonale dopasowanych kamieni. Przez cały ten czas, mimo ruchów

podłoża, wszystkie są na swoich miejscach. Doliczamy się pięciu grobów. Postanawiam zacząć od najbardziej dostępnego.

Nicolas pala entuzjazmem i jest gotów zrobić pierwszy wysiłek fizyczny w swoim życiu. Pozwalam mu kopać pierwsze pięćdziesiąt centymetrów, po czym przejmuję pałeczkę kiedy tylko ziemia zmienia kolor. Trzeba bowiem teraz delikatnie zdejmować ziemię warstwami przy pomocy maczety, tak aby niczego nie zgubić ani nie uszkodzić. Bowiem po tak długim przebywaniu w wilgotnej ziemi wyroby z gliny są rozmiękłe i bardzo kruche. Po godzinie znajdujemy pierwszy przedmiot. Jest to trójnóg wysokości trzydziestu centymetrów, który wykopuję bardzo ostrożnie. Pracuję dalej. Pod koniec dnia suszą się na słońcu takie cztery.

Biorę jeden i pokazuję bardzo podnieconemu Nicolasowi:

— Widzisz, to ma co najmniej tysiąc albo tysiąc pięćset lat. Czasami znajduje się takie z rysunkami na bokach, na przykład w Guacanaste; ale tu jest za dużo wilgoci, wszystko znikło.

To fantastyczne, że można to tak po prostu znaleźć. Ma to jakąś wartość?

— Nie, praktycznie żadnej. W tym kraju liczy się tylko złoto.

I bez uprzedzenia ciskam trójnogiem o drzewo tak, że rozlatuje się w drobny mak. Nicolasa, którego ojciec jest archeologiem, zamurowuje z wrażenia, ale po chwili wybucha śmiechem.

— Jak pomyślę, ile zmarnowałem niedziel, kiedy byłem małym chłopcem, na klejenie kawałków ceramiki, które nawet w jednej czwartej nie były tak ładne, a ty to tak traktujesz! Zostawisz mi jeden, żebym też popełnił świętokradztwo?

— Nie, stary. Na świętokradztwo trzeba sobie zasłużyć.

* * *

W ciągu piętnastu dni wrócimy tam pięć razy, nasze wizyty nie mogą być za częste, żeby nie zwracać niczyjej uwagi. Za piątym razem mamy szczęście. Wydobywamy przedmiot, który, choć nie jest ładny, ma tę dobrą stronę, że jest z czystego złota. Jest to figurka kacyka, ważąca około osiemdziesięciu gramów. Jest zgięta w pół, jedna ręka jest złamana i nakrycie głowy pogięte. Nazywają to przedmiotem „*poświęconym*”; jego właściciel był tchórzem, i należące do niego cenne przedmioty zostały pogięte przed zakopaniem.

— Ile to może być warte? — pyta Nicolas, a w oczach tańczą mu dolary.

— Około pięciu tysięcy dolarów.

— Aż tyle? A to dopiero jedna trzecia cmentarza! Jak będziemy mieli szczęście, znajdziemy jeszcze więcej.

— No, to już innym razem! Pamiętaj, że chcę wracać na Mundial; zaczyna się już za trzy dni.

— Wiem, ale szkoda byłoby teraz odchodzić, jak już to znaleźliśmy. Poza tym wiesz, nigdy mnie specjalnie nie interesowało gapienie się na facetów, którzy w szortach latają za piłką. Najlepiej, żeby każdy sobie wziął jedną i byłoby po sprawie.

— Nie, stary. Mówisz do byłej nadziei zespołu Girondins, zanim wyrzucono ją z klubu. Każdy ma w życiu swoje małe przyjemności, a ja lubię obejrzeć dobre spotkanie, jeśli grają dobre drużyny. Poza tym może nie wiesz, że w Ameryce Środkowej ludzie sporo stawiają na wynik meczu. Znam się na tym wystarczająco, żeby móc zarobić sporo forsy.

— Mimo wszystko szkoda. Tutaj byliśmy pewni zarobku.

— W każdym razie tak właśnie jest. To wszystko tkwiło tu tysiąc lat, więc może jeszcze trochę poczekać. Słuchaj, myślę że najlepiej będzie przekazać ten cmentarz Larsowi. Chyba mu się to należy po tym, jak nas tak długo gościł. Nie wiem, czy zauważyłeś, ale zjedliśmy mu prawie całe zapasy. Na drzewie nie ma już ani jednego avocado, nawet bananowce są oczyszczone, zresztą zaczyna na ciebie patrzeć w dziwny sposób i może dobrze byłoby wynieść się zanim cię otruje.

— Dobra, dobra. Ty decydujesz.

Bierze mnie za wariata, ale są rzeczy, których nie może zrozumieć. Od czasu znalezienia posążku zastanawiam się, czy szczęście przypadkiem nie wróciło, i mam ochotę sprawdzić to przyjmując zakłady na mecze. Jestem hazardzistą i okazja jest wspaniała. Ponadto wiem, że to, iż znaleźliśmy jeden posążek, nie musi oznaczać, że znajdziemy następne, i rzeczywiście chcę obejrzeć Mundial. Daję Larsowi osiemdziesiąt z setki dolarów, jaka mi została, i określam mu położenie cmentarza. Jego syn służy nam za przewodnika, ma pokazać skrót przez góry.

* * *

Wyruszamy o czwartej rano, bo chcę w jeden dzień zrobić to, co zajęło nam trzy dni w tę stronę. Po trzech godzinach marszu przez dżunglę i bardzo stromym zejściu docieramy do plaży i rozstajemy się z chłopcem. Musiał iść z nami aż na dół, żeby zabrać buty, które pożyczył mi jego ojciec, bo moje już

się rozleciały. Szczeniak jest wściekły, że czeka go niezła wyprawa pod górę. Wyrobi mu to nogi, a przy okazji nauczy grzeczniejszego zachowania w stosunku do ojca. Ostatnie dowcipy, ostatnie klepnięcie w kark i ruszamy.

Zapomniałem o przyptywie i musimy się pośpieszyć. Nie możemy bowiem zostać zaskoczeni przez wodę pod falezą, bo jest pionowa i nie byłoby żadnej ucieczki: z chwilą, kiedy ruszyliśmy, musimy dojść do końca. Ostatnie czterdzieści kilometrów pokonujemy biegiem. Na szczęście pobyt u Larsa przywrócił nam dobrą kondycję. Udaje nam się in extremis, ostatnie skały pokonujemy przemoczeni przez fale, które docierają już pod fależą. Śpimy na miejscu, a rano autobus dowozi nas do Paso Canoas.

* * *

Znajdujemy tu atmosferę typową dla miast granicznych. Mieszkają tu wyłącznie drobni przemytnicy i handlarze, korzystający ze spadku colona kostarykańskiego w relacji do dolara. Granica wygląda jak ser szwajcarski, bo ulice zaczynają się w Kostaryce, a kończą w Panamie. Całe miasto aż kipi z podniecenia, wszyscy mówią tylko o Mundialu. W krajach latynoamerykańskich futbol odgrywa dużą rolę, i Mistrzostwa są oczywiście wielkim wydarzeniem, choć sama Kostaryka się nie liczy i nie ma własnej drużyny w rozgrywkach. Pierwszy mecz to Belgia — Argentyna. O ile dla większości Ticos Belgia to kraj nie znany, Argentynę znają i jest ich faworytem. Potwierdza mi to młody peruwiański handlarz, którego spotykam w jakimś barze.

— Nikt nie będzie stawiał przeciwko Argentynie. To Latynosi tak jak my i byli mistrzami świata w siedemdziesiątym ósmym.

— Zobaczmy. Gdzie jest najlepszy bar do oglądania telewizji?

— Idź do Chińczyka, naprzeciwko. Tam jest najwięcej ludzi. Jestem najwyraźniej jedyną osobą tutaj, która wie, że Belgia była wicemistrzem Europy w 1980 roku. Ponieważ wierzę ponadto, że znów sprzyja mi szczęście, daje mi to chęć do gry. Mam przecucie, postawię na Belgię. Do tego potrzeba mi gotówki.

— Nicolas, pożyczysz mi dwieście pięćdziesiąt dolarów. Idź wymienić swoje чеки podróżne w Panamie, weź jeden banknot studolarowy i sto pięćdziesiąt jednodolarowych.

— Jesteś pewien, że wiesz, co robisz?

— Jak się będziesz wciąż niepokoił, to ze mną nie pożyjesz długo. Zresztą masz, daję ci posążek jako kaucję. To chyba uczciwe, nie?

Na trzy godziny przed meczem jestem już w barze Chińczyka. I zaczynam swoje małe przedstawienie. Ja, który nigdy nie piję alkoholu, kupuję butelkę whisky i po półgodzinie udaję, że jestem zalany. Bar jest pełen i podnieceni zbliżającym się meczem faceci skandują: „*Argentina! Argentina!*” Po chwili, ku ogólnemu zaskoczeniu, ryczą: „*Belgica!*” Ticos odwracają się ku mnie, więc wrzeszczę jeszcze raz i oświadczam:

— Zdaje się, że nie przepadacie za Belgią. Ale ja jestem Belgiem i przyjmuję zakłady dla mojego kraju. Stawiam trzy do jednego, że Belgia wygra przewagą jednej bramki. W razie remisu wygrywacie wy.

Patrzą na mnie i śmieją się. Biorą mnie za wyszczekanego wariata. Wyciągam mój plik banknotów, ze studolarówką na wierzchu:

— Mam czym płacić, wierzę w mój kraj. No więc jak, kto się decyduje?

Zaczynają traktować mnie poważnie i podchodzą, zachwyceni gratką. Pełen niepokoju Nicolas zapisuje nazwiska i sumy na wielkiej kartce papieru. On też na pewno myśli, że zwariowałem. Pilnie uważam, żeby nie przyjąć żadnego zakładu powyżej stu dolarów, tak aby w razie zwycięstwa Belgii, na które liczę, nie mogli odmówić zapłaty. Wymagam, aby każdy pokazał pieniądze i by trzymał je na stoliku przed sobą. Niektórzy nawet chodzą do domu, żeby przynieść forszę. Ani jednemu nie przychodzi do głowy sprawdzić mój plik banknotów.

Nicolasowi zlecam robienie mi reklamy:

— Jeśli ktoś cię zapyta, opowiadaj, że jestem bardzo bogaty, ale trochę rąbnięty, że nie pierwszy raz przegrywam i że jak jestem zalany, często robię głupstwa, ale mam czym płacić.

— Jak chcesz. Ale teraz ty przyjmuj zakłady. Ja sobie stanę przy drzwiach.

— Nie bój się, wszystko będzie dobrze. Ticos nie są groźni.

— Być może, ale jest ich więcej niż nas.

Fakt, że jest ich dużo. Przychodzą ze wszystkich stron. Mam wrażenie, że całe miasteczko się tu zeszło. Całe szczęście, że do granicy niedaleko.

Kiedy zaczyna się mecz, porobiłem zakłady z około trzydziestoma facetami o dwa tysiące czterysta pięćdziesiąt dolarów. Jeśli przegram, będę musiał zapłacić siedem tysięcy trzysta pięćdziesiąt, a nie mam ani grosza.

Trudno, mam ochotę się powyglupiać, a poza tym wierzę w swoją dobrą gwiazdę:

— Nalej wszystkim. Płaci przegrywający.

Po pierwszej połowie, podczas której ci cholerni zjadacze frytek nie potrafili strzelić nawet jednej bramki, czuję lekki niepokój. Wołam Nicolasa, który ciągle stoi przy drzwiach:

— Trzeba coś zjeść. Zamawiam po kurczaku. Musimy nabrać sił, na wypadek gdyby to się źle skończyło. W takim przypadku spotkamy się w Panamie.

— Nie wiem, jak boksujesz, ale ja szybko biegam. Jak widzisz nasze szanse?

— W porządku. Odpręż się. Fakt, że jest ich trochę dużo, ale sędzę, że jeśli te matoly strzelą gola i utrzymają go, to się zabawimy.

Tak, ale jeśli nie strzelą, to będzie źle.

— Spokojnie. Trzeba wierzyć w siebie. Masz, napij się.

— Nie, dziękuję. Ale czy ty nie powinieneś przestać pić? Jak przyjdzie co do czego, lepiej być w dobrej formie.

— Nie ma sprawy, mój organizm jest tak przyzwyczajony do narkotyków, że alkohol praktycznie na mnie nie działa.

Ledwo skończył jeść, już wraca do drzwi. Właśnie w tym momencie Belgia strzela bramkę.

Brawo, zjadacze frytek! Kocham was, uwielbiam. Ryczę na cześć zwycięzców na cały bar, a Nicolas, któremu nagle wróciła wiara w siebie, znów siada przy mnie z wielkim uśmiechem na ustach. Wśród pozostałych konsternacja. Na pięć minut przed końcem meczu wstaję:

— Chodź do drzwi, żeby nie nawiali. Mój blef się udał, ale teraz trzeba działać szybko.

— Myślisz, że moja postura zrobi na kimś wrażenie?

— Nieważne. Rób groźną minę!

Zaraz po zakończeniu meczu biorę kartkę i wywołuję ich po kolei. Jeśli któryś nie reaguje, inni wypychają go do przodu. Mają niejasne wrażenie, że zostali nabrani, ale zakład to zakład. Ci, którzy nie stawiali, śmieją się i trzymają naszą stronę. Poznany poprzedniego dnia młody Peruwiańczyk dołączył do nas i nabija się z facetów, którzy przychodzą płacić. Kiedy dochodzę do końca listy, daję sygnał do odejścia. Ticos nie są niebezpieczni,

ale wolę nie zostawać tu zbyt długo. Wiele osób wie, że noszę przy sobie okrągłą sumkę. Idziemy w stronę Panamy, i Peruwiańczyk, który dołączył się do nas, wskazuje nam knajpę udającą nocny lokal, usytuowaną dosłownie na granicy, z wejściami po obu stronach. Jesteśmy w euforii i postanawiam urządzić wielkie święto. Posyłam go, żeby kupił dziesięć gramów kokainy, po czym naćpani zajmujemy miejsca w lokalu. Zwracam Nicolasowi dwieście pięćdziesiąt dolarów plus drugie tyle tytułem odsetek i odbieram swój posążek.

W miarę jak zapada noc, nadchodzą Ticos, i orkiestra zaczyna od salsy. Spotyka się tu cała miejscowa fauna przemytników i handlarzy, a ponieważ zarabiają pieniądze szybko, szybko też je wydają. Wkrótce wszyscy są pijani.

Stale sięgamy do naszego zapasu kokainy i czas upływa na wesołej zabawie. Noc dobiega końca i postanawiam urozmaicić trochę nasze przyjemności. Spędziliśmy trzy tygodnie w dżungli, nie widząc nawet kobiety. Posyłam Peruwiańczyka, który zna tu wszystkich, żeby sprowadził nam pół tuzina dziewczyn, tak abyśmy mogli wybierać. W końcu zatrzymujemy wszystkie. Ja biorę cztery, Nicolas jedną, skoro nie ma jakości, niech będzie chociaż ilość. Nasz naganiacz również poszedł na ilość, ale w jednej dawce; sprowadził sobie dziewczynę ogromną, trzy razy większą od niego.

Wracamy do hotelu, nasze kochanki depczą nam po piętach. Portier trochę się boczy, ale odpowiedni banknot przełamuje jego opór. Dwie godziny później idę po Nicolasa i Peruwiańczyka. Pytam tego ostatniego:

— Płaciłeś coś?

— Nie, powiedziałem, że ty zapraszasz.

— A ty, Nicolas?

— Ja też, powiedziałem że jesteś bardzo bogaty i że stawiasz wszystkim, jak zwykle.

— No dobra, wspaniale to nie było: ani jedna z całej czwórki nie była na poziomie. Chodźcie, spływamy.

I wychodzimy z hotelu pod gradem wyzwisk naszych ukochanych. Za dobrą pracę dobra płaca, ale brak profesjonalizmu zasługuje na karę.

* * *

Naładowani kokainą po uszy nadal nie idziemy spać. Bierzymy taksówkę do Golfito, osiemdziesiąt kilometrów stąd. Idziemy do Wayne'a, który jeszcze

nie wstał. Znów dwa pociągnięcia kokainy, i jesteśmy w formie. Wayne wygląda dziwnie bez puszki piwa w ręku.

— Co chcesz robić? Wracasz na Osa?

— Nie, jadę oglądać Mundial do San José. Masz jeszcze moją spluwę?

Tak, dbałem o nią. To prawdziwe cacko. Jakbyś chciał ją kiedyś sprzedać, pomyśl o mnie!

— Zgoda. Masz tu pięćset dolarów plus odsetki.

— Nie, nie między nami. Sprawilo mi przyjemność, że mogłem ci oddać przysługę, to wszystko.

— Dziękuję, to ładnie z twojej strony. No, dobra, lecimy. Chcę zdążyć na samolot.

Na lotnisku dwóch gliniarzy przygląda się pasażerom. Zapomniałem już o tym. W bucie mam rewolwer, a w slipach kokainę. Jeden z gliniarzy podchodzi do mnie. To sierżant, który mówił mi o Monge podczas aresztowania Dave'a.

— Ej, Francuz, widziałeś? Monge został wybrany. Będziesz o mnie pamiętał rozmawiając z twoimi kumplami w Pueblo Unido?

— Obiecuję. Nie ma sprawy.

— Dziękuję. To jak, tym razem nic nie masz?

— Niewiele. Tylko rewolwer i kokainę.

Wybucha śmiechem. Częstuję go mocnym klepieniem w ramię i wsiadamy do samolotu bez dalszych formalności. Dobrze jest mieć stosunki.

W samolocie Nicolas, któremu mój dialog z gliniarzem odebrał mowę, prosi o wyjaśnienia. Opowiadam mu całą historię, przygotowując dwa rządki kokainy.

— Ej, zaczekaj! Nie tutaj, ktoś może zobaczyć.

— I co z tego? Powiemy, że to nivaquina. Zresztą to już końcówka. Podczas lotu myślę nad dalszymi działaniami. Nie chcę pozbywać się teraz posążka, bo na pewno sprzedałbym go ze stratą. Z drugiej strony mam ochotę obejrzeć ten Mundial w luksusowych warunkach, a na to trzeba zarobić. Najprościej byłoby kontynuować zakłady. Przy odrobinie szczęścia powinno to wystarczyć. Jedyne problem to mój wygląd. Od kilku miesięcy zauważyłem, że nie gra on już na moją korzyść. O ile moja postura robi dobre wrażenie w ostrych akcjach, w dżungli albo na wsi, o tyle w mieście ludzie nie mają do mnie zaufania. Dlatego postanawiam zatrzymać przy sobie

Nicolasa. Choć szybko wychodzi z niego jego przekupność, ma sympatyczny wygląd, który zjednuje mu ludzi i ułatwia kontakty.

* * *

Po przyjeździe do San José zatrzymuję się w hotelu Balmoral, a Nicolas w Amstelu. Recepcjonistka w moim luksusowym hotelu to dawna przyjaciółka Dave'a, bardzo sympatyczna, mała pulchna dziewczyna. Kiedy wypełniam kartę meldunkową, ze zdumieniem odczytuję nagłówek: Balmoral, Hotel, Kasyno. A więc w tym mieście są kasyna! To dobra wiadomość. Jakoś źle był zorganizowany mój pierwszy pobyt tutaj. Jestem pewien, że Diane wiedziała o tym, ale znając mój pociąg do hazardu wołała to przede mną ukryć.

Wyzaczyłem Nicolasowi spotkanie na wieczór w Key Largo, amerykańskim barze. Po paru godzinach snu udaje się tam. Key Largo to luksusowy lokal prowadzony przez Amerykanów i odwiedzany przez bogatych gringos zamieszkałych w mieście. Pełno tu małych Ticas, szukających bogatej partii. Jedna z nich, zwabiona obiecującym wyglądem moich kieszeni, szybko podchodzi do mojego stolika. Ponieważ opowiadam właśnie Nicolasowi, jak się cieszę ze znalezienia kasyna, dziewczyna proponuje, że zaprowadzi nas do innego, Torre Blanca. Opowiada, że ma tam brata, który jest krupierem czy kimś w tym rodzaju: w rzeczywistości ta Tica jest najprawdopodobniej naganiaczką. Nicolas poznał w hotelu jakąś dziewczynę i szybko nas opuszcza. Dla mnie nie ma rzeczy ważniejszej, niż stół do gry. Od nocy z najpiękniejszą kobietą świata stanowczo wolę poważną partię pokera. Torre Blanca to mały budynek, mieszczący nocny lokal ze strip-teasem. Na pierwszym piętrze znajduje się sala gier. Kasyno jest małe, tylko z trzema stołami do black jacka.

Jestem jedynym graczem i sądząc z usłużności krupierów nie bywa tutaj tłoczno. Siadam i zaczynam walkę. Gram do piątej rano, pory zamknięcia. Szczęście powróciło. Kasyno nie ma w tym swojego udziału, bo starali się mnie obrobić, jak mogli. Od początku brali mnie za frajera. Biorąc pod uwagę liczbę klientów, nie mogą sobie pozwolić na przegraną, a tej nocy jestem jedynym graczem. Jest to prawdziwa walka, bo pozostali krupierzy, nie mając klientów, stoją wokół mnie, i czuję, jak rośnie napięcie po każdej mojej wygranej. Mówię o walce, bo w black Jacku krupier i gracz są zawsze przeciwnikami.

W Makao krupier wyzywał nas po chińsku. Tutaj siedzę za stołem sam i czuję, że wszyscy są przeciwko mnie. Kierownik sali daje kelnerce znaki, by stale napełniała mój kieliszek, lecz jest to dla mnie raczej przyjemne, bo nigdy nie straciłem głowy od alkoholu. W tej ciepłej rodzinnej atmosferze zgarniam tysiąc czterysta dolarów.

Kiedy wracam do hotelu, jestem w euforii. Moja zdobycz idzie ze mną, uwieszona na moim ramieniu. W windzie, żeby sprawdzić szczerą jej intencji, blokuję drzwi i szybko załatwiam ją od tyłu. Jej protesty uzmysławiają mi, że jej miłość, niestety, nie była szczerą, i podczas gdy poprawia na sobie garderobę biegnę do pokoju i zamykam drzwi na klucz. Choć dobija się długo, zachowuję zimną krew. Wiem, że nie należy przesadzać z przyjemnościami, a mamusia przestrzegła mnie przed kobietami, które ulegają zbyt łatwo.

* * *

Kiedy Nicolas budzi mnie o czwartej po południu, opowiadam mu o moim wczorajszym zwycięstwie. Czuję, że szczęście powróciło, i że Mundial pójdzie dobrze.

— Chodź ze mną dziś wieczorem. Powyglupiamy się razem w kasynie.

— Bardzo chętnie, tak naprawdę to nigdy nie byłem w takim miejscu.

Kiedy zjawiamy się w kasynie w minutę po otwarciu, spotykamy się z ciepłym przyjęciem. Po mojej wczorajszej wygranej obawiali się, że więcej nie przyjdę. Liczą na to, że dziś odrobnią straty. Ale są w błędzie. Złapałem niezły szwung i nadal wygrywam. Układam żetony na kupki przed sobą i tłumaczę reguły gry Nicolasowi, który siedzi obok. Ciągłe jesteśmy dobrze traktowani i sprawia mi przyjemność widok ich wymuszonych uśmiechów. Płaćcie dalej, i uśmiech, proszę! Około północy zbieram żetony.

— Już pan wychodzi? — pyta mnie kierownik sali, cały spięty.

— Nie, chcemy tylko zajrzeć na parter.

Poniżej jest sala widowiskowa. Siedząc w barze zaśmiewam się z Nicolasem wspominając minę kierownika. Na scenie przedstawienie jest podłe. Dziewczyny, z których żadna nie jest zawodową tancerką, rozbierają się kołysząc biodrami w rytm mniej lub bardziej nowoczesnej muzyki. Na zapleczu dwa czy trzy pokoje oczekują na klienta wystarczająco majątnego, by móc sobie pozwolić na tancerkę. Jest to ni mniej, ni więcej tylko zwykły burdel, przeznaczony dla zamożnej klienteli, bo wynajęcie pokoju wraz z

wybraną dziewczyną kosztuje pięćdziesiąt dolarów, podczas gdy na ulicy kurwa bierze tylko pięć.

Przyuważyłem właśnie jedną, dosyć milutką, która kończy show mając na sobie tylko parę białych skarpetek. Zawsze lubiłem małe dziewczynki i posyłam po nią kelnera. Przed przejściem na zaplecze mówię do Nicolasa:

— Wychodzę na parę minut. Jak chcesz, wybierz sobie jedną. Niech to zapiszą na mój rachunek.

— Więc jak mówisz, że wszystkie koszty są opłacone, to naprawdę znaczy wszystkie koszty?

— Wszystkie, stary. Korzystaj!

W pełnym świetle rozczarowują mnie, jak to się często zdarza kiedy schodzą z przyciemnionej sceny. Eva, co jak przypuszczam jest artystycznym pseudonimem, proponuje mi skręta, ale wolę rząddek kokainy. Kiedy zdejmuję koszulę, na ziemię wypada mi rewolwer. Eva wydaje się być trochę zdziwiona, ale nie odzywa się. Jest łagodna, młoda, całkiem przyjemna.

Wkrótce wracam na piętro, gdzie niebawem dołącza do mnie Nicolas. Nadal jestem jedynym graczem na sali. Ta mała przerwa higieniczna kosztowała mnie sto dolarów i zamierzam je odzyskać.

Kiedy dochodzę do pięciuset dolarów wygranej, postanawiam wracać do domu. Kierownik sali jest szary. Ten obwieszony złotymi łańcuchami grubas stracił całą swoją jowialność.

— Już pan wychodzi? — pyta mnie.

— Tak, a co? Nie jest to panu na rękę?

— Ależ skąd, ale niech pan jeszcze trochę zostanie!

— Chcesz, abym zagrał jeszcze raz?

Denerwuje mnie to ciągle pragnienie oskubania mnie. Nie przychodzę tu w charakterze frajera, ale po to, żeby wyciągać im forszę. Lepiej, żeby się do tego przyzwyczaili:

— No to patrz, stawiam całą moją wygraną na najwyższą kartę, ale jak wygram, płacisz podwójnie, zgoda?

Rozciągam na stole talię kart i wybieram jedną. Odwracam ją. Serce mi się ściska, bo mam siódemkę. Nie zawsze można wygrywać. Szkoda, ale zabawa była niezła. Podobnie jak ja, kierownik jest pewien wyniku. Odwraca swoją kartę i wrywa mu się głośne westchnięcie: trójka. Zabieram swoje tysiąc dolarów i wychodzę, umówiwszy się na następny dzień. Skoro tak im

zależy, wróć tu: najwyraźniej traktują to jako osobiste wyzwanie, a to mnie bawi. Nicolas jest zadowolony, czuje, że problemy bytowe mamy z głowy.

— Najzabawniejsze jest to — mówię mu — że jestem chyba jedynym klientem w kasynie. Za każdym razem, kiedy wygrywam, czuję się tak, jakbym zabierał im forszę z kieszeni. To całkiem przyjemne, będę tam chodził co wieczór, aż się zesrają.

— Miejmy nadzieję, że dalej będziesz wygrywał!

— Nie bądź pesymistą, wszystko będzie dobrze. Czuję, że będę miał szczęście.

Pójdę tam czternaście razy. Wygram czternaście razy. Weszło mi już to w krew. Codziennie o trzeciej po południu budzi mnie zgłodniały Nicolas. Jemy, potem siedzimy u fryzjera i u czyścibuta, którzy już nas dobrze znają. Mam własnego taksówkarza Roberta, sympatycznego wąsatego grubasa, któremu uśmiech nie schodzi z twarzy. Jest też moim dostawcą kokainy i codziennie przywozi mi pięć gramów, moją conocną porcję. Od czwartej jest do mojej wyłącznej dyspozycji i czeka na mnie, gdziekolwiek rozkażę. Po czyścibutach zjadamy drugi obfity posiłek, kilka rządów kokainy i już nadchodzi pora otwarcia kasyn, na którą niecierpliwie czekam.

Zawsze zaczynam od grzecznościowej wizyty w Torre Blanca, gdzie nadal płacą mi po królewsku. Odkryłem inne kasyna, na wyższym poziomie, ale uważałbym się za niewdzięcznika gdybym zapomniał o moim kumplu, kierowniku sali. Myślę, że czułby się zawiedziony gdybym co wieczór nie przyszedł podebrać mu trochę forsy. To tak jak stara przyjaciółka, do której się idzie z sympatii. Poza tym czuję się tu jak u siebie w domu. Są tacy mili i grzeczni!

Następnie przeprowadzam szybką i pasjonującą rozmowę z Evą, po czym Roberto zabiera mnie na przejażdżkę po kasynach: hotel Irazu, hotel Cagliari, hotel Balmoral. Wszędzie płacą mi równie chętnie, a niektóre nawet wyciągają ode mnie trochę forsy. Ale na ogół moje dzienne zarobki są bardziej niż wystarczające. Choć nie odmawiam sobie niczego i choć nasz styl życia kosztuje mnie bardzo dużo, nie udaje mi się wszystkiego wydać i mój kapitał rośnie.

Nad ranem, po zamknięciu przybytków gry, co zawsze mnie trochę zasmuca, jedziemy do Soda Palace, jedyne miejsca otwartego o tej porze, by zjeść paellę i pociągnąć ostatni rząd kokainy. Tu też znajdujemy

towarzyszki na resztę nocy. W tym kraju ogarniętym kryzysem prostytutka jest najpewniejszym sposobem przetrwania, i im bardziej spada cokolwiek, tym tłoczniej na niektórych ulicach. Ale podaż w końcu przewyższa popyt, i o szóstej rano Soda Pałace zapełnia się dziewczynami, które dotąd nie znalazły klienta. Są przeważnie bardzo młode. Jako niepełnoletnie nie mogą swobodnie uprawiać zawodu, co w ich przypadku stanowi poważny handicap.

Kawa z mlekiem i perspektywa spędzenia nocy w łóżku na ogół wystarczają, by zdecydowały się nam towarzyszyć.

Około godziny dziesiątej, po ostatnim posiłku, każdy z nas wraca do swojego hotelu, by nabrać sił na następny wieczór.

Któregoś dnia, kiedy moje badania zatrzymują mnie dłużej niż zwykle, do hotelu wpadają ludzie z Brygady Narkotyków. Jesteśmy wszyscy w hallu kiedy rozpoznaję Luisa, który kieruje operacją. On też mnie rozpoznał i podchodzi do nas. Idziemy na kawę. Rozmawiamy teraz jak starzy kumple i ze śmiechem wspominamy sprawę Golfito.

Luis bierze Nicolasa za Dave'a i muszę wyprowadzić go z błędu. Czuję, że coś go gnębi, i zwierza mi się ze swoich drobnych kłopotów: narzeczona jest w ciąży, ale nie chcę teraz się żenić.

Najlepiej byłoby, żeby zrobić skrobankę, ale tutaj to zabronione, poza tym to prawdziwi rzeźnicy. Trzeba by jechać do Panamy, ale to za drogo.

— Oddałeś mi przysługę ostatnim razem. Teraz moja kolej. I daję mu sześćset dolarów.

— Dziękuję, to ładnie z twojej strony. Ale nie mogę tego wziąć, nigdy nie byłbym w stanie zwrócić.

— Wiem o tym doskonale, to prezent: mam teraz dobrą passę.

— W porządku, Juan Carlos, postaram się odwdziaczyć.

Choć lubię go, nie jestem całkowicie bezinteresowny. Biorąc pod uwagę moje zapotrzebowanie na narkotyki, lepiej jest mieć sojusznika po drugiej stronie barykady.

Nie zapomniałem o Mundialu i za każdym razem, kiedy jest interesujący mecz, wstaję trochę wcześniej albo rezygnuję z jakiejś przyjemności i idziemy go obejrzeć do Escurialu.

Escurial to kawiarnia i restauracja prowadzona przez Hiszpanów, którzy z okazji mistrzostw zamontowali ogromny ekran telewizyjny. Spotyka się tu wielu cudzoziemców, głównie Europejczyków, i zakłady zależą od

narodowości drużyn. Trudniej tu wygrać większą sumę, bo publiczność nie jest tak naiwna, jak moi Ticos z Paso Canoas.

Któregoś dnia spotykam Hiszpana, który po powrocie z Algierii dostał obywatelstwo francuskie i pracuje dla Belgów. Był działaczem związkowym, a w wyniku strajku zmienił pracę i został przedstawicielem przedsiębiorstwa produkującego wagony–chłodnie na Amerykę Łacińską. Interesują go moje opowieści o Osa. Jak wszyscy, którzy nie mieli do czynienia ze złotem, jest zafascynowany kopalniami i stawia mnóstwo pytań. Odpowiadam przez grzeczność, ale nie przywiązuję do tego wagi. Tymczasem jest to pierwszy krok do mojego powrotu na Osa.

Na razie dużo bardziej interesują mnie przyjemności, jakie oferuje miasto. Nie zajmuję się niczym poważnym i wystarcza mi hazard, kokaina i uczennice lubiące kawę z mlekiem. Stan kawalerski ma swoje dobre strony. Mogę sobie pozwolić na spokojne życie z dnia na dzień.

Dalej odbywam mój codzienny obchód kasyn, a wizyty w Torre Blanca są przede wszystkim pretekstami do wygłupów. Część pieniędzy wygranych na piętze wydaję w burdelu. Na górze znają już nas dobrze. Jeden z krupierów zapytał mnie nawet, czy mam jakiś specjalny system, żeby wygrywać. Nicolas odpowiedział mi, że mam fenomenalną pamięć i że zapamiętuję wszystkie kolejne rozdawane karty, co pozwala mi na przewidywanie następnych. Ponieważ w black jacku używa się dwustu pięćdziesięciu kart, wyjaśnienie to jest zupełnie bez sensu, ale przyczyniło się do umocnienia mojej reputacji.

Któregoś wieczoru, kiedy wracam z kolejnej lekcji anatomii z udziałem Ewy, poznaję dwóch Europejczyków, którzy siedzą przy moim zwykłym stoliku. Pierwszy jest Belgiem. Ma białą smokingową marynarkę jak Humphrey Bogart w „*Casablanca*”. Efekt jest zupełnie ten sam, bo gość jest gruby, łysy i ma krótkie nogi. Drugi jest Francuzem, jest starszy, dość wysoki i ma gębę zdrajcy. Widać, że przywiązuje dużą wagę do stroju, ale nadmiernie dopasowana czerwona marynarka i spodnie w szkocką kratę, kończące się powyżej kostki, nie sprawiają poważnego wrażenia. Nosi na palcu wielki sygnet marsylskiego alfonsa i mówi z akcentem południowo-wschodniej Francji, co łącznie składa się na obraz drobnego bandycyny bez większych perspektyw.

Para ta wyobraża sobie, że ma klasę, ale w rzeczywistości przypomina Flipa i Flapa. Obaj stawiają małe sumy i są niezadowoleni za każdym razem, kiedy przegrywają. Gruby Belg jest nawet miły, taki mały kozak mogący rozbawić swoimi dowcipami. Rozśmiesza nas opowiadając o kłopotach, jakie miał w swoim kraju. Ale jest bardzo złym graczem, przegrywam przez niego wielokrotnie.

Przed odejściem postanawiam pójść na całość: monopolizuję stół i stawiam po sto dolarów na każde z siedmiu pól. Tak jak się spodziewałem, krupier ma ponad dwadzieścia jeden. Wysoki kretyn z podziwu traci mowę, a Belg naśmiewa się z krupiera. Jego zachowanie podoba mi się, więc zapraszam ich do mojego apartamentu w Balmoralu.

Po godzinie gruby, otumaniony alkoholem, drzemie w kącie, a wysoki prosi mnie o rząderek kokainy, a ponieważ narkotyk rozwiązuje język, gęba mu się nie zamyka. W głupim dążeniu do zaimponowania za wszelką cenę przedstawia siebie jako zawodowego szwindlarza opisuje mi swój ostatni numer.

Z jego poplątanych opowieści wynika w końcu, że okradł kumpla, którego znał od wielu lat, wykorzystując jego przyjaźń. Co gorsza, tchórz bał się zemsty, więc wydał kumpla glinom.

— Zanim odsiedzi swoje w Europie, będę już bezpieczny — mówi mi, bardzo zadowolony z siebie.

Jak ta gnida ośmiela się mi to opowiadać? I jest w dodatku z tego dumny! To nie szwindel, to zwykłe świństwo! Czuję do niego gwałtowne obrzydzenie i żaluję, że go zaprosiłem. Budzę po przyjacielsku grubego, pociągając go za ucho, i pod pretekstem zmęczenia szybko wyrzucam wszystkich za drzwi. Kiedy wychodzą, mówię do Nicolasa normalnym tonem:

— Przyjdź jutro wcześniej, czeka nas duża robota.

Jego rozweselone oczy wyraźnie mówią, że mnie zrozumiał. Wie już, że ten wysoki sukinsyn otrzymał właśnie wyrok.

Następnego dnia Nicolas zjawia się o dziesiątej. Mam już ułożony plan działania.

Ten facet to prawdziwa świnia, ścierwo najgorszego rodzaju. Chcę mu dać ostrą lekcję, którą popamięta. Mówi, że robi szwindle, ale to gówniarz. Chciałeś zobaczyć, jak się robi szwindel, no to masz dobrą okazję. Jeśli zrobisz dokładnie wszystko, co ci powiem, obrobimy go w parę dni.

— Jasne. Mnie też się chce rzygać na jego widok.

— Więc posłuchaj. Facet jest napalony, cholernie napalony. Jest pewien, że jestem bardzo bogaty. Te wczorajsze siedemset dolarów utwierdziło go w tym. To taki skąpy baran, który nie rozumie, co to znaczy zaszaleć. Trzeba się z nim spotkać.

— Mówił mi, że często po południu chodzi do Key Largo.

— Dobra, pójdiesz tam. Jeśli tam będzie, zachowuj się jakbyś spotkał go przypadkiem, spokojnie przysiądź się do niego... Gdyby go nie było, zajmij stolik, w końcu się pojawi. To on musi się starać, żebyś go ze mną skontaktował. Wczoraj potraktowałem go tak chłodno, że nie ośmieli się zadzwonić bezpośrednio do mnie. Ale wyczuł forszę, więc będzie cię pytał, kim jestem, co robię. Nie bój się przesadzić. Opowiedz mu, że jestem cholernie bogaty, że zajmuję się przemytem sztuki prekolumbijskiej na wielką skalę. Opowiedz mu o ogromnych zyskach, jakie można osiągnąć sprzedając w Anglii: cztery albo pięć razy tyle, ile się zainwestowało. Możesz być pewien, że zaproponuje swój udział. Tylko nie zgadzaj się zbyt szybko. Powiedz mu, że jestem bardzo zajęty, że niechętnie wchodzę w spółki z nieznanymi, że mam podły charakter i takie rzeczy. Gdyby uznał, że idzie mu za łatwo, mógłby się czegoś domyślić. Powiedz mu, że zobaczysz, co się da zrobić. I bardzo ważne: postaraj się dowiedzieć, ile ma forsy. To ma zasadnicze znaczenie dla dalszego ciągu.

— A gdyby nie był zainteresowany?

— O to się nie martw, rzuci się na to jak amen w pacierzu. Gdyby chciał się ze mną umówić, powiedz mu, że to bardzo trudne. Będzie nalegał, więc powiedz mu, że jutro jesz ze mną obiad w Balmoralu, i że może tam zajść niby przypadkiem. Jest bardzo ważne, żeby ustawić go w roli tego, któremu zależy, żeby uważał, że robię mu łaskę. Wtedy będzie ugotowany, a resztą zajmę się ja.

— No, czuję, że się zabawimy.

— A przede wszystkim pamiętaj: nie sprawiaj wrażenia, że ci zależy, niech on zadaje pytania. W żadnym momencie nie może się domyślić, że nim manipulujemy.

Wieczorem Nicolas przychodzi złożyć raport.

— Wszystko odbyło się dokładnie tak, jak przewidziałeś, bez żadnych problemów. Prawie rzucił się na mnie. Zrobiłeś na nim niesamowite wrażenie.

Będzie jutro w porze obiadu. Wiesz, jaki ma tupet? Powiedział, że dobrze się składa, bo właśnie miał zamiar zjeść z nami obiad. Wyobrażasz sobie, takie skapiradło. Trochę się tylko niepokoił, że wczoraj za dużo gadał.

— Udało ci się dowiedzieć, ile ma forsy?

Tak, z tym było trochę trudniej. Ma dokładnie dziesięć tysięcy sześćset dolarów. Ale rachunku ścierwo nie zapłacił! Musiałem zapłacić ja.

— To nieważne. Za kilka dni nie zostanie mu już nic.

* * *

Następnego dnia w południe wszystko jest gotowe do przedstawienia: kiedy kretyn pojawia się, siedzimy przy stole, w towarzystwie wynajętej na tę okoliczność Ewy. Kiedy kretyn pozdrawia nas i zmierza w kierunku innego stolika, daję mu znak, żeby się do nas dosiadł; wygląda, jakby odczuł ulgę. Na początku nic nie mówię, zamówiłem najlepsze rzeczy i widzę, jak wycenia stojące na stole francuskie wino. Pod koniec wreszcie decyduje się:

— Dowiedziałem się, że zajmujesz się sztuką prekolumbijską. To się naprawdę opłaca?

Udaję zaskoczenie.

— To ja mu powiedziałem — mówi Nicolas z zażenowaniem w głosie.

— Nie ma sprawy, to w końcu żadna tajemnica. Dochód wystarcza, żeby żyć bez kłopotów.

— Mówię o tym, bo chętnie zrobiłbym z tobą interes. Mam trochę forsy i chciałbym ją zainwestować.

— Można to załatwić. Ile chcesz w to włożyć?

— Myślałem o pięciu albo sześciu tysiącach dolarów.

— Przykro mi, ale nigdy nie zajmuję się sprawami poniżej dziesięciu tysięcy. Nie mogę rozmieniać się na drobne.

— Ale dziesięć tysięcy to dla mnie za dużo!

— Nie ma sprawy, są inne możliwości. Co do mnie to zawsze przestrzegałem określonych reguł zawodowych.

Zapada cisza, po czym płacę rachunek na dwanaście tysięcy colonów i wstaję.

— No dobrze, panowie, mam z tą panią pilne sprawy do załatwienia. Nicolas, widzimy się dziś wieczorem.

Zgodnie z ustaleniami Nicolas zostaje przy stoliku. Rozmowa, która nastąpi, została wcześniej przygotowana i mogę ją przewidzieć: — Twardy jest ten twój koleś.

— Wiesz, jest jak wszyscy dziani faceci, nie interesują go drobne interesy. Jest przyzwyczajony do obracania wielkimi sumami.

— Ale pięć tysięcy dolarów to nie jest mała suma. A jeżeli wyłożę dziesięć tysięcy, ledwo mi zostanie na opłacenie biletu lotniczego do Londynu. Będę tam bez grosza i nawet nie będę wiedział, do kogo się zwrócić.

— Jeśli o to chodzi, mogę oddać ci ostatnią przysługę. Zajmuję się trochę jego sprawami, więc mogę ci dać adresy specjalistów od sprzedaży sztuki prekolumbijskiej.

— To będzie długo trwało. Nie masz adresu kolekcjonera?

— Nie mogę ci tego podać. Tym zajmuje się Juan Carlos. Ale poprzez handlarzy łatwo dotrzesz do kolekcjonerów.

— Muszę się nad tym zastanowić. Długo zostajecie w mieście?

— Nie wiem. W zasadzie tak, ale z Juanem Carlosem nigdy nie wiadomo.

Ponieważ jestem pewien, że padną takie pytania, opracowałem na nie odpowiedzi. Kiedy Nicolas przychodzi do mojego pokoju, uśmiecha się od ucha do ucha.

— I co?

— Poszło jak po maśle. Trzęsie się, że interes mu przejdzie koło nosa, ale boi się wyłożyć całą forszę, przekonałeś go na sto procent. Widziałeś, jak zaglądał w rachunek?

— No to doskonale. Zostawimy go w spokoju na jakiś czas i poczekamy, aż sam się zgłosi. Wie, jak się z tobą skontaktować?

— Tak, dałem mu adres mojego hotelu.

— Gdyby się pojawił, popuść trochę i powiedz mu, że zrobił na mnie dobre wrażenie i że może spróbować poprosić mnie o dobry adres.

Nicolas, dla którego jest to pierwszy w życiu szwindel, boi się, że zwierzyzna wymknie nam się z rąk.

— Nic się nie bój. Wróci. Musi tylko dojrzeć!

Po południu odwiedza mnie Ureba, Hiszpan z Algierii, którego poznałem w Escorialu. Mówił o mnie swoim klientom, którzy chcieliby mnie spotkać, bo interesuje ich złoto.

— To nie byle kto. Są nieźle ustawieni. Słyszałeś o rodzinie Caracas? Tak naprawdę to oni rządzą tym krajem. Stary był założycielem Partido del Pueblo, która jest teraz przy władzy.

— Nie bardzo lubię partie polityczne, to sami złodzieje. Za każdym razem, jak się z nimi zadawałem, kończyło się źle. W Afryce czy tutaj, zawsze to samo.

— Nie ci, tutaj to co innego. Można im zaufać, kochają swój kraj i nie są skorumpowani. Chciałbym, żebyś spotkał się z Hermanem Weinbergiem, to ich przedstawiciel.

— Jesteś tego pewien?

— Całkowicie. Powiedziałem im, że jesteś największym poszukiwaczem złota w okolicy, nie możesz teraz nie przyjść, bo wezmą mnie za mitomana albo za durnia. Gdybyście doszli do porozumienia, urządziłoby mnie to, bo sam załatwiam z nimi duży interes. Oddałbyś mi przysługę w samą porę.

— Zgoda, pójdę tam, zrobię to dla ciebie.

— Idziemy teraz?

— Nie, wpadnij jutro o tej samej porze.

* * *

Herman Weinberg to jeden z tych biznesmenów, których elokwencja i uprzejmość każą zapomnieć o ich wyglądzie kupy tłuszczu. Nieustannie żartuje i uśmiech nie schodzi mu z twarzy. W pierwszym zetknięciu jest sympatyczny, i można się domyślić, że to znakomity człowiek interesu. Jest w garniturze i krawacie. Ja, zgodnie z moim zwyczajem, mam na sobie bawełnianą koszulkę, dzinsy i wysokie buty: trzeba trzymać fason salonowego poszukiwacza przygód i podróżnika.

Po zwyczajowych uprzejmościach Herman zmierza prosto do celu:

— Ureba mówił mi, że jest pan wielkim znawcą złota, interesuje nas to. Jak pan zapewne wie, kraj przechodzi poważny kryzys i złoto może nam pomóc się wydźwignąć. Mamy w Malessie sporo maszyn, których z powodu inflacji nie możemy sprzedać. Można by je wykorzystać przy pracach górniczych.

To, co mówi, jest przygotowane, czuję, że byłem oczekiwany. Prowadzi mnie do hali swojej fabryki, w której ustawione są maszyny. Są tu wszystkie modele i wszystkie rozmiary. Podczas gdy opowiada mi o ich zaletach, zastanawiam się, po co właściwie traci ze mną czas, skoro ja zaledwie odróżniam samochód od samolotu. Naprawdę nie interesują mnie kwestie techniczne: wiem jedno, że nigdy nie dostarczają maszyny bez technika, a ja wiem, jak działa technik. Po półgodzinie, widząc moje oczywiste zainteresowanie swoimi wywodami, Herman przyprowadza mnie z powrotem do biura.

— Pan zna półwysep, a my mamy maszyny. To niezły początek. Politycznie rzecz biorąc, jesteśmy w siodle na cztery lata, czyli na długo, i nie jest problemem załatwienie koncesji górniczej czy jakichkolwiek innych zezwoleń. Wiem, że miał pan na półwyspie kłopoty. Ale z nami takich kłopotów nie będzie: prawo pobytu, pozwolenie na broń, wszystko możemy szybko załatwić. Naszym słabym punktem jest brak specjalisty od pracy w terenie. Czy widzi pan jakieś przeszkody w naszej współpracy?

— To bardzo interesujące. Ale nie mogę odpowiedzieć panu natychmiast. Żeby być zupełnie szczerym, chciałbym obejrzeć do końca Mundial zanim podejmę decyzję, a rozgrywki kończą się za dwa tygodnie. Może pan to uznać za wariactwo, ale dla mnie przyjemności zawsze były na pierwszym miejscu.

— Interesuje się pan piłką nożną? Ja też.

Nuta zainteresowania w jego głosie brzmi fałszywie. Szybko zdaję sobie sprawę, że zna się na futbolu tak jak ja na maszynach. Muszę naprawdę być dla niego kimś ważnym, skoro wkłada tyle wysiłku, żeby mi sprawić przyjemność. Czas się pożegnać. Umawiamy się niezbyt konkretnie na ponowne spotkanie po Mundialu.

W samochodzie, który odwozi mnie do miasta, Ureba pyta:

— Co sądzisz o moim kumplu?

— Hipokryta.

— Fakt, ale tacy są wszyscy biznesmeni. Chodzi mi o jego propozycję. Ciekawe, nie?

— Tak, oczywiście. Może być z niego niezły sojusznik. Ale widzisz, nie bardzo lubię samą zasadę spółki, dzielenie się władzą z kimś innym...

— Tak, ale powinieneś mimo to o tym pomyśleć.

— Może tak, zobaczymy. Tak czy inaczej, nie pali się.

Po powrocie dowiaduję się od Nicolasa, że tamten kretyn chce się ze mną spotkać i że się zdecydował. Umówili się na jutro wieczór.

* * *

W ciągu dnia idę do Esmeraldy, gdzie od dawna się nie pokazywałem. Spotykam tam Carlosa Finca. Pytam go, co ma najtańszego i najbrzydszego. Kupuję za trzydzieści siedem dolarów różnych imitacji z jasno- i ciemnozielonych kamieni, zwanych pompatycznie nefrytem; dodaję do tego dwa miedziane złocone dzwonki i rzeźbioną kość, która ma mieć dwa tysiące lat, ale którą zapewne znaleziono na łące wraz z innymi częściami krowy nie dalej jak pół roku temu.

Spotykamy się wieczorem:

— Przyniosłem ci parę próbek. Możesz sam decydować o cenie sprzedaży. Jako wskazówkę mogę ci powiedzieć, że przedmioty z ciemnego nefrytu są najdroższe. Są rzadkie, więc bardziej poszukiwane. Rzeźbione kości też są wiele warte. Trudno znaleźć coś w dobrym stanie, bo upływ czasu i wilgoć niszczą substancje organiczne. Ta pochodzi z pustyni Guacanaste, więc klimat ją zakonserwował.

Akurat, jeszcze dobrze, że nie czuć jej formaliną!

— Przedmioty ze złota dobrze się sprzedają, tu masz czyste złoto. Zobacz, jakie ciężkie.

Waży je w ręku z miną znawcy. Gdyby miał doświadczenie ze złotem, byłby zaskoczony, bo przy ich rozmiarach dzwonki powinny ważyć cztery razy więcej. Bawię się wspaniale.

— Fakt, to ma swoją wartość. Ale powiedz mi, nie można by tego kupić za mniej niż dziesięć tysięcy?

— Wydawało mi się, że się dogadaliście. Ale jak nie, to nie ma sprawy. Zapomnij o wszystkim. Dość straciliśmy czasu.

Zaczynam pakować moje skarby. Nicolas widząc, jak forsa się ulatnia, jest zaniepokojony. Ale ja wiem, że owoc spadnie, a poza tym mam swoją tajną broń: po paru rządках kokainy kretyn kapituluje. W przypiływie hojności zostawiam mu lipny adres, po czym pieniądze wędrują z jego kieszeni do mojej. Przedmioty, które mu dałem, nawet przez pół minuty nie wytrzymają badania przez zwykłego amatora, ale trzeba powiedzieć, że cała

kolekcja prezentuje się nieźle w swoim pudełku wyłożonym czarnym aksamitem. Dla neofity to wystarczy.

Wszystko, co zabiera ze sobą, posłużyć może co najwyżej do zabawy jego wnukom, gdyby je miał. Choć rzecz wydaje się mało prawdopodobna, bo nie wyobrażam sobie kobiety gotowej znieść takiego kretyna. Zaletą moich precjozów jest to, że na pewno nie spowodują kłopotów z celnikami.

* * *

Następnego ranka budzi mnie Nicolas. Skręca się wprost ze śmiechu, ale udaje mu się wreszcie wykrztusić:

— Na początku wszystko szło dobrze. Był cały podniecony i chciał się zabawić. Koło trzeciej rano, kiedy kokaina przestała działać, trochę myśleć i zastanawiać się, czy przypadkiem nie popełnił głupstwa. Musiałem znów dać mu trochę kokainy, żeby przestał mi wracać głowę. Jak tylko otworzyli biura, pojechaliśmy do Air Florida kupić mu bilet i tutaj zaczyna się najlepsze. On zupełnie nie mówi, angielsku, więc to ja załatwiałem mu rezerwację. Do Miami nie było problemu. Ale nie ma mowy o dostaniu miejsca Miami — Londyn wcześniej, niż za trzy dni. Wpisałem go na listę oczekujących i powiedziałem, że wszystko w porządku. Nie wiem, jak sobie tam poradzi ale czeka go cholerna niespodzianka. Nie ma już ani grosza i musiałem mu dać forszę na opłacenie taksy lotniskowej, ale już na taksówkę odmówiłem: nie trzeba przesadzać, dałem mu piętnaście colonów na autobus.

— Ale jesteś chociaż pewien, że odleciał?

— Tak, na pewno. Wziąłem taksówkę i patrzyłem, jak wsiada do samolotu. Wyglądał na szczęśliwego. Ciekawe, na jak długo.

— Miałeś rację, że nie dałeś mu na taksówkę. Skoro nie ma forsy, nie może domagać się przyjemności dla bogatych. Masz, tu jest twoja część, pięćset dolarów.

— No, nie przepracowałem się, żeby je zarobić! A w dodatku zrobiliśmy dobry uczynek, to go nauczysz uczciwości.

— Chodź, uczcimy to, zapraszam cię do Golfito na langustę. Zobaczymy się z Wayne'em.

* * *

Kasyno i zabawa już mnie trochę męczą. Używamy życia już od dwóch tygodni, nocne wyprawy i kokaina nadszarpnęły mi poważnie zdrowie. Dwa

dni na plaży dobrze nam zrobią. Dzięki hojności naszego „przyjaciela” mogę sobie pozwolić na wynajęcie awionetki do Golfito. Kiedy przyjeżdżamy, Wayne szykuje się właśnie w drogę do Jimenez, na cotygodniowe zakupy złota. Zaprasza nas, żeby mu towarzyszyć i na miejscu wspólnie się zabawić. Trochę się waham, a Nicolas, który nie zna moich spraw z przeszłości, nie rozumie, co mnie powstrzymuje. Tak czy inaczej, jak mówi Wayne, chyba już o mnie zapomnieli po tych wszystkich miesiącach. Na wszelki wypadek zostawiam rewolwer w Golfito. Kiedy Wayne idzie spotkać swoich handlowych partnerów, rozsiadamy się w Rancho de Oro i zajadamy langustami. Nie siedzimy tam nawet godziny, kiedy otacza nas pięciu gliniarzy z wycelowanymi karabinami. Przeszukują nas pobieżnie, nie znajdując pieniędzy, które mam schowane w butach. I rozpoczyna się dyskusja, jak zawsze. Jakiś facet mnie rozpoznał i poszedł zadenuncjować. Nicolasa znowu biorą za Dave’a i myślą, że wróciła stara ekipa.

Podczas gdy gliny rozmawiają przez radio z San José i coś sprawdzają, szef posterunku prawi mi kazanie i powtarza, że w tym kraju nie wolno strzelać do ludzi. Na moje pytanie: „*Czy ja wyglądam na kogoś, kto strzela do ludzi?*” odpowiada przecząco, ale wiem, że myśli co innego.

Po trzech godzinach wypuszczają nas i proszą, abyśmy wrócili do Golfito. Jest to moje trzecie aresztowanie w tym kraju. Skoro na południu tak źle nas przyjmują, postanawiam wrócić do San José.

* * *

Ku mojemu wielkiemu zmartwieniu Mundial dobiega końca. Półfinały były dla mnie dotkliwym ciosem. Wierząc w nadzwyczajne umiejętności Francuzów, postawiłem na nich trzy tysiące pięćset dolarów. Aż do ostatniego karnego byłem pewien, że wybrałem dobrze, ale moimi pieniędzmi podzieliły się Szwaby. Dzisiaj finał i jestem zdecydowany się odegrać. W Escurialu panuje atmosfera inna niż zazwyczaj. Po jednej stronie sali siedzą Niemcy, po drugiej — Włosi. Moje uczucia skłaniają się raczej ku makaroniarzom, którzy zgodnie ze swym łacińskim duchem wrzeszczą i robią z kawiarni ogólny burdel. Przyszli tu z żonami i dziećmi i lokal wygląda jak neapolitańska kawiarnia.

Po drugiej stronie Niemcy są spokojni i poważni. Postawiłem na Włochów prawie wszystko, co mi zostało, i mam nadzieję, że makaroniarze nie sprawią mi zawodu. W przypadku przegranej nie ma mowy o ucieczce, bo

stawki, jako że wysokie, zostały powierzone właścicielowi restauracji, który gra rolę bukmachera.

Mecz przebiega w nieopisanym hałasie. Ku mojej radości Włosi mają przewagę i po każdej bramce wszyscy się całują i robią w kierunku Niemców obsceniczne gesty. Kiedy mecz kończy się zwycięstwem jestem bogatszy o dziewięć tysięcy osiemset dolarów i rewanżuję się wczorajszym zwycięzcom. Cała kolonia włoska wychodzi na ulicę w spontanicznym pochodzie. Blokują ruch i wśród ogólnego zamieszania wrzeszczą „*Italia! Italia!*”

My także wrzeszczymy z tylnego siedzenia mercedesa, który uczestniczy w defiladzie trąbiąc na wiwat. Jestem przepojony nie tyle patriotyczną radością, ile szczęściem czysto finansowym. Mogę trochę pokrzyczeć na ich cześć, w końcu dzięki nim zarobiłem prawie dziesięć tysięcy dolarów. Wieczorem zabawa przenosi się do domu pewnego bogatego Włocha. Podczas gdy zalani faceci gratulują sobie wzajemnie i udowadniają jedni drugim, że Włosi są najlepsi na świecie w piłce nożnej, my staramy się udowodnić ich dziewczynom, pomagając sobie kokainą, że Francuzi też nie są najgorsi w całkiem innej dziedzinie. Kiedy nad ranem zabawa dobiega końca, żeńska cześć kolonii włoskiej nie ma już dla nas tajemnic.

* * *

Mundial zakończył się dwa dni temu i zaczynani zastanawiać się, co będzie jutro, kiedy odwiedza mnie w hotelu Ureba z polecenia Hermana Weinberga. Już zapomniałem o tym gościu.

— Wiesz, nie powinieneś przepuścić tej okazji. To naprawdę niezła fucha. Wielu ludzi chciałoby z nimi współpracować. Powinieneś skorzystać, że Herman cię ceni.

— Jesteś pewien, że nie chodzi mu raczej o zrobienie nowego interesu?

— Przestań się wygłupiać. Zadzwoń do niego. Jego współpracownicy chcieliby się z tobą spotkać. Będzie Tino, syn byłego prezydenta, i Orlando, jego siostrzeniec, który kończył West Point.

* * *

I tak wracam do Malessy. Kiedy wchodzę do gabinetu, jakiś nieznajomy siedzi w fotelu Hermana, który zajął miejsce w kącie. Czekają na mnie jeszcze cztery inne osoby. W każdym razie jestem tu mile widziany.

Dokonujemy prezentacji. Tino Caracas, syn Juana, założyciela Demokracji Kostarykańskiej, Orlando, siostrzeniec, Oskar Trous i Mario Terrino.

Za biurkiem Hermana siedzi Tino. Na pierwszy rzut oka można by pomyśleć, że to nieśmiały nauczyciel z prowincji. Jest źle uczesany, wysoki i szczupły, na nogach ma sandały. Pomimo pozorów czuję, że jest zimny i niebezpieczny jak wąż.

Orlando Caracas, siostrzeniec, jest jego przeciwieństwem: mały, tłusty, przypomina wołu i w jego oczach odczytać można podobny stopień inteligencji.

Pozostali dwaj są bardziej niepozorni i wyglądają na typowych biznesmenów. Wszyscy usiedli tworząc półkole, a ja, siedząc w fotelu, czuję się jak przed sądem. Zrobili mi stary numer z fotelem niższym niż inne i próbują mnie pognębić.

Zadają mi pytania na temat Osa. Orlando w bezpośredni sposób wyraża wątpliwości, co do mojej kompetencji.

— No tak, jeśli dobrze rozumiem, zna pan cały półwysep?

— Zgadza się.

— Podejmował pan kilka prób wydobycia, które się nie powiodły.

— Tak, sądzę, że słyszał pan o tym.

— I chciałby pan podjąć nową próbę z naszą pomocą, jeśli zgodzimy się zaryzykować jakieś kapitały?

Już wiem o co im chodzi, to grubymi nićmi szyte. Czy on naprawdę sobie wyobraża, że wejdzie mi w ten sposób na głowę? Przede wszystkim trzeba popsuć scenariusz. Wstaję i opieram się o ścianę plecami:

— Ej, chwileczkę, to jakaś pomyłka. Kto mówił o pieniądzach? Ja nikogo nie szukałem. Nie odwracajcie ról. To wy potrzebujecie mnie. Ja świetnie sobie daję radę sam.

Głos zabiera Tino. On tu gra rolę psychologa.

— Wszyscy się z tym całkowicie zgadzamy. Orlando wyraża się czasem trochę zbyt bezpośrednio. To jego sposób bycia. Ale spotkaliśmy się wszyscy po to, żeby zobaczyć, w jaki sposób spółka albo współpraca mogłaby być korzystna dla wszystkich. Sądzę, że możemy sobie wzajemnie dostarczyć tego, czego brakuje drugiej stronie. Wiemy, że pańskie poprzednie próby zakończyły się fiaskiem. Może moglibyśmy panu pomóc?

— Jeśli poprzednie mi się nie udały, to nie z powodu złota, braku pieniędzy albo braku doświadczenia, ale z powodu kłopotów z policją. O czym zapewne wiecie... Z tego, i tylko z tego powodu postanowiłem rozważyć waszą propozycję.

— Zgoda. Niech pan powie, podobno półwysep jest niebezpieczny?

— Trochę. Powiedzmy, że jest zamieszkały przez facetów, którzy mogą być niebezpieczni. Dlatego trzeba posługiwać się ich metodami, a czasem nawet posunąć się dalej. To tłumaczy moje problemy w przeszłości.

— Właśnie tutaj, jak sądzę, nasza spółka może okazać się korzystna. Możemy panu pomóc jeśli chodzi o dokumenty i bezpieczeństwo. My mamy maszyny, ale nikogo z doświadczeniem w terenie. Natomiast sądzimy, że pańska skuteczność działania jako Europejczyka może pomóc wydobyć Malesę z kłopotów.

— Zgoda, ale podyktuję twarde warunki.

Przechodzimy do szczegółów naszej współpracy. Żądam całkowitej swobody działania. Oni ze swej strony podejmują się zapewnić załatwienie wszystkich papierkowych formalności, w tym także sprawę mojego prawa pobytu i zezwolenia na noszenie broni, a przede wszystkim, co najważniejsze, zobowiązują się kryć mnie we wszystkim, czego się podejmę. Nie mam zamiaru utopić kraju w morzu krwi, ale poszukiwanie złota to nie sprawa dla grzecznych dzieci.

W całej dyskusji udział biorą trzy osoby: Tino, Herman i ja. Orlando, urażony moją pierwszą reakcją, dąsa się w swoim kącie. Dwaj pozostali, prawdopodobnie mniej ważni w spółce, zadają tylko od czasu do czasu pytania i potakują.

— Juan Carlos — podsumowuje Tino — Herman jest naszym rzecznikiem. Będiesz się mógł z nami kontaktować za jego pośrednictwem. On zajmie się wszystkimi twoimi dokumentami. Kiedy zamierzasz wyruszyć?

— Myślę, że za tydzień. Pojadę na rekonesans na jakiś miesiąc. Chcę rozejrzeć się w paru miejscach dokładnie. Mam już pomysł co do miejsca, gdzie można będzie pracować. W przeciwieństwie do innych przedsiębiorstw, my rozwiniemy działalność w górach. Jest to trudniejsze, ale bardziej się opłaca.

— Doskonale. Po twoim powrocie zajmiemy się dokumentami dotyczącymi naszej spółki i zalegalizujemy przedsiębiorstwo. Pracuje dla nas najlepsze biuro adwokackie w mieście.

Wychodzą i zostają sam na sam z Hermanem. Ze swoim nieodłącznym uśmiechem na ustach nalewa mi koniaku.

— Masz temperament. Ale nie zapominaj, że ci ludzie są w tym kraju bardzo ważni.

— Ważni czy nie, mnie to wszystko jedno. Nie idę na ustępstwa i pracuję po swojemu. Może ty musisz się kłaniać, ale ja nic nie jestem nikomu winien.

— Nie chodzi o kłanianie się. To przede wszystkim przyjaciele z dzieciństwa. Co zamierzasz robić przez ten tydzień do wyjazdu?

— Chcę przygotować wyjazd i iść do Ministerstwa Geologii i Górnictwa po plany stref koncesyjnych, żeby nie tracić czasu.

— Będiesz czegoś potrzebował w najbliższym czasie?

— Jeepa, jeśli masz.

— Każę ci przygotować jednego i dam ci też przepustkę dla miejscowych władz. Dostaniesz też kierowcę, przyda ci się w górach.

To zmetysowany Indianin, który jako dziecko chodził z ojcem po całej dżungli.

— Dziękuję ci, ale mam zwyczaj pracować sam.

— Ależ on ci nie będzie przeszkadzał, sam zobaczysz. To porządny chłopak.

Domyślam się, że chodzi przede wszystkim o podstawienie mi szpiega. Mogę pójść na takie małe ustępstwo.

— No dobrze. Gdzie go spotkam?

— Wpadnij przed wyjazdem, to ci go przedstawię. Jesteś zawsze mile widziany w Malessie. Możesz być dla nas cholerną pomocą. Mamy deficytu osiemset tysięcy dolarów, więc może ta sprawa pomoże nam wyjść z dołka. Niebo nam ciebie zsyła.

Wolę wyjść, zanim zaczną się czułości.

* * *

Jimmy to indiański Metys, mały i zwinny, o przyjemnej powierzchowności. Szybko go oceniam podczas wspólnego obiadu. Jest to idealny zaufany człowiek, uczynny, choć nie uniżony, sympatyczny dzięki

dobremu charakterowi, z pozoru spokojny, ale zdolny do gwałtownych wybuchów. Później dowiedziałem się, że w czasie bójki przeciął zębami palce swego przeciwnika. Jest przyjacielem Hermana z lat dziecińczych, służy mu jako totumfacki i dobrze zna rodzinę Caracas. Jest wreszcie sprytny, choć nie cwaniacki, i dostrzegam w nim raczej pomocnika niż szpiega.

Razem idziemy do Ministerstwa Geologii i Górnictwa. Nie pracuje się tam zbyt poważnie i wszystko załatwiane jest za pomocą łapówek, ale dostaję informację, której potrzebowałem: nie ma żadnej koncesji na tereny dookoła laguny Chocoahuaco. To dobra wiadomość i spieszno mi teraz, by wrócić na półwysep. Kiedy byłem w Drake, poznałem praktycznie całą tę strefę.

* * *

Jeszcze kilka drobnych spraw do załatwienia i w końcu tygodnia jestem gotów do wyjazdu. Herman ma przysłać mi topografów, którzy będą wolni dopiero za kilka dni. Nie chcę tracić czasu na czekanie i postanawiam wyruszyć po ostatnim zabawowym weekendzie. Przyjemności miasta straciły trochę ze swego uroku odkąd wiem, że niebawem zacznie się nowa przygoda.

W poniedziałek wyruszam, Jimmy, Nicolas, Jairo i ja. Jairo to mały uliczny handlarz narkotykami, którego zatrudniłem do drobnych posług. Będzie dbał o moje rzeczy osobiste: skoro mam okazję wrócić na półwysep w roli zwycięzcy, warto od początku robić dobre wrażenie i mieć u boku służącego. Herman zrozumiał, że lubię działania wykraczające poza przyjęte normy, i zalecił mi ostrożność:

— Nie niszczyć wszystkiego na swej drodze. Możemy cię chronić, ale lepiej uniknąć rozgłosu.

— Nie obawiaj się. Mam zamiar jechać przez Sierpe i Guerra. Na początek tak będzie dyskretniej. Rozpoczniemy prace zanim wieści dotrą do Jimenez.

— Wiesz już, dokąd pojedziesz?

— Tak, mam pewien pomysł. Ale miejsce, o którym myślę, zajęte jest przez jednego skurwysyna. Być może trzeba będzie użyć siły.

— Działaj spokojnie. Nie zaczynaj wojny, nie używaj siły bez potrzeby.

— Tylko tyle, ile będzie potrzeba. Będę działał zgodnie z naszymi interesami.

* * *

Wyjeżdżamy w nocy, żeby łatwiej przejechać punkty kontrolne na szosie panamerykańskiej: pomimo listu polecającego Hermana, nigdy nie wiadomo. Mam rewolwer, Magnum 357 ze spiłowanym numerem fabrycznym, Nicolas ma trzydziestkę ósemkę kupioną na czarnym rynku, a Jimmy karabin kaliber 22 bez pozwolenia na broń: w przypadku szczegółowej rewizji wystarczy to, żeby stracić parę godzin. Jimmy, który był kiedyś kierowcą prezydenta, prowadzi bardzo dobrze, ale jeep jest w okropnym stanie. Poza przełęczą Cerro de la Muerte, gdzie panuje pieski ziąb, droga przebiega dobrze, ale dłuży się potwornie. Docieramy do Sierpe, gdzie musimy zostawić samochód, bo zaczynają się bagna. Spotykam Miguela, który wielokrotnie przewoził Diane z Drake; zabiera nas na swoją łódź, zwykły wydrążony pień drzewa.

Żeby dotrzeć na półwysep, trzy dni będziemy płynąć przez te bagna, pełne komarów i kajmanów, omijając od czasu do czasu sterczące nieliczne drzewa. W końcu wysiadamy w Guerra, małej malarycznej wiosce na skraju bagien, w której mieszka Nizaro. Stary jest zadowolony widząc mnie znowu i chętnie zgadza się nas przenocować. Czekać na topografów złożę tylko wizytę w Rancho Quemado. Nizaro proponuje nam swój dom, ale odmawiam, bo jest tam stanowczo za brudno. Zawieszamy nasze hamaki w domku, który służy za składzik, ale szybko orientujemy się, że miejscowe świnie wybrały go sobie na sypialnię. W nocy kładą się pod naszymi hamakami i walenie kolbami nic nie pomaga: te głupie zwierzęta są uparte i codziennie powtarza się ta sama corrida.

Żeby poprawić sobie humor, dzień zaczynamy od małej przechadzki w błocie, w padającym deszczu. Później pracujemy na prekolumbijskim cmentarzu odległym o kilometr od domu. Został on już przeszukany parokrotnie, chodzi raczej o rodzaj treningu. Wieczorami rozmawiamy albo gramy w karty, gram z don Nizaro przeciwko Jimmy'emu i Jairo. Sprawia wrażenie spokojnego dziadka, ale pod tymi pozorami kryje się prawdziwy kanciarz, i gdyby nasz pobyt miał się przedłużyć, naiwny Jairo straciłby całą swoją pensję. Trzeba też powiedzieć, że siedzący obok niego Nicolas bardzo nam pomagał, wymieniając jego karty po francusku.

Don Nizaro, który nienawidzi Barbaroi, z zadowoleniem dowiadyuje się o moich zamiarach ale myśl o towarzyszeniu mi przeraża go.

— Ze mną nie musisz się niczego bać. Jeśli chcesz, poczekaś z tyłu.

— Tak, ale on dowie się, że to ja was przyprowadziłem. Ty jesteś sam, Juan Carlos, ale ja muszę myśleć o rodzinie.

Faktycznie, niezła rodzina. Mając na głowie jego żonę i siedem ogromnych córek, jedyni dwaj mężczyźni w tym domu z ledwością zapewniają utrzymanie. Są chudzi, wysuszeni. Żona, gruba krzykliwa megiera, namawia go do przyjęcia mojej propozycji. Wyczuła forszę i gotowa jest posłać go na śmierć pod warunkiem, że zapłacę z góry. Za cenę spokoju stary w końcu zgadza się.

— Barbaroja jest naprawdę taki straszny?

— To złodziej i morderca. Ma na sumieniu kilka zabójstw: kilku facetów zniknęło. Zatrudnia ludzi obiecując im, że się podzieli zyskami. Ale w rzeczywistości posługuje się nimi tylko przy zdejmowaniu wierzchniej warstwy ziemi, która nie zawiera złota. Potem, pod pretekstem, że nic nie wydobyli, zwalnia ich po tygodniu nic nie płacąc, i strzela jeśli tylko ktoś się próbuje stawiać. W ten sposób może później sam eksploatować przygotowany teren i zabrania komukolwiek nawet się zbliżyć.

— Teren jest jego?

— Wcale nie. Kupił tylko małą działkę za parę colonów, kawałek łąki, który wykarczował. Całą resztę ukradł, przywłaszczył sobie nawet wszystkie rzeki. Ostatnim razem, jak tam poszedłem, wypędził mnie strzałami z karabinu, podczas gdy to ja odkryłem to miejsce.

— Nie bój się, pomyśl raczej, że ty i twój syn będziecie mieli pracę w moim przedsiębiorstwie.

— Gdyby się stawiał, masz czym go uspokoić — mówi, wskazując na mój rewolwer. — Nie wahaj się strzelać pierwszy, ten facet jest niebezpieczny.

Szkoda, że znalazł się na mojej drodze, bo do tego Barbaroi czuję raczej sympatię. Fakt, że utrzymał się tak długo zupełnie sam w tych górach wskazuje na jego zalety, dużo większe niż wszystko, co reprezentują sobą durnie, którzy go krytykują; potrafię docenić odwagę samotnika. Tym niemniej nie będę się rozczulał, jeśli stanie mi na drodze, i zlikwiduję go bez litości. Ale zdecydowałem, że jeśli okaże się w porządku, pozwolę mu na wyjście z twarzą.

Jesteśmy tu już od czterech dni, najwyższy czas ruszać w góry. Wychodzimy bardzo wcześnie, żeby zdążyć obrócić w ciągu jednego dnia. I znowu to samo gówno: wydaje się, że Osa składa się wyłącznie z błota i gór. Jest koniec lipca, pora deszczowa w pełni, i jak zwykle droga jest paskudna. Najpierw pół godziny bagien, w których konie pogrążają się aż po brzuch, potem trzy godziny nieustannego pięcia się w górę do poziomu sześciuset metrów. Trzeba iść jakby ścieżką wytyczoną w błocie przez spływającą wodę, jest stromo i bardzo ślisko. Często trzeba zejść z konia, wspinać się czepiając się drzew i ciągnąć za sobą opornego konia. Jako typowy mieszczuch Jairo nie jeden raz leci na pysk i kosztuje go to wiele wysiłku. Natomiast Jimmy daje sobie radę znakomicie. Mały, lekki i zwinny posuwa się żwawym krokiem, nigdy nie ześlizgując się, i zostawia na ziemi ledwie widoczny ślad tam, gdzie ja zapadam się do połowy uda. Kiedy docieramy do płaskowyzu, on jeden nie jest cały umazany błotem. Nizaro nie chce iść dalej:

- Dalej prosto. Dom brodacza jest o pięćset metrów stąd.
- Nie pójdziesz z nami?
- Nie. Ktoś musi zostać przy koniach.

Pięć minut później podchodzimy do domu Barbaroi, położonego pośrodku łąki. Widać kilkanaście prosiąt, krowę i kury, ale żadnego śladu obecności ludzkiej. Drzwi i okna są pozamykane i dom wydaje się pusty. Zbliżamy się ostrożnie. Kiedy dochodzimy do budynku, stwierdzamy, że rzeczywiście nie ma tam nikogo.

— Jimmy, musimy wiedzieć, gdzie on jest, zanim pójdziemy do rios. Nie chcę mieć tego sukinsyna za plecami.

Jednym susem wskakuje na ścianę i ze zwinnością kota wślizguje się w otwór między ścianą a dachem. Po paru minutach pojawia się znowu.

- Na stole stoi kawa, jeszcze ciepła. Wyszedł mniej niż godzinę temu.
- Musimy się dowiedzieć, gdzie jest.
- To nietrudne: rano padało, więc widać świeże ślady. Poszli tędy, we trzech! — wykrzykuje po chwili.

Z dumą pokazuje mi ślady trzech różnych butów odcisnięte w błocie.

- Idziemy.

Przez kwadrans postępujemy za śladami, w całkowitej ciszy, kiedy nagle daje nam znak, by się zatrzymać. Dziesięć metrów dalej pracuje trzech facetów. Barbaroja, którego poznaję po rudej brodzie, pochyla się nad

catiadorą. U jego stóp dwaj pracownicy, zanurzeni w wodzie po pas, machają łodem i łopatą. Wychodzimy z za drzew i kierujemy się w jego stronę.

Kiedy nas dostrzega, jego pierwszą reakcją jest sięgnięcie po karabin, leżący parę metrów dalej. Przewidziałem to i celuję do niego z rewolweru, krzycząc, żeby się nie ruszał. Waha się... Strzelam tuż obok jego broni. Huk jak wystrzał armatni; nieruchomieje, twarz mu tężeje. Obaj pracownicy stoją bez ruchu, oparci na swoich narzędziach. Posyłam Jimmy'ego, żeby przyniósł karabin, po czym każę Barbaroi podejść bliżej. Jest niepewny swego, ale stara się nadrabiać miną. To mocno zbudowany facet z twarzą brutalnego chama, oczy ma zasłonięte tanimi okularami przeciwsłonecznymi.

— Co tu robicie? To mój teren.

— Mylisz się, przyjacielu. Teren jest mój. Od dziś całe te góry należą do mnie. Właśnie wystąpiłem o koncesję, jestem prawnym właścicielem.

Nie jest to całkowita prawda. Stawiając go przed faktem dokonany chcę uniknąć, by strzelił mi kulę w plecy, naiwnie starając się odwrócić bieg rzeczy. Pokazuję mu przepustkę wypisaną przez Hermana dla miejscowych władz. Nie wiem, czy umie czytać, ale dokumenty z oficjalnym nagłówkiem zawsze robią wrażenie. Opowiadam mu o Kompanii, o maszynach, o rozwoju kraju, co sprawia, że traci resztę pewności siebie.

— Więc chcecie mi odebrać moją ziemię?

— Kto ci mówi o odebraniu czegokolwiek? Mamy koncesję na te góry, to wszystko. Możesz tu zostać, nie przeszkadzasz mi. Ale musisz się przyzwyczaić do tego, że będziesz miał sąsiadów. Po jakimś czasie wrócę tu z inżynierami i urzędnikami, będziesz musiał zachowywać się kulturalnie.

Opróżniam magazynek jego karabinu i oddaję mu go; tutaj ludzie nigdy nie noszą naboju w kieszeniach; amunicja jest podłej jakości i wilgoć szybko ją niszczy.

— Muszę pobrać parę próbek. Wpadnę do ciebie później. Przygotuj kawę, pogadamy.

* * *

Oddaliśmy się trochę, po czym opuszcza nas powaga i wybuchamy śmiechem wspominając minę Barbaroi. Ale nie należy go lekceważyć: jest to być może zwykły chłop, którego łatwo oszukać, ale skoro rządził tu przez tyle czasu, ma na pewno i zalety i wady, by poprzestał na naszej rozmowie. Chcę mu dać czas do namysłu zanim pójdę z nim porozmawiać. Tymczasem, za

każdym razem kiedy zatrzymujemy się, żeby kopać, wysyłam Jimmy'ego na czaty na wypadek, gdyby Barbaroja zareagował szybciej, niż przewidywałem. Kiedy ochłonie z pierwszego zaskoczenia weźmie się w garść.

Jairo, który od rana dźwigał wszystkie narzędzia, ma teraz wątpliwą satysfakcję mogąc wreszcie się nimi posłużyć: biedny Jairo, zaczyna się zastanawiać, w jaką historię się wplątał. Tak jak się tego spodziewałem, drobne złoto znajduje się wszędzie dookoła: jeśli było potrzebne jakieś potwierdzenie, mamy je.

Kiedy wracamy, Barbaroja nie pracuje już nad rzeką. Zapewne wrócił do domu, żeby się namyślić. Kiedy wyłaniamy się z lasu, jeden z pracowników, który stał na czatach, zawiadamia pozostałych i cała trójka oczekuje nas na progu domu. Stojący w środku Barbaroja daje nam znak, żebyśmy podeszli.

Zbliżamy się ostrożnie, gotowi na szybką reakcję w przypadku zdrady. W przeciwieństwie do tego, czego się obawiałem, Barbaroja wydaje się bardzo spokojny i gotów do rozmowy. Zaprasza nas do środka, żeby pogadać. Wnętrze domu jest dosyć brudne. To dom człowieka przyzwyczajonego do samotności od lat: jedna jedyna izba z łóżkiem i kloce drzewne do siadania. Na stole stoją cztery szklanki mleka, przeznaczone dla nas. Nie wiem, czy jest dość sprytny, żeby zastawić na nas pułapkę, ale wolę się mieć na baczności. Zamiast wypić mleko wylewam je na podłogę. Ku zdziwieniu Barbaroi pozostali robią to samo.

— Nie lubicie mleka?

Jeśli ten poczęstunek wynikł z dobrych zamiarów, to trudno. Wygląda na zamartwionego, ale nie wiem, czy chodzi o marnotrawstwo, czy o coś innego.

— Natomiast chętnie napiłbym się kawy. Kiedy wstaje, mówię do Nicolasa po francusku:

— Idź z nim i nie spuszczaaj z niego oczu, kiedy będzie przygotowywał kawę.

— Myślisz, że chciałby nas otruć?

— Otruć na pewno nie, ale naszczać do wody tak, jak pewnie to zrobił z mlekiem, owszem.

Kiedy wraca, nie uśmiecha się już. Mówi, że naprawdę nazywa się Gerardo i przedstawia dwóch pozostałych jako swoich współników.

Wspólnicy, na pewno! Widząc jak pracowali, jestem pewien, że moje przybycie uratowało ich od wykiwania. W trakcie rozmowy wyjaśniam mu, że

nie przyjedzie tu jakiś pojedynczy orero, ale cała Kompania, i że jeśli będzie sprytny, może skorzystać na naszym przybyciu. Chodzi tu właściwie o dialog w jedną stronę, bo słucha mnie nie odpowiadając inaczej niż niearykułowanymi pochrząkiwaniami. Albo nic nie zrozumiał, albo się maskuje. Atmosfera jest napięta i kiedy się rozstajemy, nie mam pojęcia, na co zdecydował się na przyszłość. W każdym razie nie strzela nam w plecy, to już dobry znak.

* * *

Wracamy do don Nizara, który na nas czeka. Jest cały podniecony.

— Więc zabiłeś tego skurwysyna! Słyszałem strzał. To dobrze, będę mógł wrócić tam pracować.

— Nie, nie zabiłem go. Ale ani ty, ani nikt inny nie pójdzie tam pracować. Od dziś to miejsce należy do mnie.

— Ale nie zapomnisz, że to ja je odkryłem?

— To było trzydzieści lat temu. Tak czy inaczej, dostaniesz u mnie pracę jak już się urządzą. Na razie wracamy na dół.

Nie niepokoję się zbytnio reakcją Barbaroi. Przyznaję, że terroryzował okolicę, ale żyje przede wszystkim ze swojej reputacji, podtrzymywanej przez wrodzone tchórzostwo Ticos. Być może wyolbrzymiają trochę to wszystko, żeby usprawiedliwić swój strach przed nim.

* * *

Dwa dni później jadę do Sierpe po topografa: przyjechał ze swoim synem, wielkim niezgłą, który taszczy sprzęt. Topograf to mały zręczliwy człowieczek, w stylu „*wszystko wiem, wszystko widziałem*”, i od razu czuję do niego niechęć. Na statku przekonuje mnie, że w rio Sierpe nie ma aligatorów, podczas gdy w czasie podróży w tamtą stronę ustrzeliłem czterometrowy egzemplarz, który wygrzewał się na słońcu na brzegu.

W krótkim czasie zraża sobie wszystkich; przywiózł ze sobą namiot, żeby nie spać w hamaku, więc wskazuję mu przyjaźnie pobliską łąkę, o której wiem, że jest pełna coloradillas, żeby się trochę podszkolił. Następnego ranka on i jego syn pożąłują swych ciągot do komfortu. Na drugi raz nie będzie się mądrzył, kiedy coś powiem o owadach.

Tego dnia wychodzimy w góry, by zamieszkać u zięcia Nizara, chłopca mieszkającego w Rancho Quemado. Wioska podobna jest do wszystkich innych na półwyspie: pięć czy sześć domków dookoła futbolowego boiska.

Nasz gospodarz mówi nam, że Barbaroja głosi dookoła, że nie pozwoli nam wrócić.

— Powiedział, że jeśli Francuz postawi nogę na jego ziemi, to będzie strzelał bez ostrzeżenia. Uważajcie, jest do tego zdolny. Ja tam nie wrócę — mówi Nizaro.

Topograf jest trochę zaskoczony:

— Co to znowu za historia? Mnie za to nie płacą. Przyjechałem tu, żeby robić pomiary, a nie, żeby do mnie strzelano.

I baran zaczyna mi zrędzić i opowiadać o warunkach pracy. Nizaro i on naprawdę pasują do siebie; ci dwaj kretyni zdemoralizują mi cały zespół, przestraszą synów gospodarza, których właśnie zaangażowałem.

— Słuchaj, tchórze jeden, przyjechałeś tu po to, żeby wywiązać się z umowy, nic innego. Jeśli nie pójdziesz pracować, będziesz miał do czynienia ze mną. Możesz wybierać między możliwym niebezpieczeństwem w przyszłości i natychmiastowym, zupełnie pewnym. Zresztą, mogę ci zagwarantować, że nie będzie żadnych problemów.

Nie dodałem mu odwagi, ale przynajmniej uspokoił się.

* * *

Następnego dnia idziemy do Barbaroi. Topograf odmówił rozpoczęcia pomiarów jak długo istnieje ryzyko, że zostaniemy w lesie ostrzelani. Podchodzimy, po czym w odległości dwustu metrów od domu Nizara zatrzymuje się, a za jego przykładem cała reszta. Zanim ruszę dalej, trzeba się zabezpieczyć.

Jak wszyscy Indianie, Jimmy jest doskonałym strzelcem: ustawiam go o trzydzieści metrów od domu, polecając, by miał Barbaroję na oku.

— Gdyby zrobił jakiś podejrzany ruch, strzelaj w ramię. Kaliber dwadzieścia dwa nie zrobi mu dużej krzywdy, chodzi tylko o to, żeby go uspokoić.

Nicolas, Jairo i ja posuwamy się naprzód tyralierą, w pełnej gotowości. Barbaroja pojawia się na progu domu, na szczęście ma puste ręce. Wykrzykuję w jego kierunku:

— Podobno chcesz do mnie strzelać?

— Wcale nie, nigdy tego nie mówiłem. Ludzie we wsi nie lubią mnie i opowiadają niestworzone historie.

Nie wierzę mu i ten przejaw słabości zmniejsza moją sympatię do niego.

— Popatrz — mówię mu, wskazując na topografa i jego syna, którzy powoli podchodzą — ci ludzie pracują dla mnie. Będą robili pomiary na okolicznych rzekach, więc się nie zdziw, jeśli będą przechodzić przez ten teren.

* * *

Przez trzy tygodnie topograf mierzy rzeki i tysiąc dwieście hektarów ziemi. To stary dureń, ale zna się na robocie. Wspomagany przez dwóch ludzi, którzy otwierają mu drogę maczetami, pracuje od rana do wieczora.

* * *

Każdego ranka wyruszamy w kierunku rzek, oddalonych o godzinę drogi. Jediną trudność stanowi rzeka, przez którą trzeba się przeprawić przechodząc po cienkim i śliskim pniu drzewa. Za każdym razem, w obie strony, któryś z nas wpada do wody, a stary dureń częściej niż inni, bo trochę mu pomagamy. Całymi dniami pobieram próbki i pracuję z catiadorą, a także rozmawiam z Barbaroją. Duże wrażenie wywarła na nim moc mojej spluwy, a także cały sprzęt topograficzny, który jest dla niego symbolem wiedzy i władzy. Przyzwyczał się już do myśli o sąsiadach i stara się teraz sąsiedztwo to wykorzystać.

— I co, zabierzesz mi moją ziemię?

— Wcale nie, mam koncesję na całe góry i akurat twoje trzy hektary nie są mi potrzebne do szczęścia. Będą tylko pewne miejsca, gdzie nie będzie można chodzić, to wszystko. Zbuduję w pobliżu obozowisko. Jeśli będziesz sprytny, możesz na tym skorzystać i wzbogacić się, na przykład otwierając pulperię.

— Możesz się urządzić obok, jeśli chcesz, są tu wykarczowane miejsca, które nie są mi już potrzebne.

— Dziękuję, to mi ułatwi sprawę. Ile wydobywasz złota miesięcznie?

— Trzydzieści, czterdzieści gramów. Mam słabe oczy i nie mogę pracować bez przerwy, ale moje góry są bogate.

— „*Moje*” góry! Musisz zmienić przyzwyczajenia. Jeśli chcesz i jeśli zobowiąziesz się przestrzegać naszej umowy, będę ci płacił dwadzieścia pięć

tysięcy colonów miesięcznie za wynajęcie terenu, który mi proponujesz, i dodatkowo piętnaście tysięcy colonów jako odszkodowanie za ewentualne kłopoty, jakie możesz mieć z tego tytułu. Mogę ci też doprowadzić bieżącą wodę i prąd. Jak będziesz ze mną współpracował, będziesz miał same korzyści, a jak nie, będą same kłopoty. Jeśli wybierzesz wojnę, to mnie jest wszystko jedno, możemy walczyć, ale przegrasz ty, nie ja. Jak widzisz, możesz tylko zyskać na współpracy.

Suma jest ogromna na miejscowe warunki i wiem, że się zgodzi. Jeśli odmówi, tym gorzej dla niego: w grę wchodzi interesy tak wielkie, że nie przeszkodzi temu żaden miejscowy bandyta. Nie boję się przemocy, kiedy jest konieczna, ale można przez nią stracić sporo czasu.

Tak jak przewidywałem, zgodził się. Moja propozycja daje mu dwa razy więcej, niż mógłby zarobić sam, ale czuje się urażony, że musiał zgodzić się tak szybko, i kiedy w mojej obecności uderza swojego pracownika, wiem że jest to jego sposób na zachowanie twarzy i podtrzymanie swego nadszarpniętego autorytetu.

* * *

Topograf zakończył pomiary; będziemy mogli wracać do San José. Zabiorę ze sobą malutkiego boa, którego znalazłem w domu i któremu zgmiotłem szczęki uderzeniem obcasa.

Po raz ostatni idę do Barbaroi:

— Więc jak, zgoda? Przestrzegasz swoich zobowiązań, a ja swoich. Za parę dni przyślę tu ludzi na budowę. Zapłacę ci za drzewa, których będą potrzebowali na deski. Nie musisz im pomagać, ale nie przeszkadzaj w pracy. Masz tu dwadzieścia tysięcy colonów zadatku.

— Wszystko będzie dobrze.

Pewnie! Jest tak samo zakłamanym jak inni, tyle że trochę bardziej inteligentny.

* * *

Wracam do Guerra, gdzie trzeba załatwić sporo spraw zanim zamieszkać w okolicy. Przede wszystkim dom; polecam Nizaro zwerbować ludzi na budowę, za którą będzie odpowiedzialny.

— Ilu będziesz potrzebował?

— Myślę, że czterech.

— Weź dziesięciu, ale wszystko ma być gotowe za dwa tygodnie. Postaraj się ich zebrać przed moim odjazdem, chcę z nimi mówić. Zostawię ci pieniądze na opłacenie ich i zakup sprzętu na miejscu. Co do reszty, to znaczy pił, gwoździ i wyposażenia pokoi i kuchni, pojedziesz ze mną do Palmar na zakupy, zanim wyjadę do San José.

— Jak będziesz jechał do San José, mógłbyś mnie ze sobą zabrać?

Muszę iść do szpitala na badanie, mam kłopoty z sercem, a chcę być w formie żeby z tobą pracować.

Tylko tego brakowało.

Dobrze, załatwimy to. Jeszcze coś, na górze będą potrzebne kucharki. Twoje córki umieją gotować? Oczywiście, będą się nadawać.

— Wybierz te, które najmniej jedzą, musimy być ostrożni. Weź też na budowę syna.

To gratka dla rodziny; dodatkowe pensje wydatnie zwiększą ich dochody.

Dwa dni później zbiera się u niego dziesiątka ludzi. Werbunek nie był trudny, bo oprócz jego rodziny i okolicznych mieszkańców przyszli też ludzie z Drake, którzy dowiedzieli się, że wrócił Juan Carlos, i przyszli szukać pracy. Są tu Max i Omar, dwaj rybacy z Drake, Miguel, czystej krwi Indianin, prawdziwy siłacz, choć ma dopiero szesnaście lat, Gabino, bezzębny idiota z Guerra, Tonio i Jeremiaś, syn i zięć Nizara, oraz inni, których nie znam. Stary traktuje swoją rolę bardzo serio, przedstawia mi ich, po czym puszczam w obieg butelkę rumu i wygłaszam przemówienie:

— Jestem waszym szefem. Podczas mojej nieobecności kierować wami będzie don Nizaro. Moje ranczo musi być ukończone jak najszybciej, płacę trzysta colonów dziennie. Pracujcie dobrze, to nie pożałujecie. Gdyby don Nizaro musiał wyjechać, kierownikami będą Tonio i Jeremiaś.

Rysuję im dokładny plan tego, czego oczekuję.

* * *

Mogę teraz pojechać do Palmar, muszę się śpieszyć, bo mam też jechać do Jimenez — przez Golfito — gdzie też mam sprawy do załatwienia. Zostało ustalone, że zakupiony sprzęt odwiezie do Guerra Nizaro, po czym wróci do Palmar, gdzie zaczeka na mnie i razem pojedziemy do San José.

Jairo, który jest wykończony i stracił już sporo na wadze, pojechał wcześniej autobusem z topografem i jego synem; mają jak najszybciej wyrysować mapę potrzebną do wystąpienia o koncesję.

Ja jadę do Jimenez z Nicolasem i Jimmym: chcę spotkać się z porucznikiem Nogalesem, żeby ustawić sobie gliniarzy. Jimmy zna go dobrze, bo sprzedawał mu przedmioty prekolumbijskie, znajdowane przez ojca. Idziemy do niego bezpośrednio. Wydaje się zadowolony z mojej wizyty. W pierwszych słowach przeprosza mnie jeszcze raz za aresztowanie w górach.

Miałem rozkazy i nie znałem cię. Ale teraz to już przeszłość, zapomnijmy o tym i chodźmy oblać twój powrót.

I stary lis wyciąga paczkę trawki, którą kładzie na stole.

— Wiesz — mówi z uśmiechem — trawka, którą zabraliśmy Dave'owi i Claude'owi była doskonała. Nie poleżała długo. Co cię do nas sprowadza?

— Będę znów pracował w górach, ale tym razem na poważnie i potrzebuję spokoju. Kiedy ostatnim razem pojechałem do Jimenez, od razu mnie aresztowali...

— Tak. Słyszałem o tym. Ale nie mam z tym nic wspólnego, od czasu wyborów straciłem stanowisko. Kiedy zmienia się prezydent, zmieniają się wszyscy szefowie policji. Wydał cię Jeremy, właściciel Rancho de Oro.

— Nie chciałbym, żeby to się powtórzyło, a poza tym potrzebuję dynamitu do pracy: muszę mieć zgodę miejscowego szefa policji.

— Z tym nie będzie problemu. Przedstawię cię porucznikowi Villanueva. Jest skorumpowany całkowicie i robi wszystko dla pieniędzy. Kiedy pomyślę, że wylali mnie po to, żeby takiego faceta dać na moje miejsce! Wszyscy ważniejsi policjanci starają się dostać tutaj nominację, bo to najlepsze miejsce, żeby sobie napchać kieszeń — mówi z goryczą.

— Skoro oddasz mi tę przysługę, ja też coś dla ciebie zrobię. Nauczę cię dobrego sposobu.

W tym czasie bank skupujący złoto nie przeprowadzał jeszcze próby na kwas.

— Wystarczy kupić dwunastokaratowe złoto jubilerskie, przepiłować je na małe kawałeczki i mieszać z dwudziestoczekaratowym złotem z rzeki; zarabiasz dwa i pół tysiąca dolarów na kilogramie.

— To genialne! Nie pomyślałem o tym. Dlaczego sam tego nie robisz?

— Mam lepszą robotę.

— Dziękuję, musimy to godnie uczcić.

Przyprawia dwa młode dziewczyny ze swojego haremu, wyciąga gram kokainy i przyjemnie spędzamy noc.

Następnego dnia spotykam Villanuevę. Jest to weteran rewolucji 1948, ma siwe włosy, jedną ręką wyłamaną i nosi nisko na biodrze trzydziestkę ósemkę kolbą do przodu, jak zawodowy pistolero. Nie ukrywa przynajmniej swojej natury. Zaledwie Nogales powiedział mu, o co chodzi, oznajmia:

— Jeśli chodzi o dynamit, nie ma sprawy, płaci pan pięć tysięcy colonów.

Daję mu pięć tysięcy i dokładam drugie pięć.

— Podoba mi się pan. Będzie tak co miesiąc.

Zapewnia mnie o swoim wiecznym oddaniu, ale nie oczekuję aż tyle: wystarczy przez okres pełnienia służby w Jimenez.

Kiedy oczekujemy na statek do Golfito, przykleja się do mnie dwóch facetów, którzy szukają pracy. Przyjechali szukać na Osa szczęścia, ale nie powiodło im się i teraz zdychają z głodu, nie stać ich nawet na przejazd statkiem. Jeden nazywa się Chita i mieszka koło Palmar, drugi White, to Murzyn z San José. Zawsze uważałem, że Murzyni z Karaibów są ciężcy i męczący, ale ten jest wyjątkiem; obaj są całkiem sympatyczni, niezłi cwaniacy. Zabieram ich ze sobą, zostawię ich u Chity, żeby zaczekali na mój powrót.

W Golfito też idę do glin. Nogales podał mi nazwiska nowych i najbardziej przekupnych. Potem pozostaje mi już tylko zająć się tymi z Palmar. Wiem, ciągle od Nogalesa, że na czele policji stoi w tym mieście kobieta. Spotykam się z nią w barze prowadzonym przez młodych Niemców, którzy przyjechali się tu zadekować. Po paru kieliszkach czuję, że mój urok osobisty nie jest jej obojętny: jest stara, tłusta i ma wąsy, więc oszczędzę sobie opisu naszej miłosnej nocy. Zawsze dobrze jest mieć stosunki z przedstawicielem prawa, ale niech nie liczy na mnie zbyt często.

* * *

Zabieramy po drodze Nizara i wszyscy razem jedziemy do San José.

Podczas podróży zdaję sobie sprawę, że rzeczywiście stary nie wygląda zbyt dobrze. Nie wiem, czy to wpływ wieku, czy napięcia ostatnich tygodni, ale wydaje mi się jakiś poszarzały, co nie jest mi na rękę bo jeszcze go potrzebuję.

Zaraz po przyjeździe pędzę do Hermana Weinberga, wchodzę do biura jak do własnego domu.

— Hallo, Juan Carlos! Opowiadano mi, że dokonujesz cudów. Topografowie mówili, że nie boisz się niczego.

Ciągle potrzebne mu jest to wazeliniarstwo. Ja też mu zrobię przyjemność:

— Wszystko poszło dobrze. Przywiozłem ci nawet mały prezent na pamiątkę.

I wyciągam z kieszeni kurtki mojego boa, kładę go na biurku; spodziewałem się, że będzie zaskoczony, ale nie do tego stopnia; dosłownie wyskakuje z fotela, przewracając go, i wciska się w ścianę w rogu pokoju wrzeszcząc:

— Zabierz to stąd, szybko, proszę cię.

— Ale to boa, nie jest jadowity.

— Wszystko jedno. Nie mogę znieść tych bestii.

A mnie się wydawało, że są do siebie podobni. Trudno, zabieram swojego kumpla, który zaczynał już przegląd szuflad, i ponownie wkładam go do kieszeni. Herman dochodzi do siebie przez co najmniej dziesięć minut. Siedzi na krześle, jest cały blady, rękę trzyma w okolicy serca; przynajmniej raz nawet się nie uśmiecha. Powoli jego twarz powraca do normalnej barwy, lekko zielonkawej, i możemy przejść do poważniejszych spraw.

— No — zaczyna — to opowiadaj, jest tam złoto?

— Dużo. Okolica jest bardzo bogata, podobnie zresztą, jak pozostałe zbocza laguny, i nie powinno być zbyt trudności z wydobyciem. Jedyne problemy to dostępność: jest do wyboru przeprawa łodzią przez bagna albo ponad trzy godziny wspinaczki, nie jest to takie proste jak w przypadku kopalni u stóp gór. Wniesienie sprzętu to niesamowite zadanie.

— Myślisz, że ci się uda?

— Nie ma sprawy: powiedziałem, że to bardzo uciążliwe, a nie, że niemożliwe. To dodaje smaczku całej sprawie.

Podobnie jak w przypadku silnika w Cerro de Oro, lubię takie zwariowane wyzwania.

— A ten Barbaroja, o którym mówił mi topograf, kto to jest?

— Skurwysyn, który mógłby nam narobić kłopotów. Nie sądzę, żeby chciał otwarcie użyć siły, ale może okazać się zdradliwy. Pozwoliłem mu dalej pracować na terenie koncesji, jego dłubanina nam nie przeszkadza.

Wolałem zostawić mu furtkę, żeby nie stracił twarzy. Ale w razie problemów wykosimy go bez litości.

— Masz rację. Przedsiębiorstwo takie jak nasze nie może się zgodzić, żeby jednostka stawała mu na drodze.

Przerywam mu, zanim zacznie wygłaszać przemówienie.

— A propos jednostek, potrzebuję najlepszego kardiologa, żeby się zajął Nizarem. Stary ma kłopoty z sercem i jest bliski wykończenia się. Nie chodzi o cuda, na starość nic się nie poradzi. Ale dobrze by było, żeby go trochę podreperować, przynajmniej na miesiąc lub dwa, potrzebuję go do zapewnienia łączności z chłopami.

— Nie ma sprawy, na pewno któryś jest członkiem rodziny. Znam osobiście wszystkich dyrektorów szpitali.

— Dobrze. Inna sprawa: topograf pewnie ci mówił, że dokonał pomiarów trzech rzek, których nie ma na mapach. Nazwałem je Quebrada del Frances, Quebrada Rancho Quemado i Quebrada Herman, żeby zrobić ci przyjemność.

Czerwieni się z dumy. Nie codziennie ma się okazję nadawać swoje imię nieznannej rzece w 1982 roku. Zawsze przyjemnie jest widzieć je zapisane na oficjalnej mapie, kiedy jest się tak jak on „*wielkim łowcą przygód*”. Przechodzimy do spraw bardziej przyziemnych.

— Wiesz, że jedno przedsiębiorstwo nie może uzyskać koncesji na więcej niż czterysta hektarów?

— Pomyślałem o tym. Dlatego właśnie włączyłem te trzy rzeki. Możemy utworzyć trzy różne spółki, noszące nazwy każdej z nich, które połączone będą w holdingu Quebrada del Frances.

— Dlaczego właśnie tej?

— Bo należy do mnie, bo jest najbogatsza, bo jestem jej prezesem i po prostu, bo tak.

— Dobrze, dobrze. Tak czy inaczej, trzeba będzie poważnie zająć się dokumentami gdy tylko geologowie zakończą pracę.

— Nie mam zamiaru wracać wcześniej, muszę kupić sprzęt.

— Potrzebujesz pieniędzy? Malessa może pokryć swoją część kosztów.

— Dziękuję, stać mnie jeszcze, żeby płacić samemu.

— Dlaczego tak się upierasz?

— Bo nie chcę być od nikogo zależnym, lubię mieć wolne ręce. Nie zgadzam się na dawanie komuś pretekstu do wtykania nosa w moje sprawy. Wszedłem z wami w spółkę tylko z jednego powodu, ale nie lubię samej zasady spółki. Powiedzmy, że robię wam prezent w zamian za przysługę.

— Więc chcesz wszystkim zarządzać sam?

— W terenie tak, to bardzo ważne, żebyśmy się w tej sprawie zrozumieli. Ty, Tino i pozostali jesteście ludźmi miasta, pozostańcie na swoim miejscu i zajmijcie się papierami, niech każdy robi swoje. Ja muszę sam podejmować decyzje na miejscu, tylko pod tym warunkiem będę skuteczny, niech to będzie jasne!

— Z tym nie powinno być problemów.

— Nie może być żadnych: na tym stoi cała nasza współpraca.

Sprawa ta będzie stale powracać w rozmowach.

* * *

Muszę teraz przygotować całą materialną stronę przedsięwzięcia. To niemałe zadanie zapewnić wyposażenie potrzebne trzydziestu ludziom do przeżycia w górach. Na początek każę zbudować specjalne canoa sześciometrowej długości. Potrzebuję dobrego tygodnia na dokonanie najróżniejszych zakupów. Sporządziłem listę:

- silnik elektryczny, z generatorem,
- zestaw garnków i utensyliów kuchennych,
- trzydzieści talerzy, szklanek, nakryć stołowych itd.,
- zapasy żarcia, ryż, frijoles itd.,
- magnetofon z kolumnami, o możliwie największej mocy. Tyle dla domu.

- Piętnaście łopat i tyleż łomów,
- trzydzieści maczet, tyle dla kopalni.
- Trzy komplety pościelowe,
- trzy materace piankowe,
- trzy poduszki,
- trzy moskitiery,
- fotel bujany. Tyle dla naszej wygody, Nicolasa, Jimmy'ego i mojej.

Oprócz tego dziesiątki mniej ważnych rzeczy. W sumie daje to kilka ton towaru. Podczas gdy zajmuje się tym Jimmy, Nicolas nagrywa jak najwięcej kaset: mam zamiar prowadzić prace przy muzyce Clash, Niny Hagen, Sex

Pistols i innych grup punkowych, będzie trochę odmiany po ciągłym słuchaniu salsy.

Wciąż noszę mojego boa w kieszeni, czekając na okazję zrobienia złośliwego kawału. W hotelu śpi w skrzynce, do której włożyłem mu kilka kurczaków na obiad. Ale jego uszkodzona szczeka nie pozwala mu jeść i musi znosić dziobnięcia tych małych niedobrych ptaków. Biedny boa! Taki wstyd!

* * *

Któregoś wieczoru Nicolas zabiera mnie do Tubo, baru prowadzonego przez Niemca, w którym spotyka się złota młodzież San José i cudzoziemcy. Jest tu spory wybór Europejek, a to zawsze przyjemne po miesiącu spędzonym w dżungli. Można tu spotkać Curtisa, grubego Belga towarzyszącego Francuzowi, którego okantowałem. Żeby żyć, założył warsztat produkujący kartonowe podkładki pod kieliszki, z nazwą kawiarni, która je kupuje: to niezły pomysł, i właściciel baru jest jego pierwszym dużym klientem. Nie miał wiadomości o swoim kumplu.

— Zniknął, nie zostawił żadnej wiadomości. Pewnie trafił na jakiś dobry interes i chciał skorzystać sam.

Podczas wieczoru dostrzega mojego boa. Zupełnie nie okazuje strachu, zakłada go sobie na szyję i idzie epatować znajomych. Aż mi się serce ściska, kiedy widzę, jak udaje łowcę przygód z tym swoim wyglądem ofermi.

— Sprzedaj mi go — mówi, kiedy chcę odebrać mu węża.

— Ależ skąd, tego się nie sprzedaje. Musisz sam sobie poszukać jednego w dżungli. Na to trzeba zasłużyć.

— Słuchaj, już od dawna chciałem mieć takiego, proszę cię.

— Zgoda, dwieście dolarów — mówię, śmiejąc się.

— To stanowczo za drogo. Wymień jakąś rozsądną cenę, na przykład dziesięć dolarów.

To targowanie się o grosze denerwuje mnie trochę, ale czuję, że się nie odczepi. Poza tym wąż, który pozwala się dziobać pisklętom, nie wygląda zbyt poważnie.

— Masz, dam ci go w prezencie. Postaw nam tylko kielicha.

— To bardzo ładnie z twojej strony. Wobec tego nie kielicha, ale możecie pić na mój rachunek przez całą noc. Właściciel jest mi winien trochę pieniędzy za podstawki. Zaraz go uprzedzę. Wychodzi, żeby poszpanować w

innym lokalu, wyobrażam sobie, opowiada niestworzone historie o tym, jak złapał żywego węża.

Co do nas, to kiedy opuszczamy bar nad ranem, zostawiamy mu rachunek na sześćset dolarów. Nie wiem, czy dług właściciela wystarczy, żeby go pokryć, ale jest to na pewno najdroższy boa świata. Przynajmniej tym będzie mógł się chwalić mówiąc prawdę.

* * *

Wszystkie te zakupy dla kopalni kosztują sporo, więc żeby pokryć koszty, postanawiam sprzedać posążek znaleziony w Burrica, ale nie ludziom takim jak Chocho czy inni fałszerze, którzy bardzo źle płacą. Carlos Finca opowiadał mi o pewnym Peruwiańczyku, który handluje z gringos i dobrze płaci: nazywa się René Sacaretta i mieszka w Tibas. Kiedy wchodzę do niego, zaprowadzony tam przez Carlosa, jego jasnoniebieskie oczy i pomarszczona twarz Latynosa coś mi przypominają; on rozpoznaje mnie od razu i woła żonę:

— Mama, mama, chodź zobaczyć, kto do nas przyszedł!

Kiedy stoją obok siebie, poznaję ich natychmiast. To para oszustów, których uratowałem kilka lat temu w Kolumbii. Zajmowali się wtedy przemytem szmaragdów i trochę oszukiwali; moja interwencja pozwoliła im uniknąć kuli w łeb, ale musieli wyjechać z kraju.

Witamy się serdecznie i niemniej serdecznie całujemy.

— Ostatnim razem, kiedy się widzieliśmy, nazywałeś się inaczej — mówię mu.

— Wiesz, tutaj trzeba umieć się dostosować, zmieniać z biegiem czasu. Tutaj nazywam się René Sacaretta, gdzie indziej inaczej.

— Mieszkasz w Kostaryce?

— Mniej więcej. Powiedzmy, że wybrałem sobie ten kraj na spokojną emeryturę. Mama założyła tu mały interes, a ja prowadzę różne sprawy za granicą, ale nigdy tutaj.

— Te twoje sprawy, ciągle tak samo uczciwe?

— Każdy ma swoje pojęcie uczciwości. Moje jest na tyle szerokie, żebym się w nim zmieścił.

Patrząc na tę parę starszych ludzi nigdy nie można by się domyślić, że to oszuści. Jego żona wygląda na poczciwą babcię, którą łatwiej wyobrazić sobie

przy kominku robiącą na drutach niż przenoszącą broń albo kokainę w torebce. To właśnie stanowi ich siłę.

Kiedy René dowiaduje się, że wszedłem w spółkę z rodziną Caracas, aby szukać złota, ostrzega mnie:

— Uważaj, to bandyci i mordercy. Z którymi współpracujesz?

— Tino i Orlando.

— Ci są najgorsi, zwłaszcza Tino, który wygląda tak niepozornie. To wariat, był zamieszany w niejedną podejrzaną sprawę.

— Domyślam się, ale zabezpieczyłem się. To pokerowe zagranie, ale do wygrania, i można sporo zarobić.

— Być może, ale to niebezpieczne.

Przedstawiłem im Nicolasa jako syna słynnego włamywacza, który powierzył mi go celem ukończenia edukacji. Rozbawia to bardzo René i spędzamy popołudnie u nich. Ten mały człowieczek jest zadziwiająco żywy, nie może usiedzieć na miejscu, siada, chodzi, a przede wszystkim dużo mówi, ciągle zmieniając wyraz twarzy i bez przerwy gestykulując. Ma już ponad siedemdziesiąt lat i dwie życiowe pasje: małe dziewczynki i alkohol, który pije bez przerwy zagryzając ostrymi papryczkami.

— Odwiozę cię samochodem — mówi mi, kiedy wstaję, by się pożegnać. — Mama musi coś załatwić na mieście z dziećmi.

Po drodze zatrzymujemy się, żeby zabrać dwie piętnastolatki.

— To twoje córki? — pytam go. — Milutkie są.

— Niezupełnie, wytłumaczę ci. Kiedy zamierzasz wyjechać?

— Za tydzień lub dwa. Jak tylko będą gotowe dokumenty.

— Zadzwoń do ciebie wcześniej. Urządzimy sobie zabawę.

Kilka dni później Nicolas zachorowuje, na ten sam rodzaj malarii, jaki dopadł mnie na Osa. I tak nie był gruby, ale po tygodniu jest przezroczysty jak pergamin. Powinien iść do szpitala, ale zawożę go na plażę, na słońce; powraca do zdrowia w trzy dni, dzięki metodzie Juana Carlosa.

Kiedy wracamy, dwa dni przed wyjazdem na południe, zastaję w hotelu kartkę od René, który prosi o telefon.

— Zanim wyjedziesz zamknąć się w dżungli, zapraszam cię na małą specjalną zabawę, którą organizuje mama. Wpadnę po ciebie.

Zabiera mnie do domu, położonego niedaleko jego mieszkania. Dzwoni do drzwi, otwiera nam jego żona.

— Proszę — mówi — tutaj jest królestwo mamy. Mnie nie wolno wejść dalej.

Zaskakuje mnie wystrój wnętrza. Wszystko jest różowe i białe, dobrze umeblowane, i emanuje z tego spokój. Mama prowadzi mnie do pokoju bez okien, z przyciemnionymi światłami, w którym zasłony zakrywające ściany potęgują jeszcze to wrażenie spokoju.

— Często myśleliśmy o panu przez te wszystkie lata. Nareszcie będę mogła odwdziżyć się za przysługę, którą nam pan oddał. Jest pan moim gościem — mówi, otwierając drzwi w głębi pokoju.

Tu, w pokoju mniejszym, lecz o podobnym wystroju, siedzi sześć dziewcząt, z których żadna nie ma więcej, niż piętnaście lat. Nie są ubrane jak kobiety, ale jak dzieci; jedna nosi nawet szkolny mundur.

— Są kobiety, które bardzo drogo płacą w tym kraju za chwilę ukojenia, którego tutejsi mężczyźni nie potrafią im zapewnić. Wszystkie moje protegowane są sierotami z Bogoty. Zamiast żeby się prostytuowały na ulicy, staram się im zapewnić dobre wychowanie, które będzie dla nich dobrym początkiem w życiu. Jest pan jednym z nielicznych mężczyzn, którzy mają tu prawo wstępu. Niech pan wybiera.

Wybierać, cóż za rozterka! Jedna jest ładniejsza od drugiej. Widząc moje wahanie, mama bierze moją rękę i wkłada w dłoń młodziutkiej dziewczynki ubranej jedynie w biały tiul.

Więcej nie powiem nic. Mogę tylko wyjaśnić, że moja towarzyszka nocy była świetnie wyposażona do życia i gotowa do wielkiej przyszłości.

* * *

Umowy spółki są gotowe. Idę je podpisać w biurze adwokackim Rosenberga, oczywiście najlepszym w mieście i prowadzącym sprawy rodziny Caracas; zaczyna się korowód papierków. Mają nie wiadomo ile stron, które adwokat odczytuje monotonnym głosem. Potwornie mnie to nudzi i z trudem ukrywam obojętność: nigdy nie lubiłem papierów, to broń dla słabych; dla mnie dotrzymać umowy nie znaczy dotrzymać czegoś, co jest napisane, ale dotrzymać danego słowa. W tych krajach ludzie nie szanują słowa, ale umowa pisana nie stanowi żadnej gwarancji. Moją bronią jest pozytywne nastawienie do świata.

— Kończymy to — mówię — gdzie mam podpisać?

Umieszczam swoje nazwisko u dołu mnóstwa kartek, z których jedne są bardziej bezsensowne od drugich. Jedyne, co się liczy, to, że zostałem prezesem spółki Quebrada del Frances: posiada ona najbogatszą rzekę i czterysta hektarów terenu. Reszta mało mnie obchodzi, nie mam ochoty spędzić całego życia w górach przekopując ziemię. Za rok lub dwa mam nadzieję stąd wyjechać. Jimmy, którego mianuję dyrektorem, będzie mógł zająć moje miejsce.

Tego samego wieczora w Malessie, gdzie składowany był cały sprzęt, ładujemy wszystko na ciężarówkę, stary rozklekotany gruchot, który pojedzie z trzema ludźmi; pozostali pojedą ze mną jeepem. Zwerbowałem paru facetów na mieście: są spoza półwyspu i będą tam czuć się bardziej obco niż ja, a zatem będą wierniejsi. Jest wśród nich Chiche, długowłosa chuligan pokryty tatuażami i bliznami po bijatykach; Eduardo, młody i gwałtowny chłopak, którego życie upływa na wychodzeniu na wolność i wracaniu do więzienia; brat Jimmy'ego i jego kumpel, obaj z Guacanaste na północy kraju, poleceni przez Hermana. Jeden nazywa się Barbas, ma gębę judasza, mówi bez przerwy i jeszcze częściej pierdzi — Nicolas nadał mu przydomek Pierdziel, i tak już zostanie. Jego brat, przeciwnie, unika odzywania się; choć ma dopiero osiemnaście lat, nie został mu już z przodu ani jeden ząb. Jest nawet były śpiewak, który stracił głos. Około północy, kiedy wszystko jest załadowane i jesteśmy gotowi, wpadam do gabinetu Hermana na ostatnią kawę. Umawiamy się, że zostanę w górach trzy miesiące i wrócę na Boże Narodzenie. Będziemy się kontaktować telefonicznie.

— Zajrzę do ciebie, gdy się urządzisz — mówi Herman.

— Przyjedź za tydzień, przy okazji przyprowadzisz łódź, którą kupiłem, akurat będzie gotowa.

— Nie, dostarczę ci ją inaczej, wolę przyjechać później.

Tak, oczywiście, jak będą wygody i mniej niebezpieczeństw; przygoda owszem, ale przygotowana.

— Moja żona jest bardzo dumna mogąc opowiadać, że jestem wiceprezesem spółki wydobywającej złoto. To brzmi poważnie.

Przede wszystkim brzmi to mniej szmatławie niż powiedzieć, że siedzisz jak pajac za biurkiem, liżąc tyłek Tina i innych. Ale niech każdy robi, co umie najlepiej.

— Zanim wyjedziesz, mam dla ciebie prezent.

Kładzie na biurku tekturowe pudełko. W środku jest pięć do sześciu kilo mango–rosa.

Wiem, że dużo palisz, ale to także dla pracowników.

No z takim ładunkiem nie będziemy się nudzić. Myślę też o dwóch kilogramach halucynogennych grzybów, które Chiche i Eduardo przywieźli mi z Monte de la Cruz, dokąd posłałem ich przed paroma dniami.

— Specjalnie dla ciebie mam co innego — mówi, podając mi opakowanie wielkości dużego pudełka od zapalek.

Jest wypełnione kokainą, sto do stu pięćdziesięciu gramów; no, tu już zaczynasz mi się podobać, grubasie.

— Jest prawie czysta, doskonała. Dostawa prosto z Kolumbii, skonfiskowana przez celników.

Mały rząddek, szybko. Podróż będzie przyjemna.

— Dziękuję. No, pora jechać. Chcę przejechać przez posterunki kontrolne o świcie, kiedy gliny są zmęczone, a ja w pełni sił. Do zobaczenia za trzy miesiące.

Parę potężnych klepnięć w plecy, seria uścisków dłoni, latynoskie czułości, których zazwyczaj staram się unikać, i rozstajemy się.

* * *

Siedzę na przedzie jeepa, Nicolas i Jimmy wymieniają się za kierownicą; pracownicy jadą z tyłu, w tłoku. Ciężarówka podąża za nami, jedzie bardzo wolno i przy podjazdach na przełęcz wielokrotnie musimy na nią czekać.

Szczególnie nieprzyjemnie przekracza się przełęcz Cerro de la Muerte, w strugach deszczu. W środku nocy zimno jest przejmujące, a jeep nie ma dachu. Kiedy dojeżdżamy, ubrani w koszule i podkoszulki, pracownicy są zsiniali z zimna. Nie skarżą się, ale entuzjazm ich, opuścił. Kilka potężnych skrętów pomaga im przeżyć te trudne chwile. Wreszcie, o trzeciej po południu, dojeżdżamy do Sierpe.

Od kilku dni czekają na mnie White, Chita, Omar i Max. Są też inni faceci szukający pracy. Niektórych zatrudniam, między innymi jakiegoś Tico, który twierdzi, że jest stolarzem, i byłego gliniarza o zdradzieckim wyglądzie.

Jest za późno, żeby jechać do Guerra; każę rozładować ciężarówkę, podczas gdy wyruszam na poszukiwanie łodzi. Jakiś gość proponuje mi swoje usługi. Wyjaśniam mu:

— Potrzebuję łodzi do przewiezienia całego tego sprzętu i ludzi aż do Guerra.

— Mam dwie łodzie z silnikami po pięćdziesiąt koni. Każda może wziąć tonę. Mogę to wszystko przewieźć w dwa dni.

— Jesteś pewien?

— Całkowicie. Biorę drogo, ale gwarantuję, że wszystko zostanie dostarczone.

— Dobrze. Bądź tu jutro rano o czwartej.

Cały sprzęt jest już wyładowany i ciężarówka odjeżdża.

— Barbas i Garret, obejmiecie pierwszą wartę. Towar nie może być bez opieki nawet przez chwilę, jasne? Przyślę wam coś do jedzenia, a druga zmiana przyjdzie o północy.

Puszczam w obieg ogromnego skręta, po czym zabieram pozostałych, żeby coś zjedli.

Moi ludzie nie znają się jeszcze i w zespole brak jedności. Po posiłku prowadzę ich do cantiny i stawiam kolejkę. Tak jak przewidywałem, po upływie pół godziny Eduardo zaczyna bić się z jakimś facetem z Sierpe. Zachęcam moich ludzi i szybko przeradza się to w ogólną bijatykę: nie ma lepszego sposobu na wyrobienie w grupie solidarności; zatrzymuję jatkę, zanim będzie zbyt wiele ofiar, i płacę za szkody.

Miałem czas ich ocenić. Wszyscy mają dobre chęci, ale w większości są niezbyt mocni. To się zmieni w górach. Tymczasem mieli okazję się poznać, więc zbieram ich koło sprzętu.

— Będziecie spali tu. Dwóch ma stale czuwać, ustalimy kolejność wart. Z lekkim zdziwieniem oglądają swoją sypialnię — wiejski placyk.

— To gdzie mamy leżeć?

— Gdzie kto chce, miejsca nie brakuje, śpijcie szybko, bo zaczynamy wcześniej rano.

Po chwili wahania kładą się na workach dookoła. Wraz z Jimmym zajmujemy dwa małe brudne pokoiki na zapleczu baru.

O czwartej, kiedy nadchodzi właściciel łodzi, wszyscy są już przebudzeni. Zmęczeni niewygodną nocą, drugą z kolei nie przespaną od początku podróży, ludzie ruszają się jak muchy w smole. Wkraczam do akcji i ryczę na cały głos: w dziesięć minut później wszystko odbywa się biegiem,

ładuję im worki na plecy i faceci odchodzą dźwigając niewiarygodne ciężary; odnajdują w sobie nie znane dotąd siły. Po półgodzinie łodzie są załadowane.

— Jimmy, popłyniesz z nimi ten pierwszy raz. Ze mną zostają tylko White i Chita. Niech rozładują jak najszybciej i odeślij łodzie. Jak się uwiniecie, zdążymy jeszcze raz obrócić przed zmrokiem. Potem jedź do Rancho Quemado pomóc przy budowie, jeśli jeszcze nie skończyli. I załaduj facetów, niech zaczną wnosić rzeczy na górę!

W południe łodzie wracają, pierwsza holuje drugą. Popsuł się silnik, tylko jedna może popłynąć po raz drugi; odpływa z White'em i pracownikiem przewoźnika, który przezornie bez słowa wysłuchał mojej awantury. Ale o siódmej wieczór łódź nie powróciła i ogarnia mnie wściekłość. Pewnie boją się płynąć w ciemności i pojawią się dopiero rano; nie lubię takich nie przewidzianych przeszkód i mam ochotę dać komuś w mordę.

* * *

Rano siedzę w barze z przewoźnikiem, gdy dostrzegam moich dwóch kretynów w łodzi Mario, sklepikarza z Guerra; wyglądają na wykończonych.

— I co, debile, co się stało? Gdzie łódź?

— Zatonęła — mówi White.

— Jak to: zatonęła?

— Wczoraj wieczorem, kiedy płynęliśmy do Guerra, silnik nagle zgasł i zalała nas fala. Zatonęła w dwie sekundy. Nie mogliśmy niczego uratować, zgubiłem nawet buty, żeby szybciej płynąć z powodu kajmanów. Noc spędziliśmy uczepteni jakiejś gałęzi. Potem zobaczyliśmy, że płynie Mario, zawołaliśmy go i wziął nas na pokład.

Wyobrażam sobie tę ich noc na drzewie pośrodku bagien, wśród tysięcy komarów i z kajmanami czekającymi na dole. Ale wybucham, muszę mieć winnego.

— Lepiej, żebyście tam zostali, kretyni! A ty, skurwielu — mówię do przewoźnika — zagwarantowałeś przewiezienie ładunku, więc teraz mi za niego zapłacisz.

— Ale ja teraz nie mam pieniędzy!

Tym gorzej dla ciebie, bałwanie. Kupię ci perukę, szpilki i minispódniczkę, i spłacisz mnie biorąc po dziesięć colonów za sztos, sukinsynu!

— Poczekaj, może się jakoś dogadamy.

— Mam nadzieję. White, co było na łodzi?

— Całe jedzenie, silnik i prądnicą.

— Dobrze, ty i Chita idźcie do Maria i powiedzcie mu, że wynajmuję jego łódź. Muszę zatelefonować i przyjdę do was.

Z pulperii, gdzie znajduje się jedyny w Sierpc telefon, dzwonię do Hermana.

— Zatonęła łódź z jedzeniem i sprzętem, jeszcze nie wiem, co będę mógł zrobić. Na razie kup nowy prowiant i przygotuj do przysłania tutaj jak najszybciej.

Szybko dyktuję mu listę.

— Ale co się stało?

— Nie mam czasu ci wytłumaczyć. Pośpiesz się z tymi zakupami. Wieczorem zadzwonię, żeby ci powiedzieć, co z silnikiem.

Odkładam słuchawkę, żeby nie słuchać dalszego trucia.

Kiedy wracam na przystań, tego skurwiela przewoźnika już tam nie ma. Dostał pietra i wolał się zmyć. Sierpe jest małe, dopadnę go, a wtedy popamięta. Wypływamy na rzekę i szybko jesteśmy na miejscu wypadku. Chita odważnie nurkuje pierwszy, ale po piętnastu minutach bezowocnych poszukiwań chce wychodzić z wody. Żeby go zachęcić i zyskać na czasie, nurkuję i ja. Woda jest lodowata i błotnista, nic nie widać. Na głębokości czterech metrów trzeba macać muł; po godzinie odnajdujemy jedynie worek z cukrem, który oczywiście nie nadaje się już do niczego.

Wolę nie myśleć o aligatorach i wielkich żarłocznych rybach, których pełno w tych bagnach i które pożerają wszystko na swej drodze. Wreszcie znajdujemy silnik: przy pomocy lin przycumowujemy go do burty, bo łódź jest zbyt mało stabilna, a silnik zbyt ciężki, by można było wciągnąć go na pokład. Samej zatopionej łodzi nie sposób zlokalizować, podejrzewam, że prąd wody i tak już ją przesunął, toteż wracamy do Sierpe. Telefonuję do Hermana, by natychmiast przysłał jedzenie, generator i mechanika, który oczyści silnik.

* * *

Cała sprawa zaczyna poważnie się paskudzić. Faceci z Rancho Quemado pewnie nie są zachwyceni, że od dwóch dni nie mają co jeść. Jak już sprawy przybierają taki obrót, nie ma powodu, żeby się na tym skończyło. Chita przedstawia mi przyjaciółkę, Marcellę, która jest kucharką w obozie; mam

jakieś przeczucie i angażuję ją. Jest sympatyczna, przyzwyczajona do życia w sercu dżungli z siedmioletnią córką i stale nosi w staniku kuchenny nóż.

Podczas gdy White i Chita poszukują przewoźnika, czekam na nich w barze i nagle ze zdumieniem widzę, jak pojawia się jakaś blondynka i podchodzi do mnie. To Sophie, Szwedka, którą poznałem podczas pobytu w San José i z którą spędziłem weekend, kiedy to zajęła się mną bardzo troskliwie. Wyjechała już do kraju i więcej o niej nie słyszałem.

— Co ty tu robisz? Nie jesteś w Europie?

— Mam urlop. Jestem w Kostaryce od dwóch dni, słyszałam, że jesteś tutaj i przyjechałam, spróbować cię odnaleźć.

Jest taka sobie, ale tutaj jej blond włosy robią wrażenie. Chwilowo sprawia mi to przyjemność, ale nie chcę wiązać sobie rąk. Mimo wszystko przyjechała z Europy specjalnie dla mnie, to zasługuje na wspólną noc w nagrodę: pojedę z nią do Palmar, żeby mieć chociaż czyste prześcieradło.

Tymczasem wraca White:

— Znaleźliśmy przewoźnika, jest w swoim garażu, zalany w trupa.

— Dobra, nie ruszy się stamtąd do rana, ja jadę do Palmar i spotkamy się tu jutro, pilnuj wszystkiego.

Sophie zajmuje się mną. Po pierwszych uniesieniach zastanawiam się, co z nią zrobić. Interesuje mnie tylko moja przygoda, i nie mam żadnej ochoty na obecność kobiety u mego boku. Ale musiała się wykosztować na tę podróż, więc muszę pójść na jakieś małe ustępstwa.

— Co zamierzasz teraz robić?

— No, zostać tu i jechać z tobą, jeśli to możliwe.

— Zgoda, na parę dni, ale słuchaj: to męska sprawa tam na górze, są tylko mężczyźni, więc nigdzie nie łaż, na nikogo nie patrz, rób to co mówię, i przebywaj tam gdzie każę. Nie chcę dodatkowych problemów, nie będę mógł ci poświęcić dużo czasu, więc pilnuj się!

Rano wracam do Sierpe: mój koleś przewoźnik czeka na mnie. Jest nadal pijany do nieprzytomności.

— Chita, White, wywalcie tego kretyna na zewnątrz.

Biorą delikatnie każdy za jedną nogę. Kiedy jego głowa wali o ziemię, potem o stopnie i wreszcie o kamienie na drodze, budzi się w końcu i z trudnością wstaje. Biorą go za uszy i wrzucają do łodzi.

Mechanik, który przyjechał rano, naprawił już silnik. Ładujemy go na drugą łódź wraz z nowym generatorem i resztą sprzętu. Sophie, Nicolas, Chita, White, kucharka z córką i ja wsiadamy razem z moją ofiarą: kiedy docieramy na miejsce wypadku, facet już śpi. Wrzucam go do wody.

— Teraz nurkuj i spróbuj się na coś przydać.

Nurkuje parę razy, ale bezskutecznie. Kiedy usiłuje wrócić na pokład, walę go płazem wiosła w głowę.

— Dalej, musisz odnaleźć moje rzeczy.

Robię to bardziej ze złości niż w nadziei na odnalezienie czegokolwiek, bo prąd musiał i tak wszystko poprzesuwać. Kiedy facet, wycieńczony, z trudem już utrzymuje się na powierzchni, uznaję, że dosyć na dzisiaj, i zaciągam go za włosy do najbliższego drzewa.

— Zostaniesz tu i posmakujesz nocy na bagnach, nie mam czasu cię odwozić. Mario, zabierzesz go jutro rano po drodze!

— Nie możesz go tutaj zostawić! — protestuje Sophie, przerażona.

— Zamknij się, robię co chcę, nie zawracaj mi głowy.

Jak się jeszcze raz odezwie, to zostawię ją z tamtym ścierwem. Odpływamy i bez przeszkód docieramy do Guerra.

Pada. Dom Nizara, gdzie składujemy sprzęt, odległy jest o osiemset metrów. Łódź zatrzymuje się, gdy robi się zbyt płytko, i trzeba przejść jeszcze czterysta metrów w błocie po kolana zanim dojdzie się do twardego gruntu.

— Sprowadzimy konie do wyładunku, nie idźcie z pustymi rękoma. Każdy bierze worek ryżu albo frijoles, o wadze pięćdziesięciu kilo.

White, który nie odpoczął jeszcze po nocy na bagnach, z trudnością przedziera się przez błoto na bosaka, buty przecież zgubił, to go nauczy pilnować swoich rzeczy. Nicolas również niesie pięćdziesięciokilogramowy worek, biorąc pod uwagę jego szczupłość to pewnie tyle, ile sam waży: robi trzy kroki słaniając się, jego noga ślizga się, i wali się w błoto, w którym znika całkowicie, przygnieciony ciężarem. Kiedy wyciągam go zanosząc się od śmiechu, jest czarny od stóp do głów. Nawet Sophie jest objuczona jak muł, idzie obok mnie, również się przewraca i leży tak w błocie, czekając nie wiadomo na co. Jej zaskoczenie rozśmiesza mnie i idę dalej; jeśli oczekuje z mojej strony szarmanckiego gestu, to jej sprawa, mam co innego do roboty.

Za pomocą koni rozładunek idzie sprawniej. Wyjątkiem jest silnik: to świństwo waży około dwustu kilo i musimy przewozić je przez błoto w czymś

w rodzaju drewnianej taczki; pokonanie ośmiuset metrów zajmuje nam ponad godzinę i wyobrażam sobie, co to będzie w górach. Nizara nie ma, ale wszystkie jego grube córki są na miejscu, jeszcze bardziej tłuste niż ostatnim razem, o ile to w ogóle możliwe.

— Na górze nie ma kucharki?

— Nie, tata nie chciał żebyśmy tam szły od razu. Powiedział, żeby poczekać, aż konie odpoczną. Ma wrócić po nas jutro.

Fakt, że trudno wyobrazić sobie, żeby te grube krowy dostały się tam piechotą. Nie mówię nic, ale myślę, że miałem nosa zatrudniając Marcellę.

Cały sprzęt jest złożony w chacie koło domu, pod opieką Miguela. Niewiele rzeczy wniesiono na górę.

— Senora, co to ma znaczyć? Niczego nie zabrali?

— Tylko trochę, prawie nic.

— A Jimmy nic im nie mówił?

— Mam wrażenie, że nie miał posłuchu, kpili sobie z niego.

Do cholery, co ten kretyn sobie myśli! Czuję do niego sympatię, ale przez niego wszystko się rozleci. Pilno mi być już na górze. Jemy coś, po czym urządzamy się na noc w budynku szkolnym. Przez cały wieczór Chita wygłupia się i skacze jak najęty. Starczy mu nawet odwagi, żeby dowalać się do jednej z wielkich pańienek, która strzela go w mordę. Przynosi mi kawę za kawą i wymyśla potworne kłamstwa, które rozśmieszają wszystkich. Facet zupełnie zwariował, ale jest niewiarygodnie żywotny. Kładzie się dopiero, kiedy nie ma już ani jednego słuchacza; już po ciemku słyszę jak jeszcze nawija.

O trzeciej nad ranem pobudka. Zarekwirowałem oba konie Nizara. Chita ładuje na nie, ile wlezie, ku wielkiemu niezadowoleniu żony gospodarza, która chciałaby je oszczędzać. Nie daje za wygraną:

— Ja mam dwie nogi i niosę pięćdziesiąt kilo, one mają cztery nogi, więc mogą chyba nieść sto pięćdziesiąt. No, jazda! W drogę!

I odchodzi, popędzając przed sobą konie, z wielkim plecakiem na ramionach.

— Senora, przyślę tu ludzi po sprzęt, to zajmie kilka dni. Proszę ich karmić i wszystko zapisywać, później zapłacę.

Każdy z nas coś niesie. Miguel, szesnastoletni Indianin, ma tępy wygląd, ale to prawdziwy siłacz: chwytą pięćdziesięciokilowy worek ryżu i wrzuca go

sobie na plecy bez widocznego wysiłku. Każdemu z pozostałych ładuję rzeczy, aż powie stop, po czym dokładam jeszcze parę kilo na wypadek, gdyby chcieli leniuchować. Z Miguelem jest inaczej: bierze wszystko, worek ryżu, dziesięciokilogramowy łom i piętnaście kilo cukru przewieszane przez ramię, kiedy uznaję, że wystarczy.

— Może być?

— W porządku.

I wyrusza w trzygodzinną wspinaczkę w błocie i w deszczu. Nicolas niesie na ramionach córkę Marcelli. Kiedy ruszamy, pojawiają się z góry Barbas Pierdziel i śpiewak. Są zadowoleni, że mnie widzą.

— Najwyższy czas, żebyś przyszedł — mówi Barbas. — Zeszliśmy zobaczyć, czy da się coś kupić do jedzenia. Na górze nie ma wiele, jemy wszystko na zimno i dom nie jest gotowy. Nikt nie wie, co ma robić, i jest ogólny bałagan.

On już ma ochotę odejść.

— Chcesz odejść?

— Nie, teraz jak już jesteś, zostaję.

Dwa dni opóźnienia wystarczyły, żeby wszystko zaczęło się sypać.

— Dobra, wezmę to wszystko w garść. Bierzcie ładunek. Idziemy na górę.

Skoro już przyszli, niech nie idą z pustymi rękami. Górską ścieżka zamieniła się w bagno jeszcze uciążliwsze, niż poprzednim razem.

— Od miesiąca nie przestaje padać — lamentuje Barbas. — Takie błoto jest aż do końca.

Po drodze spotykamy schodzącego Nizara.

— Co to ma znaczyć? Dlaczego dom nie jest gotowy?

Były kłopoty z Barbaroją i niektórzy pracownicy odeszli, bo się bali. Ten sukinsyn nie pozwalał przystąpić do budowy. Przyszedł zaraz po naszym przybyciu.

— Więc gdzie są wszyscy?

— Jimmy ulokował ludzi w małym opuszczonym rancho o dwadzieścia minut drogi od Barbaroi. Tam na ciebie czekają.

Wyobrażam sobie ten burdel. Jimmy jest uczynny i miły, ale nie ma zadatków na szefa. Powinien był przynajmniej kazać wnieść sprzęt zamiast pozwolić na bezczynność.

— Zaangażowałaś nową kucharkę? — niepokoje się Nizaro.

— Tak.

— A moje córki?

— Twoje córki powinny już od dawna być na górze. Gdybyśmy na nie liczyli, ciekawe, co byśmy jedli. Ale jak będziesz wracał, przyprowadź je, przydadzą się.

Kiedy docieramy, nic nie jest gotowe, nikt nie pracuje, ludzie porozłazili się po okolicy. Jimmy uśmiecha się z ulgą na mój widok. Nie mogę mieć do biedaka pretensji, całe życie był służącym i nie umie podejmować decyzji, pewnie rozmarzył się, kiedy powierzyłem mu dowództwo na parę dni.

— Przykro mi, Juan Carlos. Miałem kłopoty.

Klepię go przyjaźnie po ramieniu.

— Nie bój się, rozumiem, teraz się odpręż. Najpierw zajmijmy się jedzeniem.

Szukam wzrokiem kucharki, jest już w domu i przygotowuje ryż, pomaga jej Chita, który rąbie drzewo.

Rancho jest paskudne, od dawna opuszczone, kilku facetów drzemie na ziemi. Strzelam w powietrze, żeby ich obudzić i zwołać wszystkich.

— Wstawać: wyglądajcie po ludzku, jesteście tutaj w domu.

Są zadowoleni widząc mnie i wkrótce wszyscy zbierają się dookoła. Trzeba ich rozruszać, otwieram butelkę guarro: dziesięć minut później atmosfera robi się swobodniejsza i zaczynają żartować między sobą. Biorę Sophie za rękę.

— Wszyscy zostają tutaj, idę się umyć.

Wyglądają, jakby nie zrozumieli, więc dodaję:

— Idę przetrząść tę panią, pierwszy, który się pokaże, dostanie kulę.

Idziemy w kierunku lasu wśród wybuchów śmiechu. Sophie, która słabo mówi po hiszpańsku, nic nie zrozumiała i drepce u mego boku. Trochę wody, trochę mydła, szybki numerek i czuje się lepiej. Kiedy wracam, stoją wszyscy oparci o balustradę, dwudziestu pięciu facetów patrzących na mnie z uśmiechem.

Jedzenie jest gotowe i humory poprawiają się ostatecznie. Przynieśliśmy magnetofon i włączam go na cały regulator: pięćdziesiąt watów muzyki punk rozbrzmiewa w środku dżungli. Nawet małpy zamilkły, zapewne po raz pierwszy słyszą muzykę, i to jaką muzykę: przez cały wieczór Nina Hagen,

Sex Pistols, Clash i Rolling Stonesi wyją po lesie, słyhać to chyba w promieniu paru kilometrów. Moi ludzie są zdrowo naćpani i mocno podpici, wszyscy czują się jak w nocnym lokalu, śmieją się i wygłupiają. Chita udaje kłowna: kiedy naśladuje ekwilibrystę na parapecie okna, popycham go nogą i spada dwa metry niżej w kałużę, wśród chóralnego śmiechu. Po chwili wraca przez drzwi, cały utyłłany w błocie, i kontynuuje swoje występy. Po długich dniach pełnych napięcia faceci doceniają zabawę i wygłupiają się jak dzieci. Powoli padają jeden za drugim, odurzeni trawką i alkoholem, niektórzy zasnęli przy stole wśród butelek: dobrze zrobili, bo zanosi się na ciężkie jutro.

Zaledwie położyłem się i przykryłem kocem, czuję, jak po całym cieple łążą mi jakieś stworzenia. Zapalam świeczkę i to, co widzę, przypomina koszmar: dom przeżywa najazd karaluchów, milionów karaluchów, wyłażą z każdej dziury, z każdej szpary w podłodze. Po zachodzie słońca całymi legionami ruszyły do ataku na wszystko, co jadalne, ściany są dosłownie zakryte ruchomą warstwą owadów: to karaluchy latające, bardzo żarłoczne, które oblażą wszystko i gryzą ludzi we śnie. Początkowo przestraszyło je światło, ale wkrótce nabierają odwagi i rzucają się na świeczki, podgryzają je u podstawy, a kiedy świeca się wywraca, zostaje pokryta lasem czułków i zeżarta w parę minut, zostaje tylko knot. W kuchni jest jeszcze gorzej, worki z ryżem i cukrem są pokryte ruchomą masą karaluchów, które starają się dostać do środka, tworzy to prawdziwy żywy chodnik, który rozgniatam butami. Talerze i menażki są całkowicie oczyszczone przez tysiące tych stworzeń, które ściągnęły na ucztę. Dla dopełnienia obrazu — długie kolumny owadów łążą po ciałach śpiących ludzi. Pozostaje dla mnie tajemnicą, w jaki sposób mogą w ogóle jeszcze spać: widzę ciało Chity, całe w czerwonych cętkach od ukąszeń.

Jimmy zrobił niezłe głupstwo wybierając to miejsce, a wiedząc, co się tutaj dzieje, nigdy nie powinien był pozwolić na przechowywanie tu żywności. Nie chcę spać w takich warunkach, a na zewnątrz błoto i deszcz, żadnego miejsca, gdzie można by się schronić. Całą noc spędzam na rozmowach z Nicolas. Sophie, która boi się owadów, zaczynają niezłe podobać się te wakacje.

O czwartej rano budzę wszystkich łagodnie, strzelając z pistoletu; nim zdążą się ubrać, kawa i gorący ryż są gotowe. Wydałem polecenie, by nie oszczędzać na jedzeniu.

— Za każdym razem musi coś zostać na talerzu. Nikt nie odejdzie od stołu głodny.

Podczas gdy jedzą, rozplanowuję dzień.

— Jimmy, pójdziesz do Guerra z dziesiątką facetów i przyniesiecie sprzęt. Jesteś odpowiedzialny za całą grupę, nie chcę widzieć nikogo wracającego z ładunkiem mniejszym niż dwadzieścia kilo na plecach. Gdyby były problemy, gdyby ktoś nie chciał słuchać, powiesz mi, zajmę się tym osobiście. Weźmiesz Miguela, Wilsona, Eduarda, Barbasa, Chiche i Jeremiaha, postaraj się nie tracić czasu. W pierwszej kolejności bierzcie kilofy i łopaty, resztę jedzenia, a także moje rzeczy, materace, prześcieradła, poduszki... Weźcie też baterie do magnetofonu i cały sprzęt kuchenny. Zjście u Nizara i natychmiast z powrotem! Wszyscy skończyli kawę? No to w drogę i nie traćcie czasu!

Jest ciemno i pada; niezupełnie jeszcze przebudzeni, chroniąc się pod plastikowymi płachtami, zabierają się do odejścia, kiedy przywołuję ich z butelką guarro w ręku.

— Widzę, że trzeba wam dodać odwagi. Bierzcie kubki. Wszyscy rozbiegają się, żeby znaleźć czystą szklankę, i ustawiają się przede mną w ogonku. Każdemu nalewam solidną porcję, po czym znikają w lesie z pieśnią na ustach. Wracam do pozostałych.

— White i Garret, będziecie pomagać Marcelli. Trzeba wszystko wyjąć z domu i oczyścić z karaluchów. Róbcie to dokładnie, każdą rzecz z osobna. Wszystko przeniesiemy do obozu, ale nie można zabrać ani jednego z tych cholernych owadów. Jak tylko skończycie, weźmiecie konie i zaczniecie przeprowadzkę. Jedzenie przykryjcie plastikowymi płachtami, żeby nie zamokło. Wszyscy pozostali idą na rancho, zaraz do was dołączę. To musi być zrobione dokładnie: wystarczy jedna para karaluchów i wszystko trzeba zaczynać od początku.

— Juan Carlos, co mam zrobić z osobistymi rzeczami pracowników, tam mogą być jajeczka? — pyta Marcella.

— Włóż to wszystko w koc i wrzuć do wody na cały dzień, to je zabije. Rozbawia ją to, ale wiem że polecenie wykona.

* * *

Kiedy przybywam na rancho, zdaję sobie sprawę z nieporadności Nizara. Rusztowanie domu już stoi, ale to wszystko. Gotowe deski do wykonania

ścian leżą na kupie z jednej strony, belki stropowe zostały zamocowane, ale nie ma na czym kłaść liści, które tworzyć będą dach. Są to specjalne długie liście, zwane *suitas*, które zapewniają doskonałą szczelność, jeśli w odpowiedni sposób zamocuje się je do drewnianych deseczek łączących belki stropu. Liści tych potrzeba ogromne ilości: dom ma dziesięć metrów na dziesięć, a dach obramowany jest czterema belkami złączonymi na końcach; tworzy to sporą powierzchnię do pokrycia. Parę worków już zebrano, leżą czekając, aż ktoś je wykorzysta.

— Omar, Daniel i Max, zaczynajcie kłaść dach! Pozostali idą zbierać liście. Chita, pilnuj, żeby nie napełniano jednego worka godzinami i żeby każdy był dobrze wypchany. Uwaga na węże, przynieście skórę ładniejszych okazów.

Ważę w rękę każdy worek: jeśli jest zbyt lekki albo jeśli napełnienie go zajęło zbyt wiele czasu, facet otrzymuje opieprz i biegiem wraca do roboty. Muszą chodzić coraz dalej po te liście i wracają z coraz większymi worami; pod koniec powłóczą nogami, wycieńczeni ciężarem i długą drogą.

Budowa dachu postępuje powoli. Kazałem zacząć od miejsca, gdzie zamierzam urządzić swój pokój, bo mam ochotę spędzić wygodną noc, nie codziennie ma się w dżungli do dyspozycji blondynkę. Nie toleruję więc bezczynności pracowników.

— Carlos, co ty wyprawiasz. Opalasz się?

— Nie mam już liści.

— No to co, jest kupa innych rzeczy do zrobienia, pomóż trochę stolarzowi. A ten kretyn co robi?

Dostrzegam stolarza, który kleci coś w kącie z dwóch desek.

— Co ty tam robisz?

— Łóżko.

— Dla kogo?

— Dla siebie.

— Zwariowałeś? Co ty sobie wyobrażasz? Może zrobisz sobie jeszcze koc na drutach, co?

Daję mu po łbie, tak że łąduje w rogu mojego przyszłego pokoju.

— Nie zauważyłeś, że jestem tu z kobietą? O czym myślisz, egoisto jeden? Masz tu do zbudowania z desek cztery ściany, a potem mi zbudujesz łóżko, duże łóżko na dwie osoby, i taboret. Potem zrobisz palenisko w kuchni

i półki na jedzenie. Jak skończysz, zrobisz stół i ławki. Pośpiesz się, już kawałek dnia minął, możesz sobie kogoś wziąć do pomocy, ale wszystko ma być ukończone do wieczora.

Zwracam się do Carlosa:

— Przestań udawać ptaka, złaż z gałęzi i chodź trochę pomóc.

Carlos jest muzykiem i dawniej grał salsę. Alkohol i papierosy zniszczyły mu głos. Daje sobie jeszcze nieźle radę i każda okazja jest dobra, żeby trochę powrzeszczeć. Ale nasz słowik jest leniwy i razem ze stolarzem zawsze starają się wykręcić od roboty, dobrali się doskonale, wolę ich mieć na oku. Biorą parę desek i oddalają się.

— Zostańcie tu przy mnie, będę mógł wam doradzać.

— Ale tu jest wygodniej! — odpowiada Carlos.

— Tu jest jeszcze lepiej. Lubię cię i nie chcę, żebyś mi się zgubił. Cała scenka nie umknęła uwagi pozostałych i wszyscy kpią teraz z obu ptaszków. Ktoś wykrzykuje:

— Trzeba mu obciąć ogon, żeby nie odfrunął.

* * *

Deszcz pada bez przerwy i całe wnętrze rancho, rozdeptane ciągłym chodzeniem, stanowi teraz obszerne bajoro. Mała Sophie, która niezupełnie rozumie, co się z nią dzieje odkąd opuściliśmy Guerra, ciągle pęta się koło mnie. Nie podoba mi się, że nie ma co robić.

— Nie powinnaś tak łązić, to demoralizuje ludzi. Zrób coś pożytecznego.

Rzucam jej zwój materiału, żeby zrobiła parę moskitier.

Ma nadąsaną minę, ale trudno, mam ją gdzieś! Chyba że chodzi o mały numerek, to zawsze chętnie, bo też Sophie wygląda całkiem milutko w swoich pięknych białych dzinsach utyłanych w błocie, i z włosami zlepionymi przez deszcz pośrodku twarzy. Od czasu do czasu przerywam pracę i biorę ją za rękę:

— Chodź, malutka, obejrzymy kwiatki.

Wszyscy szybko zrozumieli, w czym rzecz, i korzystają z mojej nieobecności, żeby zwolnić tempo; kiedy wracam z moim towarem, za każdym razem trochę bardziej ubłoconym, wrzeszczę na towarzystwo, które w mig zaczyna uwijać się jak w ukropie. Niechże skończą wreszcie ten mój pokój! Spodnie mam już strasznie brudne na kolanach.

* * *

Kiedy White i Garret kończą swoje wędrówki między domem karaluchów a ranchem, każę im natychmiast brać się za budowę tymczasowego dachu nad częścią kuchni. Wszyscy pracują.

O trzeciej po południu nadchodzi zespół, który wyruszył po sprzęt. Jimmy nie żałował im ładunku, i wszyscy są wykończeni i ubłoceni od stóp do głów. Niektórzy chcieliby się przebrać, ale stan, w jakim znajdują swoje rzeczy, nie pozwala im na to. Moja metoda walki z karaluchami nie wszystkim się podoba.

Tak czy inaczej, dzień się jeszcze nie skończył. Chcecie spać dziś w nocy pod dachem?

— No tak.

— Więc wszyscy na dach.

Jest ich dwudziestu pięciu siedzących na belkach wśród podmuchów wiatru; ładnie to wygląda, jak choinka na Boże Narodzenie.

Mija pół godziny i słychać krzyk. Garret spada, obija się o belki i ląduje sześć metrów niżej. Na szczęście to Murzyn, ma mocną głowę. Zapada cisza, po czym wszyscy wybuchają śmiechem. Nie zrobił sobie zbytnej krzywdy, tylko twarz ma rozciętą od czoła po podbródek. Nie mam apteczki, nawet plastra.

— Chcesz, żebym cię zszył? Mam igły.

— Nie, nie — broni się przestraszony.

— Ma ktoś pomysł?

— Znam jeden sposób — mówi Chita. — Trzeba zrobić okład z popiołu, oliwy i cytryny.

Zdziwiłbym się, gdyby ten baran powiedział coś mądrego, ale w końcu, kto wie, może to działa. Podczas gdy Chita stosuje swoje lekarstwo, Garret wyje pod okładem z kwasu cytrynowego. Ogarnia mnie współczucie:

— Masz, wypij szklanekę guarro, to dezynfekuje. Lepiej teraz?

— Tak, tak — odpowiada, pragnąc tylko jednego: uciec od naszej opieki.

— Tym lepiej. Więc włącz z powrotem i uważaj, gdzie stawiasz nogę, mógłbyś sobie zrobić coś złego.

Mój pokój jest wreszcie zakryty, i każę jeszcze pokryć pas dachu na szerokości metra z drugiej strony, żeby mieli dla siebie suchy kąć.

Zapada noc i trzeba będzie kończyć pracę, niestety! Inny facet, Omar, również spada, na szczęście kończy się na strachu.

— No dobra, na dzisiaj dosyć, wszyscy na dół. Przenieście stół pod dach, zjemy coś.

* * *

Zapaliłem świece, wyciągam skręty i trochę alkoholu, robi się wesoło. Głównym obiektem żartów jest Garret, którego głowa spuchła jak balon. Proponują mu coraz wymyślniejsze lekarstwa, od okładów z kurzego gówna po wypalanie gorącym żelazem. Magnetofon nastawiony jest na maksimum i wśród śmiechów ludzie zapominają o zmęczeniu. Ale ja myślę o jutrze i szybko posyłam ich do łóżka: nie jest to ściśle określenie, bo za łóżko każdemu służą torby plastikowe, kawałki desek i liście, mające chronić przed błotem i deszczem. Faceci leżą, a raczej upychają się, pod wąskim pasmem dachu, na stole i pod stołem oraz na ławkach.

W moim pokoju oczekuje mnie zgoła inny widok. Deski położone na ziemi pokrywają błoto; pośrodku pokoju króluje moje łóżko przykryte moskitierą i białym prześcieradłem. Z każdej strony rolę świeczników spełniają łomy górnicze wbite w ziemię, na których umocowane są świece nadające całości romantyczny wygląd. I wreszcie na łóżku siedzi odpoczynek wojownika, ubrany w same tylko majteczki z białej bawełny. Widok ten, zwłaszcza gdy przypominam sobie moich ludzi uwalonych w błocie, potęguje moją żądzę: robię głośniejszą muzykę, żeby nie było słychać odgłosów naszych miłosnych zmagania, i Rolling Stonesi towarzyszą mi przez całą noc w moich fantastycznych przeżyciach. Kokaina i wysiłek przyprawiają mnie o bezsenność; siłą rzeczy Sophie również nie śpi: kiedy wyciągam ją z łóżka o czwartej rano, tak jak wszystkich, jest już niepodobna do niczego.

* * *

Nie ona jedna zresztą. Wstający faceci mają dziwne miny, ich włosy przyklepione błotem do twarzy są przemoczone, wyglądają na nie wyspanych. Rana Garreta przez noc zaogniła się i jego twarz wygląda teraz jak karnawałowa maska. Swoim zwyczajem Chita znów zaczyna się wygłupiać.

Zziębnięci tłoczą się wokół stołu w milczeniu. Pytam:

— Żle spaliście?

— Przede wszystkim było zimno.

— U mnie w porządku, mam ogrzewanie — mówi Barbas wypuszczając donośne pierdnięcie.

— Przestań zachowywać się jak świnia, bo ci wsadzę korek. Dobra, wiem, że było ciężko, ale musimy pracować dalej. Jeśli chcecie mieć minimum wygod, trzeba przyspieszyć tempo, za dwa dni będziecie spać na suchym. Na razie macie tu na rozgrzewkę.

Puszczam w obieg butelkę guarro. Rozgrzani płynem, który pali im kiszki, moi ludzie rozluźniają się trochę.

— Dobra, dzisiaj oprócz Omara, Daniela i Garreta robimy co innego. Kto chce iść do Guerra po sprzęt?

Zgłaszają się wszyscy. Zapewne na dole odpoczywają, korzystając z tego, że nie siedzą im na karku.

Wszyscy ci, którzy wczoraj siedzieli na dachu, idą na dół. Ale dzisiaj obróćcie dwa razy; jeśli wyruszycie od razu, możecie być z powrotem przed dwunastą i zdążycie obrócić drugi raz przed zmrokiem. Nie marudźcie po drodze, bo musicie zejść dwa razy niezależnie od pory. Jimmy, w pierwszej kolejności wniesiecie rury, żeby doprowadzić wodę do kuchni.

— Co takiego? przecież ich jest mnóstwo!

— Weźcie konie, nie obciążajcie ich zbyt i przywiążcie im rury do ogonów. Wnieście canoa i całą resztę sprzętu do pracy w rzece. Na dole zjedzcie placki i natychmiast wracajcie.

Ledwie przełknęli kawę, znikają w ciemnościach.

— Stolarz, dzisiaj masz zrobić trochę więcej niż wczoraj, nie chcę cię widzieć bez roboty. Masz do zrobienia pięć zwykłych łóżek i szesnaście piętrowych. Dokończ ściany, damy ci plany do zrobienia drzwi. Postaraj się też zakończyć wyposażenie kuchni.

Pół godziny później wszyscy uwijają się przy robocie i pokrzepia mnie to. Ale kogoś brakuje, nie ma mojej małej blond kurewki. Znajduję ją śpiącą w łóżku — do którego wróciła po śniadaniu, brutalnie ciągnę ją za nogi.

— Co ty tu robisz?

— Odpoczywam, zmęczona jestem.

— Nie ma mowy, nikt nie śpi podczas godzin pracy. Jazda, wstawaj.

— Ale jest czwarta rano! W domu o tej porze mam zwyczaj spać.

— Ale tu nie jesteś w swoim domu, jesteś w moim i ma być jak mówię. Jak ci się nie podoba, zabieraj rzeczy i wynoś się. Natrułaś mi o równości kobiet i mężczyzn, więc teraz nie narzekaj. Umiesz szyć?

— Tak, trochę.

— No to włącz na dach i zszywaj liście tak jak wszyscy.

Powoli dom nabiera kształtów. Marcella zrobiła już niezły porządek w kuchni, choć nadal chodzi w wodzie po kostki i nie ma jeszcze ani ścian, ani dachu. W miarę jak stolarz zamocowuje deski, dziewczyna wbija w nie gwoździe i zawiesza swoje naczynia, w czym pomaga jej córka.

— Senora, moi ludzie nie są dobrze wychowani, proszę uważać na córkę, żeby nie było kłopotów.

— Niech się pan nie obawia, Don Juan Carlos, nie boję się tych świń. Zawsze mani pod ręką coś do obrony — mówi z szerokim uśmiechem i wskazuje na kuchenny nóż wbity w drewno.

— Fakt, ale nie byłoby też dobrze gdyby poobcinała pani jaja tym wszystkim kretynom; proszę trzymać swoją córkę stale przy sobie, odpowiada pani za nią. Zresztą zabronię wszystkim wstępu do kuchni.

Jeden z moich pracowników, Innocente, to człowiek z półwyspu i przyszedł tu razem z synem, Manolito, dziesięcioletnim szczeniakiem, dzikim, bez wychowania, specjalistą od kradzieży. Manolito nosi manierkę z alkoholem, uwiązałem mu do szyi kubek, i chodzi za mną wszędzie. Od czasu do czasu posyłam go na dach, żeby trochę pokrzepił ludzi: bawi go to, a jednocześnie jest dumny, że na niego czekają. Donosi mi nawet na tych, którzy jego zdaniem nie pracują dostatecznie pilnie, bo lubi słuchać, jak na nich wrzeszczę.

Kiedy zespół transportujący sprzęt wraca z Guerra, budowa dachu jest już mocno zaawansowana i ściany pną z wolna do góry. Szybki posiłek, łyk denaturatu i wszyscy wracają do pracy.

— Ależ Juan Carlos, nie zdążymy wrócić przed zmrokiem — mówi Jimmy.

— To nie moja wina, ostrzegałem was, trzeba było się nie grzebać po drodze.

— Ale konie nie chcą szybciej iść!

— To je nieście.

Popołudnie upływa w podobnym tempie. Chodzę od jednego do drugiego bez słowa, nie potrzebuję już krzyczeć: wystarczy, że spojrzę na któregoś, by natychmiast przyspieszył pracę. Od czasu do czasu posyłam Monolita z kubkiem alkoholu do faceta, który na to zasługuje.

Moja kurewka siedzi sama w kącie i pracuje w milczeniu, zresztą całkiem nieźle. Widząc jej drobne, wątle ciało na rusztowaniu, czuję wyrzuty sumienia i postanawiam poświęcić jej trochę uwagi.

— Malutka, chodź chwilkę odpocząć.

Szybko schodzi z dachu, popycham ją łagodnie w kierunku sypialni, a po trzech minutach wraca z powrotem na górę. Praca przede wszystkim.

Noc już zapadła i wszyscy pracują mechanicznie, z rozpędu. Pozwoliłbym im nawet kontynuować, ale nie mogę ich pilnować po ciemku, niektórzy korzystają z tego i śpią.

Dziś wieczór nie ma zabawy, zresztą i tak wszyscy są zbyt zmęczeni. Jedzą szybko, w milczeniu, nawet solówki na trąbkę Barbasa straciły na energii. Ustawiają siedem łóżek, które zostały ukończone w ciągu dnia.

— Kładźcie się, korzystajcie z łóżek zanim przyjdą pozostali, bo potem może być ciasno.

Wspomagany porcją kokainy nie mam ochoty na sen i spędzam czas na rozmowie z Nicolasem, który ustawił sobie łóżko na stronie.

Około dziewiątej nadchodzi zespół moich strażaków, ciągnąc za sobą setki metrów rur. Są wycieńczeni, ledwo powłóczą nogami, nawet konie wyglądają na zmęczone. Zaledwie kończy się wyładunek, jeden z ludzi pada na ziemię i nie jest w stanie się ruszać. Nikt nic nie mówi, jak banda duchów. Nie są głodni i myślą tylko o położeniu się spać, niektórzy nie mają nawet siły na zdjęcie butów i padają na łóżko w ubłoconych i przemoczonych ubraniach. Po krótkiej kłótni o lepsze miejsce na łózkach zapada cisza.

Nadszedł czas, bym wrócił do mojej Dulcynei. Okazuje się, że bezczelnie wykorzystwała moją nieobecność, by zasnąć, więc budzę ją brutalnie kilkoma delikatnymi dotknięciami. Nie chcę, by jej krzyki obudziły ludzi i dały im do myślenia, są już bez tego wystarczająco zmęczeni; nastawiam więc magnetofon, tak jest o wiele weselej. Nasze zabawy nie pozwalają dziewczynie zasnąć aż do czwartej. A jest to pora wstawania. Tu bowiem o czwartej wschodzi słońce, zmrok zapada o osiemnastej, nie ma mowy o

rannym leniuchowaniu. Wszyscy mają błędny wzrok, nawet alkohol nie wyrzywa ich z odrętwienia.

— Panowie, dziś wieczór będzie zabawa. Jak tylko ukończymy dach zarządzam odpoczynek. Niech zespół idący do Guerra się pośpieszy, dziś obracamy tylko raz. Ale im wcześniej wrócicie, tym wcześniej będziecie mogli pomóc przy wykończeniu dachu. A potem fiesta!

Dla Latynosów to magiczne słowo. Sama myśl o tym działa jak smagniecie biczem, i do Guerra wyruszają prawie biegiem.

Sophie nie pojawiła się na śniadaniu i zastanawiam się, czy nie pójść do niej. Ale przypominam sobie nagle powiedzenie mojej matki: „*Kto chce daleko zajechać, musi oszczędzać siły*”. Więc wyjątkowo pozwalam jej pospać.

Około dziesiątej przychodzi do mnie Raphael, jeden z pracowników Barbaroi. Zupełnie już zapomniałem, że ten facet istnieje, choć jego dom jest położony zaledwie o pięćdziesiąt metrów stąd.

— Czego chcesz?

— Chciałem zapytać, czy nie miałbyś pracy dla mnie?

— Nie pracujesz już u Barbaroi?

— Na razie tylko pilnuję domu w czasie jego nieobecności.

— Wiesz dokąd poszedł?

— Nie mówił mi, ale chyba po gliny. Był wściekły.

— Niech się odpieprzy. A ciebie mogę przyjąć.

— Jeśli nie masz dość desek, to u niego jest cały skład. Możesz je wziąć, tylko daj mi coś za to.

Trochę się waham, ale w końcu to ten kretyń Barbaroja zaczął. Wołam stolarza.

— Idź z Raphael'em po drewno do Barbaroi. Weź tylko to, co potrzebne, podasz mi potem ilość.

Gdyby przypadkiem Barbaroja zmienił humor, zawsze mogę mu za drewno zapłacić. Oczywiście, jeśli będzie grzeczny.

Chita i Cunado doprowadzili według moich wskazówek bieżącą wodę. Dostyc wysoko w quebrada ustawiamy beczkę, która spełnia rolę zbiornika tworząc naturalną zaporę. W dnie wywiercone są otwory, z których wychodzi pięćset metrów rur przeprowadzonych aż do domu. Korzystam z tego i instaluję koło kuchni prysznic.

Kiedy około drugiej wraca zespół z Guerra, do zakończenia dachu brakuje już tylko paru metrów kwadratowych. To może poczekać, tym bardziej że po raz pierwszy od czterech dni przestało padać i nieśmiałe promienie słońca próbują przedrzeć się przez chmury.

— Dobra, przerwijcie robotę, wystarczy na dzisiaj. Korzystajcie ze słońca, żeby się umyć i wysuszyć rzeczy.

Od trzech dni nie myli się i spali w przemoczonych, ubłoconych ubraniach: wszyscy zaczynają już cuchnąć stęchlizną.

* * *

Zachęceni kopniakami w dupę stolarz i jego pomocnik czynią cuda. Wszystkie ściany są już ukończone i jeśli pominąć błotniste klepisko, dom nareszcie zaczyna wyglądać porządnie. Podzielony jest na trzy części o powierzchni trzy metry na dziesięć. Pośrodku znajduje się główne pomieszczenie, służące jako jadalnia i świetlica, otwarte z dwu stron. Po prawej znajduje się sypialnia pracowników i kuchnia; po lewej pokój kucharek oraz pokoje Jimmy'ego, Nizara i mój.

Kiedy siadają wszyscy do stołu, są czyści i różowi, mają na sobie ubrania, których nie zdążyli jeszcze zabrudzić. Posłałem Gabina, małego urwisa, którego rodzina mieszka o dwie godziny drogi od obozowiska, żeby kupił w domu prosiaka. Teraz zwierzę właśnie się piecze.

— Chłopaki, dobrze pracowaliście. W trzy dni prawie ukończyliśmy dom. Dziś wieczór każdy będzie miał swoje łóżko. Ale pamiętajcie, że jesteście tutaj u mnie. Trzeba będzie przestrzegać pewnych reguł. W świetlicy nie chcę widzieć żadnych walających się rzeczy. Starajcie się utrzymać sypialnię w czystości, nie róbcie z niej chlewa. W kuchni nie chcę widzieć nikogo, oprócz senory i Chity: jak kogoś tam zastanę, to na długo popamięta. Nie macie też nic do roboty w lewej części domu, a wstęp do mojego pokoju jest kategorycznie zabroniony wszystkim oprócz Marcelli. Gdybym kogoś tam przyłapał, to nie będzie nic pamiętał, bo zabiję go na miejscu. Nie będę tego powtarzał, więc weźcie sobie to do serca. A teraz życzę wszystkim smacznego.

Marcella przynosi pieczone mięso, trzydzieści kilo pieczeni łąduje na stole. Faceci są w pierwszej chwili zaskoczeni taką obfitością, po czym rzucają się na jedzenie. Postawiłem dziesięciolitrową butlę guarro kubki nie pozostają długo puste. Alkohol i ogromne skręty, krążące wokół stołu, szybko

uderzają do głowy i to co było początkowo rodzinnym obiadem przeradza się w sceny ze spelunki: na wyścigi wrzeszczą i opowiadają idiotyzmy. Rozdałem karty, ale są zbyt pijani, żeby grać, i szybko rzucają sobie nimi w twarz. Niektórzy zaczynają tańczyć ze sobą, a raczej zataczać się parami. Eduardo chrapie na podłodze, a inni depczą po nim bez litości.

— Brakuje kobiet! — wrzeszczy Cunado.

— Leć do koni — odpowiada Barbas.

W chwilę później Chita, ubrany w fartuch Marcelli, skacze na stół i zaczyna taniec brzucha wśród oklasków i gwizdów; nie zdjął butów i podciągnął spodnie, ukazując grube włochate łydki. Zaczyna strip-tease, kiedy tępy góral Gabino, ulegając iluzji, kładzie mu rękę na dupie. Chita odwraca się natychmiast i wymierza mu tęgiego kopa w mordę, posyłając pozbawionego przytomności Gabino w błoto obok Eduardo.

Marcella, która ma już zdrowo w czubie, dołącza się do Chity na stole, a deski aż uginają się pod jej ciężarem; podnieceni faceci wrzeszczą co sił w płucach i próbują śpiewać w rytm muzyki. Idzie „Africa” Niny Hagen, nikt nie zna niemieckiego, ale „africa” z czymś im się kojarzy, więc wyrykują to słowo do utraty tchu.

Kiedy kompletnie już pijana Marcella przewraca się, mężczyźni tracą panowanie nad sobą. Piersi ma już obnażone, dwóch w amoku ściąga jej spodnie, zanim zdołam wkroczyć do akcji, ślaniając się ze śmiechu.

Kilka uderzeń łopata w głowę uspokaja najbardziej zapamiętałych, po czym wspomagany przez Jimmy’ego wyciągam Marcellę z pokoju i rzucam ją na łóżko: obaj zaśmiewamy się tak, że po drodze upuszczamy ciało kilkakrotnie. Niedługo później zabawa dobiega końca; zmęczenie, alkohol i trawka ścinają ludzi z nóg jednego po drugim. Większość kładzie się do łóżek, ale kilku pozostaje na podłodze świetlicy.

— Chita, White, wyrzucicie mi tych kretynów na dwór.

Bez cackania się wyciągają ich na zewnątrz i zostawiają w błocie.

Idę do swojego pokoju, w objęcia mojej małej nimfomanki. Zdejmując mi buty Sophie mówi mi głosem, w którym pobrzmiewa niepewność:

— Juan Carlos, chciałabym jutro wyjechać.

Miłości mojego życia, dlaczego chcesz mnie opuścić w środku romansu?

— Nie jest ci tu dobrze? Nie podobają ci się wakacje?

— Owszem, ale jestem wykończona.

Biedactwo, rozumiem ją. Ona jedna musi tu pracować w dzień i w nocy.

— W porządku, każę cię jutro odwieźć do Guerra.

Już się prawie przyzwyczaiłem do tego małego domowego zwierzątka. No, przynajmniej będę się lepiej wysypiał. Na razie trzeba skorzystać z tej ostatniej nocy zanim zabiorą mi moją zabawkę: przez całą noc bawimy się na najróżniejsze sposoby.

* * *

Rano jestem wściekły, bo moja zabawka przemieniła się w bezwładnego pajaca, który leci mi przez ręce. Marcella krząta się, przygotowując śniadanie. Kiedy wchodzę do sypialni pracowników, widok jest obrzydliwy: faceci są porzrzućani beładnie po łózkach, niektórzy leżą z głową we własnych rzygowinach. Właściciele górnych łóżek nie dali sobie rady z przeszkodą i pozostali tam, gdzie wylądowali spadając. Te świny przyprawiają mnie o mdłości, idę do kuchni po szlauch i zaczynam asenizację. Pod uderzeniem lodowatej wody przebudzenie jest szybkie.

— Wstawać, świny jedne. Macie dziesięć minut na umycie się przed śniadaniem.

Wychodzą jeden po drugim, chwiejnym krokiem, jeszcze pijani po wczorajszym. Kiedy wszyscy przełknęli kawę, mówię do nich:

— Dzisiaj zaczynamy pracę na rzece. Jeśli ktoś chce odejść, to ostatnia okazja. Potem będzie za późno, bo płacę dopiero w grudniu.

Ku mojemu miłemu zaskoczeniu tylko trzech korzysta z okazji: śpiewak, stolarz i Garret. Ten ostatni potrzebuje opieki lekarskiej; jego rana, nadal nie leczona, przybrała kolor zielonkawy i choć barwy tej specjalnie nie widać na jego czarnej skórze, zapach staje się nieprzyjemny: lepiej, żeby sobie poszedł, bo zaczyna śmierdzieć. Pozostali dwaj stale leserują i jestem zadowolony pozbywając się ich. Ale stolarz popełnia błąd zabierając głos:

— Zrozum, Juan Carlos, nie jesteśmy zwierzętami. W tym kraju są zawodowe, obowiązują określone godziny pracy.

— Tak? To ciekawe, opowiedz.

Zachęcony moją odpowiedzią podchodzi bliżej:

— Tu, w Kostaryce, prawo... — zaczyna.

Przerywam mu uderzeniem pięścią prosto w mordę.

— Tutaj nie jest już Kostaryka, tylko Quebrada del Frances i jedyne prawo, jakie obowiązuje, to moje prawo. Jeśli tak zadecyduję, będziecie

pracowali dwadzieścia godzin dziennie, ale za to gwarantuję wam dobre żarcie, komfort i dobrą zabawę. Komu się ten program podoba, zostaje, inni odchodzą. Więc?...

Nikt nie występuje z szeregu. Przeciwnie, z pogardą patrzą na tamtą trójkę. Zaczyna kształtować się zespołowa solidarność, i dumni są z tego, co zrobili i wybudowali w trzy dni.

— Chiche, odprowadzisz senioritę. Weź dwa konie i w drodze powrotnej przywieziesz parę rzeczy.

Płacę trzem odchodzącym.

— Idźcie do Guerra z Chiche. Umówcie się z pulpero, żeby was przewiózł do Sierpe. A teraz spieprzajcie.

Sophie po raz pierwszy w życiu dosiada konia i ostrożnie sadowi się w siodle. Kiedy już siedzi, na jej twarzy pojawia się grymas bólu, co z kolei na mojej wywołuje uśmiech. Czyżbym nadużył tylnego wejścia?

Z ulgą patrzę, jak odjeżdża. Ten nieprzewidziany luksus był bardzo przyjemny, ale do kierowania przedsiębiorstwem potrzebna jest pełna koncentracja. Tym bardziej teraz. Zwracam się do moich ludzi:

— Zaczynamy poważną robotę. Ty, Daniel, i twoi dwaj synowie, Max i Omar, kończycie dach.

To goście z półwyspu, zawodowi budowlani.

— Gabino, Miguel, bierzcie każdy po maczecie i oczyśćcie okolice domu. Chita, wykopiesz dół na latrynę, jak najgłębszy. Jimmy, rozdaj ludziom wszystkie łomy, łopaty i maczety.

* * *

Postanowiłem pracować na Rzece Francuza, mojej rzece. Idę tam, a za mną gęsiego trzech facetów z narzędziami na ramieniu. Myśl, że zbliżają się do złota, budzi w nich radość; zgodnie ze swym zwyczajem Manolito idzie koło mnie, niosąc na głowie catiadorę. Kiedy dochodzimy na miejsce, zarządzam przerwę. Muszę bowiem zastanowić się, w którym miejscu zaczniemy; niech sobie odpoczną przez ten czas, nie mają ku temu zbyt często okazji. Uważnie oglądam rzekę i jej brzegi, w towarzystwie Manolita idę w górę rio i pobieram próbki. W górnym biegu pracowali już poszukiwacze złota i miejscami prześwituje lita skała.

Podjąłem decyzję: w miejscu, gdzie dolina rozszerza się, rzeka płynie prawą stroną; według ukształtowania terenu wnioskuję, że paręset lub parę

tysięcy lat temu płynęła lewą. Zamierzam przesunąć jej bieg w stare koryto, żeby rozpocząć pracę.

Kiedy wracam do ludzi, wszyscy na czworakach przeglądają żwir i skały: gorączka złota to nie legenda, przekonałem się o tym wielokrotnie. Niektórzy w podnieceniu przynoszą mi pełne kieszenie żółtych kamyków. Nie mają o robocie zielonego pojęcia, jestem prawdopodobnie jedynym, który widział, jak poszukuje się złota.

* * *

Najpierw zapora. Musimy usypać tony skał, przemieszanych z liśćmi i gałęziami, na wysokość kilku metrów. Tworzy to prawie szczelną przegrodę, i szybko zaczyna pojawiać się jeziorko. Powoli poziom wody podnosi się i osiąga wysokość dawnego koryta. Wśród wiwatów pierwsza strużka wody spływa w odpowiednim kierunku. Czyścimy teren, aby ułatwić przepływ wzdłuż urwiska.

Liczę na to, że woda ta wymyje wierzchnią warstwę ziemi pozwalając dotrzeć do złotonośnego żwiru. Moi ludzie, ustawieni na przestrzeni czterystu metrów, walą w podłoże łomami i kawałkują grunt, po czym uprzątają większe kamienie jeden po drugim, tak by prąd wody, który jest coraz silniejszy, porywał ze sobą ziemię i żłobił swoje nowe koryto. Pokazuję każdemu, co ma robić.

Nie używajcie łopat, tylko łomów. Układajcie kamienie tak, aby powstał szczelny murek. Im lepiej będzie zrobiony, tym mniejsze ryzyko, że wam spadnie na łeb.

Szybki prąd wody i mocne uderzenia łomami przynoszą rezultaty. Ludzie są w krótkim czasie zziębnięci od lodowatej wody, która dochodzi im do kolan, i od padającego bez przerwy deszczu. Tym lepiej, jedyne wyjście, jakie im zostaje, by się trochę rozgrzać, to wzmożenie wysiłków. Urządzają nawet wśród krzyków i oklasków zawody, kto przeniesie największy kamień.

Odgłosy pracy sprawiają mi przyjemność. Stale przy mnie obecny Manolito, z torbą plastikową na głowie i manierką alkoholu w ręku, rozdaje według moich wskazówek małe szklaneczki, które rozgrzewają i podnoszą na duchu, ale denerwuje mnie, że nie mogę jednocześnie mieć na oku wszystkich pracowników, rozstawionych wzdłuż rzeki. To ta dżungla, ta niepotrzebna zieleń, zasłania mi widok. Wołam dwóch ludzi:

— Chiche, Cunado, weźcie siekiery i maczetę i oczyśćcie mi to wszystko na przestrzeni czterystu metrów.

To jest właśnie dobra strona Ticos: powiedzcie jakiemukolwiek innemu rozsądnemu robotnikowi, żeby ściał siekierą drzewa na przestrzeni stu metrów, a roześmieje wam się w nos; tutaj jest inaczej, mają do mnie zaufanie, słuchają i nie zadają pytań. Drzewa padają jedno po drugim i krajobraz zaczyna się zmieniać.

Manolito wskazuje mi leserów i gaduły. Że odpoczywają minutę, to normalne; dwie, to za dużo; jeśli dłużej, mocny kopniak w tyłek, celny rzut kamieniem albo wystrzał z pistoletu przywołuje ich do porządku. Pojawiam się nagle z różnych stron, i przyzwyczajają się do mojej wszechobecności. White, z natury leniwy, ciągle usiłuje ukryć się przed moim wzrokiem za zakrętem rzeki albo za drzewem; ale jest biedak jedynym Murzynem i choć nie znam ich wszystkich, jego nieobecność daje się od razu zauważyć. Parokrotnie znajduję go śpiącego na stojąco, opartego o łom; za każdym razem walnięcie w ucho posyła go do wody. Zaskakuję Eduardo przykucniętego w jakimś kącie, jak przesiewa w rękach żwir, i strzelam mu koło ucha; w panice biegnie na swoje miejsce.

Pod koniec dnia, kiedy przerywam pracę, rów ma już prawie metr głębokości i poziom wody w jeziorcu nadal opada; w ciągu nocy woda będzie kontynuować dzieło. W drodze powrotnej jest mniej wesoło niż poprzednio. Poszukiwanie złota okazało się robotą bardziej mokrą, niż przypuszczali. Kiedy siadamy do kolacji, zdaję sobie sprawę, że kogoś brakuje.

— Gdzie jest Chita?

— Jeszcze kopie — mówi Marcella, wybuchając śmiechem.

Idę zobaczyć. Ten bałwan wykopał już dół o głębokości ponad trzech metrów, wystarczający dla całej armii, to niesamowita praca.

— Dokąd się wybierasz? — krzyczę do niego, dając mu znak żeby wychodził. — Chcesz się dostać do Chin?

— Nie bój się, dwie córki Nizara same wypełnią to gównem w ciągu tygodnia.

* * *

Ta sama robota ciągnie się przez dwa następne dni i w końcu kamienie wyciągnięte z rzeki tworzą prawdziwy chiński mur na przestrzeni czterystu metrów. Dżungla została wycięta, głowy wystają z rowu jak na strzelnicy, i

pilnowanie stało się proste: liczę głowy, a jeśli kogoś brakuje, biada winowajcy.

Pod koniec trzeciego dnia rów ma dwa i pół metra głębokości na metr szerokości i woda ostatecznie zmieniła koryto.

Ludzie są zziębnięci i wykończeni, czubki palców krwawią im od ciągłego przerzucania kamieni. Podczas gdy wszyscy wracają do domu, napęlam catiadorę na dnie rowu: pojawia się kilka ziarenek złota, nadszedł czas, by poważnie zabrać się do roboty.

Wieczorem, na zakończenie posiłku, wygłaszam krótkie przemówienie.

— Jutro zaczynamy wydobywać złoto. Od tej chwili poza godzinami pracy nikt nie ma dostępu do rzeki pod żadnym pozorem, pierwszemu, którego tam złapię, strzelam w jaja i zostawiam na miejscu, żeby zdechł. Nie żartuję. Kto chce się umyć, idzie do drugiej rzeki, to dziesięć minut drogi. Jeśli zobaczycie złoto w canoa albo obok, nie ruszajcie go, tylko zgłaszajcie mnie: złoto należy do mnie i do nikogo innego. Jasne?

— Jasne.

— In gold we trust, but nobody can touch — mówi sentencjonalnie White w karaibskim angielskim.

Żeby przełamać ciszę, jaką wywołało moje oświadczenie, puszczam w obieg kilka skrętów i manierkę guarro.

Moi ludzie żyją teraz lepiej. Przyzwyczajają się powoli do warunków pracy i dom stał się przyjemniejszy. Sypialnia jest utrzymywana w czystości, każdy ma swoje własne łóżko i swoje małe terytorium. W górach to luksus, oreros często śpią w kilku na jednym pośłaniu. Błoto zaczyna wysychać i zakazuję noszenia butów w domu.

* * *

Nadszedł wielki dzień. Umieszczam canoa w rzece, zmniejszyłem jej długość do trzech metrów. Eduardo, jedyny, który umie posługiwać się piłą i wbić gwóźdź pozostając przy życiu, został mianowany stolarzem. Zrobił z drewna czoło canoa: ma kształt litery V i otwiera się na szerokość półtora metra. Dziób wmontowany jest w część aluminiową, a całość pokryta jest rodzajem syntetycznej wykładziny, która zatrzymuje złoto.

Z przodu dwunastu ludzi uzbrojonych w łopaty i kilofy ładuje canoa. U czoła, tam gdzie gromadzą się bryłki, postawiłem tych, którym najbardziej ufam: Daniela i jego dwóch synów, Omara i Maxa. Tych ostatnich poznałem

w Drake, i kiedy później dowiedzieli się, że wróciłem na półwysep, przyszli do mnie prosić o pracę, i przyprowadzili ojca, dziwnego faceta, który prawie nic nie mówi, prawdopodobnie dlatego, że nie ma nic do powiedzenia. Jest z pochodzenia Panamczykiem, nigdy nie miał na sobie butów ani nie wziął prysznic, ma stopy wielkie jak buty kłowna i śmierdzi jak cap: któregoś razu jego współtowarzysze z pokoju siłą zaciągnęli go pod kuchenny szlauch.

Dołączam do nich ojca Manolita, który dobrze zasługuje na swoje imię — Innocente: głupi jak but, nie skrzywdziłby nawet muchy. Wy tłumaczyłem im, co mają robić i jakimi ruchami ułatwiać przemieszczanie się żwiru.

— Wyjmujcie duże kamienie i kawałki żwiru pojedynczo i każdy oglądajcie. Nigdy nie wyrzucajcie garści żwiru bez dokładnego obejrzenia.

Wiem, że w okolicy są bryłki złota, a te barany nie potrafią wyczuć ich na dotyk i byłiby zdolni je wyrzucać. Długo im to tłumaczę, bo przyswojenie sobie każdej nowej informacji zabiera sporo czasu. Najważniejsze, że zrozumieli, co robić, nawet jeśli nie dostrzegają w tym sensu.

Po nich trzech innych wykonuje tę samą pracę, dla pewności: zwykle złoto nie przesuwają dalej niż czoło canoa, ale z tymi debiutantami lepiej być przygotowanym na wszystko. Z drugiej strony canoa dwóch facetów uzbrojonych w łopaty odrzuca dalej niepotrzebny już żwir, aby nie tamował swobodnego przepływu wody. Barbas i Jimmy pilnują wszystkich pracujących w canoa. Co do mnie, przyniosłem sobie fotel bujany. W ręku kubek kawy, w ustach skręt, i pilnuję mojej fabryki złota: z tego miejsca mam widok na całość.

W ten sposób praca trwa cały dzień. Stojący w wodzie ludzie z łomami bez przerwy walą w grunt; trochę dalej w dół rzeki inni pełnymi łopatami wrzucają żwir do dziobu canoa, przy którym, jak się wydaje, Daniel, Max, Omar i Innocente zrozumieli, na czym polega ich praca. Korzystając z tego, że pracują blisko siebie, faceci rozmawiają i wygłupiają się nie przerywając pracy, za wyjątkiem Innocente, zbyt zajętego wykonywaniem moich poleceń, aby móc się rozpraszać. Kiedy rytm pracy zwalnia się, strzelam parę centymetrów nad ich głowami: podskakują nerwowo, po czym przyspieszają, śmiejąc się.

* * *

Tego dnia około południa, kiedy szykujemy się do obiadu, pojawia się Nizaro w towarzystwie obu grubych. Jest zaskoczony wielkością i jakością

wykonanej od czasu jego odejścia roboty, ale nic nie rozumie z moich zamiarów i zaczyna grać rolę wszystkowiedzącego dziadka.

— Dlaczego przeszedłeś na tę stronę? Trzeba było zacząć od prawej.

— Czemu?

— Bo zawsze tak się robi.

— A mnie mój nos mówi, że złoto jest tutaj: jeśli jest tam, to tu też.

— No, i tak już za późno. Nie było mnie, więc nie miał ci kto powiedzieć.

Truj tak jeszcze trochę, staruchu, to ci każę wybierać złoto zębami. Nie chcąc bić przedstawiciela jesieni życia, postanawiam zakończyć dyskusję:

— Zobaczymy za dwa dni.

Po południu pojawia się Barbaroja, twierdzi, że był w Puerto Cortez rozmawiać z siostrą w sprawie tytułu własności. Wielkość naszego domu i zakres prac robi na nim wrażenie. Ale powstrzymuje się od komentarzy, i dobrze robi.

O piątej odsyłam wszystkich za wyjątkiem Jimmy'ego i Nizara, odnoszę canoa. Stary szybko wypełnia catiadorę i pokazuje mi z ironicznym błyskiem w oczach: kilka ziarenek, najwyżej dwa do trzech gramów. Nie jestem rozczarowany, myślę bowiem, że nie dotarliśmy jeszcze do warstwy, która mnie interesuje; mam nadzieję, że wkrótce będę mógł wykazać staremu, że mam rację, bez konieczności dołożenia mu, by zrozumiał, że jestem lepszy.

Następnego dnia, żeby zyskać na czasie, jemy obiad na miejscu. Posiłek przynoszą obie grubaski, które zrzędzą pod nosem; przejście czterystu metrów z menażką w każdej ręce to dla nich wyczyn.

Pod koniec dnia dziura się powiększyła, ale wynik jest taki sam jak poprzedniego dnia: stary uśmiecha się z coraz większą ironią, a Barbaroja, który odwiedza mnie, by zobaczyć jak sprawy stoją, nabiera przekonania, że już wkrótce będzie mógł powrócić do swego samotniczego życia. Ja natomiast jestem coraz bardziej pewny siebie.

* * *

Dwa dni później, około godziny jedenastej, Wilson, brat Jimmy'ego pracujący przy canoa, wydaje głośny okrzyk. Z zachwytem pokazuje mi bryłkę, pierwszą, jaką znajdujemy. Waży siedemnaście gramów. Jest najpiękniejsza i wiem, że jej koleżanki też już czekają.

Wieczorem, kiedy podnoszę canoa, na wykładzinie pojawia się mnóstwo błyszczących punktów. Jest tu ponad sto gramów w postaci ziarenek oraz bryłek ważących od dziesięciu do dwunastu gramów. Triumfuję! Ani przez chwilę nie wątpiłem w słuszność mojego rozumowania.

Następne dni potwierdzają moje sukcesy: sto, sto dwadzieścia, dziewięćdziesiąt gramów. Wpadam w euforię i moja radość przenosi się na pracowników, którzy czują się wszyscy współtwórcami sukcesu.

Choć nadal pracują równie ciężko, jeśli nie ciężiej, atmosfera jest bardziej rozluźniona. Trzeba powiedzieć, że choć zgodnie z zapowiedzią ledwo się wyrabiają z robotą, nie oszukałem ich jeśli chodzi o inne obietnice.

Żarcie jest obfite: rano o pół do piątej potężne śniadanie; o dziesiątej kawa i posiłek złożony z ogromnych, doskonałych i sycących naleśników; o pół do pierwszej obiad nad rzeką przyniesiony przez obie potworne; o pół do czwartej ponownie kawa i coś na ząb; wreszcie ostatni posiłek o siódmej.

Obozowisko nadal się rozbudowuje. Dżungla została odsunięta, okolice domu są wykarczowane i ryzyko spotkania węża wydatnie się zmniejszyło: w ciągu tygodnia zabiliśmy tylko dwanaście „śmiertelnych”, w tym jednego pod łóżkiem Nicolasa. Eduardo zrobił okna w ścianach i stworzona w ten sposób wentylacja całkowicie wysuszyła błoto. Dobudował też małą werandę do składowania siodeł, a teraz bierze się za składzik na narzędzia.

Ponieważ dzień roboczy kończy się około pół do piątej, choć nie jest to nigdzie wyraźnie stwierdzone, ludzie mają czas wyprać swoje ubrania albo przyczynić się do urozmaicenia menu: często wracają z dżungli z pękami bananów, korzeni yuca albo sercami palmowymi.

Zaczynają nawet lubić muzykę punk, która wyje bez przerwy: początkowo nikt tego nie znosił, często prosili mnie o swoją wieczną salsę, choć oczywiście odmawiałem; ponieważ jednak słyszą to stale, w domu i nad rzeką, znają już słowa nie rozumiejąc ich znaczenia.

Tylko warunki pracy pozostają bez zmian i ubrania są stale mokre. Każdego ranka deszcz zaczyna padać około dziesiątej, czasem wcześniej, i przestaje dopiero późno w nocy. Dziura jest większa, głębsza, przez dwanaście godzin stoją w lodowatej wodzie po pierś, rozgrzewani tylko szklaneczkami alkoholu, i zastanawiam się, skąd mają siły, by każdego wieczoru urządzać sobie małą zabawę.

Po kolacji krążą skręty, dałem ludziom karty i namiętnie wygrywają i przegrywają swoje zarobki. Ja tylko opalam ich z papierosów. Mogą siedzieć tak długo, jak chcą, pod warunkiem, że o pół do piątej są w swojej dziurze, więc siedzę i wyglupiam się z nimi.

* * *

Woda w dziurze jest naprawdę bardzo zimna, próbowałem się w niej umyć, ale muszę przyznać, że nie wytrzymałem. Natomiast moi ludzie nie skarżą się zbytnio: właściwie to nie mają wyboru. Musiałem dokonać selekcji tych, którzy pracują w dziurze: jest już tak głęboka, że najniżsi piją wodę przy każdym wbiciu łopaty.

Któregoś dnia z urwiska spadł wąż prosto do dziury. Wyciągnąłem rewolwer i strzeliłem, po czym wszyscy biegiem wyskoczyli na brzeg. Później przyznali mi się, że bali się nie tyle węża, ile moich kul, które odbijały się rykoszetem wokół nich. Zastanawiają się zapewne, jak daleko sięga moje szaleństwo; ilekroć teraz wyciągam rewolwer, błyskawicznie rozbiegają się.

Jeden tylko poważny problem sprawia mi kłopot nie mniejszy niż im bo zmniejsza wydajność: skutek stałego przebywania pod wodą w gumiakach, gniją im stopy. Rozwinęła się jakaś infekcja, pokrywach stopy płatami, z których sączy się zielonkawy płyn. Nic na to nie pomaga i niektórzy pracują boso, bo nie są już w stanie wciągnąć gumiaków. Jedynym sposobem, żeby wszystko zdezynfekować, byłoby potrzymać nogi we wrzącej wodzie, ale żaden się nie zgadza.

* * *

Nasz sukces trwa już dziesięć dni. Nizaro zamknął się wreszcie; więcej, opowiada teraz każdemu, kto chce go słuchać, że przewidział tutejsze złoza i że to na jego sugestię odkryłem Rzekę Francuza. Stary łgarz.

Zdumiony Barbaroja nigdy nie widział naraz tyle złota. Według jego własnych słów jestem czarodziejem. Rozstroiła go świadomość, że tyle czasu żył obok całego tego bogactwa. Tak naprawdę to nie chce przyznać się przed samym sobą, że nawet gdyby wiedział o złocie, i tak nie byłby w stanie przedsięwziąć prac na taką skalę. Przychodzi co wieczór na rancho, by zjeść z nami kolację i uczestniczyć w naszych codziennych zabawach. Uwielbia alkohol i parokrotnie dałem mu w prezencie litr guarro, który wypijał w ciągu nocy. Dawny postrach okolicy wraca do domu zataczając się i nie robi już na

nikim wrażenia, poranny kac stał się u niego rzeczą normalną. Jego poziom życia poprawił się, ma bieżącą wodę, ale więcej zużywa mojego alkoholu. Ojciec Miguela dostarcza mi guarro z przemytu. Bardzo tanio sprzedał mi też dwa konie, bo musiałem już oddać Nizaro jego zwierzęta. Był już zresztą najwyższy po temu czas, bo zaczynały być w złym stanie: codziennie ktoś jedzie do Guerra i przywozi sprzęt; my się wymieniamy, ale konie pozostają te same, a do tego krwawią im grzbiety.

* * *

Dotarliśmy do litej skały. Od tej pory pracownicy rozpoczynają o pół do szóstej, bo chcę być sam podczas pierwszej godziny. Ponieważ ukształtowanie skały jest nieregularne, a woda jest mętna od błota, ludzie nie są w stanie dokładnie oczyścić dna i część materiału nie zostaje wybrana. Ponadto uderzenia łomów rozwalają grunt i zmieszane z drobnymi grudkami złoto pozostaje w szczelinach. Dlatego część kruszcu nie może zostać wydobyta za pomocą narzędzi.

Każdego ranka przed pobudką wyruszam samotnie nad rzekę. Marcella, która jest już na nogach, ma przykazane pilnować, by nikt za mną nie poszedł. Nie jest to trudne, bo moi ludzie są zmęczeni i nikt nie ma ochoty tracić nawet minuty swego cennego snu.

Po przybyciu na miejsce nacieram ciało tłuszczem, bo woda jest lodowata, zakładam maskę do nurkowania, chowam rewolwer pod liśćmi w zasięgu ręki, i schodzę pod wodę na poszukiwanie bryłek złota. Woda jest czysta, bo muł zdążył osiąść. Pod wodą delikatnie przeczesuję dno, uważając, by nie zmacić wody, i odsłaniam skałę przygotowaną poprzedniego dnia. Plon jest fantastyczny. Czekają na mnie liczne bryłki ulokowane w pęknięciach, a nawet po prostu leżące na płaskich skałach. Jest to chwila wielkiego podniecenia, nie tyle ze względu na samo złoto, ile na jego ilość. Każdego ranka wydobywam co najmniej dwa razy więcej, niż poprzedniego dnia: o ile produkcja wyniosła osiemdziesiąt gramów, ja wydobywam sto pięćdziesiąt gramów albo i więcej.

Zwykle nie tracę łatwo głowy, ale to jest naprawdę niesamowite! Po powrocie do mojego pokoju, gdzie nikt nie ma wstępu, oglądam bryłki, z których największa waży dwieście sześćdziesiąt gramów. Znam się dobrze na złocie, widywałem już dobre miejsca, ale takiego jeszcze nigdy.

Wiem, że wielkie przedsiębiorstwa podejmują pracę powyżej progu opłacalności, który wynosi jeden gram na metr sześcienny. Nie liczy się wówczas procentowa zawartość, ale ilość przerzuconego żwiru.

Tutaj natomiast złóże jest niewiarygodnie bogate, być może zbyt bogate na jednego tylko człowieka. Jest to niewyobrażalna fortuna, nie wyczerpana kasa, siedzę na setkach milionów dolarów. Na początku sądziłem, że chodzi o jedną bogatą żyłę, ale mimo upływu czasu wydobyć nie ulega zmianie. Było parę dni mniej złotodajnych, było to jednak do przewidzenia, bo zdejmowaliśmy wtedy górne warstwy, o mniejszej zawartości kruszcu.

* * *

Miałem szczęście bardzo wcześnie poznać wartość pieniądza, dysponowałem bardzo dużymi sumami zarabianymi na popłatnych inwestycjach; ale zawsze, ile by to nie było, można było sumę obliczyć z góry, nie było niespodzianek. Tu jest zupełnie inaczej, wyniki przekraczają wszelkie moje oczekiwania.

Jak dotąd, nie było takiej sumy, której nie można było w krótkim czasie wydać, a raczej roztrwonić na przyjemności. Po raz pierwszy zupełnie inaczej: to miejsce powinno przynosić dochody wystarczające do realizacji starego marzenia bez konieczności oszczędzania, co byłoby sprzeczne z moimi zasadami. To właśnie pchało mnie dotąd do czynu i podnieca mnie teraz każdego ranka: przygotowywać przyszłość korzystając w pełni z teraźniejszości. Oto powód mojego uporu, by pozostać za wszelką cenę w tym zgniłym zakątku.

Nie można przeżyć przygody nie stawiając ogromnych wymagań swemu organizmowi i mój jest już solidnie nadwerężony. Nie można przekraczać własnych granic nie musząc później za to zapłacić; wiem, że rachunek może się okazać słony. Muszę więc pędzić naprzód, póki dysponuję jeszcze pełnią swoich możliwości. Moja ostatnia przygoda musi być czymś wielkim, bardziej zwariowanym niż wszystko inne: być może okazją do tego jest Rzeka Francuza.

* * *

Nie wygrałem jeszcze do końca: nie można posiadać pięćdziesięciu jeden procent bajecznej fortuny nie powodując zazdrości i wiem z doświadczenia, że kiedy jakiś interes sięga astronomicznych sum, ani dane słowo, ani spisana

umowa nie mają długo znaczenia. Na tych przemyśleniach kończę swoją zadumę: jest w pół do szóstej, czas obudzić pozostałych.

Każdego ranka rozgrywa się ta sama scena: staję u wejścia sypialni i strzelam, jeden jedyny wystrzał z Magnum 357 wystarcza, by wszyscy spadli z łóżek. Jeśli prawdą jest, że stresujące przebudzenia niszczą serce, moi pracownicy nie będą żyli długo; celuję zawsze do tej samej deski, służy mi za kalendarz.

Z oczywistych względów bezpieczeństwa nigdy nie pozostawiam mego złota bez opieki. Noszę je stale przy sobie w zamkniętej na kłódkę żelaznej skrzynce, kupionej w San José. Choć wstęp do mojego pokoju jest wszystkim wzbroniony, znam siłę przyciągania złota, a najlepszym sposobem zapobiegania kradzieży jest nie stwarzanie okazji. Nikt nie wie o moich rannych zbiorach, a codzienne ważenie odbywa się bez świadków: droga do mojego pokoju przebiega przez pokoje Jimmy'ego i Nizara, które też są zamknięte przed pracownikami; stanowi to bufor chroniący mnie przed niespodziewanymi wizytami.

* * *

Choć nikt nie zna prawdziwej zawartości kopalni, wszyscy pracownicy świadomi są jej bogactwa. Ich pierwsze zetknięcie ze złotem nie rozczarowało ich, ale kiedy minęło początkowe podniecenie, pod wpływem którego stale myśleli, że w każdej chwili w ich dłoni pojawić się może bryłka, ich entuzjazm opadł, a raczej ich zainteresowanie przesunęło się. Jedynym pytaniem jest wielkość produkcji danego dnia. Traktują to jako osobiste wyzwanie, codzienny rekord, który należy pobić. Wiedzą, że jest to najbogatsza kopalnia na półwyspie, i że nasza produkcja jest większa niż we wszystkich innych. Każdego wieczoru ogłoszenie wydobytej ilości wywołuje wiwaty: ciągną z tego sławę, a ja zyski.

Jeden White, najsprytniejszy, zachowuje zimną krew. Któregoś dnia, kiedy ogląda swoje dłonie całe stwardniałe od machania łopata, mówię mu:

— No, nie masz powodów się skarżyć, pomyśl o wszystkich wspomnieniach, które ci pozostaną. Będiesz mógł opowiadać swoim dzieciom, że pracowałeś w kopalni złota, i to jednej z najbogatszych.

— A jak mnie spytają, gdzie jest złoto? Kto wyjdzie na idiotę?
W każdym razie na pewno nie ja.

* * *

Nie daję się nabrać na bezinteresowność moich pracowników; nawet jeśli rzeczywiście odczuwają entuzjazm i dzięki moim staraniom mają odpowiednie nastawienie do pracy, wiem, że przy pierwszej okazji bryłka, która znajdzie się w ich rękach, bez świadków powędruje bezpośrednio na dno kieszeni. Bryłka o wadze stu gramów stanowi równowartość dziesięciomiesięcznego zarobku, pokusa jest silna: to ludzkie. Ale u mnie nie ma o tym mowy, każdy, kto by spróbował, wie, że w razie wpadki kara będzie nieproporcjonalna, zapowiedziałem im to:

— Rozumiem, że was kusi, ale pamiętajcie, jeśli kogoś złapię, nie będzie litości.

Moją sprawą jest nie stwarzać im okazji. Jestem na miejscu cały czas przychodzę pierwszy i odchodzę ostatni. Ustawiłem swój fotel bujany na brzegu, żeby z góry widzieć wszystkich; jak tylko któryś podnosi głowę, napotyka mój wzrok. Ta wszechobecność jest skuteczniejsza niż wszelkie groźby, i jako dobry wyzyskiwacz nadzorujący niewolników narzucam im rytm pracy.

Dzisiaj poznali dynamit. W pracy przeszkadza ogromna skała, której nie sposób przesunąć; zajmuje się tym Miguel, siada okrakiem na czubku i przy pomocy dłuta oraz dwukilowego młotka wykonuje otwór. Z regularnością metronomu wali w dłuto bez przerwy cały dzień. Pod koniec dnia otwór jest wystarczający, by włożyć doń dynamit. Wkładam kilka lasek z zapalnikiem i lontem na dwie minuty. Ludzie są nerwowi i nie przerywając pracy nie spuszczają ze mnie wzroku. Dla nich dynamit to coś nieznanego, o mocy, której straszną potęgę przeczuwają. Ich strach bawi mnie, i zasłonięty przez Jimmy'ego zapalam lont.

— Senores, macie minutę i pięćdziesiąt sekund na znalezienie schronienia, zabierajcie narzędzia ze sobą.

Jest to mądre zalecenie, bo wybucha panika. Dosłownie wylatują z dziury i co sił w nogach rozbiegają na wszystkie strony. Nicolas i ja zapalamy po papierosie od dymiącego lontu i spokojnie idziemy się schować za najbliższe drzewo. Rozlega się gwałtowny wybuch i słup wody podnosi się na dwadzieścia metrów. Skała została rozbita, a całą dolinę pokrywa dym. Pracownicy, którzy trochę ochłonęli ze strachu, biją brawo wrzeszcząc i cali podnieceni hałasem i dymem żartują sobie z paniki, jaka ich przed chwilą

ogarnęła. Nigdy nie przyzwyczajają się do tych eksplozji i zawsze będą przed nimi odczuwać nieopisany lęk; jak dzieci boją się i podniecają potęgą wybuchu: mają urozmaicenie, raz wystrzał na przebudzenie, raz wybuch dynamitu.

* * *

Zespół jest jednolity, każdy ma swoje miejsce i zapracowuje na swój zarobek, za wyjątkiem obu córek Nizara. Przykry widok tych dwóch wielkich krów przyprawia mnie o mdłości: przez cały dzień nic nie robią. Tak jak to przewidział Chita, spędzają czas na obżeraniu się i sraniu. Boją się mnie i kiedy jestem w pobliżu udają, że mają zajęcie, ale doskonale wiem, że kiedy tylko się oddalam, kładą się do góry brzuchem. Zabroniłem im podrywać ludzi, nosić obcisłe spodnie, nie chcę, żeby tworzyły się jakieś związki, bo sama myśl o tym, że któryś z moich pracowników mógłby rznąć się z taką obrzydliwą masą mięsa wzbudza we mnie wstręt. Wiedzą o tym i nienawidzą mnie za to. Ponadto wielokrotnie słyszały, jak wyrażałem się o nich słowami więcej niż obraźliwymi. Na szczęście Marcella sama daje sobie radę. Przykazałem jej, by stale nadzorowała żarcie, aby nie dopuścić do wchodzenia w szkodę przez te dwa worki gówna, jak je nazywam publicznie.

* * *

Skrzynka, którą stale przy sobie noszę, robi się coraz cięższa, jest to bardzo niepraktyczne i nie chcę trzymać tutaj całego tego złota: lepiej byłoby zabezpieczyć je w San José. Ponadto chciałbym pokazać moim wspólnikom, jak bogata jest kopalnia, żeby skłonić ich do przyspieszenia działań administracyjnych. Postanawiam wysłać Jimmy'ego, by zadzwonił do Hermana i skorzystał z okazji, by umocnić moją pozycję u gliniarzy. Mam się na baczności przed Barbaroją, nie daję się nabrać na jego pozornie uniżoną postawę i podejrzewam, że szykuje jakieś kłopoty. Wspominał już, że biorąc pod uwagę zasobność miejsca, umówione trzydzieści pięć tysięcy colonów to za mało, udałem, że nie rozumiem o co chodzi. Pozostaję przy tym co zostało uzgodnione, ale nie mam absolutnie zaufania do słowa danego przez Tico.

— Jimmy, masz tu sto pięćdziesiąt gramów złota. Najpierw pojedziesz do Palmar, żeby zatelefonować do Hermana. Powiedz mu, że operacja jest opłacalna i że proszę, żeby przyjechał porozmawiać, niech przy okazji przyprowadzi łódź. Dodaj, że nie ma już węży ani brzydkich zwierzątek i że

może przyjeżdżać natychmiast. Potem pojedź do Jimenez, sprzedać złoto w banku, i przywieź mi pokwitowanie. Masz tu wreszcie trzy koperty: jedną dasz szefowi gliniarzy w Jimenez, drugą szefowi w Golfito, a trzecią grubej w Palmar; pamiętaj, żeby powiedzieć, że to ode mnie.

Do każdej z kopert włożyłem dziesięć tysięcy colonów, moją comiesięczną składkę na dobroczynność dla gliniarzy, i napisałem dużymi literami swoje nazwisko na odwrocie. Przewiduję nowe posunięcia Barbaroi i wolę, żeby gliny pamiętały o mnie.

Polecam też Jimmy'emu, żeby przywiózł worek cementu. Na razie bowiem dynamit złożony jest w moim pokoju, pod łóżkiem, na pastwę byle iskierki. Dwieście lasek dynamitu z łatwością przekształciłoby obozowisko w przedstawienie typu „światło i dźwięk”, a nas w żywe pochodnie. Mam więc zamiar zbudować mały bunkier, szczelny i zamykany na klucz.

Jimmy będzie też musiał przywieźć sto żarówek, bo nadszedł czas, by założyć u nas elektryczność. Powód jest prosty: mam nadmiar pracowników. Nawet jeśli odliczyć tych, którzy są bezużyteczni z powodu infekcji stóp, nie mogę wpuścić do dziury więcej niż dziesięciu naraz, ani ustawić przy canoa więcej niż czterech, a jednocześnie nie chcę nikogo zwalniać. Poza tym myśl o tej wielkiej dziurze opustoszałej w ciemności sprawia mi smutek. Postanowiłem więc wprowadzić pracę na dwie zmiany, z których jedna przypadłaby na noc. Sądzę, że jakieś pięćdziesiąt lamp i reflektory dadzą wystarczająco dużo światła, ale w tym celu trzeba będzie wnieść na górę silnik, a to raczej nie będzie przyjemne.

Na pierwszy rzut oka wydaje się to nawet niemożliwe, ale wiara czyni cuda. Będę musiał pojechać osobiście, bo znam swoich ludzi: sami nie dadzą rady, a zwątpienie musi doprowadzić ich do dezercji w sensie dosłownym, bo jeśli porzucą silnik gdzieś w górach, nie ośmielą się pokazać mi na oczy. Postanawiam więc poczekać na powrót Jimmy'ego i wyruszyć w drogę.

Poprzedniego wieczoru po kolacji, kiedy wszyscy szykowali się do snu, z ciemności i deszczu wyłonił się jakiś facet. To Demesio, mieszkający o trzy kilometry stąd, od niego zawsze kupuję mięso w dużych ilościach. Nie przepadam za nim, to taki mały miejscowy pirat, degenerat, złodziej i kłamca. Podchodzi do mnie:

- Don Juan Carlos, mówiono mi, że potrzebujesz koni?
- Owszem, masz jakieś do sprzedania?

— Przyprowadziłem ci dwa, piękne zwierzęta, sprzedam ci oba za szesnaście tysięcy colonów.

— Dlaczego miałbym zapłacić tak dużo, skoro ostatnio kupiłem dwa za dziewięć tysięcy?

— O, moje są inne. Są większe i mogą nieść nawet trzy kwintale każdy, bez trudności.

— Trzy kwintale? Jesteś pewien tego, co mówisz? Uważaj, nie zapominaj, że jesteśmy sąsiadami i że łatwo mi będzie cię znaleźć jeżeli oszukujesz.

— Zobowiązuję się przy wszystkich, że odkupię je od ciebie, jak ci się nie będą podobać — mówi, wskazując moich pracowników.

— Daję ci słowo.

— Zgoda, ale za taką cenę chcę dodatkowo dwa siodła w dobrym stanie i dwie drewniane skrzynie transportowe.

Po krótkiej dyskusji daję mu siedemnaście tysięcy colonów za konie i ich wyposażenie. Przed odejściem powtarza swoją obietnicę, a ja moje ostrzeżenie.

Następnego ranka oglądamy konie przy świetle dziennym. Jeden to rzeczywiście piękne zwierzę, o wiele większe i mocniejsze niż konie, które zwykle można znaleźć na Osa. Drugi to stara szkapa ledwie trzymająca się na nogach, nadająca się jedynie do rzeźni. Stary sukinsynu! Jeśli myślisz, że tak łatwo się z tego wywiniesz, to jesteś w błędzie. Na razie mam ważniejsze sprawy na głowie, ale co się odwlecze, to nie uciecze.

Przede wszystkim elektryczność. Po kolacji wyjawiam swoje zamiary:

— Panowie, jutro wnosimy na górę silnik.

Zapada wielka cisza, każdy myśli o wysiłku, jaki przyjdzie mu w to włożyć. Wyznaczam siedmiu najsilniejszych, których stopy są w dobrym stanie.

— Miguel, Chita, Chiche, White, Gabino, Omar i Barbas, jutro zejdziecie na dół. Kładźcie się spać wcześniej, bo wstajemy o trzeciej. Będzie ciężko, ale trzeba to zrobić.

Zdanie to stało się już znanym refrenem: kiedy je wypowiadam, wszyscy wiedzą, że będą srali z wysiłku. Ale moja obecność dodaje im ducha.

Jadę na koniu, pracownicy idą pieszo przede mną. Zostawiłem obozowisko pod opieką Jimmy'ego. Nad rzeką nie będzie nikogo, wszyscy będą pracować na budowie. Poprzedniego dnia o świcie oczyściłem skalne dno; a w ciągu dnia pracowaliśmy tylko nad wierzchnią warstwą, nie zawierającą zwykle złota: jeśli wykluczyć nadzwyczajne szczęście, nie ma praktycznie szans na wydobycie kruszcu. Mimo to kazałem Jimmy'emu zabronić dostępu do rzeki. Chłopak działa coraz skuteczniej, jego początkowa porażka to już tylko złe wspomnienie. Pomogłem mu nabrać pewności siebie i stopniowo ludzie zaczęli go szanować, jego uprzejmość zastępuje siłę, której mu brak. Stale chodzi w prawdziwym borsalino, które wytrzasnął nie wiadomo skąd, ozdobionym piórkiem.

Po przyjeździe do Guerra oglądam silnik i przystępujemy do próby przewiezienia go. Jest zbyt ciężki, by nieść go na plecach, a stan drogi wyklucza niesienie w kilku. Próbuje różnych rzeczy, między innymi małego wózka pożyczonego od Maria, ale pojazd zagłębia się w błoto. Pozostaje tylko jedno wyjście, sporządzenie nosideł. Każę wyciąć dwa długie, drewniane drągi o dużej wytrzymałości, pośrodku których umieszczamy silnik. Niesie to czterech ludzi z przodu i czterech z tyłu. Koń idzie za nami, a ja niosę razem z innymi, aby ich zachęcić. Zaczęliśmy o szóstej. Po pięciu godzinach mamy za sobą cztery kilometry, choć teren jest tutaj płaski. Każdy krok to straszliwy wysiłek, przygniecenie ciężarem silnika głęboko zapadamy się w lepkie błoto, które ściąga nam z nóg buty. Wysiłek, by oderwać nogę, krok, wysiłek przy odrywaniu drugiej nogi, krok; co metr ktoś gubi but i przewraca się w błoto. Pozostali muszą utrzymać silnik, aż tamten się podniesie, po czym ruszamy dalej, aż do następnego upadku. Co sto metrów musimy się zatrzymać i postawić ciężar na ziemi, i czujemy jak drżą nam kolana. Omar, który ze względu na swój wzrost niesie więcej niż inni, runął na ziemię całkowicie pozbawiony sił. Próbujemy go podnieść, ale nie jest w stanie się ruszyć i leży tak w błocie z rozrzuconymi ramionami, na granicy omdlenia. Kładę sobie na ramiona końce obu drągów i idziemy dalej; dogania nas dopiero po dwóch godzinach, zataczając się. Dochodzimy do zbrocza pokonawszy wreszcie błoto, ale wiem, że nie będziemy w stanie wejść na górę.

— Chita, weź mojego konia i wracaj do obozu. Powiedz Jimmy'emu, żeby zszedł tu jak najszybciej ze wszystkimi ludźmi.

— Wszystkimi?

— Wszystkimi bez wyjątku. Powiedz, żeby zabrali latarki, a także niech przyniosą kawę i dużo naleśników. Pośpiesz się!

Po godzinnym odpoczynku wstaje:

— Panowie, będzie ciężko...

— Ale trzeba to zrobić — odpowiadają chórem.

— Ostatni wysiłek. Podejdziemy trochę pod zbocze przed drugą zmianą.

Kiedy Jimmy nadchodzi z resztą zespołu, nikt już nie może utrzymać się na nogach: przeszliśmy jedną czwartą drogi prawie na czworakach, nieraz ześlizgując się i przewracając. Podczas gdy półprzytomni ze zmęczenia jemy i pijemy kawę, pozostali zastępują nas. Pracujemy na zmianę. Manolito biega tam i z powrotem do podnóża góry, gdzie płynie rzeka, i przynosi wodę w manierkach.

Ostatni odcinek drogi zaczynamy przy świetle latarek; podczas gdy jedni niosą, inni oświetlają grunt pod nogami, idący z przodu przestrzegają następnych przed dziurami i korzeniami. Oświetlenie jest niewystarczające i w końcu staje się to, co musiało się stać: na szczególnie stromym odcinku któryś z ludzi potyka się i przewraca, za nim drugi, i pod wpływem gwałtownej zmiany punktu ciężkości wszyscy padają wypuszczając silnik. Chita, odważnie, lecz bezmyślnie, próbuje go przytrzymać; zostaje przygnieciony ogromnym ciężarem, oczy mu wychodzą na wierzch, oddech staje się świszczący.

Błyskawicznie oswobadzamy go. Miał niewiarygodne szczęście, wpadł do głębokiego rowu, którego brzegi zatrzymały silnik, nie dopuszczając do całkowitego zgniecenia: Chita ma tylko wgniecioną klatkę piersiową. Bardzo się przestraszył i powoli dochodzi do siebie, zostawiamy go siedzącego pod drzewem i idziemy dalej. Jest pół do jedenastej, kiedy dochodzimy do obozu, szesnaście i pół godziny zabrało nam wnoszenie tego kurewskiego silnika. Nikt nie wyszedł bez szwanku. Co do mnie, to mam zgnieciony paznokieć, ale dokonaliśmy niemożliwego: teraz sądzę, że moi ludzie będą się czuli zdolni do zrobienia wszystkiego. Szybko jemy kolację i wszyscy kładziemy się w milczeniu.

Wyjątkowo pozwalam im spać godzinę dłużej, zasłużyli na to.

* * *

Tworzę dwa zespoły. Jeden pracuje nad rzeką, jak zwykle, podczas gdy drugi zakłada instalację elektryczną. Mianowałem Barbasa odpowiedzialnym

za drugi zespół, a Eduardo, naszą złotą rączkę, technikiem elektrykiem. Każę im zbudować schron do przechowywania silnika, w połowie drogi między domem a rzeką.

Piętnaście osób zakłada instalację. W ciągu dnia przeprowadzili kable elektryczne od silnika do domu, a potem nad rzekę, gdzie pięćdziesiąt żarówek zamontowanych w czterech wielkich reflektorach oczekuje na prąd. Zatrzymuję pracę zespołu canoa o piątej i wszyscy zbierają się wokół silnika. Patrzą na niego jak na diabelską maszynę. Ten dziwoląg produkujący elektryczność nie wzbudza ich zaufania, a nawet z lekkim obrzydzeniem dotykają przewodów i żarówek, zwłaszcza ludzie z Osa, którzy trzymają się raczej z tyłu.

Omar, z zawodu przewoźnik promowy, jako jedyny jest jako tako obznajomiony z tą maszyną.

— No, uruchom mi to — mówię do niego.

W głębokiej ciszy, z miną zawodowca, zakłada korbę i kręci z całej siły. Jeden obrót, dwa, po czym korba zaczyna się kręcić i uderza go prosto w mordę. Wywraca się na plecy, krew tryska z rozciętego łuku brwiowego. Porządnie dostał.

Przerywam ogólną wesołość jednym słowem:

— Następny!

Przyjmują postawę wyczekującą i mają rację; jeden po drugim próbują uruchomić silnik, ale jakoś słabo, bo strach przed rozwaleniem głowy ujmuje im sił.

— No dobra — mówię po kilku nieudanych próbach — spróbujemy inaczej. Kto jest mańkutom?

Biorąc pod uwagę kierunek obrotów korby, ryzyko powinno być mniejsze. Nikt się nie zgłasza, ale Eduardo mówi z szerokim uśmiechem:

— White! Jest leworęczny, ale nie chce się przyznać.

Rzeczywiście, White, który zwykle znajduje się w pierwszym szeregu, przycupnął gdzieś za innymi, jest szary ze strachu.

— To prawda, White?

— No tak, trochę.

— Więc pokaż, co potrafisz. Kręci parę razy bez przekonania.

— Dostaniesz podwójną porcję trawki, jeśli uruchomisz to świństwo.

To jedyna rzecz, która może go ruszyć, tym razem wkłada w obrót całą swoją energię. Po trzydziestu sekundach, w górach rozbrzmiewa warkot pierwszego silnika, jaki kiedykolwiek uruchomiono na Osa, i całe obozowisko rozjaśnia się: to wielka chwila. Radość jest nieopisana, wszyscy śpiewają i ryczą na wiwat. W mieście elektryczność jest rzeczą naturalną, do której nie przywiązuje się wagi; w tej dżungli natomiast to niesamowity luksus: wszyscy zdrowo napociliśmy się, żeby doprowadzić do tej chwili.

W domu jest po parę lamp w każdym pokoju i ta niezwykła jasność tworzy atmosferę święta i niezwykłego komfortu; Barbaroja, u którego założyliśmy jedną żarówkę, patrzy na to wniebowzięty. Wszyscy idziemy nad rzekę, gdzie widok, jaki nas wita, wywołuje głośnie okrzyki: wrażenie, jakie robi ta błotnista dziura oświetlona a giorno przez cztery reflektory jest fantastyczne; brakuje tylko półnagiej aktoreczki, pływającej w wodzie, by powstał doskonały hollywoodzki obrazek.

— To piękne — mówi do mnie Chiche ze wzruszeniem.

— Będzie jeszcze piękniejsze, jak piętnastu facetów będzie tam harować: nocna zmiana, do dziury!

Zamiast aktoreczki pływać będą moi brodacze. Są zaskoczeni: pogrążeni w radości z zainstalowania w dżungli elektryczności, trochę stracili z oczu zawodową stronę zagadnienia, oddając się całkowicie odczuciom estetycznym.

Po chwili wahania wślizgują się do lodowatej wody, ale pod wpływem ogólnego podniecenia nowością sytuacji dzienna zmiana dołącza do nich i przez godzinę wszyscy pracują razem.

* * *

Od tej pory zawsze będą dwa zespoły i inne godziny pracy: dzienna zmiana pracuje od szóstej trzydzieści do południa i od trzynastej trzydzieści do szesnastej trzydzieści, po czym pałeczkę przejmuje nocna zmiana, pracująca do kolacji o osiemnastej, a następnie od dziewiętnastej do północy. Każdy woli co innego i zespoły ukonstytuowały się bez problemów. Pogoda poprawiła się, między deszczami pojawia się słońce, opady stają się rzadsze, zwłaszcza w nocy, a woda jest cieplejsza.

Wszystko idzie dobrze, ale coś mi przeszkadza: nie lubię patrzeć na wszystkich tych facetów bez zajęcia przez cały dzień. Siedzę nad rzeką na obu zmianach i dowiaduję się, że w czasie mojej nieobecności robi się burdel,

wybuchają gwałtowne kłótnie i bójki. Praca fizyczna i obfitość jedzenia zrobiły z moich ludzi atletów. Dawni cherlacy rozrośli się i rozpięra ich energia; trzeba więc jakoś wykorzystać ten nadmiar sił. Nuda i bezczynność to najgorsze rzeczy, dają bowiem czas na myślenie.

Dlatego też stopniowo przydzielam ludzi z nocnej zmiany do prac w porządkowaniu rancho: zaczyna się od drobnych poleceń, po tygodniu robi się tego więcej i w końcu pracują zarówno w dzień, jak i w nocy. Z wyjątkiem paru komentarzy, wypowiedzianych w tonie żartobliwym, szybko przystosowali się do tego. Wiedzą, że im więcej pracują, tym bardziej ich lubię; a im bardziej ich lubię, tym więcej robię im prezentów: na przykład papierosy, za które dawniej potrącałem im z wynagrodzenia, teraz dostają za darmo.

Aby nikt nie był zazdrosny, pierwsza zmiana poddana jest tym samym zasadom: teraz wszyscy pracują od szóstej do północy.

Za pośrednictwem sklepikarza Mario kazałem kupić w Palmar i przewieźć do Guerra osiemdziesiąt worków cementu: codziennie wnosi się na górę dwa worki, które są natychmiast zużywane, bo postanowiłem wybetonować całą podłogę w domu. Ponieważ jest on zbudowany na terenie lekko pochyłym, trzeba najpierw wyrównać poziom za pomocą żwiru wydobytego z rzeki. Tym właśnie zajmuje się zespół, który akurat nie pracuje w dziurze, i chodzą tam i z powrotem dzień i noc, z ogromnymi workami na plecach.

Nie chcąc opuszczać mego miejsca nad rzeką, nie mogę pilnować pracy w obozie, ale ich regularne pojawienie się koło mnie daje mi informacje o wydajności każdego. Z wyjątkiem paru facetów, którzy zasypiają przy stole, wszyscy dość dobrze znoszą nowe godziny pracy. Co do mnie, to nie śpiam w nocy. Zdarza mi się w ciągu dnia, że drzemię w fotelu bujanym; często budzi mnie wrażenie, że rytm pracy został zwolniony: strzelam wówczas na wszelki wypadek, stało się to już odruchem. Jako celu używam ogromnego ściętego pnia drzewa, leżącego na brzegu urwiska. Po każdym strzale odpryski drewna spadają na ludzi i niejeden podskakuje sądząc, że został trafiony kulą.

Wydobycie złota jest regularne, atmosfera dobra, a obie ekipy nawet rywalizują ze sobą. Stałem się mniej rygorystyczny jeśli chodzi o godziny pracy; podczas każdej przerwy na kawę lub posiłek każę przegrodzić canoa i

zaglądam do środka, a jeśli pojawi się duża bryłka, zatrzymuję pracę na resztę dnia.

Złoto jest wszędzie. Podczas odgarniania małego obwałowania kamieni u stóp urwiska, w miejscu, gdzie nawet nie pracowaliśmy, Jimmy znalazł bryłkę o wadze siedemdziesięciu dwóch gramów: umacnia to mnie w przekonaniu, że trzeba zabronić wstępu nad rzekę komukolwiek podczas mojej nieobecności. Moje nurkowanie o świcie nadal przynosi bogaty plon. Dziś rano był najwspanialszy moment: znalazłem bryłkę o wadze czterystu dwudziestu gramów. Jest szeroka i płaska jak spodek, a wokół niej błyszczy mnóstwo punkcików, dwieście gramów w ziarenkach ważących od pięciu do dziesięciu gramów.

Na pamiątkę tych znalezisk zawiesiłem sobie na lewym przegubie pięć bryłek na złotym łańcuchu i nigdy nie zdejmuję bryłki pięćdziesięciogramowej, bardzo pięknej, o kształcie Ameryki Łacińskiej, którą noszę na szyi.

* * *

Czuję się dobrze. Od dawna już nie mam żadnych obaw co do obecności złota na moim terenie, a Barbaroja, który przychodzi regularnie w porze podniesienia canoa, ciągle nie może się z tym pogodzić; razem z Nizarem opowiadają sobie o Beta Madre, legendarnej żyłce złota. Co do Nizara, to w głowie mu się przewróciło i regularnie irytuje mnie uwagami w rodzaju: to on pierwszy znalazł to miejsce, to dzięki niemu jestem tutaj itd. Któregoś wieczoru słyszę, jak lamentuje przed Jimmy'm:

— Ja zasiałem złoto, a Juan Carlos zbiera plon.

Tego już za wiele! Następnego dnia siedzi w dziurze z catiadorą. Spędza teraz dni w wodzie tam, gdzie łopata nie wystarcza, wydobywając około dziesięciu gramów dziennie, to jest swój sześciokrotny zarobek, i trzyma mordę na kłódkę. To złodziej i trzeba mieć na niego oko: siedzący na skale o niecały metr od niego Nicolas pilnuje go bez przerwy. Ta stała obecność i nowa praca dały mu do zrozumienia, że jest w niełasce; stale narzeka na swój los, ale odsyłam go do roboty. Początkowo miałem zamiar dać mu dobre stanowisko, ale jego codzienne przechwałki i w dodatku niedołęstwo zmęczyły mnie. Nie jest mi do niczego przydatny. Sądziłem, że jego trzydzieści pięć lat doświadczenia w górach będzie użyteczne, ale okazało się, że wiem więcej od niego: niech zdycha.

* * *

Barbaroja zaprosił mnie do siebie na kurczaka, wiem aż nadto dobrze, o czym chce ze mną rozmawiać. Po zobaczeniu takiej ilości złota umocnił się w przekonaniu, że powinien być lepiej ze mną negocjować: zdobędzie się pewnie teraz na odwagę i przedstawi swoje żądania. Mógłbym mu dać trochę więcej, ale wówczas nie byłoby powodu, żeby na tym poprzestał; ponadto suma, jaką płacę mu co miesiąc, jest już i tak wystarczająca jak na poziom życia w kraju, a do tego codziennie je i pije za darmo. Byłbym gotów pomóc mu założeniu pulperii, ale nie podwyższę ani o colona sumy ustalonej na początku. Moja głowa w tym, żeby mu to dać łagodnie do zrozumienia.

Jak przewidywałem, po pięciu minutach gadki o pogodzie wylewa na mnie kubel swoich żalów. Do cholery! Co za dureń! Tym gorzej dla niego. Mam pod ręką polano i walę go nim mocno w kark, co sprawia, że pada na kolana. Po drugim uderzeniu ma już dość. Uderzenie wywołało spory hałas. Barbaroja leży bez ruchu. Tylko tego brakuje, żeby wykitował. Nie chcę go dotykać, żeby go ocucić, więc nie przychodzi mi do głowy nic innego niż nasiusiać mu na łeb. Ciągle się nie rusza. Łapię menażkę, w której gotuje się zupa z kurczaka, i wylewam mu to na mordę: wrzątek robi swoje, ku mojej uldze drze się, jakby go obdzierano ze skóry. Biorę jego karabin i rozbijam kolbę o ścianę; potem, przy pomocy młotka, rozwalam zamek, łamię spust i kurek. Wychodzę z domu zostawiając go ciskającego się po podłodze: trochę mi smutno, zupa wyglądała na smaczną.

Po powrocie do domu siadam na swoim zwykłym miejscu przed pracownikami, którzy jedzą wszyscy razem.

— Chita, ty masz dobre stosunki z Barbaroja, pójdziesz do niego. Powiedz temu skurwysynowi, że nie chcę go tu więcej widzieć, ani nad rzeką, i w ogóle nie chcę go widzieć, żeby mi się na oczy nie pokazywał. Jak już tam będziesz, przynieś z powrotem żarówkę i kabel.

Następnie zwracam się do wszystkich:

— Od tej pory Barbaroja nie jest już naszym przyjacielem. Nie wolno mu tu przychodzić i nikomu nie wolno tam chodzić, jasne? Gdybyście widzieli jego świnie koło domu, wyrzucicie je, nie chcę tu bałaganu.

Wieczorem Chita, który widział Barbaroję, opisuje mi jego stan, co wywołuje ogólną wesołość.

Rano kiedy wszyscy jemy śniadanie, stwierdzam, że nie ma konia Barbaroi: widocznie ten ostatni pojechał po gliniarzy. Zastanawiam się nad karą, jaką mu wymierzę, kiedy jeden z jego prosiaków wsadza łeb przez drzwi kuchenne. Wstaję i strzelam mu prosto w ryj, ku ogólnemu zaskoczeniu. Marcella wybuchą śmiechem, ale obie grubaski są przerażone, bo na Osa zwierzęta chowają się na wolności i każdy szanuje własność swego sąsiada.

— Wypatroszcie go — mówię im — to prezent od Barbaroi.

— Ale nie umiemy!

— To się nauczcie, jest okazja. White, Chiche, Cunado, idźcie po deski, które zostały u Barbaroi, teraz należą do nas.

Prosiak jest tłusty i wieczorem mamy święto. Mięsa jest sporo, ludziom podoba się mój sposób robienia sprawunków. Są szczęśliwi, bo jutro i pojutrze, w sobotę i niedzielę, daję im pierwszy wolny weekend: mam lekką gorączkę i czuję, że zbliża się atak malarii. Jesteśmy w środku kolacji, kiedy pojawia się Tonio, jeden z synów Nizara, i podchodzi od razu do mnie.

— Dobry wieczór, Don Juan Carlos.

— Dobry wieczór, Tonio, co się stało?

— Paru ludzi przyплыnęło statkiem do Guerra: Herman Weinberg, Orlando Caracas i Pablo Garcia. Chcą żebyś wysłał ludzi z końmi, muszą je mieć dzisiaj, żeby mogli wejść jutro na górę, potrzebują też ludzi do ładowania sprzętu. I wszystko natychmiast.

— Ej spokojnie. Co to za historia? Możesz wracać na dół, jeśli chcesz, ale sam. Powiedz tym bałwanom, że wyślę im to wszystko jutro, ale o tej porze my odpoczywamy; dodaj, że tu się pracuje.

* * *

Następnego dnia nie czuję się zbyt dobrze, bolą mnie wszystkie mięśnie. Wysłałam przodem pięciu ludzi z dwoma końmi. Nicolas i ja wyruszamy na pozostałych dwóch wierzchowcach parę godzin później. Spotykamy całą grupę u stóp zbocza, faceci obładowani są różnymi rzeczami jakby szli na piknik, a Omar niesie nawet na głowie telewizor. Herman i Orlando jadą konno. Ten ostatni umocował do siodła skrzynkę dynamitu. Trzeci facet, tłuścioch, którego przedstawiają mi jako księgowego, z trudnością idzie przez błoto i wyciera pot wielką chustką. Zatrzymują się nad rzeką, pijani ze zmęczenia, zanim w ogóle zaczęło się podchodzenie pod zbocze.

Wgląd tych trzech mieszczuchów, czerwonych i spoconych, stanowi kontrast z widokiem moich ludzi, kroczących szybko i bez wysiłku. Cała trójka ma na sobie krótkie džinsy i wysokie buty, a Herman, który zatknął sobie za pas rewolwer, ma nawet ciemne okulary. Księgowy, Pablo Garcia, szybko zostaje w tyle, zatrzymuje się co dziesięć metrów. Później wyprzedzamy z kolei Orlando Caracasa, bardzo źle jeździ konno i w trudniejszym miejscu zaczyna powoli się zsuwać, uczepiony swojej skrzynki dynamitu. Próbuje się wyprostować i woła o pomoc, ale ludzie wiedzą, co zawiera skrzynka, i zamiast mu pomóc rozbiegają się na wszystkie strony, zostawiając ładunek na drodze, i chowają się za drzewami. Nie ma żadnego niebezpieczeństwa, bo dynamit w ten sposób nie wybucha, ale nie mają zaufania. Orlando jest zaskoczony, po czym spada z głośnym pluśnięciem. Jest urażony: nigdy go tak nie potraktowano, jego, siostrzeńca prezydenta, i pomstuje na pracowników, którzy głośno się śmieją. Wściekły przywiązuje skrzynkę do grzbietu konia i wzięwszy go za uzdę idzie dalej pieszo.

Zostawiam jednego człowieka, żeby wskazywał im drogę, i idziemy dalej. Herman zadaje mi mnóstwo pytań, na które ledwo odpowiadam, bo nie mam teraz ochoty na rozmowy. Jest lepszym jeźdźcem od pozostałych i udaje mu się dotrzymać nam kroku; na szczęście teren jest zdradliwy i podczas gdy jedzie dumnie kłusem, jego koń potyka się i przewracając się pociąga go za sobą. Spada najmniej dziesięć metrów wśród ogólnej obojętności; kiedy wstaje, jego okularów już nie ma i jest cały ubłocony. Uśmiecha się fałszywie, wsiada z powrotem na konia pod ironicznymi spojrzeniami pracowników. Po paru następnych razach traci swój dumny wygląd i jedzie dalej powoli i ostrożnie.

Korzystam z tego, by przyśpieszyć i uniknąć dalszych pytań. Nicolas, jadący obok mnie, bawi się doskonale i żartując dojeżdżamy do rancho na długo przed wszystkimi.

Z przyzwyczajenia idę rzucić okiem nad rzekę. Kiedy wracam, wszyscy są już na miejscu i robią wiele hałasu. Orlando siedzi w moim fotelu, proszę go, by wstał żebym mógł usiąść. Nie podoba mu się to, ale musi się ugiąć.

Herman, cały w uśmiechach, rozpoczyna kampanię zdobywania popularności. Podłączył telewizor i zabiera się do regulacji: jest ciągle w ruchu, robi dużo hałasu, ale bez większych efektów. Pracownicy patrzą z zainteresowaniem, wielu nigdy nie widziało telewizora i nowość ta ich

fascynuje. Po godzinie Hermanowi nie udaje się z aparatu wydobyć nic poza szumami, i faceci zaczynają krzywo na niego patrzeć, niezadowoleni, że narobiono im fałszywych nadziei; czują, że najchętniej rozwaliliby mu telewizor na głowie. W końcu tracą wszelkie zainteresowanie i żądają muzyki.

— To dlatego, że nie ma anteny — mówi Herman. — Ty i ty, zamontujcie ją na dachu.

Nikt się nie rusza i moi ludzie wydają się rozbawieni tym małym grubasem, który tyle krzyczy. Zaczyna się denerwować i przychodzę mu z pomocą.

— Chiche, Cunado, idźcie to założyć, żeby zrobić temu panu przyjemność.

Herman siada obok mnie.

— To nie do wiary — mówi mi — wiedzą, że jestem twoim współnikiem, więc muszą mnie słuchać. Nie rozumiem, w jaki sposób dajesz sobie z nimi radę.

— Słuchaj, tu jesteś w górach, a nie w twoim biurze. Moi ludzie nie pracują dla zarobku, ale dlatego, że podoba im się atmosfera: szacunek i autorytet nie są dane z góry, trzeba je zdobyć. Jak dalej będziesz tak się do nich zwracał, to może ci się przytrafić coś nieprzyjemnego.

Uspokaja go to natychmiast i zmienia temat:

— A co ze złotem, dużo go jest?

— Mnóstwo!

— To pokaż.

— Później. Nie ma pośpiechu. Ile czasu zostaniecie?

— Dwa dni.

— To wystarczy aż nadto.

— O której zaczynasz pracę, żebyśmy mogli obejrzeć przedstawienie?

— Dzisiaj nie pracujemy, obiecałem im dwa dni odpoczynku. Może jutro popracują godzinę, żeby ci pokazać.

Jest rozczarowany i nalega.

— Jeden dzień by wystarczył, mam wrażenie, że strasznie ich rozpuszczasz: mięso na każdy posiłek, łóżko i materac dla każdego...

Wiesz, to tylko zwierzęta, nie są przyzwyczajeni do takich wygód.

Nadchodzący atak malarii męczy mnie i nie mam siły mu odpowiedzieć ani tłumaczyć mu przyczyn mojego postępowania. Ale uwagi dochodzą do

uszu moich pracowników, którzy naprawdę zaczynają patrzeć na przybyszów spode łba. Ta trójka tutaj nie pasuje. Moi ludzie pracują ciężko, ale są przyzwyczajeni do swego rodzaju rodzinnej atmosfery, kumpli, którzy razem się wygłupiają, i takie traktowanie ich, chłopów, przez ludzi z miasta, którzy patrzą na nich z góry, razi ich bardzo.

Poza Nizarem, który gnie się w ukłonach, pracownicy po prostu ich ignorują. Nawet fizycznie przybysze są nieprzyjemni: przykro patrzeć na tych grubasów w szortach, na ich niezdrową i białą cerę.

— Co za szkoda, że musimy wchodzić w spółkę z takimi gnidami — mówię do Nicolasa, który podziela mój niesmak. — I pomyśleć, że tacy faceci rządzą krajem!

— Mimo wszystko sądziłem, że siostrzeniec prezydenta potrafi lepiej się zachować. Zauważyłeś, że chłopaki zniechęcili ich od pierwszego wejrzenia?

— To normalne, przyjechali tu jako zdobywcy. Dla ludzi Weinberg i Caracas nie znaczą nic, to tylko dwóch śmiesznych mieszczuchów, których najchętniej powiesiliby za nogi dla przyjemności, po prostu dla zabawy.

W tym momencie Herman przyprowadza mi trzeciego grubasa, z którym nie zamieniłem nawet słowa.

— Juan Carlos, przyprowadziłem ci Pablo Garcię do prowadzenia księgowości.

— Jakiej księgowości? Co to za historia?

— Chodzi o dokumenty, jakie robimy dla Malessy, no i dokumenty pracowników. Zrobimy spis, powiedz im, żeby się zgłaszali z dowodami osobistymi.

— Popelniasz błąd, nikt się na to nie zgodzi, ponad połowa tych facetów jest poza prawem i od czegoś ucieka: od alimentów albo wyroku. Nikt tu nie jest naprawdę czysty i nie zgodzą się, żeby ich nazwiska figurowały w prawniczych dokumentach.

— Ale musimy zrobić to zgodnie z przepisami, pomyśl, co by było gdyby zdarzył się wypadek.

— Sądzę, że wolą raczej takie ryzyko niż pójść do więzienia. Zresztą, zajmijmy się tym jutro rano, teraz jest pora posiłku.

— Nakryją nam osobny stolik?

— Oczywiście że nie, tutaj jest jedna wielka rodzina: nie mamy takiej segregacji.

Pod koniec posiłku Herman wyciąga dwie butelki whisky. Trzeba oblać założenie kopalni, przywiozłem to dla nas.

— Świetny pomysł. Ej, chłopaki! Przynoście kubki, Herman przywiózł nam prezent.

Podczas gdy zachwyceni gratką tłoczą się wokół mnie, widzę po minie Hermana, że serce go boli gdy musi dzielić się tą świetną whisky z robotnikami. Z zakłopotaną miną podchodzi do mnie Chiche:

— Czy to prawda, jak mi powiedział Herman, że jutro pracujemy?

— Na pewno nie, obiecałem wam dwa dni odpoczynku i będziecie je mieli. Popracujemy tylko trochę przez godzinę, żeby im pokazać.

Wieczór trwa i moi ludzie, szczęśliwi, że mają w perspektywie jeszcze jeden dzień odpoczynku, odprężają się wrzeszcząc. Obie butelki zostają szybko opróżnione, i wyciągam moje guarro z przemytu. Napełniam wszystkie szklanki po brzegi, pod zaintrygowanym spojrzeniem Hermana, który wacha swoją.

— Za kopalnię! Zdrowie!

I wypijam moją szklankę do dna, a za moim przykładem wszyscy pracownicy. Mają przeryk wypalony tym dziewięćdziesięcioprocentowym alkoholem i znoszą go doskonale. Orlando, który umie wypić, jest mimo to zaskoczony, zrobił się cały czerwony i krztusi się pod naszymi ironicznymi spojrzeniami. Herman wziął ostrożnie do ust tylko jeden łyk.

Napełniam szklanki i powtarza się ta sama scena. Po upływie pół godziny Orlando pasuje, pokonany przez zmęczenie i alkohol, i spada z ławy wśród kpin: stracił resztki swojej dumy i wybucha płaczem w pijackim smutku, mamrocząc słowa bez związku; jest żałosny.

Jimmy i Herman zaciągają go do łóżka. Nizaro i Jimmy odstąpili swoje Hermanowi i Orlando, a Pablo został przez chwilę na lodzie: w końcu zgodziło się dwóch ludzi, z lekkim ociąganiem, by jedno mu odstąpić.

* * *

Przed pójściem spać przychodzi do mnie Chita.

— Juan Carlos, odchodzę.

— Dlaczego?

— Nie mogę znieść tych dwóch grubasek, ciągle mi wymyślają, traktują mnie gorzej niż psa.

— Chyba nie pozwolisz, żeby takie dwie golonki weszły ci na głowę? Pogadamy o tym jutro.

Doszły mnie słuchy o kłótniach między Chitą a dwiema obrzydliwymi, ale nigdy nie przywiązywałem do tego wagi. Traktuję to jako kaprys i przestaję o tym myśleć. Nie czuję się dobrze i choć atak choroby nie jest zbyt silny, bolą mnie wszystkie kończyny. Marcella przychodzi zrobić mi masaż: ma łapy jak nogi zapaśnika, i choć jestem mocno zbudowany, jej delikatna kuracja pozostawia mnie na wpół omdlałego. Dom pogrążony jest w ciszy i już mam zasnąć, kiedy rozlega się donośne chrapanie. Nie ruszając się z miejsca wrzeszczę:

— Który dureń robi taki hałas?

— To Pablo — odpowiada Chiche.

— Obudź go, żeby przestał.

Po dziesięciu minutach chrapanie jest jeszcze głośniejsze.

— Chiche, dołóż temu durniowi, bo to źle się skończy.

Słysząc suche trzaśnięcie w twarz, po czym rozlega się okrzyk Pabla wśród wybuchów śmiechu. Po dalszych dziesięciu minutach wszystko zaczyna się od nowa: tym razem tego już za wiele.

— Chiche, White, Cunado, Miguel, Raphael i wszyscy, którzy nie śpią, zatłuczcie tego kretyna i wyrzućcie go na dwór.

Słyszę szarpaninę i stek przekleństw. Przypuszczam, że zepchnęli go z piętrowego łóżka: pod gradem uderzeń Pablo drze się rozpaczliwie.

— Uciszcie go, do cholery, albo wynoście się z tą zabawą na dwór. Na zewnątrz szamotanina trwa dalej przy akompaniamencie wrzasków i śmiechów, więc wyglądam przez okno. Oparty o parapet jestem świadkiem sceny rzadkiej piękności: wszyscy wyszli z domu i spuszcniają nieszczęsnemu księgowemu solidne manto. Czterech trzyma go za ręce i za włosy, podczas gdy pozostali walą gdzie popadnie. Najpierw odbywa się to trochę nieskładnie, bo każdy chce wykazać się gorliwością, ale wkrótce wprowadzają porządek i zaczynają pracować metodycznie: ustawiają się jeden za drugim i czekają grzecznie na swoją kolej, po czym każdy wali go parę razy w łeb i wraca na koniec kolejki. Oczy się zamykają, nos i usta pękają, zdaję sobie sprawę, że zrobili się ostatnio bardzo silni; wkrótce Pablo przestaje krzyczeć. Wyraźnie widać, że nie spodobała się im jego wyniosła postawa i sposób, w jaki z nimi rozmawiał, więc teraz dają mu to poznać, i to z jaką radością!

Herman wyszedł na dwór, próbuje uspokoić ich wrzeszcząc, ale nie ma odwagi podejść. Dostrzega mnie w oknie i woła:

— Juan Carlos, zrób coś, zabiją go!

— Ostrzegałem cię, że są twardzi. Nie sypiają dużo, a Pablo im przeszkadza, nic na to nie poradzę.

Ale ponieważ zaczynam się obawiać, że rzeczywiście mogą go wykończyć, interweniuję:

— Dobra chłopaki, starczy. Idźcie go położyć u Barbaroi i wracajcie spać.

Biorą go za ręce i nogi i biegiem niosą do Barbaroi. Za ledwie otworzyli drzwi, jednym zamachem wrzucają go do środka bez zbędnych ceregieli: przedstawienie skończone, idę spać.

Może się to wydawać trochę dzikie, ale też co za pomysł, żeby tak głośno chrapać? Na śniadanie Pablo się nie pojawia. Marcella przychodzi mi powiedzieć, że zamknął się u Barbaroi i odmawia wyjścia.

— Twarz ma całą fioletową i stracił dwa zęby — mówi śmiejąc się. Miła jest ta gruba. Niczego się nie boi i wszystkie wygłupy ją bawią. Ale nie zapomniałem, po co przyjechali tutaj moi wspólnicy, i prowadzę wszystkich nad rzekę.

Wychodząc znajduję gówno o parę metrów od drzwi. Jaka świnia mogła się tutaj zesrać? Na pewno nie któryś z pracowników, bo nauczyli się szanować swoje otoczenie. Orlando był zbyt pijany i narobił w spodnie, mało jest prawdopodobne, żeby to był Pablo. Domyślam się, że to ta świnia Herman, który przestraszył się węży i nie miał odwagi iść aż do ustępu.

Nad rzeką moi ludzie szybko zajmują stanowiska, ja siadam w fotelu bujanym, a tamte dwa grubasy na pniu drzewa. Po trzech godzinach przerywam pracę, obiecałem ludziom dwa dni odpoczynku i chcę dotrzymać słowa. Poza tym nie mogę znieść widoku tych dwóch, którzy rozsiedli się beczynn timer, to obniża morale grupy. Moi ludzie działają jak zegarki, ale każdy ma swoją godność: to, że siedzę i ich pilnuję, jest rzeczą normalną i powszechnie przyjętą, ale te dwie świnie nie zrobiły niczego, żeby na to zasłużyć, i uważam za poniżające dla moich ludzi, że muszą przed nimi pracować.

Odsyłam wszystkich do domu i podnoszę canoa: pokaz jest udany, a dnie leży jakieś dziesięć gramów. Herman i Orlando nie wierzą własnym oczom,

widzą złoto po raz pierwszy i są podnieceni, oglądają bryłki i porozumiewają się wzrokiem.

Wyjaśniam im, że miejsce jest bogate, i przedstawiam możliwości pracy; z trudem przychodzi im zdać sobie sprawę, że mają pod stopami legendarną żyłę i że trzeba oczyścić miliony ton materiału skalnego. Powoli jednak dociera do nich, jak wielki prezent im zrobiłem, nie posiadają się z radości i w ich oczach zapala się płomień gorączki złota: kiedy wracamy na rancho, wróciła im już duża część poprzedniej pewności siebie, którą utracili.

— Słyszałem, że miałeś problemy z Barbaroją — mówi mi Herman. — Jeśli chcesz, usuniemy go. Wystarczy załatwić fałszywe oskarżenie, zajmę się tym i posadzą go na dwadzieścia albo trzydzieści lat, to łatwe.

— I podłe.

— Nie, nie cierpię tych metod dla tchórzy, walczę uczciwą bronią i nie stosuję nielojalnych środków: poza tym lubię sam płacić swoje rachunki.

Wyczuł moje obrzydzenie i próbuje to nadrobić zmieniając temat.

— Popatrz — mówi, grzebiąc w swoich rzeczach — przygotowałem papiery, które mogą ci pomóc. Dobrze by było, żebyśmy ściśle współpracowali, myślę, że taka kopalnia powinna być prowadzona w sposób uporządkowany, a w tym mogę ci wiele pomóc.

Daje mi plik dokumentów: są to, na kartkach z nadrukiem Malessy, zestawienia godzin pracy, przepisów i innych głupot, podpisanych przez niego. Co ten dureń sobie wyobraża? Nie jesteśmy w jego biurze w San José. Chyba nie sądzi, że wywieszę takie bzdury? I w dodatku podpisane przez Hermana Weinberga, który tutaj jest nikim i nie ma żadnych praw. Rzucam plik na stół.

— Panowie, Herman przywiózł nam sraj–papier, i to ładny, z rysunkami.

Daję mu znak, by poszedł za mną, i idziemy do mojego pokoju.

— A teraz popatrz, co zrobiłem w ten mój nie uporządkowany sposób i bez twoich rad.

I opróżniam skrzynkę na łóżko. Jest oszołomiony widokiem, bierze w palce bryłki jedną po drugiej powtarzając:

— To niemożliwe, to niemożliwe.

Następnie wraca nieco do siebie ze stanu osłupienia, w którym pogrążony był przez kilka cudownych minut, i pyta podniecony:

— Ile tego jest?

— Siedem kilo, grubasku, praca jednego miesiąca.

Nie mówi już nic i podziwia to bogactwo rozłożone na łóżku. Sądzę, że nie ma już wątpliwości co do skuteczności moich działań.

— No dobrze, ja wywiązałem się ze swojej części umowy. Teraz wasza kolej. Co się dzieje z dokumentami i koncesją?

— Nie martw się o to, zajmujemy się tym, potrzeba przecież na to czasu.

— Przestań bredzić! To nie może nam uciec sprzed nosa, nie możemy żałować środków. Kto jest odpowiedzialny za uzyskanie koncesji? Tu jest dosyć, żeby ją kupić. Dajcie mu dziesięć albo dwadzieścia tysięcy dolarów, jeśli trzeba, ale nie traćcie czasu. A propos, co z moim zezwoleniem na pobyt? Załatwiłeś sprawę mojego paszportu?

— Pracujemy nad tym. Są procedury prawne, których nie można uniknąć. Zrobimy cię prezesem towarzystwa bananowego, które mamy w Panamie, żeby ułatwić postępowanie.

— A moje zezwolenie na broń?

— Zajmujemy się tym, ale...

— Po prostu nic nie zrobiliście!

— Ależ Juan Carlos, nie bierz tego w ten sposób! W każdym kraju na świecie, nawet tutaj, bardzo trudno jest zalegalizować broń, która ma spłowany numer fabryczny, są w tej sprawie przepisy.

Wolę nie ciągnąć tej rozmowy, ten facet denerwuje mnie. W tej sytuacji muszę im zaufać.

— Dobra, teraz liczę na was w sprawie maszyn. Niedługo praca ręczna stanie się niemożliwa, bo skała schodzi coraz głębiej, za dużo czasu zajęłoby zrywanie warstwy ziemi. Poza tym nie mogę narzucać ludziom takiego tępa pracy dłużej, niż trzy miesiące, bo załamają się w końcu: potrzebuję zezwolenia na pracę z maszynami jak najprędzej.

— Myślałem już o tym, i mam dla ciebie niespodziankę: zleciłem naszemu najlepszemu mechanikowi opracowanie maszyny, która będzie jednocześnie zasysać i wyrzucać strumień wody. To tajny prototyp, przetestujemy go tutaj, a potem wprowadzimy go do sprzedaży.

Nie palę się zbytnio do tego typu rzeczy. Są w handlu doskonałe pompy ssące, a ja nie przyjechałem tutaj, by się bawić w wynalazcę. No, ale Herman

wydaje się bardzo pewny swego mechanika, który według niego jest najlepszy w Kostaryce...

Ustalamy, że przyśle mi traktor na gąsienicach z zamontowaną łyżką do wybierania wierzchniej warstwy ziemi i żwiru.

Ważymy złoto. Jest tu sześć kilo osiemset pięćdziesiąt trzy gramy w bryłkach. Oddaję mu je i zatrzymuję drobne ziarenka na pokrycie działania kopalni.

Trzymaj to w bezpiecznym miejscu, podzielimy się po moim powrocie w grudniu, po odjęciu kosztów.

W momencie przekazywania mu złota dostrzegam nagle wyraz zwątpienia na jego twarzy, wygląda tak, jakby czegoś nie był pewien. Jestem przekonany, że ta gnida zastanawia się, czy nie zatrzymałem części dla siebie, i wkurza mnie to.

— A teraz posłuchaj mnie. Oddaję ci wszystko bez żadnego dokumentu czy pokwitowania. Więc nie próbuj sztuczek, nie macie wiele do roboty, korzystajcie z tej szansy, jaka wam spada z nieba, ale powtarzam, bez sztuczek.

— Możesz się nie obawiać — odpowiada mi ze swoim szerokim uśmiechem — za bardzo cię potrzebujemy. Tylko ty potrafisz osiągnąć takie wyniki, byłeś fantastyczny.

I dalej znowu wstawia mi swoje wazeliniarskie refreny i komplementy. Jest to zawsze przyjemne, ale w ustach takiego hipokryty naprawdę brzmi zbyt fałszywie.

Następnego dnia odjeżdżają. Pablo pojawił się wreszcie i schodzi pieszo. Herman, któremu pożyczyłem mego konia, robi nam przedstawienie samotnego jeźdźca: stojąc w strzemionach daje nam na pożegnanie szerokie znaki ręką. Jeszcze raz ostrzegłem go przed odjazdem i patrzę jak oddala się zadowolony, ale i zamyślony.

Herman sprawiał wrażenie dobrze poinformowanego o życiu obozu, wiedział już między innymi o sprawie Barbaroi, o bójce w Sierpe i o innych szczegółach, o których wiedzieć nie powinien. Nie jest to ważne, ale przeszkadza mi. Wołam Jimmy'ego.

— Herman zadał ci dużo pytań?

— Nie, praktycznie nie rozmawialiśmy.

Dziękuję się z nim moimi spostrzeżeniami.

— Zapewniam cię, że nic mu nie mówiłem. Wiem, co można, a czego nie należy mówić, i nie mam zwyczaju zdradzać.

Wierzę mu. W takim razie ktoś inny w zespole ma za długi język...

* * *

Muszę teraz ponownie wziąć ludzi w garść. Te dwa dni prawie wakacji i obecność tamtych kretynów miały fatalne skutki dla wydajności pracy. Kiedy dzienna zmiana gotowa jest do wyjścia, podchodzi do mnie Chita.

— Don Juan Carlos, postanowiłem już, odchodzę.

— Jesteś tego pewien?

— Tak, nie mogę już znieść córek Nizara i nie jestem tu lubiany.

Staram się go jakoś przekonać, bo jak dotąd byłem z niego całkowicie zadowolony i lubię go. Ale nikt nie jest niezbędny. Ze względu na jego dobre zachowanie płacę mu, wbrew wcześniejszym ostrzeżeniom.

— I dokąd teraz pójdziesz?

— Do Barbaroi. Znam się teraz trochę na złocie i pomyślałem sobie, że założę z nim spółkę, bo ma doświadczenie.

— Uważaj, jeśli będziesz z nim, będziesz podlegał tym samym zasadom. Nie wolno ci się tu pokazywać ani nad rzeką. Zgoda?

— Zgoda.

Odchodzi.

* * *

Minęły dwa dni i zapomniałem o nim. Jestem nad rzeką i podnoszę canoa, jest pora wieczornego posiłku i odesłałem ludzi na kolację. Przy mnie zostali tylko Jimmy, White, Chiche i Nizaro. Nadzoruję operację, kiedy dostrzegam Chitę, który zbliża się do nas. Jak zwykle ma obnażony tors i w rękę trzyma maczetę.

— Chciałbym z tobą porozmawiać, Juan Carlos.

— Nie masz tu nic do roboty, skurwysynu, spieprzaj!

— Jako pilnujący domu Barbaroi mam prawo...

— Masz prawo zwiewać stąd, i to szybko.

— Myślisz, że się ciebie boję — mówi podnosząc maczetę.

Tu już posunął się za daleko. Wyciągam rewolwer i wskakując na murek celuję w nogę i strzelam. Kula rozrywa mu spodnie na wysokości kolana. Na jego twarzy maluje się osłupienie, potem strach, kiedy dociera do niego, że

właśnie do niego strzeliłem: wypuszcza maczetę i ucieka biegiem, ogarnięty paniką. Potyka się, przewraca, wstaje: jest przerażony. Dosłownie leci w powietrzu, oczekując na drugą kulę, która go zabije, i wreszcie udaje mu się przebiec te czterysta metrów dzielące go od lasu. Kiedy po tym bezładnym biegu znika wśród drzew, z pewnością pobije wszelkie rekordy szybkości.

Przez pięć minut nikt się nie odzywa i praca przebiega w milczeniu. Potem odprężamy się i zaczynają się żarty. Kiedy w godzinę później wracamy do domu, wszyscy oczekują nas z uśmiechem. Widzieli jak Chita, bardzo dumny, wchodził do lasu pomimo przestróg Marcelli, potem usłyszeli strzał i zobaczyli, jak wylatuje z lasu biegnąc jak wariat. Samo opowiadanie o tym rozśmiesza ich do łez. Podobno był cały we krwi w wyniku licznych upadków w czasie panicznej ucieczki przez las.

Po posiłku zauważam, że ludzie są jakby spięci. W końcu wyciągam z nich wyjaśnienie: Chita zagroził, że zatruje wodę i podpali rancho. Widziano, jak przygotowywał pochodnię. Są przestraszeni, dom zbudowany jest z liści i drewna i może spłonąć w ciągu minuty. Wiedzą też, że mam pod łóżkiem skrzynkę dynamitu i niektórzy odmawiają pójścia spać. Moim zdaniem są to tylko pogrożki i przechwałki faceta, który nie chce stracić twarzy, ale choć wątpię by chciał je wprowadzić w czyn, muszę uspokoić ludzi.

Kiedy kieruję się w stronę rancho Barbaroi, z pudełkiem naboji w ręku, stoją na progu domu i obserwują mnie. Strzelam w dach i wzywam Chitę, by wyszedł porozmawiać. Ponieważ nie odpowiada, głośno ostrzegam go, by zapomniał o swych planach zemsty. Następnie, by nadać wagi swoim słowom, siadam dokładnie naprzeciwko i faszuję dom kulami. Zaczynam od drzwi, które rozlatują się od jednego strzału, po czym przenoszę ogień na ściany. W huku wystrzałów każda kula Magnum 357 wyrywa kawałek deski. Kiedy przestaję, pudełko z pięćdziesięcioma nabojami jest puste i cały front domu jest w żalonym stanie. Biedny Chita, mam nadzieję, że miał czas gdzieś się schronić. W całkowitej ciszy mówię ludziom, że mogą iść spać.

* * *

Następnego dnia Chita znika. Nigdzie nie można go znaleźć i sędzę, że w panice postanowił uciec. Zdaje się, że nadeszła chwila porachunków, bo pracujemy od kilku chwil, kiedy Manolito przybiega ostrzec mnie, że właśnie przyszedł Barbaroja z gliniarzem. Rzeczywiście, po paru minutach nadchodzą. Siedząc w fotelu bujanym widzę, jak się zbliżają. Barbaroja wygląda na

pewnego siebie i szerokim gestem pokazuje gliniarzowi rzekę. Tego ostatniego nie znam, to młody facet, około dwudziestu pięciu lat, z twarzą, której usiłuje nadać twardy wyraz, pełen wiary w prestiż swojego munduru.

— Julio Cortes, z brygady w Sierpe — mówi, salutując po wojskowemu.
— Czy Don Juan Carlos?

— Co pan tu robi? Nie mówiono panu, że to posiadłość prywatna? Moja odpowiedź zbija go z tropu. Odchrząkuje i próbuje uzyskać przewagę.

— Przychodzę w sprawie skargi senora Gerarda. Dzieją się tu rzeczy bezprawne, widziałem, w jakim stanie jest dom. Do czasu wydania wyroku przez sąd będę musiał zatrzymać prace.

Wstaję i podchodzę do niego, przewyższam go co najmniej o głowę.

— Co będziesz musiał zatrzymać, pacanie?

Pracownicy przerwali robotę i otaczają nas, roześmiani. Nagle gliniarz czuje się trochę osamotniony i zdaje sobie sprawę, że wymóc przestrzeganie prawa w dżungli to nie to samo, co w mieście: mundur nie wystarcza tutaj, by mieć autorytet. Zaczyna się jąkać:

— No, tak powiedziałem, ale może moglibyśmy porozmawiać o tym spokojnie.

Rzuca nienawistne spojrzenie na Barbaroję, który wciągnął go w tę pułapkę.

— Może tak będzie lepiej, bo jak dalej będziesz za dużo gadał, wsadzę cię do dziury.

Zachwyceni obrotem sprawy pracownicy zaczynają skandować: „*Do dziury! Do dziury!*” Biedny gliniarz rozumie, że całkowicie przestał panować nad sytuacją, i stara się ratować skórę.

— Przepraszam, nie wiedziałem. Ja tylko robię to, co mi każą: może dano mi fałszywe informacje, to on mnie przyprowadził.

Wskazuje na Barbaroję, który widząc, na co się zanosi, cofa się i stara się dyskretnie ulotnić.

— Łapcie go — mówię do ludzi — i przyprowadźcie mi go tutaj!

Zanim zdołał zrobić jeden ruch, Barbaroja schwytyany przez dziesięć rąk, już stoi przede mną, drżąc ze strachu. Odwracam go i wymierzam mu wspaniałego kopa w tyłek. Porwani moim przykładem chłopcy używają sobie i z widoczną przyjemnością prześcigają się w kopniakach. Barbaroja wyrwa

się, zostawia im w rękach strzępy koszuli i ucieka. Ludzie wracają do gliniarza, który czuje, że i dla niego może się to źle skończyć.

— Macie rację — mówi — dobrze zrobiliście, że daliście mu nauczkę: to kłamca, napiszę o tym w swoim raporcie. No dobrze, muszę już iść, droga jest długa.

— Ależ nie, masz czas, posiedź chwilę z nami, odpręż się — mówię, biorąc go za ramię i zmuszając, by usiadł.

Pracownicy zaczynają poszturchiwać go lekko i strącają mu czapkę do wody. Wszyscy mieli do czynienia z prawem i nienawidzą munduru. Poza tym w Kostaryce gliniarze nie mają żadnego przygotowania, bo zmieniają się bez ustanku: są gliniarzami tak jakby byli murarzami, a po paru miesiącach robią co innego. Kilka przyjaznych klepnięć w tył głowy całkowicie pozbawiło go animuszu.

— Don Juan Carlos — mówi do mnie poważnie Cunado, najbardziej zboczony w całym zespole — White i ja uważamy, że ma miłą mordę, chcielibyśmy go wypierdolić, możemy?

To całkiem zabawny pomysł. Gliniarz robi się zielony, a Cunado gładzi go po włosach. Waham się chwilę, zanim odpowiem, żeby się trochę podenerwował.

— Nie, to byłoby nieładnie. Nie trzeba mieć zbyt wielu stosunków z prawem. Zostawcie go już, ma długą drogę przed sobą.

Dosyć już tych żartów, nie chcę, żeby to zaszło za daleko: gliniarz mógłby sobie przypomnieć, że ma broń.

Ściska mi dłoń, przeprasza, dziękuje, jeszcze raz podaje mi rękę i odchodzi szybkim krokiem, szczęśliwy, że udało mu się wymigać tanim kosztem, z przemoczoną czapką w dłoni.

Kiedy wracamy w południe, chłopaki są jeszcze podniecone.

— Prosiaka, prosiaka! — wołają.

Gonią prosiaki, łapią dwa i przyciągają je na sznurkach przywiązanych do nóg. Przychylam się do ogólnego żądania i zabijam jednego, a po chwili namysłu jeszcze drugiego: w końcu to Barbaroja nam stawia.

Wieczorem uczujemy. Oba prosiaki leżą na stole w częściach. Dziękuję, Barbaroja!

Don Nizaro załamał się. Od kilku dni bez przerwy pracuje z catiadorą pod czujnym okiem Nicolasa. Wczoraj wyciągnął bryłkę o wadze osiemdziesięciu dwóch gramów: zaledwie pojawiła się w catiadorze, Nicolas wyrwał mu ją z rąk, żeby mi przynieść: taki brak zaufania na pewno go zmartwił. Dziś rano, kiedy wszyscy zbierali się do wyruszenia nad rzekę, poprosił mnie po długich wahaniach na rozmowę na osobności i w końcu wybuchnął płaczem:

— Nie ufasz mi, Don Juan Carlos, czuję to: a przecież jestem gotów wszystko dla ciebie zrobić.

Staruch płaczący mi w kamizelkę bez żadnej godności irytuje mnie bardziej niż rozczula, jego łzy napawają mnie obrzydzeniem.

— Ależ nie, nie martw się, nie ufam nikomu, tak samo tobie, jak i innym: do roboty, dosyć straciliśmy czasu.

Po dziesięciu minutach znowu pracuje z catiadorą odczuwając ból w krzyżu, i sędzę, że już niedługo sam odejdzie. Biedak, oprócz własnych kłopotów musi być jeszcze nieźle zaniepokojony zdrowiem swoich córek...

Trzeba powiedzieć, że straciłem dla rodziny Nizara wszelką sympatię: ludzie ci dobre serce biorą za słabość. Kiedy moi pracownicy chodzili do Guerra, zatrzymywali się na posiłki u żony Nizara, i rachunek, jaki gruba wystawiła na koniec, okazał się nieco przesadzony. Dzięki mnie budują sobie dom, i zamiast być mi wdzięczni, ciągle zawracają mi głowę. Nie mogę już znieść dwóch obrzydliwych, utyły jeszcze w sposób wręcz nieprzyzwoity, to już staje się wulgarne. Ich otyłość przeszkadza mi i niepokoi, to wygląda na chorobę.

Dlatego postanowiłem, przy współudziale White'a i za pomocą środka przeczyszczającego przyniesionego przez Jimmy'ego z Palmar, zająć się nimi troskliwie. Jest to środek dla zwierząt, a dawki, jakie im serwuję od kilku dni, byłyby odpowiednie dla słonia. Pierwszych kilka razy Jimmy i White dosypali go dyskretnie do ich żarcia, skutki były katastrofalne i sędzę, że przepowiednia Chity wkrótce się spełni. W ciągu paru dni cera obu grubych zmieniła się na zielonkawą.

Zaniepokojony ich niezdrowym wyglądem każdego ranka daję im filiżankę naparu, którego skład pozostawiam waszej domyślności, nadal dyskretnie każę dosypywać lekarstwo do ich jedzenia. Spędzają swój czas w ubikacji: co dziesięć minut jedna albo obie jednocześnie, pchane strumieniami gówna dążącego do wolności, biegną do sracza. Biegną, to pewna przesada,

bo przeszkadzają im ich wielkie dupy i potrafią tylko komicznie kołysać się z boku na bok, z zaciśniętymi pośladkami, starając się iść jak najszybciej: w miarę upływu czasu stają się coraz chudsze — robią postępy. Pracownicy narzekają, że kibiel jest stale zajęty przez jeden z tych dwóch worków gówna, który właśnie się wypróżnia, i komentują, śmiejąc się, ich nagłe starty w kierunku latryny oraz prawdziwe koncerty najróżniejszych dźwięków, jakie stamtąd dobiegają: widok grubej śpieszącej do lub z kibla stał się już częścią krajobrazu.

Z zapadniętymi policzkami i woskową cerą przemieszczają się teraz wydzielając stały odór gówna, zapach całkowicie zgodny z ich zewnętrznym wyglądem. Marcella, która dzieli z nimi pokój, słusznie się skarży, to prawdziwa zaraza. Kiedy na powszechnie prośby zamierzam je wyrzucić, oznajmiają mi swoje odejście, co będzie zresztą trudne, bo praktycznie nie wychodzą z kibla. Wyruszają w końcu, po ostatniej filiżance naparu, z zaciśniętą dupą i wśród kpin. Max towarzyszy im, niezbyt zachwycony. Wraca późno, ze względu na konieczność licznych przystanków w drodze; ale, zauważa, nie sposób już się zgubić: wystarczy iść za smrodem.

Mój zakaz napastowania kobiet w obozowisku oraz powyższa historia spowodowały wzrost akcji La Puty: dowiaduję się bowiem stopniowo o jedynej historii miłosnej w obozowisku.

Nasze cztery konie nazywają się Pingon (Wielki Kutas), Huevon (Wielkie Jajo), Cabron (Sukinsyn) i La Puta (Kurwa).

Ta ostatnia jest jedyną klaczą, to właśnie szkapą, którą sprzedał mi Demesio. Ma bardzo długą grzywę, czarne obwódki oczu i faktycznie przypomina starą dziwkę. Odpowiedzialnym za stan zwierząt jest Barbas, dawny gliniarz z Guacanaste, poszukiwany za gwałt na nieletnich: poza tym, że pierdzi, ma obsesję seksualną. Dawno zauważyłem, że pozostali żartowali sobie z niego, nazywając La Putę jego narzeczoną, ale nie zwracałem na to uwagi.

Całą sprawę wyjawia mi w końcu Marcella. Odkąd La Puta znalazła się w obozie, Barbas rżnie ją regularnie; miałem rację powierzając mu opiekę nad końmi, bo naprawdę je kocha.

Cunado, dawniej pokojowy w burdelu, wpisuje się niebawem na listę kochanków, ku wielkiej radości La Puty, jak sądzę, bo natura obdarzyła go członkiem imponujących rozmiarów: pozostali ochrzcili go Trzy Łapy.

Teraz już co najmniej dziesięciu pracowników rywalizuje o względy klaczy, której najwyraźniej bardzo to odpowiada: biorąc pod uwagę jej podeszły wiek, jest to dla niej całkiem nieoczekiwana okazja. Faceci zorganizowali się i nawet skonstruowali specjalny stółek, żeby stać na odpowiedniej wysokości. White, były alfons, próbował też wejść w spółkę z Barbasem, żeby pobierać opłatę za te chwile odprężenia, ale zrezygnował, kiedy zagrożono mu, że sam zajmie miejsce klaczy.

Bardzo rozbawiła mnie myśl o małych Ticos stojących na stołku w trakcie wściekłego rżnięcia, więc nie interweniuję: ryzyko konfliktów z zazdrości jest tu niewielkie, a jak długo nie ruszają mojego konia...

Poza tym La Puta nie protestuje: moim zdaniem to ona ich poderwała. Wiezorami widzę, jak faceci kierują się w stronę łąki z szerokim uśmiechem na ustach, trzymając w jednej ręce stołek, w drugiej lasso. Rozmawiają o tym otwarciu i o ile Barbas jest dumny z tego, że miał ją pierwszy, to Cunado chwali się, że on jeden doprowadza ją do rżenia.

* * *

Nadal dokonuję moich porannych zbiorów, kopalnia nie szczędzi mi swoich prezentów: czterdziestego drugiego dnia znajduję bryłkę o wadze trzech i pół kilo, kawałek złota wielkości dłoni. Nie wiem, jakie jeszcze czekają mnie niespodzianki, ale jestem pewien, że mam najbogatszą kopalnię w Kostaryce.

Największa bryłka znaleziona na Osa ważyła pięć kilo, nie pobiłem jeszcze rekordu, ale wiem, że gdzieś tutaj, schowane pod moimi stopami, leżą jeszcze większe, i że znajdę je: to tylko kwestia czasu.

Czekam teraz z niecierpliwością na nadejście maszyn, ożywiony nie tylko pragnieniem zwiększenia wydajności, ale także poznania możliwości kopalni i wielkości, jaką osiągną znajdowane bryłki.

* * *

Cztery dni temu Jimmy wyruszył z czterema ludźmi do Palmar, aby przejąć skidder, rodzaj ciągnika gąsienicowego z łyżką z przodu, który został tam przewieziony ciężarówką przez mechanika. Z Palmar pojedą nową drogą, budowaną w dżungli przez rząd z Piedras Blancas do Rincon. Na razie jest to tylko błotnista droga długości trzydziestu kilometrów, trochę szersza niż inne, ale traktor pomyślany jest do transportu drewna w lesie i powinien przejechać

dzięki gąsienicom. Później, z Rincon do Vanegas, droga jest łatwa, bo teren jest płaski i wykarczowany. Prawdziwe trudności zaczną się, kiedy ekipa dotrze do odcinka Vanegas — Rancho Quemado. Szlak stanowi tam jedynie wąska ścieżka wijąca się wzdłuż górskich grzbietów; nie jechał tam nigdy żaden pojazd mechaniczny. Traktor będzie musiał sam torować sobie drogę. Faceci zabrali ze sobą łopaty i łomy, a mechanik ma przywieźć piły mechaniczne.

Jest noc, kiedy Jimmy wraca, twarz ma zmęczoną i jest cały ubłocony.

— Co, Jimmy, gdzie ciągnik?

— Zarył się w błocie przy przeprawie przez rzekę akurat naprzeciwko Demesia, pięć kilometrów stąd. Od rana próbujemy go wyciągnąć, ale woda zalewa silnik, i nie może ruszyć ani do przodu, ani do tyłu.

— Dobra, odpocznij, zajmiemy się tym jutro, wszyscy razem. Zostawiłeś kogoś do pilnowania?

— Tak, wszyscy pozostali na miejscu, ale chcieliby, by ich ktoś zmienił, nie spaliśmy dużo przez ostatnie noce.

— OK, Eduardo, Raphael, Ramon, bierzcie koce i idźcie spać przy traktorze. Przyślijcie tamtych do domu. Weźcie to na wypadek, gdyby wam było zimno — mówię, podając im butelkę guarro.

Kiedy się oddalają, Jimmy opowiada mi przebieg wyprawy.

— Było łatwo, w ciągu jednego dnia dotarliśmy do Vanegas. Ale potem zrobiło się strasznie ciężko. Przejazd z Vanegas tutaj zajął nam trzy dni, bez jedzenia, prawie bez snu. Musieliśmy ścinać drzewa, przenosić pnie, zasypywać doły, wariacka robota. Poza tym skidder ma zbyt małą moc, żeby pokonywać ostre wzniesienia, musieliśmy niektóre objeżdżać. Wszystko jakoś się udało, ale tym razem naprawdę się zablokował.

Następnego dnia wszyscy się zbierają, rozdają narzędzia.

— Jimmy, każ osiodłać trzy konie i przywiąż La Putę do swojego, po drodze zamienimy ją u Demesia.

Posłałem mu już list, żeby przypomnieć, że zobowiązał się ją wymienić, ale dotąd się nie pokazał. Po usłyszeniu tej zapowiedzi chłopaki naradzają się, po czym Barbas, Cunado i Max przychodzą do mnie:

— Don Juan Carols, naprawdę chcesz oddać La Putę?

— Tak, jest za stara i nie może nic nosić.

— Ale my ją lubimy, jeśli ją zatrzymasz, to zobowiązujemy się sami nosić więcej rzeczy, jak będziemy wracać z Guerra.

Ach, potęga miłości!

— Zgoda — mówię śmiejąc się — powiemy Demesowi, żeby nam dał innego albo żeby zamienił na klacz.

Moje romantyczne usposobienie nie pozwala mi przerwać tego uczucia.

* * *

W godzinę później docieramy do skiddera. Widok robi wrażenie. Musieli wybrać najgorsze miejsce i ciągnik prawie zakryty jest błotem. Jest to maszyna produkcji rosyjskiej, imponujący potwór przystosowany do przewożenia drewna w śniegu. Zastanawiam się, skąd się mógł tutaj wziąć. Przypomina czołg bez wieżyczki: dwie ogromne gaśienice, na których zamocowana jest platforma z wyciągarką; z jednej strony okratowana kabina, a na samym przodzie szeroka łyżka do oczyszczania drogi. Platforma załadowana jest towarami: worki cementu do wykończenia domu, dwa kanistry benzyny i mnóstwo najróżniejszych drobiazgów; pośrodku dziwaczna kupa złomu: tłoków, pasów i rur pozespawywanych, całość pomalowana na żółto: czyżby Herman przysłał nam nowoczesną rzeźbę do dekoracji rancha?

— A to co ma być? — nie mogę się powstrzymać i pytam mechanika.

— To właśnie maszyna — odpowiada z dumą.

Przyglądam się temu bliżej: poza dwoma kołami po bokach, niczego nie potrafię rozpoznać. Całość przywodzi na myśl potworny rezultat skrzyżowania kombajna zbożowego z najnowszym modelem otwieracza do konserw.

— I to działa?

Mechanik wygląda na urażonego moim sceptycyzmem.

— To ja ją wynalazłem i skonstruowałem.

A więc to on jest słynnym mechanikiem, najlepszym w całej Kostaryce. Miejmy nadzieję, że jest lepszym wynalazcą niż kierowca, ale na razie trzeba wyciągnąć ciągnik z tego bagna, musi wyjechać na tylnym biegu. Kilku ludzi rozładowuje platformę, podczas gdy inni tną gałęzie i pnie drzew, które podkładamy pod gaśienice. Następnie znoszą pale i wbijają je mocno w ziemię, aby przymocować do nich łańcuchy od przyciągarek.

Kiedy wszystko jest gotowe, mechanik siada do kabiny i włącza silnik. Wspomagany łańcuchami i gałęziami skidder cofa się o metr po kilku

próbach. Następnie trzeba przerwać i zmienić umocowanie łańcuchów, przenieść bale drzewne i zacząć od nowa. Traktor jest dziesięć razy za ciężki: bale pod gaśnienicami zamieniają się w wióry. Po pięciu godzinach ciągnik jest wolny. Posłałem ludzi na rancho, żeby przynieśli kawę. Robimy przerwę gdy spostrzegam, że całej operacji przygląda się jeden z synów Demesia, naszego nieuczciwego handlarza końmi. Wołam go.

— Powiedz ojcu, żeby tu przyszedł. Mamy parę spraw do załatwienia.

— Ojca nie ma — odpowiada chłopak z uśmiechem. — Pojechał do Jimenez dwa dni temu i wraca za tydzień.

— To nieprawda — mówi Cunado. — widziałem go rano jak niosłem kawę, schował się za domem i patrzył, jak przechodzimy.

— Dobra, skoro nie chce z nami współpracować, to obsłużymy się sami. Wołam Jimmy'ego.

— Chcesz zrobić sobie przyjemność? Weź White'a i Chiche i jedźcie konno do Demesia. Wybierzcie tam najładniejszego konia i przyprowadźcie go, czas wyrównać rachunki. Tylko bez rozróby, jesteś odpowiedzialny.

Zachwyceni gratką wszyscy trzej odjeżdżają galopem. Każę rzucić dziesięć pni drzewnych w dół rzeki, gdzie błoto nie jest takie głębokie, i tym razem skidder przejeżdża rzekę bez przeszkód. Jesteśmy gotowi do odjazdu, kiedy wracają nasi jeźdźcy, uśmiechnięci, a każdy trzyma za uzdę nowego konia.

— Dobrze poszło?

— Najpierw podjechaliśmy dyskretnie, żeby z dala obserwować, gdzie są konie. Ale nic nie było widać, więc w końcu mieliśmy dość i galopem pojechaliśmy na podwórze. Były trzy konie; nie wiedzieliśmy, którego wybrać, więc wzięliśmy wszystkie. Zostawiliśmy tylko jakąś starą szkapę, pewnie matkę La Puty.

— Doskonale. Żadnej reakcji?

— Jak przyjechaliśmy na podwórze, byli tylko synowie i sąsiad, próbowali ukryć konie. Jak je zabraliśmy, Demesio wyszedł z domu z rewolwerem za pasem. Krzyczał, że nie ukradniemy mu ich, i groził, że będzie strzelał, ale nic się nie stało. Natomiast powiedział, że zabrania ci przychodzić do niego i że jeśli się tam pokażesz, to źle się to skończy.

— Dobrze, złożymy mu grzecznościową wizytę — mówię do ludzi, którzy przysłuchują się opowieści. — Przeprowadzimy nawet drogę przez jego teren, będzie krócej do Quebrada del Frances. Naprzód!

* * *

Skidder rusza. Wszyscy włączają na niego, poza Innocente i Danielem, którzy nigdy nie widzieli takiej maszyny i są przerażeni. Na płaskim terenie ciągnik zachowuje się wspaniale, wrywa wszystko na swojej drodze: korzenie, kopce ziemi, i szybko jesteśmy w pobliżu domu Demesia. Pierwszy płot rozlatuje się i skidder zatrzymuje się pośrodku podwórza. Widok jest imponujący: siedzę w kabinie; z tyłu na platformie siedzi dwudziestu roześmianych pracowników; koło nas galopuje eskorta sześciu jeźdźców. Gotów do reakcji, gdyby Demesio miał złe zamiary, wrzeszczę:

— Demesio, wychodź, chcę z tobą mówić.

Ponieważ nikt nie odpowiada, sądzę, że ukrył się w jakiejś dziurze.

— Jazda, dalej — mówię do mechanika.

— Którędy?

— Prosto, tędy przebiega nowa droga.

Rozwalamy stodołę, kurnik pada pod gąsienicami wśród gdakania drobiu. Potem przychodzi kolej na kilka budynków pomocniczych, niepotrzebnych i nieestetycznych.

Korci mnie dom, ale zostaje uratowany przez dwóch chłopców, których przerażone twarze dostrzegam w oknie.

Kiedy odwracam się po rozniesieniu w proch drugiego płotu, stwierdzam z zadowoleniem, że dzięki moim zabiegom cywilizacja zmieniła oblicze tego kraju; postęp dotarł nareszcie do zagrody Demesia.

* * *

W tym nastroju cywilizacyjnej euforii dojeżdżamy do obozu, niszcząc wszystko na swojej drodze. Dostrzegam kurnik Barbaroi. Do czego może służyć kurnik bez kur? Parę minut później nie szpeci już krajobrazu.

— Dom! Dom! — krzyczą podnieceni pracownicy.

Nie waham się długo. Odkąd Chiche, bardzo zadowolony ze swego dowcipu, poszedł nasrać do butów Barbaroi i naszczał mu do łóżka, używam tego domu jako osobistej ubikacji, i zaczyna tam być brudno. Ale polityka spychacza nudzi mnie już trochę, trzeba to trochę urozmaicić: wspomagany

przez Chiche, który uwielbia dynamit, przywiązuję dwanaście lasek do głównego słupa i zakładam siedmiominutowy lont; pracownicy schronili się na rancho i patrzą przez okna. W hałasie przypominającym koniec świata dom Barbaroi wylatuje w powietrze: dach wlatuje pod niebo, podczas gdy ściany rozsypują się po okolicy; dom otworzył się jak kielich kwiatu nad ranem i kiedy dym rozwiewa się, leży tam już tylko mała kupka słomy i desek. Podkładam w odpowiednie miejsce zapalną i ogień uwalnia nas raz na zawsze od sąsiedztwa Barbaroi.

Nareszcie mamy dobry widok i czuję się lepiej; nigdy nie lubiłem natłoku podmiejskich domków. Tylko szopa Barbaroi znajduje uznanie w moich oczach, bo zawiera stos desek, które odtąd należą do mnie. Upewniam się, że już nic nie zostało do oczyszczenia, i prawie żałuję, że nie ma już obu grubych. Myśl o szopie kusi mnie troszeczkę, ale wyniesienie wszystkich desek zaprzepaściłoby spontaniczność naszej zabawy; trudno, trochę powagi, znajdę sobie inne rozrywki.

* * *

Po południu wypróbujemy skidder: moc tej nowej zabawki pociąga mnie, ciągnik przenosi wiele ton skał w dziesięć minut, ale w jedenastej spada zeń gąsienica. Mechanik jest zaskoczony.

— To się nigdy nie zdarza — mówi zawstydzony. — Na logikę to nie ma prawa się zdarzyć.

— Tutaj, stary, logika jest inna. To nie jest zwykły plac budowy, to Osa.

Po godzinie awaria jest naprawiona, ale w pięć minut później druga gąsienica idzie w ślady pierwszej. W jakiś czas potem łamie się tłok mechanicznej łyżki, co już zupełnie pogrąża naszego mechanika. Nie wiem, gdzie wytrzasnęli tego rupiecia, ale naprawdę nie można polegać na tych bałwanach. Zaczynam się zastanawiać, czy podłożyć pod maszynę dynamit, zrzucić ją do jaru czy może kazać ją zjeść kawałek po kawałku temu mechanikowi, kiedy nadchodzi jakiś facet twierdzący, że mieszka w Vanegas, i wręcza mi list. To wiadomość od Hermana Weinberga, jest w Vanegas z Urebą. Do tej miejscowości jechali landrowerem po śladach skiddera, ale boją się jechać dalej, bo już jedną noc spędzili zaryci w błocie. Są unieruchomieni i grzecznie proszą, żeby im przysłać konie.

Chętnie bym ich zostawił tam, gdzie są, ale tak czy inaczej dzień roboczy diabli wzięli, więc równie dobrze można pojechać po nich: Herman będzie miał okazję poznać przydatność swego sprzętu.

— Jimmy, osiodłaj cztery konie. Jedziemy po Hermana i Urebę do Vanegas. Miguel, weź płaszcz przeciwdeszczowy, jedziesz z nami.

Pozostawiam obóz pod opieką Chiche i piętnaście minut później jesteśmy w drodze do Vanegas. Dzięki przejazdowi skiddera można już na całej trasie nie zsiadać z koni. Galopujemy cały czas, ale jest już ciemna noc kiedy docieramy do pulperii w Vanegas, gdzie przy kuflu piwa siedzą obaj grubi.

Herman, jak zwykle, ma rewolwer u boku, Ureba zaś nadał sobie groźny wygląd i zatknął za pas nóż, który ledwo widać zza wielkiego brzucha.

— Cieszę się, że cię widzę — mówi Herman — mam w samochodzie koce, możemy tu spać bez problemów.

— Kto ci mówi o spaniu? Przyprowadziłem konie dla wszystkich: wsiadajcie, Miguel pójdzie za nami pieszo.

Apure patrzy na mnie wytrzeszczając oczy.

— Ależ to szaleństwo — mówi — przecież nic nie widać. To niebezpieczne, tu są węże, można zabłądzić i ...

— Słuchaj, grubasie, nie mam zamiaru pozostawiać kopalni bez nadzoru; jeśli chcesz jechać, to teraz. Jak nie, to możesz czekać w Vanegas na powrót Hermana.

— Nie, nie, jadę! Ale jak ja to zrobię, nigdy nie jechałem konno! Nie bój się, po prostu siadasz na konia i on cię już prowadzi. Chcesz, żeby cię przywiązać?

Po paru piwach wyjeżdżamy. Konie są zmęczone po całodziennym galopie i idą powoli. Ureba, którego ciężar wykańcza konia, szybko zostaje z tyłu, daleko, pomimo jego protestów. Słysząc, jak krzyczy:

— Zaczekajcie! Poczekajcie na mnie, bądźcie kolegami, zgubię się. Poczekajcie no!

Jego skargi brzmią komicznie w ciemnościach, pomału odległość zwiększa się i zatrzymujemy się, żeby na niego poczekać. Kiedy do nas dojeżdża, jest zielony ze strachu, szczeka zębami i nie mówi już słowa.

Docieramy w pobliże domu Demesia, i zauważam, że panuje tam żywienie. Około dziesięciu ludzi krząta się wokół ogniska, na środku podwórza. Demesio produkuje alkohol na przemyt i od czasu do czasu ludzie

z wioski Rancho Quemado przychodzą do niego się napić. Są już zdrowo pijani i niektórzy leżą na ziemi.

Widok ognia, który wydaje się wydobywać z dżungli, oraz wrzeszczących i zataczających się ludzi robi dosyć duże wrażenie; Herman i Ureba, którym opowiedziałem o moich zatargach z Demesiem, czują się nieswojo. Kiedy Ticos są trzeźwi, mają łagodny charakter; ale pijani są zdolni do wszystkiego. Demesio mógł ich podburzyć po moim ostatnim przejeździe. Ureba wzdraga się przed przejechaniem koło nich, grozę mu, że go tu zostawię, więc w końcu jedzie z nami; zresztą nie mamy wyboru, to jedyna droga.

Wjeżdżam w krąg światła z rewolwerem w rękę; Herman, którego ręka lekko drży, również wyciągnął broń. Z naszym pojawieniem się zapada cisza, ale nikt nie reaguje, przejeżdżamy przez farmę bez przeszkód. Znikamy już w ciemności, gdy słyszymy pierwszy krzyk facetów, którzy zdążyli ochłonąć z osłupienia; dopóki będą tylko krzyczeć...

* * *

Jemy wszyscy śniadanie koło dziewiątej. Herman i Ureba, wycieńczeni nocnym wysiłkiem, poprosili, żeby mogli pospać trochę dłużej, a nie chcę, żeby moi ludzie pracowali podczas gdy inni odpoczywają. Korzystam z tego, by przyrzadzić na swój sposób zabite rano dwa białe króliki Barbaroi.

Mamy właśnie wyruszyć nad rzekę, gdy na drodze pojawia się grupa około dwudziestu ludzi, idących w naszą stronę.

— Widzę faceta w ciemnych okularach — mówi Jimmy. — To Barbaroja.

— Dobrze, idź po broń do schowka i rozdaj ją właścicielom. Powiedz im, żeby nic nie robili bez mojego rozkazu.

Pracownicy przyszli do mnie praktycznie wszyscy uzbrojeni. Ze względów bezpieczeństwa, zakazałem posiadania broni na terenie obozu, wszystko zostało złożone do schowka w lesie. Od czasu pierwszych odwiedzin policji kazałem też wybudować specjalną skrytkę, wodoszczelną i zamaskowaną — tylko trzech spośród nas wie, gdzie się znajduje — na trawkę i kokainę.

W pewnej odległości nowo przybyli zatrzymali się i wygląda, że się naradzają. Kiedy ruszają ponownie, dostrzegam dwa mundury, pozostali są w cywilu. Nikt nie mówi słowa, kiedy zbliżają się. Rozpoznaję Villanuevę,

porucznika — komendanta posterunku w Jimenez, któremu regularnie płacę, a za nim jego zastępcę, który brał udział w moim aresztowaniu w Cerro de Oro. Obok Barbaroi idzie facet z miasta, dobrze ubrany. Z tyłu postępuje piętnastka facetów, to ludzie z półwyspu, o zakazanych mordach. Gabino wskazuje mi czterech członków rodziny Vargas, o której już słyszałem. To czterej bracia, kumple Barbaroi i podobnego pokroju ludzie; działają wspólnie, kiedy trzeba rozwiązać jakiś problem przy użyciu siły. Nazwałem ich Braćmi Dalton. Wszyscy są uzbrojeni, mają groźne miny i gotowi są do akcji.

Villanueva podchodzi do mnie i przedstawia się po wojskowemu, udając, że mnie nie zna:

— Dzień dobry panom, jestem porucznik Villanueva, moim zadaniem jest pilnowanie porządku na półwyspie. Który to Don Juan Carlos?

Podejmuję jego grę.

— To ja.

— Dobrze, jestem tutaj na prośbę senora Gerardo. Czy moglibyśmy porozmawiać na osobności?

Podczas gdy faceci schodzą z koni, prowadzę Villanuewę do kuchni. Kiedy tylko znikamy tamtym z oczu, traci swój sztywny sposób bycia i ponownie staje się przyjazny i uniżony. Szybko wyjaśnia mi sprawę.

— Przykro mi, Barbaroja złożył dziesiątki oficjalnych skarg, trzeba powiedzieć, że miałeś ciężką rękę. Przyszedłem osobiście, żeby mieć kontrolę nad wydarzeniami i pomóc ci. Barbaroja jest przerażony i nie chce już tu mieszkać, wynajął adwokata, to ten mały, który mu towarzyszy; przyszli tu pertraktować i poprosili swoich kumpli, żeby ich osłaniali. Ja sam mam bronić tego skurwiela Barbaroi, a przede wszystkim utrzymać spokój. Mimo wszystko uważaj na tych facetów, ale się nie bój, będziemy mieli tych skurwysynów.

Wygląda na to, że naprawdę zależy mu na comiesięcznej kopercie.

Kiedy wracamy, atmosfera jest napięta. Przybysze zgromadzeni są przy wejściu, pilnowani przez moich ludzi, którzy nie spuszczają z nich oka. Wyjaśniani Hermanowi sytuację w paru słowach, po czym mówię do Barbaroi i jego adwokata, żeby przyszli pogadać do mojego pokoju. W chwili, kiedy wchodzimy do pokoju, rozgrywa się komiczna scenka.

Herman prosi mnie, żebym nie zostawiał go samego z Barbaroją, a ten odmawia wejścia, jeśli porucznik nie będzie nam towarzyszył; dobrała się

grupka odważnych mężczyzn! Gwałtowność moich pierwszych reakcji przeraziła go i przysłuchuje się naszej dyskusji w milczeniu. Na początku nic nie mówię, pozostawiając Hermanowi i jego adwokatowi, jako ludziom od papierów, wynegocjowanie porozumienia. Doradca Barbaroi nabrał pewności siebie, to facet z San José, ma posiadłość na Osa, młody dureń świeżo po szkole, który wierzy jeszcze w prawo. Jest zapewne jedynym uczciwym człowiekiem w kraju, przynajmniej na razie. Mówi stanowczym tonem:

— Tego, co pan zrobił, nie da się nazwać. Jest pan w demokratycznym kraju i fakt, że jest pan cudzoziemcem nie zwalnia pana od obowiązku przestrzegania prawa.

Jest zdecydowanym szowinistą i rozpoczyna gwałtowną diatribę przeciwko gringos i przemocy, jaką praktykują, opowiada o szkodliwym wpływie Europejczyków.

Widok tego, co zostało z domu Barbaroi, oraz stanu jego hodowli, ograniczającej się teraz do jednej krowy i jednego kurczaka, który jest zbyt nieufny, wprowadził go w osłupienie i rozwścieczył.

— Dlaczego ośmielił się pan spalić dom?

— Bo mi przeszkadzał i spodziewałem się, że senor Barbaroja mi go sprzeda. Ponieważ jestem jedynym możliwym kupcem, uznałem się za przyszłego właściciela tego terenu i oczyściłem go.

— A rzeczy osobiste mojego klienta, jego meble?

— Co do tego, to zapewniam pana, że nikt ich nie ruszał, wszystko jest tam gdzie było — mówię, wskazując na kupę popiołu leżącą w miejscu, gdzie stał dom Barbaroi.

Moja ironia zbija go z tropu i złości, choć nie ośmiela się zbytnio wściekać.

Villanueva wtrąca się, żeby go uspokoić.

— Trzeba zrozumieć Don Juana Carlosa, nie jest tutejszy i nie zna wszystkich przepisów prawnych naszego kraju, trzeba wziąć pod uwagę to, że pochodzi z innego kontynentu, gdzie zwyczaje są inne.

Adwokat w końcu rozumie, że pozostaje mu tylko próbować załatwić jakoś sprawę i ratować to, co się jeszcze da.

Żąda dwóch milionów colonów za teren Barbaroi. Herman, szczęśliwy, że dyskusja schodzi na mniej niebezpieczne tory, jest prawie gotów się

zgodzić. Proponuję dwieście tysięcy colonów i pozostaję nieugięty: kopalnia prawnie do mnie należy i nie może stanowić przedmiotu żadnej transakcji.

— Jeśli dobrze zrozumiałem — mówi adwokat — ziemia ta jest bardzo bogata, więc cena nie wydaje się wygórowana.

— Och, pan się myli! Kto mówi o kupnie kopalni, skoro jestem jedynym właścicielem? Barbaroja nigdy nie eksploatował podziemnych złóż, nigdy przedtem nie było tu kopalni, transakcja ta nie ma nic wspólnego z nią: chodzi jedynie o kupno ziemi, na której wybudowałem swój dom. Teren ten wynająłem od Barbaroi na mocy wzajemnego porozumienia; jeśli chce go sprzedać, proponuję mu dwieście tysięcy colonów i ani grosza więcej, to dziesięć razy tyle, ile jest wart.

Dyskusja trwa, ale pozostaję nieugięty. Od czasu do czasu rzucam okiem na Barbaroję, który natychmiast pochyla głowę, najwyraźniej pragnąc znaleźć się gdzie indziej.

Kiedy wstaję, żeby rozprostować nogi, Barbaroja podskakuje i nagle zdaje sobie sprawę, do jakiego stopnia jest przerażony. Nie wygląda dobrze, od ostatniego razu bardzo schudł, kłopoty nie służą mu.

W sąsiednim pokoju atmosfera jest bardzo napięta: dwie grupy obserwują się w milczeniu, oczekując na wynik naszych rokowań. Ureba siedzi na łóżku i ogryza paznokcie aż do krwi, z lękiem zadając sobie pytanie, po co wpakował się w tę historię i jak to się skończy. Za każdym moim pojawieniem się zarzuca mnie pytaniami i zawraca mi głowę swoimi tchórzliwymi radami; przeżywa zapewne najtrudniejsze chwile swego życia i zapomniał nawet o jedzeniu. Jest już bowiem najwyższy czas, żeby coś zjeść, i kazałem przynieść oba króliki do pokoju, w którym trwa dyskusja; zaprosiłem Urebę, żeby do nas dołączył.

— Nie jestem głodny — mówi mi — jestem zbyt zdenerwowany. Nie poddawaj się, wszystko będzie dobrze. Mnie się raczej wydaje, że w każdej chwili może wybuchnąć strzelanina. To mi odbiera apetyt.

— Szkoda, przejdą ci koło nosa najlepsze króliki, jakie kiedykolwiek porządzono na Osa.

— Chyba nie podasz Barbaroi jego własnych królików?

— Oczywiście, że tak! Zdaje się, że bardzo je lubi, niech skorzysta ostatni raz.

Przez ten czas w świetlicy obie grupy zasiadły do stołu naprzeciwko siebie: każdy szybko połyka, pilnując spod oka faceta po drugiej stronie, po czym wszyscy wracają na swoje miejsca.

Około jedenastej wieczór osiągamy porozumienie, inaczej mówiąc adwokat w końcu ustępuje: kupujemy teren za dwieście tysięcy colonów, płatnych w kilku ratach miesięcznych.

Ponieważ nie ma jeszcze dokumentów spółki, teren kupiony jest na nazwisko Hermana Weinberga, nie podoba mi się to, ale nie ma innego wyjścia.

Barbaroja jest zadowolony i odczuwa ulgę, była to jego ostatnia próba i nie spodziewał się aż takiego wyniku: zdawał sobie sprawę, że kantował i przegrał.

Noc już zapadła, więc proponuję adwokatowi, który zrezygnował już ze swej wyniosłej postawy i zachowuje się przyzwoicie, by spędził tutaj noc. Odmawia jednak, najpierw pod pretekstem nawału pracy, ale w końcu wyznaje mi prawdziwą przyczynę:

— Rozumiesz — mówi z zażenowaniem — przy twojej reputacji musiałem się zabezpieczyć. Uprzedziłem moją rodzinę i przyjaciół, że jeśli nie wrócę do wieczora, mają zawiadomić policję i przyjść tu po mnie. Nie gniewaj się, nie miej mi tego za złe, ale nie wiedziałem, jak jest naprawdę, a Barbaroja wyglądał na tak przerażonego! Wszyscy boją się przyjść do Quebrada del Frances.

Odchodzi w otoczeniu swojej eskorty i kumpli Barbaroi, ku rozczarowaniu moich pracowników, którzy już byli gotowi stoczyć regularną bitwę. Barbaroja idzie spać do swojej szopy, pod jedyny dach, jaki mu pozostał. Dwaj gliniarze zbierają się, by mu towarzyszyć, więc proponuję im, by zostali na noc na rancho.

— Dziękujemy, Don Juan Carlos, ale musimy towarzyszyć seniorowi Gerardo.

Przechodzi parę metrów, po czym zawraca i przyznaje:

— Nie, żebym nie wolał twojej gościny, ale muszę ochraniać Barbaroję, zapłacił nam za to.

No, ten to naprawdę je z każdej ręki!

Rano Barbaroja próbuje zebrać resztę swego dobytku. Wiele mu nie zostało: wszystkie jego prosiaki zostały zabite, łącznie siedemnaście, jego króliki i praktycznie wszystkie kury też poszły do garnka. Jedyne zwierzęta, które ocalały, to te, które uratował ich szósty zmysł i które wybrały życie na wolności w bananowym gaju. Pozostała tylko mleczna krowa; uwiązuje ją do swego konia, po czym wyrusza na poszukiwanie ocalałych zwierząt. Obaj gliniarze czekają na niego przy rzeczach, podchodzę, by z nimi pogadać. W czasie rozmowy przyglądam się krowie; ma sympatyczną mordę, i myślę o męce, jaka ją czeka, o długim trudnym zejściu do Vanegas. Lituję się więc nad nią i bez uprzedzenia pakuję jej kulę między rogi: przebiega ją dreszcz i pada. Obaj gliniarze patrzą osłupiali, po czym wybuchają śmiechem. Kiwam na moich pracowników.

— Poćwiartujcie mi to szybko.

Pięciu roześmianych facetów rzuca się na nią z maczetami i obdziera ze skóry w kilka minut. W tym momencie z bananowego gaju wyłania się Barbaroja, trzymając w ręku koguta. Widok stanowi dla niego mały szok: nic już nie ma na końcu sznurka, który zwisa z jego konia, a pięciu facetów pastwi się nad jego krową, jego piękną mleczną krową, mocnymi cięciami maczet, z rękami zakrwawionymi po łokcie, jeden ciągnie za ogon, drugi za nogę, a wszystko wśród wesołych pokrzykiwań. To naprawdę ciężki cios, widzieć krowę, która dawała mu mleko każdego ranka od lat, krajaną na kawałki przez tych krwiożerczych wariatów. Zwraca się do gliniarzy, którzy znów mają poważne miny, i prosi o pomoc. Villanueva podchodzi, na jego twarzy widzę wysiłek, jaki robi, żeby zachować powagę, kładzie mu rękę na ramieniu i zaczyna uroczystym głosem:

— Don Gerardo...

Po czym wybucha śmiechem, nie potrafiąc się już dłużej powstrzymać. Skręcając się ze śmiechu usiłuje wybelkotać jakieś przeprosiny, ale na próżno. Śmiech wzmagą się, a Chiche dyskretnie podchodzi i przywiązuje głowę krowy do ogona konia Barbaroi. Ten ostatni, zupełnie już pokonany, osłania swojego ostatniego kurczaka ściskając go w objęciach, wsiada na konia i oddala się, nie odpowiadając na zaproszenie na obiad. Obaj gliniarze, ciągle się zaśmiewając, idą za nim; patrzę jak odjeżdża i myślę sobie, że już najwyższy czas, by opuścił to miejsce: byłbym w końcu zjadł mu konia na kolację.

* * *

Następnego dnia wszyscy idziemy nad rzekę, by wypróbować maszynę, jestem ciekaw zobaczyć, jak działa to żelastwo. Choć jestem nadal nastawiony sceptycznie, jej możliwości opisane przez mechanika wydają mi się cudowne, a ponieważ nie mam zdolności manualnych, jestem raczej skłonny wierzyć technikom: jeśli się okaże, że to działa, będzie można robić na trzy zmiany dziennie.

Kiedy dochodzimy do rzeki, Herman wygłasza przemówienie:

— Przyjaciele, od dzisiaj koniec z pracą ręczną. Przywiozłem wam postęp. Dzięki tej maszynie, opracowanej przez Jose i jedynej w swoim rodzaju, wasza praca będzie ułatwiona i dużo lżejsza.

Jest cały podniecony i rysuje mi wielkie perspektywy, jakie widzi po wprowadzeniu tego wynalazku do produkcji. Pracownicy z entuzjazmem znoszą maszynę na dół, wśród śmiechów i krzyków. Nie obywa się bez trudności, bo urządzenie nie jest dostosowane do takiego terenu.

Kiedy Jose uruchamia maszynę, wszyscy patrzą z zainteresowaniem. Z jednej strony gruba rura ma zasysać wodę i materiał nośny, by wrzucać go do canoa, z drugiej dwie cieńsze rury zakończone są dwoma pistoletami, przez które woda ma pod ciśnieniem kawałkować grunt i ułatwiać pracę łomów. Na pierwszy rzut oka jest to sprytnie pomyślane. Ale po dwugodzinnych wysiłkach maszyna prawie opróżniła dziurę z wody, wrzucając trzy kamyki do canoa; natomiast co do dwóch żalonych strumyczków, ciekących z rurek, to nie widzę, do czego mogłyby być przydatne, chyba że do umycia uszu.

Herman i Jose krzątają się cali spoceni wśród kpin pracowników, którzy stracili już wszelkie złudzenia. Jedyna w swoim rodzaju to ta maszyna jest na pewno! Co za kretyni ci poszukiwacze złota — amatorzy!

Herman usiłuje zachować twarz.

— Działa — stwierdza z nieszczerym uśmiechem, starając się przekrzyczeć hałas silnika. — Myślisz, że dasz sobie radę?

— Tak, oczywiście, zwłaszcza ucieszy się Marcella mając wodę pod ciśnieniem do zmywania naczyń.

Nagle pompa zacina się sama z siebie z głośnym zgrzytem maltretowanego metalu, moim zdaniem zdaje sobie sprawę z własnej bezużyteczności. Pracownicy ryczą ze śmiechu, otwarcie poszturchują

Hermana i proponują mu, żeby odbył staż w dziurze, zanim zacznie się bawić w inżyniera. Uspokajam ich:

— Panowie, mogliście podziwiać cuda cywilizacji, a teraz wyrzucicie mi to świństwo stąd.

— Masz jakiś pomysł, co z tym zrobić? — pyta Herman.

— Tak! Chłopaki, wyrzucicie mi to gówno do jakiejś głębokiej dziury, bo szpeci krajobraz.

Ciągnąc, tocząc i niosąc maszynę doprowadzają ją na brzeg urwiska nad starym korytem rzeki, na dnie którego rozwala się po nieudanym próbnym locie.

Dwie minuty później ludzie są już w dziurze i ostro pracują, żeby nadrobić stracony czas; Eduardo podaje Hermanowi łopatę, ale ten udaje, że tego nie widzi; mechanik oplakuje swoje stracone złudzenia stojąc w wodzie po pas, z łomem w ręku, pilnowany przez White'a, który uczy go zasad działania maszyny prostej, jaką jest dźwignia łokcia.

W południe Herman, któremu pokazałem, w jakim stanie jest skidder, czuje się załamany i chce wracać tego samego dnia do San José. Przechodzę do spraw poważnych:

— No dobra, co z dokumentami?

— Sprawa jest na dobrej drodze. Jeśli chcesz, przywiozę ci je za tydzień albo dwa, i będziesz mógł je podpisać.

— Nie, nie, za kilka tygodni będzie Boże Narodzenie i chcę wrócić San José, zajmę się tym na miejscu. Wolę żebyście tutaj nie przyjeżdżali, to rozwala porządek dnia, tracimy czas i pieniądze. ? Propos, ile kosztowało całe to żelastwo?

— Piętnaście tysięcy dolarów za skidder, dziesięć za pompę. — To niemożliwe! Dwadzieścia pięć tysięcy dolarów wyrzuciliście na śmietnik, dosyć już tych idiotyzmów! Wypruwam tutaj z siebie flaki żeby wydostać forszę, że kopalnia jest bogata to nie znaczy, że wszystko trzeba marnować kumulując błędy. Nie zajmujcie się więcej sprawami wydobywania, dosyć już napsuliście do tej pory. Całe szczęście, że kopalnia dalej produkuje! Masz, popatrz tutaj. Podaję mu trzy- i półkilogramową bryłkę. Bierze ją, chwilę patrzy nie rozumiejąc, odwraca, obraca ją parokrotnie w dłoniach. Kiedy wreszcie dociera do niego, co trzyma w ręku, wydobywa z siebie ryk radości i

tańczy dookoła pokoju całując bryłkę i ściskając ją w ramionach. Zaczynam się obawiać, czy nie przeżył zbyt mocnego szoku.

— Ją też mi dajesz? — pyta, kiedy wreszcie się trochę uspokoił.

— Oczywiście, nic z nią tu nie mogę zrobić, trzeba ją zabezpieczyć w San José.

Znowu zaczyna tańczyć, biega po całym pokoju; już mam mu przyłożyć na uspokojenie, ale dochodzi do siebie. Waży ją, po czym wyciąga dwie duże książki i mówi mi, znów pełen entuzjazmu:

— Wiesz, myślę że to wielka rzecz, zbyt wielka. Trzeba podjąć środki ostrożności, żeby nie rozpełtały się emocje; wystąpienie o koncesję już zwróciło na nas uwagę, i boję się innych odgałęzień rodziny Caracas, które też są bardzo potężne. Proponuję, żebyśmy prowadzili dwie księgowości: jedną dla nas dwóch, z prawdziwymi danymi, która będzie tajna; drugą, w której będzie się zawyżało wydatki i zmniejszało produkcję, przeznaczoną dla różnych ciekawskich, bo dookoła pełno jest szpiegów. Co o tym myślisz?

— Jak chcesz. Ty lepiej znasz te szczury. Rzeczywiście, ładna rodzinka, odkąd poznałem synów, zastanawiam się, jaki musiał być ojciec; rób jak uważasz, ale przede wszystkim posłuchaj mnie: podpiszę ci wszystkie strony twojego zeszytu z góry, a ty więcej się tu nie pokazuj: zajmij się papierkami i bardzo cię proszę, nie przyjeżdżaj już tu bawić się w kowboja.

Odjeżdża urażony, nie spodobał mu się sposób, w jaki potraktowano jego mechanika i jego maszyny, a także jego osobiście. Zaufanemu człowiekowi potężnej rodziny Caracas trudno przychodzi przełknąć to, że jeden z jego dawnych pracowników otwarcie kpi sobie z niego. Ureba odjeżdża z ulgą: węże, dżungla i wczorajsze wydarzenia to dla niego za wiele, wygląda, że nawet schudł.

* * *

Zbliża się Boże Narodzenie i wszystko idzie dobrze. W ciągu trzech miesięcy wiele zmian zaszło zarówno wśród ludzi, jak i w samym obozowisku.

Wszędzie panuje wielka czystość, całkowicie wybetonowany i dobrze przewietrzony dom jest doskonale utrzymany. Pracownicy urządzili się jak u siebie, wielu z nich nigdy nie zaznało takich luksusów, są nawet tacy, którzy nigdy nie mieli dachu nad głową; w porównaniu z innymi zabudowaniami na Osa, jest to prawdziwy pałac. Chłopaki z własnej inicjatywy zdejmują buty

przed wejściem do wewnątrz, sypialnia jest zawsze czysta, wmyta i wypastowana. To ich miejsce, wchodzę tam tylko wówczas, kiedy mnie zapraszają, kiedy nie są zbyt zmęczeni organizują tam swoje małe święta. Grają w karty o swoje zarobki, niektórzy przegrali już ponad dwie trzecie pensji w trakcie partii pokera, które ciągnę czasem z nimi przez całą noc. Zezwalam na alkohol, ale wszyscy wiedzą, że kac nie usprawiedliwia gorszej pracy... Chłopcy sami wykazują inicjatywę w utrzymaniu domu: pomału wytępione zostały owady, a kiedy kolumna termitów zabiera się za jakąś ścianę, nie muszę nawet interweniować, sami dają sobie z nią radę. Bezpośrednie otoczenie domu zostało gruntownie oczyszczone, dżungla odparta i niebezpieczeństwo węży wydatnie się zmniejszyło: Ściany nasze bowiem zdobią wysuszone skóry stu dwudziestu dwóch gadów, a oprócz nich także innych zabitych zwierząt: cała kolekcja obejmuje wszystko, od małą do boa, i świetlica zaczyna wyglądać jak pawilon myśliwski.

Praca przebiega teraz w bardziej odprężonej atmosferze, choć ilość godzin nie uległa zmianie i warunki są nadal równie ciężkie. Każdy złapał swój rytm i przestałem się do tego wtrącać; jeśli przerywają na dwie minuty, żeby odetchnąć albo się wysuszać, szybko sami z siebie wracają na stanowisko.

Nastąpiła pora sucha, jest bardzo gorąco i wejście do dziury przestało być nieprzyjemne. Ludzie wiedzą ponadto, że po Bożym Narodzeniu warunki polepszą się i że ci, którzy wytrzymali te trzy wariackie miesiące i wrócą, otrzymają uprzywilejowane stanowiska. Nadal strzelam nad głowami, z przyzwyczajenia, ale nie dostrzegam już charakterystycznego wyrazu twarzy faceta, który zamierza coś ukraść; pracują nie myśląc już o złocie, to znaczy bez pazerności, automatycznie. Mogę sobie pozwolić na chwile nieobecności.

Któregoś dnia, kiedy tak się oddalam, słyszę nagle okrzyki radości unoszące się znad rzeki. Kiedy wracam, wszyscy pracują z szerokim uśmiechem i obserwują mnie spod oka.

— Gdzie jest złoto — pytam, domyślając się przyczyny ich radości.

— Tutaj — odpowiadają, wskazując palcami na urwisko.

Ze ściany oderwało się kilka kamieni, odsłaniając brzeg ogromnej bryły złota. Wszyscy ją zobaczyli, nikt jej nie ruszył, poczekali, aż przyjdę i sam ją wezmę.

Korzystam z takich chwil wytchnienia, by objeżdżać moja posiadłość na koniu: w planie mam urządzenie lądowiska dla samolotów.

Mam też przyjemność gościć u siebie inspektora gospodarki leśnej. Za pierwszym razem wyjaśnia mi, że nie miałem prawa ścinać ani jednego drzewa, ani karczować bez pisemnego zezwolenia, ale zgadza się przymknąć oczy na to, co już się stało. Za drugim razem zastaje dżunglę o pięćdziesiąt metrów dalej, niż poprzednio, i doznaje szoku na widok rozmiarów nieszczęścia; trzeba tu dodać, że mam dwóch pracowników prowadzących na stałe mały tartak. Obiecuję mu, że to się nie powtórzy, bo boję się, że serce mu nie wytrzyma. Za trzecim razem woli rozmawiać o czym innym, udając, że nie widzi setek naciętych desek. Kiedy ścięte zostaje z hałasem ogromne drzewo, zapewne stuletnie, patrzy w inną stronę, i dalej rozmawiamy o ekologii. Oczywiście nie łudzę się, że przekonałem go do moich niszczycielskich skłonności, ale rancho jest w promieniu paru kilometrów jedynym miejscem, gdzie można wygodnie spać, i te drobne ustępstwa pozwalają mu uniknąć spędzenia nocy w dżungli.

Zawsze lubiłem zmieniać wszystko wokół siebie. W ciągu tych tygodni spędzonych w bujanym fotelu krajobraz wydatnie się poprawił: wszystko w tej zielonej dolinie rosło w sposób chaotyczny i archaiczny, moje żarliwe pragnienie zmian przekształciło ją w uporządkowaną pustynię z kamieni i błota. Jest teraz czyściej, przypomina to pejzaż na Księżycu; zamierzam jednak zasiać tu trawę.

Moi chłopcy nie skarżą się. Mają poczucie całkowitej bezkarności. Naruszali już prawo, ale nigdy tak otwarcie; tutaj mogą swobodnie palić i mieć wszystkich w dupie. Podbój dżungli, nasze zatargi z sąsiadami, stałe napięcie, wszystko to wytworzyło doskonałą zespołową solidarność.

Teraz są to mocni faceci, przenoszący bez wysiłku kamienie, których dawniej nie ruszyliby z miejsca. Przyzwyczaili się do wystrzałów, deszczu, błota, ciągłej pracy, wszystkiego, oprócz dynamitu. Za każdym razem kiedy zapalam lont, następuje bezładna ucieczka.

Któregoś dnia Chiche zrobił dla mnie imitację laski dynamitu, kawałek drewna zapakowany w brązowy papier z prawdziwym lontem. Bez uprzedzenia wrzuciłem go zapalonego do sypialni rano po zabawie, kiedy jakoś ciężko im było wstać. W dwie sekundy pokój był pusty, niektórzy wyskoczyli przez okna, inni, wspinając się po piętrowych łózkach,

przeskoczyli między dachem a ścianami, bardzo niewielu pomyślało o drzwiach.

Mamy szczęście, że nie ma ciężko rannych: agregat prądotwórczy ma już na swoim koncie trzy łuki brwiowe i komplet przednich zębów, ale nic więcej, i dzięki Bogu, bo nie mamy apteczki. Miguel, który przebił sobie stopę łomem, leczył się alkoholem z przemytu; częste z początku ataki malarii leczyliśmy aspiryną i w końcu ustąpiły.

Tylko brat Barbasa, Ramon, zasłużył na trochę opieki: wbijając gwóźdź spowodował odgięcie się ściany i spadł mu prosto na głowę trzymetrowy głośnik. Ramon przewrócił się z otwartą czaszką, wstał z wywróconymi białkami oczu i definitywnie stracił przytomność. Kazałem przenieść go do łóżka. Uznałem go za skazanego z powodu wylewu krwi do mózgu, a mieliśmy tylko aspirynę, by go leczyć. Komentarze, najpierw pełne współczucia, szybko przekształciły się w żarty: w miarę jak Ramon bladł coraz bardziej, każdy przypominał sobie, że był jego najlepszym przyjacielem i domagał się jego pensji; Barbas krzyczał najgłośniej i jako jego brat wygrał sprawę, pozostali natychmiast przerwali się na zakłady dotyczące szans przeżycia, a potem godziny śmierci.

Była to długa noc czuwania. Nigdy przedtem Ramon nie był przedmiotem takiego zainteresowania: co chwila ktoś szedł sprawdzić jego stan; niektórzy twierdzili, że umarł i trzeba było poszukiwać bardzo słabych oznak życia; w miarę upływu czasu spadały na niego obelgi przegrywających; pilnowałem, aby nikt nie oszukiwał. Ramon przebudził się następnego dnia w południe i miał już wówczas sporo rogów. Przyznałem mu prawo do jednego popołudnia wypoczynku.

* * *

Mieliśmy przyjemność odwiedzin grupy antyterrorystycznej podczas wizyty Ronalda Reagana w Kostaryce. Szliśmy właśnie nad rzekę, kiedy koło dwudziestu gliniarzy w panterkach wyskoczyło z zarośli i otoczyło rancho. Historia się powtarza, ale zauważyłem, że od czasu Cerro de Oro zrobiłem postępy, bo tym razem było ich dwukrotnie więcej.

Napięcie dosyć szybko opadło, kiedy zdali sobie sprawę, że mają do czynienia jedynie z niegroźnym obozowiskiem poszukiwaczy złota, ich dowódca wyjaśnił mi powód swego przybycia: używanie dynamitu i przesadne opowieści ludzi z Osa, którzy opisali nas jako obóz partyzantów

dysponujących bronią ciężką; słuchy o tym doszły aż do uszu ministra bezpieczeństwa, którego wizyta Reagana wpędziła w paranoję.

Oficer wyjaśnia mi, że stoją gotowe do startu helikoptery pełne wojska na wypadek, gdyby pierwszy rzut został wybity.

Później miałem się dowiedzieć od Ureby, że radio zapowiedziało wielką operację mającą na celu likwidację obozu terrorystów; zmobilizowano do tego celu połowę sił zbrojnych na południu. Trzeba jednak powiedzieć, biorąc pod uwagę, jak zmęczeni dotarli na miejsce, wyczerpani niesieniem ciężkiego ekwipunku bojowego, że w starciu z prawdziwymi partyzantami nie wytrzymałoby długo.

Przy tej okazji dowiedziałem się, że złożono na nas niewiarygodną ilość skarg.

— Myślę, że jest w tym dużo przesady — mówi mi oficer — ale są skargi na kradzieże, przemoc, usiłowanie zabójstwa i gwałt.

— Gwałt? Oprócz La Puty naprawdę nie widzę, kto by tu jeszcze mógł być przerżnięty!

— La Puty?

— Tak, dyżurna kobyła. Ale wątpię, żeby złożyła skargę, poza tym jest pełnoletnia.

Po sprawdzeniu okazuje się, że facet oskarżający nas o zgwałcenie jego żony nie był żonaty... Oficer zdaje sobie sprawę z bezpodstawności oskarżeń i rozumie, że jesteśmy spokojnym towarzystwem: zapraszam cały oddział na kolację i spijam ich guarro z przemytu. Na noc Chiche zaprasza ich do dawnego składziku Barbaroi. Odkąd przestał być używany, budynek ten został przejęty w posiadanie przez tysiące pcheł i nad ranem cała dwudziestka gliniarzy siedzi w rzece i pierze ubrania, a ich ciała są czerwone od ukąszeń, ku wielkiej radości moich ludzi. Odeszli tak jak przyszli, nie zrobili nawet rewizji na rancho.

* * *

Dzisiaj ostatni dzień pracy. Kończymy najtrudniejszą część, jestem naprawdę zadowolony z wyników osiągniętych w ciągu tych trzech miesięcy: świetny zespół, wygodne obozowisko, a przede wszystkim bardzo obiecująca kopalnia. Wydobyliśmy siedemnaście kilogramów złota pracując łopatami i łomami, przy czym oczyściliśmy tylko czterdzieści metrów sześciennych złotonośnego gruntu: to sukces przechodzący wszelkie oczekiwania.

Wraz z mającym wkrótce nastąpić wprowadzeniem maszyn przewiduję wyniki nieproporcjonalnie większe. Czuję się jak potencjalny miliarder. Wiem jednak, że nic nie jest przesądzone, moi współnicy z łatwością mogą mnie oszukać, a niestety, potrzebuję ich. Miejmy nadzieję, że nie będą na tyle głupi, żeby zabijać kurę znoszącą złote jaja. Ale i tak później, kiedy już wszystko będzie dobrze zorganizowane, będę musiał się pilnować.

Smutno mi, że musimy przerwać robotę, ale w okresie Bożego Narodzenia w tym kraju nikt nie pracuje. Nadchodzi pora wypłaty: większość pracowników wie, że zarobek ich zmniejszył się o połowę w wyniku długów, jakie zaciągnęli wobec spółki, są to albo długi z hazardu, albo za zakupy, jakie Jimmy robił będąc w mieście. Ku ogólnemu zaskoczeniu wypłacam każdemu wszystko, plus premię; to normalne, wytrzymali i lubię ich. W ciągu tych trzech miesięcy zmienili się nie do poznania: White, były alfons, leń i złodziej, pracował po raz pierwszy w życiu; Eduardo, zawodowy garownik, nigdy przedtem nie spędził tak długiego okresu na wolności; Chiche, były doliniarz, nawet nie chce już patrzeć na złoto; Ramon, wiejski playboy, stracił wszystkie zęby przednie i połowę włosów z jednego boku; Jimmy, były sługus, jest szanowany przez pracowników. Barbas twardziel, Cunado Trzy Łapy, Miguel Indianin, wszyscy żegnają się ze mną zapowiadając powrót po Bożym Narodzeniu. Trzy miesiące wcześniej nikt nie potrafiłby tego przewidzieć. Pochowali swoje rzeczy osobiste do schowków, które porobili sobie w sypialni.

Radzę im spędzić święta Bożego Narodzenia na południu. Ich nowa sytuacja życiowa nie powinna im pozwolić zapomnieć, że większość jest poszukiwana. Sam zostaję jeszcze parę dni, oczekując na przybycie dwóch gliniarzy, obiecanych mi przez porucznika Villanuewę do pilnowania kopalni podczas mojej nieobecności. Nie obawiam się by ktoś przyszedł podkradać mi złoto, bo postarałem się o spowodowanie obsunięcia części urwiska w miejscu, gdzie znajduje się dziura, co wystarczy do odstraszenia amatorów. Bardziej się boję, by moi przyjaciele i sąsiedzi nie skorzystali z okazji i nie obrabowali i zniszczyli obozowiska. Porucznik przysłała nam swego własnego syna, w towarzystwie innego gliniarza. Po sporządzeniu inwentarza i wytłumaczeniu im wszystkiego, schodzę do Guerra z Jimmy'm i Marcellą. Nicolas jedzie do San José. Zatelefonował do René prosząc o przygotowanie dla nas super zabawy, na którą dobrze zasłużyliśmy po trzech miesiącach w

dżungli: mam sześć kilogramów złota i jestem zdecydowany przepuścić z tego sporą część.

Kiedy przyjeżdżam do Palmar, René czeka na mnie w domu swego przyjaciela. Przywiózł wszystko, o co go prosiłem: pięciu członków orkiestry Mariachi przyjechało ciężarówką i są gotowi do rozpoczęcia zabawy; on sam przyleciał samolotem wraz z trzema protegowanymi mamy. Przywiózł też kokainę, jedzenie i skrzynkę francuskiego szampana. Tego właśnie mi potrzeba: w mieście spotkałem paru moich chłopców spitych podłym alkoholem i w objęciach miejscowych prostytutek, ale mnie potrzeba czegoś bardziej wyrafinowanego. Jeden z kuzynów Omara zostawił mi do dyspozycji swój dom, zamknę się w nim na dwa dni, aby smakować te wszystkie rozkosze, których dotąd mi było brak.

Urządziłem się w największym pokoju wraz z moimi trzema przyjaciółkami. Jest wśród nich moja towarzyszka jednej nocy, wydają się cieszyć z ponownego spotkania, i ja też. Mają na sobie swoje najładniejsze nocne koszulki i pachną francuskimi perfumami, co w tym kraju jest wielką rzadkością.

Pięciu muzyków znajduje się w sąsiednim pokoju, oddzielnym od mojego zasłoną: mają za zadanie grać bez przerwy, dopóki trwać będzie zabawa. Mają do swojej dyspozycji kokainę, żarcie, alkohol, a nawet miejscową prostytutkę, żeby lepiej wytrzymać na posterunku. Moje trzy świeżutkie dziewczynki nie noszą jeszcze żadnych znamion grzechu, zabawiają się z całą niewinnością, luksus dookoła oszałamia je, a pomysł z muzykami bardzo im się podoba. Co do grajków, to na początku nastawieni byli entuzjastycznie, ale teraz grają na zmianę. René, który ma pieczę nad całą zabawą, nie zapomniał o niczym, przewidział nawet dużą wannę pełną ciepłej wody.

Początkowo wydaje mi się, że będę bez przerwy pławił się w rozkoszy, ale podobnie jak repertuar muzyków nie jest niewyczerpany, ludzka wytrzymałość ma swoje granice. Kiedy po raz setny rozpoczynają ochryplym głosem „*La cucaracha ya no puede caminar*”, rytm ich marakasów jest już niestety dużo wolniejszy, podobnie zresztą jak moich. Podczas gdy René zajmuje się sprzątaniami i naprawą szkód, jadę taksówką do San José w towarzystwie moich trzech turkaweczek, i droga wydaje mi się krótsza niż zwykle.

* * *

Zaraz po przyjeździe idę do Hermana, żeby mieć to za sobą. Konieczność oglądania jego parszywej mordy, kiedy przez dwa dni napawałem wzrok pięknnością, nie jest zbyt przyjemna, i wchodząc do jego gabinetu jestem raczej w złym humorze. Jak zwykle Herman jest uprzedzająco grzeczny i uśmiechnięty: właściwie wolę go oglądać tutaj. W koszuli i krawacie bardziej pasuje do tego otoczenia.

— Juan Carlos, witamy w cywilizacji! Wszystko w porządku?

— Tak, oczywiście.

Opowiadam mu o przebiegu ostatnich tygodni i historię najścia gliniarzy.

— Słyszałem o tym w radiu, ale było za późno, żeby interweniować. I pomyśleć, że chcieliśmy zachować dyskrecję, teraz kłapa, trudno już zachować to w tajemnicy.

— Tak czy inaczej, chyba już czas, żeby przestać działać anonimowo i zareklamować spółkę, nie sądzisz?

— Tak. ? propos, trzeba zająć się księgowością: słyszałem, że zapłaciłeś pracownikom więcej, niż to było ustalone, to jest sprzeczne z wszelkimi zasadami ekonomii.

— W dupie mam ekonomię. A jak wy wyglądacie z tymi waszymi kretyńskimi zakupami? Zarobiliście i tak dość, żeby nie musieć odmawiać małego prezentu dla facetów, którzy nie szczydzili dla was sił. Jak będzie trzeba, to pokryję te koszty z mojego udziału w złocie.

— ? propos złota, jak wydobycie?

— Dobrze, jak zawsze.

— To świetnie.

— Dużo tego jest?

— Około sześciu kilo.

— To fantastyczne, są też bryłki?

Nie śmie spytać wprost, widzę jak się waha; ale nie ułatwiam mu zadania, i w końcu się decyduje.

— Ale gdzie jest to złoto?

— Mam je.

— Nie przyniosłeś go?

— Nie, to mój udział, zatrzymuję je.

Ależ Juan Carlos, nie możesz tak postąpić. W spółce nie można decydować indywidualnie, wszystko musi przejść przez księgowość, radę nadzorczą itd.

— O, daj już spokój, co ty gadasz? Co ty mi tu opowiadasz o spółce? Dałem wam prezent, dostaliście więcej niż wam się należało. Wziąłem sobie sześć kilo, to mniej niż mój udział. W kasie zostaje cztery kilo na ewentualne koszty. Więc daj spokój z tymi historiami, byłem właścicielem dziesiątków spółek i wiem, jak to się robi. A propos, gdzie są dokumenty, o których już tyle razy mówiliśmy?

— Pracujemy nad nimi, to kwestia dni.

— Kpicie sobie chyba ze mnie! Od trzech miesięcy karmicie mnie pustymi obietnicami. Wydobywam dla was złoto, a wy żyjecie z niego, nie dając nic w zamian: fajna spółka, mogłem zamiast z wami założyć ją z pierwszym lepszym zamiataczem ulic. Wydaliście forszę na jakieś idiotyzmy, ale nie zrobiliście nic z tego, o co was prosiłem: dziękuję za taką ochronę! Jesteście do niczego.

Mam dość i wstaję, zanim nie będę mógł się powstrzymać i dołożę mu. Kiedy przechodzę przez warsztaty, dogania mnie.

— Ależ nie, nie bierz tego w ten sposób. Twoje dokumenty są praktycznie gotowe. Nie gniewaj się, nasza praca nie zawsze jest łatwa.

— A co, może moja jest łatwa?

— Słuchaj, nie ma sensu się denerwować — mówi do mnie z szerokim uśmiechem. — Zapomnij o tym wszystkim i odpręż się. Zapraszam cię do domu w pierwszy dzień świąt, moja żona chciałaby cię poznać. Już jej tyle o tobie naopowiadałem...

Mam to naprawdę w dupie, ale tak nalega, że w końcu z grzeczności przyjmuję zaproszenie. Można żyć w dżungli i zachować dobre maniery.

Kiedy wychodzę na ulicę, zastanawiam się, dokąd iść. Miejskie atrakcje nie pociągają mnie; kasyno mnie nudzi i znam już wszystkie kurwy w San José. Zastanawiam się przez dłuższy czas, po czym postanawiam uraczyć się tym, co najlepsze, i idę zamieszkać u René.

Nie będę wchodzić w szczegóły przyjemności tych paru dni, które, pomimo mocno przyprawionej kuchni rozbawionej mamy, osłabiły mnie zarówno fizycznie, jak i finansowo. Ale dobrze było mi w tej rodzinnej

atmosferze, gdzie mogłem poznać pozostałe protegowane. Nie ruszałem się stamtąd przez dziesięć dni, wyszedłem tylko raz na kolację u Hermana.

Przedstawił mi swoją żonę, trzydziestopięcioletnią wygłodniałą cipę, która nie spuściła wzroku z moich jaj przez cały wieczór. Pod wpływem afrodyzjaku, jakim jest kokaina, zaczęła nawet dotykać mnie nogą pod stołem, ale zrobiło mi się niedobrze na wyobrażenie tego, o czym zapewne myślała, i szybko wyszedłem do moich niewiniątek. Biedaczka — właściwie trudno mieć do niej pretensje, mając takiego impotentą za męża musi już mieć niezłe zmarszczki na tyłku.

* * *

Po tych paru bajkowych dniach postanawiam zabrać się do interesów. Nie zapomniałem o kopalni i rychłym powrocie na Osa. Liczę na to, że niedługo otrzymam zezwolenie na wprowadzenie maszyn. Będzie można rozpocząć prace na serio: zamierzam za pomocą dobrej ładowarki i olbrzymiej canoa przesiewać po parę ton dziennie. Ale nie będę już działał tymi wariackimi metodami, z pilnowaniem przez całą dobę: najtrudniejsze za nami i mam zamiar kontynuować wydobywanie w sposób bardziej zrelaksowany, nie zmniejszając jednak wydajności. Do tego potrzebuję więcej zaufanych ludzi, z których każdy mógłby prowadzić zespół. Myślę o Larsie, starym Duńczyku spotkanym Punta Burrica, i postanawiam sprowadzić go tutaj. Zostawiam złoto kasie w pancерnej banku w San José i jadę do Golfito. Tutaj wynajmuję jakiegoś Tico, żeby mnie przewiózł łodzią do Penas Blancas.

Łódź jest stara i zbutwiała, ale silnik działa sprawnie. Cały dzień zajęła nam przeprawa, w końcu docieramy w pobliże domu Larsa. Jest 1 stycznia 1983. Mam trudności z przekonaniem mojego Tico, by dobił do brzegu, bo z powodu bardzo silnego przyboju całe to wybrzeże jest nadzwyczaj niebezpieczne. Wiele łodzi rozbiło się tutaj, jak ta z Pulperii, a wody aż kipią od rekinów. Zapewniam go, że wiele razy przybijałem tutaj bez problemów, co trochę mija się z prawdą, i w końcu godzi się i dobija do brzegu po mistrzowsku.

Lars zauważył nasze przybycie i cieszy się ze spotkania. Wybudował sobie nowy dom na wzgórzu nad plażą i zaprasza mnie na kawę, aby spokojnie porozmawiać. Idziemy do niego i kiedy tłumaczę mu, o co chodzi, pomysł podoba mu się od razu. To pustelnicze życie sprzykrzyło mu się już i ma dość wegetacji bez pieniędzy. Wyznaje mi, że jego marzeniem jest opuścić

ten kontynent i pojechać do Australii. Chciałby zapewnić synowi wykształcenie, lepsze niż to, jakie można zdobyć w Kostaryce, i potrzebuje pieniędzy. Rozmawiamy tak od godziny, kiedy od strony plaży słysząc krzyki i wołanie o pomoc. Z wysokości wzgórza widać, że nastąpił przypływ i fale dosięgły łodzi, porwały ją i rzuciły na skały. Wiosła, silnik i bak z paliwem zostały rozbite na kawałki. Biedny rybak uczepiony burty stara się utrzymać swoją łódź, ale jest już półprzytomny od potężnych uderzeń fal. Z trudnością powstrzymuję napad śmiechu, i sędzę, że gdyby nie było ze mną Larsa, usiadłbym sobie, żeby obejrzeć przedstawienie, nawet gdyby miało to mnie kosztować cztery dni drogi powrotnej pieszo. Taką już mam naturę, katastrofy zawsze mnie rozśmieszały. Kiedy wreszcie udaje się nam wyciągnąć łódź poza zasięg fal, nie przypomina już tego, czym była. Jest pełna wody i ma mnóstwo dziur. Z przodu zrobił się wielki otwór, a na bokach widać długie pęknięcia, szerokie na parę centymetrów. Lars uważa, że nie da się już tego naprawić, ale nie mam ochoty wracać piechotą. Przybijamy deski na dziury i uszczelniamy szmatami. Burty są tak zbutwiałe, że w niektórych miejscach wystarczy nacisnąć gwóźdź palcem, żeby wszedł. Spędzamy noc u Larsa, bo nie ma mowy, żeby łodzią w tym stanie przedrzeć się przez przybój po ciemku. Lars, przekonany, że łajba rozleci się pod uderzeniem pierwszej fali, próbuje mnie przekonać, żebym zrezygnował.

* * *

Następnego dnia zawijam wszystkie moje rzeczy w torbę plastikową, na wszelki wypadek, i spychamy łódź na wodę pod sceptycznym spojrzeniem Larsa. Z trudnością zapalamy silnik i pokonujemy pierwsze fale wśród głośnego trzeszczenia burt, ale jakoś przechodzimy. Sądząc, że niebezpieczeństwo już minęło, wstaję, żeby pomachać Larsowi zwycięsko, kiedy rybak krzyczy głośno, wskazując rosnącą za moimi plecami ogromną falę. Masy wody spadają na nas i wypełniają łódź. Wybieram wodę ile sił w rękach i powoli wychodzimy z niebezpiecznej strefy.

Nasza łupinka jest w oplakanym stanie, ale wytrzymała. Każę wziąć kurs na Jimenez, bo chcę wpaść do Quebrada del Frances, by rzucić okiem na obóz: chcę się upewnić, że wszystko w porządku. Silnik źle zniósł kąpiel w słonej wodzie i często gaśnie; jest to nieprzyjemne, bo za każdym razem, kiedy dziób nie wznosi się już nad falami podczas pracy silnika, przez otwór

wlewa się woda. Trzeba wybierać wodę, a jednocześnie czyścić świece albo gaźnik. Za każdym razem Tico truje mi nad uchem, narzekając.

Dwieście metrów od brzegu w Jimenez silnik gaśnie jeszcze raz, zabieram się do wybierania wody, kiedy tamten znowu zaczyna narzekać. Denerwuje mnie to, bo za cenę, jakiej sobie zażyczył, można by niemalże kupić nową łódź. Wstaję i biorę torbę plastikową z moimi rzeczami.

— Umiesz pływać, kretynie?

— Tak, trochę — odpowiada, patrząc na mnie zaintrygowany. — Dlaczego?

— Bo zaraz ci się to przyda.

I nie dając mu czasu do namysłu skaczę do wody. Płynąc stylem grzbietowym w kierunku brzegu widzę, jak wygraża mi, wykrzykując przekleństwa i usiłuje gorączkowo wybierać wodę, dłubiąc coś jednocześnie przy silniku. Kiedy dopływam do brzegu, łódź nie rusza się z miejsca i powoli zanurza się coraz głębiej.

Po godzinie marszu jestem w Jimenez i zabieram się do poszukiwania jedynej w miasteczku taksówki. Jest pora sucha i sądzę, że landrower zawiezie mnie dosyć daleko, zanim zaryje się na dobre; wystarczy jechać po śladach skiddera.

Kierowca taksówki nie zna drogi, co jest zrozumiałe.

— To dalej niż do Vanegas? — pyta.

— Trochę dalej, ale niewiele. Ależ tam nie ma drogi!

— Jest, jest, zupełnie nowa, w doskonałym stanie. Jeśli chcesz, sam oprowadzę. Znam każdy kąt.

Moja pewność siebie w końcu przekonuje go. On też żąda zupełnie wariackiej ceny, płacę mu, ale wiem, że tak dobrze się to dla niego nie skończy: ma gładkie opony i jeździ bez akumulatora, w sam raz na dżunglę! I rzeczywiście, pięć kilometrów za Vanegas, jadąc koleinami traktora, zbyt wolno przeprowia się przez błotniste zagłębienie i grzęźnie aż po drzwiczki; wóz jest zablokowany, i to na dobre. Pomimo moich rad kierowca upiera się przy próbach wydostania i grzęźnie coraz bardziej: patrzę jak powoli znika w błocie. Kiedy przegrzany silnik zatrzymuje się, w samochodzie jest około dwudziestu centymetrów błotnistej wody. Zapada noc i ruszam na piechotę przez las. Natychmiast dogania mnie kierowca.

— Ej, chyba nie zostawisz mnie tutaj?

— Owszem, a co?

— Boję się tutaj zostać sam w nocy, tu są tygrysy, węże!

— W takim razie chodź ze mną — odpowiadam, oddalając się. — To tylko cztery godziny drogi.

Rzuca ostatnie spojrzenie na swoją taksówkę i dogania mnie biegiem.

Nie jest zupełnie przygotowany na taką ekspedycję, ma na sobie tylko szorty i parę sandałów, które wkrótce znikają w błocie. Jestem przyzwyczajony do dżungli i idę szybkim krokiem, on biegnie obok na bosaka, nie rozumiejąc, w jaki sposób zwykły kurs, jakich wiele robił codziennie, mógł zaprowadzić go do tej dżungli, w dodatku w środku nocy, podczas gdy jego wóz tonie w błocie.

Kiedy docieramy do Demesia, zostało jeszcze pięć kilometrów i czuję się zmęczony, więc postanawiam wynająć od niego konia. W końcu sąsiedzi muszą sobie pomagać. Moje wołanie budzi go i jest zaskoczony moim widokiem. Wiem, że mnie nienawidzi, ale znam naturę ludzką i cena, jaką proponuję mu za wynajęcie konia, każe mu zapomnieć o wszelkim pragnieniu zemsty. Korzysta z okazji i stara się zminimalizować nasze nieporozumienia, najwyraźniej zależy mu na ugodzie.

— Rozumiesz — mówi przymilnie — nie jestem bogaty i pomyślałem sobie, że nie stanie ci się wielka krzywda, jeśli sprzedam ci tę klacz.

— Przecież cię ostrzegałem.

— Tak, ale nie sądziłem, że zasłużyłem na taką karę. Myślę, że jesteśmy teraz kwita, zburzyłeś moją zgodę i zabrałeś konie, może moglibyśmy się teraz ugodzić tak, żebyś mi jednego albo dwa oddał. W tych wrogich górach nie jest dobrze mieć złe stosunki z sąsiadami, trzeba sobie pomagać, a poza tym cię lubię.

Hipokryta z niego, ale trafiła kosa na kamień: zapewniam go, że o wszystkim już zapomniałem, że będzie dobrze i że pogadamy po moim powrocie. Tak czy inaczej, jestem pamiętliwy, a on napawa mnie obrzydzeniem, na razie go potrzebuję, a potem się zobaczy.

Biorę taksówkarza na oklep i wkrótce docieramy do obozu, gdzie budzimy strażników. Ku mojemu wielkiemu zaskoczeniu kopalni pilnuje sam porucznik Villanueva z synem. Są bez mundurów i mają ze sobą tylko karabiny kaliber 22, które nie mają nic wspólnego z ich normalną bronią. Villanueva opowiada mi jakąś pogmatwaną historię, w której mowa o

kradzieży, o pobiciu, i rozumiem z tego tyle, że wyrzucono go ze stanowiska i z policji za korupcję. Cóż za niesprawiedliwość! Najwyraźniej zbyt mocno pociągał za sznurki, a ktoś inny sporo intrygował, żeby dostać jego miejsce, najintratniejsze w kraju.

Nic złego się nie stało, wystarczy, że zmienię nazwisko na comiesięcznej kopercie. Najśmieszniejsze jest to, że Villanueva zapewnia mnie o swej dobrej wierze i uczciwości.

Po szybkim rozejrzeniu się nad rzeką stwierdzam, pomimo ciemności, że wszystko jest w porządku. Moje przeczucie nie było uzasadnione. Mimo wszystko lepiej, że tutaj zająłem.

Zostawiam taksówkarza w obozie, proponuję mu, by wynajął synów Demesia do wyciągnięcia samochodu, płacę za kurs i dodaję premię na wydobyć wozu. Biorę swojego konia Pingona i wracam do Vanegas, zostawiając po drodze wynajętego wierzchowca u Demesia. Dojeżdżam do celu o świcie. Nie wiem, czy to wpływ zmęczenia spowodowanego ciągłą jazdą, czy też coś pokręciło się z pogodą, ale jest strasznie zimno i resztę nocy spędzam przytulony do szyi konia, żeby skorzystać z jego ciepła. Zostawiam go właścicielowi pulperii w Vanegas, który odwozi mnie do Jimenez samochodem. Stąd statek do Golfito, potem samolot, i docieram do San José 3 stycznia 1983.

* * *

Jadę bezpośrednio do Malessy, bo chcę jak najszybciej załatwić wszystkie sprawy związane z następnym wyjazdem. Chcę być gotów do wyruszenia za parę dni, około 10 stycznia. Zawiadomiony telefonicznie Herman czeka na mnie z Jimmym. Przedstawia mi swój nowy pomysł:

— Juan Carlos, mówiłeś, że na terenie koncesji znalazłeś prekolumbijskie cmentarze?

— Zgadza się.

— Pomyślałem sobie, że moglibyśmy działać na dwa fronty. Ojciec Jimmy'ego, którego już poznałeś, jest doświadczonym specjalistą od grobów. Myślę, że można by poprosić go, żeby pracował z nami, jak uważasz?

— Faktycznie, to może być dobry pomysł.

— Jest tylko jeden szkopuł, stary jest na wpół wariatem i jest strasznie uparty. Dobrze byłoby, żebyś pojechał do Limon z Jimmym i spróbował go

przekonać: powiedział, że cię lubi i że ty jeden możesz nakłonić go do współpracy.

Mam przed sobą dwa dni wolne, a wybrzeże Atlantyku jest ładne, poza tym to prawda, że ojciec Jimmy'ego to niezły numer. Jimmy i ja wyjeżdżamy odwiedzić go następnego dnia.

* * *

Długo każe się prosić, udając że odmawia, ale w końcu przyjmuje naszą propozycję. Dołączy do nas później. Stary już całkowicie sfiksował, chwile jasności umysłu przeplatają się u niego z napadami szaleństwa, które sprawia, że uważa się za reinkarnację indiańskiego wodza, dyskutującego z bogiem Złota, i oczywiście ten ostatni pomaga mu znajdować posążki w grobach. Ma siedemdziesiąt lat, ożeniony jest z Indianką, która ma piętnaście i jest jego trzecią żoną; od urodzenia nastęcza kłopotów, naprawdę wredny typ.

Wszystkie te wady sprawiają, że czuję do niego sympatię, to nieznośny staruch, kapryśny jak smarkacz, który postanowił zaleźć przed śmiercią za skórę komu się da, a w dodatku absolutnie nie chce się starzeć; w atmosferze naszego obozowiska jest akurat dla niego miejsce. Jimmy, który trochę się go boi, zapewnia mnie, że pomimo wszystkich wad jest to jeden z najlepszych specjalistów od plądrowania grobów. Wierzę mu bez oporów, bo facet ma niesamowity feeling jeśli chodzi o złoto, przyciąga je tak, jak niektórzy przyciągają kłopoty. Spędzamy noc na farmie słuchając historyjek starego, który pogrążony w ezoterycznym transie opowiada nam o boskiej opiece. Przed wyruszeniem w drogę powrotną Jimmy prosi mnie o pieniądze na kupno trawki.

— Mój ojciec ma dużą plantację, która produkuje trawkę bardzo dobrej jakości. Herman prosił, żebym mu przywiózł kilogram.

— Lepiej będzie ją kupić w mieście, nie będziemy musieli przewozić towaru przez punkty kontrolne.

— Można wszystko schować w samochodzie, a poza tym Herman wie że to pomoże mojemu ojcu, który ma kłopoty finansowe.

— Dobra, to w końcu twoja sprawa.

* * *

Przyjeżdżamy do San José po południu i jedziemy prosto do Malessy. Jimmy daje trawkę Hermanowi, próbujemy ją, jest bardzo dobra i wszyscy

szybko odczuwamy jej działanie. Atmosfera jest rozluźniona i zaśmiewamy się opowiadając o dziwactwach starego wariata. Herman jest zadowolony, że ten ostatni zgodził się nam pomóc, i ustalamy szczegóły wznowienia działalności kopalni.

— Nie wiem, jak ty to robisz, ale twoi ludzie ciągle tu wydzwanają, żeby się upewnić, kiedy wyruszacie. Wszyscy chcą wracać do kopalni i boją się, że przegapia dzień wyjazdu. Już sam nie wiem, co mam im mówić, żeby ich uspokoić.

— Umów ich tutaj na dziesiątego stycznia.

Jest mi miło, że nikt nie zamierza rezygnować. Chcą wracać zapewne nie tylko dla pieniędzy. Bez fałszywej skromności twierdzę, że w żadnej poprzedniej pracy nie znaleźli takiej atmosfery i że mnie lubią. W trakcie rozmowy Herman oddaje Jimmy'emu paczkę trawki, dobrze już napoczętą.

— Masz, przechowaj to dla mnie. Sejf jest już zamknięty, a ja jadę bezpośrednio na przyjęcie do Juana Caracasa, oddasz mi jutro.

Kiedy mamy wyjść, Pablo, bezzębny księgowy, mówi do mnie, wyjmując dokumenty:

— Don Juan Carlos, musimy zająć się trochę księgowością, korzystając z tego, że tu jesteś.

— Nie dzisiaj. Nie lubię papierów, chcę wziąć prysznic i się przebrać: jestem umówiony na wieczór.

— A potem znowu znikniesz ze swoimi kobietami na tydzień i nikt będzie wiedział, gdzie jesteś. Nikt nie ma z tobą kontaktu, kiedy jesteś w mieście, a ja chciałbym załatwić to w tym tygodniu. W którym hotelu mieszkasz?

— Dziś w nocy będę w Astorii, potem nie wiem.

Wyobrażam sobie, co zrobiłby ten grubas, gdyby dowiedział się o istnieniu protegowanych mamy, a poza tym wolę kontaktować się ze współnikami wtedy, kiedy mi jest wygodnie.

* * *

Wracam do swojego pokoju w Astorii, gdzie ma po mnie przyjść René, bo samochód zostawiam Jimmy'emu, który mieszka za miastem. Mamy właśnie wyjść, kiedy rozlega się pukanie do drzwi. Wsuwam paczkę trawki pod poduszkę i idę otworzyć sądząc, że to René. Wpada jakiś facet z

pistoletem w rękę i kieruje się w głąb pokoju, podczas gdy drugi, również uzbrojony, staje przy drzwiach.

— Narkotyki! — mówi pierwszy.

Przetrząsa pokój, wyraźnie czegoś szukając, i po dwóch sekundach znajduje paczkę z trawką: natychmiast zakłada nam kajdanki, a drugi zabiera mi szybkim ruchem rewolwer. Wszystko przebiega bardzo szybko: nie po raz pierwszy zatrzymują mnie na gorącym uczynku i nauczyłem się łagodzić sprawę stosując trochę dyplomacji i dużo pieniędzy, ale tym razem nie ma mowy o jakiegokolwiek konwersacji. Obaj odmawiają wszelkiego kontaktu i wyprowadzają nas na zewnątrz, gdzie czeka samochód. Wkrótce znajdujemy się w pomieszczeniach Brygady Narkotyków. Zostawiają nas w wielkiej sali, w której zbierają się wszyscy ich agenci, mający być tajni, ale na razie po kolei defilują między nami: to gafa typowa dla Kostaryki. Niektórych znam, bo pijałem z nimi kawę, innych dopiero poznaję: jest tam między innymi, mały dobrodusznie wyglądający staruszek i kobieta, która bardziej byłaby na miejscu przy domowym ognisku niż wśród gliniarzy.

Bawią się moim Magnum głośno komentując, prawdopodobnie nigdy nie widzieli tak pięknej broni. Wypełniają potem karty identyfikacyjne i wprowadzają nas do pokoju z kilkoma łózkami, zbyt obszernego jak na zwykłą celę. Jimmy jest przerażony, próbuję go uspokoić. Nie czuję strachu, przyzwyczajony jestem do takich przykrych sytuacji, ale intryguje mnie ta sprawa, jest w niej coś podejrzanego. Nalot policyjny to normalka, ale dlaczego z Narkotyków? Zwłaszcza o takiej porze. Wiem z doświadczenia, że zwykle przychodzą nad ranem. Poza tym miałem wyraźne wrażenie, że gliniarz wiedział, czego szuka, zaskoczyła mnie ich szybkość i odmowa wszelkiej dyskusji. Tutejsi gliniarze tak nie postępują, nigdy nie przepuszczą okazji szybkiego zarobku; czyżbym natknął się na jedyne go służbistę kraju, zdecydowanego na szybki awans? Dzielę się swoimi przemyśleniami z Jimmym.

— Jimmy, zupełnie szczerze i niezależnie od twoich osobistych sympatii, myślisz, że to sprawka Hermana?

— Nie, to niemożliwe, nigdy by tego nie zrobił. Wyrósłiśmy razem, to kolega z dzieciństwa, on i Tino Caracas byli świadkami na moim ślubie, pracuję z nimi od dziesięciu lat. Nie, pomyśl o kimś innym, zapewniam cię, że to nie w stylu Hermana.

— Może masz rację. W takim razie...

W takim razie co? Niestłuchany zbieg okoliczności? Przeżyłem już dziwaczne sytuacje, wydarzenia losowe najbardziej nieprawdopodobne, takie, które mogły wydawać się całkowicie wykluczone, a które jednak miały miejsce: nieszczęście chodzi czasem dziwnymi drogami.

Poza tym nie rozumiem, co mogliby zyskać na pozbyciu się mnie, tak bardzo przecież jeszcze mnie potrzebują. Całą noc nad tym myślę, ale nad ranem nadal nie znajduję odpowiedzi.

* * *

Kiedy wstaję, zauważam, że Jimmy również nie spał, jestem zaskoczony, widząc jego twarz. W ciągu tej jednej nocy przybyło mu z dziesięć lat, twarz ma pomarszczoną, worki pod oczami i wygląda na bardzo przygnębionego.

— Nie rób takiej miny — mówię mu — nie jest tak źle, wyjdziemy z tego.

— Nie chodzi tylko o to, Juan Carlos. Nie wiem, czy słyszałeś, ale krótko przed poznaniem ciebie miałem sprawę sądową, bo w czasie bójkі urwałem facetowi palec. Dali mi trzy lata z zawieszeniem. Przy byle wpadce, najmniejszym przestępstwie, automatycznie idę na trzy lata oprócz normalnego wyroku. Nie boję się więzienia, ale mam na utrzymaniu żonę i dwoje dzieci. Co się z nimi stanie, jak mnie zamkną?

Biedny Jimmy. Teraz rozumiem, dlaczego tak się martwi. Polubiłem chłopaka i jego kłopoty rodzinne nie są mi obojętne. To prawy człowiek i zasługuje, żeby mu pomóc. Zastanawiam się chwilę, po czym mówię:

— Nie martw się, biorę wszystko na siebie: za godzinę będziesz na wolności.

Oczywiście, jestem w tej sprawie całkowicie niewinny, to nie ja zrobiłem głupstwo, ale nie mogę teraz zostawić Jimmy'ego: z jego przeszłością nie ma żadnych szans. Mnie przypada obowiązek rozwikłania sytuacji, w której nikt inny nie może pomóc, i nie chodzi tu o kretyńską ofiarność, która zaprowadziłaby mnie do jatki jak barana, bo wierzę w siebie. Wiem, że mogę się z tego wydostać, mam przed sobą tylko zwykłych ludzi, z którymi taki facet jak ja powinien sobie poradzić. Poza tym w Kostaryce prawo surowo tępi handel trawką, ale jest dosyć nieokreślone jeśli chodzi o samo jej posiadanie. Jestem właścicielem kopalni złota i prezesem spółki, czyż można podejrzewać, że trudnię się sprzedażą paru gramów? Nie jestem ani

przestępcą, ani turystą. Jestem stałym mieszkańcem tego kraju i w razie czego nazwiska moich współników mogą stanowić poręczenie za mnie.

Podczas przesłuchania, które wkrótce ma miejsce, przyjmuję swoją zwykłą linię obrony: tak, palę dużo i zakwestionowana paczka przeznaczona była do własnego użytku, od dzieciństwa przyzwyczajony jestem do używek, żyję w dżungli i potrzebuję trawki żeby móc spać i żeby zwalczać ból w moim schorowanym ciele. Na poparcie tych zeznań mogę przytoczyć swoje oświadczenie złożone w szpitalu, mówiące o tym, że używam narkotyków do walki z bólem. W ten sposób obalam oskarżenie o handel i biorę wszystko na siebie stwierdzając, że kupiłem trawkę w Golfito.

Intryguje ich broń, której numer został spiłowany.

— Do kogo należy? — pyta mój rozmówca.

— Do mnie, od wielu lat.

— Dlaczego numer jest spiłowany?

— Uważam, że tak jest porządniej.

Powoli atmosfera się rozluźnia, gliniarze odprężają się i zaczynają żartować. Proszę o pozwolenie zatelefonowania, ale odmawiają. Przychodzi porozmawiać ze mną pułkownik Altamira, szef Narkotyków. To znany skurwysyn, wszyscy się go boją. Wiem, że należy do Partido del Pueblo Unido, ale ignoruje wszystkie aluzje do moich stosunków w tej partii.

Kiedy wracam do Jimmy'ego po przesłuchaniu, chłopak jest spokojniejszy. Gliny powiedziały mu, że uniewinniłem go całkowicie i że zostanie zwolniony.

— Możesz teraz być spokojny. Jak tylko wyjdiesz, zawiadom Hermana, jeśli nie wypuszczą mnie w ciągu dnia, niech interweniuje, ale w razie woli próbować sam.

Żartujemy sobie, kiedy pojawia się Luis, młody inspektor, który przesłuchiwał mnie w Golfito i któremu pożyczyłem pieniądze na skrobankę jego narzeczonej. Jest zaskoczony spotkaniem.

— Juan Carlos, co za niespodzianka, co ty tu robisz?

Opowiadam mu całą historię.

— Słuchaj — mówię mu — chciałbym, żebyś mi oddał przysługę. Mam wrażenie, że cała ta historia śmierdzi, czy możesz sprawdzić, skąd przyszedł nakaz rewizji? Mówiono mi, że wydano go na podstawie donosu służby hotelowej, która uznała że wyglądam podejrzanie. Podobno mówiono nawet o

„zakazanej mordzie”, ale nie wierzę w to. Mógłbyś spróbować się czegoś dowiedzieć?

— Oczywiście, przecież mam wobec ciebie dług. Skontaktuj się ze mną w domu jak tylko cię wypuszczą. Ile miałeś trawki?

— Około pół kilo, wziąłem wszystko na siebie.

Po godzinie Jimmy jest wolny, ulżyło mu, ale czuje się okropnie zażenowany.

— Nie wiem, jak ci dziękować, Juan Carlos, zachowałeś się fantastycznie.

— To drobiazg, stary, nie martw się o mnie, niedługo się zobaczymy.

Nieco później przychodzi do mnie oficer, który prowadził przesłuchanie.

— Rozumiemy, że nie jesteś handlarzem, ale musisz stanąć przed sędzią śledczym. Żeby zmniejszyć zarzuty przeciwko tobie Altamira kazał usunąć z raportu sprawę rewolweru, w ten sposób odpada ci zarzut posiadania broni.

O ile bowiem samo noszenie broni nie jest przestępstwem, musi ona legalnie kupiona i zaopatrzona w odpowiednie zaświadczenie, którego oczywiście nie posiadam.

* * *

Znów zakładają mi kajdanki i prowadzą mnie do Pałacu Sprawiedliwości. Czekam tu parę godzin, pilnowany przez umundurowanego gliniarza, który towarzyszy mi wszędzie. W końcu wprowadzają mnie do sędziego. Jest to młoda i sympatyczna kobieta, którą szybko przekonuję do siebie.

— Jeśli o mnie chodzi — mówi ona — zarzut handlu narkotykami jest bezpodstawny, nie sądzę, by został on podtrzymany, wystąpię o umorzenie sprawy. Niestety, nie do mnie należy ostateczna decyzja, tylko fiscal może nakazać zwolnienie.

— Kiedy będę mógł z nim rozmawiać?

— Dziś go nie ma, ale proszę się nie obawiać, przewiduję, że będzie pan wolny za dzień lub dwa.

Cholera, wszystko się komplikuje.

* * *

Prowadzą mnie do aresztu w więzieniu głównym. W kancelarii urzędnik o twarzy złodzieja spisuje należące do mnie przedmioty. Mam przy sobie torbę, a w niej wszystkie swoje rzeczy oprócz złota, pozostawionego w sejfie

bankowym. Muszę wszystko zostawić, nawet biżuterię: w małej sakiewce mam kilka szmaragdów kupionych na prezenty dla moich sześciu małych kochanek. W porę orientuję się, że ten skurwysyn urzędas z niewinną miną wpisał je do rejestru jako zwykłe „*kamienie koloru zielonego*”, a jako „*żółte*” — bryłki złota, które noszę na szyi i na ręku. Ścierwojad! Naprawdę bierze mnie za idiotę. Nie mam najmniejszego zamiaru pozwolić się ograbić.

Udaje mi się wywalczyć pozwolenie na zatelefonowanie do Jimmy'ego, który przyjeżdża i zabiera moje rzeczy. Obaj śmiejemy się z mojego wyglądu; musiałem zdjąć całe ubranie i założyć niebieski kombinezon, który jest na mnie za mały. Ponieważ nie mają kapci na moją nogę, mogę zatrzymać swoje wysokie buty i skórzaną kurtkę, bo nie jest wcale ciepło.

* * *

Kiedy przyjechałem, było już za późno, żeby założyć mi akta, więc noc spędzam w nieumeblowanym pomieszczeniu z wybetonowaną podłogą; nie ma papierosów, nic do jedzenia, nie ma łóżka, trzeba spać na ziemi, początek nie jest zachęcający.

Rano pierwsza awantura. Strażnik, który przez kraty serwuje nam coś w rodzaju kawy, umyślnie niezręcznym ruchem wylewa mi swoją lurę na rękaw: próbuję go złapać, ale szybko cofa się poza zasięg moich rąk i mogę tylko mu nawymyślać. Następnie kolej na formalności, robią mi różne pomiary i fotografują en face i z profilu, otrzymuję przy tym swój numer; robią nawet zdjęcie przedramienia, żeby uwiecznić tatuaż made in Hongkong, który noszę na nadgarstku: przedstawia on kwiat z dwoma liśćmi marihuany. Po raz pierwszy dostaję się do kartoteki i nie podoba mi się to: zapewne jestem poza prawem — staram się przestrzegać własnego, które wydaje mi się bardziej sprawiedliwe — ale na pewno nie przestępcą.

* * *

Kiedy przenoszą nas do wielkiej sali, dostrzegam pilnującego nas strażnika, z którym miałem rano awanturę. Jestem niewyspany, zdenerwowany i jego pełna wyższości mina nie podoba mi się: wymyślam mu, on mi odpowiada, i ruszam ku niemu grożąc, że go uduszę. Przerażony wzywa pomocy i wkrótce nadbiega ich co najmniej dziesięciu. W porę odzyskuję zimną krew i za pomocą odrobiny dyplomacji udaje mi się zatuszować sprawę, ale ten incydent niepokoi mnie: zawsze bardzo

gwałtownie reaguję na brak szacunku i w więzieniu jest ryzyko, że któryś ze strażników wykorzysta to, by mnie sprowokować, a następnie bezkarnie zabić.

W końcu wchodzimy do wspólnej sali na jakieś sześćdziesiąt łóżek, w której aresztowani oczekują na proces albo na decyzję sędziego śledczego.

Poznaję Carla, Włocha, który jest jedynym Europejczykiem w pawilonie: zatrzymano go przy kontroli celnej, miał przy sobie kokainę i fałszywe dolary, od sześciu miesięcy oczekuje na proces.

* * *

Na trzeci dzień odwiedza mnie Herman. Kiedy przychodzę do rozmownicy, siedzi już za szybą i po raz pierwszy nie uśmiecha się. Jestem zdenerwowany i rozmowa przebiega szybko: oskarżam go o niedbałość i żądam, żeby jak najszybciej wyciągnął mnie stąd:

— To wszystko twoja wina, ja nie miałem z tym nic wspólnego. Postąpiłeś nieostrożnie każąc kupić trawkę w Limon i powierzając ją Jimmy'emu, kiedy mieszkał w hotelu. Jestem tutaj wyłącznie dlatego, że chciałem ratować Jimmy'ego, który ma wyrok w zawieszeniu, ale to twoja trawka: wziąłem wszystko na siebie, więc teraz mnie stąd wyciągnij. Opowiadałeś o ochronie, o zapewnieniu mi bezpieczeństwa, a ja tu siedzę za jakąś głupią historię z trawką, co to ma znaczyć? Na co czekasz, żeby interweniować u swoich kumpli?

— To nie takie proste. Tino pochodzi z purytańskiej gałęzi rodziny Caracas i jest absolutnym przeciwnikiem wszelkich narkotyków, będę z nim rozmawiał tylko w ostateczności. Problem polega na tym, że fiscal odmówił zwolnienia ciebie, bo podejrzewa, że chodzi tu o handel.

— Przecież to bez sensu! Mówiłeś mi, że dysponujesz najlepszymi adwokatami w kraju, więc niech się zajmą tą sprawą! Nie ma żadnego dowodu na poparcie zarzutu o handlu i nie powinno być przeszkód w zwolnieniu mnie.

— Zrobię wszystko, co w mojej mocy, Juan Carlos.

— Byłoby dobrze, bo cała ta historia wydaje mi się podejrzana. A teraz posłuchaj mnie uważnie: nie mam zamiaru gnić tu dłużej przez ciebie; więc jeśli jeszcze będę tu do końca tygodnia, obiecuję ci, że twoje kłopoty będą gorsze od moich. To, że tu siedzę, nie oznacza, że jestem całkowicie odcięty od świata, znasz mnie i wiesz, że dotrzymuję słowa.

— Ależ zapewniam cię, że to tylko seria zbiegów okoliczności, przysięgam ci.

— Nie o to chodzi! Jesteś za to odpowiedzialny: wszystko stało się przez twoją trawkę i twoje niedołęstwo, więc działaj!

Uznając rozmowę za skończoną wstaję i przechodzę do sali „*tymczasowych*”. Moje groźby nie są pozbawione podstaw, z łatwością mogę skontaktować się z Wayne’em albo z René, którzy z przyjemnością wyświadczą mi przysługę, i mam zamiar tak postąpić, jeśli nie wypuszczą mnie do końca tygodnia. Od tej pory podejmuję specjalne środki ostrożności: nadal nie wiem, skąd może nadejść uderzenie, i wolę mieć się na baczności, zbyt łatwo można zlikwidować kogoś w więzieniu za parę dolarów. Dzięki pomocy pracownicy opieki społecznej Marii Urlate, która zakochała się we mnie, sprowadziłem sobie środki nasenne i śpię przez większą część dnia. W nocy czuwam, bo to najlepsza pora na porachunki, noszę przy sobie nożyczki, zabrane z gabinetu lekarskiego. Przekonałem Marię, że nie służy mi więzienne jedzenie, i obiecała mi załatwić zaświadczenie lekarskie, dzięki któremu będę mógł kupować żywność na zewnątrz.

Funkcję łóżek pełnią tu betonowe prycze wmurowane w ścianę, ale udało mi się dostać materac i koc. Stałem się z czasem lubiany w pawilonie: za pośrednictwem strażnika kupiłem piłki i rakiety do ping-ponga w świetlicy, mydło i pastę do zębów dla wszystkich oraz proszek do czyszczenia pryszniców i kibli, w których panował nieopisany syf. Strażnicy znają mnie już i pozwalają mi przechodzić, w towarzystwie Carlo albo kogoś innego, z sali ogólnej do świetlicy, która normalnie otwarta jest przez dwie godziny dziennie: gramy tam w ping-ponga i oglądamy telewizję.

Są tu ludzie zatrzymani za najróżniejsze przestępstwa. Spotkałem poszukiwacza złota z Osa, którego wsadzili za śmieszny dług wysokości stu pięćdziesięciu colonów (trzy dolary). Dałem mu te pieniądze i wypuścili go. Wielu prosi mnie o pracę, przewidując, że zostanę zwolniony. Często chodzę i krzyczę „*Wolność dla Francuza*”, po jakimś czasie staje się to powszechnym zawołaniem; czasami któryś z zatrzymanych sam to wykrzykuje, po czym wszyscy skandują chórem.

* * *

Któregoś dnia przyprowadzono dwóch transwestytów. Ich przejście przez podwórze wywołało wiele hałasu, bo podciągali spódnicę i pokazywali tyłki

facetom za kratami. Zamknęli ich w naszej sali i przez całą noc trwał w ciemności wielki ruch. Do rana wszyscy przejechali się na nich i każdy miał na twarzy szeroki uśmiech. Uśmiech obu transwestytów był nieco sztuczny, trzeba było zabrać ich do lekarza.

Od czasu do czasu myślę o moich małych przyjaciółkach. Pomyśleć, że jeszcze niedawno byłem wśród nich, jak w raju: po wyjściu do nich skieruję swoje pierwsze kroki, mam nadzieję, że nie brakowało mnie im zbytnio.

* * *

Ósmego dnia zaczynam mieć już tego wszystkiego naprawdę dość, Herman zapowiedział zwolnienie mnie we czwartek, ale o siódmej wieczór nadal jestem tutaj, kiedy pojawia się Maria. Ma taką minę, że rozumiem od razu i zaczynam poważnie myśleć o próbie morderstwa. Ale do jasnej cholery, jaki mogliby mieć w tym interes? Ponuro opracowuję plany zemsty, kiedy jakiś facet w cywilu żąda widzenia ze mną.

— Dzień dobry panu, przyszedłem panu oznajmić, że jest pan wolny.

Jestem zaskoczony i mam się na baczości.

— Mówi pan poważnie? Kim pan jest?

— Senor Garcia, z biura adwokackiego Rosenberga. Herman powierzył mi pańską sprawę i uzyskałem umorzenie, proszę przygotować swoje rzeczy, za godzinę pana wypuszczą.

Mam ochotę rzucić mu się na szyję. Wracam do sali krzycząc co sił w płucach: „*Wolność dla Francuza!*”. Po pięciu minutach cała sala ryczy i przy akompaniamencie tego hałasu nadchodzi strażnik, aby załatwić formalności związane z wyjściem na wolność; najwyższy czas.

Przy ogrodzeniu czeka na mnie Herman. Znów się uśmiecha i wita mnie potokiem słów.

— Popatrz — mówi, prowadząc mnie do samochodu — mam tu coś dla uczczenia twojego zwolnienia.

Z tylnego siedzenia patrzą na nas chichocząc dwie panienki lekkiego prowadzenia.

— Mam też kokainę — szepcze mi do ucha Herman. — Będziemy się we czworo dobrze bawić. Zarezerwowałem dla ciebie apartament w Balmoralu.

Sama myśl o wspólnej zabawie z tą grubą świnią napawa mnie obrzydzeniem. Poza tym nadal mam wątpliwości co do całej tej historii. Przyjmuję kokainę, ale odmawiam udziału w zabawie.

— To błąd — mówi — są świetne. To dwie lesbijki, które odstawiają fantastyczny numer, już je wypróbowałem.

Tym bardziej mam powód, żeby odmówić: kłaść się tam, gdzie leżała już ta kupa tłuszczu, nigdy w życiu!

Herman roztacza cały swój czar, ale zachowuję rezerwę i rozmawiamy głównie o kopalni, z której ma najświeższe wiadomości.

— Jimmy jest od trzech dni na Osa razem z pracownikami. Wszyscy byli zgodnie z umową dziesiątego, bez grosza. Ten Duńczyk Lars przyjechał, żeby się z tobą zobaczyć, nie wiedziałem, co wymyślić, żeby trochę poczekał, powiedziałem mu, że jesteś w Nikaragui i że nie możesz wrócić, bo masz kłopoty z wizą. Przyjedzie do Quebrada del Frances około dziewiętnastego, dwudziestego stycznia.

Kiedy zostaję sam, próbuję skontaktować się w domu z Luisem, moim kumplem z Narkotyków. Jego żona odbiera telefon i mówi, że wyjechał służbowo na wybrzeże Atlantyku i że nie zostawił dla mnie wiadomości.

Zabrałem swoje rzeczy i idę świętować swoje wyjście na wolność do René, a moim małym kochaneczkom rozdaję prezenty, które szczęśliwie udało mi się uratować.

René, któremu opowiedziałem całą historię, przestrzega mnie i każe mi obiecać, że zwrócę się do niego o pomoc w razie gdyby pojawiły się nowe problemy. Wiem, że mogę na niego liczyć.

* * *

Wracam na Osa jeepem, prowadzonym przez Fabia, mechanika z Malessy, który jedzie pracować do kopalni. Mam przy sobie nowego towarzysza, Kinga, młodego dobermana, którego chcę w górach wytresować. Całe dotychczasowe życie spędził w zamknięciu, ma teraz rok i jest wspaniale agresywny.

W Palmar zabieramy nowego pracownika, księgowego zatrudnionego na prośbę Hermana, aby zajął się dokumentami. Zostawiam Fabia i sam jadę do Golfito zobaczyć się z Wayne'em. Wycofałem z banku złoto, jakie mi zostało, zaledwie trzy i pół kilo, bo zabawa sporo mnie kosztowała. Nie chcę trzymać tego wszystkiego na górze, ale wolę, żeby było w zasięgu ręki, a do Wayne'a

mam pełne zaufanie; z przyjemnością załatwiłby Hermana, gdybym go o to poprosił. Ponieważ policja zatrzymała mój rewolwer, Herman pożyczył mi starą trzydziestkę ósemkę w złym stanie, w której bębenek nie obraca się automatycznie. Jestem przyzwyczajony do mojego Magnum 357, i mam wrażenie, że trzymam zabawkę. Wayne sprzedaje mi okazjiście Magnum 44: fantastyczną broń w doskonałym stanie, która robi jeszcze więcej hałasu i szkód niż 357, i przy której trzydziestka ósemka wygląda jak pistolet na kapiszony.

Zabieram ponownie księgowego i mechanika w Palmar i docieramy na Osa. Jest pora sucha, więc bez trudności można jechać szlakiem łączącym szosę panamerykańską z Puerto Jimenez. Nasz jeep to wóz z armii rosyjskiej, ogromny, solidny, ale mało zwrotny ze względu na swój ciężar; z taką maszyną zwykły piknik staje się przygodą. Herman musi nam przysłać wyposażenie, które pozwoli na jazdę w błocie; w obecnym stanie wóz nie jest lepszy od taksówki, którą utopiłem w bagnie, udaje mi się przejechać zaledwie paręset metrów więcej, po czym definitywnie staje. Po raz drugi muszę przejść całą trasę pieszo, co ostudza nieco zapal moich dwóch towarzyszy.

Kiedy dochodzimy do gospodarstwa Demesia, dostrzegam jego konia: właściciela nie ma, ale w zasadzie zawarliśmy pokój — wnioskuje więc, że nie będzie miał nic przeciwko temu, jeśli pożyczę sobie jego zwierzę, i ostatni odcinek drogi pokonuję w wygodniejszych warunkach.

* * *

Następnego dnia rano budzę się w złym humorze: zdążyłem już stwierdzić w obozowisku pewne rozprężenie, czas wziąć ludzi w garść po tych dwóch tygodniach wakacji.

W tym stanie ducha słyszę nagle, jak King skamle z bólu. Wchodzę i widzę, że ma na pysku krwawą ranę.

— Podrapał go kot Barbaroi — mówi mi Chiche — pies sam się o to prosił.

Chłopaki boją się Kinga i podejrzewam, że trzymają raczej stronę kota, którego dostrzegam na dachu. Odkąd Barbaroja odszedł, kot powoli dziczeje. Właśnie potrzebuję wypróbować mój nowy rewolwer, i jeden strzał strąca kota z dachu na trawę, w której znika utykając na jedną nogę; zraniłem go tylko. Trudno, nie zjemy go. Jimmy pyta mnie, co zrobić z koniem Demesia,

więc każe go przyprowadzić. Pożegnalne klepięcie po głowie i huk czterdziestki czwórki towarzyszy mu w ostatnim galopie: zawarłem pokój z Demesiem, więc jako dobry sąsiad nie chciałby chyba, żeby mi zabrakło mięsa.

Pracownicy osłupieli, widzieli już, jak zabija się krowy, świnie czy kury, ale nigdy konia. W tym kraju jada się bardzo mało koniny, zwłaszcza na wsi, gdzie koń uważany jest za narzędzie pracy. Mam okazję wypróbować umiejętności Glandulona (Wielkie Jajo), syna Villanuevy, który postanowił zostać i pracować z nami. Jako były rzeźnik niczemu się nie dziwi i po niecałych dwóch godzinach koń zostaje całkowicie poćwiartowany i oczyszczony. Stół wygląda jak lada rzeźnicza, i jest to przyjemny widok; chętnie zatrzymałbym skórę, ale tego byłoby już za wiele: Demesio na pewno będzie podejrzewał, kto ukradł mu ostatniego konia, ale nigdy nie domyśli się, że zwierzę zostało zjedzone. Taki właśnie jestem, niepamiętliwy, co to, to nie, ale lubię załatwiać swoje porachunki do końca; zadowala mnie myśl o tym, że odtąd Demesio będzie musiał chodzić piechotą.

Dwa zabójstwa jedno po drugim wywarły wrażenie i przywróciły dawną atmosferę. Kiedy zaskoczenie mija, chłopaki śmieją się z kawału jaki zrobiliśmy Demesiovi, i są zadowoleni z powrotu dawnego ducha. Jeszcze tego samego dnia przystępujemy do pracy.

* * *

Obiecałem pracownikom, że wydobywanie zostanie wkrótce zmechanizowane, ale nie mam już zupełnie zaufania do moich wspólników i obawiam się, że będzie trzeba czekać miesiącami, zanim pojawi się pierwsza maszyna zasysająca. Stary Nizaro mówił mi, że ma taką. Teraz, za moje pieniądze, wybudował sobie najpiękniejszy dom Guerra i nie musi już pracować, więc ją od niego kupuję. Jest to model stary, ale dość praktyczny, a w zamian Fabio przystosowuje silnik z niesławnej pamięci prototypu Hermana, by wytwarzał dla Nizara elektryczność. Przy użyciu nowej maszyny praca staje się w odczuwalny sposób lżejsza: nadal trzeba kawałkować ziemię łomami, ale miejsce łopaty zajmuje pompa ssąca. Jest pora sucha i w rzece bardzo mało wody, co nie ułatwia sprawy. Z drugiej strony pewne wątpliwości co do uczciwości moich wspólników nie zachęcają mnie do zbyt intensywnej pracy: wydobywanie złota wszelkimi możliwymi sposobami przestało stanowić cel sam w sobie, nie ma wątpliwości co do bogactwa

kopalni, przejście do przemysłowych metod wydobycia stało się koniecznością. W tej chwili moją główną troską są przygotowania do zimy, zmęczony jestem tym błotem i całą resztą; jeśli mam tu mieszkać przez rok czy dwa, będzie to wymagało takiego komfortu, jakiego jeszcze nikt na Osa nie widział.

Poświęcam się więc bez reszty budowaniu. Podczas gdy Lars, który przyjechał z synem, nadzoruje prace ograniczonej ekipy nad rzeką, wszyscy pozostali ludzie zabierają się do karczowania i budowy nowych obiektów. Obozowisko zamienia się w wielki plac budowy, zwerbowałem wszystkich mieszkańców Osa, którzy posiadają piły mechaniczne: ścinają drzewa i tną je na deski. Systematycznie zatrudniam każdego mieszkańca okolicznych wsi, który się pojawi, i są dni, kiedy czterdziestu ludzi biega na moje rozkazy od rana do wieczora. Nowicjusze nigdy nie wytrzymują dłużej niż dzień lub dwa, nie są przyzwyczajeni do naszego tempa, tym bardziej że starzy pracownicy złośliwie podsuwają im najtrudniejsze roboty. Pierwsze miesiące zahartowały ich, czują się lepsi i nie znają litości. Kiedy któryś z nowych skarży się, opowiadają mu z dumą historię o wnoszeniu na górę silnika, a także inne; wobec mojej zwartej ekipy pozostali czują się intruzami, zgłoszenia do pracy stają się coraz rzadsze i w końcu zostają tylko tamci.

Tymczasem ponad ziemię wyrosły liczne budynki. Naprawiony skidder bezustannie rozwozi na różne strony materiały budowlane: każdego dnia ścina się tysiące liści do budowy dachów; kiedy tylko deski jakiegoś budynku są zamocowane, natychmiast wylewana jest betonowa podłoga; domy rosną jak grzyby po deszczu. Całe obozowisko jest teraz otoczone drewnianym płotem i drutem kolczastym, ogromne biało-czerwone tablice ostrzegają ewentualnych przechodniów: POSIADŁOŚĆ PRYWATNA, WSTĘP WZBRONIONY, UWAGA, ZŁE PSY. Mam tylko jednego, ale ma w sobie złości za dwa. Widok tych tablic rozmieszczonych co pięć metrów robi wrażenie, w środku dżungli mało kto spodziewa się czegoś takiego.

Teraz jest już tylko jedno wejście na teren obozu, ze szlabanem i budką strażniczą. Budka ta, zbudowana na podstawie ośmiokąta, ma pięć metrów średnicy i jest bardzo ładna: to jedyny okrągły dom na Osa. Mieszka w niej Mario, nowy pracownik, którego mianowałem strażnikiem, bo jest świetnym strzelcem, Za pomocą karabinu 22 dokonuje cudów, nigdy nie chybia, niezależnie od rozmiarów celu. Ma przykazane, by uniemożliwić

komukolwiek wejście na teren obozu, a to metodą bardzo prostą: strzał ostrzegawczy nad głową, a następnie kula między oczy.

Marcella nie wróciła do nas, więc Mario pełni również obowiązki kucharza; ponieważ nie ma już nikogo, kto zajmowałby się moimi rzeczami, poprosiłem go, żeby sprowadził żonę. Mario bardzo się wahał, bo byłaby ona tu jedyną kobietą, ale małe przemówienie do wszystkich pracowników i publiczne upoważnienie do zastrzelenia każdego, kto zachowa się niewłaściwie wobec jego żony, uspokoiły go: we dwoje łączą funkcje strażnika, myśliwego, ogrodnika, służącego, kucharza i sprzątaczkę. Są bardzo dobrze wynagradzani, ale zobowiązują się nie brać urlopu przez rok.

Pracownicy mają teraz własną sypialnię w domu o wymiarach dziesięć metrów na pięć, gdzie każdy ma własne łóżko z pościelą i materacem. Jimmy, Lars i księgowy dzielą między sobą skrzydło poprzedniego budynku, a ja zajmuję całe drugie skrzydło, w którym kazałem zlikwidować przepierzenia. Wejście do mojego mieszkania jest zabronione komukolwiek, oprócz Maria i jego żony. Sprowadziłem elektryka, który założył nam telefon na baterie, łączący miejsce wydobywania nad rzeką, domek strażnika i moje mieszkanie. Na początku chodziło o to, by Mario mógł mnie powiadomić, gdziekolwiek bym się znajdował, o nadejściu ewentualnego gościa, ale teraz telefon działa głównie w przeciwnym kierunku: kładę się spać późno i jeśli mam ochotę na kawę w środku nocy, wystarczy pokręcić korbką, by w parę minut później Mario lub jego żona, zaspani i ziewający, przynieśli mi ją do łóżka. Takie małe wygody sprawiają, że życie w dżungli staje się całkiem znośne.

* * *

Wśród wielu dokonań wymienić trzeba budynek pryszniców, kuchnię, warsztaty itd. Kazałem rozpocząć prace przy jadalni, ogromnym okrągłym budynku o nachylnym dachu, rzeczy na Osa zupełnie unikalnej. Budynki wznoszone były w miarę poszerzania się wykarczowanej powierzchni, i doszło do zabawnej sytuacji: bunkier, w którym przechowujemy dynamit, został początkowo wybudowany na uboczu; w miarę rozwoju obozu znalazł się w samym jego środku...

Wszystko to nie spowodowało wstrzymania wydobywania. Chodzę nad rzekę tylko raz dziennie, ale pracuje tam stale ekipa nadzorowana przez Jimmy'ego lub Larsa, który okazał się bardzo skutecznym współpracownikiem. Był zaskoczony ogromem wykonanej już pracy,

powiedział mi, że w ciągu dwudziestu pięciu lat spędzonych w Kostaryce nigdy nie widział, by Ticos tyle harowali i wyglądali przy tym na zadowolonych.

Nie przesadzam z rytmem pracy, liczę na maszyny i nie chcę wykończyć pracowników. Z drugiej strony nie zamierzam nikomu robić prezentów, dopóki żywię jakiegokolwiek wątpliwości. Pracujemy tylko tyle, ile trzeba, żeby pokryć koszty materiałów i wynagrodzeń.

Każdy nowo zatrudniony musi odbyć praktykę w dziurze. Fabio był bardzo zaskoczony: przyjechał z wyniosłą miną, dumny ze swego statusu mechanika, ale szybko dowiedział się, że w Quebrada del Frances na wszystko trzeba zasłużyć. Następnego dnia po przyjeździe patrzył z góry na pozostałych, uwijających się w błocie.

— A ty co tu robisz — pytam go — nie masz roboty?

— Zatrudniono mnie jako mechanika! W Malessie powiedziano mi, że będę głównym mechanikiem.

— Nie jesteśmy w Malessie, jazda do wody i módl się, żeby coś znaleźć, jeśli chcesz z niej wyjść.

Księgowy również przeszedł tę równościową kąpiel. Jest to czystej krwi Indianin, ale długo studiował, jest bardzo szczupły, na granicy chudości, ma ręce jak druty i elastyczny chód, który zyskał mu przydomek Różowa Pantera. Ma dość długie włosy, zawsze starannie uczesane, regularne rysy twarzy i nosi okulary intelektualisty. Jest nieśmiały i niewiele mówi; dobrze wychowany, nigdy nie używa ordynarnych słów; to łagodny marzyciel, który zabłąkał się w ten chamski świat.

Na początku musiałem go chronić i przydzielić mu osobny pokój, bo jego kobiece rysy zainteresowały Barbasa i Cunado. Został zaangażowany jako księgowy, ale będzie tu robił wszystko oprócz prowadzenia ksiąg, które obchodzą mnie tyle co zeszłoroczny śnieg. Ponieważ nie był w stanie podnieść łopaty, ustawiłem go przy canoa, tłumacząc mu grzecznie, że oczywiście może zajmować się księgowością, ale poza godzinami pracy. O ile początkowo był spokojny i cichy, szybko stał się równie brutalny i wulgarny jak inni. W miarę, jak rozwijały się jego mięśnie, stawał się bardziej pewny siebie. Wyzwolił się w nim złośliwy i niebezpieczny instynkt, i teraz nie jest bezpiecznie odwrócić się do niego tyłem, jeśli mu się naraziło. Początkowo prowadził swoje księgi, ale po paru tygodniach nadużywanie alkoholu i trawki

spowodowało, że zamieniły się one w prawdziwy chlew, a w końcu po prostu je wyrzucił.

Jego i Fabia nie ominęły zwykle w takich przypadkach żarty pracowników. Fabio, jako zawodowy mechanik, został poproszony o uruchomienie generatora prądu, pod uważnym spojrzeniem zgromadzonych kolegów, którzy tarzali się z radości, kiedy korba rozcięła mu policzek. Również Różowa Pantera, któremu Chiche zaproponował wypróbowanie swych sił, nie miał więcej szczęścia. Przez tydzień chodził z wargami jak dwie czerwono fioletowe parówki, ku wielkiej radości White, który miał wrażenie, że spotkał pobratymca. White wyznał mi, że tym, co go przeraża, kiedy bierze pod uwagę możliwość śmiertelnego wypadku, jest myśl, że zamiast go oplakiwać, naśmiewano by się z niego, i że uważany byłby za idiotę. Śmierć jest do zniesienia tylko wtedy, kiedy człowiek traktowany jest serio.

Dla Puntarenas praktyka była inna. Ten zawsze uśmiechnięty żartujący facet jest rybakiem z Drake. Przyszedł do nas z piłą mechaniczną, żeby ciąć deski. Kiedy mieliśmy ich już dość, poprosił mnie o pozwolenie pójścia do dziury; pozwolenie natychmiast otrzymał. Niestety, ma on tylko metr trzydzieści wzrostu, i w dziurze nie miał gruntu. Pomimo dobrej woli nie mógł się tam na nic przydać, bo woda sięgała mu do ust, a ponieważ nie potrafi przestać się śmiać, łyknął parę sporych haustów: musiałem przenieść go do canoa, bo byłby się utopił. Jego wiecznie dobry humor zyskał mu sympatię wszystkich, a poza tym potrafi wymóc szacunek.

Piątym nowym pracownikiem jest Glandulon, syn eksporucznika Villanuevy. Jest równie głupi, co silny, a krzepę ma niesamowitą. Jest tępy i łatwowierny, i pozostali wykorzystują jego prostoduszność, choć nie za bardzo, bo potrafi tęgo dołożyć. Jest prawdopodobnie jedynym w tym towarzystwie, który ma uczciwą przeszłość, ale jego ojciec równoważy to z nawiązką. Dawniej był rzeźnikiem, co bardzo się nam przydaje, bo dzięki strzelbie Maria zwierzyny nam nie brakuje. Glandulon zje bez opamiętania i jest jednym z nielicznych, którzy z własnej woli jedli koninę. Żeby mięso z zabitego konia się nie zmarnowało, musiałem kazać je ususzyć i domieszać do dziczyzny. Glandulona nic nie dziwi i wszystko jest dobre dla jego żołądka, nawet kot Barbaroi, który do nas wrócił.

Pojawił się któregoś dnia, kiedy byliśmy wszyscy przy stole, moja kula urwała mu tylne łapy i ciągnął za sobą kikuty miaucząc przeraźliwie: w jednym rana zabił się i widać było białą suchą kość, drugi natomiast wdała się gangrena i smród rozchodził się okropny. Mówi się, że koty mają niesamowitą odporność, wierzę w to, odkąd zobaczyłem ten widok. Czołgał się tak już od tygodnia i szybko wyzwoliłem go od cierpień — chyba po to przyszedł. Jeden Glandulon skusił się na spróbowanie smaku jego mięsa, innych mdliło na sam widok. Dopóki ten facet jest w pobliżu, a któryś z pracowników miałby wypadek śmiertelny, trzeba byłoby sprawdzić, czy ciało jest nienaruszone, zanim się je pochowa.

* * *

Dzięki skidderowi, który stara się zapracować na benzynę, jaką zużywa, ulepszyłem drogę, która do nas prowadzi, i mogłem sprowadzić samochód. Ma on teraz opony od traktora i przypomina gigantycznego owada. Ma też piętnastocentymetrowe kolce i dzięki nim jest jedynym samochodem, zdolnym do pokonywania naszych gór. Od tej pory po posiadłości poruszam się wyłącznie samochodem; White, którego zdolności dyplomatyczne i wysiłki zmierzające do otrzymania wypoczynkowej roboty zasługują na nagrodę, jest moim kierowcą podczas objazdu poszczególnych miejsc pracy. Na każdym postoju White staje na fotelu kierowcy, odczytuje chłopakom fragment z Biblii, po czym wyrzywa kartkę i robi ogromnego skręta, który zapalam i puszczam w obieg. Za każdym razem White pociąga sobie parę razy i pod koniec dnia, całkowicie otumaniony, z ledwością omija drzewa. Nie jesteśmy już tak odizolowani od świata jak dawniej i dopóki trwa pora sucha, łatwo jest przejechać samochodem do Puerto Jimenez, odległego o czterdzieści pięć kilometrów. Dobry kierowca może obrócić w ciągu jednego dnia i często Jimmy, White, Barbas lub Fabio jadą tam jeepem, żeby sprzedać w banku złoto albo zrobić zakupy. Jadą zawsze przynajmniej we dwóch; w razie wypadku lub awarii jeden idzie po pomoc, a drugi pilnuje sprzętu. Jimmy przekazuje moją kopertę nowemu szefowi policji, u którego kupuje zresztą całą naszą kokainę. Pozwala mi ona cierpliwie czekać, choć chciałbym, żeby robota posuwała się trochę szybciej.

* * *

Od czasu do czasu, aby chłopcy nie zmiękli i żeby zwiększyć trochę zasoby złota, zarządzam pracę na okrągło. Przez tydzień zapędzam wszystkich nad rzekę, pracują na trzy zmiany po osiem godzin. Co do mnie, to wspomagany kokainą prawie nie śpię, tylko godzinkę od czasu do czasu; wpływa to odpowiednio na mój zły humor i moje wrzaski przerażają wszystkich. Kiedy postanawiam wreszcie przerwać to tempo, wszyscy odczuwają ulgę aż do następnego razu.

* * *

Któregoś wieczoru czuję chęć zmiany wyglądu i golę sobie głowę. Rano wszyscy patrzą na mnie z ukosa, nie wiedząc, czy się śmiać, czy nie. W południe biorę parę nożyczek i wołam Puntarenasa, jedyne, który otwarcie się śmieje. Z uśmiechem na ustach siada przede mną. Kilka cięć nożyczkami, potem wykończenie brzytwą i Puntarenas zmienia twarz. Teraz kolej na Cunado, wreszcie przechodzą przez to wszyscy. Niektórzy na początku ociągają się, ale w końcu dobry humor zwycięża i zaczynają się przepychać pod nożyczki. W krótkim czasie wszyscy ostrzyżeni są na zero. Obcinają sobie włosy nawzajem, i pojawienie się każdej nowej ogolonej głowy witane jest okrzykami.

Niektórzy wyglądają korzystnie, inni mniej; Miguel — jakby miał na szyi wielką dynię, natomiast czaszka Cunado wygląda jak kutas z uszami. Robi się świąteczna atmosfera, jest bardzo przyjemnie, dotykają sobie nawzajem głowy albo ocierają się czaszkami, rozbawieni tym nowym dla nich uczuciem, pokazują się wzajemnie palcami, zaśmiewając się przy tym. Prawie wszyscy mieli długie włosy, które leżą teraz rozrzucone po całej sali, są tego kilogramy: Puntarenas proponuje, żeby zrobić z nich koc i zawiesić na ścianie wraz z innymi trofeami, Barbas wypełnia włosami koszulkę, żeby mieć wygodną poduszkę.

Widok tych dwudziestu pięciu gładkich, okrągłych głów jest niesamowity. Jeden White ostrzyżony jest na Irokeza, co nadaje mu zresztą bardziej inteligentny wygląd. Jimmy, pod pretekstem odstających uszu, uniknął golarki, jako jedyny; oszczędziłem go, bo często jeździ do miasta. Strzygę natomiast trzech facetów z Vanegas, którzy przyszli do nas na kilka dni; pod wpływem ogólnego entuzjazmu z chęcią poddali się temu zabiegowi. Później dowiem się, że po ich powrocie ich żony płakały, a wioska traktowała ich jak zadzumionych. Teraz już narzuciłem nową modę, ten zespół

ogolonych czaszek dodaje nam splendoru: stało się to już — bardziej niż mundur — znakiem wyróżniającym i przedmiotem dumy.

* * *

W tym czasie życie w obozie stało się lżejsze i w każdą sobotę katujemy się w sposób zorganizowany.

Kazałem wykarczować kawałek terenu i zbudować dwie bramki. Jimmy przywiózł z Golfito piłkę futbolową i pracownicy, podzieleni na dwa zespoły, rozgrywają przyjacielskie spotkania. Nie jest to określenie ścisłe, bo mecze mają przebieg wyjątkowo brutalny. Jako prawdziwi Latynosi wszyscy pasjonują się piłką nożną, ale poza mną, którego futbolową karierę przerwało nieszczęśliwe wyrzucenie z zespołu, nikt tak naprawdę nie miał piłki w ręku. Całość przypomina mieszaninę rugby i boksu, bo reguły są bardzo elastyczne. Wykorzystując szacunek, jakim darzą mnie wszyscy, strzelam gola za golem, kopiąc wszystko na mojej drodze; najgorzej ma pierwszy, który odważy mi się oddać — będzie pracował na trzy zmiany przez tydzień.

Między sobą chłopaki nie mają zahamowań i mecze najczęściej kończą się ogólną bijatyką. Nikt już nie odważa się sędziować, bo pierwsi śmiałkowie napotkali dość brutalny opór wobec swoich decyzji. Tak czy inaczej, zawsze wygrywa moja drużyna, bo zabroniłem przeciwnikom strzelać zbyt wiele bramek pod karą pozbawienia weekendowego wypoczynku: nie znoszę przegrywać i oni o tym wiedzą.

Początkowo na mecze zarezerwowane były sobotnie wolne popołudnia, później jednak rozgrywane są kilka razy w tygodniu, kiedy się nudzę albo kiedy pracownicy są zbyt zmęczeni. W czasie jednego z takich meczów, kiedy to King stara się przekonać Barbasa, żeby nie strzelał gola, widzę nagle jak na drodze prowadzącej z Guerra pojawia się mała blond pupcia, a nad nią równie blond główka: Sophie!

* * *

Moja ulubiona nimfomanka, we własnej osobie. Wyjaśnia mi, że ma tydzień wakacji i że przyjechała prosto z Frankfurtu, żeby się ze mną zobaczyć. Dziesięć tysięcy kilometrów plus przejście pieszo przez dżunglę, wszystko po to, żeby być traktowaną jak pies; świadczy to albo o wyjątkowym zamiłowaniu do przygód, albo o sporej dozie masochizmu.

Bawi mnie ta feministka, przyjeżdżająca po to, żeby dać się traktować z góry i maltretować z dala od ludzkich oczu. Bo nie widzę innego powodu: nie chcę się głupio chwalić, ale dzięki moim licznym doświadczeniom jestem w stanie zadowolić każdą kobietę, która na to zasługuje, lecz mój egoizm i mizoginizm skłaniają mnie przede wszystkim do poszukiwania własnej przyjemności: wystarczająco dużo przeżyłem, żeby wiedzieć, że nie muszę już niczego udowadniać. Więc fakt, że Sophie wraca tu po tym, jak ją potraktowałem, stanowi dla mnie co najmniej zaskoczenie; trzeba też powiedzieć, że mnie podnieca. Nie daję jej czasu na odpoczynek, zabieram pod prysznic i myję pod mocnym strumieniem. Kiedy jest już czysta, wyjaśniam jej subtelności futbolu strzelając parę bramek wbrew naturze; całe szczęście, że już się wylizła po ostatnim razie. Przyznajcie, że jestem gościnnie: mycie i załatwienie od tyłu w piętnaście minut po przyjeździe, kto może zaoferować więcej?

Cieszę się, że mam nową zabawkę na otwarcie mojego nowego domu, i noc spędzam na oznaczaniu mojego terytorium. W ciągu dnia, częściowo schowany za drzewem, nadzoruję prace nad rzeką, dosiadając jednocześnie mojej pani, uczeptionej pnia drzewa. Następnej nocy ponawiam swoje zabiegi. Rano Sophie opuszcza mnie, czy raczej ucieka korzystając z wyjazdu Jimmy'ego do Puerto Jimenez. Tym razem nie trwało to długo, i byłbym zdziwiony, gdyby jeszcze raz tu wróciła.

* * *

Praca nad rzeką przebiega w zwolnionym tempie i nie wiem już, co mam jeszcze kazać zbudować. Nudzę się i teraz co tydzień wybieram się do miasta. W każdą sobotę rano jadę do Jimenez z piętnastoma pracownikami, którzy wymieniają się za każdym razem. White, urodzony kombinator, zawsze jakoś załatwia sobie miejsce drogą różnych zamian. Bez niepokoju zostawiam obozowisko pod opieką Maria: nasza reputacja, liczne tablice ostrzegawcze oraz sposób, w jaki przyjmuje się nielicznych przybyszów, zapewniają nam spokój.

Wyjeżdżamy samochodem, Jimmy prowadzi, ja siedzę obok, a pozostała piętnastka tłoczy się z tyłu. Jest to ładunek maksymalny, siedzą wszędzie, na siedzeniach, na zderzakach, niektórzy jak winogrona uczeptioni są drążków podtrzymujących plandekę dachu; jest to epicka podróż.

Od czasu do czasu wstrząsy powodują, że któryś spada i musi wówczas biec za samochodem aż do następnego wzniesienia. Kiedy droga wiedzie pod górę, żeby ulżyć silnikowi wszyscy wysiadają i biegną aż na szczyt, gdzie znów wciskają się do środka. Samochód ma problemy z akumulatorem i nie zatrzymuje się nigdy: niejedną raz któryś z pracowników nie zdążył i został sam w środku lasu. Początkowo docierali cali ubłoceni, ale szybko opanowali technikę: teraz wyjeżdżają wszyscy w szortach albo slipach, trzymając czyste rzeczy w torbie plastikowej; przy przejeździe przez ostatnią rzekę samochód zatrzymuje się; tu myją się, odpicowują i ubierają, żeby w mieście być na sto dwa.

Te dwudniowe zabawy odbywają się całkowicie na mój koszt, i jestem hojny. Pierwsza rzecz, jaką robię, to zaprowadzenie wszystkich do burdelu Indija w Jimenez. Jest to obskurna rudera, w której pracują cztery grube, obrzydliwe kurwy. Moi ludzie, doskonale sobie radzący w bijatykach, stają się zupełnie nieśmiali wobec kobiet: zabawne jest widzieć, jak stoją w kolejce z rącznikiem w ręku; śmieją się, przechwalają, ale kiedy nadchodzi moment przekroczenia progu czerwienią się jak dzieci i zwracają się do kurew per pani.

Wielokrotnie, zwłaszcza na początku, rozzłoszczone kurwy muszą łapać ich za rękaw i zmuszać do spełnienia obowiązku. Później z ich opowieści wynika, że dogodzili panienkom jak nikt inny. Cunado chwali się, że załatwia sprawę językiem; kiedy okazuję swoje obrzydzenie, odpowiada mi z wielkopańską miną:

— Dla mnie kurwa to przede wszystkim dama.

Ładna mi dama! Po przejściu pięćdziesięciu facetów to już nie dama, to obfity posiłek. W końcu wyznaje mi swój prawdziwy powód:

— Rozumiesz, jak widzą mojego, to wszystkie odmawiają. Teraz rozumiem jego miłość do klaczy.

* * *

Kilka tygodni później Cunado, który obchodzi właśnie swoje urodziny, zostaje uroczyście zaproszony do burdelu. Siedzę w barku z pracownikami, którzy już zrobili swoje, kiedy do pokoju wpada rozebrana kurwa obrzucając wyzwiskami Cunada, który idzie za nią z miną nieszczęśliwego chłopca, z rącznikiem owiązanym dookoła bioder, a jego anomalia obija mu się o łydki.

— Don Juan Carlos — mówi mi smutno — ona nie chce.

— Pomóżcie mu trochę — mówię do swoich ludzi, którzy pokładają się ze śmiechu. — Taki brak poczucia obowiązku zasługuje na karę.

Chcąc zrobić przyjemność swemu kolesiowi, White, Chiche, Fabio i Miguel chwytają panienkę i przytrzymują ją na ziemi z rozłożonymi rękami i nogami. Ofiarując mu w ten sposób prezent śpiewają mu jednocześnie „*Sto lat, sto lat*”. Cunado, wzruszony do łez taką życzliwością, i podniecony kokainą, rzuca się na prezent i pracuje, ile sił w łędźwiach. Wrzaski kurwy i pieśń ryczana na cały głos ściągają ciekawskich, którzy obserwują to rzadkie zjawisko śmiejąc się; nawet barman, z początku zaszokowany, przyłącza się do chóru.

Po tym wydarzeniu Cunado i spora część moich ludzi mają zakaz wstępu do burdelu i nie jeden raz trzeba będzie wyważać drzwi.

* * *

W każdy sobotni wieczór odbywa się w Jimenez bal, w Rancho de Oro albo innym barze. Przybycie wojskowym samochodem piętnastu mężczyzn z ogolonymi głowami zawsze wzbudza sensację. Wszyscy podziwiają jeepa a moi ludzie, bardzo dumni, udają, że nic ich nie obchodzi. Szybko stajemy się znani i bardzo często, kiedy wchodzimy na salę, piosenkarz ogłasza przybycie „*ludzi z Quebrada del Frances*” co wbija w dumę moich pracowników. Trzeba powiedzieć, że nie są oni dyskretni i zachowują się niezupełnie poprawnie: abstynencja seksualna, alkohol i potrzeba prowokacji sprawiają, że dotykają każdej dupy, która pojawia się w zasięgu ręki; często wybuchają bójki, szybko ukrócone dzięki naszej reputacji i liczebności. Nie żeby mieszkańcy Jimenez nie mieli ochoty komuś dołożyć, ale boją się nas i to zapewnia nam bezkarność.

Siedzimy przy stoliku, raz przynajmniej jest spokój, kiedy nagle przed nami wybucha sprzeczka między jakimś mężczyzną a kobietą. Ta ostatnia policzkuje go z całej siły, a mężczyzna, prawdopodobnie powstrzymywany wpojonymi od dzieciństwa zasadami, usiłuje ją uspokoić, nie ośmielając się podnieść na nią ręki. W końcu jednak, doprowadzony do ostateczności, wymierza jej fantastyczny policzek, który sprawia, że babka rozciąga się jak długa. Jacyś faceci doskakują do niego i wyciągają go na zewnątrz. Inni rzucają się, żeby mu pomóc, i w kilka minut cały bal zamienia się w rozległe pole bitwy: osiemdziesiąt osób, zachwyconych nadarzącą się okazją, usiłuje wypruć sobie nawzajem flaki. Krzesła, stoły i butelki latają na wszystkie

strony, pole walki rozszerza się i bitwa przenosi się na dwór: siedzimy nieco na uboczu w samochodzie, mamy najlepsze miejsca do podziwiania przedstawienia. Akurat naprzeciwko nas kobieta, poszukiwaczka złota o ogromnych łapach, chwyta facetów jednego po drugim i rozkłada ich jednym ciosem pięści. Wszędzie dookoła jeden wali drugiego bez zdania racji, wyłącznie dla przyjemności wyżycia się.

Pomału bijatyka przemieszcza się i wkrótce znajdujemy się w jej centrum; uszkadzają nam lakier i próbujemy ich odsunąć, najpierw grzecznie, potem potężnymi kopniakami w głowę. Księgowy, z tą swoją całkiem łagodną buzią, przyblokował jednego pod samochodem i trzymając go za włosy rozwała mu głowę z fleka.

Rozlega się pierwszy okrzyk „*Śmierć obcym!*”, potem drugi „*Śmierć Francuzowi!*” i w ciągu kilku minut wszyscy godzą się znajdując wspólnego wroga. Ponieważ wyglądają groźnie i mówią o wywróceniu samochodu, wyciągam broń i trzymam ich na muszce, a za moim przykładem idą Jimmy i wszyscy ci, którzy zabrali spluwy, podczas gdy pozostali pchają wóz, żeby silnik mógł zapalić. Kiedy wsiadamy, ponownie rozlegają się wyzwiska, po czym leci parę butelek. Za kierownicą siedzi Jimmy, który ma już zdrowo w czubie, przejeżdża dziesięć metrów, po czym krew go zalewa: zawraca i na pełnym gazie pędzi prosto w zgromadzony tłum. Kiedy ludzie odsuwają się obrzucając nas wyzwiskami, bez uprzedzenia wyciąga broń i strzela na oślep. W dwie sekundy wszyscy leżą na ziemi i zapada cisza; odjeżdżamy wśród okrzyków przerażenia.

Kiedy wjeżdżamy na podwórze hotelu, w którym każdego weekendu mamy zarezerwowanych sześć pokoi, chowam całą nie zarejestrowaną broń; szef gliniarzy jest przekupiony, ale jeśli został ktoś zabity przy świadkach, nie będzie mógł wiele zrobić. Jimmy wytrzeźwiał i gryzie paznokcie ze zdenerwowania, pozostali faceci rozkładają się byle gdzie, żeby trochę pospać, a Miguel zostaje na straży. Rano idę zasięgnąć języka i dowiaduję się, że gliniarze nawet się nie pofatygowali na miejsce. Od tej pory nikt nas już w Jimenez nie zaczepia, ale pracownicy zawsze trzymają się razem.

* * *

Każdego weekendu zabawa trwa tak długo, aż wszyscy padną pijani w trupa. Wracamy w poniedziałek rano około piątej. Budzę najmniej zalanych kopniakami i pomagają mi załadować pozostałych do samochodu.

Kiedy przyjeżdżamy do kopalni, posyłam wszystkich do pracy: nie mogą ustać na nogach i z samochodu do dziury przenoszę ładunek nieprzytomnych ciał, które bez ceregieli wrzucane są do, wody przez pracowników pozostałych w kopalni.

Ci ostatni znają zasady gry, bo sami ich doświadczyli na własnej skórze, toteż zaledwie zobaczą samochód, już pędzą do dziury czekając na wyładunek. Pilno im dać upust swej zazdrości wobec powracających, zgarniają ich i z całej siły ciskają do wody, trzy metry dalej. Zimna woda ma właściwości trzeźwiące, ale niektórzy są rzuceni niecelnie i nie zawsze lądują w wodzie; Chiche rozbija sobie raz głowę o skałę. Raphael w upojeniu alkoholowym pływa na powierzchni, chłopaki wyciągają go na wpół utopionego i kładą na kamieniu, żeby wysechł; budzi się dopiero pod koniec dnia.

Pomimo tego wszystkiego weekendowa zabawa jest dla nich koniecznością. Wiedzą, że na zewnątrz wszystko jest dozwolone, i za każdym razem starają się zrobić więcej. Za którymś powrotem, w niedzielę rano, kiedy wyjątkowo nie byli pijani, zgarnęliśmy po drodze wszystkie zwierzęta domowe. Faceci uganiaли się za kurami i prosiakami, możecie mi wierzyć, że wieczorem mieliśmy królewską ucztę. Ścigani przez wściekłą maciorę złapali mlecznego prosiaka, którego postanowiłem podtuczyć. Stało się już rytuałem, że zarówno jadąc tam, jak i z powrotem, rozwalam ogrodzenie Demesia; nie zrażając się tym, że za każdym razem je naprawia.

* * *

Znów przyjechał do nas Herman, przywiózł nam aparat nadawczo–odbiorczy. Przedmiot według mnie całkiem niepotrzebny, a według niego bardzo drogi. Z Hermanem przyjechał jego syn, chłopak dwunastoletni, któremu przytrafia się niesamowita zupełnie rzecz, bo znajduje w canoa bryłkę o wadze stu pięćdziesięciu gramów.

Nasze stosunki zmieniły się i rozmowa jest trudna. Jak długo będę miał wątpliwości, nie będę w stanie rozmawiać z nim normalnie. Kiedy patrzę na niego, zaraz myślę, czy przypadkiem wszystkiego sam nie ukartowałam, i mam ochotę go zabić. Słyszał o naszych wypadach do Jimenez, o burdelu, jaki tam wprowadzamy, i przejawia pewien niepokój.

— Wydobyłeś trochę złota?

— Tak, trochę.

— Masz coś dla mnie?

— Nie, wydobywam tylko tyle, ile potrzeba na opłacenie kosztów utrzymania obozu i przyjemności.

— W takim razie bardzo mało pracujesz, dlaczego?

— Chodź, to ci wyjaśnię.

Prowadzę go nad rzekę i pokazuję pionową ścianę, która wznosi się na sześć metrów nad dziurą.

— Popatrz — mówię mu — w każdej chwili może się to zawalić. Jeśli runie, z całą pewnością stracę pięciu albo sześciu ludzi. Nie mam ochoty poświęcać moich pracowników dlatego, że nie jesteście w stanie dotrzymać swoich zobowiązań. Ręcznie pracować tu już nie można, potrzebujemy maszyn: dopóki nie dostaniecie zezwolenia, produkcji nie będzie.

Nie żebym nagle zaczął pilnie przestrzegać prawa, ale nie chcę spędzić reszty życia w górach. Najlepszym sposobem wykorzystania tej kopalni dla mnie byłoby teraz sprzedać ją jakiemuś wielkiemu przedsiębiorstwu za wiele milionów dolarów. Do tego potrzebuję legalnych dokumentów, nie mogę walczyć z Ministerstwem Geologii i Górnictwa.

Herman nie zabawia długo i odjeżdża z obozu. Po dwóch tygodniach wraca, żeby naprawić radio, które dyskretnie popsulem. Łączy się z nami codziennie i ta stała kontrola denerwuje mnie.

Pijemy właśnie kawę, kiedy na drodze pojawia się ciężarówka pełna ludzi. Nie licząc naszej, jest to pierwsza, która tu przyjeżdża. Ignorując tablice ostrzegawcze, kierowca wysiada i podnosi szlaban. Mario jest w kuchni, więc wysłałam White'a, żeby ich zatrzymał, ale nie słuchają go i zbliżają się. Nie wiem, kto to jest, ale nauczą się, że nie można bezkarnie rzucać mi wyzwania. Celuję i strzelam do kierowcy, żeby zatrzymać ich w sposób radykalny. Ciężarówka natychmiast staje, a kierowca daje nura pod kierownicę. Jego sąsiad wyskakuje z szoferki i wrzeszczy:

— Nie strzelajcie! Herman! Ej! Herman!

— Nie strzelaj — mówi mi ten ostatni matowym głosem — to Adriano.

Adriano Caracas, syn Juana, enfant terrible całej rodziny. Był najemnikiem w Nikaragui i ma niedobrą reputację; powszechnie znane są jego oszustwa, które uchodzą mu na sucho ze względu na rodzinne powiązania. Jimmy zna go i opisał mi go jako niebezpiecznego faceta. Czego tutaj szuka ta zmija?

Mężczyźni wysiadają z ciężarówki. Pierwszy idzie Adriano. Jestem zaskoczony, bo to karzeł ze starannie przystrzyżoną bródką, zdradzającą kompleksy. Za nim postępuje olbrzym dwumetrowego wzrostu, gruby i tłusty, jego ciało trzęsie się jak galareta. Na pierwszy rzut oka wygląda jak pierwszy lepszy gringo, ale jego żywy i przenikliwy wzrok zdradza nieprzeciętną inteligencję. To Carano, Amerykanin poszukiwany przez Interpol który sprzedaje swoje usługi przestępczej gałęzi rodziny Caracas. Dalej idzie dwóch gringos jako ochrona osobista, cali w tatuażach, paskudne mordy, prawdopodobnie najemnicy albo recydywiści. Za nimi około dziesięciu Ticos o zdecydowanych minach; wykonawcy. Banda Adriano w komplecie.

Są dosyć znani i niedawno zrobili nad Rio Tigre skok na parę milionów dolarów. Ta gałąź rodziny słynie z tego, że posługuje się poszukiwanymi przez policję Amerykanami, z których najbardziej znany był Robert Vesco. Udzielają im azylu politycznego i wnioski o ekstradycję są zawsze odrzucane. W zamian za ochronę wykorzystują ich inteligencję do opracowywania bezkarnych oszustw. Kto chciałby się temu przeciwstawić, ryzykuje, że skończy w więzieniu albo na dnie jakiegoś rowu.

Nie wiem jakie są zamiary Adriano, ale mimo że jest synem prezydenta nie będzie się tu rządził, i on to czuje. Myślał, że chroni go nazwisko i że będzie mógł nas tu zastraszyć, więc na pewno nie oczekiwał takiego przyjęcia. Moja pierwsza reakcja na ich przyjazd, prawie całkowity brak zainteresowania, kiedy się przedstawił, i moich dwudziestu pięciu ludzi o ogolonych głowach, którzy przyglądają się przybyszom w milczeniu, wszystko to wskazuje, że przegrał tę partię.

Podczas gdy rozmawia z Hermanem, zachowuję milczenie. W kaburze mam czterdziestkę czwórkę, a trzydziestkę ósemkę za pasem; widok ten, moje milczenie i ta ogolona czaszka, która bynajmniej nie łagodzi mojego wyrazu twarzy, sprawiają, że czuje się nieswojo i często rzuca na mnie krótkie spojrzenia. Carano, który założył ciemne okulary, również obserwuje mnie spod oka. Kiedy się oddalam, Adriano pyta:

— Ten francuski najemnik, to ten?

W jego głosie dzwięczy nienawiść. Nie zamieniliśmy jednego słowa, żadnej sprzeczki, ale utracił twarz wobec wszystkich. Jest blady od powstrzymanej wściekłości: czuje się mały i zdaje sobie sprawę, że tutaj jego nazwisko nie uchroni go od kopa w tyłek.

Przyjechał tu jako zdobywca, a teraz prosi mnie za pośrednictwem Hermana o pozwolenie zwiedzenia kopalni.

— Zgoda — mówię — ale idę z nimi.

Adriano, Carano, obaj gringos i Valverde, skorumpowany adwokat z ministerstwa, wchodzi do dżungli. Cały czas nie otwieram ust. Podczas gdy Herman pokazuje im dziurę, cała piątka siedzi na pniu drzewa, a ja stoję za nimi, stale milcząc. Wreszcie, po dziesięciu minutach, nieswojo czując się Adriano daje znak do odejścia i szybko opuszcza dżunglę. Kiedy stoją wszyscy razem, liczę ich i wydaje się mi że jednego brakuje: biorę karabin Jimmy'ego i daję go Larsowi.

— Idź zobaczyć, czy któryś z tych skurwysynów nie został nad rzeka. Jeśli go zobaczysz, wsadź mu kulę w łeb bez ostrzeżenia.

— Z przyjemnością — odpowiada — nie mogę znieść widoku tych skurwieli.

Scena ta nie uszła niczyjej uwagi i atmosfera staje się ciężka. Wkrótce po powrocie Larsa, zasmuconego, że nikogo nie znalazł, wszyscy wsiadają na ciężarówkę i odjeżdżają.

* * *

Jadę za nimi aż do Vanegas jeepem, żeby raz jeszcze przyjrzeć się mojej twarzy, po czym zawracam. Tym razem mam wrażenie, że niewiele brakowało. To nie były wymoczki, jak większość gości, którzy nas zwykle odwiedzają: ci faceci nie wyglądali na takich, którzy cofają się przed niebezpieczeństwem. Carano to człowiek o dużej inteligencji, zabrakło im tylko przywódcy, takiego prawdziwego. Adriano chowa się za swoim nazwiskiem: jego ojciec był prawdopodobnie kimś mocnym, ale on sam jest tylko uzurpatorem, gnidą, która jedzie na swojej reputacji z braku czegoś lepszego.

Moim zdaniem przyjechali zbadać teren: nazwisko Caracas, złowrogi wygląd ochroniarzy i pozostałych facetów, obecność Carana, prawne zabezpieczenie w postaci adwokata, wszystko to miało wystarczyć, jak sądzili, żeby zrobić na mnie wrażenie. Ale zamiast spotkać oczekiwanych paru wystraszonych i posłusznych chłopów, znaleźli się w obozie o paramilitarnej organizacji, pełnym wrogo nastawionych facetów, gotowych iść za mną w ogień. W tej sytuacji nie pozostało nic innego, jak tylko udawać,

że ich wojenna wyprawa miała na celu grzecznościową wizytę... Adriano prędko tego nie zapomni.

Jimmy jest bardzo zadowolony. On, którego cała rodzina Caracas od lat uważała za lokaja, tym razem stał po właściwej stronie barykady.

— Adriano zapytał mnie, czy strzeliłbyś do niego wiedząc, kim jest.

Odpowiedziałem, że tak, i zaschło mu w ustach.

Herman kipi z radości i opowiada o swojej rozmowie:

— Więc mówię mu: rozumiesz, Adriano, zdobyliśmy tę kopalnię przy użyciu broni i nikt nam jej nie odbierze, dlatego reagujemy gwałtownie.

Kto to jest „my”, grubasie? Naprawdę, jeden Tico wart jest drugiego. Wszyscy jednakowo szmatławi.

* * *

Zbliża się Wielkanoc i całkowicie zatrzymuję pracę nad rzeką. Czuję, że zbrocze może zawalić się w każdej chwili, a moi ludzie stali się już dla mnie czymś więcej niż tylko pracownikami.

Każdego roku o tej porze Herman organizuje święto dla swoich pracowników. Malessa ma drużynę piłkarską, która zdobyła wiele laurów, więc proponuje mi przez radio spotkanie między nią a reprezentantami Quebrada del Frances, żeby rozegrać przyjacielski mecz na boisku w Rincon. Przyjmuję tę propozycję z radością, bo moi chłopcy mają już dość bicia się między sobą.

W dniu spotkania jedziemy do Rincon. Połowa chłopaków jedzie w samochodzie, pozostali biegną z tyłu. Pracownicy z Malessy rozbili namiot i czekają na nas od wczoraj. Na moją prośbę Herman przywiózł buty i koszulki z nadrukiem, którego rysunek jest bardzo prosty: bryłka złota, a dookoła napis „*Quebrada del Frances Sport Club*”.

Przed meczem obie drużyny pozują do zdjęcia; kontrast jest uderzający. Z jednej strony zespół z Malessy: czternastu młodych ludzi z długimi włosami, swobodnych w sportowych strojach, uśmiecha się do fotografa. Z drugiej zespół z Quebrada: dwudziestu typów spod ciemnej gwiazdy, z ogolonymi czaszkami, z parodniowym zarostem, robi obsceniczne gesty do aparatu, przepychając się, żeby znaleźć się w pierwszym rzędzie.

* * *

Przed początkowym gwizdkiem sędzia, mieszkaniec Rincon, przeszukuje moich ludzi i konfiskuje rewolwery, noże i kastety, które przypadkiem zaplątały się w naszych kieszeniach. Następnie rozpoczyna się mecz.

Moje chłopaki mają po raz pierwszy na nogach buty futbolowe i nie są przyzwyczajeni do kolców. Wielu z nich, wśród nich Miguel, który ma bardzo szerokie stopy, szybko zdejmuje obuwie i gra dalej na bosaka albo w gumiakach. Drużyna z Malessy ma świetną technikę i zna zasady gry; moi ludzie zaledwie wiedzą, gdzie należy umieścić piłkę, ale za to mają aż nadto woli walki: o ile do przerwy Malessa prowadzi 2 do 0, my prowadzimy trzema rannymi do jednego.

Druga część spotkania przebiega w żywszym tempie, moja drużyna posługuje się najsubtelniejszymi podstępami, żeby wygrać: Miguel, stojący na bramce, nie przetrwał jeszcze faktu, że wlepiono mu gola; w czasie wznowienia dyskretnie łapie szczęśliwego strzelca i pozbawia go przytomności ciosem pięści w kark; w wirze walki Chiche myli piłki i z woleja wali w jądra przeciwnika; za każdym razem, kiedy ktoś z Malessy zbyt blisko zbliża się do naszej bramki, trzech obrońcy mocnymi, podstępnymi ciosami przekonują go o bezcelowości dalszych wysiłków. Choć przekupiony, sędzia musi usunąć kilku z boiska, ale wracają, kiedy patrzy w inną stronę: w pewnym momencie Quebrada ma dwudziestu graczy na boisku.

Przeciwnik jest jednak bardzo silny i im więcej ich unieszkodliwiamy, tym więcej bramek strzelają. Rozpaczliwa próba Eduarda, który biegnie z piłką w rękach, nie udaje się, choć White i Barbas starają się oczyścić mu drogę. Na szczęście utrata spodenek nie peszy Puntarenasa, który, korzystając ze swego niskiego wzrostu, omija obronę przeciwnika i kopie w kostkę bramkarza Malessy w momencie, kiedy drużyna tego ostatniego zajęta jest strzelaniem nam bramki. Wreszcie ci spośród przeciwników, którzy trzymają się jeszcze na nogach, odmawiają dalszej gry. Herman, widząc jak jego ludzie padają jeden po drugim, prosi o zakończenie spotkania. Kiedy arbiter, który schronił się poza boiskiem i opatruje swoje podbite oko, odgwizduje koniec meczu, gonię właśnie mechanika José, który potracił mnie łokciem, podczas gdy Mario, Cunado i Raphael, za pomocą serii kopniaków, tłumaczą coś księgowemu Pablo, który miał odwagę — czy czelność — wziąć udział w grze.

Mecz kończy się wynikiem 12 do 3 dla Malessy, podobno stosunek rannych wynosi 13 do 2 na naszą korzyść, ale tego się nie rejestruje.

Po tych pamiętnych chwilach daję pracownikom tydzień urlopu. Większość spędza go na południu, wydając swój zarobek na zabawy i pijaństwa. Mario załamał się, odmówił zostania tylko ze swoją rodziną w kopalni, więc go wyrzuciłem; jego miejsce zajął Puntarenas, bardzo zadowolony z tego nowego stanowiska, które pozwala mu zajmować się mną; sprowadził swoją żonę, starą czarownicę, starszą od niego o dwadzieścia lat. Pozostawiam mu pieczę nad obozem i jadę jeepem do San José w towarzystwie Jimmy'ego i kilku pracowników, którzy chcą spędzić swój wolny tydzień w mieście.

Zaraz po przyjeździe pozbywam się wszystkich, również Jimmy'ego, i dzwonię do Luisa, agenta Narkotyków, który miał zebrać informacje na temat moich poprzednich kłopotów.

Przez telefon jest trochę sztywny.

— Mam to, o co mnie prosisz — mówi mi — ale wolałbym nie rozmawiać przez telefon. Czy mógłbyś dyskretnie wpaść do mnie wieczorem?

— Oczywiście, o której?

— Najlepiej koło północy.

Nie ma potrzeby nic więcej mi tłumaczyć, domyślam się, co ma mi do powiedzenia. Wieczorem szybko przystępujemy do tematu.

— To, co ci powiem, jest poufne, obiecaj, że nigdy nie zdradzisz, skąd masz te informacje.

— Masz moje słowo.

— Dobrze. Dyskretnie przepytalem gliniarzy, którzy cię zatrzymali. To nie miało nic wspólnego z żadnym raportem. Rozkaz przyszedł od Altamiry, szefa Narkotyków. Kazał im pojechać do hotelu Astoria natychmiast, mieli tam zatrzymać jednego Francuza — podał im twój rysopis — który miał mieć paczkę trawki i rewolwer. Kazał im działać ostrożnie, bo facet niebezpieczny. Jak widzisz, nigdy nie było żadnego donosu z hotelu. Rozkaz przyszedł z góry. Czy to chciałeś wiedzieć?

— Dokładnie, bardzo ci dziękuję, Luis.

— Miło mi, że mogłem ci się odwdzięczyć; ale pamiętaj, zachowaj to w tajemnicy. Do widzenia.

A więc nie pomyliłem się: te skurwysyny rzeczywiście mnie zdradziły. Tylko Herman i księgowy wiedzieli o moim hotelu, nikt inny nie mógł przekazać tych informacji Altamirze. Ale który z nich? Pablo, z chęci osobistej zemsty? Herman, w ramach ogólnych intryg? Moim zdaniem obaj. To ciężki cios, uzyskane informacje stanowią dla mnie szok. Ciężka cholera! Dlaczego wszyscy muszą oszukiwać? W każdym razie nie ujdzie im to płazem, potrzebują tylko trochę czasu, żeby zabezpieczyć sobie tyły.

Ale podstawowe pytanie nie ulega zmianie: dlaczego to zrobili? Jaki mają w tym interes? Gdyby chcieli po prostu odebrać mi kopalnię, najprościej byłoby pozostawić mnie w więzieniu. A przecież to adwokat Hermana mnie uwolnił. I na co mogłoby się to im przydać, skoro postępowanie umorzono, a zatem nie ciąży już na mnie żadne oskarżenie? Nie bardzo sobie wyobrażam, żeby zdecydował się mnie wypuścić pod wpływem moich gróźb, doprawdy nie rozumiem ich postępowania.

Przez te kilka dni, które spędzam w San José, zastanawiam się nad najlepszym sposobem postępowania. Otrzymałem mocny cios, ale nie zmusi mnie on do ucieczki z kraju z podkulonym ogonem; nigdy nie odmawiam walki, wprost przeciwnie; a kiedy się mnie prowokuje, oddaję z nawiązką. Ale jaką powinienem przyjąć postawę? Moja kopalnia jest zbyt bogata, żeby wszystko popsuć w porywie złości; obcięcie jaj Hermanowi zapewne sprawiłoby mi przyjemność, ale jeszcze na to za wcześnie. Najlepiej nic po sobie nie dać poznać, czekać na dalszy rozwój wypadków, starając się przewidzieć, skąd nadejdzie następne uderzenie: zabawa zapowiada się niezła.

Mam jedną przewagę. Nie wiedzą, że przejrzałem ich grę. Jeśli dadzą mi czas na przygotowanie się, ja będę nadawał tempo. Żeby tylko dali mi czas!

* * *

Kiedy wyjeżdżałem w góry po upływie tygodnia, nie widziałem się ponownie z Hermanem. Po prostu przekazałem mu wiadomość o moim wyjeździe z prośbą o odsyłanie do kopalni moich pracowników, którzy z nim się skontaktują. Pomimo moich postanowień wiem, że nie byłbym w stanie rozmawiać z nim normalnie ani udawać; nie potrafiłbym się powstrzymać przed rozwaleniem o ścianę tego cholernego skurwysyna. Cała ta fałszywa gadka o przyjaźni, te uśmiechy, to rodzinne zaproszenie! Pomyśleć, że nie zawahał się przed wykorzystaniem Jimmy'ego, żeby mnie zrobić, ryzykując,

że chłopak dostanie pięć lat, pomimo ich starej przyjaźni. Któregoś dnia zapłaci za to!

* * *

Dwa dni przed moim wyjazdem kraj dotknęło dosyć poważne trzęsienie ziemi. Kawalki gór runęły na szosę panamerykańską, co bardzo utrudniło przejazdy z północy na południe. Epicentrum znajdowało się w Golfito, na pełnym morzu, i im bardziej zbliżam się do celu, tym bardziej niepokoję się o kopalnię. O ile w San José szkody nie są poważne, wiem, że dalej na południe niektóre regiony bardzo ucierpiały. Most w Palmar, którego metalowe przęsła zostały uszkodzone, otwarty jest dla ruchu tylko przez kilka godzin dziennie, a na drodze prowadzącej do Rincon w ziemi otworzyły się głębokie rozpadliny, z których wydobywały się siarczane opary. Im bardziej zbliżam się do kopalni, tym więcej widać szkód, osuwisk i powyrywanych drzew.

Kiedy dojeżdżam do obozowiska, stwierdzam z ulgą, że nie ucierpiało ono zupełnie. Ale bardzo podniecony Puntarenas prowadzi mnie na miejsce wydobywania. Katastrofa. Zbocze nie wytrzymało i całe obsunęło się do naszej dziury. Dziesiątki metrów sześciennych ziemi zasypało miejsce, gdzie kopaliśmy. To niewiarygodne szczęście, że trzęsienie ziemi miało miejsce akurat w tym czasie, kiedy kopalnia była zamknięta. Kilka dni wcześniej obsunięcie terenu z pewnością pogrzebałoby co najmniej dziesięciu moich ludzi. Mimo wszystko to ciężki cios, teraz już nie ma mowy o ręcznym wydobywaniu. Biorąc pod uwagę, jak mało jest tu wody, trzeba by tygodni pracy pompy ssącej, żeby oczyścić dziurę, a nadal istnieje niebezpieczeństwo, że pozostała część zbocza niespodziewanie się obsunie.

* * *

Jedyne, co mogę teraz zrobić, to czekać na maszyny. Przez radio, które działa o tyle, o ile, zawiadamiam Hermana o całkowitym wstrzymaniu wydobywania do czasu nadejścia sprzętu. Odpowiada, że ma nadzieję niedługo otrzymać tymczasowe miesięczne zezwolenie na mechaniczną eksploatację, ale praktycznie nadal nie widać żadnego postępu.

Żeby zabić nudę, każę kopać w różnych miejscach, żeby sprawdzić bogactwo mojej posiadłości w głębszych warstwach. Wyniki są wszędzie pomyślne, czasem znajdujemy nawet złoto na powierzchni. Ta kopalnia na to naprawdę coś fantastycznego, żeby tylko ci idioci w Malessie zostawili mnie

w spokoju, przynajmniej do czasu, aż nawiążę kontakt z ewentualnymi kontrahentami w Europie, zainteresowanymi pracą na wielką skalę na Osa; żeby tylko mi wszystkiego nie popsuli. Tak czy inaczej, czuję się w Quebrada del Frances u siebie i mam zamiar urządzić się tu wygodnie, nie zważając na ich machlojki.

Nadal trwa budowa jadalni, co napawa mnie wielką dumą, bo jest to największy budynek na półwyspie, rodzaj pomnika odpowiadający mojej manii wielkości: jego spiczasty dach wznosi się na wysokość siedmiu metrów. Lars, który zapewne obawiał się o wychowanie swego syna, stającego się pod wpływem moich ludzi prawdziwym bandytą, opuścił nas i mam cały dom do osobistego użytku. Kazałem sobie zbudować łóżko o szerokości trzech i pół metra, ale czuję się w nim nieco samotny. Celibat był dobry w okresie walki, przez pierwsze miesiące, ale teraz, kiedy zamierzam urządzić się w tych górach, nie mam już zamiaru żyć jak asceta. Poza tym, wobec tej ciągłej niepewności, prawdziwego miecza Damoklesa, nie wiem, jak długo potrwa ta przygoda, i chciałbym korzystać z niej do maksimum nie odmawiając sobie żadnej przyjemności: mam zamiar pomału założyć w tych górach harem.

* * *

Puntarenas i jego żona pochodzą z Osa i znają tu wielu ludzi. Rozsyłałam ich jako posłańców, głoszących wszędzie, że Don Juan Carlos chce się ożenić i gotów jest rozpatrzyć wszelkie propozycje pod warunkiem, że propozycje te są ładnymi dziewczycami i że nie mają więcej niż piętnaście lat.

Parę razy widziałem, jak koło obozowiska przechodziła dobrze zbudowana dziewczyna o urodzie zupełnie nadzwyczajnej jak na półwysep. Jest to bardzo miłutka Metyska. Puntarenas, który ją znał, poszedł do jej dziadka, z którym dziewczyna mieszka, żeby ogłosić mu dobrą nowinę:

— Don Juan Carlos interesuje się waszą wnuczką.

W kilka dni później stary przyprowadza mi wnuczkę do obozu. Zanim ją pozostawi, chce usprawiedliwić się moralnie omawiając warunki transakcji. Starego interesuje możliwość takiego związku: cieszę się w okolicy szacunkiem i ludzie wiedzą, że moja kopalnia jest bardzo bogata; zostać teściem osoby tak ważnej, jak ja, to dla niego społeczny awans.

— Nie mogę niczego obiecać — mówię mu. — Muszę najpierw ją wypróbować, żeby sprawdzić, czy jest godna zostać jedną z moich żon. Jeśli mi się spodoba, zostanie ze mną.

— O, na pewno będzie pan zadowolony. Jest bardzo dobrze wychowana i nigdy nie miała mężczyzny.

Mam nadzieję. Jest to zresztą warunek sine qua non, bo na Osa kazirodztwo jest rzeczą normalną, a ja nie chciałbym zostać następcą tego gadatliwego starucha.

Każę mi obiecać, że gdyby przypadkiem mi się nie spodobała, nie wyrzucę jej na ulicę jak jakąś kurwę, tylko mu ją przyprowadzę z powrotem. Pomijając uniżoność starego, te targi nie mają w sobie nic zdrożnego: dziewczyna nie jest traktowana jak krowa przyprowadzona do rzeźni, zdaje sobie sprawę z transakcji i przyszła z własnej woli. Nie mam w sobie nic z donżuana, ale jej normalna przyszłość to stać się z biegiem lat grubą Tică pracującą cały dzień, mającą za męża tępego chłopca robiącego jej dziecko każdego roku: moja propozycja stanowi dla niej jedyną okazję, żeby uniknąć takiego losu. Tego samego wieczora stary odchodzi do domu, po całym dniu nieustannego gadania.

Nie chcę działać zbyt szybko z Xionarą. Nie potrzebuję kurwy, dziewczyny, która będzie na mnie czekać w łóżku z nogami rozłożonymi pod przymusem. Moja ogolona głowa nie budzi spontanicznej miłości, i chcę, żeby dziewczyna najpierw przyzwyczała się do mnie. Dobrze wie, w co się wdała, ale jednocześnie trochę się boi, bo dotąd była czysta. Pierwszą noc spędza w domu Puntarenasa i jego senory, mianowanej na tę okazję przyzwoitką, a następnego dnia wszyscy razem jedziemy do Golfito na zakupy: daję Xionarze trochę biżuterii i parę drobiazgów, które interesują dziewczynę w jej wieku. Nawet w hotelu śpi w osobnym pokoju i dopiero parę dni po powrocie obozu dzielimy wspólne łóżko, na jej prośbę. Sprowadziłem z Puerto Jimenez pielęgniarkę, która wyjaśnia jej zasady zapobiegania ciąży i stosowania pigułki: nie chcę obarczać się dziewczyną w ciąży i nie mam zamiaru zaludniać półwyspu.

Xionara daje mi chwilę wytchnienia: w ciągu dnia powierzam ją opiece senory, która uczy ją dbać o moje rzeczy, służyć mi i odgadywać moje życzenia; wieczorem przychodzi do mnie. Na granicy panamskiej kazałem kupić francuskie perfumy i cienką bieliznę, nocne koszule i inne rzeczy, sprowadzone ze strefy wolnościowej Kanału Panamskiego. Dbam o nią tak, jak zasługuje na to perełka w takich górach. Powoli przystosowuje się do sytuacji i staje się kobietą. Troszczy się o wnętrze domu i mam teraz różowe

prześcieradła uszyte specjalnie na miarę mojego łóżka. Nie jest to romans, ale jest to przyjemne, bo dziewczyna dba o mnie równie troskliwie, jak ja o nią. Jest to przyjemne zjawisko w twardej rzeczywistości dżungli.

Życie obozu toczy się dalej i wreszcie, któregoś dnia, Herman zapowiada mi rychłe przybycie sprzętu; lepiej późno niż wcale. Nareszcie coś będzie się działo, znów ogarnia mnie gorączka działania. Również pracownicy są bardzo zadowoleni, bo beczynność zaczynała im ciążyć, przyzwyczaili się do szybszego tempa życia.

Kiedy data zostaje ustalona, pozostawiam obozowisko pod strażą Puntarenasa, Xionarę pod opieką senory i z piętnastoma ludźmi jadę odebrać sprzęt. Zatrzymujemy się w Los Modos, barze–pulperii w połowie drogi między Rincon a szosą panamerykańską, i czekamy. Czekamy cztery dni, cztery długie dni, podczas których moi ludzie z braku zajęcia rozglądają się za nowymi głupstwami do zrobienia, biegają za dziewczynami w okolicy i wywołują bójki.

Zajęliśmy bar, ku wielkiemu przestraszowi właściciela, który zastanawia się, jak to się skończy. Jego trzynastoletnia córka przesyła mi tajne sygnały. Któregoś dnia przejeżdżający jeep zatrzymuje się i wysiada z niego czwórka gringos. Dwóch facetów i dwie dziewczyny. Są w szortach i tenisówkach, typowi turyści poszukujący mocnych wrażeń, trochę przestraszeni własną śmiałością. Kiedy wchodzą, widok, jaki roztacza się przed ich oczami zapiera im dech w piersiach. Siedzę pośrodku sali, z ogoloną głową i czarną opaską na czole. Mam pod pachą czterdziestkę czwórkę i rewolwer 38 u pasa. Stojący za mną Morgon robi mi skręta, a Chiche czyści buty. Dookoła sali, na krzesłach lub na workach z ryżem, siedzą moi ludzie, również z ogolonymi głowami, większość ma za pasem pistolet lub w ręku karabin. Turyści wahają się chwilę, po czym przemierzają salę w kierunku baru, z wymuszonym uśmiechem na ustach. Dziewczyny czują na swoich gołych nogach spojrzenia moich chłopaków. Szybko wypijają coca–colę i natychmiast wychodzą. Parę komentarzy po hiszpańsku na temat dup Amerykanek towarzyszy ich wyjściu. Dosłownie uciekają swoim jeepem. Nic nie zostało powiedziane, ale jestem pewien, że przeżyli najtrudniejsze chwile w swoim życiu.

Kiedy nadjeżdżają wreszcie maszyny, pulpero wita nasz odjazd z ulgą. Przejazd przez dżunglę i pokonanie zbocza są bardzo uciążliwe, bo zaczęły się już deszcze. Potrzeba nam na to dwóch dni. Mamy koparkę z łyżką z przodu i

ramieniem z tyłu, traktor z podwójnym napędem, ogromne canoa na kołach, pompę z pełnym zestawem rur i pełno drobniejszych rzeczy, w tym także zapasy żywności.

Nie znam się zupełnie na maszynach, mimo to jestem zaskoczony przestarzałym wyglądem głównego urządzenia: koparki. To wielka całkiem przerdzewiała machina, która zapewne służyła przy budowie szosy panamerykańskiej w 1943 roku.

— Fabio, jesteś mechanikiem, co ty o tym myślisz?

— No więc zupełnie szczerze, nigdy bym nie przypuszczał, że coś takiego może jeszcze działać.

— Czyli jest to stare gówno!

— Czy gówno, to nie wiem. Może pracuje dobrze, ale stare jest na pewno. To połączenie części z różnych modeli, ale powinno działać.

Oby miał rację! Mam nadzieję, że Herman wie, co robi, i że ci idioci nie przysłali mi ponownie jakiegoś świństwa. Na stoku koparka wciągana jest na górę przez traktor, ludzie pchają canoa, przejeżdżamy przez teren Demesia, gdzie, jak zwykle, zrywamy ogrodzenie, naprawione od czasu naszego ostatniego przejazdu: wytrwałość tego faceta zadziwia mnie.

Zaraz po przyjeździe wszystko zostaje przygotowane do pracy. Koparka ładuje ziemię do canoa; to ostatnie, ustawione na brzegu, zasilane jest w wodę przez nową pompę, podłączoną do traktora: system ten, z którego jestem bardzo dumny, pozwala na wyrównanie braku wody. W ciągu jednego popołudnia koparka oczyszcza całą ziemię, która osunęła się ze stoku.

Następnego dnia, kiedy koparka rozpoczyna zdejmowanie nowej warstwy ziemi, jej ramię wygina się i pęka po godzinie pracy. Tym razem naprawdę wpadam w szal. Ten sukinsyn Herman umyślnie sabotuje mi robotę i przysyła jakieś gówno: od początku do końca ten skurwysyn postępuje jak kretyn.

Moje rozczarowanie jest ogromne. Kiedy zdaję sobie sprawę z mocy tego sprzętu, wyobrażam sobie, co można by osiągnąć mając taką maszynę wcześniej i w dobrym stanie. W jeden dzień może ona wykonać pracę, która w systemie ręcznym trwa sześć miesięcy. A co dopiero gdyby była nowa! Herman kupił najgorsze świństwo, jakie mógł znaleźć, żeby zaoszczędzić parę groszy, podejrzewam, że robi to naumyślnie.

Jestem podwójnie rozczarowany, bo po dłuższym okresie bezczynności przygotowany byłem na intensywne wzięcie się do roboty. Tego samego

wieczoru odbywam z Hermanem rozmowę, a raczej próbę rozmowy, bo łączność jest bardzo zła. Dyskusja jest burzliwa, ale o ile ja go słyszę doskonale, on mnie w ogóle nie rozumie. Dociera do niego tylko to, że maszyna jest popsuta, i ta gnida, ten tchórz, ze swojego biura ma czelność oskarżać mnie o niedbalstwo i złe obchodzenie się ze sprzętem. Obrzucam go stekiem wyzwisk, ale łączność zostaje przerywana.

* * *

Trzy dni później jadę do Puerto Jimenez i dzwonię do niego. Herman przeprasza mnie:

— Byłem trochę zdenerwowany, przykro mi, że to wszystko powiedziałem. Mam dla ciebie dwie wiadomości, jedną dobrą i jedną złą. Najpierw dobra: już bardzo niedługo będziemy mieli dokumenty koncesji, wszystko jest wreszcie załatwione. Zła wiadomość to, że wydano nakaz aresztowania ciebie za przemyt narkotyków. Ale nie obawiaj się, to nic poważnego, najważniejsze to nasza koncesja.

I mówi mi to tak po prostu! Inaczej mówiąc, węszy za mną policja w całym kraju i mogę zostać aresztowany w każdej chwili. Przerywam naszą rozmowę, pilno mi wrócić do kopalni. Po drodze, kiedy po raz kolejny zrywam ogrodzenie Demesia, rozlegają się raz za razem dwa wystrzały i pocisk kalibru 22 trafia w drzwi samochodu; o mały włos byłbym dostał.

Tego tylko jeszcze brakowało. Wyskakuję z samochodu i szukam skurwiela, z rewolwerem 44 w ręku, ale tchórz dobrze się schował, i wracam z niczym. Szkoda! Jego wypchana głowa dobrze by wyglądała w jadalni, obok zdjęcia Barbaroi.

Wieczorem zastanawiam się. Nie mam zamiaru pozwolić się aresztować jak byle jaki przestępca. Jeśli Herman chce wojny, będzie ją miał.

Następnego ranka wysyłam Jimmy'ego do San José.

— Weź samochód i jedź do tego durnia Hermana. Powiedz mu, żeby natychmiast przestał się wygłupiać, bo jeśli tego wszystkiego nie odkręci, to wysadzam kopalnię w powietrze i przyjeżdżam go załatwić, inaczej mówiąc obcinam mu jaja. Przy okazji odwiedziesz chłopaków.

Zostają ze mną White, Chiche, Eduardo, Puntarenas i Miguel, piątka najwierniejszych, pozostałych odsyłam. Chcę mieć przy sobie tylko pewnych i mocnych facetów, bo przygotowuję stan oblężenia. Herman z pewnością ma nadzieję, że będę przerażony i ucieknę do Panamy zostawiając wszystko:

długo obmyślany plan, żeby wyeliminować mnie bez ryzyka. Przejedzie się na tym.

Zaminowuję cały obóz: trzysta lasek dynamitu rozmieszczamy we wszystkich budynkach, w maszynach i w zboczu nad kopalnią. Cała broń zostaje naładowana i jest gotowa do użytku. Droga dojazdowa jest pod stałą obserwacją. W razie nocnego ataku uprzedzą mnie psy, które śpią na dworze i biegają po terenie przez całą noc. Mam ich teraz pięć: dwa dobermany, Kinga i Queeny, i trzy kundły kupione do polowania od chłopów z okolicy. King i Queeny to doskonałe psy obronne, wywęszą czyjaś obecność na długo przed pozostałymi.

Jestem zdecydowany na wszystko i gotów na przyjęcie gości. Jeśli gliny pokażą się, mam zamiar zabić ich jak najwięcej, niespodziewany ostrzał jest zawsze skuteczny. Przed rozpoczęciem walki zapalę lonty: niezależnie od wyniku bitwy, nikt nie będzie korzystał z owoców mojej pracy. Mam nadzieję, że uda mi się wówczas wymknąć, korzystając z paniki wywołanej eksplozjami, i będę mógł pojechać załatwić Hermana. Wiem, że walka jest nierówna i beznadziejna i że mogę się tylko sparzyć, ale nikt nigdy nie próbował mnie nabrać bezkarnie, i Herman nie będzie tu wyjątkiem.

* * *

Po dwóch dniach ta świnka zgłasza się przez radio i przysięga mi, że jest niewinny. Nie można rozmawiać, bo radio działa tylko w jedną stronę: obiecuje załatwić sprawę, jak tylko będzie mógł, zrobić wszystko, żeby zapobiec akcji policji, i posyła do mnie Jimmy'ego, który ma mi wszystko wyjaśnić.

W ciągu następnych kilku dni żyjemy w maksymalnym napięciu. Moi ludzie nie mają nic do roboty i wyczuwają elektryczność w powietrzu; nie wiedzą, do jakiego stopnia jesteśmy zagrożeni, ale zgadują, że coś się szykuje i że coś może się stać w każdej chwili.

Większą część tego czasu spędzam z Xionarą. Jeśli ma to być ostatnia walka, chcę maksymalnie korzystać z życia. Czekać na nieodwracalne, boję się tylko, że napadną nas w nocy, bo tyle jeszcze mam z nią do zrobienia.

* * *

Nadjeżdża Jimmy; według niego Herman jest szczery, kiedy obiecuje wszystko załatwić.

— Strasznie się boi, że wysadzisz obóz w powietrze. Zna ciebie i wie, że jesteś do tego zdolny: moim zdaniem już zaczął się wycofywać, żeby ratować kopalnię. Poza tym w Sierpe dowiedziałem się, że dwóch gliniarzy przyszło, żeby cię aresztować, ale nie ośmielili się wejść kiedy zobaczyli tablice.

Ta wiadomość sprawia mi przyjemność. Fakt, że dwóch gliniarzy płynie trzy godziny łodzią i cztery godziny wchodzi pod górę, mając w kieszeni podpisany nakaz aresztowania mnie, po czym odchodzi nie kiwnąwszy palcem, napawa mnie dumą. Wyobrażam sobie ich obu, jak zastanawiają się przed tablicami ostrzegawczymi, co dalej robić, a potem zwracają z podkulonym ogonem, obmyślając już kłamstwa, jakie opowiedzą swojemu przełożonemu.

* * *

Nie wiem już co myśleć.

Zdaję sobie sprawę, że wdaję się w nierówną walkę, która łatwo może zakończyć się moją porażką. Tak naprawdę nie mogę liczyć na nikogo, bo moi chłopcy, choć wierni, nie mają mojej motywacji. Nie biją się o swoją kopalnię, i podejrzewam, że przy pierwszych poważnych trudnościach pozostawią mnie swojemu losowi. Nie boję się śmierci, ale myśl, że Herman miałby mnie przeżyć, nie daje mi spokoju.

Z drugiej strony, nawet gdyby udało mi się wszystko, sytuacja jest bez wyjścia. Sto lat wcześniej mógłbym podjąć walkę i dysponując odpowiednią ekipą dopełnić zemsty, nawet za cenę utopienia kraju w morzu krwi. Ale w 1983 roku nie mam najmniejszych szans; kiedy wyślą za mną międzynarodowe listy gończe i zaczną mnie ścigać Interpol, nigdzie już nie będę bezpieczny. To właśnie ciemna strona cywilizacji; za czyny popełnione na półkuli północnej poszukują człowieka na półkuli południowej, a zlikwidowanie rodziny eks-prezydenta nie uchodzi już bezkarnie.

Wobec tego zemszczę się na tych skurwysynach, ale w taki sposób, żeby nikt nie mógł nic zrobić: załatwię to tak, żeby nikt nie mógł się mnie czepiać, nawet pośmiertnie.

* * *

Decyzja jest trudna, ale najlepsza z możliwych.

Odsyłam Xionarę do rodziny, dając jej na pożegnanie wszystkie prezenty, jakie mogę kupić. Serce mi się ściska, że muszę przerwać ten związek, który tak dobrze się zapowiadał; nic nie wyszło z mojego haremu.

Zamykam kopalnię, którą powierzam opiece Puntarenasa; jest maj 1983. W ciągu sześciu miesięcy wydobyłem ręcznie ponad dwadzieścia trzy kilogramy złota na przestrzeni dwudziestu metrów. Odjeżdżam ze smutkiem, bo mam uczucie, że widzę moją kopalnię po raz ostatni.

EPILOG

— Nie ruszać się! Policja!

Dwaj faceci, którzy popijali coca–colę przy sąsiednim stoliku w patio hotelu Poas, nagle stoją przede mną.

— Don Juan Carlos?

— Tak.

— Poproszę o paszport.

Machinalnie schylam się, żeby wyciągnąć paszport, który jak zwykle u mnie znajduje się w cholewie buta. Natychmiast wybucha panika: obaj faceci rzucają się na boki i wyciągają spluwy. Zewsząd dookoła wybiegają następni i mierzą do mnie z automatów. Patio hotelu Poas, na którym czekałem na znajomego, zaludnia się nagle. Połowa „gości” stoi i celuje we mnie. Inni gliniarze, w cywilu, wbiegają przez drzwi wejściowe, podczas gdy przed hotelem rozlega się pisk opon zajeżdżającej suki. Trzeba przyznać, że pułapka była nieźle zastawiona ale chyba trochę mnie przecenili.

Jest ich ponad tuzin, trzęsących się ze strachu i mierzących we mnie, a ja jestem sam i bez broni. Nie wiedzą o tym i atmosfera jest strasznie napięta; stoję bez ruchu, zdając sobie sprawę, że zwykle mrugnięcie powieką może stać się dla nich pretekstem do nafaszerowania mnie ołowiem: nerwowi są ci mali gliniarze; trzeba powiedzieć, że te trzy lata spędzone w dżungli, gdzie dałem upust swoim szaleństwom i zamiłowaniu do przemocy, nie pozostały bez śladu, a moja nadal ogolona głowa nie wzbudza specjalnego zaufania. Boją się bardziej niż ja, toteż pozwalam się zaprowadzić do samochodu z lufami wymierzonymi w plecy, nie stawiając najmniejszego oporu. Tego jasnego poranka 18 lutego 1984 ma miejsce moje osiemnaste aresztowanie w Kostaryce, jest to akt III, scena XVIII „*Quebrada del Frances*”, i znam swoją rolę na pamięć.

Wszystko odbywa się bardzo szybko, pod zdumionymi spojrzeniami paru prawdziwych konsumentów. Tylko Juan, kelner, który zna moje problemy, zrozumiał, co zaszło. Wychodząc posyłam mu szybkie mrugnięcie okiem, i odpowiada mi znaczącym spojrzeniem. To przyjaciel i zna moich adwokatów. Całe szczęście, bo wiem, że te sukinsyny nie pozwolą mi skorzystać z telefonu.

W samochodzie napięcie nie słabnie. Grubas, który wydaje się być dowódcą, usiadł przy kierowcy, pozostali trzej siedzą z tyłu ze mną. Wszyscy trzymają broń w pogotowiu. Jeden z nich, najmłodszy, opiera się o tylne drzwi i celuje we mnie z automatu, a palec trzyma na spuście. Strach sprawia, że jest zdenerwowany, mam nadzieję, że ten baran panuje nad sobą i że przy pierwszym ruchu nie pośle mi serii w brzuch.

Patrzę przez okno i natychmiast dowódca, ta gruba świnia, ryczy:

— Nie wyglądaj, spuść głowę!

Jestem zaskoczony i nie reaguję od razu, więc jeden z facetów siedzących z tyłu doskakuje do mnie i przyciska mi kark lufą automatu, zmuszając mnie do pochylenia głowy.

— Rób, co ci mówią — wrzeszczy — bo to się źle skończy!

Naprawdę nie pora na wygłupy, tym bardziej że ten kretyń, u którego wyraźnie wyczuwam strach, coraz mocniej naciska mi kark. Wszystko to nie pachnie niczym dobrym, i w powietrzu wisi egzekucja bez wyroku; moje osiemnaste aresztowanie może okazać się ostatnim. Choć z pozoru jest to kraj demokratyczny, często zdarzają się nie wyjaśnione zabójstwa i nie byłbym pierwszą ofiarą tego typu.

W napięciu nasłuchuję odgłosów ruchu ulicznego, jeśli wyjedziemy z miasta, jestem ugotowany! Nie mam zamiaru dać się zaciągnąć na rzeź bez oporu; w jednej z kieszeni mojej panterki mam krótką pałkę z ołowiem, która uszła ich uwagi przy pierwszej rewizji, nie sądzę, że pozwoli mi to wyjść cało, ale przynajmniej nie dam się łatwo: jeśli to ma być dla mnie koniec drogi, nie odejdę sam, jak przegrywać, to z klasą.

Kiedy samochód staje, wciąż nie wiem gdzie jesteśmy. Tylne drzwi z hałasem otwierają się, szybko rozglądam się dookoła, o trzydzieści metrów od nas strażnik w mundurze zamyka bramę, przez którą przejechaliśmy, widzę okalający mur, budynki, kilka samochodów, jacyś gliniarze w cywilu chodzą tam i z powrotem po podwórzu. Oddycham spokojniej. Pora na mnie jeszcze nie nadeszła, zbyt wielu tu świadków. W najgorszym razie dołożą mi.

Komedia z przeszukiwaniem zaczyna się, jak tylko ląduję na ziemi.

— No, Francuz, zdejmuj buty — mówi dowódca.

Stoi na wprost mnie, żeby napawać się widokiem. To obrzydliwa góra tłuszczu, poci się i śmierdzi, prawdziwa zaszrana świnia, ale w gorszym wydaniu.

Gliniarz, który podnosi moje buty, potrząsa nimi, zagląda do środka i przeszukuje je ręką. Jedyna rzecz, która znajduje się w środku, mój paszport, wypada na ziemię; kupa tłuszczu podnosi go i wkłada do kieszeni, nawet nie zaglądając do środka.

— Wkładaj buty — mówi.

Ogląda moją pałkę, którą znalazł drugi gliniarz, i poklepuje nią sobie wnętrze dłoni.

Nie podoba mi się jego morda ani jego uśmiech, więc nie mogę się powstrzymać, żeby mu powiedzieć:

— Możesz ją sobie wsadzić w dupę, jeśli chcesz!

To dziwne, ale nie odpowiada. Może tak naprawdę, gdzieś głęboko, pomysł ten podoba mu się. Jego podwładni chyba zbytnio go nie lubią bo wszyscy wybuchają śmiechem. Kupa tłuszczu jest niezadowolony.

— Lepiej się nie stawiaj — radzi mi.

Gliniarze prowadzą mnie do budynku. Idziemy długim korytarzem, tamten kretyń prowadzi; bez oporu wchodzę do celi.

Pozostawią mnie przez osiem godzin w tym gnijącym pudle. Moim jedynym towarzyszem jest nieprzytomny Murzyn w agonii, o ciele i twarzy pokrytych siniakami, z kajdankami na rękach. Co za skurwysyny!

* * *

Odkąd zostawiłem moją kopalnię, już osiem miesięcy temu, oskarżono mnie o wszystkie możliwe przestępstwa, trzeba przyznać, że mają jednak trochę wyobraźni: przemyt złota, fałszywe dolary, zastraszanie (to już naprawdę szczyt wszystkiego), grożenie śmiercią itp. Krótko mówiąc, wróg publiczny numer jeden. Miałem w ten sposób okazję odwiedzić wszystkie komórki policyjne w tym kraju: Narkotyki, Imigracja, O. I. J. (lokalne gestapo). Za każdym razem ta sama historia, i kiedy mija pierwsze zdenerwowanie, pozostaje tylko wrażenie zmęczenia i nudy. Ja, który nie znoszę dwa razy robić tego samego, mam tego za wszystkie czasy!

* * *

Mam więc już tego dość. Dość wszystkiego, dość tych szmatławych przeciwników, którzy szargają mi moją przygodę. Ta walka już mi się nie podoba. Nie jestem stworzony do prawnych kruczków. Tu próbuję po raz pierwszy i ostatni. Od ośmiu miesięcy walczę z cieniami. Rodzina Caracas i

Partido del Pueblo Unido są w tym kraju wszechwładni. Zajmują w Kostaryce wszystkie kluczowe stanowiska i w walce ze mną są na wygranej pozycji.

Moja kopalnia złota to zatruty prezent. Z pewnością wkrótce zaczną się o nią zreć między sobą. Poza tym kopalnia złota, to tak jak wszystko inne, jedną się straci, inną zyska. W tym stanie ducha zastaje mnie gruby, tępy gliniarz, który z wymuszonym uśmiechem oznajmia mi, że moi adwokaci zostali zawiadomieni i są na miejscu. Jestem wolny, oddaje mi mój paszport. Rzucam po raz ostatni parę przekleństw i już po wszystkim.

* * *

Jest 21 lutego 1984. Już od kilku godzin idę po tej długiej plaży w Punta Burrica.

Rano René przywiózł mnie do Rio Claro, gdzie kończy się szosa. Od tej pory zrobiłem dwadzieścia kilometrów pod gorącym słońcem.

Mam na sobie kąpielówki, rewolwer 44 w kaburze, a buty zawiązałem na sznurowadłach na szyi. W środku schowałem trzy kilo złota, odebrane od Wayne'a, dżinsy i koszulkę, cztery laski dynamitu i paszport. To wszystko, co mi zostało. Pojutrze po przejściu przez góry przekroczę granicę panamską w Puerto Armuelles. Nie mogę pokazać się na przejściu granicznym, więc muszę opuścić Kostarykę nielegalnie.

* * *

Walka była zbyt nierówna, i przegrałem ją. Kiedy tylko opuściłem kopalnię, zgromadziłem wszystkich współników. Dyskusja była burzliwa. Wszyscy wyłożyli karty na stół, przynajmniej raz bez hipokryzji. Tylko Herman, który jest niczym, trzymał mordę na kłódkę. Musieliśmy załatwić jakoś nasz spór, powiedziałem im, że jestem gotów sprzedać moje udziały temu, kto da najwięcej, i postanowiliśmy zamknąć kopalnię czekając na kupca. Nie miałem innego wyjścia, skoro Herman był właścicielem terenu, i musiałem załatwić najpilniejsze sprawy. Udało mi się załatwić, żeby wycofali nakaz aresztowania w zamian za kaucję: w oczekiwaniu na proces nie mam prawa opuszczać kraju.

Moi eks-wspólnicy zrobili jeszcze parę prób wciągnięcia mnie w jakieś dochodowe i nielegalne szwindle, sprawy bardzo opłacalne, ale wyraźnie widziałem, jaką rolę dla mnie przeznaczili: była to kolejna pułapka i gdyby się udała, nie byłoby trudności w spowodowaniu zamknięcia mnie na resztę

życia. Ale udałem, że się zgadzam, w ten sposób odkryłem prawdę kryjącą się za uczciwymi pozorami. Tino zaprowadził mnie do pułkownika Julio, handlarza bronią o wiele mówiących referencjach. Parę lat wcześniej oszukał rewolucję alwadorską w sprawie opłaconej dostawy broni, która nigdy nie otarła do portu przeznaczenia. Musiał potem przez rok ukrywać się w Stanach Zjednoczonych, a teraz mieszka w willi zamienionej w fortecę. Jest najlepszym kolegą Tina, tego, o którym mówią, że jest Purytaninem.

U Julia Tino, który gra rolę biznesmena o czystych rękach, odkrył karty. Był po szyję zamieszany w handel bronią i lokalną sprzedaż kokainy. Wyjął z teczki dwa kilo i zaproponował mi jej sprzedaż. Kiedy pomyślę, że ten kutas Herman twierdził, że nie może prosić go o interwencję w mojej sprawie, kiedy byłem aresztowany, bo Tino ma sztywne zasady jeśli chodzi o narkotyki! Cały towar, jakim handlował, pochodził z zapasów zatrzymanych w czasie kontroli celnych przez Narkotyki, pod dowództwem pułkownika Altamiry. Wówczas zdaję sobie sprawę, że cały kraj jest pod kontrolą mafii z Partido del Pueblo Unido, a w szczególności przez rodzinę Caracas. W całej Kostaryce nie ma jednego ważnego stanowiska, które nie byłoby zajęte przez ich człowieka, zamieszanego w podejrzanе interesy.

W miarę, jak dochodziłem do tej prawdy, rozumiałem, że nie mam żadnych szans: jeden przeciw wszystkim, w takiej grze jest zbyt wiele znaczonych kart.

* * *

Odchodząc zrobiłem im mały numer. Herman miał trzy i półkilogramową bryłkę, którą zgadzał się sprzedać tylko za bardzo wysoką cenę; bryłka ta była w pewnym sensie symbolem kopalni i nie chciałem, żeby z niej korzystali. Podczas mojej ostatniej wizyty w Malessie naopowiadałem różnych historii Pablo, księgowemu, któremu powierzono opiekę nad złotem; podstępem udało mi się odzyskać bryłkę, nieźle musieli mu potem zmyć głowę.

Następnie, po raz pierwszy w życiu, postanowiłem podjąć walkę w sądzie. Wynająłem sześciu adwokatów do pracy nad dokumentami Quebrada del Frances. Opowiedziałem im całą historię, zaniżając tylko zawartość złota w miejscowym gruncie, żeby nie budzić niepotrzebnej pożądlivości: w tym kraju nie można już mieć zaufania do nikogo. Szybko odkryli, że w dokumentach nic nie odpowiadało rzeczywistości, wszystko od samego początku było sfalszowane. Tamci podrabiali mój podpis, który pojawił się na

dokumentach, których nigdy nie widziałem. Będąc w rzeczywistości głównym akcjonariuszem, w dokumentach nagle stałem się właścicielem zaledwie trzydziestu procent, wszystko sfalszowali. Moi adwokaci chcieli wytoczyć sprawę o fałszowanie ksiąg, podrobienie podpisu, nadużycie zaufania itd., ale powiedziałem im, żeby dali spokój. Mając w ręku wszystkie sznurki moi przeciwnicy z łatwością wygraliby sprawę, nie chciałem dawać im tej satysfakcji. Moi naiwni adwokaci wierzyli w sprawiedliwość; ja wiedziałem, że przegrałem sprawę.

W zasadzie jedynym, do czego okazali się przydatni, było wyciągnięcie mnie bez szwanku z aresztu w związku z moimi niezliczonymi zatrzymaniami: kiedy ich machloje wyszły na światło dzienne, moi przeciwnicy próbowali wszystkiego, żeby mnie wyeliminować.

Z podpuszczenia Hermana jeden z gliniarzy pojechał na Osa i wrócił z osiemdziesięcioma skargami przeciwko mnie, prawdziwymi i fałszywymi. Sporządzono akta: zestawienie moich aktów przemocy, normalnych w realiach półwyspu, ale tu wyjętych z kontekstu, ukazywało mnie jako niebezpiecznego potwora.

O ile tylko to było możliwe, unikałem pokazywania się w stolicy, starając się pozostawać na południu i dając wolną rękę moim adwokatom. Mieszkałem na rancho u stóp Talamanca, na które można się było dostać jedynie konno, nie widywałem się z żadnym z moich pracowników, należeli już do historii, dowiedziałem się tylko, że to Barbas mnie zdradzał i dostarczał informacji Hermanowi.

* * *

Na południu czułem się mniej więcej bezpieczny, bo zachowałem tu paru przyjaciół wśród gliniarzy: większość miejscowych szefów policji napelniła sobie dzięki mnie kieszenie i była mi za to wdzięczna. Złożyłem nowe podanie o koncesję, bo prowadząc poszukiwania na prawo i lewo oraz słuchając opowiadań miejscowych ludzi odkryłem nową kopalnię, o wiele mniej zasobną, ale bardzo łatwo dostępną. Udało mi się nią zainteresować akcjonariuszy, przedstawiciele przedsiębiorstwa z siedzibą w Nikaragui, które wyraziło zamiar nabycia Quebrada del Frances, ale wycofało się na wieść o machlojkach Hermana i innych. Tym razem nie interesowało mnie wydobywanie, miałem już tego dosyć, ale miałem zamiar sprzedać koncesję zaraz po otrzymaniu dokumentów. Postanowiłem samemu zająć się

wszystkimi papierami, bo prostota tych czynności ostatecznie przekonała mnie o niekompetencji Hermana.

Niestety, bardzo przeszkadzała mi presja i obserwacja policji, której doświadczałem przy każdym zetknięciu się z władzami, i dużo czasu traciłem za każdym razem starając się od niej uwolnić. Ponadto zakaz opuszczania kraju uniemożliwił mi wyjazd do Nikaragui, gdzie mógłbym bezpośrednio pertraktować z moimi przyszłymi współnikami. Tymczasem mój czas był cenny, bo zaczęło się już odliczanie. Data rozprawy wyznaczona została na 23 lutego, akt oskarżenia zarzucał mi rzekomy handel trawką. Teoretycznie była to formalność i powinienem był zostać całkowicie oczyszczony z zarzutów, ale podejrzewałem moich eks-wspólników o przygotowywania ostatecznej eliminacji mojej osoby.

Moi adwokaci, zbyt ufni, a może przekupieni przez przeciwnika, zapewniali mnie, że nie ma żadnego ryzyka. Nawet w przypadku, ich zdaniem bardzo mało prawdopodobnym, gdybym został skazany, prawo kostarykańskie pozostawiało mi piętnaście dni wolności na wniesienie rewizji. Jednakże sędzia miał prawo odebrać mi ten przywilej w przypadku, również wyjątkowym według moich adwokatów, gdyby oskarżony uznany został za niebezpiecznego dla porządku publicznego.

I tu zrozumiałem plan, obmyślony przez moich eks-wspólników: zgłaszając w ostatniej chwili fałszywych świadków, łatwo można wykazać, że nakłaniałem moich pracowników do używania narkotyków, i w ten sposób udowodnić mi handel; następnie, posługując się osiemdziesięcioma skargami złożonymi przeciwko mnie, jeszcze łatwiej można przedstawić mnie jako człowieka niebezpiecznego. To miało wystarczyć.

Nie chodziło więc już o stawienie się na zwykły proces. Zostałbym bezpośrednio przewieziony do pudła, skąd wyszedłbym piętnaście lub dwadzieścia lat później, zakładając, że w ogóle bym wyszedł, bo łatwo byłoby wywołać bójkę i zabić mnie zupełnie bezkarnie; a zresztą nawet i bez tego, dla człowieka tak jak ja kochającego wolność więzienie oznaczałoby koniec.

Moi adwokaci odrzucali możliwość takiej machinacji, ale wiedziałem, że proces byłby sfalszowany, a konsekwencje ponosiłbym właśnie ja.

Na trzy dni przed procesem postanowiłem nielegalnie opuścić kraj i schronić się w Panamie.

Idę już dwa dni. Panama nie może być daleko. Wczoraj opuściłem plażę i od tej pory idę przez góry. Kiedy robię sobie ostatniego skręta z kostarykańskiej trawki, pojawia się jakiś chłop.

— Przyjacielu, gdzie jesteśmy, w Kostaryce czy w Panamie?

— W Panamie — odpowiada.

No i już, koniec z Kostaryką! To takie proste, wątpię, żeby chłop zrozumiał powód mojego uśmiechu. Czekam aż się oddali, po czym niszczę dynamit i zakopuję moje Magnum 44. Przemoc towarzyszyła przygodzie, która teraz należy już do przeszłości. Żegnajcie mali Ticos, polubiłem was, wasze kobiety i dziewczynki też zresztą. Ostatni raz myślę o Jimmy'm, moim przyjacielu, moim bracie, którego zostawiam za sobą. Biedny chłopak! Tyle się nauczył, tyle marzył, i wszystko na nic. Przypominam sobie też jednego po drugim członków mojego wesołego zespołu, facetów na początku bez wielkiej klasy, ale z których potrafiłem wyciągnąć to, co najlepsze. Stali się moimi kumplami.

A teraz pora na przyjemności, jakie przyniesie mi moje trzy i pół kilo złota, jedyna i ulotna pamiątka z Kostaryki.

* * *

Herman, ty wredna świnió, dotrzymam obietnicy.

CIZIA ZYKË

SAHARA

CZEŚĆ PIERWSZA

Niamey. Z ciężarówki zeszliśmy zmęczeni i pokryci kurzem. Za ostatnie centymy kupuję dwa lodowate piwa miejscowej produkcji i rozkoszujemy się nimi spędzając chwilę w spokoju i chłodzie.

Ponieważ ma klimatyzację i wygodne wnętrze, Rivoli — bar, w którym znaleźliśmy schronienie — przeznaczony jest w zasadzie dla białych, do których dołączają nieliczni zamożni czarni, na ogół kupcy lub młodzi nigerscy studenci. Właścicielka, gruba matrona o wyblakłym i nieświeżym wyglądzie, ma niesamowity marsylski akcent.

Na zewnątrz jest gorąco i wilgotno. Na ulicach faluje niespokojnie tłum dzikich, ubranych w kolorowe bubu albo w cokolwiek. Powoli, niosąc na głowie miednicę, przechodzą kobiety o imponujących zadkach, zaledwie przysłoniętych kawałkiem materiału. Ten obrazek jak z pocztówki dopełnia widok małych czyścibutów i sprzedawców owoców mango.

Kiedy Miguel opowiadał mi o Afryce, nie zdawałem sobie sprawy Jak bardzo są czarni i jak jest ich dużo. Dla mnie Afryka to była dżungla i pełno zwierząt: przy barze, sącząc whisky, stał podróżnik w kolonialnym kasku, do jego ramienia tuliła się blondynka o ochrypłym głosie, a nad ich głowami pracował ogromny wentylator. Kiedy zatrzasnąłem za sobą drzwi szwajcarskiego mieszkania, wiedziałem tylko, że to gdzieś na dole. Na południe, w kierunku słońca?

Po niebezpiecznych związkach z heroiną haust świeżego powietrza stał się konieczny. Powziąłem decyzję w ciągu dwóch minut, i z rękami w kieszeniach zagłębił się w ten nieznaną kontynent... Nieznany, ale nie bezludny! Afryka to przede wszystkim czarni; jest ich dużo i są wszędzie, wielkie roześmiane dzieci ciekawe wszystkiego, do tego stopnia, że chwilami staje się to trudne do zniesienia. Prywatność tutaj nie istnieje.

Najdrobniejszy nasz ruch wydaje się mieć kapitalne znaczenie.

Otacza nas tłum dzikich, którzy obserwują, komentują, opowiadają co widać tym, którzy stoją z tyłu, albo po prostu patrzą na tych dwóch dziwnych facetów. Faktem jest, że nie mają absolutnie nic innego do roboty. Ta świadomość, że jest się gwiazdą otoczoną reporterami, jest z początku przyjemna, ale szybko staje się nużąca. Nie można zrobić kroku, żeby spod

ziemi nie wyrosło Murzyniątko, które prosi wrzaskliwie: Dać prezent, szefie?”.

Dla nich biały, tubab, to worek z forszą: jest zawsze bogaty. Odkąd zaczęliśmy z Miguelem tę podróż, nie potrafię wbić im do głowy, że należymy do nowego plemienia, o którym tu nie słyszano, plemienia białych bez forsy. Konieczne są długie dyskusje, by to mogli pojąć. Wszystko ma swoją wartość, nawet kawałek sznurka podtrzymujący spodnie Miguela. Każdy ma coś do sprzedania: skórę kajmana, posążek albo siostrę. W Niamey wszyscy interesują się samochodami. Od naszego przyjazdu przychodzą bezustannie.

- Kupię twój samochód, szefie.
- Nie mam samochodu.
- Bardzo dobrze zapłacę, szefie.
- Mówię ci, że nie mam.
- Znam kogoś, kto go kupi, szefie.

Męczą mnie. Odysłałam dwóch, dwudziestu, pięćdziesięciu, zanim udaje mi się zaznać chwili spokoju.

- Bardzo przepraszam, przyjechali panowie samochodem?

Zaczyna się.

Ale postać, stojąca przed naszym stolikiem, od razu wydaje mi się bardziej interesująca niż wszyscy poprzedni handlarze razem wzięci. To wysoki facet, bardzo stary i pomarszczony, w niebieskim bubu, w białej mycce na głowie. Ten Murzyn jest muzułmaninem. Ma sympatyczny uśmiech, a jego spojrzenie jest nieprawdopodobnie sprytne. Z tego staruszka tryska inteligencja, tutaj to raczej rzadkość.

— Słuchaj, nie mamy samochodu, nie mamy forsy i chcemy mieć spokój. Jasne?

Uśmiecha się jeszcze szerzej i kłania się.

- Czy mógłbym się przysiąc?

Kiedyś wbito mi do głowy, że na osoby starsze nie należy podnosić ręki, a poza tym jego spojrzenie budzi sympatię. Siada i przedstawia się.

— Jestem Ministrem Dobrych Interesów. Wszystko sprzedaję Wszystko kupuję. Śmieje się.

- Jestem Charlie. A to jest Miguel.

Minister Dobrych Interesów oznajmia, że jest mu bardzo miło, i wyciąga z małego jutowego woreczka orzeszek cola, który zaczyna przeżuwać nie przerywając rozmowy. Tu, w Niamey, podobnie jak w całej Afryce, wszystko można wymienić, kupić lub sprzedać. Robi wrażenie króla handlu, dobrego i sprytnego złodzieja, ale inteligentniejszego od innych, bo bardzo szybko pojmuje, że mówimy prawdę; nie mamy samochodu, ani nawet jednego centyma. Zaskoczenie: zaprasza nas do siebie. Przyjmujemy zaproszenie bez ceregieli.

* * *

Na zewnątrz nadal piekielny żar i ogłuszający hałas. Nasz nowy przyjaciel kupuje w skleconym z paru desek stoisku trochę cukierków i tłumaczy, robiąc do mnie oko, że ma dużo wnucząt. Zatrzymuje taksówkę, rozklekotanego peugeota 404, która pędzi przez Niamey trąbiąc nieustannie. Minister Dobrych Interesów mieszka w ogromnej kolonialnej willi, koloru brudnożółtego. Kiedy tylko pojawia się, nadbiega chmara dzieciaków i wszystkie wczepiają się w jego bubu. Szczęśliwy wśród tych Murzyniątek, rozdziela wkoło cukierki i klepnięcia w głowę.

Ogród, który kiedyś musiał być pięknym parkiem, zamieniony został w rodzaj wysypiska; pełno tam wraków samochodów na kołkach, rozebranych niemal doszczętnie, starych opon, kawałków żelastwa i bliżej nie zidentyfikowanych przedmiotów. To prawdziwe rumowisko, nieopisany burdel. Willa ma co najmniej piętnaście pokoi, w których roi się od dzieci, lecz są tam także mężczyźni w różnym wieku oraz mnóstwo kobiet. Większość tych ostatnich ma obnażone piersi, noszą tylko rodzaj długiej spódnicy zawiązanej dookoła talii. Tłok panuje wszędzie, w każdym pokoju i nawet na korytarzach; to potomstwo naszego gospodarza. Minister prowadzi nas do pustego pokoju, w którym kilka kobiet pośpiesznie ustawia stolik i żelazne krzesła. Siadamy we trójkę. Mały chłopak przynosi miskę ryżu w sosie, po czym idzie usiąść w kącie pokoju. Tym razem nie chodzi o wnuka, lecz o sierotę, którego Minister Dobrych Interesów przygarnął i który służy mu za boya.

- Jesteś żonaty, Charlie?
- Nie.
- A więc jesteś mądry...

Przerywa, piorunując wzrokiem Miguela, który, nie mogąc się już powstrzymać, zaczął jeść zanurzając rękę w ryżu. Ten dureń pomylił ręce: u muzułmanów jada się wyłącznie prawą ręką. Lewa służy do podmywania tyłka. Tłumaczę to Miguelowi. Minister natychmiast odzyskuje dobry humor i kontynuuje swoje wywody.

— Kobiety są do niczego, Charlie. Kto może o tym wiedzieć lepiej niż ja, który miałem ich siedem i który codziennie patrzy na rezultaty?

Wskazuje mi na otaczające nas ludzkie mrowie i wzdycha. Miał osiemnaście córek i dwóch synów, z których jest bardzo dumny. Za każdym razem, kiedy któraś z tych panienek się puści, przybywa mu nowy smarkacz.

— Więc co mam zrobić, żeby ich wyżywić, he? Robię biznes, to jedyne wyjście; wszystko sprzedaję, wszystko kupuję...

Śmieje się, a z oczu tryska mu wesołość.

— I zarabiam. Widzisz, Charlie, tutaj kobiety drogo kosztują.

Afryka ma więc przynajmniej jedną cechę wspólną z innymi krajami Trzeciego Świata, w Azji i Ameryce, które poznałem. Wydaje się, że miłość to choroba Zachodu. Romanse są mniej ważne niż przeżycie, trzeba mieć pełny żołądek, żeby zajmować się miłosnymi uniesieniami.

— Tutaj, Charlie, masz pieniądze, to masz kobiety. Ale uwaga: no money, no fuck.

Sam to też tak rozumiałem; najpiękniejsza gęba na nic się nie przyda, afrykańskie damy czule są jedynie na banknoty.

Zajadając i żartując. Minister tłumaczy mi, jak zarabia swoje pieniądze. Większość jego interesów to samochody, używane części zamienne i wozy, których sprzedaż w tym kraju, jak się wydaje, może być bardzo intratnym zajęciem. Sprzedaje swoim rodakom, ale robi również interesy ze swoimi dostawcami, Europejczykami.

— W tej chwili pracuję z dwoma Francuzami, z Bordeaux, będą tu dziś wieczór. Ale teraz czas, żebyście trochę odpoczęli.

* * *

Mały boy prowadzi nas do pokoju, gdzie czekają na nas dwa cebrzyki z wodą. Dostosowujmy się do miejscowego zwyczaju, nakazującego spać, kiedy jest zbyt gorąco, by pracować.

Na krótko przed kolacją pojawiają się Europejczycy. Jest ich trzech, a raczej dwóch i jeden. Ten ostatni to klasyczny turysta, mały z brzuchem

wystającym poza szorty, prościutki przedziałek z boku, nie zagojone oparzenia słoneczne, kraciasta koszula i sandały, krótko mówiąc, przeciętny bałwan na wakacjach.

Minister przedstawia mi go jako Ciastkarza.

Dwaj pozostali to cwaniacy, gangsterzy z francuskiego południowego zachodu. Frederic to wysoki, milczący brunet. Nosi okulary intelektualisty, zza których patrzą zimne oczy: prawdziwy skurwysyn. Alain, jego kumpel, też wygląda na skurwysyna, ale dużo sympatyczniejszego.

Jestem jeszcze zmęczony, ale po tej długiej sjeście czuję się odprężony i nie mam zupełnie ochoty na nawiązywanie bliższej znajomości. Nie zdradzam im, że całą swoją młodość spędziłem w Bordeaux. Sami też nie podejmują wysiłków, żeby ze mną rozmawiać.

Na kolację znowu dostajemy ryż podlany pikantnym sosem z roślinnymi przyprawami. Dla Afryki nie ma miejsca w przewodniku gastronomicznym.

Miejscowa trawka jest za to doskonała. Miguel zrobił ogromnego skręta za pomocą kartki z Biblii, którą ukradł w Watykanie. Ponieważ wewnątrz żar jest nie do zniesienia, rozkładamy sobie na noc posłania na dachu. W Afryce jednym z nielicznych przyjemnych momentów jest chłód świtu: kilka minut spokoju. Ale dzisiaj Miguel zdecydował, że będzie inaczej. Miguel to mój towarzysz podróży, miły wariat. Dlatego właśnie postanowiłem mu pomóc i jest jeszcze ze mną.

Bardzo wysoki, chudy jak pajak, podkreśla jeszcze to wrażenie nosząc stale czarne spodnie, obcisłe niczym druga skóra. Ogromna klamra u pasa robi wrażenie, jakby miała przeważać go do przodu. Jego włosy, czerwone, zielone i niebieskie, dawniej wygolone po bokach, zwisają mu na plecy w postaci długiego, brudnego końskiego ogona.

Jego kostki i przeguby pokryte są bransoletami, które brzęczą przy każdym kroku. Mówi mało, ale dużo się śmieje. Choć jest całkowicie nieodpowiedzialny, Miguel ma czasami przebłyski geniuszu, jak tego ranka, kiedy zamienił część swojego żelastwa na starą trąbkę, poniewierającą się w ogrodzie Ministra. Teraz, stojąc na baczność i na granicy apopleksji, usiłuje wydobyć z niej jakieś dźwięki i działa wszystkim na nerwy. Nalewam sobie kawy do pożyczonej menażki. Boy wykorzystuje krótką chwilę ciszy, by włączyć na cały regulator radio, ale nie udaje mu się złapać żadnej stacji. Wychodzę pogadać z Alainem, małym cwaniakiem z Bordeaux, który ziewa

przyglądając się, jak kilka wnuczek Ministra myje się na podwórzu, co stanowi piękny, wzruszający widok. Woda ścieka po ich ledwo rozkwitłych ciałach, młode piersi sterczą dumnie, krągłe pośladki dopraszają się gwałtu. To jeszcze uczennice, ale już kobiety.

- Piękne są, co?
- O, kurwa!
- Jesteś z Brodeaux, Alain?
- Tak.
- Ja też.

Alain patrzy na mnie zaskoczony:

- Niemożliwe, jesteś z Bordeaux?
- No przecież ci mówię.

I już. Szowinizm przydaje się również do zdobywania sobie kumpli. Dołączył do nas Fred i po półgodzinie, siedząc przy pierwszej tego dnia anyżówce, doszukujemy się wspólnych znajomych. Dyskutujemy tak cały ranek, a popołudnie schodzi nam na opowiadaniu o naszych najlepszych numerach. Po niezawodnym wieczornym ryżu Alain, coraz bardziej rozgadany i chełpliwy, wyjaśnia mi, na czym polega ich handel.

Wystarczy kupić we Francji używany samochód, jak najtaniej, sprowadzić go stamtąd, przejechać przez pustynię i sprzedać go za dobrą cenę w Niamey, gdzie oczywiście Minister Dobrych Interesów zajmuje się negocjacjami.

Przejechać przez pustynię, żeby dotrzeć aż tutaj, to mnie interesuje.

- I można na tym zarobić?
- Człowieku, to kopalnia złota! To interes stulecia! Te czarne bałwany kupują byle co, i wierz mi, że mają forszę. Masz cztero albo pięciokrotne przebicie za każdym razem.

Piętnaście dni na podróż i przejazd przez pustynię, tydzień do dziesięciu dni na sprzedaż, zabawa tu, zabawa w Bordeaux, i następny kurs.

- A przejazd przez pustynię?
- Pustynia? Spokojnie! To pestka.

Nie może się powstrzymać, żeby nie opowiedzieć mi o podróży hiszpańskiego księdza, którego ostatnim razem zabrali na południu Algierii.

- Utknął tam. Więc powiedzieliśmy mu: „*Proszę księdza, prosimy do nas*”, a on nam na to: „*dziękuję*”.

Wybuchła śmiechem, i opowiada dalej:

— Po paru kilometrach Alain otworzył torbę Wielebnego Ojca i dla żartu wyrzucił przez okno pierwszą rzecz, jaka wpadła mu pod rękę. Ksiądz nie śmiał nic powiedzieć. Zachęcony tym Alain powyrzucał po kolei wszystkie jego rzeczy. Ponieważ szary ze strachu ksiądz nadal nie reagował, rozwścieczony Alain kazał mi się zatrzymać, nasrał w piach, sprofanował kilka stron Biblii, po czym, żeby zwiększyć jeszcze świętokradztwo, wsadził krucyfiks w swoje odchody. Nie pozostawało nam nic innego, jak zostawić świętego męża, który zaniemówił ze strachu, na środku szlaku, żeby poczekał na następną ciężarówkę.

Wydaje się, że jest to dla nich świetny dowcip do opowiadania i tarzania się ze śmiechu! Tacy to właśnie ludzie...

Najzabawniejsze jest to, że obaj skończyli tę samą surową religijną szkołę, która zrobiła z nich bandytów. To sympatyczni kłamcy i oszuści pozbawieni jakiegokolwiek moralności. Spokojnie upływają mi dni spędzone na rozmowach z Ministrem i tymi dwoma aniołkami.

Dziś wczesnie rano poszedłem się przejść. Niamey to miasto wilgotne i hałaśliwe. Ranne godziny to okres największego rozgardiaszu na ulicach, zwłaszcza w dzielnicy wielkiego bazaru, prawdziwego labiryntu słomianych dachów, kipiącego krzykliwymi kolorami i ruchliwym tłumem.

Większość Afrykanów to handlarze. Ci, którym wiedzie się najgorzej, siedzą na ulicy przed matą, na której leży ich jedyny towar: jeden owoc mango, trzy orzeszki ziemne albo dwie stare śruby. Tych los już się nie odmieni. Inni, grube czarne zwały tłuszczu, mają więcej szczęścia. Swój sukces handlowy zawdzięczają doskonałej firmie UNICEF. Osiągają świetne marże, jako że sprzedają dary.

Zawsze sądziłem, że jestem pozbawiony skrupułów, ale w Afryce nie mam szans. Na niektórych kartonowych pudłach widnieje jeszcze nazwa tej dobroczynnej organizacji. Wielu uczestników akcji charytatywnych byłoby zapewne zdziwionych dowiadując się, że ich dary służą wyłącznie do podtuczania paru miejscowych świń.

Ale robi się tu jeszcze lepsze interesy: parę miesięcy temu sprzedano na licytacji kilkaset dziewcząt i kobiet z plemienia Tamachek. Uciekły z Sahelu szukając pomocy tutaj, gdzie poczynając od pewnego progu zamożności do dobrego tonu należy posiadanie haremu, co jest zwyczajem przyjemnym, lecz

jakże męczącym. Problem ten rozwiązano w sposób radykalny, wycinając tym paniom łechtaczki, i definitywnie pozbawiając je wszelkich apetytów seksualnych.

* * *

Któregoś wieczoru Minister wraca rozradowany, z kieszeniami pełnymi cukierków. Właśnie sprzedał, za bardzo wysoką cenę, samochody obu Francuzów. Natychmiastowa decyzja Alaina i Freda:

□ Trzeba to uczcić. Zabawa musi być w wielkim stylu. Zgarnęliśmy tuzin dziewczyn w Z club”, jedynym przyzwoitym nocnym lokalu w Niamey. W jednym z pokoi naszej willi Fred zawiesza banknoty o niewielkich nominałach franków CFA w regularnych odstępach na ścianie, na wysokości twarzy. Gra jest prosta: przed każdym banknotem staje dziewczyna, rozkładając ręce i nogi. Powstaje imponujący rząd czarnych, błyszczących pośladków. Fred, jako mistrz ceremonii, przechodzi za każdą z nich z wiadrem w ręku i czyści gąbką zadki naszych gości, dla higieny”. Są gotowe. Miguel nie potrafi oprzeć się pokusie, Ciastkarz natomiast ostentacyjnie odmawia. Obaj chłopcy z Bordeaux przystąpili już do dzieła.

Jako człowiek bardzo pruderyjny z natury, zdejmuję trzy banknoty ze ściany i zaciągam odpowiadające im trzy Murzynki do innego pokoju.

* * *

Następnego dnia dwaj z Bordeaux szykują się do powrotu do Europy. Rano przychodzi do mnie Alain.

— Słuchaj, Charlie...

— No.

— Nie chcę się wtrącać w twoje sprawy, ale co ty robisz z tym hiszpańskim frajerem?

Patrzę na Miguela, który siedzi niedaleko. Po raz kolejny odcyfrowuje swoją miniaturową mapę Afryki, wydrukowaną na jednej stronie kieszonkowego kalendarzyka. Afryka ma tam dwa centymetry na trzy, a dookoła jest reszta świata. Co ja robię z tym facetem, nie jest łatwe do wytłumaczenia.

Jesteśmy w tym samym wieku, ale należymy do dwóch różnych światów. Miguel jest niezdolny do dawania sobie rady samemu, a tym bardziej do dawania z siebie czegokolwiek. Nawet jego fałszywy paszport to kwintesencja

amatorszczyzny, stanowiąca stałe zagrożenie. Po wielu latach tułaczki potrzeba czystości i komfortu przywiodła mnie z powrotem do Europy, w przerwie między przygodami.

Zamieszkałem w Szwajcarii, często jeżdżąc do Amsterdamu, by zaopatrywać się w narkotyki na własne potrzeby. Tutaj się spotkaliśmy. Widzieliśmy się parę tygodni wcześniej w Hiszpanii i rozpoznał mnie. Opuścił ojczyznę uciekając przed ówczesnym faszystowskim reżimem. Był sam, bez pieniędzy, w środku europejskiej zimy, dostawał strasznie w kość i poprosił mnie o pomoc. To nie w moim stylu udawać dobrego samarytanina, i zwykle nie godzę się na takie układy. Staram się otaczać facetami z inicjatywą, których wartościowe cechy rozwijam, aby móc je wykorzystać. Przyjaźń przychodzi później.

Natomiast Miguel niewart jest złamanego grosza i ma nawet właściwość komplikowania każdej sytuacji. Już jego wygląd zewnętrzny przyciąga kłopoty. Wiedziałem też, że jeśli trochę mu pomogę, będę się uważał za zobowiązanego doprowadzić sprawę do końca. Ale udało mu się wymusić, być może nie litość, ale w każdym razie sympatię. Więc wziąłem go pod swoje opiekuńcze skrzydła. Jego zwariowane numery bawią mnie. Teraz polubiłem go, to dobry towarzysz podróży, do którego przyzwyczailem się, i do Afryki przyjechaliśmy po to, żeby mu pomóc.

Nie ma sensu tego tłumaczyć Alainowi. Nie zrozumiałby.

— Mógłbyś robić ciekawsze rzeczy. Jesteś od nas, jesteś na poziomie. Jesteś piratem tak jak my, Charlie. Rozmawialiśmy o tym z Fredem. Sfinansujemy twoją pierwszą podróż, pojedziesz z nami i obłowimy się ile się da. Zgoda?

Oferta jest kusząca. Od początku tej podróży wiem, że następna przygoda czeka mnie na tym kontynencie, zwłaszcza na tej pustyni, którą przejechałem niechcący. Widoki są wspaniałe, ludzie spokojni, a upał całkowicie mi odpowiada. Interesy Alaina i Freda idą dobrze. Na większą skalę można tu zrobić kokosy!

Przygoda jest tuż, tuż. Ale oznaczałoby to porzucić Miguela, a tego nie chcę. Kretyńska dobroć zabrania mi pozostawić w bagnie kogoś, kto we mnie wierzy. Nie jestem mu nic winien, ale nie zostawię go. Z tym jego szmatławym paszportem oznaczałoby to skazanie go na najgorsze. Po co były te wszystkie wysiłki, zaczynając od Amsterdamu, jeśli miałyby to się tak

skończyć? Miguel potrzebuje jeszcze poprowadzenia i nauczania paru rzeczy, zanim będzie w stanie dawać sobie radę sam. Ponadto ta przyjaźdzka jest potrzebna i mnie, żeby do końca oczyścić się od europejskich narkotyków. Interesy przyjdą później.

Nie pierwszy raz jestem bez grosza ani nie ostatni, to nie problem. Nie mam zamiaru bawić się w turystę wiecznie. Wiem, że okazja jest. Wrócę po nią, muszę tylko dokończyć to, co zacząłem z Miguelem. Na razie muszę go jeszcze poprowadzić za rękę.

Dźwięk trąbki za plecami umacnia moją decyzję.

— Nie, Alain. To ładnie z waszej strony, ale nie teraz. Ciastkarz jest z wami?

Pytanie to przywraca mu uśmiech.

— Żartujesz, przecież to frajer...

Opowiada mi, że Ciastkarz już dwukrotnie próbował przejechać pustynię, ale zawsze oblatywał go strach na południu Algierii. Tym razem udało mu się przejechać, bo dodawała mu odwagi obecność chłopaków z Bordeaux.

— Rozumiesz, chcieliśmy go naciągnąć. Ale pilnuje się, skurwiel, nieufny jest. Śpi ze swoją forszą, wiesz o co mi chodzi?

Aż za dobrze! Tchórz i skąpiec, akurat typ faceta, jakiego najbardziej nienawidzę. Może się zabawimy, ale potrzebuję jeszcze paru informacji.

— Chce jechać do Czarnej Afryki, nie?

Alain kiwa głową.

— Tak. Taki ma zamiar, ale się waha. Boi się, myśli, że Murzyni go zjedzą.

— To doskonale. Na pewno będzie potrzebował przewodnika... Alain szybko rozumie. Wybucha śmiechem i wali się dłońmi po udach. Kiedy trochę mu przechodzi, zapewnia, że szepnie o mnie słówko.

W niecałe piętnaście minut później Ciastkarz podchodzi do mnie, z wypiętym brzuchem i buzią w ciup.

— Charlie... To prawda, że dobrze znasz Afrykę?

— Tak. Urodziłem się tu i spędziłem całe swoje życie.

— A! Tak. Bo widzisz, ja tak dobrze nie znam, a chciałbym trochę zwiedzić...

— Co chcesz robić? Polować?

— Nie, po prostu pojeździć.

— To nie moja działka. Ja się głównie zajmuję polowaniem. Lwy, bawoły, słonie.

— A!

Zrobiło to na nim wrażenie, ale jednocześnie jest rozczarowany. Czuję, że jest gotów zrezygnować. Pytam go miłym tonem:

— Dokąd chcesz jechać?

— Na wybrzeże. Gdybyś zechciał, eee...

— Nie.

— Nie?

— Twój samochód jest zbyt mały.

Żądam w końcu godziny do namysłu i spędzam ją na paleniu trawki z Miguelem. Po upływie czasu Ciastkarz pojawia się ponownie.

— Dobrze. Przemyślałem to. Zgadzam się. Jego twarz rozświetla szeroki uśmiech ulgi, ale po chwili znów poważnieje.

— Ale trzeba ustalić... eee... Jakie chcesz wynagrodzenie?

— Słaby z ciebie psycholog, Ciastkarz. Ja nie pracuję za wynagrodzenie. Jeśli się zgodziłem, to żeby ci pomóc, jesteś sympatyczny i lubię cię.

Uśmiech pojawia się znowu.

— Wystarczy, jeśli pokryjesz koszty podróży. Jego uśmiech powoli zanika. Mówię dalej.

— To znaczy hotele, restauracje, no po prostu podstawowy komfort!

Teraz z uśmiechu pozostało już niewiele.

— Ale nie obawiaj się, nie będziemy cię drogo kosztować.

— My?

— No tak, Miguel i ja.

Tym razem mina zrzędała mu na dobre. Kładę mu rękę na ramieniu protekcyjnym gestem i mówię:

— Ciastkarz, zrobimy piękną podróż.

Kiwa słabo głową, mimo wszystko zadowolony, że się zgodziłem. Czy ma to sens, czy nie, ludzie czują się przy mnie bezpieczni i Ciastkarz nie jest wyjątkiem.

Żeby uczcić naszą spółkę oraz wyjazd chłopaków z Bordeaux, inauguruję mój nowy budżet zapraszając wszystkich na mały wieczorek podobny do poprzedniego, z tym że Ciastkarz, który dziś stawia, decyduje się uczestniczyć.

* * *

Następnego dnia Francuzi odjechali do Europy. Długo ściskam dłoń Ministra Dobrych Interesów, który wie, że pojawię się znowu. Dałem mu w prezencie fotel pasażera z Citroëna Mehari Ciastkarza. Fotel usunąłem, żeby móc jechać na tylnym siedzeniu wygodnie, z wyciągniętymi nogami. Miguel siedzi obok mnie.

I wyruszyliśmy na południe.

Ach, Ciastkarz! Dla niego te pięć tygodni wspólnej przejażdżki to prawdziwa droga krzyżowa. To jego wina, sam tego chciał.

Już od pierwszych dni skarżył się na ilość moich stosunków seksualnych, uważając, że przesadzam: przypomniałem mu zasady naszej umowy. Posłusznie dalej wyciągał ze swej pedałówki wynagrodzenie dla wszystkich tych młodych panienek. Później powiedział mi, że nasza umowa nie przewidywała rozrywek Miguela. Nie zadał sobie najmniejszego trudu, żeby zrozumieć, że Afryka to kontynent seksu, i że połączone efekty skrętów z afrykańskiej trawki i wszystkich tych sterczących zadków są odczuwalne i naglące.

Nawet przyjacielskie trzepnięcia w kark nie przekonały go.

Nie dość, że psuł nam przyjemność swoją małostkowością, to Jeszcze pozwalał sobie na zrządzenie na temat cen hoteli i restauracji, w których się zatrzymywaliśmy: jego zdaniem powinniśmy byli uprawiać camping! Tak jakbym był typem człowieka, śpiającym pod namiotem! Ponieważ nalegał, żeby spać pod gołym niebem, musiałem poświęcić trochę czasu na rozmowę w cztery oczy, aż zrozumiał, jak niebezpieczne może się to okazać z powodu złodziei, bandytów i podobnych rzeczy.

Później oburzał się na brak pomocy z naszej strony za każdym razem, kiedy jego Mehari łapał gumę. Odkręcanie koła, naprawa, pompowanie, przykręcanie, wszystko to wydawało mu się zbyt ciężkie dla jednego człowieka. Godził się jeszcze na to, żebym odpoczywał zjadając banany, podczas gdy on pracuje, jako że byłem jego przewodnikiem, osobą odpowiedzialną i szefem ekspedycji. Ale irytowało go, że Miguel siedział koło mnie i patrzył na niego rechocząc lub dmuchając w trąbkę. Nic już nie układało się między nimi. Miguelowi sprawiało złośliwą przyjemność zjadanie jego porcji w restauracji, dawanie mu po głowie za moim

przykładem, wymyślanie mu po hiszpańsku. Początkowo Ciastkarz prosił, żebym mu tłumaczył, ale potem zrezygnował.

* * *

Na szczęście poznawałem kontynent i sprawiało mi przyjemność rozglądanie się dookoła, na haju razem z Miguelem. W końcu przestałem zwracać uwagę na naszego kierowcę.

Afryka jest zabawna. Jest nieporządna, hałaśliwa, popsuta, połatana. Upał przytłacza wszystkich i nic nie działa jak należy, ale kiedy się jest tylko przejazdem, jest to nawet dobra rozrywka. W małych wioskach, gdzie są trzy domki i dwie małe okrągłe stodoły, ludzie są sympatyczni. Na nasze powitanie zbiegały się dzieciaki, całe w uśmiechach i z wyciągniętymi dłońmi. Na początku głaskałem je po głowie, żeby sobie wytrzeć ręce. Teraz robię to z sympatii. Dorośli śmieją się cały czas i nic nie można zrozumieć z tego, co wygadują. Kobiety są zawsze gotowe uczciwie zarobić parę franków, zadarłszy spódnicę, nawet bez zdejmowania miednicy czy stosu drewna z czubka głowy.

Szkoda, że czarnuchy z miast są równie nieprzyjemne, co tępe. Ledwie zleźli ze swoich drzew, zwała się im na kark cywilizacja i nie wpłynęło to na nich dobrze. W miastach rządzi przemoc, są one pozbawione podstawowej higieny i infrastruktury, nic w nich nie można załatwić bez zapłaty. To prawdziwie absurdalne światy, podobne granicom wytyczonym przez kolonizatorów, tak samo jak Ich armie, ich administracja i wszystkie inne dziedziny, w których czarni zaczęli małpować swoje wzorce. Wszyscy celnicy, z którymi mieliśmy do czynienia, okazywali się nadętymi i skorumpowanymi skurwysynami. Wszyscy gliniarze to sukinsyny, podobnie zresztą jak sędziowie.

Z tymi ostatnimi nawiązaliśmy kontakt przez Ciastkarza. Dokładnie było to w Ghanie. Ciastkarz zaczął dzień zapominając, że po przejechaniu granicy, w środku buszu, trzeba nagle jeździć po angielsku. kolonizacja zobowiązuje, czyli po lewej, a nie po prawej, bo inaczej można nadziać się na ciężarówkę.

Po krótkich a gwałtownych emocjach rozumiemy, w czym rzecz.

W kilka minut później Ciastkarz wydaje z siebie okrzyk i hamuje w miejscu, wywracając Miguela.

— Moja torebka! Moje pieniądze!

Ten dureń zostawił swoją pedałówkę w restauracji, trzydzieści kilosów wcześniej. Wracamy i, oczywiście, po torebce ani śladu. Nie na długo jednak, bo krzyki Ciastkarza ściągają wszystkich dookoła. Co najmniej trzydziestu Murzynów przeszukuje okolicę, i w końcu dorywają dwóch sprzątaczy z restauracji, których oczywiście skusiła taka fortuna w zasięgu ręki. Nasz kretyn, ciągle jeszcze przerażony nawet po odnalezieniu zguby, ryczy, żeby wezwać policję. Po pięciu minutach do restauracji wpada dwóch gliniarzy, w szortach, długich niebieskich skarpetkach i ogromnych butach na tych ich murzyńskich stopach. Łapią pałki, rzucają się na obu gówniarzy i walą. Walą z całej siły, rozrywają tkanki, uderzają w głowę, w brzuch. Robi mi się niedobrze od ich brutalności, próbuję interweniować, ale jeden z gliniarzy zatrzymuje mnie wyciągając w moim kierunku pałkę.

— Don't move, it's our business.

Na szczęście w końcu przestają i wyciągają nieruchome ciała na zewnątrz, ale najpierw zabierają nam paszporty, bo musimy uczestniczyć w procesie jako świadkowie. Tego samego wieczora robi mi się głupio i idę do szefa policji, żeby wynegocjować zwolnienie obu chłopców. Ten sucho odmawia i nakazuje nam stawić się nazajutrz rano na procesie.

W ten sposób rano znajdujemy się w wielkiej brudnej sali Pałacu Sprawiedliwości. Kiedyś budynek musiał być ładny. Dzisiaj niewiele się różni od afrykańskiego bazaru, panuje tu brud i lata pełno much.

Czekamy tak od godziny na łaskawe nadejście sędziów. Oskarżeni, w swoim oddzielnym boksie, są w oplakany stanie. Cali posiniaczeni, z popękkanymi wargami, popuchniętymi głowami, w postrzępionych ubraniach, ledwie trzymają się na nogach. Ręce mają związane za plecami, a za nimi stoją dwaj wysocy gliniarze, z których każdy trzyma kij i dla rozrywki poklepuje nim guzy obu ofiar. Jako świadkowie jesteśmy także pilnowani. Poza tym na sali jest około dwudziestu osób, korespondentów lokalnej prasy albo sprzedawców mango; nie mam pojęcia, może przyszli tu się ochłodzić albo przespać.

Wreszcie Panowie Sędziowie, świadomi własnej ważności, wchodzą na salę. Wymierzam Miguelowi cios łokciem między żebra, żeby powstrzymać niepohamowany śmiech, jaki go ogarnia.

Ich Wysokości ubrane są po angielsku, w czerwone togi i białe falowane peruki. Już na starym angielskim lordzie takie rekwizyty wyglądają niepoważnie, ale na czarnej mordzie robią zabójcze wrażenie.

— Uważaj, są niebezpieczni.

Rzeczywiście, w miarę jak rozwija się ceremonia, czuję, że dzieciaki są w niebezpieczeństwie. Tamci kretyńcy postanowili udowodnić nam, że w ich kraju sprawiedliwość nie jest pustym słowem, i zamierzają wlepić im karę najwyższą. Nie można do tego dopuścić. Wstaję więc i zabieram głos. Oświadczam im, że ich kraj jest bardzo piękny i żywię wiele szacunku dla ich kultury. Opowiadam im o legendarnej wielkości Ghany, przypominam szczególne stosunki, jakie zawsze łączyły nasze kraje, oraz pełno innych nedorzeczności tego rodzaju, po czym wzywam do okazania wspaniałomyślności obu oskarżonym. To my jesteśmy winni, bo stworzyliśmy pokusę. Zresztą jest to prawda. Nie zostawia się majątku w zasięgu rąk dzieci, które umierają z głodu.

Podczas mojej przemowy patrzę w punkt wysoko ponad ich głowami. Nie potrafię zachować powagi widząc te mordy kłownów. Jednakże zauważam, że są niezdecydowani. Jeden nieustannie drapie się w kark, przesuując w ten sposób perukę, która jest dla niego za duża i spada mu wtedy na oczy.

Walę obcasem Miguela, który chichocze obok, i siadam wśród ogólnej ciszy, poprosiwszy na zakończenie przysięgłych o wielkoduszność. Sędziowie patrzą po sobie, najwyraźniej zakłopotani, przyglądają się oskarżonym, potem sufitowi, a kiedy nie zostaje już nic do oglądania, ogłaszają uniewinnienie. Chłopcy dostają jeszcze końcowe lanie, po czym zostają wyrzuceni na ulicę. Odbieram nasze paszporty i również wychodzę, by dołączyć do Miguela, który zatacza się ze śmiechu na chodniku.

Od tego czasu Miguel traci ostatecznie szacunek dla Ciastkarza, który przecież nadal robi swoje.

* * *

Togo, Dahomej... Podczas gdy w buszu pełno jest zachwycających Murzynek, to właśnie w Lagos, w Nigerii, w najniebezpieczniejszym mieście Afryki, nedorzecznym rezultacie afrykańskiej urbanistyki, nasz szanowny towarzysz objawia nagle swoje seksualne potrzeby. I oto w środku nocy jedziemy jego citroenem do czerwonej dzielnicy, w której dziewczyny

podchodzą w światło reflektorów, by rozwierać uda i wykrzykiwać swoje bojowe zawołanie: Fucky–fucky! Fucky–fucky!”

Po dłuższym kręceniu się po okolicy, co pozwala, żeby wszyscy nas zauważyli, Ciastkarz wybiera sobie trzy grube, po czym, kiedy przychodziło płacenia, naturalnie zaczyna awanturę. Za trzy minuty ekstazy na podwórku dziewczyny żądają więcej, niż było ustalone. Zamiast dać spokój i zapłacić, Ciastkarz przeciąga sprawę. Sprzeczka przyciąga jakichś facetów, i zaczyna się corrida. Każę pozostałym wycofać się do samochodu. Tamtych jest trzech. Ciastkarz coś długo nie może ruszyć, więc walimy. Uderzam najbliższego lewarkiem. Miguel wbija saperkę w czoło drugiego. Cofają się. Mój klient ma twardą głowę, wraca, więc tym razem walę go z całej siły, podczas gdy Ciastkarzowi wreszcie udaje się wrzucić jedynekę.

Tym razem nasz koleś się przestraszył. Na pełnym gazie opuszczamy kraj i jedziemy do Kamerunu. Kilka dni później noc zaskakuje nas na szosie niedaleko Yaounde, i nie ma szans na znalezienie hotelu. Zgadzam się na spędzenie nocy pod gołym niebem, i śpię kamiennym snem. Po przebudzeniu okazuje się, że nic już nie mamy. Skrzynki, ekwipunek, wszystko zniknęło. Miguel i ja spaliśmy w ubraniach, ale Ciastkarzowi została tylko pedałówka, którą miał pod głową. Stoi zaskoczony, w samych tylko slipach wątpliwej czystości, i przeżywa katastrofę. Dla niego to potężny cios. Później dowiem się, że złodzieje spalają jakąś roślinę, której dym pogłębia sen. Ciastkarz ma w nosie to wyjaśnienie. Załamuje się. Kupuje sobie nowe ubranie, po czym wyjawia mi, że zamierza wszystko rzucić i wracać do Europy.

Po krótkiej dyskusji zgadza się, że nie byłoby elegancko zostawiać swoich kumpli w środku dzikiej Afryki, bez centa odszkodowania za zerwanie kontraktu. Wyciąga swoje czeki podróżne i wypłaca mi pięćset dolarów, po czym wstaje od stołu barowego, przy którym siedzimy. Końcem warg mamrocze jakieś do widzenia i odchodzi, nawet nie kiwnąwszy nam ręką. Facet, który od ponad miesiąca dzieli ze mną życie, odwraca się ode mnie tak po prostu! Miguel i ja, nadal siedząc za stołem, z lekkim smutkiem patrzymy, jak citroen oddala się, po czym zatrzymuje, bo ten zboczeniec Miguel przeciął obie tylne opony.

I taki pozostanie mi ostatni widok Ciastkarza, zaczerwienionego z wysiłku, dyszącego, wychudłego i pomniejszonego, który raz jeszcze

naprawia opony swego małego samochodu pod naszym rozczulonym spojrzeniem.

* * *

Mogłem odebrać mu wszystko. Moją wielką satysfakcją, odkąd przemierzam świat, jest to, że nigdy nie przestałem podróżować. Jestem bez skrupułów, inteligentny, jestem manipulatorem, jak kto woli, ale mam za sobą siedem lat podróży, z rękami w kieszeniach dżinsów, w wysokich butach na nogach i jedynie z paszportem. Mimo to nigdy niczego sobie nie odmawiałem. Pieniądze znajduję, a gdyby trzeba było oskubać tę miernotę z citroenem z ostatniego grosza. zrobiłbym to bez problemów.

Nie zrobiłem tego, bo do następnego kroku potrzeba mi tylko pięciuset dolarów. Będę musiał rozstać się z Miguelem, pozwolić mu iść własną drogą, i jednocześnie pozostawić sobie wolne ręce, żeby poważnie popracować. Muszę wrócić na Saharę, gdzie, jak wiem, czeka na mnie przygoda. Zaczynam naprawdę cenić Miguela. Wyrobił się, nabrał rumieńców. Zrobił się przy mnie rozmowniejszy. To dobry kumpel, ale nie ma dla niego miejsca w dalszym ciągu tej historii.

Pierwszą sprawą do załatwienia jest jego paszport. Przed wyjazdem trochę nad nim popracowaliśmy, ale nie mógłby się ostać poważniejszej kontroli. Dlatego właśnie pojechaliśmy do Afryki, żeby znaleźć dla niego nowy paszport, a także dlatego, że potrzebowałem świeżego powietrza po dwóch przedawkowaniach heroiny.

W Yaounde moją pierwszą czynnością było sprawdzenie, czy jest tam hiszpański konsul. Kiedy to ustaliłem, wziąłem za pretekst podróż do Gwinei równikowej, dawnej hiszpańskiej kolonii, żeby spotkać się z konsulem. Był to młody, mniej więcej trzydziestopięcioletni facet, otwarty, bardzo sympatyczny i rozmowny, doskonały, do roli, jaką miał dla mnie zagrać.

Konsulu, jeśli czytasz te słowa, nie miej do mnie żalu, że cię nabrałem, chodziło o uratowanie kogoś!

Pierwsza sprawa, zmienić wygląd, mój, a zwłaszcza Miguela. Kupujemy marynarki, porządne buty, zegarki za trzy grosze i pozłacany łańcuszek na uzupełnienie stroju Miguela. Potem najtrudniejsze: przekonać tego tępogłowego hiszpańskiego hippisa, żeby ściał włosy. Udaje mi się go

nareszcie do tego nakłonić i mały kameruński fryzjerczyk robi mu piękną główkę młodego kretyna, starannie wygoloną za uszami.

Kręcimy się po wszystkich klimatyzowanych barach w mieście, mając nadzieję spotkać tam Ramona, naszego konsula, który chętnie chodzi się zabawić wieczorami. Po trzech dniach udaje się nam to w najelegantszej kawiarni Yaounde, gdzie jest bar dla białych i dla czystych dziewczyn; lokal prowadzi jakiś Niemiec, a Ramon jest tam częstym gościem.

Następne dwa tygodnie poświęcamy na zdobycie jego sympatii. Według naszego scenariusza Miguel jest chłopcem z dobrej rodziny, który uczy się życia podróżując. Ja jestem jego opiekunem. Obaj prześcigamy się w uprzejmościach dla Ramona, co przychodzi nam o tyle łatwo, że facet jest naprawdę miły. Dobrze zna Afrykę i chętnie o niej opowiada, dobrze się go słucha, a poza tym, rzecz nie do pogardzenia, lubi się dobrze zabawić.

Lokale, drinki, kolacyjki, parę wesołych zabaw z dziewczynkami, j szybko stajemy się nierozłączni. Dokładnie wtedy, kiedy właśnie zaczęła się pora deszczowa, oznajmiam mu nasz zamiar odbycia parodniowej wycieczki do dżungli. W czasie pory deszczowej drogi stają się prawdziwymi bagnami, i Ramon ostrzega, że będziemy cierpieć. Odpowiadam, że właśnie o to chodzi, że należy to do reguł gry, bo trzeba, żeby Miguel trochę się zahartował.

Następnego dnia opuszczamy Yaounde, choć oczywiście nie zamierzamy ginąć w lesie. Zatrzymujemy się w małej wiosce, dziesięć kilometrów od miasta, i siedzimy tam pięć dni, goszczeni przez rodzinę, która udostępnia nam jedno pomieszczenie w swojej chacie, i palimy, chlamy wino palmowe wygłupiamy się z tubylcami. Piątego dnia, w ulewnym deszczu, w obecności umierającego ze strachu Miguela, wrzucam uroczyście jego paszport w błoto.

Rezultat jest świetny. Nazwisko daje się odczytać, podobnie jak data urodzenia i termin ważności paszportu. Pieczęć na zdjęciu jest całkowicie zamazana.

Wracamy do Yaounde i wkrótce odwiedzamy Ramona w jego biurze. Przyjmuje nas z otwartymi ramionami, pyta o Miguela i jak udała się nasza ekspedycja.

— Właśnie, Ranion, mamy mały kłopot, może mógłbyś nam pomóc.

Wyjaśniam mu, że paszport Miguela nieszczęśliwie wpadł w błoto podczas trudnej przeprawy, że niedługo musimy jechać do Gwinei

równikowej i że cała podróż stanie pod znakiem zapytania, jeśli będziemy musieli wracać do Hiszpanii, żeby wyrobić mu nowy paszport.

Ramon wznosi ręce do nieba. Ma wprawdzie możliwości, żeby wyrobić Miguelowi nowy paszport, ale oficjalnie nie ma do tego prawa. Wszystko zależy teraz od przyjaźni, jaka łączy nas od kilku tygodni, i od zaufania, jakie do nas żywi. Nie daje odpowiedzi od razu i prosi, żebym przyszedł następnego dnia. Przez całą noc Miguel chodzi w kółko po hotelowym pokoju. Jeśli Ramon odmówi, to już naprawdę koniec.

Następnego dnia Ramon zgadza się.

Późnym popołudniem Miguel znajduje się w posiadaniu oficjalnego paszportu, podstemplowanego w hiszpańskim konsulacie. Jest to fałszywy dokument o tyle wiarygodny, że jest całkowicie autentyczny. W pokoju Miguel bez przerwy ogląda go ze wszystkich stron, podziwia go i od czasu do czasu wybucha pełnym szczęścia śmiechem. Te jego nagłe radosne okrzyki świadczą o tym, jak bardzo męczyła go stała niepewność jutra.

* * *

— Proszę pani, teraz wyliżemy kuciapę.

— Teras ... wylizujemy ... kuczape.

Zdanie to Miguel powtarza kilkakrotnie. Akcent nie jest jeszcze dobry, ale moje lekcje francuskiego zaczynają przynosić owoce. Postanowiłem uzupełnić trochę jego wykształcenie, zanim zostawię go samemu sobie. Francuski i angielski, w połączeniu z jego hiszpańskim, pozwolą mu dawać sobie radę wszędzie.

— Kuciapę! Nie kuczape.

— Kucz... Kuczape. Kuciapę!

Moje lekcje mają nieco szczególny charakter, ale w ciągu paru tygodni nie mam czasu nauczyć go wszystkich subtelności języka. Pomyślałem więc, że najlepiej poprzestać na sprawach najważniejszych.

Dlatego kilka razy w ciągu dnia zatrzymujemy, się przy drodze, żeby trochę odpocząć i, jeśli nie gramy w szachy, uczę go nowego świństwa. Im dalej posuwamy się tą pustą drogą, tym bardziej Miguel mnie zadziwia. Robi ogromne postępy i powtarza moje zdania z entuzjazmem. Odkąd ma w kieszeni swój nowy paszport, stał się innym człowiekiem. Śmieje się, rozmawia, bawi. Jego ramiona wyprostowały się i nie ma już tego wyglądu

niewydarzonego cherlaka, przemykającego się ukradkiem przez życie, który uderzał w nim na początku podróży.

Po załatwieniu sprawy z konsulem w Kamerunie udaliśmy się do Czadu, do N'Djameny, ale nie zostaliśmy tam długo. Trwała tam wojna, a ponieważ nie byliśmy w stanie ustalić, którzy byli dobrzy, a którzy źli, zostawiliśmy ich swojemu losowi. Niech się dalej naparzają sami.

Nadarza się też pierwsza okazja, żeby pozbyć się Miguela. Zaczynam już mieć dość tej przejażdżki, i pilno mi zmienić działalność. Miguel ma teraz doskonały paszport, brakuje mu tylko trochę forsy ewentualnie kogoś, kto mógłby się nim zająć przez jakiś czas, żebym miał czyste sumienie.

Właśnie w N'Djamenie dwoje Hiszpanów prowadzi kwitnący handel. To wymarzona okazja.

— Miguel, idź do nich, powiedz im, że rodacy muszą sobie pomagać, nawsadzaj im kitu! Musi ci się udać coś załatwić!

— Myślisz? Nie wiem, ja chyba nie potrafię. Lepiej byłoby, żebyś ty z nimi pogadał.

— Ależ nie, to nie byłoby to samo. Poza tym musisz się przyzwyczajać. No, jazda, trochę wiary we własne siły! Robi kilka kroków, zatrzymuje się, wraca.

— Nie, niezręcznie mi, idź ty.

— Kurwa, to ty jesteś Hiszpanem!

Idzie znowu, stoi parę minut niezdecydowany, po czym odwraca się w moim kierunku i robi wielki, zrezygnowany ruch rękami.

Do cholery! Mam go już dość, ta ofiara mogłaby zrobić mały wysiłek.

To przez niego siedzę w tym idiotycznym kraju i sram z nudów. Opieprzam go, po czym w przypiływie wściekłości odwracam się na pięcie i odchodzę, nie odwracając się. Niech sobie sam daje radę, dość już dla niego zrobiłem. Biorę się za coś innego.

Idę tak dobry kilometr, zanim głupie wyrzuty sumienia każą mi zawrócić. Miguel nie ruszył się, jak zamurowany gapi się na sklep. Daję mu znak ręką i idzie za mną, bez słowa.

Kierunek: Kongo, na południu. Pomyślałem sobie, że skoro już tu jestem, równie dobrze mógłbym zakończyć ten obchód Afryki małym wypadem do centrum, żeby zobaczyć jakieś zwierzęta i, jeśli się da, załatwić parę kobiet Pigmejów... Znów jesteśmy bez grosza, i nie mamy zupełnie ochoty zawracać

sobie głowy. Wychodząc z N'Djameny wybieramy drogę na południe, do Konga pozostało sześćset kilometrów, i ruszamy pieszo.

* * *

Od paru tygodni idziemy tą długą drogą z czerwonej ziemi, całkowicie prostą, wysadzaną aż po horyzont małymi pokręconymi i kolczastymi drzewkami i wielkimi łysymi baobabami. Mangowce, na których od czasu do czasu znajdujemy wielkie owoce, pozwalają nam się pożywić. Są gorące, w środku płynne i powodują straszliwe biegunki, ale to praktycznie jedyna rzecz, jaką możemy jeść. Parę wiosek, przez, które przeszliśmy, czy pojedyncze chaty napotkane po drodze, ledwie pozwoliły nam na urozmaicenie menu. Jakiś ryż z sosem, papka z prosa i parę liści. Nic wykwintnego.

Mamy to gdzieś. Idziemy spokojnie, dwadzieścia lub trzydzieści kilometrów dziennie. Powoli tracimy poczucie czasu. Jest noc: zatrzymujemy się, żeby spać. Jesteśmy zmęczeni: siadamy. Przez resztę czasu maszerujemy na haju, rozmawiając po drodze.

* * *

Miguel utyka z tyłu. Ogolił sobie głowę i stracił ząb w wyniku chwili zdenerwowania z mojej strony, kiedy po raz kolejny próbował coś zagrać na swojej trąbce. Ciągle trzyma ją w ręku i od czasu do czasu, bez widocznego powodu, wydobywa z niej jakieś dźwięki. Pod pachą ściska Biblię i małe okrągłe pudełeczko po nesce, w którym znajduje się nasz zapas trawki. Jako dodatkowy bagaż schował do tylnej kieszeni małą papierową szachownicę pokrytą plastikiem i woreczek z figurami, które zrobiliśmy w Czadzie.

Już dawno nasze buty wyzionęły ducha i obaj poobcinaliśmy nogawki naszych dzinsów. Miguel zawiązał sobie na głowie koszulę, niczym turban. Przy każdej okazji, to znaczy niezbyt często, moczy ją wodą ze studni, błotnistą i o nieprzyjemnym ziemistym smaku. Na nogach mamy wspaniałe afrykańskie sandały z kawałków opon. Jesteśmy czarni, spaleni przez słońce, tak długo idziemy tą drogą bez żadnej osłony, i mamy doskonałą kondycję. Jedynym poważnym problemem jest noga Miguela. Nabawił się jakichś pasożytów stóp. Są to małe, jedno lub dwumilimetrowe larwy, gnieźdzące się pod skórą. Dziury, jakie ryją te stworzonka, w połączeniu z naszym nieustającym marszem, powodują prawdziwe cierpienia. Od paru dni

zatrzymuję się trochę częściej, na partyjkę szachów. Pozwala to Miguelowi trochę odpocząć.

Podczas tej zwariowanej wyprawy przeżyłem dwie spośród najbardziej pamiętnych damskich przygód mojego życia.

Już parę kilometrów temu zauważyliśmy na horyzoncie samotną chatę przy drodze i powoli zbliżamy się do niej, mając nadzieję, że uda się tam coś zjeść.

Im bliżej jesteśmy, tym bardziej intryguje mnie pewien szczegół. Na wprost chaty porusza się mała turkusowoniebieska plama, dobrze widoczna na tle czerwonej ziemi. Jeszcze kilkaset metrów, i nie może już być żadnych wątpliwości: to porusza się dupcia, z góry na dół, zadek, który wydaje się wspaniały.

Ten wypięty tyłek zakryty niebieską spódnicą jest majestatyczny. Pochłonięta całkowicie swoją pracą kobieta, ucierająca proso w ogromnym mózdzierzu przed chatą, nie słyszy, jak nadchodzimy.

— Dzień dobry!

Nie przerywając pracy odwraca głowę w naszym kierunku, patrzy na nas i odpowiada w miejscowym języku. Pełnymi dłońmi obejmuję poruszające się pośladki, otrzymując w odpowiedzi jedynie obojętny śmiech kobiety i absolutne przekonanie, że muszę mieć ten tyłek.

— Ej! Ślicznotko!

Znaczącym międzynarodowym gestem proponuję jej:

— Bum–bum, ty i ja?

Tym razem przestaje pracować, patrzy na mnie i odpowiada mi międzynarodowym znakiem: pieniądze.

— Nie ma pieniędzy, ślicznotko.

Przygląda się nam, jej wzrok pada na srebrną bransoletkę na rękę Miguela, to już ostatnia. Pokazuje mi ją palcem.

— Nie, Charlie, nie ma mowy!

Miguel zrozumiał i cofa się z ręką na bransoletce, żeby ochronić to swoje srebrne świństwo.

— Miguel!

— Charlie, posłuchaj...

— Daj mi tę bransoletkę.

— Nie, Charlie, to pamiątka. To ostatnia rzecz, jaka mi została po Virtudes, mojej narzeczonej...

Virtudes? Narzeczonej? Co to znaczy?

— Miguel, daj mi to.

— Nie!

Cotnął się o trzy kroki, z wypiętą piersią, zmarszczonymi brwiami, gotów bronić swojej ozdoby. Szybko uspokajam go ruchem ręki. Muszę koniecznie mieć ten niebieski tyłek, i będę musiał zabrać się do tego podstępem.

— Uspokój się! Spokojnie! Chodź tu. Chodź, mówię ci. Chcę z tobą pogadać.

Odciągam go trochę na bok i każę usiąść. Kładę mu rękę na ramieniu, patrząc prosto w oczy, i wyjaśniam:

— Dużo dla ciebie zrobiłem, prawda?

— Ale Charlie, miej chociaż trochę szacunku...

— Zrobiłem coś dla ciebie, tak czy nie?

— Tak, Charlie, zrobiłeś dużo, nie wiem, jak ci dziękować, ale...

— Możesz mi podziękować. Nie proszę, żebyś mi dał tę bransoletkę. Zależy ci na niej, to pamiątka, rozumiem to. Ale możemy o nią zagrać w szachy.

Wstaje, zupełnie nie uspokojony.

— To niesprawiedliwe, grasz dużo lepiej ode mnie.

— Turniej w piętnastu partiach, daję ci dwanaście wygranych, to chyba w porządku, nie?

Krzywi się, myśli, i w końcu się godzi.

Od następnego ranka rozpoczyna się turniej, na maleńkim kawałku pnia drzewa. Kobieta na nowo podjęła pracę, o parę metrów od nas. Patrzy, jak gramy, obojętnie, i przerywa swoje zajęcie jedynie, by iskać któreś ze swoich Murzyniątek, które od czasu do czasu przychodzi szukać schronienia przy jej kolanach. Jej mąż wrócił wczoraj późno wieczorem, a dziś rano ponownie wyruszył w busz, z łukiem i strzałami na plecach.

Wygrywam wszystkie partie tego pierwszego dnia, doprowadzając do wyniku 6 do 12, kiedy mąż wieczorem wraca, najwyraźniej z pustymi rękoma. Idę spać dobrej myśli. Zmniejszyłem swój handicap o połowę. Jutro, najdalej pojutrze, niebieska spódnica i śniące mi się po nocach pośladki będą moje.

Następnego dnia wieczorem jestem już mniej pewny siebie. Miguel wygrał dziś jedną partię. Nie dość, że zmniejszyło to mój margines bezpieczeństwa, w dodatku zaskoczyła mnie jego taktyka.

W ciągu dnia stawka tej walki, niecierpliwie oczekująca swojej zapłaty, przyszła dowiedzieć się, jak sprawy stoją. Ale te kawałki drewna na papierku nic dla niej nie znaczą.

Podnosi spódnicę i potrząsa tyłkiem przed moim nosem, wskazując na bransoletkę Miguela.

To szczere wyznanie miłości podwyższa mi ciśnienie, zaćmiewa umysł i sprawia, że przegrywam partię. Miguel dobrze wykorzystał moje lekcje, przecież grywamy tak już od miesiąca, odkąd idziemy tą drogą. Dziś wieczór jest 11 do 13, a ja sądziłem, że wygram w ciągu tego dnia.

Rankiem trzeciego dnia ten sukinsyn wygrywa pierwszą partię. 11 do 14. Przez cały dzień walczę jak wariat, bo forma Miguela rośnie. Nie doceniłem go. Bardzo inteligentnie wybrał taktykę systematycznej obrony, o którą rozbijają się wszystkie moje ataki. Następnie wykorzystując moje osłabienie pozwala sobie na luksus paru posunięć, które odpieram z najwyższym trudem.

Kiedy wraca mąż, nadal z pustymi rękami, mamy remis 14 do 14.

A kobieta coraz bardziej się niecierpliwi.

Za obopólną zgodą postanawiamy odłożyć decydującą partię na jutro, żeby przedtem dobrze wypocząć. Przez cały wieczór nie zamieniamy słowa, jemy podpłomyki przyniesione przez kobietę i kładziemy się spać nie mówiąc sobie dobranoc.

Następnego dnia rano po obu stronach pnia zasiadają wrogowie.

Przemyślałem swoją technikę. Przesunąłem pień tak obliczając jego nowe położenie, żeby Miguelowi przez cały dzień słońce paliło kark. Wszystkie chwytówy dozwolone. Sześć godzin później, kiedy zbliża się pora powrotu męża, przegrałem.

Ma mnie. Królowa, goniec i jeszcze cholerny pionek. Parę dalszych ruchów i dostaję mata, nic się nie da zrobić. Podnoszę głowę, patrzę na niego, a on daje upust swojej radości. Jednym susem podrywa się, chwytając trąbkę i wypuszcza ku niebu przeciągły dźwięk triumfu.

Skurwiel!

Nie ma dwudziestu rozwiązań. Wygra, i będę musiał go ogłuszyć, żeby zabrać mu bransoletkę. Ze wszystkich sił dmie w trąbkę, śmieje się i tańczy.

Przepraszam cię, Miguel, walnę cię bez złości, ale jest poza dyskusją, żebym miał zostać pozbawiony mojej przyjemności.

Miguel w końcu odkłada trąbkę, siada, kieruje ku mnie szeroki dziurawy uśmiech i wyciąga rękę, żeby mnie wykończyć. Tuż przed zrobieniem ruchu poprawia położenie małego pionka, który właśnie ma spaść, na brzegu kartki.

Skaczę na równe nogi.

— Dotknięte! Dotknięte!

— Co, przecież by spadł!

— Dotknięte, musisz zagrać pionkiem, którego dotknąłeś. Takie są zasady.

W takich sytuacjach moja zła wola nie zna granic, i nic na to nie można poradzić. Powołuję się na międzynarodowe przepisy szachowe, odpowiada, że nigdy ich nie stosowaliśmy.

— Właśnie, najwyższy czas. Dość już tego kantowania.

W mniej niż pół godziny później podchodzę triumfalnie do mojej wymarzonej, z bransoletą w ręku, po uprzednim postawieniu Miguela na straży, żeby nie dostać strzałą od zazdrosnego męża.

Murzynka śmieje się i chce zaciągnąć mnie do chaty. Zatrzymuję Ją i gestem każę dalej tłuc proso. Właśnie tak ją chcę mieć. Zabiera się do roboty, a ja nareszcie unoszę niebieską spódnicę.

Niesamowita rozkosz, zupełnie wyjątkowa, lecz niestety zbyt krótka.

Ale, po raz pierwszy odkąd rzną się w Afryce, mam wrażenie, że przyjemność jest wspólna. Jedną ręką tłukąc proso moja zdobycz nie wypuszcza z drugiej swojej bransoletki, szczebiocąc radośnie; od czasu do czasu odwraca się do mnie, zaaferowanego za jej plecami, pokazuje mi bransoletkę i uśmiecha się błyskiem wszystkich zębów. Ach! Miłość!

Następnego dnia odeszliśmy bardzo szybko, bo mąż, który znów powrócił z pustymi rękami, za wszelką cenę chciał również dostać prezent. Jednakże, chociaż zapewnił nas, że także umie tłuc proso Miguel, na którego wypadła kolej, wolał nie skorzystać.

* * *

Następnego dnia Miguel nadal boczy się na mnie. Kuleje parę kroków za mną, z głową uparcie opuszczoną ku ziemi. Ponieważ ze swej strony nie robię najmniejszego wysiłku, żeby nawiązać rozmowę, maszerujemy w milczeniu.

Pochłonięci swoimi myślami przechodzimy niepostrzeżenie przez maleńką wioskę, składającą się z czterech czy pięciu chat.

Właśnie z niej wychodzimy, kiedy wyrywa nas gwałtownie z zamyślenia ostry i nieprzyjemny dźwięk gwizdka. Odwracam się i widzę, jak kilka metrów za nami jakiś karzeł zbliża się wymachując rękami, a na szyi ma gwizdek. Facet jest mały, pomarszczony, w mundurowej marynarce z odznaczeniami i w szortach, slipach czy kalesonach; wrzeszczy:

— Co to ma znaczyć! Co? No!

Patrzemy nie rozumiejąc, a tamten wydiera się jeszcze głośniej:

— Nie wolno chodzić nago po obszarze zabudowanym. Takie są przepisy! No!

Jak to nago? Po prostu nie mamy koszul, to wszystko. Co do reszty to nasze szorty są na pewno porządniejsze niż jego, a poza tym na tym kontynencie wszyscy chodzą na golasa! Jego obszar zabudowany liczy trzy domki: chodzi mu po prostu o wyłudzenie forsy od „szefów”. Daję znak, żeby się zmywał, i odwracamy się od niego, żeby iść w dalszą drogę.

Mały dmucha co sił w płucach w ten swój gwizdek, podbiega do nas i rzuca się na Miguela.

— Co to ma znaczyć! A przepisy, co? Trzeba zapłacić karę! Miguel wyrywa się jak może, usiłuje się odsunąć. Rzuca mi pytające spojrzenie, więc potakuję:

— Wal.

I Miguel zabiera się do roboty, uderzeniami pięści i trąbki. Wykańcza kopniakami, kiedy gliniarz leży już na ziemi. Sam dokładam parę kopnięć sandałem, bez specjalnej nienawiści, ale dlatego, że zawsze przyjemnie jest dołożyć władzy. Gotów jestem zapomnieć o incydencie, ale Miguel jest innego zdania i nadal wyładowuje cały swój zły humor na małym gliniarzu. Powstrzymuję go, kiedy dusi go sznurkiem od gwizdka.

— Wystarczy, spływamy.

Miguel wściekle wciska gwizdek w usta gliniarza, wzdycha, wrusza ramionami i idzie za mną. Jeszcze długo słyszymy w tyle dźwięk gwizdka, najpierw gniewny, potem coraz bardziej rozpaczliwy.

* * *

Dzień kończy się zdecydowanie dobrze, jako że w parę godzin po naszym złym uczynku zatrzymujemy się na noc w misji katolickiej. Misja to zawsze

przyjemne miejsce, bo trzeba przyznać, że księża jadają dobrze. Po kąpieli boy prowadzi nas na mszę.

Ksiądz chyba nie zarabia zbyt wiele. Oprócz trzech czarnuchów i nas dwóch w kościele są tylko dwie zakonnice. Jedna z nich to gruba Francuzka w okularach, którą ledwo zauważam, tak dalece wpatrzony jestem w drugą.

Twarz włoskiej madonny, lekko natchniona, o bardzo czystych rysach, zwrócona ku ołtarzowi w modlitwie, niczego innego nie dostrzegam. Zapominam o mszy, o chwilach, kiedy trzeba wstawać, i o sposobach, żeby wyglądało, że się odpowiada. Miguel trąca mnie łokciem, ale pogrążony w kontemplacji nie zwracam na niego uwagi.

Jest ubrana na granatowo, bez cienia kobiecości. Nie przeszkadza mi to jej się przyglądać, obserwować jej ciało poprzez gruby materiał, a krągłości, które odgaduję, doprowadzają mnie do szału. Śpiewa trzymając mszał w dłoniach. Ruch jej warg czyni jeszcze trudniejszym do zniesienia to pragnienie, które wzbiera we mnie od chwili, kiedy ją zobaczyłem.

Moje spojrzenie jest zbyt natarczywe. Odwraca głowę, patrzy. Jej wzrok napotyka mój, ucieka natychmiast, wraca na chwilę. To kobieta około trzydziestu pięciu lat, cudowna.

Przed kolacją idę na spacer, żeby się uspokoić. Wypuściłem koszulę na szorty, żeby zakryć wstydlive miejsce; całe szczęście, bo inaczej nie wiem, jak bym wyglądał stojąc podczas podniesienia.

Siedzi dokładnie naprzeciwko mnie. Położyłem stopę na jej stopie. Odczekała kilka chwil, akurat trochę więcej, niżby to wynikało z zaskoczenia, po czym cofnęła nogi. Druga zakonnica, poczciwa starsza pani, zawraca mi głowę jakimiś historiami o konfiturach. Miguel zajął się rozmową z księdzem, w połowie po francusku, w połowie po hiszpańsku. Co do mnie, to za każdym razem, kiedy patrzy na mnie moje vis-a-vis, muszę się hamować, żeby nie rozwalić wszystkich dookoła i nie wziąć jej tu, na stole.

Dobry Boże, jak ja jej pragnę! Czuję aż ból w całym ciele. Pożądanie rozrywa mi plecy i żołądek, a ta kolacja nie ma końca. Na szczęście tutaj chodzi się wcześniej spać. Mówię wszystkim dobranoc i idę się przejść po terenie misji. Wkrótce obie siostrzyczki idą do siebie. W kilka minut później pani od konfitur gasi swoją świeczkę. Moja madonna mieszka na parterze. Słyszę odgłosy prysznicza.

Czekam niecierpliwie w cieniu. Teraz idzie się położyć boy. Zostało już tylko światło w okienku łazienki. Wreszcie wychodzi, ponownie ubrana, z lampą naftową w ręku, i rzucam się do przodu. Jest to pierwsza biała kobieta, do jakiej zbliżam się od miesiący, i wszystkie bum–bum są niczym w porównaniu z tym, co pcha mnie ku niej.

Wzdryga się na mój widok. Nie daję jej czasu na opór, a zresztą nie ma wcale na to ochoty. Wbiegamy razem do jej pokoju i zamykam drzwi.

Jest rozpalona, gotowa. Nie wypowiadamy słowa i padamy sobie w objęcia.

W tym pokoju o gołych ścianach, pod małym drewnianym krucyfiksem, przeżyłem jedną z moich najwspanialszych miłosnych nocy, po której wstaję wcześnie, o wiele za wcześnie, następnego ranka. Chronię się w swoim pokoju, gdzie Miguel jeszcze śpi. Moje ramiona i plecy pieką strasznie, porane paznokciami mojej towarzyszkii jednej nocy. W kilka godzin później wymieniamy ostatnie spojrzenia. Ona musi jechać daleko na północ, towarzysząc choremu Murzyniátku w drodze do lekarza. Jest to spojrzenie ukradkowe, które prześlizguje się między księdzem a grubą, zasypującą ją zaleceniami i przestrogi. Amore mio... Wsiada do citroena 2 CV misji i odjeżdża.

Gruba od konfitur opatruje stopy Miguela, po czym wkrótce ruszamy w drogę.

— Y, entonces, que pasa? Co jest?

Miguel bardzo by chciał, żebym mu opowiedział, ale szybko rozumie, że lepiej, żeby dał spokój. Przesiedziałem tak kilka godzin, wspominając tę cudowną noc, przeżywając raz jeszcze te chwile uniesienia najsilniejszego, jakiego nie zaznałem od dawna.

Wreszcie ruszyliśmy na południe.

* * *

Bangui. Potrzebowaliśmy jeszcze tygodnia na dotarcie do stolicy Republiki Środkowoafrykańskiej. Miasto leży na brzegu rzeki Oubangui, po drugiej stronie jest już Zair. Nad rzeką znajduje się największa budowla miasta: hotel Rock, wygodny i klimatyzowany. Tam udajemy się najpierw, a ściślej do baru, w którym zostawiam Miguela. Sam idę na mały spacer po mieście.

Bangui, o czym wiem, bo czytałem w folderach hotelu Rock, zwana jest La Coquette — Elegantka. W czasie spaceru widzę, że jest to uzasadnione. Stolica przypomina małe prowincjonalne miasta francuskie, z tymi swoimi domami w stylu kolonialnym i spokojnymi ulicami. Naturalnie Afryka zaczyna ponownie upominać się o swoje prawa. Ściany są coraz częściej obdrapane, tablice z nazwami ulic powykrzywiane, wszędzie panuje bałagan, ale pozostaje atmosfera, całkiem przyjemna po ponad miesiącu spędzonym w buszu.

Mam tylko nadzieję, że miejskie czarnuchy nie będą się mnie zbyt czepiać. Już i tak o mały włos nie rozbiłem mordy środkowoafrykańskiemu celnikowi, który nie chciał nas wpuścić do kraju. Musiał oglądać mój paszport dobrych pięć minut, żeby znaleźć zdjęcie, zdać sobie sprawę, że trzyma je na odwrot, obejrzyć je, kazać nam poczekać, podrapać się w jaja, zanim wreszcie zdecydował się nas przepuścić.

Jest tu jeden czarnuch, który wydaje się być całkiem zadowolony z siebie. Wszędzie na ulicach Bangui widać transparenty: „Dożywotni Prezydent Jean–Bedel Bokassa”. Na ścianach, wszędzie, plakaty i zdjęcia: „Generał Jean–Bedel Bokassa, Dożywotni Prezydent”. Ten przynajmniej umie zadbać o reklamę.

* * *

Odnajduję Miguela w hotelu i widzę, że nie tracił czasu. Daje się właśnie poderwać jakiejś Europejce, tłuścawej i zupełnie przeciętnej. Miguel wygląda całkiem pocziwie. Skóra spalona przez słońce, włosy wyblakłe i bardzo krótkie, jego wygląd solidnie się zmienił. Rozśmiesza mnie, kiedy widzę go z puszką neski pełną trawki i Biblią na kolanach, jak nieśmiało przygruchuje sobie po francusku dziewczynę zasłaniając sobie usta dłonią, co stało się jego nowym tikiem, mającym na celu ukrycie braku przedniego zęba. Moje lekcje francuskiego dały owoce, bo dziewczyna patrzy w niego jak w obraz.

Ona też utknęła tutaj. Przyjechała do Afryki z mężem, wysłanym służbowo. On wrócił, ona została. Biedaczka zaznała wszystkich możliwych nieszczęść. We Francji była całkowicie anonimowa, prowadziła ciężkie życie, jej seks był prosty i nieciekawym.

Afrykańskie słońce rozbudziło jej zmysły i wreszcie odkryła w sobie zdolności uwodzicielskie. Tutaj podobała się. Była pożądana i szybko ustąpiła pod naporem argumentów czarnuchów, złąknionych cywilizacji.

Jej dom wkrótce zapełnił się boyami do wszystkiego i jej życie zmieniło się. Któregoś dnia jej mąż miał tego dość. Początkowo, choć zaskoczony, był wyrozumiały, lecz szybko zmęczył się i ten tchórz bez serca zostawił ją samą na pastwę goryli. Od tej pory dziewczyna zarabia na ulicy.

Jest to w Afryce przypadek klasyczny, i liczne są, piękne romanse, które umierają na tym kontynencie.

Poza tym jest miła, jakby lekko zmęczona tymi wszystkimi przygodami. Miguel ją pociąga, i szybko zaprasza nas do siebie, do domu, który dzieli ze swoimi środkowoafrykańskimi koleżankami. Tak jak się domyślałem, ten dom to po prostu burdel zamieszkały przez grupę dziewczyn mniej więcej z jednej rodziny. Jest tu dosyć duże zaniedbane podwórze, otoczone sporą liczbą pokoi. W jednym kącie około dziesięciu dzieciaków siedzi spokojnie i bawi się z psem. Osiem czy dziesięć koleżanek Francoise leży w spódnicach, z gołymi piersiami, z oczami zaczerwienionymi od dymu papierosowego, dookoła rozżarzonego piecyka. Francoise przedstawia nas:

— Miguel i Charlie. To kumple. Właśnie przyjechali i są bez forsy.

Po czym bierze Miguela za rękę i znikają w jednym z pokoi. Dziewczyny patrzą, jak siadam obok nich, nie przywiązując do mojego przybycia szczególnej wagi. Aby przełamać lody, robię grubego skręta i puszczam w obieg, co zostaje przyjęte bez problemów.

Nie wiem, co robić. Zwykle jest tak, że to ja rznę dziewczynę, a Miguel czeka. Na szczęście atmosfera jest przyjemna. Dziewczyny pociągają ogromne sztachy z mojego skręta. Przychodzi jeszcze jedna z jakimiś ciastkami, inna robi kawę i częstuje mnie. Wszystkie te panienki spokojnie jedzą podwieczorek wśród głośnych wybuchów śmiechu.

Widać, kto tu jest szefem, to wysoka dziewczyna, która poczęstowała mnie kawą, wydaje innym polecenia i opieprza Murzyniątko, kiedy w kącie robi się zbyt głośno.

W pewnym momencie moja sąsiadka z lewej wstaje, to mała kobietka z lasem zaplecionych warkoczyków na głowie, i zdejmuje spódnicę, pod którą nie ma niczego. Naturalnym ruchem rozsuwa nogi. Schylając głowę kładzie pod krocze małe lusterko i zaczyna się drapać palcem wskazującym. Na lusterko spada pełno małych wszy, słysząc ich uderzenia o szkło. Cierpliwie drapie aż do chwili, kiedy nic już nie zostało, po czym zsypuje wszystko z lusterka w ogień i zakłada spódnicę. Musiałem się roześmiać na ten widok, bo

Aissa śmieje się patrząc na mnie. Wydaje się, że czuje do mnie sympatię. Robię drugiego skręta i podaję jej, a ona siada koło mnie, połyka ogromny kłęb dymu, i mówi:

— Pracujesz tu?

Pytanie to zadaje zapewne wszystkim swoim klientom. Potrząsam głową.

— Nie, jestem nowym papieżem!

Wybuch śmiechem wałąc się w uda przez dobrych pięć minut. Przyglądam się jej uważniej. Jej twarz nie jest zbyt ładna, jak zwykle u Murzynek, ale ma królewskie ciało, szczupłe i giętkie jak liana, co jest tutaj rzadkością. Zauważa moje spojrzenie, które nie wydaje się jej krępować.

— Bum–bum, malutka?

Tym razem wybuch śmiechu jest powszechny. Moje określenie wydaje się im podobać, powtarzają je sobie, bum–bum, i śmieją się jeszcze głośniej. W końcu Aissa zaciąga mnie do swojego pokoju, gdzie czeka mnie kolejna niespodzianka. Pokój jest całkowicie pusty, z wyjątkiem ogromnego łóżka z baldachimem, które pamięta lepsze czasy. To naprawdę fajne miejsce. Zostaniemy tu jakiś czas. I tak mijają spokojne dni, spędzane z dziewczynami.

* * *

Około siódmej wieczorem cała rodzinka” zabiera się do roboty. Panienki biegają we wszystkich kierunkach, przenoszą wiadra wody do mycia i naręcza czystych ubrań. Wymieniają rzeczy między sobą i hałas jest w całym domu. Około ósmej są wreszcie gotowe, przebrane za europejskie kurewki. To pora pracy, i czasem im towarzyszymy.

Spędzają wszystkie wieczory w dyskotecce hotelu Rock, gdzie bez problemu znajdują klientów wśród Europejczyków, którzy mają ochotę na małą Murzyneczkę.

W nocy Aissa przychodzi do mnie na parę przyjacielskich bum–bum, do samego rana. Na ogół wszyscy śpią długo. Po Południu siedzą w kucki w spódnicach i objadają się pysznymi ciastkami z sąsiedniej cukierni, palą i wygłupiają się. Wszystkie są miłe i bardzo sympatyczne. Robią z dupy sklep” bez problemów, a co więcej, ich nocne przygody dają im tematy do jeszcze większych wygłupów.

Ich ulubiony skecz to imitowanie głupoty donżuanów poprzedniego wieczora, okrzyków i westchnień tych panów.

— I co, malutka, zadowolona?

I walą się po udach z uciechy.

— Czujesz mnie, powiedz, czujesz?

Siedząc w kucki z wypiętymi brzuchami małe piękności dla tubabów śmieją się do łez. Te białaski chciałyby je zadowolić! Odgrywają przed nimi komedię przez cały wieczór i całą noc, żeby nie poczuli się zawiedzeni. Popołudniami wszystkie razem powtarzają swoje role, w kręgu dookoła piecyka.

— Teraz, teraz, weź mnie, dobrze mi.

— Już, już, juuuuż...

Są niesamowicie autentyczne w tej grze podpatrzonej na filmach porno, i daje im to okazję do zabawy. Potem dobry skręt, parę ciastek, kawa...

Czas by jednak pomyśleć o wymarszu.

* * *

Któregoś dnia, siedząc nad rzeką i rozkoszując się chwilą samotności, wpadłem na niezły pomysł. Jechaliśmy już ciężarówką, szliśmy piechotą, teraz można by spróbować pirogą. Popłynęlibyśmy w dół Oubangui, aż do Kongo, które doprowadziłoby nas bezpośrednio do portu w Pointę Noire. Stąd Miguel popłynąłby statkiem, ja wróciłbym do Europy i zająłbym się poważnie tą Saharą, która wciąż na mnie czeka.

Miguel natychmiast kupuje pomysł. Francoise i Aissa są gotowe sfinansować budowę wielkiej tratwy złożonej z trzech pirog połączonych drewnianymi balami. Wynajęliśmy więc paru czarnych, mianowałem Miguela kierownikiem budowy i jako inżynier nadzoruję prawidłowy przebieg operacji.

Od tej pory spędzamy całe dni nad brzegiem rzeki. Miejsce jest przyjemne, w pełnym słońcu, z widokiem na Zair naprzeciwko. Na obu brzegach kobiety piorą bieliznę i rozkładają ją na ziemi, co tworzy ogromne kolorowe plamy.

* * *

W ciągu tych dni odkryłem, że Republika Środkowoafrykańska, nie mająca żadnego dostępu do morza, posiada Marynarkę Wojenną. Każdego ranka bowiem, w liczonym towarzystwie, obserwuję wciągnięcie bandery na małej przystani z desek, przy której zacumowane są dwie motorowe pirogi, o

jakieś dziesięć metrów od naszego placu budowy. W tej ważnej uroczystości uczestniczy pełny skład osobowy Marynarki Wojennej w komplecie: pięciu dzikich, którzy podzielili między siebie jeden jedyny mundur francuskiego marynarza. Najgrubszy admirał, ma na sobie praktycznie całość stroju oprócz butów, które zastąpiły sandały z opon, wygodniejsze. Jego zastępca, zapewne bosman, ma buty, ale za to jest bez spodni. Dwaj inni mają na spółkę nakrycie głowy: jeden ma beret, drugi wpiął sobie we włosy czerwony pompon. Piąty dusi się w ogromnej żółtej sztormowej pelerynie, zapiętej pod szyję. Wszyscy zachowują śmiertelną powagę starając się stać na baczność. Z brzuchem wypiętym do przodu, tyłkiem odstającym i stopami do wewnątrz grubas dmucha w gwizdek i facet z pomponem, najniższy stopniem, wyćwiczonym ruchem chwyta banderę. Następnie podbiega do masztu, wspina się na niego, zamocowuje szmatę na wysokości pięciu metrów od ziemi i, schodzi. Ponowny dźwięk gwizdka i cała armia, na czele z admirałem, znika.

Każdego ranka moje nadzieje, że zobaczę, jak facet spada na ziemię, okazują się płonne. Czuję, że rozczarowanie to przeżywają wszyscy obecni, i sfrustrowani nie mają ochoty się rozejść.

Marynarka Wojenna: musi to być jeszcze jeden kaprys Jean-Bedela Bokassy, Dożywotniego Prezydenta. Nie tylko wytapetował całe miasto swoimi fotografiami, swoim nazwiskiem albo obiema tymi rzeczami naraz, ale w dodatku miejscowe radio mówi tylko o nim. Nawet piosenki są o nim, a na tym jeszcze nie koniec.

Którejś niedzieli, kiedy wszyscy jesteśmy nad rzeką pracując przy budowie naszej tratwy, żeby przyspieszyć wyjazd, przychodzi po nas stado gliniarzy, którzy chcą nas zabrać do pałacu prezydenckiego, chałupy trochę większej niż inne, gdzie podobno mamy wziąć udział w jakiejś uroczystości.

Moją pierwszą reakcją jest odesłanie ich do diabła, ale w końcu ustępuję wobec słuszności ich argumentów, bo są grubi, liczni i dobrze uzbrojeni. Uroczystość to mianowanie na wyższy stopień generała Bokassy, Dożywotniego Prezydenta. Wszyscy murzyńscy notable są obecni, podobnie jak praktycznie wszyscy biali mieszkańcy Bangui, a w pierwszym rzędzie stoją dyplomaci z koszmarne znudzonymi minami. Zostać konsulem w takim pajacowatym kraju to zapewne bardziej szykana niż awans. Na wprost publiczności udekorowane podwyższenie. Obok pięciu dzikich w operetkowych mundurach; jest to zapewne Dożywotnia Orkiestra Republiki

Środkowoafrykańskiej, która bez przerwy gra melodię Marszałek Jean–Bedel Bokassa”, następny przebój Radia Bangui.

Pół godziny oczekiwania, dookoła wszędzie pełno żołnierzy pod bronią. Wreszcie nadjeżdża, w galowym mundurze, przy dźwiękach pum, pum, pum, hymnu narodowego nieludzko fałszowanego przez orkiestrę.

Staje przed mikrofonem. Obok niego wojskowy pajac uginający się pod ciężarem orderów potakuje głową każdemu słowu naczelnego pajaca.

I zostajemy zbryzgani potokiem kretynizmów.

— Mamy dzisiaj wielki dzień dla przyszłej historii, właśnie, więc muszę podziękować wszystkim, którzy zechcieli przyjść i fizycznie uczestniczyć w tej uroczystości, zarówno obywatelom zaprzyjaźnionych krajów, jak i członkom wspólnoty ludności naszego pięknego kraju. To wielki dzień, który widzi w mojej osobie, która stała się marszałkiem, gwarancję jedności, wojskowo i społecznie biorąc, w Republice Środkowoafrykańskiej, nareszcie ostatecznie przywróconej...

I tak to trwa przez godzinę. Nie gwarantuję dosłowności tego przemówienia, ale właśnie dokładnie takie wrażenie to robi.

Miguel i ja skręcamy się ze śmiechu, i dostrzegam wokół wiele osób, które powstrzymują się z trudnością. Od czasu do czasu Miguel wykrzykuje jakieś hiszpańskie przekleństwo, tonem jakby to był komplement.

Bokassa mówi dalej, całkowicie niezrozumiale, ja zaś zupełnie przestałem słuchać. Wreszcie milknie, pozwala się oklaskiwać, drapie się w jaja i znika. Możemy się rozejść.

Trudno uwierzyć, że ten błazen jest głową państwa i że ma za granicą swoich przedstawicieli. Ale jeszcze tego samego wieczoru zdaję sobie sprawę, że jak zawsze w Afryce, komiczne szybko przekształca się w tragiczne.

* * *

Jest niedziela, dziewczyny nie pracują i wszyscy siedzimy wokół piecyka w największym pokoju, kiedy przerywa nam zabawę jakiś sierżant. To potężny, dwumetrowy osiłek, tępny i całkowicie pijany. Postanowił, że będzie dziś rznąć, i upodobał sobie jedną z naszych koleżanek. Choć jest to niedziela, Afrykanka nigdy nie odmówi zarobienia paru groszy. Ale nasz gość, dumny ze swego munduru, chciałby walić za darmo. Dyskusja zaognia się, po czym zaczyna się wymiana ciosów. Goryl, z przekrwionymi oczyma, wyciągnął pałkę i wali, gdzie popadnie, nie patrząc, czy to dziecko, staruszka czy mniej

stara. Aissa, która najwyraźniej mu się spodobała, zostaje pozbawiona przytomności jednym uderzeniem i ta gruba świnia rzuca się na nią najwyraźniej zamierzając skonsumować swoją miłość na miejscu. Odtąd wszystko dzieje się bardzo szybko. Z zasady nigdy nie mieszam się do spraw miłosnych, ale kiedy zaczął walić dookoła po głowach, trzeba było zadziałać z dużym taktem. W tym przypadku takt to tłuczek do prosa.

Odporność Afrykanów na ciosy zawsze mnie zadziwiała. Tłuczek jest ciężki, uderzenie bolesne, ale facet nadal stoi na nogach.

Sufit jest nisko i nie mogłem zadziałać z konieczną w takich przypadkach precyzją. Na szczęście zdradzieckie kopnięcie w goleń pozbawia go równowagi. Przybiera dogodniejszą pozycję, i mogę przedstawić mu ze dwa dodatkowe argumenty, które ostatecznie go przekonują.

Dziewczyny są zadowolone, plują na niego i częstują kopniakami. Ale co zrobić z tą górą mięsa, żeby uniknąć zemsty? Jestem zdania, żeby wrzucić gościa do rzeki. Miguel chce go utopić w latrynie, a Aissa proponuje dać jego wątrobę do zjedzenia dzieciom, które są właśnie w wieku dojrzewania. Ratuje go Francoise mówiąc, że jest tak pijany, że nazajutrz i tak nie będzie pamiętał niczego, więc ukradkiem przenosimy go na niedalekie wysypisko. Pomysł Aissy, żeby zjeść mu wątrobę, rozbawił mnie, ale Francoise zapewnia mnie, że nie był to żart.

— To się jeszcze często robi, żeby przejąć siłę wroga.

— Niemożliwe, są jeszcze ludożercy?

— Więcej, niż myślisz. Nie mówi się o tym, ale są.

Wszyscy tutaj wiedzą, że prezydent Bokassa jest wielkim amatorem ludzkiego mięsa.

Kretyński ludożerca, jak można pomylić wyborców ze spiżarnią? Zapada wieczór, a ja dowiaduję się coraz ciekawszych rzeczy o tym skurwielu. Nie ma tu jednej rodziny, która nie ucierpiałaby od jego despotyzmu i w której przynajmniej jeden człowiek nie zostałby zjedzony lub nie zaginął bez wieści. Jedyne obowiązujące prawo to jego dobra wola. Południowoamerykańscy dyktatorzy to nowicjusze w porównaniu z nim. Kazał uwięzić lub wytluc tysiące ludzi, których jedynym przestępstwem było posiadanie bogactw, na które miał ochotę. Mężczyźni, kobiety, dzieci, nikt nie zostaje oszczędzony, a często nawet ginie z jego własnej ręki. Młoda biała turystka, na którą miał ochotę, została znaleziona nieżywa w swoim pokoju w hotelu Rock. Czasami

przybiera to bardziej zabawne formy. Na przykład kazał wsadzić do więzienia całą drużynę futbolową, bo przegrała mecz z reprezentacją kraju sąsiedniego. To zdecydowanie niewyraźna postać. Jeśli wielcy tego świata przyznają mu rangę, której się domaga, kto wie, jak daleko jeszcze może się posunąć...

Byliśmy już świadkami, jak wysoki urzędnik francuski podarował mu szpadę Napoleona, to znaczy broń faceta, który, choć był dyktatorem, miał jednak zdecydowanie inną klasę niż ten cesarz za dychę. Później Francja udzieliła azylu politycznego temu mordercy, który zasługuje jedynie na zwykłe więzienie. Bravo dla Amnesty International, której udało się obalić tego kretyńskiego ludożercę.

* * *

Po tej błazenadzie jeszcze bardziej mi pilno, by zwijać się z tego kraju, i przyśpieszam prace, dzięki czemu po paru dniach tratwa jest wreszcie gotowa. Jest wspaniała, są to trzy siedmiometrowe pirogi połączone ogromną platformą z bambusa. Nadbudówka z palmowych liści będzie nas chronić przed słońcem.

W dniu ochrzczenia naszego okrętu wieczorem nadciąga burza, która powoduje ogromne fale na Oubangui. Całą noc jestem niespokojny, i kiedy następnego dnia rano przychodzimy na plac budowy, moje obawy potwierdzają się. Tratwa została zabrana. Ludzie mówią, że to na pewno sprawa Zairczyków, którzy mają tu złą reputację, ale ponieważ nie mamy pewności, wyruszamy na poszukiwania pięć kilometrów w dół rzeki, gdzie ponownie stykamy się z afrykańskimi bzdurami.

Podobno w trakcie naszych poszukiwań znaleźliśmy się niechcący w strefie wojskowej, w której ilość drzew ma znaczenie strategiczne. Toteż wkrótce otacza nas uzbrojony oddział. Są doskonale wyposażeni, mają wszystko co trzeba, widzę nawet jednego z maską przeciwgazową u pasa.

Aresztowanie, więzienie, żednego bicia, ale izolacja przez dwa dni, do dnia procesu. Jesteśmy oskarżeni o szpiegostwo. To afrykańska choroba. Nie mają nic do ukrycia, ale trzeba na przykład mieć zezwolenie na robienie zdjęć. To chorobliwe majaczenia. W dwa dni później proces. Jesteśmy na podwórzu koszar. Naprzeciw nas, u szczytu schodów jakiegoś baraku, zebrani są wszyscy oficerowie. Po beładnym przemówieniu wydają brudnym szpiegom, którymi jesteśmy, polecenie opuszczenia terytorium środkowoafrykańskiego w ciągu dwudziestu czterech godzin. W przeciwnym wypadku: więzienie,

proces, rozstrzelanie. Kiedy przechodzą kryzys szpiegomanii, są zdolni do wszystkiego.

Postanawiamy opuścić kraj. Ale nie ma tu samolotu, nie ma pociągu...

* * *

Sytuację ratują Francoise i Aissa, kupując nową pirogę, do której wsiadamy tego samego dnia, zaopatrzeni w niezbędny prowiant. Prąd nas unosi, Miguel trochę wiosłuje. Znowu wyruszyliśmy na południe. Już po paru minutach rzuciłem wiosło.

Przez kilka tygodni trwa ta podróż jak z chorobliwego snu. Miguel szybko przestał wiosłować. Leżymy na dnie pirogi i pozwalamy się unosić prądowi. Palimy ogromne ilości zairskiej trawki doskonałej jakości, która zwala nas z nóg na całe dnie. Czasami, widząc w pobliżu wioskę, schodzimy na ląd szukać czegoś do jedzenia, po czym ruszamy dalej. Na noc po prostu unieruchamiamy pirogę na mieliźnie. W trakcie tego spływu zobaczyłem nareszcie afrykańskie obrazki, jakich się tutaj spodziewałem. Widziałem pełno zwierząt, hipopotamy, krokodyle. Miałem też w końcu okazję załatwić kilka kobiet Pigmejów. W jednej z wiosek stary Pigmej zaprowadził mnie do swojej chaty, by z dumą pokazać mi stary, pordzewiały budzik. Doradziłem mu, żeby nosił go na szyi, aby odpędzać złe duchy.

Początek podróży był zabawny, ale zakończenie okazało się trudne i męczące.

Nabawiliśmy się malarii i ameby, żeby się napić, musimy nurkować do dna, gdzie woda jest mniej zanieczyszczona. Wstrząsani dreszczami szybko tracimy na wadze. Jakby naumyślnie piroga często utyka wśród gałęzi przybrzeżnych drzew, a wysiłki potrzebne dla jej odblokowania wycieńczają nas. Trawieni gorączką i bez sił docieramy do Brazzaville, gdzie mieliśmy nadzieję odpocząć. Ale czekał na nas nieprzejednany celnik.

* * *

W Kongu–Brazzaville zostali maoistami. Celnik, Murzyn w chińskim mundurze, na początek zabronił nam wyjścia do miasta i pobytu w nim. Nie wolno nam nawet iść do lekarza. Potem oglądał nasze zdjęcia w paszportach przez dobrych dziesięć minut, udając, że czyta nazwiska. W końcu popatrzył mi prosto w oczy i powiedział:

— Nie jesteście do niczego przydatni w naszym życiu.

— Co?

— Jesteście nieproduktywni. Jesteście pasożytami. Wszystkie ręce powinny być wykorzystane dla produkcji, żeby rozkwitło sto kwiatów, Jak nas nauczył przewodniczący Mao. Powinniście się wstydzić.

Zachowuję się cierpliwie, dopóki nie przystawi nam swoich pieczętek, po czym mówię mu, żeby dał sobie wsadzić jakiemuś Grekowi.

— Wsadzić Grekowi?

Niczego nie zrozumiał. Ułatwiam mu zadanie mówiąc, że wystarczy Senegalczyk. Zanim potrafi znaleźć jakąś odpowiedź w swojej małej czerwonej książeczce, już nas nie ma. Skoro nie możemy zostać w mieście, wsiadamy do pociągu, który przez busz dociera do Pointę Noire, naszego przystanku docelowego. Bo mamy już dość tej przejażdżki po Afryce. Postanowiłem, że na tym koniec.

Na plaży, koło portu, powoli wychodzimy z malarii. Tam też kończymy naszą Biblię. W ciągu tych kilku dni poznaję paru Europejczyków, którzy stali się Afrykanami przez te lata, jakie tu spędzili. Goszczą nas u siebie i parę interesów z nimi pozwala mi na zgromadzenie gotówki. Połowę oddaję Miguelowi.

Znalazłem sobie statek. Stary cypryjski porzewiały towarowiec, który jutro wypływa do Rotterdamu. Ja wracam na północ.

Już najwyższy czas się rozstać. Cała ta historia naprawdę zaczyna mi ciążyć. Miguel może już sobie sam dać radę. Co do mnie, osłabionego tym długim afrykańskim epizodem, pora, bym zabrał się za ciąg dalszy.

— Ciao, Miguel!

— Do widzenia, Charlie. Dziękuję za wszystko. Ściska mi dłoń. Jest wzruszony, to widać. Ja też, ale nie okazuję tego.

* * *

Ej, ty tam, na górze! Widziałeś?. Uratowałem kogoś!

CZEŚĆ DRUGA

Statek wysadził mnie w Rotterdamie, po przyjemnej podróży bez przygód. W czasie wolnym od pracy cypryjscy marynarze grali w backgammon. Ponieważ mieli już kości, nauczyłem ich ciekawszej gry w craps. Szczęście mi sprzyjało. Nie musiałem nawet oszukiwać, żeby oskubać ich z paru setek dolarów. W Europie jesień. Powrót do cywilizacji jest dla mnie zawsze trudny. Za dużo ludzi, za dużo hałasu, za dużo przepisów. Natychmiast pojechałem do Bordeaux, gdzie zawsze odżywają moje wspomnienia z dzieciństwa.

Tu osiedliła się moja rodzina po przyznaniu niepodległości Maroku. Tutaj miałem swoje czterysta batów”.

Byłem fizycznie nadzwyczaj rozwinięty na swój wiek i całkowicie poświęciłem się jednemu interesującemu zajęciu, jakie wówczas było w moim zasięgu, to znaczy ulicznej przygodzie. Równocześnie trochę pochodziłem do liceum, żeby zrobić przyjemność matce. Było to moje jedyne ustępstwo. Pamiętam dzień matury. Byłem już szefem gangu, przyjechałem na egzamin kradzionym samochodem, z jednym z moich ludzi jako kierowcą...

Narobiłem wtedy sporo głupstw, które zmusiły mnie do opuszczenia miasta w bardzo młodym wieku. Spędziłem następnie rok na Lazurowym Wybrzeżu, starając się przekroczyć granicę. Żeby wyjechać z Francji, próbowałem wszystkiego.

Dwukrotnie wstępowałem do Legii Cudzoziemskiej, zgłosiłem się na ochotnika podczas Wojny Sześciodniowej: ileż nieudanych prób. Trafiłem wreszcie na sędziego dla nieletnich trochę mniej głupiego, a może trochę sympatyczniejszego niż inni, który zrobił co trzeba, żebym dostał paszport. W Cannes wsiadłem na statek do Buenos Aires — miałem osiemnaście lat, przeżyłem siedem lat intensywnych przygód, przyjemności, podróży. Wracam do Bordeaux po raz pierwszy. Ciekawiloby mnie spotkać moich dawnych kumpli, tych, którzy się ostali spośród członków bandy nieświadomych niczego dzieciaków, jakimi wtedy byliśmy. Chciałbym przede wszystkim spoktać się z grubym Christianem. Poszedłem go szukać w barze, w którym mieliśmy zwyczaj się spotykać. Właściciel, gruby i wąsaty, nie może otrząsnąć się ze zdumienia.

— Charlie, kurwa, ile to lat. Siedziałeś?

— Nie.

— Nawiałeś?

Naprawdę nic się tu nie zmieniło, i nie czuję się z tym dobrze. W tych gorszych dzielnicach, jak Capus, Klober, Saint-Michel, gdzie jako nastolatek szukałem przygód, mieszkają teraz cudzoziemcy. W każdej rodzinie, hiszpańskiej, portugalskiej czy arabskiej, przynajmniej jeden chłopak siedzi albo się ukrywa. Porozumiewawcze mrugnięcie barmana, jego zachowanie starego alfonsa, cały ten cyrk zbytnio przypomina mi to wszystko, co sam znałem.

To powrót do przeszłości, o której myślałem, że jest już definitywnie zamknięta. Przerywam wąsatemu, który już rozpoczął jakąś opowieść.

— A gruby Christian, masz jego namiary?

Po niecałej godzinie wiem, gdzie go szukać. Mieszka na jednej z tych brudnych uliczek za portem. Jego dom nie wygląda zbyt zachęcająco: to budynek trzypiętrowy, ciemny i pełen wilgoci. Mieszkanie Chrisa jest na ostatnim piętrze.

Pukam. Otwiera on sam.

— Charlie!

Zaskoczenie. Zmienił się, nie przypomina człowieka, którego znałem. Gruby Christian stał się ogromny. Waży co najmniej sto kilo, jego rysy jakby pogrubiały. Zestarzał się.

Po chwili zakłopotania zaprasza mnie do środka. Tu następne zaskoczenie, Christian jest żonaty. W kuchni poznaję jego żonę, która ma brzuch równie duży co mąż. Ale ona ma wytłumaczenie, jest w ciąży.

Trochę zażenowany patrzę, jak Christian, który także czuję się nieswojo, nalewa anyżówkę. Posyłając mi zakłopotane uśmiechy przeszukuje swoje małe zasyfione mieszkanie i w końcu znajduje w tym bałaganie dwa czyste kieliszki. Właściwie ma nadal tę samą, lekko otłuszczoną mordę, postarzał się głównie przez ten brzuch. Kiedy siada naprzeciwko mnie, rozpoznaję swojego starego kumpla. Nasze zakłopotanie szybko znika, i na całkowitym luzie wypijamy anyżówkę za anyżówką wspominając dawne czasy.

— Słuchaj no, a gdzie twój brat?

— Nie żyje.

Młodszy brat Christiana był wspaniałym facetem. Nie miał szczęścia. Ale był coś wart.

— Co się stało?

— Obrabiał jubilera.

Pociąga łyk anyżówki, wypuszcza dym ze swojego małego cygara.

— Jubiler strzelił mu w plecy. Tydzień męczył się w szpitalu.

To cios. Pierwszy. W miarę, jak wypytuję o innych członków mojej bandy, gruby Christian wypija łyteczek i oznajmia mi wyrok: umarł w więzieniu albo, dla szczęśliwców, ukrywa się. Dziewczyny powychodziły za mąż lub zniknęły.

— Jedna tylko często do mnie dzwoni, żeby pytać o ciebie, to Suzy. Chyba zdrowo na ciebie leci, bo za każdym razem nalega, żebym jej powiedział, gdzie jesteś. Jakbym ja coś wiedział...

— Już nie jest z małym Peyruse?

Peyruse, też jeden z moich najlepszych kumpli, był do szaleństwa zakochany w blondynce Suzy, która traktowała go jak szmatę, aż w końcu zgodziła się za niego wyjść na krótko przed moim wyjazdem.

— Nie są już małżeństwem. Rzuciła go. Od tej pory Peyruse rozpił się, ona wyszła powtórnie za mąż, to wszystko.

Nalewa nowy kieliszek i spokojnie zapala małe cygaro. Pije dużo więcej niż dawniej, ale zachował zwyczaj zapalania małych mecarillos. Nadal robi to tym samym ruchem, z głową pochyloną nad zapalką. Zdaję sobie sprawę, jak wielką przyjemność sprawia mi spotkanie z nim.

Wieczorem zabawa na mieście, i piękna Suzy kładzie się do mojego łóżka.

To piękna kobieta, blondynka, wysoka i elegancka, ale noc kończy się fiaskiem. Jej widok przypomina mi za bardzo Rancho Peyruse'a, mojego najlepszego kolegę, pełnego zalet, który był w niej tak zakochany, że aż sam się przez to zniszczył... Wolałem nie spotykać się z nim, żeby nie tracić dobrych wspomnień, jakie po nim mam.

Suzy wyjaśnia mi, że zainteresowała się mną od czasu, kiedy któregoś wieczoru dałem jej kopa w tyłek, bo nie mogłem już znieść tego, jak traktuje Peyruse'a. To, że jakiś mężczyzna poniżył ją, podczas gdy wszyscy klęczeli u jej stóp, wywarło na niej głębokie wrażenie.

Następne dni są rozczarowujące. Christian prowadzi mnie do starych znajomych, którzy ustatkowali się i zeszmacili albo zaczęli zajmować się jakimiś beznadziejnymi szwindlami, które mnie nie interesują. Tylko jeden spośród nich, Ciaude, utrzymał się na powierzchni i prowadzi życie w sposób przyzwoity.

Ale najprzyjemniejsze chwile spędzam z moim starym kumplem. Między kieliszkiem anyżówki i szklanką wina, które przypominają mi smaki znane z młodości, opowiadam mu swoje przygody. Któregoś wieczoru pyta:

— A co teraz?

Opowiadam mu o afrykańskim handlu, o samochodach, o pustyni, o Afryce, o zabawach.

— Kiedy wyjeżdżasz?

— W tych dniach.

— Można na tym zarobić?

— Jak się to zrobi po mojemu, to tak.

— Jadę z tobą.

W zasadzie miałem zamiar odbyć tę pierwszą podróż sam. Ale reakcja Christiana sprawia mi przyjemność.

Tyle razem narozrabialiśmy! Napisano nawet o nas artykuł w prasie, w „Sud Ouest”, pod tytułem „Początkujący gangsterzy”. To równy facet, odważny i tak spokojny, że nic, absolutnie nic, nie może go wytrącić z równowagi.

— A twoja żona?

Obala tę wątpliwość.

— Mam ją w dupie.

Z grzeczności próbuję się za nią wstawić.

— Wygląda bardzo miło.

Patrzy na mnie przez chwilę. Wie, co myślę o kobietach, i zna moją opinię na temat małżeństwa.

— Charlie, nie zawracaj głowy. Wiesz, jak to jest. Na początku fajnie nam było w łóżku, podobało mi się to... Ale odkąd ma to dziecko, stała się nie do zniesienia. Zostawiam jej moją forsę i jadę z tobą. Wakacje dobrze mi zrobią.

* * *

Następnego dnia odwiedzamy okoliczne cmentarzyska samochodów, żeby znaleźć sobie wóz. Znajdujemy na trzecim. Właściciel złomu, młody facet, mówi nam, że ma właśnie do sprzedania peugeota 404?

— Od razu mówię, że nie wygląda najlepiej.

Ma akcent południowego zachodu, aż uszy bołą. Jest pół-Cyganem i zapewne półłodziem. Jeśli sam mówi, że nie jest to najlepsza okazja, to znaczy, że wóz się rozsypuje.

To wrak koloru piaskowego, poobcierany i pokryty pęcherzykami rdzy. Chris robi minę zawodowca i obchodzi samochód dookoła.

— Charlie, chodź zobaczyć.

W środku nie ma nawet jednej klamki na swoim miejscu, siedzenia są dziurawe, a podłoga przepuszcza światło. Chris ciągnie za kawałek blachy. Szeroki pas przeżartego metalu zostaje mu w ręku.

Prostuje się, zapala mecarillo i podsumowuje:

— Ten wóz się sypie.

Zwracam się do Cygana:

— Jeździ to?

— Tak, jeździ, używam go na zakupy.

— I ile za niego chcesz?

— Boja wiem... Sześćset franków.

Patrzę na Christiana i decyduję:

— Bierzemy go.

— Zgoda.

Cygan patrzy na nas przez chwilę, nie rozumiejąc. Z trudem powstrzymuje uśmiech, który rozszerza się, kiedy podaję mu dwa banknoty pięćsetfrankowe.

— Za nadwyżkę nałożysz mi do bagażnika części zamienne do peugeota i znajdź mi magnetofon i jakieś kasety, jeśli masz.

Z pomocą Christiana, który nosi jak najmniej. Cygan wypełnia mi bagażnik różnymi częściami, jak leci. Po półgodzinie magnetofon jest zamontowany i gość odstępuje nam parę swoich własnych kaset, ze Stonesami, Dorsami i Janis Joplin.

Możemy jechać. Silnik zapala od razu. Pochylony przy opuszczonej szybie Cygan pyta:

— Daleko tak jedziecie?

Odpowiada mu Christian spokojnym głosem.

— Do Afryki.

— Nie?

Teraz już śmieje się otwarcie. Pozostawiamy go rozbawionego i wracamy do centrum Bordeaux. Po południu Christian zajmuje się dokumentami, dowodem rejestracyjnym i ubezpieczeniem.

Około siedemnastej wyruszamy na południe.

— Dokąd konkretnie jedziemy, Charlie?

— Do Niamey, w Nigrze.

— O, kurwa!...

Dziś rano przekroczyliśmy granicę hiszpańską. Ja prowadzę. Żeby ze mną rozmawiać, Christian musi podnosić głowę. Po stronie pasażera kawałek podłogi puścił i połowa siedzenia zwisa pod samochodem, niedługo po naszym wyjeździe.

— Charlie, powiedz, gdzie jest ten Niger?

— Zaraz pod pustynią, po Algierii.

— Tam są Murzyni?

— Uhm.

— Są tak samo tępi jak ci, którzy mieszkają we Francji?

— Nie. Tam są w swoim środowisku. Ci z buszu są fajni. Ci z miast są zepsuci. Za bardzo lubią pieniądze. Naśladują swoich kolonizatorów. Chociaż nie powinni.

Zapala mecarillo i sięga ręką do tyłu, żeby wziąć jakąś butelkę. Mamy tu parę litrów anyżówki, whisky, koniaku, wina bordeaux, a także sery. Możliwości Christiana zadziwiają mnie. Pije, po czym sika. Odkąd jesteśmy w Hiszpanii, narzeka, że za granicą źle się jada. Christian nigdy nie wyjeżdżał z Francji. Będzie cierpiał w Afryce, jeśli chodzi o jedzenie.

— To prawda, że tam zjadają się między sobą?

— Tak. Czasami...

— O, kurwa...

To cały Christian. Pojechał ze mną nie mając zielonego pojęcia o tym, dokąd jedzie. Zaśmiewamy się bez przerwy. Od wyjazdu całkowicie się odnaleźliśmy nawzajem. Magnetofon, dużej mocy, gra na cały regulator. Christian ubrany jest jak na letnisko, cały na biało i w tenisówkach. Nacisnął

sobie na oczy małe słomiane sombrero, co uzupełnia jego wygląd a la mecarillo”.

— Dobry interes zrobiliśmy z tym wozem, nie?

Fakt, że samochód zachowuje się bez zarzutu. Jeśli nie liczyć jakichś metalicznych, nie zidentyfikowanych stuków oraz przeciągu, silnik musi być w dobrym stanie. Pracuje równo. Nie znam się zupełnie na mechanice i Christian też nie. Podczas postoju, jeszcze we Francji, obszedł samochód dookoła i powiedział:

— Charlie, trzeba dbać o wóz, nalewać wody i sprawdzać poziom oleju.

— Myślisz?

— Jestem pewien. Poza tym, trzeba nalewać benzyny.

Dał parę kopniaków w opony i zapewnił mnie, że są dobre.

Podczas kontroli drogowej gliniarz doradził nam jednak, żeby je zmienić. Jazda na łysych oponach jest niebezpieczna, a w dodatku zabroniona. Odparliśmy, że właśnie jedziemy to załatwić, i zmyliśmy się.

* * *

Christian ma prawo jazdy. Co do mnie, to miałem ich kilka. Niektóre kupiłem, żeby dostać pozostałe, musiałem oszukiwać. Nie mam pojęcia o znakach drogowych.

Jedziemy bez przerwy, chyba że Christian chce się wysikać. Praktycznie prowadzę zawsze ja. W Barcelonie aptekarka trochę głupsza od innych zgodziła się sprzedać mi bustai, i połykam pigułkę za pigułką.

— Co to za świństwo?

— Tabletki na schudnięcie.

— Po co to bierzesz?

— W dużych dawkach to środek pobudzający. To mocniejsze niż speed.

— No tak, to po prostu świństwo!

I sięga za siebie po omacku, by złapać jakąś butelkę.

* * *

Przejazd samochodem przez kraj europejski nie ma w sobie nic interesującego. Zamierzam jechać bez zatrzymania aż do Adraru, wrót do tej pustyni, w którą chcę się zagłębić. Stąd to teraz dwa tysiące kilometrów. Szybko dojeżdżamy do Algeciras, hiszpańskiego portu, skąd wsiada się na prom do Maroka.

Po dwugodzinnej przeprawie, w całości spędzonej w barze, lądujemy w Ceucie. Jest to hiszpańska enklawa na marokańskim terytorium. Całe miasto to strefa bezcłowa. Christian jest zachwycony okazją. Korzysta, żeby zaopatrzyć się w alkohole.

Jego radość nie trwa długo. Zaraz po wyjeździe z miasta czekają na nas marokańscy celnicy w długim, brudnym baraku. Każą czekać całymi godzinami rodzinom obładowanym bagażami i tekturowymi pudłami. Ci panowie postanowili obrzydzić nam życie. We wściekłość wprawia mnie jakiś grubas, władczy, w nieświeżym mundurze. Jest pełen wyższości, podejrzliwy, i tracimy z nim godzinę. Rozpoczyna dokładne przeszukanie. Znajduje butelki z alkoholem żąda swojej części. Odstępuję mu kilka.

Już od pierwszej chwili ta świnia popsuła mi powrót do kraju.

Urodziłem się w Maroku i spędziłem tam dzieciństwo. Zachowałem z tego okresu najlepsze wspomnienia. Tak bardzo cieszyłem się na myśl, że spędzę tam znowu kilka dni, a teraz już nic z tego. Postanowiłem przejechać przez Maroko i rwać prosto na południe. Christian nie jest zachwycony utratą swoich butelek i mamrocze coś w swoim fotelu. Pomimo fali nienawiści, jaka mnie ogarnęła, zwielokrotnionej pod wpływem bustai, staram mu się przedstawić inny obraz Maroka. Celnicy to po prostu gliniarze. Kraje trzeciego świata i dyktatorzy, których tam zatrząsienie, stawiają sobie za punkt honoru, by ubrać w mundury najgłupszych ludzi w kraju. Im tyran jest silniejszy, tym większymi kretynami są jego psy. A na dole, nie doksztaleni, otumanieni propagandą, prości ludzie mogą tylko się zamknąć do czasu, kiedy jeszcze silniejszy facet albo jeszcze większy szaleniec potrafi wyrwać ich z tej bierności.

* * *

Przekraczamy masyw K'etama. Podekscytowany nie zwalням na serpentynach górskiej drogi. Zaczynam odczuwać uboczne efekty bustai. Kark mam obolały. Wszystkie mięśnie mi sztywnieją. Myśl o jedzeniu napawa mnie wstrętem. Christian obzera się w oberży przy szosie. Ja kupuję sobie paczuszkę haszu od klientów, którzy palą bez przerwy, i wypijam bez przyjemności miętową herbatę.

A przecież tak dawno miałem ochotę na tę herbatę. Należy ona do moich wspomnień z dzieciństwa spędzonego w Tarroudant, na pustyni marokańskiego południa. Jedna z ostatnich rzeczy, jakie pamiętam, pochodzi

z okresu deklaracji niepodległości. Mam dziesięć lat i siedzę pod stołem z moimi braćmi i siostrą. Na zewnątrz wszystkie okna udekorowane są czerwonymi flagami marokańskimi, z wyjątkiem okien naszego mieszkania. Mój ojciec, legionista, wywiesił barwy francuskie. Sam, z gołą głową i w rozpiętej koszuli, strzela z pistoletu. Matka podaje mu pełne magazynki i koktajle Mołotowa”, które przygotowała. Oboje są przekonani, że tamci przyjdą nas wyrznąć.

Christian śmieje się, słuchając moich opowieści.

— No, no, ostro wtedy było.

— Ostatnie chwile były trochę trudne. Ale tamci mieli rację, że się zbuntowali. Epoka kolonialna już się zakończyła.

Powtarzam mu, że Marokańczycy to ludzie sympatyczni, przyjaźni i bardzo gościnni. Ale po tych kilku beznadziejnych przykładach, jakie widział na własne oczy, nie udaje mi się go przekonać, a nie ma już okazji, żeby zobaczyć inne.

* * *

Przejeżdżamy przez Maroko w rekordowym czasie. Christian drzemie obok mnie, rzecz dla mnie niemożliwa, bo zbyt jestem podekscytowany speedem, który utrzymuje mnie na fali.

Na pełnym gazie jedziemy drogą na Figuig, która na szczęście nie jest zbyt uczęszczana. Nieliczne ciężarówki, które jadą z przeciwka, Zmuszają mnie do zjeżdżania na pobocze, bo droga jest o wiele za wąska, żeby pomieścić dwa pojazdy obok siebie. Do Figuig dojeżdżamy wczesnym rankiem. Załatwiamy tylko formalności celne po stronie marokańskiej, oddajemy parę butelek, i w drogę.

Po stronie algierskiej zmiana jest natychmiast odczuwalna. Celnicy są sympatyczni i wykonują swoją robotę nie oczekując od nas niczego. Mimo to daję im parę butelek wódki. Zamierzam przejeżdżać tędy często i zależy mi, żeby zachowali o mnie jak najlepsze wspomnienie. Algierskie szosy są o wiele lepsze od marokańskich. Są szerokie, a nawierzchnia jest doskonale utrzymana. Z nogą wciśniętą w pedał gazu przemierzamy w godzinę odległość Figuig — Behar.

Tutaj postój. Kawa, benzyna, piętnaście minut przerwy. Mam zamiar od razu pokonać drogę do Adraru, gdzie zaczyna się szlak. Taki postawiłem sobie cel.

Tych ostatnich sześćset kilometrów to najtrudniejszy odcinek. Jesteśmy już porządnie zmęczeni i mamy dość tej jazdy. Szosa rozwija się przed nami, prosta aż po horyzont i ciągle jednakowo szeroka. Jedynie piaskowe zaspas zmuszają nas od czasu do czasu do zwolnienia tempa. Dookoła, jak wzrokiem sięgnąć, ogromne pomarańczowe wydmy, jak na pocztówkach. Jest to zapewne wspaniały widok, ale nie mam czasu się nim rozkoszować. Chcę już jechać. Od wyjazdu z Francji nie zmrużyłem oka i koniecznie muszę już odpocząć. Christian też nie wygląda już tak świeżo, i przestał się odzywać. Z zaciśniętymi zębami jedziemy tak jeszcze kilka godzin. Wreszcie, około siódmej, wjeżdżamy do Adraru.

* * *

Domy są kwadratowe, bez okien. Ściany są wszystkie czerwone jak krew. Miasto jest bardzo małe. W parę minut znajduję jedyny tu hotel, na głównym placu. Pokój jest brudny. Każę zmienić pościel.

Christian bierze prysznic. Szybko wychodzi, z ręcznikiem owiązanym dookoła bioder, i kładzie się z ogromnym westchnieniem ulgi. Moja kolej. Kiedy wychodzę, odświeżony, parę minut później, Christian już śpi, w tej samej pozycji, nie wsunął się nawet pod prześcieradło. Kładę się, ale jestem zbyt napięty, by zasnąć. Potrzebuję paru skrętów z marokańskiego haszu, żeby zniwelować działanie speedu, rozluźnić ciało i wreszcie móc pogрузić się we śnie.

Następnego dnia rano budzi mnie Christian. Spałem piętnaście godzin. On jest już odświeżony, ogolony, z apaszką na szyi i w sombrero na głowie. Sala baru jest pusta. Tylko kelner, siedzący za ladą, zagłębiony jest w lekturze „El Mudżahidin”, miejscowej gazety. Kiwa głową potakująco na nasze zamówienie, ale potrzebuje dobrych dziesięciu minut, żeby złożyć swojego szmatławca i przynieść nam dwie letnie i obrzydliwe kawy.

Knajpa chyba nie robi interesów. Kiedyś musiało tu być przyzwoicie, może nawet luksusowo, ale od dawna nikt o nic nie dba. A przecież nie jesteśmy jedynymi klientami. Dziś rano Christian zauważył dwóch Europejczyków. Ich samochód, citroen mehari, zarejestrowany we Francji, zaparkowany jest na placu przed hotelem.

Jest już bardzo gorąco. Adrar to wymarłe miasto, przynajmniej o tej porze. Tutejsze dwa czy trzy bistra są puste. W paru sklepach są lady, ale nie ma nic do sprzedania. Zapiaszczone uliczki wyglądają jak opuszczone. Widać

trochę ruchu na stacjach benzynowych, położonych na krańcach jedynej asfaltowej drogi. Dalej już nic. Pustynia.

* * *

Kiedy wracamy do hotelu, obaj Europejczycy siedzą przy jednym ze stolików. Szybko nawiązujemy znajomość. Rene i Patricio, obaj pochodzą ze wschodniej Francji i zamierzają przejechać przez Saharę dla sportu. Zgodnie ze swoim zwyczajem Christian rozwija rozmowę. Szybko zaznacza, że jestem specjalistą od saharyjskich szlaków. W dwie minuty później dowiaduję się, że jestem największym znawcą Afryki, królem pustyni. Podczas gdy on faszeruje ich andronami, ja czuję się coraz gorzej. Te dwa i pół tysiąca kilometrów non stop nadwerężyły mnie. Wyrzucam resztę bustai.

W pokoju powietrze nawet nie drgnie. Biorę prysznic i cały mokry rzucam się na łóżko. Kiedy się budzę, jest noc. Na dole trwa zabawa. Obaj turyści są już podpici. Christian dostarczył alkohol, którego tutaj dostać nie można. Jest z nimi jeszcze ktoś. To dziewczyna, Monique, obywatelka Luksemburga, która przyjechała prosto stamtąd. Jest gruba z poczciwymi czerwonymi policzkami i opadającym tyłkiem, miła i gadatliwa. W Luksemburgu przeżyła krótki romans z malijskim studentem i jedzie teraz do niego.

Christian oczywiście zmyślił, że znam Mali. Monique pyta mnie:

— Nie znasz przypadkiem Youssoufa Bodialo?

Dla śmiechu każe jej powtórzyć nazwisko, po czym tłumaczę jej, że w Mali jest pięć milionów mieszkańców i że to duży kraj.

— Ale nie martw się, znajdziesz. Oni są wszyscy podobni.

Jej piękne oczy pozostają bez wyrazu. Trochę czasu upływa, zanim zrozumie i uśmiechnie się.

Połykam jakiś gulasz barani, tłusty i ostro przyprawiony, i zostawiam ich.

* * *

Następnego dnia rano znów budzi mnie Christian, jakimś cudem ma doskonałą i gorącą kawę.

Uśmiecha się szeroko.

— Charlie, ci dwaj to jelenie.

Jest rozradowany. Opowiedział im, że znam cały afrykański rynek i że mogę im pomóc, jeśli będą chcieli sprzedać swego mehari w Nigrze.

— I co ci powiedzieli?

— Są zainteresowani, zwłaszcza gruby. Zadali parę pytań na temat stanu naszego peugeota, ale nawsadzałem im kitu. Jesteśmy z nimi umówieni.

— Kiedy?

— W południe. Zapraszają nas na piknik.

Wstaję, żeby wziąć prysznic i ogolić się. Dobra forma nareszcie powróciła. Nie lubię pikników, ale robota Christiana jest interesująca. Jedziemy tylko jednym samochodem, jeśli uda się załatwić drugi, to zyski też zwiększą się odpowiednio. Christian pogwizduje w swoim pokoju, naprawdę jest dzisiaj w świetnym humorze.

— Poza tym załatwiłem tę dziewczynę z Luksemburga.

— O! Dobrze było?

— Nie. Zbyt bierna. Ale to nieważne. Rozumiesz, teraz, kiedy działam na skalę międzynarodową, muszę załatwić parę cudzoziemek.

— No tak, rozumiem.

Piknik ma miejsce poza Adrarem. Jedziemy za mehari obu frajerów. Monique, cała radosna, jedzie z nami. W czasie drogi mówi:

— Charlie, chciałabym pojechać z wami.

— To niemożliwe.

Tłumaczę jej łagodnie, że z tyłu załadujemy dwustulitrową beczkę benzyny i że nie będzie dla niej miejsca. Nalega, bo boi się wsiąść do algierskiej ciężarówki, ale pozostaję nieugięty.

Dojeżdżamy do rodzaju rzadkiego gaju palmowego, skrawka cienia pośrodku piasków. Jak to podejrzewałem, Rene i Patricio to specjaliści od sprzętu składanego. W parę minut montują nam mały stolik z laminatu, płócienne krzesła, bidony, plastikowe kubki. Gdyby mogli przywieźć składane talerze, przywieźliby je. Są najwyraźniej dumni ze swego wyposażenia i odgrywają przed nami swój teatr. Zwłaszcza Rene jest wobec mnie po prostu unижony. Tego zawsze nienawidzę.

Jest gruby, mały i nosi idiotyczne szorty. Jest strażakiem czy kimś takim. Drugi, Patricio, jest instruktorem narciarskim. Pracuje w sezonie, a przez pozostałą część roku nie robi nic. Jest miły i nie uważa za stosowne odgrywać roli pana domu, jak jego kumpel.

Na zakończenie posiłku strażak sprząta ze stołu. Termos, kawa, trzeba przyznać, że dbają tu o nas. Następnie wyciągają ogromną mapę Sahary, na której ich trasa wyrysowana jest ołówkiem, i zaczynają zadawać pytania.

Patrzę z zainteresowaniem. Po raz pierwszy oglądam mapę pustyni. Trzeba skorzystać z tej okazji, żeby dowiedzieć się paru rzeczy, bo jedyne informacje, jakie mam, pochodzą od Alaina, tego z Bordeaux, którego spotkałem w Niamey. Na każde z moich pytań odpowiadał: „*To małe piwo*”.

Christian pochylił się nad mapą. Patrzy, dokąd jedzie. Rene wodzi palcem po narysowanej linii. Na każdym etapie pytanie.

- Często przejeżdżałeś przez Tanezrouft, Charlie?
- Tak.
- A ten piach, tutaj, w punkcie czterysta, ciężki jest?
- To małe piwo.

Najwyraźniej przestudiowali tę swoją trasę i powtarzali co wieczór.

- A Adrar Iforasów?
- Małe piwo.

Christian wpatrzony jest w mapę i rozmarzył się. Tamci dwaj ciągną mnie do swego mehari. Koniecznie chcą poznać moje zdanie na temat ich samochodu i wyposażenia. Mają tego pełno. Zabrali ze sobą imponującą ilość kanistrów, skrzynek i innych rzeczy. Nowiutkie podkłady pod koła są starannie poprzyczepiane po bokach. Całość wygląda bardzo elegancko.

— Macie za duże obciążenie, chłopaki. Ale mehari to dobry wóz. Przypominam sobie Ciastkarza: ostrzegam ich, że będą ciągle łapać gумы. Rene z wielką dumą wyciąga skrzynkę zawierającą cały zestaw materiałów do łatania ogumienia. Patricio nieśmiało wypowiada komentarz na temat mojego samochodu. Patrzę na niego i pytam, co mu się nie podoba w moim peugeocie, po czym, jako że pikniki męczą mnie szybko, przyspieszam przygotowania do powrotu.

* * *

Po południu Christian bierze samochód, żeby odbyć małą przejażdżkę ze swoją ukochaną, i proponuje, że przy okazji zrobi zakupy na podróż.

- Weź benzynę. Kup dwustulitrową beczkę, napełnij ją i połóż na tylnym siedzeniu.
- Kupić coś do jedzenia?
- Tak, kup trochę sardynek.

- A woda?
- Tak, trzy litry wody.
- To wystarczy?
- Tak! Mamy tylko siedemset kilosów do przejechania.

Jutro wyjeżdżamy. Na ostatnią kolację Christian wyciągnął nowe butelki alkoholu. Obaj górale są cali podekscytowani. Takie harcerskie wieczorki i kretynizmy, jakie się przy takich okazjach opowiada, zawsze mnie denerwowały. Monique nadal walczy, żeby dostać miejsce w naszym peugeocie. Posyła mi przeciągłe spojrzenia. Nie mogę się powstrzymać, żeby jej nie powiedzieć, że ma opadający tyłek, i że tego nie lubię, po czym idę spać. Następnego dnia rano, przy odjeździe, czeka mnie przykra niespodzianka. Dziewczyna jest przy wozie. Jeszcze raz prosi, żeby ją zabrać.

Jestem cierpliwy.

— Monique, bądź tak miła i nie nalegaj. Widziałas, że nie mamy miejsca, więc dlaczego nie poprosisz górali, oni mają wolne siedzenie.

Głupia popłakuje.

- Oni nie chcą.
- Więc pojedź ciężarówką.
- Nie chcę.

Panienska nie chce. Panienska postanowiła dać nam popalić. Przed moim samochodem stoi siedemdziesiąt pięć kilo bierności. Christian rozkłada bezsilnie ręce. Próbował wszystkiego. Zgadza się.

* * *

Trzeba przejść przez cło. To mały budynek, czerwony jak pozostałe, trochę poza miastem. Naprzeciwko placyk z ubitej ziemi służy jako parking, stoją tam, dwie ciężarówki. To miejscowe landary, stare, powgniatane i pokryte plackami piachu przyklejonego do karoserii. Wokół nich kilkunastu mężczyzn z plemienia Tamachek, pustynnych nomadów, rozładowuje jeden po drugim worki z towarem. Celnicy, w szarych mimo upału pozapinanych mundurach, nadzorują przebieg operacji. Otwierają losowo kilka worków, dla kontroli. Przeszukują ciężarówki po ich opróżnieniu. Następnie, kiedy wszystko zostaje sprawdzone, Tamachekowie ponownie ładują na wozy dziesięć ton worków.

W naszym przypadku formalności są krótsze. Rene i Patricio jadą tuż za nami. Nasza pani pasażerka dołącza do nas z ogromnym plecakiem. Wór jest

równie wielki co ona, i zabiera tyleż miejsca. Upycham go jak mogę nad beczką, z tyłu, i ruszamy.

* * *

Przez pierwszych dziesięć kilometrów jadę za ciężarówkami. Trzymam się parę metrów z tyłu i cały czas pogrążeni jesteśmy w tumanach pyłu, jakie wzbijają w niebo. Musieliśmy zamknąć okna. Bez wentylacji samochód zamienia się w piec. W tej żółtej mgłę nie widzę zupełnie nic i parokrotnie muszę ostro hamować. Głowa Monique uderza o przednią szybę. Koleiny są głębokie i szorujemy podwoziem po ziemi.

— Christian, ile mamy do Reggane?

— Mniej więcej sto pięćdziesiąt kilometrów. Wyprzedzam obie ciężarówki i mając wolną drogę wciskam gaz do dechy. Obaj turyści zostają w tyle.

— Monique, przesun się, przeszkadzasz mi.

Peugeot 404 jest wąski i ta gruba przeszkadza mi w odpowiednio płynnym zmienianiu biegów. Przyciska się do Christiana i w końcu siada mu między kolanami.

W ten sposób mam swobodę ruchów i bawi mnie ta przejażdżka. Ślady opon na szlaku są doskonale widoczne. Wystarczy jechać za nimi. Jeśli weźmie się koleinę między koła, rzecz jest dziecinnie prosta. Z głośnika wyje Janis Joplin, szyby opuszczone, w samochodzie ciepły wiatr, wciskam gaz, ile się da...

Szlak nie jest w najlepszym stanie. Czasami muszę omijać dziury metrowej głębokości, skręcając w ostatniej chwili. Przez mniejsze przelatuję. Samochód odrywa się od ziemi. Przy każdym ponownym kontakcie z ziemią ten kurewski plecak spada mi prosto na kark. Monique natychmiast go poprawia.

Jeździłem już po takich szlakach w wielu miejscach świata i ten nie przedstawia dla mnie żadnych specjalnych trudności. Jestem tylko trochę niespokojny o samochód, który zaczyna rozpadać się na odcinkach wybojów, tak zwanej blachy falistej. Na szczęście odcinki takie są rzadkie. Przez dwie minuty trwają gwałtowne wstrząsy, po czym ponownie pokazuje się piasek. To małe piwo.

Miejscami szlak ma sto metrów szerokości. Przejeżdżamy nie opodal małych grup kwadratowych domków, w dali widać palmy. Od szlaku

odchodzą zapiaszczone drogi, prowadzące gdzieś poza horyzont, gdzie zapewne znajdują się wioski.

Trzy godziny później przejeżdżamy koło małego skupiska czerwonych domków. Trochę dalej widać mały fort, tego samego koloru, otoczony niskim murkiem: to Reggane.

Panienska przygotowuje nam sandwicze z sardynkami z puszek, które Christian kupił w Adrarze. Szybko zjadamy ten posiłek uzupełniony herbatnikami przywiezionymi przez dziewczynę.

Układamy się wygodnie i korzystamy z wieczornego spokoju. Zachód słońca, podobnie jak wschód, to jedna z najpiękniejszych chwil na pustyni. Słońce tworzy wtedy wspaniałe pasmo najróżniejszych odcieni koloru pomarańczowego, które zlewają się z ciemnym granatem nieba. Jest chłodniej, i odkąd zabroniłem Monique skarżyć się na zmęczenie, panuje całkowita cisza.

Noc zapada w dziesięć minut. Magiczna chwila przemija. Luksemburg śpi. Układamy się, by pójść w jego ślady. Później, w ciągu nocy, nadjeżdżają ciężarówki. Słyszę jeszcze tylko jakieś urywki rozmowy między Christianem i obu góralami, jakieś arabskie głosy, i wreszcie zasypiam.

* * *

Kiedy się budzę, pierwsza rzecz, jaką widzę, to pustynia.

Rozciąga się przede mną ocean piasku, w nieskończoność, płaski i bez żadnych przeszkód. Natężenie światła jest już silne, ale nie ma jeszcze upału. Siedząc na murku zapalam skręta zapatrzony w ten bezkres.

Przyłącza się do mnie Christian. Zwrócony ku tej gigantycznej przestrzeni złotego piasku, w sombrero na głowie, głośno formułuje swoją myśl:

— O kurwa...

Nie jest to strach. Christian to jeden z najodważniejszych facetów, jakich znam. To szacunek. Pierwszy raz przejechałem Saharę z Miguelem. Byłem pasażerem, na dachu ciężarówki. Tym razem z tą pustynią trzeba będzie powalczyć.

— Spokojnie, to małe piwo.

Przez chwilę rozkoszujemy się widokiem i ciszą. Za nami pomału zaczyna się ruch. Wracamy do pozostałych.

Cieżarówki i mehari zaparkowane są po drugiej stronie murku. Monique przygotowuje kawę. Siedzący obok niej Rene i Patricio zasypują mnie komentarzami na temat wczorajszego przejazdu. Odciągam moją pasażerkę na bok.

— Słuchaj, dzisiaj mamy do przejechania sześćset sześćdziesiąt kilosów. Monique, grubasku, bądź taka miła i pojedź ciężarówką.

— Och, Charlie, proszę cię, nie.

Ogarnia ją panika, nie nalegam, ale muszę pozbyć się plecaka. Wyciągam go z samochodu i idę do ciężarówek.

Kierowcy są pochłonięci pracą. Pomocnicy zapalili małe ogniska i gotują herbatę. Inni przegładają silniki, pochyleni nad mechanizmami bez pokryw.

Kierowca pierwszej ciężarówki, żółtego berlieta, przyjmuje mnie przyjaźnie. Nazywa się Wallid. To Arab urodzony w Paryżu, ma około trzydziestki. Za jego wyczyny w Barbes wydalili go z Francji. Od paru miesięcy prowadzi ciężarówkę na pustyni.

Nie ma problemu z plecakiem Monique.

— To twoja żona?

— Nie. Spotkałem ją w Adrarze.

— Daje dupy?

Od czasu kiedy turyści zaczęli przyjeżdżać do Północnej Afryki, dla Arabów europejska kobieta to kurwa i nic poza tym. Chodzi z mężczyznami do łóżka, choć nie są jej mężami.

— Powiedz jej, żeby jechała z nami.

Tłumaczę mu, że panienka się ich boi. Wybuchą śmiechem, mówi coś po arabsku do pomocników, i wywołuje ogólne wycie. Żartują między sobą po arabsku i robią obsceniczne gesty. Zostawiam ich rozbawionych.

Druga ciężarówka to pomarańczowy mercedes. Ten model, 19–24, jest popularny w Afryce. Jest przeciążona. Afrykańscy kierowcy nigdy nie przestrzegają norm załadunku. Skoro w Europie wóz może przewozić dziesięć ton, to znaczy, że udźwignie i piętnaście.

Właścicielem jest Ajudzil, gruby spokojny facet w zawoju i okularach. Siedzi na macie, poza zasięgiem spojrzeń i pali kit. Proponuje mi colę, jego pomocnik, ogromny Tamachek w brudnym płaszczu zamiast burnusa, podaje mi szklaneczkę herbaty. Daję mu trochę haszu. To poważny kupiec w rejonie między Adrarem i Gao, może mi być przydatny w przyszłości. Rozmawiamy

o handlu. Jego zamówienie na części zamienne jest interesujące. Obiecuję mu to załatwić na następną podróż. Zna Alaina i Freda z Bordeaux, i dowiaduję się od niego, że są w Afryce. Jadą tym samym szlakiem, o parę dni przed nami, w towarzystwie jakiegoś trzeciego faceta. Formalności wyjazdowe jak zwykle przedłużają się. Władze algierskie nie wypuszczają z Reggane nikogo samego. Trzeba wyjechać w konwoju. Potem każdy robi, co chce.

* * *

Ciężarówki wyruszają przed nami. Kazałem Monique, żeby dała o sobie zapomnieć, i stara się zajmować jak najmniej miejsca między fotelami. Obaj górale przyznali mi się, że dostali porządnie w dupę przez ten pył poprzedniego dnia. Proszą mnie o pozwolenie pojechania dzisiaj za mną.

— Zgoda, ale sto metrów z tyłu.

Siadam za kierownicą. Christian odgrywa małą komedię. Zwrócony w kierunku mehari, z rękami opartymi na biodrach, powtarza wszystkie moje instrukcje.

— Zachowujcie odległość, to ważne.

Obrzuca ich samochód ostatnim spojrzeniem i siada koło mnie. Tym razem ruszamy naprawdę.

Sto metrów dalej zaryłem się w piasku.

Pojechałem śladem obu ciężarówek, koleiny wyhamowały mnie. Czuję, jak tylne koła ślizgają się w miejscu. Włączam niższy bieg, żeby zwiększyć moc. Jadę jeszcze dziesięć metrów. Jestem na jedyńce. Samochód staje. Parę razy mocno dodaję gazu. To błąd, koła kręcą się w miejscu i pograżają się głębiej.

Za mną obaj turyści zaryli się również. Wysiadam, zamykam drzwi kopniakiem i wrzeszczę.

To ci kretyni z ciężarówek. Rozpieprzyli szlak swoimi wielkimi dupskami.

Rene i Patricio nadbiegają.

— Dobra, będziecie mieli lekcję odpiaszczania. Podkłady! Łopaty! Szybko!

Podczas gdy przynoszą sprzęt, patrzę na drogę przed samochodem, w żadnym wypadku nie należało jechać koleinami. Gdybym wziął jedną między koła, przejechałbym. Jest też twardy pas szlaku po prawej. Tu, gdzie jesteśmy

teraz, trzeba będzie męczyć się z podkładami przez co najmniej pięćdziesiąt metrów, zanim dojedzie się do twardego i płaskiego gruntu.

Pokazuję tamtym, jak usuwać piasek sprzed kół i jak równać grunt, żeby położyć podkłady. Nie jest to skomplikowane. Przyglądają się jak uczniowie. Christian, którego nigdy nie widziałem przy jakiegokolwiek pracy fizycznej, daje tysiące rad i powtarza wszystko, co mówię. Podczas gdy tamci dwaj idioci pracują, siadam za kierownicą.

W piasku pogrążają się tylne koła, czasem nawet do połowy. Trzeba przygotowywać dla nich pochylnie, żeby mogły wyjechać z dziur, jakie wydrążyły. Oznacza to pracę łopata. Rene i Patricio, na kolanach w piachu, inaugurują w pocie czoła swoje nowiutkie saperki. Następnie trzeba wsunąć podkład, sześćdziesięciocentymetrową blachę z nawierconymi otworami, dokładnie przed koło.

— A teraz pchajcie.

Wrzucam jedynekę. Poganiani przez Christiana obaj turyści i panienska wyteżają siły z tyłu samochodu. Tryska na nich piasek, wyrzucany przez tylne koła, które się ślizgają. Samochód wyjeżdża, przesuwa się o dwa metry i grzęźnie znowu. Gdyby nabrać rozpędu, można by przejechać, ale przy ruszaniu z postoju to niewykonalne. Skoro nie można skrócić, pozostaje tylko jedno wyjście: wykopać podkłady pokryte piachem w czasie poprzedniej operacji i wszystko od nowa.

Zwłaszcza gruby Rene przeżywa katusze. Jest bardzo, bardzo gorąco. Poci się i słyszę, jak dyszy. Patricio jest silniejszy. Postawił kołnierz, żeby chronić kark przed słońcem. Monique ma dosyć.

Powtarzamy operację pięć albo sześć razy, zanim peugeot łaskawie przejeżdża kilkadziesiąt metrów, nareszcie wolny. Wsiadam, krzyczę do pozostałych, żeby się pośpieszyli, i siadam za kierownicą mehari.

Wszyscy są oblepieni piaskiem, który przyłgnął do spoconej skóry, kiedy ustawiam mehari obok peugeota po godzinie takich wykopków.

* * *

Wszystko zrozumiałem. Pustynia to nic trudnego, wystarczy nie jechać w koleinach po ciężarówkach. Wielki szlak to szeroki korytarz porysowany śladami kół. Jeśli jedzie się z boku, nie ma ryzyka. Zjechałem w prawo co najmniej dwieście metrów. Muzyka gra na cały regulator. Monique dużo pije. Znowu siedzi na kolanach Christiana, który obmacuje jej piersi. To małe piwo.

Po paru kilometrach szlak robi się węższy. Na ziemi jest mniej śladów kół. Jadę dalej.

Pojechaliśmy równoległą drogą, która w jakimś momencie powinna dołączyć do szlaku. Zaczynam mieć wątpliwości. Przede mną widać już tylko dwa ślady. Nagle znikają. Grunt zmienił się. Piasek pełen jest drobnego żwiru. W podłożu takim nic nie widać. Zataczam półkole i krążę, niczego nie widząc. Patrzę na Christiana. Jego wzrok pyta mnie:

— Zabłądziłeś?

Odpowiadam mu spojrzeniem.

Zatrzymuję się. Nadbiegają obaj kretyni. Nie odpowiadam na ich pytania, idę przed samochód, żeby spróbować znaleźć któryś z tych kurewskich śladów. Za mną Christian uspokaja wszystkich.

— Dajcie Charliemu spokój. Bada teren.

Nie na darmo pochodzi z Bordeaux. Słyszę, jak improwizuje.

— Szuka skrótu... Rozgląda się...

Rzeczywiście się rozglądam, ale niczego nie znajduję. Sto metrów dalej jakiś ślad, dokładnie prostopadły do naszego kierunku. Wracam do samochodu i każę wszystkim wsiadać. Ruszamy. W niecały kilometr później w piasku widać już tylko dwa cienkie ślady, a potem nic. Zgubiłem się. Zatrzymuję samochód. Tym razem tamtych dwóch ogarnia panika. Nie mam im nic do powiedzenia i oddalam się, żeby się wysikać. Podczas gdy rysuję na piasku arabeski, Christian raz jeszcze stara się uspokoić całe towarzystwo. Wyjaśnia im, że muszę pomyśleć, bo sprawa jest poważna.

— Charlie chciał, żebyśmy pojechali skrótem, który zaoszczędziłby nam dwieście kilometrów szlaku, ale nie ma zaufania do pogody.

Odwrócony do nich plecami zaśmiewam się w duchu słysząc, co opowiada. Wymyśla, że zauważyłem pierwsze oznaki burzy piaskowej na trasie skrótu i rozbudowuje tę historyjkę wykorzystując do tego mały obłoczek, przesuwany się w oddali po niebie. Wspaniała robota, którą kończy po mistrzowsku krótkim:

— No dobra, jedźcie pierwsi, wracamy do szlaku.

To świetny pomysł. Nie wiem, gdzie jesteśmy i zupełnie nie mam zmysłu orientacji. Nigdy nie potrafiłbym odnaleźć szlaku. Za kierownicą swojego mehari Rene wywiązuje się z tego zadania bez zarzutu.

Parę kilometrów dalej dzielny pogromca ognia odnajduje dobrą drogę, wówczas wyprzedzam go i ponownie staję na czele ekspedycji.

Pustynia to nic trudnego.

Począwszy od 50 kilometra szlak jest oznakowany. Co dziesięć kilometrów stoi czarna beczka, wystarczy jechać. To małe piwo.

Wkrótce wyprzedzamy berlieta Wallida wśród głośnego trąbienia i okrzyków. W dali przed nami widać czarny punkt. To ciężarówką Ajudzila. Mehari jedzie za nami. Mamy właśnie wyprzedzić wielkiego mercedesa, kiedy mój silnik zacina się i staje!

Cholera. Co się znowu stało?

Rene i Patricio są obrażeni. Najpierw grzęźnięcie w piasku, potem zgubienie drogi na pustyni, a teraz awaria, to dla nich za wiele. Posyłam ich do wszystkich diabłów i mówię, żeby jechali za ciężarówką Ajudzila, wybierają wariant bezpieczny i szybko odjeżdżają. Zbyttno się boją tutaj zostać.

Dla zasady Christian podnosi maskę. Zna się na silniku tyle co ja, to znaczy wcale. Parokrotnie włączam rozrusznik, bez rezultatu. Monique leży wciśnięta w fotel. Utknęliśmy.

Christian wypija ostatnie krople swojej whisky. Robię sobie skręta. Słońce jest w zenicie i blachy samochodu parzą. Dookoła nas, jak sięgnąć wzrokiem, ze wszystkich stron piasek. Beczka znacząca szlak widnieje na horyzoncie jako maleńki czarny punkcik. Gruba wysiada z samochodu, gdzie zrobiło się zbyt gorąco. Domaga się wody. Wypiła już swój przydział. Przez dziesięć minut nie dzieje się nic, po czym daleko w tyle słychać pracę silnika. To ciężarówka Wallida. Hałas wzmagą się, widać ją teraz, nadjeżdża, ale o czterysta metrów w prawo, daleko od nas. Pomagam Monique wejść na dach samochodu. Wysyła sygnały z takim entuzjazmem, że wygina blachę w sposób nieodwracalny. Wallid zauważył nas i jedzie w naszym kierunku. Śmieje się, kiedy mu opisuję objawy awarii, i pokazuje mi, co jest przyczyną. Z powodu gorąca pompa dostarczająca paliwo do gaźnika rozszerza się i zablokowuje. To częsty przypadek. Szczęśliwy, że może zabłysnąć przed Monique, naprawia mi to od ręki. Owija wokół pompy szmatę, polewa ją wodą i pompuje ręcznie. Włączam rozrusznik i silnik zapala. Dziękuję Wallidowi, który ze wspaniałomyślną miną zapewnia mnie, że to nic wielkiego, przybiera pozę bohatera i wraca do ciężarówki.

Trzydzieści kilometrów dalej silnik znów staje. Tym razem widzimy, że zostało nam bardzo mało wody, zaledwie trzy czwarte butelki. A szmata jest zupełnie sucha. Wallid jest daleko w przodzie. Nie pomyśleliśmy, żeby wziąć od niego wodę. Mamy mokre gacie.

Zabraniam grubej pić, żeby oszczędzać wodę, i zaczyna się zapieprz co trzydzieści kilometrów. Wkrótce butelka jest pusta. Udaje mi się jeszcze raz dzięki wodzie ze spryskiwacza szyb. Później musimy sikać.

Na szczęście Christian to specjalista. Mój udział jest bardzo Skromny, bo nie piję. Ale nawet Christian ma ograniczone możliwości. Po trzech postojach jego źródło wysycha. Monique zrozumiała, co jej zostało do zrobienia. Cała się rumieni, ale nie sprzeciwia się. Kiedy po raz kolejny podnoszę maskę, zdaję sobie sprawę, że nie będzie to takie łatwe. W takiej sytuacji mężczyzna ma naturalną przewagę. Christian i ja podnosimy panienkę, żeby mogła wejść na silnik. Monique jęczy z bólu, bo uderzyła głową o podniesioną maskę. Nieźle się zaczyna.

Christian stara się być miły.

— To nic, to nic. No, postaw tu nogę, tak, drugą tutaj...

— Aj!

Oparzyła sobie nogę o silnik. Mam ochotę zatrzaskać jej maskę na łeb, ale Christian, cały czas pocieszając grubą, daje mi znak, żebym się uspokoił. Biorę z samochodu szmatę, którą Christian podkłada dziewczynie pod stopę. Może być?

— No, a teraz lej.

Patrzy na nas nieruchomo, zupełnie oziębiała, na wpół pochylona nad maską. Christian rozumie pierwszy.

— Chcesz, żebyśmy się odwrócili?

Tak. Żeby uszanować wstydlivość panienki, cofamy się o parę kroków i odwracamy się do niej plecami. Christian zapala mecarillo i czekamy. Nic. Słyszeliśmy, jak się rusza, jak ściąga spodnie, jakieś pięć minut temu, i nic.

— Nie leje, co?

Christian potrząsa głową.

— Nie.

— Przecież piła. Widziałeś, ile wypiła.

— No. Powinna już sikać ze trzy razy.

— Co najmniej! Co ona robi, do cholery!

— Może jest spięta...

Odwracam się. Przykucnięta, z tyłkiem w powietrzu, wygląda smutno i żałośnie. Wrzeszczę.

— Będziesz wreszcie łać, do ciężkiej cholery!

Wzdryga się i wygląda jakby miała wybuchnąć płaczem. Christian kładzie mi rękę na ramieniu.

— Nie tak, Charlie! Nie umiesz rozmawiać z kobietami. Zostaw to mnie.

Na jego wargach wykwita miły uśmiech, i podchodzi do samochodu.

— Moja malutka Monique, posłuchaj mnie. Słuchasz?

Tamta potakuje pociągając nosem.

— Musisz się odprężyć. Jeśli ci się to nie uda, to spędzimy tutaj noc, a może nawet zostaniemy dłużej, prawda, Charlie?

— No tak, parę dni.

Potakuje, tym razem wygląda na zdecydowaną. Christian nadal mówi do niej łagodnie.

— Trzeba się pośpieszyć. Pomyśl, że ktoś mógłby nadejść...

Dziewczyna śmieje się, trochę nerwowo, ale to już coś, trochę się odpręża.

— No, jesteś już dużą dziewczynką, zrób mały wysiłek, zrób nam duże siusiu, zrobisz nam przyjemność.

Tym razem śmieje się naprawdę, i nagle rozbrzmiewa delikatna muzyka siusiu, które tryska... na bok!

Rzucamy się do przodu. Strumień kieruje się w różne strony, tylko nie na pompę. Chwytamy dziewczynę za uda, przekręcamy jej miednicę tak, aby nie uрониć ani kropli drogocennego płynu. Christian promienieje.

— Świetnie! Właśnie tak, dalej, jeszcze. Ależ to piękne siku! Brawo, dzielna jesteś.

Udało się oblać pompę. Silnik ponownie zapalił. Trzydzieści kilometrów dalej gruba znów siedzi na swoim miejscu, prze, z zaciśniętymi pięściami. Za trzecim razem już bez pomocy naszych przyjacielskich rad udaje jej się wycelować prosto w pompę.

* * *

Zapadła noc i w dali widać światła obozowiska. Ciężarówki i turyści zatrzymali się na noc. Wciskam gaz, trochę za mocno. Pakuję się w koleinę,

która nagle pojawiła się tuż przed samochodem. Trzeba pchać. Christian wysiada z samochodu, żeby go odciążyć, i zachęca Monique okrzykami. Dziewczyna nie umie prowadzić, więc to ona musi pchać, biedaczka. Gdyby była wiedziała...

Zresztą, gdyby była wiedziała, wszystko odbyłoby się tak samo. Na szczęście nie ugrzęźliśmy w piasku tak naprawdę, po prostu podłoga osiadła na wybrzuszeniu między koleinami. Wychodzimy z tego dość szybko.

Kiedy dojeżdżamy, wszyscy są już ulokowani. Obaj turyści siedzą przy ognisku z Wallidem i jego pomocnikami. Wallid pyta mnie, czy miałem jeszcze problemy z jego szmatą. Odpowiadam, że nie, że wszystko przebiegło dobrze, tylko że woleliśmy jechać powoli. Częstuje panienkę herbatą, i tak to się zaczyna. Wallid odgrywa skecz człowieka pustyni, a dziewczyna przysłuchuje się pełna podziwu. Opowiada jej o piaskowych burzach, o podrzynaniu gardeł wielbłądom i inne historyjki zwykle kupowane przez turystów. Tutaj nie ma co opowiadać o Barbes. Rene i Patricio nadal są obrażeni, w przekonaniu, że rano zgubiłem drogę. Mówię im, że chciałem pojechać skrótem, którym zwykle jeżdżę; mrugnięcie do Wallida, który w rewanżu potwierdza moją historyjkę dodając jeszcze pomocne szczegóły.

— Masz na myśli drogę złodziei?

— Tak.

— O, tę to znają tylko prawdziwi zawodowcy. To zamyka definitywnie dziób strażakowi.

* * *

Podczas gdy wszyscy układają się na noc, Monique podchodzi, żeby ze mną porozmawiać. Odkąd zatankowaliśmy, śmierdzi benzyną. Jest bardzo gorąco i benzyna w beczce jest pod ciśnieniem, więc wytryskuje, jak tylko odkręca się korek. Monique zajmuje się tą operacją, toteż dostała strumień prosto w twarz. Teraz mówi mi, że jest zmęczona. Przyglądam się jej, to fakt, że nie wygląda najlepiej. Waha się, przestępuje z nogi na nogę, w końcu mówi mi z głupawym uśmiechem:

— Charlie, dalej pojedę ciężarówką.

Dzielna dziewczyna. Z grzeczności pytam:

— Nie chcesz, żebyśmy zrobili dla ciebie małe miejsce?

— Nie, chcę jechać ciężarówką.

— Już się ich nie boisz?

Spojrzenie, które mi posyła, wyjaśnia mi wszystko. Każde rozwiązanie jest lepsze od kontynuowania rozmowy z nami.

Całuję ją więc w oba policzki i życzę dobrej podróży.

Pomocnicy Wallida śpią już na swoich matach. On sam podwiązuje właśnie swój hamak pod przyczepą, kiedy podchodzę, żeby z nim porozmawiać. Polecam jego opiece dziewczynę, prosząc, żeby był dla niej miły. To wszystko, co mogę dla niej zrobić.

Krótką wizyta u Ajudzila, który też już kładzie się spać. Rozmawiamy o handlu, podczas gdy Christian załatwia wodę u turystów. Udaje mu się wziąć od nich kanister, i ruszamy.

Postanowiliśmy jechać nocą, korzystając z chłodu, żeby uniknąć problemów z pompą.

* * *

Bidon V, o świcie.

— Lepiej, Charlie?

— Nie.

Bóle brzucha rozpoczęły się w nocy. Najpierw myślałem, że to zwykła kolka, i powiedziałem Christianowi, żeby się zatrzymał. Po dziesięciu minutach zdałem sobie sprawę, że rzecz jest poważniejsza. Poznają to! To nie ból brzucha, to wewnętrzne. Miewałem już takie kryzysy parę razy w życiu. Ostatnim razem w Pointę Noire z Miguelem.

To kamica nerkowa. Dwa ostrza wbijają mi się w trzewia. Mam wrażenie, że ktoś przepiłowuje mi biodra od wewnątrz.

Na parę minut odprężam się, i z trudnością wsiadam do samochodu. Tylko zastrzyk rozluźniający, albo przynajmniej przeciwbólowy, mógłby mi przynieść ulgę. Nie ma sensu tu sterczeć.

Kiedy tylko Christian rusza, robi się gorzej. Wstrząsy samochodu powiększają moje cierpienia. A nawierzchnia szlaku właśnie pogorszyła się...

W punkcie 400 znów pojawia się piasek. Christian próbował łagodnie przejeżdżać przez trudne miejsca, ale wstrząsów nie dawało się uniknąć. Parę razy prosiłem go, żeby się zatrzymał, i próbowałem odprężyć się kładąc się na ziemi. Musieliśmy jednak ruszać dalej, żeby dojechać jak najprędzej do Bordj–Moktar, gdzie znajdę pomoc lekarską.

* * *

Nie wytrzymałem. Parę minut temu, kiedy zaledwie wstawało słońce, zobaczyłem hangary Bidon V. Ścisnąłem ramię Christiana, który natychmiast zatrzymał się.

Leżąc na piasku z rozłożonymi rękami staram się oddychać regularnie. Jeśli uda mi się odprężyć, ból nie zmniejszy się, ale będzie przynajmniej znośny. Obok mnie Christian próbuje zrobić mi skręta i denerwuje się nad kawałkiem papieru. Ja nie mogę się ruszyć. On podaje mi skręta do ust. Potem pomaga mi napić się wody. Jest gorąca, o metalicznym smaku, ale muszę pić, bo to właśnie brak wody wywołał kryzys.

Kurwa mać! Dlaczego zawsze muszę próbować obalać mity o przeszkodach i trudnościach! Przeklinam siebie za to, że wyruszyłem bez przygotowania. Przynajmniej pić wodę! Wydawało mi się, że jestem nadczołowiekiem, a teraz gryzę ziemię.

Połykam parę kulek haszu. W ten sposób Christian nie musi robić skrętów, a mnie może trochę znieczuli. Na razie jedynym skutkiem jest wysuszenie ust, i nabieram ciepłej wody, żeby zmyć ten obrzydliwy smak.

* * *

Dziesiąta rano. Czuję się trochę lepiej. Udało mi się podnieść głowę, muszę tylko kontrolować oddech. Ciężarówki i mehari przejechały daleko na lewo. Słońce zaczyna przypiekać. Na szczęście leżę w cieniu, pod osłoną małego półokrągłego blaszanego hangaru, postawionego na piasku. Jest tu kilka takich, wokół opuszczonego czerwonego baraczku. Miejsce to zapewne od czasu do czasu służy jako kibel, ziemia usłana jest wyschniętymi gównami. Dookoła tylko pustynia, a ludzie mimo to przychodzą odesrać się w osłoniętym miejscu.

* * *

Południe. Nie można tu już wytrzymać. Gówno przyciąga muchy. Bzyczą setkami wokół nas. Pod blachą powietrze jest gorące, duszne. Trzeba się stąd zabierać.

Kiedy próbuję wstać, ból robi się straszliwy, ale nie możemy tu zostać. Christian podtrzymuje mnie w drodze do samochodu, w którym usadawia mnie jak może najlepiej. Następnie rusza i pędzi. Wstrząsy samochodu wzmagają moje cierpienie.

Okno jest otwarte, wysunąłem głowę w strumień powietrza. Nie dość, że mnie boli, to jeszcze walczyć muszę z mdłościami powodowanymi przez hasz. Grunt zrobił się twardy. Teraz kilometrami rozciąga się blacha falista, ale nie krzyczę. Postanowiłem nie narzucać swojego bólu Christianowi. Podróż ta trwa osiem godzin. Stanowiła jedno z najcięższych przeżyć, jakich zaznałem. Nareszcie. Bordj–Moktar. Zapada noc.

* * *

Wojskowy pielęgniarz, sprowadzony przez Christiana, przygotowuje dla mnie zastrzyk z morfiny. Leżę na kocu, obok posterunku, znów nie jestem w stanie zrobić najmniejszego ruchu, i patrzę na tego wysokiego Algierczyka, jak napełnia swoją szklaną strzykawkę. Jego dłonie są ogromne. Wbija mi igłę. Po pięciu minutach ból znika z mojego brzucha. Przeżywam chwilę nieopisaną błogości, po czym tracę przytomność.

W nocy pielęgniarz, obudzony przez Christiana, będzie znów musiał szybko przyjść i zrobić mi kolejny zastrzyk.

Bordj–Moktar to parę domów z suchych kamieni, tak samo szarych jak ziemia. Dookoła studni parę rachitycznych ogródków wprowadza trochę barw w tę szarą okolicę. O świcie kładę się tam, w cieniu, żeby się napić.

Christian poszedł kupić ampułki z morfiną i strzykawkę, żebyśmy mogli wyruszyć. Dzięki nocnym zastrzykom ból nieco przygasł, ale nadal trzyma się mocno.

Zmuszam się do połknięcia paru litrów błotnistej wody ze studni. To jedyny sposób, żeby wymyć piasek, który utkwiał w moich nerkach. Tamachekowie dostarczają mi nowych porcji.

* * *

Widziałem przelotnie Tamacheków podczas mojej pierwszej podróży przez Tamanrasset, ale nie zdałem sobie wówczas sprawy, jak wspaniali to ludzie. Kobiety są niewiarygodnie piękne. Ich skóra jest czarna, bardzo matowa, ale mają bardzo delikatne europejskie rysy. Kiedy się im przyglądam, śmieją się i usiłują skryć twarze za niebieskimi chustami.

Ich ciała starzeją się bardzo brzydko. Nie mają jeszcze trzydziestu lat, a już są ciężkie i zniszczone. Rozczulające są małe dziewczynki. Zresztą wszystkie dzieci, pomimo chudości, są niesamowicie piękne. Mali chłopcy mają na głowie tylko jeden kosmyk, jak Irokezi. Są uśmiechnięci, bystrzy i

rozmawiają ze mną nieskazitelną francuszczyzną. Otacza mnie całe małe plemię, kiedy wraca Christian, przynosząc złe wiadomości. Pielęgniarski nie chce rozstać się ze swoimi ampułkami morfiny. Są własnością państwa i przeznaczone są wyłącznie do użytku wojskowego.

Opada na ziemię koło mnie. Jest zmęczony, brudny i źle ogolony, wycieńczony przez upał. Jego białe ubranie jest poplamione i pokryte kurzem.

— Wracaj do niego. Weź go na bok, pogadaj z nim w cztery oczy, zaproponuj mu tysiąc franków. Nie odmówi. Weź dwie strzykawki i jak najwięcej ampułek, watę i spirytus.

Po godzinie wraca, uśmiechnięty, ma wszystko pod koszulą.

— Mam strzykawki, dziesięć ampułek i resztę.

Uf! Popołudnie mija spokojnie. Nie ruszam się z mojego kąta. Wallid i Ajudżil zajrzeli do mnie przez odjazd. Monique, promieniejąca szczęściem, bezgranicznie zakochana, nie odstępowała już pięknego Wallida na krok.

Tamachekowie spędzają popołudnie z nami. Dajemy im prawie wszystkie pudełka sardynek, jakie nam pozostały. Nie potrzebujemy ich już. Do Tessalit pozostało tylko sto sześćdziesiąt kilometrów. Kazałem ojcu dzieciaków zarznąć i upiec barana. Jemy, po czym rozdajemy całą resztę. Wręczamy też parę banknotów. Ci wszyscy ludzie są tak cholernie biedni. Schronili się w Algierii gnani przez głód. U nich, w Mali, w Sahelu, studnie wyschły, a było zdycha.

Wieczorem czuję się trochę lepiej. Przejedziemy sto sześćdziesiąt kilometrów do Tessalit od razu. Tam będzie można trochę odpocząć.

* * *

Formalności celne skończone. Bordj–Moktar to ostatnie algierskie miasto. Później jeszcze sześćdziesiąt kilometrów terytorium algierskiego, a następne sto kilometrów to no man's land.

Christian siada za kierownicą. Już od pierwszych kilometrów czuję, jak ból powraca. Żeby uprzedzić wypadki, każę Christianowi zatrzymać i robię sobie zastrzyk dożylny.

Zapada noc. Wpadające przez otwarte okno powietrze jest orzeźwiające. Zwinąłem sobie w kłębek szmatę jako poduszkę. Wciśnięty w fotel, wystawiając twarz na wiatr, czuję się dobrze.

Budzi mnie głos Christiana. Jest noc.

— Charlie, to dziwne...

— Co?

— Na pewno do Tessalit miało być sześćdziesiąt kilometrów? Zrobiliśmy już dwieście, i nic...

— To nic. Dojedziemy. Wiesz, afrykańskie odległości... Jestem już kompletnie rozbudzony. Droga jest dobra, praktycznie bez wstrząsów, żadnej blachy falistej; Jedziemy tak jeszcze przez godzinę, aż ogarniają mnie wątpliwości. Nagle przypominam sobie. Wśród nielicznych informacji, jakie zebrałem na temat tej trasy, jest i ta: Tessalit to góra, powinniśmy więc jechać pod górę, tymczasem dookoła płasko. Pytam Christiana:

— Były jakieś podjazdy po drodze?

— Cały czas płasko.

— Nie widziałeś gdzieś rozwidlenia?

— Nie.

Nie mamy czasu na niepokój. Christian klnie, błyskawicznie wrzuca niższy bieg. Podłoże zrobiło się miękkie. Koła ślizgają się, wrzuca jedynekę, dodaje gazu, żeby nas wydostać, ale nic z tego. Ugrzęźliśmy.

Wysiadamy, żeby ocenić sytuację. Siedzimy w bardzo drobnym, miałkim piasku. Opieram się o samochód. Jestem zbyt słaby, żeby cokolwiek zrobić, nawet żeby pomóc Christianowi.

— Słuchaj, Christian, zmyliliśmy drogę. Musiałeś gdzieś skręcić. Wrócimy po śladach aż do miejsca, gdzie się pomyliłeś. Ale to dopiero jutro. Rozejrzemy się, jak wstanie dzień.

Christian, ułożywszy się bezpośrednio na piasku, zasypia natychmiast. Ja jednak nie mogę się powstrzymać od przemyśleń. Nie mamy podkładów, nie mapy łopat, a przede wszystkim to osłabienie, które uniemożliwia mi skuteczną pomoc Christianowi. Powoli zasypiam, ale budzę się przeżywając kolejny atak, straszliwy ból na wysokości bioder.

— Christian.

Budzi się natychmiast.

— Zrób mi zastrzyk.

Wyciąga sprzęt. Nie ma oświetlenia w samochodzie. Zapala reflektory. Widzę, jak pochylony przed maską niezdarnie przełamuje ampułkę i napełnia strzykawkę.

— Uważaj. Bez powietrza.

Sprawdza, wstrzykuje płyn z powrotem do ampułki i powtarza operację. Tłumaczę mu, jak wypuścić kroplę ze strzykawki, żeby upewnić się, że nie ma tam pęcherzyka powietrza. Ból łamie mnie wpół, nie jestem w stanie zrobić ruchu.

— Zrób mi zastrzyk. Sam nie dam rady.

— Ale ja nie potrafię.

Muszę zrobić wysiłek, nawet żeby mówić. Wyjaśniam mu, jak założyć opaskę uciskową. Zawiązuje mi swój pasek wokół bicepsa. Z ręką w świetle reflektora zaciskam dłoń, żeby żyły wyszły na powierzchnię. Christian, z drżącymi rękoma, kaleczy mnie raz za razem. Mam już dwa podskórne wylewy, kiedy wreszcie udaje mu się trafić w żyłę i wstrzyknąć płyn. Ponownie popadam w błogostan.

* * *

Wstajemy bardzo wcześnie rano, obudzeni przez wschód słońca. Przeglądamy cały sprzęt, jaki mamy ze sobą. Dywaniki podłogowe zastąpią podkłady, a piasek będziemy odgarniać talerzem od felgi. Mamy już tylko jeden, trzy pozostałe odpadły w czasie aerobiku pomiędzy Adrarem a Reggane. Christian robi mi kolejny zastrzyk i bierze się do roboty.

Odgarniam trochę piachu ręką, leżąc obok samochodu, ale Christian musi dokończyć talerzem, kiedy już wybrał piasek po swojej stronie.

Ugrzęźliśmy w wielkiej ławicy miążkiego piasku, dookoła rosną akacje. Mamy przed sobą jakieś sto metrów, zanim grunt z powrotem stanie się twardy. Tu będzie można ominąć ławicę i wrócić tam, skąd przyjechaliśmy. Na razie nie sposób zawrócić, musimy jechać prosto. Dywaniki pozwalają na przejechanie zaledwie metra za jednym razem, i pod tym słońcem nasza praca to istna droga krzyżowa. Jednak metr po metrze posuwamy się do przodu.

Około dziesiątej, wycieńczeni, dzielimy się ostatnią puszką sardynek. Każdy dostaje dwie rybki i parę łyków gorącej wody.

O pierwszej po południu Christian rozwała talerzem tylną szybę i przez dziesięć minut wrzeszczy przeklinając cały ten burdel. Dotarliśmy zaledwie do połowy ławicy. Potem uspokaja się, wypala cygaro siedząc na piasku oparty o samochód. Podnosi talerz i wraca do pracy. Dywaniki nie wytrzymują długo. W połowie popołudnia oba są już podarte, rozwalone pod wpływem tarcia opon, i nie nadają się do użytku. Zastępują je koszule i marynarki, które Christian zabrał ze sobą. Materiał ten jest jeszcze mniej

sztywny i mniej skuteczny. Za każdym razem przejeżdżamy pięćdziesiąt centymetrów. Christian przybiera barwę szkarłatną, poparzony przez słońce.

Około szóstej połykamy litry wody, której w innych okolicznościach nie wzięlibyśmy do ust, taka jest gorąca, po czym zasypiamy. W nocy budzę się, znów zwijam się z bólu. Nie chcę budzić Christiana. Trzęsąc się i całkowicie opadły z sił robię sobie zastrzyk w świetle reflektorów. Małeńki skoczek, podskakując dookoła mnie, przygląda się temu widowisku. Błogostan do rana. Christian nie mówi ani słowa. Kiedy tylko się budzi, bierze talerz i powraca do roboty. Wreszcie po dwóch godzinach wysiłków, samochód wyjeżdża z ławicy. Nie zostało nam już wiele benzyny. Ta wycieczka przedłużyła nam drogę o paręset kilometrów, a długotrwałe wychodzenie z piasku zeżarło mnóstwo paliwa. Nasze ślady są dobrze widoczne. Christian jedzie za nimi przez dobrą godzinę.

— Byliśmy już tutaj.

Tym razem jesteście na dobrej drodze.

* * *

W niecałe dwie godziny później dojeżdżamy do rozwidlenia szlaków pośrodku strefy kamienistego gruntu, zaraz za tablicą oznaczającą algierską granicę. Tutaj trzeba było skręcić w prawo. Mamy chyba jeszcze dość paliwa. Jest to przypuszczenie, bo wskaźnik paliwa jest popsuty. Po niecałych dwóch godzinach szlak robi się węższy. Samochód trzęsie się na blasze falistej. W oddali widać góry. Droga wznosi się, po czym opada, w miejsce piasku pojawiły się czarne, ostre kamienie, aż po horyzont. Dojeżdżamy do Tessalitu.

Na parę kilometrów przed wioską przejeżdżamy przez obozowiska Tamacheków. Dzieci robią do nas znaki i machają kanistrami prosząc o wodę. Ale nie mamy jej już wcale. Jedziemy dalej.

W Tessalit wypijamy wreszcie nasze pierwsze zimne piwo. Właściciel baru podaje nam wielkie, oszronione butelki marki Flag. Facet jest Malijczykiem o jasnej skórze, nazywa się Amico. Jest bardzo sympatyczny i nasze stosunki są od razu doskonałe. W jego barze, składającym się z czterech ścian z wyschniętego błota i podłogi z piasku, znajdujemy wszystkich naszych znajomych. Przede wszystkim są tu Rene i Patricio, którzy niepokoiли się już o nas. Christian natychmiast wytłumaczył im, że zrobiliśmy mały objazd, żeby odwiedzić paru klientów mieszkających w głębi pustyni. Jest też Monique, która nie odstępuje dwóch przystojnych pomocników Wallida. Ten ostatni jest

przygnębiony. Zapominając o nakazach swej religii, wypija piwo za piwem. Zmęczonym głosem wyjaśnia mi, że panienka rozbudziła się na dobre i wycieńczyła go. Opadają również z sił obaj pomocnicy. Wallid mówi, że wielokrotnie zauważył, jak bardzo pociągający dla Europejki potrafi być męczyzna pustyni, ale żeby do tego stopnia, tego jeszcze nie widział.

* * *

Wynajęliśmy oba pokoje Amico. Ciężarówki i obaj turyści wyjeżdżają jutro rano. My postanowiliśmy zostać tu na parę dni, żeby wypocząć.

Wallid opisał mi resztę trasy. Jest jeszcze jedno trudne miejsce o dwieście kilometrów stąd, strefa miłkiego piasku zwana Marcouba, właściwie jedyna poważna trudność na tym szlaku. Musimy nabrać sił, zanim stawimy jej czoło. Musimy też zadbać o wyposażenie. Już dziś wieczór Christian poszedł do mehari i skonfiskował Rene'emu jedną z saperek. Według Amico na pewno znajdziemy tu jakiś podkład do kupienia. Następnego dnia rano, zgodnie z przewidywaniami, wszyscy wyjeżdżają. Christian, odświeżony prysznicem w postaci paru wiader wody, na podwórku za domem Amico, nabrał cywilizowanego wyglądu. Ja też czuję się lepiej.

Tessalit to zupełnie mała wioska, licząca około trzydziestu domków zbudowanych z cegieł z suszonego błota, położona wśród wzgórz z czarnych kamieni, wyglądających jak hałdy węgla... Tutaj, w masywie Adraru Iforasów, jesteśmy w środku gór. Budynek celników stoi na uboczu, o pięćdziesiąt metrów od reszty zabudowań. Od niego zaczyna się Mali. Jesteśmy w Czarnej Afryce. Choć większość mieszkańców to Tamachekowie, jest tu też paru czarnuchów, w kolorowych bubu, gadatliwych i rozgestykulowanych.

Tamachekowie, wyprostowani, pogodni, są spokojniejsi.

Przez dwa dni dbamy o siebie. Każę zabić i upiec parę baranów, spośród tych wielkich chudych zwierząt pętających się wszędzie w wiosce, i zajadamy ogromne ilości mięsa. Amico dobrze gotuje. Uzupełniam menu dietą pomidorową. Kupujemy sobie poza tym świeże jarzyny u kobiety ubranej w bubu, noszącej zawsze w ręku starą damską torebkę; wraz ze swymi córkami prowadzi ona rodzaj restauracji w jednym z podwórek. Duże butelki Flag i doskonała trawka, którą sprzedał mi Amico, ostatecznie przyczyniają się do uprzyjemnienia nam tego pobytu, chociaż ciężkie gorące powietrze jest bardzo męczące. Poza tym mam w Tessalit przyjaciółkę.

* * *

Kupiliśmy podkład pod koła, dwumetrową blachę do ciężarówek, którą musieliśmy przeciąć na pół u sąsiadów Amico. Jest to rodzina Tamacheków, mająca wspaniałą córkę. Radijah ma wielkie czarne oczy, niesamowicie delikatne rysy, a kiedy się śmieje, jej zęby lśnią od bieli. Na przegubach i kostkach nóg nosi srebrne bransolety. Jest zawsze bosy i sprawia mi przyjemność przyglądanie się, jak biega w swojej dziecinnej białej tunice. Jest wysoka, szczupła, wygląda na wyrosniętą na swoje dziesięć lat. Chwile, które z nią spędziłem, nadały uroku mojemu pierwszemu pobytowi w Tessalit.

Kiedy kupiłem podkład, przyszła przyglądać mi się, jak siedzę przed domem Amico, na wpół schowana za drzwiami swego domu. Zawołałem ją, oczarowany jej wielkim, nieśmiałym uśmiechem, i podarowałem jej puszkę soku pomarańczowego. Od tej pory nie odstępuję mnie już. Bardzo dobrze mówi po francusku, uczy się w szkole i po przewyciężeniu pierwszych zahamowań obsypuje mnie pytaniami o Francję i Europę. Jej ciekawość nie zna granic. Jestem zaskoczony sensownością pytań, które mi zadaje.

Któregoś ranka zaskoczyłem ją, kiedy długo czesała się na progu swego domu. Kiedy mnie zauważyła, wybuchnęła śmiechem i szybko uciekła do środka. Kiedy wróciła, żeby dokończyć swoje zajęcie, podarowałem jej lustro wsteczne z samochodu i grzebień Christiana. Od tej pory jesteśmy już prawdziwymi przyjaciółmi.

Wraz z Christianem wykonaliśmy również trochę pracy. Przed odjazdem przeszliśmy przez wieś i złożyliśmy kurtuazyjną wizytę celnikom. Jest ich pięciu, wszyscy to czarni z południa kraju. Większość nosi lekkie mundury khaki. Piąty jest w wojskowej panterce, ma spadochroniarskie buty i zielony beret noszony na boku głowy poczciwego idioty. Christian podchodzi, z szerokim uśmiechem, co natychmiast wywołuje ich wesołość, i ściska im wszystkim dłonie.

— Cześć. Wiecie, kim jesteśmy?

Śmieją się, nie rozumiejąc, o co mu chodzi, Christian wali się w pierś.

— Jesteśmy nowymi świętymi Mikołajami szlaku. Wszyscy trzej kiwają głowami, jakby nas rozpoznali. Wyjaśniam im, że jestem największym kupcem na szlaku do Tamanrasset, że postanowiłem teraz przenieść się tutaj i że będziemy przyjaciółmi. Przyjaciele, to znaczy prezenty. Pytam ich, co chcieliby, żebym im przywiózł, a Christian, z ważną miną, wyciąga z kieszeni

mały notesik, żeby zapisywać zamówienia. Mamy powodzenie. Główny celnik chętnie widziałby samochód, ale nie ma dużo pieniędzy. Poza tym byłby zadowolony z paru talii kart. Może być jedno albo drugie. Drugi chciałby katalog domu wysyłkowego La Redoute, nie precyzując, co chciałby tam zamówić. Facet w panterce marzy o butach z podeszwą na słoninie, kolorowych, rozmiar 45.

Po zamówieniach rozsądnych zaczyna się delirium. Wszyscy mają ochotę na pełno rzeczy, które Christian skrupulatnie notuje. Na zakończenie stawiam wszystkim kolejkę piwa u Amico. Po nawiązaniu przyjaźni kupuję u nich na wagę złota benzynę, przeznaczoną dla ich służbowego samochodu, landrowera, który gnije na kołach w pobliżu posterunku.

Tankujemy, po czym Amico daje mi puszkę po nesce pełną jego doskonałej malijskiej trawki. Celnicy w komplecie przychodzą się pożegnać. Radijah również pojawia się, żeby dać mi buzi na do widzenia.

* * *

Bóle ustąpiły. Przejąłem kierownicę i jadę szybko. Mamy benzynę, wodę, pieczoną baraninę; jedynym mankamentem jest to, że nie gra już muzyka. Prawdopodobnie piasek zanieczyścił radio.

Szlak przekracza góry Adraru Iforasów i wije się wśród wielkich czarnych masywów. Jest to ciąg zakrętów, wzniesień i zjazdów pomiędzy kamieniami. Czasami któryś z tych ostatnich sterczy z ziemi pośrodku szlaku i trzeba go omijać. Gdzie indziej jest blacha falista. Wówczas jest tylko jeden sposób: jechać jak najszybciej.

Zanim nie osiągnie się odpowiedniej szybkości, samochód ciskany jest we wszystkie strony. Na maksymalnej szybkości ma się wrażenie, jakby jechało się po zupełnie gładkim podłożu.

Nie lubię prowadzić. Jazda po asfalcie nudzi mnie. Piasek nie dostarczył mi żadnych przyjemności. Dopiero na tym wąskim i urozmaiconym szlaku prowadzenie samochodu to frajda. Jestem cały czas w napięciu, przeszkody pojawiają się jedna za drugą. Staram się jak najszybciej przejechać przez wszystko, co wyłania mi się na drodze, i to dopiero mnie podnieca.

Przyjemność psuje mi tylko świadomość szkód, jakie ta część trasy wyrządza samochodowi. Pierwsza puściła rura wydechowa. Odkąd ją straciliśmy, poruszamy się odrzutowcem, którego silniki pracują na najwyższych obrotach. Osłony reflektorów pospadały jedna po drugiej, a w

ich ślady poszły niebawem same reflektory. Musieliśmy zatrzymać się i pourywać kable, na których wisały. Spód podwozia sypie się, i Christian, na siedzeniu pasażera, znajduje się coraz niżej.

Zastanawiam się, co nam jeszcze pozostanie do sprzedania, kiedy wreszcie dojedziemy.

Trudny odcinek ciągnie się jeszcze przez sto kilometrów, po czym teren robi się płaski. Teraz przez nami widać długie płaszczyzny miękkiego piasku, na których rosną małe, bardzo suche kolczaste krzaki i wysokie zielone rośliny o liściach przypominających liście kapusty. Szlak biegnie zupełnie prosto. Jest to wąski pas, po którym można pędzić na maksymalnej szybkości jak po prawdziwej francuskiej szosie.

* * *

Pięć godzin po wyjeździe z Tessalit przejeżdżamy przez Aguelock, gdzie zatrzymujemy się na parę minut. Jest tu kilka kwadratowych domków z wyschniętego błota, wszystkie zamieszkane przez Tamacheków. Przyglądamy się, jak wyciągają wodę ze studni. Do dwóch gałęzi drzew rosnących nad dziurą w ziemi przywiązali blok z wypalanej gliny, i wielbłąd ciągnie linę, na końcu której znajduje się wiadro. Idzie prosto przed siebie czterdzieści metrów, po czym wraca i rzecz zaczyna się na nowo.

Dla zabawy goniłem gazelę, która przebiegła przez szlak przed nami. Przez piętnaście minut pędziłem wśród krzaków, starając się zrównać z jej małym białym zadkiem. To mała łania posuwająca się do przodu skokami, raz w prawo, raz w lewo. Nie udało mi się jej dogonić, za bardzo przeszkadzała mi roślinność. Pozwoliłem jej uciec i wróciłem na szlak, który około trzeciej po południu przeistoczył się nagle w dwie ogromne koleiny, wryte głęboko w piasku. Według opisu, jaki przedstawił mi Wallid, jest to Marcouba.

Zgodnie z jego radą zjeżdżam ze szlaku w prawo, by tam szukać dogodnego przejazdu. Twarde podłoże łatwo rozpoznać. Jest ciemniejsze niż połączenie normalnego, jasnoszarego piasku. Jeżeli weźmie się dostateczny rozpęd, jadąc po tych ciemnych odcinkach udaje się czasami uniknąć ugrzęźnięcia w piachu. Nie zawsze jednak, ale tym razem mamy podkłady i łopate, i te nieliczne przypadki, kiedy musieliśmy kopać, wyglądały na żart w porównaniu z poprzednią gehenną.

* * *

Po piętnastu kilometrach w Marcouba, przejechanych wśród małych krzaczków, docieramy do strefy ogołoconej ze wszystkiego. Ziemia ma kolor brązowoczerwony i jest miękka, ma się wrażenie, jakby jechało się po zaoranym polu. Wciskamy gaz do dechy. Grunt jest akurat dosyć miękki, żeby nie tworzyła się blacha falista, i akurat dosyć twardy, żeby nie ugrzęznąć. Na pełnej szybkości dojeżdżamy do Anefis, gdzie spędzamy noc, po czym ruszamy wcześniej następnego dnia.

Dziesięć kilometrów dalej łapiemy gumę w przednim kole. Zadowoleni, że jest okazja trochę rozprostować kości, wyciągamy lewarek, zmieniamy koło i w ostatniej chwili zdajemy sobie sprawę, że w kole zapasowym dętka jest również dziurawa. Nigdy nie przyszło nam do głowy sprawdzić! Każdy bierze oponę na głowę i wracamy do Anefis.

Po drodze Christian śmieje się do siebie. A przecież nie ma tu nic śmiesznego. Jest bardzo gorąco, i po paru kilometrach ma się wrażenie, że opona na głowie waży tonę.

— Co cię tak bawi?

— Myślę o naszej sytuacji. Gdyby przejeżdżali tędy jacyś turyści, takim samochodem obładowanym sprzętem, pomyśleliby, że zwariowaliśmy: wyjechać w pustynię nie sprawdzając nawet koła zapasowego, trzeba mieć tupet, nie?

— Chyba nie chciałbyś, żebyśmy zaczęli szpanować i szykować się jak tamci?

— Nie, oczywiście, że nie, ale mimo wszystko...

I ponownie wybucha śmiechem.

Wiem, że ma rację. Zawsze ufałem swemu szczęściu i nigdy mnie ono nie zawiodło. Jeżeli któregoś dnia mnie opuści, będę się czuł cholernie samotny, tak bardzo się już do niego przyzwyczailem.

Jakiś facet przebrany za mechanika, mający parę kluczy, śrubokręt i kilka żelaznych prętów służących za łyżki do opon, naprawił nam oba koła. Kiedy czekaliśmy, jego żona podawała nam herbatę za herbatą. Wróciliśmy do samochodu z naprawionymi oponami na głowach.

* * *

Dookoła rosną już drzewa. Nie są jeszcze zbyt okazałe, całe suche, pokręcone i nie przekraczające dwóch metrów, ale w każdym razie nie są to już krzaki. Podłoże jest nadal piaszczyste, ale zbliżamy się do końca pustyni. Przejechaliśmy przez wioskę Tamacheków, złożoną z namiotów w postaci plandek zamocowanych na gałęziach, dookoła wysokiej wiatrowej turbiny. Według informacji Wallida jesteśmy już tylko o osiemdziesiąt kilometrów od Gao. Szlak nadal wije się wśród niskich drzew. Poza kilkoma odcinkami miękkiego gruntu przejazd to małe piwo. Jest trzecia po południu, kiedy dostrzegamy cysterne na palach, daleko w przedzie, wystającą zza piaszczystej wydmy. To wieża ciśnień w Gao.

* * *

Gao to Czarna Afryka, zupełnie małe miasteczko. Najpierw przejeżdżamy przez piaszczyste uliczki. Domy są z kamienia, większość w kolorze brązowym. Jest bardzo gorąco i wilgotno. We wszystkich zacienionych miejscach widać grupki leżących Murzynów, a w okolicy targu kłębi się zwarty tłum. Niedaleko płynie Niger, w jego wodach kobiety piorą bieliznę. Hotel znajduje się tuż przy brzegu.

Jest to duży budynek z betonu, w afrykańskim stylu. Beton jest żółtawy, obdrapany i w złym stanie, jak wszędzie w tych krajach. Zielone żelazne okiennice są pozamykane. Z tyłu znajduje się parking. Rozpoznaję tam ciężarówkę Wallida i mehari, stojące wśród innych samochodów i ciężarówek. Kiedy tylko wysiadamy z peugeota, podbiega do nas stadko dziewcząt. To odpoczynek wojownika. Są w różnym wieku, w kolorowych spódnicach, przepychają się i wrzeszczą na siebie, żeby być na początku kolejki do sprzedania nam swoich usług. Christian jest zaskoczony. Ja wybieram dwie. Młodszą dla przyjemności, jeśli można tak powiedzieć. Większość ma wycięte łechtaczki, ich bierność jest nie do pokonania. Starszą do drapania mnie w plecy.

Wynajmujemy dwa pokoje od strony tarasu. Christian oczarowany i pod wrażeniem niskiej ceny chętnych do bum–bum, bierze ich sobie sześć.

* * *

Pokój jest podły, z łóżkiem, którego moskitiera jest oczywiście dziurawa i z wentylatorem zbyt powolnym, by dawać jakiś efekt. Jest tam jednak wnęka łazienkowa z prysznicem. Po godzinie, obmyty z pyłu, czysty, czuję się lepiej.

Powierzam swoją bieliznę starszej, żeby mi ją wyprała w rzece. Daję parę banknotów i schodzę na dół. Z pokoju Christiana dobiegają mnie okrzyki i wybuchy śmiechu.

Bar znajduje się na dole. Jest to duża sala o wysokim sklepieniu. Cztery wentylatory przesuwają nieco powietrze. Całą jedną stronę zajmuje kontuar. Na półkach niewiele butelek. Czterech czarnych kelnerów śpi.

Tu odnajduję gości z Bordeaux. Fred i Alain stoją przy kontuarze, popijając anyżówkę, w towarzystwie trzeciego faceta. Spotkanie jest radosne. Alain, jak zwykle w świetnym humorze, bezustannie poklepuje mnie w ramię, i przedstawia mi ich towarzysza.

— To Francis. Największy alfons w Bordeaux.

Tamten wygląda, jakby komplement mu się podobał. To wysoki frajer mający co najmniej metr dziewięćdziesiąt, bardzo się stara, żebym zauważył kolejno wielki sygnet, który nosi na małym palcu, i szeroki złoty łańcuch zwisający na lewym przegubie. Następnie opiera się łokciami o kontuar, wygięty w pałąk jak w nocnym lokalu w Bordeaux, i zamawia sobie następną anyżówkę. To prawdziwy skecz. Alain przedstawia mnie jako zawodowca afrykańskich szlaków, i Francis odwraca się w moją stronę.

— Ty też handlujesz z czarnuchami, Charlie? Stojący za jego plecami Alain robi do mnie oko.

— Francis jedzie citroenem tube. Ma talent do wybierania samochodów.

— O tak, ja potrafię wybrać wóz. Nie, żebym znał się na mechanice, ale mam nosa. Posłucham tylko silnika i wiem, czy jest dobry. Nachyla się ku mnie.

— Charlie, ty się na tym znasz, jak się sprzedają citroeny? Z tyłu Alain kiwa do mnie głową. Wydaję lekkie gwizdnięcie.

— Citroeny? Czy się sprzedają? Człowieku, idą jak woda! Zachwycony prostuje się, wymachuje sygnetem, łańcuchem, przeciąga dłonią po włosach.

— Widzisz, nie lubię, jak się ma mnie za idiotę. Ci dwaj... Odwraca się, a ci dwaj natychmiast przerywają robienie min i przybierają niewinny wygląd.

— Ci dwaj przyjeżdżają do mnie w Bordeaux i opowiadają mi, że zarobię. Dobrze się składa, kurwa. No wiesz, w Bordeaux już nie ma żyda. Z dziwkami koniec, kurwa. Naprawdę, dziewczyn już się nie utrzyma w garści, gadają tylko o niezależności, kurwa. Miałem dwie. Obie odeszły. Dałem

spokój, sam wiesz, wiesz, jakie te dziwki są, same wrócą i będą jeszcze mi jadły z ręki. Co nie, Charlie? A na razie szukam czegoś na moją skalę.

Sygnet, łańcuch, anyżówka.

— Mówią mi, bierz peugeota 404, furgon. Według nich, to się sprzedaje. A jak przyjeżdżam, kurwa mać, akurat rynek nasycony. Czarnuchy zmieniły zdanie, teraz chcą peugeoty 504.

Za jego plecami Alain jest roześmiany od ucha do ucha. Nawet Fred, zwykle bez wyrazu za tymi swoimi okularami intelektualisty, uśmiecha się kątem ust.

— Mówią mi, nie martw się, to przypadek, odbijemy sobie to. Przyjeżdżam 504 limuzyną, a ten kurewski rynek się znowu zmienił, kapujesz. Charlie! Tracę szmal. Tym razem muszę się odkuć, ale citroen tube, nie bój się, zapłacą mi za niego te czarnuchy. Nie jestem jakimś frajerem.

Biedny kutas. Wystarczy, że przyjdzie ktoś zupełnie obcy i potwierdzi mu, że dobrze wybrał, a on już nabrał zaufania. Nie potrzeba mu więcej, żeby poczuć się ważnym. Te śwynie, Alain i Fred, muszą mieć z nim niezły ubaw. Mają rację. Gardzę alfonsami; pod pozorami tego całego ich cyrku to mięczaki, które nie mają odwagi robić czegoś innego. Są na najniższym poziomie w półświatku. I pomyśleć, że nazywają siebie mężczyznami!

* * *

Starłem się z nimi bardzo wcześnie.

— Mały, zrobiłeś głupstwo. Będziesz musiał zapłacić karę.

Miałem wtedy zaledwie szesnaście lat, ale też dużo kumpli. Kiedy trzech alfonsi stawili się w umówionym miejscu, ich trzydzieści lat, mięśnie i wyszczekane mordy nie na wiele się zdały wobec czterdziestu chłopaków uzbrojonych w łomy i trzonki od łopat.

Kiedy wyszli ze szpitala, opuścili miasto.

* * *

Dołącza do nas Christian i przedstawiam ich sobie. Pozostała część popołudnia upływa na rozmowach, obficie zakrapianych malijską anyżówką. W tym otoczeniu dźwięk czterech głosów mówiących z akcentem Bordeaux jest dosyć nieoczekiwany i raczej zabawny.

Pod pretekstem zmęczenia siadam na uboczu w jednym z bardzo niskich plastikowych foteli, które stanowią umeblowanie sali. Po jakimś czasie

wchodzi Wallid i ciężko opada na fotel koło mojego. Rycerz pustyni jest całkowicie przybity. Lubię tego faceta. Od początku powstała między nami nie sympatii. Stawiam mu drinka, wybiera anyżówkę, żeby poprawić sobie humor.

— Po co podrzuciłeś mi tę dziewczynę, Charlie?

Jest cały odmieniony. Nie mam już przed sobą bohaterskiego Beduina. Wychodzi teraz z niego paryski imigrant, opowiadający mi o piekle, jakie przeżył.

— Wycisnęła ze mnie wszystko, wykończyła mnie, ciągle mnie prowokowała. A potem załatwiła jeszcze pomocników. Ich też wykończyła. Przysięgam ci. Nie byli już w stanie nic robić. A potem wzięła się za wszystkich pasażerów, po kolei. W końcu wszyscy się pobili...

Na to wspomnienie ogarnia go jeszcze większe przygnębienie. Zamawiam mu jeszcze jedną anyżówkę, ale efekt jest niewielki.

— Już nie mogę... Nie biorę jej więcej do swojej ciężarówki... Nie chcę jej już.

Cholerna Monique! Moja mała dzielna panienka nareszcie się rozwinęła. Później przychodzi się poskarżyć Patricio. Nie ma już forsy. To on sfinansował zakup sprzętu campingowego i większość kosztów wyprawy. A teraz, kiedy nie zostało mu już nic, gruby strażak nie zaproponował mu nawet pożyczki. Patricio musi zebrać.

— Mam tego dość. W Niamey biorę samolot z powrotem. Mogę kazać sobie przysłać pieniądze. Rene sam sprzeda wóz, mam to gdzieś. Nie obchodzi mnie, czy go naciągniesz.

— Jest lepszym psychologiem, niż sądziłem. Rene jest uwięziony w hotelu. Nasz strażak ma afrykańską biegunkę, nie wychodzi z ubikacji, a Patricio nie może się zdecydować na zabranie mu jego portfela. Zapraszam go na naszą małą zabawę. Bo dziś wieczór jest w Gao zabawa. Fred i Alain postanowili załatwić całe stado dziewczyn. Podczas kolacji Alain podpuścił Francisa, zwanego teraz Sygneciarzem, żeby opowiedział nam o swoich seksualnych wyczynach, i cały posiłek ten dureń zatrzał nam swoimi przechwałkami i swoją wulgarnością. Zabawa jest na najwyższym poziomie. O ile jakoś pozostawia nieco do życzenia, odbijamy to sobie na ilości. Co najmniej dwadzieścia tyłków stoi rzędem pod ścianą. Przed oczami każdej z naszych piękności zawiesiliśmy banknoty. Oczywiście Fred zaopatrzył się w

swoje wiadro i gąbkę, i przemywa im zadki. Ten dziwaczny rytuał to jedyna chwila, kiedy można zobaczyć, jak facet ten uśmiecha się i żartuje.

Wieczorek pozwolił mi poznać miejscowego alfonsa, zaopatrującego wszystkich białych. To stary czarny ślepiec, który zna Gao jak własną kieszeń. Nie zdarza się, by się o coś potknął albo żeby się omylił. Ma zadziwiający dar przemieszczania się i rozpoznawania ludzi, zanim się nawet odezwą.

Kiedy orgia rozpoczęła się na dobre, zaciągnąłem parę dziewczyn do innego pokoju, wzięwszy ze sobą przeznaczone dla nich banknoty, i bez specjalnego entuzjazmu zająłem się tymi paniami.

* * *

Była to bezsenna noc. Podczas gdy pozostali szaleli w głównej sali, wyszedłem z hotelu, by poszukać czegoś ciekawszego. W jednym z dwóch nocnych lokali w Gao, gorących miejscach, gdzie serwują ciepłe alkohole, spotkałem Wallida i Ajudzila. Dzięki nim poznałem bardziej interesujące miejsca. Razem zakończyliśmy noc w domu kurtyzan. To mauretańskie prostytutki, wyraźnie wyższej klasy niż uliczne bum–bum. Ukojony fajkami z kifem, przygotowanymi przez te jasnoskóre dziewczyny, zakończyłem noc długim tete–a–tete z Aiszą.. To wspaniała, wysoka dziewczyna, o skórze koloru kawy z mlekiem.

Jej ciało jest rewelacyjne. Wybrałem ją, bo ma amputowaną jedną rękę. Brakowało mi jeszcze jednoręki na mojej liście podbojów.

O świcie natknąłem się na Monique. Wychodziła właśnie z afrykańskiej „prywatki”, z włosami w nieładzie, promieniejąc radością życia.

To niewiarygodne, jak miłość potrafi zmienić człowieka. Monique cała promienieje, jest jak odmieniona. Oczywiście nie fizycznie, nadal ma swój obwisły tyłek, ale dobrze się czuje ze swoją brzydota.

W hotelu, gdzie razem jemy śniadanie, popada w nie kończące się wywody o wspaniałości kontynentu afrykańskiego.

— Zrozumiałam, Charlie, nareszcie odnalazłam swoją drogę. Kiedy pomyślę o wszystkich tych straconych latach w Europie!

Nieśmiała i zakompleksiona Monique z naszego pierwszego spotkania już nie istnieje.

— Przerznięli mnie cudownie. Wszyscy. Są wszyscy fantastyczni. Charlie, znalazłam prawdziwe życie.

Już ani słowa o malijskim narzeczonym. Droga do niego będzie długa. Życzę jej szczęścia.

— No to idź, ślicznotko. Afryka czeka na ciebie.

Wszyscy już wstali z głową obolałą od nocnych uciech. Sygneciarzowi usta się nie zamykają. Doprowadził do orgazmu wszystkie te Murzynki, i trzeba było posłuchać, jak krzyczały... Nikt nie wspomniał mu o wyciętych łechtaczkach.

* * *

Połykamy śniadanie i opuszczamy Gao. Przed nami sześćset kilometrów nieciekawej trasy: mały mehari, citroen tube Sygneciarza, który już wkrótce stanie się własnością facetów z Bordeaux, prowadzących ze swej strony pięcotonowego mana i peugeota 504, wreszcie nasz wycieńczony peugeot 404 z Christianem i mną.

Droga biegnie wzdłuż Nigru. Po drugiej stronie ziemia jest czerwona i rośnie więcej drzew. Od czasu do czasu nad wszystkim góruje baobab. Bez przerwy, w niewiadomym kierunku, przesuwiają się przed naszymi oczami czarnuchy, pieszo, na wózkach zaprzężonych do szarych osłów, na rowerze. Kobiety mają usta umalowane na niebiesko. Musimy spędzić noc w Labbezenga, nigerskim punkcie granicznym, bo ci kretyni celnicy postanowili zamknąć interes. Aż do rana atakują nas komary. W połowie drogi do Niamey przejeżdżamy przez Tillaberi nie zatrzymując się. Silnik naszego samochodu, bez kompresji, milknie na dobre, kiedy nasz mały konwój zatrzymuje się przed domem Ministra Dobrych Interesów.

W Niamey zostajemy około dziesięciu dni. Minister to gościnnie gospodarz. Opróżnił z mieszkańców kilka pokoi i zaopatrzył nas w materace. Jest to maksimum komfortu, jakie może nam ofiarować. Jest gorąco. Dni są długie.

Mój samochód przybrał żaloszny wygląd. Jeden z przednich błotników odpadł. Nie można zamknąć pokrywy silnika. Akcesoria pourywały się jedne po drugich. Część najważniejsza, silnik, prawie wyzionął ducha. Minister uśmieł się.

— Jest w dobrym stanie, Charlie. Zrobimy dobry interes. Zaprowadzę cię do przyjaciela w sprawie karoserii.

Afrykańscy blacharze to genialni fałszerze, odzyskiwacze wszelkich metali, powodzi im się świetnie. Przyjaciel Ministra Dobrych Intresów to

tłusty muzułmanin w niebieskim bubu. Przez cały dzień rządzi dwudziestoma pracownikami, którzy biegają wokół niego.

Warsztat jest obszerny, urządzony na podwórzu. Stos drzwi, pokryw i różnych innych blach zajmuje co najmniej połowę powierzchni. W kącie, pod osłoną blaszanego daszku, przykucnięty stary Murzyn czyści śruby i robi resory i podkładowki ze wszystkiego, co się tylko nada. Wali młotkiem w części leżące na ziemi i przytrzymywane palcami u nóg. Przez cały dzień siedzę w tym magazynie, żeby nadzorować pracę. Moim samochodem zajmuje się sześciu pracowników. Rozebrali go praktycznie bez narzędzi. Szukają teraz wokół, żeby zgromadzić kawałki nowej karoserii. Od czasu do czasu wysyłają na zewnątrz małego chłopca, który przynosi brakujące kawałki żelastwa. Przez cały dzień pracują, zatykając dziury i wadliwe złącza za pomocą jakiegoś kitu, w którym nie ma ani grama metalu. Dolna część tylnych drzwi zrobiona jest teraz w całości z wyklepanych puszek po konserwach. Pozostaje jeszcze lakierowanie.

Następnego dnia odbieram swojego 404, który znów wygląda jak nowy wóz.

Szybko też zostaje sprzedany. Minister Dobrych Interesów znalazł nabywców. Są to trzej miejscowi hadzi, dla których nie żywi żadnego szacunku, bo nie są dobrymi muzułmaninami... Nie są hojni.

- Jutro przyjdą wypróbować samochód i kupią go.
- Ale przecież zorientują się, że silnik jest do niczego.
- Oczywiście. Ale zapłacą najpierw.

Następnego dnia prowadzę podczas próbnej jazdy. Klienci są wszyscy trzej w białych bubu. Są braćmi. Trzaskają dziobami przez cały dzień. Za radą Ministra unikam podjazdu. W Niamey jest tylko jeden. Różnica wzniesień jest niewielka, ale wystarczyłaby, żeby unieruchomić mojego wraka. Trzej hadzi są zadowoleni i płacą tego samego wieczoru.

Następnego dnia rano przychodzą zaprotestować. Minister wybucha. Cały dom milknie, nasłuchując jego wściekłych wrzasków. Ryczy na hadżich, że są brudnymi czarnuchami, co jest zwykłym wyzwiskiem w sprzeczkach między dwoma Murzynami. Klienci rejterują. Części mechaniczne sprzedajemy właścicielowi warsztatu, przyjacielowi Ministra. Biorąc pod uwagę, że na początku zainwestowałem sześćset franków, robię niesamowity interes. Minister zatrzymał swój udział w zyskach.

* * *

Dziś rano odjeżdża Christian. Zadzwoił do Francji i dowiedział się, że jego żona urodziła córkę. Postanowił, że nazwie ją Argine. To imię damy treflowej.

Następnie trzeba było zająć się Rene, grubym strażakiem. Zamierza sprzedać swego mehari i oczywiście Afrykanie zrobią go na szaro. — Wolę, żeby forsa wylądowała w mojej kieszeni. Nie zachował się porządnie w stosunku do Patricio, kiedy powstały między nimi problemy finansowe. To dusigrosz. Mam też z nim osobiste porachunki. W Tessalit zauważyłem, jak podglądał małą Radijah w intymnej sytuacji. Zakochałem się w tej dziewczynie i chcę się z nią ożenić. Zachowanie Rene wzburzyło mnie.

Po prostu nie lubię go, więc tym gorzej dla niego. W Afryce szwindle opierają się na dwóch zasadach. Po pierwsze, jest gorąco. Europejczycy nie są przyzwyczajeni i dają dupy. Jeśli sprawa się przeciąga, słabną. Po krótkim czasie są gotowi zgodzić się na wszystko, byle tylko móc odjechać. Druga zasada to ich szacunek dla oficjalnych dokumentów i dla munduru. Reagują wobec nich jak we własnym kraju. Podporządkowują się bez dyskusji. W Afryce dokumenty nie znaczą nic. Istnieją księgi, pieczętki również, ale to teatr. To po prostu Murzyni, którzy bawią się w białych. Jediną korzyścią płynącą z administracji jest nabijanie kabzy urzędnikom, którzy są skorumpowani albo mają nadzieję, że będą.

* * *

Minister wziął pierwszy akt na siebie. Zgodził się poszukać kupca na mehari. Przez trzy popołudnia zabierał ze sobą grubego Rene na „*badanie rynku*”. W rzeczywistości chodził do swoich znajomych na herbatę.

W tym czasie strażak siedział w mehari, w pełnym słońcu, i czekał na jego wyjście. Po powrocie Ministra poparzony słońcem Rene słyszał, że dana osoba nie była zainteresowana jego samochodem. Trzeciego dnia takiej obróbki Minister zmyśla ofertę, osiem tysięcy franków CFA, połowę tego, na co liczył Rene, który jednak skłonny jest już się zgodzić.

Od trzech dni Alain z Bordeaux jest bardzo miły dla strażaka.

Klepie go w ramię:

— No i co mały, sprzedajesz tego mehari?

— Tak, proponują mi osiem tysięcy franków CFA.

— Osiem tysięcy! O! Nieźle sobie radzisz. Klepnięcie w ramię. Rene nabiera pewności siebie. Alain mówi dalej:

— Będiesz nawet mógł zafundować sobie samolot, jak już zapłacisz cło.

Strażak jest zaskoczony. Po raz pierwszy słyszy to słowo. Alain wyjaśnia mu, że nigerskie przepisy, podobnie jak we wszystkich cywilizowanych krajach, zabraniają odręcznej sprzedaży samochodów należących do cudzoziemców. Trzeba najpierw zapłacić cło.

— Ile?

Niepokój w tym głosie to prawdziwa przyjemność. Z kamienną twarzą i błyszczącymi złośliwie oczami Minister rzuca;

— Sześć tysięcy pięćset franków.

* * *

Następnego dnia strażak wyrusza po informację. Urzędnik ceł w szamerowanym mundurze wyciąga księgę i potwierdza:

— Citroen mehari, sześć tysięcy pięćset franków.

To go dobija. Purpurowy, wycieńczony przez biegunkę, zmęczony dietą z mango i ryżu, Rene rezygnuje z zysku. Ze sprzedaży uzyska zaledwie wartość powrotnego biletu lotniczego, ale ma to w nosie. Wieczorem Minister proponuje mu wyjście od ręki. Kupi od niego mehari natychmiast za tysiąc pięćset franków. Rene godzi się. Ale nie został jeszcze oskubany całkowicie.

Podchodzę do niego.

— Słuchaj, strażaku, a prowizja Ministra? Alain klepie go w ramię.

— Fakt, mały, przecież pracował dla ciebie.

— Ale ja nie mam forsy.

Minister wstaje i zaczyna wrzeszczeć:

— Nie chcesz mi zapłacić?

Rene jest strachliwy. W panice gorączkowo szuka wyjścia z tej sytuacji. Podszeptuję mu, żeby zostawił swój sprzęt kempingowy Ministrowi, który już będzie wiedział, co z nim zrobić. Wściekłość Ministra znika jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki. Następnego dnia strażak uwalnia nas od swojego towarzystwa. Odpalam stowę wyszamerowanemu celnikowi, który przystawia mi pieczętkę o zwolnieniu od cła. Minister znajduje mi tym razem prawdziwego kupca w ciągu paru dni.

* * *

To prosta robota. Turyści to ofiary łatwe i zabawne. W przypadku Sygneciarza trzeba było znaleźć coś bardziej skomplikowanego. To dureń, ale ma jakieś pojęcie o szwindlach i ma się na baczności. Zgodnie z umową, ponieważ Alain pomógł mi obrobić Rene, ja pomagam jemu w uśpieniu czujności alfonsa.

Dwa pierwsze akty nie odbiegają od normy. Wieczorem Minister wraca do domu rozradowany i otoczony grupką Murzyniątek. Sprzedał wozy obu z Bordeaux. Ale ma złą wiadomość dla Sygneciarza. Klienci przewidziani dla citroena już kupili ciężarówkę.

— O kurwa, znowu to samo? Chyba nie macie mnie za idiotę! Alain przybiera zakłopotaną minę. Przytłacza Sygneciarza współczuciem. Zapewnia go, że to było nie do przewidzenia i że zrobimy wszystko, żeby znaleźć mu klienta. Minister godzi się poszukać. Spokojnie przechodzimy do drugiej części scenariusza. Minister sprowadza do domu przyjaciół, których przedstawia jako kupców. Goście z Bordeaux i ja zaśmiewamy się do łez, kiedy tylko jesteśmy sami. Sygneciarz nie daje za wygraną. Czarnuchy przychodzące podrapać się po brzuchu oglądając jego citroena nie robią na nim wrażenia. Chce poważnej oferty i głośno się jej domaga. Proponujemy mu pięć tysięcy franków, jedną ósmą tego, czego oczekiwał. Przeciągamy sprawę. Dziś rano jestem gotów i w porze śniadania idę z nim pogadać. Jest nie ogolony.

— Francis, posłuchaj mnie. To już za długo trwa.

— Kurwa, to naprawdę już długo. Ale przecież nie sprzedam mojej ciężarówki za pięć tysięcy franków, nie.

I znów się zaczyna. Sygnet, łańcuch, Murzyni, nie trzeba go brać za idiotę.

— Francis, mogę oddać ci przysługę. Znam jednego hadzi, ma tu w Niamey duży interes. Twoja ciężarówka będzie go interesować. Mogę go sprowadzić.

Sygneciarz jest zachwycony. Ostrzegam go:

— Ale uważaj, to bogaty facet, to znaczy skorumpowany i twardy w interesach. Z nim nie będzie targowania się.

— Co tam! To przynajmniej ktoś poważny...

Po południu mój hadzi przychodzi w obszernym niebieskim bubu. Staje przed citroenem. To Senegalczyk, alkoholik i dziwkarz, którego poznałem w barze. Jest bez forsy. Zaproponowałem mu pracę. Wystarczy znaleźć niebieskie bubu i przychodzić do Ministra. Ma przyglądać się ciężarówce przez piętnaście minut, po czym przywołać mnie ruchem ręki, żeby pogadać. Przede wszystkim ma nic nie mówić, trzymać się z dala od reszty. Przedstawienie jest czysto wizualne.

Doskonale wywiązuje się ze swojej roli. Kiedy macha do mnie, podchodzę. Rozmawiamy. Odchodzi. Wracam do Sygneciarza.

— Zastanawia się. To dobry znak. Jutro wróci.

Scena powtarza się przez następne dni. Sygneciarz słabnie. Przez cały dzień nic nie robi. Przestał się golić. Jego ubranie jest teraz brudne i pomięte. Od czasu do czasu wybucha. Wrzeszczy na pięć tysięcy franków, na Afrykę, na jej mieszkańców, po czym wraca do cienia i siada na ziemię.

Siedząc w naszym kącie z Fredem i Alainem oglądamy przedstawienie. Alain ukradkiem dosypuje przypraw i pieprzu do talerza Francisa podczas każdego posiłku. Zapłaciłem boyowi Ministra, żeby każdego ranka włączał na cały regulator swoje radio pod oknem Sygneciarza. Te drobne kawały uprzyjemniają nam czekanie. Fred zajmuje się niepokojeniem frajera.

— Dosyć już tego. Mam sprawy do załatwienia we Francji. Alain i ja wyjeżdżamy.

— Kurwa, chyba nie zostawisz mnie samego wśród czarnuchów?

— Jeśli nie potrafisz sprzedać ciężarówki, to twoja sprawa. Nie mamy żadnego powodu, żeby na ciebie czekać.

* * *

Każdego ranka o jedenastej mój Senegalczyk przechodzi przez podwórko. Przygląda się. Woła mnie. Rozmawiamy ściszym głosem.

— Charlie, masz moje pieniądze?

— Nie. Kiedy skończysz robotę.

Po czym wracam do grupy widzów i niezmiennie oznajmiam Sygneciarzowi:

— W porządku, prawie się zdecydował.

Wkrótce frajer jest gotów. Zawiadomiłem Senegalczyka, że nadszedł dzień ostatniego aktu.

W trakcie trwania tej komedii mój człowiek popracował nad swoją grą. Teraz dostojnym krokiem przechodzi przez podwórko. Kiedy tak stoi przed citroenem, jest uosobieniem surowości. Jak każdego ranka, Sygneciarz jest na miejscu, z puszką piwa w garści.

— Dzisiaj się zdecyduje, Francis, to pewne. Senegalczyk wznosi ręce do góry.

— Patrz, już mówi.

Pośrodku podwórka mój człowiek kieruje wzrok na zebranych. Wszyscy zamilkli. Murzyniątka przestały się bawić. Senegalczyk opuszcza ręce. Wykrzykuje:

— Dwa tysiące franków!

Tego samego wieczoru Sygneciarz przyjmuje pierwszą ofertę Ministra i oddaje swego citroena za pięć tysięcy pięćset franków.

Drugi załatwiony.

To naprawdę nic trudnego.

W Afryce biały jest z góry upatrzoną ofiarą wszelkich oszustw. Już na początku świadomość, że nie można się w dupę podrapać nie będąc obserwowanym, stawia go w niekorzystnej sytuacji. Ale, co najważniejsze, przyjeżdża tu ze wszystkimi swoimi europejskimi odruchami warunkowymi. Choć dopuszcza myśl, że nie każdy urzędnik jest zawsze uczciwy, nie zdaje sobie sprawy, że tutaj urzędnicy są zawsze skorumpowani do szpiku kości. Ponadto ma szacunek dla władzy. Nie rozumie, że we wszystkich krajach słabo rozwiniętych mundur to najlepszy sposób, by kraść całkowicie bezkarnie, i że ze wszystkich szakali, którymi jest otoczony, najżarłoczniejszy jest ten, którego zadaniem jest go ochraniać.

Po prostu nie jest w stanie wyobrazić sobie, do jakiego stopnia wszyscy dookoła mają chęć na jego forszę. W połączeniu z palącym słońcem, które go otepia, wszystko to robi z niego idealny materiał na frajera.

* * *

Upłynęło parę miesięcy.

Gruby Christian powoli powrócił na łono rodziny.

Ja przejechałem pustynię we wszystkich kierunkach, z północy na południe, ze wschodu na zachód. Przemierzyłem trzy szlaki, Mauretanię, Gao i Tam. Od Nuakszott do Timbuktu i jeszcze inne. Tyle po niej jeździłem, że w końcu jej mit rozwiął się dla mnie zupełnie.

Okazało się, że szukałem trudności tam, gdzie ich nie było. Tylko parę zwariowanych przejazdów przez piaski przyprawiło mnie o ten dreszcz konieczny do nasycenia mojego pragnienia przygód. Wobec tego nastawiłem się na bardziej lukratywne aspekty pustynnej przygody.

Zamieszkałem w Niamey, stolicy Nigru, skąd mogłem kontrolować handel samochodami w całym regionie, i tego roku wziąłem udział w narodowej rozrywce: safari na turystów. Zaczynała się wówczas demokratyzacja podróży afrykańskich i run turystyczny, ku wielkiemu zadowoleniu tubylców.

Wszyscy ci, którym udało się wyjść cało z przejazdów samochodem przez pustynię, mali i średni piraci handlujący między Europą a Sahelem, wszyscy trafiali w końcu do mnie. Plejada naganiaczy pracujących dla mnie kierowała do mnie moje przyszłe ofiary.

Cóż za przyjemność rano, po przebudzeniu, zobaczyć pod moimi oknami jeden czy dwa pojazdy, których właściciele smażą się na słońcu czekając na moje skinienie.

* * *

Moja metoda była prosta. Bez mojej zgody na moim terytorium nie mogła zostać przeprowadzona żadna transakcja. Jeżeli ktoś mimo ostrzeżenia naruszał tę regułę, tracił wszystko, co miał. Moje ceny były uczciwe, a poza tym każdy miał pełną swobodę próbowania szczęścia w sąsiednich krajach, nie dalej niż paręset kilometrów stąd. Ale lekka presja, po której następowała rozsądna oferta, na ogół wystarczała turystom, którzy, zmęczeni podróżą, zwykle byli zadowoleni, że tak gładko im poszło. Skomplikowany scenariusz, parę szwindli, montowanie scenek, a nawet, jeżeli zachodziła taka potrzeba, wielki teatr, wszystko to zapewniało mi stałą klientelę w środowisku podejrzanych handlarzy, sprzedających swe dusze równie chętnie, co swoje samochody. Czasami, dla przyjemności, sam komplikowałem sytuację. Dysponowałem małym zespołem Murzynów, którym każdego ranka rozdziałałem role:

— Ty będziesz celnikiem, ty kupcem, ty mechanikiem...

I każdy ubierał się odpowiednio. Zdarzało się, że któryś z nich całkowicie rozbierał silnik, pod pozorem sprawdzenia czegoś, po czym podawał całkiem śmieszna cenę. Czasami, kiedy byłem w złym humorze, najzwyczajniej konfiskowałem po prostu towar najgorszym szumowinom. Miałem dzięki

temu przez jakiś czas rozrywkę, poznając jednocześnie nową zasadę życiową. Ciężko jest napełniać sobie kieszenie, podczas gdy wszyscy naokoło zdychają z głodu.

Handel ten pozwolił mi poznać Sahel i niewiarygodną nędzę, jaka tam panuje. Całe plemiona, wypędzone przez suszę przenosiły się do Nigru. Nie mogłem długo znieść widoku tych dzieci o wzdętych brzuchach i poważnych oczach.

Zacząłem rozdzielać moje ogromne zyski w postaci pomocy żywnościowej. Podjąłem się utrzymania hord Murzyniątek, kazałem rozdawać jedzenie i lekarstwa w obozach uchodźców. Odkryłem, że czynienie dobra daje przyjemność. Nie, żebym został świętym, ale pieniądze łatwo zarobiope, łatwo się wydaje.

* * *

W tym czasie prześladował mnie okropny koszmar.

Śniło mi się, że stoję przed Trybunałem Niebieskim w czasie Sądu Ostatecznego. A tu panika. Z jednej strony świadkowie oskarżenia. Z drugiej ci, którym odmieniłem życie. Ogromny tłum z twarzami wykrzywionymi nienawiścią, ale których nie potrafiłem rozpoznać. Energiczne protesty moich nielicznych stronników były zagłuszane wyciem tej hordy, która domagała się mojej skóry, moich uszu i więcej jeszcze. Pośrodku, sceptyczni wobec takiej ilości nagromadzonej pasji, sędziowie zaczęli patrzeć na mnie krzywym okiem.

W tej sytuacji, żeby chronić tyły, postanowiłem w celu nadrobienia opóźnień pomóc wszystkim tym ludziom. Jeśli istnieje jakiś boski sędzia, obliczający saldo, mam nadzieję zdążyć wyrównać moje.

Na szczęście ta dobra stara Afryka daje po temu wystarczająco dużo okazji.

Ale choć ta mała działalność dostarczała mi wiele satysfakcji, przynosiła też sporo kłopotów. Nie będąc całkowitą szują zacząłem denerwować tych, którzy mieli mniej skrupułów. Po powtarzających się problemach z miejscowymi władzami musiałem wyjechać, zanim będzie za późno.

Przez parę miesięcy byłem na wakacjach, najpierw w Afryce Zachodniej, potem na Saharze Hiszpańskiej i w Mauretanii, gdzie ludzie, dla odmiany, naporzają się ile wlezie. Udało mi się ujść zwykłym w takich sytuacjach

oskarżeniom o szpiegostwo i wylądowałem na Wyspach Kanaryjskich. I tu spotkałem przyjaciela, brata Jacky'ego.

Pochodził z dobrej rodziny, miał tupet, gardził pieniędzmi podobnie jak ja i tak jak ja lubił się wygłupiać; był idealnym towarzyszem. Wspólnie objechaliśmy całe Wyspy Kanaryjskie.

* * *

Jestem uparty i postanowiłem wrócić. Nie wyciągnąłem jeszcze z Afryki wszystkiego i odkryłem przyjemność pomagania innym. Nie było już mowy o dalszym sprowadzaniu samochodów szlakiem, w tej działalności nie było już dla mnie nic ciekawego. Poza tym nigdy nie robię dwa razy tego samego.

Pustynia przeżywała początek inwazji tłumu turystów żądnych wrażeń. Wymyśliłem więc nową grę. Stałem się przemytnikiem. Ulepszyłem nieco obraz szmuglera przenoszącego drżącą ręką małą walizeczkę. Moja walizka waży kilkaset ton. To konwoje kilkunastu ciężarówek wypełnionych po brzegi częściami zamiennymi, które w biały dzień przeprowadzam przez wszystkie afrykańskie urzędy celne aż do Mali.

Żadna z tych landar nie ma porządných dokumentów, żaden kierowca nie ma prawa jazdy, a ja sam byłbym w kłopotcie będąc zmuszony podać spis swojego ładunku. Takie są reguły gry. Nic legalnego i jak najwięcej ludzi. Im rzecz jest bardziej zwariowana, tym większe podniecenie i tym większa moja przyjemność.

Tym, co mnie pasjonuje w tej przygodzie, nie jest sama sprzedaż w Czarnej Afryce, chociaż osiągane zyski są ogromne. Mnie pociąga ta zabawa w chowanego z władzami, kiedy depczę najelementarniejsze przepisy. Poza tym bawi mnie szalone przedsięwzięcie, polegające na przeprowadzeniu przez Saharę, przede wszystkim siłą woli, rozlatujących się ciężarówek, których nie remontowane silniki w Europie przeznaczono by na złom.

Tu, na tej pustyni, którą kocham, otoczony ludzkim mrowiem czekającym na moje rozkazy, czuję się dobrze.

W ten sposób, nadal rozdając część moich zysków, pomagam na, inny jeszcze sposób. Bo czymże jest w tych niedorozwiniętych krajach przemytnik, jeśli nie dobroczyńcą?

W Afryce jest rzeczą niemożliwą znaleźć samochód po uczciwej cenie. Cła importowe są niewyobrażalnie wysokie, a pieniądze te nie służą ludności. Idą prosto do kieszeni przywódców. Dzięki mnie miejscowy kupiec może

założyć małą firmę przewozową po przystępnych cenach i w ten sposób rozwijać gospodarkę.

Nie płacąc cła za moje ciężarówki okradam rząd, zapewne, ale czymże jest w Afryce państwo, jeśli nie bandą łapowników tuczących się na koszt kraju? Gdybym zapłacił te pieniądze, posłużyłyby do wzbogacenia tych wykorzystywaczy. Podczas gdy, załatwiając sprawę po mojemu, umożliwiałem każdemu na mojej drodze, od szefa glin po najmniejszego celnika, pobranie swojej części zysku. Od granicy marokańskiej aż do Mali wszyscy oni żyli z mojej hojności.

* * *

I oto dlaczego kolejny raz siedzę w hotelu w tym kurewskim mieście. Cienki strumyczek wody wyciekający z prysznicza, powodujący drgania całego systemu kanalizacji, nie wystarcza, by mnie dobudzić. Jestem jeszcze otępiały od wczorajcych środków nasennych, od wilgotności powietrza i od braku snu.

Mopti to niewątpliwie najtrudniejszy etap podróży. W wyniku jakiejś aberracji, normalnej w Afryce, miasto zostało zbudowane na mokradłach, które są siedzibą miliardów komarów. Zaledwie wilgotny upał dnia ustępuje miejsca upałowi nocy, nadlatują w zwartym szyku, gotowe do uczty. Wciskają się wszędzie i ani trawka, ani środki nasenne nie umożliwiają snu.

Hotel, który musiał być luksusowy przez pierwsze tygodnie po wybudowaniu, dzisiaj rozlatuje się tak samo jak reszta. Niewygody te są znośne, kiedy stanowią część przygody. Ale kiedy przygoda się kończy, chciałbym mieć trochę luksusu. Tymczasem jest to niemożliwe. Afrykanie, delikatnie mówiąc, są niedbali, mają dar doprowadzania wszystkiego do ruiny. Nawet w najdroższych hotelach w prysznicach rzadko pojawia się woda, kawa jest zimna, a łóżka się rozlatują.

* * *

Przyglądam się, jak Chotard, nasz księgowy, przelicza górę banknotów, których połowa nie wystarczyłaby nawet na kupienie mi zimnego piwa, towaru w Mopti nie znanego. Chotard ponownie przelicza zyski z naszego ostatniego konwoju. To benedyktyńska praca; moi klienci płacą prawie zawsze w małych banknotach, niemal wyłącznie po pięć franków malijskich, pochodzących z oszczędności całego życia. Poza tym, że stanowi to górę

pieniędzy, Chotard musi naprawiać najstarsze, zniszczone w czasie przechowywania w skrytce, — gdzie przeleżały wiele lat, zanim wylądowały w mojej kieszeni.

Praca ta doprowadza go do pasji. Z natury jest nerwowy i nie może powstrzymać odruchów zniecierpliwienia. To mały chudy brunet, o lekko skośnych oczach, które nadają mu wygląd Chińczyka z komiksu. Kiedy wszystko idzie dobrze, jest rozluźniony, swobodny i tyje. Przy pierwszych trudnościach staje się niespokojny, daje o sobie znać jego nerwowość, i błyskawicznie chudnie. Ma poniżej trzydziestki, ale wygląda już dość staro. Chotard to w pewnym sensie barometr naszego konwoju. Jest z nami od paru miesięcy. Ponieważ to kumpel Jacky'ego, dałem mu posadę księgowego. Robota jest skomplikowana i dość ciekawa, toteż czuje się w niej doskonale. Kupiłem mu walizeczkę, kalkulatorów i wszystkie inne atrybuty jego zawodu. Jest zachwycony mogąc jeździć po Afryce w przebraniu biznesmena. Właściwie jedyna rzecz, która go męczy, to owo sprawdzanie stosów małych malijskich banknotów, co jednak nie omija go nigdy.

* * *

— Kurwa, czy nic tu nie będzie porządnie działać, do jasnej cholery!

To Peyruse, nasz mechanik, walczy z prysznicem. Jest wściekły. To kumpel z dzieciństwa, którego odnalazłem w Bordeaux, pierwszy mąż Suzy. Z pełnego zalet małego cwaniaczka przekształcał się powoli w łachudrę, pijaczka bez ambicji, jedynie z powodu tego miłosnego zawodu. W czasie całego przejazdu zabroniłem mu pić, i kuracja ta dobrze mu zrobiła. Ale wczoraj schlał się z miejscowymi Murzynkami i teraz ponosi konsekwencje.

— Kurwa mać, Charlie, ja zdechnę tutaj.

Wychodzi spod prysznic i klepie przyjacielsko Chotarda w ramię; ten wypuszcza z ręki plik banknotów, który właśnie przeliczał.

— Do cholery, przestań! Nie mogę pracować w tych warunkach. Peyruse nie odpowiada i opada na łóżko, powodując zachwianie się wszystkich stosów banknotów. Chotard nie odzywa się już, bo wściekłość Peyruse'a jest nazbyt oczywista.

Ja też jestem w złym humorze. Czas wyjechać z Mopti. Po opuszczeniu pustyni przejazd przestaje być ciekawy, i nie ma powodu, żeby marudzić. Jutro będziemy w Segou, gdzie mam dom i wszystko będzie lepiej.

— No to jak, przyjadą wreszcie ci frajerzy? Trochę im to czasu zajmuje, kurwa!

— Jacky zawiadomi nas, jak tylko tu będą, nie martw się.

— To chyba oni powinni się martwić, nie? — odpowiada z szerokim uśmiechem.

„Oni” to dwaj Europejczycy, o których mnie poinformowano; jadą w kierunku Mopti prowadząc dwie ciężarówki. Czekamy na tych cwaniaków, którzy ośmielają się przyjechać handlować na moim terytorium.

W tym momencie słyszę stukot butów Jacky’ego, mojego kumpla i współnika. Wsuwa głowę przez drzwi i oznajmia:

— Charlie, przyjechali.

W dwie minuty wszyscy są ubrani. Takie sprawy załatwiam sam, ale wszyscy chcą być obecni na wypadek, gdyby coś się zaczęło dziać albo przynajmniej, gdyby wydarzyło, się coś zabawnego. Mój sposób bycia zawsze rozbawia Jacky’ego, a u mego boku Chotard może udawać twardziela bez specjalnego ryzyka.

Przed wejściem do baru z miną właściciela rzucam okiem na oba pojazdy, małą czerwoną cysternę berliet i ciężarówkę do przewozu bydła, które wyglądają całkiem nieźle. Zresztą sam sprzedaję wyłącznie wraki.

Wchodzimy do baru, podczas gdy Peyruse podnosi maski, żeby przeprowadzić dokładniejszy przegląd. Podchodzę do stolika Europejczyków starając się ich ocenić. Dwóch facetów około czterdziestki, dobrze ubranych, każdy w towarzystwie swojej pani. Ładne mordy salonowych łowców głów.

— Dzień dobry, można?

Siadam nie czekając na odpowiedź. Postanowiłem zachowywać się grzecznie. Jacky i Chotard siedzą przy innym stoliku. Udają, że nie interesują się nami, ale wiem, że podsłuchują rozmowę i mają nadzieję, że będzie zabawna.

Tym razem nie uśmieją się. Zbyt długo czekałem w Mopti i chcę załatwić sprawę szybko. Jeśli będę wobec facetów twardy, obecność żon zmusi ich do oporu, żeby nie stracić twarzy. Źle by na tym wyszli, a ja straciłbym czas. Miejmy więc nadzieję, że nie będzie komplikacji.

— Nazywam się Charlie. Czekałem na was.

Patrzą na mnie cztery pary zaintrygowanych oczu. Mówię dalej:

— Widziałem wasze ciężarówki. Jeśli macie zamiar sprzedać je w Mali, to tylko u mnie, bo jestem tu u siebie. Jeśli sprzedacie je sami, to popsujecie mi rynek, a to byłoby nieładnie, bardzo nieładnie.

Obaj faceci są napięci. Kobiety są zaniepokojone. Peyruse wchodzi do sali wycierając ręce. Kiwa do mnie, że towar jest dobry.

— Jeśli chcecie je sprzedać niżej, w Togo, Dahomeju albo w Górnej Wolcie, nie ma sprawy. Wiem, jaką cenę zapłaciliście we Francji. Znam koszty podróży. Trochę wycierpieliście, więc jest normalne, że chcecie zarobić. Daję wam pięćdziesiąt tysięcy franków francuskich za obie. A teraz wybierajcie.

Zapada wielka cisza, po czym starszy odzywa się.

— Słyszeliśmy o tobie. Możesz nam dać chwilę do namysłu? Potakuję, wstaję i przechodzę do Jacky'ego, Chotarda i Peyruse. Zachowują powagę, ale oczy ich tryskają wesołością. Podczas gdy kelner, wysoki Murzyn w rozkloszowanych spodniach i butach na słoninie, przynosi nam naszą codzienną butelkę whisky, przy stole dżentelmenów wre zażarta dyskusja.

Mam nadzieję, że ci dwaj idioci się zgodzą. Chętnie przyznaję, że inne metody są bardziej zabawne i mają tę zaletę, że wszyscy mogą się pośmiać, ale posiadanie władzy daje coś, co sprawia mi przyjemność: możliwość bycia wspaniałomyślnym. Zawsze zostawiam honorowe wyjście: nie jest powiedziane, że dostaliby lepszą cenę, a jeżeli, to musieliby sporo się w tym celu namęczyć. Więc daję im, jak wszystkim, uczciwe rozwiązanie. Jeśli z niego nie skorzystają, tym gorzej dla nich.

I tym lepiej dla nas.

* * *

W niecałe pół godziny później umowa zostaje zawarta. Stawiam wszystkim kolejkę. Atmosfera rozluźnia się. Starszy, wysoki blondyn, uśmiecha się. Obaj wyglądają na zadowolonych z interesu.

— Chotard. Zapłać panom.

Mój księgowy otwiera walizeczkę i zaczyna przeliczać pieniądze. Obu facetów zatyka na widok ogromu forsy, jaki mamy przy sobie. Jeszcze parę kieliszków i wychodzimy obejrzeć nasze nowe ciężarówki. Peyruse robi próbną jazdę. Są w porządku.

Nie blefowałem z moimi kontrahentami. W całej strefie, którą przemierzam od osiemnastu miesięcy, od Algierii aż do Segou, z jednym

wyjątkiem, kupiłem wszystkich ważnych urzędników cła i policji. Mam pełne możliwości zablokowania obu ciężarówek. Jest to jednak broń, którą posługuję się rzadko, kiedy nie pozostaje mi już nic innego. Uważam, że to zbyt łatwe i niezbyt honorowe.

Mała cysterna to świetny interes. Jest to stary model, z długim ryjem i przednią szybą rozdzieloną na dwie części. Takie ciężarówki są doskonałe na szlak i mają powodzenie w Afryce. Natomiast drugi wóz to mały renault, pięciotonówka do przewozu bydła, zbyt delikatny na tutejsze drogi.

— Chotard, wsiadaj z Jackym. Jedźcie za nami.

* * *

Mopti — Segou, dwieście kilometrów. Droga biegnie prosto, i jest w dość dobrym stanie. Już trzydzieści kilometrów przed Mopti szlak zamienił się w asfaltową szosę. Jedziemy przez nizinę porośniętą gęstymi drzewami, nie licząc baobabów. Noc jest jasna, świeci srebrzysty księżyc w pełni. Owiewa nas chłodne powietrze. Przyjemnie się tak jedzie. Przed wyruszeniem w drogę Peyruse kupił sobie w barze hotelu skrzynkę Solibra, piwa w butelkach po trzy czwarte litra. Wypijam jedną, on już kończy drugą.

— Znowu pijesz?

— Ee... nie. To tylko przez upał.

Nie nalegam. Jak odmówić tych małych przyjemności dorosłemu, w dodatku kumplowi? Poza tym nie mam ochoty psuć tego pierwszego od dawna sam na sam z Peyruse'em.

Należał do mojego gangu w Bordeaux. Tylko on miał mieszkanie, które wkrótce stało się naszą meliną, a przede wszystkim moją. We Francji lat sześćdziesiątych, pruderyjnej i rygorystycznej, nie było mowy o tym, żeby samotny małolat wynajął pokój w hotelu. Pełnoletniość zaczynała się od dwudziestu jeden lat, i te skurwysyny hotelarze żądali dowodu osobistego! Spędziliśmy u niego przyjemne chwile, w tej grupie zwariowanych nastolatków, jaką tworzyliśmy, był jednym z najlepszych.

Kiedy wróciłem do Bordeaux na parę dni, żeby znaleźć mechanika do moich konwojów, pomyślałem o nim.

Rozczarowanie. Myślałem, że odnajdę kumpla z dzieciństwa, wspaniałego faceta. Znalazłem się naprzeciwko zapijaczonej szmaty, na samym dnie od czasu rozstania się z Suzy. Wegetował w jakimś warsztacie, który nawet nie należał do niego. Przygarbiony, ze zbyt długimi włosami,

raczej brudny, facet, któremu nie miałem nic do powiedzenia. Kiedy wyszliśmy z baru, w którym wiele wypił opowiadając mi o przeszłości, zaczął rzygać zieloną żółcią do rynsztoka.

Nie wiem dlaczego, zapewne przez przyjaźń albo dlatego, że wydał mi się zagubiony, zaproponowałem mu jednak tę pracę.

— Wiesz, potrzebuję mechanika do moich konwojów, interesuje cię to?

Nawet nie wrócił do domu. Zostawił wszystko, swoją drugą żonę, z którą mieszkał po rozstaniu z Suzy, dziecko, po prostu wyjechał. Zatelefonował tylko z Barcelony i przesłał im małą sumę pieniędzy, którą mu dałem.

— Zostaniesz z nami na następne konwoje?

— Jasne.

Wyrzuca butelkę przez okno i otwiera następną.

— Uratowałeś mi życie, wiesz, Charlie. Gdybym wiedział, wyjechałbym wcześniej. Kiedy pomyślę o tym, ile straciłem czasu...

— A twoja druga żona?

— Tak, to jest problem. Nie mogę jej po prostu zostawić z dzieciakiem. Muszę ich zabezpieczyć. Dam jej trochę forsy.

— O to się nie martw. Nie ma sprawy. Jaka ona jest?

— O, nie jest ładna.

— Kochasz ją?

— Nie... nie.

— Wobec tego dlaczego jesteś z nią?

— Sam nie wiem. Wiesz, jak odeszła Suzy... Było mi źle. Nie wiem.

Kończy butelkę i trzask! — przez okno. Sięga po następną. Znowu rozmawiamy o kumplach z Bordeaux, po czym przez chwilę milczy. Zaczął już wyglądać trochę jak dawniej. Przestał pić i to mu dobrze zrobiło. Przygoda w konwoju i słońce dokonały reszty. Od czasu do czasu rzuca mi spojrzenie i uśmiecha się. Nagle poważnieje, nachmurzony.

— Słuchaj, Charlie...

— No?

— Przerznąłeś Suzy, prawda?

Suzy, piękna blondynka. Rzuciła mi się do łóżka jeszcze tego samego wieczoru, kiedy po raz pierwszy wróciłem do Bordeaux i odnalazłem grubego Christiana. Opowiadam mu.

Otwiera sobie piwo i w końcu wzdycha:

— Właściwie mam to gdzieś. I tak już odeszła, więc...

Biedak. Kiedy tylko zaczyna o niej mówić, ogarnia go smutek.

— Nadal ją kochasz?

— Tak.

— Ale musisz zapomnieć, stary.

Śmieje się i potrząsa głową. Nalegam:

— Dlaczego chcesz niszczyć sobie życie dla jednej pizdy, co? Tyle innych dookoła. Zobaczysz: w Europie poznam cię z najlepszymi maszynami świata...

— Charlie. Nie chodzi tylko o to... Jest jeszcze coś więcej...

Rezygnuję z wyjaśniania mu mojego punktu widzenia na te sprawy. Nikt nie jest bardziej zaślepiony od zakochanego faceta. Skoro zostaje ze mną, mam nadzieję, że mając więcej czasu wytłumaczę mu parę podstawowych prawd.

Skrzynka piwa powoli się opróżnia, kiedy tak sobie po koleżeńsku rozmawiamy. W połowie nocy wjeżdżamy do Segou. Prowadzę Peyruse'a do ogromnej białej budowli, tuż nad rzeką.

— To mój dom.

W tym małym mieście urządziłem sobie główną siedzibę.

Naciskamy na klakson i po paru minutach Ahmed, mój służący, otwiera bramę. Wjazd ciężarówek do ogrodu budzi śpiących tu i ówdzie ludzi. Wkrótce otacza nas gromada.

— Labes, szefie Charlie?

— Labes, labes.

Stosuję zasadę otwartych drzwi. Starcy, dzieciaki, inwalidzi mieszkają tu na stałe, pod opieką Ahmeda, któremu zostawiam odpowiednie środki.

Szybko zasypiam na ogromnym okrągłym łóżku, które, wraz z wieżą stereo, stanowi jedyne umeblowanie mojego przewiewnego pokoju na pierwszym piętrze.

* * *

Rano czuję się już lepiej. Pod moimi oknami widać Afrykę z pocztówek. Pirogi płyną Nigrem, na którego czerwonych brzegach kłębi się zwarty, kolorowy tłum. Tu się krzyczy, biega, kupuje, sprzedaje. Kobiety z obnażonymi piersiami piorą w błotnistej wodzie kolorowe kawałki materiału.

W Afryce wstaję zawsze bardzo wcześnie. Dwie pierwsze godziny dnia są najprzyjemniejsze. Zwykle spędzam je z Ahmedem, który przygotowuje mi pierwsze śniadanie. To stary, pomarszczony Tamachek, którego wieku nie sposób określić. Towarzyszył mi w pierwszych konwojach. Teraz zrobił się już za stary i zajmuje się domem.

Przykucnięty przed żarem z węgla, na których pieką się kawałki baraniny, zadaje mi pytania o podróż.

— A Kara, mój kuzyn, dobrze się miewa?

— Bardzo dobrze, Ahmedzie, nadal jest ze mną.

— A Radijah? Ożeniłeś się już z nią?

Niedługo będę należeć do rodziny Ahmeda. To wuj Radijah, małej Tamachek, z którą niedługo się ożenię.

— Podczas następnego przejazdu.

Potem opowiada mi, co się wydarzyło tutaj. Kiedy pozostali przychodzą po godzinie, jestem całkowicie zrelaksowany. Prowadzę ich pięćdziesiąt metrów dalej, na prawdziwe śniadanie u libańskiego kumpla.

* * *

Kilka dobrze prosperujących sklepów w Segou należy do dwóch braci, Libańczyków, którzy mieszkają tutaj od paru lat. Libańczyków spotkać można we wszystkich małych afrykańskich miastach. Mają talent do handlu, są pracowici i inteligentni, szybko dochodzą do majątku. W Segou jeden z braci, Etienne, ma stację benzynową i kino. Zostaliśmy kumplami, i jemu zamierzam zaproponować małą cysternę. Nie mam specjalnych stosunków z drugim, Francois, poza tym, że prowadzi knajpę i hotel z barem i że tradycyjnie jadam tam mój pierwszy posiłek. Kiedy przychodzę, wychodzi, żeby mnie powitać, i wymieniamy grzeczności. Pyta mnie:

— Jak zwykle?

— Jak zwykle.

Jak zwykle, to znaczy dla mnie dwanaście jaj i stek ważący jak najbliżej kilograma. Kiedy chcę więcej, zamawiam dwa razy jak zwykle”. Takie posiłki należą do mojej afrykańskiej diety. Tutaj trzeba być dużym i dużo ważyć, żeby wzbudzać szacunek. Jako król handlu muszę dbać o swoją reputację. To pierwszy powód, drugim jest to, że mój organizm bez przerwy walczy z trawiącymi mnie gorączkami i malarią, które zwałyby mnie z nóg przy pierwszym osłabnięciu.

Jedynym, który jada tyle co ja, jest Jacky. Pochodzi z bogatej francuskiej rodziny, jego wykształcenie zrobiło z niego smakosza i umie jeść. Powoli, spokojnie pochłania całe kilogramy. Chotard obżera się ile może. Peyruse, obolały od kaca, skubie kawałek mięsa i stara się powrócić do formy wypijając kawę za kawą.

Miejsce jest przyjemne i, co rzadkie, czyste. Od ulicy oddziela restaurację krata. Wielu facetów, którzy przechodzą ulicą, zagląda do środka, normalna afrykańska ciekawość, i pozdrawia mnie wesołym „*Dzień dobry, szefie Charlie*”. Odpowiadam każdemu. Mali czyściciele butów czekają, aż ich zawołam. I oczywiście są też dziewczyny. Przed kratą oczekuje nas kolorowe stadko potężnych tyłków i zachęcających uśmiechów. Peyruse, który w Afryce jest jeszcze nowicjuszem, jest jedynym, który im się przygląda.

— Znają was tu, chłopaki. Macie takie powodzenie?

— Ależ skąd. Po prostu zobaczyły ciężarówki, to wszystko. Zamiast płacić pięć franków za sztos, jak wszyscy, dają dwadzieścia, pięćdziesiąt franków. Normalne, że je to interesuje. Tak czy inaczej, to jedyna rzecz, która je przyciąga, bądź spokojny.

Daję kobietom znak, żeby się zmywały. Na razie wolę jeść. Mięso jest doskonałe, krwiste.

— Zresztą, żadna nie ma łechtaczki.

Peyruse, który dotąd przeżuwał jakoś, przelyka z trudnością. Jacky zaśmiewając się opowiada mu ze szczegółami, jak przebiega operacja wycinania łechtaczki, przeprowadzana przez mamusię za pomocą kuchennego noża. Peyruse spogląda na swój krwisty kawałek mięsa i ostatecznie odsuwa talerz.

Jakby nie było, nie mamy czasu myśleć dziś rano o amorach, bo mamy robotę.

* * *

Po śniadaniu jedziemy do stacji benzynowej. Upał już się zaczął, przygniata nas żar i szybko jesteśmy złani potem. Pięciu pracowników stacji, sterczących obok pomp, zawiadamia mnie, że szef jest u siebie.

Etienne jak zwykle pracuje w swoim klimatyzowanym biurze. Ma około czterdziestki, siwe włosy i zaczątki brzuszka, to bardzo sympatyczny facet. Podobnie jak wszyscy libańscy chrześcijanie, doskonale mówi po francusku. Wielokrotnie już wspominał mi o swoim zamiarze kupna cysterny, niezbyt

dużej, żeby samemu załatwić część swojego zaopatrzenia, które tutaj zawsze stwarza problemy. Zanim przystąpimy do omawiania interesów, siadamy przy piwie z lodu, żeby pogadać o jego pięknym kraju.

Korzystając z tego, że mam śródziemnomorską fizjonomię, naopowiadałem mu, że moja matka pochodziła z Bejrutu. To zawsze ułatwia kontakty, i bywałem już Turkiem, Korsykaninem, Włochem, zależnie od potrzeb chwili. Wysłuchuję raz jeszcze, kiedy wzdycha nad losem naszej ojczyzny rozdartej przez wojnę, i przedstawiam mu przyczyny moich odwiedzin:

— Mam coś ciekawego dla ciebie: małą cysterne.

— Tak? Jakiej marki?

— Berliet. Jest tutaj. Gdybyś chciał rzucić okiem... Znowu upał. Etienne obchodzi ciężarówkę, zauważa, że jest stara, ale w dobrym stanie. Zwraca się do jednego ze swoich Murzynów.

— Toure, przejedź się nim na próbę.

Toure to nie byle jaki Murzyn. Jest u Etienne'a nadzorcą, to ważne stanowisko. Jego pensja jest wyższa niż u innych, co pozwala mu na posiadanie zewnętrznych oznak bogactwa. Jego wieczny uśmiech ozdobiony jest siedmioma złotymi zębami. Szkoda, że nie zostało mu już pieniędzy na uzupełnienie ubrania, bo do kabiny wsiada przytrzymując jedną ręką szorty, trzy razy za duże dla niego.

Rozrusznik, zgrzyt skrzyni biegów i siedem lśniących zębów ginie w tumanie kurzu. Test wypada pomyślnie.

— Ile za nią chcesz?

— Osiemdziesiąt tysięcy franków.

Nie jest to pierwszy deal, jaki razem robimy. Nie staram się osiągnąć zbyt wysokiego zysku, a on nie targuje się. Sam zajmie się cłem i zapłaci mi we frankach francuskich.

— Widziałeś tę drugą, małego niebieskiego renaulta?

— Tak, zauważyłem. Fajny jest.

Zastanawia się chwilę.

— Wiesz, może miałbym na niego kupca. To Francuz, który założył farmę przy szosie do Zinzana. Miesiąc temu chciał kupić wóz.

— Masz jak się z nim skontaktować?

— Da się zrobić. Poślę kogoś po niego. Zjemy razem obiad?

Jesteśmy przy kawie, kiedy, przyjemna niespodzianka, biały farmer, którego Etientie kazał zawiadomić, pojawia się osobiście, bardzo zainteresowany. To krępy brodacze w szortach, w debilnej gębie tkwi fajka, jest inżynierem agronomem czy innym kretynem w tym rodzaju. Ogląda ciężarówkę. Nie zna się na tym zupełnie. Jest skłonny ją wziąć. Żądam czterdziestu tysięcy franków.

— To dobra cena. Ale pozostają formalności celne, pan wie, że przepisy...

— To żaden problem. Załatwię to. Przyjedź do mnie wieczorem koło szóstej. Będę miał wszystkie potrzebne dokumenty.

Następnie wracam do siebie. Ulice miasta są rozpalone. Czerwony pył, który wciska się wszędzie, jest jeszcze bardziej przykry w ciągu tych najgorętszych godzin. Jedyne, co pozostaje, to korzystać z chłodu mojego domu w czasie sjeisty w towarzystwie paru czarnych dup zgarniętych po drodze.

Około piątej ruszam w drogę. Mam nieprzyjemną rzecz do załatwienia. Składałem wizytę panu Kretynowi, naczelnikowi urzędu celnego w Segou.

Jest to kupa czarnego sadła, tłusta i skorumpowana. Ostentacyjnie jeździ po Segou najnowszym modelem mercedesa. W Mali naczelnik cła oznacza: mnóstwo pieniędzy, czyli inaczej: bogactwo i imponujący obwód w talii. Nie znoszę go, a on mnie nienawidzi. Potrzebuję go, żeby zwalniać od cła moje towary, bo przestrzegając przepisów musiałbym płacić miliony. On potrzebuje mnie, żeby utrzymać swój poziom życia.

Odwiedzam go w jego biurze, pustym i brudnym pokoju, z którego tyranizuje swoich podwładnych. Leży rozlany w swoim fotelu, pocąc się mimo wentylatora, ubrany w niebieskie bubu. Siadam naprzeciwko niego.

— I co, grubasie, jak leci!

Nie cierpi, żeby tak się do niego zwracać. Jest tu poważany, i mój ewidentny brak szacunku doprowadza go do wściekłości. Na przegubach dłoni nosi całe mnóstwo złotego złomu. Zegarki, łańcuchy, a wszystko jak największe.

— U mnie wszystko dobrze. Czego chcesz? Żeby ze mną rozmawiać, odesłał sekretarza. Przy naszych interesach nigdy nie ma świadków.

— Musisz mi zwolnić od cła ciężarówkę, grubasie.

— Masz dowód rejestracyjny?

Przebiera swoimi małymi tłustymi palcami, obciążonymi sygnetami. Wyczuwa forszę. Rzucam mu na biurko dokument.

— Dobrze. To będzie kosztowało cztery tysiące franków.

— Co jest? Podwajasz ceny?

Uśmiecha się obrzydliwie.

— Wyciągać ci forszę to przyjemność; Charlie. Ale zawsze możesz załatwić to oficjalnie. Będzie cię to kosztowało sześćdziesiąt tysięcy franków.

Najgorsze, że ta kupa tłuszczu ma rację.

— Dobra, więc do roboty, wypełniaj swoje formularze, nie lubię za długo siedzieć w twoim biurze.

— Nie podoba ci się moje biuro?

— Moim zdaniem tu śmierdzi.

Tym razem jest urażony.

— Nie zapominaj, że mówisz do malijskiego urzędnika państwowego. To mogłoby cię drogo kosztować.

— To już mnie drogo kosztuje. I wbij sobie do głowy, że tylko ze względu na twoje wysokie stanowisko nie rozwalam ci mordy. W dniu, kiedy cię wyrzucą, spodziewaj się kopa w dupę ode mnie. No jazda, przykładaj swoje pieczątki, płacę ci na tyle dużo, żeby nie musieć jeszcze tracić czasu.

Nie znajduje odpowiedzi i bojąc się, że jego pracownicy usłyszą moje krzyki, układa w końcu przed sobą formularze zwolnienia od opłat celnych i seryjnie przystawia pieczątki. Nie przeszkadza mu to jednak w wygłaszaniu dalszych komentarzy.

— Tacy jak ty rujnują gospodarkę kraju.

— Zamknij się, grubasie.

— Tacy spekulanci i przemytnicy jak ty.

— Zamknij się i pisz.

Robię więcej dla tego kraju niż ten gruby łapownik. Nie będzie mi tu udzielał lekcji. Płacę zastanawiając się, dlaczego muszę znosić takiego faceta. Korupcja afrykańskich urzędników, która dawniej mnie bawiła, zaczyna mi już wyłazić bokiem. Rzucam mu banknoty na biurko i zmywam się.

* * *

Kiedy przyjeżdżam do domu, jeszcze rozwścieczony rozmową z grubasem, staję nos w nos z innym tłusciochem. Ahmed wpuścił szefa

gliniarzy. Jest trochę chudszy od tamtego, bo jego pozycja zawodowa nie pozwala mu kraść aż tak wiele.

Zapewnia mnie, że cieszy się ze spotkania. Przecinam te czułości wyciągając banknot. Udaje urażonego, ale nie mam ochoty tracić z nim czasu. Ten ogromny Murzyn jest wobec mnie jowialny, ale w swoim komisariacie to prawdziwy skurwysyn. Imponujące łopaty, które służą mu za ręce, cieszą się złą sławą wśród ludności Segou. Kiedyś Ahmed miał okazję opatrywać dwóch żebraków, którzy przeszli przez jego biuro, i mogłem osobiście zdać sobie sprawę z ogromu szkód. Tylko Murzyn może przeżyć takie obrażenia. Jaka Afryka byłaby piękna bez tych sukinsynów urzędników.

Ten jest byłym starszym sierżantem armii francuskiej. Jeśli pozwolę mu mówić, znowu będzie mi truł o defiladzie 14 lipca. Przesłupuje z nogi na nogę rozumiejąc, że nie czas na pogaduszki.

— Panie Charlie, mój brat w najbliższej przyszłości się żeni.

— Znowu! Zawsze opowiadasz mi tę samą historyjkę.

— Nie. Tym razem to bynajmniej niestety mój brat ten–sam–ojciec–ta–sama–matka.

O! To poważna sprawa. Afrykanie ciupciają gdzie popadnie i każdy ma w rezultacie pełno braci. Ale ten–sam–ojciec–ta–sama–matka”, to prawdziwy, o wiele ważniejszy niż zwykły ta–sama–matka”. Daję mu pięćset franków. Afrykanin zawsze chowa do kieszeni banknot, który się przed nim pojawia, ale najwyraźniej mój rozmówca jest rozczarowany.

— Panie Charlie...

— Nie, wystarczy. Znajdź sobie tańsze kurwy.

Jest rzeczą ogólnie znaną, że szef gliniarzy w Segou pieprzy jak królik. Wiem, że no money no fuck, ale to jego sprawa.

— No jazda, spływaj.

Rozumie. Wychodzi wśród tysiąca ukłonów i pochlebnych uśmiechów. On też mnie chyba zanadto nie kocha. W Afryce, to nie tajemnica, żeby szybko iść do góry i przede wszystkim nie mieć problemów, trzeba dawać pieniądze wszystkim urzędnikom na swoim terenie działania. Kiedy się zapłaciło raz, trzeba płacić ciągle. O tym wiedziałem, ale popełniłem błąd, bo pragnąc natychmiastowego sukcesu, zacząłem za dużo płacić od początku. Teraz czekają tylko na jakiś błąd z mojej strony, i wiem, że jeśli kiedyś będę miał kłopoty, to przez nich.

* * *

Było mi pisane nie mieć dziś spokoju. Parę minut później przyjeżdża Francuz w sprawie ciężarówki do bydła.

Proszę go, żeby usiadł. Wyciąga książeczkę czekową.

— Żadnych czeków.

Zamiera z piórem w powietrzu. Widząc moje zdenerwowanie, Jacky stara się załagodzić sprawę i sugeruje, żeby Etienne załatwił inkaso. Kiedy dochodzimy do porozumienia, farmer, który nie zrozumiał, że dziś nie jest odpowiedni dzień, pyta, jakich gwarancji mogę mu udzielić.

— Gwarancje? Jak sobie narysujesz! Załatwiam ci zwolnienie od cła, a ty mi zawracasz głowę gwarancjami?

Zacząłem krzyczeć. Jestem bardzo złym sprzedawcą. Moja działka to przejazd przez pustynię, a nie dyplomacja. Brodacz jest przerażony. Pozostawiam Jacky'emu załatwienie sprawy do końca. Spokojnie przedstawia nasze argumenty, w końcu tamten może tylko powiedzieć, że zrozumiał. Kiedy wreszcie mamy to z głowy, szybko odjeżdża. Chotard i Peyruse, którzy do nas dołączyli, mają niezły ubaw. Ja natomiast mam Afryki powyżej uszu...

* * *

— No, chłopaki, spływamy.

— Teraz?

— Tak, jutro mamy samolot z Bamako.

— Dzień dobry, szefie Charlie.

— Dzień dobry, szefie Charlie.

Dwie czarne gęby, rozjaśnione tylko wielkimi okrągłymi oczami, nieśmiało wynurzają się zza drzwi. To moi dwaj malijscy blacharze przyszli się przywitać. Uśmiecham się do nich, więc ich twarze rozjaśniają się i obaj decydują się wejść.

Sporą część swego życia spędzili w Ghanie. Zgarnąłem ich u malijskiego blacharza, który ich wyzyskiwał, i od tej pory pracują dla mnie, w naszym firmowym warsztacie. Są braćmi i jest prawie niemożliwe ich rozróżnić. Jeden jest trochę grubszy, to wszystko. Mają nazwisko nie do wymówienia, Bobobabido, oprócz tego także imiona, więc nazwałem ich One i Two. Te przydomki bardzo im się podobają.

Są tu mile widziani. Lubię tych dwóch łachmytów. Ich naiwna prostolinijność działa odświeżająco. Ponieważ wielokrotnie prosili mnie, żeby zabrać ich do Francji i żeby mogli podróżować, mówię im:

— Wyjeżdżamy, chłopaki. Jedziemy do Europy. Chcecie jechać z nami? Z mojej strony to prawie żart. Tak naprawdę, to nigdy nie miałem zamiaru zabierać tych dwóch małych, którzy zapewne dobrze pracują, ale nigdy nie wyjeżdżali z buszu, nawet żeby jechać z konwojem. Ale ich dwa szerokie uśmiechy, spontaniczna i prosta radość malująca się na ich twarzach, nie pozwalają mi się wycofać.

— Dobra. Macie prawa jazdy?... Nie szkodzi. Macie paszporty?

— Nie, szefie.

— Załatwimy to. Dobra, Chotard, lecis do Etienne zainkasować czek tamtego jołopa i zbierasz zamówienia. Peyruse, zajmiesz się One i Two, żeby szybko byli gotowi. Jacky, zamów nam dwie taksówki. Jedziemy do Europy, chłopaki.

* * *

Nie lubię Bamako. W tej tętniącej życiem stolicy jest się daleko od spokoju mojego zacisza w Segou. Jest to miasto nieporządne, przygniatające, absolutnie nic nie działa tam tak, jak powinno. Budynki pamiętają czasy kolonialne. Od uzyskania niepodległości żaden z nich nie był odnawiany. Aleje i ulice bez przerwy pełne są głośnego tłumu czarnych. Rozwalające się peugeoty, przeładowane pasażerami i towarami, pędzą na oślep. Biali bezustannie padają ofiarą napastliwości mnóstwa sprzedawców i żebraków, nie licząc kalek, trędowatych i wszystkich tych, którzy umierają z głodu. Zawsze staram się maksymalnie skrócić swój pobyt w tym mieście, a hotel opuszczam tylko po to, żeby dojechać na lotnisko.

Przyjechaliśmy wczoraj wieczorem po szybkiej podróży taksówką buszu, czyli peugeotem 504 break, który zwykle przewozi szesnaście osób, ale który w całości rezerwujemy dla siebie. Jutro rano mamy samolot do Paryża.

Położony nad brzegiem Nigru hotel de l'Amitie to jeden z tych nowoczesnych afrykańskich dziesięciopiętrowych superhotelu, w których standard jest jeszcze do przyjęcia, ale pokoje stopniowo się zasyfiają. Po południu, na basenie, wezwałem do siebie One i Two, żeby przekazać im ostatnie polecenia. Trzeba załatwić im paszporty i niech sami się martwią o bilety. A przede wszystkim nie chcę, żeby zabierali ze sobą do Francji zapas

trawki. Wy tłumaczyłem im, że jest to tam zabronione i że groziłoby im więzienie.

— We Francji więzienie to straszna rzecz. Stamtąd nie będę mógł was wydostać. Więc żadnej trawki. Jasne?

— Tak, szefie.

— Żadnej trawki. Zrozumiałeś?

— Tak, szefie. Żadnej trawki.

Kazałem Albanie, żeby pomógł im w załatwieniu różnych formalności. Albana został mi polecony przez miejscowych znajomych moich klientów, którzy powierzają mu nadzór nad towarami. Jest to Murzyn zawsze w zawoju, bo jest muzułmaninem. Zresztą nie można powiedzieć, żeby jego religia go przygniatała. Ma się rozumieć, stosuje się do zaleceń Koranu, które mówią, że należy pluć na pierwszą kroplę wina. Jako dobry muzułmanin odlewa na stół jedną kroplę, pluje na nią i obrzuca wyzwiskami. Co do następnych kropli, to już inna sprawa...

Po załatwieniu formalności, czując się w porządku wobec religii, pieczołowicie zalewa się w trupa. Za każdym z niewielu razy, kiedy go spotykałem, zawsze był pijany pod koniec rozmowy.

Zaleciłem mu, żeby pilnował One i Two, i przy okazji ustawiłem go. Albana mieszka w stolicy i uważa się za coś lepszego od tamtych dwóch, którzy przyjechali z buszu. Na uboczu oznajmił mi, że One i Two są Bełłahami, dawnymi niewolnikami, podczas gdy on jest z plemienia Bambara, czy coś w tym rodzaju.

— Albana, wszyscy trzej należycie do tego samego zespołu, jasne? Nie chcę tu żadnego rasizmu ani innych idiotyzmów tego rodzaju, a w każdym razie nie chcę nic na ten temat słyszeć.

Ich wzajemna niechęć wywodzi się sprzed wieluset lat, i mam to gdzieś. Poza tym lubię One i Two, a nie lubię Albany. Dałem obu czarnuchom trochę forsy, żeby mieli na życie, zanim ich problemy zostaną rozwiązane.

* * *

Dziś wieczór Peyruse urządza w barze hotelowym zabawę. Jacky przyszedł do mojego pokoju, żeby wypalić parę skrętów, i wezwałem Chotarda.

Jacky ma ogromne zalety, te, które szanuję. Kocha życie i chce z niego czerpać wszystkie przyjemności. Jest odważny, hojny i nie czuje żadnego

szacunku dla pieniędzy. Od razu poczuliśmy do siebie sympatię. Po miesiącu wygłupów dołączył do mnie, kiedy postanowiłem wrócić do Afryki. Podzieliliśmy zadania między sobą. O ile ja jestem liderem, głównym szefem konwojów w Afryce, on — ponieważ lepiej ode mnie czuje się w Europie — bierze na siebie całą organizację tam, zarówno konwojów, jak i przyjemności. Zyski są dla nas obu. Jacky jest czymś więcej niż tylko współnikiem, to kumpel.

Chotard jest starszy, ma około trzydziestki. On też ma zalety, ale dla mnie główną z nich jest to, że jest długoletnim przyjacielem Jacky'ego. U mnie jest pracownikiem. Wykwalifikowanym, ale mimo wszystko pracownikiem.

— No i co, Chotard, zaksięgowaleś już wszystko?

Jacky leży na łóżku. Jest roześmiany. Nigdy nie wydaje poleceń Chotardowi, ale moment sprawdzania rachunków zawsze daje mu okazję do jakiegoś kawału. Podczas kontroli Chotard i tak jest już dosyć zdenerwowany. Jacky podpuszcza mnie, żebym z jeszcze większym przekonaniem grał rolę upierdliwego szefa w tej komedii. Bez przerwy posyła mi znaki typu „*no, jeszcze, nie popuszczaj*”, więc żeby sprawić mu przyjemność, za każdym razem robię, co mogę.

Chotard siedzi przy stole, jego walizeczka leży otwarta przed nim i wyciąga z niej różne papierki, które zebrał podczas przejazdu. Jacky wziął główny zeszyt i przedstawia mi ogólne sprawozdanie. Księgowość mnie nudzi. W wykonaniu Jacky'ego jest to przynajmniej jasne i zwięzłe.

— No więc tym razem zgarnęliśmy sto trzydzieści tysięcy dolarów, plus to, co zarobiliśmy w Segou.

Ufam tylko dolarowi. Chcę, żeby moje zyski liczone były w dolarach, i sprawą Chotarda jest, żeby znać ostatnie notowania giełdowe. Bo żądam dokładnych wyliczeń.

— Nieźle. A wydatki?

— W kasie mamy teraz...

Jacky wskazuje na Chotarda, pochylonego nad stosem papierów, śmiejąc się ukradkiem.

— Według dzisiejszego kursu, jak obliczył Chotard, mamy dokładnie osiemdziesiąt tysięcy dolarów.

Chotard drgnął i z niepokojem oczekuje mojej reakcji. Nie każę mu długo czekać.

— Wydaliśmy pięćdziesiąt tysięcy dolarów! Chotard, co to za burdel?

Jacky i ja zupełnie nie dbamy o pieniądze. Są nam tym bardziej obojętne, że nasze zyski są ogromne. Tego Chotard nigdy nie potrafił zrozumieć. Nigdy nie wie, gdzie zaczynają się żarty. Z powagą odpowiada:

— Ależ ja zapisałem wszystkie wydatki. Możesz sprawdzić.

— Pokaż.

Nabiera powietrza i zaczyna:

— Naliczyłem sto osiem baranów...

— Zeżarliśmy to wszystko?

— Przecież po drodze wszystkich zapraszaliście. W sumie...

Jacky wybucha śmiechem. Zapalił ogromnego skręta i zaczyna świetnie się bawić.

— No dobrze, ale przecież nie mogło to kosztować aż tyle. Co dalej?

— Były też dziwki.

— Ile?

— Według dzisiejszego kursu... dwanaście tysięcy dolarów.

— Jak to, dwanaście tysięcy dolarów? Chotard, daj spokój. Przecież nie mogliśmy aż tyle przerznąć, kolego!

Im dalej zagłębiający się w rachunki, tym robi się sztywniejszy. Ten mały brunecik, nerwowy, z lekko skośnymi oczami, doskonale pasuje do roli, którą z zapamiętaniem odgrywa, roli dokładnego i kompetentnego księgowego.

— Próbowałem już zwracać wam uwagę na tę kategorię wydatków, które moim zdaniem są przesadne...

— Tak?

— I za każdym razem śmialiście się tylko.

— Naprawdę? Musiałeś się gdzieś pomylić, to przecież niemożliwe. Z triumfem w oczach wyciąga do mnie plik papierów.

— Zaczyna się w Gao. Siedemdziesiąt dwie dziewczyny średnio po osiemdziesiąt franków.

Po czym wylicza mi poszczególne etapy podróży.

— Gossi, trzy. Hombori, dwanaście. Boni, pięć. Douentza, osiem. A niektóre biją rekordy. W Sofara jedna z tych panienek dostała sto pięćdziesiąt franków.

Biorę mu papier z rąk. Rzeczywiście, jest tam napisane: Sofara, mineta. Charlie”.

Zaczynam rozumieć. Wprawdzie w Afryce rżnie się na potęgę, ale trudno jest osiągnąć cokolwiek innego niż zwyczajne bum–bum. „*Wziąć do ust, szefie, to nie jest czyste, wsadzić do tyłu, szefie, to boli.*” Więc trzeba podnieść stawkę. Dziewczyny odmawiają do chwili, kiedy cena staje się nie do odrzucenia. Chotard ciągnie dalej:

— Muszę panu powiedzieć, że jest pan daleko na pierwszym miejscu, za panem jest Jacky i...

Tu nie może powstrzymać uśmiechu. Odchrząkuje:

— No i ja.

— No właśnie!? To ty! Chotard, za dużo ciupciasz.

Tym razem ogarnia go początek paniki. Ten facet jest inteligentny, wykształcony, ma ogromne poczucie humoru. To pierwszorzędny wodzirej. Często wykorzystuje swój wygląd mandaryna, żeby udawać przewrotnego Chińczyka, z jego sarkastycznym rechotem, świetnie opracowany numer. Ale ze mną nigdy nie jest sobą. Zawsze się boi.

— Ależ Charlie, zapewniam cię...

— No już dobrze. Co jeszcze?

— Zabawy, jedzenie, trawka. W sumie przyjemności kosztowały nas prawie trzydzieści tysięcy dolarów.

— Dalej?

— Łapówki dla urzędników. Trochę ponad dziesięć tysięcy. Ta suma stale rośnie.

Dobrze. A dobre uczynki?

— Dziewięć tysięcy siedemset pięćdziesiąt i... no, dziesięć tysięcy!

Dobre uczynki to wszystkie towary, które rozdajemy na szlaku, w tych okolicach, gdzie ludziom brakuje wszystkiego. Dlatego moje konwoje obładowane są puszkami mleka, workami ryżu i pudełkami aspiryny. Ilekroć przejeżdżamy przez Sahel, zatrzymujemy się przy każdym obozowisku, żeby rozdać trochę rzeczy. I to mi się nie podoba. Wydatki na przyjemności są wyższe niż te na dobre uczynki. To nie jest normalne. Żeby przywrócić równowagę, następnym razem zwiększymy udział tych ostatnich.

— Rachunki się zgadzają, Chotard. Będziesz musiał poukładać to wszystko w jakieś segregatory. Za dużo tu bałaganu.

Mówię to tylko tak, żeby go podpuścić, ale nie rozumie mnie i składa wszystko z urażoną miną. Ledwo mówi do widzenia wychodząc,

odmówiwszy skręta którego proponuje mu Jacky. Proszę go, żeby, jeśli idzie do baru, rzucił okiem na Peyruse'a i trochę go przypilnował. Bąka pod nosem, że „zobaczy”, i zostawia nas.

Od Gao Peyruse niepokoi mnie. Byłoby okropne, gdyby znów zaczął pić. Szybko o tym zapominam. Pościel jest szarawa, ale czysta, i wkrótce zasypiam.

CZEŚĆ TRZECIA

W Europie pełnia zimy. Nie lubię ani europejskiego chłodu, ani wielkich miast, ale Paryż jest wyjątkiem. To zaczarowane miejsce, tym przyjemniejsze, że mam dwoje doświadczonych przewodników po przyjemnościach, jakie tu można znaleźć: Jacky'ego i Kokę.

Koka macha do nas obiema rękami, kiedy pojawiaemy się na lotnisku Charlie–Airport. Inni pasażerowie oglądają się za tą wysoką, ciemnowłosą i wpadającą w oko dziewczyną, która wykrzykuje nasze imiona.

Okrywa Jacky'ego i mnie naszymi futrami, których nie zapomniała przynieść, i całuje mnie z pasją wsuwając mi dłoń w spodnie. Wali Chotarda pięścią w brzuch, to samo spotyka Peyruse'a.

— Ten jest nowy. Milutki jest. No, chłopaki, pośpieszcie się, bo źle zaparkowałam.

Ledwo mam czas wydać ostatnie polecenia Chotardowi i pożegnać się z Peyruse'em.

— Ciao, Peyruse. Spotykamy się za tydzień, przed następnym wyjazdem.

— Ciao, Charlie. Do zobaczenia.

I już Koka ciągnie nas za sobą. Rolls, którego wynajmujemy na czas naszych pobytów w Europie, ustawiony jest krzywo, zagradzając przejazd obwodnicą parkingu. Mały gliniarz przygląda się i zastanawia się, czy interweniować. Koka zakłada szoferską czapkę.

— Wsiadajcie.

Z tyłu oczekuje nas niespodzianka. Na małych stolikach z lakierowanego drewna Koka wyrysowała kokainą ogromne „*Welcome*”.

Obok czeka na nas banknot zwinięty jej rękami, dzięki czemu możemy natychmiast wdychać ten powitalny prezent. W lodówce stoi Magnum szampana. Jakże przyjemny jest ten powrót do cywilizacji!

* * *

Koka na pełnym gazie wjeżdża na paryską obwodnicę, odchylając głowę do tyłu, aby napić się trochę szampana prosto, z butelki, którą jej podsuwamy. Patrzy na mnie w lusterku, mówiąc mi różne świństwa, i wyprzedza wszystkie

samochody. W niecałe dwadzieścia minut jesteśmy przed jej domem na Avenue Foch.

Stara południowoamerykańska służąca, dawniej niania Koki, otwiera nam drzwi. Uwielbia mnie i wymieniamy parę zdań po hiszpańsku. Salon to ogromny biały pokój, ozdobiony nowoczesnymi rzeźbami. Całość uzupełnia kilka obrazów wielkich mistrzów, wartych majątek. Wokół niskiego marmurowego stolika świta nieuniknionych pasożytów Koki ledwo podnosi na nas wzrok. Jest tu stale dwóch czy trzech frajerów w okularach i stado wspaniałych młodych blondyneczek. Koka bierze jedną z nich za rękę i przyprowadza przed Jacky'ego.

— Jest dla ciebie. Możesz się wyżyć, obiecałam jej, że załatwisz ją jak dziki.

I kieruje oboje ku jednemu z drzwi wiodących do pokoi, po czym prowadzi mnie do jednej z łazienek, gdzie oczekuje mnie gorąca kąpiel.

* * *

Stanowią wyjątek w życiu cudownej Koki. Ten pijak w spódnicy interesuje się tylko dziewczętami. Blondyneczki z salonu są do jej osobistego użytku. W tej wygodnej łazience przysługuje mi jednakże specjalne traktowanie, jako że oprócz tego, że jest doskonałym kumplem, Koka jest także wyjątkową partnerką. To piękna dziewczyna. Tylko jej biodra, nieco zbyt szerokie, nie odpowiadają klasycznym kanonom piękności, choć jednocześnie dodają jej specyficznego uroku. Koka jest córką dyplomatów jednej z bananowych republik latynoamerykańskich i korzysta z walizy dyplomatycznej, by zaopatrywać się w kokainę na handel. Jest osobą hiperenergičzną, a działalność komercyjna nie przeszkadza jej zajmować się także malarstwem i od czasu do czasu dziennikarstwem.

Dziś w nocy zamierza zabrać nas na kilka zabaw. Na podtrzymanie kondycji mamy jej prywatną kokainę, niezwyklej czystości. Proszek ten nie ma nic wspólnego ze świństwem, jakie zwykle spotyka się w Europie. Ta kokaina jest afrodyzjakiem i nie odbiera apetytu. Poza tym Koka kazała nam przygotować małą kolacyjkę, na niskim stoliku w salonie. Foie gras, kawior, sery i szampan. Delektujemy się tym, rozkoszując się efektem, jaki te wspaniałości wywierają na naszych podniebieniach zmęczonych Afryką.

Przez pięć dni dostarczane są nam wszystkie możliwe przyjemności. To prawdziwy festiwal bankietów, wieczorków, rządów kokainy i nieustającego śmiechu.

Potrzebny mi jest ten luksus. Móc wsunąć się w białą, świeżą pościel w miłym towarzystwie, z kieliszkiem szampana w rękę, słuchać słodkich słówek szeptanych do ucha ciepłym głosem, być przedmiotem uwagi i pieczy, dzielić przyjemności, to wszystko, czego mi potrzeba.

W nocy, pogrążony w półśnie, dotykam czystych i kojących tyłeczków, które mnie otaczają, i zasypiam szczęśliwy.

Po śmierzących afrykańskich bubu przeżywam emocje nastolatka wobec malutkich i czystych białych bawełnianych fig, noszonych przez moje towarzyski. Wszystkie moje zmysły napawają się czystością.

Spędzam też cudowne chwile tete-a-tete z Koką. Moja paryska towarzyszka nie jest zazdrosna, co nie, oznacza, że jest pozbawiona godności. Ona sama wskazuje mi, wśród swoich koleżanek, te, którymi mam prawo się zająć, a czasem wręcz dzieli się ze mną, popychając mnie w objęcia którejś z przyjaciółek.

Jacky ze swej strony wykorzystuje każdą, która pojawi się w tym bajkowym mieszkaniu.

Ale któregoś wieczoru raj gwałtownie się kończy.

La Gorda, niania Koki, zawiadamia nas, że dzwonił kilkakrotnie Chotard. Nie leży to w jego zwyczaju. Zawsze telefonuje o stałej porze i składa starannie przygotowane sprawozdanie. Jestem pewien, że coś się stało.

Po pełnej niepokoju nocy rano rozmawiam z Chotardem, który zawiadamia mnie, że Peyruse zmarł w Bordeaux na atak malarii. Zniszczona przez alkohol wątroba nie wytrzymała.

To ciężki cios.

* * *

Natychmiast wsiadamy w samolot. Na lotnisku Bordeaux–Merignac czeka w swoim mercedesie Claude, inny towarzysz lat młodszych. Po drodze zabieramy jeszcze Suzy, była żoną Peyruse'a, i Claude wiezie nas wszystkich do kostnicy szpitala dziecięcego, w którym zmarł Peyruse.

Siedzący z przodu Claude i Jacky nie odzywają się. Jest zimno i szaro. Przejazd trwa długo, ulice zablokowane są korkami. Siedzę z tyłu z Suzy i pogrążony jestem w rozmyślaniach.

Wybacz, Peyruse, ale oprócz tego, że jestem łajdakiem, i tylko łajdakiem, potrzebuję zrozumieć. Nigdy się nie ożenię. Peyruse umarł właśnie przez ożenek. Pozwolił się zniszczyć tej pięknej blondynce, której południowo-zachodni akcent przyprawia o dreszcz, kiedy tylko zaczyna mówić.

Moje panie, nie macie w sobie litości.

Peyruse leży w swojej szufladzie. Nie ma już mojego kumpla. Jego twarz jest obrzękła, wypełniona śmiercią, cała żółta. Widzę sztywnego trupa i szkody, wyrządzone przez chorobę, i trudno mi rozpoznać tego przyjaciela z lat dzieciennych, którego przywróciłem do życia ofiarowując mu przygodę.

Kurwa mać. A przecież już prawie z tego wyszedł. Suzy maże się i siąka nosem bez przerwy. Rycz, mała, będziesz mniej sikać.

Na zewnątrz ciągle tak samo szaro i pada deszcz.

* * *

Zabawa się skończyła. Jacky szybko zaprzyjaźnił się z Peyruse'em, ale podobnie jak ja nie ma zamiaru się rozczulać. To nie w naszym stylu. Ale żaden z nas nie ma jeszcze ochoty na rozrywki. Udajemy się prosto do dzielnicy przemysłowej, gdzie założyliśmy biuro i magazyn. Moim zamiarem jest jak najszybciej przygotować następny konwój, największy jaki kiedykolwiek jeździł po Afryce. Chcę od razu rzucić się w wir przygody, zebrać kupę szmalu i przejść do czego innego.

Los miał zdecydować inaczej.

* * *

Dwa dni później korzystamy z otwarcia sezonu polowań, bo i zapowiada się prawdziwa orgia zwierząt, kiedy ogarniają mnie mdłości. Szybko rozpoznaję gorączkę, która mnie napadła. To malaria. Wygląda na to, że Afryka chce załatwić stare porachunki.

Zaniepokojony Jacky nalega, żeby zawieźć mnie do szpitala lub chociaż zdobyć chininę. To powstrzyma gorączkę.

Szpital to wielki, stary budynek, równie gościnny jak więzienie i śmierdzący eterem. Idziemy za tabliczkami „Izba przyjęć” i dostajemy się przed oblicze trzech młodych facetów w białych farfuchach, którzy właśnie zaczęli pracę. Przerrywamy im picie kawy. Mały brodaty w okularach przygląda mi się, dopijając swoją filiżankę.

Najwyraźniej nie podoba mu się nasz wygląd. Jesteśmy w tym samym wieku co on, ale opaleni i bogaci, podczas gdy on skazany jest, by zieleńić pod jarzeniówkami. Daje nam odczuć, że jesteśmy tu zbędni.

— O co chodzi?

— Mam malarię. Znam objawy i czuję, że nadchodzi kryzys. Czy ma pan chininę, żeby to powstrzymać?

— Malarię?

— Tak. Wracam z Afryki. Mam co najmniej czterdzieści trzy stopnie gorączki.

Jeden z pozostałych rechoce.

— To niemożliwe. Przy czterdziestu trzech stopniach nie byłby pan w stanie ustać na nogach ani mówić. Majaczyłby pan.

Brodaty potakuje.

Jak wytłumaczyć tym rzeźnikom? Zmuszam się do spokoju i cierpliwie tłumaczę brodatemu:

— Zażywam duże ilości narkotyków i jestem przyzwyczajony do stanów podniecenia. Miewałem już ataki; Chcę tylko chininy, żeby to powstrzymać.

— Ależ nie możemy wydać panu lekarstwa tak po prostu! Tym razem wyprowadza mnie z równowagi. Mam już wyjść i odesłać ich do wszystkich diabłów, ale brodaty łapie mnie za rękę.

— Zmierzymy panu gorączkę. Zobacz pan, że mój kolega ma rację.

W parę minut później patrzy na termometr i zmienia ton.

— Pan musi być hospitalizowany!

Cała ta dyskusja pogorszyła mój stan. Czuję, że zalewa mnie fala gorąca, robi mi się ciemno przed oczami... Mój kumpel Jacky, wspomagany przez lekarzy, podtrzymuje mnie, po czym zdaję sobie sprawę, że kładą mnie na noszach.

— Nie. Ja chcę tylko trochę chininy, to wszystko.

Jacky mówi do mnie, kiedy niosą mnie korytarzami. Ja przecież nie mam czasu na leżenie po szpitalach! Trzeba zająć się konwojem. Parę minut później tracę przytomność.

Pływam. Budzę się, wszystko jest gdzieś daleko. Jakieś dźwięki, ktoś mnie dotyka. Znów tracę przytomność, po czym wracam do siebie w blasku elektrycznego światła, od którego bolą mnie oczy.

Mówi do mnie pielęgniarka. Znów dzień, później stopniowo chwile przytomności wydłużają się. Jestem przytomny, ale w paskudnym stanie. Nadal mam gorączkę, i nie sposób dowiedzieć się, co się dzieje. Po prawej stoi rząd łóżek, mój sąsiad, to mały staruszek, który nie poruszył się, odkąd tu jestem.

Pielęgniarka to stara kobieta o krzykliwym głosie, która wciąż się wydziera. Kiedy wchodzi na salę, od razu ustawia jakiegoś chorego, leżącego o dwa czy trzy łóżka ode mnie, zawsze tego samego. Nigdy albo źle ją rznięto, i teraz wyżywa się na biedaku przez kilka minut. Słuchanie tego jest nie do zniesienia.

W środku czuję zimno, potem zaczynam płonąć. Proszę, żeby mi zmieniono pościel, mokrą po każdym nawrocie gorączki, ale stara nie chce o niczym słyszeć. Pościel zmienia się rano, teraz nie jest odpowiednia pora.

Jedynie znośne chwile w tym otoczeniu to odwiedziny Jacky'ego. Parę razy dziennie słyszę jego sztucznie wesoły głos: „*No i jak bracie*”, i budzę się. Mówi do mnie i dobrze mi to robi.

Najgorsze jest to, że nie jestem leczony. Był lekarz, osłuchał mnie bez słowa i zniknął. Nie dostałem jednego jedyne lekarstwa, i wszyscy udają, że nie słyszą, kiedy proszę o chininę.

Któregoś dnia nie wytrzymuję. Stara płaci za wszystkich. Wrzeszczę do niej świństwa, jakich nie słyszała w życiu.

— Uspokój się, bracie. Spokojnie.

Czepiam się ramion Jacky'ego. Pielęgniarka wybiega z sali.

— Wyciągnij mnie stąd, bracie, nie mogę już.

— OK, bądź spokojny, załatwię to. Załatwię zwolnienie i wychodzimy.

* * *

Załatwił mi pokój u przyjaciółki. Przez kilka dni walczę z gorączką. Kryzys przedłuża się. Którejś nocy budzę się gwałtownie i skręcam się z bólu, który rozpoznaję natychmiast. Tym razem to nerki. Przez całą noc czuję, jak noże rozrywają mi biodra. W ciągu następnych dni ból nie ustępuje, rzadko bywał aż tak silny, i czuję, jak cały mój organizm zaczyna się rozlatywać.

Mój mocz ma kolor brązowy i śmierdzi. To przerażające patrzeć, jak coś takiego wycieka ze mnie. Jest to tak obrzydliwe, że zaczynam czuć do siebie odrazę. Mam wrażenie, że całe moje ciało śmierdzi. Któregoś wieczoru, po powrocie do domu, przyjaciółka Jacky'ego przychodzi do mojego pokoju, żeby powiedzieć mi parę miłych słów, jak zwykle, i otwiera okno, wpuszczając lodowate powietrze. Wówczas rozumiem, że naprawdę śmierdzą zgnilizną. Mój pot przesiąknięty jest jakimiś nieznanymi wewnętrznymi miazmatami.

Rozumiem wszystko. Koniec ze mną.

Nie mogę narzucać tej sytuacji dziewczynie. Proszę Jacky'ego, żeby zabrał mnie do innego szpitala. Może będzie tam lepsza opieka niż w poprzednim.

Ale znów zaczyna się ten sam burdel. Lekarze nie znają się na malarii, a jeszcze mniej na tym, co atakuje moje nerki. Mówię im, że byłem w szpitalu parę dni wcześniej, i sprowadzili moje akta, w których jest kilka linijek na temat mojej choroby. Reszta to zemsta starej pielęgniarki. Po przeczytaniu tego lekarze mają mnie na oku. Wysłuchuję nawet kazania.

Cały drzę, opróżniony jestem ze wszystkiego, co było we mnie zdrowe, siły opadły mnie zupełnie. Gdyby nie to, złapałbym tego błazna w białym fartuchu, który mi tłumaczy, że nie wolno napadać na personel medyczny, i zmusiłbym go do zajęcia się moim przypadkiem. Przynajmniej do spróbowania wyleczenia mnie!

* * *

Jacky przychodzi codziennie. Uśmiecha się i mówi, co nowego w sprawie konwoju, ale widzę, kurwa, że jest smutny.

— Jacky, tu są sami frajerzy. Pozwolą mi umrzeć.

— Nie ma problemu, bracie. Jedziemy stąd.

Mój koleś zajmuje się wszystkim, i w jeden dzień wynajduje prywatną klinikę.

Jest tam przynajmniej wygodnie. To najlepsze miejsce w mieście, czyste, spokojne i bardzo drogie. Mam telewizor, dużą łazienkę, a pościel zmieniają za każdym razem, kiedy jest mokra.

Ale w moim ciele gnicie postępuje dalej.

Nie mogę jeść. Sam przecież wybieram swoje menu, ale kiedy przynoszą tacę, mam ochotę wyrzucić ją przez okno. Nawet do mięsa czuję obrzydzenie.

Schudłem, cały się przygarbiłem, a teraz czuję ogień. w płucach. Jacky przyniósł mi skrętów, ale nie dają rady ich palić. Jeden sztach i duszę się. Ale przynajmniej mam jaśniejsze myśli przez parę minut.

Przez okno widzę dachy miasta, w którym utknąłem. Niebo, dachówki, wszystko jest szare, wilgotne, a o parę kilometrów dalej widać dymy fabryczne. Europejskie miasto w zimie.

Nie chcę umierać w tej szarzyźnie. Chcę zdychać na słońcu. Poproszę Jacky'ego, żeby zabrał mnie gdzieś, gdzie jest ciepło.

Po raz pierwszy siła wewnętrzna, która zawsze podtrzymywała mnie i popychała do przodu, słabnie. Zrezygnowałem z walki i pogodziłem się z rzeczywistością. Widzisz, Peyruse, na każdego przychodzi kolej. Dzisiaj to mnie zabija Afryka.

Jedyne siły, jakie mi zostają, po zaciągnięciu się trawką, przeznaczam na moją ostatnią przyjemność, prysznic po każdym ataku gorączki, żeby zmyć z siebie to całe świństwo, które ze mnie wychodzi. Potem padam na łóżko i pogrążam się na całe godziny w czarnym śnie, który nie przynosi wypoczynku.

* * *

Któregoś dnia, około dziesiątej, unoszę się na łóżku słysząc na korytarzu szybkie kroki, które należeć mogą tylko do jednej osoby, kroki prawie równie zdecydowane i głośne, jak chód Jacky'ego. Drzwi otwierają się z trzaskiem, to ona.

W drzwiach pojawia się Koka, z rękami na biodrach.

— Charlie, to ja. Jacky powiedział mi przez telefon, że bardzo źle z tobą, więc dziś rano wsiadłam w samolot, żeby cię odwiedzić. Cieszysz się?

Podchodzi i przygląda mi się.

— Z tobą naprawdę jest źle. Poczekaj.

Podnosi mnie, ciągnie do łazienki i robi mi gorącą kąpiel, nie mogąc powstrzymać się, by nie zmarszczyć nosa. Obmywa mnie delikatnie, splukuje i goli, nie przestając mówić.

— No, teraz jesteś piękny.

Wzywa pielęgniarkę, żeby kazała zmienić pościel, ciągnie mnie z powrotem do wyra, wyciąga z torebki perfumy i spryskuje mi nimi szyję i ramiona.

— Już. Teraz jesteś piękny i przyjemnie pachniesz.

Kładzie się koło mnie, gładzi mi pierś, i pełna dobrych myśli pieści mi członka. Po paru minutach jednak zaprzestaje tych bezowocnych manipulacji.

— No, hombre, naprawdę kiepsko z tobą.

Wyciąga z torebki swoje wyposażenie i przyrządza mi rząddek kokainy. W mojej sytuacji nic już nie może mi zaszkodzić. Z trudnością wdycham narkotyk i głowa opada mi na poduszkę. Koka pakuje wszystko z powrotem i zakasuje spódnicę. Jak zwykle przygotowana, nie nosi pod nią niczego, nie licząc podwiązek. Czuję się, jakbym miał eksplodować. Nagłe działanie speedu w moim pozbawionym energii ciele daje mi potężnego kopa. Koka zauważa zmianę w moim stanie i ponownie kładzie się koło mnie. Nadal podkasana, nieprzyzwoita, sama się pieści, zbliżając twarz do mojej.

— Nie umrzesz przecież bez załatwienia mnie ostatni raz, Charlie, ty świnió, przerznij mnie, nim zdechniesz, ty skurwysynu.

Staje się cud. Ona wyczuwa to i uśmiecha się. Udało się jej. Odwraca się i, kierując twarz do lustra naprzeciwko łóżka, ofiarowuje mi swoją dupę.

Wysiłek przytłacza mnie, ale natężam się, żeby wykrzesać z siebie konieczną energię. Ostatni raz mam możliwość zadowolenia kobiety. Nie mogę zawieść, nie mam prawa.

Nagle w lustrze pojawia się głowa Jacky'ego, a za nim rozpoznaję lekarza. Koka krzyczy do nich, żeby wynosili się do diabła.

Później, trzęsąc się na całym ciele, całkowicie wypluty, wysłuchuję lekarza i jego asystenta, którzy opowiadają mi swoje zwykłe historyjki, i patrzę, jak Koka nakłada swoją futrzaną czapeczkę. Puszcza do mnie oko. I w tym momencie czuję, nie wiem już, gdzieś w moim ciele czy w mojej głowie, że właśnie mnie uratowała.

Nie, nie umrę.

Dziękuję, Koka, przywróciłaś mi jedyną siłę, która jest w stanie, walczyć z chorobą. Chęć życia.

* * *

Dziewczyny, czym bez was byłyby przyjemności życia? Jesteście niezastąpione. Uwielbiam was, wszystkie, wasze ładne ciała, wasze piersi, wasze usta, i pułapki, które na nas zastawiacie.

Ale jak to robicie, żeby być takie pociągające?

Pieniądze? Sława? Bez was to wszystko nieprzydatne. Zgadzam się walczyć i cierpieć, ryzykować wszystko, o ile na końcu drogi znajduje się któraś z was, bo przy niej można zapomnieć.

Tak bardzo was potrzebujemy. Jesteście łagodne, jesteście piękne, jesteście cudowne. A poza tym, dziewczyny, wasze ładne dupcie są takie przyjemne.

* * *

Koka zostaje ze mną dwa dni, i nie szczędzi wysiłków, by przywrócić mi smak życia. Doszedłszy całkowicie do siebie, łagodnie sugeruję jej, by wróciła do Paryża, zanim jej intensywna opieka nie doprowadzi do skutków odwrotnych do zamierzonych i nie przerwie procesu zdrowienia.

O ile dobre samopoczucie powróciło, nie oznacza to, że choroba zniknęła. Gorączka przykuwa mnie do łóżka przez wiele godzin dziennie. W nocy nagłe kłucie w nerkach wyrywa mnie ze snu i łamie na pół. Spędzam długie trudne godziny w ciemnościach zmagając się z bólem.

* * *

Po raz pierwszy od dawna przyjrzałem się sobie w lustrze i mogłem ocenić rozmiary szkód. Niesamowicie schudłem. Choroba zabrała dwadzieścia kilo, moje policzki są zapadnięte i blade. Choć jestem przekonany, że maszyna życia pracuje ponownie, patrzę na siebie z niepokojem; moja cera jest prawie biała, niezdrowa, a oczy błyszczą od gorączki. Moje ciało jeszcze choruje.

Słońce. Ciepło. Oto czego mi trzeba, żeby całkowicie powrócić do zdrowia. Trzeba zebrać dość sił, żeby stąd wyjść, uruchomić konwój, pojechać z nim i wyzdrowieć pod gorącym afrykańskim słońcem.

Niestety, nie jest to takie proste.

Żeby nabrać trochę energii, wystarczająco dużo do wyjścia ze szpitala, musiałbym jeść, tymczasem mój żołądek odmawia przyjęcia jakiegokolwiek pożywienia. Serce podchodzi mi do gardła, kiedy przeżuвам jedzenie, które zamawiam, i nigdy nie udaje mi się nic połknąć.

Jacky codziennie mówi o owocach i o kuracji na naturalnych witaminach. Któregoś ranka przychodzi z kilkoma torebkami egzotycznych owoców. Z tym idzie lepiej, ale mimo to nie dają rady przełknąć więcej niż jeden na raz. W pierwszym momencie zapach i smak owocu są przyjemne, ale szybko stają

się niezdolność. Odżywiam się po prostu kilkoma szklankami wody. Płyn toruje sobie drogę bez większych trudności.

* * *

Pomimo to, czerpiąc z moich ostatnich rezerw, mój organizm powoli poprawia swój stan. Zmuszam się teraz do spacerowania wzdłuż korytarza, przechodzącego koło mojego pokoju, a nawet robię parę pompek pod zdziwionym okiem mojej pielęgniarki.

Któregoś ranka, kiedy przemierzyłem właśnie cały korytarz, przyjaźnie i głośno pozdrawiając sąsiadów, drzwi windy otwierają się i wychodzi Jacky z ogromnym tekturowym pudłem w objęciach. Za nim pojawiają się kolejno, ciepło ubrani i obładowani skrzynkami owoców, One i Two, moje dwa czarnuchy, Albana, i na końcu pochodu, jak zawsze z walizką, uśmiechnięty i spięty Chotard.

Cała ta procesja przechodzi przede mną i zamienia mój pokój w targowisko warzyw i owoców. Jacky, jak zwykle popadając w przesadę, nakupił owoców na kilogramy. Pomarańcze, banany, jakieś egzotyczne cuda, marchewki... Jest nawet kapusta i ćwiartka dyni. Mój kumpel rozpakowuje prezent. Jest to ogromny mikser do owoców, który usiłuje złożyć i włączyć, posługując się instrukcją obsługi.

— Patrz, Charlie, to specjalne urządzenie do robienia soków owocowych. Jest to rozwiązanie problemu.

Oba czarnuchy i Albana przylecieli dwa dni wcześniej, na lotnisku czekał na nich Chotard. Jacky kazał im pokupować zimowe ubrania, i mają na sobie po kilka warstw swetrów, płaszczy, spodni i skarpet. Zwłaszcza Albany nie można rozpoznać. Widać tylko jego oczy, reszta twarzy zasłonięta jest wełnianą kominiarką.

One i Two mają wspaniałe ocieplane czapki z nausznikami. Jacky kupił każdemu z nich wielką cyfrę z metalu i przypiął im do czapek odpowiednio 1 i 2. Cieszę się, że ich widzę, to sympatyczni i prości ludzie. Zaraz po przyjeździe zabrali się do roboty przy ciężarówkach, w hangarze, gdzie ich ulokowano. Proszę wszystkich, żeby usiedli i rozebrali się, ale Afrykanie zdychają z zimna w tym klimacie i zaledwie godzą się zdjąć rękawiczki. Upierają się, żeby nie zdejmować swoich ciepłych ubrań, z których są zresztą bardzo dumni.

Wreszcie Jacky'emu udaje się włączyć swoją maszynę, wrzuca owoce do pojemnika i naciska guzik. Urządzenie robi piekielny hałas, który zapewne obudzi całą klinikę. Z dumą podaje mi sok pomarańczowy, który okazuje się wyborny. Następnie robi jeden dla siebie, potem dla Chotarda. Niebawem wokół nas pełno skórek od pomarańczy, a na ścianach pojawiają się plamy. Jacky w pośpiechu nie czeka, aż mikser się wyłączy, i podnosi pokrywę, więc sok tryska na wszystkie strony.

— Masz, One, spróbuj tego.

Ledwo podał szklanke pierwszemu czarnuchowi, już wrzuca następne owoce do pojemnika i włącza mikser.

— Teraz ty, Two. Wypij to. To dobre, to dobre.

Obsługuje wszystkich i wśród deszczu kropel soku i kawałków skórki pomarańczowej zabiera się za drugą kolejkę. Zaśmiewa się przy tym jak dziecko. Robi się tu prawdziwy bazar. Też zaczynam się śmiać, a oba czarnuchy widząc, że się cieszę, także szczerzą zęby.

Jedyną niezadowoloną osobną jest pielęgniarka, która wchodzi właśnie do pokoju.

— Ta maszyna strasznie hałasuje. Przeszkadzacie wszystkim. I patrzcie jak nabrudziliście.

Jacky wyjaśnia jej, że stanowi to część mojego leczenia. Porządna kuracja naturalnymi witaminami. Baba wzrusza ramionami i daje spokój. Jest to stara, zasuszona kobieta, która uważa mnie za wariata, od kiedy pogłaskałem ją po pośladkach dwa dni temu, a widok, który teraz u mnie zastała, utwierdza ją w tym przekonaniu.

Ma ona jednak rację co do jednego: dość już tego dobrego. Daję znak Jacky'emu, żeby wyłączył mikser, i zapada cisza.

— No dobra, chłopaki. Nie możemy już tracić czasu. Kończcie wasze soki. Chotard, bierz taksówkę dla wszystkich. Albaha, One i Two, wracacie do hangaru. Chotard, wrócisz tu po południu, mamy robotę.

* * *

Chotard zabiera Afrykanów i zostajemy sami z Jackym.

— W hangarze wszystko w porządku?

— Z czarnuchami idzie wspaniale! Wczoraj od razu zabrali się do roboty, i pracowali przez cały dzień, pomimo zimna. Natomiast Albana...

— Co?

— Zdrowo gra mi na nerwach. Marudzi, kiedy tylko wyda mu się jakieś polecenie. Siedzi na tej swojej wielkiej dupie przez cały dzień.

— Czego chce?

— Zawracanie głowy. Opowiada, że przyjechał prowadzić ciężarówkę, a nie żeby być mechanikiem. Poza tym ma rasytowskie zagrania z tamtymi dwoma. Praktycznie zabrał im całą forszę, którą dałeś im w Bamako. One i Two nie ośmielają się protestować.

Jacky siedzi na łóżku i rozmawiając robi skręta. Teraz już mogę palić i wydatnie poprawia mi to samopoczucie.

— Jeśli chodzi o wozy, to normalka. Trzy przyczepy są całkowicie przeżarte rdzą. Ale czarnuchy powinny dać sobie radę. Kupiłem lakier. Możemy zacząć lakierowanie za parę dni. Pozostaje sprawa ładunku...

— W porządku, bracie, załatwię sprawę Albany jutro. Przyjadę obejrzeć hangar. Potrzebuję się trochę przewietrzyć.

Przy okazji pogadam z nowymi kierowcami. Żeby uzupełnić zespół, Jacky zatrudnił trzech facetów za pośrednictwem naszych normalnych kanałów werbunku. Przekazując znajomym z ust do ust wiadomości, zawsze udaje się nam znaleźć odpowiednich kandydatów do tej roboty. Nie zatrudniam zawodowców. Kierowcy TIR-ów, ich przepisy dotyczące godzin pracy, związki zawodowe i inne idiotyzmy zupełnie mi nie odpowiadają. Ja szukam ludzi, których pociąga przygoda, ludzi, którzy mają czas i niewiele do stracenia. Według Jacky'ego trzej kandydaci, których znalazł, są jeszcze gorsi niż zwykle, do tego stopnia, że nic im nie powiedział, pozostawiając decyzję mnie.

* * *

Po południu Chotard zjawia się ponownie, w towarzystwie Wallida. Algierczyka, który na dobre zadomowił się w moich konwojach. Od czasu naszego pierwszego spotkania wyrzucono go z roboty. Był całkowicie pijany i rozbił ciężarówkę swego szefa w środku Gao, powodując wiele szkód. Od tej pory pracuje dla mnie.

Zwykle czeka na mnie w Bechar, ale tym razem pojechał aż do Europy, podrabiając kartę stałego pobytu. Odwiedza mnie ubrany po europejsku, w szerokich spodniach i w butach o wysokim obcasie i szpiczastych czubkach; na twarzy maluje się zmęczenie licznymi zabawami, w których brał udział od

czasu wylądowania w Marsylii. Po drodze zatrzymywał się u wszystkich swoich kuzynów.

Potwierdzam mu, że wkrótce wyjeżdżamy, i proszę, żeby od razu pojechał do hangaru i zabrał się do pracy. Jest przyzwyczajony do mojego tempa. Chotard daje mu trochę pieniędzy i Wallid nie zwlekając rusza.

Następnie z Chotardem zabieram się do najmniej ciekawej części tych wszystkich przygotowań: przestudiowania zamówień, jakie zebraliśmy podczas ostatniej podróży.

Jest tu wszystko, od kompletnego silnika po parę butów na słoninie. Jeśli chodzi o większe rzeczy, Chotard lata po sklepach i złomowiskach. Co do drobnych zamówień i ubrań, Chotard starannie je notuje, ale nigdy ich nie realizujemy. Mówimy, że zabrakło.

Natomiast zawsze przewiduję zapas prezentów, żeby podtrzymać dobre stosunki. Tranzystorowe radia, możliwie największe, bo takie lubią, oraz kalkulatorki, które wywróciły do góry nogami etnologię Afryki. Tubylcy przeszli bezpośrednio od kamyków do elektroniki.

Dalej rzeczy, które w moich oczach są nie mniej ważne. Zapasy lekarstw i skondensowanego mleka dla dzieci. Chotard skrzyniami kupuje witaminy, aspirynę i inne lekarstwa, które rozdzielam podczas przejazdu. Osobiście dopilnowuję, żeby wszystko było w ogromnych ilościach.

Przed wyjściem Jacky zapowiada mi na wieczór wizytę Samuela Grapowitza, swego kumpla, który koniecznie chce się ze mną spotkać.

* * *

Kiedy wyszli, biorę prysznic i kładę się, bo ogarnęło mnie zmęczenie. Pani pielęgniarka przychodzi mnie przykryć. W ostatniej chwili odskakuje, unikając pieszczoty, jaką jej przeznaczyłem, i warczy na mnie:

— Proszę pana, dosyć już tego!

Marszczy brwi, ale drgające w powstrzymanym uśmiechu wargi zdradzają, że wkrótce będzie moja.. Zasypiam szczęśliwy.

Budzę się wczesnym wieczorem. Po bezskutecznych usiłowaniach, by włączyć mikser do owoców, ciskam nim o podłogę.

Na korytarzu słyszę śmiech. To nadchodzi Samuel Grapowitz. Śmiech cichnie. Samuel Grapowitz wsuwa głowę przez drzwi, patrzy na mnie chwilę i wybuch śmiechem. Wchodzi, robi rundkę dookoła pokoju, patrzy na leżący na podłodze mikser, i ponownie jego wesołość powoduje drżenie ścian.

Samuel Grapowitz, Żyd i oszust.

* * *

Ten facet to prawdziwy wariat, tak naprawdę to najbardziej zwariowany i najsympatyczniejszy maniak seksualny, jakiego kiedykolwiek spotkałem. Jego członek jest dla wszystkich. Nie można spędzić w jego towarzystwie godziny, żeby o nim nie wspomniał.

Jego ulubiony żart to podejść na przyjęciu do jakiejś panienki, wyjąć członka i zapytać:

— Przepraszam... widziała pani mojego?

Od wielu lat to robi, i nigdy nie dostał po buzi. To arystokrata!

Poza tym jest doskonałym kumplem i niewiarygodnym showmanem. Bez przerwy trwa przedstawienie, najpierw w jego głowie, później dla otoczenia. Nie przestaje nigdy. Miny, przemówienia, najróżniejsze wygłupy, wraz z nim do pokoju wchodzi prawdziwe tornado. Uprawia swój zawód w sposób genialny. Polega to na wymyślaniu niezawodnych scenariuszy. Wyciąga forszę w merostwach, tworząc fikcyjne kampanie reklamowe. Jest doskonały w tej roli światowego oszusta, eleganckiego i o nienagannych manierach. Kocha luksus i ma wiele zalet.

W ślad za nim wchodzi Jacky, z uśmiechem na ustach i z załzawionymi oczami. Najwidoczniej Samuel Grapowitz zdążył już opowiedzieć mu parę kawałów w windzie. Siada i zaczyna przygotowywać skręty. Samuel Grapowitz przygląda mu się, uderza się w czoło i wybucha śmiechem.

— No i jak, Samuelu Grapowitz, wszystko dobrze?

Nagle cała jego twarz zmienia wyraz. W kilka sekund przybiera tragiczny wygląd.

— Nie.

Krzyczy.

— Nie, zupełnie niedobrze!

Umysł zaprzęta mu pierwszoplanowe zagadnienie, sprawa wibracyjnych aparatów do masażu. Według niego aparaty te są na najlepszej drodze do zastąpienia mężczyzny. To prawdziwy dramat. Jacky i ja, ślaniając się ze śmiechu, staramy się go pocieszyć.

— No, jesteś już dużym chłopcem, najwyższy czas, żebyś się dowiedział.

I wyjaśniamy mu, że od zarania dziejów panie chętnie wykorzystywały dla przyjemności najróżniejsze narzędzia i warzywa.

— W naszym technologicznym wieku jest normalne, że banan zostaje zastąpiony czymś nowocześniejszym.

— I wydajniejszym.

Patrzy na nas, potrząsając głową w rozpacz.

— Wybaczcie, że wam to powiem, panowie, ale jesteście chamy. Banan to rzecz normalna, jest... jest naturalny. Jest e-k-o-l-o-g-i-c-z-n-y. Ja mam już dość, wyjeżdżam. Poszukam sobie miejsca, gdzie nadal kocha się w sposób naturalny. To postanowione. Wyjeżdżam.

— I dokąd tak wyjeżdżasz?

— Do Afryki, Charlie. Musisz zabrać mnie do Afryki.

— Ależ to niemożliwe. To zbyt ciężkie.

Myślę, że jego prośba stanowi część przedstawienia, ale wygląda na rozczarowanego moją odmową, i nalega.

— Mówię poważnie, Charlie, naprawdę. Nie miałbyś miejsca dla mnie w swoim konwoju?

Za jego plecami Jacky daje mi znaki, że rzecz jest rzeczywiście poważna. Przyglądam się temu wysokiemu, szczupłemu facetowi, elegancko ubranemu, ostrzyżonemu według najnowszej mody. O ile jest doskonały do salonów, luksusu i na przyjęcia; trudno mi go sobie wyobrazić w roli pustynnego awanturnika. Wyjaśniam mu to.

— To coś zupełnie innego niż wszystko, co znasz. To ciężkie, nawet niebezpieczne. To wymaga fizycznego wysiłku. Myślisz, że dasz radę?

— Tak. Nie wyglądam na silnego, ale jestem wytrzymały. Uprawiałem sporty.

Waham się. Zauważa to i dodaje:

— Nie mam tu już nic do roboty. To koniec. Muszę wyjechać pokazać małego pod innym niebem.

Taka argumentacja przekonuje mnie.

— OK. Jedziesz z nami jako kierowca. Umiesz prowadzić ciężarówkę?

— Nie.

— Nieważne. Prawo jazdy?

— Na osobowe.

— Zrób sobie zdjęcia. Załatwimy ci to.

Samuel Grapowitz jest szczęśliwy i rozbawiony przez resztę wieczoru. Jego wybuchy śmiechu na całe gardło, całkowicie nie kontrolowane, którym wtórują nasze, zwracają w końcu uwagę pielęgniarza z nocnego dyżuru. Wchodzi wściekły i zatrzymuje się na progu, bo oczy go pieką od gęstego dymu, w którym tonie pokój.

— Co to ma znaczyć? Tu jest szpital.

Samuel zrywa się na równe nogi, całkowicie otumaniony trawką i pełen radości życia.

— Proszę pana. Świetnie, że pan jest.

Stary piernik o minie dozorczy traci mowę ze zdziwienia.

Jest pan medycznym specjalistą, więc poproszę pana o radę w kwestii seksualnej, która poważnie mnie niepokoi, proszę pana, bardzo poważnie.

Ale pielęgniarz nie chce nic słyszeć na temat problemów z libidem Samuela Grapowitza. Zaniepokojony wycofuje się za próg i mówi do mnie ponad ramieniem Samuela:

— Proszę natychmiast to skończyć, przeszkadzacie chorym spać.

— W porządku, grubasie, wychodzimy. Samuelu Grapowitz, daj mu spokój.

* * *

Następnego dnia po przebudzeniu podejmuję decyzję. Jestem na dobrej drodze do wyzdrowienia. Teraz potrzebuję słońca i działania. Ze szpitalem koniec. Oznajmiam to Jacky'emu, który przyjeżdża, żeby zabrać mnie na spotkanie z kandydatami na kierowców. Zgadza się ze mną i tym sposobem opuszczam klinikę. W charakterze zapłaty zostawiam im mój jedwabny szlafrok. Chyba się im to opłaca, bo w zamian dostałem tylko pół tabletki nivaquiny dziennie.

Jedyne, czego żałuję, to to, że nie miałem czasu zająć się moją starą pielęgniarką, która dziś rano uległa mi ostatecznie i nie próbowała już uniknąć mojej pieczyoty. Biedaczka, czuję się winien, bo rozbudziłem w niej na nowo zapomniane marzenia.

* * *

Nasza siedziba wygląda bardzo poważnie. Biuro dyrektora, metalowe szafy na segregatory, telefon. Jest nawet supernowoczesny teleks. Służy on wyłącznie celom estetycznym, bo nie jest nigdzie podłączony. Zawsze

przywiązywałem wagę do aspektów wizualnych. Z nogami na biurku, jak rasowy dyrektor naczelny, oczekuję na kandydatów na kierowców, otoczony najbliższymi współpracownikami.

Wchodzą wszyscy trzej gęsiego i ustawiają się przede mną, najwyraźniej pod wrażeniem. Z kamiennymi twarzami przyglądamy się im w milczeniu, po czym Jacky zwraca się do mnie i przedstawia mi ich:

— Jos, Capone, Indianin.

Rzuca mi porozumiewawcze Spojrzenie.

— Ostrzegałem cię.

Faceci, których zatrudniamy do pracy przy konwojach, nigdy nie należą do śmietanki towarzyskiej. Tego rodzaju robota nie przyciąga świętoszków. Ale ci trzej są naprawdę wyjątkowi.

Jos wygląda jeszcze jako tako. Wysoki, prawie łysy, ubrany w sposób pozornie wyszukany. Najwyraźniej lubi styl angielski, pulower i tweed. Natomiast Indianin robi najgorsze wrażenie z całej trójki. Jako jedyny nie wystroił się na tę okazję, nie licząc szerokiego turkusowego krawata, źle zawiązanego pod kołnierzykiem czarnej koszuli. Wymyślenie jego przydomka nie musiało być trudne. To Cygan o długich, czarnych i tłustych włosach. W rękę trzyma czarny kapelusz o opadającym rondzie, który też nie wygląda najczyściej. Indianin ma naprawdę paskudną mordę.

Najbardziej niepewnie czuje się najwyraźniej mały, krępy, ubrany w stary niedzielny garnitur Capone, do którego od razu czuję sympatię. Zaklasyfikowałem go natychmiast: silny, naiwny, o dobrym sercu. Nie może się powstrzymać, żeby nie przestępować z nogi na nogę, chowając jednocześnie głowę w ramionach.

— Dobra.

Wszyscy trzej wyprostowują się.

— Jacky wszystko wam wyjaśnił. Jesteście ochotnikami. Opowiedzcie mi teraz, co robiliście przedtem.

Jos otwiera usta. Przerywam mu natychmiast.

— Będziemy razem pracować i żyć przez dwa miesiące, jak nie dłużej. Więc chcę usłyszeć prawdziwą historię, a nie tę, którą sobie przygotowaliście.

Znam takich facetów, to drobni piraci, tak naprawdę nie są źli. Niczego innego nie pragną jak tylko znaleźć się pod opieką kogoś, kto pozwoli im się rozwinąć.

Jos to żigolak. Od wielu lat żyje na koszt starszych pań, trochę już zużytych, spragnionych czułości wdów o wypchanych portfelach. Ma już dobrze po czterdziestce, jego urok osobisty zaczyna przemijać, a na myśl o starej, która zafundowała sobie jego usługi przez ostatnie dwa lata, robi mu się niedobrze. Robota u mnie dałaby mu okazję do ucieczki.

Indianin, mały i fałszywy, jest paserem. Przez jakiś czas był kierowcą wozu dostawczego, ale zabrano mu prawo jazdy, kiedy upił się w trupa i zabił na ulicy dwie osoby.

Capone, mały chuligan, który nigdy nie dorósł, również ma już po czterdziestce. Jego kariera to włamania, drobne skoki i seria krótkich wyroków, trzy miesiące, pół roku...

Cała trójka zna się z bistra, w którym popijają całymi dniami. Obrzękłe policzki, zapadnięte wilgotne oczy, nie trzeba być wielkim lekarzem, żeby postawić diagnozę: alkohol, i to w dużych ilościach.

Jos ma ochotę popracować. Nie będzie z nim żadnych problemów. Wygląda szmatławie, ale ma zalety. Capone nie potrzebuje niczego prócz szefa i zawsze marzył o przygodzie, jaką mu teraz proponujemy, bo w gruncie rzeczy to wielkie dziecko. Z nim również nie będzie problemu.

Co do Indianina to jeszcze nie wiem. Nie jest sympatyczny i ma mordę skurwysyna. Jest wredny, może być nielojalny, ale jestem pewien, że nie jest to tchórz. Jeśli się go dobrze poprowadzi, i jak będzie wśród kolegów, może wszystko pójdzie jak trzeba.

— W porządku, jesteście przyjęci.

Wszyscy trzej uśmiechają się z ulgą, szczęśliwi. Nie zostawiam im czasu na czułości.

— Zostawcie nam nazwiska, zdjęcia, jeśli macie przy sobie, i numer telefonu. A teraz trzeba to oblać. Chotard, wyciągnij butelkę szampana.

Lodówka to w tym pokoju jedyne działające urządzenie. Wystarczy zobaczyć jak ciągną nasi trzej nowi, żeby ocenić ich pociąg do alkoholu.

Capone bierze się na odwagę, podchodzi do biurka i pyta:

— Szefie, mamy przyjść ze sprzętem?

I wskazuje pod pachę, gdzie chętnie założyłby kaburę.

— Za kogo ty nas masz? Jesteśmy handlowcami, a nie gangsterami.

Jacky potwierdza:

— Sprzedajemy używane samochody za granicą.

— Nic innego. Jasne, Capone?

Zrozumiał i siada, rozczarowany.

— No dobra, a teraz do roboty. Idziemy do hangaru. Trzeba przygotować ciężarówkę.

Indianin niemądrze protestuje.

— Ale nie jesteśmy odpowiednio ubrani.

— Chcecie pracować, tak czy nie?

— Tak, tak.

— No to idziemy.

* * *

Landary stoją w wielkim hangarze, oddzielonym od dzielnicy przemysłowej obszernymi nieużytkami. Cała budowla to długi blaszany dach podtrzymywany słupami. Blaszane przepierzenia pełnią funkcję ścian. Z zewnątrz widać tylko kilka stosów opon, które trzeba było zostawić na dworze. Miejsce jest odosobnione. Padający mokry śnieg i szare niebo dopełniają ponurego wyglądu całości.

Wewnątrz zainstalowane jest mocne oświetlenie. Wszędzie pozawieszane są lampy przenośne. One i Two zajęci są spawaniem. Jeden trzyma, drugi puszcza iskry. W jedynym wolnym miejscu ustawiono metalową beczkę, która pełni rolę piecyka. Z wnętrza wynurzają się długie płomienie. Albana wstaje, żeby nas przywitać.

— Nie pracujesz, Albana?

Rozumie groźbę i pogrąża się w tłumaczeniach, których nie słucham.

— Won stąd. Zabieraj swoje rzeczy i won.

Patrzy na mnie nieruchomo, zaskoczony. Chętnie bym mu poobrywał uszy, ale zasłania je kominiarka, poza tym polecali mi go klienci. Jako dobry Afrykanin próbuje dyskutować.

— Ależ szefie, właśnie przez parę chwil odpoczywałem. Muszę nabrać sił, żeby...

— Albana.

— Tak, szefie.

— Podejdź do mnie.

Staje przede mną prawie na baczność.

— Zdejmij kominiarkę.

Waha się. Wszyscy podeszli bliżej i przyglądają się całej scenie w całkowitym milczeniu. Albana zdejmuje czapkę i kiwam, żeby podeszedł jeszcze bliżej.

— Masz teraz uszy na wierzchu?

— Tak szefie.

— Dobrze słyszysz?

— Tak szefie.

— Więc ci wytłumaczę.

Jest całkowicie nieruchomy, patrzy na mnie swoimi wielkimi oczami, w których widać strach, cały zrobił się szary. Trzej nowi stoją na boku i w milczeniu przyglądają się.

— Albana, Jacky powiedział mi, że nic nie robisz. Traktujesz One i Two, którzy są moimi pracownikami, jak gówno, i ukradłeś im pieniądze. To już są trzy błędy. To moje ostatnie ostrzeżenie. Jeszcze jeden błąd i wypieprzam cię, niezależnie od tego, gdzie będziemy. Jasne?

— Tak.

— Zrozumiałeś?

— Tak, szefie.

— Więc teraz rusz dupę i bierz się do roboty.

Rusza. Z kominiarką w garści idzie w kierunku ciężarówek, ze zwieszoną głową.

— Albana.

Na dźwięk mojego głosu przechodzi go dreszcz. Odwraca się.

— Powtórz, że zrozumiałeś..

— Tak, zrozumiałem.

— Więc rusz dupę, skurwielu.

Tym razem porusza się szybciej i znika za ciężarówką. Wkrótce dobiegają stamtąd odgłosy walenia młotkiem, z których wynika, że zostałem dobrze zrozumiany.

Miał szczęście. Kilka lat wcześniej nie ostrzegałem ludzi przed przejściem do rękoczynów. Była to metoda szybsza. Trzej Francuzi obejrzeli całą scenę i zrobiła na nich odpowiednie wrażenie. Wallid, otrząskany z moimi metodami, podchodzi się przywitać, jak gdyby nigdy nic. W tym momencie Jos decyduje się.

— Od czego zaczynamy, szefie?

Punkt dla niego. Wskazuję na stos części, zajmujących połowę hangaru. Wszystko to trzeba załadować na ciężarówki. Ogarnia wzrokiem ogrom roboty i pyta spokojnie:

— W jakiej kolejności?

Dwa punkty.

— W żadnej. Wszystko ładujesz w maksymalnym bałaganie. To sposób na celników. Im większy burdel, tym mniej sprawdzają.

Śmieje się i ciągnie za sobą tamtych dwóch. Rozpoczyna się praca.

* * *

Ciężarówki ustawione są pod ścianą hangaru. Jest to ciąg blach o niejasnych kolorach. Całość uzupełniają rdza i wygięcia.

To stare landary, przestarzałe modele, które już wyjeździły swoje. Nie kosztują mnie drogo i nie interesuję się zbytnio ani ich pochodzeniem, ani stanem ich karoserii. Jedyna istotna rzecz to, żeby silniki wytrzymały aż do Mali. Nawet wysłużony silnik może jeszcze długo popracować, jeśli nie żałuje mu się oleju i wody w chłodnicy.

Nauczyłem się tego w Afryce.

Po drugiej stronie, zajmując sporą powierzchnię w hangarze, leżą nasze towary. Są tu setki opon, ułożonych po pięć lub sześć, do wszystkich możliwych typów samochodów i ciężarówek, w najróżniejszym stanie. Znaleźć tu można zarówno opony nowe jak i łyse, nie zapominając o poszarpanych. Trzy czwarte z nich to używane, bieżnikowane ogumienie, które w Afryce na szlaku nie zdaje egzaminu, ale daje się mimo wszystko sprzedać. Oprócz tego są tu części zapasowe, mnóstwo stosów złomu, który Chotard skupuje na wagę na cmentarzyskach według marek albo modeli samochodów. Wreszcie, nieco z tyłu, ustawiono kilka skrzyń z najróżniejszymi towarami.

Chotard przedstawił mi listę tego wszystkiego, co będziemy przewozić. Na papierze wygląda to niemal równie imponująco jak w rzeczywistości. Wszystko zostało poklasyfikowane, co daje prawdziwy inwentarz na trzydziestu stronach.

Jest tam nawet karabin na słonie, nowiutki Weatherby 458. To prezent dla malijskiego przyjaciela, który chciałby zapolować na motyle.

* * *

Kazałem urządzić coś w rodzaju salonowego kącika na wolnej przestrzeni pod ścianą. Wokół siedzeń samochodowych, znalezionych w naszym składzie, ustawiono kilka blaszanych piecyków. Tutaj też zwołuję swój sztab na przegląd sytuacji.

Jacky i Chotard siadają ze mną. Trzyma się przy nas Samuel Grapowitz. Jest już ciemno. W hangarze tętnią odgłosy działalności, którą uruchomiłem. Samuel Grapowitz otwiera usta, żeby ponownie dać upust swojej fantazji. Przerywam mu.

— Teraz poważnie, chłopaki. Ile czasu potrzeba na przygotowanie wszystkiego?

Chotard odpowiada, że dwanaście dni, żeby wszystko załadować, zakończyć prace nad karosieriami i przeglądy ciężarówek oraz załatwić sprawy papierkowe... Jedną z cech charakteru Chotarda jest wieczny pesymizm. Taki defetyzm w działaniu denerwuje mnie. Jacky ma bardziej pozytywne nastawienie i liczy na dziesięć dni.

— Dobra. Wyjeżdżamy za pięć dni.

Jacky zgadza się. Chotard trochę mniej, ale zaczyna się przyzwyczajać. Natychmiast robimy listę problemów i rozdzielamy zadania. Chotard ma zająć się wyrobieniem praw jazdy dla wszystkich.

— To znaczy, że trzeba zrobić zdjęcia nowo zatrudnionym. Załatw to jeszcze dziś wieczór. Potem poślij ich, żeby pożegnali się z żoną, pieskiem itd. Jutro wszyscy tutaj o siódmej.

Na następne dni musi nam jeszcze znaleźć dwóch dodatkowych kierowców, zawodowców, jeśli nie znajdzie nikogo innego, w miarę możliwości nie całkowitych matołów. Musimy się maksymalnie sprężyć, żeby szybko wystartować, i nie chcę tkwić tutaj z powodu braku pracowników. I wreszcie do Chotarda należy zaopatrzenie. Potrzebujemy dwóch posiłków dziennie w hangarze, jedzenie musi być obfite i pożywne. Chcę, żeby ludzie dobrze jadali. Chotard rezerwuje dla nas pokoje w tym samym motelu co zawsze, przy szosie dwa kilometry stąd. Pracownicy będą spać na miejscu. Następnie idę rzucić okiem na załadunek w towarzystwie Jacky'ego.

— Ty, bracie, musisz przede wszystkim zająć się nauką jazdy.

— Nie ma sprawy.

— Bądź ostrożny, nie mamy czasu.

— Zgoda.

— Najpierw weź Europejczyków. Ja zajmę się osobiście One i Two, bo inaczej się wystraszą. Dobra, co innego? Jacky i Chotard potrząsają głowami.

— No to jazda.

* * *

Przygotowanie wszystkiego w pięć dni stanowiło nie lada wyzwanie. Taka przesada to najlepszy sposób, żeby ruszyć szybko z miejsca.

Już nazajutrz Chotard przyprowadził mi dwóch młodych facetów. To zawodowi kierowcy TIR-ów. Ratuje ich to, że przejechali sporo po różnych dziwnych szlakach, do Iranu, Syrii i innych górien. Są to dwaj bracia, o jednakowym wyglądzie. Wysocy, szczupli, z długimi włosami, w dżinsach i tenisówkach. Przedstawili się jako Jean-Paul i Olivier, i od razu przystąpili do roboty. Nie są sympatyczni, ale nie mam wyboru.

Ludzie urządzili się w hangarze, rozłożyli tam śpiwory i koce. Robota zaczyna się bardzo wcześnie rano i ciągnie do późna w noc.

Mianowałem Josa brygadzystą, trochę, pomaga mu Wallid. On porozdzielał też zadania. Przez cały dzień jego okrzyki poganiają pracujących, i całość szybko posuwa się do przodu. Europejczycy pracują przy załadunku. Nieustannie krążą tam i z powrotem tragarze, i powoli towary układają się w stosy na przyczepach. Od czasu do czasu ogłaszamy mobilizację generalną, kiedy trzeba przenieść wyjątkowo ciężki element. Szczególne trudności związane są z przenoszeniem silników do ciężarówek. Jest ich pięć. Są to ogromne metaiowe kloce, z których zwisają rury i kawałki żelastwa. Są jednocześnie bardzo ciężkie i niewygodne w obsłudze. Jos ściągnął parę desek, żeby zrobić pochylnię, i cały zespół natężył się, ciągnąc i pchając wśród wrzasków, aż silniki kolejno lądują na przyczepach.

Obie spawarki pracują bez przerwy. Zajmują się nimi głównie One, Two i Wallid, i pracując przy blacharce robią szybkie postępy.

Na zewnątrz, na polu, Jacky zabrał się za lekcje prowadzenia ciężarówek dla tych, którzy nigdy tego nie robili. Stosuje metodę, którą narzuciliśmy sobie sami wobec siebie. Sadza facetów za kółkiem i każe im jechać. To nic trudnego. Żeby doprowadzić trzydzieści ton na miejsce przeznaczenia, wystarczy posadzić idiotę za kierownicą i wskazać mu kierunek. Na początku wszyscy są trochę spięci, ale szybko zdają sobie sprawę, że siedzą za sterami ciężarówki, że jadą i że ani nie umarli, ani nie wylądowali w rowie.

Zrozumieli. Jacky wybrał jako sprzęt szkoleniowy dziesięciotonowego mana. Początkowo silnik trochę cierpi. Biegi zgrzytają. Jedyna trudność przy prowadzeniu to podwójne wysprzęglanie. W dużej ciężarówce nie zmienia się biegów tak, jak w samochodzie. Trzeba wrzucić luz, przygazować, żeby zwiększyć obroty, i ponownie wcisnąć sprzęgło, żeby wrzucić bieg. Dopóki ta prosta operacja nie zostanie przyswojona, każdy denerwuje się nad dźwignią zmiany biegów. Z Jackym i ze mną było tak samo. Z chwilą kiedy się to zrozumie, wóz sam jedzie. Siedząc w moim fotelu nadzoruję postępy według odgłosów pracy silnika. Jestem zadowolony. Koncert zgrzytów, rozlegający się pierwszego dnia, powtarza się coraz rzadziej.

Daleki jestem jeszcze od wyzdrowienia, moje ciało zostało poważnie osłabione chorobą i mam jeszcze wiele kilogramów do odzyskania. Moje mięśnie stopniały i ubrania na mnie wiszą. Jacky urządził mi prawdziwy bufet, z którego czerpię na bieżąco: wędliny, kilogramy świeżego mięsa, owoce. Zdobył też dla mnie trawkę i palę, żeby nabrać apetytu.

Lepiej teraz trawię, ale często jeszcze zdarzają się ataki gorączki, które zwalają mnie z nóg na kilka godzin. Kozuch i piecyki chronią mnie od zimna, a Jacky często wpada, żeby się powygłupiać przez kilka minut. Między jedną drzemką a drugą przyglądam się mojemu zespołowi przy pracy. Machinalnie bawię się karabinem, który przyniósł mi Chotard. Rozebrałem go, nasmarowałem, i zamontowałem na nim lunetę Zeissa. Chętnie bym sobie postrzelał do opon, ale jestem jeszcze na tyle osłabiony, że nie wiem, czy wytrzymam odrzut tak wielkiego kalibru. Poza tym nie chcę wystraszyć pracowników.

Są zadowoleni, że są tutaj. Ci faceci to szumowiny. Zgodnie z normalnymi regułami społecznymi, to znaczy według kryteriów, których nie uznaję, są skazani. Wszyscy trzej mają zalety. Jak większość facetów usuniętych na margines w krajach zwanych cywilizowanymi, po prostu chcieli żyć inaczej, przeżyć przygodę i źle się to dla nich skończyło. Więzienia są pełne takich marzycieli. Przestępcy to nic innego jak dzieciaki, które nie chciały dorosnąć.

Zwłaszcza Capone to jeden z nich, szybko się zaprzyjaźnia i jest zdolny być wiernym. Jest miły.

Już wiele razy, kiedy budziłem się w przypiływie gorączki, stał przede mną z dymiącym dzbankiem w ręku.

— Kawkę, Charlie?

To nie jest podlizywanie się, które szybko rozpoznaję. Sprawia mu to przyjemność i korzysta z tych chwil, żeby na parę minut usiąść i trochę pogadać. Podoba mi się sposób, w jaki stara się ze mną rozmawiać, poza tym bawi mnie ten krępy facet o potężnych mięśniach, stary już trochę, o siwiejących włosach, ale o zachowaniu młodego chuligana.

Któregoś dnia po jedzeniu usiadł koło mnie zezując w kierunku mojego skręta.

— To nie jest zwykła fajka. Ćpasz?

— To nie narkotyk, to trawka.

— To nie to samo?

— Nie.

Kiwa głową. To u niego zwykły odruch. Potrząsa swoją wielką mordą, z ustami złożonymi w kuper, jak bandyta w starym filmie. Rozmawiamy spokojnie. Opowiada mi o swoich kumplach. Znają się we trójkę od lat i spotykają się w tym samym bistrze. Sami sobie nadali przydomki, jak dzieci.

— Najpierw był Indianin. Chciał, żeby go nazywać Indianin. A ja to dlatego, że chciałem być Al Capone.

Waha się, trochę zawstydzony swoją szczerością.

— No, po prostu chciałbym nim być. A Jos ma na imię Joseph, więc stąd Jos.

Patrzy jeszcze raz na mojego skręta i pyta nieśmiało, czy może spróbować, no, żeby zobaczyć jak to jest. Podaję mu i pociąga długie sztachnięcia, trzyma skręta między kciukiem a palcem wskazującym, po knajacku, i kiwając głową.

— Niezłe.

Rzeczywiście! Próbując swojego pierwszego w życiu skręta trafił na zairską trawkę, którą kupił gdzieś Jacky, jest to jedna z najmocniejszych w Afryce. Oddaje mi skręta i nadal kiwa głową w milczeniu.

Nagle przestaje, patrzy na mnie, na hangar dookoła, na chłopaków, mrużąc coś niezrozumiale, i wyraz twarzy mu się zmienia. Śmieje się, z błyszczącymi oczami, i od razu ma dwadzieścia lat mniej.

— O kurczę, coś takiego, coś takiego!

To zdrowa reakcja, reakcja ludzi o mocnym charakterze. Ten facet wydaje mi się coraz bardziej sympatyczny. Od razu myśli o kumplach:

— Ej, Indianin, Indianin, chodź tu, zobaczysz coś. Tamci dwaj nadbiegają, i dają znak Jacky'emu, żeby zrobił nowego skręta. Piętnaście minut później wszyscy trzej są na haju, siedzą obok mnie i zaśmiewają się. To pierwsza chwila odprężenia, i pozwalam na przedłużenie się przerwy.

Zadają nam pytania, Jacky'emu i mnie, na temat Afryki, miejsc, do których jedziemy, i na temat pustyni. Nie mają o tym pojęcia. Wyjechali nie wiedząc, dokąd jadą. Jeszcze jeden punkt dla nich.

* * *

Albana zabrał się wreszcie do pracy. Moje ostrzeżenie i moja ciągła obecność spowodowały, że znalazł właściwą drogę.

Nie odstępuje teraz Europejczyków i stara się pracować z nimi przy załadunku raczej niż przy blacharce z innymi Afrykanami.

Wallid pracuje swoim stałym rytmem, powoli, ale bez przerw. Z całego zespołu on najlepiej zna się na ciężarówkach. Zajmuje się blacharką, przeglądami, sprawdzaniem kół i wszystkimi małymi śrubkami, które trzeba dokręcić. Na ogół pracuje sam, a od wczorajszej sprzeczki jest obrażony.

Tego ranka wszyscy zostali wezwani do załadunku i zamocowania jednego z peugeotów 504.

Praca przebiegała wśród zwykłych wrzasków i metalicznych uderzeń, kiedy nagle nastąpiła zmiana. Okrzyki przeradzają się w wyzwiska.

Pokonując swoje osłabienie natychmiast przybiegam na miejsce wypadków. Wallid, z lewarkiem w ręku, stoi w postawie obronnej. Przed nim, przestępując z nogi na nogę, Indianin z wściekłą miną trzyma nóż skierowany w stronę jego brzucha. To nie żarty, załatwi go.

— Nie wygłupiaj się.

Nie zdążyłem interweniować, bo rzucił się między nich Capone, rozkładając ręce.

— Mówię ci, przestań.

Jos, który przybiegł z głębi hangaru po pierwszych krzykach, z biegu rzuca się na Indianina i opasuje go rękami, wytrącając mu nóż z dłoni. Dwie sekundy ciszy, po czym uspokojony już Indianin uwalnia się od uścisku Josa skinieniem głowy, podnosi broń i bez słowa powraca do roboty.

To niebezpieczny facet, i umie trzymać kosę. Wallid, który nie jest przecieź mięczakiem, dostrzegł to i najadł się strachu.

* * *

Pomimo obfitego jedzenia nieustanna praca, zimno, niewygody i brak urządzeń sanitarnych wzmagają napięcie, toteż nerwy łatwo puszczają.

Jean–Paul i Olivier, dwaj zawodowcy, nie przysparzają problemów. Robią swoje i nie oszczędzają się. Praktycznie nie rozmawiają z pozostałymi, choć nie wydaje mi się, by były między nimi jakieś nieporozumienia. Po prostu postanowili trzymać się z boku. Jak długo będą mieli odpowiednie nastawienie do, roboty i nie będą stwarzać problemów, nie mam nic przeciwko nim.

Jedynym, który niewiele robi, jest Samuel Grapowitz. Każdemu wskazałem ciężarówkę, którą będzie prowadził, i przez cały dzień Samuel Grapowitz zajęty był upiększaniem swojej kabiny, do której następnie zaprasza mnie, żebym podziwiał owoc jego pracy.

— Charlie, chodź zobaczyć, co potrafi człowiek o wyrafinowanym smaku.

Otwiera drzwiczki i pompatycznym tonem oznajmia:

— Świat piękna i przyjemności, męska siła łączy się z kobiecym wdziękiem.

Wewnątrz prawdziwy zalew dup i piersi. Każde wolne miejsce oklejone jest zdjęciami gołych dziewczyn. Znaleźć tam można blondynki, brunetki, rude, wszystko, co się chce. Przesuwając wzrok dookoła przedniej szyby ma się przegląd wszystkich możliwych pozycji we dwoje. Pod lusterkiem wstecznym zawieszona jest zdjęcie Jego Wysokości z członkiem w rękę.

— Dzięki temu przez całą drogę będę pamiętał o moich obowiązkach ambasadora francuskiego czaru i romantyzmu — mówi, ocierając łzę.

Samuel Grapowitz to człowiek bardzo sentymentalny.

Nie pozostaje mi nic innego, jak pogratulować mu niewątpliwego dobrego smaku, i wracam na swój fotel, słaniając się ze śmiechu.

Załatwił sobie spanie razem z nami w hotelu. W chwilach wolnych od przyozdabiania swojej kabiny przychodzi do mnie pomajaczyć trochę na temat Afryki i Murzynek, których zamierza załatwić całe wioski. Już na samą myśl dostaje dreszczy i wygłasza na ten temat długie tyrady, podczas gdy inni pracują. Nie przeszkadza mi to. Właśnie dlatego, że to autentyczny wariat, zgodziłem się go przyjąć. Lubię wariatów.

Zresztą nauczył się prowadzić po jednej lekcji, a nawet zdarza mu się trochę pomagać przy robocie, jeżeli nie jest ona zbyt brudna. Chce tylko uniknąć zaplamienia jeszcze przed wyjazdem swojego eleganckiego ocieplanego lotniczego kombinezonu, do którego nosi zawsze apaszkę zawiązaną na szyi. W końcu posłałem go do miasta z ważnym zadaniem. Muszę kupić prezenty ślubne mojej małej Radijah, i poprosiłem go, żeby zrobił dla mnie zakupy. Pomysł niezbyt mu się podobał, dopóki nie dodałem:

— To dla kobiety.

Wyprostował się, spojrzął na mnie kątem oka i odpowiedział z łakomym wyrazem twarzy:

— Charlie, jestem twoim człowiekiem. Czego potrzebujesz?

— Perfum.

— Hmm... brunetka, blondynka?

— Brunetka.

— Ach, brunetki! Pikantne i energiczne.

Przerywam mu i od razu wyjaśniam, że niezupełnie o taką brunetkę chodzi, po czym proszę, żeby kupił parę rodzajów perfum. Ma ich kupić sporo, żeby mieć pewność, że dobrze wybierze. Poza tym, bielizna osobista.

— Aaaaa...

— Rozmiar B.

— To ona jest malutka.

— Tak. Wybierz rzeczy białe, bardzo proste.

— Och, Charlie, ty się naprawdę znasz! Nie ma to jak czystość' i prostota. Cóż może być cudowniejszego niż białe podwiązki...

— Nie.. Ograniczysz się do wzorów klasycznych, jasne? Kupisz tylko to, co niezbędne, w dużych ilościach. Na przykład małe figi z białej bawełny. Potem zajmiesz się biżuterią.

Zamawiam zestaw małych bransoletek i innych ozdób. Chce wybrać się do sex-shopu, żeby kupić parę gadżetów, więc znów muszę go ostudzić. Ma poza tym iść do księgarni i kupić tam wszelkie książki o podróżach, jakie znajdzie, w rodzaju encyklopedycznym, z dużymi zdjęciami, a także materiały szkolne, kolorowe kartki papieru, ołówki i długopisy.

— Ale... chodzi o tę samą kobietę?

— Tak. Poprosisz Chotarda, żeby poszedł z tobą, i pośpiesz się. W ciągu jednego dnia doskonale wywiązuje się ze swego zadania. Jeszcze jeden problem z głowy.

* * *

Któregoś dnia po obiedzie proszę One i Two, żeby zostali ze mną. Dobrze pracowali. Blacharka jest już w dobrym stanie, brakuje tylko jeszcze zewnętrznej warstwy lakieru, by ciężarówki wyglądały jak nowe. Obaj mają oczy zaczerwienione od przepalenia, ciągnęli skręta za skrętem, żeby uchronić się od zimna, które dokucza im, odkąd wysiedli z samolotu.

Obiecuję im, że niedługo już będziemy w pełnym słońcu. Zawieziemy ciężarówki do Afryki, do nich. Są zadowoleni.

Idziemy do szkoleniowej ciężarówki i każę im wsiąść do kabiny. Od razu na ich twarzach pojawia się niepokój.

Spokojnie. Odprężam ich rozmową.

— Widzieliście tu, na dole?

Pochylają się nad miejscem, które im wskazuję, pod kierownicą.

— To tutaj, to są pedały. Pe-da-ły. Rozumiecie?

— Tak. Pedały.

— Są trzy. Widzicie? Trzy pedały. Rozumiecie?

— Tak. Pedały.

— One, ile jest pedałów?

W jego wielkich oczach widać przerażenie. Patrzy na mnie, patrzy na Two, patrzy na dół i mówi:

— Trzy pedały.

— Tak. Brawo! Wspaniale! Bardzo dobrze. Są trzy pedały. Bardzo dobrze. Widzisz, to nic trudnego.

Klepięcie w plecy, śmieję się, a on potrząsa głową, szczęśliwy. Obok niego Two również się śmieje, zadowolony jak jego brat. Mają zaufanie, mogę teraz im wytłumaczyć. Słuchają wyważając całą uwagę. Po każdym pytaniu marszczą brwi i koncentrują się, żeby znaleźć rozwiązanie.

— One, środkowy pedał?

— To hamulec, szefie.

— Brawo!

Po chwili ich niepokój znika całkowicie, i szybko przyswajają sobie nowe wiadomości. W ciągu popołudnia udaje mi się nauczyć ich wszystkich funkcji

pedałów i pozycji drążka zmiany biegów. Mają wprawdzie trudności z wymówieniem słowa „*sprzęgło*”, ale poza tym szczegółem są to bardzo zdolni uczniowie. Na zakończenie tej lekcji pokazuję im większość guziczków, których nie ma zbyt wiele, i odsyłam ich do lakierowania na zakończenie wieczoru. Prowadzeniem zajmiemy się jutro.

* * *

Następnego dnia rano ponownie wsiadamy do szkoleniowej ciężarówki.

— Chłopaki, przejedziemy się kawałek. Ja prowadzę. Wy musicie słuchać.

— Tak, szefie.

□ Trzeba słuchać, rozumiecie?

— Tak, szefie. Słuchać.

Niemożliwe byłoby tłumaczyć im zasady pracy silnika, zresztą sam się na tym nie znam. Wolę polegać na ich słuchu. Słuchać hałasów to oni umieją, a później nie mają żadnych trudności z rozpoznawaniem ich. Nie jest to bardziej skomplikowane niż tamtamy.

— Kiedy silnik głośno ryczy, trzeba wysprzęglić. Zgoda?

— Tak, wyszenglicz.

— A jak się wysprzęgła?

— Pedalem.

— Świetnie. Więc ja jadę. A wy mi mówicie, kiedy wysprzęglić.

Mówicie „*sprzęgło*”, kiedy potrzeba, dobrze?

I wszystko gra. Obaj reagują w odpowiedniej chwili.

— Pszengło, pszengło, szefie.

— Dobrze. Jedziemy dalej. Drążek jest na jakim biegu? Drugim.

— Doskonale.

— Pszengło, pszengło.

— Dobrze. Który bieg?

— Trzeci.

I tak to idzie przez cały ranek. Po południu One i Two prowadzą przez kilkaset metrów z tych sześciu tysięcy kilometrów, które im zostały do powrotu do domu. Zostawiam ich z tymi doskonałymi wynikami i oznajmiam im, że jutrzejszą lekcję poprowadzi Jacky.

Jacky pracuje jak niewolnik. Poza nauką jazdy sporo czasu poświęca na nadzorowanie prac w hangarze oraz na pilnowanie Josa. Chotard, pogrążony

w swoich problemach dokumentów i zaopatrzenia, nie ma dosyć czasu, żeby się tym zająć.

Pomimo to często zagląda do mnie, żeby pogadać przez parę minut.

— Piękny konwój.

Ma rację. W wyniku uporczywej pracy nasze przedsięwzięcie przybiera realne kształty. Załadunek został praktycznie zakończony. Niektóre spośród ciężarówek są już pomalowane, i całość zaczyna wyglądać porządnie. Robi to wrażenie.

Jest tu dziewięć trzydziestotonowych naczep, berliety GLR o długim ryju, i trzy mniejsze ciężarówki, dwa pomarańczowe mercedesy i żółty mań. Dwie spośród naczep to cysterny po trzydzieści tysięcy litrów każda, które napelnimy w Algierii, trzy mają nadwozia otwarte, a cztery pozostałe to naczepy zamknięte.

Na platformach powstał niesamowity stos towarów, takich jak ciągniki siodłowe bez naczep, mam ich cztery, a także trzy peugeoty 504, nie mówiąc o skrzyniach części zamiennych i całej reszcie.

Furgonetka 504 towarzyszyć będzie konwojowi jako samochód łącznikowy, z Chotardem za kierownicą.

Moją ciężarówkę pomalowaliśmy na kolor ciemnogranatowy, a części niklowane na kolor złoty. Również wóz Jacky'ego jest już gotowy. Jest czerwony, z białymi detalami. Na drzwiach obu samochodów Samuel Grapowitz wymalował, w odpowiednich barwach, znak firmowy spółki. Oba są wspaniałe.

Największe wrażenie robią otwarte naczepy, bo widoczny jest ładunek. Oprócz ciągników siodłowych i samochodów osobowych umieszczono tam silniki, pod ciągnikami zmieściły się całe stosy części zapasowych, a na wierzchu piętrzą się opony. Całość tworzy nieprawdopodobny bałagan najeżony kablami i pogiętymi drutami. Wszystko to zostało zamocowane za pomocą przyciągarek i kołowrotów.

Platformy pełne są klocków i przybitych gwoździami belek, które unieruchamiają koła załadowanych pojazdów.

To wspaniały widok. Nigdy nie działaliśmy na taką skalę.

— To ostatni konwój. Musiał być piękny.

Jacky uśmiecha się. On już ma dosyć Afryki. Jego życie podróżnika dopiero się zaczyna i ma teraz ochotę zająć się czym innym gdzie indziej,

żeby trochę pożyć. Ze swej strony zaczynam mieć już tego powyżej uszu. Nie pociąga mnie już zbytnio Afryka, chociaż pustynia nadal mi się podoba, zwłaszcza teraz, kiedy ją dobrze poznałem. Na niej znajduję siłę i wrażenie potęgi, jakie mi są potrzebne. Cała zabawa, to, co mnie podnieca, to przeprowadzenie takiego ogromnego konwoju. Czarna Afryka, sprzedaż, to tylko dodatki, które tak naprawdę mało mnie interesują.

Zresztą miarka już się trochę przebrała, jeśli chodzi o tamtejsze władze. Stałem się zbyt mocny, i czuję, że to się skończy. Sądzę, że ten konwój jeszcze przejdzie, ale później nie dadzą mi już żadnych szans. Już za długo to wszystko trwa. Tym razem zarobimy około czterystu tysięcy dolarów i pozwoli nam to zająć się czymś innym. Jakiś czas spędzę z Radijah, w jakiejś oazie. Jacky też znajdzie sobie towarzyszkę i pożyjemy tak sobie ile będziemy chcieli, z dala od cywilizacji.

Później, zanim definitywnie opuścimy Saharę, przyjdzie czas na nasze ostatnie szaleństwo, zamiar, na którym nam bardzo zależy, wyścig wariatów przez pustynię.

Kiedy leżałem w szpitalu, o krok od śmierci, Jacky siedział przy telefonie i umawiał kandydatów, a później, w wolnych chwilach, pracujemy nad szczegółami organizacyjnymi. Dwudziestu szaleńców ze wszystkich stron świata zapisało się już na te zawody o zupełnie specjalnym charakterze.

To nasze wspólne marzenie, moje i Jacky'ego, ostatnia rzecz, jaką chcę zrobić przed opuszczeniem kontynentu afrykańskiego. Oby tylko pozostawiono mi dość czasu.

* * *

Pod wieczór piątego dnia wiemy już, że wygraliśmy. Konwój gotów jest do drogi. Ustawione na śniegu ciężarówki błyszczą w słońcu. Nie można powiedzieć tego samego o ludziach. Zebrałem ich do wysłuchania ostatniej przemowy. Są wycieńczeni, wyprani z sił. Brudni, nie ogoleni, ledwie trzymają się na nogach. Trzej Murzyni przeszli bezpośrednio z potwornego afrykańskiego żaru do lodowatej europejskiej zimy. Co da innych, to tempo narzucone przez ostatnich pięć dni kazało im praktycznie zapomnieć o tym, że jeszcze przed tygodniem sypiali w łózkach, w ciepłym pomieszczeniu, po prostu normalnie.

— Moi panowie, spisaliście się bardzo dobrze. Dziś wieczorem wyjeżdżamy. Od tej pory każdy jest odpowiedzialny za swoją maszynę.

Silniki są po dokładnych przeglądach, muszą wytrzymać. Dbajcie o nie, pilnujcie ich. Jeśli nawalą, to znaczy, że popełniliście błąd. Rozstaniecie się z nimi dopiero w chwili sprzedaży. Podkreślam: gdyby któryś z jakiegoś powodu gdzieś utknął, ma siedzieć na miejscu przy swojej ciężarówce, nawet pośrodku pustyni i nawet gdyby miało to zająć cały miesiąc. Jasne?

Wszyscy potakują.

— Ponadto od dziś nie chcę widzieć w tym konwoju kropli alkoholu, zrozumiałeś, Albana?

— Zrozumiałem.

— Zrozumiałeś, Indianin?

— Zrozumiałem.

— Dobrze, Chotard, rozdaj paszporty i prawa jazdy. Cieszą się jak dzieci otrzymując swoje nowe dokumenty. Capone, który ma prawo jazdy na wszystkie kategorie ciężarówek i przyczep, naśmiewa się z Josa, który dostał gorszą kategorię. Albana z zainteresowaniem ogląda pieczętkę na swoim dokumencie, podczas gdy One i Two interesują się przede wszystkim zdjęciami.

Kiedy euforia trochę opada, otwieram szampana, nalewam wszystkim i dokonuję ceremonii ochrzczenia ciężarówek. Wszyscy uśmiechają się z dumą.

— Dobra. Żadnych pytań? No to ruszamy.

Zapalają się reflektory. Dwanaście diesli zaczyna się rozgrzewać. Ustawiam się na czele. W lusterku wstecznym widzę, jak sunie za mną rząd świateł. Z kasety rozbrzmiewają pierwsze takty Piątej Beethovena.

Kierunek na południe.

* * *

Liczyło się to, że wyruszyliśmy, nawet jeśli tego pierwszego wieczoru przejechaliśmy tylko osiemdziesiąt kilometrów, by zaraz zatrzymać się na nocny wypoczynek. Rano wszyscy obudzili się na obszernym parkingu supermarketu. Trzeba było przygotować kawę, znaleźć jakiś kran, żeby się umyć. Po spędzeniu pierwszej nocy w kabinie wozu każdy poczuł, że coś zaczęło się dziać. Po śniadaniu po raz pierwszy uzupełniliśmy poziom wody i oleju. Ten rutynowy zabieg musi się stać żelazną tradycją. Jest to zadanie dla One i Two. Z kanistrami w rękę przechodzą od wozu do wozu, a każdy kierowca zawczasu otworzył maskę i odkręcił korki zbiorników.

Zwyczaj ten szybko wchodzi nam w krew. Co osiemdziesiąt kilometrów dwa razy naciskam klakson i cała operacja powtórzona zostaje na poboczu szosy.

Ustawiłem One i Two zaraz za mną, każdy z nich prowadzi ciągnik z otwartą naczepą. Na końcu kolumny jedzie Jacky swoim czerwonym potworem. Pomiędzy nimi każdy otrzymał miejsce, i kolejność ma pozostać niezmienna. Tylko Chotard raz jedzie za nami, raz nas wyprzedza za kierownicą swego peugeota 504, zapewniając łączność, a w razie potrzeby służąc za zwiadowcę.

W moim wstecznym lusterku często spoglądam na tę gigantyczną kolumnę jadącą w środku Europy w całkowitej pogardzie dla najbardziej elementarnych zasad obowiązujących przy tego rodzaju przedsięwzięciach.

* * *

Przejazd do granicy hiszpańskiej zabiera nam trzy dni. Jedziemy bez pośpiechu. Każdy musi przyzwyczać się do swego pojazdu i do prowadzenia przez kilka godzin z rzędu, z przerwami wyłącznie na uzupełnienie oleju i wody, a od czasu do czasu także na krótki wypoczynek lub na małą kawę.

Tylko w Pirenejach, niedaleko Hendaye, przeżyliśmy trochę emocji — jedynych na tym odcinku przejazdu.

Dwóch policjantów na motocyklach, stojących na poboczu, daje mi znak, żeby się zatrzymać. Czuję ukłucie w sercu. Otwieram okno. Na zewnątrz jest bardzo zimno, lodowaty wiatr zaczerwienił twarz pocziwego gliniarza pod białym kaskiem. Krzyczy, żebym mógł go usłyszeć.

— Nie możecie jechać dalej.

Oparłem łokieć na drzwiczkach, w klasycznej pozie starego wyjadacza szos. Niebieski fartuch, który noszę na bawełnianej koszulce, jeszcze bardziej podkreśla mój profesjonalny wygląd. Odpowiadam:

— No tak, ale szef nie chce czekać.

To celny strzał. Moja mina i mój ton są dokładnie takie, jak trzeba. Wymagania szefa to coś, co do niego przemawia. Patrzy mi prosto w oczy. Czuję u niego zawodowy odruch: kielkują mu w głowie podejrzenia. W mojej aż kipi.

Glino, mała glinko, jeśli tylko zechce ci się wykazać trochę gorliwości, masz z głowy wystawanie na wietrze przy szosie. Jeszcze dziś wieczorem możesz zostać mianowany marszałkiem gliniarzy. Dowody rejestracyjne

ciężarówek nie oprą się dokładnym oględzinom. Poza tym będę musiał wyjaśnić pochodzenie naszych części zapasowych, nie mówiąc już o tym, że wiele naszych towarów może ci się nie spodobać.

Za mną, spięci za swoimi kierownicami, siedzą One i Two, obywatele malijscy bez prawa jazdy. Capone, także bez prawa jazdy, Indianin, pirat drogowy, bez prawa jazdy. Wallid, z podrobioną kartą stałego pobytu, wydalony z Francji, Samuel Grapowitz, poszukiwany w wielu krajach europejskich, bez prawa jazdy, Jacky, bez prawa jazdy.

Będą artykuły na pierwszych stronach gazet, o tobie i o mnie. Mały gliniarzu, nie rób mi tego. Widzisz przecież, że jestem tylko . pocziwym kierowcą TIR-a.

— No dobra, jedźcie, ale ostrożnie.

— Nie ma obawy, będziemy uważać.

Ruszam. Teraz jeszcze boję się tylko, czy mordy One, Two i pozostałych nie utwierdzą go w jego podejrzeniach. Niech tylko zadziwi go wielkość konwoju, i wyciągnie gwizdek. Dwieście metrów, pięćset, nic. Przejechały przed nim już wszystkie ciężarówki. Przez kilka kilometrów patrzę w lusterko wsteczne, oczekując, że pojawią się w nim obaj motocykliści. Nic się nie dzieje. Zostali na poboczu szosy. Pozostaną tam przez całe życie.

Takie właśnie chwile tworzą cały urok tego biznesu; gdyby odbywał się on zgodnie z przepisami, nie interesowałby mnie.

* * *

Granice hiszpańską przejechaliśmy w nocy. Nie było trudności. Jedyne celnik, któremu chciało się wyjść z ciepłego pomieszczenia, otworzył moją naczepę i odskoczył do tyłu. Opona, starannie oparta o drzwi przez Josa, wylądowała o dwa centymetry od jego stóp. Przyjął moje przeprosiny. Z niesmakiem przeszedł obok otwartych naczep i panującego tam burdelu. Spróbował otworzyć naczepę Josa, delikatnie uchylając drzwi. Zobaczył tam chwiejący się stos opon. Szybko zamknął i dał spokój. Ponieważ wyraził jednak swoje zdziwienie wobec takiej ilości części zamiennych, z poważną miną wyjaśniłem mu, że jesteśmy stowarzyszeniem kierowców na urlopie i że wieziemy te wszystkie części na zabezpieczenie turystycznego rajdu przez Saharę. Popatrzył na mnie i wrócił do swojego biura bez dalszych dyskusji. Tak czy inaczej. Franco umarł przed miesiącem. Cała Hiszpania upija się, żeby to uczcić. W urzędach panuje kompletny bałagan. Równie dobrze

mógłbym tędy przejechać na czele kolumny czołgów, celnicy i tak by się nie ruszyli.

Przyjemna jest jazda przez tę Hiszpanię radującą się ze śmierci marionetki. W moim zespole nastroje są doskonale. Wszyscy prowadzą się dobrze. Co do mnie, to prawdziwa robota zacznie się dopiero w Afryce.

Nareszcie jestem znowu w słońcu. Podczas każdego postoju na kawę siadam na stopniach ciężarówka i opalam się, ile się da. Nie mam jeszcze wspaniałej kondycji, ale czuję, że w tym cieple wracają mi siły. Gra muzyką i czuję się dobrze.

* * *

Przejazd zajął nam tydzień, i obyło się bez poważniejszych incydentów. Zaśnieżone drogi w Pirenejach, choć niebezpieczne, nie sprawiają kłopotów. Raz tylko ściałem latarnię podczas manewrów na parkingu, ale na szczęście ciężarówka nie ucierpiała. Co do wiaty stacji benzynowej, którą Two zerwał górną częścią swojej naczepy, w potwornym zgrzycie rozdieranych blach, uważam, że i tak dawno należało ją wymienić.

Kłopot z Murzynami polega na tym, że o ile nieźle dają sobie radę z prowadzeniem wozu, to całkowicie nie mają pojęcia o przepisach drogowych. Zapomniano ich tego nauczyć, podobnie zresztą jak mnie.

Przejazd przez przedmieścia Barcelony mógł skończyć się tragicznie, ale sądzę, że sprzyja mi szczęście. Na którymś ze skrzyżowań przejechałem na pomarańczowym świetle. Ogarnięci paniką na myśl, że mogliby mnie zgubić. One i Two trzymają się blisko. A to czerwone światełko palące się na słupie nic dla nich nie znaczy. Z rozpędu cały konwój przejechał na czerwonym, wśród koncertu klaksonów i pisku opon.

Uznałem, że bezpieczniej będzie poczekać do zapadnięcia zmroku, zanim przejdziemy przez miasto. W gęstym ruchu ulicznym godzin popołudniowych katastrofa byłaby pewna.

Nie mogę mieć pretensji do moich dwóch czarnuchów. Są całkowicie zagubieni w tym kraju, gdzie — o! jaka niespodzianka! — ludzie mówią jakimś dialektem, którego nie rozumieją. „*Dlaczego, szefie?*” Jedyłą rzeczą, która ich interesuje, jest nakrycie głowy Guardia Civil, śmieszny rodzaj kapelusza z wodoodpornej skóry, z podniesionym daszkiem od tyłu. Przekonani, że w swojej wiosce wzbudziliby w ten sposób powszechne

uwielbienie, wielokrotnie proszą mnie, żeby im takie kapelusze kupić. Na próżno tłumaczę im, że to policyjne czapki, nic nie pomaga.

* * *

Często zatrzymuję konwój przy restauracjach. Zajmujemy w nich po kilka stolików. Pracownicy są dumni, czują się mocni w grupie. Głośno się śmieją i siadając z hałasem przesuwają krzesła. Każdy opowiada o swojej ciężarówce, o swojej „maszynie” i o swoich wyczynach za kierownicą. Na razie ich przechwałki bawią mnie.

W Barcelonie Samuel Grapowitz postanowił przeżyć pierwszą miłość. Wskazałem mu Barrio Chino, dzielnicę portową. Wrócił w ostatniej chwili, tuż przed odjazdem. Wyskoczył z taksówki, rozczochrany, i z ręką na sercu dziękował mi, że pozwoliłem mu poznać uciechy zza Pirenejów.

Jeżeli kurwa z jednej z najpodlejszych dzielnic europejskich tak na niego działa, sądzę, że Samuel Grapowitz niejednym nas jeszcze zadziwi. Odpowiedziałem mu, że cała przyjemność po mojej stronie.

Zaraz za Barceloną gazety potwierdzają obawy, jakie żywię od pewnego czasu. Maroko i Algieria są skłócone i mówi się o wojnie. Myślę o wszystkich tych biednych żołnierzach, którzy zostaną zabici, i pogrąża mnie to w smutku, tym bardziej że z powodu tych ich historii wjazd do Algierii staje się dla nas niemożliwy od strony marokańskiej. Mają do zabawy największą piaskownicę świata, a mimo to muszą zawracać mi głowę stając akurat na mojej drodze.

Ponadto, jak nas informują w biurze podróży w Walencji, nie ma mowy o przeprawie promem Alicante–Oran przed upływem dwóch tygodni.

Jacky ratuje mój dobry humor genialnym pomysłem.

A gdyby tak zostawić wszystkich w Colorado i pojechać do Francji się zabawić?

To jest pomysł. Mamy znajome w Colorado, małej wiosce na południu Hiszpanii, które mogłyby gościć u siebie cały zespół. Co do nas dwóch, to Jacky przypomniał mi o moich obowiązkach. Śmierć Peyruse’a i moja choroba skróciły nasze wakacje. Podczas gdy normalnie opuszczamy Europę mając tylko tyle, ile trzeba na przejazd konwoju, tym razem zostało nam jeszcze parę milionów do przepicia.

Jest na to akurat odpowiednia pora.

Każę wszystkim wstawać, przygotowywać kawę, i w środku nocy konwój wyrusza do Colorado.

Dziś rano jakiś Hiszpan próbował zatrzymać nasz zwycięski pochód. Żle zaparkowany samochód został dosłownie rozgnieciony przez ciężarówkę Albany. Dopiero okazała paczka banknotów uciszyła jego wrzaski. Jeszcze za wcześnie, by stosować inne metody.

W kilka godzin później puściły mi hamulce i potrzebowałem paru kilometrów, by się zatrzymać, a cały konwój chcąc nie chcąc podążał za mną. Dwanaście ciężarówek przejeżdżających przez wioskę to rzadkość, ale z taką prędkością — to zupełny wyjątek.

* * *

El Colorado to jedna z tych wsi, przez które przejeżdża się nawet ich nie zauważając. Położona jest nieco z dala od głównej szosy, niedaleko kąpieliska Conil, w Andaluzji.

Jest tu parę willi otoczonych byle jakimi ogródkami, a także kilka barów, najwyraźniej pozamykanych, które skupione są w jednym miejscu. To tu.

Konwój zatrzymuje się naprzeciwko, wzdłuż drogi. Jacky i ja idziemy zasięgnąć języka. W domkach panuje cisza, odpowiednia dla popołudniowej pory. Jedyną, która nie śpi, jest szefowa całego biznesu, której podlegają wszystkie okoliczne domy. To Tia Zohra, ciotka Zohra, burdelmama i moja wielka przyjaciółka. Usłyszała hałas dwunastu ciężarówek ustawiających się przed jej domem i przybiega.

To gruba Marokanka około pięćdziesiątki, równie wysoka co szeroka, w ciasno opiętym różowym stroju. Całość nie jest w najlepszym guście, ale postać robi sympatyczne wrażenie.

— Charlie! Tanto tiempo. Como estas?

— Dobrze, Tia Zohra.

Wprowadza nas do kuchni. Jak każdego popołudnia, przygotowuje litrami sok pomarańczowy, w oczekiwaniu na niedługo przebudzenie swoich siostrzenic.

Proponuje nam kawę. Uczyniwszy w ten sposób zadość nakazom gościnności, pyta mnie o powód przyjazdu. Tia Zohra prowadziła liczne bary i burdele w Tangerze, Barcelonie i Tarragonie. Wyrobiła sobie własną filozofię i nauczyła się paru lekcji. Główną z nich jest to, że wszystkim rządzi pieniądz, z innej wynika, że mężczyzna nie wraca po pięciu miesiącach milczenia, jeśli czegoś nie potrzebuje. Wyjaśniam jej, że szukam dla moich ludzi dachu nad głową na najbliższe dwa tygodnie. Pyta mnie, ile chcę jej zapłacić. Robię jej

zachęcającą ofertę, i przyjmuje ją. Kiedy już doszliśmy do porozumienia, zaczyna opowiadać mi o interesach. Ta grubaska o zabawnym wyglądzie nieźle daje sobie radę. Właśnie zamierza kupić sąsiedni nocny lokal. Ma poza tym monopol na fordanserki pracujące w okolicznych knajpach i jest też jednym z głównych dealerów haszyszu w tych stronach.

W rozmowie z nią co dziesiąte słowo dotyczy pieniędzy. Jej opowieści to długie pasmo kolejnych interesów, z których zresztą żaden nie jest wystarczająco dobry, żeby zapewnić jej majątek raz na zawsze. Jacky i ja szybko ulatniamy się i idziemy obudzić jej koleżanki.

W jednym z pokoi są trzy. Śpią na plecach, z rozłożonymi nogami, chrapiąc jak żołdacy. Ich połączone oddechy wydzielają na cały pokój odór alkoholu. Budzimy je paroma łaskotkami, uszczypnięciami i precyzyjnymi dotknięciami. Otwierają oczy i rzucają się nam na szyję.

* * *

Pracownicy zebrani są w komplecie w salonie ciotki, kiedy pojawiają się panienki. Jest ich około piętnastu, wszystkie są Marokankami pochodzącymi w większości z tego samego miasteczka na północy Maroka; przyjaźnię się tam z ich braćmi. Niektóre są naprawdę siostrzenicami Tii Zohry. Jest też parę nowych, których jeszcze nie znam, wśród nich jedna Algierka i jedna Afrykanka, które przyjechały tu po pobycie w Portugalii.

O tej porze nie Wyglądają najciekawiej. W dresach albo szlafrokach opierają swoje wielkie dupska, które tak bardzo podobają się Andaluzyjczykom, o poręcz fotela albo padają na kanapę z rozłożonymi nogami, czekając w ośpieniu na dojście do siebie. Po wykaszleniu pierwszych sztachów i wypiciu kawy oraz pomarańczowego soku zdają sobie nareszcie sprawę z obecności mężczyzn, stojących w onieśmieleniu dookoła, i zaczyna się.

Dziewczyny te potrafią tylko wrzeszczeć i wybuchać głośnym śmiechem. Mówią wyłącznie po hiszpańsku i po arabsku, co na początku nie ułatwia rozmowy.

Moi faceci trącają się łokciami jak uczniacy widząc, że dziewczyny otwierają pierwszą butelkę whisky.

Skoro zaczynają się wakacje, nie ma żadnego powodu, żeby kazać im tu sterczeć o suchym pysku. Ze wszystkich stron pojawiają się butelki. Jako fordanserki dziewczyny te zarabiają kupę forsy i są bardzo hojne. Większość z

nich ma na utrzymaniu w Maroku całe rodziny, żyjące bardzo biednie. Lubię je, mają dobre serca, i choć urodziły się do życia z zasłoniętą twarzą, pod nadzorem męża, potrafią się bawić.

Teraz, kiedy wszyscy odczuli już pierwsze efekty alkoholu, atmosfera staje się zupełnie rozluźniona. Samuel Grapowitz przechadza się po pokoju, myszkując dookoła wzrokiem, i robi w moim kierunku wielkie znaki wyrażające aprobatę. Afrykanka wzięła pod opiekę One i Two, którzy z tego wszystkiego zdjęli swoje znakowane czapki. Tia Zohra przynosi ogromny półmisek pieczonych kurczaków i stos kawałków chleba.

Nagle dziewczyny znikają. W pokoju zapanowuje spokój. Po upływie niecałej godziny uczestniczymy w przeglądzie. Nasze brzydactwa w dresach pojawiają się, żeby się pożegnać, przebrane w stroje robocze. W minispódniczkach i kozakach, umalowane i uperfumowane, trzykrotnie okrążają pokój, wysłuchują komplementów, wrzeszczą jak zwykle na całe gardło i znikają.

Capone nie ukrywa rozczarowania.

— Już odchodzą, Charlie?

— Idą do roboty. Pracują w barach tu obok.

— A! Więc to dziwki?

— Ależ nie, to fordanserki. Jak chcesz, pójdziemy je zobaczyć dziś wieczór.

El Colorado ożywia się dopiero wieczorem. Około drugiej nad ranem, kiedy pracownicy ułożyli się jako tako, wspomagani przez Wallida, który służy za tłumacza, Jacky i ja zabieramy Capone'a i Samuela Grapowitza, jedyńych, którzy trzymają się jeszcze na nogach, żeby odwiedzić panienki.

Pracują wszystkie w kilkunastu barach, mieszczących się na odcinku trzydziestu kilometrów. Wszystkie są podobne: przyćmione światła, głośna muzyka i zasłonięte kotarami boksy, do których można pójść na szybki sztos. Hiszpanie bawią się tu co noc, wspomagani przez fordanserki, które dostają pięćdziesiąt procent od zamówień klienta. Kończymy zabawę o czwartej rano w barze, który dopiero o tej porze się ożywia.

Przez resztę czasu lokal jest smutny i ponury. Dziewczyny prowadzą do niego ostatnich klientów i wszystkich tych, którzy trzymają się jeszcze na nogach. Nadejście panienek rozbudza towarzystwo. Podnieceni faceci czepiają się kontuaru z rozanielonymi twarzami. Jedna z dziewczyn podkasła

bezwstydnie spódnicę i rozgrzewa się, przysuwając rozchylone uda do płomienia piecyka. Jakiś facet wyciągnął gitarę i ryczy flamenco.

Samuel Grapowitz, przy barze, przytulony do jakiejś Marokanki, mówi do niej bez przerwy. Siedzę koło niego i mimo flamenco dolatują do mnie strzępy tego, co opowiada:

— ...wylizać cipę... kutas... od tyłu...

Przy okazji próbuje dotknąć, żeby zilustrować swoje wywody, a coraz mocniejsze trzepnięcia w kark nie odstraszą go, wręcz przeciwnie.

Wyciągamy go z baru, zanim nie zostanie pozbawiony przytomności. Słania się na nogach, całkowicie podcięty przez whisky i hasz, ale dziękuje mi:

— Ach! Te kobiety!... Co za temperament! Charlie, dziękuję ci...

Capone zrozumiał, że tutaj zabawa trwa całą dobę i podąża za nami w ekstazie, podśpiewując.

* * *

Wczesnym rankiem budzimy Josa i Chotarda, żeby przekazać im ostatnie polecenia i umówić się z nimi za dziesięć dni. Tia Zohra otrzymała instrukcje. Chotard zajmie się kieszonkowym.

Bierzemy taksówkę do Sewilli, a stamtąd samolot do Madrytu. Teraz Paryż.

Jacky telefonuje z Charlie–Airport. Zaczniemy wakacje od kociaków.

Są, mają czas, czekają na nas.

Jesteśmy obaj młodzi i bogaci, co podoba się kobietom, ale jesteśmy także bardzo wymagający i lubimy, by się o nas troszczono. Potrzebujemy uczuć i miłosnych słów. Idąc z kimś na jedną noc nigdy nie wiadomo, na co się trafi. Nam potrzebny jest romans. Aby kobieta tego chciała, musi być albo zakochana, albo zainteresowana materialnie. Pierwsze rozwiązanie jest piękne, ale wymaga czasu. Wybraliśmy więc zainteresowanie dwóch profesjonalistek romansu, bardzo wysokiej klasy, i wynajmujemy je, brunetkę i blondynkę.

Są obie bardzo piękne, wysokie i eleganckie. Ich niesamowite kolekcje strojów pozwalają im zawsze wyglądać idealnie na wieczór. Co do reszty, jako że są to dziewczyny wykształcone, wyrafinowane i troskliwe, opłacane w setkach dolarów, przyjemności, które oferują, zbliżają człowieka do raj.

Na przestrzeni złożonej z ogromnej sypialni, wyłożonej grubą białą wykładziną, z szerokim łóżkiem pomyślanym dla kochanków, i ze wspaniałej łazienki, oddaję się w doświadczone ręce. Moja wybranka patrzy na mnie i czuję się piękny, słucha mnie i czuję się mądry, jej profesjonalizm posuwa się do pamiętania, co już opowiadałem podczas poprzedniego pobytu, i do autentycznego interesowania się tym. Szepcze mi do ucha czułe słówka, gładzi mnie i pieści. Przez czterdzieści osiem godzin i za plik dolarów Jacky i ja przeżywamy wielką miłość, królewskie przyjemności, niesamowite odprężenie. Żadnych kompleksów, płaci za nas Afryka.

Dobrą stroną tego romansu bez skazy jest to, że kończy się on tak, jak się zaczął, to znaczy w momencie, który sami wybieramy. W tym przypadku jest to dwa dni później. Dosyć kociaków. Teraz pójdziemy się pobawić.

* * *

Poznałem wiele krajów, we wszystkich częściach świata. Próbowałem wszystkich kuchni i przetestowałem wszystkie kobiety.

Dzięki Jacky'emu odkryłem, że zarówno wśród pierwszych, jak i drugich najlepsze znajdują się we Francji. Nigdzie nie ma bogatszej gastronomii, a kobiecość Francuzek nie ma sobie równych. Jak zwykle Jacky będzie moim przewodnikiem podczas oczekującego nas tournée.

— Czołem mężczyźni.

Koka siedzi w salonie, otoczona młodymi dziewczętami. Na stole leży przygotowana dla nas paczka kokainy.

— Wracacie do Afryki, chłopaki?

— Nie. Chcemy sobie trochę poużywać.

I Jacky przedstawia program: gastronomiczne tournée, podczas którego będziemy podrywać wszystkie kobiety, jakie znajdą się na naszej drodze. W euforii, podniecony kokainą, ze szczegółami opowiada wszystko, co zamierza zrobić tym paniom. Nieco sceptyczna Koka próbuje go uspokoić.

— Być może nie wszystkie będą takie chętne, mój mały Jacky.

Odpowiedź ta nie jest złośliwa, ale Jacky przyjmuje ją bardzo źle i od tego wszystko się zaczyna. Twierdzi, że wystarczy, by kobiety spojrzały na nas, a już rzucają się nam w ramiona. Lekkie wzruszenie ramion Koki doprowadza go ostatecznie do wściekłości, a nasza nieokiełznana przyjaciółka, równie podniecona kokainą co mój kumpel, w końcu wybucha.

— Biedni supermani za trzy grosze. Zanim wam z ledwością uda się poderwać jedną, ja zgarnę dziesięć dziewczyn. Jacky patrzy na nią wściekle.

— Przepraszam cię, Koka, ale zapominasz, że czegoś ci brakuje.

Skaczą sobie do oczu i kłócą się przez cały wieczór. Koka rzuca nam wyzwanie, byśmy ją zabrali ze sobą na nasz rajdzik. Pogardliwie proponuje zakład, że poderwie więcej dziewczyn niż my. Jacky zgadza się. W rezultacie zostaję sam w opuszczonym salonie, wzgardzony przez Kokę, która poszła do łóżka w damskim towarzystwie.

Przez chwilę waham się, czy obudzić starą Gordeę, po czym przeklinając moich przyjaciół idę spać samotnie.

Następnego dnia ustalamy reguły zawodów. Każdy będzie musiał przynieść majtki swoich zdobyczy. Wygra ten, kto przyniesie ich najwięcej.

Przykro mi trochę ze względu na Kokę, która wobec nas dwóch nie ma żadnych szans, ale może oduczy ją to zostawiania mnie samego na noc w salonie. Dziewczyna proponuje, byśmy zaczęli zabawę wypadem na urodzinowe przyjęcie jej przyjaciela w Genewie. Parę godzin później rolls pędzi autostradą.

Przyjęcie, na które ściągnęła nas Koka, jest już dobrze rozkręcone, kiedy przyjeżdżamy, w doskonałych humorach, wypoczęci i z kieszeniami pełnymi kokainy. Wieczorek odbywa się w wielkim domu, w którym zabawia się dobrze ułożone i trochę świntuszące bogate towarzystwo. Elegancy maitres d'hôtel, strumienie szampana i innych alkoholi.

Naturalnie Jacky i ja myślimy tylko o jednym, i każdy stara się rozpocząć zawody. Jacky sadza przy naszym stoliku pierwszą młodą kobietę, ale ta, którą przyprowadzam parę minut później, jest jeszcze ładniejsza. Koka gdzieś zniknęła. Zaledwie dostrzegamy ją od czasu do czasu, śmiejącą się i pozdrawiającą znajomych. Flirtujemy z naszymi towarzyszkami, genewskimi elegantkami, miłymi i bardzo zadbanymi. Kątem oka dostrzegam Kokę zagłębioną w dyskusji z wysoką rudą dziewczyną. Uśmiechają się do siebie. Koka kładzie rękę na ramieniu rudej. Jest niedobrze. Podwajam uśmiechy skierowane do mojej Szwajcarki, a Jacky, który także nie jest ślepy, roztacza cały swój osobisty urok.

Nic z tego, nie my zdobywamy pierwszy punkt. Nagle pojawia się Koka, cała w skowronkach, zupełnie naturalnym ruchem przygotowuje sobie rząderek koki wprost na stoliku, wacha go, po czym dyskretnie wyciąga ze swojej

torebki brzeg małych zielonych majteczek, trofeum po swojej pierwszej zdobyczy. Wybuch śmiechem i zwraca się do naszych towarzyszek:

— Przystojni są ci moi kumple, nie? I w dodatku dobrze was przeleca.

Nowy wybuch śmiechu i znika. Obie młode kobiety, które są urocze, doskonale się bawią i zostają z nami. Rozkręcona Koka pojawia się jeszcze dwukrotnie, za każdym razem podwyższając swój wynik.

* * *

Następnego dnia rano, kiedy zabawa rozpoczyna się na nowo, wychodzimy, by uroczyście włożyć delikatne figi naszych Szwajcerek do pudełka przewidzianego na ten cel, znajdującego się na tylnym siedzeniu rollsa. Jacky podnosi wieczko i nie może powstrzymać przekleństwa, raczej obraźliwego dla Koki, które ciśnie mu się na usta. Po czym wyciąga jedną po drugiej sześć par majteczek, które już znajdują się w pudełku.

— Oszukuje.

— Jak...

— Oszukuje. To oszustka. Zna tutaj wszystkich. Oznajmia nam z wielkim uśmiechem: „*Mam przyjęcie u znajomego w Genewie*”. My rzucamy się na to z zamkniętymi oczami, a tymczasem ona znając tyle dziewczyn zapewnia sobie wynik nie do pobicia. To nic trudnego!

— Ej, bracie, takie są reguły gry.

— Co takiego? Ależ nie możemy jej na to pozwolić. Nie, zostaniemy tu ani minuty dłużej. Wyjeżdżamy.

I lecimy uprzedzić Kokę, że rolls zaraz odjeżdża. Przyjmuje naszą decyzję z lekko kpiącym uśmiechem, szykuje się i idzie za nami. Jacky siada za kierownicą i prowadzi jak wariat, pilno mu do Francji i na gastronomiczne tournée.

Jacky zna na pamięć listę kucharzy, do których zamierza nas zaprowadzić, i jak zwykle wybrał tylko to, co najlepsze. Zatrzymujemy się w otoczonych drzewami oberżach i w spokoju i ciszy oddajemy się rozkoszom podniebienia. Dania, które nam przynoszą, pokazują i podają, są niewyobrażalnie delikatne. Każdy kęs to fajerwerk smaków, bogatych, wyrafinowanych i subtelnych. Szczupaki, homary, sosy, a przede wszystkim mięsa, niezrównane pieczenie... Stale na haju i przepełnieni uczuciem szczęścia wszyscy troje skupiamy się na doznaniach naszych kubeczków

smakowych. Jacky dobiera wina do każdego menu i stara się, by nasze odczucia były jeszcze pełniejsze.

Wieczorem bawimy się w nocnym lokalu lub kasynie, jeśli takie jest w mieście, gdzie akurat przebywamy. I otaczamy się pięknymi kobietami. Nasze podboje są fantastyczne. Nie ma nic lepszego niż szampan i kokaina, by rano przebudzić się w doskonałym humorze, mając za oknem park małego hotelu dla wybranej klienteli, w przestronnym, luksusowym i zacisznym pokoju. Po południu mała miłosna sjesta, piętro wyżej niż stół, od którego właśnie się wstało. Z rzadka, ze względu na chłód, romantyczny spacer z towarzyszką chwili.

Ale Koka bawi się coraz lepiej. Dwoi się i troi, by wygrać nasze zawody, i podrywa na prawo i lewo. Jacky i ja byliśmy świadkami, jak poznaje, oczarowuje, po czym zabiera do siebie niesamowite ilości kobiet, młodych i nieco mniej młodych. Niekiedy sprząta nam sprzed nosa upatrzone już ofiary.

Wczoraj po południu, kiedy z Jackym prześcigaliśmy się w uprzejmościach wobec kelnerki zacisznej restauracyjki, gdzie właśnie zjedliśmy obiad, to w końcu Koka poszła z nią na górę.

Jacky dyszy z wściekłości. Próbuję go pocieszyć:

— No wiesz, w końcu nie była taka ładna... Chodź, nadrobimy opóźnienie w mieście.

Bierzemy kurtki, kłaniamy się w stronę hoteliku i ruszamy.

* * *

— A to dziwka!

Miejsce na parkingu, gdzie stał nasz rolls, jest puste. Koka unieruchomiła nas tutaj.

Jacky wzrusza ramionami. Robię to samo i idziemy coś przekąsić, skoro nic innego nam nie pozostało.

Koka wraca po południu i teraz z kolei znika Jacky. Ponieważ długo nie wraca, po piętnastu minutach idę go szukać. Siedzi w rolls-roysie na tylnym siedzeniu, z pudełkiem na kolanach. Podnosi na mnie wzrok:

— Dwadzieścia cztery, bracie!

— Nie? To niemożliwe.

Ze smutkiem kiwa głową. Sam ma siedem, ja mam sześć. Dwadzieścia cztery!

Jacky wyjmuje majteczki całymi garściami i podaje mi je.

— Jestem pewien, że ta kurwa oszukuje. To z pewnością jej własna bielizna. Ty ją znasz, może byś...

Rozumiem, o co mu chodzi. Pomimo całej tej kokainy, którą się szpikujemy, mój zmysł powonienia chyba jeszcze nie zanikł całkowicie. Biorę kilka par i sprawdzam.

— Nie, to nie jej. Nie, te też nie...

I jedne po drugich oddaję majteczki Jacky'emu, po kontroli. Weryfikacja obejmuje tylko połowę, bo nie wszystkie dowody rzeczowe są czyste, ale wystarcza, by stwierdzić:

— Nie oszukiwała, bracie.

— Na pewno?

— Na pewno. No chodź, pójdziemy coś zjeść.

A Koka działa dalej. Dwie autostopowiczki, praktycznie wszystkie kelnerki, policjantka, która chciała nam wlepić mandat, nie sposób wszystkie wymienić. Jacky i ja zwiększamy porcje kokainy, a także nasze wysiłki, ale teraz jesteśmy już praktycznie bez szans. Jacky jednak nie rezygnuje. Walczy jak wariat. Któregoś dnia widzę, jak odciąga na bok kucharkę w małej restauracyjce, w której jemy obiad. To potężna, gruba baba, której młodość zakończyła się dawno temu, ale mojego przyjaciela nic nie powstrzyma.

Dwadzieścia minut później wraca na salę, uśmiechnięty, podchodzi do Koki i z triumfem rozkłada na stole gigantyczne bawełniane gacie.

— To warte jest co najmniej cztery punkty.

Koka jednak jest całkowicie odmiennego zdania. Dla niej jest to po prostu jeden dowód rzeczowy i nic więcej.

— Jak to? A trudności wstępne?

— To tylko jedne majtki.

— A trudności realizacyjne?

— To tylko jedne majtki, Jacky, nie oszukuj.

— A kłopoty, jakie miałem, żeby jej to zabrać, co?

W końcu dochodzą do porozumienia, żeby odwołać się do mojego arbitrażu. Jest mi niezręcznie, bo czuję lojalność względem Jacky'ego, ale muszę przyznać, że te majtki, choć zakrywają jedną czwartą stolika, stanowią jednak tylko jeden kawałek materiału, a zatem dają tylko jeden punkt.

Uspokojona i zadowolona Koka rozgląda się dookoła i o kilka stolików od nas dostrzega parę w dojrzałym już wieku, o dostatnim i godnym

wyglądzie. Wstaje. Po paru minutach oboje siadają przy naszym stoliku, by wspólnie z nami wypić kawę. Naturalnie Koka usadowiła koło siebie naszą nową znajomą, kobietę około czterdziestki, ubraną w niebieski kostium ozdobiony jedynie srebrną broszką.

Przyglądam się.

Lekkie drgnięcie wargi uroczej pani, kiedy podnosi filiżankę do ust, Koka właśnie dotknęła jej kolana, jestem tego pewien. Subtelny rumieniec na twarzy i nieśmiały uśmiech. To delikatna pieśczęta pod stołem. Jacky trąca mnie łokciem i posyła zrozpaczone spojrzenie. Niepostrzeżenie wzruszam ramionami i, starając się robić dobrą minę do złej gry, podtrzymuję próby konwersacji czynione przez pana męża.

Dziesięć minut później obie panie znikają w toalecie. Koka pojawia się dopiero po trzech kwadransach, kiedy już naprawdę nie wiemy, o czym rozmawiać z tym panem, który zaczyna się niepokoić. W chwilę potem na salę wchodzi jego żona, ma zaognione policzki i niepewnie stąpa po wypastowanej podłodze. Z błyszczącymi oczami Koka wskazuje mi swoją torebkę.

* * *

Rankiem piątego dnia spotykam Jacky'ego na tarasie małego luksusowego hotelu, w którym spędziliśmy noc.

Jasne zimowe słońce rozświetla salę i przyjemnie grzeje zza szerokich panoramicznych okien. Maitre d'hôtel bez mrugnięcia okiem przyjął moje zamówienie na befszyk wołowy, który wybrałem sobie na śniadanie. Jacky towarzyszy mi. Mamy wszelkie powody, by czuć się szczęśliwymi.

A jednak kończę danie bez przyjemności. Jacky układa sobie rząderek kokainy na talerzu po grzankach i wzdycha:

— Tak już dłużej nie można.

Jednym długim, smutnym pociągnięciem wdycha kokainę i podaje mi paczuszkę. Przygotowuję porcję dla siebie na stole.

— Masz rację. Dostyc już tego.

Oddaję mu kokainę, po chwili podaje mi ją znowu, i tak to trwa dłuższy czas. Bierzemy rząderek za rządkiem w przygnębieniu i ciszy.

Maitre cThôtel, sądząc, że mamy katar, kładzie nam w końcu na stoliku paczkę papierowych chusteczek.

Jacky i ja zupełnie nie umiemy przegrywać.

Tak już rzeczywiście dłużej być nie może. Wczoraj wieczorem byliśmy w fantastycznej formie, z okazji wcześniej zamówionej kolacji przy świecach i szampanie. Wymyć i odpicowani daliśmy z siebie wszystko, by olśnić nasze dwie zaproszone panie, śliczne dziewczyny mieszkające w okolicy.

Na zakończenie kolacji, podczas której wykazaliśmy się wyjątkowym urokiem osobistym i dowcipem. Koka i obie dziewczyny wstały.

— Przepraszamy, pora na małe siusiu.

Po dwóch godzinach zmuszeni byliśmy uznać to, co było już oczywiste. Wieczór zakończyć się miał bez nich. Ta oszustka zabrała nam je, zostawiając nas samych z resztkami kokainy i szampana. Nie pozostało nam nic innego, jak dalej się wykolejać aż do Chwili, kiedy zasnęliśmy z głowami na obrusie, po czym służba hotelowa zaniósła nas do naszych pokoi.

Jacky nie może już dłużej.

— Widzisz, zabiera nam najlepsze i w końcu wychodzimy na idiotów.

— Fakt. Zostają nam tylko odrzuty..

— Ja już mam tego dosyć. I w dodatku zabiera je nam sprzed nosa!

Następuje dłuższy okres ponurej medytacji, przerywanej jedynie pociągnięciami nosa. Jacky podsumowuje.

— Przegraliśmy, co?

— Na to wygląda.

— Chyba nie poprosimy o zawieszenie broni.

— Jacky, bracie, trzeba umieć przyznawać się do błędów.

Z godnością idziemy do recepcji i telefonujemy do jej pokoju.

— Koka? Przegraliśmy. Zaraz przyniesiemy ci śniadanie.

* * *

Ta czarownica oparła się wygodnie na poduszkach w towarzystwie naszych dwóch dziewcząt. W obliczu tych sześciu wspaniałych piersi pokornie wyznajemy naszą przegraną i nasze pragnienie zakończenia tej głupiej zabawy.

— Jesteś najlepsza. Masz, ślicznotko, napij się kawy.

W przyływie radości przyjmuje nasze poddanie się i w królewskim goście ofiarowuje jedną ze swych zdobyczy Jacky'emu, po czym uśmiecha się do mnie promiennie i zatrzymuje mnie przy sobie.

Od tej pory to ona nagania nam młode kobiety. Pojawiają się przy naszym stole, w samochodzie, i wychodzimy na tym o wiele lepiej. Koka jest

wspaniała w tej roli i sprowadza je trójkami, zawsze wzbudzając tę samą nieodpartą sympatię. Jeżeli przypadkowo przychodzi tylko z dwiema, pozostawia nas z nimi tete-a-tete, i sama dalej prowadzi poszukiwania dla siebie.

* * *

Pasztety z zająca, dziczyzna, wspaniałe udźce, wina, bukiety i aromaty, święto kulinarne trwa. W opracowywaniu menu Jacky prześciga sam siebie. Niekiedy postanawia, że do kolacji będzie szampan, albo ze znawstwem wybiera do serów białe wino. Za każdym razem doznajemy nowych odczuć, coraz bardziej wyszukanych. Nasze podniebienia wyczuliły się, i rozprawiamy na temat różnych dań jak starzy smakosze, a o miejscowych pięknościach jak starzy uwodziciele. Wszyscy troje jesteśmy zgodni. Im bliżej schodzimy Morza Śródziemnego, tym kuchnia staje się prostsza i bardziej jednolita. Natomiast kobiety stają się coraz pikantniejsze, im dalej na południe. Na północy miłość jest konwencjonalna, a gastronomia klasyczna. Na zakończenie naszej podróży postanawiamy zajrzeć do krainy foie gras.

Przez cały czas niepohamowany śmiech wstrząsa naszym rolls-royce'em 1947, zatrzymującym się przy wszystkich przyjemnościach, jakie pojawiają się po drodze. W każdym razie było tak aż do dzisiejszego ranka, kiedy po trzech dniach i trzech nocach szaleństw awaria zatrzymuje nas w warsztacie w Perigord. Jesteśmy nie ogoleni, w wymiętoszonych ubraniach, i wreszcie każde z nas zaczyna odczuwać zmęczenie. Mechanik, któremu zapewne nie zdarza się to zbyt często, zaaferowany pochyla się nad silnikiem rollsa. Siedzimy w słońcu od pół godziny, kiedy zatrzymuje się koło nas policjant na motocyklu. Przygląda się nam przez dłuższą chwilę. Podejrzewa nas o coś, ale nie bardzo wie, o co. Boi się z nami zadrzeć. Nie ma ochoty dostać po głowie, biedny mały gliniarz. Jego celem jest spokojna emerytura. A choć nasz nieświeży wygląd może się wydawać dwuznaczny, forsa'aż kapie ze wszystkiego, co mamy. Przyglądam mu się. To krępy facet z wąsami, kask potęguje jego głupawy wygląd.

W samochodzie kokaina jest wszędzie, nawet na siedzeniach, leżą porozrzucane kawałki haszu i poniewierają się zwinięte w rurki banknoty służące do wążania rządaków. Bagażnik wypełniony jest majteczkami najróżniejszych rodzajów i rozmiarów, od nieskazitelnych do niezbyt

czystych. Jeśli tam zajrzy, będzie z pewnością miał do nas parę pytań, ale brak mu śmiałości.

W momencie odjazdu Koka podchodzi do niego.

— W moich stronach gliniarze nie są tacy przystojni, wie pan? „*Gliniarz*” nie bardzo mu się podoba, ale nie może powstrzymać rumieńca. Koka wsiada do samochodu i przed zamknięciem drzwi bardzo wysoko podciąga spódniczkę na udach, co godnego przedstawiciela bezpieczeństwa publicznego doprowadza do stanu głębokiego poruszenia. Jacky chichocze, po czym wybucha głośnym śmiechem. Koka posyła gliniarzowi całusa i krzyczy:

— Powiem panu coś: mundur zawsze mnie podniecał.

Zatrząskuje drzwiczki i ostro rusza wywracając Jacky’ego, który właśnie naciągnął na głowę wielkie majtki zdobyte w czasie zawodów i który, jak go znam, zaraz zacznie obrzucać gliniarza wyzwiskami. Czas już wracać do Afryki. Tam będziemy mniej rzucać się w oczy.

* * *

Podczas naszego pobytu tam naszym rollsem zaopiekuje się Koka. Przed zakończeniem tej wycieczki czynię zadość jej pragnieniu, bym przerznął ją na masce rollsa, to jej ulubiony sposób. Wolałaby zrobić to na autostradzie, ale ja wybieram mały zagajnik nieco na uboczu. Tu dosiadam jej, uczeptionej Nike z Samotraki, z kolanami opartymi na zderzaku, w pozycji całkowicie bezwstydnej, ze spódnicą zakasaną nad biodra. Jacky czeka nieco dalej.

I po ostatnim pocałunku rozstajemy się na lotnisku, gdzie czeka już samolot, którym wrócimy do naszego konwoju.

* * *

Nie ma to jak proste przyjemności, żeby wrócić do formy. Moja choroba jest już tylko wspomnieniem, podobnie jak śmierć Peyruse’a. Hiszpania ogarnięta jest falą chłódów, kiedy przyjeżdżamy, wracając do Colorado, do konwoju i do kłopotów.

W ogródkach widać połacie śniegu. Dom zajmowany przez moich ludzi pogrążony jest w ciszy. Szyby są powybijane, okiennice pourywane, nie ma już drzwi wejściowych. Za nami, co sił w krótkich nóżkach, biegnie Tia Zohra i wrzeszczy.

— Zohra, uspokój się. Wytłumacz, o co ci chodzi, po hiszpańsku, a nie po arabsku.

— O! Twoi ludzie, o! to są bandyci. Nie chcę ich tu więcej widzieć, nigdy.

— Co zrobili?

— Wszystko poniszczyli, to prawdziwe nieszczęście.

— Uspokój się. Za wszystko zapłacę.

— Przerżnęli moje dziewczyny.

— No to co, przecież i tak nie były dziewicami...

— Tak, ale nie zapłacili...

Dosyć już mam tych wrzasków. Idę zobaczyć, co się dzieje. Pracownicy zgromadzeni są w salonie. One i Two siedzą, okutani po nos, przy małym ognisku zapalonym na podłodze. Okiennice, drzwi i meble, starannie porąbane na deszczułki, wyznaczają ich terytorium. Na suficie ogromna plama sadzy przyciemnia nieco widok. Na podłodze, po wszystkich kątach, prawdziwe pobojuwisko butelek. Prawie wszyscy moi ludzie są tutaj, i to w paskudnym stanie. Albana znowu zapomniał o nakazach religii. Leży z rozrzuconymi rękami, okulary mu się przekrzywiły, oparty o ścianę. Indianin nawet nie zauważył, że wszedłem. Śpiewa półgłosem z butelką ściśniętą między kolanami. Capone, który stoi na nogach, choć nieco się ślania, pozdrawia mnie rozczulonym uśmiechem. Jos uporczywie usiłuje pozapinać guziki koszuli, pijany i zaniepokojony moim przybyciem. Nawet Chotard przyłączył się do nich. Wpada do pokoju, nieco zbyt kurczowo trzymając swoją walizeczkę. Staje przede mną z błędnymi oczami.

— Charlie. Wszystko w porządku.

Jos z trudnością potwierdza, że wszystko obyło się bez problemów.

Nie mogę mieć do nich pretensji. Oni też postanowili się zabawić. Sam jestem znany z wywracania wszystkiego do góry nogami i wandalizm zawsze mi się podobał. Poza tym wezmę ich mocno w garść dopiero w Afryce.

Moje rozbawienie rozwściecza Cię Zohrę, która znów zaczyna wrzeszczeć. Two wstaje. W ręku trzyma maczetę. Podnosi rękę. Jacky blokuje mu ramię w ostatniej chwili.

— Two! Zwariowałeś!

Oba czarnuchy nie wyglądają najtrzeźwiej. Czapki mają przekrzywione, a ich oczy są czerwone od przepalenia. Two szczyrzy zęby.

— Trzeba ją uspokoić, szefie.

Dobrze wiem, co rozumieją przez „*uspokoić*”. W ich kraju żadna kobieta nie podniesie głosu na mężczyznę z tego prostego powodu, że mają wycięte łechtaczki, czyli są bezpłciowe. Nie sądzę, by Tia Zohra zgodziła się na taką operację.

— Zobaczmy, zobaczymy. Siadaj. Dlaczego rozpaliliście ognisko?

— Och! Jest bardzo zimno, szefie.

Jak im wytłumaczyć? U nich rozpala się ogień w domu, kiedy jest zimno. Wskazują na stos deszczulek, wszystko, co pozostało po meblach.

— Stara na nas wrzeszczała, bo zabraliśmy drewno. Ale ogień z węgla zabija, jeśli się oddycha, szefie.

Odsyłam Cię Zohrę do domu, zapewniając, że za niecałą godzinę ją odwiedzę i zapłacę wszystko, co jestem winien. Z Jackym robimy obchód domu, a za nami łązi Capone, bez przerwy powtarzając, że cieszy się, że mnie widzi.

W jednym z pokoi znajduję Jeana–Paula i Olmera, naszych zawodowców. Ledwo zaczynają swoją litanię wyrzutów, każę im się zamknąć. Wallid leży w wannie, w ubraniu, co jest obrzydliwym widokiem. W kuchni natykam się na Samuela Grapowitza. Siedzi na krześle, przed nim na podłodze stoi pusta butelka, opiera głowę o ścianę przedstawiając uosobienie rozpacz.

— Samuelu Grapowitz. Wszystko dobrze?

— Tak.

— Co ci się stało?

— Nic.

— Przecież widzę, że coś jest.

— Nie.

— Powiesz mi wreszcie?

— O mało nie straciłem małego, Charlie.

— Jak to?

— Poważnie!

I opowiada mi łzawym głosem. W Barcelonie zaraził się straszliwym syfilisem. Miejscowy lekarz w końcu wyleczył go za pomocą cewników i czternastu zastrzyków, robionych ogromnymi szklanymi strzykawkami. Samo wspomnienie przeraża go. Przez jego ciało przebiega długi dreszcz. Samuel Grapowitz to miły facet, ma mnóstwo zalet i jest prawdziwym geniuszem

szwindla, co budzi we mnie szacunek, ale czasem jest trochę zbyt miękki i trudno nim kierować. Bardzo łagodnie pocieszam go.

— Jest już po wszystkim. Wyzdrowiałeś. Wszystko w porządku.

Podnosi głowę i mój wzrok spotyka się ze spojrzeniem pełnym głębokiej rozpacz.

— Wszyscy pierdolili, Charlie, Jos, Capone, wszyscy. Każdy miał jakąś w łóżku, a niektórzy nawet dwie. Hałasowali przez całą noc. A ja... Ja... Nawet jednej nie mogłem przerznąć.

Uciszam jego łkanie, obiecując mu Afrykanki już niedługo, i przysięgam mu, że sprowadzę dla niego dziewczyny już w Colomb–Bechar, po czym posyłam go spać. Kiedy wychodzę z kuchni, zderzam się z Caponem.

— Ten Żyd zwariował, Charlie. Wiesz, o czym mówi bez przerwy?

— Tak, wiem. Samuel Grapowitz jest bardzo sentymentalny, nie trzeba na to zwracać uwagi. Idź spać. Rano wcześniej wyjeżdżamy.

Wpadam do salonu i krzyczę do wszystkich, żeby kładli się spać. Reakcja jest zbyt niemrawa na mój gust. Podnoszę z ziemi butelkę i rzucam nią w Albanę. To skłania ich do pośpiechu.

* * *

Tia Zohra przygotowała mi kawę i rachunek. Suma, którą tam wypisała, wystarczyłaby na wybudowanie nowego domu i zakup żywności na miesiąc dla wszystkich lokatorek. Daję jej jedną czwartą i jest zachwycona.

O piątej rano budzę wszystkich za pomocą węża ogrodowego, oblewając śpiących lodowatą wodą. Nie pozostawiam im czasu na wytarcie się ani na wypicie kawy. Rozkazuję, aby ciężarówki ruszyły za dziesięć minut. Silniki zaczynają się rozgrzewać.

Natychmiast wraca dawny rytm pracy. Jedziemy do Alicante. Potrzebujemy jednego dnia i jednej nocy, żeby tam dojechać, akurat na czas, żeby załadować się na prom.

Bary przy szosie otwarte są całą noc, i są pełne. Kraj, który właśnie odzyskał wolność, to piękna rzecz. Ludzie są szczęśliwi, mogą mówić co chcą, i mogą opowiadać głupstwa, jeśli mają na to ochotę. Długo powstrzymywany ogromny wybuch śmiechu rozbrzmiewa we wszystkich kawiarniach Hiszpanii. Ucisk tyranów to prawdziwa zbrodnia. Często przejeżdżam przez kraje rządzone przez dyktatorów i władza, jaką posiada taki bandyta na tronie, zawsze doprowadzała mnie do wściekłości. Dyktator

działa bez ryzyka. Masy ludowe to debile. Łatwo jest nadużywać władzy. Ci biedacy na dole mogą tylko zginać kark. Czasami skarżą się, ale nigdy nie sięgają po broń czy porządną bombę, żeby pójść i załatwić sprawę raz na zawsze. Trzeba dopiero, żeby ktoś przyszedł i nimi potrząsnął. Kiedyś, po innych przygodach, jeśli jeszcze będę przy życiu, pojedę załatwić jakiegoś dyktatora.

Przez część popołudnia konwój blokuje nabrzeże załadownicze w porcie Alicante. Sporo czasu trzeba, żeby zjechać dwunastoma ciężarówkami do ładowni, tym bardziej że trzeba to zrobić na wstecznym. Spośród nas wszystkich tylko obaj zawodowcy to potrafią. Cofać długą naczepę to jedyny trochę skomplikowany manewr przy tego rodzaju sprzęcie. Trzeba kręcić kierownicą w tym samym kierunku, w którym się chce jechać, odwrotnie niż w samochodzie. Jeśli tylko człowiek się pomyli, rzecz jest nie do odrobienia. Naczepa jedzie Bóg wie gdzie, szybko ciągnik staje pod kątem prostym w stosunku do niej i wtedy jest po wszystkim. Trzeba wtedy odłączyć ciągnik i zaczynać wszystko od początku. Jean–Paul i Olivier biegają między ładownią a ciężarówkami. Ustawiają je jedna za drugą.

Pozostali, skupieni dookoła mnie i oparci o reling, spokojnie przyglądają się całej operacji. Jeden z pracowników portu podchodzi, rozbawiony, i pyta, dlaczego sami nie wprowadzamy naszych wozów.

Ucinam jego pytania.

— Tamci dwaj to zawodowcy jazdy do tyłu. My jesteśmy zawodowcami jazdy do przodu.

* * *

Nocna przeprawa przez Morze Śródziemne odbywa się szybko i bez problemów. One i Two pozostają przez cały czas w ładowni, mając za zadanie pilnować ciężarówek. Jos i Capone dołączyli do nich. Kiedy dopływamy, w czasie przygotowań do wyjazdu z ładowni, Jos pokazuje mi, ukryty w stosie opon, cały zestaw łańcuchów i żelaznych haków. Sprzęt należy do wyposażenia promu, zwinęli to podczas podróży. Przyklaskuję tej inicjatywie. Niedaleko stoi Capone z petem w ustach i odgrywa wielkiego bandytę uśmiechając się kącikiem ust.

Zbieram wszystkich na małą odprawę.

— Chłopaki, nie znam nikogo wśród celników w Oranie. Nie ma żadnego niebezpieczeństwa, ale chcę, żebyśmy jak najmniej rzucali się w oczy. Wyjeżdżamy w szyku, ustawiamy się i czekamy w kabinach. Jasne?

Czekamy tak dwie godziny, w pełnym słońcu. Polecenia wykonane zostały co do joty. Nikt nie wysiadł. Tylko Chotard przechadza się nerwowo przed ciężarówkami. Jak zwykle ma pietra. Faktem jest, że ponieważ nigdy tędy nie przejeżdżałem, nikomu też nie posmarowałem. Ale sądzę, że nigdy nie jest za późno na dobry uczynek.

Algierscy celnicy są na ogół uczciwsi niż w innych krajach Afryki. Ci nie wyglądają na wyjątki. Robią swoje, bez specjalnej złośliwości, ale też bez uprzejmości. Starszy facet z wielkimi wąsami stawia nam kupę pytań. Trochę mnie to niepokoi. Nie chcę, żeby założyli plomby na naczepy, zamierzam sprzedać trochę towaru w Algierii. Dopiero po dobrej godzinie dyskusji udaje mi się ich przekonać, że nie stanowią zagrożenia dla gospodarki kraju, jako że mój ładunek przeznaczony jest wyłącznie dla krajów Czarnej Afryki. Nawet jeśli mi nie uwierzyli, w każdym razie dobrze udawali. Tak czy inaczej, przepuścili nas.

Ruszamy. Moim celem jest jak najszybciej dojechać do Adraru, bramy Sahary i pierwszego etapu handlowego, to jest pokonać jednym ciągiem osiemset kilometrów. Dostyc już straciliśmy czasu, i będzie to dobra zaprawa dla moich ludzi. Więc jedziemy. Szosa przechodzi przez górski masyw tuż za Oranem. Przez kilka godzin walczymy z zakrętami, po czym zjeżdżamy w dół i dalej mamy już równinę. Jak okiem sięgnąć ziemia jest czerwona, porośnięta małymi kępkami suchej trawy. Grzeje nas dobre stare afrykańskie słońce. Opuściłem szybę, szczęśliwy, że znowu jest gorąco. Na drugim postoju dla uzupełnienia wody i oleju wszyscy są już w samych koszulach. Wallid wyciągnął swój zawój. Witam Afrykę głośnym wesołym trąbieniem.

* * *

Późnym popołudniem konwój dociera do Bechar. Około dziesięciu kilometrów przed miastem znajduje się wiele placów postojowych dla ciężarówek, na ogół zaopatrzonych w cysterny z wodą o zgiętych pod kątem prostym rurach. Na jednym z takich piaskowych parkingów zatrzymuję wszystkich na wieczorny posiłek. W Bechar czeka nas ważne zadanie. Zaraz po kolacji uprzedzam wszystkich, że długo tu nie zostaniemy. Dla chętnych jest w Bechar ciekawostka turystyczna pierwszej klasy, zakład zwany „U

Fifine”, ostatnia pamiątka po Legii Cudzoziemskiej, i najślynniejszy burdel w całej historii francuskiego kolonializmu. Wyjaśniam chłopakom, że cnota algierskiej kobiety, podobnie jak wszystkich muzułmanek, podlega ścisłej ochronie. Wallid potwierdza moje słowa ruchem kciuka wokół szyi. Ciach! Nie chcę zatargów z mężami czy braćmi, które opóźniłyby przejazd konwoju. Krótko mówiąc, zmuszam ich, żeby poszli, zresztą bez większych trudności.

Wallid był już tutaj ze mną. Pod pretekstem zasad religijnych odmawia udziału w wyprawie do „*Fifine*”. Indianin od początku co chwila wyciąga zdjęcie swojej żony. Mruczy, że nie pójdzie jej zdradzać do burdelu. Capone opieprza go:

— Więc co, nie popierdolisz sobie tylko dlatego, że zostawiłeś tam swoją starą?

— Tak, żebyś wiedział. Tak.

— A wyobraź sobie, że twoja żona ma chwilę słabości. Tylko nie mów, że nie, z dziwkami nigdy nie wiadomo. Może właśnie wali się z listonoszem. A ty co, będziesz udawał księdza na pustyni? Wychodzisz na idiotę.

Capone zostawia swojego kumpla i idzie się przygotować. W momencie, kiedy ma już zniknąć za ciężarówką, odwraca się w kierunku Indianina, który siedzi nieruchomo.

— Wychodzisz na idiotę! O!

Indianin wstaje i idzie się przygotować.

* * *

Chłopaki biorą prysznic pod cysterną i wyciągają swoje zapasowe ciuchy. Zrobili się na sto dwa dla tych panienek. Upycham wszystkich do peugeota 504 i jedziemy do Bechar.

Jest to małe nowoczesne miasto, prawie w całości zbudowane w stylu francuskim. Można by pomyśleć, że to jakieś miasteczko z południa Francji. Dom „*U Fifine*” jest w stylu mauretańskim, łukowe sklepienia i ściany do połowy wyłożone ceramicznymi płytkami. Na parterze kupuję dla każdego bilet.

— Panowie, ten bilet daje wam prawo do jednego numeru. Ponieważ zachowywaliście się dobrze, wyjątkowo oddaję wam moją ulubioną. Kiedy wywołają was na piętrze, proście o Kleopatę.

Zostawiam ich przy wschodnich uciechach i idę czekać przy barze, w towarzystwie Chotarda i Jacky’ego. Zapomniałem powiedzieć chłopakom, że

personel „*U Fifine*” waży średnio po dziewięćdziesiąt kilo. Kleopatra też. Tak naprawdę to zapomniałem im powiedzieć wiele rzeczy.

Wychodzą jeden po drugim, rozczarowani, i żadnemu nie przychodzi do głowy mi podziękować, z wyjątkiem obu czarnuchów. Im to się podobało. Ilość to dla nich synonim jakości.

Parę minut później konwój odjeżdża.

Jedziemy przez całą noc. Czuję się dobrze. Na pustyni czuję się jak u siebie, i zbliżamy się do tej części, którą lubię najbardziej. Chcę teraz dać ludziom do zrozumienia, że zmieniamy reguły gry, i daję mi do tego okazję obaj zawodowcy. Podczas postoju na kawę, wodę i olej przychodzą porozmawiać. Według nich tak dłużej nie można, narażamy się na wypadek z powodu braku snu. Słyszeli, jak ludzie się skarżą, i pozwolili sobie...

Pierwszy policzek zaskakuje Oliviera, drugi sprawia, że ucieka co sił w nogach. Jego brat już się wycofał. Uderzyłem go bez złości, ale tego typu próby buntu tłumić trzeba w zarodku. A poza tym dobrze będzie, jeżeli wszyscy już teraz zdadzą sobie sprawę, że przechodzimy do spraw poważnych.

Kończę kawę i zarządzam wyjazd.

Dopiero koło południa następnego dnia dojeżdżamy do Adraru.

Ranek był trudny. Oprócz zmęczenia dokucza nam upał, który ciąży na moich ludziach jak ołowiana pokrywa. Intensywne światło sprawia ból przekrwionym oczom. W ciągu dwóch dni mój zespół z Hiszpanii przeniósł się na Saharę. Dookoła piasek jak okiem sięgnąć.

Nie wjeżdżam do Adraru. Skręcam na asfaltową szosę omijającą miasto i ustawiam konwój obok pomp benzynowych, na obszernym placu, którego zwykle używam jako parkingu.

Moje ciężarówki ustawiają się jedna za drugą. Nie zakończyliśmy jeszcze manewrowania, kiedy nadbiega kilkunastu facetów. To moi zwykli pomocnicy, jak zawsze powiadomieni o moim przyjeździe. tajemniczymi miejscowymi sposobami. Na czele postępuje Kara, mój osobisty pomocnik, który nikomu innemu nie odstąpiłby zaszczytu pozdrowienia mnie jako pierwszy.

To Tamachek z okolic Aguelock. Ma dwa metry wzrostu. Jego niebieski zawój dodaje mu jeszcze dziesięć centymetrów.

— Szefie, tamci mówili ty już nie przyjechać, ale ja wiem, że ty jedziesz.

Odwzajemniam jego pozdrowienie. Za nim, o wiele niższy, stoi mój drugi pomocnik, Ahmed, też ubrany na niebiesko. Nieco dalej inni, których dobrze znam. Pięciu Tamacheków i trzech Malijczyków, wśród których między innymi Jussuf, który zawsze towarzyszył moim konwojom przynajmniej przez część drogi i który po Karze jest najsilniejszy fizycznie, jest niski i krępy, z byczym karkiem. Mięśnie na jego ciele są imponujące. Wszyscy oni są bogaci, odkąd pracują dla mnie, i są raczej dobrze ubrani.

Powoli schodzi się około pięćdziesięciu innych. Każdy przynajmniej raz towarzyszył mojemu konwojowi, i wszyscy znają moje płace. Daję im francuskie wynagrodzenie minimalne — SMIC — za miesiąc pracy, czyli piętnaście razy więcej niż to, co zarabiają normalnie.

Ubrani są w zbyt obszerne spodnie, dziurawe burnusy i koszule, które niczego już nie zakrywają. Jedyne, co ich łączy, to zawój na głowie zrobiony z nie zawsze czystego pasa materiału.

Tamachekowie wszyscy trzymają się bardzo prosto.

Krzyczę do nich, żeby wrócili później, pod koniec popołudnia. Zostają tylko moi pomocnicy. Kara natychmiast bierze się za przygotowanie herbaty, żeby uczcić mój powrót. Pozostali siadają nie opodal. Powoli schodzą się też moi ludzie. Kara rozpałił małe ognisko, i szykuje trzy herbaty. Jedną bardzo gorzką, jedną prawie zdatną do Picia i jedną dosyć słodką. To sposób na pragnienie. W tej właśnie chwili Prawo zakłóca nam uroczystość. Ostrzega mnie Jacky.

— Charlie, patrz, idzie ten skurwysyn Raban.

Rzeczywiście, Pan Naczelnik, szef urzędu celnego w Adrarze, nadchodzi wielkimi krokami, w towarzystwie dwóch podwładnych. Rabah to jedyny uczciwy celnik w tym kraju. Nienawidzi mnie. Ja jego nie lubię. On jest celnikiem, a ja przemytnikiem.

— Panie Charlie!

Krzyczy, zanim jeszcze do mnie podszedł.

— Panie Charlie, dobrze pan wie, że jest pana obowiązkiem stawić się w urzędzie celnym natychmiast po przyjeździe!

— Jak leci, celniku?

— Proszę uważać na to, co pan mówi. Rozmawia pan z zaprzysiężonym funkcjonariuszem.

Rabah chlubi się swoim wykształceniem i uwielbia imponować swoim francuskim.

— Grubo się pan myli sądząc, że będę tolerował pańskie wybryki. Prawo algierskie upoważnia mnie do nakładania sankcji za takie wykroczenia. Powinien pan ustawić swoje pojazdy przed naszą siedzibą, aby można było sporządzić spis przewożonych towarów. Jeśli sądzi pan, że może się uchylać...

— Ależ spokojnie, celniku. Ledwo przyjechaliśmy. Daj nam czas na wypicie herbaty. Chcesz się napić?

Capone z wściekłą miną mówi coś o rozwaleniu mały. Jacky ucisza go. Nie można grozić uczciwemu celnikowi. Rabah kontynuuje swoje kazanie. Żąda, abyśmy ustawili konwój przed jego budynkiem, i żebym natychmiast przyszedł załatwić formalności. Polecam Jacky'emu zajęcie się przejazdem i idę za Panem Naczelnikiem. Chotard i jego walizeczka towarzyszą mi.

Urząd celny nie jest daleko. To kilka prostopadłościaków zbudowanych z czerwonego materiału, który jest tutaj w powszechnym użyciu. Tu znajduje się biuro Rabaha, i siadamy tam czekając, aż przejdzie mu zły humor. Na zewnątrz, na piaszczystym placu przed budynkiem, ustawiają się moje ciężarówki. W pomieszczeniu nie ma wiele sprzętów. Za całe wyposażenie służą metalowy klaser i stół oraz kilka chwiejących się krzesel.

— No dobrze. Dowody rejestracyjne i ubezpieczenia.

Dlaczego ten facet musi stać na mojej drodze. Ta sama scenka odgrywana jest za każdym przejazdem. Wzdycham:

— Chotard, daj Panu Naczelnikowi dowody rejestracyjne i całą resztę.

Chotard zna cały ten cyrk równie dobrze jak ja, ale jego szacunek dla władzy przyprawia go o drżenie rąk. Podaje dokumenty Rabahowi, który szybko sprawdza, po czym uśmiecha się zachwycony.

Z łakomym wyrazem twarzy mówi:

— Deklaracja dewizowa.

Jest to świstek, który otrzymuje się przejeżdżając zgodnie z przepisami granicę przy wjeździe, toteż nigdy go nie mam.

— Chotard, podaj Panu Naczelnikowi naszą deklarację dewizową.

Chotard jest zupełnie pozbawiony wyobraźni. Za każdym razem odpowiada mi po hiszpańsku, że zgubiliśmy dokument.

— Panie Naczelniku, mój sekretarz mówi mi, że nasza deklaracja dewizowa zaginęła. Proszę nam to wybaczyć.

Jest szczęśliwy. To jego mała przyjemność. Może wlepić mi grzywnę w wysokości tysiąca dinarów, czyli stu dolarów. Na konwoju zarobię czterysta tysięcy dolców, więc stać mnie na taki prezent. Pomimo to, z zadowoloną miną, oświadczam mu, że to dla mnie ciężki cios i że mam chore dzieci.

— Niech pan przestanie sobie ze mnie kpić. Pańskie ciężarówki muszą pozostać przed moim biurem przez cały okres pańskiego pobytu w Adrarze. W ten sposób będę mógł je nadzorować.

To coś nowego. Jest to kłopot, bo mam tu do załatwienia parę interesów. Nie będę mógł dostarczyć moich towarów pod okiem Rabaha.

— Celniku, przecież muszę napełnić baki.

— Pojedziemy razem.

Jego uśmiech mówi mi, że coś knuje. Musiał przygotować na mnie jakąś pułapkę w czasie bezsennej nocy.

Celniku, celniku, chyba nie myślisz, że uda ci się mnie załatwić. To ja, Charlie, przekupiłem wszystkich celników w Afryce.

— Proszę mnie powiadomić, kiedy będzie pan jechał pobierać paliwo. Do widzenia.

* * *

Werbunek pomocników to pierwsza sprawa, którą zajmuję się po sjeście. Kara ustawia wszystkich facetów, którzy byli tu już wcześniej.

To imponująca grupa. Zamierzam zatrudnić wszystkich, i będzie to wymagało dobrej organizacji, bo muszę uważać, kto jest jakiej narodowości, jeśli nie chcę rzezi podczas przejazdu.

Trudno zdać sobie sprawę, do jakiego stopnia rozwinięty jest w Afryce rasizm wśród poszczególnych ludów. Podczas gdy w Europie wszyscy walczą o zniesienie segregacji białych i czarnych, ci ostatni z zapamiętaniem wyrzynają się wzajemnie. W jaki sposób potrafią rozpoznać, kto jest kto, pozostaje dla mnie tajemnicą. Według mnie wszyscy są tacy sami. Można sobie wyobrazić, jaką aberracją było ustanowienie takich granic, według kryteriów geograficznych, nie biorąc pod uwagę historii narodów.

Nie mogę posadzić Tamacheków na ciężarówkach One i Two. Moje czarnuchy to Bełlahowie. Ich plemię było niewolnikami Tamacheków przez kilka stuleci. Francuzi tolerowali to i Bełlahowie wyzwoleni zostali dopiero

po przyznaniu Mali niepodległości. Po takiej tysiącletniej tradycji jest jeszcze zbyt wcześnie, by Bellah mógł rozkazywać Tuaregowi. One i Two dostaną czarnych Malijczyków. Wszyscy pomocnicy malijscy są z plemienia Bambara, z wyjątkiem paru Fulbejów, którzy są rzadkością.

Nie mogę też tworzyć mieszanych zespołów pomocników Tamachek i Bambaru. Pierwsi zajmują północ kraju, jego część pustynną, drudzy to Murzyni pochodzący z południa, chociaż od wielu pokoleń żyją na pustyni. Obie narodowości nienawidzą się do tego stopnia, że zaraz po ogłoszeniu niepodległości prowadziły ze sobą wojnę. Bambara, którzy mają władzę i opanowali administrację w Mali, wysłali armię przeciw Tamachekom, którzy zrobili właśnie powstanie. Skończyło się to źle dla wszystkich. Armia malijska zaginęła na pustyni. Francja musiała wysłać śmigłowce na poszukiwanie tych paru tysięcy ludzi zagubionych z dala od szlaków. Historyjka nie figuruje w żadnym podręczniku, ale do dziś bawi Tamacheków. Masakry, która potem nastąpiła, nie uważają już za zabawną.

Wallidowi mogę dać tylko Tamacheków. Między Mali a Algierią stosunki nie są najlepsze. Albanie muszę przydzielić ludzi z plemienia Bambara, jak on sam, i tak dalej. Aby wszystko odbyło się szybko, każę pomocnikom określić swoje pochodzenie:

— Ludzie Bambara, podnieście rękę.

Kara i Wallid przechodzą wśród szeregów i tłumaczą. Podnosi się kilka rąk. Jak zwykle trzeba powtarzać pięć razy. Żaden Afrykanin nie rozumie od razu niecodziennego rozkazu.

Za pierwszym razem trzech facetów podnosi ręce, ale ponieważ czują się osamotnieni, szybko je opuszczają, by zaraz podnieść je znowu wobec krzyków Kary.

— Bambarowie, podnieście rękę!

Trzy nowe ręce idą w górę, nie, tylko dwie, bo jeden facet podniósł obie ręce, a pozostali szybko idą za jego przykładem. Zastanawiam się, co jeszcze podniosą, jeśli ponowię rozkaz.

— Podnieście rękę.

Bambarowie podnoszą rękę.

Nowe ręce idą w górę, ale w tym czasie podniesione wcześniej opadają. Do Kary i Wallida dołącza Albana, który korzysta z okazji i zgrywa ważniaka. Podchodzę do faceta koloru kawy z mlekiem.

— A ty kim jesteś?

— Bambara, szefie.

— Więc na co czekasz, żeby podnieść rękę?

Uśmiecha się do mnie i podnosi rękę. W końcu mamy ich wszystkich. Są wyraźnie w mniejszości.

— Teraz Tamachekowie. Podnieście rękę.

Bambarowie nie opuszczają swoich, więc razem z Tamachekami mam przed sobą dwudziestu facetów z łapami w powietrzu, którzy z uśmiechem na ustach próbują łapać chmury.

Muszę poodsuwać od siebie poszczególne grupy, żeby wreszcie mieć przegląd całości. Udaje się w końcu jakoś to porozdzielać. Oddaję wszystkich Murzynów Albanie, One i Two. Tamacheków, przydzielam pozostałym.

Zadaniem pomocników jest zajmować się swoją ciężarówką, i tylko tą. Jeśli spotykam kogoś na innym wozie, wyrzucam go. Na każdej ciężarówce jest ich pięciu albo sześciu. To o wiele za dużo. Dwóch lub trzech zupełnie wystarczy, ale skoro konwój jest wielki, równie dobrze można robić rzeczy ponad miarę w innych dziedzinach. Dwanaście przeładowany ciężarówek unieruchomionych na tym parkingu i już pokrytych pyłem, każda z załogą, obozującą nie opodal, tworzy przyjemny widok. Pilno mi już zobaczyć, jak jadą.

* * *

Rabah nie ustępuje, i przez parę dni muszę tkwić przed jego urzędem. Od czasu do czasu widzę, jak stoi na ganku z rękami założonymi do tyłu, na palcach, i napawa się widokiem mojego pięknego zespołu na postoju. Smutny przykład uczciwego urzędnika w orgazmie.

Z dnia na dzień życie obozowiska normuje się. Pracownicy zbudowali kuchnię pod płachtą rozpiętą między dwiema ciężarówkami. Wokół wozów płoną małe ogniska pomocników. Wzdłuż naczep porozwieszane są sznury do suszenia bielizny. W cieniu porozkładane są bidony i plastikowe kanistry z wodą. Od czasu przyjazdu zmieniliśmy układ wozów. Cztery ciężarówki ustawione są w poprzek, jedna za drugą, naprzeciwko budynku celników, co zapewnia nam nieco prywatności zasłaniając nas przed niedyskretnymi spojrzeniami Rabaha.

Dni są długie. Bezczynność upalnych popołudni jest trudna do zniesienia. Nieliczne zajęcia, jakie możliwe są w Adrarze, wyczerpały się.

Odwiedziłem Ajudżila, jednego z pierwszych moich klientów na szlaku. Stał się moim przyjacielem i najpoważniejszym nabywcą moich towarów. Duża ilość części zamiennych i jeden z silników są przeznaczone dla niego. Mieszka w dużym czerwonym domu w Adrarze, podobnym do wszystkich innych. Nasze spotkania stały się już prawie tradycją. Uczestniczy w nich zawsze inny przyjaciel, gruby, wąsaty, jowialny i skorumpowany, wysoki urzędnik z Adraru.

Ajudżil to zręczny handlowiec. Zajmuje się transportem i odsprzedażą części mechanicznych, i dobrze mu się powodzi. W zaciszu jego domu prowadzimy nasze interesy.

Nie uważam, abym szkodził tutejszym mieszkańcom, wprost przeciwnie. Fakt, że moje ceny są wysokie, ale zawsze niższe niż ceny państwowe. Poza tym wiele spośród rzeczy, które przywożę, jest tu nie do kupienia. Właściwie jestem nieomal dobroczyńcą ludzkości. Władze są niestety innego zdania, i gdyby wiedziały, co knuje się pod tym dachem, skończyłoby się to więzieniem dla mnie, a jeszcze gorzej dla pozostałych. Dobrodziejstwo nigdy nie jest wynagradzane!

Ajudżil słyszał już o moich kłopotach z Rabahem, ale nie wie, co tamten szykuje. Potwierdzam mu, że przywiozłem wszystko, o co mnie prosił, i oznajmiam mu ceny. Wypija łyk koniaku. Jego oczy błyszczą za okularami. Nadeszła pora targów. Przez ponad godzinę walczymy ze sobą przyjaźnie. Fakt, iż jesteśmy kumplami, nie przeszkadza, że każdy chce zrobić możliwie najlepszy interes.

W końcu dochodzimy do porozumienia. Następnie organizuję dostawę. Nie ma mowy o tym, żeby Rabah dowiedział się o tej transakcji. Dostarczę towar na pustynię, w nocy. Wyznaczam spotkanie w miejscu między Adrarem a Reggane, o około dziesięć kilometrów od szlaku. Ajudżil przyjedzie z własnym transportem. Kiedy tylko będę mógł się ruszyć, zawiadomię go.

— Musisz mi zapłacić od razu. Daj mi w dinarach tylko tyle, żeby starczyło na zatankowanie. Resztę we frankach malijskich albo CFA. Zgoda?

Poza Algierią dinar wart jest tylko tyle, co papier, na którym jest wydrukowany, i jest niewymienialny.

— Nie ma problemu, Charlie. Znajdę ci to. Zamierzasz sprzedać ropę w Mali?

Rzeczywiście, nie licząc tego, co spalą ciężarówki, zawartość cystern zostanie sprzedana po drugiej stronie granicy. Algieria jest producentem ropy. Olej napędowy kosztuje tam grosze. W Mali, gdzie często są braki, wart jest dwa do czterech razy więcej, co oznacza duży zysk zaraz po przejechaniu granicy.

— Sporo zarobisz. Charlie. W Gao nie ma już ani kropli ropy. Mój kuzyn utknął tam już od tygodnia. Zaraz przyniosę pieniądze.

Z kieszeniami pełnymi forsy robię na mieście kilka sprawunków. Kara towarzyszy mi, by służyć za tragarza. W Adrarze jest tylko jeden dom towarowy, gdzie sprzedaje się to, co jest, czyli niewiele. Na pewno wiadomo tylko, że są tam głowy cukru, których potrzebuję, oraz mleko skondensowane. Kupuję w dużych ilościach, podobnie jak worki ryżu i makaronu. Kara zanosí wszystko do peugeota. Zawsze zadziwia mnie ten facet. Kuca przy ładunku, jego pająkowate ręce opasują go. Wstaje i stukilowy worek podnosi się ku górze, bez trudności. Nie trzeba dać się zwieść chudości tego faceta. Każde z jego ramion to potężna dźwignia. Jego ogromne dłonie to szczypcy, w które lepiej nie wpaść. Jest miły i względnie inteligentny, w każdym razie bardzo kompetentny w swojej pracy. Wie wszystko o szlaku i ciężarówkach. Dzięki swej sile i doświadczeniu stał się sławny wśród pomocników. Jego niekwestionowany autorytet robi z niego nieocenionego szefa zespołu.

On zajmuje się wyposażeniem ciężarówek. Moje landary otrzymują ostatni retusz, czyniący z nich prawdziwe pojazdy pustyni. Do każdej zamocowanych zostaje po dwadzieścia podkładów, ponad dwumetrowych blach pokrytych na całej powierzchni otworami. Zwisają poziomo wzdłuż naczepy. Pod przednią częścią, tak, by zawsze znajdowały się w cieniu, zawieszane zostają dzerby. Są to bukłaki z koziej skóry, niedokładnie wyprawionej, mocowane za nogi. Woda nabiera w nich trupiego zapachu, ale zawsze wilgotna dzerba utrzymuje ją w chłodzie. Podobny sposób stosujemy w odniesieniu do naszych manierek. I w tym przypadku Kara zajmuje się nauczaniem moich kierowców. Wokół butelki owijają się szmatę lub koszulę i zawiązują sznurkiem. Jeżeli co pewien czas będzie się zwilżać materiał i jeśli manierka zawieszona zostanie na lusterku bocznym, pęd powietrza będzie chłodził wodę. Aby zapewnić wodę do innych potrzeb, to jest do chłodziń i do mycia, pomocnicy zawieszają na burtach naczep połówki dętek do

ciężarówek. W ten sposób woda dostępna jest łatwo na każdym postoju, bez potrzeby przesuwania wszystkiego, żeby wyciągnąć bidony.

* * *

Z własnej inicjatywy Jos zapędził wszystkich do uzupełnienia zamocowań ładunku. Skradzione na promie łańcuchy okazują się bardzo przydatne na otwartych naczepach. Jos kazał poprzeciągać je Ponad ładunkiem i zaczepia haki o brzegi platformy. Ręczna naciągarka na korbę pozwala dobrze wszystko napiąć. Obaj zawodowcy pracują razem z nim. Tych dwóch zupełnie nie potrafię zrozumieć. Jeszcze bardziej zamknęli się w sobie, ale nigdy nie ociągają się przed robotą, i nie szcędzą rad Josowi. Potrzebują forsy, nie chcą zostać wylani. Nie rozmawiamy ze sobą.

Odkąd wróciliśmy do Algierii, odzyskałem swoje przyzwyczajenia wielkiego szefa. Jako dobry kolega, Jacky urządził mi moją kabinę komfortowo. Na postoju wewnątrz chłodzą dwa wentylatory podłączone do akumulatora. Zakupiona w Hiszpanii szynka zwisa z sufitu, zawinięta w szmatę. Nad kuszetką kosz z suszonymi owocami. Moje łóżko ścielone jest codziennie i regularnie zmieniana pościel. Mam nawet jedwabny szlafrok z moimi inicjałami. Jacky założył mi doskonały radiomagnetofon stereo, który gra bez przerwy. Każdego ranka Capone stoi przy stopniach mojej kabiny, z kawą w rękę, i czeka, aż się przebudzę. Po naszym przyjeździe do Adraru sam się zgłosił, żeby zostać moim osobistym fryzjerem. Ma cały sprzęt i goli mnie bardzo profesjonalnie, z podniesionym małym palcem i skupionym spojrzeniem. Później spędza ze mną chwilę, opowiadając różne głupstwa i paląc skręta. Na ogół w tym czasie przychodzą wszyscy po kolei zapytać, co nowego, wysłuchać poleceń i pociągnąć skręta. Siedząc wygodnie, w szlafroku i wysokich butach, przyjmuję moich ludzi i wysłuchuję raportów.

Któregoś ranka w obozie rozlega się wycie. Okrzyki przerażenia zbliżają się do mojej kabiny. Ogarnięty histerią Samuel Grapowitz ryczy o parę metrów od mojej ciężarówki, z rozpiętym rozporkiem, z obiema rękami między nogami.

— Charlie, Charliiiiiie, mam syfa, Charlie!

Jacky, zwabiony okrzykami, pokłada się ze śmiechu. Nadchodzi naburmuszony Capone z dzbankiem kawy.

— Nie ma co tak wrzeszczeć. Nie tobie jednemu się trafiło.

Z trudem powstrzymuję uśmiech, pytając niewinnie:

— Co, tobie też?

— A jak! I to na poważnie. Żebyś to widział! Musiałem to złapać „*U Fifine*”, w Bechar.

Wrzaski Samuela Grapowitza, które oddaliły się już na drugi koniec obozu, przybliżają się ponownie.

— Wsadzą mi cewnik w małego. Cewnik w małego!

Jacky przekonuje go, żeby przyłączył się do nas i pojechał do przychodni w Adrarze.

W kierunku peugeota podąża smutna procesja. One, Indianin, Jos, Capone, obaj zawodowcy, Albana, Two i Samuel Grapowitz, wszyscy zarazili się syfem.

Wprowadzam ich do gabinetu zabiegowego. Pielęgniarski to wysoki facet w białym fartuchu. Przygląda się wszystkim z kamienną twarzą, po czym bez słowa odwraca się i zaczyna krzątać się przy instrumentach.

Nikt nic nie mówi. Chłopaki są raczej blade. Pielęgniarski zapalił palnik gazowy i gotuje wodę. Poza tym nie widać, co robi. Sterylizuje narzędzia. Machinalnie pogwizduje w czasie pracy. Wreszcie podnosi nad głowę, żeby ją widzieć pod światło, ampułkę z płynem i napełnia strzykawkę. Wszyscy mogą zobaczyć gęsty, biały płyn, jasne, że to penicylina.

Samuel Grapowitz zrozumiał już, dlaczego ten facet wie, bez badania, jakie lekarstwo jest potrzebne, i posyła mi ze swego krzesła mordercze spojrzenie. Mogę tylko lekko wzruszyć ramionami. Tak, stary, Kleopatra to najbardziej trefna dziwka na południu Algierii. Zostawiła już pamiątkę co najmniej pięćdziesięciu kierowcom, którym doradziłem „*moją osobistą kochankę*”.

Pielęgniarski odwraca się z pełną strzykawką i kolejno przechodzi od faceta do faceta.

— Ilu tym razem, panie Charlie? Ośmiu? Ostro idziesz!

Tym razem znieść muszę osiem spojrzeń pełnych nienawiści. Pielęgniarski kiwa na Josa, żeby podszedł, i pyta:

— Pamiętałeś o moich džinsach, panie Charlie?

— Ależ tak, oczywiście. Chotard, dasz mu jego džinsy.

Jos stoi z twarzą ku mnie, na parę sekund przed zastrzykiem, i jest jednym wielkim wyrzutem. Jacky i ja wychodzimy, żeby schronić się w peugeocie, gdzie wygodniej nam będzie skręcać się ze śmiechu.

* * *

Skoro zrobiliśmy już wszystko, co było do zrobienia, każę zwijać obóz. Idę odwiedzić Rabaha w jego biurze.

— Panie Charlie, co mogę dla pana zrobić?

— Nic. Przychodzę zawiadomić cię uniżenie, że jadę zatankować ropę.

Rozpiera się wygodnie w fotelu i zupełnie nie podoba mi się uśmiech, który do mnie kieruje.

— Doskonale. Na ile szacuje pan swoje potrzeby?

Potrzebuję dziesięciu tysięcy litrów na przejazd, licząc z górką. Poza tym muszę wypełnić całkowicie swoje cysterny, żeby mieć czym handlować. Oświadczam więc, że siedemdziesiąt pięć tysięcy litrów. Skacze na równe nogi.

— To kłamstwo! Jeszcze raz próbuje mnie pan oszukać!

Wymachuje kawałkiem papieru pokrytym liczbami i drze się:

— Rozmawiałem z miejscowymi kierowcami i ustaliłem bardzo dokładnie pańskie zapotrzebowanie na olej napędowy. Ma pan prawo do dwunastu tysięcy litrów, nie więcej.

Dla zasady dyskutuję, opowiadam o zjeżdżaniu ze szlaku, o dodatkowych potrzebach w razie zagubienia drogi, ale wiem, że ten punkt jest dla niego. Tych parę tysięcy litrów, które udaje mi się wytargować, niewartych jest wzmianki. Towarzyszy mi do pomp i tkwi tam przez całe tankowanie. Udaje mi się jednak nieco go zaniepokoić oświadczając, że jednak zmieniłem zdanie i że zostanę jeszcze trochę w Adrarze.

Uważaj, celniku, Charlie zostaje w okolicy. Poczekał, aż wyślą cię służbowo poza Adrar, jak to często się zdarza. I wtedy napełnię cysterny. Mnie się nie śpieszy.

* * *

Ale nie jestem też cierpliwy i następne dni są wyczerpujące. Rabah odgadł, że czekam na jego wyjazd, żeby ominąć zakaz, i skurwiel siedzi na miejscu. Konwój ponownie ustawiony jest przed urzędem celnym, wszystkie urządzenia zostały na nowo zamontowane. Zaczynam mieć dość tego siedzenia tutaj i bezczynności. Tylko parę rozrywek pomaga nam przetrwać.

Niedaleko zatrzymała się mała ciężarówka. To dziesięcotonowy mercedes koloru khaki, stary model, dosyć niski. Na platformie załadowany jest peugeot 404 pod plandeką. Ciężarówką jedzie dwóch białych.

— Chotard.

Chcę ich uprzedzić, że nie powinni sprzedawać swoich wozów w Mali, chyba że mnie. Przekazanie takiego zawiadomienia przez ambasadora nadaje mu więcej powagi.

— Chotaaaard!

Mój księgowy nadbiega, zdyszany. Na wszelki wypadek wziął ze sobą swoją walizczkę. Ma na sobie nieskazitelną koszulkę Lacoste'a, a jego buty lśnią jak nowe.

— Pójdiesz do tych facetów tam, w moim imieniu — od razu rozumie i już jest zaniepokojony.

— Nic się nie bój, pójdzie z tobą Kara i dziesięciu pomocników.

Ale pamiętaj, zachowuj się grzecznie. Nie bądź wulgarny ani zarozumiały.

Wiem, jak łatwą i pociągającą rzeczą jest szpanować, kiedy ma się dziesięciu osiłków jako ochronę, a wykorzystywanie demonstracji siły to najlepszy sposób, żeby wzbudzić wrogość rozmówcy.

— Zapytaj, dokąd jadą. Jeśli do Mali, powiesz im, że wszystko trzeba sprzedać Charliemu, ciężarówkę i samochód. Wy tłumacz im, że psują mi rynek.

— Tak. Mam im coś zaproponować?

— Obiecay im cztery kawałki za wszystko, i uprzedź, że dalej na południe dam im mniej. Dokładnie im zaznacz, że i tak będą musieli sprzedać Charliemu, a cały czas masz być grzeczny i uprzejmy. Jak będą się stawiać, daj spokój.

Po półgodzinie Chotard i pomocnicy wracają. Tamci odmówili.

— Jacy są?

— Raczej sympatyczni. W typie mechaników. Ten, co decyduje, ma trzydzieści pięć lat, drugi jest starszy...

— Byli grzeczni?

— Tak całkowicie. Zdaje się, że zrobiła na nich wrażenie twoja metoda, delegacja...

— Dobra, dziękuję, to wszystko.

W końcu, skoro ci faceci chcą się napocić prowadząc moje samochody i jednocześnie opuszczając cenę, nie mam nic przeciwko.

* * *

Korzystając z wolnego czasu każę uzupełnić prowiant. Kupiłem kilkanaście żywych owiec, które jako tako zostały usadowione na ciężarówce Albany. To jedyny sposób, żeby na szlaku mieć świeże mięso. Mięso martwe się psuje. Kazałem też kupić warzywa. Nigdy menu nie było tak urozmaicone jak w czasie tego ostatniego konwoju. Robię właśnie zakupy, w towarzystwie Jacky'ego, Kary i Capone'a, który wykorzystuje każdą okazję, żeby się przewietrzyć, kiedy nagle widzę starego znajomego. Jacky dostrzegł moje spojrzenie.

— Co się stało? Kłopoty?

— Nie. Raczej dobra wiadomość. Widziałeś tego faceta, który właśnie wszedł do Grand Hotelu z jakąś parą i dzieciakiem?

— Kumpel?

— Nie. To szmata. Pójdziemy się z nim przywitać. To Cygan, który od dawna kręci w tych stronach. Kradnie w Europie samochody i przyjeżdża je sprzedawać w Afryce, jak wielu straceńców, którzy się tutaj kręcą.

To skurwysyn. Kiedy mieszkałem w Niamey, w początkach mojego handlu samochodami, pożyczył ode mnie forszę i zapomniał oddać. Jest to jeszcze rzecz, którą od biedy mogę wybaczyć. Pieniądze są cenne dla tylu ludzi, że kuszące jest nie oddać długu. Ale miał też parę zagrań poniżej pasa i, co gorsza, podczas mojej nieobecności, za moimi plecami. W tym czasie często jeździłem do Europy w interesach i nie zawsze byłem na miejscu, żeby pilnować swoich spraw.

Kiedy wchodzimy do baru. Cygan siedzi przy stoliku z kobietą i mężczyzną, plecami do nas. Podchodzimy i ruchem, który może wydawać się przyjacielski, chwytam Cygana za ucho. Odwraca się. Jest mały, mocno zbudowany i ma parszywą mordę.

— Dzień dobry, kolego.

Jestem uśmiechnięty, uprzejmy i grzeczny.

— Możemy się napić z wami?

— Tak, tak, oczywiście, Charlie.

Siadamy wszyscy przy stoliku. Puszcza ucho.

Mężczyzna i kobieta to Włosi, on mówi trochę po francusku. Dowiaduję się, że jadą do Mali.

— Macie samochód?

Włoch wskazuje na Cygana. Jadą z nim. Dzieciak ma jakieś pięć lat. Siedzi na kolanach u mamy. Jego rodzice to ludzie o przeciętnym wyglądzie. Próbuję ich wypytać, ale wyczuwam nieufność. W końcu wyciągam z nich, że nie mają wizy do Mali, ale że Cygan obiecał ich przeprowadzić. To paskudna historia. Malijscy celnicy nigdy nie przepuszczą kogoś bez wizy i tamten skurwysyn doskonale o tym wie. Utkną na pustyni z pięcioletnim smarkaczem. Nie wiem, co skłania tego sukinsyna, żeby zrobić coś takiego, ale jedno jest pewne — zupełnie mi się to nie podoba.

Ten skurwiel jest zdolny do wszystkiego, gotów zabić dla stu franków. W dodatku aż mnie trzęsie, jak pomyślę, że pakują w to tego dzieciaka.

Zachowuję cierpliwość aż do chwili, kiedy Włosi idą do pokoju. Cygan próbuje się wymknąć, ale go zatrzymuję.

— Chyba zostaniesz z nami, kolego?

Ponownie siada na krześle. Czuje się osamotniony w naszym towarzystwie i milczy, bawiąc się pudełkiem zapalek. Jest zdenerwowany. Nie bez racji.

Po chwili ciszy mówi mi:

— Charlie, chcę żebyś wiedział, że zawsze chciałem oddać ci tę forszę.

— Spokojnie, koleś.

Kładę mu rękę na ramieniu.

— Charlie...

— Pojedziesz z nami. Zapraszam cię na kawę do mojego obozu.

— Nie, to miło z twojej strony, ale nie mogę, Charlie. Mam dużo do zrobienia.

Capone klepie go po rękę i cedzi, jak na dobrym gangsterskim filmie:

— Musisz pojechać z nami, mały.

Kara, który zrozumiał, że coś nie gra, wstaje. Jest imponującej postury.

— Słuchaj, Charlie...

— Przyjacielu, nie zmuszaj mnie, żebym ci poobrywał uszy tutaj.

Wstaje i wychodzi z nami.

W drodze do obozu nie zamieniamy słowa. Capone pogwizduje przez zęby. Ustawiłem moją ciężarówkę w poprzek, naprzeciwko budynku

celników. W ten sposób Rabah nie może zobaczyć, co się u nas dzieje. Od drugiej strony jest tylko żółty piasek, bez świadków.

Cygan siedzi na krześle, twarzą do nas. Dostał już dwa razy w mordę i jego policzki przybrały ładny, ciemnoczerwony kolor, trzeba powiedzieć, że jestem z tego efektu całkiem dumny. W ten sposób został nadany ton tej dyskusji i Cygan rozumie to. Atmosfera będzie ciepła.

Siedzę w kabinie, drzwi są otwarte i nogi trzymam na zewnątrz. Włączyłem jakąś muzykę, głośno, dla nastroju, i żeby zagłuszyć ewentualne krzyki. Wzdłuż ciężarówki stoją moi ludzie. Wszyscy mają surowe, kamienne twarze. Podają sobie skręta i pociągają z niego nie spuszczać oka z Cygana, który zupełnie się załamał.

Nie muszę go specjalnie naciskać, żeby wszystko wyśpiewał. Włosi uciekają przed policją i nie mogą wystąpić o wizę w ambasadzie Mali. Cygan, który nawciskał im kitu, zamierza zawieźć ich do Tessalitu, gdzie oczywiście nie zostaną przepuszczeni. I tam, w tej zagubionej pustynnej dziurze, będą już całkowicie uzależnieni od tej świni. Zamierza wyciągnąć od nich całą forszę i zwiać do Mali.

Co za gównojad! Dla nich to śmierć albo co najmniej bardzo poważne kłopoty. Dorośli odpowiadają sami za siebie, mało mnie obchodzą ich problemy. Ale trzeba być wyjątkową kanalią, żeby wciągać w taką historię dzieciaka. Rola moralisty niezbyt do mnie pasuje, ale uwielbiam dzieci i gardzę tymi, którzy ich nie szanują.

Daję mu ostatnią szansę:

— A chłopak?

Jego znaczący gest wyraźnie pokazuje, że ma to w dupie.

Chłopaki z mojego zespołu patrzą na niego z nienawiścią. Samuel Grapowitz postępuje do przodu i jak prawdziwy inkwizytor żąda, by Cyganowi obciąć jaja. Podchodzi Capone, mniej teatralny, ale równie zdecydowany. Kiedy staje obok Cygana, podnosi rękę. W ostatniej chwili zwraca się do mnie:

— Mogę?

Wypuszcza cios zamkniętą pięścią. Cygan wylatuje z krzesła. Capone umie bić. Cygan wstaje z zakrwawionymi ustami, na wpół ogłuszony, kiedy Indianin błyskawicznie posyła go z powrotem na ziemię, kopnięciem w nogi. Tak zaczyna się seria. Każdy podchodzi i wali na odlew.

— Wstawaj.

Trzeba przyznać oskarżonemu przynajmniej jedną zaletę, jest wytrzymały. Opiera się o krzesło i udaje mu się na nim usiąść. Przód koszuli umazany jest krwią. Mordę ma jak surowy befszytk. Wargi, nos, łuki brwiowe, wszystko jest rozwalone i obficie krwawi.

Capone, zgodnie ze starą tradycją półświatka, proponuje nałożyć na niego karę.

— Dobry pomysł. Dawaj całą forszę.

Wstaje z trudem i wyciąga z tylnej kieszeni portfel z paroma banknotami, które wyciąga w moim kierunku rozłożone w wachlarz. Każę mu ściągnąć łańchy. Kopniaki pozostawiły ślady na jego piersi i na nogach. Poza tymi czerwonymi plamami jest cały biały.

— Capone. Przeszukaj mi to.

Capone podchodzi do kupki łańców i krzywi się.

— Śmierdzi. Za często to ty się nie myjesz, śmierdzielu.

Najpierw znajduje nóż i chowa go do kieszeni. Następnie odkrywa gruby plik banknotów w zaszytej kieszeni z tyłu spodni. Krzyczę do Cygana:

— Skarpetki!

Pod każdą stopą ma niezłą paczuszkę papierów. Capone przynosi mi wszystko. Jest tu trzy tysiące dolarów, z czego rzucam Cyganowi trzysta, żeby miał za co wrócić do Europy. Pozbierał już swoje ubranie i przyciska je do piersi.

— Dajesz spokój Włochom. Więcej się z nimi nie spotykasz.

Potakuje ruchem potłuczonej głowy i podnosi pieniądze.

— Jeśli cię jeszcze raz spotkam na pustyni albo dalej na południe, załatwię cię. Jasne?

Z trudnością wykrztusza, że zrozumiał. Następnie ubiera się i odchodzi.

* * *

Dwa dni później dowiedziałem się, że został aresztowany za jakieś inne święństwo. Mógłbym uruchomić swoje znajomości, ale tym razem nie kiwnę palcem.

Epizod ten rozbawił mnie, a moi ludzie zareagowali prawidłowo. To prości ludzie, o prostych rozrywkach. Zaczynają czuć się na pustyni swobodnie. Zdaję sobie z tego sprawę, wracając ze spaceru z Samuelem Grapowitzem.

Jos, Capone i Indianin szpanują właśnie, zgrywając twardziel! pustyni, przed pięcioma młodymi długowłosymi.

— I co, mały, chciałbyś przejechać się przez pustynię?

Przyjemnie widzieć kontrast między tymi młodziutkami, choć w tym samym wieku co ja, turystami a moimi trzema pracownikami o szerokich barach i spalonej słońcem skórze, zachowującymi kamienną twarz, z petem przyklejonym do warg.

— Charlie, chłopcy chcieliby pojechać na ciężarówce, jak Arabowie.

Afrykańscy pasażerowie schodzą się od czasu naszego przyjazdu do Adraru i usadawiają na naczepach. Rozlokowaniem ich zajmują się Kara i Wallid. Wiedzą, że nigdy nie odmawiam i że w moich konwojach przejazd jest za darmo. Zawsze wieziemy około pięćdziesięciu osób, dla których ciężarówka to jedyny środek lokomocji.

Turyści sprawiają najwięcej kłopotu. Zawsze chętnie spotykałem ludzi lubiących podróże, ale od paru lat widuję w Afryce tylko szmaciarzy. Szanuję tych, którzy jadą szukać przygody, ale ci są inni. Skąpi, smutni, przechodzą koło prawdziwych przyjemności nie dostrzegając ich, starając się za wszelką cenę trochę zaoszczędzić. Ci, których woziłem swoimi konwojami, stosują tę samą taktykę.

— Dla pozorów pomachają trochę szczotką, po czym znikają na czas przejazdu. Nigdy w niczym nie pomogą i sprawiają tylko kłopoty. Po każdym konwoju obiecuję sobie, że więcej ich nie zabiorę, ale teraz znowu wspomnienie Miguela, hidalgo z trąbką, każe mi zmienić postanowienie.

Przedstawiciel tamtych pięciu podchodzi do mnie i oświadcza, że mam piękny konwój, po czym pyta, dokąd jadę.

— Wsiadajcie wszyscy na którąś naczepę i żebyście nie widział was na dole, zanim nie będziecie potrzebni, to znaczy, kiedy się was zawoła do roboty.

— Dziękuję. Ale jeśli będziemy pracować, to dasz nam zniżkę za Przejazd, co?

Na tym konwoju zarobię czterysta tysięcy dolarów, a ten mi tu zawraca dupę targowaniem się o pięć przejazdów po trzysta franków.

— To jest za darmo, frajerze. Jazda, włączyć na górę!

Tego samego wieczoru postanawiam, że dosyć tego. Rabah najwyraźniej nie zamierza się ruszyć. Upozoruję wyjazd i ukryję się w Reggane. Ajudził zawiadomi mnie, kiedy ten kurewski celnik wreszcie wychyli nosa ze swojej dziury.

Wołam Josa i przekazuję mu polecenie wyjazdu. Składanie sprzętu przeciąga się. Przyśpieszam robotę głośnym wrzaskiem. W niecałe piętnaście minut później wyjeżdżamy. Kara i Ahmed siadają ze mną. Pozostali pomocnicy jadą na naczepie. Pędzę wyboistym szlakiem do Reggane. W lusterku widzę za sobą sznur świateł. Dojeżdżamy bez kłopotów w niecałe cztery godziny, w środku nocy, zatrzymawszy się parę razy po drodze, żeby uzupełnić zapas suchego drewna.

* * *

Pierwszego dnia kazałem całkowicie wyładować małego mana. Chcę złożyć na nim towary przewidziane dla Ajudzila. Odwiedzam facetów z obrony cywilnej, którzy dają zezwolenie na przejazd Tanezruftu. Znamy się dobrze od dawna. Na zewnątrz moi ludzie pocą się w upale, przenosząc graty zamówione przez Ajudzila. Nie licząc silnika do ciężarówki, który swoje waży, jest tu kilka silników do samochodów osobowych i mnóstwo części metalowych, opon i innych świństw. W sumie daje to dobrych dziesięć ton do przeniesienia z jednej ciężarówki na drugą.

Około piątej po południu, kiedy temperatura zaczyna spadać, załadunek mana zostaje zakończony. Wszyscy rzucają się na picie, a potem sjesta. Pozwalam im trochę pospać, po czym każę ustawić ciężarówki w koło, i nakazuję, by odtąd było tak na każdym postoju. Manewrowanie zajmuje trzy kwadranse. Ryk silników i westchnienia pneumatycznych hamulców urozmaicają nieco zakończenie dnia. Wozy jeżdżą w kółko i przecinają sobie drogę, a ja, siedząc na murku, napawam się tym ruchomym przedstawieniem.

Wyruszamy o północy. Jacky siadł za kierownicą mana. Kara jedzie z nami. Wracamy w kierunku Adraru, ale po dwudziestu kilometrach zjeżdżamy ze szlaku, wybierając węższą drogę. Dziesięć kilometrów dalej Kara wrzeszczy:

— Piasek! Piasek!

Tuż przed nami w poprzek szlaku leży szeroka ławica miałkiego piasku. Potężny i sterowny mań, który jest jednym z najlżejszych pojazdów konwoju, przejeżdża bez trudności. Jeszcze pięć kilometrów i jesteśmy w umówionym

miejscu. Jacky wyłącza silnik. Noc jest jasna, granatowa. Czekamy dwie godziny, zanim w oddali daje się słyszeć zbliżający się odgłos silnika. Jeszcze dziesięć minut i Jacky trąca mnie łokciem.

— Tam.

Po prawej zapaliły się dwa reflektory, które natychmiast gasną. Powtarza się to trzy razy, to Ajudził. Jacky ustawia wóz w tamtym kierunku i odpowiada. Ajudził przyjechał z kilkunastoma pracownikami, mają sześć peugeotów 404 z plandekami. Jego ludzie natychmiast biorą się za przeładunek. Kara zapala swoje małe ognisko i szykuje herbatę, po czym idzie pomóc pozostałym. Jacky, Ajudził i ja palimy cepsi i skręty przy ogniu. Przywiozłem też ze sobą butelkę starego koniaku, za którym przepada Ajudził. Pracownicy zsuwają silniki z ciężarówki na samochody po metalowej płycie. Podobnie jak my, instynktownie mówią szeptem. Tak naprawdę nie ma takiej potrzeby, choć na pustyni najdrobniejszy dźwięk niesie daleko, ale ten przemysłowy nastrój każe nam zniżyć głos.

Wszystko jest załatwione po trzech godzinach. Ajudził płaci mi resztę tego, co mi był winien. Potwierdza mi też, że przyśle kogoś z wiadomością, kiedy tylko Rabah wyjedzie. Peugeoty znikają w ciemnościach.

* * *

Reggane, drugi dzień. Bezczyenne oczekiwanie to żadna przyjemność. Akurat jest czas na małe ćwiczenia dla moich ludzi. Relaks, zgoda. Ale rozprężenie — w żadnym wypadku.

Jak zwykle słońce stoi wysoko i grzeje mocno, idealna pogoda na plażowe zabawy. Zarządzam, żeby Kara załadował na mana łopaty i dodatkowe podkłady, po czym załadowuję wszystkich na ciężarówkę. Trzymają się jak potrafią, kiedy pełnym gazem jadę po wybojach. Kiedy dojeżdżam do piaszczystej ławicy, znalezionej w nocy, dodaję gazu i skręcam w prawo.

Koła zagrzebują się natychmiast. Zmieniam bieg. Szybkość spada. Dochodzę do jedyńki. W ciężarówce pierwszy bieg nie jest tak mocny jak w samochodzie osobowym. Na ogół wrzucenie jedyńki to początek grzęźnięcia w piachu, toteż najczęściej bardziej opłaca się jak najdłużej wlec się na dwójce, bo zachowuje się wtedy jakąś szansę mozolnego przejechania przez miękki odcinek. Czas potrzebny na zmianę biegu. Jest w ciężarówce zbyt długi, biorąc pod uwagę, że z jak małą szybkością jedzie się przez miałki piasek,

nie sposób nie zatrzymać się na chwilę, na czas wysprzężenia i wrzucenia niższego biegu. Ta chwila psuje wszystko. Pozbawia wóz resztek rozpędu, jaki jeszcze miał, i nie można już ruszyć z miejsca. Dodaję jeszcze gazu, żeby dobrze zagrzebać tylny most w piachu, i wyskakuję z kabiny.

— Lekcja odpiaszczania. Bierzcie łopaty. Zdejmujcie podkłady.

Reagują powoli.

— Podkłady!

Biegną i zdejmują blachy, ciężkie i niewygodne. Najlepiej nieść je nad głową, jak to robi Kara. Cała moja banda niezgułów ciągnie je po ziemi i ustawia się przede mną. Wspomagany przez Karę pokazuję im jak kopać, urządzać pochylnię przed kołem i umieszczać blachę. Lekcja pierwsza.

Odpiaszczanie ciężarówki to praca dużo trudniejsza niż w przypadku samochodu osobowego. Blachy są cięższe. Kiedy po wykorzystaniu zagłębione są w piasku, trzeba kopać, żeby je wyciągnąć. Ilość piachu do wygarnięcia sprzed kół jest dużo większa. Trzeba się zdrowo napocić, żeby uzyskać jakiś efekt. Człowiek kopie pochylony, a słońce grzeje mu w kark, a w dodatku, co dodaje całej sytuacji pieprzu, nie można wyłączyć silnika, bo w wyniku przegrzania mógłby nie chcieć ponownie zapalić, co ostatecznie unieruchomiłoby wóz. Toteż rura wydechowa bez przerwy pluje dymem prosto w twarz kopiających.

Piecze w oczy i gardło. Nie sposób pracować bez zadyszki, a wtedy głęboko oddycha się spalinami. To prawdziwa gehenna.

— Lekcja druga!

Wszyscy stoją przede mną, jak na baczność, każdy z podkładem ustawionym pionowo.

— Widzicie ślady? Prowadzą prosto. Tego właśnie nie wolno robić. Jeśli czujecie, że wóz się zaryje, od razu skręćcie w lewo albo w prawo, żeby znaleźć twardszy teren. Jasne?

Kiwają głowami.

— Lekcja trzecia. Widzicie to koło i ile trzeba było wykopać, żeby wsunąć podkład: już głębiej zaryć się nie mogło. Jeżeli grzeźnicie w piachu, nie wolno naciskać gazu, bo to pograża wóz jeszcze bardziej. Jasne?

Wsiadam z powrotem i wrzucam bieg. Koła przesuwają blachy i wyginają je, ale przejeżdżam dobry metr, zanim ugrzęznę znowu. Wychylony przez okno wrzeszczę:

— Na co czekacie?! Podkładajcie blachy!

Rzucają się do roboty. Przejeżdżam ponownie parę metrów.

Widzę w lusterkach, jak się krzątają. Przesuwam się do przodu i czuję już twardszy grunt. Podłoże wydaje się twardsze po lewej. Wrzucam bieg i dodaję gazu, nie za szybko. Po stu pięćdziesięciu metrach wyjeżdżam z piachu. Zawracam na twardym i wysiadam.

Nadal stoją tam, gdzie stali. Zwołuję wszystkich głośnym rykiem. Z trudem biegną w moim kierunku. Indianin, zamiast nieść podkład na głowie, ciągnie go po ziemi, i dobiega ostatni, choć tak samo zdyszany.

— Ruszysz ty wreszcie dupą? Lekcja czwarta, kiedy czujecie, że koła nie grzęzną, jedzcie dalej, żeby wyjechać z niebezpiecznej strefy. Zatrzymujecie się dopiero na twardym. Pomocnicy wsiądą później. Lekcja piąta...

Wszyscy słuchają zaniepokojeni.

— Część praktyczna. Jos, twoja kolej.

Jos siada za kierownicą. Ja zajmuję miejsce pasażera, pozostali uczeplieni są gdzie się da. Grzęźniemy. Wrzeszcząc kieruję operacją, wychylony przez okno.

— Capone, twoja kolej.

Jest tak napięty, że wbrew zakazowi mocno wciska gaz.

— Kurwa jebana mać!

Próbuje przeproszać, ale nie pora na to. Wrzeszczę na niego.

— Nauczysz się rozumieć, i to szybko! Wracaj do podkładów, jak nie możesz prowadzić!

Wrzucam go z ciężarówki, i każdy kolejno siada za kierownicą. Słońce grzeje. Naprawdę jest w zenicie. Chłopaki wykańczają się, biegając obok ciężarówki, z podkładami na głowach. Przejeżdżamy ławicę wzdłuż i wszerz.

— Capone, twoja kolej. Masz coś do nadrobienia. Reszta do podkładów.

Czarnuchy dają sobie radę bez kłopotu, zarówno przy podkładach, jak i w prowadzeniu. To samo Jos i Albana. Pozostali nadążają biegnąc. Są wypruci.

— Można się napić?

— Nie mamy wody. Dobra, słuchajcie dalej.

Po raz kolejny tłumaczę im cztery podstawowe zasady odpiaszczania.

— Zrozumiano?

— Tak, Charlie, zrozumiano.

— Ćwiczenia praktyczne. Albana, twoja kolej.

I dalej w ławicę. Grzęźnicie, podkłady, grzęźnicie, podkłady, podkłady i bieg do ciężarówki.

— Samuel. Teraz ty.

O szóstej wieczorem ślaniają się na nogach. Kiedy już wszyscy odbyli swoje ćwiczenie praktyczne, zbieram ich przed sobą.

— Zrozumieliście?

— Tak! O, tak, zrozumieliśmy, Charlie.

Są czerwoni, bez tchu. Nie daję im usiąść.

— Jos, cztery zasady?

Recytuje.

— Samuel Grapowitz.

Ten już ma dość. Jest purpurowy i ledwo trzyma się na nogach. Recytuje mi swoją lekcję bez teatru, jednym ciągiem i bezbłędnie.

— Dobrze, stary.

Wraca do szeregu.

— Capone.

— Ja zrozumiałem, Charlie, zapewniam cię.

— Więc do ciężarówki. Zobaczymy czy zrozumiałeś.

Udaje mu się ugrzęznąć, a potem wyjechać z ławicy. Dookoła ciężarówki pozostali pracują. Szybko podkładają swoje blachy. Jedyne słaby punkt to wolne tempo dobiegania do ciężarówki z podkładami na głowach. Ryczę, żeby się pośpieszyli.

— One, teraz ty.

Manewery wykonywane są teraz pewnie, bez wahania. Chłopaki działają mechanicznie, całkowicie wykończeni, i nie popełniają omyłek. Zapada noc.

Inne ćwiczenie. Odpiaszczanie w nocy.

Zasada jest ta sama, tylko że wokół wozu jest ciemno. Reflektory oświetlają teren przed ciężarówką, i nic innego. Zaleta: jest chłodniej. Przez okno wrzeszczę, żeby przyśpieszyć robotę. Teraz grzęźniemy już we własnych śladach. Na całej ławicy nie zostało jedno dziewicze miejsce.

— Jean–Paul, twoja kolej.

Bieg, grzęźnicie, łopaty, podkłady.

Ma już wprawę i udaje mu się wyjechać z ławicy nie grzężnac powtórnie. Nieźle, ale jeśli oczekiwał gratulacji, musi być zawiedziony.

— Albana, włącz!

Ten dałby wszystko, żeby znajdować się gdzie indziej. Uczepiony kurczowo kierownicy za każdym przejazdem nawet nie ośmiela się na mnie spojrzeć.

— Indianin!

I dalej tak samo, i zaczynam od nowa. Każdy przechodzi swoją kolej raz, potem jeszcze raz. O dziesiątej wieczorem wysiadam z ciężarówki. Wszyscy zataczają się ze zmęczenia.

— Kończymy.

Padają na ziemię.

— No, chłopaki, składajcie podkłady i włączcie na górę. Wracamy do obozu.

* * *

Mało przebywam w obozie. Mam jeszcze robotę. Mam klienta na ciągnik z naczepą w wiosce, składającej się z małego skupiska czerwonych domków, z dala od szlaku i od fortu policji. Mój klient to miejscowy hadzi. Jego dom podobny jest do pozostałych, czerwony, kwadratowy i prawie pusty. Zostaję tam aż do późnej nocy. Czas upłynął nam na rozmowach i targach, ale nie udało się dojść do porozumienia. Jak to się często zdarza, będzie potrzebna jeszcze jedna noc. W handlu pełno jest idiotów, którzy uważają, że zrobili dobry interes, jeżeli targowali się przez czterdzieści osiem godzin. Dla nich dyskusja to przyjemność, ale dla Europejczyka jest to ciężkie. Trudno, wrócę tam jutro.

* * *

Reggane, trzeci dzień. Piję kawę przyniesioną przez Capone'a, całego zaspanego. Mój brygadzysta nadchodzi nieco później, wygląda na bardziej wypoczętego.

— Jos. Dosyć mam już tego bałaganu w ładunkach. Dzisiaj inwentaryzacja i ułożcie wszystko.

Kiwa smutno głową i idzie przekazać wiadomość innym. Capone goli mnie i dołącza do innych.

Słońce już grzeje. Szykuje się piękny dzień. Upływa on na przenoszeniu żelastwa i opon. Bez przerwy chodzę z Jackym wśród krzątających się ludzi i tempo nie słabnie.

Wieczorem jadę ponownie do mojego hadźiego.

Tym razem zabrałem ze sobą Jacky'ego i Samuela Grapowitza. Wiem już, że zejdzie mi cała noc, i nie mam ochoty się nudzić. Wszystko zaczyna się od początku. Wypalamy kilka cepsi, po czym mój gospodarz częstuje nas wielbłądzim mlekiem i suszonymi daktylami.

— Wszystko w porządku, Charlie?

— Tak, doskonale.

— A rodzina, Charlie, zdrowa?

— Tak, hadzi, a twoja?

— Wszyscy zdrowi, dziękuję ci. Ualaj, Charlie, arbatasz, drogo.

— Hadzi, nie mogę opuścić.

— Wiem, Charlie, wiem. Chcesz posłuchać muzyki? Na ziemi stoi radio. Przysuwa je i znajduje zakłóconą stację, jak zwykle. Mam ochotę rozwalić mu odbiornik na głowie.

Wyglupiamy się z Jackym i Samuel Grapowitza opowiada mi jakieś historyjki o dupach, przy czym palimy cepsi za cepsi. Od czasu do czasu hadzi odzywa się.

— Jak rodzina, Charlie, w porządku?

— Tak, hadzi, a twoja?

— Dobrze, dziękujemy ci, Charlie. W jaki sposób mam twoim zdaniem zapłacić arbatasz milion (sto czterdzieści tysięcy franków)? To zbyt drogo.

— Nie mogę opuścić, hadzi.

— Wiem, wiem. Chcesz zapalić kif?

O ósmej rano, po całonocnej wymianie zdań, wstaję.

— Cena jest arbatasz milion, hadzi. Skoro nie możesz zapłacić, sprzedam komu innemu.

— Ualaj, ualaj, Charlie. Kupię twoją ciężarówkę. Kupię: Ale arbatasz milion to bardzo drogo.

Nie dostaję tej forsy za nic! Żeby ją zdobyć, potrzebowałem dwóch nocy walki. Po prostu sprzedaję wóz za cenę, którą wyznaczyłem sobie z góry.

— Kletasz milion, hadzi. Dla ciebie.

Daje mu to premię dwudziestu tysięcy franków. Co do mnie, mój zysk wynosi siedemset procent.

Chce kupić ciężarówkę tu, ale odebrać w Mali, żebym mu ją przewiózł tam i zarejestrował.

— Bądź gotów do wyjazdu, hadzi. Nie wiem, kiedy wyruszę. Mogę cię zawiadomić w każdej chwili, w ciągu najbliższych dni.

* * *

Nie mam już dla nich żadnej roboty. Pracownicy są beczynni. Koło wozu Capone'a słyszę: „*Czekam!*”, „*Wchodzę!*”, „*Rypię!*” itd. Co to ma znaczyć: „*Rypię!*”? Po południu jest jeszcze gorzej. Jos, Capone i Indianin wyciągnęli kule i grają, z papierowymi łódkami na głowach. Wydaje im się pewnie, że są na koloniach. Jacky i ja też trochę gramy. Dla nas kwestia „*bliżej czy dalej?*” nie jest problemem. Obaj chcemy bliżej. Po dziesięciu minutach tej kretyńskiej gry rzucamy kulami byle gdzie, z całej siły. Jeden z pomocników dostaje w kostkę, i porządnie go boli. Przystajemy.

* * *

Reggane, piąty dzień. Zabroniłem gier.

Kiedy przechodzę koło nich, chłopaki spuszczaają wzrok, żeby uniknąć mojego spojrzenia. Przez cały dzień drzemią. Ta beczynność denerwuje mnie, łażę po obozowisku we wszystkie strony. Kiedy przechodzę koło ciężarówki Albany, któraś z owiec zakupionych w Adrarze popełnia błąd i beczy. Włażę na górę i wyrzucam trzy za burtę. Niewinne zwierzęta płacą za wszystkich.

* * *

Reggane, szósty dzień. Nadal łażę.

Obóz jest pusty. Aby nie znaleźć się na mojej drodze, chłopaki pochowały się gdzie popadnie. Jeden z turystów najwidoczniej nie zrozumiał powagi sytuacji. Bez mojego zezwolenia zszedł ze swojej naczepy, gdzie nieźle się muszą smażyć w tym słońcu, i podszedł do mnie, nieświadomy niczego.

— Dzień dobry, eee... Koledzy chcieliby się dowiedzieć, czy niedługo wyjedziemy?

Łapię kamień i chybiam o włos. Wycofuje się i biegnie do swojej ciężarówki. Gonię go. Drugi kamień uderza go w ramię. Skacze na koło wołając pomocy. Tamci z góry wyciągają do niego ręce. Jego wielka dupa kołysze się chwilę. Znika w momencie, kiedy już miałem złapać go za nogę i zrobić mu Bóg wie co.

Przez dłuższy czas wygrażam wściekle chodząc wzdłuż naczepy.

* * *

Następnego ranka nareszcie przyjeżdża pracownik Ajudżila i zawiadamia mnie, że Rabah wyjechał służbowo i że ma wrócić po południu. Ryczę z radości. Chłopaki wyłażą ze swoich kryjówek.

— Capone, Indianin. Ruszajcie. Wyjeżdżamy natychmiast. — I walę z całej siły Capone'a w plecy, co wywołuje uśmiech na wszystkich twarzach. Jeszcze jeden dzień i mogłoby się to dla nich wszystkich źle skończyć. Wyczuli to.

Wyjeżdżam z dwiema cysternami.

Przejeżdżamy odległość Reggane–Adrar w rekordowym czasie. W Adrarze Rabah zostawił pompiarzom instrukcje. Jeden z nich absolutnie odmawia obsłużenia mnie. W drugiej pompie nie ma dość oleju napędowego, żeby napełnić obie cysterny. Wysyłam Indianina do Timimun i czekamy.

Zabiera mu to dużo czasu.

Jest druga po południu i jeśli Rabah teraz wróci, jestem załatwiony.

— Charlie. To on.

Rzeczywiście nadjeżdża jego cysterna. Indianin zatrzymuje się przy nas i podniesionym kciukiem sygnalizuje, że wszystko w porządku. Adrar–Reggane, nowy rekord. Zgodnie z moimi instrukcjami konwój gotów jest do wyjazdu, ciężarówki ustawione są rzędem na szlaku. Przed powrotem do swojej kabiny robię małą zbiórkę.

— Mamy pięćdziesiąt trudnych kilometrów przed dojechaniem do znakowanego szlaku. Trzymajcie się gęsiego, w jednej linii za mną, przez tych pięćdziesiąt kilosów. Może uda nam się uniknąć ugrzęźnięcia.

Potem będzie jeszcze pięćset pięćdziesiąt do Bordż–Moktar. Cały czas szlakiem.

* * *

Zdziwiłoby mnie, gdyby się udało bez problemów.

W lusterku widzę zatrzymaną cysternę Capone'a. One i Two są za mną. Nie jestem jeszcze na pewnym gruncie. Jadę dalej aż do twardej strefy, gdzie zatrzymuję się.

Wysiadam i idę zobaczyć. Capone nadal stoi, pięćset metrów z tyłu, ale wokół ciężarówki kręcą się pomocnicy. Stąd słyhać charakterystyczne wycie

silnika na pełnych obrotach, w czasie próby wyjechania z dołka. Cysterna wyjeżdża za pierwszym razem. Daję Capone'owi znak, żeby dojechał do nas.

Po odpiaszczeniu pozostają dziury. Dochodzę do miejsca i kieruję dalszym przebiegiem operacji. Każda następna ciężarówka musi teraz objechać koleiny pozostawione przez Capone'a. Pomału wszyscy przejeżdżają, jeden po drugim. Ciężarówki kołyszą się na tym pofałdowanym terenie.

Chłopaki są spięci za kierownicą. Powietrze przesycane jest spalinami i pyłem. Wycie silników jest ogłuszające.

Następny utyka Albana. Pomocnicy natychmiast przystępują do roboty. Łopatami wykopują rowy, w które wsuwają podkłady. Przegrzane opony ślizgają się na blachach, wydzielając gęsty niebieski dym. Ciężarówka ślizga się w bok i pada. Wszystko trzeba zaczynać od nowa. Daję znak dwóm pozostałym, żeby przejechali z drugiej strony. Kiedy wreszcie wszyscy przejechali, szlak rozorany jest na całej szerokości.

Pięć kilometrów dalej wszystko zaczyna się od początku. Każę spuścić powietrze z opon, bo ciężarówka dużo lepiej przejeżdża, kiedy ciśnienie w ogumieniu jest niskie, dzięki czemu opony szerzej przylegają do podłoża zwiększając powierzchnię nacisku. W ten sposób wóz mniej się pogrąża. Szkopuł w tym, że takie flaki niszczą się na twardym gruncie i po trzydziestu kilometrach trzeba będzie poświęcić trochę czasu na ponowne napompowanie. Pomocnicy kucają przy kołach, każdy ma w ręku gwóźdź, którym naciska na zawór. Od czasu do czasu ci, którzy są przy podwójnych kołach, przerywają wypuszczanie powietrza i porównują oba koła. Ci ludzie nie potrafią odczytać ciśnienia z manometru. Dla nich wskaźnikiem jest to, że obie opony nie mogą się dotykać, bo grozi to wybuchem.

Mimo wszystko zyskujemy niewiele. Na odcinku pięćdziesięciu kilometrów każdy kierowca grzęźnie raz albo dwa. Tylko Wallid, który ma duże doświadczenie w tego typu przykrych sytuacjach, wychodzi bez szwanku. Inni stopniowo poznają nowe techniki.

Wszystko zasada się na koordynacji wysiłków. Kierowcy i pomocnicy szybko łapią rytm pracy. Łopaty, podkłady, gaz, ciężarówka jedzie i nieco dalej grzęźnie ponownie, i wszystko trzeba zaczynać od początku. Noc jest już blisko, kiedy dojeżdżamy do słupków, oznaczających koniec miłkowego piachu.

Teraz zaczyna się twarde podłoże. Setki śladów opon, przemierzających piasek na szerokości przynajmniej kilometra, są prawie niewidoczne. Udaje mi się mimo wszystko odnaleźć trzy czy cztery najbardziej wyjeżdżone. Są to rodzaje korytarzy, o szerokości ciężarówki, nieco jaśniejsze i twarde jak kamień, miejscami pokryte blachą falistą.

Pompujemy opony za pomocą butli ze sprężonym powietrzem do hamulców. Kara sprawdza ciśnienie, przechodząc od wozu do wozu.

Jadę jeszcze jakąś godzinkę, po czym naciskam klakson i skręcam, zataczając koło, w którym wszyscy ustawiają się na noc. Zatrzymują się jeden po drugim, wykonując manewr w sposób doskonały.

* * *

Przed zapadnięciem zmroku pomocnicy oddalają się na modły. Zabierają ze sobą swoje małe dywaniki, niekiedy są to owcze skóry, oraz wielkie czajniki lub pordzewiałe puszki po konserwach, które służą im do mycia się. Zatrzymują się o jakieś sto metrów dalej, obmywają się i zaczynają swoje pokłony. Barwy nieba o tej porze, pomarańczowe i granatowe, nagła cisza i widok tej grupy ludzi pogrążonych w modlitwie, wszystko to tworzy całość, z której emanuje doskonały spokój.

Dookoła naszego kręgu, utworzonego na wzór pionierów Dzikiego Zachodu, nie ma nic. Piaszczysta równina ciągnie się aż po horyzont. Szybko załatwiamy sprawy organizacyjne i kolacja przebiega w rozluźnionej atmosferze.

Moi ludzie są pod wrażeniem tej ogromnej otaczającej nas przestrzeni, a trudne chwile dziesiętgo ranka spodobały im się. Przejechaliśmy względnie szybko i to napawa ich otuchą. Pustynia już nie wydaje im się trudna. Nie wiedzą jeszcze, co ich czeka.

Na zewnątrz kręgu palą się jeszcze ogniska pomocników, a jeszcze dalej biwakują pasażerowie. Mój klient z Reggane, hadzi, który chce zarejestrować swoją ciężarówkę w Mali, dołączył do nas peugeotem 403. Jeden za drugim ludzie idą spać. Ja idę odwiedzić pomocników.

W nocy prawie nie śpią. Drzemią w ciągu dnia, czekając, aż będzie dla nich jakaś robota. Wystarcza im parę godzin nocnego snu. Korzystają z chłodu i spokoju, prowadzą długie rozmowy.

Siadam z Karą i paroma innymi. Te chwile spędzane w towarzystwie tych spokojnych facetów to jedna z moich przyjemności. Palę i puszczam w obieg

parę skrętów, słuchając ich opowieści i odpowiadając na ich pytania. Dziś wieczór Kara mówi o jednej ze swoich podróży. Zna pustynię na pamięć i któregoś dnia zapuścił się aż do Oranu. Widział tam morze i tłumaczy pozostałym, co to jest. Najwyraźniej mają kłopoty ze zrozumieniem. Nie potrafią wyobrazić sobie dużej powierzchni wody. Kara wymachuje swoimi długimi rękami, poziomo, starając się przedstawić nieskończoność. Mówię im, że jest to jak Tanezruft, ale bez piasku, tylko niebieska woda. Powoli do naszej grupki dołączają inni pomocnicy i słuchają, jak wielki Kara opowiada o morzu.

* * *

Budzimy się ze świtem. Wczesnie rano jest prawie chłodno. Pomocnicy odmawiają pierwszą modlitwę dnia. Moi ludzie jedzą śniadanie. W szlafroku i wysokich butach siedzę czekając, aż Capone skończy mnie golić. Nie spieszę się. Pierwsze godziny afrykańskiego dnia to rozkosz. Jest akurat wystarczająco ciepło, by zapomnieć o chłodzie nocy i przygotować się do późniejszego upału.

Dla zabawy pytam chłopaków, w którym kierunku trzeba teraz jechać. Ustawiając się na noc zatoczyliśmy koło. Nie ma żadnych punktów odniesienia, poza śladami na szlaku. Ale w którym kierunku za nimi podążać? Capone rozgląda się na wszystkie strony mrużąc: „*Coś takiego!*”, tak samo zagubiony jak pozostali. W rzeczywistości wystarczy spojrzeć na słońce, ale żaden Europejczyk nigdy o tym nie pomyśli. Na szlaku częste są anegdoty o facetach, którzy po przebudzeniu ruszyli w drogę z powrotem. Mój mały kawał dał im odczuć, do jakiego stopnia są zdezorientowani.

* * *

W momencie kiedy dochodzę do mojej ciężarówki, wydawszy polecenie odjazdu, natykam się na zrozpaczonego Karę. Z szacunkiem odpowiada jednemu z pasażerów mojego wozu, staremu, ubranemu na białą facetowi, bardzo czystemu, z ogoloną głową. Ten zwyczajnie go opieprza.

— Czego od ciebie chce ten stary?

— On marabut, szefie. On bardzo się gniewa, wszystkie jego naczynia potłuczone.

— I co z tego?

— On mówi, to twoja wina. Niedobrze załadowane.

Ten będzie mi tu zawracał głowę jakimiś potłuczonymi naczyniami! Mówię do marabuta, żeby zabierał swoje rzeczy i zląził z wozu. Kara wybałusza szeroko oczy, ale tłumaczy. Stary nie wierzy własnym uszom.

Marabut to czarownik, osoba, która wzbudza lęk i szacunek. Mruczy coś, nie rozumiejąc. Nie zostawia się kogoś pośrodku Tanezruftu! Mam to gdzieś. Niech mu Allah pomoże.

Wśród ogólnej ciszy każe znieść jego rzeczy i daje rozkaz odjazdu. Stary stoi nieruchomo i wygląda, jakby nie wierzył.

W moim lusterku wstecznym biała nieruchoma sylwetka szybko znika w tumanie pyłu, jaki podnosi nasza kolumna. Czuję wśród pomocników zaskoczenie, niedowierzanie i lęk. Nigdy nie rozumieją, jak daleko może posunąć się moje szaleństwo. Jadę piętnaście kilometrów, zatrzymuję wozy i czekam pół godziny, zanim wreszcie zawracam. Ta lekcja powinna wystarczyć.

Stary nadal tkwi w miejscu, gdzie go zostawiłem, stoi nieruchomo. Zataczam szerokie koło wokół niego. Kara wysiada.

— Przetłumacz mu: tutaj jedynym, któremu wolno wrzeszczeć, jestem ja.

Kara tłumaczy.

— Chcesz wsiąść z powrotem, stary?

Uśmiech starego rozciąga się od ucha do ucha. Widać ulgę, radość prostego człowieka: zostawiam go pośrodku pustyni, a on uśmiecha się do mnie, kiedy po niego zawracam.

— Ty rozumieć? Ty już nie krzyczeć?

Szeroki uśmiech. Twarz przepoławia mu się od prawej do lewej.

— Nie, proszę pana, już nie krzyczę, jestem grzeczny, zesrałem się ze strachu.

— Kara, ładuj jego rzeczy.

* * *

Ciężarówki jadą tyralierą. Pracujące na pełnych obrotach silniki słyszalne są zapewne o kilometry stąd, o ile jest tam ktoś, żeby słuchać. Za konwojem wzbija się w górę ogromny tuman białego pyłu. Tworzymy nieregularną linię na całej szerokości szlaku. Karoserie lśnią w słońcu.

Na naczepach stopy towarów i tabuny ludzi, pasażerów i pomocników, wzmagają jeszcze wrażenie nadmiaru. Dwanaście potworów rozpedzonych na

szlaku pożera piasek. Upajam się potęgą, jaka emanuje z tej małej armii pręcej do przodu. Wszyscy odpowiadają na moje długie, wesołe trąbienie klaksonami. Nic nas nie powstrzyma, Doprowadzę wszystkich na drugi brzeg. Jacky i ja zgarniemy fortunę, która się nam należy.

* * *

W swojej norze celnik Rabah krztusi się pewnie z wściekłości. Myślał, że potrafi mnie powstrzymać. U pompiarza w Adrarze zostawiłem dla niego małą karteczkę. Ehszisz Fizokak, „*mam cię w dupie*”, celniku. I podpisałem. Celniku, celniku, wściekły jesteś, co? Charlie jeszcze raz cię wykołował.

Lubię tego Rabaha. On też jest częścią tej przygody.

Chłopaki trzymają się dobrze. Są zadowoleni, że są tutaj. Od czasu do czasu Capone podjeżdża do mojej ciężarówki i głośno trąbi albo posyła mi wielkie znaki ręką. Z naczepy na naczepę pokrzykują do siebie pomocnicy. Lubię ich. Dobrze zrobiłem, że zabrałem aż tylu.

Obok mnie Kara zasnął. To prawdziwy kumpel, prosty i inteligentny. Dobrze się o mnie troszczy. Co wieczór przygotowuje mi łóżko. Pomaga mi zdjąć buty i założyć szlafrok. Lubię go.

Ja wszystkich lubię.

* * *

Niedługo będę z Radijah, moją małą Tamachek. Mam wszystkie prezenty z listy, którą przygotowała swoją rączką uczennicy, na kratkowanym papierze. Mam również wszystkie prezenty dla jej ojca. Ożenię się z moją małą dziewczynką z pustyni, za kilka dni, w Tessaiicie. Nie chcę już dłużej czekać. W końcu ktoś mi ją zabierze, jeśli nie położę na niej łapy.

Jest uosobieniem czystości, której tak potrzebuję i której kobiety nigdy nie dają, chyba że kłamiąc. Tam, w Tessalicie, wszyscy czekają na to wesele. Podczas ostatniej podróży mały Murzynek podszedł do mnie jak do kolegi i z ważną miną powiedział mi, że moja narzeczona chodziła z nim do jednej klasy, to znaczy do pierwszej.

To jeszcze jedna z tych rzeczy, które zdarzają się niewielu ludziom.

Później, kiedy będzie już fizycznie gotowa mnie przyjąć, nauczę ją. A potem zawsze zapewnię jej należną księżniczce pozycję.

* * *

Dwukrotnie długo naciskam klakson. Ciężarówki zwalniają. Konwój ustawia się gęsiego za mną, po czym staje. One i Two zajmują się olejem i wodą. Każę Capone'owi zatankować wozy ze swojej cysterny. Jestem w doskonałej formie i Samuel Grapowitz będzie ofiarą mojego dobrego humoru.

Na płaskiej jak stół pustyni nie ma mowy o znalezieniu osłoniętego od spojrzeń miejsca, żeby się wypróżnić. Bierze się ciężarówkę, odjeżdża dwieście metrów dalej i w normalnych warunkach ma się spokój.

Po obiedzie Samuel Grapowitz odjechał złożyć daninę naturze. Leżąc na piasku widzę, jak ustawia się za osłoną ciężarówki, jakieś sto metrów ode mnie.

Wyciągam z kabiny karabin na słonie Weatherby i kładę się na ziemi. Zaintrygowani ludzie otaczają mnie. Dzięki lunecie Zeissa broń jest niebywale dokładna. „*Paczkę papierosów z odległości czterystu metrów*”, powiedział mi sprzedawca.

Samuel Grapowitz kucnął, obok stoi niezbędna puszka po konserwach wypełniona wodą. Celuję w nią.

— Bang!

Puszka ulatuje w powietrze i widzę, jak para nóg, skrzepowa spuszczonej spodniami, skacze w kierunku kabiny i znika.

Taka dokładność warta jest nieco wandalizmu dla idei. Nic złego się nie stanie. Drugi pocisk rozbija nieszczęsny reflektor, zamocowany na błotniku, trzeci niszczy jedno z bocznych lusterek, moim zdaniem zbędne na pustyni w przypadku kierowcy klasy Samuela Grapowitza.

Chłopaki są pod wrażeniem mocy, hałasu i celności tej wspaniałej broni. Jeżeli na mojej twarzy rozkwita uśmiech, to bynajmniej nie z dumy, nie ma tu mojej zasługi. Z taką lunetą i ślepy by trafił. Nie śmieję się myśląc o tym biednym Samuelu Grapowitzu, który być może nabawił się przeze mnie zaparcia na całe życie.

* * *

Kończymy tankowanie. Kierowcy, z rękami w kieszeniach, przyglądają się pracy pomocników. Gorąco im. Światło jest bardzo intensywne.

Lubię, kiedy słońce grzeje mocno, bezlitośnie. W przeciwieństwie do wielu Europejczyków nigdy mi nie przeszkadzało. Od dawna już nie czułem się tak dobrze i tak pełen energii.

W połowie dnia teren zmienia się. Z obu stron szlaku, w oddali, tworzą się jakby bardzo niskie wały z piasku. Dojeżdżamy do czterechsetnego kilometra. Miejscami pojawiają się zagłębienia. Koleiny stają się wyraźniejsze.

Takie podłoże jest trudne, a może stać się niebezpieczne, gdzieś są ławice miążkiego piasku. Przy odpowiednim rozpędzie przejeżdża się bez problemu.

Wały piaskowe ciągną się jeden za drugim przez pięćdziesiąt kilometrów. Przed nami nadal twardy, jasny korytarz. Słońce tworzy na nim błyszczące plamy, bardzo daleko, na horyzoncie, wyglądają jak kałuże wody. Ławice miążkiego piasku są szare, kontrastując z pomarańczową pustynią. Jedziemy jeszcze godzinę, po czym nakazuję tworzyć krąg.

Urządzamy obozowisko. W tym momencie okazuje się, że brakuje jednej ciężarówki. Albana zaginął.

□ Kara. Przygotuj mi herbatę.

Nie mam ochoty od razu psuć sobie tego pięknego dnia kłopotami. Chłopaki przychodzą czegoś się dowiedzieć. Oczywiście, nikt niczego nie zauważył. Kwitną przypuszczenia. Proszę o ciszę. Wypijam herbatę i podejmuję decyzję.

Jest kilka możliwości: jeżeli się zgubił, jesteśmy w gównie po uszy. Mógł zjechać ze szlaku gdziekolwiek, i nawet nie chcę myśleć o trudnościach organizacyjnych, jakie sprawić muszą poszukiwania. Korci, żeby go zostawić, ale z drugiej strony oznaczałoby to utratę jednej ciężarówki. Mógł też ugrzęznąć po osie, jeżeli źle przejechał przez jakąś ławicę. Wolę jednak sądzić, że po prostu miał awarię. W każdym razie zawraca dupę.

— Chotard, przygotuj peugeota 504, będziesz prowadzić.

Biorę też Josa, jedyne, który zna się trochę na mechanice, Karę, jakimś cudem znajdującego wyjścia ze wszystkich naszych pustynnych problemów, i Jacky'ego, który ma ochotę się przejechać.

* * *

Jedziemy dwadzieścia kilometrów z powrotem nie dostrzegając niczego. Noc jest jasna. Jeśli ciężarówka stoi na szlaku, nie możemy jej nie zauważyć... Trzydzieści, czterdzieści kilometrów...

Wkurwia mnie ten Albana. Co, nie mógł mieć tej awarii gdzieś bliżej obozu?

W miarę, jak jedziemy, dalej, zaczynam się niepokoić. Od naszego ostatniego postoju wodno–olejowego zrobiliśmy tylko osiemdziesiąt kilometrów. Wtedy jeszcze z nami był. Dobrze pamiętam, że widziałem tę jego parszywą mordę. Dotąd zrobiliśmy sześćdziesiąt. Jeżeli po dwudziestu kilometrach nadal się nie zjawi, oznaczać to będzie katastrofę. To znaczy, że zgubił się gdzieś na pustyni.

- Chotard, ile na liczniku?
- Mniej więcej siedemdziesiąt pięć.
- Skurwiel!

Parę minut później Kara wskazuje na ciemną sylwetkę. To ciężarówka. Nareszcie. Ten kretyn nawet nie pomyślał, żeby zapalić światła jako drogowskaz. Najwyraźniej nie ruszył się od czasu naszego ostatniego postoju.

Samochód jeszcze nie zatrzymał się całkowicie, kiedy wyskakuję.

- I co?

Albana, który wyszedł mi na spotkanie, cofa się o krok.

- To nie moja wina.
- Zobaczymy. Co się stało.
- Koło się zablokowało. Nie wiem dlaczego.

Kara dowiaduje się więcej od jednego z pomocników. Z niewiadomych przyczyn wcisnął się hamulec i nie daje się odblokować. Zamiast od razu się zatrzymać, Albana pojechał dalej, w wyniku czego złamała się półośka. Zwracam się ku niemu, a on cały kurczy się pod moim spojrzeniem.

Jos, po obejrzeniu wozu, jest mniej kategoryczny. Jego zdaniem półośka mogła pęknąć sama, blokując koło. Albana uratował głowę, ale jest nadal straszliwie zaniepokojony. Wie, że jego los związany jest z losem wozu, i że nie przepadam za nim.

- Możesz to zdemontować, Jos?
- Zdemontować tak, to proste. Ale potem złożyć z powrotem...
- Zobaczymy. Zaczynaj od razu.

Koło zdejmują szybko. Pod tylną oś wstawili lewarek, po czym trzeba było odkopać oponę, żeby wyciągnąć koło. Wszystko jest pordzewiałe i Jos musi walczyć z nakrętkami, zanim udaje mu się wyciągnąć półośkę.

Jest to długi metalowy pręt, z kołem zębatym na końcu, a właściwie z czymś, co kiedyś nim było, bo wszystkie zęby ma starte. Jos przeciera ręce piaskiem, żeby pozbyć się smaru.

— Faktycznie pękła. Nic się nie da zrobić, nadaje się tylko do wyrzucenia.

Kurwa. Zapada chwila ciszy. Każdy myśli o konsekwencjach tej awarii. Szary ze strachu Albana poci się wielkimi kroplami. Ale Jos, przyglądający się złamanej części, mówi mi w zamyśleniu:

— Zastanawiam się, czy nie widziałem czegoś takiego w ładunku. Zdaje się, że widziałem trochę takich części.

— Jesteś pewien?

— Że są takie same, nie. Ale na pewno są to półośki. Są w ciężarówce Jacky'ego i łatwo można się do nich dostać.

To dobra wiadomość.

— Chotard. Wracaj do obozu. Znajdź te części i weź po sztuce każdego rodzaju, na wszelki wypadek. Zabierz prowiant dla trzech osób na miesiąc, na wypadek gdyby nie udało się naprawić.

Na te słowa mina Albany wydłuża się jeszcze bardziej. Zbiera się na odwagę:

— Chyba mnie tu nie zostawisz?

— A dlaczego nie? Znasz zasady. Co ja powiedziałem przed wyjazdem?

— Tak, ale...

— Powiedziałem, że każdy odpowiada za swoją ciężarówkę i że zostanie z nią, gdzie by to nie było, aż do sprzedaży. Nie powiedziałem tego?

— Owszem, ale...

— Więc czego mi zawracasz głowę? Chyba się tego spodziewałeś, nie?

— Ale Charlie, ja nie znam pustyni. Pomocnicy już prędeej. Oni mogą zostać, są przyzwyczajeni.

— Zostaniesz tutaj. W ten sposób będziesz miał czas, żeby pomodlić się do Allacha. Coś mi się zdaje, że niezupełnie jesteś wobec niego w porządku. Widzisz, jak się wszystko dobrze składa!

— Ale...

— Zamknij się! Teraz dosyć już tego. Powiedziałem, że zostaniesz i zostaniesz, aż do chwili, kiedy znajdę jakieś rozwiązanie. I nie waż mi się stąd odchodzić, zostawię instrukcje celnikom w Bordż–Moktar, żeby cię przytrzymali, gdybyś próbował przejść do Mali. A teraz stul pysk, jeśli nie chcesz, żebym cię przywiązał do wozu. Idź i pomóż Josowi.

Ten ostatni wrócił pod ciężarówkę, żeby odblokować szczękę hamulca.

* * *

Chotard wraca dwie i pół godziny później, podczas gdy mój mały zespół nadal pławi się w smarach. Jos ma uwalaną nawet twarz. Pod okiem Albany, który wstrzymuje oddech, Chotard wyciąga z bagażnika pięć długich metalowych rur. Jos porównuje je po kolei do złamanej półośki. Patrzy na mnie, po czym spogląda na Albanę z małym uśmieszkiem.

— Jest dobra.

Westchnienie ulgi Albany słyhać było chyba nawet w obozie.

Naprawa, długa i żmudna, trwa wiele godzin. W środku nocy słyszymy, jak od północy zbliża się warkot silnika. Słyhać go przez dobry kwadrans, po czym w dali na szlaku przejeżdża ciężarówka. Z tyłu można dostrzec sylwetkę załadowanego samochodu. To dwaj faceci z Grenoble, którzy nie chcieli mi sprzedać swoich wozów w Adrarze. Musieli mieć jakieś problemy, inaczej przejechaliby już dawno.

No cóż, to dobrze się składa. Będę mógł się do nich dobrać od razu.

* * *

Jos uwolnił szczękę hamulca. Ma trudności z założeniem nowej półośki. Musi wejść w ściśle określonym położeniu, a niełatwo je znaleźć. W końcu woła mnie.

— Już, Charlie.

— Wspaniale! Dobra robota!

Jest zadowolony. Albana jeszcze bardziej, bo był już w rozpacz. Pomocnicy z powrotem zakładają koła, ale pojawia się nowy problem. Żeby odkopać tamto koło, zrobiliśmy taką dziurę, że ciężarówka Albany już nie tyle ugrzęzła, co zapadła się w ziemię. Koła ślizgają się i w żaden sposób nie mogą wyjechać. Podkłady są zupełnie nieprzydatne. Koła przesuwają się tylko i wyginają, ale nie znajdują oparcia. Znowu tracimy czas, podczas gdy mnie bardzo teraz pilno do Bordż–Moktar. Wrzeszczę, opieprzam pomocników i Albanę. Wykopują od strony dziury łagodny stok. Wreszcie ciężarówka wyjeżdża. Teraz osiemdziesiąt kilometrów z powrotem do obozu. Wstaje dzień. Ogłaszam, że natychmiast wyjeżdżamy i w alarmowym tempie każę wszystko zwijać. I jedziemy.

Znowu twarde podłoże, płaskie i monotonne. Wkrótce przejeżdżamy Bidon V. Okolica ta zawsze przypomina mi moje cierpienia w czasie

pierwszych przejazdów, kiedy miałem zablokowane nerki. Kiedyś spędziłem kilka godzin w jednym z tych małych hangarów.

Na każdym przejeździe przeklinałem się za to, że nie wziąłem ze sobą ampulek morfiny. Potem w Niamey było już mi lepiej i zapomniałem. W Europie, daleko od bólu, nigdy niczego nie przygotowywałem. Rezultat: za każdym razem gehenna. Teraz mam ze sobą wszystko, co trzeba, ale nigdy tego nie używam. Chociaż tego nie lubię, narzuciłem sobie zasadę, by pić dużo wody, i unikałem w ten sposób nowych ataków.

Dzisiaj niebo jest lekko zamglone. Jest nadal równie gorąco, ale światło mniej razi w oczy. Mam nadzieję dojechać do Bordż–Moktar po południu.

Ale nie będę tam przed wieczorem.

* * *

W odległości sześćdziesięciu kilometrów od algierskiego punktu granicznego następuje opóźnienie. Już od wielu kilometrów widziałem na horyzoncie mały punkt bez obłoku pyłu. To jakiś zatrzymany pojazd. Im bardziej się zbliżam, tym jego kształt wydaje mi się dziwniejszy. Jest zbyt kwadratowy na ciężarówkę i zbyt duży na samochód. Pierwszy domyśla się Kara.

— Wypadek, szefie.

Byłby to pierwszy wypadek, jaki widzę w Tanezrufcie, pośrodku równiny bez żadnych przeszkód. A jednak muszę pogodzić się z faktami, rzeczywiście leży tu na boku ciężarówka.

Dookoła porozsypywane są daktyle, które wyleciały z rozszarpanych worków, a przednia szyba jest roztrzaskana. W jaki sposób kierowca mógł się tu wywalić? Nigdy się tego nie dowiem.

W towarzystwie Kary podchodzę do grupki pasażerów, którzy są najwyraźniej w szoku. Wszystko dopiero co się rozegrało. Ludzie rozstępują się i widzę, że na ziemi leży człowiek. To kierowca. Algierczyk, którego wielokrotnie już widywałem. Jest paskudnie ranny. Twarz ma bladą i ciężko oddycha. Pod jego ręką piasek jest czerwony od krwi. Odchylam materiał i krzywię się. Nie jest to ładne. Przedramię ma otwarte złamanie. Z mięsa sterczy kość i krew tryska strumieniem. W ranie pełno piasku. Trzeba będzie działać szybko, żeby go uratować, bo na pustyni rany błyskawicznie zakażają się. Upał powoduje szybkie gnicie, w parę godzin, i śmierć jest nieunikniona.

Uciszam pasażerów, którzy wszyscy zaczynają mówić jednocześnie. Nie licząc drobnych kontuzji, żaden nie wydaje się ranny.

Przede wszystkim najpilniejsze. Robię uciskowy opatrunek i zastrzyk z morfiny. Oprócz skrzyń z witaminami i aspiryną nie mamy w konwoju żadnych lekarstw ani apteczki.

— Chotard, załadujemy go do peugeota. Leć na gazie do Bordż–Moktar, zanim nie wykituje.

— Nie mogę, Charlie. Nie mogę znieść widoku krwi. Boję się, że zemdleję.

— Masz naprawdę wszystkie zalety. Capone, każ go załadować na moją ciężarówkę, ale ostrożnie, i połóż jakiś koc, żeby wszystkiego nie usmarował krwią. Chotard, jedź pierwszy i zawiadom pielęgniarza, że mamy ciężko rannego. Wallid, uda ci się podnieść ciężarówkę?

— Tak, za pomocą kabli da się to zrobić.

Podczas gdy Capone wspomagany przez trzech pomocników układa rannego w mojej kabinie, reszta zespołu bierze się do roboty.

Wyciągają nie wiadomo skąd kable i przywiązują je do wywróconej ciężarówki i do białego mercedesa Wallida, który powoli odjeżdża aż do chwili, kiedy kable są napięte. Wtedy wciska gaz. Mercedes wyje, tamten wóz chwieje się, unosi i całym ciężarem opada na koła.

Podczas gdy odłączają kable, każę wydać żywność i wodę dwóm pomocnikom z rozbitej ciężarówki. Znam właściciela, handlarza z Gao, z którym robiłem interesy; zawiadomię go. Na razie pomocnicy, którzy nie umieją prowadzić, będą czekać na miejscu, przy ciężarówce. Może to potrwać kilka tygodni, ale nie są zaniepokojeni, są przyzwyczajeni do takich sytuacji. Pasażerowie rozmieszczają się na moich wozach, po czym na pełnym gazie jedziemy do Bordż–Moktar. Na blasze falistej pojękuje ranny. Trochę zwalniam, ale musimy przecież jechać szybko, jeśli chcemy go uratować. Zresztą, niezależnie od szybkości, ciężarówka podskakuje na każdym wyboju. Znów zaczęła lecieć krew.

Kilka kilometrów dalej ranny zaczyna wyc. Ten leżący obok mnie biedak zaczyna mnie denerwować. Wydaje z siebie długie, przenikliwe jęki. Nic dla niego nie mogę zrobić na tej nierównej drodze.

Czemu nie cierpi w milczeniu? Jego wrzaski, w połączeniu z brakiem snu, męczą mnie. Proszę Karę, żeby kazał mu milczeć. Nic z tego.

Zdenerwowanie wpływa na mój sposób prowadzenia i najeżdżam prosto na wzgórek nieco większy niż inne. Podskakuję do sufitu, a Kara całym ciężarem spada na rannego, który wydaje ryk bólu. Rozwścieczony staje w miejscu, co wyrzuca ich obu na szybę.

Wyrzucam z kabiny wszystko, co mi wpadnie w rękę. Znajduję Przesyconą smarami szmatę i wciskam ją rannemu w usta.

— Połknij to i daj mi spokój.

Jego wzrok wyraża najwyższe przerażenie. Zapomina nawet o bólu.

— Kara, wytłumacz mu: rozumiem, że go boli, zgoda na ból, ale w ciszy. Milczeć! Kiedy krzyczy, nie mogę prowadzić.

I ruszam dalej, podczas gdy mój pomocnik tłumaczy. Pomiędzy jednym omdleniem a drugim ranny wydaje już teraz spod knebla tylko zduszone pomruki. Kara wymierza mu od czasu do czasu policzek, żeby go ocucić. Opatrunek jest źle założony i krew nadal płynie. Facet powoli wykrwawia się, i w końcu już nie ma siły, żeby krzyczeć. Przy każdej utracie przytomności Kara mierzy mu tętno, po czym kiwa głową na znak, że gość jeszcze żyje.

* * *

Noc już prawie zapadła, kiedy zajeżdżam pod budynek celników. Oczekuje mnie wojskowy pielęgniarz. Zabiera rannego, który szczęśliwym trafem jeszcze oddycha.

Ciężarówka facetów z Grenoble jeszcze tu jest. Dogoniłem ją, mimo straconego czasu.

Dawno już nie spałem. Jestem wykończony, zdenerwowany, ale mam jeszcze coś do zrobienia. Muszę jechać do malijskich celników. po drugiej stronie no man's landu, o sto sześćdziesiąt kilometrów stąd. Ponieważ noc jest jasna, nie mogę obudzić celników algierskich. Zatrzymaliby mnie. Dwudziestu pomocników na zmianę popycha naszego peugeota, do którego wsiadłem z Jackym. Kiedy uznaję, że jesteśmy dostatecznie daleko włączam silnik.

Przejazd zajmuje dwie godziny. Walcząc ze snem jadę na pełnym gazie, przy muzyce Rolliag Stonesów, ku utrapieniu małych skoczków, które pojawiają się w świetle reflektorów, skacząc jak małe kangury. Jacky podaje mi papierosa za papierosem, żeby utrzymać mnie na jawie. Nie rozmawiamy wiele.

Szlak zmienia się. Mamy teraz czarny żwir, znak, że niebawem wjedziemy w masyw Adraru Iforasów. Droga robi się węższa. Jest bardzo wyboista, pełno tu zakrętów i wzniesień.

Przejeżdżamy między dwoma czarnymi wzgórzami i jesteśmy w Tessalicie. Trzeba skręcić w wąską drogę w prawo, żeby dojechać do lepianki celników.

Budzę strażnika w szortach, który śpi na macie rozłożonej przed drzwiami.

— O! Dzień dobry, panie Charlie. Nie masz ciężarówek?

— Na razie nie, jadą z tyłu. Jest tu Cissoko?

— Nie, porucznik poszedł z kobietami. Przywiozłeś moje buty? I moją piłkę futbolową? Dasz mi je?

— Poczekaj trochę. Później, śpieszy mi się. Wiesz, gdzie jest porucznik?

Cissoko to szef posterunku. Jest mi całkowicie oddany. Od trzech lat poważnie zwiększam jego dochody i podniosłem jego poziom życia, nie licząc prezentów. Korzysta z mojej hojności i załatwia liczne kobiety w wiosce.

— Wiesz, w którym jest domu?

— Tak, panie Charlie, ja wiem.

Po obudzeniu połowy Tessalitu wreszcie znajdujemy porucznika Cissoko. Jest szczęśliwy, że mnie widzi. Przy okazji każdych moich, odwiedzin zarabia forszę.

— Mam dla ciebie robotę.

Szeroki uśmiech.

— Co mam zrobić?

— Dwóch facetów jedzie tutaj ciężarówką. Przyblokuj ich, zabierz im paszporty i nie dopuść, żeby wyjechali, aż do mojego przyjazdu.

— A więc to łatwe.

— Ale tylko ich zatrzymaj. Żadnego bicia, żadnego więzienia. Nie zabierzesz im pieniędzy, niczego im nie ukradniesz.

— O! Więc to trudne.

— Dostaniesz peugeota 504, jeśli wszystko pójdzie dobrze, bez przemocy.

Jest zadowolony. Już od dawna obiecuję, że przywiozę mu samochód. Zapewnia mnie, że nie ma problemu. Powtarzam mu, że ma działać łagodnie.

— Obiecuję, przysięgam, bądź spokojny.

Mam być spokojny z tą chlubą malijskiej armii! Odbywa służbę w Tessalicie, w środku pustyni, za karę, a żeby zostać ukaranym w Mali, trzeba naprawdę na to zasłużyć. Ale sojuszników się nie wybiera. Jestem przynajmniej pewien jednego. Faceci z Grenoble nie pojedą dalej.

* * *

Mamy akurat tyle czasu, ile trzeba, żeby wrócić do Bordż–Moktar. Pędzę po wyboistym szlaku i wielokrotnie walimy głowami o sufit. Po trzydziestu kilometrach jesteśmy już na płaskim podłożu i teraz naprawdę przyśpieszam. Jak wszyscy tutaj, celnicy wstają wcześniej, żeby skorzystać z porannego chłodu. Niebo już jaśniej, kiedy dojeżdżamy w pobliże Bordż–Moktar, w samą porę.

Ponownie objeżdżam wioskę i staję koło ciężarówek.

Teraz mam czas. Chcę tylko jednego, spać.

* * *

Mogłem pospać dłużej, ale przychodzą zawracać mi dupę.

— Charlie, kawaaaaa! Mam dla ciebie trzy dziewczynki! To Capone z jego kawałami. Żeby sprawić mu przyjemność, udaję zainteresowanie. Nie ruszając się z pryczy pytam:

— Fajne czy balerony o niskim zawieszeniu?

— Ooch, może jest trochę niskie.

Cholerny Capone. Powinien podwyższyć nieco poziom swoich kawałów. Przez chwilę wyobrażam sobie, jak mógłby w rzeczywistości przedstawiać się widok trzech dziewczyn na pustyni, przy stopniach mojej ciężarówki. Byłoby to niezłe. Capone powtarza się.

— Chcą się z tobą widzieć.

— Dobra, Capone, robisz się nudny.

— Nie on jeden zresztą.

Do cholery! Naprawdę odpowiedział mi kobiecy głos, i to po francusku. Wkładam szlafrok, zeskakuję z pryczy. Otwieram drzwi: to nie kawał.

Rzeczywiście stoją na dole trzy dziewczyny, znieruchomiałe w milczącej dezaprobachie. Patrzę na nie i już żałuję, że zszedłem z pryczy. Jedna z nich jest jako tako znośna, trochę tłustawa. Pozostałe to balerony o niskim zawieszeniu: gruba turystka model popularny, zaczerwieniona i mała, oraz mała brunetka, wysuszona i brzydka.

Już mnie nienawidzą i zabijają wzrokiem. Mój dobry humor prysł.

— Czego chcecie?

Mały pudel odpowiada kwaśno.

— Przede wszystkim trochę szacunku.

I zaczyna się feministyczna tyrada, rządy mężczyzn się skończyły, kobiety mają dość traktowania jak przedmioty, nie na darmo całe życie walczyła o zniesienie męskich przywilejów i pustynia nie jest miejscem, gdzie pozwoli się w ten sposób traktować. Co ja takiego zrobiłem? Z dobrego serca trochę żartuję, a traktuje się mnie jak ostatnią świnie.

Podczas tej gadki schodzę po stopniach i idę na tył wozu, żeby się odlać. Idzie za mną wydzierając się, całkowicie pochłonięta treścią swego przemówienia. Będę mógł wreszcie spokojnie się wysiusiać czy nie? Zdaje sobie sprawę, co właśnie robię, i wycofuje się zaszokowana, nadal wydając swoje piskliwe dźwięki.

Wyzwolenie kobiet i wszystkie te rzeczy bardzo popieram. Gdyby tylko zechciały nie krzyczeć za każdym razem, kiedy do mnie mówią, i obrażać mnie pod pretekstem, że mówią do mężczyzny. Nie widzę nic złego w tym, że bronią swoich praw i swojej osobowości. Chętnie przyznam im swobodę myśli, ale mnie interesuje ich dupa.

Zauważyłem, że najbardziej wsiadają na człowieka te najbrzydsze, bo na nie nikt nie wsiada. Nienawidzą mężczyzn, bo nigdy żadnego nie mają. Właśnie mam przed sobą taki egzemplarz.

— No dobra, nie obudziłyście mnie, żeby zawracać mi dupę waszymi pretensjami. Czego chcecie?

— Mamy kłopot z amortyzatorem w naszym samochodzie, trzeba by go załadować na ciężarówkę. To dla nas jedyna możliwość wyjazdu stąd. Pan...

— Nie. Nie mogę.

— Ale...

— Niemożliwe.

To się tej małej nie podoba. Któregoś dnia odkryła, że myśli, i od tej pory zupełnie straciła głowę. Jeśli naprawdę czegoś nie lubi, to właśnie chamów w moim stylu. Przynajmniej tak o mnie myśli. Więc specjalnie jeszcze sobie dodaję:

— To niemożliwe, bo nie chcę żadnych samic w moich konwojach. Nie chcę, żeby jakieś dupy odwracały uwagę moich ludzi.

Zatyka ją. Jacky i Capone ślaniają się ze śmiechu. Nie powinna była zaczynać. Skoro traktuje mnie jak wroga swojej rasy, ja robię to samo.

— No już, zjeżdżajcie. Nie jesteście nawet ładne.

— Świnia.

Wybucham paskudnym śmiechem.

— Zamknij się. Capone, zabierz to stąd.

Odwracają się wszystkie trzy i wracają do swego samochodu, żółtego citroena 2CV, zaparkowanego nieco dalej. Po drodze pudel odwraca się, by posłać mi jeszcze ostatnie nienawistne spojrzenie. Czekałem na to, i kiedy odwraca się do mnie, mam już rękę wyciągniętą do przodu ze sterczącym do góry palcem środkowym, w ostatnim pozdrowieniu.

Jak im wytłumaczyć, że nie z czystej złośliwości odesłałem je do diabła. Nie mogę przyjąć ich do zespołu mężczyzn. Kobiety mają tę właściwość, że ogłupiają. Gdybym je przyjął, wszyscy moi faceci zaczęliby prześcigać się w ukłonach, mając nadzieję, że uda się im którąś przerznąć. Nie ma nic głupszego niż facet w pozycji psa, i to mnie denerwuje. Skoro już reguluję rachunki, postanawiam wysadzić turystów zabranych w Adrarze. Przez te trzy dni ciągle tylko skarżyli się, i na ogół znikają, kiedy potrzebujemy ich pomocy. Tak czy inaczej, będą bezpieczniejsi tutaj niż jadąc dalej w moim konwoju.

Jacky nie zgadza się, żebym sam ich spędził z ich grzędy. Woli to załatwić po swojemu. Pozwalam mu działać i zamawiam u Capone'a kolejną kawę, żeby spokojnie zjeść śniadanie. Nic z tego, zaledwie zdążył przynieść parujący dzbanek, kiedy nadchodzą pasażerowie.

— Nie możecie nas zostawić pośrodku pustyni.

Najgrubszy, ten, który dostał kamieniem, trzyma się ostrożnie z tyłu. Mały blondynek płacze. Po policzkach ciekną mu łzy. Co ja dziś takiego zrobiłem, żeby na to wszystko zasłużyć?

— Tutaj jest wioska, kretyni. Za parę dni będzie ktoś przejeżdżał i będziecie mogli dokończyć podróż na jego wozie. Jacky już wam powiedział, żebyście się wynosili, i ja wam mówię to samo. Nie zawracajcie mi głowy, spadajcie.

Rzecznik waha się. Patrzy na mnie, rozumie i odchodzi pociągając za sobą pozostałych.

Kawa ostygła.

* * *

Zrzucamy z naczepy Albany cztery owce, które padły w czasie jazdy. Wybieram pięć innych na obiad. Dobre żarcie na nowo pogodzi mnie z życiem. Wokół ciężarówek zbierają się dzieciaki Tamacheków. Niektóre przychodzą powiedzieć dzień dobry i prosić o prezent. Pod kierownictwem Wallida moi ludzie rozdzielają puszki z mlekiem i długopisy. Tutejsze dzieci zawsze proszą o długopisy. Wyglądają coraz mizerniej, a na oczach siadają im muchy. Capone jest wzruszony i cały ranek spędza na rozdawaniu darów.

Wreszcie siadamy przy stole zaimprovizowanym wokół ogniska. Pomocnicy dostają swoją część. Dzieciaki zbliżają się i każę im rozdać wszystko, co zostało.

* * *

Chotard, który rano wyjechał z plikiem paszportów moich ludzi i pomocników, wraca z zaproszonym gościem.

To jeden z tutejszych policjantów. Prosiłem go parę razy o przysługę i zawsze wszystko załatwił bez gadania. Dziś on ma do mnie sprawę.

— Co mogę dla ciebie zrobić?

Przelyka kawałek baraniny. To młody facet, w zawoju. Na południu algierscy funkcjonariusze nie noszą munduru. Jest na to za gorąco.

— Utknęły tu trzy kobiety. Chciałbym, żebyś je zabrał. Mógłbyś załadować ich samochód na jedną z twoich naczep.

— Nie. Poproś mnie o co zechcesz, ale nie o to!

— Charlie. Nie możesz mi odmówić. Znoszę je już od pięciu dni, zwłaszcza tę małą czarną. Charlie, znamy się od trzech lat, jesteś moim przyjacielem, musisz mi pomóc. Nigdy o nic cię nie prosiłem.

— Aż tak dają popalić?

Spojrzenie, które wznosi do nieba, mówi więcej niż jakakolwiek opowieść. Żeby zagubiony na pustyni Algierczyk chciał pozbyć się trzech kobiet, muszą to być wyjątkowe zdziry. Ale nie zrozumiałby, gdybym odmówił mu teraz pomocy, podczas gdy on zawsze załatwiał dla mnie sprawy. Jestem zmuszony się zgodzić.

Dlaczego ten facet musi przychodzić tu psuć mi obiad? Jacky też wstaje i opuszczamy towarzystwo. Było nam dobrze, jedliśmy sobie spokojnie

baraninę, było przyjemnie ciepło. Mieliśmy spokój. Zawsze coś musi wszystko popsuć.

* * *

Medytując nad niesprawiedliwościami tego życia, idziemy przed siebie w milczeniu.

W ten sposób zbliżamy się do żółtego 2CV tych trzech wysuszonych na słońcu pizd, które, jestem tego pewien, zaraz wleżą nam na głowę.

Nie mam ochoty z nimi gadać. W milczeniu przyglądamy się, jak jedzą jakąś mało apetyczną breję. Są zażenowane. Zwłaszcza pudel zerka na nas spod oka, zawsze gotów do walki, i ona też łamie się pierwsza.

— Czego chcecie?

Robimy sobie skręta, nadal milcząc, i zapalamy. One zastanawiają się, po co tutaj przyszliśmy.

— Zróbcie mi kawy.

Zaskoczenie. Pudel nie znajduje żadnej repliki. Czerwona przyrządza kawę. Wyciągam wygodnie nogi i dorzucam:

— Lubię mocną.

Jest kawa. Wypijam i dziękuję. Są zdezorientowane. Jedyna rzecz, jaką zrozumiały, to to, że nie należy mi się naprzykrzać.

— Zabiorę was.

Podnoszę rękę, żeby uciszyć potok podziękowań. Jeszcze nie skończyłem.

— Robię to wbrew sobie. Tamten gość ma już dosyć patrzenia na wasze mordy i nie może już was znieść. Jestem mu winien przysługę. Oddaję mu ją. To wszystko.

Doceniam nienawistne spojrzenie, jakie posyła mi pudel. To jedna z przyjemności tego życia, wzbudzać nienawiść.

— Ale nie życzę sobie, żebyście spały z moimi ludźmi.

Pomimo dezaprobaty trzech tłustych, mówię dalej.

— Jesteście brzydkie, ale moi ludzie są na pustyni od kilku tygodni. To nadaje wartość waszym dupom. Macie władzę. Zrozumcie to i nie wykorzystujcie jej. Zostawcie moich ludzi w spokoju. Jasne?

Żadnej odpowiedzi, chyba nikt nigdy do nich tak nie mówił. Po tym ostrzeżeniu możemy przejść do spraw towarzyskich.

— To jest Jacky, a ja jestem Charlie.

Brunetka reaguje pierwsza. Nazywa się Yannick. Pudel nazywa się Domi, jest pielęgniarką. Zapomniałem imienia zaczerwienionej, kiedy tylko się przedstawiła. Mówię do Yannick, że będzie jechać ze mną. Jacky krzywi się, bo wybrałem najbardziej znośną. Każę im ładować rzeczy od razu i zabieram Yannick.

Po drodze pyta mnie, dlaczego ma jechać ze mną. Odpowiadam jej, że z całej trójki jest najmniej brzydka, i że w związku z tym jest normalne, że pojedzie ze mną.

Teraz trzeba zająć się pojazdem tych pań. Cały zespół zostaje zmobilizowany do załadunku 2CV na okrytą platformę. Stojąc na uboczu dziewczyny przyglądają się całej operacji. Trzydziestu pomocników wybranych spośród najsilniejszych przepchnęło samochód w pobliże platformy. Dwudziestu łapie go teraz ze wszystkich stron, natężają się i jednym ruchem podnoszą do góry. Pozostali wślizgują się pod spód, prostują i ostatecznie podnoszą wóz na wysokość platformy. Delikatnie stawiają na niej przednie koła, po czym równie delikatnie, wspaniałym pchnięciem ramion, dosłownie wyrzucają wóz do przodu i 2CV spokojnie wjeżdża przodem pod stojący dalej ciągnik i zaklinowuje się tam, wśród głośnego zgrzytu blach. Opasujemy go jeszcze kablem i oto wóz jest zamocowany i gotów do drogi.

Pudel posuwa się do tego, że przychodzi do mnie skarżyć się, że „urwano” błotnik jej samochodu. Posyłam ją do diabła.

* * *

Wieczorem po kolacji ostrzegam moich ludzi, by trzymali się z dala od dziewczyn. Wallid jest rozczarowany. Szybko wrócił mu apetyt na turystki po przygodzie, jaką miał z dziewczyną z Luksemburga w czasie mojej pierwszej podróży.

Jeden Samuel Grapowitz nie słucha mojego ostrzeżenia. Jest już w towarzystwie trzech samiczek i ostro smali do nich cholewki. Jutro przy pierwszej okazji zajmę się nim. Mam już nawet pewien pomysł.

Wieczór mija w spokoju. Moi ludzie są rozluźnieni. Wszyscy już przybrali pustynny wygląd. Głowy piratów, źle ogoleni, spaleni słońcem i pokryci pyłem. Proponuję pójście ze mną na herbatę do pomocników i większość idzie.

Kara siedzi przykucnięty przed ogniskiem, obok inni w tej samej pozycji, kolana zgięte, ręce zwisające ponad kolanami. Pytam, czy możemy się przyłączyć, i jest zachwycony.

Ahmed sprowadził innych pomocników i teraz herbata gotuje się na kilku ogniskach. Moje dzisiejsze odwiedziny mają określony cel, ale cierpliwie czekam.

Wiem, że sami zaczną o tym mówić.

Tamachekowie rozmawiają między sobą, po czym Kara zwraca się do mnie.

— Szefie...

Uśmiechy, pomocnicy kiwają się i śmieją się.

— Szefie, dziewczyny to turystki?

W Afryce to coś nowego, to pojawienie się turystów. Znają to słowo, nazwę tego nowego plemienia, ale nic to dla nich nie znaczy. Jak im wytłumaczyć? Jechać zobaczyć coś nowego, podróżować dla przyjemności, to pojęcia zbyt skomplikowane dla tutejszych ludzi. To bardzo prości ludzie. Znają tylko swoją okolicę. Dlatego właśnie zresztą wierzą we wszystko, co im mówię, i wykorzystuję to.

Wszyscy przybliżyli się, z uśmiechami na ustach. Oczy im błyszczą. U Murzynów widać zresztą głównie to. Wielkie oczy i zęby.

— Te dziewczyny, to niedobre.

— Niedobre.

Wszyscy potrząsają głowami. Uśmiechy poznikały. To niedobrze. Moje dwa czarnuchy też podeszły bliżej. Nadal mają na głowach swoje czapki, na których metalowe cyfry błyszczą w świetle ognia.

— Te dziewczyny są nic niewarte.

Wszyscy czekają teraz na wyjaśnienia. Nie mają pojęcia o kobiecie europejskiej. Ich własne albo chodzą z zasłoniętą twarzą, albo wycięto im łechtaczki, żeby nie zawracały głowy. Miłość po europejsku to dla nich abstrakcja. Oni rzną raz, szybko, na sucho, żeby zapewnić sobie potomstwo, to wszystko. W dodatku są szalenie pruderyjni. Nawet nie próbują dotknąć tego czegoś, co kobiety mają między nogami. Nie chcą wiedzieć, jak to wygląda. W tej sytuacji tłumaczę im posługując się gestami.

— Te dziewczyny...

Pokazuję: trzy. I wskazuję na miejsce, gdzie poszły spać.

— Te dziewczyny liżą sobie cipy.

— Liżą czipy?

— Nie. Wiecie, co to pochwa? Co kobiety mają tutaj?

Pokazuję między nogami.

— Pochwa. Rozumiecie?

Kiwają głowami. Rysy mają napięte, oczy utkwione we mnie, twarze lśnią im w świetle płomieni.

Samuel Grapowitz wysuwa język i rusza nim, jakby coś lizał.

— One sobie... no... językiem, rozumiecie?

Cofają się nieco. Tłumaczą sobie coś w swoich dialektach. Patrzą jeden na drugiego. Nic nie rozumieją. Oni sami starają się nawet nie dotykać. Ustne pieszczoty to coś okropnego, coś absolutnie zabronionego. A w dodatku między kobietami!

— Kobiety, szefie? Kobiety razem?

— Tak. U nas, w naszym kraju, to się nazywa lesbijki.

— Lesbijki. Tak, szefie.

Moi ludzie zaczynają się uśmiechać, rozumieją, o co mi chodzi. Capone zdecydowanym ruchem potakuje głową i potwierdza na użytek Albany i moich dwóch czarnuchów, powtarzając moje gesty:

— Liżą sobie cipy, chłopie.

Pomocnicy są zaskoczeni i przerażeni.

— I czekaj, jeszcze nie wiesz najgorszego. — Znów podchodzą bliżej i słuchają.

— Tu, między nogami, wiecie co mają?

Nie. Nie wiedzą.

— Mają w pochwie zęby. W dziurze, zęby. — Pokazuję zęby i miejsce, w którym są.

— Jeśli jakiś facet spróbuje...

Wysuwam dłoń poziomo w powietrzu i uderzam w nią kantem drugiej jak nożem gilotyny.

— Klak!

Jacky podchwytuje tę myśl. Robi ten sam gest rękami i krzyczy:

— Klak!

Pomocnicy jak jeden mąż odskakują do tyłu, przerażeni. Krzyczą coś w swoim dialekcie, instynktownie zasłaniają się. Jacky krzyczy dalej.

— Klak! Klak!

Postępuje do przodu, a pomocnicy cofają się w panice.

Teraz włącza się Capone:

— Tak, chłopaki, jedno machnięcie zębami i klak! Koniec!

Teraz Jacky:

— Zęby są ostre, spiczaste, obcinają za pierwszym razem. Klak!

Capone:

— Ale mają kły! Klak!

Samuel Grapowitz uśmiecha się ukradkiem. Na jego oczach znika cała konkurencja, ma nadzieję, że sam zostanie w szrankach i uwiedzie wszystkie dziewczyny.

Ludzie powoli uspokajają się. Pomocnicy rozmawiają między sobą. Albana czuje, że nadeszła jego pora. Ostatnio zrobił się bardzo dyskretny, cichy, ale teraz ma okazję pochwalić się swoją wiedzą. Wstaje, przybiera ważną minę i uczonym tonem oświadcza, że mamy rację. Był w Europie, widział, i to, co powiedziałem, to prawda. Ahmed wskazuje na niego palcem.

— Ty, Albana? Klak! Klak?

— Nie, widziałem to na filmach. Ja w Europie chodziłem do kina. Widziałem filmy.

I rozpoczyna tyradę po arabsku. Pozostali z powagą słuchają, zwłaszcza Tamachekowie. Opowiada im zapewne o religii, o nieczystych kobietach i takie rzeczy.

* * *

Po tym przedstawieniu jestem spokojny. Sami zrobią wszystko, żeby trzymać się z dala od dziewczyn. Pozostaje jeszcze Samuel Grapowitz. Trudno jest koledze zabronić się rznąć, zwłaszcza Samuelowi Grapowitzowi, po piętnastu dniach na pustyni. Zrobię mu mały kawał, i sama myśl o tym pozwala mi zasnąć z uśmiechem na ustach.

Następnego dnia, kiedy nadchodzi pora wyruszenia do Tessalitu, Kara z trudem decyduje się wsiąść do kabiny. Yannick, nasza mała klakklak, przeraża go.

Bruneteczka osiadła między mną a Karą. Kątem oka popatruje na tego olbrzyma ubranego na niebiesko, który wszystko robi, żeby jej nie dotknąć, i widać, że jest nim zainteresowana. Próbowwała nawiązać ze mną rozmowę, ale postanowiłem ją ignorować. Skoro żądam od moich ludzi, żeby nie dotykali,

nie mogę teraz dać im złego przykładu. Szkoda. Dziś rano, kiedy wsiadała, powiedziałem jej tylko:

— Jak mówiłaś, że się nazywasz?

— Yannick.

Robi przy tym uroczą minkę.

— A tak, Yannick. Wsiadaj.

I dalej prowadzę w milczeniu. Mimo wszystko przybrałem korzystną pozycję w stylu „szef konwoju”. Ramiona proste, łokieć w oknie, spojrzenie skierowane w dal, jak w kinie. Od czasu do czasu lekkie napięcie mięśni, żeby dopełnić wrażenia, i... po prostu mam ją gdzieś. Będę ją ignorował. Nie interesuje mnie.

Widzisz, mała, jak cię ignoruję.

* * *

Miałem zamiar przejechać sto sześćdziesiąt kilometrów do Tessalitu jednym ciągiem, ale po drodze czekają na mnie interesy. Trzech ludzi w bubu, stojących koło peugeota 404 z plandeką, daje mi wielkie znaki ręką. To kupiec z San, małego, malijskiego miasta, jeden z moich dobrych klientów.

Przyjechał z południa, żeby się ze mną zobaczyć. Telegraf buszu raz jeszcze zadziałał. Wie, że nadjeżdżam, i chce pierwszy stanąć do negocjacji. Szybkość przekazywania informacji w krajach Trzeciego Świata zawsze będzie dla mnie tajemnicą.

Pocałunki, poklepywanie.

— Cześć, hadzi.

— Ualaj, Charlie, cieszę się, że cię widzę.

Badu Traure jest młody, ma około trzydziestki. To wysoki Murzyn w obowiązkowym niebieskim bubu. Ciemne okulary, złoty sygnet i zegarek to nieodłączne atrybuty bogactwa.

Przyjechał z dwoma pomocnikami, ubranymi w kolorowe bubu. Badu Traure klepie mnie po dłoniach, śmieje się, klepie mnie po plecach.

Jest przyjacielem tamtego hadziego, tego, który jedzie za mną peugeotem 403 od Reggane. Cieszą się ze spotkania i już gadają po arabsku. O czym mogą rozmawiać? Zapewne jakieś historyjki o hadżich.

Dołączył do nas Jacky, i zaczynamy interesy w cieniu pod plandeką.

— Chotaaard!

Będę potrzebował księgowego. Już dawno go nie widziałem. Właściwie co rano stawał do raportu, ale ponieważ nic do niego nie miałem, nie zwracałem na niego uwagi.

— Chotard, do cholery, gdzie się podziewałeś tyle czasu?

— Jak to... przecież jestem tutaj cały czas.

Spytałem go tak tylko, przyjaźnie, a on od razu się nastroszył.

— No dobra, mamy robotę, uważaj.

Badu Traure rzuca się na niego.

— Księgowy. Jak zdrowie, księgowy?

Chotard nie cierpi spoufalania się. Nie wyciąga dłoni do poklepania. Spuszcza wzrok i chowa się za swoimi papierami.

Badu Traure chce dużo sprzętu. Ma wszystkie zalety dobrego handlowca. Jest wytrzymały, uparty, przebiegły i umie oszukiwać. Biznes zajmie nam trochę czasu.

— Abdulaj, robię interes, jeśli ciężarówki dobre.

Odpowiadam mu, że wszystkie moje ciężarówki są dobre, i wybucha śmiechem. Zwraca się do swojego pracownika:

— Słyszysz? Charlie przywozi tylko dobre ciężarówki. O tak! Dobre ciężarówki, Charlie ualaj.

Chyba pięć minut trwa napad śmiechu, który nim wstrząsa, zanim mogę dowiedzieć się, o co chodzi.

— Wiesz, jakie są twoje ciężarówki?

Opowiada mi epilog jednej z moich ostatnich transakcji. Jednemu facetowi z Sevare, dalekiemu kuzynowi Badu Traure, sprzedałem małą, trzy i półtonową ciężarówkę. Ponieważ nie podobał mi się ten przecinek w dowodzie rejestracyjnym, zmieniłem ładowność na dziesięć ton i tak sprzedałem wóz.

Jak wszyscy Afrykanie mój klient pomyślał sobie, że skoro wóz może udźwignąć dziesięć ton, to wytrzyma i piętnaście. Załadował towar i podwozie złamało się.

Mówię do Badu Traure, że był to błąd księgowego w dokumentacji i że coś takiego jemu nie może się przytrafić.

— Wiem, Charlie. Ty jesteś dla mnie bratem. Mam do ciebie zaufanie. Jesteś przyjacielem.

Ponowne pocałunki. Klepanie po plecach. Nie przeszkadza to, że chce wszystko sprawdzić, ciężarówka i części zamienne. Zlecam Chotardowi sporządzenie inwentarza. Przez całe popołudnie chodzi po obozowisku z hadżim, jego pracownikami i Josem, który wyciąga sprzęt.

* * *

W piasku leżą tysiące małych kamyków, poza tym jest płasko i goło jak okiem sięgnąć. Jesteśmy o jakieś sześćdziesiąt kilometrów od Tessalitu, pośrodku no man's landu.

Nasze trzy klakklaki usiadły sobie na uboczu, odrzucone przez wszystkich. Pomocnicy z daleka obchodzą to miejsce, żeby zanadto się do nich nie zbliżać.

Samuel Grapowitz, wyprostowany i swobodny jak w eleganckim salonie, siedzi z nimi i rozmawia.

— Jacky, zauważyłeś?

— Tak, nie rozstaje się z nimi. Był tam już przy śniadaniu w Bordż.

— Słuchaj, nie chodzi o to, że to on, ale mam tego dość, kapujesz?

Mój plan jest prosty. Trzeba oderwać go od dziewczyn każąc mu przyjść do mnie na rozmowę. Kiedy będziemy sobie gadać, Jacky pójdzie do klakklaków i zapyta pielęgniarkę, czy ma penicylinę, tłumacząc jej, że to dla Samuela Grapowitza, i już będzie spalony do końca życia.

* * *

Samuel Grapowitz przybiega na wezwanie. Nie mógł się powstrzymać, żeby nie zapuścić sobie czegoś, co ma udawać wąsy, naśladując Jacky'ego i mnie. Bez przerwy gładzi tych parę włosków dwoma palcami. Najwyraźniej jest wniebowzięty.

— Chciałeś się ze mną widzieć, Charlie? Jestem. Czym mogę służyć?

— Niczym, stary. Chciałem się dowiedzieć, czy wszystko w porządku, nic więcej. Podoba ci się pustynia?

— Cudowna.

— To świetnie, stary. Słuchaj, widziałem, że nieźle ci idzie z dziewczynami.

Aż podskakuje.

— Zauważyłeś. Widziałeś, nie? Widziałeś?

— To jasne, stary. Podobasz im się. Jak ty to robisz, żeby tak szybko dawać sobie radę z kobietami?

Promieniejąc z radości Samuel wygłasza egzaltowaną tyradę. Wyznaje mi, że te trzy dziewczyny to dla niego okazja, by odżyć.

— Rozumiesz, Charlie, seks to warunek równowagi ogólnej, rozumiesz?

Patrzę w kierunku klakklaków. Jacky właśnie do nich podszedł i rozmawiają. Obok mnie Samuel opowiada o miłości grupowej, o wymianie partnerów. W oddali pudel grzebie w swoim plecaku. Samuel Grapowitz głośno marzy, podczas gdy o dwadzieścia metrów dalej wspaniała przyszłość, która się przed nim otwiera, zostaje zniszczona jednym celnym kopniakiem.

— Samuel...

— Hmmm?

— Nie powinienesz zostawiać ich samych. W takim obozowisku to błąd, który może się zemścić. Wiesz, ilu facetów na nie czyha?

Kładzie mi rękę na ramieniu, drugą dłonią przygląda swoich parę włosków pod nosem.

— Masz rację, Charlie. Masz całkowitą rację. Idę, biegnę tam natychmiast.

Nie może już ustać w miejscu.

— Czeka na mnie szczęście, Charlie, idę tam na–tych–miast! i biegnie ku katastrofie.

* * *

Jacky był nieco nadgorliwy. Zgodnie z umową powiedział dziewczynom, że Samuel Grapowitz ma syfa. Dodał, że dobrze mu tak, bo nie powinien był rznąć owiec. Mam niemal wyrzuty sumienia, kiedy pomyślę, że wysłałem go tam z powrotem.

Badu Traure ogląda części i ciężarówki. Korzystamy z tego z Jackym, by oddać się bezczynności. Kara przyrządza nam herbatki. Jest w złym humorze. Zdaje się, że coś się nie układa wśród pomocników. Chyba były jakieś nieporozumienia. Nie mieszam się do tego.

Samuel Grapowitz też jest w złym humorze. Siada z nami. Bez słowa kolejno odmawia skręta, herbaty, kawy. Nie chce niczego. Jest rozczulający.

Jacky i ja palimy w milczeniu. Dopiero po godzinie Samuel Grapowitz otrząsa się ze stanu prostracji i oświadcza:

— Charlie, chcę wrócić do domu.

Wydamy okrzyki zaskoczenia, mówimy, żeby został z nami, że fajnie się razem bawimy. Nie chce o niczym słyszeć.

— Dziś rano między tymi dziewczynami a mną była nie prawdziwego porozumienia. Zaczęliśmy się rozumieć. Wszystko zmierzało do doskonałego związku. A teraz się na mnie boczą, kiedy ja właśnie miałem pokazać im małego. I nazwały mnie zoofilem.

Wstaje, stoi chwilę i patrzy w ogień.

— Tak, męską świnia i zoofilem, tak powiedziały.

Ze spuszczoną głową idzie prosto przed siebie, powoli, jego rozpaczliwa sylwetka powoli maleje na tle pustyni.

* * *

Unikam dyskusji z Badu Traure. Rokowania będą trwały godzinę i wolę odłożyć to do jutra. Schroniliśmy się już z Jackym w kabinie, kiedy znów pojawia się Samuel Grapowitz.

Leżę na pryczy. Jacky robi skręta za skrętem. Samuel Grapowitz, siedząc na stopniach ciężarówki, lamentuje półgłosem. Od czasu do czasu słychać niepohamowany wybuch śmiechu Jacky'ego, jako tło. Regularnie dostaję nowego skręta.

— W Barcelonie... Zaczęło się w Barcelonie... Cewniki. A wszyscy inni rznęli się bez przerwy... Kleopatra... Miłość orientalna, rzeczywiście!... To wina Charliego... Zastrzyk... Marokanka...

Rano jeszcze tam siedzi, otoczony niedopałkami skrętów. Butelką po koniaku jest pusta. Jacky zasnął tam, gdzie siedział. Nadchodzi Capone z kawą. Trzeba będzie zabrać się do pracy.

* * *

Aż do drugiej po południu Chotard walczy z Badu Traure. Siedzę razem z nimi, ale ograniczam się do wyrażenia zgody względnie manifestowania swojej dezaprobaty. Hadzi chce kupić trzy ciężarówki, obie cysterny oraz biały ciągnik z naczepą, a także dużą ilość części. Dyskusja koncentruje się na alternatorach, wtryskiwaczach, uszczelkach głowicy, i nudzę się potwornie.

Traure uważa, że skoro kupuje hurtem ma prawo do niesłychanych cen. Chotard nie ustępuje. Zrobił duże postępy w targowaniu się. Pozwala Badu Traure śmiać się, jęczeć, płakać, aż ustalają sumę sześciuset tysięcy franków, płatnych we frankach francuskich i malijskich. Badu jest w stanie wypłacić mi

natychmiast część we frankach malijskich, jako zaliczkę. Żeby mieć resztę pieniędzy, musi wrócić do domu. Umawiamy się, że spotkamy się w Gao. Pracownik w bubu przynosi nam torbę plastikową wypełnioną malijskimi banknotami i Chotard, wzdychając, zaczyna liczyć. Po trzech godzinach peugeot 404 odjeżdża w pustynię.

* * *

Kara jest wściekły. Jest uznanym wodzem Tamacheków. Pokłócił się z Yssoufem, pochodzącym z plemienia Bambara szefem czarnych pomocników, facetem o byczym karku. W czasie jazdy do Tessalitu mówi o zabójstwie. Proszę, żeby poczekał do końca konwoju. Z szybkością dwudziestu kilometrów na godzinę wjeżdżamy w górskie wąwozy przed Tessalitem.

Powoli nasze potwory pokonują wzniesienie za wzniesieniem. Naczepy kołyszają się na boki. Wzbijamy za sobą obłoki czerwonego pyłu. Konwój przejeżdża między dwoma czarnymi wzgórzami i wprowadzam moje ciężarówki prosto do wioski.

Tessalit nie zmienił się. Nadal jest około setki glinianych domków. Cywilizację widać tylko u Amica. Jego wielka radziecka lodówka działa i zawsze wypełniona jest zimnym piwem, kiedy przyjeżdża mój konwój. Jest tu też ciężarówka facetów z Grenoble. Rodziny Tamacheków, słysząc ryk silników, siadają na progach domów. Ludzie machają mi na powitanie. Spłoszone kobiety zasłaniają twarze niebieskimi chustami.

Amico stoi w drzwiach i uśmiecha się. Przed sąsiednim domem czeka na mnie Radijah ze swoją rodziną. Ma na sobie długą białą tunikę, jaką noszą tutaj dzieci.

— Dzień dobry, kochanie.

Opuszcza swoje wielkie oczy, onieśmielona. Za każdym razem, kiedy przyjeżdżam, zawsze potrzebuje trochę czasu, żeby z powrotem przyzwyczać się do mnie. Kiedy minie już ta pierwsza nieśmiałość, robi się cudowna. Negocjacje z jej ojcem są utrudnione, bo bardzo słabo mówi po francusku. W dodatku brak mu większości zębów, co nie poprawia jego wymowy.

Matka Radijah uczestniczy w rozmowie. Jest dużo młodsza od męża, zapewne ma mniej niż trzydzieści lat. Musiała kiedyś być bardzo piękna. Zgadniają się, by ceremonia zaślubin odbyła się nazajutrz.

Następnego dnia, bardzo wcześnie, wyrzucamy padłe owce. Żywych zostało już tylko cztery. Każę uzupełnić zapas o dziesięć nowych, które

kupuję u jednego z wieśniaków. Następnie pomocnicy zarzynają całe to stado według wszelkich reguł sztuki, podczas gdy inni, przy udziale mieszkańców Tessalitu, zapalają pośrodku wsi ogniska, pomiędzy rzędem ciężarówek a domami.

Siedzę na składanym fotelu przed drzwiami domu Amica, daję znak Karze i dwudziestu moich pomocników zanosi do domu mego przyszłego teścia towary, stanowiące cenę za jego córkę.

Procesja zaczyna się od dywanów. Jest ich dziesięć i moi ludzie niosą je na ramionach po dwa. Z uroczystymi minami, wyprostowani jak struny, idą od ciężarówek do domu Radijah. Czterej następni równie uroczyście niosą na głowach skrzynie głów cukru, w postaci stożków owiniętych w niebieski papier. Dalej nadchodzą skrzynie z herbatą.

Następnie niosą mniej tradycyjne dary. Przynoszą mojemu teściowi pudła kartonowe pełne puszek konserw, mleka w proszku i ubrań.

W tyle, w głębi placu, pieką się owce. Cała ludność zebrała się wokół. Widzę wśród zebranych wszystkich znajomych. Jest tam Bayah, są obsypani orderami celnicy, miejscowy policjant, mechanicy z Grenoble, co najmniej równe zaskoczeni, jak moi kierowcy. Moi ludzie wnoszą teraz prezenty dla Radijah, perfumy, książki, i w końcu procesja kończy się ostatnim moim prezentem dla teścia, ogromnym radioodbiornikiem z magnetofonem kasetowym oraz skrzynką baterii.

Wówczas moja teściowa przyprowadza mi Radijah, która, po raz pierwszy w życiu, ma na sobie niebieską suknię, jaką noszą kobiety Tamachek. Siedzam ją koło siebie i ruchem ręki nakazuję, by zaczęły się uroczystości.

* * *

Zaproszona jest cała wioska. Baranina została poćwiartowana i rozdano kawałki mięsa. Amico dostarczył skrzynki z piwem, wielkie butelki flagu i sok pomarańczowy. Kursują też wśród ludzi bukłaki z doio, białym napojem alkoholowym z prosa. W uczcie bierze udział dwieście osób. Moi kierowcy otaczają mnie. Dostrzegam, że niektórzy kątem oka zerkają w stronę Radijah, która grzecznie siedzi koło mnie.

Natomiast klakklaki są najwyraźniej zgorszzone i trzymają się na uboczu.

Każdy do woli czerpie w wielkich cebrzykach pełnych świeżych warzyw, dostarczonych przez Amica. Później jemy owoce mango, a wreszcie podają kawę i herbatę. Oczy mojej małej księżniczki błyszczą z zadowolenia.

Cały ten tłumek po jedzeniu zaczyna drzemać. Radijah wróciła do domu na sjestę. Kiedy wszyscy są już dobrze wypoczęci, wydaję długo oczekiwany rozkaz, by przygotować się do wyścigu. To zawody tradycyjnie rozgrywane wśród pracowników wszystkich moich konwojów, kiedy jesteśmy w Tessalicie.

Chodzi o to, by pomocnicy przebiegli odległość około 500 metrów wokół centralnego kopca, trzymając na głowach podkłady ponad dwumetrowej długości.

Faceci lubią mierzyć się między sobą i zachęca ich duża nagroda, którą ofiarowuję zwycięzcy. Zawsze wygrywał Kara. Startuje dwunastu pomocników. Jako wytrawni gracze wyścigów konnych, Capone i Indianin oceniają zawodników. Nie posuwają się jednak do obejrzenia ich zębów.

Indianin nie lubi Murzynów. Któregoś dnia, na dobrym haju, mówi do mnie dumny ze swego odkrycia:

— Wiesz, Charlie, Murzyni zupełnie nie są tacy jak my.

— Tak?

— Jak dobrze się zastanowić, mają kolor gówna.

I odchodzi kiwając głową, a po dziesięciu minutach wraca.

— A najlepsze jest to, że na głowie mają włosy z dupy!

Nigdy się nie dowiem, czy się wygłupiał. Na razie jednak zapomina o swoim rasizmie i przyjmuje zakłady. Sam stawia tysiąc franków na Yssoufa, i Capone szybko idzie w jego ślady.

Fakt, że Yssouf wydaje się dużo silniejszy od Kary. Jest niski, i wygląda, jakby był pakietem mięśni, podczas gdy u Kary wszystko jest wydłużone. Ale Kara wygra, jestem pewien. Jest najlepszy, a poza tym to mój pomocnik. Capone patrzy na mnie z politowaniem.

Lubię spektakularne gesty, więc daję przeciwnikom Kary dziesięć metrów forów i przyjmuję zakłady pięć do jednego. Natychmiast Capone czuje w sobie powołanie trenera. Zawiązuje wokół szyi prawie białą serwetkę i każe Murzynowi robić różne ćwiczenia i ruchy gimnastyczne. Wali go po ramionach i każe zdumionym Murzynom Bambara masować mu plecy.

Zaskoczony Yssouf nic nie rozumie, ale pozwala na wszystko. Capone gra rolę gwiazdy i opowiada każdemu, kto chce go słuchać, że jego podopieczny jest nie do pokonania. Kiedy Murzyni przestali już masakrować mu plecy, zaciąga Yssoufa w jakiś kąt, żeby „pogadać o strategii” i opracować tajny plan rozegrania biegu.

Żeby nie pozostać w tyle, zabieram Karę do kawiarni Amica. Zapewnia mnie, że wygra. Kiedy zdejmuje z głowy swój niebieski zawój, po raz pierwszy zauważam, że ma siwe włosy.

— Ile masz lat. Kara?

— Nie wiem, szefie. W Aguelock, we wsi, mówią teraz stary Kara...

Nagle opada mnie zwątpienie. Zaryzykowałem dziesięć tysięcy stawiając je na starca.

— Ale wygrasz, co. Kara?

— Tak szefie. Yssouf, on jest za głupi.

* * *

Na dworze wszystko jak na niedzielnych wyścigach w Longchamp. Warunki zawodów są doskonałe. Słońce oświetla trybuny. Bieżnia jest dobra, bardzo sucha. W Tessalicie nie padało od piętnastu lat.

Na trybunie honorowej siedzimy z Radijah i Jackym, a u moich stóp leżą paczki forsy, przyciśnięte kamieniem. Pomocnicy i motłoch ustawieni są wzdłuż domów. Zawodnicy są gotowi, każdy ma swój podkład. Kara stoi dziesięć kroków za wszystkimi. Sygnał do startu ma dać Samuel Grapowitz. Bierze głęboki wdech, podnosi ręce i krzyczy:

— Ofiaruję zdjęcie pornograficzne zwycięzcy tych zawodów!

Zapada całkowita cisza, zmacona jedynie śmiechem Jacky’ego. Samuel Grapowitz odlicza:

— Raz! Dwa! Trzy, start, wszyscy biegą!

Ruszyli ile sił w nogach. Podkłady tańczą w powietrzu nad peletonem. Przed nimi okrążenie placu. Kara bez wysiłku dobił do peletonu, ale Yssouf biegnie szybko. O pięć kroków wyprzedza główną grupę zawodników, biegnących wzdłuż ciężarówek. Yssouf biegnie z rękami wyciągniętymi nad głową. Powiększa przewagę, za nim biegnie Ahmed. Tłum zaczyna falować, klaszcze w dłonie. Capone’a i Indianina ogarnia histeria.

— Dalej! Gazu! Gazuuuu! Tak!

— Bierz go! Bierz go! Bierz gooooo!

Pierwszy za wzgórzem znika Yssouf. Krzyki cichną. Capone patrzy na mnie z triumfem. Powinienem był kazać Jacky'emu schować się za kupą kamieni i walnąć czarnucha w łeb, żeby uchronić się od niespodzianek. To wina Kary. Jest za stary. Jest skończony.

Nadbiegają. Bambara jest na przedzie, ale Kara zaraz za nim. I przesuwa się do przodu. Każdy jego krok to dwa kroki Yssoufa. Biegnie jak rozpędzony pająk.

— Kara! Kara! Karrrrraaaaa!

Jacky jednocześnie ze mną podnosi się z miejsca.

— Karaaaaa!

Wyprzedza. Unosi się w powietrzu. Yssouf jest wykończony. W odległości dwudziestu metrów od mety wyprzedza go też Ahmed. Kara jak bolid przelatuje przede mną. Drugi Ahmed. Trzeci Yssouf.

Cholerny Kara! Inteligentnie pobiegł.

Idę pogratulować pomocnikom. Mój jest szczęśliwy, dumny z dobrze spełnionego obowiązku. Chotard wręcza mu wyznaczoną nagrodę, pięćset dinarów, co odpowiada połowie jego pensji. Ahmed dostaje dwieście dinarów.

* * *

Pogardliwym spojrzeniem miażdżę Capone'a i Indianina. Przeciagam przyjemność w czasie.

— Chotard, zapisz, że ci panowie są mi winni tysiąc franków.

Stroszą się.

— Każdy...

Co za przyjemność widzieć, jak miny im się wydłużają.

— Do potrącenia z pensji.

Atmosfera uspokaja się. Ludzie się rozchodzą. Radijah nadal siedzi, wygląda jak z obrazka na swoim fotelu koło mojego. W obieg idzie gruby skręt. Kara jeszcze przez chwilę przeżywa euforię zwycięstwa. Samuel Grapowitz daje mu plakat przedstawiający blondynkę z dużymi piersiami, który specjalnie zdjął ze ścianki swojej kabiny. Kara ściska Żyda na piersi.

— Bamuel Pupitz! Ach! Bamuel Pupitz!

Kilka minut później, podczas gdy rozmawiam z Amico, przybiega jeden z pomocników.

— Szefie, Kara nie żyje.

— Co takiego?

— Podkład spadł z ciężarówki, na głowę.

Pędzę do ciężarówek. Kara leży na piasku, koło mana. Pozostali pomocnicy otaczają go w milczeniu.

Kara. Podchodzę i klękam koło tego ogromnego ciała. Kładę rękę. na piersi. Nic.

Ten cholerny, kurewski, przeklęty konwój! Kara, mój kumpel.

— Nie żyje.

Wszyscy przygarbiają się, zaskoczeni. Patrzą po sobie, patrzą na ciało, patrzą na mnie. Kurwa, kurwa, kurwa! Dlaczego właśnie on, to niesprawiedliwe. Czuję się pusty, zniszczony. Kara...

Pudel, pielęgniarka klakkiak, nadbiega ze swoją torbą. Nie mam nawet siły, żeby ją odepchnąć.

— Daj spokój.

Klęka z drugiej strony, mierzy tętno i podnosi głowę.

— On nie umarł.

Niemożliwe! Nie umarł, to wspaniałe, dzielna pielęgniarka.

— Jesteś pewna?

— Tak, oddycha, ale jest w paskudnym, stanie. Trzeba się nim zająć.

Nie umarł, i to jest najważniejsze. Uratujemy go, przysięgam.

Porusza się. Pudel zaczyna oglądać mu głowę, opartą o jej ramię. Kara unosi rękę i odpycha ją od siebie. Otworzył oczy. Teraz widzę, że naprawdę z nim źle. Jego spojrzenie jest nieobecne, oczy wywrócone. Robi wysiłek. To szaleństwo próbować się podnieść.

— Nie ruszaj się, Kara, zajmiemy się tobą.

Unosi się tylko troszkę, z trudem, i patrzy na mnie. Otwiera usta. Chce coś powiedzieć. Na kącikach warg pojawiają się krwawe pęcherzyki. Patrzy na mnie intensywnie. Chce mówić ze mną. Przysuwam głowę, przykładam ucho do jego ust.

— Spokojnie, Kara. Słucham cię. Wszystko dobrze.

— Szefie...

Jego głos dobiega gdzieś z daleka, głuchy, straszny.

— Słucham, Kara. Powiedz mi, co chcesz. Słucham cię, przysięgam.

— Niek...niek...

Patrzy na mnie, patrzy na pielęgniarkę pochyloną nad raną. Jego oczy poszerzają się jak pod wpływem paniki, i w nadludzkim wysiłku udaje mu się wydyszeć:

— Nie klakkiak, szefie.

Przestraszyła go ta kurwa. Nie mogłaby się gdzieś schować? Ale robi dobrą robotę. Odsuwa wszystkich i opatruje go nie tracąc głowy. Jej ruchy są dokładne. Błyskawicznie zdjęła mu z głowy zawój i odsłoniła ranę, głębokie krwawe rozcięcie. Całe szczęście, że gruby turban złagodził uderzenie. Dezynfekuje skórę i owija głowę ciasno bandażem. Nic innego nie możemy zrobić. O tym, czy została uszkodzona czaszka, dowiemy się jutro. Na razie każę zanieść Karę do pokoju u Amica. Jeśli przeżyje noc, będzie uratowany, jeśli nie, Insz'Allah.

* * *

Dzisiaj Radijah i ja mamy noc poślubną. Zamknęliśmy się w pokoju u Amica. Jej ojciec przyprowadził mi ją, przygotował herbatę na piecyku, po czym wyszedł.

Jestem zdenerwowany jak uczeń. Radijah, nagle onieśmielona, zachowuje wielką powagę. Od dawna przygotowywała się do tego dnia. Choć nie wie dokładnie co, podświadomie wyczuwa, że dzisiaj zaszło coś nowego. Jej początkowe zażenowane milczenie szybko ustępuje na rzecz naturalnego rozszczebiotania.

Radijah dużo mówi, opowiada mi różne historyjki, stara się mnie zachęcić do mówienia. Już nie dziecko, jeszcze nie kobieta, drażni mnie, próbuje czułych pieszczot. Powoli z dziewczynki wyłania się kobieta i jej zachowanie wyraźnie zaczyna się zmieniać.

Ten moment wybieram, by wyciągnąć mój ostatni prezent, pięćdziesięciocentymetrową lalkę, którą trzymałem schowaną pod łóżkiem. Natychmiast jej oczy rozjaśniają się. Znikają pierwsze cechy kobiecości, jakie już się pojawiły, i znów mam przed sobą Radijah — szczęśliwe dziecko, które dostało niespodziewany prezent.

Razem bawimy się lalką przez część wieczoru. Później, kiedy chce się jej spać i kładę się na łóżku, znów poważnieje i prosi, bym zgasił gazową lampę. W ciemności rozbiera się i przychodzi przytulić się w moich ramionach jak mała spłoszona gazela.

Bardzo szybko zasypia, jak każde dziecko. Poza paroma bardzo delikatnymi pieszczotami nie mieliśmy żadnych fizycznych stosunków. Nie jest jeszcze gotowa, żeby mnie przyjąć. Później, w przyszłości, nauczę ją wszystkiego. Na razie potrzebuję przede wszystkim niewinności.

Następny dzień i dalsze to prawdziwy raj. Niestety, szczęście to ograniczone jest do paru godzin dziennie. W ciągu dnia moja małżonka musi chodzić do szkoły. Każdy pedagog przyklasnąłby mojemu pragnieniu, by nie przeszkadzać w kształceniu tego dziecka. Pierwsza klasa szkoły podstawowej to ważny etap w szkolnym nauczaniu.

Do wakacji został jeszcze miesiąc. Powiedziałem teściowi, żeby wówczas przygotował Radijah do wyjazdu. Przyślę wtedy po nią. Z największymi trudnościami odwiódłem go od pomysłu, by utuczyć ją na wielbłądzim mleku, żeby wyglądała tak, jak jego zdaniem powinny wyglądać wszystkie kobiety Tamachek.

Wieczory są wspaniałe, gdyż spędzamy je sam na sam. Przez kilka godzin dziennie zajmuję się dziecięcymi zabawami. Przejrzeliśmy i rozpakowali wszystkie prezenty, jak na Boże Narodzenie. Udaję, że zjadam ze smakiem kolacyjki, które mi przyrządza. Wszyscy pracownicy widzieli, jak gram z nią w klasy. Żaden nie ośmielił się roześmiać. Zresztą przegrałem, podobnie jak skacząc na skakance. Moja waga i moje rozmiary nie pozostawiły mi żadnych szans wobec zwinności mojej księżniczki. Kiedy nie bawimy się, Radijah opowiada mi jakąś wymyśloną historię, bez końca, po czym długo się śmieje. Jej zęby to małe perełki, rozjaśniają całą jej twarz. Promienieje z niej szczęśliwa niewinność. Jest piękna.

Po raz pierwszy od dawna jestem zakochany.

* * *

Odwiedziłem moją nową rodzinę. Mam teraz kuzynów rozsianych po całym buszu wokół Tessalitu. Żyją tam setki rodzin. Niektóre namioty są luksusowe, większość to po prostu kawałki płótna rozciągnięte między suchymi gałęziami.

Zapraszany jestem na zapoznawcze herbatki. Wypiłem ich już dziesiątki i uścisnąłem setki dłoni, każdy powołuje się na mniej lub bardziej dalekie pokrewieństwo ze mną i podejrzewam, że niektórzy przychodzili po parę razy po prostu dla przyjemności uściśnięcia mi ręki.

W Tessalicy wszyscy moi ludzie przeżywają romanse z jedną lub kilkoma kobietami z okolicy. Wallid odegrał rolę pośrednika. Przy tej okazji Żyd Samuel Grapowitz zaprzyjaźnił się z Algierczykiem. Odkryli w sobie wspólną pasję do kobiet i stali się nierozłączni.

Mój poczciwy Kara wylizał się. Następnego dnia po wypadku nadal oddychał. Teraz już nawet je i choć miewa jeszcze długie okresy, kiedy traci kontakt ze światem, wiadomo już, że jest uratowany i że wyzdrowieje.

Obaj zawodowcy jazdy do tyłu, Jean–Paul i Olivier, pozostają dla mnie zagadką. Przeszkadzają mi, ale nie mogę im niczego zarzucić. Robotę wykonują porządnie, ale nigdy nie zadają się z pozostałymi członkami zespołu. Nawet tutaj trzymają się na uboczu i prawie nie wychodzą ze swoich ciężarówek.

* * *

Dziś wieczór faceci z Grenoble skapitulowali. Zajęło im to trochę czasu. Są tu zablokowani od pięciu dni. Od czasu do czasu widywałem ich pętających się bez zajęcia po wiosce.

Na początku Cissoko odgrywał rolę celnika, któremu bardzo przykro, ale który musi przestrzegać przepisów. Później miał już dość tego ich ciągłego przyłazenia. Teraz obrzuca ich wyzwiskami i najstraszniejszymi groźbami, kiedy tylko się pokażą.

Muszę nawet dyskretnie interweniować, żeby ich nie aresztowano. Widzieli, jak błyskawicznie załatwione zostały formalności mojego konwoju, i choć żaden nie jest orłem, w końcu zrozumieli i proszą o zawieszenie broni. Chotard przychodzi mnie o tym zawiadomić, kiedy właśnie jesteśmy z Radijah w połowie partii wojny morskiej.

* * *

Pełnia księżyc oświetla dolinę Tessalitu. Goście z Grenoble mają swoje obozowisko z dala od moich ciężarówek. Robią mi miejsce i młodszy zabiera głos:

— Będę mówił wprost, dobra? Ile nam dajesz za ciężarówkę i samochód?

To gruboskórne typy, żadnej ogłady. Ich partnerki są brudne. Widać, że dokuczają im gorąco, choć są rozebrani do pasa. Nie czuję do nich wrogości. Nie próbują się stawiać, i to ich ratuje.

— Tę samą cenę, którą proponowałem wam w Adrarze, czterdzieści tysięcy franków.

Zgadniają się i odczuwają ulgę po usłyszeniu mojej ceny, która zostawia im niewielki zysk.

— Mam zwyczaj nakładać grzywny na ludzi, którzy mi się opierają, mimo że zostali uprzedzeni o sytuacji, ale macie poczciwe mordy. Chotard, zapłać panom.

Następnie posyłam go po ich paszporty. Po dziesięciu minutach wraca z dokumentami, na których widnieją wszystkie potrzebne pieczętki.

Szczęśliwi z takiego obrotu sprawy obaj Francuzi zapraszają nas do wypicia ich ostatniej butelki wina. Spędzamy razem parę chwil na luzie. Od początku ich podróży mieli problemy na wszystkich granicach. Wydaje się, że nie żywią do mnie żadnej urazy, chyba że są doskonałymi hipokrytami. Przed powrotem do pokoju radzę im, żeby bez zwłoki wracali na północ.

— Czuję do was dużo sympatii, ale nie chcę was tu więcej widzieć.

W naszym pokoju Radijah śpi z głową na książce z obrazkami.

* * *

Nie pozostaje nam tu wiele do roboty. Kara może już wstać, ale nadal jest bardzo słaby. Myślenie sprawia mu trudność i często robi wrażenie, że jest myślami gdzie indziej. Jest zbyt osłabiony, żeby pracować.

Rozdałem tubylcom prezenty. Szef policji dostał nagrodę, o którą sam mnie prosił w zamian za swoje usługi: Radijah jest zbyt młoda, by wychodzić za mąż i trzeba było przerobić nieco dokumenty malijskiego Stanu Cywilnego. Gliniarz wydał mi fałszywe papiery bez oporów. Dostał w zamian samochód równie solidny jak on sam. Miałem wręcz trudności ze znalezieniem wozu, który by do niego pasował. Nie trzeba mylić hojności z głupotą.

Cissoko, celnik, również otrzymał peugeota 504 w zamian za przytrzymanie facetów z Grenoble. Teraz ten kretyn jeździ przez wioskę na pełnym gazie, tam i z powrotem, a jego czterej podwładni siedzą z tyłu.

Dałem mu w prezencie peugeota, którym przyjechał Chotard. Ten natomiast zasiadł teraz za kierownicą nowo zakupionej ciężarówki. Przez cały dzień uczy się ją prowadzić. Jest spięty, nerwowy, to najgorszy uczeń w całym zespole. Za każdym razem skrzynia biegów niemiłosiernie zgrzyta i

wyje. Dopiero groźba ostrych represji zmusza go do zrobienia małego wysiłku.

Domi, Yannick i czerwonawa boczą się na nas. Moi ludzie zajęci są kobietami jednej z najpiękniejszych ras świata, i panny klakklaki sporo straciły na wartości. Tamachekowie wygadali się. Cały Tessalit wie o ich seksualnych obyczajach, i otacza je powszechny ostracyzm. Reputacja, jaką im zbudowałem, powinna towarzyszyć im teraz w całej Afryce.

* * *

Dziś wyjeżdżamy. Uprzedzeni poprzedniego dnia pracownicy pożegnali się ze swoimi wybrankami i mieli czas, żeby się wymyć, przebrać i ogolić. Na naczepach wiszą prawdziwe ludzkie winogrona. Ludzie w okolicy wiedzą, że nigdy nie każą płacić za przejazd, w przeciwieństwie do innych, i chcąc jechać na południe czekają, aż nadjedzie mój konwój. Wspinają się z pięćdziesięcioma kilogramami bagażu i lokują się, gdzie mogą.

Kara i Yannick wsiedli do mojej kabiny. Stoję przy stopniach, kiedy podbiega do mnie Radijah. Rzuca mi się na szyję i niezręcznie próbuje pocałować. Zostaje tak w moich ramionach, jej śliczną twarzyczka wtulona jest w moją szyję.

— Wrócisz po mnie?

— Ależ oczywiście, Radijab. Jesteśmy teraz małżeństwem.

— Tam w ciężarówce to twoja biała żona?

— Ależ nie, nie niepokój się.

Odsuwa się nieco ode mnie. Jest poważna.

— Wiem, że masz dużo pieniędzy i że kupiłeś dużo kobiet. Pocieszam tę małą kobietkę i odsyłam ją do rodziców.

* * *

Inni też chcieliby, żebym wrócił, na przykład Cissoko i jego banda celników, których apetyty są coraz większe.

— Wrócisz, prawda, panie Charlie?

Mam słabość do uroczystości, i na moją prośbę Cissoko wydaje komendę „*baczność*”, a ja dokonuję przeglądu.

Ci naprawdę skorzystali z mojej szczodroblewości. Kiedy tak stoją w szeregu przede mną, z ogromnymi kaczymi stopami i z dupami wypiętymi do tyłu, można zrobić inwentarz wszystkiego, co im przywiozłem. Najwyższy,

pośrodku, ma na głowie pilotkę, którą wcisnął sobie aż na policzki. Mały grubas z gołymi stopami w plastikowych sandałach dumnie pręży pierś, ozdobioną dwoma skrzyżowanymi pasami na naboje, jakie nosi się w operetce. Najwspanialej wygląda porucznik Cissoko, ma epolety z frędzlami, niebieską koszulę, beżowe szorty, gigantyczne spadochroniarskie buty, za pasem parę rękawic motocyklowych, manierkę, od której zgubił korek, i ze dwadzieścia breloczków. Generał Lee byłby zdziwiony widząc, że panowie Murzyni dumnie przypięli sobie na piersiach emblemat Południowców w postaci dwóch skrzyżowanych karabinów. I tak pięciu wyszamerowanych imbecyli, nadal stojąc w szeregu, macha mi na pożegnanie, podczas gdy konwój powoli zaczyna się toczyć.

Niebawem przysłania ich tuman kurzu.

* * *

Krótki postój w Aguelock daje nam okazję pierwszy raz rozdać trochę żywności. Otwieramy skrzynie mleka w proszku i cukru oraz worki z ryżem i rozdzielamy to wszystko wśród ludności. W Aguelock jest około trzydziestu domów, prawie wyłącznie zamieszkałych przez Tamacheków. Na tym odludziu, gdzie nigdy nic nie przejeżdża, przybycie konwoju jest wielkim wydarzeniem. Ze wszystkich stron wybiegają dzieci i biegną w stronę ciężarówek. Jedziemy bardzo powoli, żeby żadnego nie przejechać. Wielu pomocników pochodzi stąd, więc daję im trochę wolnego, żeby mogli przywitać się z rodzinami. Niepokoi mnie Kara. Kiedy nie śpi, przez większość czasu jest nieobecny duchem. Praktycznie nie nadaje się do niczego, a nas czeka przejazd przez Marcouba. To najtrudniejsze miejsce na tym szlaku. Strefa ryzyka ciągnie się tylko przez piętnaście kilometrów. Nieustający wiatr nanosi na ziemię grubą warstwę piasku, miękką, ruchomą i zmieniającą się za każdym przejazdem.

Dla samochodu osobowego to pestka. Sprawna zmiana biegów i zwrotność pozwalają na szybkie manewry i na wzięcie rozpędu w miejscach, gdzie jest twarde podłoże. W przypadku ciężarówki ma się pewność, że ugrzęźnie się wiele razy. Kiedy jedzie się ciągnikiem z załadowaną naczepą, przejazd zamienia się w wyczyń.

W takim terenie trzydziestotonowy pojazd robi się bezradny. O ile dysponuje ogromną mocą uciągu, jego przyśpieszenia są praktycznie żadne.

Mając przedni napęd i ogromny, ciężar z tyłu, potrafi ugrzęznąć niesłychanie szybko.

Późnym popołudniem zatrzymuję się na początku strefy. W moich światłach widzę dwie głębokie koleiny. Pomocnicy i pasażerowie korzystają z postoju, by oddalić się nieco i zmówić małą modlitwę do Allacha, prosząc o możliwie bezbolesny przejazd. W tym czasie idę się rozejrzeć. Piasek ten jest nieprzewidywalny. Niekiedy jego kolor i konsystencja pozwalają odgadnąć, co nas czeka, lecz wielokrotnie zdarzało się, że przewidywania takie okazywały się błędne. To samo dotyczy wszystkich sposobów, stosowanych przez mieszkańców Sahary. Żaden nie jest stuprocentowo pewny. Co do mnie, to wolę jechać w nocy. Piasek nie jest wtedy taki suchy i mniej się grzęźnie. Poza tym niewątpliwie ciężkie prace łatwiej wykonywać w stosunkowo chłodnym nocnym powietrzu. Ponieważ najlepszym sposobem sprawdzenia, co nas czeka, jest jechanie do przodu, próbuję przedrzeć się przez koleiny i po paru metrach grzęzną w piasku.

Po całonocnej pracy ujechaliśmy do przodu nie więcej, jak sto pięćdziesiąt metrów.

Przeprawa będzie trudna.

Jest już gorąco, kiedy każę zsiąść wszystkim pasażerom. Trzeba pozbyć się zbędnego balastu. Każę urządzić prowizoryczny obóz dla kobiet, dzieci i starców, o parę kilometrów stąd, na uboczu.

Podczas gdy pozostali pracują, przeprowadzam selekcję oddzielając starców od leni.

— A ty, ile masz lat? .

— Trzydzieści pięć. Jestem stary.

Trzeba trochę powrzeszczyć, zanim kolumna około czterdziestu niezdolnych do pracy gotowa jest do wymarszu. Wsiadam do peugeota 403 hadżiego z Reggane, żeby dopilnować urządzenia obozu. Jedziemy wzdłuż Marcouba. Jest to płaskowyż z lekkim wzniesieniem pośrodku. Zbudowany jest z szarego, martwego piasku. Wielka płyta nagiej skały wyznacza koniec trudności.

Rozpinamy płachty, żeby zrobić trochę cienia. Kilku pomocników przyniosło żywność, ryż, herbatę, cukier i drewno. Trzy klakklaki na mój rozkaz pozostaną tutaj.

Uspokojony odjeżdżam. Oddaliłem wszystkich tych, którzy nie są do niczego przydatni. Są urzędzeni jak się dało najlepiej i nie będę musiał sobie nimi zaprzętać głowy w czasie akcji.

Dla lepszej przyczepności spuściliśmy trochę powietrza z opon. Przedemną stu pięćdziesięciu ludzi, rzucam parę rozkazów, które natychmiast zostają przetłumaczone.

— Pracujcie! Nie chcę widzieć nikogo beczynnego.

Mała groźba:

— Zostawię tu pierwszego, który mi podpadnie.

I zaczynamy.

Rząd ciężarówek rozciąga się na pięćset metrów wzdłuż korytarza kolein, którym postanowiłem jechać. Przy kołach każdego wozu pracuje dwudziestka pochylonych ludzi. To nieustający balet. Faceci parami wyciągają podkłady i przenoszą je do przodu. Przy każdej ciężarówce widać w powietrzu cztery czy pięć łopat. Pozostali, na kolanach, wykopują pasek rękami. Kierowcy pomagają w tych pracach ziemnych, po czym skaczą do kabin i wciskają gaz. Pojazd kołysze się, podnosi przód wrywając się z piasku, po czym z rozpaczą opada. Za każdym razem nie przejeżdża więcej niż metr. W skali konwoju postęp jest prawie niewidoczny.

W ciągu pierwszych godzin upał wzmaga się, aż osiąga maksimum i tak już pozostaje, co jeszcze bardziej utrudnia pracę. Choć balet stał się mechaniczny, upał spowalnia go. Aby to zrównoważyć, nie robimy przerwy. Na czele konwoju moja ciężarówka nie zatrzymuje się nigdy i nawet pomocnicy zaczynają słabnąć. Popołudnie jest rozpalone, bezlitosne i ciągnie się bez końca.

Aż do ostatnich godzin dnia słońce praży niemiłosiernie. Klakklaki nie mogły już znieść beczynności w obozie i zaoferowały mi swoje usługi.

— Potrzebuję żarcia dla wszystkich. Ugotujcie coś treściwego i gorącego, w dużych ilościach.

Nadzoruję pracę poszczególnych ekip. Pod osłoną nocy, kiedy patrzę gdzie indziej, tempo zaczyna spadać. Trzymam się za ich plecami i nie mają wyboru, muszą brać się do roboty. Dorwałem Indianina, który dekował się za kierownicą zamiast kopać piasek razem z innymi. Wyrzuciłem go z kabiny na ziemię. Ma zdrową reakcję: kopie piasek. Później natknąłem się na Albanę. Siedział sobie po prostu na stopniu, odpoczywając parę minut. Uderzeniem

łopaty rozwaliłem mu okulary. Pojękując wbił obie dłonie w piasek i zniknął pod ciężarówką.

* * *

Posiłki są szybkie. Jemy na stojąco. Klakklaki smarują maścią pierwsze oparzenia. Szczególnie ucierpiał od słońca Capone. Skóra schodzi mu z ramienia płatami, jest purpurowy. Wszyscy Europejczycy cierpią. Ku mojemu zaskoczeniu Chotard nieźle się trzyma.

Nadchodzi moment, kiedy ludzie są już tak wycieńczeni, że rozkazy nie wystarczają. Trzeba też dać przykład. Tego dnia sam też kopię.

Przychodzę pomagać wszystkim ekipom. Moja obecność przywraca im siły i pozwala na pokonywanie kolejnych odcinków. Manewrowanie odbywa się precyzyjnie. Niektórzy znajdują nawet siłę, by żartować, kiedy z nimi pracuję.

* * *

Konwój rozciągnął się. Większość wozów znajduje się pośrodku. Ciężarówki Albany i Samuela Grapowitza są bardziej w przedzie.

Ponownie ogarnia wszystkich zmęczenie.

Nagle wszystko zostaje przerwane przez wybuch chłodnicy jednej z ciężarówek.

Przybiegam na dźwięk klaksonu. To wóz Samuela Grapowitza, żółty man. Jacky jest już na miejscu.

— Co jest?

Zrozpaczony Samuel pokazuje mi chłodnicę, i oceniam rozmiary. katastrofy. Metalowa kratka pękła i powstała dziura na szerokość dłoni. Rozerwana jest cała dolna część chłodnicy.

— Kurwa mać!

Odpoczynek.

Rozpatrujemy i odrzucamy wszystkie kolejne propozycje. Tym razem daliśmy plamę. Nie mamy ze sobą niczego, co pozwoliłoby naprawić tę kurewską dziurę. Ani spawarki, ani masy uszczelniającej, nic. Ciężarówka stoi na drugiej pozycji i zagradza drogę reszcie konwoju.

Tak czy inaczej, nie można jej tu zostawić.

Nawet gdybym miał ją kazać ciągnąć i pchać przez dwustu pomocników. Nigdy nie zostawiłem za sobą ciężarówki i dziś nie będzie pierwszy raz.

Podczas gdy w myślach ściągam już wszystkich mężczyzn z wiosek doliny Telemsi, Kara otrząsa się ze stanu półprzytomności, w którym pogrążony był od swojego wypadku, i mówi:

— Ryż i makaron. Ubijasz, ubijasz, dolewasz wody, mieszasz, mieszasz i kładziesz na chłodnicę, i będzie trzymać.

Będzie trzymać? Bardzo bym się zdziwił. Zastanawiam się, czy wstrząs nie doprowadził u niego do całkowitego rozmiękczenia mózgu. Pomocnicy wydają się z nim zgadzać. Wiem, że na szlaku kombinowanie nie zna granic, ale zupełnie bez przekonania posyłam po ryż i makaron.

Wszyscy patrzymy, jak Kara siada i miesza, miesi i ubija przez pół godziny.

Każę wypełnić chłodnicę. Najwyraźniej nie przecieka. Samuel Grapowitz jest przerażony. Odciąga mnie na bok. Ma poparzoną twarz.

— Nie zostawisz mnie tu, co, Charlie?

— A ty co byś zrobił?

Boi się. Jest zbyt zmęczony, by odstawiać jakikolwiek cyrk. Jest zbyt słaby, żeby wziąć na siebie opiekę nad ciężarówką, i sam na pustyni umarłby. Poza tym to mój kumpel.

Jos cierpi i zaczyna się łamać. Oprócz wysiłku wycieńczają go ameba i biegunka. Jego twarz wychudła. Nawet Jacky nie jest już ten sam. Jest brudny, ma wyostrzone rysy.

* * *

Kara założył swoje spoiwo. Pierwsza papka była zbyt luźna i szybko przeciekła przez dziurę. Teraz zrobił gęstsza. Wałkował swoimi długimi dłońmi, aż wyszedł mu rodzaj kuli. Teraz znów wygląda, jakby trzymało, ale musimy poczekać dwie godziny, żeby nabrać pewności. Musi dobrze wyschnąć. W milczeniu uzbrajamy się w cierpliwość.

Jest zbyt gorąco, żeby spać. Chronimy się pod ciężarówką. Tylko trzy Europejki są jeszcze na nogach. Opatrują poparzenia i pokaleczone ręce. Moje są pokryte pęcherzami, popękane i obolałe.

Wreszcie papka wysycha, jest twarda jak gips.

— Samuel. Włącz silnik.

Zapala i natychmiast z dziury tryska woda. Nie trzyma, oczywiście. Samuel Grapowitz wysiada, znów przerażony, i przychodzi do mnie, żeby porozmawiać.

Kara przygląda się chłodnicy. Woła mnie.

— Zobacz, szefie. Tylko mała dziurka.

Rzeczywiście, większa część spoiwa wytrzymała. Woda cieknie tylko przez mały otwór, i Kara zapewnia, że można to zalepić. Ponownie zaczyna przyrządzać to swoje święństwo. Przy powtórnej próbie zapalenia silnika nie ma już wycieku.

Kiedy wszystko jest wreszcie gotowe, zachodzi już słońce. Pomocnicy i pasażerowie oddalają się, niosąc swoje czajniki czy puszki od konserw oraz służące za dywaniki baranie skóry, i zaczynają swoje pokłony. Chwila doskonałego spokoju emanującego z zachodzącego słońca, z ciszy, która nagle zapadła, i z tej grupy ludzi na kolanach.

* * *

Posiłek. Wygłaszam mowę, żeby podkreślić zapach ludzi. Puszczam w obieg hasz. Jeszcze kawa i ruszamy.

W czasie pracy zaczynają puszczać nerwy. Coraz częstsze są gwałtowne, desperackie odruchy. Yssouf uderzył Murzyna, który pracował zbyt wolno. Rozwalił mu wargi. Nie interweniowałem.

Jemy coraz częściej. Yannick i czerwona gotują ogromne garnki ryżu i mięsa, a my pozeramy to wszystko.

Od początku obaj zawodowcy wykonują swoją część roboty bez zarzutu. Są wszechobecni wokół swoich wozów, dobrze kierują pomocnikami i nie żałują własnych sił. Wallid korzysta ze swego wielkiego doświadczenia, jego ciężarówka regularnie posuwa się do przodu. U innych praca przebiega automatycznie. Ludzie wyszli już poza zmęczenie. Przestali myśleć, dają się ponieść regularnemu rytmowi.

Harujemy tak jeszcze jedną noc i prawie cały następny dzień. Pod koniec popołudnia moja ciężarówka dociera do skraju skalnej płyty, pierwszego twardego kawałka podłoża po drugiej stronie Marcouba.

Nareszcie.

* * *

Idę wzdłuż konwoju, by raz jeszcze poderwać ekipy do pracy. Bliskość celu pobudza energię. Po trzech godzinach doskonałej roboty cały konwój wyjeżdża z piasku i ustawia się. Trzy dni i dwie noce, żeby przebyć piętnaście kilometrów!

Ludzie powyłączali silniki i pokładli się wokół ciężarówek. Rozkoszujemy się tak przez godzinę wypoczynkiem, kiedy wybucha dramat.

Yssouf, pomocnik, podszedł do Kary od tyłu, pośrodku obozowiska, i walnął go korbą w głowę, rozciągając na piasku. Uderzenie było nie do przewidzenia. Z daleka, bezsilni, widzieliśmy wszystko dokładnie.

Przez sekundę trwa potworna cisza.

Potem wszystko kipi. Tamachekowie, za którymi zaraz biegną kierowcy, rzucają się na Yssoufa, który usiłuje wymknąć się tej hordzie, ale bardzo szybko zostaje porwany i znika pod gradem uderzeń. Pomocnicy Bambara nadbiegają, żeby go bronić, i w końcu pasażerowie przyłączają się do tej dzikiej kotłowaniny.

Wkrótce walczą wszyscy. Tamachekowie przeciw czarnym, czarni przeciwko Tamachekom. W powietrzu świszczą trzonki łopat i siekier, wszystkich ogarnia szaleństwo. Ciosy zadawane są z pełnego rozmachu. Zaczyna się rzeź. Żadne wrzaski nic tu nie pomogą.

Biegnę po karabin i chwytam Weatherby oraz garść naboji. Dwie pierwsze kule przelatują tuż nad głowami, ale ogłuszające wystrzały zatrzymują gwałtownie masakrę.

— Przystaniecie wreszcie, skurwiele!

Cisza.

— Rozwalę łeb pierwszemu, który się nie uspokoi.

Nikt się nie rusza. Ładuję dwa kolejne naboje do komór i kieruję broń na grupę Murzynów.

— Wy, Bambarowie, jazda stąd. Do ciężarówek.

Ponieważ nie słuchają, składam się do strzału i celuję prosto w nich. Odruchowo cofają się i ustępują.

— Pozostali, rozejść się.

Wszyscy wycofują się. Koniec.

* * *

Bambarowie odprowadzają Yssoufa, a ja podchodzę do Kary. Wbrew wszelkim oczekiwaniom jeszcze żyje. Klakklaki, które w tym czasie przybiegły, krzątają się przy nim.

Wszyscy są zmęczeni i podniecenie szybko opada. Przez cały wieczór ostentacyjnie chodzę z bronią, i rozkazy są rygorystyczne. Uprzedziłem wszystkie ekipy, że będę strzelać do każdego, kto będzie łąził po terenie.

Kierowcy mają nie opuszczać kabin. Pierwszy raz zdarza mi się coś takiego pośrodku Sahary.

* * *

Później, kiedy nastroje uspokajają się nieco, idę do Yssoufa. Zdrowo dostał. Cała twarz jest zakrwawiona. Ma rozbity nos i oba łuki brwiowe, jedno ucho jest naderwane. Całe ciało pokryte jest siniakami.

Pytam go łagodnie:

— Co się stało, Yssouf?

Nie odpowiada i ukrywa głowę między kolanami. Jest mu przykro z powodu tego wszystkiego. Nie mogę traktować go jako jedyne winowajcy. Kara to mój przyjaciel, ale nie mogę osądzać Yssoufa na podstawie tych niewielu informacji, jakie mam na temat ich sprzeczki. Być może Kara doprowadził Malińczyka do ostateczności albo też może jest odpowiedzialny za coś, co spowodowało zemstę. Fakt, że Yssouf zaatakował mojego pomocnika od tyłu, nie ma tu znaczenia. Kara jest silniejszy. Jediną szansą Yssoufa było powalić go w ten sposób, i to wykorzystując słabość przeciwnika. Prawdziwa nienawiść to uczucie, nad którym nie można panować. Wobec niej kryteria lojalności i szlachetności to wartości moralne, które się nie liczą. Poza tym Yssouf zawsze pracował porządnie.

— Nie mogę cię zatrzymać przy sobie, Yssouf. Wszyscy są przeciwko tobie. Nie byłoby tu dla ciebie bezpiecznie. Kiwa głową. W oczach pojawiają się łzy.

— Chotard zapłaci ci, ile jesteśmy ci winni. Odeślę cię do Gao natychmiast. Ciao, Yssouf.

— Do widzenia, szefie.

Wołam hadźiego z Reggane:

— Bierz swojego peugeota i zawieź Yssoufa do Gao. Tam się spotkamy. Wyjeżdżasz natychmiast.

— Rozumiem, Charlie. Ale nie zapomnisz o mojej ciężarówce, co?

— Nie martw się o to. Pośpiesz się.

* * *

Kara zadziwia mnie po raz kolejny. Nawet jeśli jego turban zamortyzował uderzenie, po raz pierwszy zdarza mi się widzieć, by facet po wstrząsie mózgu

dostał tak po głowie i wyszedł z tego cało. Albo ma niesamowitą odporność, albo boi się umrzeć.

Dwa dni po tym zdarzeniu jest już gotów do dalszej drogi, choć może jeszcze nie do pracy. Wszyscy są trochę pokaleczeni. Capone obnosi się z podbitym okiem, opuchniętym i sinym. Chotard ma rozbitą górną wargę. Najdotkliwiej poranili się pomocnicy, choć nie wydaje się, by zbytnio cierpieli. Raz jeszcze nasze miłe klakklaki mają ręce pełne roboty, ich zabiegi stanowią dla mnie rzeczywistą pomoc.

Okres odpoczynku jest wystarczający, by wszyscy przyszli do siebie. Pasażerowie, którzy dotąd żyli na uboczu, wracają na naczepy. Chłodnica naprawiona przez Karę nadal działa i ciąg dalszy odbywa się w mniej urozmaiconych okolicznościach.

* * *

Trzy dni później jedziemy wzdłuż doliny Telemsi, zamieszkaney przez nomadów oraz mieszkańców nielicznych wiosek, wszyscy to wyłącznie Tamachekowie. Jest to pogranicze Sahelu, regionu od dawna cierpiącego z powodu suszy i nędzy. Pięćset kilometrów szlaku wśród ludu, który umiera.

Nie wierzę w Boga, ale jeśli takowy istnieje, powinniśmy móc dobrze się rozumieć. Przy każdym większym skupisku namiotów zatrzymujemy się, by rozdać żywność i mleko w proszku tym ludziom, którzy nic nie mają. Całe szczęście, że studnie nie wyschły całkowicie, bo nasze puszki z mlekiem wyglądałyby wówczas na żart.

Nie ma wspanialszego uczucia niż to, które związane jest z pomaganiem innym. Wielkość, którą się wtedy odczuwa, nie ma sobie równych. Radość dzieci działa na mnie kojąco. Uwielbiam je: są w wieku, kiedy człowiek jest najbardziej naturalny. Całymi tuzinami nadbiegają, kiedy tylko pojawią się ciężarówki. Chłopcy mają włosy obcięte na Mohikanina. Chudość ich nóżek, sterczących spod koszul, sprawia mi ból. Niektórzy mają twarze starców, poważne, bez włosów. Inni nic nie mówią i skupiają się wokół otwartej naczepy. Chotard, wspomagany przez paru innych, otwiera pudła. Po dary wyciągają się dziesiątki rąk. Nieco dalej, na obrzeżu tłumu, najślabsi, którzy nie dali rady przedrzeć się do przodu, przyglądają się smutnie. Kobiety przychodzą czerpać z pootwieranych worków ryż.

Capone wyspecjalizował się w rozdawaniu długopisów, których domagają się wszystkie dzieciaki. Popychany, nastroszony, rozdaje ich całe pudełka.

Kiedy jest taka możliwość, kupuję cztery albo pięć razy więcej owiec, niż wynoszą nasze rzeczywiste potrzeby, i każę je rozdawać. Tutaj jeszcze bardziej niż gdzie indziej nie sposób jeść pod spojrzeniem dziesiątek osób o twarzach wychudzonych przez głód.

* * *

Najwięcej energii całej sprawie poświęcają coraz sympatyczniejsze klakklaki. Początkowo zaskoczone działalnością, której nie oczekiwały, same wykonują teraz dużą część roboty. Domi leczy, ile się da, robi seryjnie zastrzyki i rozdziela całą swoją apteczkę. Czerwonawa rozczuła się do łez. Jest idealna do rozdawania darów wśród dzieci. Mała Yannick zawsze ma jedno lub dwoje dzieciaków na ręku. Wszystkie trzy robią, co się da, żeby dystrybucja naszych prezentów odbywała się możliwie sprawiedliwie, sympatycznie i szybko.

Teraz mają do nas zupełnie inny stosunek. Yannick zaczyna myśleć, że nie jestem taką wredną świnią, jak sądziła. W tej sytuacji mój urok osobisty zaczyna działać. Żeby ją ukarać, udaję, że nie dostrzegam jej wysiłków w ubieraniu się i jej uśmiechów. Trzeba było zrozumieć od razu.

* * *

Samuel Grapowitz przeżywa bajkowy sen. Dostarczyliśmy mu narzeczoną. W jego urodzinowy wieczór odbyłem rozmowę z Jackym. Ani on, ani ja nigdy nie spędziliśmy samotnie urodzinowej nocy. Była okazja, żeby zrobić coś dobrego dla naszego kolegi. Poszliśmy do czerwonawej, żeby porozmawiać z nią w cztery oczy. Jacky wytłumaczył jej, że zrobiliśmy im kawał z Samuelem i że teraz ten głupi żart zamienia się w dramat.

— Od tamtej pory umiera z miłości do ciebie.

— Píše nawet wiersze.

Jej pierwszym odruchem jest odmówić naszemu koledze. Ale dziewczyna ma dwie zalety. Jest głupiutka i miła. W paru starannie opracowanych zdaniach dajemy jej do zrozumienia, że Samuel Grapowitz bliski jest samobójstwa dla niej. Wkrótce dziewczyna ustępuje, tym łatwiej że Samuel

ma przyjemną gębę, że ona sama to prawdziwe brzydactwo i że nieczęsto musi się jej zdarzać okazja, by ktoś się nią poważnie zajął.

Radość Samuela Grapowitza, kiedy pojawiliśmy się przy stopniach jego ciężarówki z naszym zarumienionym prezentem pośrodku, była głośna i energiczna. Złapał grubą i zatrzasnął drzwiczki za swoim szczęściem. Radosny śmiech z nawiązką wynagrodził nam nasze wysiłki.

* * *

Następnego dnia cały konwój stoi, w oczekiwaniu na Samuela Grapowitza. Pościł przez ponad miesiąc i teraz stara się przedłużyć przyjemność. Z jego ciężarówki dobiegają krzyki, przerywane głośnymi wybuchami śmiechu. Zaintrygowani pracownicy podchodzą małymi grupkami. Wkrótce wokół mana siedzą w kółku wszyscy uczestnicy konwoju, i komentarze płyną wartko. Jest to prezent, nie można przerywać nocy poślubnej, ale jego witalność mimo wszystko zadziwia mnie.

Około dziesiątej, kiedy zaczynam się już niepokoić o grubą, drzwiczki wozu otwierają się i pojawia się Samuel Grapowitz w wielkich białych gaciach. Uśmiecha się nieznacznie, widząc publiczność, pozdrawia obecnych wielkim machnięciem dłoni, stawia nogę na stopniu i sztywno osuwa się na ziemię.

* * *

Długie godziny spędzam w namiotach z Tamachekami. To spokojni i piękni ludzie. Cierpią z godnością, pozbawieni wszystkiego i bez żadnej nadziei. Są zaniepokojeni. Pora deszczowa zakończyła się, i nie spadła ani jedna kropla deszczu. W studniach poziom wody opada. Przewidują nadejście nowej fali głodu, a to znów oznacza śmierć.

Dojechaliśmy do turbiny wiatrowej, osiemdziesiąt kilometrów od Gao. Droga nadaje się już do jazdy citroenem 2CV trójki dziewczyn. Mają ogromne opóźnienie w stosunku do zaplanowanego przejazdu i wyraziły chęć wyjazdu już nazajutrz. W tej sytuacji proszę małą Yannick, miękkiem i ciepłym głosem, by tego wieczoru była moja. Jej oddech robi się szybszy, kiedy na nią patrzę. Z uroczą minką zgadza się.

Każę urządzić na piasku wygodne legowisko i przynieść wody. Yannick ma do swojej dyspozycji mydło i perfumy, żeby mogła się przygotować.

Kiedy wracam, jest świeża i czysta, ubrana tylko w jedną z moich koszul. Stanowi zupełnie wyjątkowy widok czegoś kobiecego w środku pustyni.

Przychodzi namydlić mi plecy, po czym mnie wyciera. Przyciągam ją do siebie, żeby ją pocałować. Jej drobne ciało drży. Niosę ją na legowisko, nie słysząc prawie miłosnych zaklęć, które do mnie szepcze. Biorę ją brutalnie i szybko, i po paru sekundach leży pozostawiona sama sobie, rozwarta, z kolanami przy ramionach.

— I co, malutka, szczęśliwa?

Mój śmiech wykazuje jej, że tak naprawdę jestem tylko wredną świnią. Nie pozwalam jej uciec. Mocno i czule przytulony do niej zasypiam szczęśliwy.

To mój ulubiony kawał z dziewczynami.

Zaczynała już brać mnie za jakiegoś bohatera, a ja nie lubię uchodzić za harcerza. Faktem jest, że uratowałem jej życie parę dni wcześniej.

Przynajmniej ona tak sądzi.

Za każdym razem, kiedy łapię skorpiona, obcinam mu żądło i wkładam go do pudełka po zapalkach. Pozwala to później na robienie kawałów w najlepszym guście.

Tym razem kładę jednego na ramieniu Yannick i czekam, aż ona go zauważy, kątem oka śledząc powolne ruchy okaleczonego zwierzęcia. Zobaczyła go i zaczyna krzyczeć, ale Tarzan jest tuż...

— Nie ruszaj się. Przede wszystkim nie ruszaj się.

Stoi jak skamieniała, blada.

— Stój spokojnie, Yannick. On wyczuwa, kiedy się boisz. Jak w najlepszych horrorach powoli wyciągam rękę i błyskawicznym ruchem starego saharyjskiego wyjadacza łapię, rzucam na ziemię i rozgniatam obcasem biedne, bezbronne zwierzątko, które nikomu nic nie zawiniło.

* * *

Następnego dnia wyładowujemy 2CV. Domi, czyli pudel, żegna się ze mną męskim uściskiem dłoni, po koleżeńsku. Czerwonawa powstrzymuje łzy, co nadaje jej jeszcze bardziej krowi wygląd. Yannick nawet na mnie nie spojrziała podając mi rękę z dystansem i zdecydowanie odwraca się do mnie plecami. Patrząc, jak oddala się ta dupcia, wroga i zamknięta, i ogarniają mnie wyrzuty sumienia.

Zdarza mi się mścić na kobietach. Zbyt wiele nakłamano mi na ich temat. Kiedy byłem mały, wyobrażałem sobie, że życie pełne przygód da mi w nagrodę dziewicę na wieży, czystą i czułą, która potrafi zająć się mną, kiedy wrócę z bitwy. Bardzo wcześnie sprawdziłem, jak wygląda ta dziewica, i spróbowałem się dowiedzieć, co powinienem jej zrobić. Szybko przekonałem się, że moja dziewica z wieży śmierdzi rybą! Ale tym razem pełne dezaprobaty spojrzenie tej małej dupci przeszkadza mi. A gdyby tak zaczęła wkoło rozpowiadać, że Charlie nie umie dogodzić kobiecie? Nie to. Człowiek broni się przed reputacją paskudnego samca, ale ma jednak swoją dumę.

Wziąłem Yannick za rękę. Zaciągnąłem ją do mojej ciężarówki, nie słuchając jej protestów.

— Wsiadaj.

Oddaliłem się od kowoju jadąc na pełnym gazie, żeby nie mogła wyskoczyć w biegu.

Całym ciężarem swojego ciała przygniatałem ją do maski. Obrzuca mnie wyzwiskami i okłada małymi piąstkami, po czym ulega. Załatwiam ją przez cztery godziny.

Krzyczy z rozkoszy, ale także z bólu. Piasek jest parzący, a blacha, na której ją rozłożyłem, jeszcze bardziej. Jej ciało pokryte jest różnymi rodzajami czerwonych plam. O sto metrów dalej zajeżdża na pełnym gazie ciężarówka Samuela Grapowitza i dobiegają z niej dzikie wrzaski. Samuel Grapowitz też się żegna. Yannick od dawna już jęczy, żebym przestał, kiedy ją wreszcie puszczam. Już dwukrotnie podjeżdżał do nas i trąbił citroen 2CV. Czerwona i rozczochrana Yannick za każdym razem kazała mu jechać do diabła.

W jakiś czas później naprawdę rozstajemy się. Żegnamy się ostatecznie.

— I co, malutka, szczęśliwa?

Odpowiada mi „*tak*” z uśmiechem. Urocze dziecko.

* * *

Moi ludzie dają już sobie doskonale radę. Obozy są rozbijane i zwijane bez problemów. Wyładowanie 2CV było sprawą banalną i szybko załatwioną. Jos powoli dochodzi do siebie na diecie składającej się z wody po gotowaniu ryżu, która ma silne właściwości wstrzymujące, za to teraz dokuczają mu zęby.

One i Two cieszą się wracając w rodzinne strony. Wioska, z której pochodzą, znajduje się w rejonie Gao, i będą mogli tam powrócić, kiedy tylko im zapłacę. Wallid również na pewno zostanie w Gao i pozbędę się Albany,

który do końca jest trudny do zniesienia. Mnie samemu nie spieszy się do przejazdu do Czarnej Afryki, i staram się przedłużyć farniente wśród Tamacheków.

Dziś po południu niedaleko obozowiska zatrzymują się trzy ciężarówki, wszystkie w paskudnym stanie. To typowe używane wozy, jakie sprzedaje się w Afryce, pierwszą reakcją moich ludzi jest głęboka nieufność.

— Spokojnie, chłopaki, jednego znam.

* * *

Freda, faceta z Bordeaux, którego poznałem w Niamey, spotykam dwa albo trzy razy w roku. Wesoły Alain, jego kumpel, nie zajmuje się już handlem w Afryce. Fred nadal jeździ szlakiem do Nigru, i utrzymujemy dobre stosunki. Znam również obu jeleni, których zabrał ze sobą. Pierwszego spodziewałem się jeszcze gdzieś tutaj spotkać, to facet z tych, co latami potrafią robić to samo. Jest nim Francis, zwany Sygnciarzem, alfons z Bordeaux i etatowy frajer afrykańskich szlaków. Raz pomogłem go obrobić u Ministra Dobrych Interesów.

Spotkanie trzeciego jest niespodzianką. To Ciastkarz, facet, którego wystawiłem do wiatru i któremu wyjąłem cały szmal trzy lata temu, z Miguelem.

Ależ to było dawno!

Nie jest zachwycony widząc mnie, ale nie jest to też dla niego niespodzianka, bo mówiono mu już o mnie. Mimo wszystko wielkość mojego konwoju robi na nim wrażenie. Sygnciarz rozplywa się w komplementach.

Za plecami Ciastkarza tłumaczy mi obficie gestykulując to, co już dawno zrozumiałem: Ciastkarz to jeleń. Podczas gdy tak się rzuca, stojący z tyłu jak zwykle z kamienną twarzą Fred jednym mrugnięciem oka przekazuje mi drugi aspekt tej sprawy. Jeśli Sygnciarz sądzi, że w całej tej historii jest tylko jeden jeleń, będzie okrutnie rozczarowany.

Fred nie zmienił się. Za okularami intelektualisty ukrywa się bezlitosny pirat, naciągający każdego frajera, jaki mu się nawinie. Jako zawodowiec nie może nie mieć się przede mną na baczności, choć nie ma żadnego powodu. Ich pobyt nie trwa długo i odjeżdżają do Gao.

Konwój wjeżdża na teren Czarnej Afryki. Wyjechaliśmy już z pustyni. Piasek porośnięty jest teraz drzewami, karłowatymi i wysuszonymi, ale jednak zielonymi.

Jesteśmy w drodze od pięćdziesięciu trzech dni, trwa to o wiele dłużej niż zwykle. Ciężarówki zmieniły wygląd. Wszystkie odsłonięte powierzchnie pokryte są skorupą suchego piasku. Opony, łyse już w momencie wyjazdu, są miejscami poszarpane. Przednie szyby są matowe. Niektóre wozy zdradzają objawy mechanicznego zmęczenia. Będę musiał się ich pozbyć w pierwszej kolejności.

Ale zmęczony jest nie tylko materiał.

Ludzie również mają dość. Kiedy konwój ustawił się już na parkingu wielkiego hotelu Atlantide w Gao, polecam Josowi, by zorganizował warty, żeby nie dopuszczać ciekawskich zbyt blisko, po czym zarządzam ogólny odpoczynek.

* * *

W sali hotelowego baru rozpoczyna się dzień rozrywki i zabawy. Miejska elektrownia nie działa i lodówki nie chłodzą. Zdobywamy jednak lód. Anyżówka to jedyny zimny napój, jaki możemy znaleźć. Wszyscy z rozkoszą rzucają się na nią. Siadam z Jackym i Chotardem, który karmi mlekiem małego feneka, kupionego w Tabankort kilka dni temu. Na pierwszy rzut oka zwierzę przypomina feneka: cztery łapy, ogon i uszy.

— Jacky, jesteś pewny, że to naprawdę fenek?

— Jasne, że jestem pewien!

— W takim razie dlaczego jest taki ohydny i śmierdzi jak kozioł?

— Zazdrość z ciebie wyłazi. Poczekaj, aż trochę podrośnie, i jak się go umyje i wyszczotkuje, zobaczysz, że będzie wyglądał wspaniale.

Bez przerwy podchodzą do nas różni notable i hadziowie, którzy chcą rozmawiać o interesach. Umawiam ich na następny dzień, na ósmą.

* * *

Są punktualni. Niektórzy są nawet na miejscu o ósmej rano. Inni łążą po hotelu oczekując na okazję rozmowy ze mną.

Handel ten jest korzystny i niezwykle łatwy. Handlarze i przewoźnicy mogą kupować na miejscowym rynku wyłącznie nowe ciężarówki, które kosztują bardzo drogo. Ja przywożę im pojazdy za pół ceny. Wyrywają je sobie, chociaż obecnie rynek nie jest już tak dobry, jak na początku.

Przyjmuję klientów w moim pokoju i powtarza się ciągle ten sam scenariusz. Chotard zajmuje się targowaniem, z dokładnością do dziesięciu lub dwudziestu tysięcy franków mniej lub więcej.

Szybko pozbywam się tych, którzy przychodzą udawać kupców dla samej przyjemności pogadania, co jest częstym przypadkiem, a także tych, których wstępne propozycje nie mieszczą się w ramach uznanych przeze mnie za rozsądne. Przed moimi drzwiami tłoczą się dwa rodzaje poważnych klientów: przewoźnicy, poszukujący ciężarówek, i kupcy pragnący nabyć pojazdy, części do nich bądź jedno i drugie. Zamierzają albo używać ciężarówkę dla własnych potrzeb, albo też przeznaczyć ją do dalszej odprzedaży. Tak jak przypuszczałem, pierwsza transakcja, jaką zawieram, to sprzedaż pięćdziesięciu tysięcy litrów oleju napędowego. Otrzymuję za nie czterokrotną cenę z powodu braków rynkowych, o których trzeba powiedzieć, że nieźle mi służą. Opony znikają stosami. Stanowią w Afryce rzadki towar, który sprzedaje się doskonale. Niekiedy służą nawet jako środek płatniczy w drobnych interesach. Części mechanicznych nie sprzedaję na sztuki. Są do wzięcia całymi partiami. Po dwóch dniach nie zostaje już nic.

Załatwiłem też sprawę hadziego z Reggane, który przyjechał tu zarejestrować swoją ciężarówkę. Handlarz Bau Traure, który w tym czasie przebywał w no man's land, odwiedza mnie ponownie i wyrównujemy rachunki. W wyniku tego spotkania sprzedaję dwie ciężarówki i trzy spośród ciągników przewożonych na naczepach.

Trudne są te dni negocjacji. Całe szczęście, że jest ze mną Chotard w roli kozła ofiarnego i że korzystam z pomocy Jacky'ego, który spędza ze mną gros czasu. Jediną wadą jego odwiedzin jest to, że przynosi ze sobą swego rzekomego feneka. Pomimo powtarzanych kąpieli zwierzę uparcie śmierdzi coraz bardziej.

— To nie może być fenek.

— Ależ jest, zapewniam cię.

— W takim razie to jakaś rasa śmierdzących feneków.

Czwartego dnia robimy rachunki.

— Chotard, ile mamy?

Rzuca się na kalkulator. Płacą nam we frankach malijskich, frankach CFA i frankach francuskich, a Chotard przelicza na dolary.

— Mamy dwieście czterdzieści tysięcy dolarów.

Niezła suma. Na częściach mamy dobre przebicie, W sumie sprzedaliśmy sześć ciężarówek na trzynaście, wliczając w to wóz gości z Grenoble, trzy spośród czterech ciągników, i zostały nam już tylko trzy peugeoty 504. Mam wielu potencjalnych klientów na pozostałe ciężarówki, w Mopti i w Segou, są to praktycznie pewne zamówienia, które ostatecznie zaokrąglają nasze obroty.

Tego samego wieczoru świętuję ten sukces z Jackym idąc z wizytą do domu kurtyzan, gdzie zwykle zajmują się nami jasnoskóre Mauretanki, do których należy przybytek.

Mam w tym burdelu faworytę. To bardzo jasna Metyska, moja jednoręka. Nie do uwierzenia, ile potrafi zdziałać jedną ręką.

Rozkoszuję się chwilą intymności z dwiema specjalistkami, kiedy do naszego pokoju wprowadzają małą dziewczynkę.

Jest bardzo młoda, nie ma nawet zawiązków piersi. Moim pierwszym odruchem jest ją odesłać, ale kiedy przyłącza się do zabiegów moich towarzyszek, drugi odruch każe mi ją przerznąć. W końcu nie trzeba przesadzać.

W ten sposób w Afryce osiągam dwa bieguny mego życia seksualnego. Najmłodszą właśnie miałem. Dokonałem inseminacji najstarszej na Wyspach Kanaryjskich, kiedy poznałem Jacky'ego. Była to angielska lady, przyznająca się do siedemdziesięciu pięciu lat, a wyglądająca na osiemdziesiąt. Wychodząc z założenia, że wszystkiego w życiu trzeba zakosztować, odważnie poszedłem na front. Porzuciłem ten relikwiarz epoki wiktoriańskiej w stanie omdlenia będąc o krok od nekrofilii.

* * *

Pozbyłem się większości pomocników. Zatrzymałem przy sobie tylko kilkunastu Tamacheków, w tym Karę i Ahmeda. W pierwszej kolejności odesłałem Bambarów i Fulbejów. Murzyni to dobrzy pracownicy, ale Tamachekowie to dla mnie teraz część rodziny. Odchodzący kolejno podchodzili do mnie i każdemu dawałem, co mu się należało. Wielu odjechało jeszcze tego samego wieczoru lub nazajutrz rano, ciężarówkami ciągnącymi na północ.

Moi ludzie robią z hotelu burdel. Parking za budynkiem zamieniony został w wioskę. Ludność Gao, która nigdy nie ma nic innego do roboty jak tylko oglądać nadarżające się widowiska, tłumnie ściga obejrzeć, utrzymywana z dala od parkingu przez naszych wartowników. Pomiędzy

ciężarówkami płoną ogniska. Murzynki w różnym wieku i różnej tuszy gotują, piorą i od czasu do czasu są wciągane do kabin.

Można również znaleźć moich ludzi w barze. Cztery wentylatory pod sufitem stanowią jedyne źródło chłodu w Gao, o ile działa elektrownia. Oparci o ladę lub rozwaleni w plastikowych fotelach ci krzykacze prześcigają się w przechwałkach.

Capone zapewnia, że przerznął najgrubszą. Samuel Grapowitz nalega, by uznano go za zwycięzcę pod względem ilości, w czym popiera go jego przyjaciel Wallid, skromnie zadowolający się tylko drugim miejscem. Po serii orgii, które dzielił ,ze wszystkimi, Indianin przeżywa kryzys moralny i mówi tylko o swojej żonie. Jos trzyma się na uboczu, bo bołą go zęby. Poradziłem mu, by wezwał na pomoc miejscowego dentystę.

Ten praktykuje na ulicy i przychodzi na wezwanie do domu. Jego narzędzia mieszczą się w małej drewnianej skrzynce. Składają się na nie nóż, kombinerki i obcęgi oraz mała puszka po konserwach na pieniądze. Dentysta to mały bardzo wysuszony Murzyn. Zapewne w ciągu dnia przeprowadził jakąś operację, bo widać plamy krwi na jego szortach i na koszuli.

Jos pociąga potężny łyk whisky.

Bierze butelkę ze sobą i siada pod lampą, pośrodku sali barowej. Pozostali otaczają go kręgiem.

Ponieważ jest zbyt mały w porównaniu z metrem dziewięćdziesiąt Josa, dentysta usiadł mu w końcu na kolanach, by móc dosięgnąć jego ust. Pacjent, jak zwykle spokojny, nie odzywa się, dookoła za to gwaro od komentarzy i śmiechów.

Od czasu do czasu, kiedy karzeł przerywa tortury, Jos pociąga kolejny łyk whisky. Tamten z powrotem włazi mu na kolana i kontynuuje natarcie. Z otwartych ust cieknie strużka krwi i dochodzi obrzydliwy chlupot. Kombinerki pracują. Publiczność zaśmiewa się.

— Dalej, teraz będziesz go miał, ciągnij.

Ale nic z tego. Po upływie czterdziestu minut publiczność zaczyna mieć dość. Niektórzy powrócili już do baru, kiedy dentysta unosi w powietrze ogromny trzonowy ząb, krwawe trofeum w uchwycie kombinerki. Karzeł wygląda na bardzo dumnego z siebie. Nikt nie klaszcze.

Za nim Jos płucze gardło szkocką, parokrotnie pluje krwią, po czym kiwa na swego oprawcę, żeby podszedł.

Ten podchodzi z wyciągniętą ręką, by otrzymać należność. Stojąc mocno na dwóch nogach Jos wznosi rękę do tyłu i wali go fantastycznym ciosem pięści z półobrotu, prosto w mordę. Mały Murzyn odlatuje do łyłu, przewraca fotel, wali łbem o ścianę i powoli osuwa się na ziemię, nieprzytomny.

Bokser palcem rozchyła mu rozwalone wargi i sprawdza, czy wynik jest mniej więcej równy. Wyciąga z kieszeni zwój banknotów i wciska mu w zakrwawione usta.

To dobra zapłata.

Cóż zrobić wobec tego barbarzyństwa, pozostaje tylko się przyłączyć.

Podchodzę ja i wsuwam kilka dodatkowych banknotów. Capone, Indianin, One i Two kolejno składają swego obola. Każdy daje, ile chce, tylko Samuel Grapowitz wychodzi na sknerę wkładając do krwawej mazi jedynie kilka monet.

* * *

Zostało mi siedem ciężarówek i jeden ciągnik przewożony na naczepie, z którymi pojedę do Segou. Pozbywam się nadmiaru kierowców. Albana wziął zapłatę i zniknął jak złodziej. Mamy go z głowy. Wallid zamierza wydać na miejscu zarobione pieniądze, po czym dołączy do mnie w Segou.

Obaj zawodowcy jazdy do tyłu otrzymują każdy podwójną zapłatę. Nie lubię ich i jest to uczucie odwzajemnione, ale zrobili dobrą robotę. Nie są nawet zaskoczeni, nasz pożegnalny uścisk dłoni jest lodowaty.

Pożegnanie One i Two przebiega w cieplejszej atmosferze. Zdjęli swoje numerowane czapki. Stoją jeden koło drugiego, oparci plecami o bar, i szczerzą wszystkie zęby do zgromadzonych. Nalegali, żeby postawić wszystkim kolejkę. Propozycja spotkała się z powszechnym aplauzem. Każdy otrzymał podwójną pensję i będą mogli kupić sobie najlepszą kobietę w wiosce. Może nawet wystarczy na zagospodarowanie się.

Ta pożegnalna kolejka daje sygnał do rozpoczęcia zabawy. Ślepiec, największy alfons w Gao, wpada do baru i swobodnie podchodzi do kontuaru.

— Charlie. Gdzie jesteś? Wiem, że tam jesteś.

Odkąd się znamy, chyba nigdy nie przebrał się ani nie wyprał swojego bubu. Zrobił mi świństwo i odpłaciłem mu tym samym. Od tej pory poszukuje mnie.

— Charlie, jesteś mi winien pieniądze.

— To nieprawda. Chodź, dam ci zarobić.

Zamawiam u niego na noc coś luksusowego. Obiecuje mi młode dziewczęta. Zabieram pracowników na przegląd Gao by night przy ciepłej whisky.

Do odwiedzenia mamy trzy nocne lokale. Wnętrza są względnie czyste. Całe wyposażenie to parę metalowych stolików i nieodłączne plastikowe fotele. Spotkać tam można dobrze sytuowanych Murzynów, studentów i kurwy. Muzyka wyje bez przerwy. W tym wilgotnym upale nikt nie tańczy.

Moi ludzie, pomocnicy i kierowcy, wrzeszczą i opowiadają o swoich wyczynach. Samuel Grapowitz i Capone udają przystojniaków i zabijaków wobec Murzynek. Zachowują się po europejsku, starając się osiągnąć urokiem osobistym coś, co dostać mogą tylko za pieniądze.

Chotard, Jacky i ja siedzimy przy stoliku i rozprawiamy o tym feneku, co do którego jestem pewien, że fenekiem nie jest. Chotard ma na ten temat swoje zdanie.

— To zwierzę to szakal.

— Sam jesteś szakal, Chotard! Ty, on naprawdę przypomina szakala.

Co jakiś czas któryś pracownik podchodzi do mojego stolika, żeby podziękować mi za wszystko, co dla nich zrobiłem. Pozostawiam ich w oparach alkoholu, zanim staną się zupełnie nie do wytrzymania. Zresztą robota nie jest jeszcze zakończona.

Jestem pewien, że to nie fenek.

* * *

Nazajutrz rano, po przebudzeniu, mam do swojej dyspozycji same trupy. O brzasku konwój podjeżdża do przystani promu, dwa kilometry od Gao. Niger to szara płaszczyzna wody. Płyńcie powoli, gładko, okolica wygląda zacisznie. Po drugiej stronie wznoszą się strome brzegi. Szlak objeżdża je w miłym piachu.

Dziesięciu Murzynów pracuje przy promie, to znaczy przy podłej metalowej platformie, na której przeprowić się może na raz tylko jedna ciężarówka. Potrzebujemy całego dnia, by w komplecie znaleźć się po drugiej stronie. W końcu ruszamy i grzęzniemy w piachu.

Manewrowanie paraliżuje konwój. Zbyt wiele czasu zajmuje nam przejechanie tych stu metrów. Wystarczyła jedna zabawa, żeby nastąpiło ogólne rozprężenie. Celem przypomnienia wszystkim obowiązującego regulaminu zarządzam ogólny przegląd wozów, smarowanie, pompowanie

opon i tak dalej. Ruszamy dalej w nocy. Nikt nie dokończył posiłku. Osobiście zająłem się przyprawieniem potraw, wrzucając po dwie garście pieprzu do każdej menażki. Tylko Jacky i ja zjedliśmy normalnie. Poprosiłem go, żeby dolał trochę oleju napędowego do zapasu wody pitnej, żeby nadać jej niedobry smak. Z wrodzonej złośliwości nalał za dużo i nikt nie może pić. Nie jest to bezsensowne okrucieństwo. Muszę wziąć ludzi z powrotem w garść, i narzucić im normalny rytm pracy.

* * *

Okolica jest pagórkowata. Nie ma ściśle wytyczonego szlaku, poza śladami kół pomiędzy drzewami. Te ostatnie zaczynają osiągać spore rozmiary i gdzieś tam pojawiają się baobaby. Pierwszych sto kilometrów przejeżdżamy bez kłopotów. Dalej pora deszczowa narobiła szkód i musimy zwolnić tempo. Za jednym przejazdem udaje się nam pokonać maksymalnie trzydzieści kilometrów. Błotniste odcinki to pułapki, w których ciężarówki grzęzną bez końca.

Błoto nieustannie zalewa dziury, z mozołem wykopane przed kołami. Podkłady ślizgają się bezradnie i nie pozwalają przejechać więcej niż najwyżej pół metra. Koła rozchlapują błoto. Ubrania i włosy mamy posklejane tym czerwonym świństwem.

O ile na początku starali się zasłaniać, pracownicy szybko zrozumieli, że najskuteczniej jest zanurzyć się, uklęknąć i prowadzić walkę w samym oku cyklonu. Ranek nadal zastaje nas w tym błotnym oceanie. Dodaję po dwie garście pieprzu do posiłku. Nie ma nic do picia, nie licząc kawy.

— Ruszamy!

Jest mniej gorąco niż na pustyni, ale upał bardziej daje się we znaki. Nawet jeśli człowiek się nie rusza, trudno wytrzymać. A przed nami błoto, ciągle błoto.

Jos ugrzązł aż po osie. Nawet przednie koła zanurzają się. Ciężarówka wygląda, jakby tonęła. Długo mordowaliśmy się z podkładami, po czym trzeba było zmienić taktykę. Moja ciężarówka posłużyła jako ciągnik, przywiązany do wozu Josa kablami. Oba współpracujące silniki pozwoliły wreszcie wyciągnąć wóz z tej brei. Całość zatrzymała nas na dwie godziny. O tyle mniej czasu mamy na wypoczynek.

Błoto jest wszędzie. Moi ludzie nigdy nie byli tak usmarowani. Wszyscy są wściekli do maksimum. Praca i wypoczynek przebiegają w milczeniu, nie

licząc paru krótkich wybuchów. Przy czwartym z kolei niejadalnym posiłku Capone cisnął swoją menażkę przez środek obozu i zamknął się w kabinie.

Wysiłek Samuela Grapowitza, by wytrzymać, jest godny szacunku. Przygarbił się jak sęp. Nie uśmiecha się już wcale, napięty i wyczerpany, w czarnym nieprzemakalnym płaszczu ubrudzonym zaschniętą gliną.

Chotard wywrócił się jak długi w błoto i twierdzi, że ktoś podstawił mu nogę. Radzę mu, żeby o tym zapomniał.

Jos trzyma się, ale także chętnie zrezygnowałby z tego dodatkowego odcinka. Od czasu wyjazdu z Gao tylko przez dwie godziny jechaliśmy bez trudności, przekraczając masyw górski Hombori, koło wsi o tej samej nazwie. Wznoszą się tu dziwne szczyty, wyglądające, jakby wyrastały bezpośrednio z równiny, jak zęby. U ich stóp kamienisty grunt zapewnia twarde podłoże, ale trwa to zbyt krótko.

* * *

Wyjeżdżamy z błota i napotykamy kolejne przeszkody. Wśród drzew i ciągłych podjazdów droga nie nadaje się do użytku. Ciężarówki zatrzymują się przed dwumetrowymi dziurami, które niekiedy przytrzymują nas godzinami. Trzeba przejeżdżać pod kątem prostym, przez pagórek, nie niszcząc łącza między ciągnikiem a naczepą.

Choć przejazd jest teraz mniej spektakularny, dalszy teren jest uciążliwy. Trzeba pokonywać pagórek za pagórkiem. Ciężarówki niebezpiecznie przechylają się na boki. Jeśli w porę nie zauważy się dołka, cała kabina wylatuje w powietrze. Od ciągłej pracy przy kierownicy bolą ramiona. Powoli posuwamy się w terenie dobrym dla czołgów, ale jednak jedziemy naprzód.

* * *

Dzisiaj Indianin paskudnie się urządził. Poszedł rozpalić sobie ognisko na uboczu, żeby samotnie coś zjeść, i źle się to dla niego skończyło. Niezdarnie dolał benzyny do ognia i poważnie poparzył sobie prawą rękę. W tym stanie nie może prowadzić. Zwęglona skóra niszczy mu się dookoła rany.

Moglibyśmy mu być wdzięczni za ten nieoczekiwany wypoczynek, ale jego skargi i pojękiwanie wszystko psują. Każę mu zamknąć mordę i przy okazji przestać wreszcie opowiadać nam o żonie.

— Jak wrócisz, okaże się, że ją rzną wszystkimi otworami.

Mojej przepowiedni towarzyszy złośliwy śmiech pozostałych. Trzy godziny później Indianin siedzi za kierownicą.

* * *

Nie brakuje nam widzów, odkąd wjechaliśmy w gęściej zamieszkane rejony. Drogą przemierza się dużo ludzi, piechotą lub zaprzężonym wozem, a nawet na rowerze. Mężczyźni noszą stożkowate skórzane kapelusze, by uchronić się od słońca. Kobiety mają wokół ust niebieskie tatuaże. Wszyscy ci ludzie machają do nas lub podchodzą przyjrzeć się najbardziej widowiskowym wydarzeniom. Przejeżdżamy przez wioski pełne glinianych chat, wśród których stoi czasami szary budynek o mocniejszej konstrukcji, więzienie, szkoła lub koszary.

Nie zatrzymujemy się. Nie mam czasu.

* * *

Wreszcie, po sześciu dniach, trzydzieści kilometrów przed Mopti, Kara wykrzykuje zdanie, które dla mnie oznacza koniec podróży:

— Jedź, jedź, szefie, to asfalt.

Po raz pierwszy od Adraru pod naszymi oponami mamy cywilizowaną nawierzchnię.

Po półgodzinie walczymy z prysznicami w hotelu w Mopti. Na spotkanie wyległy też komary. Gorąca wilgoć unosząca się z wód Boni jest nie do zniesienia. Złe samopoczucie pogłębia jeszcze wspomnienie Peyruse'a. A przecież muszę tu pozostać przez czas potrzebny do załatwienia sprzedaży ostatniego ciągnika.

Odwiedzam klienta nazajutrz. Następnie łączę z chłopakami, żeby pokazać im pirogi. Na targu, między stosami owoców mango, rozładowują ciężarówkę. Nieco dalej stoi inna. Afrykański transport rozwija się. W Nigerii zaczynają produkcję ciężarówek na licencji Mercedesa, używając części odrzuconych z zachodnich linii montażowych. Niedługo używane ciężarówki przestaną być tak atrakcyjne dla afrykańskich kupców. I pojawił się też sprzęt japoński. Jest nowy i wytrzymały, a ceny zbliżone do moich.

* * *

Wieczorem trąbię przed bramą mojego domu w Segou i Ahmed, stary Tamachek, przychodzi otworzyć. Sześć ciężarówek wjeżdża na podwórze.

Jak dobrze znów być w domu! Zaprosiłem wszystkich, również Ahmeda i Karę. Pozostali pomocnicy pożegnali się z nami w Mopti. Jest więc dość pokoi dla wszystkich.

Klient, który umówiony był na kupno sześciu ciężarówek, przychodzi następnego dnia dać mi ostateczną odpowiedź. To młody Murzyn, w brązowym garniturze notabla. Nosi złożone okulary i mówi zbyt wyszukany francuskim, charakterystycznym dla wykształconych tubylców. Wyjaśnia mi, że jego czarownik badał kurze wnętrzości i że flaki wypowiedziały się jednoznacznie: pora nie jest odpowiednia, by kupować.

— W tych warunkach, panie Charlie, mam nadzieję, że okaże się pan wyrozumiały i że będziemy mogli odłożyć transakcję na lepsze czasy.

Okazuję się natychmiast wyrozumiały i wyrzucam tego kretyna za drzwi.

Przestudiowaliśmy wszystkie możliwości sprzedaży. Nie mamy żadnej alternatywy, żeby sprzedać nasze ciężarówki w Segou. Trzeba by jechać do Górnej Wolty, na co nie mam absolutnie ochoty, bo Bamako, bardziej na północ, to okolica, której unikam jak mogę. Z ciężkim sercem muszę zrezygnować z szybkiej gotówki.

Znam w Segou wielu kierowców ciężarówek, którzy pracują u przewoźników i mają nadzieję kiedyś dorobić się własnych wozów. Ci, którym szczęście dopisze, osiągną to po dwudziestu pięciu latach. Zebrałem najbardziej sympatycznych i zaproponowałem im kredyt, słowo, którego na tym kontynencie nikt nie wypowiada.

Na Wybrzeżu Kości Słoniowej przewoźnik może zarobić milion franków malijskich na jednej podróży trwającej tydzień. Jest to w zupełności wystarczające, by zapewnić mi udział w zyskach jako zapłatę. Wypłata ulega po prostu opóźnieniu. Jednocześnie pozwala to mi wejść w środowisko przewoźników, gdzie da się, być może, zrobić parę dobrych interesów.

Zostaje nam jedna ciężarówka, i Jacky wyjątkowo jedzie ją sprzedać w Bamako. Wraca po dwóch dniach, bez forsy i bez wozu. W tym ostatnim nawaliła skrzynia biegów. Jacky ma atak malarii. Czując nadejście gorączki umieścił ciężarówkę we względnie bezpiecznym miejscu, by jak najszybciej wrócić i położyć się. Nie podoba mi się ta historia. Nie lubię, kiedy któryś z moich wozów wymyka mi się spod kontroli, i niepokoją mnie drobne kłopoty, które zaczynają się mnożyć na zakończenie tej podróży.

Jacky nie miał wyboru. Ledwie zdołał opowiedzieć mi, co się wydarzyło, padł na łóżko z gorączką, która potrwa dwa dni. Podczas gdy dochodzi do siebie, spędzam długie godziny z nim i jego łysym kundlem, który w miarę dorastania coraz bardziej ujawnia swoje prawdziwe pochodzenie. Jak za każdym razem, kiedy nie ma nic innego do roboty, rozmawiamy o wyścigu.

Start na pustyni, na wysokości Adraru. Meta w Mopti, dwa tysiące pięćset kilometrów poniżej. Wszyscy zawodnicy jechać będą peugeotami 404, z dwustulitrową beczką z tyłu. Zasadą jest jechać jak najszybciej, żeby dotrzeć przed innymi.

Wszystkie chwytaki dozwolone.

Jedynym ograniczeniem będzie zakaz posiadania broni palnej. Kiedy tylko wpadliśmy na ten pomysł, od razu wiedziałem, że bez kłopotu znajdziemy dość wariatów z całego świata, którzy będą chcieli startować. Pierwsze ogłoszenia od razu przyniosły sporo zgłoszeń. Planowaliśmy stu startujących, mamy już dwudziestu kandydatów, których pociągają mocne wrażenia i kupa forsy jako nagroda.

Każdy zawodnik wpłaca dwa tysiące pięćset dolarów, w ramach wpisowego. Cała pula stanowi nagrodę zwycięzcy.

Zwycięzcą będę ja. Bo oczywiście będziemy oszukiwali. Dostatecznie znam pustynię, żeby móc przygotować konkurentom najbardziej niewiarygodne sytuacje, dzięki współpracy z miejscowymi urzędnikami i wykorzystaniu trudności terenowych, żeby sprawić, by pobłądzili, i zapewnić im porcję mocnych wrażeń, jaka im przysługuje.

Myśl o stu samochodach prujących na pełnym gazie przez piaszczystą równinę napęła mnie radością. Jeśli została mi jeszcze jakaś przygoda do spróbowania na pustyni, to musi to być ta.

* * *

Tymczasem trzeba zbierać pieniądze i nie pozostaje nam nic innego, jak uzbroić się w cierpliwość. Takie wymuszone wakacje nie są wcale przyjemne.

Większość czasu spędzam w ogrodzie, gdzie słucham muzyki, palę skręty i zajadam z pozostałymi pieczoną baraninę. Wśród moich zajęć należy wymienić także i to, że zajmuję się urządzaniem ogrodu. Siedzę sobie w białej przewiewnej szacie, wygodnie, i patrzę, jak pięćdziesięciu facetów przekopuje mój ogromny ogród.

Koło mnie siedzą moi ludzie i również przyglądają się przebiegowi prac. Pokupowali sobie nowe rzeczy, korzystając ze śmiesznie niskich miejscowych cen. Zwłaszcza Capone wygląda imponująco. Zafundował sobie buty z krokodylej skóry, pasek z krokodyla i portfel z krokodyla. Nosi teraz na małym palcu wielki złoty sygnet, no i oczywiście, żeby dopełnić obrazu, złoty łańcuch na przegubie. W sygnet kazał wstawić mały jednokaratowy diament, który ofiarowałem mu z mojej osobistej kolekcji kamieni. Siedząc przy mnie chucha na swój diament i pociera go o klapę co dwie minuty, a w przerwach ćwiczy kołysanie łańcuchem. Od czasu do czasu śmieje się lub opowiada jakiś kawał.

Wszyscy są rozluźnieni, zrelaksowani i cały dom ma ogromne zapotrzebowanie na bum–bum. Wszyscy, tylko nie ja. Kilka kobiet, które załatwiam dziennie, wystarcza mi. Potrzebuję romansu.

* * *

Posłałem więc Ahmeda i Karę po Radijah, dla niej właśnie kazałem rozpocząć te wykopki.

Dla Radijah chcę, żeby było tu zielono, chcę, żeby był trawnik. Trzeba przerzucić tę wyschniętą czerwoną ziemię i rozkruszyć ją. Trzydzieści metrów wzdłuż, prawie tyle samo wszerz, głębokość jeden metr, pięćdziesięciu facetów pracuje bezustannie.

Rozsiewają nawóz, dużo i bardzo dobrego, sądząc po cenie, jaką za niego płacę. Wreszcie pochyleni sadzą trawę źdźbło po źdźble. Kupiłem ją u faceta, zajmującego się „*rozwojem, samopomocą i rolnictwem*”, czy coś takiego. Chciałem trawy, która będzie dobrze wyglądała po pięciu dniach. Zachwycony okazją znalazł mi taką, bardzo drogą, doskonałej jakości.

Zresztą na faktury ledwo zerkam jednym okiem. To robota Chotarda, ja tylko płacę. Jedyna rzecz, jakiej chcę, to trawnik, szybko, spokojnie, w angielskim stylu, zamiast mojego kawałka pustyni otoczonego murem.

* * *

Jacky już wstał i przechadza się po ogrodzie ze swoim zwierzakiem. Musiał w końcu przyznać, że jest to coś bardzo brzydkiego, łysego, żółtawego, chudego, że koszmarnie śmierdzi i że rzeczywiście jest to szakal. Zatrzymał go, bo zwierzę podobne jest do Chotarda.

Samuel Grapowitz opowiedział mi o swoich rozczarowaniach po paru dniach pilnych badań:

— Nie, Charlie, rozumiesz, to absolutnie nie są prawdziwe kobiety.

Kutas bez łechtaczki po drugiej stronie to coś sprzecznego z naturą. Patrę na krajobraz, na trawnik, który jest już gęsty i który każe podlewać każdego wieczoru. Karawana mułów przynosi mi wodę z rzeki, która przepływa nie opodal. Patrę na Niger, który błyszczy pośród spalonej ziemi, i na wspaniałą plamę świeżości, jaką tworzy mój ogród.

I pomyśleć, że wyciskam z siebie siódme poty, żeby ukształtować boski zakątek, a ten mi go psuje wprowadzając tam swego ohydneho szakala.

— Rozumiesz, Charlie, nie można kobiecie wyciąć łechtaczki. Nigdzie. To dzikusy.

Zaplanowałem dla niego podróż pocieszenia, przez Rio, Bangkok, i dałem mu pieniądze potrzebne do realizacji jego marzenia. Pojedzie pokazać małego najpiękniejszym kobietom świata.

Decyzja Samuela jest sygnałem dla innych. Indianinowi pilno wracać do żony. Jos i Capone tęsknią za ojczyzną.

Któregoś ranka taksówka czeka na nich wszystkich przed bramą, żeby zawieźć ich do Bamako, każdego do swojego samolotu. Capone jest wzruszony i stara się przyśpieszyć odjazd, żeby to ukryć.

— Ale przyjedziesz po nas, Charlie? Nie zapomnisz? Samuel Grapowitz kładzie rękę na sercu.

— Dziękuję, Charlie, dziękuję.

— Cała przyjemność po mojej stronie.

* * *

Nasi przyjaciele czarnuchy dają nam parę okazji do pośmiania się. Któregoś dnia podczas spaceru oglądamy scenę ze starego gagu z filmów rysunkowych. Wysoko na drzewie facet piłuje gałąź, na której siedzi, z niewłaściwej strony.

— Zakładam się o sto dolarów, że spadnie.

Ani Jacky, ani Chotard nie zgadzają się ze mną. Chotard sądzi, że facet jednak w końcu się zorientuje.

— Sto dolarów.

— Zakład stoi.

Odczekaliśmy aż do końca. Głośny trzask i gałąź razem z facetem spada prosto do naszych stóp. Murzyn wstał, potarł sobie czoło, uśmiechnął się do nas, po czym podniósł narzędzie i wlażł z powrotem na drzewo.

Ci ludzie zawsze będę mnie zadziwiać.

Wieczorami, kiedy wyświetlają filmy karate, seanse w miejscowym kinie są szczególnie zabawne. Umeblowanie w środku ograniczone jest do minimum, a operator nigdy nie słyszał o kolejności taśm.

Atrakcja polega na walce, jaką toczą między sobą rozjuszeni widzowie, naśladujący karateków, w celu pozbierania monet, które rozrzucam po zakończeniu projekcji.

Nie ma oczywiście mowy, by którykolwiek łagodził ciosy, zadawane kantem dłoni. Walą się wzajemnie wydając dzikie okrzyki i bitwa jest krwawa. Mamy z Jackym ulubione miejsce, mały murek na uboczu, skąd możemy oglądać i robić zakłady. Ci ludzie naprawdę są inni.

* * *

Jacky czuje się lepiej i jedziemy razem do Bamako, żeby załatwić sprawę tej ciężarówki. Następnego dnia po naszym przyjeździe w hotelowej recepcji czeka na nas wezwanie. Komisarz policji, kobieta, chce nas widzieć w swoim biurze. Nie znam policji w Bamako. Postanawiam pójść. Urzędnicy administracji, zwłaszcza policjanci, łatwo się obrażają i zasłaniają przepisami, wobec których człowiek jest bezsilny.

Przez półtorej godziny czekamy w małym hallu głównego komisariatu. Po centralnym podwórku łążą policjanci, wśród intensywnej aktywności, jaka tu panuje. We wszystkich kątach siedzą cywile. Jakieś kobiety sprzedają szaszłyki i napoje. Zniecierpliwiony mówię wartownikowi, żeby zawiadomił komisarza o naszej wizycie.

— Jestem przewoźnikiem i mam kłopoty z ciężarówką.

Muszę pojechać do Segou. Wrócę za dwa dni.

Kilka godzin później, w hotelu, naszą sjęstę przerywa gwałtowne walenie do drzwi. To policja, pięciu gliniarzy, z, pistoletami w dłoniach. Ktoś w rodzaju sierżanta kieruje całą operacją.

— Przychodzę was aresztować.

— Dlaczego?

— Próbowaliście ująć sprawiedliwości. Mam rozkaz was aresztować.

Nie chce negocjować. Ustępuję.

— Chodź, Jacky, zobaczymy, czego chce pani komisarz.

Na dole czeka na nas stary landrower. Szybko odjeżdżamy, po czym wóz psuje się po paruset metrach. Resztę drogi przechodzimy pieszo, w asyście gliniarzy, obrzucani wyzwiskami dzieciaków i zaciekawionymi spojrzeniami przechodniów. W komisariacie kierujemy się w stronę biura, gdzie czekaliśmy rano. Sierżant wrzeszczy coś i trzech gliniarzy zastępuje nam drogę. Idziemy do innego budynku.

Kiedy wchodzimy do pokoju, rozumiem, że cała sprawa śmierdzi trochę bardziej, niż myślałem. Małeńkie biuro zavalone jest torbami i ubraniami w nieładzie. Jacyś faceci siedzą przy stole, przed nimi leży księga.

To areszt.

Odwracam się do Jacky'ego i ostrzegam po hiszpańsku:

— Uwaga. Bądź w pogotowiu.

Chcą nas zamknąć. Jest ich pięciu, uzbrojonych, za naszymi plecami, plus ci od księgi. Nie mamy żadnych szans.

— Proszę dać swoje rzeczy osobiste.

— Dlaczego? Chcę się zobaczyć z komisarzem.

Krzyczy, żebyśmy mu nie komplikowali roboty, sierżant robi krok do przodu. Nie chcą o niczym słyszeć, uczepieni jedynych rozkazów, jakie otrzymali. Wyciągam z butów pieniądze. Jacky robi to samo. Kładziemy na stole dwieście tysięcy franków, nasz mały zapas na zabawę. Stos banknotów wzbudza pożądanie. Sierżant proponuje mi, żeby po prostu nie wpisywać pieniędzy do rejestru.

— Włożymy do koperty, napiszesz na niej swoje nazwisko i dobrze.

Pomimo braku zaufania do ich oficjalnych dokumentów dyktuję skrybie, co ma napisać w księdze. Oprócz pieniędzy jest moja złota sprzączka od paska, nasze łańcuszki i mały złoty podkład, który noszę jako medalion. Zdejmowanie tego wszystkiego, przed tymi małpami to prawdziwa tortura.

Wypychają nas z pokoju i pod dobrą eskortą prowadzą do końca podwórza komisariatu. Jesteśmy boso, bez pasków, całkowicie bezbronni. Budynek to długi pawilon z blaszanym dachem. Jedynym otworem jest okienko w drzwiach. Śmierdzi.

Poczekaj. Chcę się zobaczyć z komisarzem. Zaprowadź mnie do komisarza.

— Już wyszła.

— Kiedy wróci?

— Jutro rano. Przyjdzie do ciebie.

Sierżant odsuwa zasuwę. Wpychają nas do środka, smród zapiera nam dech w piersiach, to zwierzęcy odór, jakby gęsty, w dodatku panuje tu niewiarygodna wilgoć, która natychmiast sprawia, że złani jesteśmy potem. Znaleźliśmy się w piecu, gorącym i śmierdzącym.

Ciemności są całkowite, nie widać absolutnie nic, ale są tu ludzie, i to dużo. Zaledwie weszliśmy i natykamy się na tłum, w zwartym szeregu, tłum stojących ludzi.

Moje oczy przyzwyczajają się do ciemności. Wszędzie przede mną głowy Murzynów, jedne przy drugich, błyszczące oczy, jakieś odblaski, więcej nie widać. I na całym ciele czuć dotknięcia.

Moim pierwszym odruchem jest rozpychać się i walić, żeby się odsunęli. Spośród tej gęstwy głów odzywa się nagle jakiś głos i wita nas. Przestaję boksować dookoła. Zdaje się, że to nic nie pomoże. Jest nas tu zbyt wielu, żeby zrobić miejsce, a nikt nam źle nie życzy.

Inny głos, równie spokojny, wyjaśnia nam, że trzeba oddychać przez okienko w drzwiach jak długo się przy nim jest.

Potem nie twoja kolej. Czekać.

Wdycham długie hausty powietrza. Po paru minutach pchają z lewej i musimy się przesunąć.

Kiedy tylko jest się dalej od okienka, zaczynają się trudności z oddychaniem. Powietrze jest zepsute, parzące, przepełnione smrodami nie do zniesienia. Jestem przemoczony, czuję, jak pot kapie mi na stopy. Jacky, który jest niższy, znika między Murzynami i jest w dużo gorszym stanie. Włosy lepią mu się do głowy, a jego twarz ocieka potem.

Zaczynam widzieć trochę lepiej. W tej komórce z blaszonym dachem stoją młodzi, starzy, różni. Ściągam koszulę, wyżymam ją i cieknie strużka wody. A jesteśmy tu dopiero niecałą godzinę.

Koszmarna historia!

* * *

Powoli poruszamy się. Co dwie lub trzy minuty tłumek otrząsa się i każdy przesuwa się o parę kroków. Pora, by następny pooddychał przez okienko.

Co za przyjemność pociągnąć haust świeżego powietrza! Ale do mojej kolejki daleko. Nadal cały spływam potem. Są zapewne dni, bardziej upalne niż inne, kiedy padają tu trupy.

Żeby oszukać rosnące przerażenie, nawiązuję rozmowę z sąsiadami. Niedawno odpychałem ich bezmyślnie, ale nie da się tu przetrwać w samotności. Wszyscy są chętni do konwersacji. Każdy opowiada, za co się tu znalazł. Pierwszy, z którym rozmawiam, miał dług w wysokości tysiąca franków CFA, czyli czterech dolarów. Posiedzi tu dwadzieścia dni. Inny ma spędzić cały miesiąc w tym piekle. Ten znowu jest tu już od tygodnia. Nie mogę w to uwierzyć.

Jak oni tu wytrzymują, jak w ogóle pozostają przy życiu? Jeden z więźniów opowiada o sobie. Im dłużej słucham, tym niebezpieczniejsza wydaje mi się pułapka, w którą wpadliśmy. Faceci są tu z zupełnie niewiarygodnych powodów. Jeden źle naprawił samochód gliniarza, inny wystawił dla władz zbyt wygórowaną fakturę, trzeci uderzył kuzyna gliny. Niektórzy nie wiedzą, kiedy wyjdą.

* * *

To zły sen. To prawdziwy średniowieczny loch. Nie ma przepisów, króluje głupota. Koniecznie trzeba, żeby ta komisarzowa przyszła i wyciągnęła nas stąd.

W miarę wysłuchiwania informacji i historyjek dowiaduję się paru praktycznych szczegółów, równie ciekawych, co wszystko inne: jedzenie przynoszą tu rodziny. Jeśli nikt nie przyjdzie, nie ma co jeść, to proste!

Wpuszczają ich raz dziennie, rano, na dziesięć minut, wtedy można odlać się i wysrać. Jeśli któryś nie wytrzyma i zrobi w środku, wzmaga to smród. Wszyscy ludzie wokół śmierdzą. Podobnie jak Jacky i ja, obficie się pocą. Zapach potu jest kwaśny i trudny do zniesienia.

Wreszcie, po iluś godzinach, zbliża się moja kolej, by pooddychać przy okienku. Jestem od niego zaledwie o metr, kiedy gliniarz na zewnątrz podaje facetowi w środku skręta z trawki. Pracuję łokciami, pociągając za sobą Jacky'ego, i podchodzę do niego. Nie robi trudności i daje nam się zaciągnąć. Te długie sztachy czystej trawki dobrze nam robią.

Piekło to stworzono z myślą o Afrykanach. Odkąd jestem na tym kurewskim kontynencie, wielokrotnie uderzała mnie ich moralna i fizyczna wytrzymałość. Są silni, niewiarygodnie odporni i obdarzeni zadziwiającą

zdolnością znoszenia przeciwności losu, wolą nieograniczonego wytrwania, i to bez buntu. W ten właśnie sposób przez wieki pozwolili się zamienić w niewolników. W tym mamrze oni mogą przeżyć, ale nie dwaj biedni biali, którzy nie lubią cierpieć. Nie wiem, czy pani komisarz przyjdzie, ale my musimy stąd wyjść.

Kiedy wszyscy padli bezładnie, żeby spać, usiadłem z Jackym na czymś w rodzaju wąskiej ławki pod ścianą. Obaj jesteśmy cali mokrzy i ubrania mamy przemoczone. Trawka otępiła nas trochę i dobrze nam to robi. Rozmawiamy przez chwilę, tylko tyle, ile trzeba, żeby zachować spokój. Opowiadamy sobie, jak to komisarzowa przyjdzie i zwolni nas z przeprosinami, ale żaden z nas w to nie wierzy.

— Jacky, nie wytrzymamy następnego dnia. Zdechniemy tu.

— Tak, wiem.

— Najważniejsze, to się stąd wydostać. Niech nas przynajmniej zamkną gdzie indziej. Potem to będzie tylko kwestia czasu, żeby wszystko załatwić. Tutaj tego czasu nie będziemy mieli.

Mam pomysł. To prosty plan, ale liczę na głupotę afrykańskich policjantów, może się uda.

— Ty zagrasz główną rolę, Jacky. Jutro, kiedy nas wypuszczą, musisz upaść. Będiesz udawał atak serca, omdlenie, cokolwiek, co cię przewróci na ziemię, i nie możesz się ruszać. Tamci to chamy. Przekonam ich, że jest tu nam za ciężko. Jeśli uda mi się ich zaniepokoić, umieszczą nas gdzie indziej.

Jacky zgadza się i pozostałe godziny spędzamy na omawianiu planu działania.

* * *

Jacky to solidny gość i wiem, że mogę mu ufać na sto procent. Doskonale zagra swoją rolę. Był taki moment w jego życiu, w szczególnych okolicznościach, kiedy musiał udawać wariata. Wsadzili go w kaftan bezpieczeństwa, a karaluchy z całej celi przychodziły się ogrzać między jego nogami i pośladkami. Wytrzymał. Jest twardy. W parę miesięcy stał się moim najlepszym kumplem. Zgadza się co do pewnych podstawowych spraw.

— Jeśli jutro się nie uda, rąbiemy ich i niech nam Allah dopomoże! Lepiej umrzeć w walce, niż zdychać tutaj.

* * *

Noc wydaje się nie mieć końca. Jesteśmy gotowi, podnieceni myślą o akcji, ale nie łagodzi to warunków. Tracimy litry wody, słabniemy, trwa to długo.

Wreszcie, o ósmej, drzwi celi otwierają się i powoli wszyscy wychodzą na codzienny dziesięciominutowy spacer.

Teraz wszystko się rozegra. Jacky przechodzi przez drzwi.

— Trzymam za ciebie, Jacky.

Mały uśmiech.

— I ja za ciebie.

Idziemy.

Więźniowie trzymają się w grupie, o parę metrów od celi. Dwóch gliniarzy zostaje przy drzwiach, a trzech stoi przy grupie. Jeden ma broń. Jeśli pójdzie źle, na niego rzucę się najpierw.

Jacky przewraca się.

Jego upadek jest doskonały. Nagle miękną mu nogi i pada całym ciałem, twarzą do ziemi. Ja opieram się o beczkę, z miną, jakbym się dusił. Udawanie nie sprawia mi żadnych trudności. Myślę, że nie wyglądam zbyt ładnie. Pozostali więźniowie, widząc, że Jacky zemdłał, oddalają się, a kilku macha do strażników. Ci spod drzwi zauważyli, to pewne. Mój też, ten z bronią, nie mógł nie widzieć upadku mojego kumpla, który leży nieruchomo.

I nic się nie dzieje.

Żaden z tych skurwieli nie rusza nawet małym palcem. Upływają minuty. Opadam na moją beczkę. Na ziemi Jacky nawet nie drgnie. Trzymaj się, bracie, w końcu będą musieli coś zrobić. Nie ruszaj się.

Gliniarze przy drzwiach machają do więźniów. Koniec przerwy.

Nareszcie coś się dzieje. Powoli, biernie, więźniowie wracają do mamra, bez pośpiechu, ale i bez buntu. To smutny obrazek. Uzbrojony strażnik podchodzi do nas. Jesteśmy teraz sami na podwórzu. Drugi Murzyn podchodzi do Jacky'ego, okrąża go, i daje mu straszliwego kopniaka szpicem buta pod żebra.

Ty kurewski czarnuchu! Skurwielu!

Tamten jeszcze raz obchodzi mojego kumpla dookoła. Ponowny kopniak.

Ponowny skurwielu.

Jacky nie ruszył się. Specjalista od kopniaków patrzy na mnie, spojrzenie kretyna.

— Co myślisz, kutasie, wydaje ci się, że go obudzisz?

Patrzy mi prosto w oczy jego cała afrykańska głupota. Prawie słyhać, jak myśli. Sporo czasu zajmuje mu sformułowanie pytania:

— Co mu jest?

Zwracam się do uzbrojonego, wygląda na nieco mniejszego idiotę.

— Słuchaj. My, biali, nie przyzwyczajeni do takiego więzienia.

Inni podchodzą. Niebawem stoi wokół mnie pięciu. Dalej tłumaczę mojemu, który słucha mnie uważnie.

— Takie więzienie, niedobre. Rozumiesz? Zbyt ciężkie dla nas, białych. My umrzeć tam.

Kiwa głową. To już jakiś początek. Ale inny, mały i wysuszony, zaczyna krzyczeć:

— Jak to niedobre? Dobre dla innych, więc dobre dla ciebie też. Pierdol się. Zwracam się znów do mojego:

— My, nie tak silni. Dużo mniej silni. Rozumiesz? Mniej silni, wiesz?

— Tak, mniej silni.

Posuwamy się. A tamten sabotuje mi robotę.

— Więzienie dobre dla wszystkich. Wszyscy tak samo, jest równość.

Nie zwracam na niego uwagi. Nie spuszczam z oczu mojego.

— Ja czuć się niedobrze. On zemdłał. Rozumiesz? Chory.

— Tak, chory.

— Jeśli wrócimy tam, umrze. Ty będziesz odpowiedzialny.

Przez twarz przebiega skurcz paniki. Krzykliwy zarzuca go zdaniami w dialekcie. Nalegam.

— Ty odpowiedzialny. Odpowiedzialny, niedobrze. Odpowiedzialny!

Daje znak podnieconemu, żeby wreszcie zamilkł. Drapie się w głowę, w brzuch, w jaja i postanawia:

— Tego trzeba tam zanieść. Jest chory.

Dwóch podnosi Jacky'ego i prowadzą nas do małego budynku oddalonego od reszty komisariatu. Wchodzimy do pokoju, rodzaju sali wypoczynkowej połączonej z biurami, i tam nas zostawiają.

— Jacky.

Otwiera oczy, rozgląda się po tym niezbyt atrakcyjnym, ale normalnym otoczeniu, i jednakowo reagujemy:

— Uf!

* * *

Wywalczyliśmy względną swobodę ruchów, ale nudzimy się okropnie przez następnych dziewięć dni. Dostaliśmy z powrotem nasze buty i trochę pieniędzy na życie.

Pokój i biura pomalowane są łuszczącą się zieloną farbą. W kącie żółtawa umywalka z kranem, w którym od dawna nie ma już wody. Żeby się napić albo umyć, trzeba wychodzić do kranu na podwórzu. Łóżka to zwykłe prycze z dziurawymi moskitierami. Nie ma nic innego do roboty jak przyglądać się widowisku, jakim jest sam komisariat. Mały staruszek oskarżony został o kradzież orzeszków. Dwóch gliniarzy każe mu połknąć orzeszki wraz z łupinką. Następnie jeden z nich siada okrakiem na starcu, który jest już na czworakach, i popędzając go uderzeniami w kark każe się zanieść do drzwi mamra w głębi podwórza, za które wpycha staruszka kopniakiem.

Ci ludzie są inni. Kupujemy sobie jedzenie na podwórzu. W biurach obok naszego pokoju pracują wyłącznie inspektorzy w cywilu. Są równie tępi i złośliwi jak pozostali, ale wobec nas zachowują się normalnie. Zaczynamy nawiązywać przyjaźnie, żeby ich przekupić i korzystać z ich drobnych usług.

Policjanci zabawiają się, jak mogą. Mają warcaby i w skupieniu rozgrywają długie partie. Zamiast kamieni używają kapsli od coca-coli. Nie umieją przegrywać i po każdej rozgrywce przegrywający wyciąga z celi więźnia, żeby go pobić dla wyładowania złości.

Zupełnie inni niż my.

Wreszcie zawiadamiają nas, że dziś rano zobaczymy się z komisarzem. Dla nas oznacza to koniec kłopotów. Będziemy mogli wyjaśnić całą sprawę. Gdyby były problemy, tym łatwiej będzie nam zawrócić w głowie temu komisarzowi, że jest samicą, a więc w naturalny sposób wrażliwa jest na męskie wdzięki.

Furia, która wpuszcza nas do swego biura, natychmiast odbiera nam wszelkie złudzenia. Jest to Murzynka w wieku około trzydziestu pięciu lat. Ciało ma niezłe. Trudno ocenić twarz, bo zniekształcona jest grymasami gniewu.

Jacky i ja patrzymy po sobie. Obaj odświeżyliśmy się i odpicowaliśmy. Z nią nie mamy żadnych szans, ma wyciętą łechtaczkę. Robię Jacky'emu znak, jakbym obcinał sobie palec wskazujący. Zrozumiał i potakuje.

— Co to za gest?

— To nic, proszę pani. Proszę mówić dalej.

Mówi dalej. Śledztwo zaczęło się od ciężarówki zaparkowanej w Bamako. Dalej dochodzi do Interpolu, wspominając po drodze o całym spisie najróżniejszych przestępstw. To długa litania kłamstw bez sensu, która potwierdza to, czego się obawiałem. Jesteśmy tu z powodu moich wrogów, którzy opłacili komisarza albo należą do jej rodziny. Grzecznie słuchamy do końca i wracamy do pokoju, żeby zacząć działać.

Obiecaliśmy dużo pieniędzy jednemu z inspektorów za przekazywanie listów. Znam w Bamako paru byłych ministrów oraz dawnego przedstawiciela kraju w ONZ. Jacky pisze do francuskiego konsulatu i do Chotarda.

Żaden z moich „przyjaciół” nie odpowiada i moje obawy potwierdzają się. Mają mnie tu na celowniku i Mali przestało być przyjaznym krajem, którym było dotąd. Jacky otrzymuje odpowiedź od konsula, który odwiedza nas w komisariacie.

To stary dyplomata, jeszcze z czasów Służby Kolonialnej, alkoholik, miły, ale mało skuteczny wariat. Zgadza się z nami co do wartości prawnej oskarżeń, wysuniętych przez komisarza. Wystarczy mu powiedzieć słowo i moglibyśmy wyjść, ale czekamy jeszcze trzy dni, zanim grubas decyduje się zastukać do właściwych drzwi, żeby pójść do niej i ją przekonać. Wreszcie wychodzimy, w towarzystwie konsula.

* * *

Po powrocie do Segou podsumowujemy sytuację z Chotardem, którego ogarnęła panika. Zdaję sobie sprawę, że przeciągnąłem już zdrowo strunę. Nasze ostatnie nieszczęścia to ostrzeżenie. Nie możemy już zostać w Mali. Czas zakończyć tę przygodę, wyciągnąłem z niej ile się dało. Niebezpieczeństwo jest teraz zbyt duże. Jeśli po latach przygód jestem jeszcze przy życiu i na wolności, to dlatego, że zawsze wiedziałem, kiedy odejść.

Najprostsze rozwiązanie to wyjechać do Wagadugu i czekać tam na Chotarda. Ten ostatni zbierze forszę, która nam się należy w ramach spłat kredytu. Jacky nie zgadza się.

— Mam dosyć Afryki.

Nie trzeba dużo czasu, żeby mnie przekonać. Walczyłem, zrobiłem burdel jak zwykle, pomagałem na swój sposób, zakosztowałem wszystkich przyjemności. Ja też jestem już nasycony.

Jacky wyciągnął atlas. Z zamkniętymi oczyma dotyka palcem mapy świata.

— Ameryka Środkowa.

Zebraliśmy gotówkę. Chotardowi poleciliśmy czekać tu na resztę i dołączyć do nas później, po czym zmyliśmy się wprowadzać burdel gdzie indziej.

Nie będzie wyścigu. Żałuję tylko Radijah.

Jacky i ja przez wiele lat byliśmy razem.

Capone i Jos poszli własnym kursem.

Albana zbyt pluł na alkohol i w końcu od niego umarł.

Rasizm Indianina okazał się proroczy: po powrocie do domu zastał żonę z Afrykaninem.

Chotard uciekł z pieniędzmi. To szakał.

Opowiadano mi o hidalgu, zmarłym z przedawkowania heroiny, który jeździł po Azji dmuchając w starą trąbkę.

CIZIA ZYKE

PARODIA

PROLOG

Vancouver, Kanada. Przeprowa przez Pacyfik była trudna.

Zmiana kontynentu to zawsze duża przyjemność. Toteż postanowiłem to uczcić, być może nieco przesadziłem. Przez ostatnie trzy dni pędzone w Tokio w ogóle nie spałem, a w czasie piętnastogodzinnego lotu nadużyłem szampana. Korytarze lotniska wydają się nie mieć końca, wreszcie dochodzę do kolejki przed okienkiem urzędnika imigracyjnego. Jestem na luzie, żadnych trosk. Wszyscy tutaj wyglądają sympatycznie.

Podaję urzędnikowi paszport. To mocno zbudowany facet, ma jasne oczy, twarz przecinają mu wąsy nadające poczciwy wygląd.

Nie spieszy mu się. Czyta pierwszą stronę, ogląda zdjęcie i podnosi na mnie wzrok, żeby porównać. Sprawdza datę wystawienia paszportu, po czym przechodzi na następną. Spokojnie przygląda się mojej wizie wjazdowej, później patrzy na inne. Dziwi go stan, w jakim znajduje się dokument, a zwłaszcza liczba pieczętek, która się w nim mieści. Zapomniałem już, jak drobiazgowi są północnoamerykańscy urzędnicy.

Imigracja to tutaj sprawa poważna. Muszę się skoncentrować, żeby dobrze wypaść.

— Dużo pan podróżuje, mister Zyke. Czy to pana pierwszy przyjazd do Kanady?

To pytanie jest łatwe.

— Yes, sir.

— Jak długo zamierza pan tu pozostać?

— Nie wiem.

— Gdzie ma pan zamiar się zatrzymać? Czy ma pan w Kanadzie rodzinę? Przyjaciół?

— Nie, ale zamierzam ich sobie znaleźć.

Nie wzbudza to u niego nawet uśmiechu. Dlaczego zawsze muszę trafić na kogoś, kto będzie się mnie czepiał? Pytania padają jak krople deszczu. Coraz trudniej przychodzi mi rozumienie, co do mnie mówi. Oparłem się o blat, jestem zmęczony, widzę wszystko przez mgłę. Jego głos dobiega do mnie z oddali i z trudem toruje sobie drogę do moich uszu.

— Czy zamierza pan podjąć pracę w Kanadzie?

— Pracę?

Słowo to powoli dochodzi do mojej świadomości. Nigdy nie pracowałem, ale wiem, że to modne na całym świecie. Chwytam się tej okazji, by zrobić wąsatemu przyjemność. Prostuję się z uśmiechem, i udaje mi się wypowiedzieć głosem bełkotliwym, lecz zdecydowanym, że moim najdroższym pragnieniem jest pracować. Zmyślam nawet więcej dodając coś o założeniu rodziny, o posiadaniu dzieci, które wszystkie będą doskonałymi pracownikami, jako że ja sam pochodzę z rodziny o długich „*pracowitych*” tradycjach. Mój ojciec, mój dziadek...

Wbrew moim oczekiwaniom nie oddaje mi paszportu. Przeciwnie, wstaje i prosi, żebym poszedł za nim.

— Nie ma pan bagażu?

— No, sir.

I zaczęły się kłopoty.

Przez trzy dni trzymano mnie w lotniczym hotelu, po czym postawiono przed obliczem trybunału imigracyjnego.

Jego siedziba to zimny budynek bez wyrazu. Idę za moim przewodnikiem, wysokim glińiarzem, przez labirynt korytarzy i wind. Potem przez pół godziny czekamy w jakimś hallu.

Czuję się nieswojo. Mój garnitur jest pognieciony i ma powypychane na kolanach nogawki. Jest z jasnego lnu, był robiony na miarę w Hongkongu i miał wtedy prawdziwy szyk. Ale godziny spędzone w samolocie i te trzy dni w hotelu zamieniły go w szmatę. U boku tego wielkiego, milczącego glińiarza odnoszę wrażenie, że jestem jakimś małym włoskim imigrantem na nowojorskim nabrzeżu.

W sali czeka na mnie sześć osób, pięciu wysokich funkcjonariuszy w mundurach i kobieta, która przedstawia się jako mój tłumacz.

Natychmiast też zaczyna tłumaczyć na francuski, z silnym akcentem Quebecu, artykuły kodeksu odczytywane przez jednego z facetów.

— Oświadczył pan, że zamierza podjąć pracę na terytorium Kanady. Jest to surowo zabronione osobom nie posiadającym wizy imigracyjnej.

A więc to o to chodzi! To nawet sympatyczne, taki kraj, gdzie pracować nie wolno.

— W związku z tym nie może pan pozostać w Kanadzie. Zostanie pan deportowany. Może pan wybrać pomiędzy krajem ojczystym a tym, z którego pan przyjechał.

I już.

Ci mili ludzie spokojnie oznajmiają mi, że chcą mnie stąd wywalić. Nie jest to nawet proces. Przyprowadzono mnie tutaj, żeby poinformować mnie o skazaniu. Wydaję pieniądze, żeby ich odwiedzić, a oni mnie wyrzucają. A wszystko dlatego, że po raz pierwszy w życiu wykazałem się chęcią do pracy.

Nie mam absolutnie ochoty wracać. Jeszcze za wcześnie na powrót do Francji. Zostanę tutaj. Patrzę na moich sędziów. Siedzą sztywno na swoich krzesłach i ani drgną. Wszyscy zbudowani są imponująco, każdy pozapinany na wszystkie guziki swojej nienagannie wyprasowanej mundurowej koszuli. Są niewzruszeni, żaden nie przyjdzie mi z pomocą.

Jedyne wyjście, to ta kobieta.

Na pierwszy rzut oka wydaje się równie niezdobyta, jak samce. Po czterdziestce, lekko roztyta, w okularach o grubej kwadratowej oprawce, ma na sobie niebieski kostium skrojony jak mundur. Na piersi nosi plaketkę wskazującą, że nazywa się pani Simpson. To mężatka. Zapewne ma dzieci. Zagramy na strunie macierzyństwa.

— Proszę pani! Niech mi pani pozwoli wytłumaczyć...

I przedstawiam jej moją bezsilność i rozpacz wobec takiego sądowego potraktowania, i to po trzech niekończących się dniach uwięzienia; mówię, jak przykre jest znaleźć się pod policyjnym nadzorem; opowiadam, jak psychiczny szok spowodowany niezasłużonym aresztowaniem, w połączeniu z pomyłką sądową, która właśnie ma miejsce, stanowi poważny wstrząs dla mojej uczuciowej i umysłowej równowagi.

Patrzy teraz na mnie z uwagą, zaskoczona. Walę dalej.

— Musi mnie pani wysłuchać... Jestem studentem psychologii.

W ubiegłym roku obroniłem trudną pracę dotyczącą zachowań ludzkich w warunkach szoku. Kosztem wysiłku i pracy zdałem ciężkie końcowe egzaminy. Mój ojciec był ze mnie dumny i chciał wynagrodzić mi ten wielki intelektualny wysiłek, toteż zafundował mi podróż studyjną dookoła świata. Chodzi o to, żebym się rozwinął, żebym mógł poszerzyć swoje horyzonty poprzez wzbogacające kontakty międzyludzkie. Żebym więcej dowiedział się na temat zasad życiowych i żebym nauczył się je szanować. Proszę pani...

Powiedziałem, że przyjechałem tu pracować? Ależ to pomyłka, qui pro quo, pożałowania godne nieporozumienie, które złożyć należy na karb zwykłego przejęzyczenia, łatwo zrozumiałego po całodziennej podróży lotniczej, połączonej ze zmianą czasu i załamaniem, jakie przeżyłem, kiedy skradziono mi wszystkie moje walizki, otrzymane w prezencie od rodziny, i w których trzymałem swoje książki, dyplomy, zdjęcia rodzinne i pamiątki z podróży. Wszystko zniknęło z hotelu w Tokio.

Wala się na mnie nieszczęścia i wykorzystuje się to, by potraktować mnie jak wyrzutka, bandytę, kryminalistę, awanturnika, który zamierza siać zamęt. A ja tak cieszyłem się, po poznaniu różnych cywilizacji świata, zwyczajów ich mężczyzn i ich kobiet, że zakończę tę podróż dookoła świata w Kanadzie.

Zza korekcyjnych szkieł niebieskie oczy pani Simpson patrzą na mnie z zainteresowaniem, które nie ogranicza się do motywacji zawodowych. Jej niebieski kostium niedokładnie ukrywa krągłe kształty, które zachowały jeszcze atrakcyjność. Do ataku.

— Kanada, proszę pani! Tak marzyłem o tym kraju. Kiedy organizowałem swoją podróż, od razu postanowiłem zakończyć ją właśnie tu. Od dzieciństwa całe godziny spędzałem na czytaniu wszystkiego, co tylko mogłem znaleźć na temat Dalekiej Północy i traperów. Moja matka, która zwiedziła Kanadę w młodości, opowiadała mi o niej wieczorami. Byłem już szczęśliwy na samą myśl o podziwianiu wielkich przestrzeni, o zobaczeniu raz w życiu wodospadu Niagara... W tej fryzurze bardzo pani do twarzy... I chciałem zobaczyć Indian, jeździć na śnieżnym skuterze, spotkać profesorów uniwersytetu Vancouver...

Jestem wspaniały. Wyprostowany, ze wzrokiem wbitym prosto w niebieskie oczy mojej tłumaczki, zadaję ostatnie pchnięcie wzruszającym:

— Niech mi pani pomoże!

Zarumieniła się, kiedy wspomniałem o jej uczesaniu. Potrzebuje trochę czasu, żeby zebrać myśli, zanim zabierze się do przetłumaczenia pięciu funkcjonariuszom głównych tez mojego przemówienia. Doskonale znam angielski i bez trudności śledzę jej słowa. Początkowo bezosobowy i urzędowy głos mojej tłumaczki nabiera życia. To prawdziwa mowa obrończa. Już nie tłumaczy, lecz stara się przekonać tamtych o mojej dobrej wierze.

Student psychologii! Powinienem powiedzieć: mistrz w tej dziedzinie, bo całkowicie zamotałem ci w głowie, grubasku!

Wiem, że wygrałem sprawę, kiedy urzędnicy zaczynają naradzać się półgłosem. Jeszcze kilka przemówień i pozwalają mi odejść. Zostaje jednak postanowione, że zatrzymają mój paszport do czasu wyjazdu z kraju. Będę musiał zgłaszać się z jakimś papierkiem do najbliższego urzędu imigracyjnego raz w miesiącu.

Ostatnia formalność: każą mi przysiąc na Biblię, że będę przestrzegał prawa i tak dalej. Jestem zdeklarowanym ateistą i zupełnie mi to nie przeszkadza, ale trzeba stwierdzić, że pierwszy raz się zdarza, żeby kazano mi przysięgać na moją bibułę do skrętów. Tak czy inaczej, gotów jestem przysięgać co tylko zechcą i na dowolną książkę, bo zdecydowany jestem tu pozostać.

Troska, z jaką chronią ten swój kraj, pozwala przypuszczać, że jest tu parę ciekawych rzeczy do wzięcia. Ich upór w zawracaniu mnie z drogi rozbudził mój apetyt. Zawsze uważałem kontynent amerykański za rodzaj sejfu. W ostatnich latach bywałem tu często i zawsze było to opłacalne. A tym razem coś mi mówi, że będzie jeszcze lepiej.

I pomyśleć, że gdyby tak nie nalegali, być może przeszedłbym nieświadomie koło jakiegoś skarbu!

CZEŚĆ PIERWSZA

Toronto. Przygotowanie fajki opium to delikatna operacja. Polega na wykonaniu szeregu dokładnych ruchów, co wymaga udziału pomocnika. Li-Han, właściciel domu, jest w tym doskonały.

Cierpliwie ugniata kulkę na końcu igły i powolnymi ruchami palca wskazującego i kciuka przekształca ją w mały stożek. Główka fajki to zwykły mały otwór przebity w porcelanowej kuli. Li-Han wciska weń koniec stożka opium, przy czym reszta kulki pozostaje na zewnątrz.

Jest to opium oczyszczone, pozbawione substancji roślinnych, w przeciwieństwie do rough opium, koloru brązowego, lepkiego i nieprzyjemnego w smaku. Jest dużo mocniejsze i dużo droższe.

Mój gospodarz wyciąga do mnie cybuch fajki. Oczywiście leżę, żeby opium nie ściekało, zapalam kulkę od naftowej lampy stojącej koło mnie. Krótki niebieski płomień, opium skwierczy, i trzecia fajka rozluźnia mnie do reszty.

Rozciągnięty na brudnej macie odprężam się. Jest po południu, w pokoju ciemno. W rogu mała lampka oświetla posążek Buddy, który wydaje się wpatrywać w stojący po przeciwnej stronie odbiornik telewizyjny, niemy, lecz stale włączony.

Daleko stąd do wspaniałości Wschodu. Toronto to paskudne miasto, szare i zimne. Od dwóch tygodni nie wydarzyło się dokładnie nic. W tym przemysłowym mieście nie ma niczego, co skłaniałoby mnie do podjęcia jakichś działań i nawiązania ponownego kontaktu z zachodnią cywilizacją.

Wielokilometrowej długości aleje szybkiego ruchu przecinają się pod kątem prostym, tworząc nie kończące się ciągi jednakowych kwartałów. To amerykańskie miasto. Pada tu bez przerwy i chodniki są puste.

Li-Han odbiera fajkę. Za pomocą swojej igły przebija otwór w główce i ubija opium na brzegach, żeby podtrzymać spalanie. Podaje mi przedmiot z uśmiechem.

Cwaniak z niego. Jak wielu jego ziomków, ma ogromne zdolności handlowe. Jest młody, ma długie włosy i ubiera się po amerykańsku, w dzinsy i bawełnianą koszulkę, a na przegubie nosi wielki złoty szwajcarski zegarek, oznakę dających sobie radę w życiu Azjatów.

Mówił mi, że pochodzi z chińskiej prowincji Jünnan. On też wiele podróżował. Już drugiego dnia po moim wprowadzeniu się do chińskiej dzielnicy przyszedł ze mną porozmawiać. Jego propozycja — wprowadzenie mnie w miejscowe przyjemności, opium i niesamowite masaże jego młodej kuzynki — od razu sprawiła, że poczułem do niego sympatię. Od tego czasu traktuje mnie po królewsku i wyciąga mi całą forszę.

W tym mieście praca liczy się przede wszystkim. Jedynymi, którzy się nią nie zajmują, są emeryci. Ale o tej porze roku rozpoczęli oni już swoją wielką migrację na Florydę, największy amerykański cmentarz, gdzie spędzają zimę wygrzewając się na słońcu.

Moją pierwszą poranną przyjemnością jest kawa espresso, wypijana we włoskiej kafejce, którą odkryłem na Yonge Street. Kawa amerykańska, koloru herbaty, dziesięć razy podgrzewana, nie nadaje się do picia, zwłaszcza po przebudzeniu. Kafejka, podobnie jak okolica, jest zwykle pusta. Tutaj kawiarnie zapełniają się dopiero w porze lunchu. Nikt nie przesiaduje w barach, jak to ma miejsce w krajach śródziemnomorskich.

Po południu przechadzam się po centrach handlowych, które tworzą serce miasta. Kręcę się, szukam, zaglądam wszędzie, ale w mieście tak spokojnym nie ma wielkich nadziei. Jedyne jak dotąd kontakty udało mi się nawiązać z drobnymi mętami; nie ma w tym żadnej przyszłości.

Li-Han ponownie przebija skorupę opium, przygotowując kilka ostatnich pociągnięć. W pokoju jest szaro od gryzącego dymu narkotyku. Jestem teraz całkowicie rozluźniony i pogrążony w rozmyślaniach.

Kobiety... Często stają się moimi nieświadomymi opiekunami, ale tutejsze mnie nie pociągają. Miałem już do czynienia z amerykańskimi samicami i bardzo dokuczał mi ich brak kobiecości. Albo papiloty, albo superfryzura, guma do żucia bez kalorii w zębach, a z ust nie schodzi im gadanie o dolarze.

Więc zrobienie wysiłku, żeby uwieść tego rodzaju zwierzyńkę, nie interesuje mnie. Wiem aż zanadto, co oznacza ta obrzydliwa mentalność! Kiedy na pierwszym miejscu jest dolar, nie może być mowy o uczuciach.

Szybko zaliczyłem wszystkie luksusy cywilizacji. Hamburger jest smaczny, ale tylko raz do roku. Druga amerykańska specjalność, smażona kura z przyprawami, przyprawia mnie o mdłości. Nie mogę jej tknąć odkąd wiem, że te zdegenerowane zwierzęta, z grzebieniem opadającym na dziób jak

stara ścierka, odżywiane są za pomocą ich własnego zregenerowanego gówna. Bary szybkiej obsługi, przesłodzone napoje i zbyt doskonałe albo rzekomo dietetyczne potrawy, wszystko to aż nadto, żeby zrujnować sobie zdrowie. Wystarczy zresztą popatrzeć na tubylców, żeby stwierdzić, że główną miejscową chorobą jest otyłość.

Pieniądze, które udaje mi się uratować z fachowych rąk Li-Hana i jego małej kuzynki masażystki, wydaję na kontynentalne restauracje i butelki francuskiego wina.

Mój chiński gospodarz odłączył porcelanową główkę fajki od cybucha. Przygotowuje mi nową fajkę z resztek po poprzednich. Z wnętrza kuli, za pomocą szpatułki, wyławia czarne okruchy, które miesza z białym proszkiem. Jest to rozkruszona aspiryna, której zadaniem jest zapobieżenie późniejszemu bólowi głowy.

Cóż robić poza paleniem? Tak czy inaczej nie zostało już wiele czasu. W Kanadzie nie znajdę zajęcia. Trzeba wydać pozostałe dolary na przyjemności, a potem pojedę na słońce. Przenosiny w inne miejsca nigdy nie stanowiły dla mnie problemu.

W wieku siedemnastu lat wyjechałem z Francji, która zrobiła się dla mnie za ciasna, i zacząłem podróżować. Od tej pory nie przestałem się bawić, i zamierzam to kontynuować. To taka przyjemność wyciągnąć co najlepsze z jakiegoś kraju, przeżyć w nim przygodę, zadowolić jego mieszkanki, po czym przenieść się gdzie indziej. Szykuję sobie wspomnienia na starość. Moja miła powierzchowność i pewność siebie, kryjące zdolną do wszystkiego hipokryzję, stanowią gwarancję skuteczności.

Mączę ludziom we łbach w sposób sympatyczny. Po paru godzinach rozmowy zastanawiają się, w jaki sposób mogli tak długo beze mnie żyć.

Wśród kobiet, moich najbardziej uroczych sponsorów, dodatkowym atutem jest moja narodowość. W dzisiejszych czasach Francuz to przede wszystkim ambasador miłości i wyrafinowanych przyjemności. Te dwie cechy pozwalają mi na jeżdżenie po świecie z rękami w kieszeniach, bez troski o jutro i bez przywiązywania się, swobodnie.

Kolejno: jako Francuz, Włoch, Korsykanin, Argentyńczyk, Libańczyk lub Marokańczyk, jako student psychologii, architekt wnętrz, syn bankiera na wyjeździe lub przemysławiec, w zależności od potrzeb i od zainteresowanych

osób, jestem prawdziwym kameleonem doskonale przystosowanym do przeżycia w każdej sytuacji. Kiedy robi się gorąco, zmieniam kraj.

Uznaję tylko własne reguły, a są one proste: żyć intensywnie i nie brać niczego poważnie. Mam świadomość, że na tym świecie jestem tylko przejazdem, więc chcę wykorzystać to maksymalnie. Mając wybór między hipotetycznym miejscem w rajku i natychmiastowymi a zupełnie pewnymi przyjemnościami, wybrałem bez wahania, i to bardzo wcześnie. Już w wieku trzynastu lat zdałem sobie sprawę, że jestem zatwardziałym sybarytą. Nie urodziłem się po to, by cierpieć, lecz by brać z życia co najlepsze. Nie rozumiem sensu pracy, oszczędzania i obrywania po głowie przez całe życie w przewidywaniu emerytury, z której można korzystać dopiero, kiedy jest już za późno. Przygotowywanie niepewnej przyszłości mnie nie interesuje. Żyję na całość w terażniejszości. Dla mnie przeżyty rok to rok wygrany.

Poszukuję wszelkich przyjemności, wszystkimi środkami. Szybko zdałem sobie sprawę, że zakazany owoc jest zawsze najlepszy. Fakt, że takie podejście czasami sporo kosztuje, ale zawsze znajduję miłosierne dusze gotowe mi pomóc, często wbrew własnej woli. Ofiarowuję im przyjemności per procura, i to się sprawdza. W końcu robię tylko to, o czym każdy marzy, ale nie starcza mu odwagi.

Nie wystarczy być bogatym. Trzeba jeszcze umieć wydawać. Jeżeli niektórzy spośród moich sponsorów zachowali o mnie de wspomnienie, stało się to niechcący. To nie moja wina, że nie starcza miejsca dla wszystkich.

Ale tutaj to nie działa!

Barwy odległego i niemego obrazu telewizyjnego są niewyraźne. Li-Han starannie zawinął swój sprzęt w szmatkę, po czym zniknął. Mój stan odprężenia jest doskonały, jestem całkowicie oderwany od świata. Odjeżdżam.

Budzi mnie chyba głód, jestem doskonale wypoczęty i pełen energii. Jest jeszcze dzień, ale wskazówki zegara obleciały już tarczę dookoła. Opium wyrwało mnie z obiegu przynajmniej na dwadzieścia cztery godziny.

Na dole restaurację wypełniają już zapachy zupy i chińskich dań, co zwielokrotnia mój apetyt. Salka jest maleńka, stoi tu zaledwie kilka krytych tworzywem stolików i parę przykręconych do podłogi barowych stołków. Li-Han znad swojej gazety posyła mi krótkie pozdrowienie. Nad kontuarem wiszą na hakach śmieszne, czerwone kaczkę bez głów. W tylnej sali dymią

wielkie garnki, rozchodzą się smakowite zapachy. Kucharz, mały, skośnooki w nieokreślonym wieku, nie spuszcza wzroku z telewizora.

— Przygotuj mi... proszę... wieprzowinę z czosnkiem, zupę jarzynową, drugą z pierożkami... chop suey, kaczkę po kantońsku, krewetki na ostro i cztery miseczki ryżu.

Jestem bardzo głodny. Kucharz, zawsze zdziwiony moimi możliwościami, szybko zabiera się do pracy, z oczami nadal utkwionymi w telewizyjnym show.

Wkrótce potem jestem najedzony, w świetnej formie i zastanawiam się, co też mógłbym zrobić z dzisiejszym wieczorem, kiedy podchodzi do mnie Li-Han, cały uśmiechnięty.

— Hello, Cizia! Wychodzisz? Potrzebujesz mojego samochodu?

Tak naprawdę nie mam ochoty wychodzić, ale co tu robić innego?

To moja ostatnia lub przedostatnia noc w Toronto. Zwój pieniędzy w mojej kieszeni zmniejszył się do rozmiarów paru pogniecionych banknotów, które na pewno jakoś wydam.

— Nie zabawisz się dzisiaj. Jest Dzień Dziękczynienia, wszystko pozamykane.

Mój dobry humor i moja energia zmniejszają się o jedno oczko. Dlaczego na tym kontynencie musi być tyle świątecznych dni? To miasto chyba nie umie się bawić.

Li-Han podjeżdża swoim samochodem, starym białym cadillakiem z lat sześćdziesiątych. Wsuwam mu w rękę banknot, który natychmiast znika, i ruszam. Li-Han macha mi wesoło na pożegnanie.

Co za handlowiec! Wracam z Azji i miałem okazję zaobserwować, że nie on jeden potrafi zgarniać pieniądze. Wszyscy oni mają kapitalistyczne zdolności, są twardzi w interesach i przebiegli, to przyszli panowie świata.

Wystarczy zresztą wsiąść do tej landary, żeby zdać sobie z tego sprawę. To relikwiny epoki wielkiej amerykańskiej prosperity, lekko pokiereszowany, cadillac splukanego imigranta. Wycieraczki z trudnością poruszają się po szybie. W górnej części drzwi kierowcy przeciekają, wpuszczając nieprzyjemny i zimny deszcz. Nie przeszkadza to Li-Hanowi wynajmować mi samochodu po cenie dwukrotnie wyższej, niż wynosi jego wartość sprzedażna.

Neony i względne ożywienie chińskiej dzielnicy zobaczyć można tylko na kilku ulicach. Mój chiński kanciarz ma rację, to nie jest idealny dzień na poszukiwanie wrażeń.

Yonge Street wygląda idealnie ponuro. Na wystawach sklepów z ubraniami pospuszczane są metalowe żaluzje, sex-shopy pozamykane. Błyszczą tylko światła w barach szybkiej obsługi, w których zresztą nie ma żywej duszy. Ogrzewanie wozu odmawia posłuszeństwa. Zimno mi w moim tropikalnym garniturze i coraz częściej zastanawiam się, jeżdżąc po wymarłych ulicach, co ja tu właściwie robię.

Raz jeszcze zaglądam do zakazanej dzielnicy. Queen's Street wydawała mi się zabawna, kiedy byłem tu po raz pierwszy, z tymi swoimi barami country i wulgarnymi kurwami. Na rogu tłusta platynowłosa przemarznięta piękność przez okno proponuje mi swe usługi, obciążenie druta. Nie mam ochoty.

W końcu, podobnie jak w inne wieczory, znudzony bezczynnością, postanawiam zajrzeć do barów wielkich hoteli. Nie znalazłem w Toronto prawdziwych nocnych klubów. W tej dziurze nieliczne bogate nocne marki spotykają się w Holiday Inn lub w Hyatt Regency.

Bar hotelu Regency, ze swoją obszerną elegancką salą o niebieskiej wykładzinie, wyposażoną w głębokie fotele obite czarną skórą i lampy ukryte w wielkich donicach, oświetlające miedziane balustrady, robi dziś wrażenie jeszcze bardziej ponure niż zwykle. Przy kontuarze, nie licząc barmana, tylko dwóch podchmielonych facetów, którzy najwyraźniej nudzą się tak samo jak ja.

W głębi, na podwyższeniu, robi co może południowoamerykańska piosenkarka, której pierwsze występy musiały mieć miejsce za czasów prohibicji. Omdlewająca, z przymkniętymi oczami, posyła gorące słowa miłości w kierunku pustych stolików i okalających ścian, które wiele już widziały i nie przejmują się takimi drobiazgami.

Kontrabasista, wielki długonogi chudzielec kryjący oczy za grubymi szklami krótkowidza, zadowala się zagranie pojedynczej nuty od czasu do czasu, kiedy jego nieobecność staje się zbyt wyraźna.

Spośród trójki gości ani obaj dystyngowani alkoholicy, którzy zdecydowanie odwrócili się do niego plecami, ani ja nie mamy ochoty klaskać. Koniec każdego utworu witany jest całkowitą ciszą.

A przecież piosenkarka stara się jak może. Kłania się bardzo nisko, powtarzając wzruszonym głosem podziękowania i machając ręką, by powstrzymać huragan braw, który słyszy jako jedyna na tej sali. Zauważam, że chwilami jakby sztywnieje i ewidentnie ma ochotę poklepać po ramieniu oba te typy, które ją ignorują, ale zbyt krótki przewód mikrofonu nie pozwala jej na to.

Żeby uniknąć jej rozpaczliwego spojrzenia, chwytającego się mojego jak tonący koła ratunkowego, kieruję swoją uwagę na obu pijących. Rozmawiają z barmanem, który przybrał odpowiednią minę i uczestniczy w dyskusji za pomocą potakiwania głową, wykazując zawodowe zainteresowanie.

Mniejszy z tych dwu facetów trzyma głowę w dłoniach i wygląda na przygnębionego. Mówią mieszaniną angielskiego i włoskiego. Moja niewielka znajomość tego ostatniego języka stanowi wystarczający pretekst, by się do nich przysiąc. Podchodzę i kładę im ręce na ramionach z szerokim uśmiechem.

— Mogę postawić wam jednego?

To wystarczy, by narodziła się nowa przyjaźń, i po kwadransie wiem już wszystko.

Rocco ma kłopoty. Zaczynał jako kelner w kawiarni i dzięki bratu, który zrobił szybką fortunę w handlu nieruchomościami, został szefem restauracji. Dzisiaj biznes idzie źle. Z braku doświadczenia popełnił szereg błędów z gatunku takich, które posyłają interes na dno. W dniu dzisiejszego rodzinnego święta odczuwa wyrzuty sumienia. Postanowił zostać sam. Upił się na smutno i opowiada mi o swoich kłopotach załamującym się głosem. Drugi facet, szczęśliwy z mojego pojawienia się, wykorzystuje okazję i dyskretnie się ulatnia.

Nie lubię pijanych, ale Rocco to sympatyczny gość. Jest niski, z czarnymi włosami, ma około czterdziestki i twarz dziecka, nie naznaczoną jeszcze śladami zmartwień. Wyczuwa się, że to miły chłopak, z sercem na dłoni, ale że zabrał się do spraw, które go przerastają.

Jako dobry samarytanin podtrzymuję go na duchu. Dawno już przyjechał do Stanów i mówi po angielsku bez obcego akcentu, a jego stan nie pozwala mu zdawać sobie sprawy ze słabości mojego włoskiego.

— No, Rocco, nie można się tak załamywać, wystarczy, że szczęście powróci.

Zwyczajne banały nie wystarczają, by go pokrzepić.

— Nie, jest za późno. Z moją knajpą jest naprawdę źle. Widzisz, Cizia...

Urywa i kładzie mi rękę na ramieniu w geście pijackiego braterstwa.

— Jesteś Włochem, Cizia?

— Jestem Albańczykiem.

Niczym nie ryzykuję, we Włoszech jest tylu Albańczyków... I dodaję, że często tam jeżdżę, że mieszka tam cała moja rodzina, i że moja matka często opowiada mi o Włoszech.

Na wspomnienie o rodzinnym kraju jego oczy zachodzą mgłą. Przez chwilę milczy, zamyślony, po czym wraca do swoich kłopotów.

— Wstydziliby się za mnie tam, w kraju, gdyby wiedzieli, jak prowadzę swoje interesy.

— Chyba zbyt szybko dajesz za wygraną, przyjacielu. W restauracji nigdy nic nie jest ostateczne...

— Nie, to już koniec, pójdę z torbami.

— Ależ nie, Rocco, nie obawiaj się. Wystarczy pozmienić parę szczegółów: dobre menu, trochę odpowiedniej reklamy, i całe miasto będzie zwałać się do ciebie!

— Znasz się na hotelarstwie?

— Czy się znam? Ależ ja się w tym środowisku wychowałem, Rocco! Moi rodzice mają jedną z najbardziej znanych restauracji w Mediolanie. Moi bracia, moje siostry, moi dziadkowie, wszyscy pracują w branży. Ja sam kończyłem szkołę hotelarską i proponują mi objęcie restauracji w Genewie.

I dodaję, że to w naszej rodzinie tradycja sięgająca co najmniej czasów wypraw krzyżowych; że ma przed sobą wynik dziesięciu wieków hotelarskich doświadczeń. Krótko mówiąc, że nie mógł dzisiaj wieczoru marzyć o szczęśliwszym spotkaniu.

Z szerokim uśmiechem na ustach i wytrzeszczając oczy Rocco połyka wszystko, co mu opowiadam. Starając się go przekonać, że moje wkroczenie w jego życie ma większe znaczenie niż nadejście samego Mesjasza, zastanawiam się, co też mógłbym zrobić z trattorią, poza jej sprzedaniem. Ale może to stać się jakimś punktem wyjścia, a poza tym w każdej restauracji jest kasa z szufladą, która będzie mogła zabawić się z moimi kieszeniami w naczynia połączone.

Pod koniec wieczoru ulegam naleganiom Rocca i zgadzam się odwiedzić nazajutrz jego zakład, żeby zobaczyć, czy ewentualnie mógłbym dać mu parę dobrych rad. Jest oczywiste, że ponieważ jestem na urlopie, chodzi tu wyłącznie o koleżeńską przysługę, bez żadnych zobowiązań.

— Rocco, widzimy się jutro. Teraz muszę już iść. Miło było cię poznać. Nic się nie bój, jutro przyjdę ci pomóc.

Wracam do chińskiej dzielnicy zadowolony. Mamy preludium dobrej zabawy! Nigdy jeszcze nie miałem restauracji.

W hotelu Li-Han gra w madżonga ze swoimi stałymi wieczornymi klientami.

— Cizia! Chcesz zapalić?

— Nie, dziękuję.

— Może mały masaż?

Prawie co wieczór korzystam z usług małej kuzyneczki Li-Hana. Yac-Minh jest urocza, drobniutka, ma na sobie tylko zwykły biały fartuszek. Jak wszystkie ładne Azjatki może mieć równie dobrze dwadzieścia, jak czterdzieści lat. Ma skórę delikatną jak porcelana, to laleczka mówiąca dobry wieczór, dziękuję i dobranoc.

Biorę prysznic, wkładam luźne spodnie od kimona i kładę się. Masaż odbywa się przy świetle małej nocnej lampki, pod dobrotliwym spojrzeniem Buddy. Przez dwie godziny mała kuzyneczka wyciąga mi ręce, nogi, wygina stawy moich łokci, kolan, palców rąk i nóg, wykręca mi szyję, długo uciska każdy mięsień i łamie mnie na tysiąc kawałków. Rezultat jest fantastyczny. Ten masaż to owoc tysiącletniej sztuki, przewidującej odpowiedni ruch na każdą część ciała, nawet najmniejszą, na każdy staw, doskonale rozluźniającej.

Podczas gdy poddaję się tej rozkoszy, zadziwia mnie krzepa tkwiąca w tym małym kawałku kobiety. Zwłaszcza jej palce obdarzone są niewiarygodną siłą. Jej wytrzymałość ma jednak swoje granice. Jest maleńka w porównaniu ze mną i ma niezłą zadyszkę, kiedy kończy tę pierwszą część zabiegu.

Nie oddaje mi swego ciała, żeby rozluźnić ostatni mięsień, jaki pozostał naprężony. Tu również jej zabiegi są owocem starożytnej nauki i długotrwałej praktyki. Pieszczota futerału jej ust jest wprost bajecznie łagodna i sprawna. Dziewczyna potrafi w nieskończoność przedłużać te rajskie doznania.

Kiedy dużo później sięgam do kieszeni, z prawdziwą przyjemnością daję jej połowę tego, co mi zostało. Od pierwszego wieczoru przyzwyczałem ją, że płacę dużo. Zapewnia mi królewskie traktowanie, i nie zamierzam ścibolić.

Chowa swoje sto dolarów z uroczym uśmiechem.

— Dziękuję. Dobranoc.

Znika pozdrowiwszy mnie małym ukłonem z dłońmi złączonymi przed twarzą.

Następnego dnia wypuszczam swój ostatni banknot studolarowy i kupuję czarną marynarkę, czarne spodnie, białą koszulę i muszkę, wszystko w doskonałym gatunku.

Zostaje mi dziesięć dolarów, za które kupuję butelkę szampana, żeby godnie uczcić chwilowy stan kompletnego spłukania.

Przyjeżdżam do restauracji Rocca, La Strady, na krótko przed obiadem. Lokal znajduje się w pasażu handlowym o dwa kroki od hotelu Hyatt Regency, na Avenue Road, równoległe do Yorkville; pasaż stanowi rodzaj wielkiego korytarza załamane pod kątem prostym w połowie, a obie jego strony zajmują modne sklepy: luksusowe obuwie, ubrania znanych firm, produkty sprowadzane z Europy. Unosi się tu miły zapach pieniędzy.

La Strada ma doskonałe położenie. To jedyna restauracja w pasażu. Z jednej strony wychodzi na ulicę, z drugiej — na wnętrze ciągu handlowego.

Kiedy wchodzę, Rocco, który otrząsnął się już z kaca, wita mnie z radością; na jego dziecinnej twarzy pojawia się szeroki uśmiech. Pamięta mnie, to już coś.

Jest najwyraźniej w kłopotach, wskazuje palcem w stronę kuchni.

— Przepraszam cię, Cizia, coś załatwię i zajmę się tobą. Momento. Siadaj i zamów coś do picia, volvo pronto.

I drepcze do kuchni.

Korzystam z tego, by dokonać szybkiej inspekcji. Restauracja jest obszerna, podzielona na dwie sale. Bar znajduje się w mniejszej, tu też są drzwi do kuchni oraz główne wejście. Po paru stopniach wchodzi się do drugiej sali, przyjemniejszej, podzielonej na małe boksy. Całość nie wygląda olśniewająco. W pogoni za luksusem architekt przedobrzył. Wszystko jest zbyt uroczyste, zbyt ciężkie jak na zwykłą trattorię w handlowym pasażu. Ozdobne żyrandole pod sufitem, grube czerwone kotary, ciężkie i niewygodne pseudoantyki zamiast normalnych stołów i krzeseł, wszystko jest w złym

guście i musiało kosztować fortunę niewspółmierną do rezultatu: architekt chciał zapewne powetować sobie nędzę z dzieciństwa. Nic nie jest tu naprawdę funkcjonalne.

Pośród całego tego zbytku snują się zbyt liczni kelnerzy, ubrani w czerwone koszule i zielone apaszki, rozmamłani, najwyraźniej nie mając żadnego zajęcia.

Personel zachowuje się tak, jakby wiedział, że nie potrwa to już długo, i nie troszczy się zbytnio o paru siedzących na sali klientów. Jestem tu od dziesięciu minut, a nikt się jeszcze mną nie zajął i mój kieliszek na wino nie jest zbyt czysty.

Bardzo szybko podsumowuję najbardziej negatywne punkty: ospała obsługa, na którą skarżą się głośno nieliczni przecież klienci, zerowa wydajność, dużo zadęcia bez efektów.

Ta restauracja nie ma duszy.

Wkrótce wraca Rocco, zaczerwieniony, lekko drżący, zdenerwowany.

— I co, Rocco, jakieś kłopoty?

Wzdycha, komicznie potrząsając głową.

— Ten skurwiel kucharz doprowadza mnie do szału. Jeszcze nie spotkałem kogoś tak upartego jak ten.

— To Włoch?

— Nie, Kanadyjczyk, kawał kutasa, ale zna się na kuchni, więc...

Biorę swoją szklankę i wstaję.

— Oprowadzisz mnie?

Kuchnia jest doskonale wyposażona w nowoczesne i lśniące urządzenia. Kucharz, czerwony na twarzy grubas o twarzy jołopa, ledwie odpowiada na moje „*dzień dobry*” i ponownie pogrąża się w lekturze jakiejś książki.

Ze zdziwieniem odkrywam kupę przyrządów, których istnienia nawet nie podejrzewałem. Rocco zauważył moje zainteresowanie i z dumą robi mi parę pokazów. Nie wie, że moje niekłamane zainteresowanie wynika nie ze względów zawodowych, lecz ze zwykłej ciekawości. Po raz pierwszy w życiu postawiłem nogę w restauracyjnej kuchni. Każę sobie otworzyć chłodnię, zaglądam do składziku, pochlebnie oceniam różne aparaty, których przeznaczenia staram się domyślić. Rozpoznałem kilka przedmiotów, na przykład kran i młynek do kawy, ale to wszystko. Moja pewna siebie mina

dobrze kryje moją ignorancję, a Rocco jest wystarczająco gadatliwy, by pozwolić mi uniknąć kłopotliwych pytań.

Wracamy na salę, żeby zjeść obiad.

Menu jest podłe. Same obfite, ciężkie i kłopotliwe w przygotowaniu potrawy. Nie ma tanich dań, co jest błędem, zwłaszcza w porze lunchu. Amerykańscy biznesmeni, w ustawicznym pościgu za efektywnością, chcą zjeść lunch szybko i niedrogo.

Zamawiam rzecz najklasycyzniejszą, spaghetti bolognese. Rocco zamówił hamburgera, wyrzekając się swojej własnej kuchni. Kiedy nadchodzi moje danie, obawy okazują się uzasadnione. Gruby kucharz nigdy nie słyszał o włoskiej kuchni, i jego makaron jest obrzydliwy, nie dosolony, bez smaku i zbyt długo gotowany. Mięso jest mdłe, sos śmierdzi konserwą na milę. Rocco czeka na werdykt i zauważa mój grymas obrzydzenia.

— Gdzie znalazłeś tego comuto? — pytam, odsuwając ledwo napoczętą potrawę. — To nie kucharz, to Świnia!

— Porca Madonna! Zrobiłem błąd! Ale twierdził, że jest kucharzem, więc...

— Wywal go!

Stropiony wzrusza ramionami.

— To nie takie proste...

Biedny Rocco nie potrafi narzucić swojej woli nawet we własnym zakładzie! Wszystko jest nie tak, co wspaniale odpowiada moim zamiarom.

W tej właśnie chwili kucharz postanawia pojawić się na sali. Jego fartuch jest brudny. Otworzył sobie puszkę piwa i bez żenady przychodzi ją dokończyć przy naszym stoliku. Jest odrażający. Dość długie włosy, niezbyt liczne i tłuste, twarz obrzękła od alkoholu, źle ogolona i ze śladami po ospie.

Rocco rzuca mi bezsilne spojrzenie. Obrzydliwy opróżnia puszkę, łapie butelkę stojącą na stole i nalewa sobie pełny kieliszek wina, przy czym stara się, żeby parę kropel spadło na obrus. Zauważa mój pełny talerz.

— Nie jest pan głodny?

— Owszem. Ale tego nie mogę jeść.

— Nie smakuje panu?

— Nie można powiedzieć, czy smakuje, czy nie. To świństwo, a ja nie jadam świństw!

Zaskoczony patrzy na Rocca, który zrobił się malutki na swoim krześle. Potem posyła mi ciężkie spojrzenie i, obrażony, uznaje, że pora odejść do swoich garów.

Tego faceta trzeba się szybko pozbyć.

Kładę rękę na ramieniu Rocca.

— Sporo tu do zrobienia...

Przez całe popołudnie opowiadam mu o hotelarstwie. Przedstawiam mu podstawowe zasady zdrowego interesu. Obniżka kosztów, planowanie produkcji, koszty ogólne, wydajność... Każde z tych słów pogrąża go jeszcze bardziej.

— Pomyślę nad jakimś planem pracy. Ale do tego będę potrzebował jak najwięcej informacji. Potrzebuję faktur, listy wypłat personelu, wyliczenia kosztów ogólnych, wykazu dostawców itd. Przygotuj mi to wszystko na jutro, żebym mógł poważnie zabrać się do roboty.

Nie mam zielonego pojęcia, jak działa restauracja, ile może zarabiać kelner, czego potrzeba w kuchni, nie wiem rzeczy najbardziej elementarnych. Muszę wyrobić sobie na te tematy choćby ogólny pogląd, żeby przejść do konkretów zamiast dotychczasowego motania we łbie.

Rocco jest tak zrozpaczony, że nawet nie zauważa moich pomyłek lub pytań, na które odpowiedzi powinny być oczywiste dla hotelarza mojej klasy. Będę musiał znaleźć dyskretny sposób, żeby kazać sobie wytłumaczyć, do czego służą te wszystkie maszyny w kuchni.

Kiedy wychodzę, Rocco promienieje.

— Wyjeżdżasz?

— Tak! Kupiłem właśnie restaurację.

Li-Han wie, że moja forsa się kończy, i zdradza zaskoczenie. Korzystam z tego, by zaatakować.

— Chyba rozumiesz, partner, że ta poważna inwestycja zmobilizowała cały mój kapitał. Ale popatrz, co mam dla ciebie.

Patetycznym gestem pokazuję mu swój tropikalny garnitur, lekko odprasowany. Li-Han jest zaszokowany moją ceną, w wysokości trzystu dolarów, i zaczyna się pojedynek. Ten skośnooki sknera usuwa mi grunt spod nóg już na początku negocjacji pogardliwym:

— Five bucks! (Pięć dolców!)

— Ależ to len! Szyte na miarę! W Hongkongu!

Po zaciekłym targowaniu się udaje mi się podwoić cenę. Moim pięknym garniturem płacę za ostatnią noc w hotelu i parę paczek papierosów.

Ciao, Chinatown!

Już drugiego dnia pozbyłem się kucharza.

Okazja nadarzyła się, kiedy przyszedłem do La Strady zbyt wcześnie rano. Musiałem czekać na przyście sprzątaczk, żeby wejść do własnego lokalu.

Sprzątaczk to stara włoska Mamma. Przeglądając rachunki obserwowałem, jak metodycznie poluje na brudy, mamrocząc coś pod nosem i rzucając w moim kierunku ukradkowe spojrzenia.

Podszedłem do niej.

— Hej, Mamma, umiesz gotować?

Zaskoczona instynktownie cofa się przede mną.

— Umie pani robić makaron, signora?

— No pewnie! Ecco! Jestem Włoszką!

— Świeży makaron? Spaghetti?

— No oczywiście!

— A lasagne? Umie pani robić lasagne?

Ta poczciwa stara potrafi wszystko. Czuć od niej trochę pot, ale jest bardzo zadbana i jej fartuch jest czyściutki. Wystarczy na nią popatrzeć, by zrozumieć, że gotowała makaron przez całe życie i to po parę razy dziennie. Właśnie kogoś takiego mi trzeba.

Zawlokłem ją do kuchni, pełnej brudów pozostawionych poprzedniego dnia przez grubego Kanadyjczyka, i wyjaśniłem jej, że to jej nowe królestwo. Była już zajęta doprowadzaniem wszystkiego do porządku, kiedy przyszedł tamten, dopiero co rozbudzony po nocnym pijaństwie. Otworzył właśnie usta, żeby opieprzyć starą, ale zobaczył mnie i zamilkł. Oświadczyłem mu, że stracił pracę. Ponownie otworzył usta, żeby zaprotestować, ale uciąłem to zdecydowanie.

Ciosem łokcia z dołu w górę, po azjatycku, zamknąłem mu szczęki, kończąc tym samym cały incydent. Gruby uciekł trzymając się za podbródek.

Wybiegając zderzył się w drzwiach z Rocco, który właśnie wchodził i który, oczywiście, przeraził się.

— Cizia! Coś ty zrobił?

— Wylałem kucharza.

Moje metody wydały mu się zbyt radykalne. Pociągnąłem go więc w kierunku szaf, z plikiem papierów w ręku, i wytłumaczyłem mu.

— Jedynym sposobem, żeby uratować tonący biznes, jest obniżka kosztów. Kucharzowi płaciłeś dwa tysiące dolarów miesięcznie? Dzięki jego spontanicznej dymisji, za którą nie płacisz nic, zastępuję go Mammą i pomocnikiem kuchennym. Oboje razem nie wezmą więcej niż tysiąc dolarów, i zrobią lepszą robotę. Kelnerów jest za dużo. Nawet przy pełnej sali połowa spośród nich, przy odpowiednim wykszoleniu, całkowicie wystarczy. Teraz zakupy: nie tylko robione były bez sensu, ale w dodatku bez żadnego związku między fakturami a zapasami. Nikogo nie oskarżam, ale jest niemożliwe, biorąc pod uwagę, jak mało było w tym miesiącu klientów, żeby niewiarygodna ilość sosu pomidorowego zniknęła tak szybko. Cena mięsa jest zbyt wysoka, można by przypuszczać, że kucharz kupował tylko najlepsze gatunki. Trochę porządku i wydatki na zakupy zmniejszą się o połowę. Trzeba bardziej różnicować jadłospis i zapewnić sobie stałą klientelę, co sprawi wrażenie, że restauracja nigdy nie jest pusta.

Rocco musiał w końcu przyznać, że miałem rację.

— Ale wiesz, Cizia, trzeba uważać, tu nie są Włochy, nie można tak po prostu wyrzucać ludzi. Są przepisy... Nie wolno zwalniać...

Ojcowskim gestem położyłem mu rękę na ramieniu i uroczyście go pocieszyłem.

— Tranquillo, partner. Non preoccupate¹.

W ciągu dwóch następnych dni wylałem kelnerów.

Byli zdecydowanie zbyt liczni i zbyt leniwi. Oprócz jednego, który poczuł do mnie sympatię, żywili do mnie od czasu wyrzucenia kucharza tajoną wrogość, co przyprawiało mnie o smutek.

W Kanadzie waiters, czyli kelnerzy, znajdują się w sytuacji godnej pozazdroszczenia dla ludzi bez większych ambicji. Korzystają z ochrony potężnego związku zawodowego, który broni ich praw, niekiedy nawet przesadzając, a tak czy inaczej mają pewność znalezienia pracy bez trudności, gdziekolwiek, i to z narzuconą przepisami niewiarygodnie wysoką pensją. Większość to cudzoziemcy, mali gówienni kombinatorzy, spokojni o pracę, nawet kiedy czasy są ciężkie.

¹ — Spokojnie, partner. Nie przejmuj się.

W tym stanie rzeczy mogą sobie pozwolić na stawianie warunków, a takiej postawy u moich pracowników nie znoszę.

Są zadekowani. Wszystkie nieprzyjemne roboty wykonują busboys, pomocnicy: sprzątanie ze stołów, usuwanie gówna, wynoszenie i opróżnianie popielniczek itd.

W La Stradzie jest pięciu takich pomocników, pogardzanych przez kelnerów, którzy są lepiej od nich opłacani, i którzy w dodatku zgarniają dla siebie wszystkie napiwki.

Jawna niesprawiedliwość zawsze wyprowadza mnie z równowagi. Oczyszczenie lokalu ze zbędnego personelu było połączeniem psychologii, nacisków, gróźb, wyrafinowania i porządnego walnięcia w pysk. Czterdzieści osiem godzin takich zabiegów i wszyscy kelnerzy uznali, że najlepiej odejść bez zawracania głowy.

Poważnie zmniejszyło to wydatki na płace i jednocześnie oczyściło teren z zawodowców, jedynych w okolicy, którzy wiedzieli więcej ode mnie na temat restauracji. Zrobiłem zebranie pomocników, poczęstowałem ich szampanem i oznajmiłem, że wszyscy zostali mianowani kelnerami. Awans społeczny i perspektywa napiwków rozjaśniła wszystkie twarze. Dyskretne oklaski potwierdziły ich entuzjazm.

Ten ostatni będzie im zresztą potrzebny, bo teraz załatwiają sami całą robotę, od powitania klienta do zmywania naczyń, i to za tę samą pensję co poprzednio.

Tylko jeden z kelnerów uniknął czystki. Paolo jest neapolitańczykiem, mały, owłosiony, o dłoniach dusiciela. Nosi potężne wąsy, modne wśród Włochów, pielęgnowane baczki i wysoki obcas, żeby skompensować niski wzrost. To typowy mały bandyta, który się nie rozwinął, usiłujący naśladować pozy swoich starszych braci z mafii.

Ludzie tego typu, nostalgiczni i mający w sobie coś z piratów, zawsze gamą się do mnie, szukając zrozumienia i opieki.

Faza trzecia, klienci.

Przeszedłem się po pasażu, żeby się przedstawić. To niesłychane, ani jeden z właścicieli okolicznych sklepów nie jadał w La Stradzie. Stanowią oni nasz pierwszy, oczywisty cel.

Najpierw poinformowałem ich o zmianie jadłospisu. Chodząc od sklepu do sklepu zachwalałem zalety świeżego makaronu i włoskiej domowej kuchni,

nareszcie przygotowywanej przez autentyczną Mammę. Obiecałem też pięćdziesięcioprocentowy rabat dla pracujących w pasażu oraz możliwość, dla pracowników, przyjścia na kawę lub | spędzenia przerwy popołudniowej w trattorii.

Trzeba było przyciągnąć ludzi. Klient chętniej wchodzi do lokalu, w którym panuje ożywienie.

Wykorzystując swój urok osobisty, uśmiechy do pań i siłę perswazji spowodowałem, że sąsiedzi zgodzili się dać La Stradzie jeszcze jedną szansę.

Rocco spędził cały ten okres na dreptaniu za moimi plecami, chodząc za mną wszędzie, niekiedy dobrej myśli, lecz zawsze przerażony.

Nie zamierzam go wykiwać, to porządny facet, bardzo sympatyczny. Jego wadą jest słabość i wielka podatność na wpływy. Jak dotąd, wszystkie jego przedsięwzięcia okazywały się nieszczęśliwe. Nie ma siły przeciwstawić się moim innowacjom, które są przecież konieczne, i czuje, że zostaje w tyle.

Mój ostatni pomysł stanowił dla niego wstrząs. Kupiłem w supermarkecie, po cztery dolary za dziesięciolitrową butlę, obrzydliwe czerwone wino produkcji międzynarodowej. Przelane do naszych małych dzbanuszków po trzy dolary sztuka ma piękny cynobrowy kolor. O ile Amerykanie znają się czasami na piwie lub na bourbonie, ich podniebienie jest całkowicie niezdolne do odróżnienia jednego wina od drugiego. Wystarczy im kolor.

Ochrzciliśmy je „*Wino z Kalabrii, prosto z beczki*”, i kiedy tylko pojawiło się w karcie, amatorów znalazło się bez liku. Przeszkoliłem personel, by zamawiającemu odpowiadać, że nie wiadomo, czy jeszcze zostało. Taka mała niepewność powoduje, że potem to świństwo smakuje jeszcze bardziej.

Oczywiście, jak to zauważył Rocco, w razie kontroli leżymy. Ale jeżeli mamy pozostawać w zgodzie z prawem, równie dobrze możemy sprzedawać orzeszki na ulicy, i mój partner z czasem pogodził się z tym, jak i ze wszystkim innym.

Ma w końcu powody do zadowolenia. Zdjąłem mu z ramion ciężar odpowiedzialności. Moja skuteczność i szybkość działania zadziwiły go i nie pozostaje mu nic innego jak godzić się z moimi decyzjami. Słusznie czy nie, ludzie — zwłaszcza słabi — łatwo obdarzają mnie zaufaniem.

Rocco chyba uczynił to słusznie, bo jestem tu na razie dwadzieścia dni i interes idzie! Mimo wrodzonej skromności muszę przyznać, że w parę dni zrobiłem z La Strady przyzwoity lokal. Można to nawet nazwać sukcesem.

Wszystkie stoliki są zajęte, a personel, dyskretny i sprawny, działa wszędzie jednocześnie.

Nieomylnym znakiem, że czasy się zmieniły, są codzienne teraz wizyty Angela Gucciego, młodszego brata mojego współnika Rocca i prawdziwego właściciela mojej trattorii. W towarzystwie trzeciego brata Gucci, boksera Luigiiego, jadamy razem kolacje przy środkowym okrągłym stoliku, na widoku. Stało się to już tradycją.

Angelo Gucci jest najmłodszy w tej męskiej rodzinie. Ten łysiejący blondyn o jasnoniebieskich oczach jest także najsprytniejszy. Zrobił majątek na handlu nieruchomościami, i ta restauracja to raczej kaprys niż interes.

Ubrany jest nadzwyczaj starannie, w nieskazitelnie biały, klasyczny trzyczęściowy garnitur, szyty na miarę. Włoskie półbuty, złoto na palcach i na przegubach. Najnowszy model białego cadillaka czeka na niego przed wejściem. W środku siedzi potężny kierowca w grubym płaszczu i czapce.

Luigi to zakąła rodziny, chuligan. Były bokser, trochę bandyta, ma gębę, która nie zachęca do konwersacji. Nos rozwalony od ciosów, odstające uszy, niskie czoło i potężne łuki brwiowe zdradzają jego profesję. Nosi skórzaną kurtkę, której nie zdjął siadając do stołu, a jego różowa koszula upstrzona jest plamami tłuszczu. To prawdziwe przedstawienie, kiedy pożera swoją miskę lasagne, tak jak to potrafią jedynie Włosi, z hałasem, ale w skupieniu i z brodą ociekającą sosem.

Rocco, gadatliwy i nerwowy, wymachuje rękami i mówi bez przerwy, oczekując aprobaty ze strony mojej lub swego młodszego brata Angela.

Ten ostatni, ze swoim starannie pielęgnowanym wyglądem mafijnego biznesmena, po nuworyszowsku przesadny i ociężały, Rocco oraz pokiereszowany Luigi, pleczysty i milczący, kiedy tak siedzą razem, wyglądają na typowych Włochów z południa, którym w Ameryce się powiodło. To Little Italy, imigranci...

Obrazek jest zabawny. Od pewnego czasu zapuszczam wąsy śródziemnomorskiego podrywacza, w stylu włoskim. Są już pokaźne i wzmacniają mój latynoski wygląd, z czym bardzo mi do twarzy.

Wyglądam wspaniale. Szerokie, potężne ramiona, rozpięta na piersi koszula, opalony, elegancko ubrany, w lekkiej, zawsze jasnej marynarce, jestem u szczytu formy. Mam dwadzieścia trzy lata, długie czarne i lekko kręjące się włosy oraz niezachwianą pewnością siebie. Wiszące na ścianie

lustro, o parę metrów ode mnie, pozwala mi rzucić na siebie okiem od czasu do czasu i dojść do wniosku, że się sobie podobam.

Zresztą nie tylko sobie. Podczas mojej kampanii reklamowej rozmawiałem z większością pań prowadzących sklepy w pasażu. Oczarowane moją wizytą zaczęły przychodzić do restauracji. Po paru takich odwiedzinach mogłem kontynuować moją reklamę w ich pościeli.

Właścicielki sklepów są już moje i w czasie grzecznościowych wizyt, jakie im składam, zaczynam teraz popatrywać w stronę sprzedawczyń. Wszystkie te panie to stałe klientki. Przychodzą same lub w towarzystwie i są zachwycone, kiedy przyjmuję je osobiście lub kiedy w trakcie posiłku podchodzę, by szepnąć im do ucha jakieś świństwo.

Sądząc po rezultatach, moje metody reklamowe są skuteczne. Wieść o restauracji rozniosła się, przyciągając spokojną i majątną klientelę. Sześćdziesiąt do siedemdziesięciu posiłków dziennie to jeszcze nie tłok, ale personel pracuje ostro.

Z pracownikami nie było żadnych problemów. Kelnerzy skupieni, bez chwili wytchnienia, by myśleć o czym innym, złapali szlif. Obsługa odbywa się w ten dyskretny, lecz sprawny sposób, charakterystyczny dla dobrych lokali.

Paolo, neapolitański kelner, zajmuje się nami i najbliższymi stolikami. Jest wszechobecny, uważny i usiłuje przyjąć; postawę dystyngowanego maitre d'hotel ze ścierką przewieszoną przez rękę.

Siedząc z właścicielami w pełni korzystam z powodzenia mojej restauracji, i wieczory są przyjemne. Angelo okazuje się być ciekawym facetem. Przytłumiony hałas rozmów i kobiecych śmiechów tworzy miłą mojemu uchu muzykę. W kuchni Mamma specjalnie przykłada się do menu środkowego stolika i muszę przyznać, że jej świeży makaron jest cudowny. Stara od tak dawna ma do czynienia z sosem pomidorowym, że ten ostatni nie ma już przed nią tajemnic. Zamiast powszechnie serwowanego cynobrowego świństwa nasz stolik ma swoje własne zastrzeżone wino. Pijemy bordeaux rocznik 1968. Tutaj niezwykle rzadki, który odkryłem osobiście.

Wchodzi troje nowych klientów, jakaś para wychodzi z uśmiechem, do kasy wpływają pieniądze. Kasą zajmuję się osobiście, ale nie przesadzam. Pobieram tylko tyle, ile trzeba na pokrycie moich kosztów, mojego komfortu i mojego luksusowego pokoju w hotelu Hyatt Regency, o dwa kroki stąd.

Rocco nie ma nic przeciw temu, co jest normalne po tym, co dla niego zrobiłem.

Zajmuję się wszystkim. Obliczyłem, że jeżeli nadal będziemy się rozwijać w tym tempie, kuchnia nie będzie w stanie nadążyć. Postanowiłem więc znaleźć asystenta dla mojej królowej makaronu.

Zamieściłem w gazecie ogłoszenie i przez cały dzień przyjmowałem kandydatów.

Wszyscy chętni byli Kanadyjczykami i zawodowcami, to znaczy ludźmi nieodpowiednimi. W końcu, późnym popołudniem, pojawił się osobnik bardziej sympatyczny. Jest to mały Włoch z Argentyny, na imię ma Alfredo, i przyszedł nieśmiało gniotąc w dłoniach stary, sfatygowany kapelusz. Alfredo przymierał głodem i był całkowicie zagubiony.

Wyjaśnił mi, że wysadzono go kamie na ląd z jakiegoś frachtowca, że nadchodzi zima i że był kucharzem przez całe życie.

— Gotowałem na statkach towarowych, a potem na transatlantykach, w czasie luksusowych rejsów. Przyrządzałem posiłki na co najmniej tysiąc osób.

To jeszcze większy kłamca niż ja, ale jest zabawny. Dla rozrywki proszę go o jego referencje.

— Moje co?

— Papiery z poprzedniej pracy.

Rozpoczyna długie opowieści o trudnej drodze, jaką przeszły jego zaświadczenia, odkąd zapomniał bagażu na jednym z ostatnich statków, na których pracował.

— Ale mają mi je przysłać. Będę je miał za miesiąc albo dwa...

— Nie wysilaj się. Co umiesz gotować?

— Wszystko!

Wypowiada to tak pewnym tonem, że prawie mam ochotę mu uwierzyć. Jego wiara w siebie nagle znika, kiedy proszę, żeby mi coś przygotował.

Stara się wymigać, ale nalegam, by przyrządził mi swoją specjalność: idzie do kuchni powłócząc nogami.

Nie mam złudzeń co do jego zdolności, ale w razie czego zawsze może pozmywać. Po półgodzinie wraca, cały zachlapany, a w ręku trzyma talerz zawierający coś w sosie.

— Co to ma być?

— No, jak to, to gulasz! A bo co?

— To twoja specjalność?

Jeżeli ktokolwiek powierzył Alfredowi odpowiedzialność za tysiąc posiłków, to w najlepszym razie znaczy, że poziom rejsów bardzo się obniżył. Śmieję się tak, że biedakowi nie udaje się wcisnąć słowa. Jest całkowicie zaskoczony, kiedy oświadczam mu, że biorę go na pomocnika kucharza. Facet przechodzi zły okres, nie ma niczego, zasługuje, żeby dać mu szansę. Będzie pracował od ósmej rano do północy, dostanie pensję w wysokości trzystu dolarów miesięcznie i będzie pomagał przy sprzątanii i zmywaniu.

Zachwycony, że znalazł dach nad głową przed zimą, godzi się na wszystko. Mamma już wzięła go w obroty. Jego zadaniem jest obieranie kartofli, dostał stołek i siedzi w ciepłe.

Właśnie podsumowuję miniony okres jednym uchem słuchając rozmowy Guccich, kiedy zdaję sobie sprawę, że dzieje się coś nienormalnego. |

Przy jednym ze stolików jakaś para opieprza mojego kelnera. To Mikos, młody Grek, który dobrze pracuje. Podchodzę i pozdrawiam klientów.

— Proszę państwa, mam nadzieję, że wszystko w porządku...

— Absolutnie nie! To skandal. Jeżeli to pan tu zarządza, nie gratuluję panu. Proszę spojrzeć na to mięso, jest za bardzo wysmażone!

Mikos przed chwilą przyniósł je z kuchni, dokąd, o ile dobrze zrozumiałem, odesłali je wcześniej uważając, że jest niedosmażone.

To typowi paskudni skurwiele, korzystający z tego, że mają forszę by zawracać innym głowę. Mąż to staruch, wysuszony, z wąskim zaciśniętymi wargami. Jego kurwa pochodzi z ubiegłego wieku, opięta w równie starą sukienkę w kolorze butelkowej zieleni. Są skąpi, zrzędlivi, w typie ludzi, którzy będą oszczędzać przez miesiąc, żeby pójść do restauracji.

Następnie gruba bierze mnie na świadka, by poskarżyć się na swoją zieloną sałatę, najtańszą surówkę w jadłospisie. Według niej nie jest wystarczająco przyprawiona.

Mikos patrzy na nich z nienawiścią, z zaciśniętymi szczękami. Posyłam piękny radosny uśmiech w stronę staruchy i szczebioczę do niej, że zaraz przyniesiemy z powrotem jej małą sałatkę, wspaniałą przyprawioną. Zabieram miseczkę do kuchni. Po drodze, ruchem głowy, wzywam cały personel do siebie.

Krótko ucinam potok przekleństw, jaki natychmiast zaczynają miotać pod adresem obojga piniaczy.

— Panowie, zapamiętajcie ważną rzecz. Tutaj klient jest panem.

Spuszczają głowy, oczekując awantury.

Kiedy jesteście na sali, w żadnej sytuacji uśmiech nie może zejść wam z twarzy. „*Tak, proszę pana*”, „*Oczywiście, proszę pani*”, tylko to chcę słyszeć. Jeśli macie jakieś porachunki do załatwienia, należy to robić tutaj, kiedy nikt nie widzi. O tak...

Odchrząkuję i umieszczam w niedostatecznie przyprawionej sałacie ogromną plwocinę.

Kelnerzy są zaskoczeni. Wpatrzony w moje dzieło Paolo wytrzeszcza oczy. Ich zdziwienie wzmaga się, kiedy podaję miskę Mikosowi zachęcając go, by poszedł w moje ślady. Patrzy na mnie, pluje, po czym wybucha śmiechem i posyła do miski prawdziwy deszcz śliny. Szybko musi przestać, bo tak się śmieje, że nie jest w stanie zebrać odpowiedniej ilości wydzielin. Włączają się pozostali i nad miską rozpętuje się prawdziwa ulewa nieczystości pochodzących z głębi gardeł. Rozochoceni faceci klną i rzucają obelgi z myślą o klientach. W ciągu paru sekund wyładowują się za dwadzieścia dni ciężkiej pracy, za drobne poniżenia i za zmęczenie.

Sałata jest terenem konkursu na najładniejszy, największy i najobrzydliwszy charch. Wygrywa Alfredo dzięki barwie i rozmiarom swojej pamiętki, czegoś naprawdę obrzydliwego.

Każę dodać przypraw, wytrzeć brzegi naczynia i wracam do j klientów, mając za plecami cały bez wyjątku personel. Mikos uroczyście niesie sałatę.

Proszę państwa, bardzo proszę o wybaczenie tego drobnego incydentu, mamy nowy personel, toteż osobiście zająłem się państwa zamówieniem. Mam nadzieję, że będzie państwu smakowało.

Smakowało im. Stara zjadła wszystko. Przez resztę wieczoru miałem najbardziej uśmiechnięty zespół kelnerów na świecie. Mój mały kawał rozerwał ich. Od kiedy mam tę restaurację, wszyscy zachowywali się bez zarzutu. Nikt się nie załamał, i po dzisiejszym incydencie zastanawiam się, czy nie spróbować przyznać każdemu jednego dnia wolnego.

Mijają dni, potwierdzając sukces. Co wieczór po zamknięciu cały zespół spotyka się w kuchni, żeby wypić jednego, pożartować i podzielić się drobnymi kłopotami. Od incydentu z plwocinami wszyscy są zgrani i pełni entuzjazmu. To zespół kolegów.

Mianowałem Paola, neapolitańczyka, kierownikiem sali, ze względu na sympatię, jaką do niego żywię. Rocco i on, przepojeni nostalgią, prawie co wieczór opowiadają sobie o dalekim kraju, dzieląc się wspomnieniami o wspaniałych czarnowłosych kobietach i złocistych pizzach.

Niedługo minie miesiąc, od kiedy La Strada weszła na właściwą drogę, i moja nowa zabawka zaczyna mnie już nudzić. Uratowanie interesu było przedsięwzięciem zabawnym, a nawet ciekawym. Pomogło mi to odrobić straty i na kilka tygodni korzystać z szacownego statusu właściciela.

Mam teraz więcej wolnego czasu i znów zacząłem rozglądać się dookoła. Przedstawiam się jako biznesmen, który bada teren przed ewentualnym rozpoczęciem operacji w Toronto. Wszyscy kelnerzy w barach na Yorkville znają mnie, i mam chody w kilku spośród, najlepszych dyskotek. Moja reputacja ustaliła się, i wyczuwam wokół szacunek.

Angelo, jako korzystający z każdej okazji człowiek interesu, zaproponował mi spółkę. Myśli o rozmnożeniu trattorii w całej Kanadzie, wejściu do Montrealu, Vancouver, a potem być może o wyeksportowaniu naszej recepty do Stanów Zjednoczonych. Jest przekonany, że kuchnia Mammy to świetny handlowy pomysł. Przejął wszystko z amerykańskiej skuteczności, pozostając jednocześnie sprytnym i szybkim jak Włosi. Myśli już, jakby tu przekształcić eksperyment w królestwo forsy, i ofiaruje mi złote góry za zajęcie się organizacją w terenie.

Nie interesuje mnie to. Słucham go i nie odmawiam, bo niewielu ludzi godzi się, żeby grymasić, kiedy proponują fortunę i godną pozazdroszczenia pozycję społeczną. Jak mu wytłumaczyć, że nie mam mentalności kupca o ustalonej reputacji i że przychodząc tutaj chciałem jedynie napełnić sobie kieszenie i pojechać na słońce? Teraz przygoda się skończyła i interesuje mnie co innego. Rio? Karaiby? Miami? Gdzieś dalej? Odbywam w myślach podróż dookoła zwrotnika, jednym uchem słuchając dywagacji Paola.

Ten raz jeszcze rozmarzył się o pieniądzach. Gdyby miał majątek, kupiłby sobie chevrolety, po jednym każdego koloru, i zamówił do nich specjalne wykończenie.

— Coś eleganckiego, ze złożonymi klamkami i srebrnymi dolarami dookoła przedniej szyby.

Włoski Amerykanin to facet, który starał się uciec od szarzyzny. Trudno sobie wyobrazić, do jakiego stopnia marzy o życiu na kupie dolarów. Tam, w

kraju, nie wystarczy być spryciarzem i umieć kombinować. Takich jest zbyt wielu, i widoki na wzbogacenie się są nikłe. Pozostaje emigracja, szansa zrobienia dobrego interesu oraz zakłady piłki nożnej. Paolo często opowiada, ze szczegółami i wymachując rękami, jak wiele razy o mały włos nie został milionerem, podczas gorących wieczorów spędzonych wśród kumpli dookoła tranzystorowego radia.

Totocalcio, zakłady sportowe, to prawdziwa instytucja. Dla Włocha to synonim majątku i męskich wieczorów. To rodzaj loterii, całkowicie oficjalnej. Trzeba nanieść na siatkę swoje typy wygrywających drużyn w meczach futbolowych.

Sportowy totalizator jest rozpowszechniony we wszystkich krajach śródziemnomorskich. Zdarzało mi się z niego korzystać, żeby szybko zarobić trochę pieniędzy. Parę tysięcy lirów to niezbyt wiele za godzinę ciekawych obliczeń, parę milionów zysku i dreszczyk odczuwany podczas ogłaszania wyników. Dlaczego pozbawiać się tych drobnych emocji, które dodają życiu pikanterii?

Hazard. Tego byłoby mi potrzeba, żeby oddalić nudę, która mnie ogarnia. Niestety, w Kanadzie nie ma kasyna. Żeby zagrać, trzeba jechać do Stanów. Jedyne legalne zakłady to wyścigi konne. Bukmacherzy oczywiście przyjmują potajemnie zakłady na rozgrywki baseballowe i w futbolu amerykańskim, ale ja potrzebuję prawdziwego hazardu. Czegóż mocnego.

Odkryłem hazard w wieku siedemnastu lat, na pokładzie statku, który wiozł mnie do Argentyny. Nigdy już nie rozstałem się z tą Przyjemnością. Moim pierwszym kasynem był dom gry w Mar del Plata, koło Buenos Aires. Od tej pory grałem we wszystkich kasynach kontynentu, od Ameryki Południowej do Nevady, nie mówiąc już o Wschodzie. Priapolis w Urugwaju, Makao, Wyspy Bahama, Las Vegas, Reno to najsłynniejsze miejsca na światowej liście wielkiej gry.

Grałem za każdym razem, kiedy nadarzyła się okazja, od Caesar Palace w Las Vegas po brudne zaplecza sklepów w brazylijskim barrio, i zamierzam kontynuować.

Zawsze gram do ostatniego dolara. Stawiałem na mecze piłki nożnej, wyścigi konne i walki kogutów. Zdarzyło mi się nawet postawić własną koszulę w wyścigu krabów pustelników. Spośród wszystkich moich wad zamiłowanie do hazardu stoi na pierwszym miejscu.

Zauważyłem, że wielu ludzi ma hobby albo zależy im na jakimś przedmiocie. Jedni zbierają pudełka po serze camembert, inni pochłonięci są własną karierą, większość koncentruje swoje wysiłki na zakupie domku na wsi, kawałka ziemi albo nowego samochodu.

Ja nie, nie przywiązuję się do spraw materialnych. Niczego długo nie posiadam, wyrzucam równie szybko, jak nabywam. Znam tylko dwie przyjemności: przygodę i płeć piękną. Obie te rzeczy mają cechę] wspólną: chwilowe emocje, jakich dostarczają, i po których pozostają tylko wspomnienia. Jestem sybarytą, interesuje mnie wyłącznie terażniejszość.

Hazard dostarcza tego wszystkiego jednocześnie. Kiedy wchodzę do kasyna, nie obchodzi mnie, ile to będzie kosztowało; to przyjemność, na którą nie ma ceny. Jestem gamblerem, zatwardziałym graczem.

— Ej, Paolo! Ty się tu orientujesz, słyszałeś kiedyś o pokerze w okolicy?

Dumny z nagłego zainteresowania, jaki we mnie wzbudza, prostuje się i przybiera tajemniczą minę.

— Może...

— No, gadaj! Znasz jakiś stół?

— Tak, ale to niełatwe. Trzeba mieć chody. Trzeba iść do booze-can.

Po raz pierwszy słyszę to słowo, ale czuję, że kryje się za nim coś interesującego. Paolo zauważa moje podniecenie i próbuje przedobrzyć. Patrzy na mnie z politowaniem:

— Nie wiesz, co to jest booze-can?

Rozkoszując się winem i moim zniecierpliwieniem w końcu wyjaśnia:

— W tym kraju w nocy panuje prohibicja. Od pierwszej w noc) nie można już kupić ani zamówić alkoholu. Wszystkie zakłady z licencją zamykają o tej porze. Ale są spryciarze, którzy otwierają klub u siebie w domu, tak jakby organizowali prywatkę, i tam klienci mogą pić przez całą noc. Adresy przekazywane są z ust do ust, aż do chwili, kiedy policja zrobi nalot i zamknie klub. Są tam też stoły do gry, przede wszystkim w pokera.

— Znasz takie miejsce?

Tym razem odchyła się do tyłu, dumny, z miną konspiratora. Gdyby miał cygaro, zapaliłby je teraz.

— Może...

— Dobra. Zaprowadzisz mnie.

— Ma...

Jeśli będzie mi się tu bawił w tajemnice, zawlokę go tam siłą.

Później, wieczorem, Paolo i ja zamykamy restaurację. Paolo zna boozecan o dwie ulice stąd i zgodził się, żeby mnie tam zaprowadzić. Pobrałem tysiąc dolarów z kasy i moja niecierpliwość nie zna granic. Już wyobrażam sobie spowity dymem krąg graczy, strumienie nielegalnego alkoholu i bandytów z mafii, rzucających na stół paczki dużych banknotów. Jest jeszcze zbyt wcześnie. Przechodzimy przez Avenue ! Road, zimną i pustą przestrzeń, i idziemy dla zabicia czasu do Stavrosa, baru z hotdogami otwartego przez całą noc, gdzie zwykle wypijamy ostatnią kawę.

Dwa stoły i pięć krzeseł krytych pomarańczowym plastikiem, ekspres do kawy i opiekacz parówek, to cały świat Stavrosa, który tu rządzi. To Grek z Salonik, zmęczony życiem; przyjechał tu przed dziesięciu laty, żeby zbić szybki majątek, i nie może się zdecydować na powrót do kraju, podobnie jak większość śródziemnomorskich imigrantów.

Na nasz widok podaje dwie filiżanki kawy, do których dyskretnie dolewa trochę ouzo. Nie ma licencji na alkohol, ale za to kawa jest o tyle smaczniejsza! Stavros dba o mnie, bo zostawiam dobre napiwki. W chwili nieuwagi powiedziałem mu, że mam w żyłach trochę greckiej krwi, i od tej pory jesteśmy dobrymi kumplami.

Przysiada się do nas i zaczyna gadkę na swoje dwa ulubione tematy: o kobietach i o powrocie do kraju. Ten facet nigdy nie śpi i potrafi mówić godzinami.

Ale dziś wieczór wolę zbyt długo tu nie siedzieć.

Idziemy szybkim krokiem, bo mróz przenika do kości. Silny wiatr tworzy wiry martwych liści, które zalegają na chodniku.

Numer 87 przy Bedford Street to duży biały budynek o eleganckim wyglądzie, stojący pośrodku ogrodu. Obchodzimy dom od tyłu, gdzie znajdują się małe drzwi.

Paolo rzuca mi porozumiewawcze spojrzenie i puka.

Drzwi uchyla jakiś facet, patrzy na mnie badawczo ponad ramieniem Paola.

— To Cizia, mój szef. Jest w porządku.

Facet wpuszcza nas. To stary przystojniak o przebiegłym spojrzeniu.

Nazywa się Haig. Jest właścicielem. Uprzejmie życzy mi, żebym, dobrze się bawił w jego domu.

Nic tu nie przypomina speluny. Nie ma ani kontuaru, ani umundurowanych kelnerów. Paru ludzi przechodzi od grupki do grupki, zbiera zamówienia, przygotowuje co trzeba w kuchni, podaje i natychmiast pobiera należność. Jeśli nie liczyć ich dyskretnej obecności, wszystko robi wrażenie raczej eleganckiego wieczorku towarzyskiego niż nocy w burdelu.

Pokój jest przepelniony. Typy są różne, ale na ogół ludzie robią wrażenie dobrze sytuowanych, dobrze ubranych, bez kłopotów finansowych. Mężczyźni są pewni siebie, a kobiety, co stwierdzam z przyjemnością, urocze. Nawet nie wiedziałem, że można takie pięknosciami znaleźć w Kanadzie. Całe to miłe towarzystwo najwyraźniej świetnie się bawi.

Haig wyłania się z tłumu i chwyta mnie za łokieć.

— Paolo mówił, że jest pan właścicielem La Strady? Przepraszam, że zostawiłem pana samego, ale tak liczne towarzystwo wymaga wiele zachodu.

Ma lekki środkowoeuropejski akcent. A może ormiański lub turecki? Albo bałkański? Niewykluczone, że wszystkie trzy naraz.

To interesująca postać. Ma około sześćdziesiątki, jest dosyć niski i trochę zbyt zadbany. Jego białe włosy są starannie uczesane do tyłu i wypomadowane. Ma cienki wąsik, nienagannie przycięty. Biały trzyczęściowy garnitur jest doskonałego kroju, nosi do tego odpowiedni krawat i chusteczkę w kieszeni marynarki. Każdy z jego palców ozdobiony jest wielkim pierścieniem ze złota i diamentów.

Bardzo elokwentny, teatralny, czyni dla mnie honory domu i ciągnie za ramię, żeby przedstawić kilku osobom, których nazwiska natychmiast zapominam, jako że uwagę moją zaprzęta tylko jedno: myśl o grze.

Oprowadziwszy mnie dookoła, Haig znika i zostaję sam, z kieliszkiem w ręku. Nie ma śladu pokera. Zapewne trzeba poczekać na późniejszą porę...

Paolo nieco przesadził opowiadając o nielegalnym charakterze tego miejsca. Światła, pełno pięknych samochodów zaparkowanych w ogrodzie, tajemnica ledwo co strzeżona. Policja z pewnością wie o wszystkim i przymyka oczy. Nic strasznego się tu nie dzieje i zaczynam się zastanawiać, czy nie pomyliłem adresu.

— Zadowolony?

Głos jest melodyjny i kobiecy, toteż odwracam się z najładniejszym uśmiechem na twarzy.

Na ile mogę stwierdzić, jest to rzeczywiście kobieta. Wiek jakby średni. Pod elegancką sukienką to i owo zaczyna już opadać, ale wielkie oczy mają wspaniałe niebieski kolor, a jej uśmiech jest przyjemny.

— Yes, sympatycznie tu.

— Och, ależ pan jest Francuzem! Ou! Uwielbiam Frenchies. Jesteście tacy...

— Przepraszam... Jestem Włochem, proszę pani.

Pani ma najwyraźniej ochotę na coś egzotycznego. Jej piękne oczy bezwstydnie taksują mnie od stóp do głowy. Ja dostrzegam tylko jej usta, zmysłowe, o jędrnych i błyszczących wargach.

Dowiaduję się, za jednym zamachem, że jest dziennikarką, że mieszka w Nowym Jorku, że straciła dziewictwo na gondoli w Wenecji, że południowcy są najlepszymi kochankami, że wieża w Pizie wkrótce się zawali, że jej dwaj pierwsi mężowie byli południowcami i że jej pies nazywa się Benito.

Postanowiła mnie poderwać.

Zapędzony w róg pokoju nie widzę wyjścia, kiedy podchodzi do mnie uśmiechnięty Paolo.

— Cizia, w sąsiednim pokoju jest stół do gry.

Natychmiast podążam za nim, a po piętach depcze mi dziennikarka, nie dając za wygraną. Przez tłum pijących torujemy sobie drogę ^w kierunku półotwartych drzwi.

— To tu — szepce do mnie Paolo.

Wchodzimy do dużego, pogrążonego w ciszy pokoju. Naprzeciwko kilku facetów za stołem gra w karty. Paolo zamyka za nami drzwi, odcinając nas od hałasu, i przedstawia mnie zebranym.

Ci dżentelmeni z przyjemnością powitają mnie w swoim gronie kiedy tylko zwolni się jakieś miejsce. Na razie siadam sobie na kanapie nie opodal. Przyjmuję maskę spokojnej obojętności, ale wewnątrz wszystko się we mnie gotuje z radości. Z trudem mogę usiedzieć na miejscu i wypalam papierosa za papierosem, żeby ukryć podniecenie. Po raz pierwszy od przyjazdu do Toronto jestem szczęśliwy, bez żadnych zastrzeżeń. Nareszcie coś się naprawdę dzieje!

Oczekująca mnie partia to największa przyjemność, jaką mogę mieć z życia. Nic w świecie nie byłoby w stanie odciągnąć mnie od stolika pokerowego. Gra to pasja, która, gdy już raz kogoś opanuje, nie opuszcza go nigdy.

Uważam się, i inni uważają mnie, za doskonałego gracza, i zielone sukno to dla mnie synonim pewnych zysków oraz przyjemności; Korzystając z umiejętności lub ze szczęścia podczas moich podróży wielokrotnie utrzymywałem się z gry, której nigdy nie traktowałem jak coś doraźnego.

Jestem całkowicie pochłonięty obserwowaniem stołu, na który padają karty. Szybkie i dokładne ruchy zdradzają doświadczonych graczy. Są w różnym wieku, ale wszyscy starsi ode mnie, między trzydziestką a pięćdziesiątką.

Partia rozgrywa się bez zbędnych słów, przerywana jedynie rytualnymi formułkami: „czekam”, „wchodzę”, których słucham jak najpiękniejszej muzyki.

Kocham tę specyficzną atmosferę, napiętą, lecz zarazem spokojną. To zaleta partii rozgrywanych przez ludzi cywilizowanych. Znam kraje, gdzie krew jest gorąca i głośno od przekleństw, karty latają w powietrzu, a główną trudnością nie jest napełnić sobie kieszenie, lecz przeżyć wystarczająco długo, by móc korzystać z wygranych pieniędzy.

Tutaj gracze nie są rozmowni. Czas płynie powoli w tym pokoju odcięty od tamtych rozrywek. Dobiegają nas czasem tylko jakieś odgłosy, za każdym wejściem lub wyjściem Haiga, który w towarzystwie kelnerki opróżnia wiecznie pełne popielniczki, zbiera nowe zamówienia lub dyskretnie zapytuje o życzenia klientów.

Usiadł na chwilę koło mnie, ale jest zbyt towarzyski i ruchliwy, by czuć się swobodnie w panującej tutaj ciszy. Wkrótce życzy mi szczęścia i wraca do swojej bieganiny.

Mojej niechcąco poderwanej znajomej czas także się dłuży. Podejmuje konwersacyjne wysiłki, ale nie słucham jej i nie mam ochoty odpowiadać. Jej ręka, która nagle znalazła się na moim udzie, gwałtownie przywołuje mnie do rzeczywistości. Zmęczona własnym monologowaniem teraz atakuje otwarcie! Jak przez mgłę słyszę od niej, że jestem piękny i silny. Można być pochłoniętym grą, ale to nie powód, by tracić dobre maniery.

Odpowiadam, że ona także jest całkiem niezła. Dla porządku rzucam na nią okiem, żeby przyjrzeć się bardziej szczegółowo. Parę lat temu musiała być pociągająca. Wygląda na wygłodniałą czterdziestkę, ma jeszcze ładne resztki, obfite biodra i solidne piersi. Odgaduje moje zainteresowanie i zaczyna prężyć się na moich oczach, kiedy ratuje mnie gong.

Jeden z graczy ze smutną miną wstaje i kiwa na mnie.

Po wymianie kilku uprzejmości gra zostaje wznowiona. Okiem przyszłego właściciela oceniam forszę leżącą na stole. Jest tu parę tysięcy dolarów, wystarczająco dużo, by uszczęśliwić mnie przynajmniej na tydzień. Już wiem, na co wydam.

Moi partnerzy grają w seven stud, grę typowo amerykańską. Reguły są takie same, jak w pokerze klasycznym, ale każdy gracz i otrzymuje kolejno po siedem kart. Dwie pierwsze i ostatnie są „zakryte”, co znaczy, że ich wartość zna wyłącznie właściciel. Cztery pozostałe są „odkryte” i leżą na stole, widoczne dla wszystkich.

Nie sposób wytłumaczyć seven stud laikowi. Trzeba przede wszystkim pamiętać, że łatwo tu przegrać własną koszulę, a nawet więcej. Zwiększać stawki można już od trzeciej karty, aż do siódmej.

Przez pierwsze rozdania gram ostrożnie, nie podejmując zbędnego ryzyka, aby móc ocenić moich przeciwników. Karty są nowe i dobrze się ślizgają. Na stojącej obok komódce leży stos nowych talii i w każdej chwili każdy gracz może zażądać wymiany. Paolo przynosi mi kawę za kawą i przypala mi papierosy.

Jest mi dobrze...

Trójka piątek już przy trzeciej karcie! To dobre rozdanie, żeby nie Powiedzieć świetne. Siedzę tu już od dwóch godzin, i na taką właśnie okazję czekałem, by na pewniaka zgarnąć dużą forszę. Stawiam bez przesady, ale ku mojemu zaskoczeniu sąsiad podbija stawkę. W jego ślady idzie następny i po chwili robi się gorąco. Wygląda na to, że każdy coś ma na rękę. Moja trójka może się okazać słabiotka. To samo dzieje się przy stawkach po czwartej, piątej i szóstej karcie.

Teraz na środku stołu leży już sporo pieniędzy. W powietrzu czuje się elektryczność. Drżące ręce zapalają papierosy, które dopalane są aż po filtr. Nerwy są napięte, nikt się nie odzywa, każdy skoncentrowany jest na swojej grze. Tym razem stawka jest wysoka.

Mój sąsiad z lewej, gruby Amerykanin z nowojorskim akcentem, ociera sobie czoło głośno dysząc. Ja jestem spokojny, pewny siebie. Wraz z szóstą kartą dostałem fulla. Trójka piątek i para dam! To ostatecznie zapewnia mi powodzenie, i patrząc na piętrzący się stos banknotów śmieję się w duchu. Musi tu być około pięciu tysięcy dolarów. To się nazywa wygrana.

Ale kiedy wszyscy pokazują karty, mina mi rzednie. Brunet po mojej prawej, facet około trzydziestki, starannie ubrany, odkrywa fulla z trójką króli, którego nie sposób było odgadnąć, jako że króle były kartami zakrytymi.

Oburącz przyciąga forszę do siebie.

— Panowie pozwolą? — mówi z szerokim uśmiechem, widząc nasze przygnębione miny. — That's nice!

Każdy miał niezłe karty, więc rozczarowanie jest powszechne. Gruby nowojorczyk nie potrafi powstrzymać przekleństwa i rzuca kartami o stół. Haig, który właśnie wszedł niosąc po szklance w każdym ręku, zapytuje go uprzejmie, ile przegrał, pociesza dwoma sentencjonalnymi zdaniem o niebezpieczeństwach gry i równie szybko wychodzi. Co do mnie, zostało mi około trzystu dolarów.

— Jak tam?

To Paolo, który zaniepokojony, przyszedł zobaczyć, co się dzieje.

— Nie ma sprawy, po prostu brak szczęścia.

Wyciągam się wygodnie w fotelu, rozluźniam stawy palców dłoni po czym przechadzam się nieco po pokoju, żeby rozprostować nogi podobnie jak pozostali gracze. Następne godziny poświęcam na powolne odrobienie strat. Noc ma się już ku końcowi, kiedy wreszcie pojawia się powtórna okazja: kolor, który dostaję już przy piątej karcie. To wystarczy, by spokojnie windować stawkę. Ale ponownie gracze podniecają się. Dotrzymuję im kroku aż do końca, i kiedy karty zostają odkryte, cała moja forsa jest w puli.

Cholera! Wąsaty blondyn, doskonały gracz, zachowujący kamienną twarz za ciemnymi okularami, wygrywa mając fulla. Jestem całkowicie splukany. Czterej pozostali partnerzy, w tym gruby Amerykanin, również odchodzą z pustymi kieszeniami. Nie ma już chętnych i gra zostaje zakończona.

Wstaję, smutny, że już koniec, i wściekły, że przegrałem. Nie pokazuję tego po sobie. W końcu miałem swój przydział emocji, a to jest bezcenne!

Z wyjątkiem grubego, który nie umie przegrywać i odszedł bez pożegnania, zostajemy przez chwilę, żeby pogadać. Dowiaduję się, że stół ten

jest czynny przez dwa lub trzy wieczory w tygodniu. Dobrze wiedzieć! Już teraz wiem, że jutro o tej samej porze będę w tym samym miejscu.

Paolo, zrozpaczony, że jego czempion przegrał, gorąco mnie przeprosza. Pocięszam go i posyłam, by zapłacił za napoje, bo nie mam już ani dolara. W wielkiej sali zabawa skończyła się już dawno. Wspomagany przez kelnerki Haig usiłuje pożegnać ostatnie niedobitki, niepewnym krokiem zmierzające w stronę drzwi.

Dziennikarka, o której już zapomniałem, czekała na mnie całą noc i zasnęła w fotelu. Przyglądam się jej w zamyśleniu. Wystrzałowa nie jest, ale taki dowód miłości zasługuje na nagrodę. Budzę ją i jedziemy do mojego hotelu jej samochodem.

Już w windzie przykleja się do mnie, żebrząc o pocałunek. Jej oddech, ciężki od alkoholu, o dosyć nieprzyjemnym zapachu po całonocnej zabawie, trochę zmniejsza moją ochotę. Jedno z ramiączek jej sukienki obsunęło się. Spod makijażu prześwitują cienie pod oczami. Wszystko to nie jest najświeższe.

Zajmowanie się damami to obowiązek, ale dzisiejszego ranka co innego mi w głowie. Partia, którą rozegrałem, była poważna, i trudno mi teraz wrócić do rzeczywistości. Jeszcze raz myślę o tym kolorze, który dostałem przy ostatnim rozdaniu. Widzę w myślach karty, jakie miałem w ręku w ciągu tej nocy.

Tylko wyjątkowa piękność mogłaby mnie oderwać od tych myśli.

Padam na łóżko. Moja pani rozbiera się pośpiesznie i dołącza do mnie z całuskami i pieszczotkami, które działają mi na nerwy. Znalazłem przygodę, przerznąłem tysiąc dolarów, mam ochotę być sam i to coś wilgotnego, co klei się do mnie, jest męczące.

Z miłosierdzia przywołuję na pomoc całą moją śródziemnomorską dumę. Prababka, jak dzielny żołnierz, nie szczędzi wysiłków, pochylona nad moim przypadkiem. Ze wzrokiem wbitym w jej kark, ciągle myśląc o pokerze, z roztargnieniem wodzę palcem po żarłocznej i wymęczzonej lechtacze.

Moje roztargnienie mści się na mnie. Nie uważam i pierwsza część naszych uścisków raptownie się kończy. W oczach mojej towarzyszki odczytuję rozczarowanie tak szybkim finałem, kiedy, zdyszana, unosi głowę.

Pocieszam ją i wymykam się pod prysznic. Mam ochotę uciec, ale przywołuję się do porządku przed lustrem. Nie mam prawa tego robić! Stawką jest mój honor, a nawet honor Włoch!

Kiedy tylko wychodzę z łazienki, jedno spojrzenie uzmysławia mi, że rzecz jest niewykonalna. Szybko wkładam spodnie, zmyślam jakiś pretekst, zapewniam, że zaraz wrócę i pozostawiam ją samą w pokoju.

Na dole zostawiam w recepcji wiadomość.

— W moim pokoju jest pewna dama. Proszę jej powiedzieć, że młody człowiek już nie przyjdzie. Nie ma sensu czekać.

Na dworze jest już jasno. I zimno.

Już dziewiąta rano i La Strada potrzebuje mojej obecności. Znajduję tu Paola, którego malutkie oczka zdradzają rozpaczliwą potrzebę snu. Ja chcę tylko jednego, zagrać w pokera. Rzucam się w wir pracy, żeby jakoś przetrwać. Po południu usiłuję zrobić małą sjęstę, ale podniecenie nie pozwala mi zasnąć.

Wieczorem zgarniam cały utarg. Jest tego tysiąc pięćset dolarów; Licząc z tym, co zabrałem wczoraj, to cała gotówka w tym tygodniu. Więcej nie ma, bo Amerykanie praktycznie wszyscy płacą kartami kredytowymi.

O wpół do drugiej jestem u Haiga, w towarzystwie Paola, który choć wykończony, chce zobaczyć, jak się odgrywam. Klientów jest tak samo dużo jak poprzedniego dnia. Haig, w czarnym garniturze przyjmuje mnie z uśmiechem. Chce poznać mnie z nowymi ludźmi, ale mnie interesuje tylko gra i wymykam się po angielsku.

Jestem pierwszy, w tylnej sali nie ma jeszcze nikogo. To obszerny pokój w kształcie półkola. Cztery wielkie okna, niemal od sufitu do podłogi, zajmują całą część zakrzywioną. Teraz zasłony są zaciągnięte, żeby uchronić nas przed spojrzeniami ewentualnych ciekawskich. Środek zajmuje duży okrągły stół i kilka krzeseł. Komoda w stylu, którego nie umiem rozpoznać, oraz ustawione pod ścianą krzesła i fotele uzupełniają to dosyć skąpe umeblowanie.

Siadam przy stole czekając na chętnych. Nadchodzą kolejno. Rozpoznaję trzech, wśród nich obu wczorajszych szczęśliwców, którym zamierzam odebrać swoje pieniądze.

Dopiero o wpół do trzeciej, kiedy zaczynam już się niepokoić, jest wreszcie komplet i możemy zaczynać. Każdy płaci dziesięć dolarów za wynajęcie stołu od Haiga i na opłacenie kart.

Partia jest powtórką wczorajszej, i bardzo szybko sprawy przybierają dla mnie zły obrót. Miałem tylko dwa dobre rozdania, ale za każdym razem zostałem pokonany przez układ wyższy od mojego i skompletowany w ostatniej chwili. Stół ogarnęło podniecenie i żeby nie wypaść z gry, musiałem podnosić stawki; moje rezerwy poważnie stopniały. Jestem dobrym graczem, ale nic się nie poradzi na brak szczęścia.

Znowu dobry układ: trójka dziesiątek w pierwszych trzech kartach. To wymarzona okazja, żeby się odkuć. Moja kolej.

— Czekam.

Nie chcę zaczynać zbyt ostro, żeby nie wzbudzić podejrzeń przeciwników. Ale mój sąsiad z prawej podnosi stawkę, potem następny, i znowu stół ogarnia podniecenie. Co tu się dzieje? To nie jest normalne. Coś tu nie tak. Mam zbyt wiele doświadczenia, żeby tego nie wyczuć. W mojej głowie zapaliło się czerwone światełko. Coś tu nie gra, ale co?

Kiedy przychodzi kolej na mnie, żeby dołożyć się do puli, instynktownie wycofuję się. Odmawiam i na znak, że wycofuję się z gry, rzucam karty na stół.

Nikt nie komentuje. Ale przez ułamek sekundy dostrzegłem błysk zdziwienia w spojrzeniu bruneta, tego, który sporo wygrał poprzedniego wieczoru i któremu dziś też dobrze idzie. Była to krótka chwila, ale wystarczyła.

Skurwysyn!

Odwraca wzrok, ale jest za późno. Jego pytanie potwierdza moje podejrzenia.

— Nie grasz dalej?

— Nie.

Wbijam wzrok w jego oczy. I teraz już wie, że ja wiem. Błysk paniki w jego spojrzeniu pozbawia mnie ostatnich wątpliwości. Skurwiel! Gra jest manipulowana. Nie wiem, jak on to robi ani kto z nim pracuje, ale on oszukuje, i tego jestem pewien. Gardło ściska mi przyływ gwałtownej nienawiści. Chcieć mi zabrać moją forszę!

Opanowuję się i powoli wstaję. Muszę zachować samokontrolę. Idę do toalety i spryskuję sobie twarz i kark zimną wodą. Zmuszam się do głębokich, długich oddechów, które przywracają mi spokój, po czym wracam do stołu.

Dziesięć minut później jestem splukany. Zmuszam się do uśmiechu.

— Nie mam szczęścia dziś wieczór, Dobrej nocy, gentleman! Wstaję, przeciągam się i naturalnym ruchem kładę rękę na ramieniu bruneta.

— Do zobaczenia, partner.

Mój głos jest spokojny, na twarzy mam miły śmiech, ale moje spojrzenie przekazuje mu, co myślę.

— Tak, tak. Zgoda.

W jego głosie słychać ulgę, że obędzie się bez awantury przy stole. Pozostawiam rękę na jego ramieniu trochę dłużej niż to konieczne, po czym idę usiąść w tym samym fotelu, co poprzedniego dnia.

Odczuwam straszliwą nienawiść na myśl, że ktoś próbował mnie, oszukać. Kiedy przypomnę sobie wczorajszą rozgrywkę i moje rozczarowanie, mam ochotę urwać mu głowę. Nie wywinie się z tego tak łatwo. Nie wiem, ilu ich bierze w tym udział, ale jestem gotów. Przewiduję wszystkie możliwości i szykuję się do walki.

— Co robimy? Idziemy?

Paolo podszedł do mojego fotela lekko zaniepokojony.

— Nie, zostajemy.

Z mojego tonu wnioskuję, że zaszło coś nienormalnego.

— Co się stało?

— Oszukują tu. Zajmiemy się tym. Nie odchodź, aż cię zawołam.

Przez resztę nocy obserwuję grających. Nie wiem, którzy z nich oszukują ani jakimi posługują się sposobami, ale są to na pewno zawodowcy. W przebiegu gry nie ma niczego nienormalnego. Uważnie śledziłem ruchy rąk graczy podczas kolejnych partii, i niczego nie zauważyłem.

To tylko przypuszczenie, intuicja, która znalazła potwierdzenie, kiedy brunet przeraził się. Gdyby nie ten błysk w jego oku, wszystko położyłbym na karb braku szczęścia.

Ale on oszukuje, to pewne. Dobrze ubrany, średniodługie włosy starannie uczesane, zadbany, nie wygląda na człowieka pracującego. Jeżeli ma partnera, to podejrzewałbym blondyna, który wygląda na bandytę z tymi swoimi wąsami. No i po co by mu były ciemne okulary w środku nocy, w zadymionym pokoju, jeśli nie po to, by ukryć spojrzenie? To byłoby już dwóch. Przez cały wieczór, za każdym razem, kiedy wygrana jest spora, wszystko zgarnia albo brunet, albo drugi szczęśliwiec wczorajszego wieczoru,

blondyn w ciemnych okularach. Pula gwałtownie rośnie pięciokrotnie tego wieczoru i niezmiennie przypada jednemu z tej dwójki. Pozostali to jelenie.

Takie są fakty. Ogarnia mnie nienawiść. Jak ktoś mógł ośmielić się mnie oszukać i wziąć za frajera?

Jestem oportunistą. Jeżdżę po świecie wykorzystując wszystko, co pojawi się w zasięgu ręki, i uważam się za najlepszego w tej zabawie. Jeszcze nikomu nie udało się mnie nabrać, i sama myśl, że ktoś odważył się spróbować, doprowadza do wściekłości. A gdyby tak wszyscy byli w zmowie? Kiedy partia dobiega końca, jestem cały naładowany i gotów na wszystko! Gotów do bicia, do poobrywania im uszu, do pokrajania ich na kawałki, nie wiem, do czego jeszcze, ale tak łatwo się z tego nie wywiną...

Jestem już przy drzwiach, kiedy brunet, wmieszany w grupę graczy, szykuje się do opuszczenia pokoju. Obejmuję ramieniem jego plecy, z uśmiechem na ustach, ruchem, który postronnym obserwatorom może wydawać się przyjacielski.

— Chwileczkę, partner. Chciałbym cię o coś spytać.

Blednie, usiłuje się oswobodzić, ale trzymam mocno. Zanadto boi się, by nie zwrócić uwagi pozostałych. Blondyn zbliża się dyskretnie, potwierdzając jedynie moje przypuszczenia. Wyczuł problem i interweniuje, zanim nie będzie za późno.

— Żadnych skandali — mówi do mnie przez zęby, wskazując wzrokiem pozostałych graczy, którzy kierują się w stronę drugiej sali.

Nie chcą awantur.

Odczekuję chwilę, aż ostatni dostatecznie się oddali.

— Ile przegrałeś?

— Tysiąc pięćset dolarów — mówię, wyciągając rękę.

— Aż tyle? Jesteś pewien?

— Tysiąc pięćset dolarów, przyjacielu.

Wyciąga plik banknotów i upewniwszy się, że nikt nie patrzy, odlicza piętnaście studolarówek. Szybko chowam je do kieszeni i przytrzymuję plik, nim go schowa z powrotem do kieszeni.

— A wczoraj tysiąc.

Wzdryga się.

— Wczoraj to było wczoraj!

— Tysiąc dolarów, skurwielu!

Podniosłem głos i nadal trzymam jego przegub, pomimo jego dyskretnych wysiłków, by się uwolnić. Wszyscy mamy na twarzach uśmiechy i mówimy przyciszonymi głosami, ale napięcie rośnie i ktoś mógłby coś zauważyć.

— OK, pogódźmy się. Tylko bez awantur, bardzo proszę.

Odlicza jeszcze tysiąc dolarów i chce odejść. Nie puszczam go.

— Chwilę, teraz chcę dostać moje pieniądze.

— Co? Jakie twoje pieniądze? Dostałeś je, czego jeszcze chcesz?

— Mój udział, kanciarzu.

Gwałtownym ruchem wykręcam mu rękę.

— Wczoraj i dziś wieczór przeszkodziliście mi w pracy. Trzeba mi teraz zapłacić to, co mogłem wygrać. Zgarnęliście jakieś sześć tysięcy dolarów, na trzech to daje dwa tysiące na łebka. Czekam na moją część.

To im się zupełnie, ale to zupełnie nie podoba. Płacąc za pierwszym razem okazali swoją słabość. Wiem, że będą płacić nadal. Nie będą się bić, to pewne. Zwłaszcza brunet robi w portki ze strachu. Szanse nie są równe, i zamierzam wykorzystać je aż do końca.

— Bo jak nie, to będę musiał rozpowiedzieć dookoła, że jesteście kurewskimi złodziejami, a waszą forszę i tak wam zabiorę. I sprawi mi przyjemność dokopać wam w te wasze zasrane mordy.

W miarę jak mówię, rośnie moja nienawiść. Więc płacą. Brunet wyjmuje zwitek banknotów i wyciąga z niego dwa tysiące, które mi wręcza z łezką w oku. Dziękuję im z szerokim uśmiechem.

Teraz pilno im już tylko do jednego: jak najszybciej stąd odejść i nie patrzeć już na mnie, ale ponownie ich zatrzymuję.

— Chwileczkę! Paolo, daj wizytówkę La Strady tym panom.

Zaskoczeni patrzą na mały kartonik, który wręcza im mój ochroniarz.

— To moja restauracja. Czekam tam na was jutro z obiadem. Nie zmuszajcie mnie, żebym po was przyjechał. Dobrej nocy, panowie!

Kiedy odchodzę, mając przy boku Paola, który nie odezwał się słowem, panuje całkowita cisza.

Dzisiejszej nocy znów nie będę spał. Jestem zbyt podniecony, żeby się położyć. Siedzę w fotelu, w ciemnym pokoju, przed oknem, i przez długie godziny myślę i cieszę się.

Pojawiła się przygoda. Mój tupet i nos pozwoliły mi odkryć świat całkowicie dla mnie nieoczekiwany w tym dobrym starym Toronto.

Zawodowi oszuści! Co za wspaniała okazja napełnić sobie kieszenie z fasonem!

Faceci są zdolni. Oskubali mnie elegancko, tak że z niczego nie zdawałem sobie sprawy. Daleko mi do ministranta, i nie siadam do pokerowego stołu nie podejmując pewnych środków ostrożności. Muszą mieć dobrą technikę, skoro niczego nie zauważyłem.

Są dobrzy w swojej dziedzinie, ale łatwo ulegli moim groźbom. Wystarczyło podnieść głos, żeby ich nastraszyć. Boją się przemocy, a to dla mnie dodatkowy atut.

Popełnili straszny błąd płacąc od razu! Teraz będą już bulić bez końca. To łatwa zwierzyna. Nie mogę wiedzieć o kantach i nie pobierać należnej mi opłaty.

Chodzę po pokoju, paląc papierosa za papierosem. Od czasu do czasu przystaję przed oknem i w zamyśleniu patrzę na uśpione budynki i jasno oświetlone wymarłe ulice.

W tym biznesie możliwości są ogromne. Opracowuję plany i to, co widzę oczyma duszy, jest wspaniałe. Moi dwaj kanciarze nie umieją się zabawić. To niesamowite, do jakiego stopnia wszystko jest ustawione i wydaje się oczekiwać tylko na lekkie popchnięcie.

Ale ich udział jest nieodzowny. Jestem graczem, czasem oszukuję, lecz nie umiem podmieniać kart. Oni są prestidigitatorami. Faceci jak oni nie pozostawiają jeleniom żadnych szans. Są bezlitośnie skuteczni.

Muszę zapewnić sobie ich całkowicie dobrowolną współpracę. Dołożenie im niczego by nie dało, a w dodatku mogłoby uszkodzić im rękę. Muszę liczyć na ich lojalność tak długo, jak będzie trzeba. Tym bardziej że, technicznie rzecz biorąc, będą lepsi, jeżeli nie zmusi się ich do działania pod przymusem.

Trzeba będzie namotać im w głowie subtelnie. Będę musiał ich nastraszyć, ale tak, żeby nie ogarnęła ich panika, i przedstawić korzyści płynące ze współpracy ze mną. W tej dziedzinie też wszystko jest już ustawione.

Zagram im rolę w sam raz pasującą do sytuacji: rolę mafioso. Sytuacja jest idealna. Jeżeli moi współpracownicy będą sądzić, że działam sam, mogą spróbować mnie wykiwać albo strzelić mi w plecy. Nie przyjdzie im to nawet

do głowy, jeśli będą myśleli, że jestem członkiem organizacji typu Cosa Nostra, prawdopodobnie przysłanym na zwiad do Toronto przez mafię.

Cały scenariusz zbuduję według tego schematu.

Dla Anglosasów amerykański Włoch oznacza mafię. Jako Włoch, szef trattorii i otoczony makaroniarzami, już jestem dla nich człowiekiem podejrzanym. Moje wąsy doskonale uzupełniają ten obrazek. Co do bajeru, to potrafię przekonać każdego, że jestem młodym kuzynem Lucky Luciano, że moja matka wyrabia makaron i że urodziła się w tej samej wiosce co Al Capone. Rola taka bawi mnie i grając ją potrafię dokonywać cudów.

Niedawno czytałem książkę, prawdziwy bestseller, opowiadającą właśnie o mafiosach, o wymuszaniu okupów i wojnach gangów.

Pozostaje mi tylko ich przekonać. Z tym nie będzie problemu. Nie ma obawy, mam nad nimi ogromną przewagę. Argentyna stanowiła ważny etap w moim życiu. Nauczyłem się tam sztuki oszukiwania. Pobierałem lekcje u mistrzów w tym fachu, najlepszych oszustów kontynentu, dla których mechanizmy ludzkiej duszy nie mają tajemnic.

Często przekonywałem się o jednej rzeczy: chętnie podejrzewa się, że w tym, co ktoś mówi, jest jakaś część przesady albo nieprawdy; ale przeciętny śmiertelnik nigdy nie podejrzewa, że wszystko wokół niego może być sfalszowane od początku do końca, że obraca się w teatrze, gdzie wszystko jest fałszywe.

I im grubszy niemi wszystko to szyte, tym lepiej. Jako niezły kameleon jestem pewien, że doskonale odegram swoją rolę. Mam już ustawione dekoracje, a zresztą, tak czy inaczej z moimi kanciarzami idzie jak po masie. Anglosasom łatwo jest zamotać we łbie. Dla nich wszystko jest jasne, rzeczywiste i pozytywne.

Myśl, że wszystko jest z góry ukartowane, nawet im nie przychodzi do głowy. Włosi, królowie teatru, mieli niezłą zabawę z tymi ciemniakami, i to przez całe lata.

Siedzę w fotelu przed oknem i patrzę, jak wschodzi słońce. W oknach budynków zapalają się światła. Ulice są nadal puste. W dali widać jezioro. Przede mną rozciąga się całe miasto.

Toronto. Amerykańskie miasto, dostatnie i spokojne.

Rozsiadłem się w jednym z boksów La Strady. Jest tu dosyć przestronnie i można zjeść w spokoju. Kotara, do połowy zasunięta, odsłania część stołu

tonącego w papierach. Są to dokumenty właściciela, księgi rachunkowe i pomieszane faktury. Paolo przyniósł na srebrnej tacy mały dzbanek do kawy z tego samego metalu, wyszperany w kuchni, i filiżankę. Siedzę i popijam espresso.

Paolo stoi przy mnie, w czarnym, nieco przyciasnym smokingu, z zawziętym wyrazem twarzy.

W doskonałym momencie, jak na potrzeby mojego scenariusza, wchodzi Angelo Gucci, Luigi i trójka ich znajomych, i zabierają się do obiadu. Są mile widziani. Jedzą z hałasem, rozmawiają głośno i po włosku: są idealni! Wyglądają jak żywcem wyjęci z telewizyjnego serialu o mafii.

Paolo pędzi do drzwi, kiedy tylko dostrzega w nich moich gości, i prowadzi do mojego stanowiska pracy. Unoszę wzrok znad rachunku za mięso i patrzę na nich w milczeniu.

Brunet czuje się nieswojo. Przesłupuje z nogi na nogę.

— To ładnie, że przyszliście. Teraz wszystko będzie szło gładko. Jak się nazywasz?

— Nivel — odpowiada blondyn w ciemnych okularach.

— Nivel, bene, bene. A ty?

— Louie D'Amour.

— Dobra, trzeba się poznać, to ważne. Ja jestem Cizia. No to siadajcie, proszę.

Każdego klepię z całej siły w ramię, wskazując miejsca po drugiej stronie stolika. Paolo z kamienną twarzą powrócił na swój posterunek przed boksem, z założonymi rękami, wpatrzony w salę.

— Czego się napijecie? Szampana?

Albo nie lubią, albo uważają, że nie jesteśmy jeszcze na wystarczająco przyjacielskiej stopie, w każdym razie obaj odmawiają i zamawiają po piwie.

— Ach, wy, Amerykanie, nie znacie się na przyjemnościach! — mówię z przesadnym, wyrazistym ruchem ręki. — Ale basta! Pora coś zjeść.

Ponieważ robią wrażenie zaskoczonych i chcą coś odpowiedzieć, uprzedzam ich:

— Najpierw jemy, o interesach pogadamy potem. W moim kraju mówi się o biznesie dopiero, jak się dobrze zje.

Nie ma lepszego Włocha ode mnie.

Pstrykam palcami w kierunku Paola, który przywołuje kelnera.

— Będziemy jedli pasta. Przygotowała ją Mamma. Zobaczycie, co to dobre jedzenie.

— Skąd pochodzisz, Cizia? — pyta mnie wreszcie Louie D'Amour, oszołomiony potokiem mojej wymowy.

— Mama jest Włoszką, tata Korsykaninem, a ja urodziłem się w Marsylii. Znasz Marsylię?

— Nie — przyznaje.

— Ten dzieciak nie zna Marsylii! Wy naprawdę niczego nie znacie, wy Amerykanie!

I zabieram się do spaghetti, które jest doprawy wspaniałe. Mammą przeszła samą siebie. Chętnie jadłbym głośno, żeby dopełnić obrazu, ale tylko prawdziwy Włoch może jeść jak świnia i mieć przy tym klasę.

— Cizia, dzwonią z Nowego Jorku.

— Mi scusi, un momento.

To Paolo, niezastąpiony w swojej roli, śmiertelnie poważny. Kiedy wracam do stolika, pogratulowawszy w kuchni Mammie, rozmowa milknie jak ucięta nożem.

Dalej jemy w milczeniu, przerywanym tylko moimi banalnymi uwagami. Louie D'Amour i Nivel nie odzywają się i jedzą bez apetytu. W tle słychać okrzyki dobiegające od stolika Angela, który przyciąga zaniepokojone spojrzenia obu kanciarzy.

Wracając od telefonu klepię lekko Angela w ramię; ten zdziwiony jest nieco moją nagłą poufałością, ale bezwiednie przyłącza się do mojej gry.

— Cizia, dzwoni Miami.

Tym razem korzystam z okazji, żeby się odlać. Kiedy wracam do stolika, posiłek jest zakończony, a Louie i Nivel zaczynają wykazywać oznaki zniecierpliwienia. Odstawiam swoją filiżankę z kawą i pochylam się ku nim.

— No dobra, a teraz pogadajmy o interesach. Już czas. Ale spokojnie, bez nerwów.

Wypowiadając ostatnie słowa podnoszę głos i patrzę na nich kolejno. Czuję, że już przegrali. Dali się nabrać w całej rozciągłości.

— Cizia, telefon z Napoli.

Tu już Paolo przesadza. Muszę go powstrzymać, zanim nie zapowie rozmowy z Panem Bogiem we własnej osobie!

Odpowiadam podirytowanym głosem:

— Dość tych telefonów, Paolo. Rozmawiam o interesach. Powiedz, że jestem zajęty i że zadzwonię za godzinę.

— Si, don Cizia!

I z godnością odchodzi w tym swoim smokingu. Nie na darmo jest Włochem i ma nieco zbyt rozwinięte zamiłowanie do teatru. Odwracam się do moich rozmówców.

— Wczoraj postąpiliście bardzo nieładnie! W moim kraju...

Robię palcem ruch podrzynania gardła. Louie D'Amour podskakuje nerwowo; uspokajam go.

— Nie znaliście mnie, więc wam wybaczam. Należą się wam wyjaśnienia. Normalnie mieszkam w Nowym Jorku, tam jest kupa roboty, ale teraz jestem tu na wakacjach.

Wiem, że dla nich wakacje oznaczają problemy lub przymusowe wygnanie. W tym środowisku nigdy nie mówi się o ucieczce.

— Przyjechałem odwiedzić moich przyjaciół, braci Guccich.

Szerokim ruchem wskazuję na stolik Włochów.

— Ale nie lubię nic nie robić, a nawet w czasie wakacji zawsze znajdzie się jakieś zajęcie. Na razie rozglądam się przed sprowadzeniem tutaj rodziny. Mówiono mi o klubie Haiga (jeszcze jedno grube kłamstwo). Więc przyszedłem sprawdzić. A tu widzę, że zabieracie mi pieniądze!

Louie D'Amour znów podskakuje, ale Nivel, blondyn, przechodzi do ataku:

— Ale my tu jesteśmy od dawna, przygotowaliśmy sobie to miejsce i...

— Tsss, tsss! Bez nerwów, kolego! Rozmawiamy po koleżeńsku. Spokojnie, stai calmo.

Jeśli dalej będzie do mnie mówił tym tonem, dostanie po gębie Paolo lekko odwrócił się w jego stronę i przygląda się mu złowrogo Louie D'Amour kuli się na swoim miejscu.

— Zrozummy się. Nie wypędzam was z mojego klubu, niczego! wam nie zarzucam, nie wiedzieliście, ale teraz trzeba się dzielić! Więc albo się dogadamy i będę dostawał mój udział, albo was zastąpię kim innym!

Chciałbym zresztą wiedzieć, kim! Ale czuję, że nie będzie kłopotów To kanciarze, ale nie kozaki. Louie D'Amour jest łatwiejszy do urobienia. Drugi, Nivel, jest twardszy, ale nie sądzę, by się stawiał Jeżeli to miejsce jest tak dobre, jak myślę, zgodzą się na wszystko, żeby się dogadać.

— Ale na razie nie będziemy się targować. Mówię wam co i jaki przedstawiam mój pogląd na sprawę, to wszystko. Macie cały dzień do namysłu. Odpowiedź dacie mi dopiero wieczorem.

Siedzący naprzeciwko mnie Nivel próbuje główkować.

— Ale czego właściwie chcesz? Ile?

— Ja i moi przyjaciele nie jesteśmy łakomi. Wasz biznes nie jest wielki. Interesuje mnie raczej ze względu na plany na przyszłość. Dzielimy się po równo, na trzy części, my friend.

— Przecież to gangsterstwo!

To D'Amour. Wygląda na to, że jest bardzo wrażliwy, jeśli chodzi o forszę. To dodaje mu odwagi.

— Pomyśl raczej, ile macie do stracenia, jeśli nie dojdziemy do porozumienia. Twój zawód jest cholernie ryzykowny, kolego. A my stanowiąmy doskonałe ubezpieczenie.

Mój głos brzmi teraz twardo, a uśmiech zupełnie stracił swoje ciepło. Louie D'Amour potrząsa głową i nie nalega. Łagodnieje.

— Nie obawiajcie się. Powtarzam, że nie pożałujecie naszej współpracy. Dobrze się zastanówcie, to uczciwa propozycja!

Nie wyglądają na przekonanych i czuję, że Nivel waha się co do dalszego postępowania. Jedyne obecność ludzi, których bierze za moich goryli, powstrzymuje go przed powiedzeniem tego, co myśli.

Nasze pożegnanie nie jest zbyt serdeczne. Trudno mieć im to za złe.

— No, to do wieczora — mówię do nich, klepiąc ich jeszcze raz po ramieniu.

Paolo odprowadza ich do drzwi.

Nie wiem, czy połknęli haczyk. To oszuści, faceci przyzwyczajeni do panowania nad nerwami i ukrywania swoich uczuć. Ale jedno jest pewne: dziś wieczór będę na miejscu i wezmę swój udział, nawet gdybym musiał w tym celu pokroić ich na kawałki...

Wchodząc do boozę-can Haiga przygotowany jestem na wszystko, przewidując zdradziecką napaść z ich strony, mam przy sobie cały arsenał białej broni. Kuchnia La Strady dostarczyła wszystkiego, co potrzeba, by pociąć, zmiażdżyć i posiekać na drobno pierwszego, który kiwnie palcem.

Do wewnętrznej kieszeni marynarki włożyłem wielki nóż do mięsa, który, choć przyzwyczajony do krwawych zadań, przeżywał prawdopodobnie przyjemniejsze chwile.

Paolo, mianowany do ochrony osobistej, nie przebierał w środkach, by zapewnić mi bezpieczeństwo. Do przyniesionej na tę okazję walizeczki powrzucał kolejno dwa tasaki, śrubokręt, pół tuzina ostrych przedmiotów i młotek. Na wszelki wypadek owinał sobie też wokół bioder łańcuch od drzwi La Strady, obciążony potężną kłódką, a w nogawkę od spodni wsunął zaostrzony łom do lodu. Widząc, jak kuleje, podejrzewam, że do butów powkładał sobie po korkociągu, żeby uzupełnić wyposażenie.

Nie sądzę, by zastawili na mnie pułapkę. Jestem nawet pewien, że wybiorą ostrożne postępowanie.

W wielkiej sali panuje ten sam nastrój eleganckiego koktajlu. Kiedy wchodzę, krótkim OK przez zaciśnięte zęby Nivel potwierdza mi, że wygrałem.

Tego wieczoru nie biorę udziału w grze. Usiadłem sobie z boku. Stojący przy mnie ciągle milczący Paolo zaopatruje mnie w napoje i papierosy. Wobec braku bezpośredniego niebezpieczeństwa schował swoje żelastwo do walizeczki, tę ostatnią jednak trzyma przy sobie.

Obserwuję stół. Nie mogę kazać Nivelowi i D'Amourowi objaśnić, na czym polegają ich sztuczki, skoro sam występuję w roli oszusta. Liczę forszę dokładaną do puli i dokonuję miłych rachunków.

Po raz pierwszy zauważam, że moi dwaj nowi współnicy siedzą w naturalny sposób obok siebie. Gdybym ich nie przejrzał, nigdy bym się nie domyślił, że są kumplami.

Jak dotąd przegrywali niewielkie sumy, ale nagle jak zwykle stół ogania szaleństwo i pula robi się okazała. Wygrywa Louie D'Amour.

Nie wiem, jak to zrobili. Przez moment nie spuściłem z nich oka. Jeśli to manipulacja, to osiągnęli wysoki stopień perfekcji.

Po dwóch godzinach w podobny sposób napełnia sobie kieszeni Nivel. Partia kończy się z braku uczestników. Wszyscy są spłukani.

Kiedy wieczór się kończy, Paolo idzie po moją część i przynosi ją. Zachowałem w pamięci niedawne rozgrywki i z góry wiem, że należ mi się dziewięćset dolarów.

Nazajutrz i dwa dni potem ten sam scenariusz. Pozostaję w moim kącie i obserwuję. Paolo, nadal bez słowa, przynosi mi mój udział który z góry sobie obliczyłem. Siadam przy stoliku dopiero wiele dni później, kiedy nareszcie rozumiem, jak przeprowadzają swoje machloje.

Partia trwająca całą noc nigdy nie jest rozgrywana jedną i tą samą talią. Po pewnym czasie, kiedy któryś z graczy uzna, że karty źle się ślizgają albo że są nieco zniszczone w wyniku tasowania i rozdawania żąda wymiany talii na nową.

Dlatego też u Haiga stale leży kilkanaście fabrycznie nowych opakowań w zaklejonym celofanie. Przed rozpoczęciem partii każdy bierze jedną talię i wyciąga z niej jokery, po czym dokładnie ją tasuje. Trwa to długo, toteż, by nie tracić czasu, kiedy trzeba wymienić talię robi się to wcześniej.

Właśnie wtedy Louie D'Amour lub Nivel ukradkiem zamieniają talię, którą mają tasować, na talię przygotowaną w domu. Mają takie, spreparowane talie w każdej kieszeni, i każda obliczona jest na inną ilość graczy.

Talie te ułożone są tak, by zapewnić właścicielowi dobre rozdania. Kiedy w trakcie partii któryś z naszej dwójki żąda wymiany kari załatwia to tak, by wypadła właśnie kolej na spreparowaną talię bierze ją i tasuje tak zręcznie, że karty powracają na swoje miejsce w zaplanowanej kolejności. Następnie podaje ją partnerowi, który przekłada i ponownie sprawia, że porządek kart nie zostaje naruszony.

To wyższa szkoła jazdy. Jeśli o niczym się nie wie, nie ma mowy by cokolwiek zauważyć.

Przedwczoraj zgarnąłem tysiąc sześćset dolarów, wczoraj dwa tysiące, a dziś wieczór zarobię jeszcze więcej.

Co za wspaniały kraj ta Kanada! Otwierają się przede mną szerokie perspektywy, i odłożyłem na później mój wyjazd na słońce. Zbyt wiele mam tu do zrobienia.

Zima nie jest taka nieprzyjemna. Wystarczy odpowiednio się wyposażyć. Mróz zapowiada się srogi. Wałęsam się po świecie w jednych dżinsach i jednej parze wysokich butów, ale kiedy przychodzi pora na postój, lubię opływać w luksusy. Tworzę sobie przyjemne otoczenie, wybieram wszystko, co najlepsze, po czym wyjeżdżając wszystko zostawiam.

Przygoda rozpoczęła się. Najwyższy czas, by się odpowiednio urządzić.

Przede wszystkim funduję sobie kompletną garderobę. Na długie lodowate noce wybieram kilka smokingów oraz liczne eleganckie i lekkie garnitury. Biorę tylko najdroższe koszule zawsze w jasnych odcieniach, co podkreśla moją opalenizną przystojnego podróżnika, i kupuję je na tuziny. Jeśli chodzi o buty, daję swojej fantazji całkowitą swobodę, i w niecały tydzień mam ich już prawdziwą kolekcję, jak zwykle przesadną.

Zakupy w sklepach pasażu to moja mała przyjemność, prosta i bezpretensjonalna. Trwonię forszę jak dzieciak, przy okazji podtrzymując moją reputację, i korzystam z okazji, by pogadać z paniami. Następnie zabieram je do mojego apartamentu w Hyatt Regency.

Szacowna właścicielka sklepu z wyrobami skórzanymi nalegała, żebym pozostał w swoich wysokich butach. Szefowa butiku z elegancką bielizną, którą wielokrotnie spotykałem w pasażu, w końcu poddała się jak inne, i to kiedy już sądziłem, że jest frygidą. Ale wyszło na jaw, że dotąd opierała się memu przebojowemu urokowi tylko po to, by więcej zyskać w moich oczach. Ubrana jedynie w futro i najbardziej podniecające koronki ze swej osobistej kolekcji ta naturalna blondynka zmusiła mnie do odstąpienia od reguły, którą sobie wyznaczyłem, by załatwiać te panie tylko raz, a to w celu zachowania umiaru i oszczędzania się. Dla niej, ze względu na różnorodność jej bielizny, poświęciłem się trzykrotnie.

Będąc niekiedy demokratą wysoko oceniłem urocze intermedium, jakiego dostarczyła mi sprzedawczyni rogalików, figlarna i zuchwała bruneteczka, która wychodząc ode mnie usprawiedliwiła się, że idzie do dentysty. Pretekst o tyle zabawny, że zostawiła mi na ramieniu głęboki ślad zębów.

Te małe sjesty w uroczym towarzystwie nie mają w sobie nic wypoczynkowego, ale jestem w olśniewającej formie. Natomiast Paolo coraz wyraźniej słabnie. On też działa na okrągło. W nocy towarzyszył mi w klubie, a w dzień pracuje w La Stradzie. Szczęściarz, przynajmniej możliwość pospać trochę po południu, w restauracyjnej szatni.

Następny dzień poświęcam na szukanie idealnego mieszkania. Dość już mam bezosobowej atmosfery hotelu, pomimo zapewnianych tam luksusów. Chcę przestrzeni i dokładnie wiem, jakiego miejsca potrzebuję.

Najwygodniej byłoby utworzyć główną kwaterę po prostu na miejscu mojej działalności. Dom Haiga jest wystarczająco duży, by w nim zamieszkać. Poza tym klub to prawdziwa kopalnia i niechętnie pozostawiam go bez opieki.

Ale trzeba, żeby propozycja wyszła od samego Haiga. Pragnąc przyspieszyć jego decyzję rozpoczynam uporczywą cichą pracę, zmierzającą do tego, by nie mógł się już bez mnie obejść.

Staram się do niego zbliżyć. Wieczorem przychodzę do klubu wcześniej, kiedy jest jeszcze sam, i wypijam z nim drinka. Rozmawiamy wymieniamy poglądy i często się z nim zgadzam. Nie jest trudny w obyciu. Potrzebuje sympatii i łatwo otwiera się przed kimś, kto okazuje mu przyjaźń.

Odkrywamy w sobie wspólne pasje, których dotąd u siebie nie podejrzewałem, jak zamiłowanie do sportu. Kupuję rakietę, szorty i białą koszulkę oraz rękawiczki do zawiązywania wokół szyi i popołudniami grywamy we dwójkę w tenisa. Haig okazuje się doskonałym nauczycielem. Ruch dobrze mi robi.

Dzielimy też inną pasję, tym razem całkowicie prawdziwą: kobiety. Nie kochamy ich w ten sam sposób, ale nie mogę przedstawić mi swoich poglądów na płęć piękną, jeśli nie chcę odebrać mu wszystkich jego złudzeń. Haig to stary, romantyczny amant, dla którego samica to nadal słaba płęć. Co zadziwiające, ma powodzenie i zdarza mu się zdobywać bardzo ładne dziewczyny. Zna wszystkie stałe bywalczynie klubu, a te z kolei cenią go. To typowy stary elegant, uczynny, zawsze na miejscu, dowcipny i niezbyt niebezpieczny, którego kobiety lubią wybierać sobie na spowiednika.

Ma sześćdziesiąt lat, ale nadal czyni wszystko, by je uwodzić. Dużo sportu, specjalna dieta bogata w witaminy i afrodyzjaki. Haig bardzo dba o swoją męskość. Jego próżność nie zna granic. Wczesnym wieczorem spędza długie godziny pucując i przyglądając się sobie w lustrze łazienki. Ma całą kolekcję garniturów, uszytych według jednego wzoru: z kamizelką, jednolitego koloru, do tego odpowiednia koszula, krawat i chusteczka, w butonierce kwiat. Wszystkie pierścienie, które nosi, dobrane są tak, by pasowały do koloru ubrania.

Sympatia, jaką wzbudza, każe zapomnieć o jego niskim wzroście, jego wieku i przesadnym wystrojeniu.

Lubię tego staruszka i motam mu w głowie bez złych zamiarów. Cenię jego sposób patrzenia na życie. Z pochodzenia jest Ormianinem, był żonaty z Ormianką, uważaną za ozdobę miejscowej kolonii, ale wszystko porzucił. Ten rozmiłowany w przyjemnościach i zabawie człowiek pozostawał grzeczny do czterdziestego roku życia. Któregoś dnia, znudzony rodziną i bliźnimi, rzucił

pracę, zostawił całe pieniądze żonie i dwojgu dzieciom, które go nie rozumiały, i od tej pory żyje wesoło.

To miły facet, oszczędny, ale o dobrym sercu, taki, co to wszystko odda komuś, kto umie go słuchać.

Jest już gotów. W ciągu paru dni odmłodniał pod moim wpływem. Lubi pokazywać się w moim towarzystwie i zdał sobie sprawę z mej skuteczności oraz z tego, jak wiele mam forsy, bo kiedy razem się bawimy, wydaję bez umiaru.

Kiedy doszliśmy do tego etapu znajomości, sprytnie dałem mu do zrozumienia, że zamierzam definitywnie zamieszkać w Toronto, że szukam mieszkania i że jest to trudne ze względu na moje szczególne wymagania.

Lubię domy, które mają swoją osobowość. Nie cierpię miejsc bez duszy. A poza tym trzeba, żeby to było niedaleko od klubu.

— No po prostu tak jak u ciebie!

— ...i trudno coś takiego znaleźć. Ty dobrze znasz miasto, pomóż coś znaleźć. Jak będzie trzeba, mogę zapłacić bardzo dużo.

W zamyśleniu obiecał, że spróbuje. Widzę, że w jego duszy kiełkuje odpowiednia myśl. Żeby pozwolić jej dojrzeć, zabieram Haiga na poszukiwanie mieszkania, co porządnie go męczy. Ani największe biuro handlu nieruchomościami w Toronto, agencja Royal LePage, ani ogłoszenia w Toronto Star nie pozwalają mi znaleźć wymarzonego mieszkania. Jedno jest za ciemne, drugie zbyt jasne, sąsiad ma paskudną gębę, a zresztą za daleko od klubu.

Po czterech dniach rajdów po mieście Haig, który nie ma już dwudziestu lat, czuje się zmęczony i coraz bardziej pragnie coś dla mnie znaleźć. Robimy postępy.

Skończyliśmy właśnie grać w tenisa i zamierzam iść do hotelu, by się przebrać, gdy zatrzymuje mnie.

— Cizia, mam pomysł co do twojego mieszkania.

Najwyższy czas.

— Jesteś podobny do mnie, lubisz ruch i duże towarzystwo.

— Owszem.

— Więc pomyślałem sobie: może byś tak zamieszkał u mnie. Drugie piętro jest wolne, mogę ci część wynająć. Co ty na to?

Mówię, że jestem zachwycony, że nie pomyślałem o tym i wyrażam nadzieję, że nie będę mu przeszkadzał.

— To będzie dla mnie przyjemność, Charlie. Wynajmę ci za tysiąc dolarów miesięcznie, specjalna cena dla ciebie.

Znikają wszelkie wyrzuty sumienia, jakie mogłem żywić wobec tego starego lisa. Przecież to co najmniej dwa razy więcej niż cena rynkowa! Ale trudno mieć mu to za złe. Przez cały dzień obsypywałem go dolarami, zgodnie ze starą zasadą, że zawsze szanuje się człowieka który ma forszę. Cena jest wysoka, ale mam to, czego chciałem, i odtąd jestem pewien, że Haig niczego mi nie odmówi.

Następnego dnia przeprowadzam się i zdaję sobie sprawę, że naprawdę trochę przesadziłem. Nigdy dotąd nie liczyłem moich garniturów, wrzucanych do szaf w miarę jak były kupowane. Mobilizuję kelnerów z La Strady. Piechotą, z naręczami wieszaków, przemierzają pięćset metrów, jakie dzielą Regency od mojego klubu. Kiedy przechodzą ulicą po raz drugi, nieliczni przechodnie z zaciekawieniem przyglądają się tej kolumnie wyfraczonych kelnerów, którzy obrabowali pralnię. Kiedy wnoszą sześć kartonów z moimi butami, przedpokój jest już nieźle zastawiony.

Mam teraz wielką sypialnię, ogromny salon i luksusową łazienkę. Umebłowanie jest dobre, ale niezbyt odpowiada moim gustom, pierwszym krokiem jest więc zabranie się do urządzenia wnętrza.

Wszystkie starocie, krzesła Ludwik Cośtam i komody Karol Jakiś, upycham w pakamerze na końcu korytarza, gdzie będą mogły spokojnie pokrywać się kurzem nie przeszkadzając mi.

Śpieszno mi czuć się już jak u siebie. Kelnerom każę zostać, żeby wszystko doprowadzili do porządku, a zaspanego Paola posyłam do sklepu w centrum, gdzie ma kupić nowoczesne meble i zamówić wykładzinę.

Płacę gotówką i pod wieczór drugie piętro domu Haiga zmienia wygląd. Przedpokój sprawia przyjemniejsze wrażenie dzięki swemu różowemu perskiemu dywanowi. W salonie duży niski stół z przyciemnianego szkła stoi pomiędzy szeroką kanapą obitą brązową skórą a podobnymi skórzanymi fotelami. W barku, o nowoczesnym kształcie, pełno alkoholi, a w lodówce mrozi się szampan. Paolo, chłopski syn o wyrobionym guście, postawił na ilość, co dla niego jest synonimem jakości. Wybrał po jednej lampie z

każdego rodzaju i poustawiał je wszędzie. Gigantyczny telewizor stoi na-przeciwko barku.

Najbardziej udana jest sypialnia. Na trzech ścianach kazałem pozawieszać lustra, a pośrodku ustawiono łóżko wodne, szerokie na dwa i pół metra. Na każdej ścianie umocowane są też baterie małych różnokolorowych reflektorów, których siłę światła można regulować. Na podłodze gruba biała wykładzina, która kosztowała piekielnie drogo. Kosztorys przewidywał położenie jej w dwa dni. Za to, co zapłaciłem, żeby mieć ją natychmiast, mógłbym pokryć wykładziną cały dom, wliczając w to ściany, sufity i okna. Przy łóżku dwie niedźwiedzie skóry dodają całości smaku i elegancji.

Haig zapewnił mnie, że jest zachwycony, ale widziałem przecież jego zaskoczenie i lekki niepokój.

Dzisiejszego wieczoru jelenie okazały się wyrozumiałe i szybko się zmyły.

Zwykle dzielimy zyski u Stavrosa, na Road Avenue, albo w innym cofe shop otwartym przez całą noc, Fran's, na Saint-Clair Avenue. Ale dziś jestem zadowolony i zamiast parapetowy wyjątkowo zapraszam Nivelę i Louie D'Amoura na rozliczenia do siebie, o kilka schodków od naszego miejsca pracy. Są zadziwieni szybkością mojej przeprowadzki. Nivelę dąsa się, ale D'Amour nie kryje podziwu.

— O kurwa mać, ale to piękne!

Otrzymawszy swój udział Nivelę przez zaciśnięte zęby żegna się i znika. Louie D'Amour ociąga się i najwyraźniej nie ma ochoty wychodzić. Po raz pierwszy przejawia chęć zbliżenia się do mnie i mogę tylko z tego być zadowolony. Lubi pieniądze i urządzenie wnętrza robi na nim wrażenie. Pociąga go skuteczność moich działań i zaczyna patrzeć na mnie innym okiem.

Przy drugiej butelce szampana ośmiela się trochę i zaczyna mi stawiać pytania.

— Co robisz z tymi Guccimi? Nie należysz do ich rodziny. Dlaczego właściwie jesteś w La Stradzie?

— Stary, za dużo by mówić. Tu nie chodzi o zwykłe sprawy rodzinne. Wiesz, u Włochów są więzy ważniejsze niż więzy krwi...

Wierny odgrywanej przez siebie postaci pozostawiam trochę niedomówień w moich odpowiedziach. Staram się, żeby stworzy atmosferę

tajemnicy, dużo wyrażam gestami i daję mu do zrozumienia nigdy nie wymawiając tego słowa, że mafia być może ma zamiar rozpocząć działalność w Toronto.

Jest lekko podpity i odbiera moje przekazy doskonale. Szczęśliwym trafem miał jakiś zatarg z Luigim, jedynym bandytą w rodzinie Guccich, bokserem, którego uważa za wysokiego lotu gangstera.

— Jest twardy. Cholernie twardy. Załatwił mnie i nic nie mogłem zrobić. Ta cała rodzina trzyma się razem... A kim jest Paolo?

— Przyjacielu, są rzeczy, o których nie masz prawa wiedzieć. Zadowolaj się tym, co mogę ci mówić i co dzięki mnie zarabiasz. W ten sposób pozostaniemy kumplami.

Nad ranem otumaniony szampanem D'Amour wyraża chęć rozpalenia w kominku. Haig zostawił mi kilka polan, ale nie udaje mi się ich podpalić. Zniecierpliwiony idę do pakamery po jedno ze starych krzesel. Przynoszę je do salonu i dwoma uderzeniami obcasa zamieniam je w wiązkę dobrze wysuszonego drewna, która zajmuje się o pierwszej zapalki. D'Amour przygląda mi się, zaskoczony, pod czym ogarnia go niepowstrzymany atak śmiechu. Kiedy wychodzi, płyną mu jeszcze po policzkach łzy i wstrząsa nim od czasu do czasu niepohamowany chichot.

Jeszcze nie jestem uważany za dyrektora klubu, ale po upływie dwóch tygodni nocni goście nie traktują mnie już jak zwykłego klienta. Jestem tu ciągle. Na początku wieczoru witam stałych bywalców i prowadzę z nimi rozmowy.

Większość klienteli to lubiący się bawić artyści, osobistości miejscowego showbusinessu. Można tu spotkać drobnych producentów, aktorów, muzyków. Czasami rozpoznaję twarze widywane na małym ekranie, dziennikarzy lub początkujących piosenkarzy.

Wmieszani w to sympatyczne i nieco ekscentryczne towarzystwo przychodzą także drobni naciągacze, dealerzy, bukmacherzy, okazjni żigolacy i postacie nieokreślone, półbiznesmeni, półbandyci. To zwykła mieszanka nocnego życia. Bandyci nawiązują stosunki i szukają ofiar do swoich procederów. Artyści przychodzą się zeszmacić.

Te dwa światki mają jedną cechę wspólną, lubi się w nich ładne kobiety, toteż są one u Haiga licznie reprezentowane. Najbardziej pociągające towary

w mieście umawiają się tutaj. Modelki, aktoreczki, call-girls, wszystkie rozkoszne, gotowe do zabawy i łase na pieniądze.

Odkrywam tu nową zaletę swojej pozycji: mam u tych pań powodzenie. Niezależnie od mojej aparycji, a jest to liczący się w tym środowisku atut, zaczynam być znany z powodu bogactwa i sukcesów, dwóch rzeczy, które bardzo pociągają kobiety.

Moje tajemnicze pojawienie się, moja wszechobecność w klubie, co do którego niektórzy sądzą, że jestem jego prawdziwym właścicielem, zwiększają tylko zainteresowanie, jakie wzbudzam.

Oczywiście, bardzo szybko zainauguowałem swoją garsonierę. Wybranką owej nocy była młoda piosenkarka rewiowa, której przyszła kariera wygląda obiecująco, jeśli na scenie jest równie sprawna, jak w łóżku. Przyznała mi się, że mój wygląd oczarował ją już pierwszego dnia, kiedy pojawiłem się w klubie. Byłem wówczas zajęty swoimi sprawami i zupełnie nie zauważyłem wysiłków, jakie robiła, żeby przyciągnąć moją uwagę. Podobnie zresztą, jak nie zauważyłem innych.

Wśród babek poczta pantoflowa działa szybko. Moja reputacja wkrótce się ustala i nie mam powodów do narzekań. Kieruje się do mnie wiele uśmiechów, jestem zasypywany mnóstwem drobnych względów, a na drugim piętrze rozpieszczają mnie jak mogą.

Zdarza się nawet, że natykam się w La Stradzie na świeże towary, spotkane poprzedniego wieczoru w klubie. Przychodzą dla mnie. Nie słabnę i wynagradzam ich upór, wpisując je na swoją listę.

Restauracja przeszła teraz na dalszy plan w sferze moich zainteresowań, ale jadam tam obiady albo wpadam przynajmniej raz w ciągu dnia. Paolo zaczyna się przyzwyczajać do życia bez snu, i bardzo dobrze wywiązuje się ze swoich obowiązków kierownika. Poleciałem mu dzwonić do mnie przy najmniejszych trudnościach, i zdarza się to często, gdyż jak na razie zabroniłem mu podejmowania jakichkolwiek własnych decyzji.

Ale najlepiej idzie biznes.

Przedtem partyjki rozgrywane były dyskretnie, prawie w ukryciu. Ale rozpuściłem wśród klientów klubu wiadomość o stole pokerowym w drugiej sali. Amatorów do oskubania jest coraz więcej. O ile początkowo graliśmy trzy razy w tygodniu, teraz zasiadamy do gry codziennie i napełniamy sobie kieszenie w sposób bezwstydnym.

Ale nic nie jest doskonałe. Choć obaj moi współnicy nad ranem skrupulatnie dzielą się ze mną swoimi zyskami, czynią to z zasmucającym mnie brakiem entuzjazmu. Odkąd zrozumiałem, na czym polegają ich sztuczki, znów gram dla przyjemności. Trochę im pomagam dzięki precyzyjnemu szyfrowi, składającemu się z umówionych słów czy niewinnie brzmiących zdanków, ale moja pomoc techniczna na tym się kończy.

D'Amour próbował nauczyć mnie kilku numerów. Przez dwa dni trenowałem w La Stradzie, cierpliwie przekładając i tasując karty. Lecz moje ręce nie są rękami artysty, i szybko zdałem sobie sprawę, zgodnie zresztą z przewidywaniami, że nic z tego nie będzie. Ćwicząc nawet po piętnaście godzin dziennie potrzebowalibyśmy długich miesięcy, żeby osiągnąć ich poziom albo przy najmniej ich skuteczność działania.

Nie jesteśmy jednakowo inteligentni. Oni to fizyczni. Potrzebna jest im głowa. Tego właśnie pragnę: kierować ekipą kanciarzy. Przebieranie palcami nie przysporzy mi kapitału. Nie tędy droga do całkowitego zapanowania nad moimi oszustami.

Nivel powiedział mi, nieco zgorzkniałym tonem, że choć osiągamy w tej chwili wyjątkowe zyski — to się czasami zdarza jest to przypadkowa dobra passa, która rychło się skończy. Z jednej strony Nivel mnie wkurwia i zamierzam się go pozbyć. Z drugiej chodzi tu o ich słabą stronę i potrzebna jest moja interwencja.

Jeśli grozi nam brak kandydatów na frajerów, to trzeba zająć się reklamą. Przyciągnięcie jeleni należy do mnie. Mam już kandydata na pierwsze miejsce na liście.

Ron Edwards to typowy handlowiec, jowialny i fałszywy. Ma sklep w pasażu i odkąd zacząłem ubierać się u niego, musiał ze mnie wyciągnąć co najmniej cztery tysiące dolarów; najwyższy czas mu je odebrać.

Ron nie traci czasu. Wystarczy coś u niego kupić, by zostać jego przyjacielem. Za każdym razem, kiedy przechodzę, wita mnie głośno „*Hello, Cizia*” i „*My dear friend Cizia*”, wylewność godna długoletniego przyjaciela z dzieciństwa. Po powitaniach następuje zwykle olśniewająca propozycja, zawsze za specjalną cenę, okazja zarezerwowana wyłącznie dla mnie.

Może tu chodzić o różowy komplet z chińskiego jedwabiu albo o parę mokasynów z niezwykle rzadkiej skóry z czegośtam słońca.

— Cizia! My dear friend Cizia! Jakże się cieszę! Dawno się nie widzieliśmy!

To prawda. Już od wczoraj nic u niego nie kupiłem.

— Masz szczęście. Dostałem właśnie niesamowite rzeczy!

Jest gruby, spocony, koniuszek jego podbródka deformuje rodzaj tłustej brodawki. Jego sprzedawczyni, Judith, ma przyklejony na stałe do ust ten sam handlowy uśmiech, co jej szef. Chętnie bym z nią odbył małą sjęstę, żeby sprawdzić, czy potrafi przybrać inny wyraz twarzy, ale sama myśl o tym, że przede mną był już ten grubas, odbiera mi ochotę. Ron koniecznie chce, by mi pokazała różnokolorowe koszule z żabotem, ale kategorycznie ucinam sprawę.

— Daj spokój. Daj mi dwie białe koszule. Dwie! Nie dwa tuziny. Przepraszam, ale się spieszę.

Gruby plik zielonych banknotów, który wyciągam z kieszeni, powoduje, że wytrzeszcza oczy. Wzdycha z przejęciem.

— Na miłość boską, Cizia, masz restaurację czy jakąś cholerną kopalnię złota?

Przesuwam przed jego nosem wachlarz banknotów, żeby dobrze przyjrzał się ich nominałom.

— Moja kopalnia, kochasiu, to poker. Odkryłem stolik w jednym booze-can. Ładuję, ile się da.

Kiedy nasycił już oczy i napełnił sobie łeb cyframi, nie wytrzymuje.

— Myślisz, że ja też mógłbym... To znaczy, czy mógłbym przyjść zagrać któregoś wieczoru, żeby zgarnąć trochę forsy? Mógłbyś mnie wprowadzić?

— Nie wiem. Wiesz, to prywatny klub.

— Cizia! My dear friend!

Powstrzymuję go, zanim zacznie przypominać mi nasze wspólne dzieciństwo, i udaję, że się namyślam. W końcu, po chwili niepewności ustępuję.

— Dobra. Wprowadzę cię, ale to tylko dlatego, że jesteśmy przyjaciółmi.

Tego samego wieczoru Ron siedzi przy naszym stoliku. Uprzedziłem go, że gramy o duże stawki, i poradziłem, żeby zabrał ze sobą sporą gotówkę. Jest szczęśliwy jak dziecko. Ale nie tak bardzo, jak ja. Zawsze cieszę się obrabiając frajera, ale tym razem radość jest szczególna.

Mruga do mnie porozumiewawczo. Przez kilka pierwszych rozdań bez większego znaczenia, umacniam jego zaufanie odpowiadam uśmiechami i kiwnięciami głowy. Kiedy spreparowana talia zostaje rozdana, obserwuję go, jak zapoznaje się z otrzymanymi kartami. Dokładnie wiem, co dostał. Na widok trójki nie potrafi opanować radosnego drgnięcia. Ja też.

Nieświadomie wyprostował się na krześle. Delektuję się jego mimiką, zdradzającą źle powstrzymaną radość, jego mimowolnymi ruchami, wszystkimi tikami rozentuzjasmowanego człowieka, który nie zdaje sobie sprawy, że jest obserwowany.

Powodzenia, grubasie, przyjemnego wieczoru!

Niesamowicie podniecony natychmiast podwyższa stawkę i w krótkim czasie wyklada na stół całą swoją forszę. Kiedy dostaje siódmą kartę, wyczytuję z jego twarzy upojenie szczęściem. W duchu liczy forszę w puli, równowartość wielu tygodni ciężkiej pracy. Coraz trudniej mu się opanować. Ledwo kończy się licytacja, z triumfalną.

— Full z dam i waletów!

Nie czekając pochyla się do przodu z zaślinionym uśmieszkiem, by zgarnąć pulę, kiedy D'Amour powstrzymuje go jednym słowem.

— Chwileczkę!

Louie kolejno odkrywa swoje karty przed Ronem, który jeszcze nie całkowicie rozumie. Full z króli i asów!

Grubas nagle oklapł. Powoli, niechętnie, zabiera ręce, które już dotykały forsy. Z miną zbitego psa patrzy, jak wymarzone pieniądze piętrzą się teraz przed D'Amourem, a ja z trudnością powstrzymuję uśmiech.

— Cizia, muszę się odegrać. Pożycz mi dwa tysiące dolarów.

— Jesteś pewien, że wiesz, co robisz? To poważna suma.

— Oddam ci jutro, jesteśmy przecież sąsiadami i przyjaciółmi, prawda, Cizia? Zaufaj mi, dobrze?

— No dobra, dałeś słowo.

I znów zaczyna się to samo. Jest trochę spięty, ale nie potrafi ukryć swojej radości, kiedy dostaje drugi dobry układ. Ani ja mojej, kiedy po chwili siedzi splukany.

Spływają z niego grube krople potu, i ponownie prosi o pożyczkę, tym razem trzech tysięcy dolarów.

— Cizia, jutro najpóźniej. Masz moje słowo. Szczęście się odwróci. Miałem dobre karty, wiesz. Zapłacę ci z pierwszej wygranej. Nie mogę teraz przestać. Jak chcesz, wypiszę ci czek.

— Nie, mam do ciebie zaufanie. Ale to ostatni raz.

Może sobie próbować. Nawet Nivel, który przecież panuje nad sobą doskonale, nie potrafi ukryć lekkiego uśmiešku rozdając ułożoną talię. Ron stracił całą swoją jowialność.

Trudno jest się zatrzymać, kiedy się przegrywa. Dlatego właśnie niektórzy przegrywają wszystko. Ron wpadł już po uszy. Poci się i nerwowo ociera twarz chusteczką. Wszystkie jego nadzieje obrócone zostały wniwecz. Za każdym razem, kiedy ma dobrą kartę, stawia Wielkie sumy pewien, że nadeszła wreszcie upragniona chwila.

Zgodnie z ustaleniami teraz wygrać ma Nivel, więc stawiam całą moją forszę i kiedy przegrywam, ja i mój frajer jesteśmy całkowicie spłukani.

Usiłuję przybrać zasmuconą minę. Ron jest blady, niemal się dusi. —
Cizia.

— Nie, stary. Winien mi już jesteś pięć tysięcy dolarów, to wystarczy. Zresztą nie mam już gotówki. Przez ciebie nie mogę nawet się odegrać.

I do tego wszystkiego pozwalam sobie jeszcze na luksus opieprzenia go. Sprzedawaj teraz te swoje koszule, gruba Świnio!

Dwie godziny później dzielimy się u Fran's.

Fran's, na Saint-Claire Avenue pomiędzy Younge Street i Avenui Road, to jedna z niewielu restauracji otwartych przez całą dobę. To miejsce spotkań nocnych marków i wszystkich tych, którzy nie mają dokąd pójść. Od czasu do czasu spotkać tam można ubranych w smokingi hulaków, którzy przyszli zjeść ostatniego hamburgera bez smaku albo wypić kawę po dłuższej partyjce.

Za częścią barową, oświetloną a giorno sinymi neonami i umeblowaną zwykłymi stolikami z tworzywa, znajduje się zaciszna restauracja, bardziej elegancka, o tej porze zwykle zamknięta.

Przekonałem kelnerkę Annie, straszliwie umalowaną starą Kanadyjkę, zawsze ubraną w sfatygowaną bluzkę bordo i wyblakły czepek w tym samym kolorze, by wpuszczała mnie tam, kiedy zechcę. Często o świcie zasiadamy przy stoliku w głębi, z dala od niedyskretnych spojrzeń.

Stara Annie miała wprawdzie na początku pewne wątpliwości na widok plików banknotów, ale moje sute napiwki i uwodzicielski uśmiech

przewyciężyły jej nieufność. Odtąd, ku mojemu przerażeniu patrzy na mnie z wyraźnym marzycielskim zainteresowaniem, a jej przeciągłe spojrzenia przyprawiają mnie o zgrozę.

— Może emocje spowodują, że schudnie?

Jestem zadowolony z załatwienia swojego pierwszego jelenia i żartuję radośnie. Nivel stara się mnie zgasić.

— Przegrał tylko tysiąc pięćset dolców. Nie ma powodu, żeby skakać pod sufit.

— Tysiąc pięćset? A pięć tysięcy, które mu pożyczyłem?

Krzywi się wzgardliwie.

Denerwuj mnie tak dalej, bałwanie, to załatwię cię na amen!

— Ej, testa di cazzo! Kiedy pożyczam komuś pieniądze, to dostaję je z powrotem, zrozumiano?

Ci kretyni myślą, że skoro w Kanadzie długi karciane są nielegalne będą trudności z odzyskaniem forsy. Byłby to pierwszy raz, kiedy nie oddano by mi czegoś, co mi się należy.

Wczesnym popołudniem jestem u Rona.

— Cizia! Jak się masz? Co za noc, nie? Przychodzisz po zakupy?

— Daj spokój, Ron, dobrze wiesz, po co tu jestem. Masz moje pieniądze?

— A, tak, nasze małe długi. Nie ma sprawy, między ludźmi interesu zawsze się dogadamy. Zapłacę ci ubraniami.

I wielkopańskim gestem wskazuje mi swoje stoiska.

— Wybierz sam...

Ma mnie za idiotę czy jak?

— Kurwa, Ron, we łbie ci się poplątało? Masz mnie za handlarza starzyzną? Kiedy kupuję garnitur, to nie płacę ci makaronem! Bądź poważny! W ogóle nie podoba mi się ta cała sytuacja! To nie w moim stylu upominać się o pieniądze. Nie utrudniaj mi sprawy. Ja też jestem spłukany, sam widziałeś, i nie mam gotówki. Musisz mi zapłacić.

— OK. Nie denerwuj się, wymyślimy coś. Zawsze znajdzie się jakiś sposób.

— Co znaczy „dogadamy się”? Dosyć tego, Ron. Kiedy prosiłeś mnie o pożyczkę, dałem ci ją, i powiedziałeś, że dzisiaj zapłacisz, tak czy nie?

— Tak, ale...

— Więc płąć, do jasnej cholery! Przez ciebie jestem bez grosza. Nie nalegałbym, gdybym sam nie był splukany. Ale muszę płacić moim pracownikom, i jeśli nie chcesz, żeby nasze dobrosąsiedzkie stosunki się popsuły, musisz mi oddać pieniądze, i to zaraz!

Już nie udaję. Wyczuł w moim głosie groźbę. Jęczy i usiłuje jeszcze jakoś się wykręcić, ale godzinę później jesteśmy razem w banku. Kiedy mam już pieniądze w ręku, czas zadbać o stosunki.

— Przepraszam, że byłem z tobą twardy, ale musisz mnie zrozumieć. Mam biznes i muszę o niego dbać. Mam ludzi, którzy są ode mnie zależni, rozumiesz?

Rozumie, ale mimo wszystko trudno mu to strawić. Żeby podnieść go na duchu, wracam z nim do sklepu i kupuję krawat, tylko jeden, i możliwie najtańszy.

Natychmiastowy zwrot pięciu tysięcy dolarów zrobił wrażenie na moich wspólnikach.

Nivel boczy się jak zwykle, ale D'Amour coraz bardziej się do mnie garnie. Ma częściej odruchy sympatii, zostaje ze mną po rozdziale forsy i wspólnie spędzamy trochę czasu, żeby się zrelaksować.

Dziś po południu budzi mnie niewiarygodny hałas na schodach Mała brunetka, zdobycz poprzedniej nocy. Jest wykończona i nawet nie podnosi głowy. Idę zobaczyć, co się dzieje.

Na schodach stoi obładowany pakunkami D'Amour i pozdrawia mnie szerokim uśmiechem. Za nim jego dziewczyna wita się skinieniem głowy. U jej stóp cienko poszczekują obrzydliwe dwa małe pieski.

Na dole Haig mocuje się z dwoma kuframi, zbyt ciężkimi na jego siły. D'Amour śmieje się widząc moje zaskoczenie.

— Wynająłem drugą połowę piętrowca. Teraz już się nie rozstaniemy, partner!

I w ten sposób D'Amour już się ze mną nie rozstał.

Poznałem już jego dziewczynę Dianę, ale nigdy nie miałem okazji obserwować jej dłużej. We dwoje tworzą dziwaczną parę.

Diana jest byłą burdelmama. Szczupła, o całkiem znośnym ciele, ma krótkie włosy koloru blond z odcieniem marchewkowym. Jej skóra, ukryta pod grubą warstwą makijażu, jest nieprzyjemnie szorstka i nierówna. Dziewczyna wygląda na kurwę prosto z ulicy, i zawsze zastanawiałem się, co

taki D'Amour z nią robi. Jej wiek nic jest możliwy do określenia. Louie twierdzi, że ma dwadzieścia siedem, ja bym jej raczej dał o dziesięć więcej. Można się domyślić, że jest twarda, złośliwa dla przyjemności, i że nie cofnie się przed niczym, żeby osiągnąć cel Uczucie, jakim darzy Louie D'Amoura, wygląda mi na matczyne raczej niż jakiegokolwiek inne. Matkuje mu i udziela rad, których on skwapliwie słucha. Później dowiedziałem się, że razem dokonywali drobnych oszustw ubezpieczeniowych.

Jedynym mankamentem nowego sąsiedztwa są ich psy, ich dzieci, jak nazywają swoją parę english poodels, rodzaj komicznego skrzyżowania pudła i pekińczyka. Wyglądają jak para włochatych pantofli, które poszczekują, jeśli tylko się do nich zbliżyć Louie i Diana traktują je po królewsku i dbają o nie, jak o własne dzieci.

Raz w tygodniu kierowca w liberii przyjeżdża po nie limuzyną, żeby zawieźć je do luksusowego fryzjera dla psów. Tam są czesane, fryzowane, pucowane oraz przysługuje im posiłek w specjalnej „*restauracji dla psów*”, przy czym menu stanowi obiekt dojrzałych przemyśleń poprzedniego wieczoru.

Kiedy suczka, czyli piesek w różowej obroży, ma cieczkę, zakładającej specjalne majteczki, aby przedwczesna ciąża nie zniekształciła jej ślicznego małego ciała. Czasami zastanawiam się, czy samiec ma prawo pójść do burdelu!

Nie cierpię ich i nie przepuszczę żadnej okazji, by dać im porządnego kopniaka. Dźwięk dzwoneczków, przyczepionych do ich odpowiednio różowej i niebieskiej obroży, doprowadza mnie do szału.

Louie D'Amour włożył w dekorację wewnątrz mniej wysiłku niż ja. Zadowolili się wysprzątaniem i wstawieniem kilku własnych mebli, w tym bardzo ładnej toaletki z wielkim lustrem, którą nazywa swoim teacherem. Codziennie po południu, ubrany w bokserski szlafrok, któremu brakuje tylko jego inicjałów na plecach, ćwiczy przed lustrem przez dwie godziny manipulacje kartami. Wielokrotnie obserwowałem go i zawsze mnie zadziwia. Nawet wiedząc, na czym polegają jego sztuczki, nie potrafię dostrzec ruchów jego palców. Jest bardzo dumny ze swojej techniki i nigdy nie zapomni, żeby mi wstawić długą tyradę na temat swoich rąk.

— Są na wagę złota! Złota!

Ostatnio trochę zaniedbałem swoją restaurację. Trzeba powiedzieć, że maszyna pracuje teraz równo i nie wymaga już mojej stałej obecności. Wpadam tam na obiad i za każdym razem z przyjemnością stwierdzam, że sala jest pełna.

Zaglądam do Mammy, żeby się przywitać, i przy okazji daję jej mały upominek, buteleczkę francuskich perfum, który sprawia, że się rumieni i wydaje z siebie półgłosem okrzyki po włosku, biorąc Madonnę na świadka jej szczęśliwego losu.

Dla Alfreda, który siedzi w swoim kącie przed stosem marchwi do oskrobania, przyniosłem książkę kucharską. Wybrałem podręcznik dla początkujących, żeby nie zamącić w głowie memu pomocnikowi kucharskiemu zbyt skomplikowanymi pojęciami. Czas, żeby zabrał się za studiowanie, jeśli chce zrobić karierę w tej branży. Wygląda na szczęśliwego, że o nim pamiętałem.

Rocco jest u szczytu formy, wesoły i odprężony. Jemy we dwójkę, co pozwala mi raz jeszcze przekonać się, że Mamma jest odpowiednią osobą na swoim stanowisku. Jej ravioli to prawdziwe delicje.

Podczas gdy delektujemy się jej przysmakami, przekazuję Rocco instrukcje dotyczące funkcjonowania jego trattorii. Można teraz zamykać La Stradę raz w tygodniu, żeby pracownicy mogli nieco wypocząć. Zgadza się, że będziemy zamykać w niedziele i w soboty wieczór. Rocco obiecuje, że się tym zajmie.

— Gdybyś miał jakieś problemy, jestem w klubie. Wystarczy zadzwonić.

Dzisiejszego popołudnia, podobnie jak w ciągu ostatnich kilku dni żadnej miłosnej sjesty. D'Amour zabiera mnie swoim samochodem na zwiedzanie miasta i pokazuje mi ciekawe miejsca. Nie przestałem jeszcze być nieco nieufny, ale zaczynam się do niego przyzwyczajać. Bawi mnie jego przesadność w słowach. Nie jest skąpy, ale też nie przepuszcza pieniędzy. Lubi luksus, zwłaszcza blichtr, ale nie umie sobie dogodzić. Nie rozumie mojej rozrzutności. Co charakterystyczne i typowo amerykańskie, za każdym razem, kiedy kupuje jakiś przedmiot, nie może się powstrzymać, by nie podać jego ceny.

Odkąd chodzimy razem się zabawić, próbuję nauczyć go abecadła życia w wielkim stylu. Kolacja za sto dolarów, królewskie napiwki, przyjemność

wzięcia rachunku i hojnego zapłacenia bez przeliczania. Nie wystarczy być bogatym, trzeba jeszcze umieć wydawać. To tak przyjemne przyjść do lokalu, gdzie cały personel wita cię szerokimi uśmiechami i dba o najdrobniejsze szczegóły dla twojej wygody D'Amour robi pewne postępy, ale choć zdarza mu się w mojej obecności zapłacić rachunek bez drobiazgowego sprawdzania go w duszy pozostaje kanciarzem. Dla niego dolar zawsze pozostanie dolarem.

Widząc, że zawsze jestem grzeczny i miły dla Haiga, robi to samo. chociaż nie lubi go zbyt, bo myśli, że stanowi to element drobiazgowo przeze mnie zaplanowanej gry. Ale moja uprzejmość jest bez podtekstów. Wprawdzie Haig bywa trochę bezceremonialny i zbyt często pojawia się tam, gdzie go nie proszą, niespokojny o swój dom, ale ja po prostu lubię tego małego faceta.

Jest złota jesień, ale w Toronto zimno i często używam kominka. Haig kazał wnieść na górę zapas drewna. Jest ono jednak niedostatecznie wysuszone i zapala się z trudem. W tej sytuacji systematycznie palę elementy umeblowania. Właściwie robię to bardziej dla kawału niż z konieczności. Niezmiennie to bawi Louie D'Amoura. Wandalizm jest obcy amerykańskiemu stylowi życia. Za każdym razem Louie skręca się ze śmiechu, a po policzkach ściekają mu łzy.

Nie żeby nie lubił stylowych mebli; przeciwnie, szanuje je. Dla faceta takiego jak ja, pozbawionego całkowicie zdolności manualnych, są one cennym sojusznikiem w walce o rozpalenie ognia. Żadne drewno nie pali się lepiej niż takie, które schło przez kilkaset lat. Z dzieciństwa pozostało we mnie coś z wandała i pod tym względem nie rozwinąłem się zupełnie. Zawsze lubiłem rozbawiać moich kolegów i nieopanowane ataki śmiechu Louie, kiedy przyłapie mnie na skakaniu obunóż na stylowy stolik, skłaniają mnie do pewnej przesady.

Jak dotąd Haig tylko zastanawiał się nad zniknięciem niektórych mebli i nie był pewien, czy nie myli go pamięć. Trudno, by odgadł całą potworność prawdy. Ale spalenie obrazu — bardzo ładnie się palił, takim wielkim niebieskim płomieniem — to już była być może przesada. Obraz to duża rzecz, zajmuje sporo miejsca i pozostawia po sobie pustą przestrzeń, której Haig nie mógł nie zauważyć.

Zafrasowany przyszedł porozmawiać o tym z nami, i skorzystałem z tego, by rozwiązać problem zapewnienia sobie większej prywatności. Wieczorem na dole panuje zabawowy nastrój i ludzie łążą wszędzie. Zdarzało mi się znajdować jakieś pary na pierwszym piętrze.

— Za dużo jest tego łążenia, Haig. Nie znasz wszystkich, niektórzy mogą być nieuczciwi.

— Chyba nie myślisz, że mogą wśród nich być złodzieje?

— A myślisz, że kto to zrobił?

— Ale przecież nie można tak łatwo wynieść tak dużego obrazu!!!

— Ludzie są zdolni do wszystkiego — mówi Louie z kamienną twarzą.

— Kiedy już wpadną w jakiś nałóg, nic ich nie powstrzyma. Radzę ci być ostrożnym.

W wyniku tej rozmowy Haig kazał zainstalować na schodach połączony łańcuszek z tabliczką „*Strefa prywatna*”. Skorzystałem z tego, by również jemu zabronić wstępu na piętro, pod pretekstem, że powinien dawać dobry przykład. Zostałem w ten sposób, wraz z D’Amourem i Dianą, wyłącznym panem drugiego piętra.

Wiele osób myśli, że to ja jestem właścicielem domu. Często przed lub po partii albo kiedy sam nie gram, schodzę na dół w spodniach i jedwabnym szlafroku, jak stylowy pan domu, by wypić kieliszek i porozmawiać ze stałymi bywalcami, po czym wracam na górę, na ogół nie sam.

Nie wszystkim się to podoba, i jak wszędzie zdarzają się zawistni.

Tego wieczoru Nivel jest poważny jak gliniarz, kiedy wypisuje mandat; podzieliliśmy się właśnie forszą u Stavrosa, sprzedawcy hotdogów na Avenue Road, kiedy nagle wyciąga w moim kierunku palec.

— Żeby się to więcej nie powtórzyło!

Podrywam się zaskoczony, ale już wściekły.

— Co takiego? Co to ma znaczyć, kutasie?

— Ta brunetka, którą załatwiłeś po grze dziś wieczorem, to moja dziewczyna.

— Ty, zmień ton, jak do mnie mówisz! Skąd mam wiedzieć, że to twoja cizia? Na twarzy nie ma wypisane! Zwariowałeś czy szukasz guza? Bo jak tak, to powiedz!

W miarę jak mówię, moja wściekłość się wzmaga. No fakt, coś tan może i wiedziałem, ale dowalała się do mnie, a poza tym on był zajęty grą. Z zasady

nigdy nie biorę się do kobiet moich współników, ale tego kretyna nie uważam za swojego współnika. Poza tym niech nie mów do mnie takim tonem.

Mam właśnie rozwalić mu kieliszek na mordzie, kiedy powstrzymują mnie D'Amour i Stavros.

— Daj spokój, Cizia. Chyba nie będziecie się kłócić o taki głupstwa. A ty, Nivel, chyba naprawdę zgłupiałeś! Skąd twoim zdaniem Cizia miał wiedzieć, że zależy ci na tej dziewczynie?

Stavros klepie mnie po ramieniu swoją zatłuszczoną łapą.

— Spokojnie, Cizia. Masz, to ci dobrze zrobi.

I nalewa mi sporą porcję ouzo. Kończymy podział forsy w milczeniu, po czym Nivel szybko znika.

— Nie zwracaj sobie nim głowy. On uważa się za wielkiej podrywacza. Cholera go bierze, kiedy widzi, jakie masz powodzenie i jakoś musi się wyładować. Zaczyna się już bać o swoje dziewczyny. Kurczę, odkąd tu jesteś, jego notowania cholernie spadły!

— Jak jeszcze raz zaczniesz, to mu dołożę!

— Tylko mu nie uszkodź rąk, jest nam potrzebny.

— A ty co, zależy ci na nim?

Louie D'Amour uśmiecha się przepraszająco.

— Nie o to chodzi. Jestem z nim dla roboty. Ale nie przepadam za nim. Za bardzo zadziera nosa. Ten facet to kutas! — konkluduje krótko.

Co mi się podoba u D'Amoura, to szybkość, z jaką zmienia poglądy. To naprawdę kumpel, na którym można polegać!

— Wiesz, Louie, przerznąłem tę małą przede wszystkim dlatego, że była niewyżyta.

— Niemożliwe? Naprawdę?

— Tak, sama mi powiedziała. I mówiła też, że Nivel ma za małego.

— Poważnie?

Pokazuję mu pudełko zapalek.

— Nie większego niż to, zapewniam cię.

To czyste oszczerstwo. Nivel zasłużył na nie i wiem, że D'Amour nie utrzyma języka za zębami. Przede wszystkim jednak nie chcę, żeby Louie pomyślał sobie, że poluję na cudze dziewczyny i że specjalnie przerznąłem lalunię Nivela. Zabieranie się do czyjejś dziewczyny to zbyt łatwy i wredny sposób, żeby uderzyć w faceta. Jeśli jest rzecz, na punkcie której mężczyźni są

głupi i bezbronni, to właśnie to. Nie ma nic szlachetnego w zrobieniu z przeciwnika rogowca. Jest to broń, której nie używam.

Chociaż...

Któregoś wieczoru, nieco później, kiedy właśnie mam zejść na dół, by zacząć wieczór, puka do drzwi Louie D'Amour.

— Cizia, na dole jest dwóch moich kumpli, którzy chcieliby zagrać.

— Jasne! W czym problem?

— Oni też kantują, i to nieźle.

To ciekawe. Schodzimy na salę, i wskazuje mi obu facetów.

— To jest Chuck, a ten drugi to Bananas.

Nie wyróżniają się niczym szczególnym. Bananas jest niski, ciemnowłosy i lekko zaokrąglony, koło czterdziestki. Chuck jest młodszy, średniego wzrostu, ubrany w dżinsy i skórzaną kurtkę.

Pojawiają się w samą porę. Od paru dni chodzi mi po głowie Pewien projekt, którego nie udaje mi się zrealizować.

— Doskonale! Powiedz im, żeby siadali. Zróbcie tak, by wygrywali.

Lepiej będzie, jeśli nie trafi na tych samych. Spotkamy się u Fran's na podział forsy.

Patrzy na mnie z niedowierzaniem.

— Nie chcesz ich najpierw zobaczyć? Powiedzieć im, kim jesteś?

— Ależ nie, bądź spokojny. Na pewno już wiedzą, załatwimy to wieczorem.

— A ty nie będziesz grał?

— Nie, dziś nie, mam co innego do zrobienia. Mówię ci, że wszystko pójdzie dobrze.

Zresztą mam to gdzieś! Dziś naprawdę nie karty mi w głowie. Od dwóch dni mam ochotę na Sabinę, wysoką Holenderkę, fajną pod każdym względem, która niczego więcej nie pragnie, niż zajrzeć do mego łóżka.

Dziewczyna pracuje cały dzień, ma męża, nasze rozkłady jazdy nie pokrywają się i nie może zostawać w klubie zbyt długo. Właściwie jest to kobieta, jakich wiele, ale jej mąż jest inspektorem do spraw narkotyków. A dobrać się prawu do dupy to zawsze przyjemność.

Sabina została aż do świtu. Myślę, że można do niej mieć zaufani w sprawie kłamstwa, jakie wymyśli dla swojego rogatego męża.

Do Fran's przychodzę pierwszy, jak to mam w zwyczaju. Zastanawiam się nad tą nową okazją. Już od dłuższego czasu dręczyło mnie to, że wygrywają stale ci sami. Opatrznościowe pojawienie się tej dwójki pozwoli mi rozwiązać problem.

Annie, stara kelnerka, przynosi moje espresso kołysząc biodrami. W jej wieku to niewskazane: jeszcze sobie coś zwicnie. Mruga do mnie porozumiewawczo. Tęsknie wyglądam nadejścia kolegów, zanim usiądzie przy moim stoliku.

Paolo poszedł chrapać do samochodu, więc nie ma co na niego liczyć. Ładna mi ochrona osobista!

Pierwszy zjawia się Nivel, za nim Chuck, potem D'Amour i Bananas. Kiedy wszyscy już coś zamówili, zwracam się do dwóch nowych:

— No i jak wam się u mnie podoba? Fajny klub?

— Już go znaleźliśmy. Wiedzieliśmy, że zrobiło się z niego dobre miejsce, że zaszły duże zmiany.

Bananas odpowiedział mi cichym głosem. Dobry punkt dla niego. Ten mały facecik jest zabawny. Nie wygląda zupełnie na oszusta, raczej na dobrego, spokojnego ojca rodziny. Chuck, choć też sympatyczny, bardziej już rzuca się w oczy.

Z rozbawieniem zauważam, że cała nasza piątka nosi wąsy. Przez parę dni D'Amour wyhodował pod nosem kilka włosków.

Każdy wyciąga z kieszeni pieniądze, zgłaszając wyjściową stawkę. To raczej rytuał niż środek ostrożności. W tym światku kanciarzy, gdzie jeden oszukuje drugiego przy lada okazji, każdy doskonale wie, ile inni postawili i ile wygrali co do dolara. Jesteśmy przyzwyczajeni do zapamiętywania kart i patrzenia wszędzie, gdzie się tylko da, toteż nie sprawia nam żadnych trudności zapamiętanie sum, jakie leżały na stole.

Mam zwyczaj zgarniać wszystko, kiedy każdy już zabrał swoją stawkę. Potem dzielę na trzy części i rozdaję forszę ojcowskim gestem. Wygłaszam przy tym komentarz w rodzaju: „*Nieźle, co?*”, albo „*No to mamy forszę, chłopaki*”.

Wpływy z dzisiejszego wieczoru wynoszą cztery tysiące pięćset dolarów. Pobieram swoją część, trzydzieści trzy procent, po czym resztę dzielę na cztery. Louie D'Amour i Nivel patrzą na mnie nie rozumiejąc.

— No — mówię zakończywszy operację. — Trzydzieści trzy procent dla mnie, reszta dla was.

Nivel podskakuje na krześle, oburzony.

— Co to znowu za kurewstwo?

— Jak to kurewstwo?

— Powiedziałeś, że dzielimy na równe części!

— No, trochę przesadziłeś — mówi mi Louie D'Amour, któremu chciwość dodaje odwagi.

— Jak to przesadziłem! — odpowiadam, podnosząc głos. — Jesteście u mnie, gracie u mnie i zgarniacie forszę u mnie. Nie należy o tym zapominać. I tak jestem miły, że wam coś zostawiam. Nigdy tyle nie zarabialiście. Mój udział wynosi trzydzieści trzy procent, reszta dla pracowników, koniec, kropka!

Chuck i Bananas nie odzywają się słowem, ale dwóm pozostałym to się nie podoba. Przestraszony moim gniewem D'Amour dąsa się w milczeniu. Nivel bez słowa zabiera swoją forszę i zmywa się, nie mówiąc nawet „*do widzenia*”.

Mój nowy regulamin ostudził atmosferę. Rozstajemy się szybko.

— Widzimy się jutro? — pyta Bananas.

— Tak. Też będziesz, Chuck?

— Jasne.

— Dobra. Do jutra, partners.

Budzę Paola, który odwozi mnie do domu.

Nivel mnie wkurwia. Strasznie zadziera nosa w tych swoich ciemnych okularach. Ma około czterdziestki i uważa, że jest zbyt doświadczony, by zadawać się z takimi gówniarzami jak my. Dawniej był przemytnikiem, przemycał wszystko, a zwłaszcza byle co; jest Australijczykiem i mieszka w Kanadzie od dziesięciu lat.

Następnego wieczoru przeszkadza mi już sam jego widok. Przyprowadził Cindy, jedną ze swoich przyjaciółek, blondyneczkę — trzeba powiedzieć — całkiem ładną, która co rusz wybuchuje przyjemnym śmiechem. Jest krupierką w kasynie na Wyspach Bahama i spędzi wakacje w Toronto. W naszym klubie nie jest po raz pierwszy.

Nivel, chcąc wyraźnie zaznaczyć swoje prawo własności, stale trzyma ją przy sobie i odsyła dopiero, kiedy zaczyna się gra. Dziś wieczór nawet trochę

przesadza. Co chwila obejmuje ją wpeł, patrzą przy tym na mnie z wyższością.

Co on sobie wyobraża? W nosie mam tę jego lałę. Już najwyższy czas, żebym coś zrobił z tym bałwanem.

Dziś nie będę grał. Czterech kanciarzy przy stole zupełnie wystarczy. Zresztą spędzenie nocy naprzeciwko niego tak czy inaczej przekraczałoby moją wytrzymałość.

Korzystam z sytuacji, żeby trochę połązić po swoim klubie; jest to przyjemność, na którą pozwalam sobie niestety zbyt rzadko. Zajmuję się tylko kandydatami na nędzarzy i nie starcza mi czasu na innych. Szkoda, bo stajemy się coraz bardziej modni i pojawia się tu teraz sporo ludzi interesujących, zabawnych lub po prostu sympatycznych. Na przykład Roy, czarny trębacz z Nowego Jorku, który rozpoczyna obiecującą karierę w Toronto. Jest zatwardziałym kokainistą, ma czerwone i zapuchnięte oczy, bez przerwy pociąga nosem. Przez większość czasu pogrążony jest w sobie tylko zrozumiałych majakach, ale zawsze ma na ustach jakąś melodię, w rytm której kołysze biodrami, bardzo cool.

Gratuluje mi oprawy muzycznej. Odnowiłem repertuar, przedtem nieco anemiczny z powodu walców i tang, które uwielbia Haigh.

Zamiast tych staroci słucha się teraz u mnie najnowszych przebojów. Są The Temptations, jest soul i cztery do pięciu razy w ciągu wieczoru „**You’re killing me softly**” Roberta Flacka.

Paolo, fanatyk sportu, doniósł mi, że co wieczór goszczę u siebie wielu członków baseballowej reprezentacji Toronto, Blue Jays, dosyć znanej w Ameryce.

Zastanawiam się, do kogo by tu podejść, jako że Roy najwyraźniej odpłynął w obłoki, kiedy moją uwagę przyciągają jakieś blond włosy.

To Cindy.

Żegna się z Haigiem. W drugiej sali zaczyna się zapewne partia, i Nivel ją odesłał. Roy, który na chwilę powrócił na ziemię, wzdycha przeciągle.

— Kurwa! Ale dupa!

Fakt, że linia bioder wygląda ciekawie. Przyglądam się, jak Cindy powłóczytym krokiem zmierza do wyjścia i przypominam sobie zachowanie Nivela. Ten sukinsyn już tak długo mnie denerwuje!

Nie atakuje się mężczyzny załatwiając jego dziewczynę, bo tak się nie robi. Przez chwilę walczę z moimi wielkimi zasadami, po czym nienawiść, a przede wszystkim ten tyłeczek wysoko zawieszony nad długimi nogami na szpilkach, którego linia podkreślona jest obcisłą spódnicą z bardzo śmiałym rozcięciem, wytyczają moje dalsze postępowanie.

Przepraszam Roya. Mruga do mnie, życząc mi szczęścia. Doganiam Cindy, zanim wyjdzie do hallu. Obejmuję ją wpół i odwracam. Patrząc jej z bliska prosto w oczy oświadczam:

— Dziś w nocy śniło mi się, że cię rznąłem, a ty wołałaś mamusię.

Nie odwraca wzroku, wprost przeciwnie. Z małym chytrym uśmieszkiem odpowiada:

— Chwalipięta.

Jej dłoń wciska się między moje uda. Cindy nie spuszcza ze mnie oczu. Ruch jej ręki staje się mocniejszy. Nie wiem już, co jej powiedzieć. Rozpaczliwie szukam czegoś błyskotliwego, dowcipnego albo wręcz eleganckiego. Za naszymi plecami dwaj faceci dyskutują o zwwyżce cen ropy.

Czuję przez materiał, jak jej paznokcie przesuwają się po mojej skórze. Oczy Cindy błyszczą. Jest zadowolona z osiągniętego rezultatu.

Idę za nią po schodach, z zażenowaniem starając się ukryć moje oczywiste podniecenie. Kiedy jesteśmy w sypialni, Cindy siada na łóżku. Z torebki wyciąga małe zawiniątko i neseser toaletowy. Na lusterku czegoś, co kiedyś było pudemicką, przygotowuje szybkimi doświadczoneymi ruchami scyzoryka dwa rządki kokainy.

— Zobaczysz, przyjechała prosto z Boliwii. Jest praktycznie czysta.

Co mnie to obchodzi? Ja nie po to tutaj przyszedłem. Raz kiedy próbowałem, podczas pobytu w Kolumbii. O ile mogę sobie przypomnieć, dostałem wtedy bólu dziąseł, nie mogłem spać i stałem się bardzo nerwowy.

Muszę jednak teraz się poświęcić, bo wyjdę na dużego frajera. Cindy przygląda mi się przez chwilę, po czym dodaje trochę kokainy do mojego rządka.

— Przy twoich wymiarach przysługuje ci większa porcja.

Wygląda, jakby się na tym znała. Biorę od niej zwinięty w rulon banknot. Wtykam go sobie w nos i pociągam.

Szczypie. Powstrzymuję się, żeby nie kichnąć. Cindy zbliża swoją piękną twarz do lustra, z nosa sterczy jej banknot. Szybkim pociągnięciem wciąga rząddek, po czym wyciąga do mnie rękę.

Kiedy zaczynam bardziej precyzyjne pieszczoty, ogarnia mnie fal; ciepła i ogromna radość, czuję jak wstępuje we mnie niesamowita siła; Nagle mam niesłychaną potencję. Rzucam Cindy na ziemię, obok łóżka. Jest rozogniona, oddaje mi się. Rzucam się na nią.

To ja o mało nie wołałem mamusi. Dziewczyna jest jak wulkan, a kokaina najwyraźniej zwielokrotnia przyjemność. Wszystkie moje zmysły są wyostrzone. Nie wiem, czy to praca krupierki tak wyćwiczyła jej ręce, ale palce Cindy są diabelnie sprawne. Musi też mieć kilkoro ust. Cindy uwielbia wszystko, z wyjątkiem używania łóżka. Naładowany energią noszę ją po całym mieszkaniu.

Leżąc nago na niedźwiedziej skórze, obok łóżka, zwierza mi się później:

— Od pierwszego razu, kiedy cię zobaczyłam, chciałam, żebyś mnie wziął tutaj, na tej skórze. Ciężko było czekać.

Zawsze miło jest słuchać takich rzeczy, nawet jeśli nie jest to nic nowego. Ale tego o mało nie kupiłem.

Cindy przeciąga się bezwstydnie, ale opieram się. Muszę przecież zejść do pokerowego stolika, by zobaczyć, czy wszystko idzie dobrze i ocenić dzisiejsze wpływy.

— Un momento! Zaraz wracam.

Na dole wielka feta. Przeciskam się pomiędzy parami siedzącymi na stopniach schodów. Hałas rozmów jest ogłuszający. Muzyka gra na cały regulator.

Pośrodku sali pijana blondynka tańczy z przymkniętymi oczyma. Jest zmysłowa i prowokująca, niedwuznacznie porusza biodrami.

Z trudem toruję sobie drogę, pozdrawiając nowo przybyłych i zamieniając po parę słów z nieznajomymi, którzy, ze swej strony, wydają się mnie dobrze znać. Co najmniej kwadrans zajmuje mi przejście przez salę, bo muszę grać rolę dobrego pana domu, a już pilno mi wracać na górę. Przy stole wszystko w porządku. Pliki dolarów przechodzą we właściwe ręce.

Nie mogę się już opanować i pędzę do Cindy.

O piątej D'Amour puka do drzwi.

— Cizia! Idziemy dzielić forszę?

— Jedną chwilę! Zawołaj pozostałych i przyjdźcie tu za pięć minut, tylko się ubiorę.

Dzisiaj załatwię Nivelę. Już z góry myśl o świństwie, jakie dla niego przygotowałem, dostarcza mi dużo radości.

Właśnie przeliczamy forszę, kiedy słyhać odgłosy prysznic. Nivel odwraca się niespokojnie.

— Ej, tam obok ktoś jest.

Uśmiecham się do niego grzecznie.

— Nic się nie bój. Z tą dziewczyną nie będzie problemów. Jest w porządku.

D'Amour wypowiada parę komplementów na temat mojej umiejętności postępowania z kobietami.

— To jakaś nowa?

— Jasne, a co myślałeś?

Bawię się w macho. Nivel patrzy na mnie z pogardą, a mnie ogarnia nienawistna radość. Umyślnie przesadzam, komentując odgłosy dobiegające z łazienki i mnożąc wulgarne aluzje do moich seksualnych osiągnięć.

Nivel wkłada swoją forszę do kieszeni i wstaje, żeby wyjść.

— Poczekaj, partner, zapomniałeś o czymś.

I otwieram drzwi do sypialni.

Nivel patrzy, znieruchomiały i załamany, na Cindy, która miała na niego czekać w domu, a tu stoi owinięta w mój jedwabny szlafrok. Jest równie zaskoczona, jak on, ale lepiej rozumie mój żart.

Nivel opanowuje się i zwraca się do mnie.

— Bastard!!!

Nie ma czasu powiedzieć nic więcej. Wymierzam mu cios, od którego spadają mu okulary. Zanim zdąży zareagować, moje kolano wbija się w splot słoneczny, to tajlandzka technika. Nivel, z otwartymi ustami, trzyma się oburącz za brzuch i usiłuje złapać oddech. Wiem, że nie uda mu się to przed upływem dziesięciu minut, i nie zamierzam dać mu wystarczająco dużo czasu, żeby zrobił to u mnie. Chwytam go za ramiona i zrzucam ze schodów. Szybko znajduje się na dole, nabijając sobie przy okazji parę guzów, które, mam nadzieję, przez jakiś czas pozostawią mu po mnie miłe wspomnienie.

D'Amour, przerażony moją brutalnością, pobladł i nie śmie się odezwać. Chuck i Bananas, jak zwykle, zachowują milczenie. Do pokoju wpada nagle Haig i krzyczy.

— Cizia! Co się stało? Zobaczyłem Nivelę i ...

— Spokojnie, nic się nie stało. Tylko małe nieporozumienie co do sposobu traktowania kobiet. Nivel chciał uderzyć swoją dziewczynę. Nie mogłem pozwolić, żeby to zrobił pod moim dachem.

— Ale mimo wszystko...

— To twoja wina, Haig! Przyjmujesz tu byle kogo. Ten facet zupełnie nie umie się zachować. Zresztą, już się tu nie pokaże.

Trochę przesadzam. Haiga w końcu ogarniają wątpliwości i przeprasza za swoje wtargnięcie. Później, po paru kieliszkach szampana gratuluje mi i dodaje, że na moim miejscu też by wyrzucił tego źle wychowanego człowieka.

— A teraz co zrobimy? Był nam potrzebny do roboty.

D'Amour jest jeszcze błydy ze strachu i nie ośmiela się spojrzeć mi w oczy.

— Spokojnie, partner. Nie ma zmartwienia. Po pierwsze, nie mogłem się powstrzymać. Po drugie, nie będziemy sobie zawracać dupy facetem, którego nie lubimy. Jeśli zaczniemy ustępować jakiemuś chamstwu, to będzie początek końca. Po trzecie, wszystko przewidziałem. Po czwarte, spadajcie, bo mam co innego do roboty.

Wskazuję na drzwi sypialni, za którymi czeka Cindy.

— Panowie, widzimy się jutro w La Stradzie. D'Amour da wa adres.

— Wiemy, gdzie to jest. To twoja restauracja.

— Zgadza się. A więc do jutra na obiedzie, panowie. Bądźcie punktualni.

Cindy wita mnie dwoma rządками kokainy. Łapie mnie za spodnie i przyciąga do siebie.

— Jesteś Świnia, Cizia.

Rozpina mi pasek i szepcze, pochylając nade mną głowę:

— Ale uwielbiam świnie.

Kokaina znów działa, jestem u szczytu formy i dosiadam Cindy aż do południa następnego dnia, kiedy to udaje mi się wreszcie wyzwolić.

— Wychodzisz?

— Tak. Muszę zająć się biznesem.

Cindy robi mi rządę na drogę i błaga, żebym szybko wracał.

W La Stradzie każę nakryć stół na cztery osoby w jednym z boksów. Paolo znów stanął na posterunku przed zasłoną, z założonymi rękami. Czekam na moich wspólników, kiedy staje przede mną Alfredo z dymiącym talerzem w ręku. Wydaje się bardzo dumny z siebie.

— Cizia, spróbuj tego. Wiesz, nauczyłem się książki kucharskiej na pamięć, i wszystko zrozumiałem.

Rzucam okiem. Jest tam coś brązowego o przykrym zapachu.

— To pieczeń z koźlęcia w sosie myśliwskim!

Dobrze, że mi powiedział. Ta papka z mięsa i jakichś bliżej nie określonych składników wystarczyłaby, żeby wyrzucono go z każdej europejskiej restauracji waląc rondlem po łbie. Widząc, jak się krzywię, usprawiedliwia się:

— Nie znalazłem koźlego mięsa. Zamiast niego dałem wieprzowinę, ale to to samo.

To się nie da nazwać. Mogłoby może smakować Amerykaninowi, bo jest ładniejsze niż hamburger, ale dla choć trochę bardziej wyrafinowanego podniebienia papka przypomina głównie jedzenie dla psa. W sposób możliwie najłagodniejszy tłumaczę Alfredo, że lepiej zrobi zapominając o tej książce kucharskiej, która dla niego się nie nadaje.

— Słuchaj! Czemu nie robisz gulaszów?

Odchodzi ze spuszczoną głową. Widzę, że mu smutno.

Jego marzenia o karierze wielkiego kucharza o międzynarodowej sławie zawałyły się.

Paolo jest szary ze zmęczenia. Bardzo źle wygląda, ma podkrążone oczy i ledwo trzyma się na nogach.

— Paolo, chodź na chwilę.

Przygotowuję mu rządę kokainy i pokazuję, jak wciągać. Przy okazji robię drugi dla siebie.

Paolo przez chwilę stoi nieruchomo, pociągając nosem, oparty o ścianę. Kilka sekund później wyprostowuje się. Z okrutną miną strzeże teraz dostępu do mojego stolika, a jednocześnie zaczyna pilnować obsługi we wszystkich częściach lokalu naraz. On też wita moich wspólników przy drzwiach i stanowczym tonem każę im iść za sobą:

— Idziemy! Szef czeka na was!

Chuck i Bananas siadają naprzeciwko mnie. Louie D'Amour, odgrywający starego wygę, usiłuje zająć miejsce koło mnie, ale odsyłam go do pozostałych dwóch. Siedzą ściśnięci jak uczniacy i słuchają mnie.

— Żeby uniknąć problemów takich, jak wczorajszy i przedwczorajszy, musimy ustalić sobie pewne rzeczy. Niektórzy wzięli mój dobry charakter ze słabość. Więc jak w każdym dobrym biznesie, który się dopiero rozkręca, trzeba dokonać pewnej korekty. Żebyśmy się zgodzili! co do tych nowych zasad, bo nigdy już nie będę do tego wracał! Od dziś ja biorę pięćdziesiąt procent, reszta dla was.

— Ale, ale... — zaczyna Louie, prawie się dusząc.

Przerywam mu.

— Żadnej dyskusji! Jak się komuś nie podoba, niech odejdzie teraz, bo do tej umowy nie będę wracał. Ale zanim podejmiecie decyzję, zastanówcie się. U mnie macie pewność, że znajdziecie frajerów co wieczór. Macie stałe dochody. D'Amour głośno się do tego nie przyzna, ale nigdy nie zarabiał tyle, co teraz, od kiedy jest ze mną. Co Louie?

— No... tak... Ale teraz, Cizia, naprawdę nie wiem.

— Poza tym ze mną macie ochronę.

Wskazuję na salę restauracji, jednym gestem obejmując Paola, braci Guccich, kelnerów i klientów. Nie ma co sobie żałować.

Wiem, że się zgodzą. Nawet dla siedemnastu procent na osobę moja propozycja jest interesująca. Klub działa dobrze. Lecz nie wziąłem pod uwagę Louiego.

Rozumiejąc, że nie pozwolę już zakwestionować naszej umowy, myśli błyskawicznie. A kiedy chodzi o pieniądze, stać go na wiele. Rzuca mi znaczące spojrzenie i zwraca się ku pozostałym:

— Co do naszych pięćdziesięciu procent, podział będzie następujący. Jako starszy stażem biorę dwadzieścia procent, a wy po piętnaście. Ale zyski są tego warte.

Tym razem naprawdę mnie zamurowało! Wiedziałem, że D'Amour jest szybki, ale nie sądziłem, że do tego stopnia. Nie mam nic przeciwko temu, by bronił swoich interesów, jeśli potrafi narzucić swój punkt widzenia. Poza tym ma trochę racji. Toteż kiedy odwraca się do mnie, lekko zaniepokojony, w milczeniu potakuję.

Chuck i Bananas przez cały ten czas nie odezwali się ani słowem. Namyślają się i porozumiewają wzrokiem.

— OK, zgoda.

Nivel mieszka w zachodniej części miasta, w pobliżu lotniska. Wołam Paola.

— Weźmiesz samochód. Pojedziesz do Nivela i przekażesz mu wiadomość od Cizi: nie chcę go nigdy więcej widzieć; żeby mi nigdy nie wszedł w drogę. Jeśli spotkam go w pobliżu klubu albo restauracji, albo w jakimkolwiek innym miejscu, gdzie bywam, rozwalę mu łeb.

Kiwa głową, wargi ma mocno zaciśnięte. Obciąga rękawy, porusza ramionami i potakuje. Na wszelki wypadek dodaję:

— Bez brutalności, Paolo. Masz przekazać wiadomość, to wszystko.

Głęboko wciąga powietrze nosem i rzuca:

— Zobaczmy, boss!

I pędzi do wyjścia.

Cindy wróciła na Wyspy Bahama. Pozostawiła mnie fanatycznie przekonanego do tego cudownego boliwijskiego proszku, który pozwala mi nie spać, być cudownym kochankiem, a wkrótce schrupać całe to miasto aż po ogryzek.

Kupiłem od niej resztę jej zapasu, dwa kryształy wielkie jak laskowe orzechy. Jestem w fantastycznej formie.

Pod wpływem moich nalegań Chuck zgodził się zmienić spodnie i koszulę. Zachował skórzaną kurtkę, niezbyt elegancką, ale stanowiącą jego narzędzie pracy. W jej podszewkę i w rękawy wszyte są małe kieszenie, z zewnątrz niewidoczne, w których trzyma spreparowane talie kart. Bananas, zawsze spokojny, to miły facet, z którym nie należy nigdy grać nawet o jednego centa.

To doskonale nabytki, zawodowcy wysokiej klasy. Ich umiejętności są większe niż u D'Amoura. To oni wprowadzają mnie do prawdziwego światka oszustów. Są zawodowymi graczami, znają się na wszystkich rodzajach gier. Oszukują we wszystkim, za każdym razem, kiedy mają po temu okazję.

Jasne wytłumaczenie w kilku zdaniach, na czym polegają gry takie jak poker, black-jack lub craps, jest niemożliwe. Opiszę więc jedynie sztuczki najczęściej używane przez zawodowych szulerów.

GAMBLER'S GRIP (DŁOŃ GRACZA).

Przykład dla praworęcznego: podczas rozdawania trzymać karty w lewej ręce, z kciukiem na karcie wierzchniej, przy czym palec wskazujący zakrywa widoczną stronę talii. Kolisty ruch prawej ręki zbliżającej się, by wziąć następną kartę, w sposób naturalny zasłania widok pozostałym graczom. Kciuk lewej dłoni rozsuwa karty w wachlarz. Prawa dłoń może wówczas wybrać odpowiednią kartę: pierwszą, drugą, ostatnią lub przedostatnią. Kciuk zamyka następnie wachlarz z powrotem. Jest to niedostrzegalne.

Gambler's grip używany jest w black–jacku i pokerze.

Poker.

Chuck i Bananas używają oczywiście talii wcześniej spreparowanych. Nie zawsze jednak mają możliwość je wykorzystać. W takie przypadkach polegać muszą na własnej sprawności, by ustawić kolejność kart pod samym nosem pozostałych graczy. Kiedy kończy się rozgrywka i wszystkie karty znajdują się na stole, potrafią oni w trakcie zbierania i tasowania poustawiać je tak, by rozdać swoim współnikom doskonałe układy. Następnie gambler's grip, który opanowali do perfekcji, pozwala im na wybranie w odpowiednim momencie potrzebnej karty uprzednio włożonej na swoje miejsce w talię.

Black–jack, czyli oko: karty znaczone.

W Kanadzie najczęściej używane talie zawierają tak zwane bee cards lub bicycles. Na odwrocie bee cards widnieją czerwone romby, w normalnych taliach porzucane przypadkowo po całej powierzchni. W taliach spreparowanych, kiedy obwódka przecina romb w połowie, oznacza to kartę poniżej dziesiątki, a romb nienaruszony oznacza dziesiątkę, figurę lub asa. Wystarczy więc szulerowi jeden rzut oka na wierzch karty, by mieć wyobrażenie o jej wartości.

Osoba nie uprzedzona nie jest w stanie zauważyć tak drobnej różnicy.

Szulerzy kupują takie specjalne talie po piętnaście dolarów na czarnym rynku w Buffalo, mieście granicznym między Kanadą a USA.

Na odwrocie bicycles namalowany jest jadący na rowerze anioł, który gra na trąbce. W tak skomplikowanym rysunku łatwo jest umieścić grubszą linię lub wprowadzić dodatkowy nieznaczący szczegół, co zawodowcowi wystarczy do rozpoznania wartości karty.

Tu również gambler's grip pozwoli mu na dobieranie kart podczas rozdawania.

Chuck i Bananas korzystają z mnóstwa innych sztuczek i nieznaczących ruchów przy manipulacjach, pozwalających im dopomóc nieco szczęściu. Zamurowało mnie zupełnie, gdy dowiedziałem się, w jaki sposób oszukują przy grze w kości.

Craps (kości angielskie).

Jest to najpopularniejsza w Ameryce gra w kości. Jej reguły są dość skomplikowane, ale przede wszystkim należy pamiętać o podstawowym znaczeniu liczby siedem. Wygrywa ona, kiedy obie kostki wyrzucane są po raz pierwszy, przegrywa natomiast, jeśli zostanie wyrzucona w trakcie partii.

Chuck ma niesamowitą małą skórzaną walizeczkę pełną kości do gry. Są tam małe, duże, od czarnych do białych poprzez czerwone, jednym słowem wszystkie występujące na rynku odmiany. Wszystkie ^s3 trefne (podrobione), i to na kilka sposobów.

Percentage dice (kości procentowe).

Dają one siódemkę prawie za każdym razem. Z jednej strony punkty zostają przewiercone bardzo cienkim wiertłem, po czym wypełnia się je złotem, które jest gęste i bardzo ciężkie. Kostka zachowuje normalny wygląd, ale ma przesunięty środek ciężkości i zatrzymuje się zawsze na tym samym boku. Kości takie używane są zwykle na początku partii i służą do wyrzucania zwycięskiej siódemki.

Kości do kombinacji.

Są to kostki, w których każdy bok ma wartość identyczną jak bok przeciwległy. Nie można zobaczyć obu stron kostki jednocześnie, trzeba do tego się przesunąć. Są kostki „nieparzyste”, mające dwie piątki, dwie trójki i dwie jedynki, oraz „parzyste”, z szóstkami, czwórkami i dwójkami. Suma dwóch „parzystych” wyrzuconych razem nigdy nie będzie więc wynosić siedem, podobnie zresztą jak w przypadku „nieparzystych”. Natomiast jeśli chce się wyrzucić siódemkę, wystarczy wziąć po jednej z każdego rodzaju, by podwoić swoje szanse.

Flats.

Są to kostki nacięte w sposób zwiększający prawdopodobieństwo wyrzucenia bądź niewyrzucenia jakiejś liczby. Moi współnicy bardzo rzadko posługują się tą odmianą, która charakterystyczna jest dla zakazanych uliczek

w podłych dzielnicach. Ale bez zręczności szulera wszystkie te podrobione kości są nieprzydatne. Cała sztuka polega bowiem na szybkości i sprawności w zamienianiu i wzajemnym podstawianiu kości „*trefnych*” i normalnych.

Zastosowanie.

W spelunkach gra się w craps na długim prostokątnym stole dostawionym do ściany. Konieczny jest udział minimum trzech kanciarzy. Jeden rzuca kości, dwaj pozostali stoją na drugim końcu stołu, by je łapać i odrzucać.

Podobnie jak pozostali gracze, każdy z nich ma w dłoni plik banknotów, skrywających kości podrobione. W odpowiednim momencie, po zdjęciu ze stołu pary normalnych kostek, oszust przekłada plik pieniędzy z jednej ręki do drugiej, przy okazji zamieniając kości, po czym odsyła trefne kostki współnikowi. Po kilku wygranych rzutach szulerzy ponawiają operację w odwrotnej kolejności, by do gry powróciły kostki normalne. I tak przez całą partię, za każdym razem, kiedy stawka jest odpowiednio wysoka.

To wielka sztuka. Element najtrudniejszy: zamiana kostek, musi być całkowicie niedostrzegalny. Jest oczywiście sprawa zasadnicza, by podrobione kostki nigdy nie dostały się do rąk innych graczy. Jedno spojrzenie i zdaliby sobie sprawę z oszustwa.

Na kontynencie amerykańskim szulerzy przyłapani na gorącym uczynku są zwykle karani zmiażdżeniem obu dłoni. Zawód wymaga więc potężnej dawki zimnej krwi oraz nieprzeciętnej szybkości i sprawności.

Chuck i Bananas mają te zalety. Im więcej się od nich dowiaduję, tym bardziej jestem zdziwiony. Znalazłem wymarzonych współników.

W klubie zarekwirowałem drugą salę w głębi domu, gdzie zainstalowałem wspaniały stół do craps, z którego jestem bardzo dumny i który został zaprojektowany specjalnie dla mnie. Chciałem, by był potężny i szeroki, dokładnie o wymiarach stołów w kasynach. Okazał się zbyt szeroki, żeby przejść przez drzwi, i musiano go zamontować na miejscu. Jest pokryty filcowym sukniem w dolarowozielonym odcieniu, doskonale zachęcającym do gry, i wspaniale spełnia swoją rolę.

O ile partie pokera odbywają się dyskretnie, gra w craps ma miejsce przy szeroko otwartych drzwiach. Ożywienie panujące przy stole przyciąga większość klientów, którzy, porwani panującym tu podnieceniem, prawie zawsze zostawiają po trzydzieści lub czterdzieści dolarów. Craps służy do skubania finansowych płotek. Poker zarezerwowany jest dla rekinów.

Elitarny klub Haiga powoli przekształcił się w spelunę, a jednocześnie osiągnął rozmiary, które zaczynają starszego pana niepokoić. Sprzedaż alkoholu poza dozwolonymi godzinami to jedno, a prowadzenie nielegalnego kasyna to zupełnie co innego. Metamorfoza ta również mnie sprawia kłopoty, choć są one innego rodzaju. Jeśli chcę, żeby moje przedsięwzięcie się ostało, muszę podjąć pewne środki ostrożności. Nie mogę przejść od rzemiosła do oszustw na skalę przemysłową, nie przyjmując nowych reguł postępowania.

Jest oczywiste, że nie można w nieskończoność obrabiać frajerów tak, by ktoś bardziej spostrzegawczy od pozostałych nie zauważył, że wygrywają stale ci sami. Podczas zebrania z moimi współnikami wprowadzam nowe zasady pracy, nie spotykane w świecie oszustów. Muszę im wytłumaczyć, że z drobnych naciągaczy, którymi byli wcześniej, przeszli teraz na wyższy poziom i że nie wystarczy już wygrywać, ale trzeba wygrywać inteligentnie, by nie zabić kury znoszącej złote jaja.

Jeśli chodzi o biznesmenów, podsyłanych nam przez personel hoteli, nie nastąpiły tu żadne zmiany. Nadal ogoławamy ich ze wszystkiego, co mają przy sobie, bez oglądania się na drobiazgi. Są w mieście przejazdem i nie stanowią dla nas niebezpieczeństwa.

Również klienci przyprowadzani przez hookers (ani kurwy, ani fordanserki, po prostu dziewczyny żyjące z atrakcyjności swego ciała na koszt bogatych facetów) nie stanowią problemu. Są to mieszczanie pragnący się zezmącić w obcym dla siebie świątku, i sami znikają, kiedy poczują niebezpieczeństwo. Po jednym albo dwóch wieczorach, podczas których przegrywają kupę forsy, wracają na ziemię i uciekają, zanim będzie za późno.

Natomiast trzeba mitygować moich współników, jeśli chodzi o stałych bywalców klubu. Opinia pechowego miejsca bardzo szybko się roznosi, a mnie taka reklama nie jest potrzebna. Od tej kategorii klientów będziemy codziennie wyciągać jedynie niewielkie sumy, nic więcej. Więcej nawet, kiedy będzie udany wieczór i paru bawiących przejazdem frajerów zgra się do nitki, pozwolimy wygrywać stałym bywalcom, którzy wcześniej dużo u nas zostawili.

Niektórych ludzi nie można oskubywać doszczętnie. Nie każdy umie przegrywać z uśmiechem, a wystarczy jeden obrażony, żeby zaczęły się kłopoty. Wszystko musi odbywać się łagodnie, bez zadrażnień.

Moim współnikom z trudem przychodzi zrozumienie tych nowych metod. Nie mogę im pozwolić, by dali upust swoim złym skłonnościom.

— Nie ma pan dzisiaj szczęścia.

Facet odwraca się do mnie.

— Nie, ale szczęście się odwróci!

Bardzo by mnie to zdziwiło. Zajmują się nim Chuck, Bananas i Louie D'Amour. Nigdy nie odzyska pieniędzy, które właśnie przegrywa.

Moją uwagę zwracają donośne okrzyki, które nagle się wzmogły.

— Nooo! Rzucajcie. Wygrywa siódemka. Cholera!

Ktoś zdrowo przegrywa przy stole do craps. Kandydat do ruiny jest elegancki, starannie ubrany, robi wrażenie człowieka bogatego i pewnego siebie. Zostawił już u nas cztery tysiące dolarów, ale to nie koniec. Plik banknotów w jego ręku jest nadal gruby, a on nie zdradza zamiaru wycofania się z gry. Rzuca kości z nonszalancją człowieka, dla którego kilka tysięcy dolarów więcej lub mniej nie ma żadnego znaczenia.

Coś tu brzmi fałszywie. Jego ostentacyjna pewność siebie wydaje mi się przesadzona. Facet gra o zbyt wysokie stawki. To utracjusz, któremu pieniądze palą się w rękach i który upaja się świadomością, że uwaga całego stołu skierowana jest na niego. Liczni widzowie obojga płci ściągają tu z całej sali, zwabieni nagłym ożywieniem tej partii, i facet prostuje się, zgrywając bohatera. Plik banknotów zawiera co najmniej pięć tysięcy dolarów.

Dobra. Skoro nalegasz, załatwimy cię. Jedno spojrzenie w kierunku moich partnerów i już zrozumieli. Obrabiamy go.

W tłumie odszukuję znajomą, Ginę, wspaniałą Portorykankę o uwodzicielskim uśmiechu. Ta dziewczyna to hooker, niebezpieczna call-girl. Odciągam ją na bok.

— Gina, bądź miła dla tego faceta. Tak, żeby zupełnie oszalał.

Gina jest ekspertem od męskiej psychologii. Po paru minutach frajer jeszcze bardziej wypręża się, głaskany spojrzeniami i pełnymi podziwu uśmiechami Giny.

Jeszcze bardziej podwyższa stawki. Ile może mieć przy sobie? Czy ma jakieś rezerwy? Tak duża gotówka to rzadkość. Niewielu ludzi chodzi sobie mając w kieszeni dziesięć tysięcy dolarów, albo nawet więcej, i facet ten mnie intryguje.

Parę osób przesuwają się, by zrobić mi miejsce przy stole.

Teraz się za ciebie wezmę, mój śliczny. Zajmę się tobą osobiście. Przegrywasz wystarczająco dużo, żebym zrobił ci ten zaszczyt. Postanawiam nie bawić się w drobiazgi. Wyciągam pięć tysięcy dolarów i kładę je na brzegu stołu, co oznacza, że jestem „otwarty” do wysokości tej sumy. Inni gracze mogą stawiać przeciwko mnie do pięciu tysięcy.

Jeleń reaguje tak, jak przewidywałem. Świadomy, że stał się gwiazdą, podkreślony przez Ginę, szpanuje.

— Trzymam!

I szybko kładzie koło mojej forsy pięć czerwonych banknotów.

— Tysiąc... trzy tysiące... pięć tysięcy.

Jest w pułapce. Chuck rzuca mi podrobione kości, a ja jak zwykle zaczynam swój teatr, chucham na nie, szepczę do nich, każę chuchnąć mojej sąsiadce i wyrzucam.

Kości toczą się, podskakują, odbijają o ścianę, toczą się znowu i w końcu nieruchomieją. Spokojnym, bezosobowym głosem krupiera Bananas ogłasza nieunikniony wynik.

— Siedem, wygrana.

Facet nie potrafi powstrzymać cichego przekleństwa. Na chwilę jego wspaniałość gdzieś ulatuje. Ramiona mu opadły. Trzykrotnie próbuje przypalać sobie papierosa, usiłując wykrzywić twarz w obojętnym uśmiechu.

Jego gotówka się skończyła. Jestem trochę rozczarowany. Swobodne zachowanie i arystokratyczne maniere pozwalały mi mieć nadzieję na coś więcej, pomimo wątpliwości, jakie budziła jego osoba. Jeśli ma jakieś rezerwy, powinien się złamać. Chęć odegrania się jest zawsze silniejsza. Zwraca się do mnie i pyta:

— Zgadzasz się na rewanż? Zostało mi pięć tysięcy pięćset dolarów.

A więc jednak! Po tym razie pozostawi u nas prawie piętnaście tysięcy...

— Jesteś pewien? OK, wyciągaj forszę!

Chuck ponownie posyła mi podrobione kości. Dwie wpadki po pięć tysięcy to sporo jak na stół do craps. Chwila jest uroczysta i przedłużam ją. Koncentruję się. Zdejmuję marynarkę, którą natychmiast przejmuje jakiś kibic. Pocieram kostkami o zielone sukno. Wznoszę oczy do nieba, ku Madonnie, każę chuchać wszystkim sąsiadkom i wyrzucam.

— Toczą się kosteczki! Dalej, moje piękne!

Kości toczą się, odbijają od ściany, toczą się jeszcze i nieruchomieją.

Dalej odgrywam swoją komedię i kryję twarz w dłoniach. Okrzyki widzów informują mnie o oczywistym wyniku. Bananas potwierdza:

— Siedem, wygrana.

Frajer jest blady, zaciska obie dłonie na brzegu stołu. Mamrocze:

— To niemożliwe, to niemożliwe.

Chuck schował już podrobione kości i odesłał mi normalne. Kładę je na stole.

— Ja pasuję. Przykro mi, przyjacielu. Nie masz dzisiaj szczęścia Dałem ci szansę, więcej nic nie mogę zrobić.

Po czym zapraszam go na kieliszek, bo zawsze trzeba łagodzić urazę człowieka, który dużo przegrał. Mocny łyk alkoholu pozwoli mu nieco przyjść do siebie, i uprzejmie wymieniamy kilka banalnych zdań. Jest Kanadyjczykiem pochodzenia rosyjskiego. Ma bardzo nieznacny środkowoeuropejski akcent, ale jego angielski jest doskonały, prawie sztuczny. Świadomość utraty majątku leży mu na żołądku i facet szybko wychodzi.

Z daleka widzę, jak mówi parę słów do Giny, która wybucha śmiechem i kładąc mu rękę na ramieniu całuje go w policzek. Zapewne poradziła mu, by wrócił, kiedy będzie miał więcej szczęścia. To kolejny cios wymierzony w jego samopoczucie; ze spuszczoną głową kieruje się ku wyjściu.

Posyłam Paola, by pojechał za nim. Robię tak w przypadku każdego poważnego klienta czy frajera, który mnie zaintryguje, i dysponuję już ciekawą listą adresów. Zawsze może się przydać.

Podchodzi do mnie Gina. Gratuluję jej dobrej roboty, co przyjmuje z dużym zadowoleniem. Jest drobna, bardzo sexy, ma twarz niewinnej nastolatki, ale jej czarne, wiele obiecujące oczy zadają temu kłam. To dobry kumpel. Jest zimna i wyrachowana, nigdy nie traci głowy, nawet w łóżku.

W moim klubie jest wiele podobnych dziewczyn, ich obecność jest tu wręcz koniecznością. Mężczyźni chętniej przychodzą do lokalu znanego z pięknych kobiet.

Przez chwilę rozmawiam z Giną, po czym wspólnie decydujemy, by zakończyć wieczór w mojej garsonierze.

— Cizia, pożycz mi pięć tysięcy dolarów.

Ten Rosjanin jest niepoprawny. Zjawił się tu następnego dnia pod koniec wieczoru. Szybko i z podniesionym czołem przegrał osiem tysięcy dolarów,

pod pieśczośliwym spojrzieniem Giny, i jeszcze mu mało. Nalega i proponuje wystawić mi czek jako zastaw.

— Pięć tysięcy nie mogę. Możesz dostać trzy tysiące dolarów.

Podczas gdy Paolo sprawdza wypisany przez niego czek i porównuje z dokumentami, gość zapewnia, że zapłaci przed końcem wieczoru. Jest pewien, że się odegra.

Dałem mu forszę. Poszedł ją przegrać. Po czym zniknął.

Kilkakrotnie telefonowałem pod numer, który mi zostawił, bez skutku. Dziś rano, podczas podziału pieniędzy, D'Amour pyta, czy dowiedziałem się czegoś nowego. Chyba czas już się ruszyć.

Adres, zanotowany przez Paola, zgodny jest z wypisanym na czeku. Widział, jak facet wchodził do budynku.

Jest ósma rano i jeszcze nie spałem. Jestem zmęczony i wściekły. W taksówce, która wiezie mnie do wschodniej dzielnicy, zapadam w drzemkę, skostniały z zimna. Nie lubię tej okolicy. To biedna, paskudna część miasta. W nocy spadł pierwszy śnieg i zamienił się w brudne i lepkie błoto.

Taksówka zostawia mnie przed budynkiem stojącym pomiędzy Spadina i Bathurst Avenue. Jest to czteropiętrowy dom z czerwonej cegły, naprawdę wygląda podle. Przez chwilę zastanawiam się, czy adres podany na czeku nie jest przypadkiem fałszywy. Jak można wydawać tyle szmalu i mieszkać w takiej ruderze! Nie omyliłem się, wyczuwając w facecie coś podejrzanego.

Mieszkanie numer siedem znajduje się na parterze. Korytarz jest ciemny. Pukam do drzwi. Odpowiada mi jakby pytające mruknięcie. Wrzeszczę:

— Tu Cizia!

Cisza. Jeśli Rosjanin jest w domu, to postanowił udawać, że go nie ma. Ale ze mną to nie przejdzie. Ryczę:

— Ej, Rusek, tu Cizia. Otwieraj!

I daję porządnego kopa w drzwi, słysząc go na całej klatce. Chyba kretyn nie każe mi tutaj czekać!

— Otworzysz wreszcie, do jasnej cholery!

Walę teraz w drzwi raz po razie. Hałas robi się z tego piekielny. Jeśli myśli, że się zmęczone, to grubo się myli! Słysząc już różne odgłosy z sąsiednich mieszkań, kiedy odpowiada:

— Przyjdź później, jestem zajęty.

— Chyba zgłupiałeś. Otwieraj zaraz, bo wyważę drzwi.

Walę w drzwi z całej siły i ryczę, ile sił w płucach. W całym budynku rewolucja. Histeryczne głosy błagają, żebym skończył z tym burdelem. Ktoś z drugiego piętra obrzuca mnie wyzwiskami przez całą klatkę schodową.

— Ciszej tam!

— Skończycie wreszcie te awantury?!

— Chcemy spać!

Tamten bałwan krzyczy do mnie, głosem piskliwym ze strachu:

— Mam broń, jeśli wyłamiesz drzwi, będę strzelał!

Nie wierzę mu, ale nigdy nie wiadomo. Jakiś mały rozczochrany staruszek wyszedł na korytarz w piżamie i opieprza mnie, gotowy wskoczyć z powrotem do nory w razie niebezpieczeństwa. Słyszę, jak otwierają się inne drzwi. Sprawa się komplikuje. Nie mogę zadzierać z całym domem. Mogą zawołać gliny albo co gorsza rzucić się na mnie. Moje ubranie wyraźnie informuje, że nie jestem tutejszy, a w amerykańskich downtowns ludzie bywają krewcy.

Zmieniam taktykę. Przemawiam do niego głosem normalnym, prawie łagodnym. Za wszelką cenę muszę go uspokoić, żeby otworzył mi te swoje kurewskie drzwi.

— Spokojnie, nie ma sprawy. Chcę tylko z tobą pogadać. Masz broń, no to co? Lepiej porozmawiajmy, nie zmuszaj mnie, żebym komuś zlecił tę sprawę, wiesz, jak to się może skończyć. No, już, otwieraj.

Cisza.

— Mówię ci, że nie ma sprawy, do cholery! Proszę cię tylko, żebyś nie kazał mi czekać na zewnątrz. Nie chodzi o wielką sumę, sprawa nie jest warta całego tego burdelu. Trochę się niepokoiłem, to chyba normalne, chcę się po prostu dowiedzieć, co się dzieje. Daj mi jakieś wyjaśnienie.

Fałszywy, jak tylko się da, dwoję się i troję, żeby go uspokoić i nakłonić do otwarcia drzwi. Potem go rozwalę. Mówię dalej łagodnym głosem. Po chwili uchyla drzwi i przystawia mi do twarzy mały pistolet. To szmata! Naprawdę miał broń. Muszę go uspokoić do końca, i to szybko.

Patrzę na broń z rozbawionym uśmiechem i mówię lekko kpiącym tonem:

— Oj, Rusek, Rusek, spokojnie, nie zabija się ludzi o byle co. Chcę z tobą pogadać, daj już spokój!

Ale on zupełnie nie zamierza dać spokoju. Paraliżuje go strach, mogę to wyczytać z jego twarzy. Nie ogolony, ubrany w stary szlafrok narzucony na

podkoszulkę, w niczym nie przypomina playboya z sali gier. Upewnia się, czy naprawdę jestem sam.

— OK, wejdz.

Za gardło chwyta mnie zapach stęchlizny.

— O rany, śmierdzi tu u ciebie! Trzeba przewietrzyć!

Idę do okna, ale zatrzymuje mnie.

— Nie ruszaj się. Siadaj tutaj.

Jego głos zrobił się twardy, najwyraźniej facet czuje się pewniej. Siada naprzeciwko mnie cały czas mierząc do mnie ze swojej spluwy. Wcale mi się nie podoba ta mała czarna dziurka wycelowana dokładnie między moje oczy.

— Słuchaj, skończ już z tym teatrem. Przyszedłem się dowiedzieć, co zamierzasz w sprawie forsy, którą jesteś mi winien. To wszystko. Nic więcej nie chcę. Chyba nie masz zamiaru mnie zabić, co? Nie będziesz ryzykował więzienia dla jakiejś forsy.

Jego nora jest ciasna i brudna. Dokoła stoją skrzynki. Za moimi plecami zauważyłem stos kartonów z nazwą znanego sprzętu elektronicznego, w kącie leżą jakieś brudne łachy. Mam ochotę zapalić, przynajmniej nie będzie się czuło tego smrodu. Ale kiedy tylko robię pierwszy ruch, tamten podskakuje.

— Nie strzelaj — mówię mu z uśmiechem — to tylko papieros. Chcesz zapalić?

Potrząsa przecząco głową.

— Pogadajmy poważnie. Zapłacisz mi, czy nie?

— Nie mogę. Nie mam teraz pieniędzy.

Nadal we mnie mierzy. Przede wszystkim uspić jego czujność.

Dopóki będzie taki spięty, do niczego nie dojdziemy. Wstaję i pogwizdując idę do toalety.

Rozpinam rozporek i odruchowo wypuszczam parę kropel do umywalki. W lustrze dostrzegam jego zaskoczone spojrzenie. Prawie zapomina o swoim gnacie.

— Przepraszam cię, Rusek, to takie niedobre przyzwyczajenie. To prawda, że to niedobre przyzwyczajenie, ale to takie wygodne robić do umywalki. Myję ręce i poprawiam włosy. Kiedy wracam na swoje miejsce, facet wygląda już trochę normalniej.

— Jak mogłeś pożyczać pieniądze wiedząc, że nie będziesz w stanie ich zwrócić? Przecież wyglądałeś na dzianego faceta. Wiesz, co się robi, jak ktoś nie płaci długu? Nie zmuszaj mnie, żebym kazał ci połamać ręce i nogi.

— Nie chodzi o to, że nie chcę zapłacić, po prostu nie mogę, nie mam ani grosza. Ale to się już niedługo zmieni, to kwestia paru dni. Zobacz, mam pełno towaru do sprzedania. Potrzebuję tylko kilku dni, naprawdę, wierz mi.

To mały paser, nic więcej. Nieźle mnie nabrał. Nigdy bym się nie domyślił. Zabierze wreszcie ten niepotrzebny pistolet sprzed mojego nosa? Denerwuje mnie, tak nie można rozmawiać. Muszę zyskać na czasie. Oczekuje z mojej strony gwałtownej reakcji. Jedyнным sposobem, żeby go uspokoić, jest naturalne zachowanie.

— No, dobra, obaj jesteśmy dorośli, porozmawiajmy. Nie jadłem śniadania. Nie bądź taki skąpy i daj mi kawy. Chyba nie żądam zbyt wiele? Naprawdę masz dziwny sposób przyjmowania gości.

Wstaje i idzie zrobić kawę na małej kuchence, w rogu pokoju. Czuję, że w tym facecie coś mi nie pasuje, ale nigdy bym sobie nie wyobraził takiego upadku.

— Robiłeś wrażenie bogatego człowieka. Masz klasę. Na ogół nie daję się oszukać.

Pochlebstwo robi swoje. Odpręża się i nawet wykrzywia twarz w uśmiechu.

— Mój biznes to karty kredytowe. Jak robię swoje przedstawienie, porządnie ubrany, każdy sklep daje się nabrać. Udał mi się większy numer, a potem...

Dlatego zachowywał się tak naturalnie, i to mnie zmyliło. Ma wprawę w udawaniu pewnych siebie. Gdyby wtedy nie przegrał, nigdy bym się nie dowiedział prawdy. Podaje mi filiżankę kawy, którą wypijam z przyjemnością.

— Dobrze mi to zrobiło. A teraz możemy porozmawiać poważnie.

— Słuchaj, Cizia, ja chcę ci zapłacić. Mam kupców na moje towary. Za cztery dni, najdalej tydzień, wszystko ci oddam, przysięgam. Nie miałem zamiaru cię naciągać, ale bałem się twojej reakcji.

— Wiem. To nieważne. Liczy się intencja. Dużo tego masz w tych kartonach? Może będę mógł ci pomóc. Na pewno mam znajomych, których to zainteresuje.

Wstałem i grzebię w tym jego burdelu. Zupełnie się nie znam na sprzęcie hi-fi. Próbuję wyciągnąć jakiś aparat z pudła pociągając za guzik, który zostaje mi w ręku.

— Co to za świństwo? To się rozwała!

— Oj, uważaj! To delikatny sprzęt! Dużo kosztuje! Poczekaj, zaraz ci pokażę...

Podbiega, żeby mi pomóc. Odłożył spluwę. Czekałem na ten moment i daję mu w mordę potężny cios pięścią, który powstrzymałem od trzech kwadransów, bo tak długo już staram się, żeby ten jebany sukinsyn odłożył wreszcie tego kurewskiego, cholernego gnata!

Rozwała się o ścianę na przeciwległym końcu pokoju. Chowam rewolwer do kieszeni i podnoszę właściciela, po czym przyciskam go do ściany. Kopnięcie kolanem, akurat pod zebra. Otwiera szeroko usta. Oddechowy nokaut. Na chwilę mam spokój.

— A więc, skurwielu, nie chciałeś mi zapłacić od razu.

Rozpaczliwie usiłuje złapać oddech.

— Nie... mam... pieniędzy... nie... mogę...

— Dobra, wstawię to wszystko do lombardu.

— Nie... nie... do... lombardu...

— Ubieraj się, durniu, szybko!

W swojej brudnej podkoszulce, z okrwawioną mordą, naprawdę wygląda jak gówno. Jesteśmy daleko od pewnego siebie rosyjskiego księcia.

— Jesteś brudną świnią. Śmierdzi tu u ciebie i robisz paskudną kawę.

Daję kopa w kuchenkę i kawa pryska na ścianę. Telefonuję do La Strady. Paolo właśnie przyjechał. Podchodzi do aparatu.

— Tu Cizia. Weź furgonetkę i przyjeżdżaj. Mam robotę.

Ta szmata, już w ubraniu, usiłuje jeszcze się ratować.

— Cizia, proszę cię, nie do lombardu. To wszystko warte jest dziesięć tysięcy dolarów. Jeśli chcesz, ustalimy jakąś cenę...

Z czystej złośliwości, a także dlatego, że brał mnie za idiotę, raz jeszcze daję mu po mordzie.

— Za późno, chuju. Jak miałeś kłopoty, to trzeba było do mnie przyjść. Dogadalibyśmy się jakoś. Próbowaleś mnie oszukać, a ja nie lubię kanciarzy.

Chyba, że pracują dla mnie, ale tego nie musi wiedzieć.

Wkrótce potem przyjeżdża Paolo. Rozdziawia gębę w szerokim uśmiechu, kiedy widzi, w jakim stanie jest Rosjanin. Wskazuje mu kartony.

— Każ tej piździe załadować to do furgonetki.

Paolo to facet szybki i skuteczny, który nie lubi za dużo gadać.

— No, pizda, ładuj to!

Pod naszymi dobrotliwymi spojrzeniami facet zabiera się do roboty. Kiedy raz jeszcze próbuje argumentować, kieruję go na właściwą drogę udając, że chcę go kopnąć.

— Wkładaj kurtkę, jedziesz z nami.

— Ale dlaczego?

— Do rozładunku! A poza tym nie jestem złodziejem, kolego. Jeśli dostanę więcej niż trzy tysiące dolarów, to resztę ci oddam. Jazda, subito!

Rusek jedzie z tyłu, na kartonach. Zanim ruszymy, Paolo ziewa, jakby miała mu odpaść szczeka.

— Zmęczony?

— Si, ecco... Nie miałbyś trochę mokatyny?

— Co?

— No wiesz, tego białego proszku, żeby się rozbudzić...

— Kokainy! Jesteś nierozsądny, Paolo. Niedługo zostaniesz narkomanem.

Przygotowuję dwa rządki. Paolo jest zdolnym uczniem, zwija już banknot w rurkę. Głośno wciąga, i błyskawicznie wraca mu forma. Poklepuje kierownicę i dwukrotnie naciska klakson.

— Dokąd jedziemy, boss?

— Chinatown.

W małych uliczkach chińskiej dzielnicy błyszczą neony w wiecznie otwartych małych restauracyjkach. Na chodnikach pełno Chińczyków. Jak to już dawno! Nie było mnie tu od czterdziestu dni, i jestem wzruszony znów widząc moje pierwsze kanadyjskie środowisko.

Mój koleś Li-Han siedzi w swojej knajpie.

— Cizia! Jak się masz? Chcesz zapalić?

— Nie. Mam dla ciebie biznes, ale musielibyśmy pogadać w spokojnym miejscu. Nie wiesz, gdzie można by postawić furgonetkę?

Li-Han prowadzi nas do podziemnego parkingu, parę ulic dalej. Są to garaże jakiegoś bloku, zamienione na plantację soi. Ogromne pojemniki z

wodą i elektryczne grzejniki utrzymują tu, jak w szklarni, wilgotne i nieprzyjemne ciepło. Dziesiątki Chińczyków w fartuchach i białych czepkach uwijają się przy pracy, nie zwracając uwagi na naszą przewodzkę. Rusek przenosi kartony. Li-Han sprowadził z okolicy kolegów sklepikarzy, którzy skrzeczą oglądając sprzęt.

Nie znam się na tym kompletnie. Żeby uniknąć wielogodzinnych targów, przyjmuję prostą zasadę ustalania cen. Duże, to drogie. Małe, to niedrogie. Przy sprzedaży każdej sztuki Rosjanin załamuje ręce.

Li-Han półgłosem kusi mnie proponując fajkę opium i minetkę w wykonaniu kuzyneczki.

— Pamiętasz? Masaże?

Kiedy wszystko już sprzedane, dostałem w sumie trzy tysiące dwieście dolarów. Wciśniętej w kąt wynędzniałej szmacie, która była moim dłużnikiem, daję dwieście dolarów. Patrzy żałośnie i wkłada je do kieszeni.

— A mój pistolet?

To automat colt, kaliber 25. Kieszonkowa broń, nie robi dużego wrażenia, ale na małą odległość może być skuteczna. Wyciągam dwieście dolarów.

— Biorę go. Zauważ, jaki jestem hojny. Wart jest najwyżej połowę.

Przyznaje to i jego zmysł handlowy budzi się natychmiast.

— A naboje? Będziesz potrzebował?

Wybucham śmiechem. Odzyskałem forszę, mój gniew ulotnił się i jego upór bawi mnie. Odwożę go do domu, polecając uprzednio Li-Hanowi, by na później przygotował mi swoją kuzynkę. Kupuję od Rosjanina naboje za sto dolarów. Żegnamy się, jakby nic nie zaszło. Nie tracąc czasu wracam do Chinatown.

Mała porcelanowa laleczka jest już gotowa w małym pokoiku, gdzie przed posążkiem Buddy nadal świeci lampka.

— Dzień dobry. Ja się cieszę, ty wróciłeś, panie Cizia.

Skromnie spuszcza wzrok. Gratuluję jej angielskiego, nie sądziłem, że tyle potrafi powiedzieć. Kładę się i dziewczyna zabiera się do roboty.

Masaż i czynności towarzyszące dobrze mi robią. Zdaję sobie sprawę, jak bardzo jestem zmęczony. Nocne życie źle na mnie wpływa i cierpi na tym moja kondycja. Zabiegi małej laleczki przywracają mi dobre samopoczucie.

Tego samego wieczoru kładę na stół odzyskane trzy tysiące dolarów.

Zaskoczeni moi współnicy zasypują mnie pytaniami.

— Zapłacił ci bez gadania?

— Nie chciał. Ale trochę psychologii skierowało go na właściwą drogę...

Opowiadam im przebieg akcji. Kiedy przestają się już śmiać, widzę w ich oczach szacunek.

I tak upływają kolejne, podobne do siebie dni. Coraz mniej czas spędzam przy stole do gry, zastąpiło go łóżko. Zdarza się, że opuszcza je wyłącznie na czas podziału wygranych, bo chwila ta jest święta.

Ku mojemu wielkiemu zakłopotaniu dzisiaj moją towarzyszką jest ta sama dziewczyna, co wczoraj wieczorem; Inez, piękna ciemnowłosa Latynoska, stworzona jest, by się podobać i dawać zadowolenie. Zmysłowa i skora do uniesień myśli, że znalazła w mojej osobie ogiera, który spełni wszystkie jej życzenia, a nawet więcej. Jest w błędzie, bo jeśli tak wspaniale się nią zająłem, to głównie za sprawą tego fantastycznego boliwijskiego proszku, doskonałego afrodyzjaka, którego używam w dużych ilościach.

Inez siedzi koło mnie i opowiada głupstwa, pytając, czy ją Kocham. Jak można tak szybko przechodzić do takich uczuć! Ledwo słucham jej paplania, zastanawiając się raczej, na kogo by ją tu zamienić dzisiejszej nocy, kiedy ukazuje mi się zjawisko, które usuwa w niepamięć wszystkie inne uroki wieczoru.

Boże, jaka ona piękna!

Blondynka, niebieskie oczy, wysoka i szczupła, z niesamowitymi piersiami. Haig, zawsze elegancki, podchodzi, by wziąć jej płaszcz. Nieodparta siła popycha mnie przez całą salę w jej kierunku.

Jestem o kilka kroków od niej, kiedy nasze spojrzenia spotykają się, by już się nie rozstać. Przebiega mnie jakby dreszcz i wiem, że ona czuje to samo.

Całuję ją w rękę, po czym obejmuję w pól. Prowadzę ją do baru, zostawiając Haiga samego, z płaszczem przewieszonym przez ramię.

— Szampana?

— Tak.

Jej głos jest cudowny, przyjemnie modulowany i ciepły. Ponieważ szampan Haiga daleki jest od doskonałości, posyłam do mojego barku po butelkę dom perignon.

Na imię ma Helena, pochodzi z Quebecu. Mówi po francusku z cudownym akcentem. Jeśli chodzi o mnie, to chcę jej powiedzieć tylko jedno:

— Jest pani piękna.

Uśmiecha się do mnie. To wszystko, ale to wiele. Och! co za uśmiech. Więcej nie rozmawiamy. Nasze dłonie spotykają się. Nie cofa swojej. Przykładamy do ust kieliszki z szampanem, bez zbędnych słów. Wystarczą nam spojrzenia.

Otoczenie zniknęło. Nie słyszę już ani muzyki, ani rozmów. W kilka chwil przeniosła mnie w inny świat. Zapomniałem, gdzie jestem, żeby móc myśleć tylko o niej, ale jej częste spojrzenia ponad moim ramieniem każą mi nagle odwrócić głowę.

Za mną siedzi Inez i morduje mnie wzrokiem, wargi ma zaciśnięte z wściekłości.

— Znasz tę dziewczynę?

Jak przez mgłę słyszę swój głos:

— Kto? Ja? O, nie, to znaczy... trochę.

Czuję, jak dwa sztylety wbijają mi się w plecy.

— Kocha cię, to widać.

— Kogo? Mnie?

— Jesteś jej kochankiem?

— Kto? Ja?

W duchu zastanawiam się, czy walnąć Inez w głowę od razu, czy poczekać na lepszą okazję, żeby ją otruć albo udusić w jakimś kącie. Na szczęście bez słowa opuszcza salę, blada od pohamowywanej wściekłości. Już ją wymazałem z pamięci.

Noc upływa jak we śnie. Pełnię honory klubu. Przechodząc sprawdzam stół do gry i pieniądze, które się na nim znajdują. Korzystam z tego, by dać znak mojej ekipie, by szybko kończyć z frajerami. Nieco później, w środku nocy, podział dokonuje się błyskawicznie.

Nie mam ochoty zostawać tutaj. Wiem, że wystarczy jedno słowo i Helena będzie moją.

Ale dla perły o takiej wartości potrzebuję nowej, czystej szkatułki. Moja sypialnia jest jakby zbrukana pobytem w niej moich poprzednich kochanek. Na tę okazję D'Amour zamienia się w szofera i wiezie nas jej czarnym lincolnem continental.

Serce mi bije jak sztubakowi. Czuję się niezręczny i nieśmiały. Kiedy dojeżdżamy do jej domu, na St. Mary Street, wysiadam i pomagam jej wysiąść. Mam ją pocałować, kiedy nasze spojrzenia spotykają się.

— Zaprosisz mnie? — pytam.

— Tak.

Nasza miłosna noc była spokojna, najspokojniejsza, jaką przeżyłem od dawna. Helena dołączyła do mnie w kąpieli, i wzajemnie się myliśmy. Jej skóra jest niewiarygodnie delikatna, cienka i jedwabista, a ciało absolutnie doskonałe.

Kiedy wychodzę, zdaję sobie sprawę, że się zakochałem! Zostawiłem ją, kiedy jeszcze spała. Przy drzwiach potknąłem się o włochatą kulkę; był to yorkshire terrier, który od razu narobił hałasu. Nie byłem w stanie powstrzymać impulsywnego odruchu, po czym cicho zamknąłem za sobą drzwi. Kiedy tylko znalazłem się na ulicy, pierwsze kroki skierowałem do kwiaciarni, gdzie kazałem zanieść jej wczesnym popołudniem sto jeden białych róż. Na towarzyszącej karteczce jedynie te proste słowa: „*Kocham cię*”.

Następnie, jak co dzień, idę zobaczyć się z Louie. Dzień zawsze zaczyna się od wizyty u fryzjera na Isabella Street. Nie cierpię się golić i od kiedy podróżuję, mam zwyczaj powierzać swój zarost zawodowcom. Codziennie pełny zestaw zabiegów: golenie, manicure i czyszczenie butów.

Fryzjer Dany, około czterdziestki, lekko zniewieściały, to kumpel. Nieodmiennie kończymy spotkanie małą partyjką gry w oko, w głębi sali, przy stanowisku mycia włosów. I nieodmiennie zabieramy Dany'emu jego forszę. Nigdy nie wygrywamy dużo, to raczej rytuał, sposób na miłe rozpoczęcie dnia.

Wygrałem od niego wspaniałą brzytwę, bardzo starą, z rogową rączką i ostrzem z hiszpańskiej stali. Noszę ją stale przy sobie, w lewym bucie. W razie bójki brzytwa robi o wiele większe wrażenie niż nóż, a ta w dodatku jest bardzo estetyczna.

Fryzjer Dany zajmuje się także paserstwem i handluje po trochu wszystkim. Za każdym razem proponuje fantastyczne okazje: od dziesięciu skrzynek prezerwatyw z główką myszki Miki po pierścionki z diamentem. Kupiłem od niego riot-gun, wspaniałą strzelbę Remingtona z obciętą lufą, za pięćset dolarów. Nigdy nie wiadomo, kiedy się przyda...

Następnie idziemy na obiad, najczęściej do Truffles, restauracji hotelu Hyatt Regency, albo do innego modnego lokalu. Jesteśmy znani wszędzie i nasze królewskie napiwki zapewniają nam doskonałą obsługę. Ale na rozpoczęcie wieczoru nic nie może się równać z Maxwell's Plum. Jest to bardzo elitarny bar na Yorkville Street. Część położona w głębi, otwierana wieczorem, posiada parkiet taneczny, wokół którego ustawione są głębokie fotele i niskie stoliki, oświetlone dyskretnymi lampkami.

Każdego wieczoru mam zarezerwowany stolik i rzadko się zdarza, bym się tam nie pokazał. Maitre d'hotel, Sam, to mały francuski Żyd, bardzo zabawny. Z twarzy nie schodzi mu uśmiech i zawsze ma mi do opowiedzenia jakąś śmieszłą historyjkę. Jesteśmy w dobrych stosunkach i kiedy przychodzę osobiście, zajmuje się grzecznym przesadzaniem osób, które nieopatrznie usiadły przy moim stoliku.

Tu zjadam swój wieczorny posiłek, zanim pójdę grać w karty. Płacę tylko duże rachunki, kawa i aperitif są na koszt lokalu. Biorąc pod uwagę, ile u nich zostawiam, to naprawdę drobiazg. Płacę wyłącznie banknotami pięćdziesięcio- i studolarowymi i nigdy nie czekam na resztę. Postanowiłem nie zaśmiecać sobie kieszeni drobnymi. W barze stale trzymają cztery butelki mojego ulubionego francuskiego szampana, jedyne alkoholu godnego moich kolacji.

Z wielkich sum, które zgarniam po całonocnej grze, następnego dnia nie zostaje nic. Nie rozumiem, jaką przyjemność można czerpać z tezauryzacji. Dla mnie pieniądze mają wartość tylko wtedy, kiedy je wydaję. Ta przygoda któregoś dnia się skończy, więc trzeba przynajmniej przeżyć ją intensywnie.

Nie wiem, czy to prawda, że kradzione nie tuczy, ale jest pewne, że szybko zdobyte pieniądze znikają z kieszeni jeszcze szybciej. Jedyne moim ograniczeniem jest to, co mam w kieszeniach, nigdy mniej niż tysiąc dolarów. Czasami nie jest to łatwe, ale zawsze znajduję sposób, żeby wszystko roztrwonić, nie odmawiam sobie żadnej przyjemności, ulegam każdej pokusie.

D'Amour i ja gramy we dwójkę przez cały dzień i przy każdej okazji o wszystko: wiek kelnerki, kolor jej majtek albo wynik meczu baseballowego. Każde zdarzenie staje się okazją do zakładów, i nie ma takiego rachunku, o zapłacenie którego nie gralibyśmy w kości, normalne oczywiście! Zdarza się nam również robić zakłady z innymi klientami, przyszłymi jeleniami, w ten sposób wciągany w tryby maszyny, która zaprowadzi ich do mojego klubu.

Kiedy nie ma o co się założyć, obrabiamy się wzajemnie w bullshit-pokera. Karty zastępują tu numery seryjne banknotów, które trzymamy w rękę. Można robić kombinacje używając numerów własnych oraz domniemanych numerów partnera. Wygrywający zabiera banknoty przeciwnika. Gramy tylko studolarówkami i stawki bardzo szybko rosną. Louie zasmakował w tych zwariowanych wydatkach, spodobał mu się ten nowy sposób bycia, i teraz rozumiemy się doskonale.

Dni upływają nam na zwariowanych numerach i wybuchach śmiechu. Ale dzisiaj godziny nie mijają szybko. Mam jeszcze przed oczami ciało Heleny, a jej łagodny głos nadal brzmi w moich uszach.

Zawistny D'Amour po raz pierwszy pogratulował mi szczęścia. On też był olśniony, kiedy ją zobaczył, i nie szczędzi pochwał na temat jej urody. Słuchając jego komentarzy czuję się zażenowany.

— Takiej sztuki jeszcze nie widziałem. Masz niesamowity fart. Gdyby przyszło mi do głowy, że przyjdzie do klubu, zrobiłbym wszystko, żeby cię wyprzedzić.

— Dlaczego, znałeś ją wcześniej?

Wykrzykuje:

— Jak to, nie wiedziałeś? To aktorka. Grała w filmie, poza tym pojawia się w telewizji. Jest fantastyczna, naprawdę znalazłeś najlepszy towar w mieście.

Jako prawdziwy samiec nie może się powstrzymać, by nie zadać mi pytań na temat naszej wspólnej nocy.

— Dobrze się wali? Chyba bomba w łóżku, nie?

Po raz pierwszy pozostaję przyzwoity i udzielam wymijających odpowiedzi.

— No, opowiadaj, warta grzechu? Zna się na rzeczy?

Odmawiam podania jakichkolwiek szczegółów. To mój romans i nie mam ochoty go zbrukać. Kiedy zapada wieczór, dzwonię do niej, żeby ją zaprosić.

— Dobry wieczór, tu Cizia.

— Dobry wieczór. Dziękuję za kwiaty, sprawiły mi naprawdę wielką przyjemność. Nie powinieneś był.

— Zapraszam cię na kolację, spotkamy się w Maxwell's Plum?

— To miło z twojej strony, ale jestem zajęta i nie mogę tego odwołać.

— A później?

— Też nie mogę. Jutro mam przesłuchanie i muszę wcześniej iść spać. Następnym razem. Obiecuję.

Mam zepsuty wieczór i gram bez przekonania. Duchem jestem gdzie indziej. Czegoś mi brakuje. Tej nocy, po raz pierwszy od bardzo dawna, kładę się spać sam.

Dopiero dwa dni później jemy razem kolację w Truffles. Helena promienieje. Mówi robiąc wielkie gesty, nieco przesadna w zachowaniu, ale zachowuje swoją naturalną klasę. Sprawiają jej przyjemność spojrzenia ludzi, którzy ją rozpoznali. Jednakże, pomimo jej wybuchów śmiechu, czuję, że zachowuje dystans i wkrótce dowiaduję się, dlaczego.

— Cizia — mówi mi, nagle poważniejąc — to był błąd, że byliśmy razem tamtego wieczoru. Myślę, że lepiej będzie, jeśli pozostaniemy dobrymi przyjaciółmi.

— Dlaczego?

— Nie wiem. Twoje życie zbyt różni się od mojego. Nie znam cię. Nie wiem, kim jesteś i co robisz w życiu.

— Nic szczególnego, moja śliczna. Jestem tu na wakacjach.

— To po co nosisz rewolwer i brzytwę?

A ja myślałem, że rozebrałem się dyskretnie! Więc to ją niepokoi.

— To dwa przedmioty, które dostałem od dziadka, moje jedyne pamiątki rodzinne. Bardzo mi na nich zależy.

— Więc po co nosisz je przy sobie?

— Przynoszą mi szczęście.

Nie jest naiwna i doskonale wiem, że jej nie przekonałem, ale Helena przede wszystkim pragnie, by ją uspokoić. Jest trochę przerażona tym nieznanym światem, którego istnienia się domyśla, i wkładam wiele wysiłku, by ją pocieszyć i roztoczyć cały swój urok osobisty, odzyskując jej zaufanie.

— Cizia, jest ważna rzecz, o której musisz wiedzieć, jeśli nasz związek ma mieć jakąś przyszłość.

— Co tylko zechcesz, moja piękna. Dni bez ciebie za bardzo mi się dłużą.

Patrzy na mnie swoimi niebieskimi oczami.

— Nie może być innych kobiet poza mną, jak długo będziemy razem.

Uf! Już się bałem, że zażąda małżeństwa albo oświadczy mi, że jest w ciąży.

— Ależ oczywiście, to się rozumie samo przez się.

— A jeśli pojawi się inna kobieta, nie będziesz już się ze mną spotykał!
Jakżeby inaczej!

Mówię jej wszystko, co pragnie usłyszeć. Nie muszę kłamać, bo jest pewne, że w tej chwili nie myślę o innych kobietach.

Więc zaakceptowałem jej reguły, miałem na to ochotę, i od tego czasu mieszkam u niej. Oczywiście zachowałem swoje mieszkanie w klubie, które teraz służy mi już tylko do podziału forsy. Ze swej strony Helena to prawdziwy zawodowiec. Bardzo dba o swoje ciało i uważa, by się nie przemęczać. Jest w połowie kariery, potrzebuje uregulowanego trybu życia. Całkowicie mi to odpowiada. Mam dzięki temu spokojne miejsce, gdzie nikomu nie wolno mi przeszkadzać. W zaciszu jej mieszkania przeżywamy piękną miłosną przygodę.

Jedyną przeszkodą w naszym romansie jest Minette, włochata kula, o którą się potknąłem pierwszego wieczoru. Od tej pory nie lubi mnie i jest to całkowicie odwzajemnione. Jest to yorkshire, a raczej „yorkshit”, zgorzkniała stara panna, taki mały głupi pies, jakiego każdy chciałby wyrzucić przez okno przynajmniej raz w życiu. Ja w każdym razie wielokrotnie byłem już o krok od zrobienia tego, ale Helena bardzo go kocha i postanowiłem szanować jej własność.

Minette — co za kretyńskie imię! — ma zwyczaj spać na łóżku, w nogach swojej pani. To małe coś nieustannie się rusza i przeszkadza mi. Pierwszy raz strąciłem je z łóżka kopniakiem niechcący, później zasmakowałem w tym: każdej nocy staram się, małymi podstępными uderzeniami, zrzucić psa na podłogę.

Nie pokazuję mojej wrogości Helenie, która uwielbia tego potworka, ale kiedy tylko się odwróci, moje przyjacielskie pieszczoty zamieniają się w ciosy w pysk. Helena zaczyna się czegoś domyślać. Trzeba powiedzieć, że popełnia błąd zostawiając nas samych w mieszkaniu, i weszło mi w zwyczaj zamykać tę jej sukę do szafki z butami, kiedy tylko pani domu wyjdzie do miasta.

Ale raz Minette zemściła się, uszkadzając mi parę wysokich butów. Od tej pory wkładam ją do pudełka kartonowego, po czym chowam całość do szuflady. Pies nie ośmiela się już nawet na mnie szczekać.

Helena jest naprawdę bardzo wziętą młodą dziewczyną. Większość jej czasu upływa na audycjach, spotkaniach i tak dalej. Co do mnie, to gra

zajmuje mi większość nocy, i często, kiedy się budzę, Heleny już nie ma. Co tydzień prowadzi ona program nadawany na żywo, „*Party Game*”, który bardzo mi się podoba.

Leniuchując w łóżku lubię na nią patrzeć, wiedząc, że ten kanadyjski sekssymbol, podziwiany i oklaskiwany przez dziesiątki tysięcy widzów, wkrótce po programie dołączy do mnie, by rozpocząć inny program, tylko dla dorosłych.

Spędzamy razem większość popołudni i wszystkie wieczory aż do otwarcia klubu. Chodzimy na długie spacerowanie zakochanych. Dzięki Helenie odkrywam miasto, które dotąd wydawało mi się podobne wszystkim innym amerykańskim miastom, z downtown, drapaczami chmur i szerokimi alejami. Toronto jest miastem świeżym i przestronnym, pełnym parków i traktów, miastem, w którym przyjemnie jest mieszkać. Po ponad dwóch miesiącach odkrywam, że leży ono nad brzegiem wielkiego jeziora Ontario, nad którym jest port jachtowy oraz turystyczna infrastruktura. Jezioro staje się moim ulubionym miejscem wypoczynku i jeśli nie jest zbyt zimno, długo spacerujemy wzdłuż jego brzegów.

Pomimo sporych rozmiarów miasto nie ma zorganizowanej przestępczości ani ulicznych rozbojów. Daleko stąd do operacji wymuszania okupu przez mafię amerykańską. Całe szczęście dla mnie, bo nigdy nie mógłbym się tu urządzić i rozwinąć działalności. Powstrzymano by mnie.

Jest mi dobrze, jestem szczęśliwy. Mam biznes, który zaspokaja moją potrzebę działania, mnóstwo pieniędzy i najpiękniejszą dziewczynę w ramionach. Zdarza się, że na całe miasto patrzę okiem właściciela.

Często wychodzimy we czwórkę, z Dianą i D'Amourem, który z konieczności powrócił do bardziej małżeńskiego życia.

Podobnie jak ja, Helena uwielbia ekshibicjonistyczną przesadę. Lubi się pokazywać i zaznaczać miejsca, w których bywa. Żeby sprawić jej przyjemność, zwiększam dawkę szpanu. Wychodzimy bez przerwy na ekstrawaganckie kolacje. Zawsze zamawiam tylko najlepsze rzeczy i zawsze z francuskim szampanem. Rachunki opiewają na astronomiczne kwoty. Moje niesłychane napiwki sięgają niekiedy wielu setek dolarów.

Wszędzie przyjmują nas z szerokim uśmiechem, i zaczyna się podstępna walka o to, kto będzie obsługiwał przy naszym stoliku. Jeśli Helena upuści widelec, pięć osób rzuca się, by go podnieść, i nie mogę wyciągnąć papierosa,

żeby nie rozpoczęły się prawdziwe fajerwerki. Widziałem w Truffles, jak kelnerzy zwyczajnie się pobili o przywilej obsłużenia nas.

Wszystko to podoba się Helenie. Dzięki niej poznaję modne w showbusinessie lokale. Często chodzimy do Julie's Mansion, wielkiego starego dwupiętrowego domu o eleganckim wystroju. To ulubione miejsce aktualnych gwiazd, obsługuje tu około dwudziestu kelnerów, jedna ładniejsza od drugiej, ubranych jedynie w przezroczyste sari pozwalające odgadnąć wszystkie ich wdzięki. Nie są fordanserkami, to raczej luksusowe kurtyzany, ich obecność dodaje estetycznego smaku doskonałej jakości potrawom. Pozostając wierny danemu słowu, nie odmawiam sobie jednak tak przyjemnych widoków.

Obiecałem monogamię i dotrzymuję obietnicy, pomimo nieustannych pokus. Zresztą Helena robi wszystko, żeby mi w tym pomóc. Któregoś wieczoru w Julie's Mansion, gdzie jestem już dobrze znany, wychodzi na chwilę, by poprawić fryzurę. Kiedy wraca, przy moim stoliku siedzi pięć dziewcząt, szczebioczących i uwodzicielskich. Helena z miną właściciela kładzie rękę na moim ramieniu i wystarczy krótkie zdanie, by przepędzić intruzki:

— Odejdźcie, on jest mój.

Pozwoliłem jej na to, bo owa manifestacja wyłączności rozbawiła mnie i przyniosła mi zaszczyt. Ale lata poligamii musiały wyrzucić na mnie swoje piętno, bo Helena, choć z jednej strony ma do mnie zaufanie, z drugiej ma się na baczności. Później dowiedziałem się, że przeprowadziła wywiad na mój temat i że pokłóciła się w klubie z Inez, która przyszła oskarżyć ją o kradzież narzeczonego, a przy okazji ostrzegła ją przed moją niestałością, wyśmiewając moje przyrzeczenie wierności.

Kiedy Helena dowiedziała się, że nasz związek rozpoczął się od kłamstwa, odeszła z płaczem. Żeby ją pocieszyć, kazałem zanieść jej orchideę oraz pierścionek wysadzany diamentami, który wygrałem tego samego wieczoru w pokera. Nie mogłem się powstrzymać, by nie powiedzieć jej, że otrzymałem go od mojej babki, która przekazała mi go na łożu śmierci. Przecież nie mogę zmienić się tak całkowicie!

Po tym incydencie Haig przyszedł do mnie na dłuższą rozmowę. Widział mnie już w akcji i niepokoi się, bo bardzo lubi Helenę.

— Nie wolno ci jej skrzywdzić. Helena to cudowna kobieta, zasługuje na to, żeby się nią opiekować.

— Ależ oczywiście, Haig. Nie ma problemu, no, przecież mnie znasz.

Patrzy na mnie w zamyśleniu:

— Znam cię, znam cię, to łatwo powiedzieć. Nie rozumiem ciebie, jesteś dziwny facet. Nie znam nikogo, kto w życiu codziennym byłby tak miły jak ty. Jesteś zawsze grzeczny, uprzejmy. Bardzo uprzejmy, masz dobre maniery, robisz wrażenie, jakbyś pochodził z którejś z najlepszych europejskich rodzin. Wszyscy są zgodni, że jesteś doskonały. Masz opinię człowieka hojnego, który chętnie pożycza pieniądze. Ale jesteś zdolny do takich niesłychanych metamorfoz! Kiedy grasz, wyglądasz jak wilk. Nie masz już przyjaciół i nie robisz prezentów. Czasami przeraża mnie ta twoja twardość, czuję, że nie ma w tobie litości. Jesteś dziwny — podsumowuje.

Pocziwy staruszek. Nie mogę wytłumaczyć mu wszystkiego, bo padłby tu trupem. Jest jedynym człowiekiem, który widzi mnie na co dzień nie znając prawdy o mnie.

Któregoś wieczoru wyraził chęć zagrania z nami w pokera. Odmówiłem. Moi współnicy byli zaskoczeni i niezadowoleni. Faktem jest, że nie mam prawa w ten sposób postępować wobec zespołu, który nie ma obowiązku liczyć się z moimi szlachetnymi uczuciami. Postanowiliśmy być łajdakami, trzeba nimi być aż do końca. Tym gorzej dla Haiga, jeśli ponowi swoją prośbę.

Bezlitosny jestem rzeczywiście, jeśli chodzi o pracę, i pozostaję nieugięty w kwestii długów. Tylko dwóm osobom udało się wykręcić. Jedną był sympatyczny i zabawny Włoch. Po przegranej przyszedł do mnie i powiedział, że nie jest w stanie mnie spłacić.

— Zupełnie szczerze, nie mogę, to wszystko. Nawet jeśli każesz mnie połamać na kawałki, nie będę w stanie dać ci nawet jednego dolara. Ale jeśli się zgodzisz, mogę się wykupić dostarczając ci mięso przez całą zimę! I co tydzień przynosi nam skrzynki włoskich produktów: salami, parmeńską szynkę, suchą kiełbasę i chianti.

Uznałem, że taka transakcja jest zabawniejsza niż rozwalenie mu głowy. Nie zasługiwałby na to.

Innemu też się udało, ze względu na jego zawód. Kokainowy dealer zawsze może płacić w naturze. A ja potrzebuję mnóstwo jego towaru. Nie mogę już usiedzieć w miejscu.

Jesteśmy teraz dobrze zorganizowani. Kupiłem pagera, czyli bip, którym moi wspólnicy posługiwali się już od jakiegoś czasu. Jest to małe czarne pudełeczko, na małe akumulatorki, które nosi się przy sobie, przy pasku lub w kieszeni. Jest na stałe połączone z centralą. Kiedy rozlegnie się dźwięk „bip”, wystarczy zatelefonować do centrali, by dowiedzieć się, kto mnie poszukuje i pod jakim jest numerem. Dzięki temu aparacikowi możemy błyskawicznie się kontaktować. W naszej pracy ma to ogromne znaczenie.

Jeśli znajdę interesującego gracza, którego zżera ochota na partyjkę pokera, wystarczy jeden telefon, by natychmiast, nie wzbudzając podejrzeń frajera, zorganizować dobrą spreparowaną grę.

Pager to bardzo niedawny wynalazek, mój aparat nosi numer 480. Jedyne problemy to konieczność posługiwania się szyfrem w rozmowach.

Z dyskretnego i bezpretensjonalnego lokalu zrobiłem jeden z najbardziej znanych klubów w mieście, przynajmniej w pewnym środowisku. Nie lubię się ukrywać, i choć podobają mi się rzeczy zabronione, to tylko w pełnym świetle. Jak długo to potrwa, tyle potrwa...

Ale dzisiaj czuję kłopoty. Zauważyłem dwóch facetów wyraźnie odbiegających od zwykłego tłumu klientów. Choć moi goście miewają bardzo różny wygląd, ci dwaj na pewno tutaj nie pasują.

Nie pociągnąłbym długo w podziemnym światku, gdybym nie potrafił wyczuć, że dzieje się coś nienormalnego. Ci dwaj faceci są mocno podejrzani. Mają wypisaną na twarzach pewność siebie bandytów i zepsucie najgorszych mętów. To właśnie mi przeszkadza.

Ubrani w skórzane kurtki, bawełniane koszulki, dzinsy i kowbojskie buty wyglądają na dobrze trzymających się trzydziestolatków, są wysocy i bardzo mocno zbudowani. Na pierwszy rzut oka można by pomyśleć, że to dwaj bokserzy albo zawodnicy futbolu amerykańskiego, w każdym razie byli sportowcy. Jedno jest pewne, ci dwaj nie zarabiają na życie pracą intelektualną.

Najbardziej jednak niepokoją mnie nie ich rozmiary, ale coś w ich zachowaniu, co każe oczekiwać najgorszego. Są zbyt wyzywający, zbyt pewni siebie, na granicy prowokacji. Patrzą dookoła ironicznym wzrokiem i zupełnie

mi się nie podoba ich uśmiech, kiedy często I podchodzą rzucić okiem na stół. Zachowują się jak zdobywcy.

Kiedy wstaję, żeby pójść do toalety, stoją oparci o kaloryfer, przy wejściu na salę gier. Patrzą na mnie, jak przechodzę koło nich, w spojrzeniu mają wyzwanie, i czuję ich wzrok na moich plecach, kiedy idę w stronę drzwi.

Ogarnia mnie nagle wściekłość. Szukają zaczepki. Usiłuję się opanować. Nie chcę awantur w klubie; najpierw trzeba pogadać, żeby zorientować się, z kim mam do czynienia. Ale kiedy wracam na salę, widzę, jak właśnie wychodzą na zewnątrz.

Domyślam się, że wrócą. Nie przyszli tu bez powodu.

Rzeczywiście, następnego dnia, już dosyć późno, przychodzą i ustawiają się w tym samym miejscu.

Poczyliłem pewne przygotowania. W głębi sali gier, w szufladzie szafy, strzelba z obciętą lufą jest w zasięgu ręki. Nie mam zaufania do kalibru 25 Rosjanina. Riot-gun wygląda poważniej. Robi dziury jak talerze.

Po przeciwnej stronie klubu widzę Paola, rozwalonego w fotelu, pod którym ukrył kij baseballowy. Na początku wieczoru musiałem pójść do komórki, w której spał, i zdrowo nim potrząsnąć.

— Paolo, umiesz się tym posługiwać? — zapytałem, podając mu kij.

Jeszcze nie rozbudzony wziął go odruchowo i odpowiedział:

— O tej porze? Na dworze jest strasznie zimno... a poza tym w baseball to ja...

— Ależ nie o to chodzi. Trzeba walnąć kogoś w łeb.

— A, to w porządku.

Uśmiecha się szeroko i od razu trzeźwieje. Każę mu zejść na salę i czekać w pogotowiu.

Klub powoli pustoszeje, a oba osiłki nieustannie przechadzają się po salce w głębi, z ironicznymi uśmieszkami na ustach.

Jestem podniecony paroma rządkiem kokainy, mam wszystkie nerwy na wierzchu i coraz trudniej mi się opanować za każdym razem, kiedy dostrzegam któregoś z nich. Ale zajmuję w grze kluczową pozycję i muszę zachować spokój. Wiem, że to już niedługo.

O czwartej gra kończy się z braku jeleni. Wielkim wygranym jestem dziś ja. Zatrzymuję zespół, który właśnie zamierza opuścić salę.

— Zostańcie tutaj, jacyś faceci szukają guza.

Nie zauważyli niczego i pozostają na miejscach, zaskoczeni, oczekując na wyjaśnienia. Jedynie Chuck, bystrzejszy od innych, rzuca spojrzenie w stronę obu potężnych, którzy stoją w drugiej sali.

Klub jest praktycznie pusty. Haig zniknął w kuchni, żeby przeliczyć utarg z kelnerami. Daje znak moim współnikom, by usiedli na krzesłach pod ścianą, obok drzwi. Ja sam pozostaję za stołem, z twarzą do wejścia, obok szuflady, w której leży riot-gun.

Obaj faceci powoli zbliżają się, wypinając piersi, i wchodzi do sali. Młodszy idzie przodem, z uśmiechem na ustach, bardzo pewny siebie. Kurtki mają rozpięte i nie ma sposobu, żeby się dowiedzieć, czy są uzbrojeni. Widzę, jak w głębi klubu Paolo powoli wstaje.

— Cześć.

— Cześć.

Dopiero w tym momencie zauważają, że nie jestem sam. Najwyraźniej spodziewali się zastać mnie samego. Niedobry punkt dla nich. Ale to nie zbija ich z tropu, i młodszy, blondyn z wrednym uśmiechem na twarzy, mówi:

— Zauważyliśmy, że sporo wygrywasz.

— Tak, mam szczęście! — mówię, zgarniając forszę leżącą przede mną.

— Gównu, nie szczęście! Oszukujesz, mały, i chcemy dostać swoją część.

A więc o to chodzi. To tylko wymuszanie okupu, nic poważnego. Zanim przejdziemy do poważnej rozmowy, chciałbym jeszcze upewnić się, że nie mają broni.

— OK. Pogadamy. Wiecie, tu nie ma wiele forsy.

— Nie udawaj kretyna, makaroniarzu. Z nami to nie pójdzie.

Mówi cały czas blondyn, jeszcze pewniejszy siebie teraz, kiedy myśli, że się boję. Poczekaj chwilę, koleś!

— Per la Madonna, ale wy jesteście agresywni! Siadajcie, pogadamy!

— Nie!

— Napijcie się chyba czegoś?

— Nie!

Starszy nie powiedział słowa, ale blondyn coraz bardziej się denerwuje. Mają te skurwysyny broń czy nie?

— Nie będzie wam przeszkadzało, jeśli naleję sobie kieliszek? — pytam, podchodząc do szafy z przepraszającym gestem.

Świadom ich spojrzenia wbitego w moje plecy, naturalnym gestem otwieram szufladę. Potem wszystko odbywa się bardzo szybko. Chwytam strzelbę obracając się jednocześnie na pięcie. Zanim którykolwiek zdołał zareagować, przystawiam lufę do piersi blondyna.

— Więc chcesz mojej forsy, asshole?

Wskazuję na plik banknotów na stole.

— No, proszę, weź sobie, fucking son of a bitch!

Rozsadza mnie nienawiść, jaką nagromadziłem w sobie przez ostatnie dwa dni na myśl, że ci dwaj w ogóle ośmielili się pomyśleć o zabraniu mi mojej forsy. Mam niesamowitą ochotę rozwalić im łby!

— Więc ja oszukuję, a ty chcesz swoją część, mother-fucker? No więc dalej, bierz ją sobie!

Pobledli, zaskoczeni moją reakcją, cała pewność siebie znikła, stoją jak skamieniali.

— Nie, poczekaj, wytłumaczmy ci. Wait a minute...

Już za późno. Nadbiega Paolo. Nie zadając zbędnych pytań potwornym ciosem kija baseballowego wali blondyna, który pada na ziemię. Teraz rzucają się wszyscy.

D'Amour daje facetowi kopniaka prosto w mordę. Drugi gość ma refleks. Rzuca się do przodu. Uderza Bananasa pięścią w wątrobę i dobiega do drzwi, tam wywraca Paola pchnięciem ramienia i znika.

Chcę biec za nim, widzę, jak do walki przyłącza się Chuck. Ale przeszkadza mi stół i tamtemu udaje się uciec. Tymczasem na sali odbywa się jatka. Kopniakami, uderzeniami pięści i kijów baseballowych moi współnicy pastwią się nad skurwysynem, który ryczy z bólu. Na salę wpada przerażony Haig.

— Co się dzieje, zwariowaliście?

Na widok ciała blondyna, który leży znokautowany na dywanie, Haiga przechodzi dreszcz.

— Co to... zabiliście go?

— Nie, ma twardą głowę. Pilnuj swego nosa, to nasze sprawy.

Nie słuchając jego protestów podnoszę skurwiela i sadzam go opierając o ścianę. Dostał solidnie. Obawiając się, by nie wstał, bo to naprawdę góra mięśni, Paolo, Chuck i Louie walili z całej siły.

— Dobra, a teraz gadaj. Kto cię nasłał? Dokąd zwał twój kumpel? Kim jesteście?

Każde pytanie podkreślam uderzeniem w twarz zamkniętą dłońią. Facet, przygwożdżony lawiną ciosów, nie jest w stanie odpowiadać. Ale czas nagli. Jego koleś może coś szykować, i trzeba go szybko zneutralizować.

— Cizia, telefon.

Dzwoni tamten, ogarnięty paniką.

— Nie zabijajcie go! Zaszła pomyłka. Nie zabijajcie go!

— Gdzie jesteście?

— Niedaleko, pozwólcie mu odejść, mówię wam, że to pomyłka.

— Jeśli chcesz odzyskać kolegę, to przyjdź się tłumaczyć tutaj.

— OK, ale porozmawiajmy spokojnie. Żadnych pułapek.

— Jeśli chcesz go odzyskać, przychodzisz zaraz, i to sam. To wszystko!

I odkładam słuchawkę.

— Paolo, bierz dwudziestkępiątkę i schowaj się w samochodzie. Gdyby było ich więcej, zatrąb.

Parę minut później dzwonek do drzwi. Panująca na dworze cisza upewnia mnie, że jest sam, i otwieram drzwi. To rzeczywiście on, trzyma ręce na widoku, na ustach ma przepaszający uśmiech.

— Wchodź.

Kieruję lufę na jego brzuch. Paolo, który podszedł do niego od tyłu, przykłada mu pistolet do nerek.

— No, co? Umówiliśmy się, że porozmawiamy spokojnie!

— Zamknij się! Włącz.

Prowadzę go pod lufą do sali i sadzam na krześle koło jego kumpla, na którego rzuca zaniepokojone spojrzenie.

— No dobra, więc co masz do powiedzenia?

I przez dwadzieścia minut przepasza. Nie wiedział, nie chciał, to jego kumpel powiedział mu, że jest łatwy numer do zrobienia. Potrzebują forsy, ale do mnie osobiście nic nie mają.

Kiedy mówi, nie mogę powstrzymać uczucia szacunku. Ten facet ma zalety. Wrócić prosto w paszczę lwa, żeby uratować kumpla! Odwaga i wierność to cechy, które szanuję. To go ratuje. Ten drugi dostał za swoje, to wystarczy. Najadł się strachu na całe życie. To facet przyzwyczajony do

zadawania ciosów, a nie do ich otrzymywania, zwłaszcza od mniejszych od siebie.

Nikt za nimi nie stoi. Pozwalam im odejść. Przedtem daję nawet kieliszek pobitemu, żeby miał siłę dojść do parkingu... Na dworze luty mróz. Patrzę, jak ich stary buick buksuje na lodzie, po czym odjeżdża. Uspokojony wracam do klubu.

Haig czeka na mnie na górze, wydarzenia przerosły go.

— Cizia! Cizia! Co tu się dzieje? Coś ty znowu narobił?

— Ci dwaj przyszli tutaj, żeby zabrać ci twój klub. To bandyci, złodzieje. Masz szczęście, że to mnie wzięli za właściciela.

Haig nie wygląda na przekonanego, ale nie nalega. Wzruszam ramionami i zamyślony idę zabrać forszę.

Haig, staruszkule, za dużo myślisz. Przy całym szacunku, jaki dla ciebie żywię, będę zmuszony rozwiązać twój problem. Za bardzo się niepokoisz, a nie chciałbym, żebyś wbił sobie do głowy pomysł zlikwidowania gier w moim klubie.

Banas rozpoznał jednego z naszych gości, starszego, tego, który wrócił po kumpla. Według niego facet pracuje w nocnym lokalu w centrum, na Dundas Street. Jest tam bramkarzem.

Następnego dnia idę go odwiedzić, sam, ale uzbrojony. Nie sądzę, by mi coś groziło, ale wolę się upewnić, że ostatecznie zrezygnowali z robienia mi problemów i że nie mają zamiaru się mścić.

Wejście do lokalu strzeżone jest przez ogromnego faceta z mordą buldoga, o wyjątkowo odpychającym wyglądzie. Jego nabijany metalowymi gwoździami pas z trudem podtrzymuje wielki brzuch piwosza. Siedzi i je hamburgera, obficie mażąc koszulkę i podbródek keczupem.

— Słucham?

Przygląda mi się, już wrogo nastawiony, oczka przymrużone. Jestem zbyt dobrze ubrany i nie podobam mu się.

— Szukam faceta, który tutaj pracuje. Wysoki brunet.

— No wiem, Harry. Co od niego chcesz?

Raz jeszcze taksuje mnie wzrokiem, pochłania resztę hamburgera i z trudem wstaje, by zapukać w znajdujące się za jego plecami drzwi. Otwiera się judasz.

— Powiedz Harry'emu, że jest jakiś facet do niego.

Harry jest zaskoczony moim widokiem.

— Spokojnie, chcę z tobą pogadać. Mam dla ciebie propozycję.

Wewnątrz śmierdzi mieszanką potu, rozlanego piwa i tanich perfum; charakterystyczny zapach amerykańskich knajp. Jest ciemno i duszno. Tłum ludzi podryguje na parkiecie słuchając ogromnego czarnego pianisty, śpiewającego ochrypłym głosem. Dwóch czy trzech zdechłaków na drugim planie uzupełnia tę orkiestrę.

Harry toruje nam drogę do baru i autorytatywnie odsuwa klientów, żeby zrobić miejsce dla nas.

— Czego się napijesz?

— Whisky bez wody.

Pochyleni nad kontuarem dwaj faceci głośno pociągają nosem. Lokal mocno pachnie meliną dealerów. Dookoła stoją klienci, zataczający się bynajmniej nie od alkoholu. Zamieniam kilka słów z Harrym i upewniam się, że żywimy do siebie urazy.

— Powiedziałeś mi wczoraj, że potrzebujesz forsy, zgadza się?

— Tak.

— Chcesz pracować dla mnie?

Patrzy z obrzydzeniem wokół siebie, po czym odpowiada.

— Tak.

To dobry nabytek. Zastąpi Paola, którego brak snu i kokaina porządnie już zniszczyły. Nocne życie nadało mu zielonkawą cerę, i chwilami moje polecenia z trudem torują sobie drogę do jego zamglonego umysłu.

Jego bokobrody zwiędły. Zaczyna zamieniać się w ruinę. Nie tylko on zresztą. Nadużywanie wszystkiego, co się da, niszczy moje zdrowie. Moje mięśnie zanikają, jestem blady i mam krótki oddech. Przeszkadza mi to. Niedobrze jest się tak zapuścić, a w mojej sytuacji może to nawet być niebezpieczne. Problemy pojawić się mogą w każdej chwili, i dobrze byłoby przygotować się fizycznie na każdą ewentualność, bo strzelanie do ludzi jest zabronione.

Jak dotąd moja wrodzona złośliwość, moje zepsucie i moje szczęście pomagały mi w różnych bijatykach, z których zwykle wychodziłem w korzystnej sytuacji. Nie jestem mały, ale w tym kraju wszyscy są co najmniej o głowę wyżsi. Jestem odważny, ale trochę treningu dobrze by mi zrobiło. I D'Amourowi też.

Utwierdzam się w tym ponownie dziś rano, kiedy patrzę w lustro. Naprawdę nie jest dobrze. Zamiast obrazu niepowstrzymanego zdobywcy, opromienionego aureolą, lustro pokazuje mi jakiegoś podstarzałego chylącego się ku upadkowi faceta, ubranego w zbyt obszerny jedwabny szlafrok.

Widzę przed sobą nie tylko głowę wariata, ale w dodatku człowieka, który przedwcześnie się postarzał, z ogromnymi sińcami pod oczami, i Już od dawna nie sypiam więcej niż parę godzin na dobę.

Przyglądam się sobie w lustrze, usiłuję napinać mięśnie, przyjmować korzystne pozy.

Nic z tego. Ruina!

Lustro, lustro... Musiałoby być cholernie magiczne albo cholernie kłamliwe, żeby pokazać mi korzystny obraz mojej osoby. Jak tak dalej pójdzie, czeka mnie cmentarz w krótkich abcugach, i moim wrogom pozostanie patrzeć, jak czas wykonuje ich zemstę. Muszę koniecznie coś zrobić!

Łażę trochę po mieszkaniu, w którym są liczne ślady wczorajszej zabawy, i myślę nad rozwiązaniem. Na stole walają się szklanki, na ziemi leży butelka, której zawartość wsiąkła w dywan. Na małym lusterku leżącym na komodzie, obok zwiniętych w rurki banknotów, dwa zapomniane rządki kokainy wskazują mi źródło mojego upadku.

Oto winowajca! To ten narkotyk mnie wykańcza!

Mściwym ruchem wciągam nosem oba rządki, robię sobie kawę i zdecydowanym krokiem, choć nadal w złym humorze, idę przez korytarz zapukać do drzwi D'Amoura.

Odpowiada mi poszczekiwanie dwóch glistowatych piesków, po czym Diana przychodzi otworzyć; jej oczy kleją się od snu, a z mordy cuchnie alkoholem.

Jest w stanie jeszcze gorszym niż ja, i z trudem powstrzymuję grymas obrzydzenia. Nad jej policzkiem beznadziejnie zwisają sztuczne rzęsy, których w pijackim zamroczeniu zapomniała zdjąć poprzedniego wieczora. Ubrana w różowy szlafrok i domowe pantofle z różowymi pomponami wygląda jak stara kurwa u kresu kariery.

Na sam jej widok moje samopoczucie pogarsza się jeszcze bardziej.

— Obudź swojego faceta!

— Dlaczego?

— Jak to dlaczego? Obudź go, mówię ci!

I tak znoszę ją z trudem, ale dziś rano wygląda tak wulgarnie, że napawa mnie obrzydzeniem. Tylko ze względu na D'Amoura dotąd nie dałem jej kopa w tyłek.

Wiem, że robiła przykre uwagi Helenie, którą usiłuje małpować. Tak jak gdyby ropucha mogła upodobnić się do białej gołębiczy!

Dziś rano nie lubię nikogo!

Zataczając się do drzwi podchodzi Louie, usiłujący zawiązać swój szlafrok.

— Co się stało, Cizia? Która godzina?

— Partner, trzeba się przygotować, mamy dużo roboty.

— Co takiego?

Znajduje się jeszcze w oparach snu, łapie go więc za ramię i obejmuję jego biceps dookoła palcami jednej dłoni.

— To wszystko ma być umięśnione. I to szybko!

Patrzy na mnie zaskoczony, przekonany, że zwariowałem. Opowiadam mu o dobroczynnym wpływie kultury fizycznej, o przyjemności płynącej z posiadania dobrze umięśnionego ciała, doskonale funkcjonującego, oraz o dumie, jaką się odczuwa, kiedy w ładnym stylu poobrywało się komuś uszy. Niezbyt przekonany przejmuje jednak mój entuzjazm.

— Zgoda, ale bez dłoni.

— OK. Bez dłoni.

I w ten sposób, po dokonaniu paru zakupów, znajdujemy się w hali kulturystycznej.

— Cizia, chodź! Pomóż, szybko!

Znowu D'Amour ma kłopoty. A przecież tak dobrze zaczęliśmy. Byliśmy bardzo eleganccy. Wy tłumaczyłem Louie, że porządny trening zależy przede wszystkim od starannego wybrania odpowiedniego stroju. Kupiłem sobie biały szlafrok frotte, jaskrawoniebieskie spodenki, a na ramiona od niechcienia zarzuciłem odpowiednio wyglądający ręcznik. D'Amour ma taki sam komplet, tylko czerwony.

Rezultat nie jest taki, na jaki liczyliśmy w sklepie. W moim przypadku to jeszcze ujdzie. Choć nie jestem przesadnie umięśniony, jako tako wyglądam. Ale Louie jest żałosny. Nigdy w życiu nie zrobił fizycznego wysiłku, i kiedy widzę go wychodzącego z szatni, wybucham śmiechem. Jest chudy, biały jak

umywalka, a jego patyczkowate nogi nikną w zbyt szerokich spodenkach. Urażony usiłuje przed lustrem naprężyć niedostrzegalne bicepsiki.

Na sali czuć pot i zapach nóg. D'Amour wpuszczony zostaje pomiędzy facetów o imponujących muskułach, o ciałach wysmarowanych tłuszczem, którzy szpanują przed lustrami. Napięcie mięśni pośladków z prawej, napięcie z lewej, mały palec delikatnie odstaje. Od czasu do czasu któryś z nich podnosi jakąś sztangę, po czym wraca przed lustro, by się podziwiać. Prawią sobie nawzajem komplementy i zapisują wyniki pomiarów na małych karteczkach.

Co ja tutaj robię?

D'Amour położył się na plecach, by spróbować podnieść metalowy gryf połączony z jakimiś kablami. Louie, którego tors ma kształt pompki od roweru, został przygnieciony tym świństwem i teraz wzywa pomocy.

Nie rozumiem, jak działają te wszystkie urządzenia. Ciągnę, popycham jakieś dźwignie, nie osiągając specjalnych rezultatów. Denerwuję się, przeklinam i zaczynają patrzeć na mnie dziwnym wzrokiem. Przyszedłem w niewłaściwe miejsce.

Obok jest ciekawiej. To sala bokserska, gdzie przyszłe sławy podmiejskich ringów systematycznie przychodzą poprawić sobie profil. Trenerzy, z nieodłącznymi ręcznikami na ramionach, wrzeszczą, że trzeba walić mocniej. Kilku sponsorów o wyglądzie sutenerów, w trzyczęściowych garniturach i z cygarami w zębach, przychodzi niekiedy usiąść na sali, żeby porozmawiać o zaletach swoich podopiecznych.

W Azji trenowałem boks tajlandzki, wszechstronny i niebezpieczny sport, i spodobało mi się to. Tutaj śmierdzi i jest za dużo ludzi. Idę po D'Amoura, który drzemie w jakimś kącie.

— Chodź, zmywamy się stąd! Nic tu po nas. Znajdziemy co innego.

Mam już nowy pomysł.

— Źle podeszliśmy do sprawy. Mięśnie są niepotrzebne. Nam potrzebna jest technika walki.

Kupujemy szybko nowe stroje i wczesnym wieczorem przychodzimy do klubu karate, wybranego z książki telefonicznej.

Położony jest w środku Chinatown, nad restauracją. Na fasadzie domu straszy całą ulicę trzymetrowej wysokości karateka o twarzy zniekształconej nienawiścią i łuszczącą się farbą.

Tym razem rzecz wygląda poważnie. Obaj ubrani jesteśmy w prawdziwe kimona najwyższej jakości. Jestem złakniony wiedzy i od razu przyznałem sobie czarny pas. Czarny i biały to dwa kolory, które świetnie do siebie pasują. Wokół czoła zawiązałem przepaskę ze stylizowanym zachodzącym słońcem, emblematem japońskich kamikaze. Przed moją pierwszą lekcją gotowy jestem na wszystko.

Na sali grupa uczniów ćwiczy pod kierunkiem starego brodatego instruktora, który wygląda mi na zaspanego. Na uboczu, ubrani w kimona wyszywane na czerwono, czarno lub biało, faceci na wyższym poziomie doskonałą swoje techniki parami, wydając groźne okrzyki. Kompletnie zestawy szabel, kijów i innych przyrządów, które mogą być niebezpieczne, jeśli ktoś umie się nimi posługiwać, pozawieszane są na ścianach wokół zdjęć przedstawiających wielkiego mistrza oraz widoki Japonii.

Uniknąwszy tradycyjnego ukłonu w stronę tatami, usiłujemy wykonać rozgrzewkę. Boli mnie wszędzie, był już najwyższy czas, żeby się za to zabrać. W tej dyscyplinie większość roboty wykonują przedramiona. Aby je zahartować, walimy jak wariaci w wyściełane gąbką deski. Kiedy wychodzimy, czuję entuzjazm. Czuję się doskonale. D'Amour również, choć ma nieco sztywne ręce, przez co tego wieczoru zmuszony jest do szybkiego odejścia od stołu gry, by uniknąć błędów manipulacyjnych.

Ale następnego dnia jest już fatalnie. Mięśnie mam sztywne i odczuwam ból w całym ciele. Kiedy przychodzi po mnie Louie, mam ochotę wszystko rzucić w diabły.

Ledwie przychodzimy, instruktor ponownie każe nam walić w te przeklęte kawałki drewna. Jestem śpiący i raczej mam ochotę walić w kogoś. Na szczęście instruktor wzywa nas, by nauczyć paru chwytów, nie omieszkawszy przedtem poczynić uwag na temat mojego stroju.

Donośne „bip” z mojego pagera, przyczepionego do czarnego pasa dziesiątego dan, najwyraźniej mu się nie podoba, bo pozwalam sobie go uciszyć, żeby wysłuchać przeznaczonej dla mnie wiadomości. Za pierwszym razem dzwoni Helena, życząc mi dobrego dnia, następnie Chuck, który prosi o telefon; w tej sytuacji instruktor musi prowadzić mnie do swojego biura, gdzie znajduje się aparat. Kiedy wracam na salę, posyła mi posępne spojrzenie. Nie ośmiela się protestować, bo moje „bip” każe mu domyślać się, że jesteśmy gliniarzami.

Trenuję z wielkim kretynem, który umyślnie zadaje mi ból za każdym razem, kiedy pokazuje mi cios; a w dodatku stary wydaje mi rozkazy... Czuję się, jakbym był w szkole!

To też nie jest jeszcze dobra metoda. To nienormalne, żeby kłaniać się sobie po każdym ciosie. Wszyscy muszą być tutaj jacyś zakompleksieni. Trzy dziewczyny, które z nami ćwiczą, są paskudne i mają owłosione nogi. Z pewnością nie trenują, żeby nauczyć się bronić przed próbą gwałtu, bo pod tym względem nic im nie grozi.

A tamten dalej wali mocno, umyślnie. I to z uśmiechem. Korzystam z chwili przerwy, kiedy opuszcza gardę, żeby trochę odpocząć, i ramię go nogą w szyję, po tajlandzku, rozkładając go na ziemi.

Właśnie przepraszam instruktora, zapewniając go, że był to tylko pożałowania godny odruch, kiedy rozlega się ryk bólu, po czym trzaska donośny policzek. Zaraz potem nadbiega Louie, trzymając się za przegub, z twarzą wykrzywioną grymasem godnym ciężko rannego.

— Ta cipa zwariowała. Chciała mi złamać nadgarstek. Wyobrażasz sobie?

Wymachuje mi przed nosem swoimi długimi białymi dłońmi szulera. Na prawej widnieje czerwona pręga.

OK, dosyć tego. Odciągam instruktora na bok.

— Słuchaj, profesorze, te twoje historie nas nie interesują. Nam są potrzebne kursy przyspieszone. Jesteśmy bardzo zajęci i nie mamy czasu uczyć się ukłonów. Rozumiesz? Pokaż nam tylko jakieś dziesięć ciosów, tak żeby poobrywać uszy i powybijać oczy, szybko, jakieś techniki duszenia albo nie wiem co jeszcze. Mogę ci zapłacić bardzo dużo, jeśli szybko nas tego nauczysz.

Jest zdumiony. Jego dostojne usta są półotwarte i cała mądrość zniknęła z jego tępych oczu. Potrzebuje dobrej minuty, żeby dojść do siebie i mówić wyraźnie.

— Ależ to niemożliwe!

Tłumaczy mi, że to, o co go proszę, kłóci się z duchem sztuki walki, że naucza raczej pewnej filozofii niż technik bojowych, i że celem sztuk walki nie jest zabijanie, lecz właśnie unikanie przemocy.

— Brutalne stosowanie karate nie pomoże wam zrozumieć prawdziwej drogi, jaką prowadzi ta sztuka. Jej celem jest poszukiwanie harmonii z przyrodą, poprzez poznanie samego siebie.

Co mi tu opowiada ten stary bonza?

— No dobra, może się jakoś dogadamy. Zrobimy szybko te wszystkie historie, jak medytacja i ukłony, i przejdziemy do spraw poważnych. Zgoda, profesorze?

Potrząsa głową, zasmucony moim brakiem zrozumienia.

— To niemożliwe. Nie w takim celu wielcy mistrzowie przekazali nam swoją sztukę.

Słucham go uprzejmie, ale głównie mam ochotę mu przyłożyć, żeby przestał opowiadać mi te swoje bzdury. Z tego starego żadnego pożytku już nie będzie.

Opuszczamy klub, zostawiając po sobie przyjacielskie rady wypisane na ścianach szatni. Miejmy nadzieję, że nie jest sprzeczne z ich filozofią wsadzanie sobie wielkich mistrzów w dupę.

Trudno. W gruncie rzeczy moja metoda nie jest taka zła. Po tych wszystkich latach ulicznych bójek daję sobie jakoś radę. Potrzebuję tylko udoskonalenia. Wracam więc do sklepów: kupuję kij baseballowy, kastet i trzydziestkęosemkę z krótką lufą, o spiłowanym numerze.

Paolo wbił hak w sufit mojego pokoju i zawiesiłem tam sześćdziesięciokilogramowy worek treningowy. Od czasu do czasu wyładowuję się na nim i wygląda to bardzo elegancko.

D'Amour jest szczęśliwy. Miał już dosyć tych kretynizmów. Przez obolałe mięśnie popełnił kilka błędów manipulacyjnych przy stole.

A właśnie nadszedł czas, żeby wykazać się skutecznością, bo Haig zdecydował się grać, a ja się zgodziłem. Od czasu rozróby coraz częściej kręci się w pobliżu stołów do gry. Pragnie zrozumieć szaleństwo, które popycha tych wszystkich ludzi do przegrywania własnych pieniędzy. Około trzeciej nad ranem siedzi już przy stole do black-jacka.

Haig jest lekko podchmielony i ma wielkopański gest. Pod koniec nocy przegrał już dwa tysiące pięćset dolarów, w gotówce.

Mam już na niego haka.

Haig stanął mi na drodze. Jest przerażony skalą, na jaką rozkręciłem jego klub, i wielokrotnie mówił mi o potrzebie zmniejszenia liczby gier. Ani mi to

w głowie! Trzeba więc, żeby zadłużył się u nas tak, bym miał zapewnioną jego współpracę, a przynajmniej neutralność.

Przez tydzień będzie walczył ze swoim przeznaczeniem. Co wieczór, około trzeciej, kiedy ubywa gości, siada do stołu, rozgorączkowany, usiłując odegrać się za straty dnia poprzedniego. Gra to nałóg, w który popada się szybko. Niebawem też Haig traci swoją pewność siebie. Jego stare ręce drżą, kiedy kładzie przed sobą stos żetonów.

Dziesiątka, trójka, dziesiątka. Znowu przegrał, ociera pot z czoła wielką chustką w kratę, którą, zdenerwowany, omyłkowo wkłada do zewnętrznej kieszonki marynarki. Łatwo traci rozsądek, przyzywa dobre karty, kreśli na stole znak krzyża.

Kiedy, dla uprawdopodobnienia całości, pozwalamy mu wygrać parę razy, ściąga uwagę całej sali swoimi okrzykami. Przy grze w craps ogarnia go prawdziwy szal. Jest niskiego wzrostu, ale zajmuje przy stole więcej miejsca niż ktokolwiek inny. Przemawia do kostek, każe mi na nie chuchać, każe chuchać sąsiadom, sam traci oddech, po czym bardzo mocno wyrzuca je prawie kładąc się na stole. Czekam tylko, kiedy się na niego wdrapie, żeby odczytać wynik. Gra pochłonęła go całkowicie. Niezmiennie, każdego ranka, powtarza mi to samo: „*Jutro będę miał szczęśliwy dzień, jutro*”.

Już trzeciego dnia nie jest w stanie spłacić swoich długów. Przegrał dziesięć tysięcy dolarów, płacąc gotówką, stanowi to całą jego rezerwę. Odmówiłem przyjmowania jego pierścieni i innych przedmiotów pod zastaw, pozwalam mu grać na kredyt. Wiem, że w ten sposób tym pewniej się pograży. Dopóki pieniądze nie leżą na stole, gracz nie zdaje sobie do końca sprawy, ile przegrał. Haig, całkowicie pochłonięty swoją pasją, nie jest tu wyjątkiem. Po tygodniu jest mi już winien czternaście tysięcy dolarów. Zatrzymuję go.

- Haig, dosyć tego. Trzeba pomyśleć o spłacie długu.
- Ależ Cizia, przecież wiesz, że nie mam pieniędzy.
- Wiem, i to właśnie mnie niepokoi.
- Ale muszę się odegrać. Pozwól mi grać.
- Nie. Pora zapłacić.

Porzucam ton koleżeński i rozmawiam z nim twardo. Nie muszę się wysilać, żeby zrobić na nim wrażenie. Ociera czoło, jak zwykle, chusteczką w kratę. Powrócił na ziemię, szaleństwo go opuściło.

— Ależ Cizia, ja nic nie mam, wiesz o tym. Mam tylko ten dom.

— Ile jest wart?

Przechodzi go dreszcz, przykłada rękę do serca.

— Nie! Nie to! Proszę cię, nie to!

Oczy zachodzą mu łzami. Zdaje sobie sprawę, w jakie szambo się wpędził, i zderzenie z rzeczywistością okazuje się zbyt trudne. Stracił cały swój splendor. Teraz jest już tylko małym staruszkim, zagubionym w świecie, który jest dla niego zbyt twardy.

— Cizia, to wszystko co mam. To całe moje życie. Nie możesz tego zrobić przyjacielowi.

— Haig, nie próbuj mnie brać na sentymenty. Przyjaźń nie ma tu nic do rzeczy. Znasz zasady: przegrywasz, płacisz.

— Ale ja nie mogę!

Boże, jak trudno jest czasem być skończonym skurwysynem! Przez kilka chwil patrzę na niego udając, że szukam wyjścia z sytuacji.

— Dobra, dogadamy się. Ale musisz mi coś obiecać.

— Wszystko, co tylko zechcesz, Cizia.

— Obiecuj, że nie będziesz już grać.

— Przysięgam ci, przysięgam!

Spluwa na ziemię, podnosi lewą rękę, prawą, spluwa na nowo i proponuje, że przyniesie Biblię.

— Nie, wierzę ci. Więc zachowasz swój dom, ale...

Zawisa na moich wargach, z iskierką nadziei w oku.

— ...ja przejmuję kierownictwo klubu. Pozostajesz właścicielem ścian, do mnie należy biznes. Będziesz sprawował zarząd pod moim kierownictwem, a zyski będziemy dzielić.

Odczuwa pewną ulgę. Jego interes rozwinął się na skalę, która go przerażała. Dopóki chodziło tylko o normalny booze-can, działał skutecznie. Ale teraz sprawa go przerosła. Zapomniałem już, że klub jest nielegalny. Porwany moim pędem do wielkości widzę oczyma duszy obrazki z czasów prohibicji: gra dzień i noc, kobiety, alkohol i narkotyki bez ograniczeń. Podziemny świat. Żaden booze-can tak się nie rozwinął. Teraz należy do mnie. Zrobię z nim, co będę chciał. Haig, widząc, że się rozmarzyłem, trochę się niepokoi.

— Ale musisz jednak uważać, to może się stać niebezpieczne.

Coraz więcej czasu spędzam z Harrym, który został moim nowym gorylem. Po stażu, jaki przy mnie odbył, Paolo dobrze zasłużył na stanowisko zastępcy menedżera La Strady. Mając tylko jedną posadę zamiast dwóch będzie mógł szybciej wrócić do formy.

W wyniku moich starań Harry obciął włosy, ogolił się, nosi nowe ubranie i nie ma już mordy żebraka. Jest człowiekiem o miłej powierzchowności i regularnych rysach, wygląda, jakby wyszedł prosto z uniwersytetu. Jego lekko rozmarzone spojrzenie jeszcze bardziej podkreśla wygląd nauczyciela gimnastyki.

Jest bardzo silny i umie się bić, ale absolutnie nie jest brutalem o małym mózdzku. Mówi niewiele, ale odkąd pracuje dla mnie, często rozmawiamy i przekonałem się, że jest dość inteligentny i wykształcony, bo lubi czytać. Uwielbia Steinbecka. Jest smutny, niekiedy roztargniony, zdarza mu się uśmiechnąć, ale nigdy się naprawdę nie śmieje.

Nazajutrz po objęciu przez niego służby zrozumiałem, kim jest, kiedy zauważyłem, że lekko kuleje. Ma rozwalone lewe kolano.

Spostrzegł moje spojrzenie i wyznał mi:

— Byłem ranny. Wojna...

Harry to „*vet*”, weteran wojny wietnamskiej. Jak większość jemu podobnych jest zagubiony, odrzucony, szamocze się pomiędzy ciężarem strasznych wspomnień i przykrościami, jakie spotykają go od czasu powrotu.

Urodzony w Oklahomie, w jakiejś dziurze, gdzie przeznaczeniem jego było zostać farmerem, pojechał prosto do dżungli. Kazano mu iść i zabijać, więc słuchał rozkazów. Kiedy wrócił, opluto go nazywając katem i obarczając jego osobiście za napalm, bombardowania i wszystkie okrucieństwa popełnione tam przez obie strony.

Szybko miał tego dość i ponownie opuścił swoją błotnistą dziurę, tym razem wyjeżdżając do Kanady. Nienawidzi Stanów Zjednoczonych i nie chce już o nich słyszeć. Poza raną i wszystkimi przykrościami US Army zostawiła mu jeszcze jeden prezent: heroinę, od której nie potrafi się całkowicie uwolnić.

Lubię tego faceta. Zaprosił mnie do siebie, do malutkiego podłego mieszkania w downtown, gdzie mieszka ze swoją rodziną. Jego żona to malutka blondynka, niezwykle blada, niemal przezroczysta, o ogromnych bardzo jasnych oczach, zajmujących połowę twarzy. Ich synek, mały silny

człowieczek, ma cztery lata i nazywa się Marlon, jest sympatyczny i pełen życia.

Dałem im pieniądze, żeby mogli zmienić dzielnicę i znaleźć sobie większe mieszkanie. Muszą zmienić otoczenie.

Harry ma dwadzieścia siedem lat. Przy jego inteligencji i z forszą, jaką przy mnie zgarnia, będzie miał okazję do nowego startu w życiu, i myśl o tym sprawia mi przyjemność. To kumpel.

Od tygodnia śnieg sypie bez przerwy, i całe miasto pokryte jest grubym białym całunem. Po raz pierwszy widzę prawdziwy śnieg, który nie ma nic wspólnego z szarą breją, jaką pamiętam z mojego dzieciństwa w Bordeaux. Helena przytuliła się do mnie, oboje otuleni jesteśmy w ciepłe futra i spokojnie sobie idziemy.

Wyszliśmy właśnie z Maxwell's Plum, gdzie piliśmy szampana. Club jest tylko o sześć przecznic stąd, Helena lubi spacerować i świeże powietrze pomaga mi ochłonąć po alkoholu.

Spokojni, przytuleni miłośnicie jedno do drugiego, snujemy plany na przyszłość. Opowiadam jej o moich nowych pomysłach na wykończenie wnętrza klubu. Mam zaufanie do jej gustu. Zamierzam także powiększyć salę gier, wstawić więcej stołów i wszystko odnowić.

Klub dopiero otwarto, ale na parkingu już pełno limuzyn. Teraz przyjmowaniem pierwszych gości zajmuje się Louie. Ja przychodzę dopiero, kiedy robi się ciekawiej.

Pukam do tylnych drzwi. Harry rzuca tylko zdawkowe spojrzenie przez wizjer, i otwiera nam. Jak zwykle pozdrawia mnie spokojnym uśmiechem, po czym pomaga Helenie zdjąć płaszcz. Podaję mu swój.

— Wszystko dobrze?

— Nic specjalnego.

Kupił sobie kilka szarych garniturów, w sportowym stylu, ale eleganckich. Z kieszeni marynarki wystaje książka.

— Dużo ludzi?

— Tak. Przyszli grupami po dziesięcioro.

Helena musi wcześniej wstać. Pójdzie spać do siebie.

Przed odprowadzeniem jej do taksówki pobieram swoją wieczorną porcję kokainy z paczki, którą chowam w zwykłym miejscu: wewnątrz starego

wypatroszonego telewizora, który stoi zapomniany w pakamerze. Znajduje się tam też walizeczka z kośćmi do gry, sprawdzam odruchowo jej obecność.

Idziemy wypić ostatni kieliszek z Haigiem. Jest już po drugiej, i mamy tłum jak w święto. Stół pokerowy jeszcze jest pusty, ale noc zapowiada się obiecująco. Mamy właśnie wyjść, kiedy z przedpokoju dobiega trzask łamanego drewna, po czym słychać krzyki i odgłosy walki. Tłum gwałtownie przesuwa się, wciskając mnie w kominek.

— Gliny, gliny!

Cholera, nalot.

— Heleno, dawaj trawkę, szybko.

Wyrywam jej skręta z rąk i wrzucam do ognia, razem z mom zapasem kokainy. Wokół nas rozpryskują się szyby... To faceci, którzy mają wszelkie powody, by obawiać się kontroli; wybrali najszybszy sposób wydostania się na zewnątrz.

Widzę, jak Chuck tygrysim skokiem przelatuje przez okno, trzymając w rękach krzesło jako osłonę, i znika w brzęku tłuczonego szkła. Wokół całkowita panika, każdy usiłuje się ratować.

— Daj chusteczkę!

Szybko wycieram rękojeść mojej trzydziestkiósemki, po czym wsuwam broń między oparcie i siedzenie fotela, a tymczasem umundurowani gliniarze rozbiegają się po pokoju, wyłapując uciekinierów.

— Policja! Nie ruszać się!

Wrzeszczą wymachując policyjnymi legitymacjami. Dwóch złapało faceta, który usiłował uciec przez okno, i ciągną go teraz na środek pokoju. Niektórzy wbiegają po schodach, przeskakując po cztery stopnie naraz, inni wpadają do wszystkich pokoi otwierając drzwi kopniakami.

— Pod ścianę! Wszyscy! Szybko!

Powoli odsuwam się od fotela, obejmując Helenę w pól, staramy się wyglądać jak zwyczajna para zaskoczona taką brutalnością. D'Amour zniknął, Chuck i Bananas także.

Dowódca, ogromny detektyw ubrany po cywilnemu, przedziera się przez tłum i idzie w stronę barmana, który ledwo ma czas odstawić tacę.

— Ty! Chodź tutaj!

Łapie go za kołnierz i ciągnie za sobą. Tamten protestuje, więc dostaje w mordę...

— Zamknij się, gówniarzu...

...po czym zostaje wyrzucony na korytarz.

— Zwinąć go.

Nasz barman to młody imigrant bez zezwolenia na pracę. Jego kłopoty dopiero się zaczynają. Przedstawiciele prawa wydają się dosyć zdenerwowani.

— Zatrzymać tę muzykę, do cholery!

Ponieważ nikt się nie rusza, jeden z gliniarzy podchodzi i bezskutecznie grzebie wśród wzmacniaczy. Dwoma susami doskakuje do niego dowódca, odsuwa go i zrzuca aparat na ziemię, wrywając kable. W nagłej ciszy wrzeszczy:

— Gdzie właściciel?!

Haig wychodzi na środek, wyprostowany, nieco blady. Ledwo sięga ogromnemu policjantowi do piersi.

— To ja.

— Więc pewnie masz mi coś do powiedzenia?

Muszę przyznać, że Haig zachowuje się bez zarzutu. Kiedy odpowiada, nie wygląda na przerażonego, i nawet udaje mu się prawie zrobić gniewną minę.

— Nie rozumiem tego wtargnięcia. To prywatne przyjęcie dla porządnych obywateli!

— Gówno nie prywatne przyjęcie! A ci, co powyskakiwali oknami to też porządni obywatele? Nie rób z nas idiotów! Chłopaki, spisywać wszystkich!

Rozbiegają się po domu. Kiedy znajdują żetony i stół do craps, dowódca nie jest zachwycony.

— A to, kretynie, to też w ramach prywatnego przyjęcia?

Świerzbi go, żeby przyłożyć Haigowi, ale nie może uderzyć faceta, który jest dwa razy niższy i dwa razy starszy. Jeden z gliniarzy kopniakami rozwala stół, po czym drze sukno i wyrzuca przez okno żetony.

W kuchni trzech detektywów opróżnia szafy, rozrzucając zawartość po podłodze. Kiedy wychodzą, mają pełne kieszenie paczek papierosów i całe naręcza butelek.

Dowódca kazał ustawić pod ścianą wszystkich, których mordy mu się nie spodobały. Stoją z rękami podniesionymi do góry, a tamci dokładnie ich przeszukują. Gliniarze rozdają wezwania do sądu na następny dzień. Jeden z

klientów, który pozwolił sobie na ironiczny uśmiech podając swoje dokumenty, dostaje po twarzy.

— Co pan tu robi?

Kolej na mnie.

— Zostałem zaproszony na to przyjęcie, to wszystko.

Ogląda moje dokumenty imigracyjne.

— Czym się pan zajmuje w Kanadzie?

Wyciąganiem forsy od frajerów i sranie na gliniarzy, kretynie. Gdybyś wiedział, że rozmawiasz z szefem, i że o parę centymetrów od ciebie leży moja trzydziestkaósemka, a w bucie mam jeszcze brzytwę... Ale dziś nie jest twój szczęśliwy dzień, bałwanie.

— Niczym specjalnym, jestem tu jako turysta, przyjechałem zobaczyć się z narzeczoną.

Helena kieruje na niego swój najbardziej czarujący uśmiech. Gość wzrusza ramionami i nie nalega. Zapisuje nasze nazwiska i oddaje dokumenty.

Trwa to dobre dwie godziny, w ciągu których gliny przewracają dom do góry nogami. Nie udaje im się znaleźć ani walizeczki z kośćmi, ani kokainy. Colt 25 znajduje się u Heleny. Co do trzydziestkiósemki, jeśli ją znajdą, to będą mieli kłopot. Mam tylko nadzieję, że nie zrobili zbyt wielkiego burdelu w moim mieszkaniu, i że nie ukradli za dużo rzeczy. W końcu, kiedy już wszystkich porządnie wymęczyli, wyrzucają nas za drzwi.

Spotykam się z D'Amourem później, u Fran's. Jest przybity, widać, że przeżył szok, ale jest też zadowolony, że mnie widzi.

— Niepokoilem się.

— Wszystko w porządku. Mam tylko wezwanie do sądu.

— Kurwa! Ale pech! Że też musiały nas dopaść te sukinsyny!

— Musiało do tego dojść, Louie. Nie było siły.

Chuck i Bananas wrócili do domów bez żadnych kłopotów. Harry dołączył do nas u Fran's. Kiedy siada koło mnie, czuję, że jest zakłopotany.

— Widziałem, jak wchodzili. Dwóch wmieszało się w grupkę klientów. Jak tylko przeszli przez drzwi, od razu wyciągnęli legitymacje, i zauważyłem ruch na parkingu. Nie bardzo mogłem coś zrobić. Od razu zwałem.

— Oczywiście, Harry. Nic innego nie mogłeś zrobić. To wyłącznie moja wina.

Podnosi go to na duchu. Zareagował dobrze, i szybko! Dać się złapać nie miałyby sensu. Nigdy nie kazałem mu sprawdzać wszystkich klientów. Wszystko szło dobrze, myślałem tylko o tym, jak jeszcze bardziej rozwinąć interes, i zapomniałem w końcu, że to wszystko jest nielegalne i że taki nalot możliwy jest w każdej chwili.

- Ich też! Wszystko nam popsuli. To co, nie można się już zabawić?
- Cizia, jak to wygląda tam u nas?
- Nie wiem. Wszystko zamknęli i nie mogłem zobaczyć.

Klnie przez chwilę, po czym opowiada mi, jak udało mu się wywinąć. Miał szczęście. Kiedy wszystko się zaczęło, stał przy schodach i miał dość czasu, żeby wejść na górę, zgarnąć Dianę i „dzieci”, przeszli przez dach garażu i zeskoczyli na ulicę.

Diana jeszcze nie ochłonęła. Musiała porządnie wziąć się w garść, tak biec po dachach, na szpilkach, ze swoimi dwoma psami. Wydaje mi się przez to prawie sympatyczna. Pociesza swoje dwa potworki, które nie schodzą jej z kolan.

— To dla nich straszne przeżycie. Biedactwa okropnie się bały. Wstrętni policjanci, nastraszyli moje maleństwa!

Helena uznała to wszystko za bardzo podniecające. W jej światku takie sceny rozgrywają się przed kamerą. To jej pierwsze zetknięcie z policją, i wyniosła zeń ekscytujące wspomnienie z niecodziennej przygody.

Louie chce iść spać do hotelu, ale niechętnie myślę o pozostawieniu otwartego domu bez opieki. Trzeba tam pojechać. D'Amour, zaniepokojony od urodzenia, kategorycznie odmawia.

— Chyba zwariowałeś!

Pojechałem.

Drzwi wejściowe wiszą na jednym zawiasie, niemal wyrwane z futryny. Obraz zniszczenia, jaki zastaję wewnątrz, przyprawia mnie o rozpacz.

Przeszło tu prawdziwe tornado. Krzesła powywracane, po podłodze walają się szklanki, połamany stół do craps leży na środku pokoju, wszędzie widać drewniane drzazgi. Przez rozbite okna wdziera się lodowaty wiatr, a na parkiet spadają płatki śniegu. Do kuchni nie mogę nawet wejść. Śmierdzi tu alkoholem i wszystko jest potłuczone.

Odnosi się wrażenie, że dom został porzucony po napadzie bandy wandalii. Bo to jest wandalizm! Czy musieli rozbijać o ściany butelki z keczupem i opróżnić zawartość lodówki na podłogę?

Na piętrze szkody są mniejsze, niż się obawiałem, ale mój dom został zbrukany. Na białym dywanie i na pościeli widnieją ślady zabłoconych butów. Szafy zostały opróżnione i moje garnitury leżą na ziemi, jedne na drugich. Wszystkie moje buty zostały porozrzucane po całym pokoju: jakiś cwaniaczek znalazł w nich zwitek banknotów, Pogotowie kasowe, które trzymałem, żeby pożyczać frajerom. Mój barek został ograbiony i przewrócony, a butelki szampana naturalnie zniknęły. To świństwo. Nie musieli wszystkiego rozwalać. Nie mam już ochoty tutaj nocować. Nie mogę znieść, że ktoś wdziera się w moją prywatność, a w takim burdelu nie czuję się już u siebie.

Pakamera to jedyne miejsce, do którego nie dotarli, zapewne dlatego, że nie było tam nic do zabrania. Telewizor, w którym ukryłem kości i kokainę, nadal stoi. Pobieram mały zapas, biorę też trochę rzeczy osobistych i idę spać do hotelu. Cały ten widok załamał mnie zupełnie.

Trzy godziny później jestem w sądzie na King Street, w północnej części Toronto. Jestem spokojny. Jako klient będę musiał zapłacić tylko niewielką karę. Przyszedłem tu raczej z ciekawości.

Rozpoznaję klientów z poprzedniego wieczoru, około trzydziestu osób. Ciekawe towarzystwo. Ludzie ci zapewne nigdy nie mieli do czynienia z wymiarem sprawiedliwości, i zupełnie nie pasują do tego otoczenia. Są tu biznesmeni w garniturach i krawatach, ludzie z wyższych sfer. Są odprężeni, biorą tę przygodę z dobrej strony i mrugają w moim kierunku porozumiewawczo. Będą mieli o czym opowiadać rodzinie.

U mego boku zmęczona Helena zmusza się do uśmiechu. Ściskam parę dłoni, podczas gdy faceci opowiadają mi o swojej bohaterskiej postawie poprzedniego wieczoru.

— Co, Cizia, dorwali cię?

Mówi do mnie gruby lekarz. Spokojny ojciec rodziny usiłuje przybrać zblazowany ton bandyty aresztowanego po raz dziesiąty.

— Nie, wszystko w porządku. Jestem tu tak samo jak pan, jako zwykły klient.

— Ale co teraz będzie, klub zostanie zamknięty?

— Tylko chwilowo, panowie. Na kilka dni, żeby naprawić szkody. Ale wkrótce znowu otwieram, możecie to przekazać znajomym.

Przede wszystkim trzeba uspokoić klientów, to owoc dwóch miesięcy pracy.

— Popelniony został mały błąd, to była nieprzewidziana reakcja. Ale teraz wszystko załatwimy.

— W jaki sposób załatwicie?

— Nie mogę wam wszystkiego powiedzieć, ale bądźcie pewni, że więcej problemów nie będzie.

I kończę:

— Teraz już wszystko pójdzie dobrze!

Kwadrans później wchodzimy na salę, gdzie czekają sędziowie. Uczestniczyłem w swoim życiu w wielu procesach, ale w takim jeszcze nigdy. Sędzia odczytuje nam kilka artykułów Kodeksu Karnego, dotyczących sprzedaży alkoholu i licencji, po czym przekazuje głos Haigowi, który zaczyna od wyrażenia szacunku dla Wysokiego Sądu i od paru dowcipów. Następnie wyjaśnia, że nie chodziło tu bynajmniej o nielegalny lokal, lecz że był to „*stag*”, czyli prywatna zabawa.

— Proszę sądu, pracowałem przez całe moje życie. Teraz nadeszła pora, żebym się trochę zabawił. Zasłużyłem sobie na to. Nie możecie odmówić ostatniej przyjemności siedemdziesięcioletniemu starcowi!

— Ależ pan urządza takie zabawy co wieczór!

— No tak, ja to uwielbiam! Niech sąd sobie wyobrazi, siedemdziesiąt lat uporczywej i ciężkiej pracy. Siedemdziesiąt lat abstynencji! Mam mnóstwo do nadrobienia.

Sędziowie nie ukrywają rozbawienia.

— Ale pan każe płacić za napoje!

Jakiś facet wstaje i oświadcza, złożony przysięgę na Biblię:

— Dwa dni temu byłem u pana Haiga na Bedford Street. Poprosiłem tego pana o whisky.

Wskazuje na barmana.

— Przyniósł mi ją i zapłaciłem cztery i pół dolara.

Barman reaguje natychmiast.

— Ależ tak, pamiętam. Zapytałem go, czy został zaproszony, odpowiedział, że nie. Więc kazałem mu zapłacić, tak jak mi polecono.

Haig potwierdza.

— Nie jestem milionerem. Mam wielu przyjaciół, nie mogę wszystkim stawiać. Niektórzy przynoszą mi butelki. Od innych oczekuję małego własnego udziału. Po prostu pokrywam swoje koszty. Mam dobrą emeryturę, która pozwala mi dostatnio żyć. Nie potrzebuję zarabiać więcej. Chcę korzystać z życia, nic więcej. Nie mam już wiele czasu, Wysoki Sądzie. Proszę nie pozbawiać starego człowieka jego ostatnich przyjemności.

Ostatecznie zyskuje sobie ich sympatię, podkreślając szacowność swoich gości, tu obecnych lekarzy, biznesmenów... Faktem jest, że wszyscy podejrzani osobnicy puciekali przez okna, kiedy tylko pojawiła się policja!

Udobruchani sędziowie okazują wspaniałomyślność. Każdy z klientów zostaje skazany na zapłacenie grzywny w wysokości dziesięciu dolarów. Przyłapany na gorącym uczynku barman dostaje grzywnę pięćsetdolarową. Haig jest wolny.

Doprawdy łatwo tu zbić majątek!

Dziś wieczór atmosfera jest ponura. Helena i Diana poszły spać wcześniej, po kolacji w Maxwell's Plum, i zostawiły nas samych, D'Amoura i mnie.

— Co teraz robimy? — pyta mnie.

— Nie wiem, stary. Siedzimy w gównie po uszy.

Milczymy. Nie mamy serca do żartów i pierwsza butelka szampana nie jest w stanie nas rozweselić. Dlaczego zabrali mi moją zabawkę? Dlaczego zawsze ktoś musi mieszać się do moich spraw? Ukradkiem przygotowuję dwa rządki na stole, żeby sobie poprawić humor.

— No, Louie, nie trzeba dać się złamać.

Zamawiam szampana. Wypijamy butelkę po butelce, bierzemy rządki za rządkiem, coraz mniej dyskretnie w miarę upływu czasu...

Tym razem idziemy na całego. The Temptations ryczą przez kolumny, że ich ojciec był włóczęgą. My też jesteśmy żebrakami, wyrzuconymi na ulicę w takie zimno, i trzeba jakoś walczyć z bluesem, chwytającym nas za gardło.

Szampana!

Wciągam rządki prosto z podłogi, leżąc na miękkiej ławie. Krztusząc się od śmiechu, z kieliszkiem w ręku, Louie D'Amour wykrzykuje jakieś sprośności. Przed naszym stolikiem nieustannie pojawiają się nowe twarze.

— I co, Cizia, zapominamy o przyjaciółkach?

To Kathleen, pulchna blondynka o bardzo ciepłej dupie.

— Odkąd jesteś z Heleną w ogóle cię już nie widać. Zostałeś pastorem czy już ci nie staje?

— Jestem MONOGAMISTĄ!

Przytula się do mnie. Ma wielkie piersi. Lubię wielkie piersi. To kurwa. Uwielbiam kurwy.

Co mi odbiło, żeby przysięgać wierność? Bez przekonania usiłuję odepchnąć tę diabolicę. Jak to zrobić? Jeśli jej nie dotknę, tylko mała minetka, wykroczenie będzie mniej poważne. Będę wtedy tylko półmonogamistą. To nie tak źle.

— Sam!

Maitre d'hotel, mój kumpel, jest zawsze gotów na spełnienie moich żądań. Nadbiega.

— Zrób mi przysługę, to ważna sprawa.

— Co tylko zechcesz, Cizia.

— Znajdź mi jakiś spokojny kąt. Ta pani chce mi obciągnąć.

Rzuca pełne aprobaty spojrzenie na Kathleen, która odplaca mu pięknym uśmiechem.

— Oczywiście. Chcesz mój samochód? Albo klucze od mojego mieszkania?

Nie jestem w stanie jechać tak daleko.

— Nie, załatw mi to w sraczu.

W ciągu kilku lat swojej kariery widział już wiele, ale tu go замуrowało.

— Nie. Przepraszam cię, ale to niemożliwe.

— Nooo!... Zrób to...

Waha się pomiędzy chęcią zrobienia przyjemności kumplowi a poczuciem obowiązku.

— Dobra. Ale szybko.

— Już ja się tym zajmę — odpowiada Kathleen.

— Ale Sam! Nie w męskim, tam śmierdzi. Damski sracz jest lepszy.

Zawsze zresztą zadziwiła mnie ta niesprawiedliwość. Kobiety mają piękne toalety, jest tam przestronnie, są lustra i zawsze pełno gadżetów. U mężczyzn to przeważnie dwa metry kwadratowe śmierdzące uryną. Na to, co zamierzam zrobić, potrzebuję minimum komfortu.

W tej sytuacji pozostaje mu tylko wzruszyć ramionami. Kilka chwil później chwieję się niebezpiecznie, próbując dowlec się do toalety. Pod moimi krokami podłoga jest jakaś miękka, światła tańczą mi przed oczami. Przemierzam tych parę metrów czepiając się barowej lady, przewracając po drodze kieliszki i holując ze sobą Kathleen, której stan jest jeszcze dalej posunięty niż mój. Schody, z tymi wszystkimi stopniami, okazują się groźną przeszkodą i ze względów bezpieczeństwa pokonujemy je na czworakach. Przy umywalkach Sam czeka na nas trzymając wspaniałą tablicę z napisem: „Awaria”. Kathleen chichocze za moimi plecami i zamykamy za sobą drzwi na klucz.

Pomieszczenie jest przestronne, a na ścianach wiszą wielkie okrągłe lustra. Jest tu elegancko, prawie intymnie.

Facet, którego dostrzegam w lustrze przed sobą, przeraża mnie. Rozszerzone źrenice zajmują mi prawie pół twarzy, a ręka trzymająca paczuszkę kokainy konwulsyjnie drży. Muszę przytrzymać się stołu, który tańczy przede mną, żeby nie ulecieć w górę. Podczas gdy moja narzeczona, klęcząc u moich stóp, przykłada się, by rozwiać moje troski, ja z nosem w mojej paczuszce wciągam kokainę długimi wdechami. Ktoś wali regularnie w drzwi, i słyszę głośnie kobiece skargi.

— Cizia, przesadzasz!

To Sam rzezi przez drzwi.

— Już idę, stary.

Kathleen, zwinięta w jakimś kącie, wstrząsana atakami śmiechu, nie jest w stanie się podnieść. Udaje mi się ją dowlec do drzwi, choć słaniam się na nogach. Nasze wyjście jest triumfalne, obejmujemy się wzajemnie, ale oczekiwane oklaski nie następują. Tłum chętnych do siusiania o nabrzmiałych i obolałych pęcherzach morduje mnie wzrokiem. Kieruję do nich mój najpiękniejszy uśmiech. Sam pomaga mi wejść po schodach.

Noc kończę z czterema przyjaciółkami w moim pokoju w Hyatt Regency.

Moje wiarołomstwo napawa mnie obrzydzeniem.

Przychodzę do siebie wczesnym popołudniem. Moją pierwszą czynnością jest ogołocenie najbliższej kwiaciarni. Kupuję tam dwieście jeden czerwonych róż i z tym imponującym bukietem w ramionach dzwonię do drzwi mieszkania Heleny.

— Dzień dobry, moja śliczna.

Ma na sobie czerwone kimono, jest świeża i ładnie pachnie. Jej uśmiech jest cudowny.

— Dlaczego te wszystkie kwiaty?

— Bo cię kocham, moja śliczna.

Jej piękne oczy pogrążają się w moich. W tym spojrzeniu jest sama czułość. Czuję, jak mnie bada. Czyżby miała jakieś wątpliwości? Odrzucam tę myśl. To niemożliwe. Mimo wszystko usiłuję nadać moim oczom niewinność i naiwność prawdziwego świętego, wiernego i zakochanego, po prostu takiego jak ja.

— Bawiłeś się wczoraj wieczorem?

Opowiadam jej, że z Louie D'Amourem snuliśmy plany na przyszłość aż do późnych godzin wieczornych. Ona jednak chce wszystko wiedzieć, gdzie, z kim, o czym rozmawialiśmy i zadaje mnóstwo innych pytań.

Improwizuję i udaje mi się rozwiać wątpliwości, które, jak czuję, zaczęły już kiełkować w jej sprytniej główce. Jestem doświadczonego kłamcą i szybko ją przekonuję, więc z lubieżnym uśmiechem zaciąga mnie na łóżko i rozpoczyna swoje pieszczoty. Oddaję się ekstazie. Jej stworzone do miłości usta znają mnie doskonale i wkrótce doprowadzają mnie do najwspanialszej rozkoszy.

Powoli wracam na ziemię i otwieram oczy. Jej twarz znajduje się bezpośrednio nad moją.

— Ty Świnio!

— Co się stało, kochanie?

— Świnio, zdradziłeś mnie!

Poznała po gęstości. Nie mam wytłumaczenia. Wstaję i wrzeszczę, że tak, że były trzy, że było mi dobrze i że mam już dosyć wiecznie tej samej dupy.

Zgodnie z najlepszymi wzorcami trzaskam drzwiami wybiegając z mieszkania.

Na dworze jest szaro i mroźno. Idę z pochyloną głową rozbryzgując śnieg na boki wściekłymi kopniakami. To co, na mnie zwalają się kłopoty jeden za drugim, a panienska korzysta z tego, żeby mi dokuczyć? Więcej się nie zobaczymy.

Po trzech dniach milczenia, kiedy już zacząłem na nowo przyzwyczajać się do celibatu, Helena dzwoni do mnie. Spotykamy się i każe mi obiecać, że nigdy więcej jej tego nie zrobię.

— Jak chcesz, moja śliczna.

Znów obiecałem.

Brak mi Bedford Street. Dobrze się tam czułem. Strasznie brak mi komfortu mojej garsoniery i frajerów, których nie trzeba było szukać, bo sami przychodzili, żeby dać się oskubać. Zdaję sobie teraz sprawę, jak fantastyczna była nasza sytuacja. Nie mogę teraz otworzyć lokalu.

Policja trzyma dom na oku. Zorganizowanie teraz czegoś spowodowałoby natychmiast kolejny nalot, a przyłapanie na recydywie miałyby fatalne skutki.

Sukinsyny!

Pozbawili mnie wszystkiego i wyrzucili na ulicę jak jakiegoś złodzieja. A przecież ja tylko ożywiałem nieco nocne Toronto. Nigdy nikogo nie zmusiliśmy do przyjścia, a nawet jeśli skubaliśmy wszystkich, to najczęściej bez złośliwości. Poza tym, biorąc pod uwagę, jak szybko wydaję te tak brzydko zarobione pieniądze, moja rola polega głównie na redystrybucji dóbr paru osób pomiędzy całe mnóstwo zainteresowanych.

Sukinsyny!

Muszę więc kontynuować robotę na zewnątrz. Żeby znaleźć miejsce akcji, trzeba teraz się przemieszczać, co stwarza wiele niedogodności.

Wraz z D'Amourem i Harrym, który jest stale obecny i zachował swój bezpośredni charakter, ponownie odwiedzam najmodniejsze bary. Maitre d'hotel albo barman to doskonali naganiacze. Biznesmen, który od niedawna pracuje w mieście albo po prostu bawiący tu przejazdem, kiedy się nudzi, zawsze zwraca się do któregoś z nich, żeby wskazali mu miejsca, gdzie można się zabawić. Jeśli ma ochotę zagrać, zostaje skierowany do nas.

Są też starzy bywalcy klubu, zawsze chętni do oskubania i sprowadzający swoich przyjaciół. Wynajmuję na stałe apartament w Hyatt Regency. Jest ważne, żeby klient przyjmowany był luksusowo. Dzięki pagerowi członkowie ekipy mogą błyskawicznie kontaktować się między sobą. Kiedy oznajmiam frajerowi, że prawdopodobnie wiem o trwającej właśnie partyjce, wystarczy jeden telefon, żeby rozpocząć operację. Godzinę później, kiedy wchodzi do apartamentu, powietrze jest zadymione, popielniczki pełne, a gracze wyglądają, jakby siedzieli nad tą partią pokera od wczoraj.

Jest też szampan i wysokiej klasy jedzenie. Swoją przewrotność posuwam tak daleko, że wynajmuję znajome luksusowe dziwki, żeby nasz gość mógł się odprężyć.

Stosując tę metodę ma się praktycznie pewność, że facet nie odejdzie od stołu, zanim nie zostanie idealnie oskubany. Z drugiej strony wymaga to ogromnych inwestycji, co pożera część zysku i zostawia nam akurat tyle, by wygodnie żyć.

Chuck i Bananas to doświadczeni zawodowcy. Poza naszymi spreparowanymi partiami w Hyatt Regency zajmują się na nowo swoimi dawnymi biznesami. Dzięki nim odkrywam nowe podziemne światy. Życie szulera nie jest sielanką. Miejsca, gdzie leżą pieniądze do wzięcia, bywają czasem niebezpieczne. Mam teraz okazję podziwiać ich zimną krew. To świetni faceci.

Najłatwiej jest wprosić się na stags. Są to wielkie prywatki, organizowane przez przyszłych żonkosiów, którzy żegnają w ten sposób stan kawalerski. Tu niebezpieczeństwa nie ma. Klientela jest miła, nieco głupawa, a pod koniec wieczoru porządnie wlana. Wtedy właśnie organizujemy zwykle stół do craps. Chuck ocenia kości. Jeśli zachodzi taka potrzeba, rozgrywa jedną partię, żeby lepiej je wypróbować, po czym idzie do samochodu po odpowiedni model naszych specjalnych kostek. Tak jak to było w klubie. Chuck i Bananas dokonują podmiany, kiedy tylko Louie albo ja mamy rzucać, podając nam odpowiedni zestaw.

Dużo więcej odwagi potrzeba, by oszukiwać w booze-can w czarnej dzielnicy. Wiele z tych klubów nie przyjmuje białych, ale moi kumple znają jeden, w paskudnej czarnej piwnicy, który nie stosuje tej zasady. Tutaj już zupełnie zabawa nam nie w głowie. Zarabiamy na życie starając się go nie stracić.

Sala gier ukryta jest za dansingiem, obszernym ponurym pomieszczeniem śmierdzącym potem i piwem. Gęsty tłum czarnych podryguje w rytm tam-tamów. Po kątach leżą faceci schlani do nieprzytomności. Ogromny Murzyn w podkoszulku i czarnym berecie pilnuje drzwi w głębi sali. Za nimi jest malutki pokój. Nie ma okien. Powietrze jest zadymione i gorące.

Dookoła stolika z plikami banknotów w rękach stoją czarni i wrzeszczą na kości, walą się wzajemnie po plecach i wykrzykują swoje stawki. Jest też paru białych, najgorszego rodzaju, zlanych potem grubasów, obrzydliwych, o ospowatych mordach. Stawiają tu swoją forszę sutenerzy, chuligani, drobni amerykańscy bandyci „na wakacjach”, uliczni dealerzy, przedstawiciele najgorszych mętów z zakazanych dzielnic miasta. Każdy z nich ma się za Al

Capone przez tych parę minut, które wystarczą, by ogołocić ich ze wszystkiego.

Liczne obecne tu samice to kurwy z ulicy, grube, głupie i hałaśliwe, mają wielkie dupy i chichoczą tępo, kiedy jakiś facet przycisnie je gdzieś w kącie. Śmierdzi brudem i niedomytymi ciałami. Sukno na stole jest obrzydliwe. Nie podoba mi się tu.

W moim stylu byłoby raczej przyjmować ludzi z dobrego towarzystwa, w dużych ilościach, i podbierać im forszę po cichu. Natomiast zupełnie nie jest w moim guście wyciąganie paru dolarów jakimś społecznym mętom, z którymi w dodatku trzeba w tym celu mieć bezpośrednio do czynienia. Jediną nauką, jaka płynie z tych wieczorów, jest spostrzeżenie, że te brudne szmaty są zdolne zabić dla kilku dolarów. Każdy z nich uważa się za wielkiego twardziela. Są zakłamanani i niebezpieczni.

Zachowujemy spokój, ale wszystkie zmysły mamy napięte. Nie można sobie pozwolić na najdrobniejsze wahanie przy podmianie kości; trefne kostki trzeba zabierać natychmiast po zagranu. Tłum podnieconych czarnuchów kłębi się bez przerwy. Rozpychają się wszyscy. Którykolwiek z nich, jako że są to ludzie bez wychowania i najmniejszego poczucia taktu, może w każdej chwili wziąć ze stołu spreparowaną kostkę, pod wpływem jakichś podejrzeń albo po prostu odruchowo, bez żadnych szczególnych zamiarów. Jeśli zdadzą sobie sprawę, że biali oszukują ich w ich własnym lokalu, będzie masakra.

Tradycyjną karą jest połamanie palców szulerowi za pomocą obcęgów, by upewnić się, że nie będzie recydywy.

Cały czas mam przy sobie swoją trzydziestkęósemkę. Inni tutaj są uzbrojeni i będą strzelać bez wahania. Jedyne wyjście zagrodzone jest przez górę mięśni i głupoty w czarnym berecie. W takiej atmosferze, pośród zdenerwowanych Murzynów, którzy walą w stół za każdym razem, kiedy toczą się po nim kości, można tylko podziwiać spokój Chucka i Bananasa.

Nie można wygrywać zbyt często. Już samo to wzbudziłoby nastroje rasistowskie, które i tak wiszą w powietrzu. Pilnie uważamy, żeby nie mieć za dużo szczęścia. Posługujemy się naszymi kostkami, kiedy w puli jest wyjątkowo dużo forsy, czyli trzy do czterech razy w ciągu wieczoru, toteż noce czasami się dłużą.

Przyprowadził nas tutaj Chuck, największy kozak w naszej ekipie. Zna osobiście właściciela, którym jest Isaac Jones, sława tutejszej ulicy, alfons i

handlarz heroiną. Zostałem mu przedstawiony, ale na tym się skończyło. Facet ten napawa mnie obrzydzeniem i jest jasne, że ja też nie przypadłem mu do gustu.

Isaac Jones jest Metysem, to fanfaron obwieszony złotymi świecidełkami od stóp do głowy. Im bardziej człowiek rzuca się w oczy, tym większą ma klasę. Nosi długie garnitury; marynarka, bardzo wcięta, zakrywa mu kolana, nogawki spodni praktycznie przysłaniają lakierki, a całość uszyta jest z błyszczących materiałów w kolorze różowym lub białym. Kołnierzyki jego zielonych lub żółtych koszul, najczęściej z żabotami, są ogromne i wyłożone daleko poza klapy marynarki. Na końcu złotego łańcucha, zbyt grubego i zbyt błyszczącego, zwisają ciemne okulary za sto dolarów. Facet nosi bez przerwy biały kapelusz z szerokim rondem.

Ochrona osobista tego pajaca wygląda z daleka jak wielobarwny turystyczny folder. Jest tam kolor turkusowy, jest kolor żółty jak piasek i zielony jak palmy. Całość uzupełnia kokosowy orzech, który zastępuje im mózg. Podczas wypadów na miasto banda ta jeździ różowo–zielonym cadillakiem ze wszystkich stron błyszczącym od chromu.

Nasz bandyta znany jest ze swej brutalności w interesach. Nie można powiedzieć, żeby specjalnie doskwierały mu skrupuły. Dążąc do zwiększenia ciężaru swojej heroiny dodaje do niej innych substancji. Zdarzało mu się już dosypywać do niej byle czego, aby tylko było to białe i sproszkowane. Niektórzy z jego klientów, całkowicie uzależnieni, zmuszeni do kupna swojej dawki i do wstrzyknięcia jej, stracili przez to życie. Nie przeszkodziło to w rozkwicie głównego biznesu Isaaca Jonesa.

Na szczęście nie jestem całkowicie pozbawiony szampana i zabaw. Wielu spośród moich dawnych klientów z klubu zaprasza mnie na partyjkę do siebie. Któregoś piątkowego wieczoru gruby i bogaty pośrednik w handlu samochodami prowadzi mnie, by zagrać u jednego z jego przyjaciół, antykwariusza.

Przyjąłem zaproszenie, bo może to być interesująca okazja. Idzie ze mną D'Amour, z kieszeniami wypchanymi spreparowanymi taliami kart różnych rodzajów, typu bess i typu bicycles. Jest z nami Helena, lecz nudzi się potwornie. Dom jest zwyczajny, nie licząc dosyć ładnego sklepu z antykami na parterze. Nie ma jednak wysokiej jakości trunków i ani antykwariusz, ani handlarz nie zażywają kokainy.

Pod nieobecność żony antykwariusz, mały zasuszony i niewyżyty facecik, korzysta z sytuacji, by oddać się swoim ulubionym rozrywkom. Łatwo wyobrazić sobie jego połowicę jako zgorzkniałą megierę, która odmawia mu dupy za każde przewinienie. W miarę grzecznie ucinamy dyskusję. Przyszliśmy tutaj, żeby grać.

Używają kart typu bess. D'Amour zajmuje się podmianą i już o ósmej tamci są splukani. Zabieram się właśnie do odejścia, kiedy antykwariusz, pragnąc zapewne maksymalnie wykorzystać swój wolny wieczór, prosi mnie o kredyt. Żeby mnie zachęcić, zapewnia, że ma pieniądze. Obraca poważnymi sumami, gdyż jego sklep jest dobrze znany. Ustępuję i ponownie zasiadam do stołu. Wzdychając od czasu do czasu Helena drzemie skulona w jakimś fotelu.

To pułapka. Antykwariusz nie stawia wiele, gra ostrożnie, co zmusza nas do gry przez całą noc, by wreszcie go zmogło. O siódmej rano, kiedy postanawia zakończyć imprezę, jest nam winien jednaście tysięcy dolarów.

— Masz skąd wziąć gotówkę, żeby mi zapłacić?

— Nie ma sprawy, Cizia, jutro będę miał twoje pieniądze.

Musi sprzedać trochę towaru, i zajmie mu to cały dzień. Rachunek bankowy tego pana jest pusty. Ponieważ facet zaczyna się denerwować, postanawiam pobrać należność w naturze. Schodzę do sklepu. Tamten idzie za mną, zaniepokojony myślą o mnie buszującym pośród tych wspaniałości, gdyż bierze mnie za tępego chama, który nie potrafi docenić pięknych przedmiotów.

Jest tu sporo szmalu. Zajmowałem się handlem antykami i znam się na tym. Tamten proponuje mi, uczciwie, srebrny czajniczek z epoki wiktoriańskiej za pięć tysięcy dolarów. Biorę przedmiot w moje grube łapy i rzucam nim w stronę D'Amoura, który łapie go niezręcznie i upuszcza pokrywkę. Wrzeszczę:

— Sam widzisz, że to twoje gówno się rozlatuje! Uważasz mnie za durnia?

— Ależ zapewniam cię, znam się na tym dobrze, to mój zawód. To jest warte pięć tysięcy dolarów. Mam na to klientów, wiesz...

— Do cholery! Kto chciałby kupić taki grat? Za taką cenę sprzedam ci pełne wyposażenie kuchni!

Kładę mu przyjazną, lecz ciężką rękę na ramieniu.

— Słuchaj. Nie wiem, jaką to miało cenę kiedyś, ale dzisiaj na pewno nie jest warte pięciu tysięcy dolarów.

— Ależ to są an–ty–ki!

— Kurwa! Antyki, to znaczy stare rzeczy. A ja nie znam nikogo, kto by używał starych rzeczy.

— Cizia, posłuchaj mnie. Tego się już nie używa. To się wystawia w gablotce, żeby oglądać. Rozumiesz? To przyjemność dla oka.

— Ale ten twój czajniczek nawet nie jest ładny! Nie będę wystawiał czegoś tak brzydkiego.

Antykwariusz usiłuje wziąć Helenę na świadka, ale dziewczyna jest zbyt pochłonięta powstrzymywaniem ataków śmiechu i nie może odpowiedzieć. Włącza się handlarz samochodami i w końcu dają się przekonać, że towar nadaje się do sprzedaży.

Rzucam spojrzenie wokół siebie.

— No tak... Trzeba by mieć ciężarówkę, żeby zabrać te wszystkie świństwa.

Tamten aż podskakuje, oburzony.

— Jak to!/? To nie są świństwa. Jest tego z dziesięć razy więcej od tego, co ci jestem winien.

Podchodzę do niego.

— To ty tak mówisz, staruszkule! Nie mogę tego sprawdzić. Nie wiem, jakie były ceny w tamtych czasach. Ale wiem, że dzisiaj czajnik do herbaty nie kosztuje pięciu tysięcy dolarów.

Trzymam go tak w niepewności przez jakiś czas. Załamuje ręce, usiłując wpoić wielkiemu chamowi, jakim jestem, podstawową wiedzę o dawnej sztuce. W końcu obładowuję Louie i Helenę stosami różnych bibelotów, które wybieram niby to przypadkiem. W rzeczywistości staram się wyszukiwać rzeczy, które na oko mają największą wartość. Sprzedawca staroci zrezygnował już z prób wyjaśniania mi czegokolwiek i przygląda się wszystkiemu kompletnie przybity.

W lincolnie D'Amour patrzy na stertę przyniesionych przedmiotów.

— Poza tym, żeby przysrać staremu, miałeś jeszcze jakieś powody, żeby zabrać całe to gówno?

— To nie żadne gówno, ośle... to antyki... Mają wielką wartość! Zupełnie nie znasz się na sztuce. Wszystko trzeba ci tłumaczyć.

Nasze cuda sprzedać możemy tylko antykwariuszom lub kolekcjonerom. Louie D'Amour poumawiał się z ludźmi i jeździ na spotkania trzymając skarby w małej walizce.

Staram się uchodzić za bogatego spadkobiercę. Opowiadam o wielkiej przeszłości mojego rodu, o historycznych wspomnieniach i o pożałowania godnych przelotnych kłopotach, ale wszystko to nie wzbudza wielkiego zaufania. Zwłaszcza Louie nie potrafi obchodzić się z tymi przedmiotami z właściwym szacunkiem, pomimo lekcji, jakich mu udzielam.

Po trzech spotkaniach, w czasie których żaden z odwiedzanych manszardów, zachwycony niebywałą okazją, nawet nie próbował sprawdzać moich kłamstw, osiągamy sumę jedenastu tysięcy dolarów.

Louie sprawdza w kalendarzyku.

— Następne spotkanie mamy w centrum za godzinę.

Mam już dość. Otwieram walizkę, biorę delikatnie trzy świństwa, które nam zostały, i wyrzucam je za okno.

Często bywam w Julie's Mansion, barze, w którym kelnerki chodzą w sari. Ostatnio wiele spośród nich wylądowało w moim łóżku. Wszystkie bardzo o mnie dbają, jedna bardziej urocza od drugiej. Pod lekkimi barwnymi okryciami ich kształty są doskonałe. Sporo tego jak na jednego mężczyznę i nie byłem w stanie dotrzymać obietnicy danej Helenie w chwili roztargnienia.

Dziś wieczór nie mam nic do roboty i spędzam czas w salce na piętrze przy grze w bumper ball. To rodzaj małego bilarda, z małymi grzybkami pośrodku, których zadaniem jest niedopuszczenie, by kule wlatywały bezpośrednio do otworów. Nic poważnego, ale mimo to można przy tym wymienić parę dolarów z którymś ze stałych bywalców. Mój dzisiejszy przeciwnik jest nawet zawodowcem, jedynym w tej branży. Po całym dniu zgarnia co najmniej tyle, by zapłacić za kielicha, a może i za dwa.

— Cizia!

— O! Cześć, Greg!

— Jak leci? Klub nadal zamknięty?

W dobrych starych czasach, kiedy działał boozecan, mieliśmy przyjemność oskubać Grega Johnsona w pokera przez dwa wieczory z rzędu. Wymieniamy parę uprzejmości, po czym Greg ścisza głos:

— Urządzam partyjkę w moim domu na wsi pod koniec tygodnia. Może chciałbyś się przewietrzyć? Stawki będą wysokie.

- Ja zawsze chętnie.
- Gdybyś chciał wziąć jakichś przyjaciół, to zapraszam.
- Niewykluczone. Zobaczę.

Następnej soboty wyruszam w drogę z Harrym. Wszystko ustaliłem z resztą zespołu. Pomyślałem sobie, że mały weekend na wsi dobrze nam wszystkim zrobi. Jest szaro. Drogę pokrywa śnieg. Na poboczach widać od czasu do czasu rozwalone samochody. Amerykańskie wozy są bardzo wygodne, ale okazują się do niczego w trudnych warunkach. Poza tym ich właściciele to fatalni kierowcy.

W oddali widać czarne, niezbyt zachęcające lasy. Harry włączył ogrzewanie na maksimum.

Dobry klient z tego Grega Johnsona. Jego specjalność to samochody i części zamienne. W tej branży można sobie czasem nieźle napęłnić kieszenie. Za każdym razem, kiedy mu się to udaje, siada do gry, a kiedy gra z nami, przegrywa. Jest więc dobrym graczem. Lubimy się z nim spotykać.

Po półgodzinnej jeździe autostradą trzeba skrócić w jakąś płataninę bocznych dróg, żeby znaleźć jego domek. To niewielki budynek otoczony barakami z blachy falistej. Od przodu obszerne podwórze, w lecie błotniste, lecz teraz utwardzone przez mróz. Wszędzie dookoła piętrzą się stosy bloków żelastwa, pokryte śniegiem, i mniej lub bardziej огоłocone szkielety samochodów. Dwóch barczystych facetów o wyglądzie neandertalczyków, ubranych w fartuchy, przygląda się, jak podjeżdżamy.

Greg jest paserem, jednym z szefów rynku kradzionych samochodów. Wybiega z domu, uśmiechnięty, z wyciągniętą ręką, żeby nas powitać.

- Cześć! Wchodźcie, w środku cieplej!

Chuck i Bananas już są i siedzą przy stole. Witamy się. Greg przedstawia mi pozostałych uczestników, dwóch wielkich facetów o byczych karkach. Też są handlarzami. Jowialnie ściskają mi dłoń. Greg klepie mnie po ramieniu i zapewnia ich, że jestem wielkim graczem.

- Prawda, Cizia? No, to czego się napijesz?

Pokój jest zaniedbany. Dookoła walają się brudne szklanki, popielniczki są pełne i nic nie jest naprawdę jak trzeba. W powietrzu czuć wilgoć. Greg żartuje z kolegami. Na dworze jest szarawo i zapalamy światło.

Louie D'Amour i Diana przyjeżdżają nieco później, zaczerwienieni od mrozu, obwiązani szalikami i rozradowani. Diana, w czerwonej mini i

wysokich butach z czarnej skóry, które sięgają aż nad kolano, wygląda jak zwykle na kurwę. Zależało jej, żeby przyjechać, bo chciała przewietrzyć swoje dwa zwierzaki, które trzyma przyciśnięte do piersi.

Zaczyna się niedobrze. Greg i tamci dwaj grają własnymi kartami. Nie są to ani bees, ani bicycles. Przygotowane przez Chucka talie pozostaną więc w jego kurtce, bezużyteczne. To dla nas niekorzystne, ale zdarzało się już wcześniej. Moi partnerzy są na tyle sprawni, że potrafią w każdej talii ułożyć odpowiedni układ podczas tasowania i rozdać nam dobre karty. Pierwsze pule zgarniają tamci trzej. Jak zwykle pozwalamy na początku frajerom trochę powygrywać.

Wkrótce jednak sprawy się komplikują. Nasi przeciwnicy mają szczęście. Na to nie można nic poradzić. Chuck i Bananas podsyłają mi dobre układy, ale tamci zawsze jakoś się wywiną. Nie udaje nam się odegrać stawek, które straciliśmy na początku. Po półtoragodzinnej grze jesteśmy do tyłu o kilka tysięcy dolarów. Nie podoba mi się to, usiłuję zachować spokój i skoncentrować się, ale źle się czuję w tym domu. Na samym początku partii dwaj debile w fartuchach weszli do pokoju i już w nim pozostali. Ich obecność za moim plecami powiększa moje podejrzenia.

Pół godziny później Bananas prosi o zrobienie przerwy. Znowu przegraliśmy. Podczas gdy wszyscy rozprostowują kości, podchodzi do mnie.

- Cizia, to zawodowcy.
- Co?
- Ci dwaj Amerykanie to szulerzy.

To tłumaczy wszystko, nasze przegrane i moje złe przeczucia. Wybieram najspokojniejsze rozwiązanie.

- Odbierzemy im forszę po cichu. Zawiadam innych.

Do nikogo już nie można mieć zaufania! Teraz wszystko wydaje się oczywiste. Ten cały weekend to pułapka, zastawiona na nas, by zabrać nam naszą forszę. A my, mistrzowie udawania, wpadliśmy w nią niczego nie podejrzewając. Ręce obu Amerykanów są wąskie i białe, takie same jak u moich kanciarzy. Powinienem był to zauważyć wcześniej...

Diana zaczyna krzyczeć ze swojej kanapy. Jeden z mastodontów w fartuchu pośpiesznie wstaje. Diana piszczy, że próbował ją obmacywać. Harry wyprostował się. Louie chce interweniować. Wszystkich uspokajam wzrokiem.

Te dwa umięśnione tępaki zostały przewidziane w scenariuszu na wypadek, gdyby sprawy potoczyły się źle. Jesteśmy równi liczebnie, ale oni mają przewagę w mięśniach, a stąd wszędzie daleko. Nie uda nam się ich pokonać.

Walczymy na zielonym suknie jeszcze przez pięć godzin, ale nie potrafimy odwrócić sytuacji. Gdy podwyższamy stawki, ludzie Grega pasują. Teraz, kiedy wiemy już, co jest grane, my z kolei wycofujemy się, kiedy atakują. Nikt nie wygrywa. W ten sposób do niczego nie dojdziemy. Proszę o kolejną przerwę.

Przeciągam się i uśmiecham do jednego z grubych.

— Dobrze chwilę odpocząć. Zdaje się, że szczęście jest po waszej stronie.

— O, wiesz, najważniejsze, żeby nas nie opuściło.

I to mnie on to mówi. Czuję się, jakbym rozmawiał z drugim Bananasem.

Staję przy oknie obok Harry'ego. W odbiciu na szybie sprawdzam, czy nikogo nie ma w pobliżu, po czym mówię do niego tak, jakbym robił uwagi o krajobrazie:

— Za pół godziny wyjdiesz, bez zwracania na siebie uwagi. Poprzecinasz opony wszystkich samochodów oprócz naszych. Uważaj, żeby nikt cię nie zauważył. Weźmiesz strzelbę z wozu Louiego, leży pod tylnym siedzeniem, schowasz ją pod płaszczem. Jak wrócisz czekaj na mój znak.

Zachowuje kamienną twarz.

— Dlaczego?

— To oszuści. Załatwimy ich.

Partia zostaje wznowiona. Teraz już nie martwię się o pieniądze i zwiększam pulę, choć wiem, że tamci są przygotowani, po prostu dla przyjemności zobaczenia mimowolnych uśmieszków Grega.

Harry dość długo nie wraca. Mam nadzieję, że nie stało mu się coś złego. W końcu przychodzi, a wraz z nim do pokoju wpada lodowaty powiew. Harry ma na sobie długi płaszcz. Strzelby nie widać.

— Kurwa, ale zimno!

Bardzo naturalnym ruchem tupie o ziemię, żeby strząsnąć śnieg z butów, i zwrócony twarzą do ściany rozciera ręce.

— Fakt, że zimno. To działa na pęcherz! Przepraszam na chwilę...

Wstaję i kieruję się w stronę sracza.

Szybki rząderek kokainy. Sprawdzam trzydziestkęósemkę oraz czy łatwo wyciągnąć brzytwę z buta. Zachęcające mrugnięcie do mojego odbicia w lustrze i wychodzę.

Dwa metry od stołu wyciągam rewolwer.

— Stick'em up, suckers?

Wszyscy podrywają się, zaskoczeni. Za sobą słyszę szczęk zamka strzelby. Odskakuję na bok, żeby odsłonić pole Harry'emu, który wrzeszczy:

— Freeze, assholes!

Strzelba z uciętą lufą wygląda jeszcze groźniej. Oba mongoloidy kamienieją z otwartymi ustami. Mój zespół w komplecie zniknął z pola ostrzału. Na mój pierwszy krzyk padli na ziemię. Facetom w fartuchach Harry każe dołączyć do Grega i jego dwóch kumpli. Cała piątka wyciąga ręce pod sam sufit. Panujemy nad sytuacją.

— Co, Greg? Chciałeś mi zabrać moją forszę? To nieładnie...

Stoją nieruchomo jak posągi.

— Diana, obszukaj ich.

Szybko obmacuje ich z kpiącym uśmiechem. Chowa do kieszeni małą paczuszkę kokainy, którą Greg, ten egoista, chciał zachować dla siebie, a także grube pliki banknotów.

— Louie, zbieraj forszę ze stołu i z zapasów tych panów.

Usiłują wprowadzić protestować, ale znajdują się po niewłaściwej stronie karabinowej lufy.

— Stulić mordy! Wszyscy! Na kolana, ręce na głowy, motherfuckers!

Wycofujemy się. D'Amour, Diana ze swoimi dwoma psami, Chuck i Bananas biegną do samochodów. Osłaniam ich wraz z Harrym. Kiedy wszystkie trzy silniki zastartowały, wskazuję ręką salon.

— No, Harry, teraz możesz się zabawić.

Nie trzeba mu dwa razy powtarzać.

Łup! Telewizor sypie się w drobny mak i w postaci deszczu odłamków spada na ziemię. Łup! Rozlatuje się wieża stereo. Trzeci wystrzał robi ogromną dziurę w drzwiach do kuchni i niszczy stos brudnych talerzy. Z sufitu spadają kawałki tynku. Cała piątka, na klęczkach, osłupiała, przygląda się temu pustoszeniu, przerażona. Greg zatyka sobie palcami uszy.

Łup! Strzał w kominiek rozsypuje po dywanie rozżarzone węgle. Wybiegamy z domu i lecimy do samochodu, który jest gotów do odjazdu.

Dla porządku Harry ostatni raz strzela, tym razem w samochód Grega. Przednia szyba rozpryskuje się. Na pełnym gazie pędzimy po zamarzniętych polnych drogach. Nieco dalej, już na autostradzie, Harry zwalnia, po czym zatrzymuje się. Jest uśmiechnięty, odprężony. Wyciąga z kieszeni jug, małą paczuszkę heroiny, i pogwizdując przygotowuje sobie długi rząddek na tablicy rozdzielczej.

— I co, Harry? Zadowolony?

— Zdziwiasz mnie! Fajnie jest!

Wciąga nosem cały ten swój proszek i wydaje westchnienie rozkoszy. Minutę później ogarnia nas niepohamowany atak śmiechu, który utrzymuje się aż do Toronto.

Daję mu premię w wysokości pięciuset dolarów, po czym jadę spotkać się z resztą, żeby podzielić forszę.

Dzięki mnie D'Amour poznał przyjemność kibicowania walkom bokserskim i wieczorami często towarzyszy mi, kiedy idę robić zakłady w jakiejś hali. Nie zna się na tym zupełnie, ale wierzy w moje prognozy i w ten sposób niekiedy udaje nam się wyciągnąć od naiwnych parę banknotów.

Dzisiejszego wieczoru obejrzelśmy serię krótkich walk w Bagnatas Boxing Club i kiedy prezentowano uczestników, od razu wpadł mi w oko jeden z zawodników. To Murzyn, bardzo wysoki, chudy, o długich rękach, noszący pseudonim Spider — Pająk. Kiedy wprowadzają przeznaczonego mu przeciwnika, nie mam już żadnych wątpliwości. Jest nim karzeł o krótkich nogach, równie sztywny, co mój champion jest giętki i szybki.

Wstaję, kiedy tylko mój faworyt wychodzi na ring. D'Amour, który ślepo mi wierzy, wykrzykuje wraz ze mną swój entuzjazm. Przez cały wieczór wygrywaliśmy i teraz całą poprzednią wygraną postawiliśmy na Pajaka.

Spider niemalże lata nad ringiem, pędząc przed sobą karła. Fantastycznie bije z lewej, krótkimi precyzyjnymi ciosami. Mały jest mocny i trzyma się, ale jego garda nie na wiele się przydaje. Wszystkie uderzenia Spidera dochodzą celu.

Kiedy kończy się pierwsza runda, zwycięstwo mamy w kieszeni.

— Louie, zdaje się, że odkryliśmy mistrza.

— No. Widziałeś, ile jest wyższy od tamtego.

— A jaki ma zasięg rąk? A praca nóg? Wystarczą mu trzy kroki na przejście na drugą stronę ringu. A poza tym jak inteligentnie walczy!

W trzeciej rundzie karłowi udaje się uderzyć Spidera, który opada na liny. Jest liczony i D'Amoura ogarniają wątpliwości.

— To tylko przypadek. Nie ma sprawy.

Na „cztery” Spider wstaje i rzuca się do przodu, nabuzowany i wściekły. Atakuje wspaniałymi lewymi prostymi, zmuszając karła do przesunięcia gardy, korzysta z chwili odsłonięcia się przez tamtego, wali prawym prostym i otrzymuje niesamowity podbródkowy, który rozciąga go na ziemi w ostatecznym nokaucie.

Kiedy opuszczaliśmy salę, leżał jeszcze pośrodku ringu, jak zmiażdżony pająk.

Może szczęście mnie opuściło. Widocznie wyjechało z Toronto nie powiadamiając mnie, i pozostawiając sam na sam z kłopotami. Jest okropnie zimno. Mój kumpel — słońce, przestał się pokazywać. O piątej po południu jest już ciemno.

Wszystko sprzysięgło się przeciwko mnie.

— Od jakiegoś czasu jesteś innym człowiekiem.

No tak, teraz ona będzie mi zawracać dupę. Kiedy obudziłem się w południe w różowej bombonierce Heleny, już byłem w złym humorze. Potem zobaczyła, jak dokopałem Minette, jej pudłowi, który akurat się nawinął. Jej łzawe protesty nie poprawiły sytuacji. A teraz chciałaby pokierować moim życiem!

— Cizia, potrzebujesz odpoczynku. Klub i tak jest zamknięty, może wyjechalibyśmy gdzieś na słońce na jakiś czas? Nikt nie zostaje w Toronto na zimę.

Fakt, że jest styczeń 1973, to znaczy pierwsza od dawna zima, którą spędzam w lodowatym klimacie, i że o tej porze roku Toronto nie wygląda zachęcająco. Patrę przez okno na szare, ponure chmury, pokrywające niebo niczym ołowiany sufit.

Jest niesamowicie zimno, a na chodnikach zalega brudny śnieg.

— Moglibyśmy pojechać na Antyle na jakieś dwa tygodnie. Mam przyjaciół, którzy mają tam dom.

Dlaczego by nie, co mi w tym przeszkadza? Mam pieniądze i mam czas. Wprawdzie biuro imigracyjne zatrzymało mój paszport odkąd przyjechałem do Vancouver, ale z łatwością mogę uchodzić za Kanadyjczyka, a wyrobienie sobie fałszywych dokumentów to żaden problem. Tylko że Antyle już znam.

Helena kontynuuje swoje wywody, usiłując wziąć mnie na sentymenty.

— Na Jamajce jest nieźle. Mają dobrą trawkę...

To prawda, ale mają też jah, a on i ja nie jesteśmy w zbyt dobrych stosunkach.

W końcu, ponieważ Jaśniepani chciała słońca, zabrałem ją na tor wyścigowy w Greenwood, we wschodniej części miasta, gdzie panuje klimat tropikalny, jeśli oceniać go na podstawie stroju kelnerek.

Nie byłem tu już od dwóch albo trzech tygodni. Właściwie od czasu zamknięcia klubu. Dawniej zjawialiśmy się tu bardzo często, kiedy popołudnia zbyt nam się dłużyły. Podoba mi się to miejsce, gdzie wszystko zorganizowane jest tak, by wyciągnąć od ludzi forszę nie odbierając im uśmiechu.

Pierwsze piętra trybun opanowane są przez motłoch i byłem tam tylko raz, błąd debiutanta! Setki osób tłoczą się przed rzędem okienek. Podłoga zasłana jest papierkami i wygląda to jak hall dworcowy w porze wyjazdów urlopowych.

Ale na trzecim piętrze wszystko wygląda inaczej. Usytuowana na szczycie trybun restauracja zaprasza szczęśliwych graczy. Jedna z jej ścian jest całkowicie przeszklona i wychodzi akurat na linię mety. Kiedy się tu zajęło miejsce, nie ma już potrzeby się ruszać. Miłe kelnereczki, w spódniczkach mini, cienkich majteczkach, z głębokim dekoltem i wiecznym uśmiechem na buzi, podchodzą do stolika i zbierają zakłady, by następnie zgłosić je w odpowiednim okienku. Siedzimy sobie spokojnie z nosem pełnym kokainy i kieliszkiem szampana w ręku i robimy zakłady przez całe popołudnie.

Jeśli szczęście dopisuje, te same kelnereczki, nadal uśmiechnięte, przynoszą wygraną na małej tacce. Posiadły one wszystkie tajniki sztuki zdobywania napiwków. Jakże mógłbym odmówić zostawienia okrągłej sumki tej małej pupci, która trzepocze się o parę centymetrów od mojego nosa? Kiedy taka dziewczyna kładzie tacę na stoliku, przesadnie się przy tym schylając, fantastyczny widok głębi dekoltu pozostawia tylko alternatywę: albo pograć się tam aż po uszy, albo wsunąć banknot. To drugie rozwiązanie ze względu na miejsce jest bardziej odpowiednie i stosujemy je po królewsku. Przynajmniej wtedy, kiedy udaje nam się wygrać. Co zdarza się

niestety nadzwyczaj rzadko z powodu szczęśliwego pomysłu Louie, który, otumaniony nadmiarem kokainy, uważa się za profesjonalistę.

W regularnych odstępach czasu znika, by zejść do wagi i przynieść stamtąd poufny i całkowicie pewny cynk, pochodzący bezpośrednio z ust brata stróża pilnującego siodła dżokeja. Cynk za każdym razem okazuje się całkowicie skorodowany i jesteśmy niemal szczęśliwi, kiedy wyścigi dobiegają końca. Praktycznie zawsze opuszczamy hipodrom splukani, ale z uśmiechem na ustach.

Dzisiaj jestem z Heleną i wiem, że popołudnie nie przebiegnie normalnie.

Już na samym początku, po pierwszym wyścigu, wygrywam siedem tysięcy dolarów postawiwszy na piątkę, numer, który będzie mi przynosił szczęście do końca dnia. Jak zwykle siedzę przy tym samym stoliku, a moja ulubiona kelnereczka, mała brunetka o długich nogach, przyzwyczajona do moich królewskich napiwków, odstawia przede mną swoje normalne przedstawienie, częściowo dla zarobku, częściowo z sympatii.

Helenie zupełnie się to nie podoba. Morduje dziewczynę wzrokiem, a mnie rzuca podejrzliwe spojrzenia.

— Spałeś z nią.

To nie pytanie, to stwierdzenie.

— Ależ skąd! Lubi mnie, bo jestem dla niej hojny. To wszystko. Ma ładną dupkę i pokazuje ją, to jej praca, zrozum.

— To nie musisz się jej tak nachalnie przypatrywać!

— Słuchaj, nie denerwuj mnie. Ma ładną dupkę, przyjemnie na nią popatrzeć, a jeśli mam być szczerzy, ta dziewczyna mi się podoba.

Helena wstaje, oburzona.

— Jesteś zwykły cham!

Do cholery, może już starczy! Ja tu zajęty jestem grą, a ta mi zawraca głowę jakimiś scenami zazdrości. Co to ma znaczyć? Przysiągłem jej wierność, zgoda; nie dotrzymałem przysięgi, zgoda, ale tego ona nie wie. A zresztą to nie powód, żeby naruszać moje podstawowe swobody. Jej zazdrość, która na początku nieco mnie bawiła, teraz coraz bardziej mnie drażni.

Siedzi przygnębiona, milcząc. Nawet już na nią nie patrzę, zajęty stawianiem na następnego konia. A szczęście uśmiecha się do mnie przez całe popołudnie. Pomijam faworytów, stawiam wyłącznie na jakieś stare chabety, a one wygrywają!

Kiedy późnym popołudniem opuszczam Greenwood, mam kieszenie wypchane plikami banknotów. Zarażona moją radością Helena całkowicie zapomniała o naszym nieporozumieniu i do taksówki idziemy trzymając się za ręce.

Wracam do miasta i dzwonię do D'Amoura. Umawiamy się w Maple Leaf Garden, wielkim ośrodku sportowym, gdzie na gigantycznym ekranie oglądać będziemy bezpośrednią transmisję z wyjątkowego wydarzenia. Dziś wieczór mistrz świata wagi ciężkiej Joe Frazier bronić będzie swego tytułu w walce z nowym pretendentem, Georgem Foremanem.

— Przynieś całą gotówkę, jaką masz — mówię mu — wyciągnij swoje oszczędności, to jedyna okazja. Mam dziś szczęście i trzeba to wykorzystać. Dzisiaj nabijamy sobie kabzy.

Jest przyzwyczajony do mojego nieustającego optymizmu i ma opory. Opowiadam mu przebieg mojej gry na wyścigach, żeby go przekonać, i kiedy odkładam słuchawkę, liczby tańczą mu przed oczami.

Helena wróciła do domu i spotykamy się w Hot Stuff Lunch, barze Maple Leaf. Podniecona publiczność zajęła już miejsca na sali, gdzie zainstalowany jest ekran. Louie D'Amour ma plik banknotów prawie tak gruby, jak mój. Chociaż dotrzymuje mi kroku w wydatkach, zawsze udaje mu się odłożyć jakiś tysiąc dolarów od czasu do czasu. To przejaw jego strachliwego charakteru, którego nigdy nie potrafiłem do końca zmienić.

— Stawiamy wszystko na Joe Frazier.

Podskakuje nerwowo.

— Wszystko?

— Spokojnie, staruszkule! Zaufaj mojemu instynktowi. Ten facet to maszyna. Jego lewy prosty to żelazo. Jak dorwie tego Foremana, zrobi z niego powidła.

Jako fanatyk boksu tłumaczę mu:

— Słyszałeś o Mohamedzie Ali?

— No jasne.

— Więc nastaw uszy i słuchaj. W tysiąc dziewięćset siedemdziesiątym pierwszym przegrałem majątek, bo postawiłem na Alego. Było to w Madison Square Garden, walka stulecia. Frazier tak mu dołożył, że głowa boli!

— Tak, ale...

— Tysiąc dziewięćset siedemdziesiąt dwa, Terry Daniels, widziałeś pojedynek?

— Nie.

— Rozegrany został w Nowym Orleanie, w Super Bowl. Tak mu przyłożył, że tamten wyleciał z ringu.

— Dobrze, zgoda, ale...

— A Ron Stander, słyszałeś o nim?

— Nie.

— Techniczny nokaut w piątej rundzie!

— A Oscar Bonavera, argentyński byk, Chuvalo, Ramos, Ellis... wszyscy załatwieni na cacy! Wykończeni przez Joe Fraziera!

Robi na nim wrażenie ogrom moich wiadomości w tej dziedzinie.

— Nie mamy prawa przegrać, Louie, to bank!

Krzywi się.

— Tak samo mówiłeś wczoraj o Pajaku.

Poświęcam jeszcze trochę czasu, żeby wytłumaczyć temu sknerze, jaka jest różnica między serią małych lokalnych pojedynków a klasą walk w wadze ciężkiej. Joe Frazier to prawdziwy mistrz. Udowodnił swoje umiejętności niejedyn raz. Nikt nie ma co do tego wątpliwości i praktycznie wszyscy stawiają na niego. Bukmacherzy zmuszeni są do brania zakładów trzy do jednego.

— Trzy do jednego? To samobójstwo!

Nie podoba mu się, że trzeba sporo postawić, żeby liczyć na minimalny zysk. Konieczność wyłożenia trzech tysięcy dolarów, żeby zarobić tylko tysiąc więcej, zniechęca niejednego gracza.

— To powinno cię upewnić, że mam rację. Nikt tu nie ma wątpliwości. Rób, co chcesz, ja tam wszystko stawiam na Fraziera.

— Dobra... niech to szlag, idę z tobą.

Jedyny problem to znalezienie poważnych bukmacherów, którzy nie ogłoszą plajty w razie dużych strat. Znam paru, do których mam zaufanie, bo stawiam u nich na NFL, amerykańską ligę futbolową. Jeden przyjmuje zakład na sześć tysięcy dolarów, inny na dziewięć tysięcy, i w końcu udaje nam się ulokować całą forszę u kilku bukmacherów.

Kiedy upici szampanem i zataczający się wracamy na salę, żeby sobie spokojnie usiąść, widowisko już się zakończyło.

Sędzia przerwał pojedynek w drugiej rundzie, po tym jak George Foreman, nowy mistrz świata wagi ciężkiej, sześciokrotnie posłał na liny Joe Fraziera, byłego mistrza świata wagi ciężkiej.

A my straciliśmy całe nasze pieniądze.

Louie D'Amour powoli odwraca głowę w moją stronę, osowiały. Patrząc na niego, niemal równie zszokowany jak on, i mówię:

— Partner, jutro otwieramy klub.

CZEŚĆ DRUGA

Minęły dwa miesiące. Przyzwyczailem się do zimna, które nocą dochodzi niekiedy do minus dwudziestu pięciu stopni. Chroniony ciepłym futrem nie zwracam już na to uwagi.

Otworzyłem salę gry w Chinatown, korzystając z usług Li-Hana, mojego chińskiego przyjaciela. Azjaci, nawet bardzo biedni, uwielbiają grę na pieniądze, a w dzielnicy nie było dotąd nielegalnego kasyna. Li-Han obserwował rozwój moich interesów i to on przyszedł do mnie z konkretnymi propozycjami. Zbadał rynek. Był drobnym dealerem i alfonsem, potrzebował kapitału.

Zgodziłem się, bo interes był zyskowy. Ale postawiłem dwa warunki: biorę pięćdziesiąt jeden procent zysków i sam podejmuję decyzje.

Od początku sala przyciąga pięćdziesięciu amatorów dziennie. Nie wyobrażacie sobie orientalnej zadymionej speluny, pełnej podstępnych Chińczyków i okrutnych morderców. Gra jest dla moich klientów normalną czynnością, zwyczajną rozrywką, i są zachwyceni, że mają miejsce, gdzie mogą się zabawić. Wszystko odbywa się w jednym pokoju, nad restauracją Li-Hana. Tłoczą się tu i grają w gry, których reguł nawet nie rozumiem. Używa się tu kości, żetonów i domina. Systemy stawek są tak zagmatwane, jak to tylko możliwe. Wiem jedno, że na koniec dnia wygrywa bank. Oddelegowałem Harry'ego, żeby zapewnić bezpieczeństwo i mieć oko na mojego nowego wspólnika, którego uroczyście uprzedziłem:

— Li-Han, nie wolno oszukiwać.

Mam pełne zaufanie do Harry'ego. Udowodnił już swoją odwagę. Jest inteligentny i zna Agatów. Pozostawiłem mu względną niezależność.

Sam zatrudnił sobie pomocników i zorganizował pracę. Wiem, że jest wierny, a jego obecność w Chinatown pozwala mi zbyt często się tam nie pokazywać.

Jestem zadowolony z tej sali. Zorganizowanie wszystkiego nie nastąpiło trudności i od razu zaczęło przynosić zyski. Chińska dzielnica to dziewiczy teren i być może kryje w sobie inne możliwości. Chinatown będzie doskonałym zapleczem w razie wpadki booze-can Haiga.

Pod 87 na Bedford Street mój lokal znów działa. Haig ponownie objął swoje stanowisko pana domu, skupionego i gościnnego. Pod oknem D'Amoura w ciągu paru nocy klub odzyskał swój dawny rytm pracy. Dodatkowy środek ostrożności: gra się teraz w małym pomieszczeniu przylegającym do kuchni. W razie nalotu gracze i oszuści mają do pokonania tylko parę metrów, dzielących ich od tylnych drzwi.

Chuck i Bananas zajmują się stołami gry.

Krótko mówiąc postawiłem wartościowych facetów tam, gdzie mogą mi przynosić zyski. Wieczorem robię obchód, żeby zebrać pieniądze. Postanowiłem pozostawać w cieniu. Chcę, żeby widziano mnie jak najmniej, żeby móc działać z ukrycia. Zdobyłem nową klientelę na interesującym rynku, bez konkurencji i z dala od wzroku władz.

Przyciągnięci moją opinią mafioso, moimi kontaktami z Włochami, plotkami i reputacją mocnego człowieka, wielokrotnie przychodzą do mnie ludzie z półświatka, żeby prosić o ściągnięcie dla nich długu, którego nie są w stanie wyegzekwować.

Odbywa się to tak. Ktoś ma dług honorowy i odmawia zapłacenia należności. Za pięćdziesiąt jeden procent tej sumy zgłaszam się do dłużnika i przekonuję go, że powinien wyrównać rachunki. Jeśli sprawa mnie interesuje i jeśli dochodzimy z klientem do porozumienia w sprawie ceny, uprzejmie ostrzegam zainteresowanego, jeden raz, zawiadamiając, że trzeba zapłacić. Następnie stosuję zastraszanie, dużo skuteczniejsze od zwykłej przemocy fizycznej, o ile naciski są odpowiednio dozowane.

Interes ten rozwija się szybko. Wchodzę w niego bez kompleksów, z całą skutecznością, do jakiej jestem zdolny. Dłużnicy to ludzie z marginesu, nie przedszkolaki. Jestem więc bandytą mającym do czynienia z bandytami.

Przy takich okazjach posługuję się przypadkowymi pomocnikami. Harry naraił mi takich wielu. To prawdziwi fizyczni, spokojni, wyrafinowani aż po czubek swoich baseballowych kijów. Często ich zmieniam, bo są bardzo zajęci. Idą wraz ze mną na mordobicie, kiedy ich normalni pracodawcy, okoliczne więzienia, pozostawiają im nieco wolnego czasu.

Moja reputacja umacnia się. W środowisku underground jestem znany jako twardy facet, który nie robi prezentów i któremu wszystko się udaje. Jestem mafioso. Przypomniałem sobie gesty i słowa bandytów z dzieciństwa, kiedy bawiliśmy się w gangsterów. Noszę teraz na stałe moją

trzydziestkęsemkę w kaburze przypiętej nad biodrem i zakrytej marynarką, niewygodnej, ale bardzo eleganckiej.

Trzeba powiedzieć, że dbam o opinię. Mam teraz samochód odpowiadający mojej pozycji, dostarczony przez tego kochanego D'Amoura. Kupił sobie limuzynę lincoln continental, którą chciał zamortyzować wynajmując ją na wieczór gwiazdom showbusinessu przyjeżdżającym do Toronto. Wygrałem ją od niego w trakcie szybkiej partii bullshit-pokera i za jednym zamachem zrujnowałem wszystkie jego obliczenia. Jego protesty i długie opisy wyrzeczeń, jakie poniósł, nie potrafiły mnie wzruszyć. To właśnie samochód, jakiego potrzebuję. Telewizor, telefon, barek, z tyłu przestrzeń obliczona na sześć osób, trzeba przyznać, że Louie D'Amour zadbał o wszystko.

Na pocieszenie pozwalam mu jednak siadać za kierownicą, kiedy nie mam innego kierowcy, chociaż kategorycznie odmawia założenia szoferskiej czapki. W ramach zdrowotnych spacerów i by obejrzeć światło dnia, jeżdżę limuzyną po mieście godzinę dziennie, rozwalony na tylnej kanapie i na całkowitym haju.

Mianowałem D'Amoura menedżerem klubu. Dla niego to awans, dla mnie sposób na to, by nie pokazywać się tam zbyt często. Nie mieszkam już w klubie. Od czasu nalotu nie lubię już mojego mieszkania. Wynająłem apartament w Hyatt Regency.

Fizycznie czuję się źle. Odczuwam to podczas każdego przebudzenia. Kokaina wyczerpuje mnie. Jest jeszcze gorzej, odkąd odkryłem speed-ball, nowy przepis: dwie trzecie kokainy, jedna trzecia heroiny. Zupełne szaleństwo.

Nauczyła mnie tego Lynn, wysoka blondynka o ogromnych czarnych oczach i krótko obciętych włosach, okalających ładną buźkę wróbelka. Choć bardzo kobieca, jest jednocześnie jak skała, twarda i egoistyczna, pobudliwa i nienasycona. Lubi bójkę, przemoc i krew. Tonem, jakby opowiadała kawał, mówi o tym, jak znalazła swojego narzeczonego z kulą w głowie, leżącego w kałuży krwi w samochodzie, w wyniku jakichś porachunków. Jej przedramiona noszą liczne ślady nacięć brzytwą, pozostałość po dawnej próbie samobójstwa, podjętej w przebrzydłości trzeźwości.

Jest moją nową towarzyszką, od czasu kiedy rzuciłem Helenę, według jej własnego określenia. Zarzucała mi, że zrobiłem się zbyt poważny, z jej punktu

widzenia zresztą słusznie. Tonem, który miał mnie ostatecznie pograżyć, rzuciła mi kiedyś:

— Wydaje ci się, że jesteś Lucky Luciano!

Skorzystałem z okazji i zatrzasnąłem jej drzwiczki przed nosem, zostawiając ją samą na chodniku. Przez dwa dni nie mogła w to uwierzyć, po czym w odruchu gwałtownej rozpaczy wyrzuciła za okno moje ubrania.

Był już najwyższy czas, żebym odszedł. Nie chciałem jej ranić, i trzeba było unikać, by przywiązała się do mnie jeszcze bardziej. Muszę żyć pełnią życia, bez przerwy, a to nie jest życie dla niej. Nie mogę znieść monogamii. Nie mogłem już wytrzymać tej jej wiecznej troski o moje zdrowie, o ilości narkotyków, jakie zażywałem, i o mój charakter.

A przecież wiem, że ma rację. Kiedy chodzę, wystarczy, że pooddycham trochę zimnym powietrzem i już leci mi z nosa krew. Narkotyk zżera mi nozdrza nie mniej niż mózg.

Poza tym jestem niebezpieczny. Helena nie powinna mieć do czynienia z moim światkiem. Lubię ją, to dobry kumpel. Po prostu nie zostaliśmy przeznaczeni dla siebie, to wszystko.

Lynn przynajmniej nie zakocha się i bardziej pasuje do okoliczności. Nie będzie ode mnie wymagać, żebym był jej wierny. Ma w nosie moje przyjemności, jak długo będę ją stawiał na pierwszym miejscu. Od czasu do czasu pracuje dla agencji zatrudniającej modelki, ale jej główne zajęcie to przemyt kokainy między Toronto a Florydą. Ma tam dawnego kochanka, który jest poważnym dostawcą, i przechodzi do Kanady przez przejście graniczne w Niagara Falls, gdzie nieustający potok turystów sprawia, że kontrole są symboliczne.

Nie musząc już zajmować się prowadzeniem moich klubów dzielę czas między kilka punktów w mieście, i tylko o określonych godzinach pojawia się w kwaterze głównej. Tutaj napływają dla mnie informacje i stąd wydaję polecenia.

W porównaniu z innymi moimi interesami ściąganie długów to najciekawsze zajęcie.

— Niedobrze, Cizia! Niedobrze!

Przeżony Louie D'Amour dopada mojego stolika. Dookoła mnie rozbrzmiewają ciche odgłosy spokojnie działającego klubu. Siedząca naprzeciw mnie Lynn pożera mnie wzrokiem.

— Co się stało?

— Przyszedł Bobby Thompson! Właśnie wszedł! Jest z nim Don Caruso! Chcą z tobą rozmawiać. O, to niedobrze! Cizia. Uważaj.

Wskazuje mi dwóch facetów, o których istnieniu dotąd nie miałem pojęcia. Jeden jest gruby, krępy, z fajką w ustach. Ma ogoloną głowę, ogromne dłonie, puste spojrzenie. Paskudny gość. Drugi ma wredną mordę. Jest mały, chudy, o wzroku skurwysyna. Jego twarz poorana jest bliznami. Ma złamany i skrzywiony nos.

— To mają być te złe wiadomości?

— Tak! Ten gruby to Bobby Thompson. To morderca. Widziałem, jak zabił czterech facetów kijem baseballowym. Wszedł do ich baru, zmasakrował ich i wyszedł, a nikt nie ośmielił się poruszyć. Ten facet to maszyna. Najgorszy bandyta w Toronto.

Mówi to cicho, drżącym głosem. Zdaje się, że naprawdę się boi.

— A ten drugi?

— To Don Caruso! Skurwysyn, który stale siedzi w więzieniu. Znam go, Cizia. To twardy facet!

— Nic się nie bój, partner. Zajmę się tym.

Oba strachy na wróble podchodzą do mojego stolika. Mały pozszywany taksuje mnie wzrokiem z nieprzyjemnym uśmiechem na ustach.

— Nieźle idzie ten twój interes.

Gruby stoi nieco z tyłu, trzymając fajkę w dłoni. Jego błękitne oczy pozostają całkowicie bez wyrazu.

— Owszem, idzie bardzo dobrze. No dalej, pośpiesz się, mów, po co tutaj przyszedłeś.

Spokojnie. Na luzie. Po prostu ciekawi mnie, co chce mi zaproponować.

— Myślę, że twój biznes ma jedną słabą stronę.

— Opowiedz mi o tym.

— Chodzi o to, że nie masz ochrony.

Zaczyna to już być nudne. To trzecia próba szantażu, odkąd ponownie uruchomiłem boozę-can. Oczywiście wszystkie spełzły na niczym. Skąd się tu wziął ten karzeł? Przecież powinien wiedzieć, jak sprawy stoją.

— Bardzo ciekawe. Co proponujesz?

Lynn pochyliła się do przodu. Oparła głowę na dłoni, uśmiechając się, i przygląda się nieruchomo karłowi, który ciągnie swoją starą jak świat

śpiewkę. W zamian za poważny udział w zyskach — a ten kretyn jest wyjątkowo łakomy — zapewni mi skuteczną ochronę.

Gruby nie porusza się. To osiłek o prymitywnym umyśle, którego jedyną motywacją są pieniądze. Mały podejmuje decyzje. On tu jest mózgiem. Stawiam się na ich poziomie, udając durnia.

— Przed czym będziesz mnie ochraniał?

— Przed wizytą złych ludzi, którzy mogliby narobić tutaj sporo szkód.

Remont jest drogi...

Lynn wybuchła dzikim śmiechem.

— A kradzieżami i pożarami też się zajmujesz? No już, spadaj stąd, kutasie!

Bawię się jak rzadko. Ten wymoczek będzie mi tu groził. Mnie! Ja ściągam długi i w całym półświatku moja sława przyprawia ludzi o dreszcz grozy, tyranizuję okoliczną ludność, a ten tu przychodzi i chce się ze mną mierzyć! Albo jest nieświadomy niczego, albo naprawdę zbyt głupi do tego zawodu.

Odchylam marynarkę i wysuwam trzydziestkęósemkę z kabury.

— To jest moja ochrona, kretynie! Właściwie dlaczego nie wstąpiłeś do domu starców? Może byś tak przestał ludziom zawracać dupę, karzełku!

Zwracam się do grubego z ręką na kolbie rewolweru.

— A ty, groźny człowieku? Chcesz potrenować? No to już, masz okazję. Nie rusza się, wzrok ma wbity w moją rękę. Głupi, ale nie wariat.

— To ty jesteś Bobby Thompson?

Prostuje się z uśmiechem zdziwionego chłopczyka, zadowolonego, że się o nim mówi.

— Znasz mnie?

— Mówiono mi o tobie. Podobno robisz dobrą robotę.

Jego uśmiech rozszerza się, i puszy się jak paw pod wpływem moich komplementów.

— Ale tym razem zadziwiasz mnie, Bobby.

Jego uśmiech zanika. Wysila się, żeby zrozumieć.

— Co ty robisz z taką szmatą jak ten tutaj? Nie trzeba pracować z przegranymi. To źle wpływa na reputację. Rozumiesz?

Jego wzrok wędruje ode mnie do karła.

— Potrzebuję takich facetów jak ty. Jeśli chcesz, mam dla ciebie dobrą fuchę.

— Yeah?

Budzi się w nim zainteresowanie. Caruso wyczuwa niebezpieczeństwo i próbuje interweniować.

— Zamknij się, półgłówku! Bobby, płacę ci sto pięćdziesiąt dolarów dziennie.

To dużo. Caruso traci głowę.

— Bobby, ja jestem bossem. Ja ci płacę. Nie słuchaj go.

Kładę na stół pięć studolarowych banknotów.

— A ja ci daję pięćset dolarów od razu, jeśli walniesz w ryj tę szmatę i wyrzucisz mi ją na dwór.

Bobby myśli, ociężale. Patrzy na banknoty na stole, patrzy na mnie, po czym jego bez wyrazu wzrok pada na karła.

— Bobby, NIE!

Straszliwe uderzenie na odlew odrzuca go parę metrów w tył. Bobby schyla się, podnosi go i bez widocznego wysiłku idzie wyrzucić obrzydliwego na ulicę. Lynn rechocze, przyklejona do mnie.

Bobby wraca po swoje pięćset dolarów. Lynn mówi mu, że jest bardzo silny, co sprawia, że się czerwieni. Potwierdzam, że został zaangażowany jako siła uderzeniowa. Lynn obejmuje mnie za szyję i szepcze mi prosto w ucho:

— Cizia, mam mokre majtki. Musisz mnie przetrząść.

Wkrótce jej głos staje się prawdziwym mruczeniem. Nigdy jeszcze me słyszałem tylu świństw wypowiedzianych tak łagodnie. Sama muzyka jej chrapliwego i zmysłowego głosu powoduje, że ogarnia mnie gorączka. Nie wytrzymuję długo i oboje wymykamy się.

Lynn zajmuje dwa ostatnie piętra starej, spokojnej kamienicy. Jest u niej niewiele mebli, co zostawia sporo przestrzeni życiowej. Podłoga pokryta jest białą wykładziną. Jest tam też balustrada i schody z jasnego drewna. Ściany zdobią pozawieszane dookoła w metalowych ramach piękne czarno-białe zdjęcia młodych kobiet, przyjaciółek Lynn, co wzmaga męski charakter tego obszernego luksusowego mieszkania.

Lynn to specjalistka od narkotyków. Stoi na czele siatki prostytutek i wiele jej dziewczyn, wszystkie piękne, uczestniczy w przemyśle kokainy.

Jak tylko weszliśmy, rozebrała się. Kiedy tak stoi z odsłoniętymi piersiami, w samych białych majteczkach, wydaje się niemal chuda. Przygotowuje nam po kilka rzędów naszej ulubionej mieszanki: speed-ball. Połączenie heroiny z kokainą to diabelski środek. Horse, heroina, całkowicie pozbawia ochoty na seks. Kiedy wzięło się jej odpowiednio dużo, jest praktycznie niemożliwe osiągnąć orgazm i mieć wytrysk. Natomiast kokaina przeciwnie, ma własności podniecające. Mieszanka obu zwielokrotnia u mężczyzn potencję i pozwala im kontrolować się całym godzinami.

Narkotyki ten musiała wymyślić sama Lynn. Nigdy jeszcze nie spotkałem tak nienasyconej kobiety. Odkąd z nią jestem, moje życie stało się pasmem pokus. Załedwie zbliża się do mnie, a już jej erotyczna aura opanowuje mnie i pogrąża w rodzaj bosko przyjemnego piekła. Nie mogę przebywać nawet paru chwil obok niej, żeby jej ręka nie zaczęła mnie pieścić pod stołem, albo gładzić wzdłuż kręgosłupa aż po kark lekkimi muśnięciami, które szybko stają się nie do zniesienia.

Lynn stale napręża moje zmysły i jest na dobrej drodze, by wypompować ze mnie całą energię. Jej czarne oczy wlepione we mnie wyrażają więcej niż zaproszenie: to naglące żądanie, rozkaz.

Niczym ośmiornica żywi się moim życiodajnym płynem poprzez wszystkie swoje przyssawki. Jeśli uda mi się odczołgać na bok, jedna z jej rąk dosięga mnie i z powrotem przywołuje do obowiązku. To żarłoczne i nienasycone zwierzę, prawdziwy wampir. Lynn to ludojad, we wszystkich znaczeniach i wszystkich otworami. Z nią odczuwam wszystko i za każdym razem coraz silniej.

Nie mogę już się bez niej obejść.

Wyczytałem gdzieś, że mężczyźni żyją krócej niż kobiety z powodu wysiłku, jaki wkładają w uprawianie miłości. Każdego ranka budzę się zdziwiony, że jeszcze jestem przy życiu.

Bobby Thompson stał się moim gorylem. Jeździ ze mną wszędzie i prowadzi lincolna. Widocznie nie jest mi pisane mieć szofera w służbowej czapce, bo nie udało mi się znaleźć wystarczająco dużej, by pasowała do obwodu głowy mojego nowego pracownika. Ten facet to siła natury. Nie ma straszego wyglądu, zwłaszcza kiedy ma na sobie swój nieodłączny płaszcz i sweter z golfem. Fajka wzmaga jeszcze wrażenie poczciwego ojca rodziny. Nawet jego ogolona czaszka i byczy kark nie są uderzające. Tylko dłonie,

niczym gigantyczne łopaty, budzą niepokój i zdradzają jego siłę. To góra twardych mięśni otoczonych tłuszczem.

Nie postarzał się od czasu, kiedy był nastolatkiem. Jego wiek umysłowy nie przekracza szesnastu lat, choć w rzeczywistości ma ich ponad czterdzieści. Pieniądze to jedyna rzecz, jaka się dla niego liczy. Żywi do dolarów bezgraniczną miłość i to nieokiełznane uczucie to jedyna rzecz, jaką odczuwa. Poza tym nigdy żadnej emocji, prawdziwa maszyna.

Jest głupi i złośliwy, to znaczy, świetny, jeśli dobrze go prowadzić. Tak długo już deptę innym po odciskach, że zaczynam mieć na mieście sporo wrogów. W wieku dojrzałym ludzie z trudem zapominają o takich sprawach. Wiem, że niektórzy marzą o tym, by dostać moją skórę. Obecność u mego boku Bobby'ego, który w samą porę zastąpił Harry'ego, odstraszy mniej zdecydowanych.

Już następnego dnia po naszym pierwszym spotkaniu, które stanowiło początek długiej i owocnej współpracy, miałem sposobność przekonać się o jego zaletach.

To wina Louie D'Amoura. Ten dureń bawi się w mafioso i dał się nabrać jak frajer przy kokainowej transakcji. Chodzi o jakąś niezbyt jasną sprawę, mętłą i nieco szmatławą, która mnie nie interesuje. Już od paru dni D'Amour zawraca mi głowę prosząc, bym interweniował.

— Pomóż mi. Ty potrafisz to załatwić.

— Nie zamierzam się umoczyć w narkotyki, już ci mówiłem. Nie chcę mieć z tym nic wspólnego.

— Ależ, partner, to nie żaden szwindel! Chodzi tylko o ściągnięcie długu. To twoja dziedzina, nie?

— Długi karciane. Nie narkotyki.

Argumentuje, że straci reputację, nie mówiąc już o sporej forsie, ale mam to w nosie. Chce się bawić w bandytę, to niech się bawi do końca, jak dorosły.

— Cizia, stracę twarz. Jak się rozejdzie, że zadajesz się ze zwykłym frajerem...

— Przestań, Louie. Nie próbuj mi tu wciskać kitu. Zajmę się tym, ale to ostatni raz. Jasne?

— Tak, tak. Ostatni raz. Obiecuję.

Nikt nie jest bardziej uparty i bardziej nachalny niż Louie, kiedy w grę wchodzi jego forsa. Wykorzystuje moją sentymentalność, a poza tym mam ochotę wypróbować mój nowy nabytek.

Na ten pierwszy wypad wziąłem ze sobą Bobby'ego i sprowadziłem Harry'ego z Chinatown. Louie już od co najmniej tygodnia przeżuwa swój plan, i dostarczył mi wszystkich niezbędnych informacji. Nasz obiekt najczęściej załatwia interesy w jednym z barów na Yorkville Avenue. Jedziemy tam wczesnym popołudniem, to jest w porze, kiedy najłatwiej go zastać. Harry idzie sprawdzić i w lincolnie czekamy, aż wyjdzie z baru. Moi dwaj goryle siedzą z przodu. Louie D'Amour, zdenerwowany, kręci gałkami telewizora ciężko wzdychając. Nasz wielki Louie D'Amour nie lubi kłopotów.

Na zewnątrz powoli przejeżdża żółto-czerwony pług śnieżny, a po nim sznur ostrożnie jadących samochodów. Na chodniku procesja wiernych Kriszny, zmarzniętych na kość, których monotonne śpiewy dobiegają mnie nawet tutaj, przez szyby samochodu, stawia czoło mroźnemu powietrzu, dowodząc, że prawdziwa wiara nie zna przeszkód.

Mają jednak ubrania zimowe, całe warstwy swetrów, wełnianych wdzianek, czapek, jakichś bliżej nie określonych świństw, a wszystko pokryte zwykłym pomarańczowym prześcieradłem. Bałwany! Tylko dwaj, którzy walą w swoje instrumenty, bardziej wierzący albo bardziej aktywni, wyglądają na to, że im ciepło.

Naprawdę są wszędzie. Spotykałem ich we wszystkich krajach, przez które przejeżdżałem, w Europie, w Azji i na kontynencie amerykańskim. Nie wiem, gdzie znajduje się ich guru, ale byłbym zdziwiony, gdyby też odmrażał sobie jaja w tej okolicy. Wyobrażam sobie go raczej na jakiejś plaży, otoczonego krisznetkami, gładzącego się po brzuchu i myślącego o tych wszystkich debilach, którzy dla niego pracują.

W końcu w naszych czasach najpewniejszym sposobem zrobienia szmalu jest stworzenie jakiejś sekty. Szczególnie w Stanach Zjednoczonych. Ciekawe, jak bardzo lud północnoamerykański potrzebuje wierzeń. Wydajni i skuteczni ludzie muszą w ten czy inny sposób czuć się zagubieni!

Nigdy nie widziałem miejsca, gdzie byłoby tyle różnych religii. Po prostu są tam wszystkie. Katolicy, protestanci, buddyści, zwolennicy Kriszny, baptyści, świadkowie Jehowy, adwentyści Dnia Siódmego, wielbiciele Dnia Dwudziestego Ósmego, Trzeciego Oka, Drugiego jaja, a i tak wiele pomijam.

Nie będę krytykować, w końcu ja też szukałem swojej drogi... W Azji kumple, którzy zostali wielkimi kapłanami Trzeciego Oka, wytykali mi brak uduchowienia.

— Jesteś porządny facet, Cizia, ale ciągle jeszcze zbyt przywiązany do spraw materialnych. Brakuje ci wspólnoty duchowej z twoimi braćmi. Przyłącz się do nas, poprowadzimy cię drogą prawdy i światłości...

Więc z ciekawości poszedłem zobaczyć. Ale zamiast świetlanej prawdy zobaczyłem zwykłe ludobójstwo. Pobudka o świcie, lodowaty prysznic pod wodospadem, medytacje przez trzydzieści pięć godzin tygodniowo, zakaz wychodzenia, haj wyłącznie duchowy.

Kiedy chcieli, żebym żarł nasiona i zabronili mi pierdolić, zwałem w podskokach, zabierając ze sobą kasę na pokrycie kosztów podróży.

Chętnie zgodzę się na wysiłek, ale bez przesady!

Jakże to wszystko jest już odległe!

Tymczasem zaczynam się denerwować. Dostyc już mam tego czekania w samochodzie. A Harry nie wychodzi! Nie mogę tu siedzieć cały dzień, mam ważne spotkania, czekają na mnie łóżka z dziewczynami.

Zawraca dupę ten D'Amour swoimi kretynizmami! Biorę rząddek za rządkiem, żeby się czymś zająć.

Kling! Klong! Hare Krishna!

Tamte błazny zbliżają się ze swoją muzyką i głowa mi puchnie. Bez żenady jeden z nich puka w szybę. Trzyma w jednej ręce paczkę z laseczkami kadzidła, miseczkę w drugiej. I nalega ten dureń. Teraz usiłuje zajrzeć przez przyciemnioną szybę. Otwieram okno, krzyczę mu, żeby spieprzał i żeby sobie wsadził te swoje laseczki gdzieś. Naprawdę nie lubię tych typów, którzy niczego nie zrozumieli z życia.

Podnoszę szybę, ale ten stoi w miejscu, a wkrótce dołącza do niego kolega grający na tamburynie. I kling, i klong, co za kretyńska muzyka!

Doprowadzony do ostateczności otwieram okno i z banknotem w dłoni kiwam na hałaśliwego, żeby podszedł. Pochyla się ku mnie z wniebowziętym uśmiechem na ustach.

— Dzień dobry, bracie — mówi. — Czy mogę ci pomóc?

Chwytam go za kołnierz i pluję mu prosto w ryj. Oto mój datek!

— Bobby! Harry! Na co czekacie? Sam mam robić całą robotę? Zabierajcie mi stąd tych szmaciarzy!

Tylko na to czekają, i wyskakują z samochodu wydając okrzyk wojenny, niczym archaniołowie Pana Naszego na widok Antychrysta. W ciągu dwóch sekund kurnik ogarnia panika, ale obie drogi ucieczki są zablokowane. Wkrótce brat Bobby osiąga przewagę. Trzyma już trzech za końskie ogony i ciągnie ich za sobą, żeby złapać czwartego, który ucieka na czworakach. Harry, któremu udał się karny, próbuje teraz strzały wolne w postaci wielkich kopniaków w tyłek. Następnie obaj trenują rzut kriszną i po przebyciu fantastycznego łuku w kolorze pomarańczowym tamburyniarz ląduje na kupie śniegu. Jest nowicjuszem, więc lewitacja przypuszczalnie nie była przewidziana w jego programie. W ten sposób walka zostaje przerwana z braku walczących.

Łupy: trzy końskie ogony i stos podartych pomarańczowych sukien, Harry chowa do bagażnika.

— To najlepszy materiał do polerowania chromowanych zderzaków — mówi mi tonem znawcy.

Skręcam się ze śmiechu, ze łzami w oczach, bez tchu, kiedy D'Amour zawiadamia mnie, że jego dłużnik właśnie wyszedł z baru. Wstrząsany jeszcze drgawkami śmiechu wysiadam z limuzyny i idę mu na spotkanie. Bobby i Harry podążają za mną.

— Dzień dobry.

Tamten patrzy na mnie, zaskoczony, i odpowiada na moje powitanie.

— Dzień dobry!

Ma pocziwą głowę skurwysyna, chciwego i podstępnego, i zastanawiam się, w jaki sposób Louie mógł zaufać takiemu facetowi.

— Nie znamy się, nie główkuj. Byłeś winien pięć kafla D'Amourowi, teraz jesteś je winien mnie. Nic do ciebie nie mam, ale musisz mi oddać te pieniądze, i to szybko.

Zatkało go, ale dochodzi do siebie.

— Za kogo ty się masz, koleś?

— Daję ci czas do jutra do pierwszej na zapłacenie długu.

Nawet nie odpowiada, wzrusza ramionami i idzie dalej. No cóż, najwyraźniej temu panu brak wiadomości z zakresu psychologii. Tym gorzej dla niego.

Następnego dnia w południe przechodzimy do działania. Od rana Harry śledzi go, żebyśmy mogli go znaleźć. O dwunastej trzydzieści dostaję

wiadomość. Moja ofiara je obiad w restauracji na Bloom Street. Jadę z Bobbym pod podany adres. To nędzny, brudny bar, na wschód od centrum. Udzielam kilku poleceń Bobby'emu i wchodzimy.

Barman o zgaszonym spojrzeniu niemrawo łązi za ladą. Kilku pojedynczych klientów je w milczeniu posiłek. Przy barze, obrócony do nas plecami, nasz klient ogląda jakieś głupoty w telewizji, trzymając w ręku talerz spaghetti.

Najbliżej siedzący konsumenci patrzą na nas, wyczuwając drakę. Gabaryty Harry'ego robią na nich wrażenie. Zostawiam go przy drzwiach, o które opiera się nonszalancko, i kieruję się ku mojemu dłużnikowi.

Palcem wskazującym pukam w jego ramię. Odwraca się.

— Hello, to ja, i jest pięć po pierwszej.

Patrzy na mnie okrągłymi z zaskoczenia oczami, usta ma pełne makaronu. Nie rozumie, skąd się tutaj wzięłam.

— Pięć minut spóźnienia. Bobby, twoja kolej.

Bobby zbliża się i swoimi dwiema łopatomami chwyta faceta za kołnierz marynarki, po czym ściąga go ze stołka. Zaciska obie dłonie, niemalże dusząc tamtego, paraliżując jego ruchy, i przyciąga do siebie.

Szybkim ruchem w tył nabiera rozpędu, po czym rozwała gościowi nos straszliwym uderzeniem z czoła.

Sam jestem zaskoczony. Nie spodziewałem się takiej szybkości po grubym Bobbym. Umiem mocno walnąć, ale jeszcze nie widziałem, żeby ktoś przyłożył z taką siłą. Nadal stojąc w tej samej pozycji, Bobby podtrzymuje na wpół omdlałego faceta.

— Kiedy szef mówi „*płać!*”, musisz zapłacić! Powtórz.

I zanim Złamany Nos ma czas otworzyć usta, rozwała mu łuk brwiowy drugim uderzeniem z czoła.

— Powtórz!

I łup! — pęka drugi łuk brwiowy. Zatrzymuję Bobby'ego lekkim kopnięciem w ścięgno łydki, zanim całkowicie zmiażdży tamtemu twarz.

— Dosyc, do cholery, wystarczy.

Puszcza faceta, który z okrwawioną mordą wali się na ziemię. Na odchodnym szepczę mu:

— Jutro w południe.

W barze panuje pełna konsternacji cisza. Nikt się nie poruszył.

Kiedy samochód wiezie nas z powrotem, usiłuję wpoić Bobby'emu kilka pojęć z zakresu psychologii, którymi zwykle się posługuję. Nie zawsze jestem zmuszony walić albo kazać walić. Na początku zdarzało mi się, że stawałem samotnie, grożąc im, przed facetami dwumetrowego wzrostu. Myślałem sobie, że jak się zaczną stawiać, będę musiał walić ich blatem od stołu, żeby stracili przytomność.

Wszyscy płacili, i na ogół odbywało się bez przemocy. Być może wyczuli u mnie zimną determinację, to, że nie miałem nic do stracenia i że na dłuższą metę, o ile mnie nie zabiją, muszą przegrać.

— Nie trzeba tak walić.

— Dlaczego?

Z Bobbym trzeba rozmawiać łagodnie, jak z małym chłopczykiem, żeby zrozumiał.

— Nie ma potrzeby tak rozwalać.

Żeby mieć pewność, że dobrze zrozumie, trochę przesadzam i używam jedyne go argumentu, jaki do niego dociera.

— Jak go zabijesz, nie będzie już mógł zapłacić!

— Ojej! Tylko trzy lekkie uderzenia głową...

Następnego dnia w południe pobity, którego przekonała nasza ostatnia rozmowa, spłacił mi dług. Rzuciłem jego udział D' Amourowi, ostrzegając go:

— To był ostatni raz. Więcej masz mnie nie mieszać do swoich głównianych machlojek, zrozumiałeś?

Od kiedy mianowałem go menedżerem klubu, D'Amour uważa się za króla, choć nie rozumiał, co ten tytuł naprawdę znaczy. Już dawniej ubierał się w sposób wyzywający, ale teraz jego gust jest zupełnie nieznośny. Zamawia sobie całe kolekcje trzyczęściowych garniturów z dopasowaną kamizelką w najbardziej nieprawdopodobnych kolorach. Bez przerwy powtarza: „*Nie ma sprawy, don't worry*”. Wyrósł mu mały wąsik, i zastanawiam się, czy wkrótce nie zacznie uczyć się włoskiego. Jego podziw i uważne imitowanie wszystkiego, co robię, są niewątpliwie wzruszające, ale brak klasy, jaki przebija z tego nowego zachowania, gra mi na nerwach.

To tylko mały oszust, bojaźliwy i skąpy. Odkąd się poznaliśmy, fascynuje go świat gangsterów i bierze się za najróżniejsze machloje, ani interesujące, ani szlachetne, byleby były nielegalne. Wielokrotnie przychodził do mnie z

propozycjami różnych interesów, w rodzaju przemytu narkotyków, handlu kradzionymi kartami kredytowymi, prostytutce... Najróżniejsze szmatławe kombinacje, które zupełnie mnie nie interesują. Mnie pociąga coś zupełnie innego, a on nie potrafi tego zrozumieć.

Zastanawiam się, czy słusznie uwolniłem go od Diany. Dopóki był z nią, zazdrościł mi sercowych podbojów i wyczuwałem jego smutek, kiedy odchodziłem z jedną lub paroma pięknościami, a on wracał do swojej starej kurwy i jej dwóch małych parszywych psów. Ogarnięty litością długo i wielokrotnie tłumaczyłem mu, że życie jest krótkie, że trzeba korzystać ze wszystkich jego przyjemności. Nie ma żadnego powodu, by poświęcać się wyłącznie jednej pochwie.

Pomimo dręczących go pragnień trzymał się mocno i podobnie jak wielu jego poprzedników próbował przekonać mnie o prostym pięknie odwzajemnionej miłości, trwałego związku i owocnej duchowej i cielesnej wspólnoty.

Aby wybić mu z głowy te beznadziejne pomysły, zawzięcie rzucałem mu w objęcia coraz to nowe dziewczyny. Posłałem na front wszystkie ich odmiany. Ślicznotki, brunetki, blondynki, dziewczyny z obwisłym tyłkiem, grubaski. Przewidziałem nawet osiemdziesięciolatkę na wypadek, gdyby okazało się, że ukrywa przede mną wynaturzone upodobania.

I pod naporem tej lawiny załamał się. Diana ponownie prowadzi burdel w Nowym Jorku, w towarzystwie swoich dwóch paskudztw, a D'Amour znowu zaczął żyć. Nawet za bardzo, moim zdaniem...

Zachowuje się jak alfons, który dla niego jest symbolem sukcesu, a mnie się to nie podoba. Nadal jest dobrym kumplem i lubię go. Ale nie przeszkodziło mi to powiedzieć mu, że jest królem frajerów, co głęboko go uraziło. Dobrze wykonuje swoją pracę i przestrzega obowiązującej zasady: jego machlojki nie mają prawa przekroczyć progu klubu. Swoją kwaterę główną ma w Julie's Mansion.

Dziwni ludzie z tych szulerów. Ładnej rzeczy dowiedziałem się o Chucku i Bananasie, którzy nadal zawiadują stołem gier.

Przyjaźnią się od dzieciństwa. W okresie młodości była ich trójka nierozłącznych przyjaciół. Ten trzeci nigdy nie zszedł z uczciwej drogi. Kiedy odziedziczył majątek po ojcu, Chuck i Bananas nauczyli go hazardu i w ciągu

paru lat dokumentnie oskubali, zachowując z nim jednocześnie doskonałe stosunki osobiste. To wielcy hipokryci.

W booze–can mamy w tej chwili regularnego frajera, przegrywającego krocie, który pozostawia u nas całe swoje wpływy z przemytu kokainy. Jak dotąd, wszystko jest najzupełniej normalne. Mniej normalne jest to, że Petera, owego handlarza, wprowadził do klubu jego własny wspólnik, Jan. Ten ostatni świetnie zna Chucka i Bananasa i doskonale orientuje się w ich działalności, a oddał nam w ręce swojego wspólnika Petera umyślnie. On finansuje ich spółkę, a ryzyko podejmuje Peter. Skłaniając kolegę do przegrywania u nas pieniędzy, Jan utrzymuje go w stanie ustawicznej finansowej zależności, co jest wygodne w prowadzeniu interesu.

Nie potrafię zrozumieć, że ludzie mogą razem działać, razem podejmować ryzyko i jednocześnie się oszukiwać. Sam jestem pozbawiony skrupułów, ale zdrada czyjejs przyjaźni przekracza moje zdolności pojmowania.

Któregoś wieczoru para bogatych Japończyków, szanowni państwo Tanaka, bawiący przejazdem w Toronto, przychodzą zabawić się w naszym booze–can. Pan Tanaka szybko przegrywa całą gotówkę. Podchodzi do mnie kelner.

— Tanaka nie ma już dolarów. Chciałby kupić żetony za jeny. Czy możemy je przyjąć?

— Ile ma tych jenów?

— Równowartość pięciu tysięcy dolarów według obecnego kursu.

— Kto ci podał kurs?

— On.

No tak! Idę do stołu gry. Przed szanownym panem Tanaką piętrzy się stos banknotów. Szybko przeliczam i odkrywam, że jest tego raptem za dwa i pół tysiąca dolarów.

Szanowna rodzina Tanaka, nie wiedząc, że niedawno przyjechałem z Japonii, po prostu próbowała podwoić swój kapitał.

Mówię im dzień dobry po włosku, że się omylili, po angielsku, i że dziękuję im za wizytę, po japońsku. Nie dają po sobie nic poznać. Dla moich pracowników to dobra lekcja. Od tej pory nauczyli się nieufności wobec kamiennej twarzy synów Wschodzącego Słońca.

Lynn szykuje kolejną podróż tam i z powrotem do Miami, w ramach swojego handlu kokainą. Wróci dopiero za pięć dni i żąda, żebym w ciągu ostatnich godzin, jakie spędza w Toronto, pozostawał nieustannie przy niej.

Kiedy przyjeżdżam do jej mieszkania, właśnie ćwiczy przed przekroczeniem granicy i przy okazji uczy tajników zawodu jedną z dziewczyn ze swojego zespołu, dziewiętnastoletnią piękną Metyską Ginger.

Lynn często korzysta z usług pięknych dziewczyn przy przemycaeniu narkotyków. Jej metoda doprowadzona została do perfekcji i Ginger bardzo uważnie śledzi wszystkie szczegóły pokazu, jaki robi dla niej szefowa.

Jak wielu przemytników, Lynn przemyca kokainę w prezerwatywach, które połyka, ale wprowadziła przy tym innowację. Wielu zawodowców zakończyło karierę wspaniałym przedawkowaniem, kiedy pod wpływem soków trawiennych prezerwatywa pękała w ich żołądku, przynosząc im najpierw największy haj w życiu, a następnie śmierć.

Aby uniknąć tego rodzaju kłopotów, Lynn opracowała własną technikę, która wymaga długotrwałych ćwiczeń. Wiąże ze sobą wszystkie kolejne prezerwatywy nadzwyczaj wytrzymałą żyłką wędkarską. Do ostatniej w tym łańcuszku przywiązana jest bardzo cienka nitka, której drugi koniec okręcony jest wokół trzonowego zęba Lynn. Długość całego tego ustrojstwa obliczona jest tak, by zwisało w przełyku, dzięki czemu żadna z prezerwatyw nie jest poddana niszczącemu działaniu kwasów w żołądku.

Wymaga to długotrwałych przygotowań, bo, podobnie jak połykacze mieczów, dziewczyny muszą się przyzwyczaić do obecności obcego ciała w gardle. Lynn ćwiczy codziennie używając prezerwatyw wypełnionych mąką. Spore wrażenie robi jej widok, kiedy połyka ten swój łańcuszek, ale jeszcze bardziej zadziwiająca jest scena, kiedy pociąga za nitkę i jedna po drugiej pojawiają się małe paczuszki, powodując straszliwe napady kaszlu.

Odprawiwszy Ginger, Lynn natychmiast rzuca się na mnie ze śmiałymi pieszczotami.

— Podoba ci się moja mała Ginger?

— Tak. Jest bardzo ładna.

Natychmiast gryzie mnie okrutnie w ucho i oświadcza, że mogę sypiać z kim chcę, ale z wyjątkiem Ginger, która jest jej najlepszą przyjaciółką. W pozycji, w jakiej się znajduję, trudno byłoby mi czegokolwiek jej odmówić. Obiecuję.

Na początku miłosne ataki Lynn wydawały mi się cudowne, ale jak tak dalej pójdzie, dziewczyna wypompuje ze mnie wszelką energię. Nawet z pomocą speed-ballu nie mogę już podołać. Nie jestem graczem w golfa i pełne przejście całego toru, sześć razy po trzy otwory, powtarzane kilkakrotnie w ciągu dnia, jest ponad moje siły. Ta dziewczyna mnie zabije.

Nasze miłosne uściski to bitwy, z których wychodzę pokonany, bez tchu, wykończony, połamany, okrwawiony, z rozoranymi plecami, a serce wali mi w piersi jak młot. Jestem skazany na ostateczną porażkę w tej nadludzkiej walce; wyniosą mnie nogami do przodu. Tymczasem mój męski honor nie pozwala mi się poddać, i wolę już zginąć na posterunku niż złożyć broń!

Udaje mi się wyrwać po wścieklej potyczce w parterze, i biegnę do kuchni odbudować nieco siły. Wysypuję wszystko z lodówki do głębokiego talerza. Posypuję pieprzem, polewam tabasco i dodaję meksykańskiej papryki, wszystko z myślą o dodaniu sobie ostrogi, żeby kontynuować natarcie.

Moje mięśnie są sztywne i obolałe. Stoję nago w kuchni, zamyślony. Nagle mało nie podskakuję do sufitu. Machinalnym i typowo męskim ruchem podrapałem się między udami, i mój biedny zmaltretowany członek poddany zostaje torturze papryki, której kilka drobinek zostało na moich palcach.

Próbuję wszystkiego. Wycieram, polewam wodą, znowu wycieram, nic nie pomaga. Mogę tylko podskakiwać w miejscu i powstrzymywać się, by nie jęczeć. Z sypialni dobiega mnie tęskny głos Lynn.

— Cizia, co ty tam wyrabiasz? Chodź mnie przerznąć.

To niemożliwe! Muszę się pozbyć tej pijawki! Ból zaczyna ustępować, a w mojej głowie świta diabelski pomysł i przywraca mi pogodę ducha.

— Już idę, moja śliczna.

Wkładam palec do słoika z papryką i biegnę do sypialni.

Leżąc na łóżku z rozłożonymi udami Lynn sama zabrała się do roboty, czekając na moje przybycie. Rzucam się na nią, odsuwam jej rękę i zastępuję ją swoją. Lynn okazuje swój entuzjizm dla mojej pieśczości, po czym nagle tężeje z paniką w oczach. Odrywa moją dłoń od miejsca, gdzie się znajdowała, i wyskakuje z łóżka wrzeszcząc, po czym znika w łazience zalana łzami.

Nareszcie mam spokój i po raz pierwszy od dawna jestem szczęśliwy na myśl, że Lynn ma prawdziwy ogień między udami.

Wyjechała do Miami bez pożegnania, widocznie się obraziła. Tego samego wieczoru jeżdżę lincolnem po całym mieście. Obchód zwykle odwiedzanych przeze mnie barów nic nie daje i ze smutkiem decyduję się na samotne wypicie paru kieliszków.

U Maxwella jest pełno. Wszystkie stoliki są zajęte, na podwyższonym parkiecie kłębi się gęsty tłum. Przy kontuarze rząd playboyów, łokieć oparty na ladzie, zapalony papieros, w dłoni szklanka whisky, mina tajemnicza. Tylko trzech Afrykanów w bubu, zapewne jacyś ambasadorzy, wyłamuje się z tej zasady.

Sam, kierownik sali, jest zaskoczony.

— Cizia, dawno cię nie było. Chcesz stolik?

To prawda. Nie chodzę już tak często do lokali. Przy moim stoliku siedzi kilka osób. Nie przyjmuję propozycji Sama, więc robi mi miejsce przy kontuarze, obok czarnych ambasadorów, po czym otwiera butelkę mojego szampana.

Jeden z Afrykanów zwraca się do mnie z szerokim uśmiechem:

— Cizia! Jak ci leci?

Jak mi leci?

— Hej! Kopę lat, man. Gdzie się podziewałeś?

Gdzie się podziewałem! Ja nie znam tego faceta. Usiłuję pozbierać wszystkie wspomnienia i postacie z moich dawniejszych przygód, kiedy jego czerwone oczy podsuwają mi odpowiedź. To Stew, tancerz, fajny kumpel, i dwóch jego przyjaciół z tego samego zespołu. Ma na sobie obszerną dzelabiję w kolorze pomarańczowym i zielonym, na szyi gruby naszyjnik, na głowie jaskrawoczerwony fez, więc go od razu nie poznałem. Dopiero jego oczy, zniszczone kokainą, przypomniały mi, że to on. Dwaj pozostali też przebrani są za Afrykanów.

— Co słyhać, Stew? Wyglądacie wspaniale. Bardzo wam w tym do twarzy.

Wypijamy razem kielicha i Stew wyjaśnia mi, że dla czarnych ludzi nadszedł czas poszukiwania korzeni.

— Powrót do źródeł, kolego! I dlatego wyjeżdżam do Afryki!

— Super, dokąd jedziesz?

— Do Dahomeju. Tam są moje korzenie, man.

Przestudiował swój baobab genealogiczny i odkrył, że jego praprzodek przyjechał do Ameryki jako niewolnik dwieście lat temu i że pochodził z Dahomeju. Jedzie tam szukać jego ducha.

Życzę im dobrej podróży i kontynuujemy rozmowę. Są świetnymi tancerzami, to prawdziwi królowie nocy. Uwielbiają zabawę, wiedzą o wszystkich przyjęciach, są bardzo zdolni i ich towarzystwo podnosi mnie na duchu. Jeden z pozostałej dwójki mówi mi, że powrót do źródeł to ważna sprawa i że pilno mu już znaleźć się w Afryce. Tutaj w swoim bawełnianym bubu poważnie już cierpi od mrozu.

Nagle dostrzegam ją. Ginger, moja śliczna Metyska, której poszukuję od początku wieczoru, tańczy na parkiecie, parę metrów ode mnie. Jest giętka jak liana. Śmieje się, najwyraźniej rozanielona, i patrzenie na nią sprawia prawdziwą przyjemność.

Jej jedyna wada: jakiś młody kretyn tańczący naprzeciwko niej i opowiadający jej historyjki, które ją rozśmieszają. Korzystam z chwili ciszy między dwoma kawałkami, żeby się do niej zbliżyć. Zauważa mnie i pozdrawia szerokim uśmiechem. Podchodzę, żeby się przywitać. Biorę ją za rękę, żeby odwróciła się od tamtego bałwana, i mówię z uśmiechem, który wydaje mi się niewinny:

— Jak się masz, Ginger?

Cofa się o krok i odpowiada karcącym tonem:

— Cizia! Lynn to moja przyjaciółka!

U Ginger jest skromnie i wygodnie. Jeśli nie liczyć jednego pokoju, który stale jest zamknięty, wszystko wskazuje, że mieszka tu młoda kobieta bez problemów, dobrze sytuowana i grzeczna. To mieszkanie studentki albo narzeczonej.

Ginger jest cudowna, jej nogi są niewiarygodnie długie i smukłe. Jej matowa, lecz błyszcząca skóra jest zupełnie wyjątkowo gładka. Ma ładną twarz, z wielkimi i zawsze gotowymi do śmiechu ustami, lekko spłaszczony nos i gęstą kaskadę czarnych, falistych włosów.

Jej spojrzenie jest niesamowicie jasne jak na tę ciemną twarz Metyski. Oczy nie są jednakowego koloru, jedno zielone, drugie jasnyniebieskie, co dodaje tajemniczości jej dziecinnemu wyglądowi. Przy niej jest mi dobrze. Pod nieobecność Lynn spędziłem u jej boku całe pięć dni. To tak, jakby w moje życie wtargnął cyklon śmiechu.

Przez pierwszą noc wypaliliśmy dużo trawki i zaśmiewaliśmy się aż do rana. Zajęła się mną troskliwie, ale tej nocy nie kochaliśmy się. Ginger to nie wulkan. Dla niej seks to rzecz zabawna, a czasem profesja. Jest ekspertem, ale bez żarłoczności, jak Lynn. Można przy niej odpocząć.

Uwielbia zajmować się mną, podporządkowywać się wszelkim moim zachciankom i rozpieszczać mnie. Rano przynosi mi śniadanie do łóżka, oczywiście moje ulubione dania, a towarzyszą temu odpowiednie pieszczoty. Następnie przygotowuje mi cudowne kąpiele, gorące, pełne piany, odprężające. Przymocowuje do deseczki świecę i stawia ją na wodzie. W ciemności płomień chwieje się i rzuca wokół blaski. Jest to przyjemne i relaksujące: oto cała Ginger.

Czasami tańczy dla mnie. To prawdziwa uczta dla oczu. Jest giętka, zwierzęca, łączy się z muzyką i improwizuje mi balety przy latynoamerykańskich rytmach. Uwielbia salsę, w tej chwili bardzo modną.

Ginger pracuje niekiedy jako modelka i w jej mieszkaniu spotykają się początkujące cover girls, spragnione wszystkiego, zabawne i śliczne jak obrazki.

Jej jedyna wada: jest kurwą. Z wielką klasą, zapewne, ale jednak kurwą. Opowiadała mi, wśród niepohamowanych wybuchów śmiechu, swoje zawodowe anegdotki. Jej klientela to pary z wyższych sfer, których zboczenia bardzo ją bawią. Wszystko odbywa się w ciemnym pokoju, który przez resztę czasu pozostaje zamknięty.

— A wtedy dude (klient) kazał mi nasikać na jego głowę. I zapłacił mi za to pięćset dolarów.

Pokazała mi swoje akcesoria, raczej niepokojące, i chcąc mi zrobić przyjemność oświadczyła, że zarabia dużo pieniędzy. W jednej z szuflad leżą w imponującej ilości banknoty, o których z zadowoleniem powiedziała, że są dla mnie.

— Nie potrzebuję forsy i nie podoba mi się to. Jeśli chcesz ze mną zostać, koniec z klientami.

U mnie żadnych dudes. Nie ma mowy o miłości albo o posiadaniu. Jako prawdziwy egoista rozumiem wolność tylko na jeden sposób, mój własny. Ona może robić co chce. Nie zamierzam kierować jej życiem, ale nie będę żył z dziewczyną, która chodzi do łóżka z innymi, choćby za pieniądze. To

wszystko. Nawet jeśli jej klientom wystarcza, że im naubliża albo ich zbije, i nie dotykają jej, mimo wszystko to mi przeszkadza.

Ginger ma dziewiętnaście lat. Pochodzi z Tobago, jednej z wysp karaibskich. Wychowała się w trudnych warunkach i nigdy o tym nie mówi. Wiele wycierpiała. Jest zblazowana i pozostaje jej tylko ze wszystkiego się śmiać. Po półgodzinie wyrzuciła swoje przyrządy.

Lynn wpadła w straszliwy gniew, kiedy wróciła i okazało się, że mieszkam z jej najbliższą przyjaciółką.

— Rzucasz mnie dla jakiejś brudnej czarnuchy!

Wrzeszczała i wyczerpała cały swój repertuar rasistowskich i feministycznych obelg. Żeby ją pocieszyć, odkupiłem od niej za gotówkę cały jej zapas kokainy, płacąc paskarską cenę.

Największą przyjemność sprawia Ginger pójście gdzieś wieczorem ze mną u boku. To dla niej największa nagroda. Kiedy robimy rundkę po nocnych lokalach, przywiera do mego ramienia i już mnie nie puszcza, spoglądając z wyższością na inne dziewczyny.

Teraz klub jest zamknięty w niedziele. W poniedziałki i wtorki pojawiają się tam tylko przelotnie. Poważni gracze przychodzą jedynie w końcu tygodnia, a czekanie przez całą noc, żeby oskubać jednego frajera na paręset dolarów już mnie nie interesuje. Otwieram klub od poniedziałku ze względu na Haiga, który zainteresowany jest sprzedażą alkoholu. Nie mogę mu tego odmówić, choć wiem, że to błąd.

Policja z pewnością ma na nas oko, i wiem, że tu wróci. Nie sposób zachować dyskrecję, kiedy tyle samochodów stoi na parkingu przez cały tydzień. Dni klubu są policzone. Wolę o tym nie myśleć.

Dom ma troje nowych mieszkańców: dwie dziewczyny i dziecko, którzy wpadli mi w ręce przypadkowo. Jak zwykle grałem w pokoiku w głębi, kiedy uwagę moją przyciągnęły krzyki dobiegające z głównej sali. Coś się tam musiało dziać. Pobiegnęłam więc, a za mną Bobby.

Pośrodku tłumu klientów wysoka blondynka, którą już wcześniej widziałem w klubie, próbowała przytrzymać inną dziewczynę, niemal dziecko, którą jakiś czarny siłą ciągnął w kierunku drzwi, choć usiłowała się wyrwać. Obie dziewczyny krzyczały, ale nikt nie interweniował.

Co ma znaczyć ten burdel? Przedzieram się przez tłum i chwytam czarnego za rękę.

— Zwariowałeś chyba! Co to ma wszystko znaczyć?

Wobec mojej interwencji puszcza dziewczynę, która chroni się w objęciach blondynki.

— To nie twoja rzecz!

To typowy Murzyn z Nowego Jorku, ubrany w jaskrawokolorowe łachy, w ciemnych okularach i z wełnianą czapeczką na czubku głowy.

— Co znaczy: nie moja rzecz? Do cholery, jesteś u mnie i robisz zamieszanie!

— Fuck! Ty przychodzisz szukać forsę u Isaaca Jonesa, a ja przychodzę do ciebie szukać mojej dziwki. Nie mieszaj się do tego.

Jeszcze jeden z tych czarnych alfonsów, którzy przyłążą do tego kurewskiego klubu, i ta hołota chce się tu rządzić, jak u siebie!

— OK. Zjeżdżaj.

— Nie wyjdę bez mojej dziwki.

— Zmywaj się stąd, bastard!

Robię krok do przodu, za mną Bobby, i facet wycofuje się. Dochodzi aż do drzwi, po czym zatrzymuje się i wykrzykuje obelgi.

— Bobby!

Bobby idzie do przodu, ale tamten wyczuwa niebezpieczeństwo i znika.

Zwykle nie mieszam się do takich paskudnych historii. Prostytucja to zło konieczne, niekiedy całkiem przyjemne. Ale nienawidzę alfonsów moim zdaniem to najgorszy rodzaj szumowin. A poza tym nie lubię u siebie awantur.

Posyłam obie dziewczyny do mojego mieszkania, żeby przestały być obiektem ciekawości klientów, po czym wracam do przerwanej partii.

Dwie godziny później idę na górę. Alfonsowi musiało się już znudzić i czas wyrzucić je za drzwi. Są w moim pokoju, blondynka siedzi u wezgłowia małej, która leży na łóżku przykryta kocami.

Podchodzę bliżej. Milutka jest ta dziewczynka; ma ciemne włosy, wielkie lekko skośne oczy i wystające kości policzkowe. Ale w tej chwili jej twarz wygląda źle, czoło ma zroszone potem.

— Co się stało, chora jesteś?

Potakuje głową w milczeniu. Przychodzi mi do głowy pewne podejrzenie, odsłaniam jej rękę i podwijam rękaw. Tak jak przypuszczałem, żyły noszą ślady licznych nakłuć, to były zastrzyki z white horse, heroiny.

Blondynka krzywi się przeproszająco, jest jej głupio.

— Jest na głodzie.

— Ile masz lat?

Blondynka chce skłamać, odgaduję to po jej minie. Nie, chcę usłyszeć prawdę.

— Ty mi odpowiedz — zwracam się do bruneteczki — ile masz lat?

— Siedemnaście, ale już niedługo osiemnaście — odpowiada niepewnym głosem.

W dodatku nieletnia! Akurat tego mi było potrzeba! Brawo, wygrana na całej linii, to mnie nauczy bawić się w dobrego samarytanina. Mam teraz na głowie nieletnią, prostytutkę, narkomankę i w dodatku przeżywającą kryzys głodowy! Właśnie tego było mi potrzeba. Muszę się jej pozbyć, mam dość problemów bez całej tej historii.

— Macie dokąd pójść?

— Nie.

— Forse?

— Nie.

Odpowiada blondynka, potrząsając głową. Brunetka patrzy na mnie, przestraszona, z nadzieją w oczach, wstrząsana konwulsyjnymi drgawkami. Dlaczego to musiało się przytrafić właśnie mnie?

— Nie patrz tak na mnie, nie jestem świętym Mikołajem!

Wstaję i chodzę wzdłuż i wszerz pokoju. Dziewczyna drży coraz silniej, pot spływa jej po twarzy. Blondynka trzyma ją za rękę, ociera jej czoło i czułym gestem gładzi po policzku. Ona też jest bardzo ładna. Jej blond włosy, obcięte bardzo krótko, okalają twarde rysy, niemal męskie, ale bardzo piękne.

Pociesza małą wzrokiem, a tamta odpowiada jej nikłym uśmiechem. Ta parka jest wzruszająca. Wyczuwa się, że łączy je wielka miłość, która nie pozostawia mnie obojętnym. Wezmę sobie na kark nowe kłopoty.

— OK, możecie tu zostać, aż wyzdrowiejesz. Jak ty się nazywasz?

— pytam blondynkę.

— Jo. A ona jest Roxanne.

— Jo, zajmiesz się nią. Idź do łazienki, gdzieś tam są środki nasenne.

Przez ten czas, z pomocą Ginger, która w tym czasie przyszła na górę, wyciągam wszystkie koce. Roxanne będzie się strasznie pocić i wszystko przemoczy: lepiej, żeby na dodatek się nie przeziębiała.

Dwadzieścia minut później Roxanne, pod wpływem potężnej dawki środka nasennego, jaką jej zaaplikowałem, śpi niespokojnym snem cicho pojękując.

- Od dawna bierze?
- Nie, od paru miesięcy.
- Znasz się na heroinie?
- Nie, nigdy nie brałam.

Udzielam jej szybkiej lekcji na temat heroiny i błędów, jakich należy unikać, kiedy się chce kogoś odzwyczaić. Jak już się za to wzięłem, niech przynajmniej będzie z tego jakiś pożytek.

— Inna sprawa. Nie chcę żadnej z was widzieć na dole. Macie siedzieć w pokoju, zrozumiałaś?

- Tak.
- Jeśli będziecie czegoś potrzebować, poprosisz Haiga, tego starego, który mieszka na dole. Uprzedzę go. Wrócę tu jutro.

Przed wyjściem widzę, jak Jo pochyla się nad uśpioną Roxanne i całuje jej twarz. Na schodach Ginger łapie mnie za ramię.

- Ładnie postąpiłeś, Cizia.
- Tak, ale to błąd.
- Być może, ale to ładnie mimo wszystko — mówi mi i całuje mnie.

Przed powrotem na salę gier informuję Haiga o obecności Jo i Roxanne, i o ich problemach. Chętnie zgadza się nimi zająć. Jest wzruszony dowiadując się, że Roxanne jest taka młoda i już jest narkomanką.

Następnego dnia zaraz po przebudzeniu jadę do mieszkania. Nic mnie do tego nie zmusza, ale skoro już coś zacząłem, niech będzie przynajmniej doprowadzone do końca.

Roxanne, u której środki nasenne przestały już działać, przeżywa właśnie kryzys głodu narkotycznego. Zwinięta w kłębek na łóżku, pokryta kwaśnym i śmierdzącym potem, pojękuje bez przerwy, cierpiąc z powodu bolesnych skurczów ogarniających całe jej ciało. Płacze i łzawym głosem błaga o zastrzyk.

- Już ostatni, tylko jeden malutki — jęczy.

Bez przerwy odwraca się w kierunku Jo, która, zalana łzami, usiłuje ją uspokoić. Moje nadejście sprawia, że małej puszczają nerwy.

— A zresztą wcale nie chcę tego rzucić, dobrze mi z tym. Poza tym kim ty jesteś, żeby mi coś kazać! Nie jesteś moim ojcem, będę robiła, co będę chciała! — wrzeszczy do mnie klęcząc na łożku.

Po czym opada na poduszki, załamana, z zaczerwienionymi i opuchniętymi oczyma.

Kiedy się rzuca narkotyk, najgorsze jest uczucie słabości, bezsilności i obrzydzenia do życia. Rzecz pogarsza myśl, że wystarczyłby malutki zastrzyk, by poczuć się dobrze. Kilka skrętów odpręża ją trochę.

Mija tydzień. Jest to pasmo błagalnych krzyków i nerwowych załamań. Bóle trwają jeszcze przez dwa następne dni, po czym następuje okres apatii. Wreszcie dziewczyna powoli odzyskuje uśmiech i zaczyna dreptać po mieszkaniu, ku wielkiej radości Haiga. Jest naprawdę rozkoszna, mały kawałek kobiety o doskonałym ciele, a wobec mnie jest wstydliva jak dziecko.

Jo zachowuje jeszcze dystans, ale powoli się odpręża. Jest nieufna, zastanawiając się zapewne, jakie mam zamiary. Doświadczenie nauczyło ją nie wierzyć w bezinteresowne uczynki. Ale nadal jestem dla niej kołem ratunkowym, i stara się być miła. Cała jej uwaga skupia się na Roxanne, którą opiekuje się bez przerwy.

Poznałem już ich historię. Jest ponuro banalna, jak sprzedawane na dworcach powieścidla. Roxanne pochodzi z lasów Dalekiej Północy, jest córką indiańskiego drwala, zdegenerowanego alkoholika, który utrzymywał kazirodcze stosunki ze swoimi starszymi córkami. Aby uniknąć losu matki i siostr, traktowanych jak szmaty, pięć miesięcy temu uciekła z domu. Przyjechała do Toronto bez pieniędzy i tu poznała młodego białego sukinsyna, który podsunął jej heroinę. Nie wie, kiedy i jak znalazła się w łapach czarnego alfonsa, który ostro się do niej zabrał. Systematyczne lania oraz heroina zrobiły z niej seksualny przedmiot. A Murzyn, żeby złamać resztki jej oporu i zniszczyć wszelką samodzielność, kilkakrotnie dał ją przelecieć wszystkim swoim braciom. Skończyła na ulicy.

Jo, luksusowa call-girl, spotkała ją w jakimś sklepie. Zakochała się w niej. Od tej pory usiłuje ją wyciągnąć z tego piekła. Któregoś dnia, mając w kieszeni dwie porcje narkotyku, Roxanne zdobyła się na odwagę i uciekła. Ukrywała się u Jo, ale pimp odnalazł ją i uciekając znalazły się u mnie.

Sądziłem, że spełniłem już swój obowiązek, ale historia na tym się nie zakończyła.

Uśmiech już dwa dni temu powrócił na usta Roxanne, ale zauważam, że teraz z kolei Jo chodzi jak struta. W końcu postanawiam z nią o tym porozmawiać.

— Co się znowu stało?

Trochę się waha, ale ma już do mnie pewne zaufanie i wreszcie wyznaje:

— Boję się pojechać do mojego dziecka, zbyt dużo jestem winna pielęgniarce.

— Masz dziecko?

Spada to na mnie jak grom z jasnego nieba, ciężko mi wyobrazić sobie Jo w roli matki.

— Tak, czteroletniego chłopczyka.

Tym razem wygląda na to, że naprawdę wygrałem główną nagrodę!

— OK. Bobby, przygotuj samochód.

W mojej sytuacji...

Pojechaliśmy po dziecko, małego roześmianego chłopaka o blond włosach, który ma na imię Tommy. Spotkanie matki z synem było wzruszające. Zabrałem wszystkich na obiad do La Strady, żeby przedstawić małego rodzinie. W ten sposób moja garsoniera zamieniła się w przedszkole.

Skoro najwyraźniej wrócił święty Mikołaj, wiem już, co zostało do zrobienia.

Wydaje się, że ta historia nigdy się nie kończy.

Przygotowuję ostatni akt. Być może ze względu na moją szlachetną naturę, być może również po to, że mój zespół nie ma ostatnio roboty, ale przede wszystkim dlatego, że facet jest skurwysynem, a skurwysynów trzeba tępić.

Isaac Jones, właściciel speluny, w której graliśmy w kości, szef czarnych, kazał mi grzecznie przekazać, żebym nie mieszał się do spraw jego ludzi, i dał mi do zrozumienia, że może się to skończyć wojną. Równie grzecznie kazałem mu odpowiedzieć, żeby wsadził sobie swoje pogroźki gdzieś, i nie było żadnej reakcji. Wobec tego...

— Roxanne, wiesz, gdzie można znaleźć tego alfonsa?

— To pool shark, zawodowiec bilarda. Co wieczór gra w jednej sali na Younge Street.

Kilka godzin później Bobby ustawia samochód na parkingu o parę metrów od lokalu, po czym szybko idziemy tam, słaniając się pod naporem lodowatego wichru. Jest z nami Jo, która ma nam wskazać faceta, oraz Harry.

Przegrzana sala wypełniona jest zwykłą w takich miejscach fauną. Obrzydliwe kolumny wysyłają włączoną na pełny regulator muzykę. Powietrze jest gęste od dymu, i od razu chwyta mnie za gardło smród piwa i potu. Jest głośno. Ledwo słysząc dźwięk uderzających o siebie kul.

Wokół każdego z dziesięciu bilardowych stołów trwa wymiana banknotów. W kącie jakaś Murzynka podryguje obscenicznie, zaczynając coś w rodzaju strip-tease'u, zachęcana przez kilku typów. Na ławkach leży paru żebraków ze szklankami piwa w ręku. Gra bardzo niewielu ludzi. Większość przyszła tutaj, bo jest ciepło i głośno. Przy stołach poszczególne uderzenia wywołują komentarze w rodzaju „*Fuck!!*” „*Hey man!*” i innych idiotyzmów. Lepka podłoga powoduje, że przywierają do niej podeszwy butów.

Jo przeciska się w głąb sali, usiłując znaleźć alfonsa. Idziemy parę metrów za nią, wmieszani w tłum. Jej rolą jest zaprowadzić go, nie wzbudzając podejrzeń, do sraacza w głębi sali. Chodzi między stołami przyglądając się uważnie każdemu z grających. Żeby tylko ten skurwiel tu był!

Wreszcie podchodzi do jakiegoś Murzyna w skórzanej kurtce i wełnianej czapeczce na głowie. Mówi do niego parę słów, po czym razem idą do toalety. To ten. Dyskretnie przyśpieszamy kroku podążając za nimi. Właśnie znikają za parawanem, zasłaniającym wejście do ubikacji, kiedy dopadamy ich.

Zanim facet zdążył nas zauważyć, Bobby zrzuca mu czapeczkę z głowy, łapie za kręcone włosy i wszyscy czterej wpadamy do wnętrza.

Harry natychmiast blokuje drzwi, podczas gdy Bobby, który unieruchomił głowę ofiary pod pachą, rozwała jej nos ciosami pięści. Następnie błyskawicznie pomimo swej tuszy obracając się wokół własnej osi, wali głową czarnego w kafelki pokrywające ścianę.

W tej właśnie chwili, wśród donośnych odgłosów spuszczonej wody, jakiś frajer wychodzi z kabiny, pracowicie zapinając spodnie w gęstym smrodzie gówna. Na nasz widok nieruchomieje. Gwałtownym gestem wpycham go z powrotem do środka.

— Na pewno jeszcze nie skończyłeś srać. Siedź tam i morda w kubeł.

Nie każe sobie powtarzać dwa razy, i słyszę nawet szcęk zasuwki.

Potężnym kopniakiem otwieram drzwi drugiej kabiny, żeby sprawdzić, czy jest pusta.

Tymczasem Bobby zanurzył głowę tamtego do zbiorczego pisuaru. Mocnymi powtarzanymi ciosami wykańcza mu portret na cynkowanym dnie zbiornika. Krew miesza się z moczem. Facet już nawet nie krzyczy.

Daję znak Bobby'emu, żeby na chwilę przestał, i nachylam się nad szmatą.

— Słuchaj uważnie, asshole, od dziś zapomnisz o Roxanne, nie wiesz, kto to jest, nigdy jej nie znałeś. Jeśli jej dotkniesz, jeśli spotkam cię w okolicy klubu albo dowiem się, że coś przeciwko niej szykujesz, zabiję cię!

Każde zdanie podkreślam mocnym kopnięciem w zębra.

— Dobrze zrozumiałeś, bastard?

Uznaję, że nieokreślony dźwięk wydobywający się z otworu, który kiedyś był jego ustami, oznacza potwierdzenie.

— To było tylko małe ostrzeżenie — mówię mu, po czym wstaję.

Żeby podkreślić, że mówiłem poważnie, Bobby podnosi za włosy ociekającą krwią i moczem głowę i z dużym zamachem rozwała ostatecznie facetowi szczękę o brzeg pisuaru.

Zanim zdołałem go powstrzymać, łapie go oburącz za ramię, opiera na kolanie i jednym pociągnięciem, wydając głuche stęknienie niczym drwal, łamie mu rękę w łokciu.

— Wystarczy, Bobby, spływamy.

Na sali nikt niczego nie zauważył i szybko zmierzamy do wyjścia. Dopiero kiedy zamykają się za nami drzwi, rozlegają się pierwsze krzyki. W ciepłym samochodzie czeka na nas Jo. Nie zadaje pytań, uśmiech Bobby'ego jest wystarczający.

Od tej pory Jo i Roxanne pomagają mi w klubie pracując jako kelnerki. Dom zrobił się bardziej ludzki. W każdą niedzielę urządzam rodzinne wyjazdy limuzyną, żeby Tommy pobyl trochę na świeżym powietrzu. Kiedy pozwala na to pogoda, zabieram wszystkich na wieś, by pobawić się w śniegu.

Z Ginger u mego ramienia i Jo, Roxanne oraz Tommym u boku robimy długie spacery wśród ośnieżonych lasów, a kilka kroków za nami postępują Bobby i Harry, niosąc piknikowy kosz i termosy z kawą.

Kiedy Tommy jest zmęczony, sadzam go na ramionach Bobby'ego, ku wielkiej uciechu małego, który kieruje nim pociągając go za uszy. Początkowo

obawiałem się, że z właściwą sobie delikatnością Bobby połamie chłopca na kawałki nie mając nawet takiego zamiaru, ale nieoczekiwanie okazało się, że potrafi być miły, choć bynajmniej nie jest zachwycony swoją nową rolą — niańki.

Tommy wykazuje sporą inteligencję jak na swoje cztery lata, jest miłym dzieckiem i bardzo go lubię. Roxanne i Jo, przeżywające regularną miłosną idyllę, zajęte są urządzaniem swego nowego mieszkania, pięknego dwupoziomowego lokalu we wschodniej dzielnicy. Kiedy są nieobecne, zajmuję się małym, którego zabieram wszędzie ze sobą.

Często chodzimy na lody do La Strady, gdzie cały personel go uwielbia. Kiedy moje zajęcia w danym dniu nie są takie niewinne lub są „*dozwolone od osiemnastu lat*”, powierzam go opiece Mammy, która rozpieszcza go i pozwala mu na wszystko. W angielszczyźnie chłopaka zaczynają się pojawiać potoczne włoskie zwroty, ku wielkiemu zadowoleniu rodziny Guccich.

Jo jest zachwycona widząc syna w dobrych rękach, ale nie jest też całkowicie pozbawiona obaw. Dom nie jest najpewniejszym miejscem, a nasza nocna działalność trochę ją niepokoi. Jest tu prawdziwy arsenał, a odkąd Tommy wyznał mi, wskazując na mój rewolwer, że w przyszłości on też zostanie gangsterem, Jo poprosiła, bym był bardziej dyskretny w sprawach broni.

Jest to zresztą rada, której powinienem posłuchać ze względu na siebie samego.

Pewnego lutowego dnia, późnym popołudniem, pager przekazuje mi wiadomość: Harry szuka ze mną kontaktu.

Nie jest to normalne, i natychmiast dzwonię do niego do domu. Słuchawkę podnosi jego żona. Gęsto przepraszając, zaniepokojonym głosem wyjaśnia mi, że Harry jest chory i dziś wieczór nie będzie mógł objąć służby.

Podobnie jak *booze-can*, kasyno w Chinatown otwarte jest sześć dni w tygodniu. Codziennie Harry zawozi tam rezerwę banku, w wysokości dziesięciu tysięcy dolarów. Czuwa nad prawidłowym przebiegiem gier, co nie stanowi problemu, po czym dokonuje podziału wpływów: mój udział, udział Li-Hana, jego własne wynagrodzenie i dziesięć tysięcy dolarów rezerwy na następny dzień. Jest to poważna odpowiedzialność, której nie sposób powierzyć pierwszemu lepszemu. Moja działalność u Chińczyków jest tajemnicą. Nikt w moim otoczeniu nie jest o niej poinformowany.

Jedyne wyjście to zająć się tym samemu.

— Bobby, jedziemy do Harry'ego.

Opuściwszy rudere, którą zajmował w centrum, Harry urządził się na przedmieściu z całą swoją małą rodziną. Mieszka w osiedlu willowym. Wszystkie domki są takie same. Okolica jest cicha i pokryta śniegiem.

Bobby oczekuje mnie w lincolnie. Joan, młoda żona Harry'ego, otwiera mi drzwi. Jej powitanie jest uprzejme, ale najwyraźniej uśmiech na jej twarzy jest wymuszony. Wygląda, jakby jeszcze schudła od naszej ostatniej rozmowy. Muszę przerwać nowy potok zażenowanych przeprosin.

Ich chłopiec wysuwa głowę przez szparę w drzwiach od swojego pokoju. Matka pośpiesznie zagania go z powrotem, gładząc po włosach.

Czuć kuchenne zapachy. Dom jest czysty i smutny, meble banalne. Cicho gra radio. Dookoła pełno pamiątek z Azji. Jest spiczasty wiklinowy kapelusz i posążki z powykrzywianymi twarzami. Na ścianie długa samurajska szabla.

W ramkach stoją rodzinne zdjęcia. Jest na nich Harry z radosnym uśmiechem na ustach, młody, z szerokimi ramionami, w tle mały dom zalany słońcem. Na innym zdjęciu jest razem z Joan, wówczas jeszcze małą, ładną blondynką, szczęśliwą, że znajduje się w ramionach tego przystojnego krótkowłosego chłopaka. Są zdjęcia dziecka, a także drobnych staruszków, miłych i uśmiechniętych. Po podobieństwie rozpoznaję ojca Harry'ego, typowego yankee z baseballową czapką na głowie. Amerykańska rodzina, spokojna, nieco głupawa, szczęśliwa. Dziwne uczucie tak podejrzeć inną stronę życia faceta, którego znało się tylko w akcji. To nagle sam na sam z prywatną sferą jego życia krępuje mnie, tym bardziej że wiem, iż świat ten już dla niego nie istnieje.

Słyszę, jak rzezi w sąsiednim pokoju. Żona właśnie go budzi.

— Kurwa jebana mać!

Wygląda niedobrze. To facet, który mówi niewiele, a już na pewno nie o swoich kłopotach, ale zdarzało się nam pogadać. Powiedział mi, że jego związek z Joan się wali. Ona go nie rozumie: zarzuca mu uciekanie się do przemocy w zarabianiu pieniędzy. On ma już wszystkiego dość. Odkłada pieniądze na wyjazd do Nowej Zelandii albo do Australii. Przed podjęciem ostatecznej decyzji poprosił żonę o kilka miesięcy czasu.

A przecież ma spokojną pracę w Chinatown. Dlatego właśnie go tam umieściłem, gdy dowiedziałem, się, że ma na utrzymaniu rodzinę. W ten sposób mniej ryzykuje niż przy innych zadaniach, jakie mógłbym mu zlecić.

Wraca Joan. Oczy ma wielkie na pół twarzy i wygląda na przybitą. Czuję jej dezaprobatę wobec mnie. Tej dziewczynie życie, jakie prowadzi Harry, już się nie podoba. Zapewne chodzi tu o marzenia o małym domku na wsi i o uczciwym życiu, które nagle uleciały w nicość, odkąd coś między nimi pękło.

Jej mąż mieszka w osobnym pokoju, w którym jedynym meblem jest stara kanapa. Okno przysłonięte jest kocem, po podłodze walają się brudne części garderoby. Harry zwymiotował do miski i obok, na podłogę. Usiłuje się podnieść na moje powitanie.

— Cizia! Witam... Przepraszam cię...

Opada na łóżko z ciężkim westchnieniem. Wstanie przekracza jego siły.

Udaje mu się jedynie chwycić walizeczkę z forszą, która leży koło niego na łóżku, i podać mi ją. Na poręczy kanapy leży garść małych torebek z heroiną, większość z nich została niechlujnie rozdarta. To przesyłka prosto z Azji. Torebki noszą znak „*Curved Dragon*”, czerwoną pieczęć przedstawiającą plującego ogniem potwora zwiniętego w kłębek. To gatunek numer trzy, szary, zawierający pięć procent czystej heroiny. Takie torebki otrzymują zwykle tylko hurtownicy. Jest czym się naćpać.

— Harry, nie zasypiaj.

— Hmmm...

Wydaje głębokie westchnienie, po czym, bez przerwy się drapiąc, usiłuje mi wytłumaczyć, jak bardzo jest mu przykro. Z trudem dobiera słowa. Przeciąga każdą sylabę, szukając następnej, i nagle zaczyna drapać się w łydki paznokciami, z całej siły.

Proszek wywołuje nagłe i gwałtowne swędzenie. Atakuje wątrobę, powodując wymioty, których nic nie powstrzyma. To prawdziwe świństwo.

— Harry, jak tam? Naćpałeś się?

— Yeah... Przepraszam, Cizia.

— W porządku. Dziś wieczór cię zastąpię.

— Aaaach... ja...

— Harry, jeśli chcesz jutro pracować, musisz dać spokój. Nie bierz już dzisiaj i odpocznij. Zadzwoń do ciebie. OK?

— Yeah... Dziękuję, dziękuję, dziękuję... Wiesz...

Odbija mu się i wymykam się z pokoju. Kiedy zamykam drzwi, właśnie wstrząsają nim torsje. Odbija mu się boleśnie i przeklina narkotyki.

— Kurwa!! Cizia!! To ten cholerny scag! Tomorrow...

Joan patrzy na mnie spojrzeniem zrozpaczonym i jednocześnie twardym.

— Proszę się nie niepokoić. Kiedy zejdzie na dół, niech mu pani powie, że to nic poważnego. Nie ma problemu. Chcę tylko, by jutro był w pracy.

Bo ja nie mam zupełnie ochoty jeździć tam codziennie. Wyjeżdżam od Harry'ego z pewnym niesmakiem. Lubię go, ale nie znoszę takiego stanu rozmamłania. Facet, który dochodzi do siebie, nie stanowi przyjemnego widoku. Robi się to w samotności, żeby nie narzucać się innym. Był zresztą równie skrępowany jak ja.

Szczerze mam nadzieję, że wyjdzie z tego, tak czy inaczej. Jest pracowity, godny całkowitego zaufania, dyskretny, i odkryłem, że potrafi nawet robić coś dla innych. Niektórzy jego kolesie zwiali do Kanady, jako dezercerzy z armii amerykańskiej. Weterani. Przyszedł do mnie prosić o pomoc dla nich, i zrobiłem, co mogłem.

Tymczasem jednak mam na głowie kolejny kłopot. Przez chwilę myślę o wysłaniu na moje miejsce do Chinatown Bobby'ego, ale rezygnuję. Siedzi bez ruchu w fotelu kierowcy, w ustach ma wygasłą fajkę, spojrzenie bez wyrazu. Nie daje się dziesięciu tysięcy dolarów gotówką chciwemu kretynowi. Poza tym nie mam ochoty go wtajemniczać.

Każę się zawieźć do miasta, o parę ulic od chińskiej dzielnicy. To kaprys, a może nawet nieostrożność, ale choć nie wiem dokładnie dlaczego, zależy mi na utrzymaniu w sekrecie tej części mojej działalności. Poza Harrym nie wie o niej nikt. Przyjemnie pomyśleć, że mam takie odosobnione miejsce. Jest to moja kryjówka w tajemniczym Oriencie, takie właśnie rzeczy mnie bawią.

Przechodzę przez małą restauracyjkę. Kelner, który oglądał właśnie telewizję za kontuarem, pozdrawia mnie ukłonem. Wchodzę wąskimi schodami. „Kasyno” znajduje się w pokoju na tym samym piętrze, gdzie kiedyś mieszkałem. Wydaje mi się, że było to bardzo dawno. W rzeczywistości to tylko pięć miesięcy.

Li-Han jest zaskoczony.

— A, Harry! Jakież kłopoty?

Uspokajam go i oddaję pieniądze. Siedząc na miejscu Harry'ego, na zwykłym krześle w kącie, mam teraz jedynie śledzić roztargnionym spojrzeniem przebieg wieczoru i próbować się nie nudzić.

Przed wejściem na salę wszyscy klienci zdejmują buty, dotyczy to także nielicznych uczestniczących w grze kobiet. Ci, którzy przyszli najwcześniej, siedzą po turecku, pozostali stoją oparci o ścianę. Li-Han pełni rolę krupiera.

Siedzi ze skrzyżowanymi nogami przed prześcieradłem, na którym namalowany jest kwadrat. Dwie przekątne wyznaczają w nim cztery trójkąty. Pośrodku mieści się jeszcze jeden malutki kwadrat. Stawki kładzie się na trójkątach. Li-Han, reprezentujący bank, ma jeden trójkąt zarezerwowany dla siebie. Niektóre z kładzionych banknotów złożone są na pół lub poczwórnje, w zależności od tego, czy właściciel zamierza postawić ćwierć, połowę czy pełną wartość banknotu.

Bank bogaci się. Tylko tyle z tego rozumiem. Reszta jest dla mnie tajemnicą. Harry, który sam miał trudności z połapaniem się w tym wszystkim, próbował mi tłumaczyć, ale dla mnie to żadna gra.

Idzie to bardzo szybko. Kostki domina, które miesza się za każdym razem, leżą na ziemi spodem do góry. Grający wykupują prawo do odkrycia dwóch. Następnie trzymają swoje dwie kostki w zagłębieniu dłoni i oglądają je, badają z wielką uwagą. Jeżeli facet ma szczęście, wydaje krótki okrzyk karateki i ciska swoje dwa prostokąciki na podłogę. Zgodnie z kryteriami, o których nie mam pojęcia, Li-Han wręcza mu pewną sumę. Żeby rzecz nie była zbyt prosta, najpierw rzuca się dwie kości do gry, które wskazują, w jakim porządku klienci mają wybierać swoje domina.

Wszyscy doskonale się bawią, choć nie ma nadmiernego podniecenia. Kobiety śmieją się nie mniej od mężczyzn. Przychodzą tu spokojni, porządni pracownicy, dla których gra stanowi normalną rozrywkę, nic naganego. Poza jednym staruszkim w sukni, który zapewne przegrywa tu swoją emeryturę, wszyscy są ubrani po amerykańsku. To spokojni klienci, nie ma awantur, i jest mi nudno.

Po upływie dwóch czy trzech godzin Li-Han każe się zastąpić i podchodzi do mnie.

- Jak tam? Chcesz coś zjeść?
- Tak, dziękuję.
- Zaraz każę ci przysłać tacę.

Znika, rozpoczynając swój dyrektorski obchód. Li-Han się rozwinął. Ubiera się teraz w szary, trzyczęściowy garnitur od dobrego krawca. Zamiast dawnego ogromnego chronometru nosi teraz mniej rzucający się w oczy platynowy zegarek, mniejszy i droższy. Jego autorytet i pewność siebie wzrosły; dostosowane są do nowego statusu. Kiedy wybiera się na miasto, lśniący najnowszy model cadillaca świadczy o jego sukcesie.

To cierpliwy, nadzwyczaj pracowity człowiek, podchodzi do życia poważniej, niż sądziłem. Śpi równie mało co ja, pochłonięty swoimi interesami. Zdarzało mi się go spotykać o każdej porze.

Kiedy zaproponował mi tę salę, zainwestowałem bardziej dla prestiżu niż z rzeczywistej chęci zysku. Jego skuteczność i dążenie do sukcesu mile mnie zaskoczyły. Li-Han systematycznie reinwestował swoje zyski. Jest teraz właścicielem nie tylko hotelu z restauracją, lecz także innego takiego przybytku w tej samej dzielnicy, oraz ma udział w zakładzie pralniczym. To azjatycka metoda: wykorzystać do maksimum nielegalny status, dopóki to jest możliwe, i spożytkować to do tworzenia legalnych podstaw działalności w innych dziedzinach. W warunkach, w jakich żyją ci ludzie, liczy się tylko przetrwanie. Nie są z gruntu nieuczciwi, ale jeżeli do zdobycia własnego miejsca pod słońcem trzeba na jakiś czas postawić się poza prawem, długo się nie wahają.

Nie mają sobie równych, żeby usadowić się w jakimś mieście bez hałasu, niepostrzeżenie, od zaplecza. Nikt ich nie zauważa, aż nagle okazuje się, że mają na dobre rozwiniętą działalność.

Li-Han proponował mi kilka nadzwyczaj intratnych transakcji bezpośrednio z kontynentem azjatyckim. Nie przyjąłem jego ofert i nigdy nie nalegał. To porządny i miły facet, nigdy nie popełniał błędów.

Yak-Minh regularnie przechodzi po sali, roznosząc klientom napoje, herbatę i piwo. Zawsze pozdrawia mnie przy tym uśmiechem. Dzielna mała. Obecnie, odkąd zostałem szefem Li-Hana, masaże i inne usługi są za darmo.

Barman z restauracji przynosi mi tacę naładowaną zupami, miskami ryżu i porcjami kaczki. Pamięta o moich wyzerkach po opiumowych seansach, na początku mojego pobytu, i nadal traktuje mnie jak człowieka o wielkim apetycie. Kiedy skubię po trochu z każdej miski, pozostaje na sali, w swojej białej marynarce, i odruchowo kilka razy stawia po złożonym we czworo banknocie.

Rozumiem, że Harry któregoś wieczoru się załamał. Nic tu się nie dzieje. Bank bogaci się regularnie, towarzystwo podnieca się przy niektórych układach, ale jeśli nie rozumie się zasad gry, trudno jest dzielić ten entuzjazm. Klienci zmieniają się ciągle jednakowo dyskretni, a ja ciągle jednakowo się nudzę. Kiedy Li-Han wraca ze swojego finansowego obchodu, proszę go o przyśpieszenie sprawy.

— Dziś wieczór zamykamy wcześniej. Muszę wyjść.

Nie ma sprawy. Li-Han dokładnie przestrzega zawartej umowy. Ja tu jestem szefem. Poznał mnie zaraz po moim przyjeździe. Powiedział mi, że wziął mnie wtedy za marynarza, który zszedł na ląd. Później widział mnie w otoczeniu goryli, i najwyraźniej coraz bogatszego. Zna nioją skuteczność i ceni ją. On mnie nie zdradzi.

Dzisiejszego ranka narobiłem hałasu.

Od pewnego czasu noszę moją trzydziestkęósemkę na stałe, w kaburze pod pachą. Celowanie z niej, sprawdzenie bębenka i podziwianie się w lustrze to codzienne elementy porannego rytuału.

Czuję się dobrze. Jestem najpiękniejszy, najsilniejszy, a to coś zimnego pod pachą to potęga. To również śmierć, i zdaję sobie z tego sprawę. Sam wybrałem.

Nosić przy sobie broń to zmniejszyć spodziewany czas trwania swego życia, to ustawiczne wyzwanie, wyższe stadium nielegalności. Wprawdzie czasami może to uratować stawkę, ale może ją także skomplikować. Mieć możliwość zabicia oznacza również konieczność liczenia się z dużo ostrzejszą reakcją przeciwnika. Broń to odpowiedzialność. Ale postanowiłem, że stanowi ona część postaci, którą stworzyłem, i użyję rewolweru, kiedy będzie trzeba. Z góry godzę się na wszelkie związane z tym ryzyko.

Mam dwadzieścia trzy lata, przeżywam szaleństwo młodości i wszystko mi się udaje. Każdego ranka rzucam sobie moje małe osobiste wyzwanie. Gram z samym sobą w rosyjską ruletkę. Tylko jeden nabój, ruch nadgarstkiem i klik!

Ale wiem, jaki ruch trzeba nadać bębenkowi, kiedy popycham go palcem, by sprawić, żeby nabój znalazł się na dole. Następnie przykładam lufę do skroni.

Jestem wariatem, być może. Ale na pewno nie bezmyślnym. Zawsze o parę centymetrów podnoszę lufę do góry na ułamek sekundy przed

naciśnięciem spustu. Poranne szczęknięcie kurka, uderzającego na próżno, potwierdza, że ponownie wygrałem i że dzień będzie piękny.

Posłużyło mi to do zaimponowania Bobby'emu i Harry'emu, szczerze przejętym taką odwagą. Nie wiedzą, że dzięki temu, iż setki razy ponawiałem ten ruch, jestem całkowicie pewien, że nie ma żadnego niebezpieczeństwa.

Tego nie muszą wiedzieć. Dlatego właśnie jestem szefem!

Ale dziś rano nabój, który utkwił w suficie, przypomniał mi, że nie jestem nieomylny. Zaszokował mnie nie huk wystrzału, nie ból od oparzeń na skórze głowy, ale powrót do rzeczywistości.

Przeklęta niedziela! W Toronto nie ma nic do roboty. W niedzielę wieczór nikt nie wychodzi z domu. Dlatego właśnie postanowiłem, że będzie to dzień zamknięcia klubu.

Korzystam z tego, by rzucić okiem na inne lokale, i dziś wieczór idę wypić kielicha u Mikisa, w centrum miasta, wraz z D'Amourem i Bobbym, który już mnie nie odstępuje. Mikis to cichy booze-can bez większego polotu. Jest zgodny z normą, to mój osiągnął nadmierne rozmiary. Około dwudziestu osób tłoczy się w dwóch małych pokojach, w których lampy okryte są kolorowym papierem. Jest tu jeszcze ruchomy barek, kilka stołów i krzesła. To miejsce spotkań zatwardziałych nocnych marków, takich, którzy muszą być poza domem przez wszystkie wieczory w tygodniu.

Widzę siedzącego przy jednym ze stolików Petera, dealera kokainy, naszego ulubionego frajera, którego rzucił nam w łapy Jan, jego wspólnik i przyjaciel z lat dziecięcych. Kładę mu rękę na ramieniu. Podnosi na mnie zamglone spojrzenie, z początkiem zeza spowodowanego nadużywaniem narkotyków. Z trudem mnie rozpoznaje.

Lubię go. Jest synonimem forsy. Przedstawiam mu Ginger, na którą ledwo rzuca okiem, zbyt otumaniony swoim hajem.

— Jak idzie handel?

— Może być — odpowiada mi bełkotliwym głosem, przywołując kelnerkę ruchem zmęczonej dłoni. — Powiedz swojemu goryłowi, żeby usiadł, denerwuje mnie.

— Już nie bywasz w klubie, Peter. Co się dzieje, nie lubisz już grać?

— Lubię! Ale gra, gra... Nie mam ostatnio szczęścia, więc daję spokój. Jak tylko kładę pieniądze na stole, mam pewność, że je przegram.

Wypuszczam wszystkie swoje dochody. W tym miesiącu tylko u ciebie zostawiłem co najmniej czterdzieści tysięcy dolarów.

Jak to tylko u mnie? To znaczy, że chodzi jeszcze grać gdzie indziej? Naprawdę nie można już mieć zaufania do nikogo.

— Przechodzisz zły okres, to się zdarza. Ale kiedyś to się skończy.

— Kto nie ma szczęścia w grze, ten ma szczęście w miłości — dodaje sentencjonalnie Louie D'Amour.

— Powiedz to Cizi, on ma szczęście i tu, i tu — odpowiada, zauważając wreszcie Ginger.

Rozmowa przedłuża się i Peter prosi o rachunek. Kiedy jest u mnie, dostaje wszystkie drinki za darmo. Biorąc pod uwagę, ile zostawia u mnie forsy, stać mnie na ten gest, i dziś wieczór Peter chce mi się zrewanżować.

— Zostaw, ja zapłacę.

— Zagramy o to, kto płaci? — pytam z uśmiechem.

Wyciągam z kieszeni parę kostek. Jego przygaszone oczy rozjaśniają się nagle. Kości nie są spreparowane, i wygrywa.

— O rany, raz się zdarza, że wygrywam z tobą, i w nagrodę muszę płacić! — mówi żartobliwie.

Wyciąga z kieszeni gruby plik banknotów. Odruchowo oceniam go wzrokiem. Nie licząc paru studolarówek, są tam wyłącznie czerwone banknoty po tysiąc dolarów kanadyjskich. Na pierwszy rzut oka musi być około czterdziestu tysięcy dolarów, i moje zainteresowanie nagle wzrasta.

— Być może to dla ciebie szczęśliwe miejsce.

— Niewykluczone!

— Słuchaj, zagramy o sto dolców na jeden rzut, szybciotko, żeby sprawdzić.

— W porządku, dawaj kości!

Ożywił się, znowu opanowany przez demona, i wygrywa sto dolarów.

— Masz szczęście dziś wieczór. Gramy jeszcze raz?

Jeszcze parę razy wyrzucamy kostki, po czym korzystam z nieobecności Petera, który poszedł się odlać, i mówię do D'Amoura:

— Mamy komplet do black-jacka w samochodzie?

— Tak, oczywiście.

— Dobra, oskubiemy go.

W towarzystwie Ginger toruję sobie drogę do drugiego pokoju, z Bobby'm, który depcze mi po piętach. Frajera nie wolno naciskać i nie trzeba, żeby Peter czuł wokół siebie zbyt duże zainteresowanie. Tańczymy kilka przytulanych. Bobby pali fajkę, oparty o ścianę.

Kiedy pół godziny później wracam do stolika, ku memu zdumieniu zastaję samotnego D'Amoura.

— Gdzie Peter?

— Wyszedł.

— Jak to, nie chce grać? To niemożliwe.

— Ja też byłem zdziwiony. Ale powiedział, że jest zmęczony, i że nie czuje się w formie do gry.

— Nalegałeś?

— Tak, nic z tego. Odmówił. Nie mogłem przecież robić się nachalny. Właśnie wyszedł.

Jestem zaskoczony i rozczarowany. Taki gracz jak Peter zwykle daje się łatwo przekonać. A wydawało mi się, że porządnie go rozgrzałem. Jego dezercja psuje mi wieczór. Już widziałem, jak jego pieniądze przechodzą do mojej kieszeni; czuję się okradziony. Być może poprzednio trochę przesadziliśmy, i teraz musi uważać na wydatki. Wstaję i Ginger robi to samo:

— Spadam, nie ma tu już nic do roboty. Będę spał w Hyatt Regency. Do jutra, stary.

Kazałem na stałe zarezerwować na tym samym piętrze pokój dla Bobby'ego, który teraz odprowadza mnie aż do progu moich drzwi. Bardzo mu się to podoba. Nigdy nie sądził, że będzie mu dane wejść do takiego hotelu inaczej, jak w wyniku włamania. Recepcja otrzymała polecenie, by nigdy nie łączyć telefonów do mojego apartamentu, zanim się nie obudzę. Tylko najbliżsi znają numer mojego pagera. Mam spokój.

Dziś rano musiał dzwonić pager. Słyszałem coś jak przez mgłę, ale nie na tyle, żeby wyrwało mnie to ze snu, który kończy się dopiero o drugiej po południu.

Siedzący w płaszczu koło mnie Bobby Thompson usiłuje swoimi wielkimi łapami dusiciela smarować masłem moje grzanki. Piję kawę. Ginger pod prysznicem podśpiewuje salsę. Jest mi dobrze.

Louie D'Amour wpada jak burza, rozczochrany, prawie nie pukając do drzwi. Widząc, w jakim jest stanie, od razu myślę, że dzień mam popsuty, i nie myślę się.

— Kłopoty?

— Chciałem ci powiedzieć... Nie odbierasz już pagera? Próbowałem do ciebie dzwonić. W recepcji nie chcieli cię budzić. Dlatego wszedłem na górę. Nie przeszkadzam?

Uuu! Coś przede mną ukrywa. Jego wzrok myszkuje dookoła, ale unika mojego. Kamizelkę ma krzywo zapiętą. Wcale mi się nie podoba to przerażenie, które stara się ukryć.

— Coś nie tak w klubie?

— Nie, nie! Spokojna głowa, nie ma problemu, z klubem wszystko w porządku.

— Więc co się stało?

— Widziałem się z Peterem wczoraj wieczorem!

— No i co?

No i D'Amour namówił dealera na partyjkę dwudziestu jeden i wygrał od niego cały jego majątek. Bardzo mi się to podoba. Dziwi mnie natomiast, że mi o tym mówi. Dlaczego Louie, chciwy oszust, któremu udało się oskubać frajera bez mojego udziału, przybiega, żeby mi o tym powiedzieć? Na pewno nie dla samej przyjemności podzielenia się ze mną łupem. Byłoby to miłe, ale nie ma takiego obowiązku.

— Wspaniale. I przyniosłeś mi moją część?

— No tak, to normalne...

— Louie, o co chodzi?

Znowu chce mnie wciągnąć w jakąś historię. Dlaczego tak mu zależy, żeby rozstać się z połową swojej forsy?

— Daję ci twoją część, nie? To normalne, zamierzaliśmy go oskubać razem. Gdybyś nad nim nie popracował, no nie? Może by nie zagrał. Masz, odliczę ci forszę.

Rozpina koszulę i wyciąga pliki banknotów z saszetki umocowanej na plecach, nie do znalezienia przy pobieżnym przeszukaniu. Gorączkowo zaczyna odliczać moje dwadzieścia dwa tysiące dolarów. Zatrzymuję go.

— Zaczekaj. Najpierw powiedz, czego chcesz.

— No... siedzę w gównie po uszy, Cizia.

Forsa, którą wyciągnął od Petera, należy do Isaaca Jonesa, szefa czarnych. Tamten dał ją Peterowi na sfinansowanie jakiegoś zakupu narkotyków. Peter powiedział Jonesowi, że D'Amour go oskubał. Teraz Isaac Jones grozi Louiemu, że go załatwi, jeśli ten nie odda pieniędzy.

Ostatni akt: D'Amour przybiega do swojego starszego brata, Cizi, którego udział zamierzał schować do kieszeni, żeby wyprostował sprawy. I w tym celu chce mu dać dwadzieścia dwa tysiące dolarów, licząc na to, że jeżeli część forsy będzie jego, Cizia będzie się bronił przed Isaakiem Jonesem i przy okazji ochroni jego.

— Masz mnie za durnia, Louie.

— Ale...

— Zamknij się. Oddajemy forszę.

Zapiera mu dech. To niemożliwe. Nie możemy tego zrobić. Przecież nie damy się robić na szaro przez jakichś czarnuchów... Myśl o zwrocie pieniędzy jest dla D'Amoura nie do przyjęcia.

Biorę swoje dwadzieścia dwa tysiące dolarów.

— Dawaj resztę.

— Ależ, Cizia...

Wystarcza skinienie i Bobby wstaje. Louie patrzy na niego, przerażony.

— Cizia! Powiedz mu, żeby usiadł!

— Wyciągaj forszę.

Szybko wyciąga saszetkę, pod niebezpiecznie bliskim okiem Bobby'ego, który odbiera banknoty i przynosi mi je.

— Słuchaj, baranie. To jest ich forsa. Niechcący wlałeś do ich ogródka. Skoro cię uprzedzili, trzeba wszystko zatrzymać i wytłumaczyć się. Nie ma sensu ściągać sobie na głowę czarnych w takiej sprawie. Jasne?

— Tak.

— Po drugie dosyć już mam tych twoich machlojek. To ostatni raz, rozumiesz? Capito?

— Tak! Tak!

— Wykręć mi numer Isaaca Jonesa. Porozmawiam z nim.

Odbyło się to bardzo szybko. Połączono mnie z Jonesem. Chciałem mu właśnie wyjaśnić, że jeden z moich ludzi pomylił się i że oddam mu jego forszę, i że wszystko jest w porządku, kiedy zaczął się drzeć. Nazwał mnie świnią i po chwili już sam wrzeszczałem, żeby poszedł dać się wypierdolić.

Przez trzy minuty wykrzyczałem swój repertuar obelg i wściekle rzuciłem słuchawkę.

D'Amour, z drugą słuchawką przy uchu, jest wniebowzięty.

— Brawo! Właśnie tak trzeba rozmawiać z tymi czarnuchami. Bez kompleksów, natychmiast bierze ze stołu połowę forsy i na nowo się rozpina, żeby sięgnąć po saszetkę.

— Zostaw tę forszę!

Ja naprawdę jestem zdenerwowany! Ciągle ściąga na mnie kłopoty. Zmusił mnie do naurągania tamtemu, który zapewne przyjmie to źle. Jak tak dalej pójdzie, D'Amour wyleci za okno. Biorę dodatkowe dziesięć tysięcy. Pisk D'Amoura jest rozdzierający:

— Nie masz prawa! Co ty wyrabiasz? To moja część! Wzięłeś już połowę.

Cholerny D'Amour! Drży jak liść na wietrze przy najmniejszej awanturze, przybiega do mnie, ale robi się bardzo samodzielny, kiedy tylko kłopoty ustępują, a przynajmniej on tak uważa.

— D'Amour, kretynie, Isaac Jones na tym nie poprzestanie. Jeśli cię znajdzie, wiesz, co ci robi? Te dziesięć tysięcy to na zapewnienie twojej ochrony.

Na myśl o wpadnięciu w łapy czarnych D'Amour blednie. Pozwala mi włożyć plik banknotów do kieszeni. Biorę jeszcze pięć tysięcy.

— Hej, partner. Co ty wyprawiasz? Za kogo się uważasz? Zostaw tę forszę.

— Bobby!

Mój goryl wstaje i Louie biegnie na drugi koniec pokoju.

— Te pięć tysięcy to kara za to, że zawsze pakujesz mnie w jakieś gówno.

Zostawiam mu siedem tysięcy, to nie tak źle. Resztę szybko wydam. W końcu forsa ta przeznaczona była na wredny handel narkotykami. Niech przynajmniej pójdzie na moje własne potrzeby.

Louie ma swoją kwaterę główną w Julie's Mansion i stamtąd zawiaduje swoimi drobnymi kombinacjami. Przy jego stole bezustannie płynie potok podejrzanych typów, którzy proponują Louiemu najbardziej nieprawdopodobne interesy. W większości przypadków są one całkowicie nieatrakcyjne. Przynoszą mało zysku, są niebezpieczne i brak im klasy. Ale,

kto wie, może któregoś dnia pojawi się tam coś ciekawego, toteż staram się być o tym informowany.

Niekiedy przychodzę posiedzieć w tym jego panoptikum, a nawet udzielam swoich światłych rad. Wiele osób przychodzi, by zapytać mnie o zdanie w najróżniejszych sprawach. Jestem teraz znany i dużo ludzi widzi we mnie jedynie gangstera, który za parawanem pozycji społecznej pociąga za sznurki świata zbrodni. Na mój temat krążą nieprawdopodobne opowieści. Przypisuje mi się czyny, których nie dokonałem. Szacunek, z jakim mi o tym opowiadają, świadczy o rozmiarach mojego sukcesu. Zdarza się, że ludzie zwracają się do mnie z dziwacznymi propozycjami.

Michael White jest dobrze sytuowanym przemysłowcem. Lubi czasem zagrać, ale do booze-can przychodzi głównie ze względu na dziewczyny, które można tam spotkać. Którejś nocy, kiedy kończymy grać wcześniej niż zwykle, dzięki werwie Bananasa, który spłukuje wszystkich w rekordowym czasie, Michael podchodzi do mnie.

— Cizia, muszę z tobą poważnie porozmawiać. Chciałbym ci zaproponować interes.

Zainteresowany, jak zwykle kiedy czuć zapach pieniędzy, prowadzę go do biura Haiga, które już dawno przejąłem na swoje potrzeby. Bobby staje przed drzwiami, blokując wejście. Po paru kieliszkach i wymianie zwykłych w takich przypadkach banałów, przemysłowiec przechodzi do rzeczy.

— Widzisz, Cizia, ciężko pracowałem przez całe życie. Teraz osiągnąłem doskonałą pozycję społeczną. Mam sporo forsy i jeszcze ładnych parę lat przed sobą, żeby z niej korzystać.

Przez parę minut tak kręci, i zaczyna mnie to nudzić.

— No dobra, więc co cię gnębi?

— Mam idealne warunki, ale przeszkadza mi moja żona.

Czego on ode mnie chce? Gównu mnie obchodzą jego sprawy rodzinne, nie jestem doradcą małżeńskim.

— No więc? Zamknij ją gdzieś albo się rozwiedź, co ja mam do tego?

Zupełnie nie rozumiem, co mi tutaj opowiada! Chyba nie prosił mnie o rozmowę po to, żeby opowiadać mi o swoich małżeńskich kłopotach. Zdenerwowany patrzę na zegar. Co ja tu robię wysłuchując tego kretyna?!

— Tak, ale ona żąda kupy forsy.

Pochyla głowę i milknie.

— Słuchaj, Michael, wytłumacz jasno, o co ci chodzi. Ja nie jestem ani psychologiem, ani adwokatem, więc do rzeczy, mam inne sprawy do załatwienia!

— Jest pięćdziesiąt tysięcy dolarów dla faceta, który uwolni mnie od mojej żony i...

Przerywam mu natychmiast.

— Cicho!

Patrzy na mnie nie rozumiejąc. Powtarzam, przykładając palec do ust.

— Ćśśś! Już nic nie mów. Nic!

Wstaję i klepię go w ramię.

— Myślę, że jesteś wstawiony. Jestem nawet pewien, że się uchlałeś, więc uznajmy, że nic nie słyszałem. A ty nic nie powiedziałeś. A teraz wstawaj i zjeżdżaj z tego klubu. Jest już późno, najwyższy czas wracać do domu.

Biorę go pod rękę i odprowadzam do drzwi biura.

— Bobby, odprowadź pana do wyjścia.

I ściszym głosem dodaję:

— I od dziś już go do nas nie wpuszczaj...

To dziwne, jak w wyobraźni uczciwych ludzi facet, który stoi jedną nogą w półświatku, zdolny jest do wszystkiego. Zupełnie nie potrafią wyczuć niuansów. A przecież piekarz nie handluje garnkami. Ja też nie rozgrywam dwóch partii jednocześnie. Jestem oszustem, kanciarzem, mogę posunąć się do ostateczności, by pozostać wiernym postaci, którą stworzyłem, ale tylko w ramach drogi, jaką dla siebie wybrałem. Michael tego nie zrozumiał.

Podobnie zresztą jak Marilyn, która wzięła mnie po prostu za brutala o małym mózdzku. Jej pojawienie się w klubie nie pozostało nie zauważone. To wysoka, jasna szatynka, piękna i zadbana, ma prawdziwą klasę, może nawet za dużą jak na klub Haiga. Ona sama przyszła do mnie, już drugiego wieczoru, bardzo elegancka.

Później zabrała mnie do siebie swoim samochodem, mercedesem coupe, który w Kanadzie jest symbolem sukcesu. Marilyn ma ogromne mieszkanie na Clarendon Crescent, w centrum miasta; jest umeblowane w sposób wprost niesamowicie luksusowy, wszystko aż dyszy tam forszą, bardzo wielką forszą.

Ale za zasłoną jej elegancji wyczuwam w niej twardą, bezlitosną kobietę. Jej mąż, jakaś gruba ryba, wyjechał na miesiąc służbowo. Pierwszej nocy

Marylin zamieniła się w wampa. A kiedy kobieta chce w oczach mężczyzny uchodzić za wampa i zapanować nad jego wolą, cała robota odchodzi w łóżku, w czasie kiedy się kochają i potem.

Nic łatwiejszego dla kobiety niż igranie z mężczyzną, o ile potrafi wykorzystać jego męską próżność. Męskie ego to słaby punkt większości facetów. Kiedy tylko kobieta oświadcza im, że są w łóżku supermenami, są podbici i z góry przegrani.

Poza zwykłymi w takich przypadkach komplementami, których zawsze przyjemnie posłuchać, przysługuje mi wielkie przedstawienie: wrzaski, omdlenia, ekstatyczne westchnienia i pełne podziwu wilgotne spojrzenia. Marylin nie wie, że na szczęście mam jednak nieco doświadczenia w tej dziedzinie.

Za każdym razem, kiedy idziemy razem do łóżka, powtarza się ten sam teatr! A właściwie kino, bo to prawdziwe sceny z filmu, i po kolei padają wszystkie hollywoodzkie odzywki. Jeśli jej wierzyć, od kiedy mnie poznała nie może spać i całe jej życie się odmieniło.

— Gangsterzy zawsze mnie podniecali — powiedziała mi, kiedy po raz pierwszy zobaczyła moją kaburę. — Dlaczego wcześniej cię nie poznałam? — powtarza mi nieustannie.

Ponieważ traktuje mnie dobrze, a jej dom to przyjemne miejsce, przyjmuję reguły gry. Im bardziej jestem chamski, tym bardziej ona się stara. Jest to miłe, a nawet zabawne. Troszczy się o mnie jak o króla. Najdrobniejsze moje pragnienie, wspomniane mimochodem, przemienia się w natychmiast wykonany rozkaz.

— Jestem twoją niewolnicą, twoją rzeczą, możesz ze mną zrobić co chcesz, Cizia. Doprowadzasz mnie do szaleństwa, nigdy przedtem mi się to nie zdarzyło. Należę do ciebie, możesz zażądać ode mnie wszystkiego.

— Zrobisz mi małą kawę, ślicznotko?

Dałem jej do zrozumienia, że lubię foie gras i od tej pory, kiedy jesteśmy u niej, jadamy tylko najlepszy, jaki można w Toronto dostać. Kiedy się budzę, czeka na mnie mój garnitur, nieskazitelny i wyprasowany, wiszący obok łóżka dzięki staraniom jej chińskich służących, milczących i sprawnych.

Podczas naszego piątego spotkania Marylin wreszcie się odsłania.

Dziś wieczór poszła na całość. Jej westchnienia powodowały drganie ścian. W ciągu dwóch minut miała sześć orgazmów i dwukrotnie zemdląła. A

teraz leży z głową na mojej piersi i patrzy na mnie swoimi wielkimi oczami, w których przed chwilą była ekstaza.

— Cizia, to cudowne, nigdy nie zaznałam takiej rozkoszy —
mówi mi, gładząc mój tors. — Jaka szkoda, że na naszej drodze jest mój
mąż!

Na jakiej drodze? Ja nie szukam autostopowiczek!

Trzymając w jednym ręku kieliszek szampana, w drugim grzanekę z foie
gras, pozwalam jej majaczyć.

— Gdyby tylko jego samolot mógł się rozbić, gdyby umarł, co za
szczęście dla nas obojga!

No, to jesteśmy w domu. Więc po to był cały ten teatrzyk! Można by
pomyśleć, że kręcą jakiś podrzędny film kryminalny. Z rozbawieniem
słucham, jak przedstawia mi swój scenariusz.

— Tym bardziej że w swoim testamencie zapisał mi cały swój majątek.
To byłoby cudowne, Cizia, pojechalibyśmy na południe i żylibyśmy jak
królowie! Na słońcu, Cizia!

Naprawdę ma mnie za półgłówka. Domyślam się, że w dalszej części
scenopisu dostaję dwadzieścia lat pudła, albo kulę w łeb, żeby ona mogła się
spokojnie puszczać. A więc zabawmy się.

— Chcesz, żebym go zabił, kochanie? — pytam twardym głosem,
wskazując na kaburę zawieszoną koło łóżka.

— Nie wiem, myślisz, że mógłbyś?

Pochyliła głowę, prawdopodobnie, żeby ukryć błysk triumfu w oczach.
Kiedy ją podnosi, czekają szok w postaci mojej roześmianej twarzy i
wyciągniętej w jej kierunku dłoni ze starczącym ku górze palcem środkowym.

— Wsadź sobie to gdzieś, ślicznotko!

Dopijam szampana, delikatnie kładę grzanekę posmarowaną stroną na
poduszce, ocieram sobie członek o atlasową pościel i z godnością wychodzę.

Nawet Annie, stara kelnerka u Fran's, poprosiła mnie o przysługę.
Chodzę tam już bardzo rzadko. Dziś rano Annie podeszła do mnie, kiedy
właśnie miałem wyjść.

— Panie Cizia, kończę pracę za piętnaście minut i chciałam z panem
porozmawiać. To bardzo ważne.

Czyżby wreszcie zdecydowała mi się oświadczyć? Kiedy tylko jest już
wolna, siada przy moim stoliku. Rzeczywiście, jej sprawa jest bardzo

poważna. Jej siostrzeniec ukradł jej sto pięćdziesiąt dolarów, majątek. To leń, czarna owca rodziny, chuligan, który skończy na krześle elektrycznym albo z nożem w plecach w jakiejś ciemnej uliczce. Ze względu na swoją siostrę Annie nie chce składać skargi na policji.

Sto pięćdziesiąt dolarów to grosze, ale dla tych ludzi to dużo: tydzień pracy. Chciałem dać jej tę sumę, ale nie tego po mnie oczekiwała.

— Nigdy nie ośmieliłabym się prosić pana o pieniądze, panie Cizia. Ale trzeba, żeby ktoś raz na zawsze nauczył go dobrych manier, bo inaczej chłopak źle skończy.

I dlatego ja, przeznaczony na gilotynę w wieku szesnastu lat przez sędziego dla nieletnich w Bordeaux, pukam do kawalerki szczeniaka, żeby zrobić przyjemność jego starej ciotce. Zmobilizowałem posiłki i jestem w towarzystwie Harry'ego i Bobby'ego. Jak już, to już!

Czuję się trochę śmieszny, ale ciocia Annie wymogła na mnie tę obietnicę.

Nastolatek, który nam otwiera, jest typowym przykładem małej podstępnej szmaty, która nie szanuje niczego. Zaspany, w skarpetkach i wątpliwej czystości gaciach, wygląda żałośnie. Hell's Angel bez motocykla.

Kiedy Bobby, Harry i ja wchodzimy do pokoju, nie zostaje już wiele miejsca. Chłopak nie rozumie, ale zaczyna oblatywać go strach. Harry, nieco zażenowany, powstrzymuje się od śmiechu.

— Mały, ukradłeś pieniądze twojej biednej ciotce. To moja przyjaciółka. Nie podoba mi się to. Trzeba je zwrócić.

— Ale... to nieprawda, to kłamstwo. To stara kurwa i...

— Bobby, po buzi.

Policzek wymierzony ręką Bobby'ego mógłby rozwalić ścianę średniej grubości, ale mój goryl hamuje się i chłopak tylko przelatuje przez pokój. Leży teraz na łóżku, trzymając się za purpurowy policzek, i ogarnia go panika.

— Więc jak, mały, oddasz pieniądze czy mam się naprawdę rozgniewać?

— Tak, tak, przysięgam.

Wydarzenia go przerastają. Jakoś trudno mu połączyć jego starą ciotkę i tych trzech facetów, którzy zjawili się tu znikąd.

— A skąd weźmiesz forszę?

— Nie wiem, ale przysięgam, znajdę — mówi pociągając nosem.

— Nie opowiadaj głupstw. Pójdiesz z nami. Dam ci robotę, w ten sposób będziesz mógł zarobić. Ubieraj się.

Jednak mu trochę głupio, kiedy wkłada bluzę, która na plecach ma wyszywaną ognistymi literami dewizę motorowych gangów: „*Honor albo śmierć*”.

W ten sposób jeszcze tego samego dnia wysprzątał cały dom, umył kieliszki, wypastował podłogę, wyczyścił miedziane naczynia... pod okiem Bobby’ego, który w regularnych odstępach czasu daje mu kopa w tyłek, żeby odegrać się za śmieszność własnej sytuacji.

Kiedy dom jest już nieskazitelnie czysty, Bobby każe mu umyć samochód. To wariacka robota, całkowicie niepotrzebna. W tej temperaturze nawet ciepła woda szybko zamarza i trzeba ciągle zaczynać od początku. W końcu chłopak odgarnia metry sześcienne śniegu, usypane na chodniku przez pługi, a także cienką warstwę lodu pokrywającą ogród.

Kiedy Bobby, któremu naprawdę nie odpowiada rola niańki, porządnie się za niego zabrał, przechodzę do dalszego ciągu mojego rozkładu dnia. Kiedy wpadam, około pierwszej nad ranem, oczyszczona jest dopiero połowa podwórka, a chłopak jest przemarznięty. Siedzący w ciepłe Bobby obserwuje go przez kuchenne okno.

Tego wieczoru gra jest ożywiona i trwa do białego rana. Mam właśnie wyjść z klubu, gdy podchodzi do mnie Bobby.

— Co mam zrobić z chłopakiem?

Cholera, zupełnie o nim zapomniałem!

— Jeszcze jest na dworze?

— Nie. Zamarzał już, więc wziąłem go do środka i kazałem myć kieliszki w kuchni.

Stoi przede mną chłopiec zataczający się z wyczerpania, przygnębiony, z oczami opuchniętymi od niewyspania. Ma poranione dłonie, szczęka zębami i leci mu z nosa. Zapomniał już o wszystkim. O dewizie „*honor albo śmierć*”, o kozackich zagrywkach, o całym swoim dotychczasowym stylu życia. Chce tylko jednego: spać i uciec od tej koszarnej historii, w którą pogrążony został od ponad dwudziestu godzin.

— Dobrze zrobiłeś robotę. Myślę, że zrozumiałeś.

Daję mu sto pięćdziesiąt dolarów, które bierze nie patrząc nawet na nie.

— Tu jest zapłata. Natychmiast zanieś ją swojej ciotce. I pamiętaj, że w każdej chwili mogę cię łatwo odnaleźć.

Zgadza się ze wszystkim. Kiedy odchodzi, przywołuję go z powrotem i daję mu dodatkowe sto pięćdziesiąt dolarów.

— Dam ci jeszcze radę, mały. Cokolwiek będziesz robił, nie wolno okradać rodziny.

Proponowano mi także obrobienie domu gry, wykupienie stajni prostytutek, włamanie do magazynów zawierających świeżo przybyły ładunek haszyszu, i wiele innych „*planów*”, których zawsze wysłuchiwałem, najczęściej z uczuciem nudy, ale których nigdy nie przyjąłem za własne. Na ogół chodzi zresztą o drobne afery, i w ten sposób odnalazłem w Julie's Mansion Rosjanina, który kiedyś sprzedawał kradzione karty kredytowe.

Spotkanie jest dla mnie wzruszające. Moje pierwsze ściągnięcie długu! Moje początki, zapewne trochę nieskładne, ale przecież skuteczne. Gość odzyskał poprzednią pewność siebie i znów szpanuje tak, jak przed naszą prywatną rozmową. Nie zachował do mnie urazy. Podchodzi z uśmiechem:

— Jak się masz, Cizia, kopę lat!

— Dobrze. U ciebie też wygląda nieźle.

— Daję sobie jakoś radę — mówi, mrugając do mnie porozumiewawczo. — Mogę ci postawić kielicha?

— Z przyjemnością, szampana.

Trochę go zatyka, ale mimo wszystko zamawia.

— To co, przyjdiesz zagrać do klubu?

— O nie! Nigdy!

Prawie krzyknął. Wyrwało mu się, ale szybko opanowuje się i zaprasza mnie na wieczór, razem z Louie, Ginger i Bobbym, by wspólnie obejrzeć mecz hokeja na lodzie: ZSRR przeciwko Kanadzie.

— To mój kraj, muszę im pokibicować.

Spotykamy się w Maple Leaf Garden. Rosjanin już czeka, z biletami w ręku, i prowadzi nas przez trybunę honorową.

Mecz jest przyjemny. Lubię sportowe widowiska. Skończył się już sezon baseballu i futbolu amerykańskiego. Szybkość i brutalność gry w hokeja pociągają mnie. To jeden z nielicznych sportów, gdzie można praktycznie mieć pewność, że obie drużyny dołożą sobie wzajemnie po mordzie. Zawsze mnie dziwiło, że w przypadku bójki rzucają kije i walą się pięściami. Wydaje

mi się, że przecież kijem byłoby łatwiej, zabawniej i przede wszystkim bardziej w zgodzie z pierwszym odruchem.

Rosjanin jest w wielkiej formie. Mówi obficie gestykulując i znowu odgrywa przed nami arystokratę na wygnaniu. Żartuje sobie z Louiego i rozśmiesza Bobby'ego. Jest elegancki i troskliwy wobec Ginger, której wyjaśnia reguły gry. Ma mnóstwo do powiedzenia o rosyjskiej drużynie.

— My, Rosjanie, mamy sport we krwi. Przemieszczenie ras, ostry klimat i bardzo trudne warunki życia zrobiły z Rosjanina człowieka walki, którego predyspozycje znajdują ujście w sporcie. To najlepsza na świecie drużyna, nic jej nie powstrzyma na drodze do zwycięstwa. Droga pani, patrzy pani na przyszłych mistrzów świata w hokeju na lodzie. Mam do nich całkowite zaufanie.

— Chcesz się założyć?

— O co chcesz, o cały mój majątek!

— Uważaj, nie zakładaj się, jeśli nie możesz zapłacić. Pamiętasz?...

Robi lekceważący ruch ręką.

— Pfff! To stara historia. Drobnny błąd w obliczeniach i ocenie sytuacji, nic więcej. O cały mój majątek, mówię ci jeszcze raz!

— Wystarczy to, co masz w kieszeniach. Ile tego będzie?

— Około tysiąca dolarów.

— Stawiam tysiąc dolarów na zwycięstwo Kanady.

— Stoi. Robię tu pewny interes.

Sprawa naszej małej prywatnej rozmowy, jaką kiedyś przeprowadziliśmy u niego, zbliża nas do siebie i rozmawiamy jak dwaj starzy kumple o wspólnej przeszłości. Żartuje przypominając mi tamtą sytuację. I Kanada wygrywa!

— Takie rzeczy się zdarzają. Nikt nie jest nieomylny. Trzeba umieć przegrywać z uśmiechem.

— I płacić z uśmiechem!

— Oczywiście, gra ma swoje prawa, i trzeba się do nich stosować z dobrą miną — mówi, kładąc mi rękę na ramieniu.

— Masz rację, a teraz dawaj forszę!

Traci swoje opanowanie.

— Słuchaj, Cizia, przecież to jasne. Daj mi trochę czasu. Spędziliśmy razem wspaniałe chwile, nie psuj teraz tego jakimiś płaskimi materialnymi sprawami.

— Bobby!

Bobby, który parę minut wcześniej uprzejmie z nim rozmawiał i z całego serca śmiał się z jego kawałów, chwyta go brutalnie za szyję i zaczyna nim potrząsać.

— Trzeba płacić, szef powiedział.

— Tak, tak, już. Puść mnie.

Wyciąga banknoty z wszystkich kieszeni, wspomagany przez Bobby'ego, który od czasu do czasu przyjacielsko nim potrząsa.

— Proszę, jest cała suma. Ale naprawdę przesadzasz.

— Brakuje! Tu jest tylko dziewięćset dziewięćdziesiąt dolarów.

— Ale posłuchaj...

— Brakuje dziesięciu dolarów.

— Ale to przecież dziesięć dolarów! Dziesięć dolarów! To niepoważne. Dziesięć dolarów!

— Bobby!

Rosjanin traci cały swój tupet, przytłoczony moją postawą, i gorączkowo przeszukuje kieszenie. Udaje mu się uzbierać dolara dwadzieścia pięć i podaje mi je.

Patrzy na mnie, patrzy na Bobby'ego i wreszcie zwraca się do D'Amoura.

— D'Amour, pożycz mi dziesięć dolarów.

Louie, który dostrzegł moje porozumiewawcze mrugnięcie, odmawia z kamienną twarzą. Pozwalam Rosjaninowi pocić się i niespokojnie kręcić przez kilka chwil, po czym kończę sprawę.

— Dobra — mówię, waląc go w kark po przyjacielsku. — Chciałem tylko nauczyć cię, że nie powinieneś ze mną grać, zwłaszcza jeśli nie masz dość pieniędzy. Kiedy wreszcie zrozumiesz, że hazard to brzydka rzecz? Masz, jestem dzisiaj w dobrym humorze.

Oddaję mu jego dolara dwadzieścia pięć, żeby miał na autobus. Nie trzeba być zbyt wielką świnią!

Minął tydzień. Nasi przyjaciele alfonsi nadal nie dali znaku życia. Nie podoba mi się to. Ci faceci to nie żadni frajerzy, którzy poprzestaną na przeżuwanie swojej nienawiści. W ponurym świecie murzyńskich gett ci, którym udaje się wypłynąć na wierzch, są najpaskudniejsi, toteż są naprawdę niebezpieczni. Nie pozwolą przerobić się na szaro bez żadnej reakcji. Poczucie godności i konieczność zachowania twarzy w środowisku zmuszą

ich do przeciwdziałania, jestem tego pewien. Zapewne pracują teraz nad planem zemsty, żebym nie mógł się wymknąć. Muszę mieć się na baczności.

Jestem więc gotów. Nawet trochę przesadziłem. Trudno być lepiej uzbrojonym ode mnie, dom zamienił się w prawdziwy arsenał. Na stałe mam pod ręką strzelbę myśliwską z obciętą lufą, kaliber 12, naładowaną śrutem.

Na tylnym siedzeniu lincolna leży strzelba kupiona od Dany'ego, fryzjera i pasera w jednej osobie, a Bobby nappełnił kieszenie przedmiotami, z których każdy zrobić może straszne bobo. Pokazywał mi między innymi kastet, który sam sobie zrobił, dostosowany do rozmiarów jego ogromnych paluchów.

Odkładam swoją trzydziestkęósemkę tylko wtedy, kiedy kładę się spać, a Louie D'Amour machinalnie gładzi automatycznego colta 25, którego dostał ode mnie w prezencie, i stale nosi go za pasem. Wiem, że ćwiczy przed lustrem przybierając groźne miny i starając się wyciągać broń bez wywalenia na wierzch całej koszuli.

Kupiliśmy nawet szurikany, te japońskie gwiazdy. Rzucamy nimi wbijając je we framugi drzwi, ku rozpaczycy Haiga, któremu sen z oczu spędza nowa odmiana termitów atakujących drewno w jego domu. W bucie nadal noszę swoją brzytwę, a po całym domu rozrzucone są liczne ciężkie i ostre przedmioty.

Niekiedy zastanawiam się, jaką minę miałby gliniarz, gdyby zobaczył cały ten arsenał. To naprawdę nie wygląda na wyposażenie studenta, nawet badającego psychologię szoku, który w dodatku jest tylko będącym przejazdem turystą. Odwiedzenie wodospadu Niagara nie wymaga takiego uzbrojenia!

Coraz częściej o nich myślę, bo wiem, że oni zaczęli myśleć o mnie. Mam przeczucie, że niedługo do mnie zajrzą.

Jeśli nadal jeszcze jestem przy życiu i na wolności po tylu przygodach, to dzięki mojej intuicji, która nigdy mnie nie zawiodła. Życie w półświatku rozwija jakiś szósty zmysł, którego nie potrafiłbym określić. Parę dni temu spokojnie wychodziłem z apartamentu, jak każdego popołudnia. Kiedy zjeżdżałem na dół, coś mnie tknęło. Nie, nie przeczucie, ale niejasna świadomość, że ktoś o mnie myśli.

Zatrzymałem windę i wróciłem na górę. Zawsze ukrywam moją kokainę na zewnątrz pokoju. W hotelach są takie miejsca, których nikt nigdy nie

sprząta: wewnątrz fotela na korytarzu to doskonały schowek. Włożyłem tam spluwę i kokainę i ponownie zjechałem na dół.

W hallu podeszło do mnie dwóch facetów.

— Urząd imigracyjny! — mówią mi, wyciągając swoje plakietki.

— Mister Zyke?

— Tak.

Już zapomniałem o tych facetach.

— Rutynowa kontrola. Co pan robi w Toronto?

— Jestem turystą.

— Nie pracuje pan?

— Nie.

Rzeczywiście chodziło wyłącznie o zwykłą formalność. Nie rewidowali mnie i po zadaniu paru banalnych pytań pozwolili mi odejść. Nie mają nic wspólnego z policją, ale gliniarze są jak nieszczęście, nigdy nie przychodzą pojedynczo.

W ten sposób nigdy nie osiągnę wyższego poziomu. Nie mogą mi pozwalać na otwarte deptanie prawa, jak to robię dotąd.

Każda przygoda to wyzwanie, i tę prowadziłem do końca. Oczywiście są w półświatku inne drogi, ale te mnie nie kuszą, nie dlatego, że szanuję prawo, bo mam je gdzieś, ale dlatego, że szanuję samego siebie.

Już czas z tym skończyć. Robiłem w życiu wszystko i zawsze odgrywałem do końca postacie, które tworzyłem, doprowadzając je do ostateczności. Jako architekt wygrałem przetarg na rozbudowę całego miasta, i moje prace okazały się udane. Jako przemytnik zamieniłem granice w ser szwajcarski, i tak dalej. Obecnie jestem przedstawicielem mafii.

Jak dotąd w trakcie tej przygody obyło się bez zbytnej przemocy: parę uderzeń po buzi, parę bolesnych ciosów, wyłącznie minimum. Ale muszę przestrzegać reguł gry, i nieuchronnie nadejdzie chwila, kiedy porwany dynamiką kreowanej postaci przekroczę pewną granicę.

W gruncie rzeczy wszystko to jest parodią i nie chcę, żeby gra przekształciła się w rzeczywistość. Choć jest prawdą, że nie pozwalam sobie nadepnąć na odcisk, mimo wszystko pewne rzeczy szanuję.

Od paru wieczorów wiem już, że mają nadejść gliny. Pomimo zimna i śniegu często wychodzę na próg domu i wzrokiem omiatam dziesiątki

samochodów zaparkowanych w podwórzu i wzdłuż chodników. Są tutaj, czuję to!

Nakazałem współpracownikom, by przychodzili z niewielką ilością gotówki. W razie nalotu, jeżeli graczy przyłapie się przy stole, wszystko jest konfiskowane. Nie chcę zamykać klubu i pozostawiam sprawy ich własnemu biegowi. Trzymam się z przyzwyczajenia.

Toteż dzisiejszego wieczoru nie jestem nawet zaskoczony, kiedy Louie podbiega do stolika, przy którym właśnie usiedliśmy.

— The cops, nadchodzą!

Reagujemy natychmiast. Chwytam Ginger za rękę i w dwóch susach jestem przy tylnych drzwiach, które Bobby właśnie otworzył. Za nami biegną Louie, Bananas i Chuck, którzy zgarnęli ze stołu forszę, są z nimi Jo i Roxanne.

Na zewnątrz niesamowity burdel. Gliniarze są wszędzie. Około dwudziestu zajmuje pozycje wokół domu. Trzy wozy patrolowe blokują wyjazd z parkingu wśród pisku hamulców, a wirujące policyjne światła rzucają wokół niebieskie i czerwone blaski.

— Do samochodów, szybko!

Pochyleni ku ziemi, częściowo biegnąc, częściowo skradając się na czworakach zmierzamy ku lincolnowi, klucząc między zaparkowanymi samochodami. Z tyłu słychać brzęk tłuczonych szyb. Błyskawicznie dopadamy samochodu i pakujemy się do środka, w chwili kiedy na parking wpadają gliniarze w pościgu za uciekinierami.

Przyciemniane szyby pokryte są szronem. Z zewnątrz jesteśmy niewidoczni. Lekko uchylam szybę, żeby niczego nie stracić z widowiska. Około dziesięciu gliniarzy usiłuje wyważyć drzwi wejściowe. Bobby, który przygląda się temu zza mojego ramienia, wyjaśnia:

— Kiedy ktoś zastukał, otworzyłem, ale zaraz rozpoznałem skurwiela, który kiedyś już raz mnie zatrzymał. Zatrzasnąłem mu drzwi przed nosem i założyłem łańcuch. Chwilę im to zajmie.

Dwaj gliniarze przebiegają przez podwórze uzbrojeni w siekiery. Parę uderzeń i drzwi rozlatują się, po czym wszyscy wpadają do środka.

Wokół nas trwa corrida. Wielu facetów powyskakiwało przez okna, ale gliniarze tym razem nie dali się zaskoczyć i czekali na nich z pałami w rękach. Paru udaje się przedrzeć, i następuje pościg między samochodami.

Rozpoznaję pewnego Amerykanina, o którym wiem, że jest poszukiwany za usiłowanie napadu; ma zakrwawioną twarz, i gliny ciągną go do domu.

Ściśnięci w samochodzie jak śledzie w beczce zachowujemy całkowitą ciszę. W ciemności widzę, jak Ginger powstrzymuje się od śmiechu przyglądając się D'Amourowi, który drży z zimna w samej koszuli i ma nietęgą minę. Nie dziwię mu się. Jeśli gliny nas znajdą, opłaci im się cały wieczór stokrotnie.

W tym samochodzie reprezentowane są wszystkie rodzaje przestępstw. Jesteśmy uzbrojeni i mamy narkotyki. Louie, Chuck i Bananas mają swoje kartoteki. Akta Bobby'ego są grube jak książka telefoniczna i wisi nad nim kilka nie odsiedzianych wyroków. Ginger i Jo były notowane jako prostytutki. Roxanne jest nieletnia, a mój status turysty nie usprawiedliwia dwukrotnej pod rząd obecności w miejscu nielegalnym.

Radiowozy nadal blokują wyjazd. W milczeniu oczekujemy na dalszy rozwój wypadków.

Po upływie dwóch godzin goście zaczynają wychodzić. Dwóch facetów w kajdankach zabierają gliny. Kolejno startują silniki i wyjazd jest wolny. D'Amour siada za kierownicą i włącza się w potok wozów.

W nocy Haig kontaktuje się ze mną za pośrednictwem pagera. Nocuje u znajomej i jest zbyt przybity, by powiedzieć mi cokolwiek sensownego przez telefon. Najwyraźniej sprawy rzeczywiście potoczyły się źle. Rozprawę wyznaczono na dziewiątą, tak jak poprzednim razem. Umawiam się z nim w kawiarni niedaleko sądu. Jadą ze mną Louie i Bobby, a także Ginger, Jo i Roxanne.

Haig potrzebuje pocieszenia i wiem, że obecność trojga dziewcząt, które lubi, sprawi mu przyjemność.

Jest przygnębiony, jego legendarny już dobry humor gdzieś zniknął. Nie spał w nocy i kiedy tak siedzi na krześle, ze wzrokiem wbitym w ziemię, wygląda jak uosobienie rozpacz.

— Tym razem to już koniec! Wszystko zniszczyli, wszystko! Nawet meble. Nic nie zostało nienaruszone. Kiedy znaleźli twoją strzelbę, jakby dostali amoku. Przeszukali wszystko, rozwalając każdy przedmiot po drodze. Wywrócili do góry nogami nawet mój pokój i rozpruli mój materac. Kiedy szukali u ciebie, przecięli water-bed i zalali całe piętro. W jednej z szuflad w twoim pokoju znaleźli trawkę i mieli pretekst, żeby już nie przepuścić

niczemu. Nie wyobrażasz sobie, jak dziko się zachowywali. Nawet pobili się między sobą!

Ma łzy w oczach, wygląda żałośnie, staruszek przeżył ciężkie chwile. Dziś rano naprawdę widać po nim jego lata. Prawy policzek ma opuchnięty, są na nim jakieś sinawe ślady.

— Nawet dostałem w twarz. Jak znaleźli trawkę, ich szef, ten sam sierżant co poprzednim razem, powiedział mi, że jestem handlarzem narkotyków, że nie będę już się z nich nabijał, że się mną zajmą.

Zacząłem protestować i tamten mnie uderzył. Wtedy właśnie się pobili. Jeden czarny gliniarz, którego znałem, stanął w mojej obronie i powiedział, że nie jestem bandytą i żeby mnie tak nie traktować. Zaczęli na siebie wrzeszczeć i w końcu się pobili. Nie wiem, co będzie na procesie, ale obawiam się najgorszego!

— Ależ, Haig, chyba nie dasz się tak stłamsić, to do ciebie niepodobne. Trzeba walczyć. Życie się nie kończy tylko dlatego, że poniosło paru facetów. Masz jeszcze przed sobą piękne dni. Wierz mi, jeszcze się zabawisz. Co oni mają przeciwko tobie? Nic, tak jak poprzednim razem. Trawka nie była twoja, nie mają żadnych dowodów. Dziwię się, że taki stary lis jak ty niepokoi się takimi drobiazgami. Jestem przekonany, że dasz sobie z nimi łatwo radę. Jeszcze się nie urodził taki, który cię w tym zagnie.

Moje komplementy trafiają do niego i wyprostowuje się. Odgaduję w jego głowie przemówienie, które właśnie powstaje, i argumenty, jakie przedstawi sądowi. Jeszcze lekkie popchnięcie i będzie gotowy.

— Mam dla ciebie dobre wiadomości. Anuluję twoje długi. Nie jesteś mi już nic winien, możesz z powrotem przejąć dom. I zapłacimy za wszystkie szkody. Zrób jak najprędzej kosztorys i dam ci pieniądze. Będziesz mógł zrobić remont i za tydzień o wszystkim zapomnisz.

Moje słowa odnoszą radykalny skutek. Odzyskuje uśmiech i nawet odważa się żartować.

— Jak tylko zakończy się rozprawa, idziemy na szampana. Zadzwoń do mnie do hotelu.

Ginger poprawia mu muszkę i wyprostowuje kwiat w jego butonierce.

— Wyglądasz zawsze tak samo pięknie — mówi do niego z uśmiechem.

Jo i Roxanne dają mu po wielkim całusie w każdy policzek. Kiedy odchodził, odzyskał całą pewność siebie. Ale teraz z kolei Louie D'Amour ma kiepską minę.

— Kurczę! Dlaczego powiedziałeś mu, że nie jest nam już nic winien? Właśnie teraz, kiedy będziemy potrzebowali gotówki?

— Doprawdy, D'Amour, ty się nigdy nie zmienisz! Nie uważasz, że już dosyć zapłacił? Tak czy inaczej, jego dom jest spalony i nawet gdyby był nam winien życie, nie zgodzi się, żeby otworzyć klub jeszcze raz. Będzie miał trudności z doprowadzeniem wszystkiego do porządku.

— A jak mu powiedziałeś, że zapłacimy za szkody, mówiłeś serio?

— Tak. Ale to dotyczyło tylko mnie. Nie musisz robić tego samego. Masz wolny wybór.

Widząc jego minę rozumiem, że wybór został już dokonany.

Następnego dnia Haig ponownie jest w świetnej formie. Rozumiem to, kiedy widzę kosztorys, jaki dla mnie sporządził. Można by pomyśleć, że z domu zostały gołe ściany! Zapłaciłem.

Wiele dzięki niemu zarobiliśmy, zawsze był wobec nas w porządku. Był już najwyższy czas, by wycofał się z tej historii, i nie zasługiwał, żeby odejść jako przegrany.

Co robić teraz?

Zostało mi w kieszeni parę tysięcy dolarów. Mój tryb życia stał się zbyt wystawny, by opierać się tylko na przypadkowo organizowanych partyjkach. Nieliczne długi, jakie zostały do ściągnięcia, na wiele mi nie starczą. Chińskie kasyno mnie męczy. Żyłem jak pan, nie dopuszczę do tego, by teraz wyglądać jak tonący. Jeśli mam zostać w Toronto, muszę znaleźć sposób, żeby nie zmieniać stylu życia.

Najlepszym rozwiązaniem jest wyjazd. Potrzebuję słońca. Tak jak żyję obecnie, między narkotykami a nocnymi zabawami, szybko się wykończę. Potrzebne mi są wakacje.

Ale nie mogę wyjechać ukradkiem. Zajmę się ściągnięciem długów, wydam przyjęcie, o którym długo potem się będzie mówić, ostatni raz rozbiję bank, po czym wsiądę w samolot i wyląduję sam nie wiem gdzie, bez grosza, jak zwykle.

Mam do ściągnięcia trzy większe długi. Pierwszy frajer na liście, Ronald, sprowadzony przez Ginger, to jeden z jej dawnych klientów. To facet

zboczony, największą rozkosz sprawia mu, gdy sika na niego dziewczyna ubrana w skórę. Płaci kilkaset dolarów za to udawanie nocnika.

W ciągu dwóch wieczorów, jakie spędził w klubie, odebrałem mu całą jego gotówkę. Udzieliłem mu kredytu, pod zastaw domu w Creek Waters. Wtedy uważałem, że tak będzie dobrze. Gdyby facet nie chciał płacić, miałem do sprzedania dom. Dziś potrzebuję gotówki. Ale szanowny pan udaje, że go nie ma. Zniknął. Dowiedziałem się, gdzie mieszka jego matka, i sędzę, że w ten sposób uda mi się dotrzeć i do niego.

Idę tam sam, Bobby czeka w samochodzie. Idę tylko po adres, i zamierzam go zdobyć urokiem osobistym. W takich przypadkach chamska morda Bobby'ego może być tylko przeszkodą w realizacji planu.

Kiedy matka Ronalda otwiera mi drzwi swego eleganckiego domku, jest zaskoczona ogromem bukietu kwiatów, który jej wręczam. Włączyłem mój najpiękniejszy uśmiech, ten zarezerwowany dla starszego pokolenia. Nie trzeba zresztą się zmuszać, to bardzo miła kobieta.

Jest wdową po sędzim, wykształconą i inteligentną, nie ma nic wspólnego ze zboczeniami swego syna, o którego wyczynach nic nie wie. Dom jest przyjemny, umeblowany ze smakiem. Wyczuwa się, że jest szczęśliwa: Ronald to jej jedyny syn i żywi dla niego najcieplejsze uczucia, na jakie ją stać.

Jest sympatyczna i ufna, od razu uwierzyła w moją historyjkę o kolegach z uniwersytetu, którzy chcieliby ponownie się spotkać. Szybko uzyskuję adres kawalerki Ronalda.

Kiedy się żegnam, wiem już, że tam nie pojedę. Potrząsnąć porządnie jej synalkiem byłoby najsprawiedliwsze pod słońcem, ale ona nie zasługuje, by cierpieć z jego powodu. Spędziłem u niej bardzo przyjemne chwile i nie mam ochoty zadawać jej bólu, kiedy pozna smutną prawdę.

— No i? — pyta Bobby, patrząc na mnie z zaciekawieniem.

— Dajemy spokój, jedziemy od razu pod drugi adres.

Dobrą cechą Bobby'ego jest to, że nie zadaje pytań i zadowolona się wykonywaniem poleceń. To mechanizm doskonały.

Ale kiedy żona mojego drugiego dłużnika otworzyła drzwi, Bobby zbladł. Popatrzyła na niego, zaskoczona i uradowana, szeroko się uśmiechając.

— Dzień dobry, Bobby. Jak się masz? Ale proszę, wejdźcie.

Odebrało mi mowę i poszedłem za kobietą do salonu, podczas gdy ona rozmawiała z Bobbym, który posyłał mi rozpaczliwe spojrzenia.

Korzystając z chwili, kiedy wyszła, żeby zrobić herbatę, Bobby wziął mnie za rękę.

— Cizia, strasznie mi przykro, ale nie mogę. To moja kuzynka!

I tak wyruszywszy na ściąganie długów wszelkimi środkami spędziliśmy w końcu popołudnie popijając herbatę i pogryzając ciasteczka, jak dwóch dżentelmenów. Bobby, siedząc koło mnie, zawstydzony moim ironicznym uśmiechem, zrobił nawet specjalny wysiłek, żeby wypić moją herbatę bez siorbania.

Wygląda na to, że jeżeli rzeczywiście chcę wyjechać gdzieś na słońce, będę musiał ostro wziąć się do roboty. Tym gorzej dla Vica Costello, mojego trzeciego dłużnika. Jestem wściekły, że straciłem całe popołudnie. Żadne tłumaczenia go nie uratują. On zapłaci na pewno!

Takie myśli chodzą mi po głowie, kiedy przekraczam próg Charity Club, którego jest właścicielem.

Masywny, około pięćdziesiątki, siwy, o poważnym głosie Vic Costello wygląda bardzo szacownie. Jest mi winien pieniądze od kilku tygodni. Ale jest sympatyczny, a po mojej pierwszej wizycie zdałem sobie sprawę, że ma kłopoty rodzinne.

Będąca z nim w separacji żona, młodsza od niego, utrudniała mu życie jak mogła, zabierając wszystkie pieniądze i odcinając go od dzieci. Ponieważ Vic wyrażał szczerą chęć zapłacenia, a ja ze swej strony nie potrzebowałem już niczego nikomu udowadniać, mając solidnie ugruntowaną reputację, zgodziłem się na odroczenie terminu. Ale teraz nie mam już czasu. Vic wielokrotnie zapraszał mnie do swojego klubu dobroczynności. Na próżno, jako że nie jestem fanatykiem tego rodzaju spotkań. Vic był przedtem menedżerem hotelu Playboya, i zawsze zastanawiałem się, w jaki sposób wylądował w towarzystwie dobroczynnym.

Osobiście otwiera nam drzwi i jest nieco zdziwiony.

— Dzień dobry. Możemy się czegoś napić?

— Tak, oczywiście, rozgośćcie się. Nie spodziewałem się twojej wizyty tutaj. Tylko coś załatwię i zaraz się wami zajmę.

Siadam w wygodnym fotelu i zaskoczony rozglądam się dookoła. Nie tak sobie to wyobrażałem. Sądziałem, że będą tu siostry miłosierdzia, stare panny i

paru emerytowanych pułkowników, popijających herbatę w pomieszczeniu przypominającym szkolną klasę. Nic z tych rzeczy. Sala jest wspaniała, pośrodku stoi niesamowity barek. Oświetlenie jest dyskretne, wokół zachęcające skórzane fotele, a ze świetnego sprzętu stereo płynie przyciszona muzyka.

Vic krząta się za barem, rzucając w naszym kierunku niespokojne spojrzenia. Nie wie, dlaczego tu jesteśmy, ale nasza wizyta go niepokoi. W swoim szarym płaszczu Bobby nie pasuje do otoczenia. Wygląda na to, czym jest: na mordercę.

— Ładnie tu.

Vic oprowadza nas po sali. Prawdziwy luksus! Mahoniowe meble błyszczą nieskazitelnym blaskiem, lśnią miedziane okucia, a podłogę pokrywa gruba wykładzina. Okna kryją zasłony. Nad barem pozawieszane są zdjęcia aktorów i znanych osobistości z dedykacjami. Na wielkiej estradzie, wyposażonej profesjonalnie, stoi fortepian, który zdobią dwa srebrne świeczniki. W głębi sali widzę nawet stół do gry z zestawem żetonów, przykryty pokrowcem.

— Członkowie klubu lubią hazard?

— Nie, nie. Czasami, dla rozrywki. Większość to starsi ludzie nadziani forszą, którzy nie mają co robić z czasem.

Prowadząc nas przez salę Vic rzuca częste spojrzenia na Bobby'ego, jakby obawiał się, że ten może schować do kieszeni parę popielniczek. Kiedy uznaję, że dosyć już straciliśmy czasu, przechodzę do spraw poważnych.

— Vic, trzeba zapłacić.

— Przecież się dogadaliśmy!

— Tak, wiem. Ale nie mogę już czekać. Ja i moi współnicy mieliśmy kłopoty finansowe i gliniarze rozwalili mi klub.

— Tak, słyszałem o tym.

— Więc rozumiesz, że potrzebuję pieniędzy.

— Tylko że ja nie mam ani grosza. Od naszej ostatniej rozmowy moja sytuacja finansowa nie poprawiła się. Cudów nie ma!

— Ale będziesz jednak musiał jakiś zrobić. Zastaw dom, sprzedaj samochód. Rób co chcesz, ale się pośpiesz! Znasz tego pana?

Wskazuję na Bobby'ego, stojącego za mną.

— Wiesz, co on robi? Łamie ręce niesolidnym dłużnikom. Wolałbym, żeby nie doszło do takich ostateczności, ale nie dajesz mi wyboru.

— Nie możesz tego zrobić, Cizia. Przecież wiesz, że mam kłopoty...

Usiłuje jeszcze się wywinąć, nie chcąc zdać sobie sprawy z nieuniknionego.

— Dosyć! Nie próbuj mnie wziąć na litość. Robisz swoją robotę, ja robię swoją, i to wszystko. Trzeba było nie ryzykować. Sam postawiłeś się w tej sytuacji, grałeś na kredyt doskonale wiedząc, że nie będziesz mógł spłacić długów. Oszukiwałeś, prawda? Próbowaleś mnie naciągnąć, prawda?

— Więc teraz musisz zapłacić. Daję ci czas do jutra po południu na znalezienie rozwiązania. Do jutra!

Wychodzę z baru, a za mną Bobby, który nie mógł się powstrzymać, by nie poklepać przerażonego Vica w ramię. W mojej głowie zaczyna kiełkować pewna myśl.

Następnego dnia siedzę w tym samym fotelu z Bobbym i Harrym. Na nasz widok Vic pobladł i przez ostatnie pół godziny próbuje ratować skórę, proponując różne rozwiązania, które kolejno odrzucam.

Dom należy do jego żony. Samochód kupiony został na kredyt, nikt nie zgodzi się pożyczyć mu potrzebnej sumy. O tym wszystkim wiem i dlatego dałem mu trochę czasu. Gdyby nie to, że zależy mi na przyciśnięciu go do muru, już dawno dałbym się przekonać.

Nie ma żadnego rozwiązania, ale taki stan rzeczy jest mi na rękę. Kiedy Vicowi zaschło już w gardle od przedstawiania kolejnych argumentów, i kiedy spróbował już wszystkiego, przez chwilę patrzę na niego w milczeniu.

— No dobra, rozumiemy się. Ostrzegałem cię.

Wstaję, to samo natychmiast robią moi goryle, i idę w jego kierunku.

— Nie, Cizia, nie możesz mi tego zrobić. To niemożliwe!

Cofa się, opiera plecami o bar, cały pobladły, i podnosi ręce w instynktownym odruchu samoobrony. Biedny staruszek. Przykro mi, ale albo on, albo ja. Dojrzał do dalszego ciągu.

— No dobra, daję ci szansę. Słuchaj i nie przerywaj. Twój klub mi się podoba, można z niego zrobić booze-can.

Oczekiwał wszystkiego, tylko nie tego, i oburzenie każe mu niemal zapomnieć o strachu.

— Przecież to...

— Zamknij się! Daj mi dokończyć. Jesteś mi winien pieniądze, a ja nie mam grosza. Wynajmę od ciebie klub i w ciągu miesiąca będę splecony, wszyscy będą zadowoleni.

— Ale ja nie jestem właścicielem. To spółka akcyjna.

— No to co? Kto o tym będzie wiedział? Zresztą to twoje jedyne wyjście. Myśl logicznie, z jednej strony masz do wyboru tradycyjne załatwienie sprawy, z drugiej daję ci nawet możliwość zarobienia trochę forsy. O której tu zamykasz?

— O dwudziestej drugiej, dwudziestej trzeciej najpóźniej.

— No to nie ma problemu. My będziemy działać od pierwszej do piątej rano. Będzie o tym wiedziało nie więcej niż dwadzieścia osób, sami grający. Nie interesuje mnie sprzedaż alkoholu. Nie jest mi potrzebny booze-can, tylko spokojne miejsce, gdzie można grać. Ludzie, którzy będą tu przychodzić, przyjdą przede wszystkim po to, żeby zagrać. Wszystko będzie się odbywać bardzo spokojnie. Nic się nie bój!

Staram się namotać mu w głowie, by go przekonać, że nie będzie żadnych awantur. Wszystko będzie łatwiejsze, jeśli uda mi się go przekonać do mojego pomysłu. Wykazuję mu, że w jego interesie leży współdziałanie ze mną i wynikające z tego korzyści.

— Płacę sto dolarów od stołu, z pieniędzy grających.

Zasypuję go argumentami, i pomysł zaczyna mu się podobać.

— W takim razie trzeba będzie przygotować zapas alkoholu niezależny od zapasu klubu, prawda?

— No właśnie, zaczynasz rozumieć! Niech wreszcie do ciebie dotrze, że możesz na tym wszystkim tylko zyskać. Jeden warunek: nie wolno ci grać z kimkolwiek.

Kiedy wychodzę, Vic jest przekonany, a ja jestem szczęśliwy. Nie mam już ochoty wyjeżdżać na słońce. Mój nowy klub nie ma nic wspólnego z booze-can przy Bedford Street. Dostyc już miałem tej pospolitej rudery!

Tutaj to nie jakieś zaadaptowane mieszkanie, tylko prawdziwy bar, klub dla milionerów, o bajecznym wystroju. Ogarnęła mnie euforia. Nie mogłem marzyć o lepszym miejscu, to nec plus ultra w tym mieście.

Vic pokazał mi wyposażenie. Jest wszystko, co potrzeba do gry, kilka bardzo pięknych stołów i żetony z kości słoniowej. Drzwi wejściowe są ogromne, w dodatku wyściełane, i moją pierwszą myślą jest, że powinny

wytrzymać nawet uderzenia siekierą! Otwierane są na odległość elektronicznie. Nikt nie może wejść, dopóki barman nie przycisnie ukrytego pod ladą guzika, a judasz umożliwi sprawdzenie, kogo ma się wpuścić.

Wygląda to aż za dobrze. Powróciła mi cała energia. Interesy będą mogły na nowo się rozkręcić, i to na skalę dotąd nie spotykaną.

Nikt jeszcze nie ośmielił się przerobić na booze–can klubu dobrotycznego, prowadzonego przez najbardziej szanowanych milionerów. To idealna fasada! Prawie gag.

W dodatku, dzień i noc, wejścia pilnuje strażnik z wyspecjalizowanej firmy ochrony, którego zadaniem jest obsługa windy i kontrolowanie wchodzących. Vic powiedział mi, że za cenę drugiej pensji zapewnimy sobie jego współpracę i dyskrecję.

Co więcej, mój klub ma doskonałe położenie, na ostatnim piętrze luksusowego biurowca, który zatem w nocy jest nieczynny, a stoi pośrodku handlowego pasażu Les Colonnades, na Bloor Street, w samym centrum. Doskonale!

Następnego dnia przyjeżdżam z całą ekipą: Louie D'Amour, Vic Costello, Bobby, Jo i Roxanne.

— Panie i panowie, jutro zaczyna się nowa epoka. Koniec ze szmatławymi booze–can. Przechodzimy na wyższy poziom. Przeprowadzę selekcję klientów i zachowam tylko najlepszych. Od tej pory będę wymagał zachowania najwyższej klasy. Nie działamy już w spelunie, ale w najelegantszym klubie Toronto, moim klubie. Liczę na was, że dacie przykład, i będę wdzięczny, jeżeli sprawicie sobie smokingi. Jo! Roxanne! Dopóki nie uszyjecie sobie czegoś lepszego, wybierzcie spośród swoich strojów najbardziej odpowiednie. Vic, musisz mi znaleźć zawodowego barmana, a ty, D'Amour, postaraj się nosić rewolwer w sposób mniej widoczny. Nie jesteśmy bandytami, tylko właścicielami luksusowego booze–can w centrum miasta.

Dwa dni później odbywa się inauguracja. Louie spędził większość swego czasu na dziesiątkach telefonów, żeby ściągnąć naszych najlepszych klientów. Gdyby mi się tak nie śpieszyło, porozsyłałbym zaproszenia. Zaprosiłem przyjaciół, znajomych bliższych i dalszych, a także właścicieli i kierowników wszystkich restauracji, jakie znam, aby w przyszłości naganiali mi ciekawych klientów.

Są wszystkie dziewczyny z Julie's Mansion, jest Sam, maitre d'hotel z Maxwell's Plum, jest szef Truffle's, restauracji hotelu Hyatt Regency, i wielu innych, których nazwisk nawet nie pamiętam. No i, oczywiście, najładniejsze call-girls w mieście.

Około trzeciej nad ranem jest już dobra setka osób, a to i tak wyselekcjonowana śmietanka. Nawet nie zdawałem sobie sprawy, że znam tylu ludzi! Dziś wieczór nie chcę żadnej gry, dziś działam z gestem. Postanowiłem, że inaugurację uczymy szampanem, którym częstujemy wszystkich do woli.

Mężczyźni są w smokingach lub garniturach, kobiety w wieczorowych sukniach. Louie D'Amour, rozanielony, przechodzi od grupy do grupy i pełni honory swego nowego klubu wobec wszystkich nowo przybyłych, których przyjmuje z otwartymi ramionami.

Sprawił sobie całkowicie nową garderobę oraz na przegub ręki łańcuch ze szczerego złota. Ze swoimi wypomadowanymi i zaczesanymi do tyłu włosami do złudzenia przypomina żigolaków z lat trzydziestych. Nie mógł się powstrzymać, by na dzisiejszą okazję nie wsadzić sobie w dziób ogromnego cygara, które co chwila wyjmuje z ust afektowanym gestem. Trzy inne hawany wystają niedbale z kieszeni jego smokingu. D'Amour aż kipi z radości.

Udało mi się przekonać Bobby'ego, by zamienił swój sweter i odwieczny szary płaszcz na smoking. Najtrudniej było znaleźć dla niego marynarkę, bo choć jest średniego wzrostu, ma nadzwyczaj szeroki tors. Jego byczy kark uniemożliwia zapięcie kołnierzyka koszuli i Bobby nosi muszkę bezpośrednio na ciele. Jego wygląd nie zmyli nikogo, ale przynajmniej jest to goryl luksusowy.

On sam czuje się bardzo elegancko i podziwia się we wszystkich lustrach mrugając do mnie porozumiewawczo. Po raz pierwszy widzę u niego jakąś ludzką reakcję. Stoi przy drzwiach i na tę okazję zgodził się rozstać ze swoim kijem baseballowym, który postawił obok. Posuwa się nawet do powitania każdego wchodzącego krótkim uprzejmym zdankiem, którego go nauczyłem, i pozdrawia jednakowo barmanów i biznesmenów zwrotem „*drogi przyjacielu*”, który, muszę to przyznać, nie brzmi zbyt serdecznie.

Haig, w perłowszarym garniturze, z ogromnym kwiatem w butonierce, gratuluje mi zaraz po przybyciu. Jest w świetnej formie, otoczony półtuzinem

ładnych dziewcząt. Jak to przewidywałem, proces przebiegł dobrze i jego wcześniejsza rozpacz jest już tylko złym wspomnieniem.

Jest zachwycony moim nowym klubem, który pozwoli mu dalej prowadzić nocne życie tym razem bez ryzyka. Zaciekawiony usiłuje dowiedzieć się od Vica Costello, starego znajomego, jakim cudem ja stałem się właścicielem klubu.

Vic wygląda na zaniepokojonego. Nie spodziewał się, że spotkanie osiągnie takie rozmiary, i poważnie zastanawia się, czy dokonał trafnego wyboru. Po paru kieliszkach odpręża się. Przedstawiam go wszystkim nadając mu prestiżowy tytuł general manager sieci klubów, jakie zamierzam otworzyć w całej Kanadzie. Pochlebia mu to i szybko dostosowuje się do panującej atmosfery. Pod koniec wieczoru elokwentnie opowiada o nowych klubach, którymi niebawem będzie zarządzał.

Chuck ostrzygł się i przynajmniej tym razem zamienił swoją skórzaną kurtkę na marynarkę. Bananas wytrzasnął skądś trzyczęściowy garnitur, który wygląda jakby był szyty w ubiegłym stuleciu. Obaj spoglądają na tłum oceniając zyski, jakie będzie można z niego wyciągnąć, a Chuck już mnie pytał, czy dałoby się zorganizować małą partyjkę jeszcze dzisiaj wieczora.

Wystrój wnętrza zrobił na nich duże wrażenie, i szybko zrozumieli, jak wielkie stoją przed nami możliwości. Są tu też Angelo i Rocco Gucci, w towarzystwie Paola, który zgolił swoje bokobrody, odkąd został mianowany maitre d'hotel w La Stradzie. Angelo, z porozumiewawczym uśmiechem, pogratulował mi szybkiego awansu.

Dany, mój fryzjer, do którego chodzę każdego popołudnia, również nie chciał przegapić tej okazji. Przyszedł w towarzystwie żony, brunetki o równie męskim wyglądzie, jak jego zniewieściały. Niekiedy słyszę jego donośne wybuchy śmiechu, przebijające przez gwar rozmów.

Dostrzegam nawet Rosjanina, zawiadomionego nie wiadomo jakimi kanałami, który pogrążony jest w dyskusji z dojrzałą kobietą, zapewne żoną kierownika Truffles. Najwyraźniej wciska jej jakiś kit. Posyłam Harry'ego, żeby go trochę uspokoił.

Lynn, moja eks-nimfomanka, z którą się pogodziłem, ale która starannie unika Ginger, przyszła w otoczeniu paru przyjaciółek, by zbadać nowy teren łowów. Ktoś będzie wkrótce cierpiał...

Godnie pełniąc honory domu siedzę przy stoliku i przyjmuję gratulacje gości. Ginger jest w siódmym niebie. Przez cały wieczór nie puszcza mojego ramienia, komplementy pod moim adresem sprawiają jej większą przyjemność niż mnie samemu. Podniecona sytuacją wchodzi w końcu na stół, zachęcana oklaskami, by wznieść toast za nowy klub, za zdrowie gości, a w szczególności za mnie osobiście.

Są tu najpiękniejsze dziewczyny w Toronto, i spontanicznie pomagają kelnerkom, które nie dają sobie już rady w takim tłumie.

Najbardziej zaskoczony jest strażnik biurowca, którego zadaniem jest obsługa windy. Zgodnie z umową wypłaciłem mu drugą pensję oraz premię za dzisiejszy wieczór, pragnąc, by nasza współpraca opierała się na solidnych podstawach. Jest mi szczerze oddany. Uprzedziłem go, że urządzam prywatne przyjęcie, ale nie spodziewał się takiej nawały gości. Całą noc spędza na otwieraniu i zamykaniu drzwi wejściowych, i nie wierzy własnym oczom.

Louie D'Amour, który wyszedł, żeby odprowadzić przyjaciółkę, powiedział mi, że strażnik traktuje swoje zadanie bardzo serio, i posuwa się nawet do otwierania drzwiczek samochodu w nadziei na napiwki.

Kiedy około szóstej rano wychodzą ostatni goście, zapas alkoholu przygotowany na mój koszt przez Vica Costello jest na wyczerpaniu. Stary sknera zadziałał na małą skalę, przewidując maksymalnie trzydziścioro gości. Teraz ponuro patrzy dokoła, myśląc o czekającej go pracy. Jako general manager ma za zadanie doprowadzić wszystko do porządku i pozmywać dziesiątki szklanek i kieliszków, rozrzuconych po całym klubie, zanim pojawią się regułami członkowie.

Następne dni upływają w pełnej euforii. Ponownie wpadłem w szaleńcze tempo życia i całkowicie oddaję się przyjemnościom. Klub kręci się pełną parą i pieniądze wpływają szerokim strumieniem. Wydawanie pieniędzy u mnie to prawdziwa przyjemność.

W życiu nie posługiwałem się tak pięknym sprzętem. Żetony, których używamy do gry, wykonane są z kości słoniowej, wypolerowanej od dotyku tysiąca rąk, a widniejące na nich cyfry są inkrustacjami z macicy perłowej. Stół do pokera, istne arcydzieło sztuki meblarskiej, jest okrągły, masywny, potężny, pokryty suknem z obrzeżem z czarnej skóry.

Głębokie skórzane fotele, które wręcz zapraszają, by w nich zasiąść i zagrać, są tak wygodne, że nie sposób odejść od stołu, zanim się nie będzie kompletnie splukanym.

Należy sądzić, że ten luksus przyciąga grających, bo klub aż kipi przez całą noc. Wiele osób, które początkowo zaglądały tu jedynie, by wypić kieliszek w przyjemnej atmosferze, to teraz stali bywalcy, a od jeleni aż się roi.

W tym eleganckim otoczeniu każdy czuje się bogaty i gra o wysokie stawki. Ze swej strony nie żałuję niczego. Gracze, którzy zasiadają przy moim stole, są moimi gośćmi. Przysługuje im najlepszy szampan, ku rozpaczy mojej ekipy.

— Kanadyjczycy nie są przyzwyczajeni do takiego wyrafinowania — powtarza mi wielokrotnie D'Amour, kiedy z zysków potrącam gigantyczne koszty. — Nie musisz ich zachęcać do picia.

— D'Amour, przecież wiadomo, że podchmielony gracz popełnia więcej błędów i bardziej skłonny jest do szpanu. Naucz się, że szampan to narzędzie pracy.

— Tak, ale piwo albo jakiegokolwiek musujące wino zupełnie by wystarczyło. Kanadyjczycy nie mają europejskiego podniebienia. To zbyteczny luksus.

— Louie D'Amour, doprowadzasz mnie do rozpaczy. Kiedy wreszcie przestaniesz być skąpy? Jak można myśleć o takich rzeczach w takim otoczeniu? Popatrz dookoła. Nigdy niczego nie zrozumiesz z życiowych przyjemności. A poza tym tutaj jesteśmy u mnie, a u mnie wszystko musi być najlepsze.

Chuck i Bananas też nie są przekonani. Dla nich, którzy byliby zdolni ukraść ślepcowi jednego dolara, słowo „klasa” to czysta abstrakcja. Ale kiedy widzą dochody, osiągnięte w ciągu paru nocy, muszą przyznać, że moja metoda ma swoje dobre strony. Napelniamy sobie kieszenie, a do klubu garnie się wytworny świat.

To coś więcej niż boozé-can. Staliśmy się ulubionym miejscem pewnej kategorii „gentry”. Większość ludzi zna się tu wzajemnie. Niektórzy stali bywalcy, na moje polecenie, mają swoje stoliki. Poprosiłem hotelarzy zaproszonych na inaugurację, by podsyłali mi swoich najlepszych klientów, tych, co do których mają pełne zaufanie.

Atmosfera jest doskonała. Co wieczór jest zabawa, a goście, w większości podchmieleni, wyzbywają się wszelkich hamulców. Nie ma wieczoru, by ktoś nie zasiadł do fortepianu na małe muzyczne intermedium. Kiedy do klubu przychodzą muzycy lub piosenkarze cieszący się pewną sławą, zawsze z własnej inicjatywy lub na ogólne życzenie podchodzą na parę minut do mikrofonu.

Jeden z nich, Rey, przychodzi prawie co wieczór, po zamknięciu klubu, w którym gra. To Murzyn, bardzo sympatyczny, a przy tym świetny trębacz jazzowy, na najlepszej drodze do wielkiej kariery. U mnie czuje się bliższy swojej publiczności. Zawsze na potężnym kokainowym haju śpiewa przede wszystkim dla samego siebie, z przymkniętymi oczami i rozanielonym wyrazem twarzy, zagubiony w narkotycznej mgle. Ma kokainę w głowie i muzykę we krwi.

Natomiast o Chucku trzeba powiedzieć, że ma kokainę zarówno w głowie, jak i we krwi! Narkotyk sieje spustoszenie. Wszyscy od dawna przesadzamy z tym ćpaniem. Mój budżet obciążony jest zakupami coraz poważniejszych ilości białego proszku. Ale podczas gdy D'Amour, Bananas i ja nadużywamy go „rozsądnie”, w postaci rządków albo w papierosach, Chuck, który jako jedyny robi sobie zastrzyki, powoli się wyniszcza i pozwala, by kokaina zżerała mu mózg.

Już od dawna nie zajmuje kluczowej pozycji przy stole do gry. Co pół godziny znika w toalecie, by zrobić sobie kolejny zastrzyk. Pozbawiony dawnej trzeźwości umysłu, zagubiony w jakimś równoległym świecie marzeń, nie nadaje się już do niczego. W ciągu paru miesięcy kokaina, którą wstrzykuje sobie bezpośrednio do żył, zniszczyła go kompletnie.

Trzymam go jeszcze przy sobie z przyjaźni, ale w grze staje się po prostu niebezpieczny. Popełniał już poważne błędy w craps, odsyłając nam spreparowane kości w nieodpowiednim momencie, w związku z czym parokrotnie znaleźliśmy się o krok od katastrofy.

Przy grze w karty jego ręce, które drżą bez przerwy, uniemożliwiają mu jakiegokolwiek precyzyjne manipulacje, a ponieważ nie jest już zdolny się skupić, stał się bardzo złym graczem w pokera. Wychudł i ubrania na nim wiszą. On, zawsze taki zadbany, teraz wygląda niechlujnie. Zdarza mu się przyjść do klubu nie ogolonemu, w brudnej koszuli, w której najprawdopodobniej spał.

Z grzeczności nigdy nie robimy aluzji do jego wyglądu, i nigdy nie pozwoliłem sobie na żadne uwagi. Każdy jest panem swego losu, ale nigdy losu kogoś innego. Chuck jest dorosły i powinien sam wiedzieć, co robi. Skoro wybrał tę drogę, ja nie mam nic do powiedzenia, jego prawo. Nie jestem ani jego ojcem, ani aniołem stróżem, jestem tylko jego szefem i jak długo wywiązuje się ze swoich obowiązków, jego życie prywatne mnie nie obchodzi. Ale teraz Chuck nie robi już tego, co do niego należy. Ja wprawdzie jestem miły, lecz nie należę do Armii Zbawienia.

Rozmawiałem o tym z Bananasem, który obojętnie wzruszył ramionami.

— Wspomniałem mu o tym, ale zrobił się taki nerwowy, że nie można już z nim rozmawiać, bo staje się agresywny. Przykro mi z tego powodu, ale nie jestem od tego, żeby mu prawić morały.

— Domyślasz się, że będę musiał go zwolnić?

— Wydaje się to logiczne.

— Zostaniesz, czy chcesz odejść razem z nim?

D'Amour opowiadał mi, że razem pracowali od lat, i zrozumiałbym, gdyby Bananas chciał odejść.

— Nie, zostanę. Potrzebuję pieniędzy. Lubię Chucka, to mój przyjaciel, ale gdybym z nim odszedł, niczego by to nie zmieniło, a zresztą dokąd iść?

Pomimo daleko posuniętej ruiny Chuck ma jeszcze przebliski trzeźwości umysłu, i wieczorem, kiedy biorę go na stronę, żeby porozmawiać w cztery oczy, rozumiał, zanim zacząłem mówić.

— Chuck...

— Wiem, rozumiem.

— Przykro mi, stary.

— Tak, nie ma sprawy.

Od tej pory pojawia się od czasu do czasu w klubie i jestem świadkiem jego ostatecznego upadku. Sprzedał samochód, opuścił mieszkanie i żyje teraz w jakimś paskudnym pensjonacie w podłej dzielnicy, utrzymując się z dorywczych zajęć. Teraz wygląda już zupełnie źle, brodaty, zaniedbany, w wielkim brudnym płaszczu, za każdym razem zapewnia mnie, że jest z nim lepiej, że jego stan się poprawia, że niebawem znowu razem zagramy jak za dawnych czasów. Zanim sam o to poprosi, wsuwam mu do kieszeni studolarowy banknot. To wszystko, co mogę dla niego zrobić.

Zastąpił go Igor, nadzwyczajny szuler, także kumpel Bananasa. Jest skrzypkiem i czasami grywa w rosyjskiej orkiestrze. To blondyn o dosyć długich włosach, tak grzeczny, że aż robiący wrażenie nieśmiałego, człowieka bardzo łagodnego. Nigdy nie widziałem, żeby się rozzłościł albo podniósł głos. Zresztą w ogóle mówi bardzo mało i przez cały czas słucha... Jest inteligentny i wykształcony. Nie ma mentalności oszusta i robi nawet wrażenie zdziwionego i skrępowanego naszą gwałtownością i naszym dosadnym, obrazowym językiem. Nie ma w sobie nic z bandyty, i bardziej przypomina studenta, który zablądził w tym zepsutym świecie. Nawet ja, choć uważam się za dobrego psychologa, nie rozszyfrowałbym go. Przy każdej okazji gra na skrzypcach. To jego jedyna prawdziwa pasja.

Haig jest w klubie od chwili, kiedy otwieramy. Zawsze przychodzi w towarzystwie i w dużej mierze przyczynia się do tworzenia dobrej atmosfery. Co noc zbiera się tu około setki osób. Musiałem zatrudnić dodatkowe kelnerki. Noszą specjalne stroje, które sam projektowałem, starając się, by były ograniczone do minimum.

Na nogach siatkowe pończochy, mini-spódniczka, która jest właściwie tylko szerokim skórzanym pasem zapinanym z boku, również skórzana kamizelka z oszałamiającym dekoltem, pozostawiającym odsłoniętą talię i ramiona. Wszystkie panienki są bardzo ładne i noszą te stroje z dużym wdziękiem.

Bobby, także elegancko ubrany, nadal pełni wartę u drzwi. Pod wpływem otoczenia ostatnio się zmienił. Nie zdejmuje już smokingu, w dzień i w nocy, niezależnie od aktualnego zajęcia, a swój stary szary płaszcz nosi niedbale przewieszony przez ramię. Po tygodniu takiego traktowania jego ubranie, od wykwintnego krawca, wygląda jakby wyciągnięto je ze śmietnika. Zniszczył już dwa smokingi i zastanawiam się, czy nie lepiej bym zrobił kupując mu dres albo pajacyk.

Na razie przestałem zajmować się ściąganiem długów, bo to żmudne zajęcie zaczęło mnie już nudzić: te same słowa, te same groźby i w końcu ten sam rezultat. Żeby z tym skończyć, udzielam teraz kredytu wyłącznie zaufanym graczom, i to tylko na niewielkie sumy.

Jedynie Rosjanin usiłuje jeszcze wyciągnąć ode mnie pożyczkę, ale nie mam ochoty znowu być zmuszonym do natarcia mu uszu. Chcę trochę korzystać z życia.

Pozbyłem się pagera. Na początku było to praktyczne urządzenie, ale szybko stało się nie do zniesienia. Zbyt wielu ludzi miało mój numer, i ustawicznie otrzymywałem komunikaty, spośród których wielu nie byłem w stanie rozszyfrować.

Ze względu na moją skłonność do pań i na szybkość, z jaką potrafię zniknąć po krótkotrwałej idylli, narobiłem sobie sporo wrogów wśród płci pięknej, i jedna albo więcej spośród moich byłych partnerek wymyśliła nowy sposób, żeby doprowadzać mnie do wściekłości. Wystarczy zatelefonować do centrali i podać mój numer pagera, by przekazać wiadomość, obojętnie jakiej treści. Telefonistka po prostu powtarza ją, niezależnie od brzmienia. A mało jest sytuacji równie przykrych, jak ta, kiedy w środku ważnej rozmowy człowiek wzywany jest do telefonu, by usłyszeć, że „*kura nie będzie już znosić jajek*”, lub „*nie ma takiego numeru*” albo inne głupoty w tym stylu. W dodatku moja ekipa i ja mieliśmy zwyczaj posługiwania się zaszyfrowanymi komunikatami, i początkowo zachodziłem w głowę, by przypisać tym bezsensownym zdankom jakieś rozsądne znaczenie. Do pasji doprowadzała mnie świadomość, że jestem obiektem takich kretyństw i nic nie mogę na to poradzić.

Któregoś dnia, kiedy zadzwoniłem pod dwa numery, o których wykręcenie pilnie mnie proszono, i łączyłem się kolejno z zegarynką i telefoniczną prognozą pogody, załamałem się. W nieopanowanym a łatwo zrozumiałym odruchu wściekłości cisnąłem pagera na podłogę i skoczyłem nań obunóż, co ostatecznie zamknęło mu gębę. Kosztowało mnie to tysiąc dolarów.

Kiedy nie jestem w klubie, czas upływa mi w mieszkaniu Ginger, dokąd Bobby odwozi mnie rano i skąd zabiera z powrotem wieczorem. Poza nim i D'Amourem nikt nie wie, gdzie jestem i dokąd jadę, a obaj otrzymali zakaz przeszkadzania mi. Dom Ginger jest przytulny. To miejsce schadzek jej niezliczonych przyjaciółek, i nie ma takiego popołudnia, żeby parę z nich nie przyszło w odwiedziny.

Ginger od dawna rozumiała, że jestem istotą niestałą i spragnioną przyjemności. Kiedy widzę w swoim otoczeniu piękną kobietę, od razu chcę ją mieć. Ginger nie tylko nie przeszkadza, ale wręcz stara się uprzedzić moje życzenia i sama z siebie przyprowadza swoje przyjaciółeczki do wielkiego

łóża o miedzianych okuciach, w którym przez całe popołudnie wyleguję się w przyjemnym towarzystwie.

Są to dziewczyny miłe i zadbane, w większości modelki albo młode aktorki, niezbyt płochliwe i zawsze chętne do wypicia filiżanki herbaty, pociągnięcia rządka kokainy albo dołączenia do nas. Jestem jedynym samcem wpuszczanym do tego domu, gdzie niczym sułtan rządzę swoim haremem.

Czego chcieć więcej? Spełniam ukryte marzenia wszystkich mężczyzn!

W tym idyllicznym życiu problemy pojawiają się bez uprzedzenia. Dzisiejszego wieczoru Bananas przychodzi bardzo zafrasowany.

— Mam złe wiadomości. Bardzo złe. Przyjaciele uprzedzili mnie, że Peter, ten dealer kokainy, którego Louie wykiwał, wszędzie rozpowiada, że D'Amour to oszust, i my też. Wiesz, jak szybko rozchodzą się plotki w tym środowisku. Wszyscy goście, którzy u nas przegrywali, podchwycą tę wiadomość. Za parę dni nie będziemy już mieli z kim grać, a i tak będziemy mieli szczęście, jak nam nie połamią rąk. To katastrofa! Trzeba będzie wyjechać z miasta!

Cholera! Nie teraz! Przeżywam najlepsze chwile mojej przygody. Właśnie udało mi się odkuć, startując z niczego, a teraz ten skurwysyn Peter chce mi to wszystko zrujnować. Bananas ma rację. Jeśli nie zareagujemy, niedługo w najlepszym razie będziemy mogli grać sami ze sobą.

Do ciężkiej cholery, nie teraz!

Patrzę na mój luksusowy klub, na klientów, którzy pozdrawiają mnie z szacunkiem, na żetony z kości słoniowej i na Ginger, która śmieje się serdecznie z jakiegoś żartu swojej przyjaciółki o gładkiej skórze. Przecież nie zostawię tego wszystkiego tylko z powodu jakiegoś mściwego debila, który nie umie przegrywać!

Nad ranem, po nocy bardzo owocnej gry, podejmuję decyzję. Trzeba, by Peter zamilkł, zanim będzie za późno. Za wszelką cenę i raz na zawsze. Jego milczenie albo moje przyjemności.

Jest piąta rano, kiedy wsiadamy do samochodu: Bobby, D'Amour, Harry i ja. Jest niedziela i ulice są puste, pokryte szarym śniegiem. Wstaje dzień, rzucając na miasto brudne i blade światło. Jest zimno i jedziemy w milczeniu, myśląc o tym, co za chwilę zrobimy.

Dom Petera położony jest poza miastem, prawie na wsi. To betonowy sześcian pośrodku trawnika, typowy prefabrykowany domek bez duszy. Jego czerwona corvette zaparkowana jest przed drzwiami. Żaluzje są opuszczone.

Bobby zatrzymuje się przed wejściem i wyciąga strzelbę, którą ukrywa pod płaszczem. Następnie przyczajamy się każdy po jednej stronie drzwi, a D'Amour długo naciska dzwonek. Żadnej reakcji. Dzwoni jeszcze raz i wali pięścią w drzwi. Peter to nocny marek i jest mało prawdopodobne, by już wstał.

Po paru chwilach za drzwiami słysząc jakieś szuranie.

— Kto tam?

Poznaję jego głos, ochrypli z niewyspania.

— D'Amour. Otwórz, muszę z tobą pogadać.

— O tej porze?

Z jego głosu przebija nieufność.

— Tak. Mam rozwiązanie, jeśli chodzi o pieniądze. Załatwimy to. Ta mała wojna nie ma sensu. Nie mam ochoty, żeby ktoś się do mnie dobrał.

Słysząc odsuwanie zasuw i Peter uchyla drzwi.

— I dopiero teraz masz...

Nie ma czasu dokończyć. Bobby rzuca się na drzwi całym ciężarem i otwiera je potężnym pchnięciem, odrzucając Petera w tył. Wszyscy wpadamy do środka.

Harry chwycił już Petera za włosy i unieruchomił na łóżku ciosem kolana w brzuch, kiedy nagle pojawiają się dwa szczekające psy, dwa wielkie, agresywne dogi.

Wyciągam rewolwer jednocześnie z Bobbym, który odwraca się na pięcie i celuje w psy.

— Nie! Nie są niebezpieczne!

To krzyknął dealer, wyrywający się z uścisku Harry'ego.

— Nie, nie zabijajcie ich!

— Więc je ucisz!

— Cicho, leżeć!

Oba psy niechętnie wycofują się na korytarz, a D'Amour szybko zamyka za nimi drzwi.

— Czego ode mnie chcecie?

Jeszcze nie całkiem rozbudzony wygląda żałośnie w swojej niebieskiej piżamie, rozczochrany, próbując wstać. Bobby podchodzi do niego i wali kolbą prosto w twarz, co odrzuca mu głowę na ścianę, po czym poprawia serią uderzeń dłonią, które rozkrwawiają Peterowi wargi.

— Więc jak, zamkniesz ten swój dziób, bastard...

Krew trysnęła na białą koszulę Bobby'ego, plamiąc mu smoking.

— Ty Świnio!

Podnosi pięść nad głowę i rozkwasza Peterowi nos.

— Dość.

Zdejmuję z wieszaka płaszcz Petera i rzucam mu go.

— Wkładaj to. Jedziesz z nami.

Patrzy na mnie nie rozumiejąc, przerażony. Wszystko rozegrało się zbyt szybko dla niego, a bolący, złamany nos nie sprzyja jasnemu myśleniu.

— Wydałeś nas, asshole! To nieładnie. Wiesz, co cię czeka. No, jazda, wkładaj to, zabieramy cię na „przejażdżkę”.

D'Amour sprawdza, czy na ulicy nikogo nie ma. Otępiały Peter wkłada płaszcz, po czym Harry wypycha go na zewnątrz. Kiedy przekraczamy próg, Peter wreszcie zdaje sobie sprawę z tego, na co się zanosi.

Chwyta się rozpaczliwie framugi drzwi. Bobby łapie go i wrzuca do samochodu. Wszystko odbywa się bardzo szybko i nikt niczego nie zauważył.

Siedzę obok D'Amoura, który prowadzi. Jadący z tyłu Bobby rzucił Petera na ziemię i brutalnie wciska mu lufę strzelby w usta.

Jedziemy szybko w kierunku małego lasu, o kilkanaście kilometrów stąd. Peter, przerażony i nieruchomy, patrzy w lufę wychodzącymi z orbit oczyma. Po jego twarzy spływa krew, cieknąca z rozbitych warg. Nikt nic nie mówi.

Samochód trzęsie się jakiś czas na leśnej drodze, po czym D'Amour wyłącza silnik.

— Wyłaź!

Bobby podnosi Petera za włosy i wyrzuca go w śnieg.

— Na kolana, son of a bitch!

Mierzy do niego ze strzelby.

Jest przejmująco zimno. Stojąc boso w śniegu, w samej tylko piżamie, nasz dealer trzęsie się z zimna. Płaszcz zsunął mu się z ramion. Peter jest tak spięty, że nie jest w stanie narzucić go na siebie. Pod wpływem strachu

wybalusza oczy i nie może wykrztusić słowa. Lodowaty wiatr sprawił, że krew i łzy na jego twarzy błyskawicznie zamarły. Peter konwulsyjnie szczyka zębami.

— Słuchaj mnie, bastard. Dlaczego opowiadasz, że jesteśmy oszustami? Jak mogłeś sobie wyobrażać, że pozwolimy ci mówić? Twoja działka to kokaina, nasza to hazard. Wydałeś nas, to nieładnie... Więc musisz umrzeć.

Wszyscy podeszli bliżej i przyglądają mu się w milczeniu.

— Wierzysz w Boga?

Pytanie nie dotarło do jego świadomości, która pracuje na zwolnionych obrotach w wyniku działania strachu i zimna. Powtarzam:

— Wierzysz w Boga, Peter?

Kiwa głową, stracił już wszelką nadzieję.

— Więc się pomódl, to ostatnia okazja. Daję ci dwie minuty.

Trzęsie się coraz bardziej. Całe jego ciało wstrząsane jest drgawkami.

— Żegnaj, Peter!

Kiedy lufa dotyka jego skroni, pada na śnieg bez czucia, straciwszy przytomność ze strachu. To wystarczy. Nie jestem mordercą. Wiem, że lekcja nie pójdzie na marne. Podchodzę do niego i w moje nozdrza uderza smród gówna. Ta Świnia zrobiła pod siebie i wielka brązowa plama widnieje na spodniach jego pizamy. Następuje chwila ogólnego wahania, bo nikt się nie pali, żeby podnieść go z ziemi i wsadzić do samochodu.

— Może zostawimy go tutaj? — sugeruje Louie D'Amour, któremu śpieszno do domu.

— Nie, zdechnie tu.

— Najlepiej go wykończyć — proponuje Bobby, zwolennik łatwych rozwiązań.

— Nie, Bobby, nie zabija się kogoś za to, że zesrał się w portki. Harry, obudź go.

Zatykając sobie nos jedną ręką Harry klepie Petera po twarzy i wkrótce udaje mu się go ocucić.

— Zdejmuj spodnie — mówię mu.

Patrzy na mnie bezmyślnie, nie rozumiejąc.

— Wyskakuj z gaci, asshole, nie będziemy tu stali cały dzień.

Posłusznie robi, co mu każe, podskakując na jednej nodze, ze wzrokiem wbitym w przestrzeń. Wygląda, jakby nie czuł już zimna. Na całym ciele ma

błękitne plamy. Harry owija go starym, umazanym smarem płótnem po krisznach, które leżało w samochodzie.

— Peter, zostawiam cię przy życiu tylko po to, żebyś mógł odkupić swoje kretynizmy. Nie rób tego samego błędu drugi raz. Nie będziesz miał drugiej szansy — zapowiadam mu, odwożąc go do domu.

Lekcja odniosła skutek. Trzy dni później ucieka wyjeżdżając z miasta. Faceci, którzy widzieli go przed wyjazdem, mówili mi, że nagle się postarzał. Ale zło już się dokonało.

Minął niecały tydzień i odzyskałem spokojny sen, kiedy przy stole do pokera wybucha awantura. Stary wrak, jak go nazywa Igor, znowu przyszedł dziś wieczorem. To starszy facet, średniego wzrostu, z wystającym spod blezera brzuchem, po prostu dyskretny stary rentier, ale działa mi na nerwy. Zabiera miejsce graczy, którzy mogliby przegrywać większe sumy.

Ten facet przeszkadza mi w zarabianiu, ale nie mogę mu zabronić siadania przy stole. Ażeby nie odstraszać frajerów, nie mogę też ustalić zbyt wysokiej stawki minimalnej.

Wielu spośród obecnych siada z zamiarem zaryzykowania najwyżej stu dolarów, a potem, po nitce do kłębka, usiłując się odegrać, w ciągu jednego tygodnia przegrywają oszczędności całego pracowitego życia.

Ale z tym starym rentierem to nie działa. Kiedy tylko przegrał swoje dwieście dolarów, wstaje. Gdyby przegrywał je w ciągu dziesięciu minut, byłoby to opłacalne, ale stary wrak godzinami pilnuje swoich pieniędzy. Czasem nawet pozwala sobie na luksus wygranej, bo jego ostrożność jest tak wielka, że udaje mu się uniknąć spreparowanych rozdań i wygrać niewielkie pule. A kiedy uda mu się wygrać, ucieka jak złodziej, nie dając nam czasu na odebranie mu łupu. Po prostu skurwiel, no!

Dzisiejszego wieczoru dwie osoby czekają, by zająć miejsce kogoś wychodzącego; stary wrak, który przyszedł pierwszy, i inny facet, grający o większe stawki. Kiedy miejsce się zwalnia, D'Amour wskazuje na tego drugiego.

— Pana kolej.

Facet nie każe sobie dwa razy powtarzać. Siada za stołem i partia odbywa się dalej. Zaskoczony i oburzony staruch zaczyna mamrotać, że to nie fair, że był tu pierwszy i że kpimy sobie z niego. Następnie, jako że nikt nie zwraca na niego uwagi, nabiera śmiałości:

— Zresztą nic dziwnego. Jak słychać, nie przejmujecie się zbytnio regułami gry...

Nikt nie reaguje i ten pierdoła bierze to za słabość. Patrzy na Louiego z krzywym uśmiechem i rzuca:

— Śmierdzi przy tym stole. Pachnie oszustem!

Mówi to cicho, ale wszyscy słyszeli. Grający patrzą po sobie. Fatalne słowo padło, muszę powstrzymać starego wraka. To przez tego skurwysyna Petera! Kładę karty na stole.

— Wytłumacz, o co ci chodzi.

— Nie, o nic. Już ja wiem.

— Wytłumacz nam. Jeśli coś wiesz, to powiedz. Nie poczuwam się do żadnej winy, ale lubię wiedzieć, z kim gram.

Wszyscy przerwali grę i zwracają się ku niemu. Zapada śmiertelna cisza.

— Nie musicie tak na mnie patrzeć. Wiem, co mówię.

— Nie jestem tego pewien. To bardzo poważna sprawa: oskarżasz moich gości.

Jednym ruchem obejmuję cały stół, szulerów i frajerów razem.

— Nie dajesz żadnych dowodów ani nazwisk i odmawiasz wyjaśnień. To zwykły brak szacunku. Przypuśćmy, że jesteś dzisiaj w złym humorze, albo że za dużo wypiełeś. Dlatego prosiłbym, żebyś opuścił klub na dzisiejszy wieczór.

Robię ruch w stronę Bobby'ego, który stoi przy drzwiach.

— Bobby, odprowadź pana.

Bobby Thompson z uśmiechem, delikatnie, ujmując go pod rękę, nie zważając na jego protesty. Zamykają się za nimi drzwi.

— Panowie, proszę wybaczyć ten nieprzyjemny incydent. Niektórzy nie umieją się zachować, bardzo mi przykro z tego powodu.

Frajerzy przyjęli całe zajście z uśmiechem, a jeden z nich, któremu Bananas właśnie sprzątnął przed nosa okrągłą sumkę za pomocą podmienionych kart, puka się palcem w skroń.

— To stary wariat. Dobrze zrobiłeś, wyrzucając go za drzwi.

Na twarze wracają uśmiechy i partia zostaje podjęta na nowo, urozmaicana żartami na temat starego durnia, kiedy przybiega Ginger i szepcze mi do ucha:

— Cizia, Bobby morduje jakiegoś faceta, chodź szybko.

Podrywam się, za mną wybiega D'Amour. W korytarzu panuje amok. Bobby trzyma starego za szyję i wali jego głową o ścianę. Wrzeszczące i rozczochrane Jo i Roxanne, uwieszone u jego ramion, rozpaczliwie usiłują mu przeszkodzić. Oparty o ścianę Vic trzyma się oburącz za szczękę.

— Bobby!

Ryknąłem, ale on nie przestaje. Posyła mi szybkie spojrzenie, po czym na odlew wali Roxanne, która pada na ziemię.

— Bobby, stop!

Wyciągam trzydziestkęósemkę i celuję w korpus. Tym razem zatrzymuje się i puszcza starego, który powoli opada na ziemię, jak rozwalony pajac.

— Spokój, Bobby. Dziewczyny, wracajcie do środka. Vic, idź z powrotem do baru.

Jak zwykle czujny Haig już się do nas podkradł i nadchodzą inni, przyglądając się całej scenie. Nie potrzebuję świadków.

— D'Amour, zamknij te drzwi, do cholery!

Ciekawscy z ociąganiem wracają do klubu, a ja zwracam się do Bobby'ego, który nadal stoi nieruchomo.

— Co się stało, Bobby, zwariowałeś czy co?

Patrzy na mnie nic nie mówiąc. Nie podoba mi się jego wzrok.

— No już, wchodź.

Idzie powoli, krokiem jeszcze cięższym niż zazwyczaj. Porachujemy się później. Na razie trzeba zająć się starym wrakiem, który nigdy tak bardzo nie zasługiwał na swoje przezwisko. Jest nieźle urządzony. Okulary ma połamane, oko już niebieskofioletowe, krwawi z nosa, a w czoło powbijały mu się odłamki szkła.

Potrzebuję paru minut, by przy pomocy Ginger, która przyniosła mokre ręczniki, wydobyć go z głębokiego nokautu. Jego pierwszym odruchem jest podnieść okulary i założyć je. Jedno ze szkieł jest pęknięte, ramię oprawki zostało wygięte i zwisa zaczepione o ucho. Komiczny efekt, jaki to tworzy, oddramatyzowuje sytuację.

Łagodnie klepię go po szyi i mówię:

— I co, staruszkule, przerzuciłeś się teraz na boks?

— Zostaw mnie w spokoju, Cizia.

Biorę go przyjaźnie pod ramię.

— No, nic się nie stało, nadal jesteś przy życiu.

Gwałtownym gestem oswobadza się.

— Daj mi spokój!

— No, uspokój się. Chodź, dam ci coś na wzmocnienie.

— Na pewno nie!

Z trudem wstaje.

— Chcesz, żeby D'Amour cię odwiózł?

Odwraca się i rzuca mi nienawistne spojrzenie poprzez potłuczone szkła.

— Żeby mnie spokojnie wykończyć, co? Morderca!

Patrzę, jak odchodzi w kierunku windy, na trzęsących się starych nogach, ocierając chustką krew ściekającą mu po twarzy. Ten kretyn pewnie sobie wyobraża, że to ja kazałem Bobby'emu go rozwalić, i musi mnie nienawidzić. Zamyślony wracam do klubu.

Taki stary ramol zdolny byłby nasłać mi tu gliny, żeby się zemścić. W klubie wszyscy głośno komentują zajście. Haig, szczęśliwy, mogąc występować w roli gwiazdy, opowiada każdemu, kto chce go słuchać, o wszystkim, co zobaczył. Kiedy wchodzę, wszyscy milkną i kierują na mnie pytające spojrzenia.

— Co robimy? — pyta D'Amour.

Lepiej zamknąć klub na dzisiaj, na wszelki wypadek.

Kurczę! Myślisz, że tamten może nam bruździć?

— To byłoby w jego stylu. Lepiej nie ryzykować. Vic, wyprowadź wszystkich, zamykamy.

Nadal trzyma się za szcękę, ale potakuje, jeszcze bardziej zaniepokojony niż ja. Dopóki wszystko szło dobrze, myślał tylko o pieniądzach, które spadały mu z nieba co wieczór, i mój pomysł wydawał mu się cudowny. Ale przy pierwszych kłopotach wraca na ziemię i ogarnia go panika.

Klienci wychodzą w milczeniu. Niektórzy patrzą na mnie dziwnie, i jestem pewien, że ci, którzy widzieli zajście przy stole, myślą to samo, co stary wrak. Trudno, nic na to nie poradzę. Przywołuję Bobby'ego, który nadal nie powiedział słowa.

— Dam ci, ile ci jestem winien. Ty też odchodzisz.

Jego czarne spojrzenie robi się jeszcze bardziej wrogie. Nie rozumie mnie, tak samo, jak nie zrozumiał mojej reakcji na korytarzu. Nie podobało mu się, że w niego celowałem i między nami nie może już być zgody. Jak mu wytłumaczyć, że jego postępek budzi moje obrzydzenie? Dla niego bić tego

czy tamtego, to wszystko jedno. Odczuł moją reakcję na korytarzu jako głęboko niesprawiedliwą. To prosty człowiek, zdolny do wierności, ale szybko popadający w nienawiść, jeśli uzna, że go zdradzono.

Ja potrzebuję kogoś, do kogo mógłbym mieć pełne zaufanie i kto będzie wykonywał polecenia bez zadawania pytań. Wtedy na korytarzu wyczułem odruch buntu, więc musimy się rozstać. Bobby stał się teraz raczej zagrożeniem niż ochroną. Kiedy mu płacę, czuję jego urazę. To już nie kumpel, nie pracownik, ale wróg.

— Nie śpisz?

Zaniepokojona Ginger podnosi się na łokciu.

— Co się stało?

— Nie wiem. Nic, śpij.

Wstaje i podchodzi do mnie.

— Już od godziny chodzisz w kółko po mieszkaniu. Nie możesz zasnąć, może zrobię ci kąpiel?

— Miła jesteś, z przyjemnością.

I z powrotem pogrążam się w swoich myślach. Od kiedy wróciliśmy do domu, po zamknięciu klubu, nie mogę spać. Coś tu jest nie tak. Coś nieokreślonego, co nie daje mi spokoju.

Ginger wraca, robi mi kawę, masuje mi ramiona. Ale nadal jest niedobrze. Ostatnie słowo starego wraka chodzi mi po głowie: Morderca!

Dlaczego? Nie jestem mordercą, nikogo nie zabiłem. Jak dotąd zawsze posługiwałem się psychologią opartą na zastraszaniu, mocnej presji i słownej przemocy. Pod wpływem moich gróźb dłużnicy płacili, było to skuteczniejsze od uderzeń. W tej okrutnej komedii częściej straszyłem, niż biłem. Wyrobiłem sobie reputację groźnego gangstera nikogo nie zabijając i jestem z tego dumny.

Więc dlaczego morderca?

Bo powoli nim się staję!

Nie mogę dłużej iść tą drogą i grać mojej roli, jeśli nie chcę, by pewnego dnia wydarzyło się to nieodwracalne. Kilka dni temu, kiedy załatwialiśmy sprawę Petera, gdybym powiedział: „zabić go”, wszyscy by potaknęli i wykończyli tę szmatę bez cienia skrupułów. Nawet Louie D'Amour, który nienawidził przemocy.

To prawda, że nikogo nie zabiłem, że nigdy nikomu nie odebrałem życia w dosłownym sensie. Ale były ofiary, wiele ofiar, które moralnie już nigdy nie dojdą do siebie.

Ogarniają mnie wspomnienia, sceny ściągania długów. Stają mi przed oczami zakrwawione twarze o przerażonym wzroku. Ale nie mam do czynienia z przedszkolakami ani z uczciwymi rentierami. Świat, w którym żyję, to świat twardy; żeby w nim przeżyć, ja muszę być jeszcze twardszy.

To sprawa wyboru. Rozpoczynając tę przygodę zgodziłem się na stosowanie przemocy od samego początku. Kiedy wziąłem się za ściąganie długów, wiedziałem, dokąd zmierzam. Ale mogłem łagodzić stosowane brutalne środki, zamiast je potęgować. Nie zmieniając samej metody, mogłem uniknąć zadania wielu niepotrzebnych ciosów, tymczasem za bardzo zależało mi na zachowaniu pewnego stylu.

Kiedy zaczynałem, chodziło mi przede wszystkim o to, by dobrze się zabawić. Parodiować gangsterów z mafii, wymyślić nową postać, manipulować ludźmi bez ich wiedzy jak pionkami na szachownicy, imponować szpanem, nie mając niczego poza tupetem i oportunizmem, wszystko to nieźle mnie bawiło. Ale w końcu zacząłem się brać serio! Straciłem z oczu komiczny aspekt sytuacji. Nawet mnie to już nie bawiło. Chciałem wszystko zrobić dokładnie i stałem się biznesmenem bandytyzmu, którego celem jest zwiększać wydajność.

To przecież nie jestem ja! W duchu nie jestem gangsterem. Mnie potrzebny jest tylko dreszczyk. A jakie podniety może mi oferować to miasto, poza tego rodzaju przygodą? Dla mnie w miejskim świecie nie ma alternatywy.

W tym mieście nie mam już nic do roboty.

Dziś wieczór coś otworzyło się we mnie i chodzę tam i z powrotem po mieszkaniu, szukając rozwiązania. Patrę przez okno, robię trzy kroki aż do łazienki, wracam. Wykończona Ginger zasnęła, przygotowawszy moją kąpiel.

Połykam środek nasenny, ale po godzinie budzę się, czuję się źle, przez głowę przelatuje mi nawałnica myśli.

Jest niedobrze.

Dzień zaczyna się powoli, zbyt powoli. Nudzę się. Jest mi źle.

— Pójdziemy na spacer? — proponuje Ginger, nie wiedząc już, co robić. — Chcesz, żebym zadzwoniła po D'Amoura? Mogę prowadzić, jeśli chcesz.

Nawet nasza limuzyna nie pociąga mnie już. To już nie luksusowa zabawka, symbol mojej potęgi, ale złota klatka, w której nie mam ochoty się zamykać.

Dzień wlecze się bez końca. Czas oczekiwania na wieczór, porę gry w moim luksusowym klubie, nie smakuje już tak jak dawniej. Jak błyskawice przebiegają mi przez głowę różne myśli, historyjki, twarze.

Toteż dziś wieczór niemal z ulgą przyjmuję moich ulubieńców.

— Policja! Nie ruszać się!

Jeden z facetów siedzących przy barze z kieliszkiem w ręku, podobnie jak dziesiątki innych klientów, których nie znam, wstaje nagle wyciągając policyjną odznakę. Drugi zwraca się do Vica Costello, stojącego za barem.

— Ty! Otwieraj drzwi, szybko!

Sparaliżowany strachem Vic nie rusza się. Jest blady i potrafi tylko wybełkotać:

— Ale co... ja...

Zdenerwowany gliniarz wyciąga rękę ponad ladą i chwyta go za koszulę.

— Otwieraj, mówię ci, szybko!

Drżący Vic naciska guzik. Tłum gliniarzy czekający za drzwiami natychmiast wpada na salę. Skorzystałem z chwili wahania Vica, by powoli, cofając się, wmieszać się w zaskoczony tłumek klientów, którzy dopiero zaczynają reagować i wycofywać się w głąb sali.

Po drodze pociągam za sobą D'Amoura, który stoi jak skamieniały.

— Tędy, na schody pożarowe. I na dach. Szybko!

Gliniarze, onieśmieleni przepychem wnętrza, nie od razu rozbiegają się po sali. Wykorzystujemy to, by dobiec do okna, nisko pochyleni, kryjąc się za gęstym już tłumem, który się cofa.

Przez kilka sekund walczę z oknem, które nie chce się otworzyć. Do jasnej cholery! Mniejsza o dyskrecję! Dwoma kopniakami rozwalam szybę w drobny mak.

D'Amour przełazi przez parapet, za nim Ginger, która zdjęła buty na szpilkach i trzyma je w ręku.

— Hej, wy tam! Stać!

Zauważył nas jakiś gliniarz. Wrzeszcząc, by przekrzyczeć przerażone kobiety, przepycha się przez tłum. To daje sygnał do ogólnej paniki.

Jestem już na zewnątrz. Lodowaty wiatr zapiera mi dech. Biegnę po zaśnieżonym dachu sąsiedniego wieżowca. Na końcu jest druga platforma, o trzy metry niżej.

Klepię w plecy D'Amoura, który waha się przed skokiem. Śnieg amortyzuje upadek.

— Szybko, partner, to naprawdę nie pora, żeby nas zgarnęli.

Ginger, która wyrzuciła swoje buty, jest już na schodach pożarowych. Pół biegnąc, pół ześlizgując się pędzimy w dół po schodach w piekielnym hałasie.

Za mną słychać krzyki i metaliczne uderzenia, schody całe się trzęsą, najwyraźniej inni poszli w nasze ślady. Potykam się i przytrzymuję oblodzonej poręczy.

Ostatni odcinek schodów jest podniesiony. Ginger usiłuje odbezpieczyć zamrożoną blokadę.

— Nie ma czasu, skacz!

Prześlizguję się pod poręczą, zawisam na rękach i ciężko skaczę na ulicę. Po krótkim wahaniu Louie i Ginger skaczą również.

Uliczka jest pusta. Nikt nie pomyślał, żeby zablokować — ani nawet pilnować tylnego wyjścia. Ostatnie spojrzenie na dach wieżowca, gdzie jakiś gliniarz w mundurze krzyczy do nas, żebyśmy się zatrzymali, i biegniemy.

Przede mną Ginger biegnie boso po śniegu. Jeszcze dwie minuty i siedzimy w ciepłej limuzynie.

EPILOG

Przygoda skończona. Podjąłem taką decyzję jeszcze tego samego wieczoru, po przyjeździe do mieszkania Ginger. Donosząc na mnie stary wrak rozwiązał jednocześnie mój problem. Nie mam już klubu i nie mam ochoty otwierać nowego. Pojadę gdzieś na słońce.

Tej nocy śpię spokojnie. Po raz pierwszy od dawna pozwalam sobie na długi, relaksowy poranek w łóżku. Koniec zmartwień, zaczyna się nowy rozdział. Leniuchuję polegając, marząc o dalekich krajach, gdzie z całą pewnością czeka na mnie słońce.

Robię remanent mojej garderoby, pogwizdując, szczęśliwy, bez żadnych ukrytych myśli. To będzie dla biednych, to biorę... Wybieram parę garniturów i rzucam je na łóżko. Smokingi? Nie, tam, dokąd jadę, nie będą potrzebne. Buty też nie, w każdym razie nie aż tyle. Idę parę razy do łazienki, żeby pozbierać moje przybory.

Patrzę na siebie w lustrze, dobrze wyglądam, jestem szczęśliwy!

— Ginger, jest tutaj Armia Zbawienia? Oddasz im to wszystko — mówię, wskazując na pełne szafy.

Nie zadaje pytań, zrozumiała już i smutnym wzrokiem patrzy, jak krzątam się po pokoju. Biedna Ginger! Nic na to nie poradzę, życie musi toczyć się dalej, a ja już jestem gdzie indziej, w samolocie, na słonecznej plaży, daleko.

Przyglądam się rzeczom zgromadzonym na łóżku. Nigdy w życiu nie nosiłem walizek i nie będę teraz zaczynał. Robię szybką selekcję, odrzucając część koszul, aż w końcu wychodzi na to, że nie potrzebuję niczego. Wszystko tutaj należy do przeszłości.

Wyrzucam wszystko i do małej skórzanej torby wkładam dzinsy, koszulę i szczoteczkę do zębów.

Zamykam na klucz w szufladzie moją trzydziestkęósemkę i kaburę. Nie potrzebuję już tego. Cizia mafioso, morderca i oszust, z tym wszystkim koniec! Moja kanadyjska przygoda przybrała teraz kształt zwoju banknotów, który mam w kieszeni.

Jeszcze tylko muszę odebrać paszport z biura imigracyjnego, kupić bilet na pierwszy samolot odlatujący na południe i jutro będę już czuł się zupełnie dobrze.

Późnym popołudniem spotykam się z D'Amourem w Maxwell's Plum. Wygląda na przybitego, ale czeka na moje nadejście, jakbym był samym Mesjaszem. Uśmiecham się do niego promiennie, co podnosi go na duchu.

— To co robimy?

— Co będziesz chciał. Jeśli chodzi o mnie, to wszystko skończone.

— Na miłość boską, co ty mówisz?

— Koniec z Toronto, koniec z booze-can. Mam już tego dosyć, zabieram się do czego innego.

— Ale partner...

— Nie ma już partnera, stary...

Odsuwam połą marynarki i pokazuję mu puste miejsce po kaburze.

— Wycofuję się z gry. E finita la commedia! Jestem zmęczony i mam tego dość. Ciągłe wszystko tak samo. Mam ochotę na słońce i morze.

— To co, już nie będzie wspólnych partyjek, nie będzie frajerów ani wygłupów?

Patrzy na mnie smutny jak dziecko, któremu powiedziano, że w tym roku Boże Narodzenie zostało odwołane.

— Tego nie powiedziałem. Tylko że mam już powyżej uszu Toronto i booze-can! Chcę pojechać do Miami. Daj mi trochę czasu, żebym zdążył się urządzić, a sprowadzę cię do skubania najbogatszych frajerów twojego życia.

Rzucam mu drugie kluczyki od limuzyny.

— Oddaję ci twój samochód, nie wszystko straciłeś.

Z mety odzyskuje uśmiech i patrzy na moje odejście innymi oczyma. Jednak Louie D'Amour nigdy się nie zmieni!

Dziś wieczór spotykamy się wszyscy po raz ostatni. To apoteoza, szampan płynie strumieniem. Dookoła stołu siedzą aktorzy ostatnich miesięcy, którzy wyszli na scenę przed ostatecznym zapadnięciem kurtyny.

Oprócz najbliższych, przyłączają się do nas liczni znajomi, stali bywalcy Maxwell's Plum. Większość to dziewczyny, same przyjaciółki, jedna piękniejsza od drugiej. Miałem je wszystkie, kochanki jednej nocy, partnerki szybkiego tete a tete między dwiema partiami pokera. Na próżno przebiegam

wzrokiem salę szukając nowej twarzy, z zadowoleniem stwierdzam, że lepszego wyniku nie mogłem już osiągnąć.

Pomiędzy jednym kieliszkiem szampana a drugim melancholijnym gestem gładzę kilka tyłeczków, podczas gdy dookoła zabawa wre. Igor i Louie D'Amour, porządnie już wstawieni, kłócą się o kolejkę z Rosjaninem, któremu zależało na udziale w uroczystości. Najwyraźniej udało mu się poprawić sytuację finansową, dzięki czemu stać go na powrót do korzeni i zafundowanie nam wielkiego przedstawienia. Jak wielki pan pije po kozacku, i każdemu z jego toastów towarzyszy brzęk tłuczonego kryształu, ku rozpaczy Sama, naszego maitre d'hotel, który, choć przyzwyczajony do moich ekscesów, niechętnie znosi je u innych. Ale za nic w świecie nie chciałby psuć mojej ostatniej zabawy, toteż kiedy Rosjanin chwycił za topór pożarniczy, by ściąć szyjkę butelki szampana w wielkim stylu, Sam nie interweniuje.

Siedzący koło mnie Paolo stara się okazać wielką klasę. Wąsik zdobywcy, sygnety na każdym palcu, fioletowy garnitur o wywatowanych ramionach, wszystko to ma pomóc mu w wykonaniu jedyne niemożliwego zadania dzisiejszego wieczoru: poderwaniu Jo i Roxanne, które podejmują grę i wyją ze śmiechu przy każdym z jego wygłupów. Od czasu do czasu Paolo posyła mi pewne siebie i porozumiewawcze mrugnięcie, które wzmacnia jeszcze ataki śmiechu jego „ofiar”.

Po raz pierwszy Bananas wypada z roli poczciwego ojca rodziny i, jak zwykle ubrany w swój stary, niemodny garnitur, wysuwa nieśmiało rękę w kierunku kobiecych krągłości, których nie brak dookoła stołu.

Tylko Ginger, siedząca przy barze, zachowuje milczenie. Ona, zazwyczaj tak wesółą, nie uczestniczy w ogólnej euforii. Siedzi naprzeciw mnie i nie spuszcza ze mnie wzroku. Kiedy oczy nasze spotykają się, usiłuje się uśmiechnąć smutnym uśmiechem, który sprawia, że jest jeszcze ładniejsza. Zresztą nigdy nie wyglądała tak pięknie. Jej ciało o doskonałych kształtach przyobleczone jest w suknię o żywych kolorach. W uszach dźwięczy mi kryształowe brzmienie jej śmiechu. W tej chwili mam ochotę zapomnieć o wszystkich, objąć ją ramionami, bez słowa, poczuć jej pachnące kręcone włosy na moim policzku.

Przez trzy miesiące była dla mnie idealną towarzyszką. Cudowna w łóżku, doskonała w każdych okolicznościach, wesółą albo cichą zależnie od mojego humoru, który odgadywała instynktownie. Jest jedną z niewielu osób,

dla których kochać to przede wszystkim dawać. Nigdy nie odmawiała mi swojej troskliwości, swego śmiechu i swego dziecinnego podziwu, zawsze dostosowywała się do mojego nastroju. Żadnej zazdrości, żadnych wymówek.

Mnie też jest smutno, ale powstrzymuję chęć pocieszenia jej jedynymi słowami, jakie pragnęłaby usłyszeć. Nie chcę mieć jej czułością, która szybko przerodziłaby się w hipokryzję.

Jutro wyjeżdżam i pomimo wszystkich jej zalet jest wykluczone, bym wziął ją ze sobą. Jestem samotnikiem poszukującym przygód, i wolność cenię przede wszystkim. To moje życie.

Żeby pozbyć się nadmiaru smutku, jaki mnie ogarnia, jest tylko jedno wyjście: zabawa i dużo kokainy. Cały mój zapas musi zostać zużyty. Jest dopiero druga, noc jest jeszcze młoda.

— Gin, daj mi kluczyki. Pojadę do domu po paczuszkę. D'Amour, pojedź ze mną swoim nowym samochodem!

Szampan i kokaina zdrowo nas zmęczyły i idziemy z trudem. Potem samochód zygzakiem jedzie przez puste ulice.

— Pójdę z tobą na górę — mówi D'Amour, mozolnie parkując wóz wzdłuż chodnika. — Mogę chyba przynajmniej raz zobaczyć miejsce twoich wyczynów!

Nigdy nie pozwoliłem mu przyjść do Ginger, choć prosił o to wiele razy. Nie można dzielić się wszystkim, a poza tym bawiła mnie jego przepojona zazdrością mina, kiedy opowiadałem mu o moich popołudniach.

— OK, jeśli uda ci się wejść po schodach.

Z trudem i hałasem pokonujemy schody, prowadzące na pierwsze piętro. Nie jestem w stanie znaleźć wyłącznika światła i z trudnością wkładam klucz do zamka. Mieszkanie pogrążone jest w ciemności. Macam po ścianie, żeby zapalić, kiedy w moje nozdrza wpada nieznany zapach, kwaśny zapach potu, niezwykły w tym miejscu, zawsze tak czystym. Robię parę kroków i zapalam światło.

Pierwsze uderzenie dostaję w podstawę czaszki, co sprawia, że lecę do przodu. Dwaj Murzyni, uzbrojeni w baseballowe kije, przyjmują mnie potężnym ciosem w brzuch. Potem uderzenia padają ze wszystkich stron, na głowę, ramiona, plecy. Z tyłu słyszę wrzask Louiego. Bronię się nogami i łokciami, oślepia mnie spływająca po twarzy krew. Pod moją pięścią trzeszczą kości, słyszę, jak ktoś wyje z bólu.

W mózgu kołacze mi jedna myśl: uciec z tej pułapki, zanim upadnę. Rzucam się na wprost, rozwalając wszystko, co napotykam. Zatrzymuje mnie w miejscu uderzenie prosto w mordę i padam, pociągając za sobą napastnika.

Wstaję, cios w lewo, cios w prawo i jestem już na zewnątrz. Ostatnim wysiłkiem rzucam się w dół po schodach, zwinięty w kłębek, i staczam aż na sam dół, słysząc, jak biegną za mną moi prześladowcy. Moje nogi same biegną, niosąc mnie gdzieś przed siebie.

W podświadomości kołacze się tylko jedna myśl: uciekać! Bieg na oślep prowadzi mnie na ulicę, i w tym właśnie momencie zatrzymuje się przede mną z piskiem opon jakiś samochód, otwierają się drzwi:

— Cizia, szybko!

To głos Louiego. Krew zalewa mi oczy i nie rozpoznałem naszego lincolna. Daję nura do samochodu, który rusza na pełnym gazie katując opony w chwili, gdy czarni wybiegają na chodnik.

— Cizia, umieram.

D'Amour ostrożnie pomacał sobie głowę i z przerażeniem patrzy na swoje okrwawione palce, zapominając o prowadzeniu lincolna.

Opadłem na siedzenie. Drzę nerwowo na całym ciele i czuję, jak powoli pograżam się w ciemnej otchłani. Z ustami pełnymi krwi bełkoczę:

— Jedź do szpitala na końcu alei. Pójdziemy do lekarza.

— Nie! Chcę jechać do szpitala katolickiego. Umieram. Chcę zobaczyć się z księdzem.

Denerwuje mnie. Chcę mu powiedzieć, żeby przestał się wygłupiać, ale mówienie jest ponad moje siły.

— Jeżeli zraniłeś kogoś, to właśnie tam pójda! Trzeba jechać do szpitala katolickiego.

Jego głos dobiega mnie z oddali. Rozpaczliwie czepiam się małego, odległego światełka, żeby nie stracić przytomności. Boli mnie wszystko.

W szpitalu zdziwieni, choć przecież zblazowani pielęgniarze pomagają mi wysiąść z samochodu i kładą mnie na jakiejś ławce. D'Amour, przekonany, że nadeszła jego ostatnia godzina, cicho pojękuje. Krew spływa mi do gardła i dusi mnie, i między dwoma atakami kaszlu słyszę, jak w głowie dźwięczy mi mój własny głos, dziwnie spokojny i daleki.

— Spokojnie... opatrzą nas tu... potem tam wrócimy... rozwalimy im łby... nie ma sprawy...

Patrzy na mnie przerażony. Jego twarz tańczy mi przed oczyma.

— Ale ja umieram!

— Ależ skąd... Wszystko rozwalimy... już niedługo... nie ma sprawy...

Jęczy przeciągle.

— Zwariowałeś, nie wiesz, w jakim jesteś stanie?

Pielęgniarki wracają i zabierają nas do izby przyjęć. Po drodze mogę się przejrzeć w lustrze. Pomimo zasłony, jaka wisi mi przed oczami, oceniam rozmiar szkód.

Moja twarz zamieniła się w krwawą maskę, widać żywe mięso, a z nosa została bezkształtna masa. W ustach, za porozrywanyimi wargami, czuję, jak ruszają się zęby. Ze zranionej głowy obficie leci krew. Boli mnie całe ciało. Tylko jedna rana przynosi mi zaszczyt, to okrwawione kostki na pięści.

Kiedy oddycham, ostre klucie przeszywa mi bok. Szyję mam unieruchomioną, a lewa ręka odmawia posłuszeństwa. Powoli pogrążam się we mgle.

Z odrętwienia wyrywa mnie pieczenie spirytusu na moich ranach.

— Proszę się nie ruszać — mówi do mnie pielęgniarka, dezynfekująca mi twarz. — Położymy pana do łóżka.

Z trudem wyrażam kategoriyczny sprzeciw. Przychodzi lekarz, zakłada mi kilka szwów na głowie i zszywa mi prawe ucho, którego dolny płat jest naderwany.

— Odmawia pan hospitalizacji?

— Tak, już w porządku.

Choć nogi mam jeszcze jak z waty, mózg zaczyna już funkcjonować normalnie. Czuję się już trochę lepiej.

— Jak to się stało?

— Już wszystko w porządku.

— To nie jest odpowiedź. Muszę spisać protokół.

Nalega i powoli mobilizuję swój umysł.

— Pobiliśmy się między sobą, ale już się pogodziliśmy.

— I zapewne wygrał ten mały chudy — odpowiada lekarz sarkastycznie. Potwierdzam skinieniem głowy, które przyplącam jękiem bólu.

— To w końcu pańska sprawa — mówi odchodząc.

Paskudnie mnie załatwili, ale mogę jeszcze utrzymać się na nogach. Wściekłość łagodzi skutki odniesionych ran. Każę się zawieźć do Chinatown,

gdzie Li–Han natychmiast proponuje mi schronienie i pomoc. Przerażony Harry przygląda mi się, oceniając szkody.

— Harry. Znajdź Ginger. Niech nie wraca do domu. Przywieź ją tu.

Zamiast ust mam galaretę. Wymawiam z trudnością.

— I wracaj. Mamy robotę. Weź trzydziestkęósemkę z mieszkania. Wracaj.

— OK... OK... Odpocznij.

Godzinę później rozumiem, że zemsta będzie musiała poczekać. Czuję jeden wielki ból. Potrzebuję co najmniej kilku dni, żeby się wylizać. Walczę z sennością, która ogarnia mnie powodując ogólne odrętwienie.

Po piętnastu minutach dociera do mnie, że zostałem znokautowany i ciężko ranny, i poddaję się.

Pierwsze dni były bardzo trudne. Ciało miałem unieruchomione, spałem ciężkim snem, który nie łagodził bólu, przeleżałem bez świadomości pełne czterdzieści osiem godzin.

Ocknąłem się świadomy, lecz bezsilny. Ginger całkowicie poświęciła się opiece nade mną, bez przerwy u mego boku, czujna i ofiarna. Próbowwała sprawić, bym przełknął jakieś papki, które podawała mi na łyżeczce. Nie mogłem tego znieść. Nie chciałem, żeby takie zachowała o mnie wspomnienie. Świadomość, że patrzyła na mnie tak całkowicie bezsilnego, doprowadzała mnie do szału. I do tego ten ciągły ból...

Odepchnąłem wszystkie jej starania. W tych paru słowach, które byłem w stanie wybełkotać, byłem agresywny i okrutny. Chciałem za wszelką cenę, żeby przestała się mną interesować. Poza tym tutaj nie była bezpieczna. Gdyby jeszcze i ją dopadli...

Wszystko szło źle, bardzo źle. Musiała odejść. Po dwóch dniach takiego traktowania ustąpiła. Kazałem dać jej dużo pieniędzy. Wyjechała na Tobago, swoją rodzinną wyspę. Tam będzie mogła odpocząć bezpiecznie. Kiedy odeszła, mogłem sobie pozwolić, by znowu stracić przytomność, mając główny kłopot z głowy.

I poprosiłem o opium.

To jedyny sposób, żeby znieść ostrożne przeciw masaż, które robi mi Yac–Minh. Przychodzi regularnie, by powoli rozluźnić moje mięśnie, które odmawiają mi posłuszeństwa. Pograżony jestem w półomdleniu, z którego co pewien czas raptownie się budzę. Niekiedy dookoła panuje ciemność,

rozświetlona jedynie małą lampką płonąca przed Buddą, niekiedy widzę pochylone nade mną twarze chińskich starców. Jak przez mgłę słyszę obok ich szwargotanie. Niekiedy dostrzegam twarz Yac–Minh, małej masażystki, która przygląda mi się zaniepokojona.

Wystarczy, bym wyciągnął rękę, by sięgnąć po kuleczkę opium. Sam ruch polegający na włożeniu jej do ust to już tortura. Jeszcze gorzej, kiedy trzeba ją połknąć, bo gardło muszę mieć spuchnięte, ale po paru minutach mała kuleczka odsyła mnie w ciemność.

Powoli wracam do życia. Każdy ruch sprawia, że jęczę z bólu, ale mogę już znieść czuwanie przez parę godzin dziennie.

Cały jestem posiniaczony i poraniony. Otrzymałem niezliczoną ilość uderzeń. Oddychanie sprawia mi ból. Na pewno mam kilka stłuczonych lub nadłamanych żeber. Gardło boli mnie, jakbym miał anginę, i nie mogę palić.

Uderzenie kija odłamało mi kawałki zębów, na dole z przodu.

O wargach lepiej nie mówić. One bolą najbardziej. Ale najtrudniejsze są rany cięte, zresztą powierzchowne. Ucho przecięło mi właśnie jakieś ostrze. Na piersiach i plecach mam liczne szramy.

Li–Han dokonał w mojej obecności przeglądu mego ubrania.

Wszystko jest pocięte. Rozpostarł przede mną porżnięte na kawałki futro i stwierdził fakt, który sam już zrozumiałem:

— Chcieli cię zabić, Cizia.

Chcieli mnie zwalić z nóg uderzeniami kijów, a potem spokojnie mnie pociąć. Miałem wiele szczęścia. Zawdzięczam je zapewne kokainie i instynktownemu pragnieniu życia, które dodały mi skrzydeł. Gdybym padł od ich uderzeń, oznaczałoby to pewną śmierć. To coś w rodzaju cudu, ale nadal żyję.

Te skurwysyny postanowiły mnie rozwalić!

Za każdym razem, kiedy przychodzi mi na myśl Isaac Jones, zalewa mnie nienawiść. To wściekłość bezsilna, rozpaczliwa. W stanie, w jakim teraz jestem, mogę się tylko złościć. Nie przeszkodzi to temu zasranemu alfonsowi spać spokojnie. Nic nie uleczy mojego wstydu. Dałem się podejść jak frajer czarnym zawistnym pimps. Zmusili mnie, żebym biegł, żebym zwiewał na oślep. Żebym uciekał! Ja, wielki kozak, dałem się załatwić.

I to przy mojej pozycji, kiedy już przekonałem całe miasto, że jestem najsilniejszy! Co za wstyd! I moi pracownicy, Li-Han, Harry, Yac-Minh, widzą mnie w takim stanie!

Myślę tylko o jednym, by wreszcie wstać i dobrać się do gardła Jonesowi i jego kłownom za każdą tamtą minutę. Zgniotę ich. Oczyszczę miasto z tej swołoczy. Załatwię ich jednego po drugim.

Bezsilność to straszne uczucie. Jestem całkowicie zależny, niezdolny do jakiegokolwiek ruchu. Jeśli mnie tu odnajdą, nie będę mógł nic zrobić. Wiem, że miejsce jest tajne. Bobby Thompson nie wiedział o nim. Jedyne sposoby, by mnie znaleźli, to to, żeby zdradził mnie ktoś z pracowników. W zasadzie myśl ta wydaje się absurdalna. Harry udowodnił mi już swoją wierność. Jak dotąd Li-Han zawsze był w porządku...

Położyłem trzydziestkęósemkę obok maty, pod szmatą. Nie uratuje mnie, ale będę mógł strzelić przynajmniej raz. Może dostanę Jonesa, jeśli pofatyguje się osobiście. Albo tego sukinsyna Li-Hana, jeśli mnie zdradził.

Majaczę. Jestem tutaj całkowicie bezpieczny. Pomału moje myślenie powraca do normalności, i w końcu bóle słabną. Czas płynie mi od masażu do masażu, i przeżywam plany zemsty.

Czekając na ten cudowny dzień odpoczywam. Nie mam nic innego do roboty jak tylko leżeć bez ruchu. Mój złamany w trzech miejscach nos nie pozwala mi na zażywanie kokainy i, pozbawiony tej trucizny, po raz pierwszy od miesięcy mogę się odprężyć.

Zacząłem lepiej spać. Sen ogarnia mnie z zapadnięciem nocy. Budzę się wcześniej rano. Jest kwiecień i dni są już dłuższe. Okazuje się, że w tym mieście czasami jest dzień. Prawie już o tym zapomniałem.

Czuję, jak powracają mi siły, i niebawem mogę już chodzić po pokoju, ale jestem jeszcze sztywny i obolały. Regularnie jadam zupy, które przynosi mi Li-Han, mój poczciwy chiński kumpel.

Morale poprawia się. Bez kokainy jaśniej myślę. Wychodzę z zakłętego wiru, który zakręcił mną szybciej i porwał dalej, niż się spodziewałem.

Kazałem sobie przynieść lustro, bo wyobrażam sobie, że wyglądam już normalnie: parę zaczerwienionych miejsc, blizna na uchu, paskudnie urządzony nos przypominają o napadzie. Poza tym blada morda faceta, który trochę zaszalał. Ale jest jeszcze coś.

Pod tymi wszystkimi szramami moja twarz wygląda inaczej. Jest coś w rysach, może w spojrzeniu. Mam ten twardy wyraz, który przybierałem umyślnie, a który teraz nie chce zniknąć. Postarzałem się.

Siedzę samotnie i rozmyślam o wydarzeniach ostatnich miesięcy.

O wszystkich moich postępках, nawet najbardziej skrywanych, takich, o których nigdy nikomu nie powiem. Widzę siebie, jakim byłem: wariatem spragnionym jak największego burdelu, który posunął się za daleko.

Pomału moja nienawiść słabnie. Czarni postąpili logicznie. Zebrałem ciosy, które sam zadawałem, i pod pewnymi względami to lanie oddało mi przysługę.

Wyrównam rachunki, ale nie pragnę już wszystkich wykończyć.

Spędzam długie chwile z Harrym. Opowiada mi, co się dzieje. Li-Han często przychodzi na górę, żeby pogadać. Resztę czasu poświęcam na przemyślenia.

Louie D'Amour zniknął błyskawicznie. Kiedy dowiedział się, że zamierzam zabrać się do czarnych, powiedział Harry'emu, że to dla niego za wiele. Pojechał na wakacje do Nowego Jorku.

Ginger jest bezpieczna. Okazała się wspaniała do końca.

Bobby Thompson. To on mnie zdradził. Zdradził Jonesowi adres Ginger. Przedtem nikt nie próbował się do mnie dobrać, bo wszyscy myśleli, że reprezentuję potężną organizację. Bobby spędził w moim bezpośrednim otoczeniu wystarczająco wiele czasu, by zorientować się, że jestem samotnikiem żyjącym ze szpanu.

Banas gdzieś zniknął. Życzę powodzenia!

Haig niepokoił się o mnie. Nie odezwę się do niego. I tak miał już dość kłopotów. Życzę mu długiego życia, niech się jeszcze długo wesoło bawi.

Isaac Jones. Musi zapłacić. Nie czuję już urazy, ale jestem do tego zmuszony. Wobec siebie samego. Ale nie ma w tym nienawiści.

Pewnego wieczoru mówię do Harry'ego:

— Mam jeszcze ostatnią robotę, stary.

— Nie ma sprawy.

— Wiesz, z kasynem już koniec.

Wyjaśniłem mu, co zrobimy. Zgodził się i poszedł po całe nasze uzbrojenie. Przez sporą część nocy czyściliśmy strzelbę i trzydziestkęósemkę wygłupiając się bez przerwy.

Następnego dnia sprowadził czterech kumpli, facetów, którzy wyszli z Kingstown, federalnego więzienia. To doskonale maszynerie, znają tylko przemoc. Li-Han, nie chcąc pozostać w tyle, dostarczył mi dwóch Azjatów, tajlandzkich bokserów, krępych i niebezpiecznych, których wysłałem na zwiad do Isaaca Jonesa. Wiem, że mieszka w zachodniej dzielnicy, w nowoczesnym budynku, pod którym jest podziemny parking. Wiem też, że wraca do domu około czwartej nad ranem.

Wieczorem wyruszamy. Harry pomaga mi zejść po schodach. W restauracji żegnam się z Li-Hanem. Jest wzruszony, wie, że już nie wrócę, sam mi kupował bilet na samolot. Jutro wcześniej rano zmieniam kontynent. Wszystko jest gotowe, pozostała ostatnia formalność.

— Żegnaj, Li-Han.

— Żegnaj, Cizia. Powodzenia.

Na ulicy lodowate nocne powietrze sprawia mi ból w płucach. Prowadzi Harry. Pozostali jadą przodem.

Na parkingu rozdzielam broń. Trzydziestkaósemka dla mnie, strzelba dla Harry'ego. Tamci mają własny sprzęt, noże i kastety. Oczywiście każdy z nas ma oprócz tego dobry stary kij baseballowy.

Tylko ja nie jestem zamaskowany. Pozostali nałożyli kominiarki, które zasłaniają im twarze. Dzięki temu nie narażą się na zemstę. Ja wyjeżdżam, zresztą jaki byłby sens tej ekspedycji, gdyby Isaac Jones miał nie wiedzieć, kto przyszedł do niego z wizytą?

Spóźnia się. Przykucnęliśmy za samochodami. Czekamy już od dwóch godzin. Dojmujący nocny chłód nieprzyjemnie oddziałuje na moje dopiero co zabliźnione rany, przypominając mi, dlaczego tutaj jestem. Musi przyjechać dzisiejszej nocy. Mój samolot odlatuje rano, i nie mogę wyjechać z podniesioną głową pozostawiając nie spłacony rachunek.

Nastrój potęgują liczne fałszywe alarmy. Za każdym razem jednak chodzi o zapóźnionych spokojnych obywateli, z których jeden parkuje o parę metrów od nas.

Gdyby nas zauważył, przeżyłby panikę swego życia.

Wreszcie o piątej na parking wjeżdża różowo-zielony cadillac. Wsiada z niego Isaac Jones ze swymi gorylami. Moi ludzie rzucają się do przodu i kiedy tamci dostrzegają nas, jest już za późno. Zostają przeszukani i rozbrojeni. Isaac Jones stoi przede mną.

Podchodzę. Harry podtrzymuje mi ręce, pomagając podnieść baseballowy kij.

Uderzenie, które wybija Jonesowi wszystkie zęby, było tylko formalnością. Oddał mi przysługę przywołując mnie do rzeczywistości. Odzwzajemniłem mu to przypomnienie, mając nadzieję, że okaże się to korzystne również dla niego.

Zapłaciłem wszystkim, bardzo hojnie, po czym Harry załadował cały arsenał do naszego samochodu. Pojechaliśmy nad brzeg jeziora Ontario. Rozładowałem trzydziestkęósemkę i wyrzuciłem ją jak najdalej, razem z kaburą. Za nią powędrowała strzelba, potem kije baseballowe i łańcuchy.

Nadchodził świt. W milczeniu wypiliśmy kawę, Harry i ja, po czym wyjąłem z kieszeni wszystkie swoje pieniądze. Gruby zwój dużych banknotów, który mu podałem.

Zaskoczony popatrzył na mnie i chciał protestować.

— Ćśśś! To na Australię.

Wziął bez słowa. Ma plany na wykorzystanie tych pieniędzy, zrobi to lepiej niż ja. A przede wszystkim, ja ich nie chcę. Nie trzeba zachować niczego z tej niedobrej forsy.

— Cześć, Harry.

— Cześć, Cizia.

Toronto, amerykańskie miasto, bogate i spokojne!

Jadąc taksówką na lotnisko patrzyłem, jak nad Toronto wschodzi słońce. Musiałem zmrużyć oczy od blasku. Przez szybę zaczęło do mnie docierać ciepło. Jak przyjemnie, kiedy jest ciepło.

Kierowca taksówki, nie umiejący prowadzić Sikh w turbanie, odwraca się do mnie i pyta:

— Turysta?

— Turysta.

— Podobała się panu Kanada?

— Bardzo.

Toronto było ostatnią z moich miejskich przygód.

Przez wiele miesięcy budziłem się w nocy z krzykiem, zlany potem, z rękami wyciągniętymi do przodu, żeby zasłonić się przed uderzeniami.

CIZIA ZYKË

GORĄCZKA

PROLOG

Kongo, północno–zachodnia część kraju, na brzegu rzeki. Przez wioskę przeszło tornado. Potworna siła pastwiła się nad wszystkim, co wystawało ponad ziemię, wskazując oczywiste pragnienie niszczenia, prawdziwy zapal w przekształcaniu wszystkiego w ruiny.

Z dwudziestu ośmiu małych lepianek plemienia Kuju uchowały się tylko trzy. Wszystkie zostały zmiecione z powierzchni ziemi, pozostały po nich jedynie porozwalane kopce, przypominające jakiś plac budowy. Można by pomyśleć, że po ogromnym obszarze brunatnej ziemi przejechał buldożer.

W dali dostrzec można było parę patetycznych przedmiotów: pojemniki i emaliowane miednice, powyginane i powgniatane, jakby przejechała po nich ciężarówka, drewniany stołek rozbity na kawałki, podarte maty, strzępy palmowych dachów... Cały zapas ziarna, uzbierany przez wioskę, wysypał się z porozwalanych małych zbiorników ulepionych z suszonej ziemi.

Na prawo, nieco dalej, na skraju pierwszego zagajnika wielkich drzew, również nie ocalały trzy altany z desek zbudowane pod naszym kierunkiem. Leżały teraz w postaci porozrzucanych patyków w okolicznych trawach, które w połowie je zakrywały.

Kwadratowe poletka warzywne, uprawiane z takim zapalem i mozołem, zostały stratowane bez litości: bambusowe kratki zamienione w wióry, sieć rowów irygacyjnych rozwalona. Nic nie pozostało z naszych drogocennych „*plantacji eksperymentalnych*”.

Prawdę o niszczycielskiej sile, jaka się tu rozpętała, odczytać można było również z czarnych, posępnych twarzy ludzi Kuju, którzy osowiali postępowali za nami krok w krok. Ich niecodzienne przygnębienie i zrozpaczony wyraz oczu wzmagają jeszcze napięcie. Świnie i kury, zwykle pętające się po wiosce, uciekły. Panowała całkowita, przygnębiająca cisza.

— Skurwysyn — zgrzytał zębami Paulo. — Skurrrrwysyn... Stary Paulo, z zaciśniętymi wargami i morderczym spojrzeniem, ciężko przeżywał ogrom zniszczeń. Tym razem M'Bumba zdrowo dał popalić.

Przed nami pięć trupów, rozłożonych na matach w ostrym popołudniowym słońcu, zaczynało już śmierdzieć. Wśród nich były dwie kobiety, z których jedna, w jaskrawoczerwonej przepasce na biodrach, miała wgniecioną klatkę piersiową. Ciało, które sprawiało największe wrażenie, leżało obok. Był to mężczyzna, a jego śmierć musiała być okropna. Ani jeden z jego członków nie pozostał nienaruszony, wszystkie były połamane w wielu miejscach, jakby każdy miał po kilka dodatkowych stawów. Popękana w niektórych miejscach skóra tworzyła obrzydliwe rany, już rozkładające się od upału. Głowa zatraciła normalny kształt; była w kawałkach, jakby została schwytana i rozgnieciona przez gigantyczną pięść. Inne ciało, również rozerwane na kawałki, zakrwawione, z wywróconymi białkami oczu, na których siadały roje much, należało do jednego z braci wodza. Był to sympatyczny facet około trzydziestki, którego jako notabla zapraszaliśmy czasami do domu. Rozpoznaliśmy też ostatnie zwłoki — jednego z niezliczonych miejscowych chłopców, wyrosniętego piętnastolatka.

Obrzydzenie i wściekłość, które nas ogarnęły na ten widok, sprawiły, że staliśmy w milczeniu. Nawet Paulo zaprzestał swoich przekleństw. M'Bumba był diabłem, piekielnym potworem. Skąd tyle zapamiętania w zwierzęciu, którego nawet nie zaatakowaliśmy?

Ze swego miejsca młody Montaignes rzucił na zwłoki tylko krótkie spojrzenie. Z jednej z licznych kieszeni wyciągnął krawiecką miarkę i przykucnął, z nieodłącznymi okularami na czubku nosa, maksymalnie wyciągając ręce, by zmierzyć jeden ze śladów: gigantyczny nieregularny krąg, niewiarygodny ślad nogi słonia.

— Osiemdziesiąt dwa centymetry — powiedział rozmarzonym głosem.
— To potworne!

CZEŚĆ PIERWSZA

Na szczęście nasz hangar nie uległ zniszczeniu. Zbudowany jakieś sto metrów od wioski, na końcu wąskiego cypla wrzynającego się w nurt rzeki, i M'Bumba nie był łaskaw dojść aż tutaj. Nie było to domostwo luksusowe, ale zależało nam na nim. Sprawiliśmy, że było obszerne i czyste i w ciągu spędzonych w nim ośmiu miesięcy przeżyliśmy tu spokojne i bardzo miłe chwile. Był to prostokątny budynek z desek z czerwonego drewna, nakryty dużym dachem z przeplatanych palmowych liści, przy którego wznoszeniu pracowała cała wieś. Jeden z boków, dzięki wielkim przesuwającym drzwiom, był szeroko otwarty na rzekę i przedłużony drewnianym tarasem. Ten ostatni, małe arcydzieło na palach, idealne miejsce na śniadanie i na spędzenie wieczoru, znajdował się bezpośrednio nad wodami rzeki, nad zatoczką utworzoną przez półwysep i nad naszą przystanią. Od strony lądu wielka tablica zielonymi literami na białym tle ogłaszała: Powszechna Faktoria Handlowa.

Wewnątrz, oprócz pooddzielanych przepierzeniami pokoi, znajdowało się obszerne pomieszczenie służące zarazem jako salon, prywatna tawerna, sklep i skład towarów. Worki ziarna i sprzęt niezbędny w buszu sąsiadowały tu z czterema ogromnymi wiktoriańskimi fotelami, przywiezionymi z miasta pirogą, z przedmiotami sztuki wudu, których nie chcieliśmy sprzedać, z puszkami konserw, butelkami i bronią. Pomimo szyldu i sporego zapasu towarów Powszechna Faktoria Handlowa nie była prawdziwym sklepem. Nazwę tę nadaliśmy naszej siedzibie raczej dla zabawy, z przymrużeniem oka nawiązując do wielkiej tradycji kolonialnej. Doskonale pasowała do wspaniałego otoczenia w sercu Afryki, w którym zamieszkaliśmy.

Kiedy zaczyna się ta historia, czyli kiedy przyszedł rzucić nam swoje wyzwanie słoń, jej pięciu bohaterów od ośmiu miesięcy mieszkało w zawieszanej nad rzeką faktorii.

Często mówiło się o nas, że jesteśmy nienormalni. Dlatego, by uniknąć wszelkich nieporozumień, lepiej będzie, jeśli na samym wstępie naszkicuję portret naszego dzielnego zespołu.

Najpierw, uznając przywilej wieku, będę mówił o Paulo. Stary Paulo, czy też, jak sam o sobie mówi: „*Zgnity Paulo*”. Kiedy chce się kogoś przedstawić,

zaczyna się zwykle od podania wieku, lecz w jego przypadku jest to niemożliwe do spełnienia. Kiedy go spotkałem, był już stary, a nie działało się to wczoraj. Wyglądał wówczas dokładnie tak samo: mały facecik z okrągłym brzuszkiem swobodnie wysuniętym do przodu, stopy mocno osadzone na ziemi, nogi rozstawione, te same długie włosy tak samo lekko siwiejące, te same wielkie, jasne i ruchome oczy, błyszczące inteligencją.

Na przestrzeni lat tylko zmarszczki i ślady po licznych przeżyciach stały się wyraźniejsze: wielkie worki pod oczami — wspomnienie po tylu przyjemnościach czerpanych bez opamiętania; dwie głębokie pionowe bruzdy przy ustach, zarysowane niezliczonymi wybuchami śmiechu i chwilami zaciętości; promieniste zmarszczki przy kącikach oczu, które wielokrotnie mrużył na widok tylu zadziwiających krajobrazów. Podbródek zawsze wysunięty do przodu, sokoli nos, niekiedy niebezpieczne błyski w oczach, oto nasz człowiek.

Poza tym był jowialny i przesadny w zachowaniu, lubił głośno wypowiadać się soczystym językiem, jako nieodrodny „*syn Prowansji*”, gdyż Paulo urodził się w marsylskiej dzielnicy Vieux-Port i pozostawał marsylczykiem aż po końce swoich lakierowanych mokasynów, choć rodzinne miasto opuścił pod naciskiem pilnej potrzeby natury karno-prawnej całe wieki wcześniej, kiedy miał piętnaście lat. Pod wieloma względami jego charakter odpowiadał jego pseudonimowi. „*Zgniły Paulo*” nie szanował niczego i nikogo oprócz mnie.

— Mam wszystkie zalety. Mały — mawiał. — Lubię używać, jestem fałszywy, podstępny, zakłamany i przekupny. Mam szczęśliwą rękę, Mały! Wszystko, co trzeba, żeby podbić świat i prowadzić wspaniałe życie!

Ale ja znałem go dobrze i wiedziałem, że posiada ogromne zalety, którymi mniej się chwalił, a w szczególności wielkie serce, wcale nie takie zgniłe. Miałem dobrych trzydzieści lat mniej od niego. I mimo tej różnicy wieku nasza przyjaźń była głębokim uczuciem, utkanym ze śmiechu, ze wspomnień o wspólnie podejmowanym ryzyku, ze wzajemnego wielkiego szacunku i z całkowitej uczciwości. Za każdym razem, kiedy los gdzieś nas ze sobą stykał, a zdarzało się to często, rozpoczynała się nowa przygoda. Dla mnie jego obecność, kiedy coś się działo, stanowiła dodatkową przyjemność. On odczuwał to samo.

Naszą cechą wspólną było samo rozumienie wolności, wolności całkowitej, bez żadnych ustępstw i niezależnie od ceny. Podobnie jak ja był indywidualistą. Obaj zawsze żyliśmy poza normami, żeby nie powiedzieć, że je zwalczaliśmy.

Poszukiwanie wolności i przygody? Głód sensacji? Pragnienie, by żyć intensywniej i zakosztować jak najwięcej doznań dostępnych człowiekowi? Trudno określić co to jest przygoda i jakie są powody, które skłaniają kogoś do wyboru takiego życia. To odrębny świat, a jego zasady i losy różnią go od wszelkich innych społeczności. To plemię specjalnej rasy ludzi, piratów, ułomnych, rycerzy, wielkich marzycieli, którzy stosują się do własnych, odmiennych zasad. Jeśli w języku potocznym „awanturnik” określa się osobę niemoralną, to wiedźcie, że Paulo i ja jesteśmy dumni mogąc odnieść je do siebie.

* * *

Za dużo czasu zajęłoby opowiadanie, czym było życie z Paulo; nasze liczne rajdy przez kontynenty, nasze zwariowane przedsięwzięcia, nasze liczne sukcesy, nasze nagłe bankructwa, nasze walki i nasze wojny.

Wiedźcie jedynie, że w Afryce byliśmy od trzech lat. Dla Paula, jak mawiał, była to jego „piąta kampania wśród czarnych”. Dla mnie — dopiero trzecia. Seria klasycznych działań w wielkim stylu: przemyt, sieć dyskotek — a w nich odpowiednia atmosfera — wszelkiego rodzaju oszustwa... Dwa najbardziej udane to najpierw partyzantka w jednym z krajów Południa, do której chciałem, byśmy przystali, by walczyć o nasze demokratyczne ideały. Te ostatnie przybrały postać fasoli na każdy posiłek i kubańskich doradców, schlanych i śmierdzących, o poczuciu humoru równie ciężkim co ich buty. Jak należało się tego spodziewać, Paulo ukradł kasę. Z czystej i bezinteresownej przyjaźni przeszedłem wraz z nim do obozu wroga i wszystko zakończyło się po kilku miesiącach podczas wspaniałej ucieczki w kierunku granicy. Była też afera diamentowa w Zairze. Założyliśmy bowiem International Diamond Mining Investigations and Investments Company, kwitnące przedsiębiorstwo, które wzbudziło zbyt wiele zazdrości i zakończyło się fatalnie po paru miesiącach luksusu i powszechnego szacunku.

Wschód, zachód, południe, tempo naszych działań, a zwłaszcza naszych ucieczek, drastycznie zmniejszyło liczbę krajów gotowych udzielić nam gościny. Wszędzie spaleni przynajmniej na dziesięciolecie, znaleźliśmy

schronienie w tym spokojnym Kongu Brazzaville. Po dwóch niespokojnych latach pragnęliśmy paru miesięcy wakacji.

Któregoś dnia w gablocie hallu międzynarodowego hotelu zobaczyłem rzeźby i jakieś obrzydliwe przedmioty z kości słoniowej. Dokonaliśmy szybkiego przeliczenia ceny za kilogram, spodobała się nam, więc kupiliśmy broń i rozpoczęliśmy polowania na słonie! O, nie pracowaliśmy zbyt wiele. Okoliczne słonie były starymi samotnikami, wygnanymi ze stada, i pojawiały się bardzo rzadko. Ponadto cena sprzedaży kości słoniowej zapewniała nam całkowicie zaspokojenie naszych potrzeb, a w tym czasie niczego więcej nie pragnęliśmy. Życie płynęło spokojnie, przerywane myśliwskimi wyprawami, wypadami do stolicy, bez specjalnych wydarzeń. Nikt się nas nie czepiał. Okolica, pełna bagien, nieprzebytych lasów i stref niebywale bujnej roślinności, nie interesowała nikogo.

Mieliśmy doskonałe stosunki z naszymi sąsiadami z plemienia Kuju, którzy bez trudności pogodzili się z naszą obecnością i wydatnie pomogli w zagospodarowaniu się. W rewanżu robiliśmy wszystko, by nasz pobyt był dla nich jak najbardziej korzystny. Zainwestowaliśmy więc w materiały szkolne, skierowaliśmy ich prace rolne na rośliny bardziej poszukiwane na rynku miejskim, zorganizowaliśmy system spółdzielczy w zakresie składowania i dostaw ziarna, a także zbudowaliśmy kilka małych domków, teraz zniszczonych, jak na przykład ambulatorium wyposażone we wszystko, co niezbędne do udzielenia pierwszej pomocy. Ludzie Kuju byli jedynymi klientami naszej faktorii. Mieli naturalnie nieograniczony kredyt. Jednak pomimo naszych nalegań korzystali z niego w bardzo niewielkim stopniu.

* * *

Montaignes wylądował w tym otoczeniu przed ośmiu miesiącami, co było oczywistym przykładem logicznej aberracji, jaką on sam stanowił. Któregoś wieczoru zobaczyliśmy, jak nadpływa przegniła piroga, obciążona na dziobie trzema starymi podróżnymi kuframi. Młody człowiek o twarzy dobrze wychowanego nastolatka wiosłował, zwrócony plecami do przodu, ubrany w zbyt obszerny lniany garnitur, z okularami na czubku nosa. Niezdarnie dobił do przystani, ale doprawdy nie miał wyboru: jeszcze parę metrów i jego przeładowana na dziobie i dziurawa skorupa zniknęłaby definitywnie z powierzchni wody. Następnie dołączył do nas, siedzących na tarasie, poprawił okulary, by popatrzeć na nas uprzejmie, i rzekł:

— Miło mi panów poznać, nazywam się Montaignes. Czy prowadzicie tu hotel albo coś w tym rodzaju?

Paulo długo mordował go wzrokiem. Zapewne oryginalność tego młodego człowieka sprawiła, że tego dnia nie został zmuszony do natychmiastowej kąpieli w rzece.

— Czy wyglądamy na oberżystów? Myślisz, że przyjechaliśmy tutaj, by prowadzić bistro?

— W takim razie...

— Siadaj — przerwał mu Paulo. — Wypijesz przecież pastis. Pora na aperitif!

* * *

Montaignes został na noc, potem na kilka dni. Po trzech tygodniach, choć nikt właściwie nie wiedział dlaczego, należał już do otoczenia. Był bardzo sympatyczny, zawsze gotów do rozmowy, i zawsze zadziwiał nas rozległością i różnorodnością swej wiedzy. Umiał opowiadać nie stając się nudnym, a jego wychowanie, najwyraźniej doskonałe, w naturalny sposób sprawiało, że nigdy nie przeszkadzał, nie narzucał się i nie nudził.

Był poza tym niezdamy, nie miał wycucia przestrzeni i był roztargniony jak trzydziestu doktorów Schweitzerów, toteż jego nieuleczalne bałaganiarstwo pomału rozprzestrzeniało się na całą faktorię.

Miał ze sobą mnóstwo książek. Były grube, wielkie, w twardych okładkach. Jakieś traktaty pełne liczb. Inne z pięknymi ilustracjami przedstawiającymi rośliny i owady. Owady! Miał ich imponujące ilości, przyszpilone do deseczek i plastikowych podkładek, każdy ze swoją etykietką, nazwą po łacinie i jakimiś skrótami, z których nic nie kapowałem. Były też marynarski sekstans, chemiczne próbki, ludzka czaszka, nazwana imieniem Artur, zadziwiająco kompletna. Były mapy, próbki, jakieś zmaistrowane przedmioty, a wszystko porzucane po pokoju odpowiednio do przypadkowych pomysłów i natchnienia właściciela...

Nie wiedzieliśmy i nigdy nie dowiedzieliśmy się, skąd pochodził. Nie zadawaliśmy mu pytań. Nie leżało to w naszej naturze. Jaki konflikt, dramat, tragedia zmusiły go do wyjazdu? Jaki ogromny zawód miłosny pchnął tego młodego naukowca, by wsiadł do dziurawej pirogi i bez żadnej nadziei popłynął z prądem rzeki Kongo? Tajemnica była całkowita, ale Paulo i ja wyczuwaliśmy u Montaignes'a jakąś przepaść dzielącą go od świata, przepaść

inną od naszej, lecz równie głęboką. To właśnie zapewne w dużej mierze ułatwiło jego wejście do naszego prywatnego świata, zwykle tak pieczołowicie chronionego.

* * *

Opis Powszechnej Faktorii Handlowej byłby niepełny, gdybym nie wspomniał o Małej. Była to Murzynka, nastolatka, żyjąca razem z nami. Znaleźliśmy ją w sposób tak dziwaczny, jak to tylko możliwe, niespełna rok wcześniej.

Wyprawy myśliwskie zabierały nam niewiele czasu, nie dłużej jak dwa tygodnie, i to nieczęsto. Liczne nasze wypady miały inny handlowy cel, przynoszący więcej korzyści niż kość słoniowa, i kosztem mniejszego wysiłku. Mieliśmy w stolicy kontakty z kilkoma grupami skupiającymi wyroby sztuki wudu, zainteresowanymi statuetkami i rzeźbami, po które wyprawialiśmy się do najodleglejszych wiosek, by tam targować się o zupełnie nieprawdopodobne ceny, a następnie sprzedawać nasze łupy za niebotyczne kwoty. W trakcie jednej z takich wypraw dotarliśmy bardzo daleko na północ, do wsi położonej w pobliżu granicy z Republiką Środkowoafrykańską. Tu zwróciliśmy uwagę na Małą, która ignorowała nas.

Na pierwszy rzut oka wzięliśmy ją za białą, tak jasną miała skórę. Przyjrzelśmy się jej bliżej, mimo jej wściekłego wzroku, i prawda wyszła na jaw. Była Murzynką o białej skórze. Miała afrykańskie rysy, ruchy, włosy i zachowanie. Tylko jej skóra miała ten dziwny śródziemnomorski odcień. Była Mulatką lub córką Mulata, miała jedną czwartą białej krwi: wnuczka kolonisty, który zaspokoił swoje żądze ze służącą, albo zakonnicą, która nie wytrzymała podczas pełni księżyca, to już na zawsze pozostanie tajemnicą.

Naczelnik wioski, który sprzedawał nam właśnie zestaw drewnianych posążków, zaproponował, by dołączyć ją do towaru i wliczyć w cenę. Jak zrozumieliśmy, dziewczynka nie była akceptowana przez inne dzieci, a jej trudny charakter był przyczyną ciągłych sprzeczek i bałaganu przez okrągły dzień. Kupiliśmy więc Małą i wyruszyła wraz z nami w drogę do faktorii. Przypominam ją sobie z tego okresu jako niezbyt uprzejmą dziewczynkę, z twarzą wiecznie wykrzywioną grymasem, zbyt dużą na swój wiek, wyrosniętą, z odstającą pupą, zbyt prostymi nogami i stopami nieproporcjonalnymi do wzrostu.

Potrzebowała sporo czasu, by się przyzwyczaić, i przeszła wiele kryzysów i okresów zamknięcia w sobie. Później pomału zdała sobie sprawę, że jesteśmy sympatyczni, że wygłupiamy się jak dzieci, że życie z nami jest wygodne i że ją lubimy. Uspokoila się więc i zaczęła się starać, by być użyteczną. W ciągu kilku miesięcy, pod kierunkiem Paula, który ją sobie upodobał, stała się kompetentną kucharką i dostąpiła zaszczytu ponoszenia pełnej odpowiedzialności za nasz stół. Nauczyła się języka Kuju z niebywałą szybkością, podobnie jak gotowania ulubionych dań Paula, i potrafiła nawet powiedzieć parę słów łamaną francuszczyzną.

Do pomocy dałem jej małego Kuju, który, choć nikt go o nic nie prosił, przyszedł i zamieszkał u nas. Nazywał się Octave, dla Paula i przyjaciół — Tatave. Był miejscowym przygłupem. Jako taki nie był wprawdzie wypędzony z wioski, ale żył poza społecznością. W przeciwieństwie do innych Kuju był mały i bardzo gruby. Pośrodku jego okrągłej makówki, na której czubku rosło trochę króciutkich kędzierzawych włosów, błyszczało dwoje wielkich wiecznie zdziwionych oczu. Był leniwy, nawet flegmatyczny, i całą swoją energię poświęcał na wyszukiwanie pożywienia i jego przeżuwanie. Tatave był w naszej faktorii uosobieniem dobrego humoru. Wystarczyło, że się pojawił, nadzwyczaj powolny, z ogromnym brzuchem wypiętym do przodu, z nieodłącznym uśmiechem na ustach, by każdy miał ochotę się śmiać.

Nie wiem, dlaczego ludzie Kuju uznali go za kretyna. Zawsze wydawał mi się raczej sprytny, a jego zachowanie sensowne. Mała nie pozwalała mu wymigiwać się od roboty i przez cały dzień wieszala na nim psy. Trzeba przyznać, że jego specjalnością było sypianie w naszych hamakach lub w fotelu. Kiedy ktoś siadał na nim przez nieuwagę, otrząsał się w milczeniu, schodził bez pośpiechu i wyruszał na poszukiwanie nowego legowiska, przejawiając najwyższą obojętność. Krótko mówiąc, podobnie jak wszyscy pozostali w tym hangarze nad wodą, Tatave był człowiekiem dosyć niecodziennym.

W Afryce tragedie zapominane są równie szybko, jak intensywnie były przeżywane. Nocna zabawa zmyła wszelkie ślady żałoby. Jak tu pozostawać w napięciu wobec ogromu zielonej wody u naszych stóp, wobec odbłasków słońca na rzece, w przyjemnym jeszcze ciepłe wczesnego poranka?

W dole pod tarasem, na którym jedliśmy śniadanie, pięciu ludzi Kuju, naszych regularnych pracowników, oraz dziesiątka leniwych chłopców rozładowywali naszą pirogę: przenosili worki i skrzynie z towarami przywiezionymi z Kinszasy i Brazzaville.

— Ale przecież taki słoniowy kiel ma jakieś rozmiary — denerwował się Paulo. — Dobrze widziałaś? Powiedz no, był taki jak ten stół, czy większy?

— Wielki! Wielki! Większy! — powtarzała Mała wywracając oczami, ubrana jedynie w różową przepaskę zawiązaną dookoła bioder.

— On wieceelki! — krzyknęła rozciągając ręce.

— A kiel? Widziałaś kiel?

Mała miała gdzieś kiel i ciężar kości słoniowej. Potrafiła myśleć jedynie o ogromnej przerażającej górze, którą zobaczyła. Żeby dać nam jakieś wyobrażenie, mogła tylko rozłożyć maksymalnie ręce, podnieść oczy do nieba i mnożyć przerażone grymasy. Potwór wielki jak dom. A może większy!

— Taaaak! Wielki! Ja bać się, biec szybko, szybko. Bebe biec. Też bać się.

Bebe, jej mały piesek, był małym kundlem o żółtej sierści, który wszędzie za nią łaził z miną winowajcy. Podskakiwał wokół swojej pani, robiąc wrażenie jeszcze bardziej przerażonego niż ona, która teraz tupiała z podniesionymi obiema rękami. Trudno było nie widzieć jej małych, spiczastych piersi o ładnym okrągłym kształcie i jędrnym wyglądzie, którymi w ten sposób potrzasała przed naszym nosem.

Mała robiła się ładna.

— Dość już tego — warknął Paulo. — Schowaj swoje cycki, nie pokazuj ich tak! Nie, żeby były brzydkie, ale moglibyśmy...

Wyciągnął nieznacznie rękę w kierunku jednego ze wzgórków, żeby go uszczypnąć. Mała oburzona uskoczyła w tył i naturalnie zaczęła wrzeszczeć i podskakiwać jeszcze bardziej.

— No, moja śliczna... już dobrze, już... Spokojnie, moja piękna...

— Ty niedobry! Ty, stary niedobry! Nieładny!

Paulo pospiesznie zniknął, by po chwili wrócić z paczką prezentów dla Małej. Podczas naszego wypadu do Kinszasy i Brazzaville, żeby załatwić interesy, zakupy i zafundować sobie porządną kąpiel w nowoczesności, pomyśleliśmy oczywiście i o tym, żeby przywieźć jej parę drobiazgów.

Paulo wyciągnął długą bawełnianą jaskrawozieloną koszulkę z nadrukiem w postaci kaczonego Donalda, wielką spinkę do włosów i plastikową bransoletkę w tym samym odblaskowym zielonym kolorze.

— No, lepiej to włóż, bo już nas denerwujesz!

Mała zastygła bez ruchu. Śliczny radosny uśmiech rozjaśnił jej twarz. Popatrzyła na nas po kolei błyszczącymi z zadowolenia oczami i burknęła:

— Zgoda. Ja założę koszulka.

— Oczywiście, malutka. Jak się jest panienką, nie lata się z piersiami na wierzchu; to dobre dla dzieci, nie dla młodych dziewcząt!

* * *

Wszyscy staraliśmy się wpoić Małej podstawowe zasady przyzwoitości. W ciągu paru miesięcy mała niezgrabna dziewczynka przemieniła się w dużą nastolatkę, a później, w ciągu ostatnich tygodni, w urodziwą roześmianą dziewczynę i muszę przyznać, o całkiem ponętnych kształtach.

Nie wiedziałem, czy jest to niemoralne, jak mawiał Paulo, który nigdy nie wydawał mi się mistrzem, jeśli chodzi o dziewczyny. Było jednak pewne, że obecność wspomnianych wdzięków powodowała zaburzenia w naszym męskim towarzystwie w sposób całkiem naturalny. Mała protegowana czy nie, młodsza siostrzyczka czy nie, kiedy coś jest ładne, to się na to patrzy. A Mała, ta spryciara, szybko zdała sobie z tego sprawę. Wystarczyło pełne podziwu gwizdnięcie, tak w żartach, i parę komplementów, by zrozumiała, że wszystkie te krągłości były powodem nowego rodzaju względów.

Zachwycona wiedzą o swojej atrakcyjności, będąc wolną dziewczyną, odkrywała teraz przyjemność, jaką daje prezentowanie swojej urody. Niektóre z jej prowokacji, całkiem dziecinnych, wprawiały nas czasami w zakłopotanie. Oczywiście wszystko to odbywało się bez żadnych brudnych myśli.

Wydaje mi się, że wołała mnie od innych, chyba że za dużo sobie wyobrażałem. Przy stole zawsze kładła na mój talerz podwójną porcję. Być może po prostu obliczała przypadającą na mnie rację odpowiednio do moich okazałych gabarytów. Wielokrotnie mówiła mi:

— Ja być twoja żona, Elias.

— Ale to niemożliwe. Jesteś za młoda. Europejskie dziewczyny wychodzą za mąż później, wiesz. Jak są duże...

— Kiedy ja być duża, ja twoja żona, Elias.

Ale jako że przysięgła to samo Montaignes'owi, który zaraz mi się pochwalił, nie miałem zbyt wielu złudzeń co do moich zaręczyn.

Śniadanie przeciągało się; upał szybko ogarniał taras. Tematem rozmowy był naturalnie M'Bumba.

* * *

W języku Kuju M'Bumba znaczy duch. Imię M'Bumba mogło zostać nadane wielu zwierzętom lub innym rzeczom w buszu. Znaczyło to dokładnie: „*to, czym rządzi zły duch*”.

Ten M'Bumba był starym, samotnym słoniem, bez jednego kła, podstępny i olbrzymim. W okolicy był już legendą; okaleczony M'Bumba, kulawy M'Bumba... terroryzował pobliskie rejony już od czterech lat. Zapewne został wypędzony ze swojego stada. Takie stare samce, oszalałe z powodu potwornych bólów zębów, tracą kontrolę nad sobą i w końcu szarżują na wszystko, co się rusza, nawet na własnych pobratymców. Ten, wypędzony ze stada, schronił się tutaj. Samotnicze życie nie wpływa dobrze na stare słonie. Gorzknieją, dostają ataków szału, wpadają w potworną i niszczycielską wściekłość. M'Bumba, stary kaleka, miał już na swoim koncie ogromne połacie lasu, plantacje, a nawet wioski takie jak nasza. Jego wściekłe dalekie porykiwania spędzały ludziom sen z powiek.

Okaleczenie przyczyniło się jeszcze, o ile. było to możliwe, do ugruntowania jego sławy. Lewy kieł miał skrócony do jednej trzeciej i, jak powiadali, wyostrzony jak szpadę. Miejscowi bali się go jak ognia. Przypisywali mu złowrogie zamiary i lisią przebiegłość. Jak to ma miejsce w przypadku wszystkich pięknych legend, najwyraźniej sporo zmyślali.

Szybko podjęliśmy w tej sprawie decyzję. Co też sobie wyobrażało to zwierzę? Że mogło bezkarnie wprowadzać burdel na naszym terenie? Nie. Zaatakowało nas. Więcej: sprowokowało. Jak najszybciej więc wyruszymy na jego poszukiwanie, znajdziemy je i zastrzelimy, jak wymagała tego logika.

* * *

Mieliśmy przed sobą dwa dni. Tak długo bowiem miała jeszcze trwać pełnia i trzeba było uszanować ten okres, w całej przyrodzie poświęcony miłości, podczas którego zarówno wśród ludzi, jak i zwierząt nikt na nikogo nie poluje.

Paulo, w samym podkoszulku, w słomianym kapeluszu na głowie dla osłony przed słońcem, ze szklanką Ricarda mocno rozcieńczonego wodą z lodem, podniecał się przy swoim kalkulatorku. Silnymi uderzeniami wskazującego palca walił w klawisze mamrocząc:

— Wyobrażasz sobie? Taki kiel!

Montaignes dostarczył mu, odpowiednio do wymierzonego odcisku nogi i na podstawieuczonych obliczeń, orientacyjne wymiary słonia. Paulo z tych danych szacował długość kła, a zatem i jego wagę, którą szybko pomnożył przez odpowiednią liczbę dolarów. Patrząc na wynik nie mógł powstrzymać okrzyków podniecenia.

— O, w mordę! Wyobrażasz sobie taki szmal? Coś ci powiem, nawet jeżeli ten cholerny słoń ma tylko jeden taki ząbek, to zarobimy na nim kupę forsy!

Ludzie Kuju mówili, że M'Bumba oddalił się na północny zachód, tam gdzie zwykle przebywał, w rejon prawie nieprzebytych gęstych lasów, do którego nigdy się nie wyprawialiśmy. Żeby się tam dostać, trzeba było płynąć w górę rzeki Sangha, która wpadała do Konga o paręset metrów przed naszą faktorią.

— He! He! — zaśmiał się Paulo. — Od dawna już korci mnie, by się tam wybrać. Podobno jest tam ostro. Nikt tam nie chodzi. Wcale bym się nie zdziwił, gdyby właśnie tam znajdowało się cmentarzysko... Oj, cicho bądź, Elias! Wiem, co masz do powiedzenia...

Paulo marzył o znalezieniu cmentarzyska słoni, zawierającego bajeczną fortunę w postaci kości słoniowej, gdzie wystarczyło tylko się schylić i zbierać. Legenda o takim miejscu krążyła po okolicy — jak wszędzie tam, gdzie żyją słonie — i Paulo wbił sobie do głowy, że był tym wybrańcem, który je znajdzie. Bywały wieczory, w które po zażartych dyskusjach widzieliśmy to cmentarzysko w marzeniach. Najbardziej podatny na sugestię był Paulo. Montaignes, rozdarty pomiędzy nauką i pięknymi zwidami, nie wypowiadał się. Ja osobiście nie wierzyłem w to, ale sama legenda podobała mi się. Jeśli chodzi o polowania na słonie, takie odkrycie stanowiłoby naszą najwspanialszą przygodę. Ale nigdy nie udało się nam znaleźć niczego istotnego. Raz natknęliśmy się na szkielet, który dostarczył nam dwóch okazałych rozmiarów kłów, ale było to dalekie od marzeń, jakie snuliśmy podczas wspólnie spędzanych wieczorów.

Cmentarzysko, tajemnicza Afryka, najodleglejsze zakątki dżungli...
Byłaby to fenomenalna przygoda.

* * *

Montaignes, coraz bardziej zdenerwowany, palił papierosa za papierosem, wpatrywał się w przestrzeń, wracał do nas i dreptał w miejscu, co oznaczało głębokie zamyślenie. Przyglądałem mu się. W takim stanie łatwo mógł pośliznąć się i wpaść do wody albo Bóg wie co jeszcze! W jego oczach znów pojawiła się iskierka humoru, a zatem dobre samopoczucie wracało galopem.

Trzeba powiedzieć, że z całej naszej trójki Montaignes najboleśniej przeżył atak M'Bumby. Stracił przez niego wszystkie swoje „*plantacje eksperymentalne*”, jak je nazywał: obszerny teren starannie zaplanowany i nawodniony kosztem kilkumiesięcznych wysiłków, na którym próby uprawiania warzyw zaczynały przynosić dobre rezultaty. Podobny los spotkał wzniesione w przypiływie szybko zapomnianej szczodrobliwości ambulatorium, o które Montaignes dbał i które rozbudował. Praktycznie wszystko, co stworzył dla ludzi Kuju, zostało zmiecione z powierzchni ziemi.

Z pewnością podnosiła go na duchu myśl o zemście. Dowodziło to, że można być humanistycznym intelektualistą i mimo wszystko odczuwać przypiływ agresji. Myśl o podjęciu wyprawy dla zabicia M'Bumby najwyraźniej sprawiała mu przyjemność.

— To gdzieś w stronę jeziora! — powiedział nagle. — Na północny wschód, w kierunku jeziora!

— Jeziora?

Montaignes zniknął, by pojawić się chwilę później, obładowany wszystkimi swoimi zwojami map rozłożonymi w wachlarz. Dwa upuścił na ziemię, trzy na stół, zaczął je rozwijać, wygładzać, przesuwając wszystkie naczynia.

— Tatave, pomóż mi, do jasnej cholery!

Wskazał palcem na środek ogromnej zielonej plamy.

— To tu! Jezioro Tebe, zwane także Jeziorem Dinozaurów! Podeszliśmy bliżej. Zwykle w naszych podróżach rzadko posługujemy się mapami. To Montaignes pokazał nam po raz pierwszy, gdzie znajduje się faktoria, toteż żywiliśmy pewien szacunek dla jego wiedzy. A zresztą w ogóle wiadomości, jakie miał ten chłopak, były interesujące.

Ujrzałem błętny krąg, odpowiadający w rzeczywistości jakimś dwóm kilometrom średnicy, zagubiony pośród wielu setek kilometrów kwadratowych dziewiczego lasu, oznaczonego jasną zielenią. Tatave siedział jak małpka, z policzkiem przyklejonym do mapy, i usiłował czytać okropnie zezując. Montaignes z trudem odsunął jego głowę i rozwinął drugą mapę, białego koloru, wyraźnie wcześniejszą.

— Popatrzcie, nie jest nawet prawidłowo wyrysowane na sztabówce. Dopiero na zdjęciu satelitarnym widać je wyraźnie.

— A dinozaury?

— Legenda zrodziła się na początku wieku, w czasie ekspedycji prowadzonej przez wariata Anglika, który był pewien, że znajdzie tam coś w rodzaju zaginionego kontynentu, z wielkimi żyjącymi gadami. Wszyscy zniknęli bez śladu.

— O rany...

— To nie wszystko! W tysiąc dziewięćset siedemdziesiątym piątym francuska ekspedycja naukowa, złożona z biologów i przyrodników, wyruszyła w stronę jeziora, aby zbadać jego brzegi. W gęstej dżungli można spotkać setki mało znanych gatunków i podgatunków owadów i roślin...

— I co?

Montaignes uśmiechnął się ironicznie.

— Dali nogę. Tysiące najróżniejszych trudności, chorób. Jeden chyba nawet zmarł. Zawrócili, nim zdołali dotrzeć nad brzeg jeziora.

Zaczynałem lepiej rozumieć. Montaignes chciał zostać pierwszym botanikiem — czy coś w tym rodzaju — który zbada Jezioro Dinozaurów. Niezłe zaczynaliśmy, jeśli wziąć pod uwagę przeklętego słonia, cmentarzysko i tajemnicze jezioro.

Mnie osobiście całkiem podobała się myśl o tropieniu tego zwierzęcia, podejściu go, wpakowaniu mu opancerzonej kuli w środek czaszki i ujrzeniu, jak ta ogromna masa wali się przede mną na ziemię.

Natychmiast po zachodzie słońca rozpoczął się koncert tam–tamów, o podniecających szybkich rytmach, i wiedzieliśmy, że potrwa całą noc: już trzeci wieczór ludzie Kuju świętowali, by uczcić pamięć zmarłych i dać wyraz swojej żałobie. Tłumaczyło to zresztą stan otępienia, jaki ogarniał ich w ciągu dnia. W innych okolicznościach pijaństwo trwałoby tylko jedną noc, ale fakt,

że wśród ofiar znalazł się brat wodza, spowodował przedłużenie uroczystości. Walili więc zawzięcie w te swoje opróżnione pnie drzew, wydobywając z nich groźne dźwięki, jedne niskie i głuche, inne wysokie jak ludzki krzyk.

W dodatku owe trzy noce zbiegły się z tradycyjnym comiesięcznym świętowaniem pełni księżyca, który wzeszedł parę godzin później, ogromny i biały, kiedy we wszystkich zakątkach zdewastowanej wioski długimi czerwonymi językami płonęły już pochodnie.

Wydawało się, że grający na tam–tamach nie zmęczą się nigdy. Już od wielu godzin walili w swoje instrumenty, ale kiedy na niebie ukazała się wielka srebrna tarcza, muzyka jakby stała się głośniejsza. Od dawna mężczyźni, kobiety i dzieci rzucili się w wir tańca. Wojownicy pomalowali twarze jaskrawymi farbami, które sami przygotowują, z jednej strony na żółto, z drugiej na czerwono. Wyglądali jak wypuszczone w nocy demony.

W centralnym punkcie wioski sabatem rządziła grupka kobiet wymalowanych na czerwono aż do ramion, z odsłoniętymi piersiami, w słomianych spódniczkach wokół bioder. Cała wioska szła za ich przykładem. Nigdzie nie tańczono tak frenetycznie, jak w tworzonym przez nie kręgu, rześkie oświetlonym pochodniami. Pochylały się, prostowały, czerwone ramiona i pośladki wirowały, nogi wyrzucane aż do wysokości piersi uderzały w ziemię w przyspieszonym rytmie.

Ludzie Kuju rozgrzali się w ciągu pierwszych dwóch wieczorów, w oczekiwaniu na dzisiejszy wybuch temperamentów. Powietrze ciężkie było od oparów trawki, którą zachłannie wszyscy palili. Dokoume, z którego zrobione były pochodnie, wydzielało gryzący dym o słodkiej woni, mający właściwości afrodyzjaku.

Tańce przechodziły w paroksyzmy. Wszystko stapiało się w jedną mglistą całość. Odblaski czarnych ciał, diabelskie twarze, rytmiczne ruchy tancerzy, błyski spódniczek kobiet, pojedynczy tancerze ogarnięci transem. Co pewien czas rozbrzmiewały litanie, podchwytywane i skandowane przez całą wioskę. Przewijało się w nich bezustannie imię M'Bumby...

Wybraliśmy sobie miejsce położone nieco na uboczu, z naszego kąta uczestnicząc w ogólnej żałobie. Mała przyszła z nami, niosąc swój tam–tam na ramieniu. Ale niebawem dołączyła do grupy muzyków i zajęła miejsce w wielkim muzycznym kręgu. Waliła z całych sił, najwyraźniej ogarnięta jak wszyscy owym świadomym szaleństwem, ową wyzwalającą histerią, która

stawała się coraz wyraźniej wyczuwalna i która nam, białym, udzielała się nadzwyczaj rzadko.

Tatave również nas porzucił, by oddać się tańcom. Kilka metrów od nas podrygiwała grupka dzieciaków, roześmianych i przyciśniętych jedne do drugich. Najmłodszy nie miał więcej niż dwa lata. Kołysał się komicznie, często się wywracając, z wielkim pępkiem wysuniętym do przodu.

Wśród tancerzy krążyło ibago. Jest to gatunek kory, który namoczony w winie palmowym z wielokrotnia pijackie upojenie, wzmagą euforię i pobudza seksualnie. Mieliśmy własny zapas i efekty powoli dawały o sobie znać, pokonując nasze minorowe nastroje. M'Bumba zadał dotkliwy cios naszemu morale. Rozpieprzył dorobek rocznej pracy, inwestycji i naszej obecności w tej okolicy.

* * *

W tłumie rozlegały się zwierzęce wycia. Ibago opanowywało umysły. Tańce traciły rytm i zamieniały się w bezładną gestykulację, bez związku z dźwiękami bębnów, których odgłosy nabierały piekielnej mocy.

Zapach potu wzmógł się raptownie i opanował całą wolną przestrzeń, gorzka woń chwytała za gardło. Była silniejsza od woni wszechobecnego dymu, zwiastowała cielesne rozpasanie, była wonią piżma i miłosnych wezwań.

Czułem, jak ogarnia mnie upojenie. Ku własnemu zaskoczeniu głupawo szczęśliwi, wybuchaliśmy wszyscy śmiechem. Kobiety odrzucały spódniczki. Pary prowokowały się wzajemnie, stojąc twarzą w twarz. Mężczyźni trzymali się prosto, z dumnie wypiętą szeroką pierśią, posuwając się skokami, z wysuniętym do przodu koronnym argumentem. Kobiety stały gotowe do oddania się, podając miednicę do przodu, z rozszerzonymi i napiętymi do granic możliwości udami, a ich biodrami wstrząsały, jakby niezależne od nich, niesamowicie szybkie drgawki.

O kilka kroków od nas młody samiec o żółtej twarzy, z czarną przepaską na głowie, ciskał się niczym diabeł. Podskakiwał w pozycji wyprostowanej, z rozłożonymi rękami i nogami, kręcąc się wokół własnej osi, jakby chciał rzucić wyzwanie wszystkim samicom w wiosce, a głowa latała mu na różne strony w gwałtownych konwulsjach. Dwie młode dziewczyny o długich cienkich mięśniach, nagie i pomalowane najwymyślniejszymi barwami, odchyłały się do tyłu naprzeciwko niego. Głowami dotykały niemal ziemi za

swoimi plecami, w całkowitej pogardzie dla zasad równowagi; wydawało się, że ich stopy przymocowane są do podłoża. Pośrodku nieba świecił księżyc.

Teraz pary obejmowały się i biegiem opuszczały krąg światła, udając się w strefę cienia, skąd wkrótce zaczęły rozlegać się okrzyki rozkoszy. Były to donośne wrzaski, całkowicie nieopanowane, rozpasane wołania życia, które bardziej jeszcze wzmagają podniecenie tancerzy. W środku nocy trzy młode, wymalowane i wyzywające dziewczyny dosiadły się do nas.

Afrykańska noc — upalna i naelektryzowana, którą przeżyć jeszcze można jedynie w takim oddalonym zakątku buszu, odciętym od świata.

Naczelnik wioski — nazywaliśmy go po prostu Wodzem — przyszedł do nas z wizytą wczesnym przedpołudniem. Był to kolos, który swoje stanowisko naczelnika zapewne zawdzięczał imponującej posturze, będącej wśród ludzi Kuju rzadkością, gdyż większość z nich jest średniego wzrostu. Trudno byłoby określić jego wiek, ale gość musiał być dosyć stary, jeśli wziąć pod uwagę podziwu godny brzuch i budzącą szacunek liczbę dzieci.

Miał na sobie szorty i rozpiętą nylonową koszulę, którą zresztą nałożył wyłącznie z naszego powodu. Wśród licznych naszyjników i wisiorków poczesne miejsce na jego szerokiej piersi zajmowały podarowane przez nas okulary Ray-Bans. Wszedł bez ceregieli, pozostawiając na zewnątrz eskortę: dwóch wojowników uzbrojonych w łuki.

— I co, Wodzu? — zapytałem go na powitanie. — Katastrofa?

— Ooo! Niedobrze! Niedobrze! M'Bumba!

Zaledwie usiadł, gdy uwagę jego przykuł radiomagnetofon na stole i zaczął przy nim manipulować. Urządzenie to zawsze go fascynowało. Jego działanie zrozumiał prawie od razu. Odwrócił kasetę, nacisnął na przycisk „play” i słysząc muzykę zaśmiał się zadowolony.

Wielokrotnie mieliśmy okazję obserwować, jak bardzo inteligentny był ten facet, całkowicie pozbawiony tego wszystkiego, co nazywa się „kulturą”. Był wielkim myśliwym, słynącym z przebiegłości i znajomości dżungli, ale również doskonałym mechanikiem. Silniki Yamaha w naszych pirogach nie miały dla niego tajemnic. Kilkakrotnie uruchamiał je dla nas, podczas gdy każdy prawdziwy mechanik uznałby, że nadają się wyłącznie na złom.

Był bardzo sympatyczny i z właściwą sobie nieustającą jowialnością pomagał nam od początku naszego pobytu. Nigdy nie mieliśmy z nim

żadnych problemów. Zapewne dostrzegał własne korzyści tam, gdzie one były, i z materialnego punktu widzenia miał rację. Ale żywił też dla nas prawdziwą sympatię i sprawiało nam to przyjemność.

* * *

Zgodził się napić trochę anyżówki Ricard. Alkohol nie pociągał go zupełnie, toteż nie mogliśmy dzielić z nim wszystkich skarbów naszej piwniczki. Ale z grzeczności zawsze wypijał nieco anyżówki, z dużą ilością wody. I tak za każdym razem Paulo musiał długo nalegać. Dla starego marsylczyka, pochodzącego z serca dzielnicy Vieux-Port, urodzonego ze związku gracza w kule i sprostytuowanej piosenkarki w pierwszym dwudziestolecu naszego wieku, nie mogło być poważnej męskiej rozmowy bez kropelki anyżkowego aperitif.

Długo dyskutowaliśmy o napaści M'Bumby i nieszczęściach, jakie z tego wynikły, aż w końcu Paulo walnął się dłońmi po udach.

— No dobra. Wodzu, ale to nie wszystko. Damy ci teraz towar, co? Skoro już tu jesteśmy...

Jak zawsze przywieźliśmy z Kinszasy prezenty dla wioski: bele materiału, świeczki i zapalki, aspirynę i duże ilości skondensowanego mleka. Naczelnik każdy prezent przyjął z pełnym godności ukłonem, po czym dalej czekał w milczeniu. Jego wzrok wędrował od jednego z nas do drugiego i Wódz nie potrafił pohamować lekko zaniepokojonego uśmiechu. Wszyscy wiedzieliśmy, czego się spodziewa, i Montaignes potęgował jeszcze jego niecierpliwość.

Wreszcie wyciągnął z kieszeni podłużną paczuszkę i podał mu ją.

— Dla ciebie również przywieźliśmy prezent.

Był to zegarek; ogromny, nierdzewny i wstrząsoodporny. Wódz założył go na prawy nadgarstek, przyjrzał mu się, spojrzął na zegarek Paula, przeniósł swój na lewy nadgarstek i zadowolony z rezultatu wybuchnął śmiechem. Uszczęśliwiony zaczął wykrzykiwać coś w swoim narzeczu, ściskając Montaignes'a swoimi grubymi łapami tak, że prawie go zadusił. Kiedy trochę się uspokoił, oznajmiłem mu:

— Wyruszmy na poszukiwanie M'Bumby i zabijemy go.

— Ooo! Niedobrze! Zostawić M'Bumbę. On przyjsć, on odejsć... Potem jeszcze przyjsć. Ty nic nie móc zrobić.

Uśmiech i cała jego radość zniknęły. Wywracał teraz swoimi ogromnymi oczami, z niepokojem na twarzy, i potrząsał przecząco głową, poszarzały ze strachu.

— Nie, Elias. Ty zostawić M'Bumbę. M'Bumba, zły duch!

Wbił palec w moją pierś, a następnie w pierś pozostałych dwóch.

— Ty, Elias, nie duch. Ty, nie duch. Ty, Montaignes, nie duch. M'Bumba — duch. Dużo niebezpiecznie. Dużo śmierć.

— Tak, Wodzu. Będziemy ostrożni.

— Nie! Duch niedobrze!

Widząc jego przerażenie Paulo uznał, że trzeba interweniować.

— Nasz Bóg strajkował — wyjaśnił. — To tłumaczy katastrofę, jakiej padliśmy ofiarą. Ale wrócił już do roboty i jego światłość spada na nas. Rozumiesz, wielki Wodzu? I możesz mi wierzyć, jest silniejszy od wszystkich duchów!

Wódz odrzucił wszelkie argumenty i oświadczył, że nie możemy wyruszyć na polowanie dopóty, dopóki ludzie Kuju nie zavezwą do nas duchów wrogich M'Bumbe.

— My zrobić uroczystość dla ciebie, ciebie i ciebie. Potem móc znaleźć M'Bumbę. Strzelby nic nie poradzić. Ty musieć mieć ochronę.

Wobec niepokoju Wodza i jego zdecydowania odmowa byłaby niegrzecznością, a nawet brakiem szacunku.

— Ty, ty i ty teraz przyjsć. Ja powiedzieć do wszystkich. Teraz pójsć do czarownika. Niedobrze, niedobrze dla Kuju. M'Bumba nas nie lubić. Ty przyjsć.

Ludzie ci mają wizję świata opartą całkowicie na wierzeniach i obyczajach, które wpływają na każdą decyzję, na każde wydarzenie, a nawet na każdą czynność dnia codziennego. Postępowanie wbrew tym wierzeniom oznacza złamanie porządku życia; należy zatem tego unikać. Cały ten kontynent, wiedzieliśmy to z doświadczenia, wręcz kipiał od różnych historii o czarach, opętaniach i truciznach. Nasza wioska nie była tu wyjątkiem i posiadała własnego czarownika, osobę niezastąpioną, wyrocznię w każdej sprawie, a w szczególności, gdy trzeba było walczyć z urokami, jak w tym przypadku.

Nasz komfort i spokój naszej siedziby uzależnione były od stosunków z ludźmi Kuju. Zawsze szanowaliśmy ich rytuały i staraliśmy się je zrozumieć.

— O masz — jęknął Paulo przyciszonym głosem — będą nam teraz zawracać dupy jakimiś uroczystościami. Trzy godziny mamy z głowy. Powiedz mu coś! Wymigaj się!

— Nie można odmówić. Obrażą się.

— Jeśli można... — wtrącił Montaignes. — Wydaje mi się, że tym razem chodzi o ceremonię szczególną. Jestem ciekaw, jak ludzie Kuju zwalczają wrogiego ducha.

Paulo zmierzył go wściekłym wzrokiem, westchnął, na próżno szukając wyjścia, i zrezygnowany poddał się:

— Niech będzie, wielki Wodzu! Zgoda na mszę, kiedy będziesz chciał.

* * *

Cała wioska ruszyła procesją w kierunku siedziby czarownika.

— O kurwa! — stwierdził Paulo. — To poważna sprawa. Kupa luda!

Kroczyliśmy ścieżką prowadzącą do lasu. Ludzie Kuju nie byli specjalnie wysocy, ale atletycznie zbudowani. Skórę mieli koloru węgla. Ich nogi, przyzwyczajone do wypraw przez dżunglę, były nadzwyczaj mocne i łukowate. Wojownicy mieli głowy wygolone lub pokryte bardzo krótkimi włosami. Większość nosiła na czołach opaski z czarnej skóry. Niewielu tylko wzięło ze sobą łuki, ale jak zawsze każdy niósł w ręku lub za paskiem od szortów maczetę.

Minęliśmy grupki kobiet, które szły bez pośpiechu. Miały krótkie włosy, obwisłe piersi, wokół talii i bioder owinięte kolorowe materiały i były wysmarowane korzenną esencją, której zapach unosił się wokół nich. Większość niosła niemowlęta, przymocowane do pleców płóciennym pasem.

Grupkami po czterech czy pięciu szli mali chłopcy. Często podchodzili, by dotknąć naszych rąk i cicho zaśmiewali się. Wielu młodych mężczyzn niosło na ramieniu bębny. Od czasu do czasu któryś z nich wybijał na swoim instrumencie werbel, tak dla wprawy.

Szliśmy tak dłuższy czas przez dżunglę i powietrze wokół było aż gęste. Okrzyki kobiet i dzieci, nagłe werble tam-tamów, wszystkie dźwięki nabierały tu specyficznego brzmienia. Wreszcie wyszliśmy na wykarczowaną, nasłonecznioną polanę, pośrodku której stał dom czarownika; kwadratowy, drewniany, pokryty dachem z blachy i palmowych liści. Wejścia strzegły dwa totemy z rzeźbionego drewna. Dom otoczony był obszernym kręgiem utworzonym przez wbite w ziemię pale.

Czarownik był starym przygarbionym człowiekiem, którego twarz o młodzieńczym wyglądzie miała łagodny i życzliwy wyraz. Przyjął nas z uśmiechem, kiwając z zadowoleniem głową.

— Dzień dobry! Dzień dobry!

Jego oczy były w nieustannym ruchu. Kiedy na chwilę wzrok jego spotkał się z moim, byłem zaskoczony bijącą zeń siłą: widziałem dwa błyszczące czarne punkty, wyrażające głęboką inteligencję. Facet miał oczywiste zalety, nakierowane na intensywną wewnętrzną pracę mózgowca. Ona to sprawiła, że jego oczy nabrały takiej siły wyrazu, której jakby się wstydził, szybko odwracając wzrok.

Tłum ustawił się tworząc wielki krąg wokół nas i spokojnie usiadł. Drzwi wejściowe domu prowadziły do bardzo wąskiego korytarza utworzonego z drewnianych palików. Były na nich zawieszane najróżniejsze amulety, zwierzęce skóry, a także ludzka czaszka umazana ziemią. Wystawione na słońce w przekrojonych na pół plastikowych baniakach suszyły się bukiety jakichś ziół. Czarownik przywołał nas ruchem dłoni i zniknął w wąskiej kiszce, która pełniła w jego chacie funkcję przedsionka.

— Dzień dobry! Dzień dobry! — zapraszał nas do siebie jedynym znanym sobie francuskim słowem.

* * *

Najpierw dotarł do nad hałas. Donośne i agresywne syczenie, które sprawiło, że ciarki mi przeszły po grzbiecie, zanim dostrzegłem jego źródło. W pomieszczeniu było ciemno i wilgotno. Wokół rozchodził się obrzydliwy, kwaśny smród. Na umeblowanie składały się jedynie drewniane posążki, przedstawiające postacie ludzi i zwierząt. Pomiędzy nimi, gdzie nie spojrzeć, kłębiły się długie ciała węży.

Zmartwiałem, nie dowierzając własnym oczom, dostrzegając nie tylko ogromne węże boa, potężne, lecz niegroźne, ale także grzechotniki i zielono-żółte żmije, których pełno było w okolicy; ich ukąszenie jest śmiertelne. Na odgłos naszych kroków gady te zaczęły pełzać, i teraz kłębiło się już we wszystkich kątach. Paulo przylgnął do mnie, klnąc pod nosem. Montaignes zrobił się biały jak własna marynarka.

— Dzień dobry! Dzień dobry!

Czarownik machał do nas, żeby iść za nim. Ruszyliśmy więc gęsiego jak po sznurku, unikając gwałtownych ruchów i z mocno ściśniętymi pośladkami.

Stary fakir zmiotł pył z maty leżącej na ziemi i uderzając dłonią w polepę dał nam znak, byśmy usiedli.

Uklękliśmy tak niewygodnie jak to tylko możliwe. Zdałem sobie sprawę, że gady otoczyły nas swoim kłębowiskiem, zachowując jednak stałą odległość. Znajdowaliśmy się pośrodku trójkątnej przestrzeni, wyznaczonej trzema z grubsza ciosanymi posążkami, poza które żadne z tych paskudztw się nie wysuwało. Zadowalały się wyciąganiem ku nam kanciastych łbów i spoglądaniem na nas tymi swoimi martwymi oczyma. Wyczuwało się, że nie są przyjaźnie usposobione.

Stary debil, nasz gospodarz, poszedł na drugi koniec pomieszczenia, a szedł tak, jakby zupełnie nie przejmował się węzami, jakby nawet o nich nie myślał. Napił się trochę wody, którą następnie z dużym hałasem wypluł, po czym rozpoczął coś w rodzaju ćwiczeń oddechu, z dużą siłą kolejno napędniając płuca powietrzem i opróżniając je. W miarę, jak tak oddychał, z głębi jego gardła wydobywać się zaczęła monotonna litania.

— Aram, Aram, Aram. Aram, Aram, Aram, Aram, Pssssssssh... Aram, Aram, Aram...

— Zanosi się na dłużej — zgrzytnął zębami Paulo.

Otarł pot z twarzy i piersi, ukradkiem rozglądając się dookoła.

— Kurwa! Niezbyt przyjemnie z tymi świństwami dookoła. W dodatku kolana bolą jak cholera!

— Aram, Aram, Aram...

Czarownik podniósł wazę wypełnioną białym, gęstym płynem. Przez kłębowisko węży przebiegł jakby dreszcz. Napędnął kubek i wypił zawartość długimi łykami. Wydał przenikliwy okrzyk i ponownie nalał sobie porcję. Jeszcze jeden okrzyk, jakby szczeknięcie małego psa, i tym razem napił się prosto z wazy, obficie wylewając płyn na piersi.

Jego skóra błyskawicznie pokryła się potem. Podszedł do nas i każdemu nalał po kubku swojej mikstury. Oczy wychodziły mu z orbit, jak dwa żarzące się węgle. Cały drżał, wydając dziwne okrzyki. Sam płyn był lepki, śmierdzący, gorzki i ostry w smaku. Stary czekał nam przed nosem, pilnował nas węże. Wypiliśmy, żeby go nie urazić...

W tej samej chwili na zewnątrz rozpętała się burza tam-tamów. Rozległy się szybkie i niewiarygodnie głośne werble, a chata stanowiła prawdziwe pudło rezonansowe. A może działała tak moja głowa?

Walili dookoła. Łoskot zdawał się dochodzić ze wszystkich stron, po czym zaczął się przemieszczać wokół domu. Pod wpływem hałasu wkrótce zacząłem mieć trudności z uporządkowaniem myśli. Nagle zdałem sobie sprawę z panującego upału. Koszulę miałem moką, kleiła mi się do ciała. Nie był to skutek słońca prażącego nad blaszanym dachem. Gorąco pochodziło od wewnątrz, od ognistej kuli, która sprawiała, że cały się gotowałem i ociekałem potem.

W ostatnim świadomym odruchu ogarnął mnie strach. Moje gardło zaczęło nagle palić. Gwałtownie puchło, było wysuszone, groziło mi uduszenie.

Co się działo? Jakie świństwo facet kazał nam wypić? To trucizna! Byliśmy w pułapce! Straciłem poczucie równowagi i popadłem w halucynacje.

* * *

Wszystko dostrzegałem już tylko we fragmentach, w przeblyskach, wśród szalonego bicia bębnow. Twarz czarownika, wykrzywiona w potwornym wrzasku, którego nie słyszałem, gwałtownie przybliżała się i oddalała. Choć on sam wydawał się być daleko, jego twarz rozrastała się niepomniernie i przyglądała mi się z bliska.

Niedostrzegalne zmiany jego rysów zamieniały jego twarz w odrażającą maskę zniekształconą grymasem, z olbrzymimi zębami, które rosły w mgnieniu oka; potem nagle twarz wracała na swoje miejsce tam, w kącie, nad małym zgarbionym ciałem, które pozostawało z tyłu.

Podczas krótkotrwałych przeblysków świadomości rejestrowałem walenie w bębny. Lecz ich bicie porывało mnie i unosiło w piekielnym transie, jak demoniczne i prymitywne dolby stereo. Wkrótce przestałem słyszeć jakiegokolwiek dźwięki. Pozostawały tylko karkołomne pętle, wyczyniane przez mój umysł pod wpływem wariackich rytmów.

* * *

Patrzyła na mnie głowa węża. Głowa dokładnie kwadratowa. Była ładnego przejrzystozielonego koloru, a pośrodku przebiegał żółty pasek, na którym rozróżnić mogłem poszczególne błyszczące łuski. Wzdrygnąłem się i upadłem w nieokreśloną pustkę do tyłu, kiedy języczek węża wystrzelił precyzyjnie w kierunku mojej twarzy. Ogarnęła mnie fala strachu i poczułem

się jak sparaliżowany, gdy żmija otworzyła paszczę. Wyraźnie dostrzegłem jej kły, ściekający strumyczek śliny i gardziel rozwartą jakby w krzyku. Wąskie oczka zahipnotyzowały mnie i poczułem, jak przenika mnie groźba zimnej, wykalkulowanej nienawiści.

* * *

I płynęło tyle krwi! Strumień krwi pochodził z mojej dłoni, z nacięcia, które wydawało mi się potwornie głębokie i rozległe...

Nie. To była jedynie mała strużka krwi. Czarownik skaleczył mnie i teraz trzymał mnie za rękę tak, że krew skapywała na posążek kobiety o nienaturalnie wielkim przyrodzeniu. Miętosił moją dłoń i pastwił się nad skaleczeniem. Niepokój powrócił. Dlaczego krew nie przestawała płynąć? Płynęła tak już od wielu godzin. Teraz skapywała na szarą kobiecą opaskę. Padały na nią ogromne jaskrawoczerwone krople, natychmiast wchłaniane przez materiał. Stary zboczeniec chciał mnie wykrwawić...

* * *

Paulo trzymał się oburącz za głowę, ogarnięty niewypowiedzianym cierpieniem. Po jego policzkach spływały wielkie łzy. Przyglądał się, nie wiadomo czemu, gdzieś bardzo wysoko, i konwulsyjnie coś szeptał. W każdym punkcie pokoju widniała głowa węża, czarna, czerwona, albo taka ładna przejrzyściezielona, i patrzyła na mnie nieruchomo.

Montaignes, z ręką uniesioną do sufitu, deklamował coś. Chciał przekrzyczeć bębny, lecz z jego ust nie wydobywał się żaden dźwięk. Okulary opadły mu na sam czubek nosa. Oczy miał czerwone jak albinos. Z jego wzniesionej ręki także nieustannie płynęła strużka krwi.

Otrzymałem cios w tył głowy.

Wielki biały błysk i nic więcej.

Przebudziłem się, jakbym wynurzał się z czegoś bardzo czarnego. Przez kilka minut pozostawałem nieruchomo, bezmyślnie patrząc na sufit z przeplatanych palmowych liści. Nie byłem w stanie wykonać najmniejszego ruchu ani nawet w myślach wydać polecenie jakiegokolwiek gestu, tak sztywne miałem ciało.

Powoli wracało czucie. Rozpoznałem sufit, potem byłem już w stanie otrzeć sobie twarz i wyprostować się pod moskitierą. Natychmiast pojawiły

się wszystkie symptomy kolosalnego kaca. W dodatku czułem ostry ból w ręce, na której się podparłem.

Obie dłonie miałem rozcięte na całej szerokości, prawie u nasady palców. Były to dwa nacięcia uczynione za jednym zamachem, i z pewnością przy użyciu maczety. Stopniowo wracały strzępy wspomnień poprzedniego dnia, obrazy węży i dźwięki bębnow.

Obejrzałem swoje ciało pojękując, sprawdziłem w lustrze twarz, nie stwierdzając specjalnych spustoszeń, po czym stanąłem przy oknie. Nad rzeką był już jasny dzień. Osowiały spędziłem długą chwilę na bezmyślnym gapieniu się w zieloną wodę. Od czasu do czasu z niedowierzaniem spoglądałem na okaleczone dłonie. W końcu zdołałem wypowiedzieć trzymające się kupy zdanie:

— Wszyscy powariowali w tej okolicy!

Paulo ryczał:

— Kutasowski burdel! Co ty mi tu opowiadasz!

Usłyszałem go, zanim dotarłem na taras, gdzie siedział przy stole z Montaignes'em. Dołączyłem do nich ciężko wzdychając. Paulo potrafił być bardzo męczący dla kogoś, kto przede wszystkim potrzebował spokojnie zjeść śniadanie i napić się gorącej kawy.

A kutasowski burdel należał do jego typowych przekleństw z kategorii „*Wielki Gniew*”.

— O mało nas nie otruł, do jasnego chuja! Ty byś mu na to pozwolił, do cholery! Żeby zobaczyć gwiazdy, wypiłbyś byle co! A! Jesteś wreszcie! — rzucił w moją stronę zamiast powitania. — Dobrze się składa. Wiesz, co on wygaduje?

Ojoj! Zwracał się do mnie. Montaignes, zachwycony okazją wymknięcia się spod ostrzału, tchórzliwie pochylił się nad swoim kubkiem kawy.

— Opowiada mi, że przeżywamy tu wzbogacające doświadczenia.

Wzbo-ga-ca-jące! Ten stary wariat chciał nas zabić tymi swoimi gadami i miksturami! Nawet nie mogłem już złapać oddechu! I gorąco mi było, jakbym był w piekle!

Ciskał się ze wzniesionymi obiema rękami, rozwścieczony, z wytrzeszczonymi oczami, a jego złość nieustannie rosła.

— A ta historia z maczetą po dłoniach? Może uważasz, że to normalne? Wzbogacające? Sukinsyn! Masochista! Narkoman! Co za cholerny burdel, Montaignes! Co ty w ogóle masz w głowie?

— Dosyć już tego! Daj mi spokój!

Montaignes walnął kubkiem w stół. Z jego strony był to niecodzienny objaw zdenerwowania. Jego bladość, malutkie oczka i wymięte ubranie, w którym najwyraźniej przespał noc, wskazywały, że także jest w złym humorze. Paulo denerwował go, choć Montaignes zmuszał się do zachowania spokojnego tonu.

— Mówiłem ci po prostu, że przeżyliśmy doświadczenie z halucynacjami, coś niezwykłego. Ten płyn, który wczoraj piliśmy, to jakiś kompot. Za pomocą paru ziół i garnka temu facetowi udaje się sporządzić coś równie mocnego, jak LSD, wywołującego podobne efekty psychotropowe. I to właśnie jest niesamowite.

— Bzdury! Że ty lubisz się narkotyzować, nie oznacza jeszcze, że wszyscy...

— A to wywoływanie ducha? To fantastyczne! Wspaniale! Montaignes przyjrzał się nam kolejno, podciągnął okulary na nosie i złączył dłonie ruchem starego profesora.

— Rozumiecie, na czym polega to doświadczenie? Czarownik wezwał ducha i sprowadził go do nas drogą krwi. Przeżyliśmy inicjację! Jesteśmy teraz ujemną siłą M'Bumby, jedynymi, którzy mogą mu się oprzeć. Zrozumieliście?

— To wszystko jakieś pieprzenie! Bełkot! Co, Elias? Ty mu coś powiedz...

* * *

Kłótnie i urazy trwały przez kilka godzin. Spędziłem je myśląc o czymś innym, nie mając ochoty się do tego mieszać. Kompot? Odjazd? Faktycznie określenia te najlepiej pasowały do mikstury, jaką przyrządził nam czarownik. Na tym kontynencie to nic nadzwyczajnego, tu ćpa się na potęgę, szczególnie w bardziej odległych okolicach. Zejście Wielkiego Ducha do naszych nędznych cielesnych powłok? Taki był niewątpliwie cel fakira.

W tej okolicy plemiona podlegają prawom wudu. Tego samego wudu, który dotarł z niewolnikami aż na Karaiby. Wudu umieszcza duchy w każdej rzeczy, zawsze gotów jest wymierzyć karę lub wykręcić paskudny numer. Jest

niesamowicie potężny i wymyka się wszelkiej ludzkiej kontroli. Ale można go przemieszczać, „wślizgiwać” w obojętnie jaką rzecz, zwierzę lub człowieka, jak baterię elektryczną, którą umieszcza się w jakimś urządzeniu. I ta właśnie energia może na przykład leczyć choroby, a także, jak mówią, ożywiać zmarłych.

Wiele podróżowałem i przeżyłem liczne uodporniające doświadczenia. Szkoda czasu na opowiadanie mi o wierzeniach w jakiegoś boga albo w jakąkolwiek siłę dobra. Idę przez życie według swoich własnych zasad: starając się nie czynić wokół zbyt wiele zła. Jestem bowiem przekonany, że życie jest jedno i że trzeba je wykorzystać od razu. Religie, legendy, tamten świat, duchy, a zwłaszcza tajemne nauki, wszystko to dla mnie bajki.

Ale w Afryce, muszę to przyznać, dzieją się rzeczy dziwne. Mam pewne doświadczenie w sprawach tego kontynentu i stwierdziłem tam, w większym stopniu niż gdziekolwiek indziej, liczne przypadki otruc, ciemnych spraw, uroków prowadzących do śmierci z nie wyjaśnionych przyczyn. Byłem również świadkiem licznych transów i dziwnych napadów opętania.

To pewne, w Afryce są różne tajemnice.

* * *

Mała przytuliła się do mnie, ujęła moje dłonie i pogratulowała mi przesuwając swój drobny paluszek po ranach. Swoją łamaną francuszczyzną mówiła mi, że jestem Wielkim, bardzo Wielkim Duchem, i ocierała się o mnie, zaczepna i pełna udawanego podziwu.

— Ja robić. Ty czekać, nie ruszać się.

Zakrzętnęła się w kuchni, ucierając! mieszając wonne zioła i kawałki ogromnych orzechów, przy czym kręciła swoją małą pupką w sposób nieznośny.

— Czekać. Ja leczyć.

Wkrótce uzyskała jasną, płynną papkę podobną do kleju. Robiąc liczne minki i zaśmiewając się, zmusiła mnie do zanurzenia bezpośrednio w niej dłoni i długo masowała obie moje rany opuszkami kciuków.

— Ty teraz wszystko dobrze. Ty ręce do góry, nie ruszać się! I z cichym śmiechem pozostawiła mnie tak jak pokutnika, z dłońmi wzniesionymi w powietrzu, oczekującego, aż mikstura wyschnie, a sama zabrała się do leczenia pozostałych dwóch Wielkich Duchów.

Kiedy tylko lakier zaczął się łuszczyć, przestałem odczuwać jakikolwiek ból. Jeszcze tego samego wieczoru, ku naszemu wielkiemu zdumieniu, na dłoniach pozostały tylko białe kreski, ledwo wyczuwalne. Naturalnie Mała odmówiła wszelkich wyjaśnień, oświadczając jedynie, że czarownik dziś rano kazał komuś przynieść przed próg naszego domu pewne składniki cudownej maści.

* * *

Potem nastąpił alarm bojowy. Już skoro świt Paulo był na przystani, ciskając się wśród gromadki roześmianych ludzi Kuju, w ogólnym rozgardiaszu krzyków, bieganiny i stosów skrzyń.

Dla Starego, który sam mianował się szefem intendencji, nadrzędna reguła wszystkich naszych wypraw została raz na zawsze ustalona:

— Dżungla, zgoda. Ale ma być sucho pod dupą i żadnego robactwa. Ma być komfort!

A ponieważ polowanie na M'Bumbę różniło się od zwykłych wypadów, jako że był to taki nasz mały luksus, Paulo nie zamierzał robić oszczędności. Zgodnie z nowymi zasadami, głoszącymi, że *„tym razem nie mamy najmniejszego, ale to najmniejszego zamiaru się nudzić”*, główny intendent opróżniał magazyn faktorii.

* * *

Wyruszyliśmy trzema pirogami, największymi, jakimi dysponowaliśmy. Były to lekkie łodzie długości około dziesięciu metrów, każda wyrzeźbiona z jednego pnia drzewa, szerokie i wyposażone w silniki czterdziestkiptki. Dwie by wystarczyły, ale Paulo chciał jedną przeznaczyć wyłącznie na potrzeby kuchni i transport jedzenia, bo podczas poprzednich polowań wielokrotnie już uskarżał się na brak pod ręką *„pływającej stołówki”*.

Ponadto musieliśmy zabrać mały generator, dwudziestopięciokilowe dzwono mięsa, wielką dwustulitrową beczkę ropy, skrzynię z narzędziami... No i oświetlenie: gazowe lampy z dziesiątkami zapasów, latarki elektryczne, pudełka z bateriami oraz zestaw pięciu potężnych reflektorów, każdy z osobnym trójnogiem.

Do kuchni mieliśmy dwie kuchenki gazowe i zapasowe butle, całą rozdętą baterię kotłów, garnków i różnych innych naczyń. Aby mieć *„sucho pod dupą”*, zabraliśmy dziesiątki metrów plandek i plastikowych osłon,

składane łóżka polowe z brezentu khaki rozpiętego na drewnianych kołkach, a także — a jakże! — dopasowane do nich materace, śpiwory i wojskowe koce. Mieliśmy zadziwiającą moskitierę, obszerną niczym sklepienie kościoła, która wieczorami miała nam pozwalać na zabezpieczenie przed owadami całego obozowiska. Oprócz tego każdy z nas miał swoją własną, nie licząc zapasowych. Wyposażenie uzupełniały stoliki kempingowe, składane krzesła, maczety, łopaty, młotki, ostre narzędzia, mydła, szampony i szczoteczki do zębów.

Jedzenie, zapakowane w kilku żelaznych kufrach i w niezliczonych jutowych workach, zajmowało ogromną przestrzeń. Paulo zabrał wszystkie puszki konserw, kilogramy ryżu, makaronu, cukru, oliwy, kawy i innych rzeczy, o których już nie wspomnę. Kazał także załadować skrzynkę Chateau–Monbrisac rocznik 1976. Znaleźliśmy to wino, zupełnie wyjątkowy trunk, na czarnym rynku w Brazzaville. Zapewne pochodziło od jakiegoś notabla, któremu francuski oficjał dał drobny upominek, a ten właśnie potrzebował pieniędzy...

Na nasz arsenał składały się liczne noże i dwadzieścia pudełek całkowicie lub częściowo opancerzonych pocisków z ładunkiem nitro. No i, upakowane w wodoszczelnej skrzyni, trzydzieści lasek dynamitu z zapalnikami.

Trzydzieści? Byłem zaskoczony, ale Paulo odpowiedział mi, odwracając wzrok, że były potrzebne do łowienia ryb. Ryb? Fakt, że w rzece roiło się od wielkich, pysznych ryb, ale jedna jedyna laska zapewniłaby nam filetów na dwa tygodnie. Ryby nie były jedynym wytłumaczeniem.

Prawda była taka, że Paulo lubił wielkie wybuchy. Podczas wszystkich przygód, jakie wspólnie przeżyliśmy, zawsze musiał coś wysadzić w powietrze. No ale w końcu tym razem ruszaliśmy jedynie na polowanie. Nie była to nawet wyprawa. Raczej safari. Czy takie ilości dynamitu nie stanowiły pewnej...

— Lepiej za dużo niż za mało — uciął Paulo.

I więcej nie powrócił już do tego tematu. Stary zabrałby nawet czołg, gdybyśmy taki mieli w magazynie.

Były też oczywiście trzy karabiny, gotowe do załadunku, w nierdzewnych futerałach. By polować na słonie, człowiek zmuszony był wynaleźć broń dużego kalibru, jednostrzałową, ale o wielkiej prędkości początkowej i ogromnej mocy. Bo słonia nie daje się zabić podstępnie! Trzeba strzelać

stojąc naprzeciw niego, żeby trafić w czaszkę, podejść na mniej niż dwadzieścia metrów, a on wtedy człowieka widzi. Nie ma to nic wspólnego ze spokojnymi i egzotycznymi słoniami z kenijskich rezerwatów. Na człowieka rzuca się góra mięśni, wielka jak ciężarówka, wściekła i dzika, opętana instynktem zabijania.

Słoń jest królem zwierząt. Z całej fauny jest najpotężniejszy, najinteligentniejszy, a jego siła nie ma sobie równych. Nawet wielkie drapieżniki dają mu spokój, pod groźbą bezlitosnego stratowania i rozerwania na strzępy.

Toteż broń mieliśmy doskonałą: Weatherby 478, ogromnej mocy, ulubiony karabin Paula. Ja miałem Winchestera Express. W rękach Montaignes'a wylądował zwykły Winchester 375. Wszystko to broń pewna, szybka, potężna; nie istnieje nic lepszego.

* * *

Pirogi były gotowe późnym popołudniem. Wyjazd przewidziano nazajutrz o świcie. Podczas gdy zamocowywano ostatnie ładunki, w powolnym tempie końca dnia przystąpiliśmy do werbunku. Przede wszystkim potrzebowaliśmy sprawnej intendentury. Tylko dobra organizacja pozwala na uniknięcie materialnych problemów, takich jak Moskity, pasożyty, wilgoć znad mokradeł i wycieńczenie wywołane całodziennym tropieniem. Potrzebowaliśmy do tego co najmniej dwóch osób.

Paulo i Montaignes chcieli dobrze jeść. Ja też byłem za. Zaangażowaliśmy więc jednomyślnie Małą. Była młoda, ale potrafiła gotować i to w dodatku tak, jak lubiliśmy. Ponadto miała wrodzoną znajomość dżungli i czuła się w niej zupełnie swobodnie. Wreszcie sama poprosiła Paula, żebyśmy ją zabrali, i w razie odmowy rozpętałoby się piekło.

Do pomocy na tym stanowisku przydzieliliśmy jej Octave'a. Nie był to może najlepszy nabytek, ale pod rozkazami Małej mógł okazać się pożyteczny. Poza tym mieliśmy go pod ręką. Paulo przeciął dyskusję oświadczając, że udział u naszego boku w ekspedycji będzie dla Tatave, jak go nazywał, bardzo pouczający.

I Tatave wyruszył z nami, niestety!

* * *

Początkowo mieliśmy zamiar wziąć na tropicieli ludzi Kuju. Zналиśmy w wiosce czterech czy pięciu, z którymi pracowaliśmy już wcześniej. Udaliśmy się więc do Wodza, zgodnie ze zwyczajami, by prosić go o powierzenie nam dwóch swoich chłopców, na zwykłych w takich przypadkach warunkach i z odpowiednim uposażeniem.

Ale w wiosce trwały prace. Nad rzeką stojące po kolana w błocie kobiety formowały wielkie lepkie cegły, które mężczyźni przynosili i montowali. Wszędzie widać już było zaczątki ścian. Wszystkie grupki, które nas pozdrawiały, pochłonięte były pracą. Nie mogliśmy pozbawiać Wodza dwóch ludzi w chwili, gdy potrzebował każdego z nich. Zrezygnowaliśmy i zamieniliśmy nasz spacer w kurtuazyjną wizytę. Weźmiemy na tropicieli dwóch spośród Małych Ludzików, którzy żyją w dżungli nieco dalej z biegiem rzeki..

* * *

Wódz przybył na przystań o świcie, kiedy zabieraliśmy się do odpłynięcia. Był w otoczeniu ośmiu wojowników, którzy natychmiast odłożyli łuki i weszli do wody, by pomóc odciągnąć pirogi od brzegu.

— Żegnaj, Wielki Wodzu! — rzekłem do niego z pokładu łodzi. Kiedy tak patrzyłem na niego, monumentalnych rozmiarów, wprawiającego swoim ciężarem w drzenie całe molo, ogarnęło mnie przeczucie, że być może odchodzę na dłużej, niż zamierzałem.

— Uważaj na wszystko, dobrze, Wielki Wodzu? Powierzamy ci nasz dom.

— Tak, tak! Ty uważać M'Bumba.

— Ależ tak, ależ tak! — krzyknął Paulo, najwyraźniej zaniepokojony, że szykuje się nowa ceremonia. — Będziemy uważać. Obiecuję.

Wojownicy wypchnęli pirogi na otwartą wodę. Przez chwilę płynęliśmy z prądem. Niebo było ciemnoniebieskie, zapowiadał się piękny dzień; chłodny i cichy. Woda była gładka i całkowicie spokojna.

Oddalaliśmy się. Stojący na przystani gigantyczny Wielki Wódz machał nam ręką i śmiejąc się pokazywał na swój zegarek.

Paulo zapuścił silnik.

CZEŚĆ DRUGA

Od trzech kwadransów stałem na dziobie pirogi, przed ładunkiem, obserwując brzegi i odczuwając coś jakby początek niepokoju. Od kilku dni płynęliśmy w górę rzeki Sangha, szerokości około trzydziestu metrów, której wody o zachodzie słońca przybierały kolor ciemnej butelkowej zieleni. Przez pewien czas płynęliśmy przez nieprzyjemną strefę mokradeł, pełną meandrów i łąch. Tutaj brzegi były już gładkie i za nimi rozciągała się żółta sucha sawanna, na której tu i ówdzie widać było drzewa. Zachodzące słońce oświetlało tę rozległą nizinę ognistymi blaskami.

— Tam, Paulo! Tam, na tym cypelku!

Z brzegu wchodził w wodę dziesięciometrowy przylądek. Można było dostrzec zakole otoczone gołą ziemią, stanowiące naturalną przystań dla naszych pirog. Paulo dostrzegł już to miejsce i przesunął ster. Trzy pirogi dopłynęły do brzegu i wyciągnęliśmy je do połowy.

Wszyscy przecierpieliśmy ostatnie trzy dni. Powszechne było pragnienie komfortu i odpoczynku, toteż każdy, zaciskając zęby, żwawo zabrał się do przygotowania obozu. Najpierw rozpalone zostały ogniska na kuchnię. Mała, która wraz ze stanowiskiem intendenta zyskała nowy autorytet, nieustannie pokrzykiwała na Tatave cienkim i donośnym głosem, zirytowana, że chłopak nie rusza się dostatecznie szybko. Pomstując bezustannie, oświetlona płomieniami ognisk, krzątała się nad kotłami. Tatave, który znosił jej rzeczy z pirogi, zataczał się pod ciężarem ładunku i widać było tylko jego nogi przebierające pod stosem paczek.

Małe Ludziki, nasi dwaj tropiciele, czyścili okolicę wielkiej sosny rosnącej niecałe dwadzieścia metrów od brzegu, szykując miejsce na obozowisko. Biegając jak krasnale na swoich krótkich nóżkach odciągali wielkie martwe gałęzie i hałasowali, by wypędzić z okolicy wszelkie żywe stworzenia.

Przez ten czas Montaignes, Paulo i ja bez słowa podzieliliśmy między siebie rozładunek. Siedzący w pirodze intelektualista podawał nam dziesiątki kufrów, worków i innych przedmiotów, które nosiliśmy pod wielkie drzewa. Odległość nie była duża, ale to chodzenie tam i z powrotem szybko zamieniło się w mękę. Byłem zlany potem i żarły mnie komary, brakowało mi sił. Ciągle

natykałem się na Paula, zgiętego pod ciężarem, pocącego się i mamroczącego przekleństwa. Ostatnie trzy dni kosztowały nas sporo fizycznego wysiłku i zaczęliśmy porządnie odczuwać zmęczenie.

Po zakończeniu przenoszenia rzeczy Paulo wezwał Małe Ludziki i posłał je na drzewo, by rozpięły wielką moskitierę. Dla Montaignes'a i dla mnie był to wyścig z zapadającą nocą. Trzeba było wokół obozu rozmieścić pięć reflektorów, pozawieszać girlandy żarówek, rozwinąć dziesiątki metrów kabla, wszystko to podłączyć i doprowadzić prąd z generatora, który został na pirodze. Silnik zapalił natychmiast, kolejno rozświetlając reflektory. Moskitiera błyszczała pośrodku tego kręgu światła jak wielki namiot z białego tiulu. Nasze sylwetki rzucały fantastyczne cienie. Nie będziemy musieli jeść po omacku...

Teraz ciepła i relaksująca kąpiel w rzece, dobry posiłek zjedzony w milczeniu, przerywany jedynie westchnieniami rozkoszy, butelka Chateau-Monbrisac, i wszyscy pośpieszyli do łóżek.

Dopiero nazajutrz rano. o świcie, odkryłem raj na ziemi, w którym znaleźliśmy gościnę. Proszę sobie wyobrazić nie kończącą się nizinę, nieco przypominającą gigantyczne pole pszenicy, lecz o nieco ciemniejszym odcieniu. Rzeka płynęła prosto, spokojna i zielona. Odległy horyzont ginął w drgającym z gorąca powietrzu.

Woda w naszej małej zatoczce była szczególnie spokojna. Długonogi biały ptak, który brodził w niej łowiąc ryby, na mój widok odleciał. Potężnymi uderzeniami skrzydeł sunął tuż nad wodą, by zniknąć w końcu gdzieś za rzeką.

Siedząc w kucki nad resztkami ogniska, na matach położonych bezpośrednio na ziemi, dwa Małe Ludziki szczebiotały w swoim dziwacznym narzeczu. Podobnie jak każdego ranka wstały przed wschodem słońca, by ruszyć na polowanie, i powróciły z wielkim szarym indykiem, z dużą raną postrzałową pod skrzydłem. Małe Ludziki to doskonali myśliwi. Bardzo celnie strzelają ze swojego garłacza do zwierzyny, którą wcześniej zręcznie wykryły i podeszły. Ruszają na polowanie tylko z dwoma nabojami i najczęściej jeden z nich przynoszą z powrotem.

Mała, która już od pewnego czasu w milczeniu krzątała się przy kuchni, przyniosła mi wielki kubek gorącej słodkiej kawy. Łapię jakiś fotel i sadowię

się twarzą do słońca, zdecydowany niczego nie stracić z otaczającego mnie krajobrazu.

* * *

Trzy ostatnie dni stanowiły trzy ciężkie etapy. Od początku podróży płynęliśmy w górę rzeki Sangha, która wkrótce, po paru godzinach, zamieniła się w obszerne mokradła: ogromną przestrzeń, pokrytą trawiastymi wysepkami, które oddzielały meandry często okazujące się jedynie wąskimi strumyczkami, przerywanymi od czasu do czasu wielkimi i zdradliwymi błotnistymi kałużami, a ominięcie ich wymagało wiele wysiłku. Gdzieniegdzie posuwanie się naprzód utrudnione było przez nieprzebyte gąszcze krzewów o korzeniach głęboko wczepionych w błoto, a wilgotne powietrze przylepiało ubrania i włosy do skóry. W ciągu dnia, szczególnie w czasie pierwszych godzin popołudniowych, słońce zapamiętało usiłować nas ugotować.

Sunęliśmy naprzód pokonując trasę krótkimi etapami, płynąc przez nie więcej niż godzinę lub dwie, po czym ruszaliśmy pieszo w głąb łądu; wracaliśmy po dwóch godzinach i zaczynaliśmy nową wycieczkę. Były to długie marsze w błocie, wyczerpujące i nawet niezbyt ciekawe.

Oczywiście trafialiśmy na ślady. Właściwie nie było tam nic innego: ślady o średnicy osiemdziesięciu centymetrów, Rozgniatane krzaki, szerokie korytarze wydeptane wśród krzewów. Ale zwierzę wyprzedzało nas z takim zapasem, że nie mogliśmy go dogonić. Najwyraźniej zdecydowanie postanowiło iść w kierunku północno-zachodnim, wzdłuż rzeki, od której nigdy zbytnio się nie oddalało. Podobnie jak my widocznie nie miało ochoty, by wiecznie tkwić na tych mokradłach.

By podążać za nim i zmniejszyć odległość, zmuszeni byliśmy maksymalnie skrócić nocne postoje. Plastikowy worek, śpiwór ani czas, ani teren nie pozwalały na urządzenie obozowisk. Sen w tak niewygodnych warunkach nie przyniósł nam ani razu odpoczynku od chwili wyruszenia. Na nowo odkrywaliśmy tysiące drobnych niedogodności ekspedycji, przemoczone ubrania, zamoknięte zapalki, śmierdzące skarpetki i ataki komarów, mnóstwo szczegółów, o których nigdy nie pamięta się po powrocie do cywilizacji.

Od wczoraj weszliśmy na tereny bardziej suche i bardziej gościnne. W ciągu dnia dokonaliśmy trzech wypadów i znaleźliśmy ciepłe jeszcze odchody

M'Bumby. Nabraliśmy więc przekonania, że był gdzieś w okolicy. Potwierdzały to Małe Ludziki. Zarówno dla niego, jak i dla nas była tu wreszcie okolica przyjemna po mokradłach, które wszystkim zalazły za skórę. Zwierzę z pewnością przez jakiś czas będzie odpoczywać w tych sawannach.

Całe szczęście, że Małe Ludziki były z nami! W terenie nic nie zastąpi pomocy tubylca. Pozwolić mu pracować, to najlepszy sposób na uniknięcie głupstw. Całkowicie w swoim żywiole, biegając tu i tam, Małe Ludziki, jak się wydawało, odnajdywały ślady M'Bumby na nosa — w każdym razie dużo lepiej, niż my potrafilibyśmy to zrobić — i pozwalały nam uniknąć wielu zbędnych wysiłków.

Żeby spotkać Małe Ludziki, trzeba było zatrzymać się w małej zatoczce na rzece Sangha, oddalonej o osiem godzin wodą od wioski Kuju, czyli na skraju dżungli, i czekać. Wkrótce nadchodziły. Uczyniliśmy tak więc i my.

Zgodnie z przewidywaniami, po niecałej godzinie oczekiwania, powiadomieni świetnie działającą sygnalizacją, pojawiły się przed nami wychodząc z dżungli. Było ich około czterdziestu, bardzo niscy, o krótkich nogach i czarnej jak węgiel skórze, kobiety i mężczyźni razem, a gołe dzieciaki biegały dookoła. Przyglądały się nam szczebiocąc, nie robiąc kroku dalej, i dawały nam jakieś znaki.

Widywaliśmy ich już parę razy podczas wcześniejszych ekspedycji. Podejrzewam, że ich plemię składało się właśnie z tej czterdziestki. Ludzie Kuju mieli na nich określenie nie do wymówienia, które w ich narzeczu znaczyło Mały Ludzik. Taką też nazwę dla nich przyjęliśmy. Według Montaignes'a byli zupełnie inni niż Pigmeje.

Paulo uważał, że dowcipne jest zwracanie się do nich per wielkoludzie: „*Cześć, wielkoludzie! O! wielkoludzie, ty też przyszedłeś!*”, ściskając wszystkim dłonie, co ich rozśmieszało i jeszcze wzmagало ich szczebiot.

Mieli twarze bardzo prymitywne, kanciaste: mocno spłaszczony nos, kwadratową i wystającą szczękę, duże ciemnoczerwone usta, włosy krótkie i kręcone. Ciemne, błyszczące i ruchliwe oczy położone były głęboko za wysuniętymi kośćmi policzkowymi i pod ogromnymi łukami brwiowymi.

Mieli na sobie tylko stare szorty albo kawałki materiału w charakterze przepasek. Kobiety były jeszcze mniejsze niż mężczyźni, za to obdarzone nieproporcjonalnie wielkimi zadkami. Nosiły też dłuższe włosy, choć twarze ich były jednakowo tępe. Ich płaskie piersi zwisały nad brzuchem. Stopy

miały takie same jak mężczyźni, szerokie, szorstkie, z niesamowicie wielkim dużym palcem. Niektóre zalotnie obnosiły się z kolorową przepaską, ale większość nie miała niczego.

Mężczyźni uzbrojeni byli w dzidy, krótkie oszczepy z twardego drewna, zakończone prymitywnymi metalowymi ostrzami. Tylko jeden, barczysty facet z nogami jeszcze krótszymi niż u reszty, nosił strzelbę. Był to kaliber 12, najeżony kawałkami żelastwa, stara pukawka o kolbie noszącej ślady licznych i trudnych przejść; zapewne pozostałość jakiejś odległej kolonialnej historii.

Do niego też się zwróciliśmy, mówiąc łamanym francuskim do Małej, która tłumaczyła na Kuju, prosząc o dwóch ludzi na czas polowania. Natychmiast zaproponował własne usługi i wskazał też, swego syna, czarnego, krótkonogiego faceta, który równie dobrze mógłby być jego bratem bliźniakiem. Chcieli zapłaty w nabojach stanowiących dla nich cenny towar. Cena taka odpowiadała nam i oba Małe Ludziki natychmiast objęły swoje funkcje.

* * *

Dobrze przespana noc postawiła mnie na nogi. Cieszyła mnie bliskość M'Bumby i perspektywa nadchodzącego dnia spędzonego na tropieniu, emocjach i walce, by go zabić. Wiedzieliśmy, że jest tuż-tuż, że łązi tu i ówdzie po sawannie. Na jego terenach rzuciliśmy kotwicę.

Siedziałem sobie w fotelu drzemiąc na słońcu. Myślałem o myślistwie, które jest szlachetną sztuką, i nie dawałem wiele za życie M'Bumby.

— Uprzedzam cię, że będę odpoczywał!

Tymi słowami Paulo powitał mnie po swoim przebudzeniu, i w ten sposób zostało postanowione, że dzień będzie świąteczny i że nie ma nic innego do roboty, jak tylko korzystać z rajy.

Powierzyliśmy więc nasze brudne rzeczy Małej, która wszystko razem zamoczyła w rzece; umyliśmy się i ogoliliśmy w zatoczce, odpowiednio do naszego obrazu wielkich myśliwych na postojach, poczym przeszliśmy się po obozowisku w charakterze nowych właścicieli i ustaliliśmy, co należy w nim zrobić, gdybyśmy mieli tu pozostać; pograliśmy w kule na skraju sawanny do chwili, gdy słońce zaczęło zbyt mocno przypiekać, po czym schroniliśmy się w cieniu drzewa, wśród naszych rzeczy, przyglądając się rzece; zjedliśmy obfity posiłek i wypiliśmy butelkę Monbrisac, która trzymana od rana w rzece

dotarła na stół schłodzona jak się patrzy... po czym nie pozostało już nic do roboty i zaczęliśmy się nudzić.

Groziło nam, że Montaignes pograży się w lekturze. Paulo odbył małą poobiednią drzemkę, a po przebudzeniu ogłosił, że będziemy graли w karty.

Rozpoczęła się długa i senna partia, w trakcie której nie uważałem, zainteresowany wydarzeniami rozgrywającymi się za plecami Paula. Dokładniej, ponad jego ramieniem. Tuż obok jego głowy widziałem Małą, która prała naszą bieliznę, stojąc nago w rzece. Na przemian zanurzała materiał i tarła go, schylając się i prostując w regularnym, powolnym i spokojnym rytmie, zgodnym z monotonnym ruchem wody. Kiedy pochylała się, zanurzając ramiona w wodzie, przegięte plecy podkreślały jej krągłe pośladki, a końce piersi muskały powierzchnię rzeki, co składało się na pozycję tyleż zabawną co podniecającą. Jak magnes przyciągało to mój wzrok i nie mogłem oderwać oczu od powolnych ruchów tych piersi: krągłych, spiczastych, o idealnie kobiecych kształtach, które dumnie prężyły się w słońcu.

— Grasz, czy nie? O czym ty myślisz? Czekamy na ciebie!

Paulo irytował się i słusznie zarzucał mi, że nie myślę o grze. Pierwszy raz zdarzyło się, żeby Mała przyciągnęła mój wzrok, przynajmniej w takim sensie. Była dla mnie dzieckiem i tak ją traktowałem, a tu nagle odkrywałem w niej kobiece wdzięki i powaby, których dotąd nie spostrzegłem.

Byłem oczarowany. Jest taki krótki okres, kiedy wiek dojrzewania osiąga w przyrodzie szczyt piękna i kobiecości, otwierając dopiero okres uwodzicielski. Wdzięki są już dojrzałe, ale nigdy jeszcze nikt ich nie dotknął. Są do wzięcia. Mała osiągnęła właśnie ten stan kwitnienia.

Wyczuła, że ją obserwuję, i z obojętną miną śledziła, mnie teraz kątem oka. Jej ruchy stały się bardziej zamaszyste. Dodawała coś do nich, było ledwo wyczuwalne, lecz zauważyłem to.

— Małej się tak przyglądasz? Co ci jest? Nie podoba ci się, jak pierze? A może ma jakieś atuty? Nie? Dobra, a ty masz jakieś atuty? No to wyłóż je, marzycielu!

Posłałem Małej uśmiech, machnąłem do niej przyjaźnie i usiłowałem zająć się grą. Aby przepędzić z pamięci jej obraz, starałem się przekonać samego siebie, że mój podziw miał charakter czysto estetyczny, tak jak

spojrzenie malarza. Ale nie mogłem nic poradzić, że gdzieś w głębi duszy jakiś głos krzyczał, że jestem zwykłą świnią.

Paulo po raz ostatni smarował swój ukochany Weatherby 478, w zachwycie wsłuchując się w szcęk doskonale naoliwionego kurka. Montaignes, nie w pełni jeszcze rozbudzony, ziewając słuchał jego kazania na temat najlepszych sposobów zabijania.

— Jest już nasz — mówił Paulo ryglując zamek. — Jest w tej okolicy. Dziś po południu wytropimy, gdzie się ukrywa, a wtedy...

— Dziś po południu... — powątpiewał Montaignes, rozbawiony jego przechwałkami, nieomylnym znakiem dobrego nastroju Starego. — Czy nie przeceniasz trochę...

— Nic podobnego! Zrozumiesz, jak staniesz się prawdziwym myśliwym. Powiesz sobie: „*Stary Paulo nigdy nie rzucił słów na wiatr*”. Jak ci mówię, że go załatwimy, to go załatwimy!

Ostatni kubek kawy. Paulo nie przechwalał się. Wszystkie atuty myśliwego były w naszych rękach. Zwierzę łąziło po okolicy, do której mogliśmy dotrzeć przed końcem dnia. M'Bumba, podobnie jak każdy inny słoń na jego miejscu, nie miał szans na przeżycie.

Wyruszyliśmy o świcie, w momencie kiedy budzi się przyroda. Najpierw był długi spokojny marsz przez sawannę, jakby na rozgrzewkę, by dotrzeć do ostatniego śladu, jaki znaleźliśmy, i podjąć sprawę tam, gdzie ją zostawiliśmy.

Sawanna budziła się. W głębi wysokich traw roiło się od zwierząt i różnych hałasów. Stadka ciemnych ptaków, setkami siedzących nieruchomo na wielkich samotnych drzewach, przyglądały się naszemu pochodowi.

Trzy kilometry od obozu M'Bumba rozgniewał się na termitierę, taki wielki czerwony kopiec zbudowany przez miliony owadów. Rozwalił ją w pył. Pośrodku tego, co z niej zostało, widniało szerokie nacięcie o zaokrąglonych brzegach, które uradowało Paula.

— Kieł! Zdajesz sobie sprawę, jaki jest wielki? Wyobrażasz sobie jego wagę?

Dookoła w promieniu piętnastu metrów ziemia została wściekle rozorana wielkimi uderzeniami jego ogromnych nóg. Ślady zagłębiały się niekiedy na piętnaście centymetrów w grunt. Wyobraźcie sobie tę głębokość przy osiemdziesięciocentymetrowej średnicy śladu!

Nad tym miejscem, podobnie jak wszędzie tam, gdzie M'Bumba dał upust atakowi wściekłości, unosiło się coś nieprzyjemnego. Było tu zbyt wiele szkód. Wynikało stąd zbyt wiele zaciekłości, zbyt wiele furii. Wydawało się, że zwierzę czuje się dobrze tylko wśród zgliszcz.

— To barbarzyńca — powiedział Montaignes.

Początkowo zadanie było łatwe. Ślady przejścia słonia przez sawannę czytać można było jak otwartą książkę. Tu jakiś ślad stopy, tam wyrwany krzak. Było oczywiste, że szedł po prostej, stopniowo zbliżając się do rzeki Sangha. Dotarł do brzegu jakieś pięć kilometrów od termiery. Znaleźliśmy się w tym miejscu wczesnym przedpołudniem i zaczęliśmy iść tuż przy rzece.

Wkrótce brzeg zrobił się wyższy. Przeprawiliśmy się przez liczne małe dopływy, łączące się z głównym nurtem. Roślinność stawała się gęstsza i bardziej zielona. Około południa, kiedy słońce stało w zenicie, wchodziliśmy do dżungli, tutaj dosyć rzadkiej, złożonej z pokręconych, lecz niezbyt wysokich drzew, z obfitym poszyciem luźno rosnących krzewów, które nie hamowały wprawdzie marszu, lecz mocno ograniczały widoczność.

Zmieniliśmy taktykę. Małe Ludziki poszły przodem w las, jako zwiadowcy, podczas gdy my podążaliśmy za nimi, niekiedy w zasięgu wzroku, lecz najczęściej o jakieś osiemset metrów w tyle. W regularnych odstępach czasu czekały na nas, po czym, kiedy my odpoczywaliśmy, ruszały dalej.

Słoń to zwierzę o nadzwyczaj wyostrzonych zmysłach. Ma doskonały węch, świetnie słyszy i wyczuwa intruza natychmiast. Paulo i ja nie byliśmy w dżungli nowicjuszami. Przeżyłem wiele przygód w takim środowisku. W Azji Południowo–Wschodniej, w Ameryce Łacińskiej, w Amazonii... Paulo miał jeszcze dwa razy większe doświadczenie. A jednak nie było mowy, by równać się z Małymi Ludzikami, znajdującymi się w nieustannym ruchu, biegającymi to tu, to tam, kucającymi wśród roślin, odchylającymi liście, obserwującymi niewidoczne znaki na drzewach i nasłuchującymi z przekrzywioną głową, jak ptaki. Zdarzało się nawet, że wachały z piersią wysuniętą do przodu i szeroko rozdętymi nozdrzami. Biegały na swoich krótkich elastycznych nóżkach nigdy nie okazując najmniejszej oznaki zmęczenia, a przede wszystkim robiły sto razy mniej hałasu niż my.

W tej dżungli, gdzie słoń w niektórych miejscach mógłby stać o dziesięć metrów od nas, ukryty w gęstwie krzaków, a my nawet nie podejrzewalibyśmy jego obecności, oni jedni mieli jakiegokolwiek szansę, by wykryć go nie wzbudzając jego podejrzeń.

My szliśmy ostrożnie, bez słowa, z karabinami przy biodrach, wśród ciszy przeszywanej krzykami ptaków, które w ciągu tych długich godzin działały nam na nerwy. Późnym popołudniem natknęliśmy się na strumień o kryształowo czystej wodzie, płynący korytem szerokości około pięciu metrów. Wypływał z potężnego masywu roślinności, zielonych gęstych krzewów tworzących sklepienie niczym wejście do tunelu.

Oba Małe Ludziki były niespokojne. Wskazywały na to wejście zdecydowanie potrząsając głowami i dreptały w miejscu. Tędy przechodził M'Bumba. Ruszyły przodem w tunelu jako zwiadowcy.

Montaignes był zlany potem i ciężko dyszał. Karabin wyraźnie mu ciążył. Zaciął się brzegiem jakiegoś liścia, rana była płytka, ale ciągnęła się od łokcia po nadgarstek, i trzeba by ją opatrzyć. Paulo czekał nieruchomo, z włosami zlepionymi na skroniach i dłońmi mocno zaciśniętymi na swoim 478, czujny i zawzięty.

— Długo im to zajmuje — mruknął.

Małe Ludziki nie pojawiły się. Odczekaliśmy dziesięć minut, po czym zadecydowałem:

— Idziemy. Musiały coś znaleźć.

Wkroczyliśmy pod sklepienie, gdzie panował wilgotny upał jak w saunie. Słysząc było niewidoczny strumień wody. Po paru metrach w ciemności roślinność przerzedzała się, dając dostęp paru promieniom światła. Po obu stronach strumienia piętrzyły się ściany gęstej, parującej zieleni. Małe Ludziki były sto metrów dalej, siedząc w kucki przed ogromną kupą gówna koloru khaki — dziełem M'Bumby! Podnieceni patrzyli, jak nadchodzimy.

Paulo podniósł kawałek drewna i powoli pogrążył go w znaleźniku, błyszczącym i miękkim. Było zupełnie świeże. M'Buniba narobił tu nie dalej jak przed kwadransem.

Paulo mocniej ścisnął karabin i bacznie obserwował roślinny mur. Uczyniłem podobnie, czujny i napięty. Był tu. Czuję go. Mój wzrok badał każdy liść, każdą szczelinę między gałęziami. Był zupełnie blisko. Gdzieś

koło nas. Moje uszy łyły wszystkie dźwięki: plusk wody, niewyraźne odgłosy ptaków w oddali. Starłem się usłyszeć jakiś szelest czy hałas.

M'Bumba nagle zatrąbił tuż obok nas. Było to trąbienie dzikie, donośne jak syrena okrętowa, tak bliskie, że wszyscy się wzdrygnęli. Złożyłem się do strzału. Montaignes i Paulo, z szeroko rozstawionymi nogami, uczynili to samo. Małe Ludziki zniknęły w mgnieniu oka.

Trąbienie jeszcze potężniejsze, połączone z trzaskiem łamanych gałęzi, sprawiło mi ból w uszach. Całą moją energię skierowałem na wypatrywanie nad celownikiem miejsca w ścianie roślinności przede mną, w którym pojawić się miała bestia wielka niczym dom. Zadrzała ziemia. Miało się wrażenie, że wali się las. Trąbienie przybliżało się błyskawicznie, jak gwizd pośpiesznie nadjeżdżającego pociągu. Ściana gałęzi zatrzęsała się pod straszliwym uderzeniem i powróciła na swoje miejsce, po czym hałas zaczął się oddalać.

Zawrócił w ostatniej chwili!

Przez parę sekund stałem jak wryty, z karabinem przy policzku, a serce waliło mi w piersi jak młotem. Co też mogło zmusić słonia do zatrzymania szarży w ostatnim momencie?

— Znowu idzie! — wykrzyknął przestraszony Montaignes.

Głuchy tętent i trzask łamanych drzew przybliżały się. Odwróciliśmy się jednocześnie. Tym razem nadchodził z drugiej strony. Ponownie ziemia zadrzała. Ogłuszające trąbienie zwiastujące atak ustało w odległości kilku metrów od nas. Zatrzymał się dokładnie na granicy ściany drzew, po czym zaczął głośno oddalać się w dżunglę, ponownie pozostawiając nas ośmieszonych, z bronią wycelowaną w pustkę.

* * *

Tego pierwszego dnia M'Bumba poprzestał na tym. Przeszukaliśmy okolicę i z osłabionym morale, zrezygnowaliśmy. Tak bardzo chcieliśmy podejść go niezauważenie! M'Bumba wiedział, dokąd idziemy i czego chcemy, a może nawet kim jesteśmy! Ostrzegł nas o tym, choć nawet nie udało się nam go dostrzec! Zniechęceni, smutni i ubłoceni ruszyliśmy w stronę obozu, wracając z rękoma tak pustymi, jak to tylko możliwe.

Polowanie wznowiliśmy nazajutrz. Znowu byliśmy w dżungli. Tropiciele ustalili, że M'Bumba znajduje się nad rzeką i znowu rozpoczęliśmy długi marsz brzegiem Sanghi. Przez cały dzień taplaliśmy się w błocie i było dobrze, jeśli nie sięgało nam ono do kolan.

Zaatakował wczesnym popołudniem, kiedy zupełnie się tego nie spodziewaliśmy, łamiąc wszystko na swojej drodze i podobnie jak poprzedniego dnia pozostając w ukryciu. Przekonani, że tym razem nie damy się oszukać, rzuciliśmy się w pościg. Zwodził nas po błocie przez cały dzień nie pojawiając się. Natknęliśmy się jedynie na rodzinę krokodyli, które wylegiwały się na brzegu i pozwoliły nam przejść. Patrzyły na nas nieruchomo z rozdziawionymi paszczami.

Ponieważ zapadał już wieczór, a my zapuściliśmy się za daleko wzdłuż rzeki i teren stawał się trudny, dałem sygnał do odwrotu; ponownie z pustymi rękami.

Trzeci dzień doprowadził nas do rozpacz. M'Bumba znowu zaciągnął nas nad Sanghę, w błoto i coraz bardziej gęsty i wilgotny las. Nie pokazał się, tak jak i poprzednio, ale tym razem zabawiał się, głośno zdradzając miejsce swojego pobytu. Bez przerwy wokół nas słychać było jakieś ruchy, szelesty i trzaski gałęzi. Dobiegał do nas oddech i odgłosy trawienia.

Niezliczoną ilość razy mieliśmy pewność, że nie dzieli nas od niego więcej niż kilkadziesiąt metrów. Ale zdawał się znikać, kiedy tylko się do niego zbliżaliśmy.

Długie marsze, najczęściej w błocie, wycieńczały nas. Za każdym razem wracaliśmy bardziej brudni i bardziej zniechęceni. Montaignes tracił siły. Padł ofiarą mrówek suku, maleńkich, czerwonych i jadowitych. Jego skóra nabrała nagle czerwonej barwy, a twarz puchła w oczach. Nie tracąc ani chwili Paulo i ja wrzuciliśmy go do rzeki, ściągaliśmy z niego majtki i uwolniliśmy go od tych świństw, które atakują okolicę łonową. Opuchlizna szybko zeszła, ale wiedzieliśmy, że pozostały mu bolesne rany w bardzo czułym miejscu, a nasze marsze nie sprzyjały ich zagojeniu.

* * *

Czwartego dnia natrafiliśmy na polankę, którą M'Bumba bez wyraźnej przyczyny zdewastował poprzedniej nocy. Wiele drzew zostało złamanych u podstaw albo zgiętych tak, jakby się na nich umyślnie kładł. Małe Ludziki śmiały się oglądając pobojuwisko. Na migi wytłumaczyły nam, że słoń musiał być pijany. Obżarł się zielonych dzikich mang, które wprawiły go w szal. Ogarnięty paranoją zniszczył polankę, wyobrażając sobie, że walczy z wrogami. Tam, gdzie były połamane drzewa, musiał się po prostu wyłożyć, tracąc równowagę jak pijak.

Zapewne z powodu potężnego kaca tego dnia już się nie pokazał.

* * *

Piątego dnia, kiedy znów byliśmy w pogotowiu, z wycelowanymi karabinami, a M'Bumba biegał tu i tam, nie wiadomo gdzie, wokół nas, Paulo nagle wystąpił do przodu i zaczął wrzeszczeć.

— Pokaż się wreszcie! Kurwa mać, no, pokaż się! Myślisz, że nie wiem, o co ci chodzi?

Zapominając o wszelkiej ostrożności Stary postępował dalej do przodu. Gdyby M'Bumba nagle się na niego rzucił, nic by nie mógł zrobić.

— Przecież wiem, że tu jesteś! Wiem! Dlaczego nie przyjdiesz się bić? Tchórz! Skurwiel! Pedał! Kurdupel!

Rozkraczony, z twarzą zwróconą ku dżungli, z wybałuszonymi oczami Paulo załamywał się. Podbiegłem, by go podtrzymać, kładąc mu rękę na ramieniu.

— Mam cię w dupie, ty chujowy M'Bumbo! W dupieeee!

— Dobra, Paulo, już. Już dobrze.

— Jak to dobrze? Nie widzisz, że ten skurwysyn sobie z nas robi jaja? Nie widzisz tego? W takim razie nie wiem, co ty w ogóle widzisz!

— Już dobrze, Paulo.

— Wodzi nas za nos i łazimy jak idioci. Jaja sobie z nas robi! Chcę zabić tego skurwiela!

Stary potrzebował dłuższego czasu, by odzyskać zimną krew. Postanowiłem przerwać polowanie na dzisiaj i ogłosiłem, że nazajutrz będzie dzień odpoczynku. Wszyscy powinni się odprężyć. Niech ten drań zniszczy cały las, jeśli ma na to ochotę! Jak zapewniłem moich towarzyszy, co się odwlecze, to nie uciecze.

Poprosiłem tropicieli, byśmy wracali inną drogą, uważając, że dość już nataplaliśmy się w błocie. Ruszyliśmy w kierunku przeciwnym do rzeki. Paulo włókł się z tyłu, z karabinem przewieszonym przez ramię i grymasem głębokiego zniechęcenia na twarzy; Montaignes cieszył się z zapowiedzianego odpoczynku. Tylko Małe Ludziki, wierne swoim zwyczajom, biegały dookoła nie okazując zmęczenia.

Na początku natknęliśmy się na ogromną chmurę mrówek: Obok drzewa widniał kipiący życiem co najmniej trzymetrowej wysokości kopiec utworzony z miliardów owadów: były to mrówki fannian, wielkie, czarne,

długości około centymetra i uzbrojone w dwa wielkie haki, których nic nie mogło odcepić. Ta plaga zżerała absolutnie wszystko, i mrówki potrafiły wrywać człowiekowi kawałki ciała, pozostawiając źle gojące się rany.

Obeszliśmy przeszkodę w bezpiecznej odległości. Małe Ludziki pobiegły do przodu i szczebiotały w przyśpieszonym tempie. Natykały się na nowe stopy mrówek, zajęte w całej okolicy nadżeraniem podstaw drzew. Hałas ich działalności rozchodził się po lesie, było to jakby stałe trzeszczenie, głuchy szelest wszystkiego, co przesuwają, przerywany od czasu do czasu suchymi odgłosami. Małe Ludziki machały do nas, by podejść bliżej. Kiedy dołączyliśmy do nich, nagle znaleźliśmy się pod gołym niebem.

— Boże drogi, ale rów! — wykrzyknął Paulo.

Znajdowaliśmy się za kolumną mrówek fannian. Główne ich siły pozostawiły za sobą rów szeroki na jakieś piętnaście metrów, bruzdę wyrzeźbioną w prostej linii przez dżunglę i w której obrębie nie zostało praktycznie nic. Tu i tam widać było, w postaci wielkich drgających kopców, dziesiątki milionów spóźnialskich, które, podobnie jak mrówki spotkane wcześniej, zżerały resztki.

Małe Ludziki pożyczyły ode mnie manierkę i kucając obok takiego kopczyka mrówek cierpliwie ją napełniły, łapiąc owady jeden po drugim. Wydawały się uradowane zdobyczą. Starszy uważnie niósł manierkę pod pachą, jak jakiś drogocenny przedmiot. Zastanawiałem się, do czego też mogło to im być potrzebne, i myślałem wówczas, że będą je jedli.

Ze swej strony Montaignes znalazł w bruzdzie śmierci długi kręgosłup, z nienaruszonymi wszystkimi żebrami, węża boa, który trawił akurat na drodze najeźdźców. Zamierzał dołączyć znalezisko do swojej kolekcji.

* * *

Nikt nie chciał zbyt długo przebywać w tym strasznym miejscu i szybko ruszyliśmy dalej w kierunku obozu. W dżungli prawdziwą plagą nie są ani drapieżniki, ani węże. Najtrudniejsze do zniesienia są takie właśnie świństwa, których wszędzie pełno.

Są tu furru, niemal mikroskopijne komary, które wcisną się wszędzie, nawet przez moskitierę czy ubranie, i które atakują chmarami; są fannian, tworzące, jak już wspominałem, potworne kolumny, których nic nie powstrzyma; są chique, miłe stworzonka składające jaja pod skórą, na ogół w palcach u nóg, tak aby ich larwy miały czym się odżywiać natychmiast po

wylęgu. Każdego wieczoru badaliśmy stopy, pilnie bacząc, by nie pozwolić im się zagnieździć, bo powodują zakażenie krwi. Dodajcie do tego robaki zielone, kwadratowe, złociste, latające, pełzające. Wszystkie one kłują, gryzą albo wstrzykują jad... Tak, w dżungli wrogiem numer jeden jest niewątpliwie owad.

* * *

Po tej serii upokorzeń nasze morale było niskie. Wpadliśmy kolejno we wszystkie pułapki, jakie słoń na nas zastawił, i marnowaliśmy energię. Trzeba było przyznać, że po pierwszych rundach zwierzę zyskało nad ludźmi znaczną przewagę. Istniało też ryzyko, że umęczony zespół straci zapał. Żeby wrócić do formy, potrzeba było czegoś bardziej treściwego niż zwykłe poranne leniuchowanie. Dobre danko z czerwonego mięsa: oto co mogło przywrócić siły myśliwym! Paulo wspominał o tym wielokrotnie, mamrocąc, że potrzebuje mięcha. Ponieważ fizycznie byłem w najlepszej formie, w przyptywie niewytłumaczalnej fali dobrej woli sam wyznaczyłem się na ochotnika, by poświęcić dzień odpoczynku i wyruszyć na polowanie na steki.

Na asystenta wybrałem naturalnie Tatave, bo był już najwyższy czas, by opuścił obozowisko. Wyglądało na to, że nasze zdenerwowanie udzieliło się szeregowcom. Już wczesnym rankiem Tatave dostał potężny opieprz od rozwścieczonej Małej. Jej złość trwała tak długo, że w końcu wstałem, by ją uspokoić. Publicznie oskarżony o zżeranie zapasów ekspedycji Tatave trzymał się z dala od Małej już od samego rana. Nieco przed dziesiątą popełnił błąd, odpychając nogą Bebe, który podszedł, by go podrażnić.

Uderzenie nie było zbyt mocne, ale natychmiast dowiedziała się o nim cała rzeka. Oburzony mały piesek zaczął skamleć cienkim głosikiem, ile sił w małym gardelku. Z najeżoną sierścią, na szeroko rozstawionych łapach niczym lew, wyszczeniwał swoją dezaprobatę przed Tatave, który nie śmiał się już poruszyć.

Mała nadbiegła brzegiem rzeki niczym furia i rzuciła się z krzykiem na Tatave, z wyciągniętymi do przodu rękami, z wyraźnym zamiarem zatopienia paznokci w jego oczach. Podbiegłem i udało mi się ją chwycić wpół. Wyrywała się ze wszystkich sił i wysliznęła się z moich ramion niczym cienka liana.

— Przestań, Mała! Przestań! Nic mu nie zrobił! Nic nie jest twojemu Bebe. Aj! Przestań wreszcie!

Potrzebowałem co najmniej dziesięciu minut, by ją uspokoić. Montaignes'owi zajęło co najmniej dwadzieścia minut, by ją pocieszyć. Jako że atmosfera pozostawała napięta, uznałem za dobre posunięcie zabrać Tatave ze sobą.

* * *

Trzeba było iść daleko. Tygodniowa już obecność ludzi w okolicy spowodowała, że uciekła cała zwierzyna. Powoli rzeka zniknęła za nami. Rozciągała się nieskończona, imponująca sawanna i żałowałem zarazem swojej abnegacji i swojego fotela. Dwustrzałowy Winchester, cięższy niż zwykle używana broń, ciążył mi na ramieniu.

Tatave dreptał przede mną, tocząc swój wielki brzuch. Ubrany w niebieskie szorty, których ostatniego guzika nie był w stanie zapiąć, przymocował sobie do pasa wielką maczetę i włókł za sobą duży jutowy worek, w którym zamierzał przynieść do obozu steki.

Czuł się niewątpliwie dużo swobodniej na łonie przyrody, której — jak powoli się o tym przekonywałem — znał wszystkie tajemnice. Odkrył już, ostrożnie odchylając wyższe od niego trawy, liczne gniazda z ciemnymi jajami oraz rodzinę małych niebieskich i grzebieniastych indyków, której darowaliśmy życie. Dzięki niemu przez pół godziny mogłem obserwować zabawy stadka czarnych małp, hasających wokół małego zagajnika. Przez długie minuty podkradał się, całkowicie niewidoczny, do grupy potamoszerów, rodzaju szarych dzikich świń, pochrzäkujących i trącających się ryjami koło jakichś kolczastych krzewów.

Pomimo swego nonszalanckiego wyglądu i nieodłącznego uśmiechu na twarzy Tatave potrafił całkowicie wtopić się w sawannę. Wydawało się, że — dzięki nie wiadomo jakim umiejętnościom — przemieszczał się bezgłośnie, instynktownie, nie zastanawiając się nad tym, zależnie od kierunku wiatru.

Obserwowałem już taką swobodę ruchów u tubylców, ale Tatave miał coś więcej. Jego tropienie nie niosło w sobie żadnej agresywności. Nie tropił zwierząt, by je zabijać. Śledził je z prostego zamiłowania do patrzenia na nie, długo, nieruchomo, ogarnięty tajemnymi myślami, z wytrzeszczonymi ogromnymi okrągłymi oczami. Miał w sobie coś z poety.

Trafił na zwierzęce odchody i ślady racic, i wskazał na północ.

— Bawół? — spytałem. — Stek?

Rozśmieszyło go to i energicznie potrząsnął głową.

— Tak! Tak! Stek!

* * *

On też zobaczył je pierwszy, kiedy słońce stało najwyżej, a sawanna zamieniała się we wnętrze pieca. Nagle uwiesił się u mego ramienia, zmuszając mnie, bym się pochylił.

— Stek! — oznajmił.

Początkowo widziałem jedynie znaną mi równinę pokrytą żółtymi trawami, niekiedy sięgającymi głowy człowieka. Następnie dostrzegłem, jakieś sto metrów przed nami, łby kilku bawołów, nieco ciemniejsze niż trawa i praktycznie nieruchome. Ale gratka! Było tam co najmniej pięćdziesiąt sztuk, pogrążonych w sjeście. Wiatr, sprzymierzony z nami, odpędzał nasz zapach w stronę przeciwną.

Posuwaliśmy się do przodu podejmując nadzwyczajne środki ostrożności. Kilka kroków, po czym całe minuty nieruchomego oczekiwania. Wystarczyło, by zmienił się kierunek wiatru, i całe stado pogalopowałoby dalej.

Wreszcie osiągnąłem odpowiednią odległość — mniej niż pięćdziesiąt metrów od bawołów. Tam, gdzie skubały trawę, roślinność była niższa; dochodziła im najwyżej do kolan. My byliśmy ukryci na skraju wysokich traw.

Powoli przygotowałem Winchester. Nie podnosząc się, ostrożnie opuściłem lufę i wycelowałem w odległy punkt, gdzieś poza stadem. Potem skoncentrowałem się przed szybką akcją, rozkoszując się napięciem. Teraz!

Nie trwało to dłużej niż cztery czy pięć sekund. Strzeliłem nad stadem, w kierunku wzgórz, daleko za nim. Winchester wbił mi się w ramię, ucho miałem zatkane co najmniej na godzinę. Huk wystrzału spowodował, że bawoły podniosły głowy, spięte, nieruchome, wężąc powietrze, na ułamek sekundy.

Następnie wystrzał rozniósł się po sawannie, odbił od wzgórz i echo powróciło do stada, któremu wydało się, że grzmot dobiega od tytu. Pięćdziesiąt ciemnych zwierząt o szerokich rogach jednym ruchem wyprostowało się, odwróciło i rzuciło do ucieczki.

Wstałem przykładając karabin do ramienia. Ziemia zadudniła. W pełnym galopie stado szarżowało wprost na mnie. Na linii celownika zobaczyłem czoło jednego z nich. Strzeliłem. Dostał w środek głowy i runął do przodu w tumanie kurzu.

Wówczas stado rozdzieliło się na dwie części, a każda z nich ominęła nas z jednej strony wśród tętentu kopyt, podrzucając do góry kępki ziemi i traw. Hałas oddalał się i po chwili zapadła martwa cisza.

* * *

Upolowałem bardzo ciemnego, prawie czarnego byczka o grubych, zagiętych rogach, które schodziły w dół po obu stronach głowy, a następnie podchodziły do góry, zakończone ostrymi szpicami. Czoło strzaskane było na kawałki, z pyska wystawał czerwony, pulsujący język.

Tatave, unosząc do góry kciuk, długo gratulował mi strzału, po czym bez zbędnych ceregieli zabrał się do ćwiartowania zwierzęcia, by uprzedzić nadejście intruzów: drapieżników lub padlinożerców. Najpierw rozciął na całej długości skórę na brzuchu i zagłębił ręce. Wygarnął śmierdzący kłęb trzewi na piasek. Później wielkimi pociągnięciami maczety zaczął wykrawać nieregularne kwadraty fioletowego, lepkiego mięsa, z rękami umazanymi zakrzepłą krwią aż po łokcie, depcząc po wnętrznościach i nie zwracając na to uwagi. Kiedy jego jutowy worek, ociekający krwią, wypełniony był co najmniej dwudziestoma kilogramami mięsa, odwrócił się do mnie i oznajmił z tym swoim szerokim uśmiechem:

— Stek!

Wróciliśmy do obozu, pozostawiając na miejscu resztki ofiary.

Wlokłem się z tyłu, utykając na lewą nogę. Każdemu krokowi towarzyszył przeszywający ból, przebiegający w górę aż po udo. Aby nie być ciężarem, krzyknąłem do pozostałych:

— Nie czekajcie na mnie! Idźcie przodem, ja dojdę! Oddalili się stopniowo i szybko zniknęli mi z oczu w tym gęstym, wilgotnym lesie. Stan mojej lewej stopy zawdzięczałem chique. Są to małe, miedzianoczerwone owady, żyjące w ziemi i atakujące stopy. Wpijają się w ciało dziesiątkami, jak kleszcze, i składają pod skórą setki jajeczek. W ten sposób ich larwy, mikroskopijne robaczki, mają zapewnione wyżywienie od chwili przyjścia na świat.

Sympatyczne te istoty szybko się rozmnażają. Stopa, którą zwykle atakują od spodu, u nasady palców, pokrywa się otwartymi ranami rojącymi się od pasożytów i błyskawicznie się rozszerzającymi. Ponadto roznoszą gorączkę i

zakażenie krwi, nie licząc wszelkich infekcji, które w dżungli zagrażają każdej otwartej ranie.

* * *

Nie mogłem już wytrzymać. Po raz pierwszy od wyruszenia z obozu, poprzedniego dnia rano, przyznałem sobie prawo do odpoczynku i uznałem, że ból był silniejszy ode mnie.

Siadłem na martwym pniu drzewa. Bez tchu. Rozwiązałem sznurowadło mojego wysokiego buta, oblepionego błotem, i ostrożnie ściągnąłem go, choć najłżejsze dotknięcie ran powodowało, że musiałem zaciskać zęby.

Pod stopą miałem dwie dziury. Pierwsza, okrągła, wielkości monety, u nasady grubego palca, nie była zbyt bolesna. Po prostu widać było żywe mięso. Druga, dłuższa, ciągnąca się wzdłuż nasady palców przez całą szerokość stopy, pokryta była białawą warstwą ropy, napęczniałą, grubą na centymetr.

— Kurwa! Robi się zakażenie!

Nożem odciąłem rękaw koszuli i zrobiłem z niego tampon, którym nacisnąłem na kieszeń ropy. Wypływający płyn był obrzydliwy, białozółty, i wydzielał zgniłą woń. Na szczęście jeden z Małych Ludzików za pomocą zaostzonego bambusa zeskrobał wszystkie jajeczka. Byłem więc pewny, że nie będzie więcej robaków. Niemniej rany były fioletowe, z sinymi brzegami, i wyglądało to niepokojąco. Kiedy udało mi się, na ile to było możliwe, wycisnąć całą ropę, daleko odrzuciłem szmatę.

Z zadowoleniem wyciągnąłem nogę. Po opróżnieniu ogniska infekcji kuku nie było już takie straszne, jak mogłoby się wydawać. Kiedy nic nie dotykało moich ran, prawie ich nie czułem.

* * *

Panował ciężki, przesycony wilgocią upał, który przylepiał mi koszulę do ciała. Po twarzy bezustannie ściekał pot. Brak światła, zatrzymywanego przez wysokie drzewa, sprawiał, że było jeszcze bardziej duszno.

Było gorąco jak w szklarni, toteż rozszalała się tu orgia roślinności, prawdziwe nawarstwienie palm, lian i ogromnych roślin nasyconych wodą. Ziemia była miękka jak gąbka, a w okolicy pełno małych strumyków, które wpadały do Sanghi, toteż naturalnie pojawiło się błoto.

Ekspedycja opuściła obozowisko wczesnym rankiem poprzedniego dnia. M'Bumba nigdy dotąd nie zaciągnął nas tak daleko. Przeszliśmy wzdłuż Sanghi ze dwadzieścia kilometrów. Odkąd M'Bumba wszedł do tego dziewiczego lasu, zakreślił wielki łuk. Początkowo szedł na północ, oddalając się od rzeki, później skręcił i pod koniec dnia kierował się prosto na zachód.

Znajdowaliśmy się już zbyt głęboko w lesie, by liczyć na powrót przed zapadnięciem nocy. Postanowiliśmy więc kontynuować polowanie. M'Bumba ponownie zmienił kierunek, zawracając ku rzece bez wyraźnej przyczyny, i musieliśmy spędzić noc w spartańskich warunkach, oblepieni wilgocią, po skromnej i zimnej kolacji.

Tego ranka zrozumieliśmy, że M'Bumba szedł teraz na wschód, równoległe do Sanghi, w kierunku obozowiska, z którego wyruszyliśmy.

— Kpi sobie z nas — westchnął Paulo. — A my łazimy jak idioci! Ale przysięgam, że on zmęczy się wcześniej niż ja!

* * *

Z typowym dla mnie oślim uporem wyruszyłem na to polowanie mimo powszechnej dezaprobaty. Moi dwaj towarzysze uważali, że — biorąc pod uwagę stan mojej stopy — lepiej bym zrobił siedząc spokojnie i czekając, aż rany się zabliznią. Montaignes, który uważnie przyglądał się każdemu ruchowi Małego Ludzika podczas operacji, był bardzo zafrasowany, i choć nic nie powiedział, zdenerwowałem go swoim uporem, by z nimi pójść.

— Masz sześćdziesiąt procent szans na zakażenie krwi. Poczekaj, aż to się zasklepi. Zwariowałeś!

Być może... Niewykluczone, że się to źle skończy i że umrę, ale problem polegał na czym innym. Nie byliśmy już na tym etapie rozważań. M'Bumba zbyt długo wodził nas za nos. Zbyt długo sobie z nas kpił. Jego wyzwanie nie mogło się przedłużyć.

Moim obowiązkiem wobec siebie samego było zabić skurwysyna. Jeśli chciał mnie sprowokować, to mu się udało. Zgodziłem się, by to polowanie zamieniło się w walkę, i zamierzałem posłużyć się wszystkimi moimi możliwościami. Teraz była to już sprawa osobista między mną a nim. Magia czy nie magia, zdecydowany byłem dostać go za wszelką cenę i mieć przyjemność, by osobiście zastrzelić tego starego sukinsyna.

W takim stanie ducha nie mogłem pozostać w obozie. Całe dni spędzaliśmy w pobliżu M'Bumby. Każda godzina mogła przynieść

decydujące starcie i do wściekłości doprowadzała mnie myśl o tym, że mógłbym je przegapić.

* * *

Już od pierwszej chwili zrozumiałem, że popełniam błąd i że za to zapłacę. Moje rany, które znalazły nieco ukojenia podczas nocy, otworzyły się na nowo praktycznie natychmiast, powodując, że każdy krok wymagał dużej siły woli. Ostatnia noc spędzona w dżungli i marne dwie godziny snu nie poprawiły sytuacji. A teraz jeszcze to wszystko zaczynało gnić!

Podskakując na jednej nodze znalazłem sobie rozwidlony kij i przyciąłem go tak, by służył mi za kulę. Przywiązałem but do pasa i podjąłem na nowo marsz, powtarzając sobie, że teraz nie trzeba się Skarżyć, lecz iść. Iść! Iść! Podskakiwałem, pomagając sobie piętą, ze stopą w powietrzu, ociekając potem pod wpływem dodatkowego wysiłku, jaki w to wkładałem. Iść, dalej!

Odgłos strzału, daleko przede mną, sprawił, że stanąłem jak wryty. Potężny huk kalibru 478. To Paulo.

Więc już! Dostali go! Och! Skurwysyny! Ustrzelili go.

Rozległ się drugi strzał. Tym razem to 375! Montaignes! Dlaczego strzelano drugi raz? Co nawaliło? Zapominając o cierpieniu zacząłem biec i po paru metrach odrzuciłem kulę.

Nie chodziło o M'Bumbę. Ci dwaj kretyni strzelali w powietrze z radości. Bez tchu, przebiegłszy całą odległość, przy czym po twarzy chłostały mnie gałęzie i musiałem przeskakiwać parę strumyków z bosą stopą, rozczarowany patrzyłem na ich znalezisko.

Na polance leżały dwa szkielety słoni. Ich wielkie białe kości były nienaruszone, ułożone tak jak w momencie ich śmierci. Leżały jak dwa pomniki, jeden naprzeciw drugiego, niemal głowa w głowę, pośrodku grubego kobierca ciemnej i chaotycznej roślinności. Słońce, przeświecające przez szpary w koronach drzew, posyłało na polankę żółte, ciepłe promienie. Wielkie budzące respekt kości, w tej ograniczonej przestrzeni, wyglądały jakby spoczywały w krypcie. — Forsa! — ryczał Paulo biegnąc w moim kierunku. — Forsy jak lodu!

Rzucił się na mnie i objął jak gracz futbolowy po strzeleniu bramki.

— Elias! Wyobrażasz sobie? Uściskaj mnie! Nie chcesz mnie pocałować? To wielka wygrana! Los na loterii! Wystarczy się schylić. To Najświętsza Paniienka położyła je nam na drodze! Elias! Ej! Elias, do cholery,

powiedz coś! Nie sprawia ci to przyjemności czy co? No uśmiechnij się, do cholery!

Montaignes, który przyglądał się szkieletom dwa razy większym od niego, posłał mi uszczęśliwiony uśmiech.

— Nie brakuje ani jednej kostki — oznajmił mi jak jakąś wielką nowinę. — Widziałeś te kły?

— No pewnie, że widział te kły! — ryknął Paulo prosto w moje ucho. — Elias! Do kurwy nędzy, nie pocałujesz mnie?

Opętany myślą, że M'Bumba nadal był na wolności, z dużym opóźnieniem zdałem sobie sprawę z tego prezentu. To były szkielety dorosłych słoni. Starych nawet, sądząc po imponującej wielkości kłów. Za przykładem Paula szybko przeliczyłem je na gotówkę i mnie również ogarnęła radość. Było tu parę tysięcy dolarów. Cokolwiek by się teraz wydarzyło, rezultaty wyprawy nie mogły być złe. Już teraz przyniosła nam więcej, niż wynosiły jej koszty. Kość słoniowa, która spadała nam prosto z nieba, załatwiała nasze sprawy finansowe na dłuższy czas.

Paulo długo jeszcze ryczał swoje podziękowania pod adresem Ducha Świętego, z rozłożonymi ramionami, zaciskając w dłoni kalkulator, stojąc pośrodku polanki. Moja radość trwała krótko. Ostatecznie rozwalilem sobie stopę podczas biegu i teraz bolało mnie już bez przerwy, nawet bez dotykania ran.

Siedząc z wyciągniętą nogą z najwyższym trudem przekonałem tego egoistę, Paula, by zostawił kość słoniową na miejscu i że wrócimy ją piłować i przenosić następnego dnia, po odpoczynku. Myśl o pozostawieniu tutaj pieniędzy była mu wstrętna, ale — widząc mój stan — w końcu się zgodził.

Zaczął wówczas gorączkowo biegać wokół polanki, z maczetą w rękę, potężnymi ciosami wałąc w pnie drzew.

— Paulo! Dosyć już tego, wystarczy! I tak tropiciele jutro znajdą drogę...

— Nie, proszę pana! — wrzeszczał, mokry od potu. — Ktoś musi porobić znaki! Nie zostawia się za sobą skarbu nie robiąc na drodze znaków, proszę pana!

Wreszcie, kiedy opatrzył już wielkimi białymi nacięciami praktycznie wszystkie okoliczne drzewa, pan Paulo raczył schować swoje narzędzie i podać mi ramię, żeby mnie podtrzymać. Rzucił jeszcze ostatnie rozczulone

spojrzenie na szkielety i ruszyliśmy, trzymając się pod ręce i utykając, w długą drogę, która dzieliła nas jeszcze od obozu.

Mała wybiegła nam na spotkanie, za nią Bebe i okrągła sylwetka Tatave. Niepokoiłi się naszą długą nieobecnością — nie było nas już od dwóch dni — a teraz jeszcze przerazili się widząc, że idę podtrzymywany przez Paula i Montaignes'a. Mała pomyślała zapewne, że jestem ranny i, jak się wydaje, ulżyło jej, kiedy zobaczyła, że chodziło jedynie o chique, które nadal pastwiły się nade mną. Zaraz też pobiegła grzać wodę, by zrobić mi kąpiel nóg.

Błogosławieństwem była chwila, kiedy zanurzyłem swoje giczoły w misce gorącej i pachnącej wody, którą przygotowała dla mnie pod moskitierą. Montaignes doradził mi, bym tak siedział, aż woda wystygnie, po czym z poważną miną obejrzał moją stopę. Obmacywał kciukiem moje rany, oglądał je szczegółowo znad okularów, robiąc przy tym precyzyjne, profesjonalne ruchy i wydając ciche, pełne dezaprobaty cmoknięcia. Westchnął, poprawił na nosie okulary i posłał mi lekarski uśmiech, żeby mnie uspokoić.

— Dam ci antybiotykową zasypkę. Zresztą, niczego innego nie mam. A nawet tego nie mam wiele.

— Dobra, zasyp mi.

— Tylko że... Słuchaj, Elias. Nie krzycz, posłuchaj. W twoim stanie, jeśli nadal będziesz chodził, czeka cię ogólna infekcja. Posłuchaj mnie. Chcę tylko, żeby to do ciebie dotarło: jeżeli teraz ci się nie zabliznią, czeka cię zakażenie krwi. Zrozum mnie dobrze: to musi nastąpić.

Popatrzyłem na niego, przyjrzałem się swojej stopie w miednicy. Znów spojrzałem na Montaignes'a, z jego poważną miną za okularami, i wybełkotałem:

— Chyba nie mówisz poważnie, Montaignes?

— Bardzo poważnie, stary.

— Więc co mam zrobić, doktorze?

— Trzy do czterech dni bez ruchu, drogi pacjencie. Nic ci nie pomoże. Kategorieczny zakaz polowań.

* * *

O! Kurwa! Miałem wszystkiego dość. Już od dziesięciu dni upierdolony taplałem się w błocie, w wodzie, w piekle tej zasranej dżungli; latałem za tym słoniem jak dziki, w każdy kolejny boży dzień; przykładałem się do tego, jak potrafiłem, i wiadomo było, że w końcu go dorwiemy.

M'Bumba męczył się. Wkrótce znacznie popełniać błędy, a wtedy go dorwiemy. Była to kwestia dni. Odwaliłem całą brudną robotę w tym cholernym polowaniu, a teraz miało mnie ominąć najlepsze. To świństwo.

Diagnoza doktora Montaignes'a była dla mnie jak walnięcie po łbie. Bardziej przygnębiony niż dziecko pozbawione deseru, zamknąłem się w sobie i przez dłuższy czas pograżyłem się w milczeniu.

Zapadał wieczór, a ja nie ruszyłem się z miejsca. Paulo i Montaignes wesoło rozmawiali z Małymi Ludzikami. Stary, wymyty, ogolony, przebrany, z mokrymi jeszcze włosami, częstował anyżówką i perorował, lekko już podchmielony.

— No, wielkoludzie, takie rzeczy tylko Paulo potrafi znajdować. Ja mam nie tylko szczęście, ja mam nosa.

Tropiciele szczebiotali wesoło i wyglądało na to, że anyżówka im smakuje. Mała i Tatave energicznie krzatali się w kuchni. Kiedy Mała dowiedziała się o naszym znalezisku, klasnęła w dłonie i rzuciła się, by przygotowywać ucztę, przewidując obławanie. Wszyscy szykowali się na wesołą zabawę.

Za nami, nad sawanną, słońce zafundowało sobie jaskrawo czerwony zachód, tworząc całą paletę ognistych kolorów, które pochłonęły moją uwagę. Przytłaczał mnie potężny blues, zapewne spotęgowany zmęczeniem.

Nie zabiję M'Bumby, powtarzałem sobie. Byłem tego pewien. Podczas mojej nieobecności Paulo odnajdzie go i nie da mu żadnych szans. Wpakuje mu między oczy tę kulę, którą on także tak bardzo pragnie wystrzelić. A przez ten czas ja będę tu siedział ze stopą w miednicy, gapiąc się na zachód słońca. Te idiotyczne mięsożerne larwy, to był znak. Los odsuwał mnie od dalszej rozgrywki. Już byłem wyrzucony z gry. Ostateczna faza polowania miała się odbyć beze mnie.

Wszystko we mnie aż wywracało się w obliczu takiej niesprawiedliwości. Moje popadnięcie w niełaskę pozwalało mi zdać sobie sprawę, Jak dalece z upływem czasu M'Bumba stał się dla mnie ważny. Byłem pełen entuzjazmu dla tego polowania, które rozpoczęło się jak przyjemny weekend, a przerodziło się w pasjonującą i irytującą zabawę w chowanego. Byłem teraz przekonany, że M'Bumba miał sens. Stary, okaleczony słoń miał stać się ukoronowaniem naszego życia myśliwych, a w każdym razie jego epizodu, który rozpoczął się rok wcześniej. Po to został nam zesłany.

Nadchodzące dni miały być najważniejsze i przynieść największe emocje. Ja zawiodłem w kluczowym momencie. Zdawałem sobie z tego wszystkiego sprawę i wielkość stawki sprawiała, że jeszcze boleśniej odczuwałem przymusową rezygnację. Przeklinałem los, Afrykę i tę bandę rozpasanych egoistów, którzy, podczas gdy ja walczyłem z rozpaczą, myśleli tylko o tym jak pić, obżerać się i przechwalać.

* * *

Monumentalna góra białego, smakowitego ryżu, przedzielona w połowie zagłębieniem, w którym dymił sos z mięsem i owocami, trzy rzeczne ryby, tłuste i długie, pieczone w całości, z rozciętymi brzuchami pokrytymi małymi, kwaśnymi ziarenkami, które Mała znajdowała w lesie, liczne leśne indyki obsypane tajemniczymi ziołami i naturalnie morze Chateau–Monbrisac 1976; potrzeba było całej tej kolacji, śmiechów moich towarzyszy i kilku szklanek wina, bym zdołał otrząsnąć się nieco ze smutku.

Tatave, przyklejony do brzegu stołu, nad którym błyszczały jego wielkie okrągłe oczy, opychał się bez opamiętania wszystkim, co pojawiło się w zasięgu jego rąk. Paulo dużo pił, jeszcze więcej krzyczał i opowiadał nie kończące się kawały, których zakończenia pod wpływem wina nie pamiętał. Montaignes śmiał się mimo wszystko. Jemu też było wesoło i zaśmiewał się z byle czego.

Małe Ludziki dostały swoją część uczyty i pożarły ją siedząc w kucki na ziemi, naprzeciwko siebie. Po posiłku ojciec wyciągnął długą drewnianą rurkę i wielkie zawiniątko trawki. W jeden z otworów wciskał jej imponujące ilości. Jego syn zapalał i pociągał, wciągając w płuca cały dym. Wszyscy czekali, że w pewnej chwili dym zacznie mu lecieć uszami.

Błyskawicznie obaj pogrążyli się w stan głębokiego oszołomienia. Ich małe oczka stały się mikroskopijne, dwa małe czarne groszki w krwistoczerwonej otoczce. Szczebiotali nadal na jedną nutę, „*puiii... puiii... puiii...*”, i zaśmiewali się waląc po udach i kołysząc w miejscu.

Montaignes usiadł koło nich, jakby bez powodu, i zaczął im prawie uprzejmości. Śmiali się i poczęstowali go trawką, podając mu wielki shilom. W ten sposób, zamiast cygar do kawy, wypaliliśmy sporo gorzkiej i wonnej trawki, dobrze wysuszonej, oczyszczonej i bardzo mocnej. Szybko poczułem się całkowicie odprężony i wreszcie stałem się bardziej towarzyski.

Paulo majaczył, naćpany Montaignes, ze wzrokiem utkwionym w suficie i jedną półkulą mózgową pogrążoną w marzeniach, posługiwał się drugą, by odpowiadać „*tak*”, „*na pewno*” i „*aha?*”, co sprawiało wrażenie, że uczestniczy w rozmowie. . .

— Ty, jako naukowiec, powiesz mi, że to żaden dowód... Znaleźliśmy dwa trupy. Nie jednego: dwa! Dwa dorosłe, i w dodatku stare...!

— Na pewno...

— To znaczy, że były to stare słonie, które poszły umierać. I że umarły w drodze. W drodze na cmentarzysko słoni!

Zapewne popełniłem tę niezręczność, że się uśmiechnąłem, bo Paulo natychmiast odwrócił się do mnie z oskarżycielsko wyciągniętym palcem wskazującym.

— Tak, proszę pana! Wiem, co mówię! No w końcu do jasnej cholery! Przecież te stare skurwiele gdzieś muszą umierać! Nigdy nie znajduje się trupów! A tu aż dwa! Dwa, może to nie jest statystyka?

* * *

Siedzące w swoim kącie Małe Ludziki zaczęły podśpiewywać. Czarny, jak tylko siedzi i nie ma nic do roboty, zaczyna śpiewać. Syn powoli uderzał w kawałek drewna. Bez końca wyśpiewywali prostą melodyjkę na dwa głosy, o wysokiej i miękkiej zarazem tonacji; choć dobiegała z odległości zaledwie dwóch metrów, wydawało się, że płynie z daleka, z pogrążonego w ciemnościach lasu.

Montaignes skorzystał z nieuwagi Paula, by zamknąć oczy i zastygnąć z uśmiechem szczęścia na ustach. Stary udowadniał mi matematycznie, że się myliłem, coraz to dolewając sobie potężną dawkę wina. Tatave zasnął kamiennym snem na jakiejś skrzynce, z pośladkami w górze i głową na ziemi. Bebe, ogarnięty wilczym apetytem, dobierał się kolejno do wszystkich resztek.

Po sprzątaniu Mała przyszła wziąć udział w naszym wieczorku. Wślizgnęła się pod moskitierę, odświętnie ubrana, pełna wdzięku i dziecięcej radości. Siedząc koło mnie przyglądała mi się, z głową wzruszająco złożoną w kielichu obu dłoni, z nieznacznym uśmiechem i wyrazem szczęścia w wielkich czarnych oczach, wpatrzonych w moje.

Usiłowałem uciec, patrzeć gdzie indziej, zażenowany bezwstydną szczerością jej spojrzenia. Ale za każdym razem musiałem do niej powracać.

Miała na sobie nową turkusową spódnicę i szeroką plastikową bransoletę w odpowiednim kolorze. Zaczesała włosy do tyłu tak, że tworzyły grzywę jak u lwa. Pożyczyła sobie jedną z moich dżinsowych koszul, o wiele na nią za dużą, i podwinęła wysoko rękawy. Głęboki dekolt, tuż przede mną, ukazujący nasadę jej pięknych jasnych piersi, doprowadzał mnie do szaleństwa. Tyle razy widywałem ją nagą albo z piersiami na wierzchu. Po raz pierwszy czułem, że jej pragnę, że mnie pociąga.

Elias — myślałem sobie. — Co ty wyprawiasz? Jesteś chory? Chorujesz na to, że jest piękna — odpowiadałem sobie.

Tego wieczoru Mała weszła w moje życie. Nie mogłem zasnąć. Noc była gorąca, wypełniona odgłosami owadów i wilgocią. Ciemności panowały całkowite, bez księżyca, było czarno i ciężko.

Paulo chrapał jak mechaniczna piła.

Pociłem się pod swoją moskitierą, wierząc się i przewracając z boku na bok na wąskim łóżku, które boleściwie trzeszczało pod moim ciężarem. Daleko odrzuciłem koc i nie byłem nawet w stanie leżeć bez ruchu, zbyt zdenerwowany, wstrząsany zadziwiająco silnymi emocjami za każdym razem, kiedy o niej pomyślałem, i o tej chwili, kiedy na mnie patrzyła. Jej delikatna twarz, szeroki uśmiech, doskonała linia dłoni, na których opierała podbródek... a zwłaszcza tyle uczucia w tych głębokich, czarnych oczach... Wspomnienie to nie dawało mi spokoju. Stale je przywoływałem, nie potrafiąc już w końcu zobaczyć w myślach dokładnych rysów jej twarzy, raczej coś zamazanego, bezkształtnego, co doprowadzało mnie do rozpacz.

Przez krótkie, ulotne chwile moje myśli błądziły w okolicy jej legowiska, pod małą moskitierą, kilka metrów od naszej, tuż obok mnie. Zapewne jej także było gorąco. I pewnie też odsunęła koc...

— Śniesz na jawie — mówiłem sobie. — Robisz sobie złudzenia. To z powodu braku kobiet. Śpij. Odpręż się i zaśnij. Myśl o czym innym. Czy były to tylko złudzenia? Nie! Jej spojrzenie było zbyt wymowne. A poza tym przypominałem sobie, z nieustającą przyjemnością, wszystkie te drobne względy, które od początku mi okazywała i które dotąd ledwo zauważałem. Ależ tak! W jej spojrzeniu było tyle ufności, poczucia wspólnoty, tyle uśmiechu... Nie mogło być mowy o pomyłce. Zapewne wypła trochę wina, które wyzwoliło jej uczucia, ale musiały one istnieć już wcześniej.

A ta urocza pantomima w rzece tego dnia, kiedy prała bieliznę...

W każdym razie na pewno nie myliłem się co do moich własnych uczuć. Fakt, że dotąd Mała była dla mnie tylko małą podopieczną, jakby małą sympatyczną siostrzyczką. Co więcej, zawsze uważałem ją za małą dziewczynkę, nie zwracając nawet uwagi na jej kształty. Teraz jednak odczuwałem wobec niej męskie pożądanie i niepohamowane pragnienie, by przycisnąć ją do siebie.

Walczyłem ze sprzecznymi marzeniami i refleksjami, plątałem się coraz bardziej i nie mogłem zasnąć.

* * *

Pierwszym obrazem, jaki zapragnąłem ujrzeć po przebudzeniu, był jej obraz właśnie. Odczułem jakby skurcz w sercu, połączony z falą szczęścia, kiedy ją zobaczyłem, tak szczupłą i ładną. Tego ranka miała na sobie krótkie sportowe czerwone szorty i bawełnianą koszulkę z obszernym dekoltem, odsłaniającym delikatne ramiona. Jej radosny uśmiech, małe białe ząbki, wielkie oczy, wszystko to było jak olśnienie.

— Dzień dobry. Dobrze spałeś, Elias?

Podawała mi kubek gorącej kawy. Oczekiwałem, czegoś więcej niż takiego banalnego porannego powitania, ale sam nie bardzo wiedziałem czego. Cóż innego mogła powiedzieć? Było mi głupio, że mój zapał został ostudzony, a ja, przywołany na ziemię, wsadziłem nos w kubek.

Myśliwi wypłynęli o świcie. Ruszyli w górę Sanghi aż na wysokość słoniowej krypty. Stamtąd mieli dojść na miejsce, by odpiłować kły. Nie można się było ich spodziewać przed wieczorem.

Obozowisko pogrążone było w przyjemnym cieple afrykańskiego poranka. Specyficzną, napiętą ciszę wielkich przestrzeni przerywały od czasu do czasu krzyki ptaków. Rzeka, szeroka i rozlana, płynęła powoli, wzmagając jeszcze ogólne wrażenie spokoju. Obawiałem się, że uschnę z nudów, odsunięty od działania, ale w końcu nie było mi tak źle

* * *

Kuchnia składała się z rzędu czterech ognisk rozpalonych nad wykopanym w ziemi rowem, który pozwalał manipulować nad nimi bez pochylania się. Każde ognisko otoczone było kręgiem białych kamieni. Obok wznosił się stos czarnego drewna, rezultat krwawicy Tatave. W tyle, pod

plandeką rozpiętą niczym dach namiotu, trzymaliśmy najbardziej nietrwale zapasy. Reszta rozmieszczona była w kufrach na ziemi dookoła ognisk: była tu imponująca ilość miednic, garnków i lśniących czystością naczyń, niczym na bazarowym stoisku.

Tatave odpowiedzialny był za otwieranie puszek. Spokojny, siedząc w kucki, jeszcze grubszy niż kiedy wyruszaliśmy, nastawił sobie muzykę z poobijanego radiomagnetofonu: „*You give me fever...*” Shirley Bassey, na złej prędkości. Tego ranka zdałem sobie sprawę, że co najmniej jedną trzecią zawartości każdej nowo otwartej puszki przeznaczał na osobiste i natychmiastowe spożycie.

Parę kroków dalej stały pirogi, do połowy schowane wśród żółtych traw. Na brzegu schły w słońcu rozłożone na ziemi kolorowe części bielizny i ubrania. Za kuchnią widać było moskitierę Małej i kącik, jaki urządziła sobie wspólnie z Tatave. Na jego umeblowanie składały się jedna lampa i składany fotel, które nam podwędzili.

O dziesięć metrów stąd wznosiła się parasolowa sosna, pod którą zawiesiliśmy naszą wielką białą moskitierę, otoczoną trzema stosami równo ułożonych kufrów.

* * *

Nagle pojawiła się Mała z zeszytem w ręku. Po drodze przyłożyła nim Tatave, karcąc go z surową miną.

— Ty pracować, jasne?

Tatave roześmiał się. Pogodzili się już.

Przyszła i usiadła koło mnie. Znow nie wiedziałem, jak się zachować, co robić, co myśleć, i usiłowałem uśmiechać się. Otworzyła zeszyt na kolanach i zaczęła przewracać kartki, niekiedy rzucając krótkie spojrzenia na obrazki. Montaignes zredagował dla niej ten elementarny leksykon podstaw francuskiego, jak sam mawiał, używając do tego celu szkolnego zeszytu. Był tam alfabet, wypisany kolorowymi flamastrami, cała masa doskonale narysowanych przedmiotów, z wypisanymi nazwami po francusku, wielkimi literami, oraz puste miejsca, by mogła sama poćwiczyć ich pisownię.

Znalazła wreszcie właściwą stronę i z błyszczącymi oczyma wyciągnęła do mnie zeszyt. Pokazała mi obrazek, którego szukała: mały facecik i mała kobietka w ślubnych strojach, trzymający się za ręce. Było tam napisane „*MAŻ*”.

— Mąż — powiedziała. — Ty, Elias, mąż.

Powiedziała to ze spokojem, jak oczywisty fakt. Serce zabiło mi szybciej. Rozklejałem się, poddając jej urokowi wobec takiej niewinności. Pod wzorem napisała wielkimi niepewnymi pociągnięciami, wszystkie trzy litery, „MAŻ”, jakby chcąc uprawomocnić sprawę ze swej strony.

* * *

Moja rana goiła się. Jej brzegi były czyste i zablizniały się. Nadal jednak nie mogłem postawić stopy na ziemi i wlokłem się z trudem, podskakując na jednej nodze albo podpierając się piętą, choć, jak mogłem, unikałem chodzenia.

Mimo to poszedłem z całą trójką: Małą, Tatave i Bebe, żółtym pieskiem, na brzeg nieco dalej w górę rzeki, gdzie łowili te swoje tłuste szare ryby. Była to praca mozolna i milcząca. Chodzili zanurzeni w wodzie do ramion, trzymając między sobą sieć obciążoną kamieniami, które wlokły się po mulistym dnie.

Tego dnia szybko przestali, by rozpocząć zabawę, gonitwy i by pryskać na siebie wodą jak dzieciaki, którymi przecież byli. Bebe, rozumiejąc, że połów skończony, trzema susami znalazł się w wodzie, by przyłączyć się do uciech. Siedząc w cieniu przyglądałem się ich figlom.

Przyszła do mnie nieco później, zostawiając tamtą dwójkę w wodzie. Usiadła obok mnie. Jej koszulka kleiła się do ciała; we włosach miała pełno kropelek wody.

Szukałem, co mógłbym powiedzieć.

Czy rzeczywiście należało coś mówić? Pozwoliłem, by zapanowała między nami cisza. Mała niemal odwrócona była do mnie plecami, z oczami utkwionymi gdzieś w powierzchnię wody, milcząca i nieruchoma. Co ja powinienem zrobić?

Wyciągnąłem rękę. Być może gest mój był trochę niepewny. Powoli położyłem dłoń na jej ramieniu, by odwrócić ją ku sobie. Posłusznie pozwoliła się przyciągnąć. Miałem przed sobą jej błyszczące czarne oczy, zdziwione, nieco przestraszone, i przytuliłem ją do siebie, pochylając się, by dotknąć jej warg.

W ostatniej chwili odwróciła twarz i wtuliła głowę pod moje ramię, w przyptywie nieśmiałości. Rozczuliło mnie to. Łagodnie pogładziłem jej włosy, po czym, unosząc je, złożyłem delikatny pocałunek na jej karku.

Odpowiedziała mi gorącą pieśczołą i poczułem na szyi jej małe ząbki. Próbowałem łagodnie podnieść jej głowę, ale za każdym razem zwijała się w kłębek kuląc ramiona. Dopiero po długotrwałych pieśczołach powoli uniosła twarz i spojrzała na mnie.

Była bardzo poważna. Wzięła głęboki oddech, zamknęła oczy i wysunęła usta ku moim. W chwili gdy wargi nasze miały się zetknąć, wybuchnęła śmiechem i odrzuciła głowę do tyłu. Z twarzą ukrytą w dłoniach zanosila się od długiego, niepohamowanego i trochę wymuszonego śmiechu.

* * *

Paulo i Montaignes wrócili z kością słoniową późno w nocy: cztery piękne sztuki, każda niemal dwumetrowej długości. Niestety! Podczas powrotu popsuł się silnik pirogi. Nie było już sprzęgła, wszędzie sterczały zniszczone koła zębate. Wyglądało na to, że szkoda jest nieodwracalna, co pozbawiało nas jednej pirogi na drogę powrotną.

Głośno wyraziłem swoją radość z powodu kości słoniowej, a także rozpacz w sprawie silnika, bardzo głośno poskarżyłem się na swoją stopę, jeszcze głośniejszym wyraziłem żal w związku z tymi wszystkimi pięknymi dniami polowań, których byłem pozbawiony, i zachwycony pobiegłem położyć się spać, mając przed sobą obietnicę spędzenia kolejnego dnia z Małą.

* * *

Rano pierwszą rzeczą, jaką zobaczyłem, była jej twarz.

Przyglądałem się jej z daleka albo, kiedy była blisko mnie, obserwowałem każdy jej szczegół nigdy się tym nie nudząc. Myślałem tylko o niej. Tylko jednej rzeczy pragnąłem, mieć ją blisko siebie.

Całe dni spędzałem w kuchni albo nad rzeką, kiedy prała. Gdy miała czas, wyruszaliśmy na spacer, trzymając się za ręce. Tatave podążał za nami, a Bebe plątał się między nogami. Długo też kąpaliśmy się i bawili w rzece, a wtedy ocierała o mnie swoje drobne ciało i wymykała się ze śmiechem, prześlizgując się między moimi ramionami. Przez cały dzień wymienialiśmy spojrzenia i uśmiechy. Nie sposób opisać, jak dobrze to na mnie działało.

Podczas naszych tete-a-tete była niewiarygodnie piękna. Jeszcze piękniejsza, zdawało się, niż na początku naszego romansu, bo właśnie tego słowa należy tu użyć.

Nieustannie miałem ochotę dotknąć jej niesamowitej jasnej skóry, jak u Tahitanki, aksamitnej, budzącej pożądanie. Gładziłem wówczas jej twarz, delikatnie, i czasami składałem długi pocałunek na policzku. Jej grube włosy, gęste jak grzywa, subtelny wdzięk jej nadgarstków i dłoni, każdy jej widok, każda chwila z nią spędzona sprawiały, że czułem się szczęśliwy.

Była żywa i inteligentna. W swojej pracy zadziwiała mnie swoimi umiejętnościami, a jeszcze bardziej zmysłem organizacyjnym. Dla dziewczyny w tym wieku była to robota delikatna i trudna. Z obowiązków wywiązywała się wspaniale, nigdy nie było nawalanek.

Pilnie przestudiowała leksykon Montaignes'a i zadawała mu mnóstwo pytań. Nie mając pojęcia o gramatyce, nie potrafiła układać zdań w poprawnej francuszczyźnie, ale dysponowała bogatym słownictwem. Zadając jej pytania odkryłem, że doskonale umie się wypowiedzieć i wyrazić swoje myśli.

* * *

Miała podwójną osobowość: to właśnie mnie w niej fascynowało. Na jej białą część składały się jej jasna skóra, delikatność rysów i zaskakujący wdzięk ruchów. Poza tym była w niej tylko Afryka. Kiedy ucierała proso dla Małych Ludzików w wielkim drewnianym moździerzem, miała tak samo łukowato wygięte plecy i długie, regularne ruchy ramion, jak wszystkie afrykańskie kobiety ucierające proso. Była umięśniona, dobrze zbudowana i sucha, przyzwyczajona do trudnego życia. Podczas naszych zabaw miałem okazję zauważyć siłę Jej ramion i dwóch bicepsów wyrobionych przez pracę nad moździerzem.

Wieczorem, kiedy wszyscy już leżeli, szedłem do niej i siadaliśmy obok jej moskitiery, w jej małym salonie. Tam też, szeptem, najwięcej rozmawialiśmy, o wszystkim i o niczym, dla samej przyjemności bycia razem.

— Ty, odjechać?

— Tak. Pewnego dnia odjadę.

— Ty, odjechać, twoja dom?

— Nie, nie dom. No, właściwie tak. Ja mam wszędzie domy.

— Ty, domy dużo? Ty robić dom, ja w dom wszystko prac, robić czysto. Ty przychodzić, zadowolony.

Czasami opowiadała nie kończące się historie o swojej wiosce, pełnej braci i braci ojca, w której mężczyźni podkładali sobie wzajemnie świnie, a kobiety rzucały, jedna na drugą, uroki. Słuchałem nieuważnie, pochłonięty grą

cieni na jej policzkach albo długim łukiem jej szyi, zahipnotyzowany jej ogromnymi czarnymi oczami, oddalonymi od moich o parę centymetrów. Potem szedłem spać z lekkim sercem, bardziej odprężony i szczęśliwy niż kiedykolwiek przedtem.

Jedyne chwile, które nie należały do mnie, to były jej noce i późne popołudnia. Chętnie bym uprawomocnił moje stosunki z Małą wobec moich dwóch towarzyszy, ale kiedy tylko Paulo i Montaignes pojawiali się w pobliżu, stawała się oficjalna, a nawet uciekała, jeśli się zbliżyłem. Spotykałem ją wówczas, co bardzo mnie smuciło, dopiero o wiele później, na naszych wieczornych pogaduszkach.

* * *

Naiwność naszych pierwszych pocałunków sprawiła, że Mała stała mi się jeszcze droższa. Pierwszy raz wydarzyło się to w lesie, kiedy za sprawą nagłego natchnienia wziąłem ją za ramiona, pochylając się, i przycisnąłem wargi do jej ust. Zastygła w bezruchu. Kiedy przedłużyłem swój pocałunek, odskoczyła w tył z dłonią przy ustach, jakby sobie ze mnie kpiła. Następnie, kiedy wyciągnąłem do niej rękę, podeszła. Pocałowałem ją znowu. Przyzwyczyła się. Po kilku dalszych próbach zaczęła odpowiadać na moje pocałunki.

Zasmakowała w nich niesamowicie szybko. Tak bardzo, że wkrótce nie chciała już przestać. Traktowała to jak wszystko inne: jeszcze jedną prerogatywę żony wobec męża, Eliasa, i co chwila wczepiała się we mnie, by przycisnąć swoje usta do moich. W kuchni rzucała wszystko, by usiąść mi na kolanach i całować namiętnie. Podkradała się do mnie, kiedy opatrywałem sobie rękę, i wieszła się na mojej szyi całując rozchylonymi wargami. Przyciskała mnie do siebie, przytulała się do mnie i nieustannie przysuwała swoją twarz do mojej.

Potem nastąpiło głaskanie, nieśmiałe pieszczoty i przymilanie się. Często gładziła mnie dłonią po moich krótkich włosach, które ją zadziwiały. Patrzyła wtedy na mnie poważnie i wzdychała:

— Ja, bardzo lubić. Bardzo!

Jakoś tak smutno. A potem nachylała się, by mnie pocałować.

Któregoś popołudnia zobaczyłem Tatave, jak przestępował z nogi na nogę pośrodku obozowiska, z głową wzniesioną ku niebu i wargami

zwiniętymi w kurzy kuper, naśladowując nas. Posyłał w przestrzeń wielkie, donośne pocałunki i śmiał się beczelnie.

* * *

Paulo i Montaignes powrócili któregoś wieczoru ze szczególnie trudnego wypadu. M'Bumba wyprowadził ich w jakiś oddalony zakątek bagien, po czym — jak zwykle — zniknął, pozostawiając ich w błocie.

Paulo miał włosy zlepione na skroniach i karku jakąś brązową mazią, która zabrudziła także koszulę. Jego buty zamieniły się w dwie bryły gliny. Montaignes wyglądał odrażająco od stóp do głowy, miał błoto nawet na okularach i był bardzo zmęczony. Próbowałem powiedzieć coś, by podnieść ich na duchu.

— Cześć, chłopaki! Jak leci? — rzuciłem wesołym tonem.

Na nic innego nie wpadłem. Nagle poczułem się bardzo głupio: ja taki czysty i wypoczęty, rozwalony na leżaku. Zdjęli z siebie wszystko i bez słowa poszli się kąpać, nawet na mnie nie spojrzawszy.

Później Paulo zbliżył się, z nie wróżącym niczego dobrego uśmiechem na ustach:

— I co, proszę pani, mam nadzieję że to kuku na stopie już nie sprawia takich cierpień? Smaruje pani to przynajmniej maścią...?

Znow poczułem się głupio. Moja stopa była już całkowicie wyleczona. Owszem, trochę kulałem, ale głównie, żeby ich zmylić.

— Ten kutas! — krzyknął Paulo w stronę, Montaignes'a, leżącego na łóżku — ten kutas myśli, że jesteśmy tylko głupimi myśliwymi! Wydaje mu się, że niczego nie widzimy. Jesteśmy ślepi, prawda?

— Paulo...

— Myśli, że go nie widzimy, ten nasz marzyciel! Jak smali cholewki! Co? Jak kręci się wokół Małej! Co? I jak sobie ją obmacuje przez cały dzień? Masz, zastanawiam się, czyja teraz się nie rozchoruję...

— Ale, Paulo, posłuchaj...

— Tak! Zastanawiam się, czy nie poprosić o urlop. Nie jestem leniuchem, ale...

— Paulo!

* * *

Zostało to powiedziane niby od niechcienia i z uśmiechem, ale zostało, co oznaczało, że moi towarzysze nie pochwalali mojego zachowania. Mieli zresztą rację. Od paru dni pozostawiałem im całą robotę, bez żadnego wiarygodnego usprawiedliwienia.

Udawałem, że jeszcze trochę boli, że mogłoby się źle goić, utykałem, kiedy tylko ktoś na mnie patrzył... Ale wagary się skończyły. Paulo i Montaignes coraz gorzej znosili te podchody we dwóch, podczas gdy dowódca wyprawy fundował sobie słodkie życie.

— Przecież jestem już zdrowy. Jeszcze jeden dzień, żeby uniknąć zbędnego ryzyka, i idę z wami, chłopaki!

Sprytnie wynegocjowałem dodatkowe dwadzieścia cztery godziny, przysięgając, że pojutrze będę uczestniczył w polowaniu. Nie chodziło mi o leniuchowanie, ale miałem bardzo dokładne plany co do jutrzejszego rozkładu dnia; plany, w których realizacji nic mi nie mogło przeszkodzić, nawet jakiś przekłety słoń. Zapadłem w sen opracowując ostatnie szczegóły swojego projektu.

* * *

Obudziłem się bardzo zdenerwowany. Miało się to stać dzisiaj. Wypiłem kawę, rzucając radosne spojrzenia na zgrabny mały tyłeczek mojej narzeczonej. Napinał on cudowną czerwoną spódniczkę i sprawiał, że miałem ochotę gryźć.

Dzisiaj będzie moja. Postanowiłem to. Długo myślałem nad tym i analizowałem swoje uczucia. Były szlachetne i czyste. Od tej pory wybierałem ją sobie na towarzyszkę i musiałem ją pojąć. Wszystko było w porządku...

Nie zwlekając przystąpiłem do pierwszej części mojego planu: pozbyć się elementów niewygodnych.

— Tatave! Taaaaataaaave!

Nadbiegł, z wiecznie rozradowaną miną, i rechocąc posłał mi z oddali wielkiego buziaka.

— Chodź tutaj. Coś ci wytłumaczę...

Kucnąłem przy nim, położyłem mu rękę na ramieniu i słodkim głosem wyjaśniłem:

— Mała i ja wybieramy się do lasu. Będziemy szukać...eee...grzybów! Ty zostaniesz tutaj, bo trzeba pilnować obozu. To wielka odpowiedzialność i

tylko ty możesz wykonać tę pracę. Musisz wszędzie patrzeć, na wszystko, cały czas. Zrozumiałeś?

— Nie.

Uśmiechnął się, patrząc na mnie wzrokiem pełnym radości i wspaniałej afrykańskiej niewinności, i czekał.

— No dobrze... Hm! No więc tak: my, odejść, ja i Mała. Szukać grzyby. Ty, wielka odpowiedzialność. Ty pilnować obóz, kiedy ja tu nie być. OK? Ty, wielka odpowiedzialność OK? Ty, patrzeć wszędzie, cały czas. Ty, rozumieć?

— Nie.

Gdyby mógł uśmiechnąć się szerzej, zrobiłby to. Jego wzrok wbity we mnie był pusty, pełen nieograniczonego zadziwienia. Co jest? Puszczął do mnie murzyńskie oko? Do cholery! Jak można być takim bałwanem? Czy tylko ja jeden na świecie posądzałem go o krztę inteligencji?

— Posłuchaj, mały — wrzasnąłem. — Ty zostać. Ja, do lasu! Grzyby, mniam mniam! Elias i Mała odeszli. Ty, wielki wódz, pilnować, pilnować! Rozumiesz?

Mała pojawiła się nagle za jego plecami i złapała go za ucho, wykręcając je.

— My odeszli! Ty, rozumieć.

Iskierka inteligencji znów rozbłysła w oczach Tatave jednocześnie z grymasem bólu na jego twarzy. Podniósł do góry kciuk.

— OK! OK! Rozumieć. Elias i Mała do lasu, żeby, hi! hi!, szukać grzyby, hi! hi!

Uderzyłem otwartą dłonią w głowę tego kretyna, który najwyraźniej nie był taki głupi, i szybko przygotowałem koszyk z wałówką: coca-cola, herbatniki, czekolada... Byłem gotów.

Albo prawie. Błyskawicznie tasakiem pokroiłem dobry kilogram mięsa na małe kostki, zawinałem w papier i wsunąłem do koszyka: druga część planu.

Następnie, z sercem bijącym jak u sztubaka, poszedłem zaprosić moją przyszłą i ruszyliśmy we dwoje, prosto do rzeki.

Sangha nie była głęboka, nie licząc paru dziur, które łatwo było wypatrzeć uważając na kolor dna. Woda sięgała mi do piersi, a najczęściej do bioder. Naprzeciwko obozu, w środkowym nurcie, rzeka rozwidlała się opływając długie, puste i trawiaste wysepki o piaszczystych brzegach. Poprzedniej nocy wybrałem sobie miejsce. Te długie spokojne wyspy, jak

okiem sięgnąć, zapewniały całkowitą izolację, doskonałą intymność i wspaniałe otoczenie.

Mała niosła koszyk na głowie, a Bebe, któremu znudziło się już płynąć za nami, pozwalał się jej nieść na rękach. Dobiliśmy do cypla jednej z wysp. W pobliżu małej piaszczystej plaży woda była całkowicie przezroczysta, nie głębsza niż dwadzieścia centymetrów i lśniąca od słońca.

Mała położyła się jak długa na piasku, zmęczona przeprawą przez wodę, ze spódnicą przylepioną do ciała i kropelkami wody na włosach. Wyglądała jak nimfa wodna, i na chwilę widok ten odjął mi mowę.

No, dalej! Najpierw część druga. Pozbyłem się już Tatave. Teraz trzeba było unieszkodliwić Bebe. Jego nie można było zostawić w obozowisku. Zawsze i wszędzie towarzyszył swojej pani. Pozbawić go przytomności i związać byłoby niedelikatnością wobec mojej połowicy. Poza tym lubiłem go. Po prostu miałem mu za złe, że zawsze, systematycznie, przerywał nasze pieszczoty i wciskał swój pyszczek między nasze wargi. Sposób, w jaki zwykł wówczas lizać twarz swojej pani pojękując przy tym, bardzo działał mi na nerwy.

— Bebe! Bebe! Tutaj, Bebe! Zobacz, co dla ciebie mam!

Wyciągnąłem zawiniątko z mięsem. Bebe natychmiast podbiegł i wcisnął w nie swój spiczasty pysk, wariacko wymachując kawałkiem żółtej szmaty, która służyła mu za ogon.

— Masz, mój Bebe! To dla ciebie! Dla kogo to będzie? Ależ dla Bebe!

Jeden po drugim wciskałem mu do pyska kawałki mięsa. Ochoczo zatapiał w nich zęby, siedząc wygodnie, z oczami przysłoniętymi mgiełką wdzięczności.

— Och! Bebe! — próbowała interweniować Mała. — Za dużo jeść! Elias! Za dużo! Za dużo!

Ruchem dłoni nakazałem jej milczenie i nakarmiłem Bebe aż do ostatniego kawałka mięsa. Jego mały brzuszek był rozdęty i okrągły jak piłeczka. Zrobił parę kroków po plaży, zdziwiony tym nieoczekiwanym ciężarem. Następnie przeciągnął się i potężnie ziewnął. Byłem w siódmym niebie. Niepewnie podszedł do dużej kępy żółtych traw, wcisnął się w nią, położył łeb i zasnął. Nareszcie! Nareszcie byłem z nią sam na sam!

Zdjąłem jej spódniczkę. Nie zrobiła nic, stojąc nieruchomo, i przyglądając mi się z wyrazem ogromnego zdziwienia w oczach. Wziąłem ją

na ręce, przytuloną do mnie jak dziecko, z głową złożoną na moim ramieniu, i pochodziłem tak z nią trochę.

— Pójdziemy się wykąpać — zaproponowałem łagodnie.

Bawiliśmy się do utraty tchu, pływając i biegając w wodzie, goniąc się wzajemnie. Atakowaliśmy się wielkimi bryzgami wody. Moje dłonie zamykały się niekiedy na którejs z jej krągłości. Jej dłonie chwyciły i dotykały mojego ciała, mocniej niż kiedykolwiek przedtem.

Potem, nagle uspokojeni, długo staliśmy objęci w chłodnej wodzie, bez ruchu, bez powodu, w ogólnej ciszy. Wsłuchiwałem się w jej oddech. Przyciskałem do piersi jej mokre ciało. Czułem się niewiarygodnie szczęśliwy. W końcu zaniósłem ją na plażę i położyłem na piasku.

Długo patrzyłem na jej sterczące piersi, wymierzone prosto w słońce, na jej płaski brzuch, jej długie nogi, jeszcze drżące po naszych gonitwach, i na piękny czarny trójkąt miękkiej i młodej sierści między jej udami.

Nachyliłem się nad nią i wyciągnąłem ręce. Dłonie zamknęły się na jej piersiach, a potem rozpocząłem eksplorację; moje palce przesuwaly się po wszystkich zakątkach jej ciała i często zatrzymywały się na dłużej. Pod wpływem moich pieszczot wiła się i prężyła jak małe zwierzątko. Zanurkowałem i przycisnąłem usta do jej skóry, wydzielającej mocny pieprzny zapach, po czym ponownie ruszyłem na rozpoznanie jej ciała.

Była gotowa, wilgotna, z wygiętymi plecami. Jej oczy, które zamknęła, kiedy zaczęły ją pieścić moje dłonie, otworzyły się teraz, jakby przysłonięte mgłą. Z jej gardła wydobywało się niskie, głuche mruczenie.

Pożądanie sprawiało mi ból.

Poczekąłem jeszcze, pieszcząc i liżąc ciało, które mi oddawała. Jej oddech stał się szybszy. Jęknęła cicho, a mnie ogarnęła fala szczęścia. Położyłem ręce na jej udach i...

Ryk nie ludzkiej wściekłości spadł na nas jak grom: M'Bumba atakował! Pędził na nas. Był dwa metry od nas!

Skoczyliśmy na równe nogi. W stanie dziwnego uniesienia, pod wpływem strachu i nagłości sytuacji, rozglądałem się na wszystkie strony, a przyrodzenie krępowało mi swobodę ruchów, i starałem się dojrzeć, gdzie on był.

Ale pozostawał niewidoczny. Nie potrafiłem tego zrozumieć. Ryk nie ustawał i wydawało się, że dobiega z bliska.

Nagle zapadła cisza.

— Gdzie jest ten skurwysyn?! Gdzie?!

Dobrze już znany łoskot łamanych gałęzi i drzew, tratowanych na jego drodze, potworna przybliżająca się szarża, wszystko to zmroziło mi krew w żyłach. Hałas dobiegał z przeciwnego brzegu. Boże! Dochodził z obozowiska!

Potwór pojawił się, roztrącając ostatnie drzewa. Niczym wielka, ciemna katedra, najeżona z prawej strony spiczastym łukiem jedyne kła, na ogromnych nogach, przypominających zgniatacze, które wprawiały ziemię w drżenie i wznosiły tumany kurzu za każdym dotknięciem gruntu.

Nagle stanął, gigantyczny, pośrodku naszego sprzętu. Moskitiery, kuchnia, z której unosiły się smużki dymu, skrzynie, całe nasze siedlisko wydawało się śmieszne w porównaniu z tą masą. Coś poruszyło się, o dwa kroki od nóg potwora. Ciemna i okrągła sylwetka, która potoczyła się w kierunku rzeki.

— Kurwa, nie! Tatave!

Stojąca przy mnie Mała wrzasnęła. Teraz wielka masa przed nami przestępowała wściekle z nogi na nogę. Tatave biegł ze wszystkich sił w kierunku wody, tak szybko, jak tylko pozwalały mu jego małe niezdarne nóżki. Forteca poruszyła się i w mgnieniu oka była już nad nim. Zobaczyłem, jak ogromna trąba wznosi się wysoko w niebo, trzymając naszego małego kuchcika, po czym gwałtownie spada w dół z wielką siłą ciskając jego ciało na ziemię. Następnie podniosła je i cztery czy pięć razy jeszcze rozmiażdżyła je o ziemię.

Wściekle pomruki, sapnięcia i porykiwania słonia, przepelnione nienawiścią i żądzą niszczenia, wyznaczały rytm tej sceny i napawały nas grozą. W końcu ujrzałem, jak chwyta Tatave za nogi. Zamachnął się z furją, po czym cisnął bezwładne zwłoki, które wyleciały w powietrze na niesamowitą wysokość. Z rozłożonymi rękami i nogami, obracając się powoli wokół własnej osi, przeleciały nad obozowiskiem i roztrzaskały się o drzewo.

* * *

Odruch szaleństwa kazał mi rzucić się naprzód. Zacząłem biec przez wodę, a potem z wściekłością płynąć w kierunku drugiego brzegu. Mała wrzeszczała, wzywając mnie do powrotu.

Musiałem tam iść.

Zabić! Zaszokowany śmiercią Tatave i potworną sceną jego masakrowania, wzburzony tym huraganem dzikich pomruków, tym rykiem, jakiego nigdy nie słyszałem u żadnego zwierzęcia, przez parę sekund ogarnęła mnie niezłomna pewność. Trzeba było zniszczyć to coś. Ta potworna czarna skała, ożywiona nienawiścią, nie mogła pozostać na tym świecie. Była zbyt potężna, zbyt zawzięta, zbyt okrutna. Coś takiego nie mogło istnieć. To musiało umrzeć.

Ze wszystkich sił brnąłem w jego kierunku, chwilami przechodząc w crawl, który przybliżał mnie do brzegu.

M'Bumba, nadal rycząc i sapiąc, chodził po całym obozie. Widziałem, jak kolejno wszystko znika. Nie było już moskitier, pozrywanych uderzeniami trąby; kuchnia rozniesiona w drobny mak; w powietrzu przelatowały części ekwipunku; żelazne kufry, uniesione trąbą, spadały na ziemię i pękały z hukiem. Zwierzę całym ciężarem, z hałasem przypominającym wystrzał armatni, przewalało się po wszystkim, co znalazło na swej drodze. Wydawało się, że jest wszędzie. Szybkość jego ruchów graniczyła z cudem.

Byłem już dziesięć metrów od brzegu, gotów do ostatniego i samobójczego sprintu w kierunku zwierzęcia. Nagle ujrzałem je przed sobą, ogromne, wypełniające całe moje pole widzenia, niesłychanie potężne i szerokie.

Przeraziłby nawet samego diabła. Całe bohaterstwo i szaleństwo opuściło mnie momentalnie, stanąłem jak wryty i nawet postąpiłem kilka kroków do tyłu, przerażony swoją nagością i znikomością.

Patrzył na mnie, z głową przechyloną na bok, a ogromne ponadrywane uszy wachlowały jego gigantyczną głowę.

Byłem zbyt blisko brzegu. Zaraz się na mnie rzuci. Po co ja to zrobiłem? Był gigantyczny, a przede wszystkim zadziwiająco szeroki. Jego pierś wyglądała jak ściana czarnego, spękanego ciała. Jego głowa, nieregularnych kształtów skała, miała odcień szary, nieco jaśniejszy. Jedyne kiel wycelowany był we mnie. Resztkę lewego zaledwie wystawała ze szczęki, a miejsce, w którym został ułamany, wyglądało na ostre niczym szablą.

Na jego szyi i kły wisiały kawałki lian i gałęzi. Cztery kolumny jego nóg oraz brzuch pokrywała gruba warstwa błota, ciemna i popękana, tworząca

jakby skorupę pokrytą łuskami. Wyglądał jak brontozaur albo inne świństwo w tym rodzaju! Potwór z zamierzchłych czasów, wielki i silny jak mamut!

Widział mnie, byłem tego pewien. Sapnął, zawachlował uszami niczym dwoma wielkimi żaglami i ciężko rzucił się do przodu. Na mnie! Zatrzymał się z przednimi nogami w wodzie, niecałe dziesięć metrów naprzeciw mnie. Stałem jak skamieniały, nie poruszyłem się nawet o włos.

Pokiwał z furją głową, odwrócił się do mnie plecami, po czym nagle wykonał zwrot o sto osiemdziesiąt stopni i ponownie runął na mnie jak nawałnica. Zatrzymał się dokładnie na granicy wody i zaczął ją deptać, powodując gigantyczne bryzgi. Warczał jak wielkie drapieżniki. Kilkakrotnie powoli te udawane szarże, za każdym razem powodując skurcze w moim żołądku. Wreszcie zatrzymał się, sapiąc jak smok, z ogromnymi przednimi nogami w wodzie; popatrzył na mnie chwilę, po czym odszedł i stracił zainteresowanie dla mojej nieruchomej postaci.

Przeszedł przez obozowisko i za pomocą trąby podniósł ciało Tatave, które obojętnie odrzucił na bok. Wydał ostatni krótki gniewny ryk i pobiegł w kierunku lasu.

* * *

Nie mogłem się powstrzymać, by nie liczyć na jakiś cud. Moje nadzieje okazały się płonne, kiedy tylko zbliżyłem się do ciała. Tatave nie żył. Żaden okruczeństwo życia nie mógł przetrwać w tej bezkształtnej masie.

Nadbiegła Mała i nie zdążyłem jej zatrzymać. Zobaczyła to, co zostało z jej przyjaciela, zgięła się wzdłuż, spazmy ogarnęły jej żołądek, i zaczęła wymiotować blada jak trup, po czym wyjąc pobiegła wprost przed siebie, głucha na moje wezwania.

* * *

Był to straszny cios. Zarówno dla mnie, jak i dla Małej, dla Paula i Montaignes'a, kiedy wrócili. Krótka relacja wydarzeń, jaką im przedstawiłem, pozostawiła ich otępiałych, nieruchomych i milczących.

Kiedy zapadł wieczór, siedzieliśmy bez słowa przygnębieni, wśród pozostałości po obozowisku. Nikt nie miał odwagi zabrać się za cokolwiek. Przerazająca śmierć naszego małego towarzysza ciążyła nad nami i uniemożliwiała podjęcie jakiegokolwiek działalności.

Od czasu powrotu Paulo i Montaignes nie ruszyli się z miejsca i siedzieli pogrążeni w ponurych myślach, nadal ubrani w swoje ubłocone stroje myśliwskie. Zapaliłem kilka pochodni, które skwierczały donośnie w panującej ciszy i rzucały tańczące cienie na zasepione twarze moich towarzyszy. Bebe rozciągnął się na całą swoją długość, z głową na ziemi, i od czasu do czasu pojękiwał.

Wyciągnąłem rękę do Małej, żeby przytulić ją i pocieszyć, ale zaraz się wymknęła. Poszła do pirogi i wyciągnęła z niej swój bęben. Oddaliła się od nas i wkrótce zaczęła wybijać, gdzieś nad rzeką, regularny powolny rytm, który bez przerwy się powtarzał:

Bałam, Bałam, Bałam! Bam, Bam, Bam, Bam! Bałam, Bałam, Bałam!
Bam, Bam!

Źle się czułem. Przed zapadnięciem nocy zebrałem to, co zostało z Tatave, i wiele mnie to kosztowało. W takich chwilach można sobie zdać sprawę, że istota ludzka składa się jedynie z mięsa, i że kiedy ogranicza się wyłącznie do tej wewnętrznej tkanki, wygląda odrażająco. Prześladowały mnie wspomnienia tych kawałków oraz czerwonych plam na prześcieradle, w które je zawiązałem; nieustannie stawały mi przed oczami i nie mogłem się ich pozbyć.

Bałam, Bałam, Bałam! Bam, Bam, Bam! Bałam, Bałam, Bałam! Bam, Bam... brzmiał tam–tam Małej nad rzeką.

Jedno było pewne. Nikt o tym nie wspomniał, ale byłem pewien, że Paulo i Montaignes podzielali moje odczucie. Pozostawało tylko jedno wyjście. Teraz albo M'Bumba, albo my. W każdym z nas głęboko tkwiło postanowienie, by zabić go za wszelką cenę. Musiał zapłacić.

Paulo otrząsnął się z odrętwienia, by upić się do nieprzytomności. Długimi pociągnięciami, dążąc do utraty przytomności, wypił prosto z butelki świeżo odkorkowaną szkocką. Montaignes poszedł w jego ślady, ale nie wytrzymał długo i zasnął na krześle. Osamotniony Paulo pił dalej i tej nocy wlał w siebie więcej alkoholu niż kiedykolwiek przedtem w mojej obecności.

Małe Ludziki paliły przez cały wieczór. Rozpoczęły nucenie półgłosem ponurej pieśni, zapewne żałobnej. Były to dźwięki gardłowe, przygnębiające, nic przyjemnego. Uciekłem od tej beznadziejnej atmosfery. Tam, nad rzeką. Mała nadal waliła. Szedłem wzdłuż brzegu, gubiąc się nieco w całkowitej ciemności bezksiężycowej nocy, wiedziony odgłosem tam–tam.

Odnalazłem ją dobre sto metrów od obozu, a raczej od jego resztek. Dźwięki kierowane były nad wodę. Za bęben służył jej cienki i wydrążony pień drzewa, leżący na dwóch podpórkach. Siedząc na piętach machała dwoma ciężkimi kijami z regularnością automatu, jej oczy były szeroko otwarte i pozbawione wyrazu. Na mój widok uśmiechnęła się lekko i niepewnie. Położyłem się obok niej.

Bałam, Bałam, Bałam! Bam, Bam, Bam, Bam! Bałam, Bałam, Bałam!
Bam, Bam!

Machinalnie zacząłem wybijać ten sam rytm dłonią na trawie. Po chwili zauważyła to i zaczęliśmy się bawić, waląc jednocześnie; ja w ziemię, a ona w bęben. Potem przerwała i wyjaśniła mi ze smutnym uśmiechem:

— To, bęben, znaczyć „*Przyjść, przyjść*”. W wioska, słyszeć. Wiedzieć zła rzecz, tu niedobrze. Oni przyjść. Oni zabrać Tatave. Ja musieć walić bęben. Tatave umarły, tutaj niedobrze. Umarły dobrze, tylko wioska. Oni przyjść i zabrać on.

Ponownie ujęła kije i, podczas gdy ja leżałem koło niej, waliła tak przez całą noc.

CZEŚĆ TRZECIA

Wydawało mu się, że nas zatrzymał.

Utrata jednego z naszych i zniszczenie prawie całego dobytku powinno dać nam do myślenia. Zresztą po ostatnim ataku zniknął z okolicy. Według naszej zgodnej opinii, jako że zawsze podążał w kierunku północno-zachodnim, nie było żadnego powodu, by teraz zmienił kierunek. Wydawało się, że ma wytyczony jakiś cel i zapewne kontynuował swoją drogę sądząc, że przeciwnicy zrezygnują z pogoni. Inteligentny był ten skurwiel!

Jego kierunek, na północny zachód, wiódł prosto nad jezioro Tebe, słynne Jezioro Dinozaurów Montaignes'a, poprzez połacie gęstej dżungli, pełnej nieznanymi gatunków i praktycznie niezbadanej.

Po dyskusji postanowiliśmy iść dalej. Trzeba było pomścić śmierć Tatave. Kiedy zabijają ci faceta, trzeba natychmiast zlikwidować winnego. W takich przypadkach nie ma co pozostawiać bogom rozkoszy zemsty. Gdybyśmy teraz mieli się cofnąć, do faktorii, żeby zorganizować nową ekspedycję, nie powrócilibyśmy już nigdy na trop M'Bumby. Paulo i ja wiedzieliśmy o tym z doświadczenia. Po powrocie do normalnego życia dramaty wydają się mniej pilne i realne.

Nie, żadnego cofania się! Trzeba iść naprzód! Ekwipunek został zniszczony? Obędziemy się bez wygód. Paulo i ja tak bardzo lubiliśmy komfort właśnie dlatego, że potrafiliśmy się bez niego obejść i byliśmy gotowi do ponownego objęcia służby. Dżungla była gęsta? Zagłębimy się w nią i będziemy z niej żyć. Zdarzało się to już wcześniej, w innych, podobnych miejscach i w innych okolicznościach. Przeżycie w lesie było sprawą wyłącznie organizacyjną, z którą potrafiliśmy się uporać. Poza tym mieliśmy jeszcze broń, żeby polować. Jeśli chodzi o Montaignes, opanowanego myślą o Jeziorze Dinozaurów, to był z nami na sto procent. Mała, ze swej strony, była twarda i lepiej czuła się na łonie przyrody niż którykolwiek z nas. Była w stanie wytrzymać kilka tygodni w warunkach prymitywnego obozowiska.

* * *

Kłopoty pojawiły się ze strony tropicieli, następnego dnia po tragedii, kiedy to w ogólnej atmosferze obelg i przygnębienia stanęli przed nami poważni, wypychając Małą do przodu.

— No, fajnie — mruknął Paulo. — Będą teraz zawracać dupę! Mała, z twarzą o wyostrzonych zmęczeniem rysach, wyrzuciła z siebie bezbarwnym głosem:

— Małe Ludziki odejść. Oni chceć naboje.

— A nie mówiłem? Eee... Mała, powiedz im... Daję o trzy pudełka naboii więcej. On tak nie odejść!

Mała przetłumaczyła. Mocno stojący na swoich kaczkowatych nogach, z ugiętymi kolanami, zdecydowani, obaj faceci wysłuchali jej. Ich małe czarne oczka, bez wyrazu, patrzyły na nas, twarze były zamknięte, szczęki zaciśnięte. Syn głośno oddychał, rozszerzając i zaciskając nozdrza. Nie, potrząsnęli głowami. Ojciec zaszcebiotał jak rozzłoszczony koliber. Mała, zdenerwowana, wzruszyła ramionami.

— On nie chceć! Ja mówić! On mówić odejść. Chceć naboje. Ja mówić...

— No więc powiedz mu jeszcze raz! Masz, dorzuć pięć pudełek i nie mówmy już o tym.

Mała mozolnie przetłumaczyła, mieszanką szcebiotu i Kuju. Obaj tropiciele zacięli się, z pochylonymi wełniastymi głowami, którymi zgodnym ruchem potrząsali przecząco.

— Do jasnej cholery! To przecież się we łbie nie mieści!

Paulo walnął się po udach, głęboko odetchnął, po czym przywołał całą swoją znajomość tubylczej psychologii, nabytą przez lata spędzone wśród miejscowych, by spokojnie kontynuować targi.

— Powiedz mu, malutka. Ja, wielki wódz Paulo, gotowy dać prezent: dziesięć pudełek naboii! Dziesięć! I karabin!

Nieźle podbił! Paulo rzucał na szalę wszystko, i miał rację. Nie mieliśmy już czasu, żeby bawić się w szczegóły. Musieliśmy ruszyć za M'Bumbą i zorganizować się, by przeżyć w dżungli. Obecność tych dwóch osłów o ptasim języku była niezbędna. Karabin to wyjątkowa okazja dla dzikusa zagubionego w tej zapadłej okolicy. Trafia się raz na sto lat, sądząc po stanie jego kalibru 12. Mieliśmy w faktorii kilka takich starych egzemplarzy.

Obaj potrząsnęli głowami. Nie ma mowy. Montaignes klasnął językiem i wzdychając założył ręce. Trzeba przyznać, że zaczynali już grać na nerwach. Zmęczona Mała wyglądała, jakby była u progu załamania.

— Ja mówić! Ja mówić! — powtarzała. — On nie chceć, M^Bumba, on mówić! M'Bumba!

— Tak, słyszałem — odpowiedział Paulo, drapiąc się w głowę. — M'Bumba, przekleństwo, i te rzeczy... Rozumiem. Powiedz mu, że rozumiem... Powiedz mu... Powiedz mu, co chcesz, no już! Powiedzmy dwa karabiny.

Stary musiał jeszcze dołożyć karabiny, potem latarki, potem zaczął dygotać, z zaciśniętymi pięściami, wrzeszcząc:

— Daję ci wszystko! Wszystko! Mała, powiedz mu, że cały ekwipunek jest ich, jeśli z nami pójda!

Wszystko, to nie było wiele. Po katastrofie zostaliśmy z dwoma nadającymi się do użytku kawałkami moskitiery, dwiema czy trzema śmiesznymi miednicami, paroma latarkami. Po prostu z niczym. Została nam tylko jedna łódź. Pech chciał, że poprzedniego dnia wyciągnąłem na ląd pirogę z żywnością i drugą; tę, gdzie Paulo zepsuł silnik. Odwróciłem je, żeby przejrzeć dna i w razie potrzeby pozatykać ewentualne szczeliny. Teraz obie pirogi były w kawałkach. Do niczego. Był to najcięższy cios, jaki można było nam zadać.

Monfaignes'owi udało się uratować parę tomików poezji i, co dla nas ważniejsze, mapy i kompasy. Poza tym w ciągu czterech minut i paru sekund M'Bumba zniszczył łóżka, fotele, reflektory, starł z powierzchni ziemi generator, porozwalał kufry i ich zawartość, porozsypywał i zamienił w papkę całą żywność, z wyjątkiem worków soli i jednej paczki kawy, zmiażdżył łopaty, garnki, wszystko, co gdzieś leżało, w tym także skrzynkę Chateau-Monbrisac 1976.

Nadchodziły ciężkie czasy. Przed nami, na brzegu rzeki, niczym stos śmieci, leżały wszystkie zapasy z naszego składu, cały nasz podstawowy dobytek.

— Wszystko dostaniesz! Pójdziesz wreszcie, ty kurewski czarnuchu!?

— OK, Paulo! Starczy, trzeba pomyśleć. Poczekaj!

Położyłem mu rękę na ramieniu, uprzedzając nadchodzący atak szału i strzelanie do skurwieli. Odciągnąłem go do tyłu. Małe Ludziki zapiszczały. Przerazona Mała patrzyła na nas.

— Oni, źli! Chcieć naboje!

— Taki wał! — ryknął po chamsku Paulo. — Gównno! Gównno im dam! Płacimy po zabiciu zwierzęcia. O ile wiem, jeszcze niczego nie zabiliśmy! Mogą sobie te swoje naboje...

— OK, Paulo. Spokojnie. Sam się tym zajmę.

* * *

Po chwili podszedł do nas syn, cały roztrzęsiony, i ruszył prosto na Paula. Powstrzymałem go natychmiast tysiącem uspokajających gestów i miłych poklepywać po plecach.

— Chodź, Mała. Muszę z nim pogadać. Posadziłem go nieco dalej i długo tłumaczyłem, patrząc prosto w oczy, spokojnym i pełnym wyższości tonem:

— M'Bumba, nic. My, siła przeciw M'Bumba. My, duchy przeciwne M'Bumba. Ty idziesz z nami, bo jesteś wielki myśliwy... itd.

Potrząsnął łbem, powiedział, że M'Bumba odejść, wrócić, nic nie można zrobić, i zaczął się denerwować. Pokazałem mu swoje dłonie i cienką białą blizną pośrodku.

— Ja, M'Bumba. On i on, też M'Bumba. Z nami M'Bumba nic nie zrobić.

Zamyślił się, co było dobrym znakiem. Pozwoliłem mu namyślić się do woli, po czym roztoczyłem przed nim perspektywę bogactwa.

— Kiedy M'Bumba zabity, pięć karabinów, dwadzieścia pudełek naboji, po powrocie do Powszechnej Faktorii Handlowej. Wszystko. Popatrzył spode łba na Małą i coś zaszczębiotał.

— On mówić, ty dać pirogę z silnikiem.

Sprawa była wygrana, żądza zysku zwyciężyła przekleństwo.

— OK! Piroga z silnikiem twoja.

Poszedł do ojca. Wypalili swoją fajkę, pomajaczyli, naradzili się i w końcu zawarliśmy umowę.

Opuściliśmy to miejsce jeszcze tego samego wieczoru. Mała zajęła się Tatave. Jego zwłoki zostały umieszczone na palach, wysoko, żeby uniknąć

napaści padlinożernych zwierząt, i blisko brzegu, by ludzie Kuju dostrzegli je, kiedy przyjdą na wezwanie tam–tamu.

Pozbieraliśmy nasze śmieci i załadowaliśmy resztki, które nam zostały, na jedyną pirogę zdatną do użytku. W zasadzie, nie licząc paru drobiazgów, mieliśmy już tylko broń i amunicję. M'Bumba ominął skrzynię z zapalnikami. Naprawdę musiał nad nim czuwać diabeł! Wystarczyłoby, żeby postawił na niej nogę, a wybuch oderwałby mu ją i w ten sposób nasze kłopoty by się skończyły.

Dynamit, potężny zapas amunicji, trzy karabiny: mogliśmy ruszyć w głąb dżungli.

Wyprawa nadal podążała w górę Sanghi. M'Bumba zniknął, ale nie przejmowaliśmy się tym. Wiedzieliśmy, że jesteśmy na właściwej drodze. Posuwaliśmy się naprzód małymi etapami, przerywanymi krótkimi wypadami w głąb lądu, kiedy pozwalała na to roślinność.

Piroga płynęła powoli, skąpana w dziwnym zielonym świetle. W ciągu tych dni, nie zdając sobie z tego sprawy, powoli wniknęliśmy w niesamowity świat otaczający nas teraz już ze wszystkich stron.

Koryto rzeki zwęziło się. Nierealne światło, które na nas padało, przenikało przez gigantyczne sklepienie roślinności, przypominające nawę przedziwnej katedry. Drzewa o długich, cienkich pniach rozrastały się nagle trzydzieści metrów nad ziemią, tam gdzie znajdowały światło, i rozpościerały niezliczone gałęzie, pogmatwane, obrośnięte zwałami jasnych paproci i roślinnych pasożytów, tworząc zieloną barokową architekturę usianą dziwaczными, poskręcanymi węzłami.

Pod tą kopułą roilo się od mangowców, drzew chlebowych o ogromnych pomarańczowych owocach i całego mnóstwa odmian palm w pełnym rozkwicie, poprzeplatanych lianami, obsypanych majestatycznymi kwiatami, białymi i nierzeczywistymi, które zakwitały jedynie rano, i wielkimi owocami o intensywnych kolorach.

Na obu brzegach tworzyło to nieprzebytą ścianę, która aż drżała od wewnętrznego życia. Poniżej, u stóp drzew, rozciągała się warstwa gigantycznych tłustych roślin o podłużnych lub okrągłych liściach, najeżonych kolcami lub gładkich i nabrzmiąłych wodą, tak jakby na każdym

metrze kwadratowym tej okolicy zebrane były wszystkie możliwe odmiany flory.

Od czasu do czasu ogromny, gładki i goły pień wyjątkowo wielkiego okazu przebijał przez sklepienie i rozkwitał jeszcze wyżej, na siedemdziesięciu metrach, poza zasięgiem wzroku.

Pod wielką kopułą zalaną szmaragdowym światłem krzyki ptaków zyskiwały dziwne brzmienie. Były ich tysiące, ukryte za gęstą plataniną wielkich drzew. Słyszać było skrzeczenie, popiskiwanie, melodyjne zmienne gwizdy, tworzące razem obłądną muzykę, dużo głośniejszą niż zwykle.

Niekiedy wszystko milkło i na parę sekund zapadała intensywna cisza.

Każdy nasz wypad dawał nam sposobność odkrycia jakiegoś cudu. Raz szliśmy długo w nierzeczywistym lesie wielkich drzew o ognistych kwiatach, lśniących w promieniach słońca wpadających przez dziury w sklepieniu. Długie, czarne i pokręcone gałęzie wiły się w nieskończoność, tworząc, jak okiem sięgnąć, gigantyczną siatkę upstrzoną pękami płonących kwiatów.

— Nigdy jeszcze nie widziałem tylu naraz. Kurwa, ale to piękne!

— *Delonix regia* — wyjaśnił Montaignes. — Kwiaty dopiero co rozkwitły. Jest koniec pory suchej, czas wielkiego kwitnienia... Piękne, prawda?

Nagle znaleźliśmy się wśród delikatnoróżowych orchidei z fioletową otoczką, wielkich niczym dwie razem złożone dłonie, i poprzyczepianych do pni i gałęzi drzew. Innym razem, wśród monumentalnych pni gigantycznych drzew, trafiliśmy na rozległe pole drzew coli, obsypanych ogromnymi owocami w kolorze ostrej czerwieni, niemal fosforyzującymi, o dziwnych kolczastych kształtach. Skorzystaliśmy z okazji, by zrobić sobie zapas ich nasion, wielkich jak orzechy, które działają pobudzająco w nie mniejszym stopniu niż kawa.

Był koniec lata i las osiągnął szczyt rozkwitu. Przepływaliśmy przez chmury ciężkich upajających woni, które nagle zanikały. Kwiaty pojawiały się nawet na wodzie, z korzeniami pod powierzchnią, wśród skupisk palm i liliowych nenufarów, które piroga delikatnie roztrącała na boki.

Przez wiele godzin płynęliśmy klucząc pomiędzy majestatycznymi zasłonami z lian, tworzącymi nawet fałdy, niczym kurtyna w teatrze, i spadającymi z niebotycznych wysokości.

— Te liany to epifity — wyjaśnił Montaignes. — Są zawieszane na gałęziach tam wyżej, ale nie odżywiają się nimi. Starają się utworzyć jak największą powierzchnię, żeby wychwytywać z powietrza drobiny, którymi się żywią. Niezłe, co?

Liany były wszędzie, tworząc pręgi na tle zieleni. W niektórych miejscach przechodziły z jednego brzegu na drugi, gęsto poprzeplatane, tworząc jakby most, z którego zwisały paprocie i oślizgłe mchy.

* * *

Przepełniliśmy w pobliżu stada mandryli, małp o potężnych torsach i kolorowych mordach. Siedząc sobie na brzegu patrzyły na nas zachowując całkowity spokój. Samce miały niesamowite jaskrawoczerwone pyski, podłużne, obramowane turkusowymi policzkami. Sierść ich była czarna, z jedwabistym rudym kołnierzykiem i zabawną małą bródką.

— Kolory służą im do rozpoznawania się między sobą — wyjaśnił Montaignes. — Ale dziwi mnie ich liczba.

Było ich około pięciuset, zgromadzonych bez wyraźnej przyczyny na brzegu, jedne siedziały na zadach, inne biegały na czterech łapach, niektóre machały do nas przyjaźnie.

— Nie można powiedzieć, żeby były bojaźliwe — zauważył Paulo. — Zabawne, jak spokojne są tutaj zwierzęta, nie?

Przychodziły jeść nam z ręki. Mieliśmy rzadką okazję długo przyglądać się całym stadom małych leśnych antylop, które zeszyły nad rzekę do wodopoju. Rzecz zadziwiająca, nie uciekły na nasz widok i łagodnie patrzyły na nas wielkimi inteligentnymi oczami. Były to ładne małe zwierzątka, w większości rude, o wydłużonej sylwetce — podobnie jak antylopy sawanny — lecz o dużo krótszych nogach, zwłaszcza przednich. Niektóre na szczycie głowy miały parę niewielkich rogów.

— To cudowne — powiedział Montaignes. — One zupełnie się nie boją.

Wytrzeszczał oczy za swoimi okularami, starając się widzieć je wszystkie jednocześnie i recytując z zachwytem:

— *Cephalopa zebra*, ta mała w prążki. *Cephalopa russica*, najczęściej spotykana... Cudowne!

Wkrótce zaczęły latać wokół nas ptaki o turkoczających skrzydłach, którymi machały równie szybko jak owady. Małeńkie, śmigłe, pierzaste kulki, w najjaskrawszych kolorach, i tak ufne, że wydawały się gotowe usiąść nam

na dłoni, gdybyśmy ją wyciągnęli. Stada tysięcy skrzeczących papug, widocznych pośród zieleni, gęsto siedzące w koronach drzew, niebieskie i jaskrawoczerwone. Mangi zielone, złociste jak skarabeusze albo cynobrowe, albo niebieskie. Paleta najpiękniejszych kolorów.

Podczas któregoś z wypadów zobaczyliśmy nawet rodzinę pięciu wielkich turaków, ptaków wielkości koguta, o niewiarygodnie niebieskim upierzeniu i mocnym, żółtym i błyszczącym dziobie, z głową zdobną w piękny czub z czarnego jak smoła puchu.

— Nigdy się ich nie spotyka — cieszył się Montaignes. — Żyją na najwyższych drzewach, tam, w górnej warstwie lasu. Są bardzo nieufne, uciekają na górę przy najmniejszym alarmie. Ale mamy szczęście! Nie zdajecie sobie sprawy...

Pochłonięty tymi zjawiskami jak ze snu, które podniecały zarówno jego estetyczną wrażliwość, jak i ciekawość przyrodnika, Montaignes wkrótce jako pierwszy rozpogodził się.

Był całkowicie odprężony, najczęściej siedział na samym dziobie pirogi, zwrócony do przodu, z nogami nonszalancko spuszczoneymi po bokach, rozglądając się lub półgłosem czytając wiersze Baudelaire'a, które, jak mówił, odpowiadały specyficznej atmosferze, jaka tu panowała.

— „Ład, przepych, zmysłów nasycenie”. Dokładnie tak! Wszyscy byliśmy zauroczeni. Paulo uspokoił się, a Mała odzyskała swój śliczny uśmiech. Nawet obaj tropiciele zapomnieli o kłótni i znów zachowywali się jak poprzednio. Oni też siedzieli na przedzie pirogi, koło Montaignes'a, paląc swój bambus i śmiejąc się cicho.

Pamięć o tragedii zacierała się. Powolna i spokojna podróż w górę rzeki, przyjemna temperatura, kilka wycieczek gęsiego przez leśne ostępy wielkiej dżungli, miłe pozdrowienia tubylców, rajska atmosfera panująca wokół, wszystko to sprzyjało zasklepieniu zadawnionych ran. Żartowaliśmy. Wybuchwały salwy śmiechu. Wieczorem w dobrych humorach instalowaliśmy nasze dwie skromne moskitiery i materace. Brak wygod nie dawał się nam we znaki. Wszyscy sypialiśmy doskonale.

* * *

Już od siedmiu, a może ośmiu dni płynęliśmy w tej czarodziejskiej krainie. Piroga powoli przesuwała się po nenufarach. Siedzący przy sterze

Paulo nagle wyprostował się, mrużąc oczy. Natychmiast spojrzałem do przodu.

Co jest? Widzisz coś?

— Wioska!

Popatrzyłem w kierunku, który mi wskazał, i zobaczyłem okrągłe cienie jakieś dwieście metrów od nas, na skraju lasu, blisko brzegu.

Wioska! Małe Ludziki zaczęły szczebiotać. Montaignes podniósł nos znad swoich wierszy i o mały włos nie wpadł do wody odwracając się. Krzyknął:

— Nareszcie! Spotkamy jakichś ludzi!

— Mam nadzieję, że mają palmowe wino! — wykrzyknął Paulo. — Potrzebuję się porządnie napić! i skierował pirogę w tamtą stronę.

Nagle, kiedy się zbliżaliśmy, „coś” kazało mi podnieść głowę. Pewność, że coś było nie tak. Odruchowo mocniej zacisnąłem dłoń na karabinie.

— Ej, Elias, co jest?

— Nie wiem. Dziwna jakaś ta wioska. Nikogo nie ma. Paulo zwolnił obroty silnika.

— Masz rację... Może odeszli.

— Ale dokąd?

— No, nie wiem!

Piroga powoli przybliżała się. Uspokoilem się. Ptaki nadal wrzeszczały równie głośno. Nic ich nie spłoszyło. W przyrodzie panował spokój, żadnej oznaki niebezpieczeństwa. Płynęliśmy wzdłuż wioski, odkrywając ją stopniowo.

Siedzący pod najbliższą chatą szkielet ludzki zdawał się patrzeć w zielone sklepienie nad nami, z rękoma spoczywającymi po bokach.

Małe Ludziki zaczęły popiskiwać. Mała zasłoniła sobie oczy i przytuliła Bebe do siebie. Następne dwa szkielety leżały obok pierwszego. Potem grupa trzech innych, potem jeszcze dalsze, grzecznie skupione po kilka, wśród okrągłych, rozpadających się chat. Ani żywego ducha!

Paulo dobił do brzegu, wciskając pirogę w przybrzeżne gałęzie.

— No to wódkę mamy z głowy, chyba że jakaś stara butelka... Pójdziemy się przywitać z tymi panami?

Było ich pięćdziesiąt trzy, rozrzuconych wśród około dwudziestu zabudowań, niektóre leżały wewnątrz. Chaty były stare i przegniłe.

Były to półkule, na kształt igloo z gałęzi. Dachy z palmowych liści zgniły i wystawały z nich fragmenty drewnianych rusztowań. Nie znaleźliśmy żadnego śladu materiałów czy ubrań.

Po pierwszych oględzinach o mieszkańcach można było powiedzieć, że byli niskiego wzrostu, z wydatnymi twarzami o wystających łukach brwiowych. Mniej więcej połowa szkieletów należała do dzieci w różnym wieku. Od jakiego czasu wioska ta była martwa, ukryta w zielonej poświacie, podczas gdy świat kręcił się dalej?

Paulo pogрузzył się w handlowej analizie trzech rzeźbionych totemów, wysokich na półtora metra, z których każdy zwieńczony był głową w koronie, z odwróconym uśmiechem w kształcie daszka, i które wbite były w ziemię przed jedną chatą.

Montaignes, zafascynowany, chodził po całej wiosce i ostrożnie wsuwał głowę do każdej chaty.

Bebe, mały żółty piesek, węszył wszędzie, wyglądał, jakby znalazł naraz dziesięć trufl i nie dowierzał własnym oczom.

Coś mnie dręczyło. Przyjrzałem się wielu szkieletom, ale nie zauważyłem ani jednej złamanej kości, jedyne go śladu, jaki mógłby pozostać po zadanej ranie. Każdy z nich był nienaruszony. Nie wydawało się również, by stoczono tu jakąś walkę. Nie było żadnej broni ani strzały, ani dzidy wbitej w ziemię, ani w ogóle niczego takiego. Więcej: wszyscy ci ludzie leżeli na plecach, zarówno dorośli, jak i dzieci.

— Nie są rozmowni, co?

Paulo podszedł do mnie, powiódł spojrzeniem dookoła i podsumował moje myśli:

— Od czego umarli wszyscy ci obywatele, że tak sobie leżą? Ustrzelili ich z karabinu z lunetą?

— Nie ma śladów.

— Ej! Naukowiec! — krzyknął Paulo. — Chodź no tu. Powiedz, co ty o tym myślisz?

Montaignes podszedł do nas, trzymając w dłoniach trzy małe miseczki z palonej gliny, i z poważną miną zadeklamował:

Przypomnij sobie, cośmy widzieli, jedyna

W ten letni, tak piękny poranek:

U zakrętu leżała plugawa padlina

Na ścieżce żwirem usianej...

— To Baudelaire...

— Na co umarli?

— Trudno powiedzieć... Zbyt mało danych... Widziałbym tylko powszechne zatrucie albo epidemię. Jakąś porażającą chorobę... W każdym razie było te dawno. Popatrzcie.

Pokazał nam, w swoich małych miseczkach, brązową spleśniałą papkę.

— To szminki, farby do twarzy, kolorowe.. Widzicie sami: zupełnie straciły barwę. To wymagało czasu!

W tym momencie przebiegł koło nas Bebe, biegnąc ile sił w krótkich nóżkach, trzymając w zębach ogromną goleń.

— Bebe, wracaj! Trochę szacunku! Oddaj mi to!

Rzuciliśmy się w pościg. Kość, trzy razy większa od niego, zakłócała mu utrzymanie równowagi, ale nie przeszkadzało mu to szybko biec i błyskawicznie prześlizgiwać się pomiędzy szkieletami, na które my staraliśmy się uważać.

— Wracaj, Bebe!

— To niepoważne, Bebe, proszę temu panu oddać jego kość!

— Bebe — próbował Montaignes uprzejmie — ta goleń potrzebna jest właścicielowi, badaniom etnologicznym i historii ludzkości. Byłoby w dobrym tonie, gdybyś położył ją na miejsce!

— Przestaniez wreszcie, do kurwy nędzy!?! Jesteśmy w końcu na cmentarzu! Bebe, ty cholero, chodź tu, bo jak cię złapię...

W końcu złapaliśmy go i Montaignes wpasował kość, na ile się dało, prawowitemu właścicielowi. Kiedy tylko odeszliśmy kawałek, Bebe chwycił coś, co zapewne musiało kiedyś być obojczykiem, ale daliśmy już spokój.

Małe Ludziki poruszały się niespokojnie i wykrzykiwały jakieś niezrozumiałe rzeczy z pirogi, której za nic nie chciały opuścić.

— No dobra, to nie będziemy już dłużej przeszkadzać — rzekł Paulo. — I dziękujemy pięknie!

— Poczekajcie!

Montaignes wyciągnął z kieszeni gruby plik papierów.

— Muszę zaznaczyć to miejsce!

Głosy Małych Ludzików przeszły na wyższy ton, dźwięczało w nich Przerazenie. Montaignes rysował szkic wioski.

— Dosyc tego. Nie możemy tu zostać. Bebe! Do nogi, Bebe, odpływamy!

I znów piroga płynie powoli w górę rzeki, wzdłuż brzegów porośniętych wielkimi drzewami o gładkich pniach. Siedząc tuż nad lustrem wody zatracaliśmy poczucie czasu. Już od dziesięciu dni posuwaliśmy się tak w głąb tego dziwnego świata. A wszystkim nam wydawało się, że jesteśmy tu dopiero od wczoraj.

Nic specjalnego się nie wydarzyło, ale odkąd zanurzyliśmy się w tej wybujałej roślinności, czas stał się dla nas sprawą drugorzędną. Montaignes recytował wiersze i zapadał w głębokie zamyślenie, ze wzrokiem zagubionym w rozszalałej zieleni. Paulo podśpiewywał, trzymając ster. Mała przyozdabiała włosy majestatycznymi czerwonymi kwiatami. Tropiciele szczebiotali przez cały dzień. Dotarliśmy do samego serca lasu, ze wszystkich stron otoczeni nieprzeniknionym, dziewiczym gąszczem.

Ale Montaignes na swoich mapach, biorąc pod uwagę szybkość, obliczył naszą drogę i za pomocą sekstansu potwierdził wyniki. Jego pewność siebie była niezachwiana. Dopływaliśmy w pobliże jeziora Tebe, tego słynnego Jeziora Dinozaurów, które oddalone było już tylko o parę dni żeglugi.

M'Bumba nie dał już o sobie znać, ale w ogólnej nienaturalnej euforii każdy z nas był głęboko przekonany, że odnajdziemy go na brzegach jeziora. Podobnie jak sprawa czasu oraz możliwe konsekwencje tak głębokiego zapuszczenia się w dziewiczą dżunglę nie stanowiły dla nas żadnego problemu.

Krajobraz zmienił się. Wśród wybujałej roślinności Sangha płynęła teraz pod gołym niebem. Na jej brzegach, po obu stronach, wznosiły się kłębowiska namorzynów, tworząc z poskręcanych i gnijących konarów nieprzebyte zasieki i łukowate zatoczki. Wielkie poziome pnie, grube niczym dęby, wznosiły się łagodnie, rzucając na wodę pasma cienia o znośnej temperaturze.

Pni ogromnych drzew czepiały się liany, mchy i niewiarygodne gęstwy pasożytujących paproci.

Płynęliśmy w pobliżu brzegu, starając się maksymalnie unikać słońca, które ostro prażyło na powierzchni rzeki, tworząc jednobarwny obraz. Rozróżnić w nim można było mnóstwo chlorofilowych ocieni: błotnistą zieleń wody nurtu rzeki; brunatną zieleń tłustych roślin wodnych i palm w

nabrzeżnej gęstwinie; gwałtowne erupcje listowia namorzynów, przypominającego ogromny bluszcz, od samej powierzchni wody aż po wysokość dziesięciu metrów; bladą zieleń opadających paproci i niemal fosforyzującą zieleń niektórych mchów o długich wąsach; a wszystko to uwieńczone, tam wysoko, rozproszoną zielenią czubków wielkich drzew.

Czarna piroga, metalicznoniebieska beczka z benzyną i plamy naszych ubrań odcinały się, jakby zupełnie nie na miejscu albo co najmniej obce, od całej tej zieloności.

Brzegi ożywiały teraz stada ptaków brodzących o długich nogach, o upierzeniu we wszystkich możliwych kolorach, które łowiły setkami wokół zatoczek. Nie bały się zupełnie, tak że pewnego ranka, z wyłączonym silnikiem, dryfowaliśmy pośrodku stada czubatych żurawi nie przeszkadzając im w najmniejszym stopniu, mając możliwość obserwowania ich jak na specjalnie przygotowanym przedstawieniu: były to wielkie ptaki o długich, spiczastych dziobach, pięknym popielato–niebieskim upierzeniu, długich czarnych nogach dumnie wzniesionej szyi i głowie zwieńczonej czubem z błyszczących piór, lśniących w promieniach słońca.

Pomimo wszystko nasze zbliżanie się powodowało masowe odloty całych stad większych ptaków, przypominających czaple, o niepokalanym, nierealnie białym upierzeniu. Leciały patem w zupełnej ciszy, z szeroko rozpostartymi skrzydłami, zataczały na niebie obszerne kręgi i znikwały.

Patrzyliśmy wszyscy z zapiętym tchem, zaskoczeni, milczący, nasycając się pięknem tego widoku. Te przedstawienia tuż nad wodą, które przyroda jakby specjalnie dla nas szykowała, w dużej mierze przyczyniały się do utrzymywania nas w stanie jakby zawieszenia, nieco głupawej beztroski.

O zachodzie słońca ogarniało nas wilgotne i ciężkie gorąco, tak jakby las wydzielał ciepło zmagazynowane ze słonecznego żaru przez cały dzień. Wyraźnie zapamiętałem jeden z takich wieczorów, przepojony zapachem wielkich nocnych kwiatów, które dopiero co rozkwitły. Ptaki zamilkły. W spokojnej dżungli słyhać było jedynie skrzek „*latających psów*”, wielkich właśnie przebudzonych nietoperzy. Nad wodą, jak każdego wieczoru, unosił się rodzaj ciemnej mgły, jakby niewyraźna para wodna, która w miarę zapadania nocy szybko ciemniała.

Nagle pojawiło się nad wodą, wynurzając się z tej mgły, stado liliowych flamingów o długich szyjach, i zaczęło krążyć dookoła. Najmniejsze

pozostawały wewnątrz kręgu, inne kolejno zajęły pozycje w większej odległości od środka. Nie wydawały najmniejszego dźwięku; ich długie czerwone nogi ciągnęły się z tyłu, niekiedy zawadzając o powierzchnię wody, a wielkie spiczaste skrzydła zdawały się poruszać w zwolnionym tempie. Długie szyje falowały miarowo. Głowy, zakończone wielkimi zakrzywionymi dziobami, pochylały się i podnosiły na przemian. Sprawiało to wrażenie, jakby czynna tu była jakaś cudowna karuzela, jakies Merry go round z siedzeniami o niezwyklej postaci. Taniec ten trwał aż do całkowitego zapadnięcia zmroku, kiedy widać już było tylko jasne smugi, po czym, jakby otrzymawszy jakiś sygnał, ptaki przerwały krąg i zniknęły w ciemnościach.

Tylko raz napotkaliśmy rodzinę hipopotamów, cztery dorosłe i dwa małe tłuścioszki, wypoczywającą na brzegu. Jeden siedział w wodzie, parę metrów dalej, z grzbietem, na styku powietrza z wodą, lśniącem w słońcu.

— Rany boskie, ależ one są wielkie! — wykrzyknął Paulo.

Natychmiast oddalił pirogę, biorąc kurs na środek rzeki. Chwyciłem karabin, gotów na wszelką ewentualność, z zamiarem zastrzelenia pierwszego, który by się zbliżył. Na ogół uważałem, że są raczej sympatyczne, ale nigdy dotąd nie widziałem aż tak wielkich. Dobrze im się wiodło, były jedyne w okolicy. Na brzegu samiec, gigantyczna czarna bryła trzymetrowej szerokości, ziewał rozdziawiając ogromną różową paszczę i przyglądał się nam.

Nie poruszyły się. Temu, który siedział w wodzie i wyglądał jak prawdziwa góra mięsa, nie drgnęła nawet skóra na grzbiecie.

* * *

Po paru dniach zastanowiła nas stała obecność krokodyli.

— Nie wydaje ci się, że jest ich tutaj sporo?

— Owszem.

Widać je było praktycznie na każdym brzegu, leżały w każdej zatoczce i w każdej szparze w kłębowiskach namorzynów. Były też na pniach leżących na powierzchni wody, uczepione gnijącego drewna niczym strażnicy, z półotwartymi pyskami, nieruchome. Wygrzewały się na słońcu grupkami po pięć czy sześć, jeden bardziej tłusty od drugiego.

Były to ludojady, tak nazywano je w miejscowych narzeczach, i należały do największego spośród trzech czy czterech gatunków zamieszkujących rzekę. Wielkie samce osiągały sześć metrów długości. Były imponujące, prehistoryczne, ze wzdętymi brzuchami pośrodku ciała a grzbiety i ogony

pokrywały im podwójne rzędy twardych wypustek niczym zęby piły. Ich półotwarte pyski, o nieregularnych kształtach, wydawały się uśmiechać sardonicznie, odsłaniając długie ostre zęby. Łuski były ciemnozielone i rzucały czarne odbłaski. U niektórych, wysoko podnoszących głowę, widać było kawałek podbrzusza z jaskrawożółtymi łuskami.

Nie ruszały się bardziej niż pnie drzew. Czasami, kiedy zbliżaliśmy się, któryś z nich otrząsał się, uniesiony na grubych łapach, po czym nieprzyjemnym, falistym ruchem cicho zanurzał się w wodzie, przy czym na jej powierzchni pojawiały się zaledwie nieznaczne zmarszczki.

Zupełnie nie wydawały się agresywne. Oczywiście woleliśmy mieć karabiny pod ręką, ale nigdy żaden z ludojadów nie uczynił gwałtowniejszego ruchu. Przeptywaliśmy zachowując należytą odległość. Pozwalały nam przepływać w swoim polu widzenia z martwym wzrokiem, nie reagując. Z czasem przyzwyczailiśmy się do nich, w miarę upływu godzin, pomimo niepokojącej liczby tych bestii. Jedynie przy forsowaniu niektórych zatoczek, wypełnionych krokodylami po obu stronach, rzeczywiście odczuwaliśmy niepokój i na pokładzie naszej kruchej łupiny panowała wówczas niemiła atmosfera.

Nie lubiłem tych stworzeń i powstrzymywałem się, by wziąć pudełko naboju i postrzelać sobie do nich. Krokodyle to debile, całkowicie pozbawione wszelkiej logiki i wszelkiej organizacji społecznej. Myślą tylko o żarciu, zabijaniu i wygrzewaniu się na słońcu. W swoim obżarstwie są tak głupie, że pożerają własne małe, jeśli nie ma niczego innego w okolicy, i regularnie zjadają się wzajemnie. Mają w sobie coś oślizłego, czego nienawidzę. Nawet ich dzieci są potworne.

Chwytają ofiarę na brzegu i wciągają ją na dno, do swego rodzaju jamy. Pozostawiają ścierwo pod wodą, żeby gniło, i od czasu do czasu zachodzą tam chapnąć jakiś kasek. Nie służą do niczego, są bezapelacyjnie szkodliwe, krwiożercze, a ich metoda polowania, polegająca na leżeniu w ukryciu całymi godzinami, jest podstępna i zdradziecka. Naprawdę nie lubię ich.

Moją odrazę podzielali inni. Widziałem, jak Paulo przy sterze machinalnie gładzi zamek swojej 478, leżącej w poprzek kolan. Montaignes, siedzący na dziobie z Winchesterem w dłoniach, przyglądał się im z zawziętym wyrazem twarzy, najwyraźniej pragnąc, by któryś zdecydował się na atak. A Bebe, za każdym razem, kiedy przepływaliśmy wśród nich,

wściekle szczekał stojąc przednimi łapami na burcie, wyrażając w ten sposób ludojadom swoją dezaprobatę wobec istnienia ich gatunku, a jego mały żółty ogonek sterczał przy tym pionowo.

* * *

Dostała nam się potężna ulewa, zbyt wczesna jak na tę porę roku i całkowicie niewytłumaczalna. Wszystko odbyło się bardzo szybko. Parę minut po zniknięciu słońca i zapadnięciu w lesie nagłej ciszy spadł deszcz w postaci gęstych strumieni, które bębniły o powierzchnię rzeki powodując nieprzeniknioną mgłę. Ściany roślinności drżały, lśniąc w potokach wody. W ciągu paru chwil byliśmy przemoczeni, i wreszcie znaleźliśmy schronienie pod sklepieniem namorzynów, podczas gdy widzialność spadła do paru metrów.

Grupka małych kolobów, którym długi i gęsty biały ogon służy do utrzymania równowagi przy przeskakiwaniu z jednego drzewa na drugie, ukryta wśród listowia przyglądała się nam nieruchomo.

Deszcz ustał równie nagle, jak się pojawił. Korony wielkich drzew, oślepiająco błyszczące teraz w promieniach słońca, dosłownie ociekały wodą.

Montaignes rozpoczął długi wywód, na pół do siebie samego, na pół do mnie, poświęcony kształtom liści tych drzew. Jak zauważył, wszystkie były spiczaste i obowiązkowo skierowane ku dołowi, niezależnie od innych ich cech, czy były okrągłe, owalne, czy wydłużone. Dzięki temu woda mogła szybciej spływać z nich po deszczu, a w ten sposób blaszka, najważniejsza część liścia, szybciej wysychała.

— Właśnie poprzez blaszkę liść pochłania zarówno pożywienie z powietrza, jak i światło, które przyswaja drogą fotosyntezy...

Rozszerzył swoje wyjaśnienia o informacje dotyczące chemicznego składu liścia i kiedy na nowo podjęliśmy naszą żeglugę, pogubiłem się trochę w tym wszystkim.

* * *

Jakże terkotanie naszego starego silnika, choć niekiedy męczące, może jednak uspokajać, pomyślałem sobie parę godzin później, wsłuchując się w pracowite serie wystrzałów, które rozbrzmiewały coraz częściej. Silnik wytrzymał jeszcze jakiś czas, po czym, jak było do przewidzenia, zamilkł

pomimo potężnych ciosów pięści Paula. Rozpędzona piroga skierowała się ku namorzynom.

Pomogłem Paulowi, z trudem łapiącemu równowagę, w wyciągnięciu silnika i złożeniu go na dnie pirogi. Zdjął pokrywę, siedząc w kucki, w towarzystwie Montaignes'a, który przyszedł mu z pomocą.

— Na pewno nic poważnego — mówił Paulo. — Nic takiego. Zaraz odpływamy.

— Podczas gdy gmerali wśród części, nagle zdałem sobie sprawę z naszej bezsilności. Nie mieliśmy doprawdy niczego, jeśli nie liczyć broni i silnika. Po raz pierwszy od czasu, kiedy zagłębiliśmy się w dżunglę, jasno ujrzałem kruchość naszej sytuacji; dotąd przysłańało mi ją nie wiem jakie oczarowanie. Natychmiast poczułem się naprawdę nieswojo.

Paulo przywołał jednego z Małych Ludzików, żeby podmuchał w małą upapraną rurkę, którą nazywał „*dopływem paliwa*”.

— To nic poważnego! Po prostu osad, jak w rurze od sracza! Mocno dmuchaj, wielkoludzie... Roboty na pięć minut. Zaraz odpływamy. Jesteśmy nie do zdarcia!

Nawet kiedy z powrotem założyli silnik na swoje miejsce i kiedy zapalili go od pierwszego pociągnięcia, mój niepokój nie rozwiązał się całkowicie. Zaczynałem uważać, że w tym lesie dzieją się dziwne rzeczy...

* * *

Kilka godzin później, kiedy słońce chyliło się już ku zachodowi, Silnik znowu dostał czkawki. Paulo gwałtownie wcisnął gaz. Maszyna zablokowała się, wydając nieprzyjemny, suchy odgłos, i zamilkła na dobre.

— Kurwa — powiedział zwięźle Paulo. — Kurwa! Kurwa! No dobra... Elias, przyjrzyj się, czy naprzeciwko nie ma krokodyli. Spróbujemy dobić do brzegu.

Przed nami był odsłonięty zakątek i Paulowi udało się, maksymalnie skrecając ster, na tyle ustawić dziób płynącej z prądem pirogi, by tam trafić. Nie mieliśmy nawet jednego wiosła!

Tropiciele szybko oczyścili niewielką przestrzeń potrzebną na noc i hałasując rozbiegli się po okolicy. Czynności związane z zakładaniem obozu mieliśmy dobrze opanowane i nasze obozowiska były bardzo porządne. O! oczywiście, nie były to już dawne luksusowe obozy, ale dawaliśmy sobie dobrze radę, maksymalnie wykorzystując to, co ofiarowała nam przyroda:

wielkie gałęzie, wolne przestrzenie lub naturalne sklepienia roślinności. Powierzchnie wyrównywaliśmy teren i czyściliśmy go z liści i innych odpadków, gnijących na ziemi, w miarę możliwości dochodząc aż do gruntu; wówczas rozpinaliśmy dwie moskitiery, jakie nam pozostały, albo na palach, albo na niskich gałęziach, a u podstawy mocowaliśmy je starannie w małym rowku, który okalał obozowisko i w który wciskaliśmy dolny brzeg muślinu, przysypując go ziemią.

Mała natychmiast rozpałała jedno lub dwa ogniska na potrzeby kuchni. Menu było już gotowe. W pirodze obierała korzenie lub jarzyny, jakie rano znajdowała w lesie. Podobnie w ciągu dnia opraciała zwierzynę, którą Małe Ludziki przynosiły ze swoich wycieczek. Na ogół był to indyk albo mała wodna cyweta, rodzaj wydry, której mięso smakowało podobnie jak królika. Jadaliśmy nieźle. Głównym mankamentem naszego położenia pozostawała wilgoć ma teracy i koców, nasiąkniętych wodą otaczającą nas wszędzie, a w szczególności stojącą zawsze na dnie pirogi, co sprawiało, że nigdy nie mogły całkowicie wyschnąć.

Po kolacji zawsze siedzieliśmy sobie godzinkę przy ognisku. Noce nad rzeką były chłodne i ciche. Rozmawialiśmy o różnych sprawach, na ogół bez związku z naszą wyprawą. Paulo wspominał. Montaignes robił wykład o tym czy o tamtym. O M'Bumbie praktycznie nigdy nie było mowy. Postanowiliśmy trzymać się owego mitycznego spotkania nad Jeziorem Dinozaurów. Paulo już nie przeklinał go, jak zresztą i nikogo innego. Co do mnie, to nieco o nim zapomniałem.

* * *

Nasza beztroska miała swoje dobre strony. Grupa w dobrym nastroju stawiała czoło sytuacji, a z doświadczenia wiedziałem, że pomaga to w przezwyciężeniu wielu ewentualnych problemów. W czasie działań, to znaczy kiedy grupa jest osamotniona wobec wydarzeń trzeba za wszelką cenę unikać jakiegokolwiek wojny nerwów i ryzyka konfliktów. Gwałtowne reakcje i napady złego humoru, zwykle towarzyszące kłopotom, szybko niszczą spójność grupy i sprawiają, że staje się ona bardziej zagrożona. Najczęstszą przyczyną fiaska ekspedycji są niewłaściwe reakcje jej członków na pierwsze trudności, co pociąga za sobą dalszy łańcuch niepowodzeń.

Trzymaliśmy się. Paulo bardzo się uspokoił. Wystarczająco znałem jego profesjonalizm, by wiedzieć, że działał świadomie. Mała, jak się okazało

nadzwyczaj przydatna, żelazną ręką prowadziła sprawy intendentury i co wieczór dawała nam dobrze zjeść, co miało pierwszorzędne znaczenie. Montaignes zaś był doskonały. Jak już to zauważyliśmy w trakcie polowań, za jego cherlawą sylwetką kryła się w istocie wyjątkowa odporność psychiczna, i to zarówno wobec sił przyrody, jak i przeciwności losu. Zawsze w pierwszej linii, gotów do pracy, spokojny i uśmiechnięty, dzieląc czas między poezję, namiętne studiowanie przyrody i działania dla ekspedycji, Montaignes stał się dobrym towarzyszem.

Już od paru dni chodził bez kurtki. Z gołym torsem, koszulą przewiazaną na szyi i czarną przepaską we włosach siedział po turecku przed ogniskiem, które oświetlało go od dołu; odprężony, czując się doskonale w tym otoczeniu przecież niezbyt normalnym dla ludzi wykształconych. Z niezmaconym spokojem, pośrodku gęstej dżungli, na brzegu rzeki z pirogą o niesprawnym silniku wyciągnął plik kartek, elektryczną latarkę i zabrał się do pisania! Przysunąłem się do niego.

— Co tam piszesz na tych papierach, tak późno?

— E, to nic specjalnego. Dziennik podróży.

— Aha. Zapisujesz, co zrobiłeś?

— No...

Przetarł oczy i przeciągnął się. Rozżarzone węgle rzucały pomarańczowe plamy na szkła jego okularów.

— Widzisz, Elias, zdaję sobie sprawę, że przeżywamy wyjątkowe chwile. Nie chcę tego zapomnieć. Bo...

Forma świata stawała się nierzeczywista

Jak szkic, co przestał nęcić

Na płótnie zapomnianym i który artysta

Kończy już tylko z pamięci...

— Baudelaire?

— Mmmm...

Ponownie pograżył się w swoich papierach. W zamyśleniu popatrzyłem na niego przez chwilę, pochylonego, z okularami powoli zsuwającymi się z nosa, wsłuchując się w nerwowy, nieustający szmer, jaki wydawało jego pióro przesuwające się po papierze. Lubiłem tego faceta.

— Bebe!... Bebe!...

Głos Małej dobiegał do mnie z bardzo daleka. Z owego świata poza snem, gdzie było mi tak dobrze. Mała też tam była. Biegała z ogromnym kwiatem we włosach i z tymi wielkimi, rozkochanymi oczami, którymi patrzyła na mnie czasami.

Mała! Wielka tęsknota w moim pólśnie. Od czasu wypadku Tatave nie zbliżyła się już do mnie. Zapewne czuła się winna, bez powodu, że była ze mną, kiedy zaatakował M'Bumba.

— Bebe!..., Bebe!...

Nie licząc kilku uśmiechów w ostatnich dniach, kiedy nasze spojrzenia spotykały się niespodziewanie, nasz flirt zatrzymał się owej tragicznej chwili na plaży naszej miłości.

— Elias! Ty obudź, proszę! Elias!

Skoczyłem na równe nogi, całkowicie rozbudzony. Po drugiej stronie moskitiery Mała przestępowała z nogi na nogę i zagryzała wargi.

— Wejdz! Co się stało?

— Bebe nie ma! Ja wołać Bebe! Bebe! On nie przychodzić!

Bebe najwyraźniej nam uciekł. Jego mała pani była pełna niepokoju, a ja poczułem radosne klucie w sercu, bo do mnie zwróciła się o pomoc.

— Nie bój się. Jest niedaleko. Zaraz się tym zajmę.

Wstałem i przede wszystkim wypilem kawę. Byłem, jak się okazało, ostatni. Paulo i Montaignes, od dawna na nogach, rozprawiali się z silnikiem. Z gołymi torsami, umazani smarem po łokcie, niemal wszystkie części porozkładali na brezencie rozciągniętym na ziemi, nad wodą. Paulo, z podwiniętymi nogawkami panterki, jakby wybierał się na krewetki, pomachał do mnie wesoło.

— Rozebraliśmy to świństwo! Dokumentnie!

Montaignes, na kolanach, skupiony, sortował małe części swoimi długimi palcami.

— Co pan o tym myśli, doktorze? — spytałem.

— Nooo... Powiedzmy... Mam wrażenie, że wszystko jest w porządku ale obrzydliwe, pozatykane, zasyfione... Porządnie to przemyć benzyną i chyba wystarczy... Mam nadzieję... Niech pan wpadnie go odebrać w połowie tygodnia! — dodał z lekkim uśmiechem.

Paulo zrzędził sam do siebie, co było oznaką dobrego humoru.

— To przez te świństwa, które pływają w benzynie! W Afryce zawsze tak było. Każdy silnik zapaskudzą. Durnie, nie umieją czyścić zbiorników!

Mała postępowała za mną krok w krok, w milczeniu, ze smutkiem i uporem w poszerzonych oczach.

— No już, ślicznotko, pójdziemy poszukać Bebe...

Jeśli na coś nie miałem ochoty, to właśnie na zagłębianie się w dżungłę, kiedy oto nadarzyła się okazja, by spędzić trochę czasu na łądzie, w łagodnej temperaturze nad rzeką. Ale nie mogłem nic poradzić na te oczy. Włożyłem swoje mokre buty, z westchnieniem zapiąłem pas z przytroczoną maczelą. Winchester na ramię i ruszyliśmy pierwszą przesieką. Cholerny Bebe!

Kiedy tylko wkroczyliśmy pod sklepienie wielkich drzew, powietrze stało się gęste i gorące, pełne woni gnicia i rozkładu. Roślinność szalała, jak zawsze, wybuchając wielkimi kulami listowia i pękami szerokich palm, w powszechnym bałaganie sięgającym trzydziestu metrów wysokości, a całość stanowiła nieprzebytą przeszkodę, niekiedy poprzecinaną strefami całkowitego mroku, czerniejącego na tle i tak ciemnego otoczenia.

Byłem ostrożny i postanowiłem systematycznie penetrować okolicę. Przejście pięciuset metrów, powrót po śladach do obozu i kolejne pięćset metrów w innym kierunku. Dżungla, bardzo gęsta, była niezbyt bezpieczna i bardzo męcząca, zmuszając nas do wyrąbywania maczetą przejścia, stałego prześlizgiwania się, podskakiwania i kluczenia. Tak czy inaczej, Bebe nie mógł zawędrować zbyt daleko.

— Bebe! Bebe!

Wykrzykiwała to we wszystkich tonacjach. Był tam gniew, smutek, miłość, a także wiązanki przekleństw i obietnic w Kuju. Żeby nie zostawać w tyle i żeby nieco złagodzić jej niepokój, wziąłem się za to i ja:

— Bebe! — wrzeszczałem w dal. — Malutki! Malutki! Malutki! Mała biegła przede mną bez zmęczenia, boso, z niesłychaną zręcznością. Zatrzymywała się nagle, nasłuchując, wypatrując dookoła swoimi wielkimi oczami. Z upływem czasu coraz bardziej ogarniało ją zwątpienie. Stawała wtedy i pogrążała się w ponurych myślach, zagryzając wargę, co sprawiało, że robiła bardzo ładną minkę.

Nie wiedziałem już, jak jej wytłumaczyć, że nie powinna się niepokoić.

Wczesnym przedpołudniem, już chyba podczas dziesiątego wypadu, o jakieś dwieście metrów od obozu Mała nagle odskoczyła do tyłu, wydając cichy okrzyk. Na wysokości człowieka poruszał się wśród listowia zielony boa. Gigantyczny. Głowa jak u cielaka...

Nie dając mu czasu na cokolwiek ciąłem maczetą i niemal odrąbałem mu łeb. Był to właściwie odruch, sprowokowany okrzykiem Małej. Węże boa nie są zbyt niebezpieczne ze względu na swoją powolność. Uderzyłem go tak szybko także z powodu jego rozmiarów, które zrobiły na mnie wrażenie. Z ciekawości rozciągnęliśmy go na ziemi. Mierzył ponad sześć kroków i był jednym z największych, jakie kiedykolwiek widziałem, z jasnozielonymi łuskami, o płaskiej i kwadratowej głowie.

* * *

Do południa nadal nie wpadliśmy na ślad tego małego diabła. Mała była coraz bardziej zrozpaczona, a ja zasmucony, że widzę ją w takim stanie, mówiłem jej kolejno wszystkie głupoty, jakie mówi się w takich okolicznościach.

— Poszedł się przejść... Niedaleko... Wróci... Nie trzeba się niepokoić... Ja znajdę...

Wróciliśmy do obozu, gdzie oczekiwała nas dobra wiadomość: silnik został zmontowany. Mechanicy, bardzo dumni, twierdzili, że już zapalił. Szorowali dłonie i ręce w rzece, najwyraźniej bardzo zadowoleni z wykonanej roboty.

— Jak nowy! — krzyknął do mnie Paulo. — Luksus, nie?

— Ekspedycja idzie dalej — dodał Montaignes poważnie. — Dzielna i nieustraszona w głębokiej dżungli. Czy myśliwym uda się odnaleźć Jezioro Dinozaurów?

— Wyruszamy zaraz, do cholery! — wrzasnął Paulo. — Elias, znalazłeś psa?

Opowiedziałem swoją historię. Paulo zaczął przemierzać brzeg wielkimi krokami, zdradzającymi niezadowolenie.

— Teraz ten pies. Dopiero co skończyliśmy silnik... Same kłopoty. Trzeba coś zrobić, do cholery! Gdzie się podział ten Bebe? Kto go widział? Do ciężkiej kurwy, zróbcie coś!

Mała w panice wywracała oczami. Paulo stanął przed nią i straszliwym gestem uniósł rękę.

— Jak złapię tego twojego kundla, to go...

Fala przerażenia, jaka pojawiła się w oczach dziewczyny, zmusiła Starego do zamilknięcia. Ukląkł przy niej, położył jej ręce na ramionach i bardzo łagodnie, ojcowskim tonem, zaczął jej opowiadać wszystkie możliwe głupstwa.

— Przecież ja żartuję, malutka... Ja... Denerwuję się, ale żartuję! Ta twoja kuleczka nie może być daleko. Elias ci ją odnajdzie, nie?

Potem kazał mi szybko coś zjeść i pomóc Małej w odnalezieniu Bebe.

— I żadnych miłosnych eskapad, jasne? — dodał.

* * *

To nie jest normalne, myślałem sobie idąc ponownie do dżungli. Pierwszy raz się zdarzało, żeby tak długo pozostawał daleko od żarcia. Mała widziała go po raz ostatni poprzedniego wieczora, tuż przed zaśnięciem. Czyżby zapędził się zbyt daleko? Mógł tam natknąć się na dzikiego kota albo coś innego. A może na krokodyla z rzeki?

Nie mogłem w to uwierzyć. Bebe to nie to samo co jakiś miejski kundelek. Dobrze znał niebezpieczeństwa dżungli, to był stary spryciarz. Mały afrykański piesek nie żyje długo, jeśli nie ma pewnych zalet, nawet jeśli jego panią jest taka śliczna księżniczka. Więc gdzie był ten dureń? Opóźniał tylko wszystkich.

— Bebe... Bebe, do jasnej cholery...

Tym razem postanowiłem działać metodą kolistą, oddalając się od obozu po okręgu o coraz większej średnicy, zamierzając zajść tak daleko, jak tylko się da.

Popołudnie było wyczerpujące, pod wielkim sklepieniem upał osiągnął najwyższy stopień. Płoszyliśmy ptaki najróżniejszych kolorów i wielkości, a także małpiatki galago, jakby wystraszone wiewiórki o małych, różowych noskach, z przyssawkami na łapkach, dzięki którym czepiały się gałęzi. Ale Bebe ani śladu. Po pięciu godzinach poszukiwań usiadłem, wyczerpany i całkowicie zrezygnowany, ociekając potem.

— Mała... — westchnąłem.

— Nie! Szukać! Bebe, niedaleko! On może boli! Ty iść... Elias...

— Mała, przeszukaliśmy całą okolicę!

Cóż mogłem jej powiedzieć? Wiedziałem, jak bardzo kochała swojego małego towarzysza, i było mi niesamowicie przykro na myśl o zaprzestaniu

poszukiwań. Ale przecież co jeszcze mogłem zrobić? Przeszukaliśmy wszystko. Nawet gdyby był martwy, znaleźlibyśmy go. Zastanawiałem się, jak by tu ją najłagodniej przekonać nie raniąc jej, kiedy ogarnęło mnie potworne podejrzenie...

W momencie, kiedy o tym pomyślałem, twarz Małej wykrzywiła się. Rozdzierający grymas, a z jej oczu popłynęły dwie wielkie łzy.

— Boa? — szepnęła cicho, jakby wypowiadając jakiś tragiczny pewnik.
— Boa zjeść Bebe?

* * *

Potrzebowaliśmy dwóch godzin na odnalezienie ciała węża. Mała biegła, jej małe stopy waliły w ziemię, za każdym krokiem jęczała cicho, przerażona niczym matka, przeżywając dziecięce piekło, na które przykro było patrzeć. Słońce powoli zachodziło, i była już prawie noc, kiedy wreszcie odnaleźliśmy boa.

Rana oddzielająca głowę od reszty ciała poważnie się poszerzyła, atakowana przez liczne i rojne stado małych nekroforów, czarnych włochatych owadów, które za pomocą trąbki wstrzykują w mięso wydzielinę, przyspieszającą gnicię. Dziś rano, kiedy go zaskoczyliśmy, boa poruszał się. Zapewne więc nie był w trakcie trawienia. Teraz odwróciłem ciało i nie widziałem żadnego wzdęcia, zwykle znamionującego obecność ofiary. Ale to zwierzę było takie wielkie!

Dla świętego spokoju rozciąłem maczetą cały brzuch, poczynając od ogona w górę. Z wnętrza wydobywać się zaczął smród padliny. Klęcząc nad ścierwem i operując maczetą jak tasakiem czułem, jak fetor wypełnia mi nozdrza i ze wszystkich sił powstrzymywałem kurcze żołądka.

Pojawiła się mała kula żółtej sierści.

Co za kurewstwo! Ciąłem i rwałem oburącz, żeby poszerzyć nacięcie, aż żółty kształt, uwolniony, stoczył się na ziemię, całkowicie pokryty jakimś lepkiem świństwem, które sklejało sierść. Był jakiś wydłużony, jak zajac.

Był to Bebe, ociekający jakąś cieczą, wszystkie kości miał połamane, zmiażdżone i porozciągane przez potężny przewód pokarmowy węża.

Mała wydała dźwięk podobny do czkawki, przykładając dłonie do ust. Zatrzęsła się w miejscu, jakby nie wiedząc, co robić, po czym ruszyła biegiem przed siebie, na oślep.

— Mała! Poczekaj! — krzyknąłem.

Zmknęła już wśród roślinności. Było całkowicie ciemno.

— Mała, kochanie! Wracaj! Uważaj!

Byłem sam wśród ciszy i ciemności.

— Masz, skurwielu! — warknąłem, waląc wściekle węża maczetą. — Ty wielka świnió!

Kto mu dał prawo, żeby porwać się na tak urocze, zabawne i bezbronne stworzenie jak Bebe?

Szybko wykopałem w ziemi otwór głębokości jakichś pięćdziesięciu centymetrów, pomagając sobie maczetą i obiema rękami. Trup węża, otwarty na całej długości, śmierdział na potęgę. Ten żarłok miał w żołądku jeszcze dwa inne węże i jakiegoś małego gryzonia, wszystkie trzy w stanie daleko posuniętego rozkładu. Ostrożnie, dwoma palcami, przyciągnąłem lepłą kulę, która kiedyś była Bebe, i strąciłem ją do dziury. Nakryłem ją kawałkiem drewna i, żeby chociaż nie dobrały się do niej padlinożerne zwierzęta, przysypałem ziemią i wszystko mocno ubiłem.

W obozie Mała schroniła się pod moskitierą, okryła kocem, skulona w rogu materaca, i wypłakiwała swój wielki, ogromny smutek.

— Biedactwo! — lamentował Paulo. — Naprawdę kochała tego włóczęgę! O rany!... Trzeba, powiedzieć, że naprawdę nie mamy szczęścia!

Zakrzętnął się w kuchni i czerpiąc z zapasów przygotował jakiś niejadalny guiasz. W obliczu tego dziecięcego nieszczęścia postanowiliśmy, że zostaniemy jeszcze jedną noc. Kiedy kolacja była gotowa, wśliznąłem się pod moskitierę.

— Mała! — zawołałem łagodnie. — Chodź jeść.

Siadłem przy niej, ciągle szepcząc jej różne głupstwa i zachęcając, by przyszła coś zjeść. Łkała, wstrząsana spazmami płaczu pod swoim kocem.

— Mała? To ja, Elias. Nie płacz już. No już... już...

Ściągnąłem z niej koc. Przytuliła się do mnie, szukając oparcia, i wcisnęła twarz w zagłębienie mojego ramienia.

— No już... już... Już dobrze... Uspokój się...

Czułem jej łzy spływające mi po szyi. Dziewczyna drżała i dygotała w moich ramionach tak gwałtownie, jak tylko potrafiło to jej drobne ciało. Pozwoliłem jej się wypłakać. Byłem wzruszony i przygnębiony. Potem poczułem coś lepkiego na dłoni, gładząc jej rękę. Od razu zorientowałem się, co to za ciecz.

— Mała, ty krwawisz! Pokaż rękę!

Rzeczywiście była to krew. Na siłę wyciągnąłem ją spod koca, nie wywołując żadnej reakcji. Otepiała pod wpływem wielkiej żalości. Uniosłem ją i wyniosłem na zewnątrz, krzycząc:

— Chłopaki! Dajcie lampę! Ona jest ranna!

Była to długa i cienka rana, głęboka jak po cięciu nożem, ciągnąca się od ramienia aż po łokieć, po przekątnej ręki. Krew obficie płynęła w dół przedramienia, zabarwiając spódniczkę na czerwono. Mała była półprzytomna, nieruchoma, z pustym wzrokiem. Zagotowaliśmy wodę. Nie mogliśmy zrobić nic innego, jak tylko przyłożyć gorące kompresy. Trzymałem ją za rękę. Montaignes obu kciukami ścisnął brzegi rany.

Nagle pojawił się koło nas stary Mały Ludzik i podszedł do Montaignes'a, by obejrzeć ranę, nie przestając szczebiotać i uśmiechać się. Następnie mocno potrząsnął głową i zrobił ruch, jakby chciał zabrać Małą ze sobą.

— Ty, leczyć? — spytałem, wskazując ranę.

Za pomocą kciuka i palca wskazującego zrobił tajemniczy ruch, jakby ścisnął ranę na całej długości.

— Szyć? — spytał Montaignes robiąc odpowiedni ruch.

Nie, kiwnął Mały Ludzik i przyciągnął Małą do siebie, cały czas potrząsając głową. Pozwoliliśmy mu działać. Albo to, albo gorąca woda.

Mały Ludzik usadowił Małą w swoim kącie. Jego syn i on obmacali ranę szczebiocząc, raczej na wesoło. Mała, z półprzymkniętymi oczami, nie reagowała. Zrozumiałem, kiedy zobaczyłem manierkę. Była to moja manierka, ta, którą stary Mały Ludzik pożyczył ode mnie, żeby nazbierać mrówek fannian, tych niszczących wszystko na swej drodze.

Mały Ludzik usiadł po turecku, z manierką na udzie. Ostrożnie odkręcił wieczko i potrząsnął, zaglądając do środka. Na zewnątrz pojawiła się wielka czarna mrówka, którą Mały Ludzik złapał z cichym okrzykiem, po czym zakręcił manierkę.

Młodszy trzymał rękę Małej i ścisnął brzegi rany tak, żeby powstały dwa małe wzgórciki. Ojciec, z nachyloną głową, świszcząc jednostajnie, przytknął do rany mrówkę. Trzymał owada za odwłok, tuż za wielkimi dwoma czarnymi szczypcami, z których każdy miał niemal centymetr długości.

— Rozumiem — szepnął Montaignes. — Szczypce fannian ustawione są ukośnie jeden względem drugiego i kiedy się stykają, zachodzą za siebie. Po zaciśnięciu nie można już ich rozłączyć.

Stary przysuwał mrówkę bardzo powoli, aż znalazła się dokładnie nad raną. Czarne szczypce zacisnęły się. Skóra przez chwilę opierała się, ale wkrótce została przebita. Mały Ludzik zaszczębiotał radośnie. Krótkimi pociągnięciami szarpał mrówkę, naciągając skórę, żeby udowodnić nam, że szew trzyma. Po czym mocnym ruchem oderwał odwłok mrówki, pozostawiając tylko twardą, błyszczącą głowę, wielką niczym łebek gwoźdźca, i oba szczypce wbite głęboko w skórę.

— Fantastyczne — szepnął Montaignes.

Po zakończeniu operacji, którą powtórzono trzydzieści cztery razy, Mała miała na ręku nieco nieregularne zgrubienie, przez które przebiegała czerwona linia rany. Wyglądało to dosyć partacko, ale przecież nic więcej i tak nie mogliśmy zrobić, a Mały Ludzik gestami obiecywał jakieś maści na następny dzień.

Mała zobojętniała na wszystko. Na rękach zaniósłem ją do łóżka i długo przy niej czuwałem. Leżąc tuż przy mnie, z głową opartą na moim ramieniu, patrzyła szeroko otwartymi oczami. Zasnęła późno, koło trzeciej nad ranem. Ułożyłem ją wygodnie i sam zapadłem w sen.

Niedługo później los dotknął Montaignes'a. Choć stało się to w sposób, który mógł wydawać się śmieszny, i choć fizycznie nie doznał uszczerbku, wyrządziło mu to, poważną krzywdę i nawet przez jakiś czas odbiło się na jego nastroju, zwykle przecież tak równym.

Podczas swoich patroli wzdłuż rzeki tropiciele znaleźli ślady wymiocin słonia, które liczyły już kilka dni. Posuwaliśmy się więc naprzód w przyśpieszonym tempie, mnożąc wypady w głąb dżungli, poszukując nowych śladów zwierzęcia, które najwyraźniej kręciło się po okolicy.

M'Bumba? Nie, nie przypuszczaliśmy. Coś nam szeptało, że nie. Było jeszcze zbyt wcześnie. Ale w każdym razie jakaś para kłów, którą chętnie zrewindykujemy od właściciela. Szliśmy gęsiego, jak zwykle. Las był tak gęsty, że ciemne sklepienie znajdowało się niecałe dwadzieścia metrów nad nami. Na ziemi jak zawsze kłębowisko roślin, łodyg i zielonych kuł, i

wyczerpujące przeciskanie się wśród lian, które trzeba było ciąć maczetami lub obchodzić na setki metrów.

Montaignes, nieco z tyłu, mówił sam do siebie w marszu, pochłonięty myślami, głosem lekko zdyszany: Baudelaire, potem całe katalogi łacińskich nazw, bo rozpoznawał wszystkie rośliny pojawiające mu się przed oczami, jakby bawiąc się sam ze sobą.

— Eee... Poczekajcie, eee... *Cyclamenia talimis!* Wygrałem! Brawo!

— No, zamknij się wreszcie! — warczał od czasu do czasu Paulo. — Tu jest polowanie, do cholery!

— A to... *Streptocarpus caudescens...* I... Och! Tigra! — wykrzyknął.

— Ciszej! O rany! Mały, zaczynasz mi...

— Tigra! Tam! Ojej! Poczekajcie! Wszyscy stać!

I zanim zdążyliśmy zareagować, Montaignes podbiegł do pnia jakiegoś drzewa, położył karabin i zaczął się wspinać.

— Mały, polujemy... — powiedział Paulo smutnym tonem.

— Tylko chwilkę — obiecał Montaignes zdejmując buty. — Idźcie przodem. Dogonię was. Muszę mieć tę tigrę. Ten czerwony kwiat, tam, przy pierwszych gałęziach...

Pośrodku grupy koronkowych paproci jasno lśniła krwistoczerwona plama. Przyglądając się jej uważnie dostrzegłem jej kształty, długie płatki, wyglądające jak jedwabiste języki wycięte z kardynalskiego płaszcza. Montaignes wspinał się jak małpa, pomagając sobie rękami i nogami, wczepiając palce stóp w najmniejsze nierówności, rzadkie na tym gładkim pniu. W połowie wysokości musiał przecisnąć się pod kłębowiskiem lian, spadających z wysoko położonych gałęzi, po czym zniknął. Zastłona lian poruszyła się pięć metrów wyżej i pojawił się znowu, rozradowany, z głową i ramionami pokrytymi gałęziami i liśćmi. Był na właściwej wysokości, dziewięciu czy dziesięciu metrów. Pozostawało tylko przedostać się do tigry, wśród listowia, jakieś pięć metrów od pnia.

— I hop!

Rzucił się odważnie do przodu, oburącz trzymając się liści, przeczołgał się pionowo i znalazł oparcie dla stóp. Następnie zaczął posuwać się powoli, przyklejony do zielonej ściany, za plecami mając tylko powietrze.

Od złego i zdrażliwych chroniąc mnie, eech... zasadzek,

Krok mój ku drodze, eech... Piękna kierują cierpliwie...

Baudelaire! Zwariował ten Montaignes...

Moimi są sługami i czuję ich władzę, eech...

Całym sobą posłuszny tej pochodni żywej... eech... Mam ją!

Odwrócił się ku nam, trzymając się jedną ręką i wznosząc triumfalnie piękny czerwony kwiat.

— Tigra! Szalona rzadkość! Widzieliście taką wspinaczkę?

Wsadził sobie kwiat w zęby i zawisł na rękach, machając nogami w powietrzu i wydając małpie okrzyki.

— Heek! Heek! Ja bać się wielki myśliwy! Heek!

— Przestań. Zwariowałeś, czy jak?

Montaignes zręcznie wskoczył na gałąź i zaczął skakać, z rękami zwisającymi wzdłuż ciała, dziesięć metrów nad ziemią.

— Czita! Czita! Heek! Heek!

Przed nim zwisał pęk lian. Chwycił jedną z nich. Zrozumiałem jego zamysł, a on wydał okrzyk Tarzana, nadal trzymając kwiat w zębach.

— Ooooojiooooojioooooj!...

Szarpnął lianę, która wytrzymała.

— Montaignes!

Rzucił się w dół. Gdzieś w górze liana puściła z suchym trzaskiem i zaczęła spadać w dół.

— Ooooojiooooojiooooo!... — Pluf!

I Montaignes wylądował na ziemi jednym uderzeniem, siedząc na tyłku pośrodku wielkiego krzaka o mięsistych liściach. Jego okulary poleciały gdzieś daleko. Pozostał nieruchomo, z oczami przymrużonymi i nie wyrażającymi niczego, i z pięknym kwiatem zmiażdżonym pomiędzy zaciśniętymi zębami.

Paulo powstrzymał wybuch śmiechu, z kącikami warg odchylonymi do tyłu i radosnymi iskierkami w oczach, podczas gdy Montaignes'owi pomagałem wstać i otrzepać się z pyłu. Powstrzymał się jeszcze, wydając jedynie ciche wesołe okrzyki, kiedy Montaignes, głuchy na moje nagabywania, z obłędem w oczach zaczął szperać dookoła wśród łodyg i liści, mamrocząc:

— Moje okulary... Kurwa, moje okulary...

Stary omal nie wybuchnął śmiechem, ale akurat na czas zrobił zasmuconą minę, kiedy Montaignes wyciągnął spomiędzy listowia jakiś kawałek drutu z jednym szkłem.

— Kurwa, moje okulary... Stłukłem szkło!

Jak potrafił, tak naprostował to, co zostało z oprawki, ponaginał ramiona, powyciągał resztki szkła i wsadził sobie rezultat tych operacji na nos. Leżało to krzywo, a po prawej stronie, tam gdzie pękło szkło, sterczał kawałek drutu, niczym mała antenka. Kiedy się odwrócił, Paulo nie mógł już wytrzymać. Było to dla niego za wiele, jego twarz rozjaśnił szeroki uśmiech, a brzuch zaczął drgać.

— Ech, Mały, ha! ha! ha! Mam nadzieję, ha! ha! ha!... że nic sobie, ha! ha! ha! nie zrobiłeś, co? ha! ha! ha!

I Paulo wybuchnął, z szeroko otwartymi ustami, pełną pierśią, na rozstawionych nogach, rozglądając się dookoła. Był to długi śmiech, grzmiący niczym burza, który nie pozwalał mu nawet na nabranie tchu. Po jakimś czasie przyłożył rękę do serca i osunął się na ziemię, a po twarzy ściekały mu łzy.

— Hi! hi! hi!... Mały... nic złego!... Hi! hi! hi!

Montaignes, podrapany, zakrwawiony, widzący tylko na jedno oko, nie docenił dowcipu. Posępnie wodził wzrokiem. Małe Ludziki także zaczęły się śmiać. Potrzebował pomocy. Usiłowałem uspokoić Paula i pocieszyć Montaignes'a. Choć nie można powiedzieć, żeby się naprawdę boczył, przez cały wieczór pozostał jednak jakiś dziwny i milczący, pomimo nagabywań Paula:

— No, Mały, przecież to dla śmiechu... Dobrze chociaż widzisz? Hi! hi!

Nic nie powiedział, zajął się „*swoim*” okularem, zajrzał do Małej, żeby obejrzeć jej ranę, oznajmił, że goi się dobrze, i poszedł spać.

* * *

W ciągu następnych dni Montaignes sporządził sobie za pomocą paska materiału khaki, wyciętego z jakiejś torby, przepaskę z wyciętym otworem, w którym udało mu się nieźle zamocować swoje okularowe szkło. Wzmocniona tekturą opaska tworzyła z boku kąt prosty. W ten sposób, z jednym okiem ukrytym, Montaignes wyglądał, jakby nosił jakiś celownik. W regularnych odstępach czasu zdejmował przepaskę i przekładał szkło na drugie oko. Jedno odpoczywało, podczas gdy drugie patrzyło za oba. Było to dosyć estetyczne,

w stylu „*dżunglowym*”, ale bardzo mu przeszkadzało. Mnożyły się przed nim trudności, a w dodatku Paulo nie mógł się powstrzymać, by go nie prowokować, co nie polepszało sprawy.

Stary wyczuł, że Montaignes denerwował się, co bechtało jego ukrytą złośliwość, pozostałą po okresie dzieciństwa spędzonego na ulicy i długotrwałym zwyczaju pastwienia się nad tymi, którzy się stawiają. Od tej pory różne ciężkawe „*Widzisz?*” i „*Rzuć okiem!*” rozbrzmiewały przez okrągły dzień. Paulo nie robił tego ze złej woli ale, nieświadomie, urażał Montaignes'a, który nie był przyzwyczajony do całkowitego braku litości. Zamykał się więc w sobie, przeżuwał to w milczeniu i było mu źle.

Kiedy się jest w grupie, przeżywającej zwłaszcza trudności, zamknąć się w sobie oznacza skazać się na rozmyślania, na irytację wszystkim i niczym, wreszcie na rozgoryczenie. Montaignes znalazł się na tej równi pochyłej. I oczywiście los pastwił się nad nim. Jemu przypisane były wszystkie gałęzie, kałuże, mrówki, wszystkie przeszkody. Naprawdę pech!

Powoli zespół ogarniało napięcie. Docinki Paula stawały się coraz bardziej złośliwe, a i ja sam ochrzaniłem obu tropicieli, właściwie nie wiem dlaczego. Tak się rzeczy miały, kiedy, po paru dniach bezustannego łożenia i biwaków coraz prymitywniejszych ze względu na złe samopoczucie Małej, odnaleźliśmy ślady słonia. Były to odchody sprzed paru godzin. Na ich widok od razu zrozumieliśmy, że nie był to M'Bumba, były stanowczo za małe.

Dalej posuwaliśmy się w milczeniu. W tym kłębowisku roślinności słoń mógł znajdować się pięć metrów od nas i pozostawać niewidocznym. W dżungli zdarzało się, że niektórzy myśliwi natykali się na nogę słonia, wychodząc zza krzaka. Tropiciele biegli bezgłośnie i węszyli w powietrzu, kręcąc głowami na wszystkie strony, bardzo podnieceni.

* * *

Nagle usłyszeliśmy go. Szelest liści, potężny oddech i oto wyszliśmy wprost na niego w miejscu, gdzie roślinność była nieco rzadsza. Znajdował się o dwadzieścia metrów dalej i stał do nas tyłem, ogromny, ciemnoszary.

Natychmiast rozeszliśmy się, tworząc pięciometrowe odstępny, z karabinami gotowymi do strzału. Dostrzegł nas. Odwrócił się, z wyraźnymi oznakami wściekłości. Ujrzeliśmy częściowo jego głowę, szerokie uszy, wysoko podniesione kły. Widziałem go z trzech czwartych, kiedy strzeliłem w

skroń. 478 Paula wypalił jednocześnie. Upłynęły dwie sekundy w ciszy zanim zdecydował się Montaignes.

Słoń padł na kolana, aż ziemia jęknęła, zakołysał się i runął na bok, pokonany.

— Dobraaaa! — ryknął Paulo.

Rozległ się potężny bulgot i ciało słonia wypróżniło się, rozprzestrzeniając silny gorzki zapach zalatujący zgnilizną.

— Uch! Nażarł się mango, świnia! — wrzasnął Paulo. — Dlatego tak śmierdzi.

Była to piękna samica. Ogromna głowa, lekko przekrzywiona, spoczywała na podwiniętej trąbie. Padając zwała kilka drzew i spod jej ciała sterczały dookoła gałęzie. W ten sposób do kieszeni wpadały nam dwa ładne kły. Miały prawie po dwa metry długości.

Tropiciele chwycili swoje brzeszczoty od pił do metalu i nie zwlekając zabrali się do roboty, piłując kość o pięć centymetrów od skóry, podczas gdy Paulo, na swoim kalkulatorku, obliczał już zyski. Rezultat przywrócił mu dobry humor.

— Prosto w skroń, popatrz! Nie? Dokładnie! To jest strzał, co?! W głowie ofiary widniały dwie wielkie krwawiące dziury. Po moim strzale i Paula.

— Widziałeś, Mały? To jest robota! Żadnych cierpień, prosto w dziesiątkę!

Kula Montaignes'a, nieźle jak na początkującego, trafiła w trąbę, niemal u nasady, gdzie wyrwała potężny kawał mięsa. Paulo wskazał na tę brzydką ranę cmokając karcąco.

— Ale to, Mały, to... Tak się nie robi... Trzeba zrobić postępy, co?

— Tak, właśnie! — odparł wściekły Montaignes.

— Może potrzebowałbyś innej broni? Może potrzebowałbyś karabinu z okularem? Co?

— Dobra już! Daj spokój, Paulo! Zejdź trochę ze mnie!

* * *

W tej właśnie chwili pojawiło się słońiatko. Wysokie mniej więcej na metr, z cienką jasnoszarą trąbą i dwojgiem wielkich, zaniepokojonych oczu, po prostu wielki jednotonowy dzidzius, bojaźliwy i bezradny. Podeszło niepewnie, jakby nieco bokiem, niezdarne.

Trąbą dotknęło ciała słonicy, po czym napało na nie czołem, całym ciężarem, jakby chciał ją podnieść.

Boże drogi! Zabiliśmy matkę. Skąd mogliśmy wiedzieć, że ten tutaj jest w pobliżu? Opuściła mnie cała radość. Montaignes, ze swoją przepaską na czole, mrugał oczami blady i przerażony.

— No, to się spisaliśmy! — podsumował Paulo.

Próbowaliśmy je nastraszyć, żeby odeszło, klaskaliśmy w dłonie i biegaliśmy przed nim głośno tupiąc.

— HUUU! HUUU! Dalej! HUUU!

Paulo załadował broń i wystrzelił w powietrze. Huk sprawił, że tropiciele zaczęli się śmiać, pochyleni nad swoją robotą, a słońiatko odskoczyło na kilka metrów. Ale nie zdecydowało się odejść. Podeszło znowu, patrząc swoimi wielkimi smutnymi oczami, które tylko wzmagają nasze wyrzuty sumienia, i znów zaczęło popychać czołem ciało swojej mamy. Przesuwało też swoją trąbę, porośniętą długimi jedwabistymi włosami, po skórze słonicy i w końcu zaczęło przeszkadzać tropicielom w pracy. Młodszy z Małych Ludzików, zdenerwowany ruchem trąby, zaszczębiotał coś gniewnie, po czym nagle chwycił maczetę leżącą u jego stóp i wbił ją w szyję słońiatka.

Maczeta uwięzła, dość głęboko wbita w ciało, a spod niej wypływała strużka krwi. Mały Ludzik szczębiotał wściekle i gwałtownie machał rękami, żeby odpędzić małego, który kręcił się w kółko, już całkowicie przerażony.

Zrobiłem to, co wydawało się logiczne. Załadowałem broń i podszedłem do małego, długo celowałem, czekając, aż się uspokoi, i wystrzeliłem, kiedy pojawił się na muszce. Padł na ciało swojej matki.

Mały Ludzik podszedł, by wyciągnąć swoją maczetę, uniósł ją wysoko w górę i z błyszczącymi oczyma zaczął się śmiać, odsłaniając dziąsła, dzikim i nieprzyjemnym śmiechem.

Montaignes'owi nagle coś zaskoczyło i wybuchnął.

— Wyście wszyscy powariowali! Zupełnie powariowali!

Zaczął się. Teraz musiał nastąpić dalszy ciąg. Odreagowanie wielu dni urazy. Ryczał, czerwony, niepohamowany, nie panując nad sobą, z opaską przekrzywioną na czole i dłońmi zaciśniętymi do białości na karabinie. Jego krzyki przechodziły w falset i chwilami tracił głos. Upajał się własnymi słowami, zapamiętując się we własnej wściekłości. Musiało mu być bardzo źle.

Byliśmy wariatami. Byliśmy świniami. Nie mieliśmy prawa do czegokolwiek na tym świecie. Nie mieliśmy żadnych usprawiedliwień. Wyruszyliśmy na spotkanie śmierci. Wszyscy o tym wiedzieli. Wiedzieliśmy o tym i nie powiedzieliśmy mu. Zrobiliśmy to umyślnie. Byliśmy oddaleni od wszystkiego, zbyt oddaleni. Trzeba powstrzymać te szaleństwa i poświęcić wszystkie siły na poszukiwanie szansy odnalezienia prawdziwego świata. I jeszcze mnóstwo innych rzeczy, których by nie powiedział, gdyby nie był wściekły.

Wzruszyłem ramionami i zarepetowałem karabin, żeby coś zrobić, podczas gdy on zdierał gardło. Pozwalałem mu się wyładować... Za chwilę opamięta się i zrozumie, że nie mogłem uczynić nic innego, jak tylko zastrzelić tego małego. Nie byłem winien temu nerwowemu załamaniu. Ale Paulo zdenerwował się i rozwrzeszczał jeszcze głośniej:

— Zamkniesz wreszcie mordę czy nie?!

I postąpił dwa kroki w kierunku Montaignes'a, który nadal ryczał, tracąc dech.

— Zamknij tę swoją jadaczkę albo ja ci ją zamknę!

— Ej, Paulo, spokojnie! — zawołałem.

Natychmiast odwrócił się ku mnie i wrzasnął:

— Ty też chcesz mi wleźć na głowę? Tak? Chcesz zacząć?!

Tracił panowanie nad sobą. Robiło się gorąco. Miał minę rozjuszoną i zupełnie nie do żartów. Wściekły, rozdygotany, gotów na wszystko, a wiedziałem, na co tego starego wariata stać. Patrzył na mnie nieruchomo, jakbym go obraził. Odwrócił się i ruszył w kierunku Montaignes'a, którego wrzaski zaczynały przycichać.

— Ty mały dupku, zamknij się, bo nie ręczę za siebie! Cicho, mówię ci! Rozkazuję ci zamknąć dziób!

Na te słowa Montaignes zamilkł nagle i jego twarz jakby się wydłużyła, stając się jeszcze chudsza; przymrużył oczy i przybrał jakiś paskudny, zły wyraz twarzy, którego nigdy u niego nie widziałem. Odruchowo odciągnął kurek Winchestera. Klak! Ciąg dalszy był już logicznym następstwem, łatwym do przewidzenia. Stał pewniej w rozkroku i opuścił lufę na wysokość człowieka.

Postarzał się przy tym o dziesięć lat, a w policzkach zrobiły mu się dwie głębokie bruzdy.

— Tak? Taki jesteś?... — zasyczał Paulo. — Ty gnido — powiedział powoli.

Cały zeszywniał, lekko pochylony do przodu, gotów do działania.

Ryknąłem:

— Odbiło wam!?! Stać!

I wymierzyłem w ich kierunku, gotów strzelać w nogi pierwszego kretyna, który się poruszy.

Przez kilka minut mogło się zdarzyć wszystko. Co za szaleństwo! Naprawdę wszyscy powariowaliśmy! Musiałbym pilnować się Paula, gdyby zabił Montaignes'a. Upływały sekundy, cała wieczność. I w końcu Montaignes rozluźnił się pierwszy...

* * *

Powrót do obozu był długi, trudny i upłynął w milczeniu przez ten ciemny las, gdzie ciągle się o coś potykaliśmy. Obaj tropiciele wzięli jeden kiel i pędzili przodem, regularnie zgodnym ruchem przerzucając go od czasu do czasu z jednego ramienia na drugie.

Ja wziąłem drugi na kark, niczym nosidła, odrzucając czyjąkolwiek pomoc. Zataczałem się pod ciężarem i starałem się iść szybko, zwalczając ogarniającą mnie złość na wszystko.

Nikt nie zmienił nastroju. Paulo najwyraźniej przeżuwał chęć mordy, Montaignes całkowicie zamknął się w sobie, pogrążony w myślach, bardzo daleki.

Kolacja była ponura, nikt nie miał ochoty na konwersację. Potem mokre materace, zupełnie czarna noc, chłodne podmuchy, cisza przerywana pomrukiwaniem i ciskaniem się z boku na bok w poszukiwaniu wygodnej pozycji, której nie było...

Nie było mowy o spaniu. Przemoczone pokrycie materaca było nadzwyczaj nieprzyjemne w dotyku. Pomimo całego wysiłku, jaki kosztował mnie powrót, nie mogłem pogrążyć się we śnie. Moje mięśnie, nareszcie rozkoszujące się odpoczynkiem, niczego innego nie pragnęły, ale głowa nie chciała się uspokoić. Myślałem, a myśli te nie były przyjemne.

Czułem zapach powietrza, przesiąkniętego wyziewami mokrych butów i ubrań. Widziałem plecy Paula, o parę centymetrów ode mnie. Stary spał, leżąc na boku, zwinięty w kłębek, z brudnym kocem okrywającym nogi, w samym

podkoszulku, z workiem podłożonym pod głowę jako poduszką, i to na macie rozłożonej bezpośrednio na ziemi. Udało nam się uratować tylko trzy materace. Zgniły Paulo warknął, że woli matę i że nie jest panienką. Dżungla to jego żywioł. Nie było nas jeszcze na świecie, kiedy już ją przemierzał ze swoimi leśnymi towarzyszami w latach 1938–39. Nie, do cholery, nie był mu potrzebny materac!

Paulo! Stary! Kurwa! Żeby tak spać jak żebrak, w jego wieku. Brakowało jeszcze tylko napoczętej litrowej butelki czerwonego wina u wezglowia i złudzenie byłoby całkowite. Co się z nami porobiło?

W myślach obrzuciłem M'Bumbę stekiem wyzwisk. To jego napad na obóz spowodował to wszystko. Nasze postanowienie, by iść dalej, nasz nadmiar optymizmu, wynikający z pragnienia pomszczenia Tatave, całą tę wyprawę w górę rzeki i ten powolny upadek, którego nienormalność coraz bardziej odczuwałem. Wszystko zaczęło się właśnie wtedy. W dniu, w którym ten zasrany, niedojebany skurwiol dał dowód inteligencji i spowodował, że wszystko zaczęło iść źle.

Trwało to już teraz pięć tygodni. W jaki sposób wszystko mogło się zepsuć w tak krótkim czasie? Boże! Pamiętałem, całe wieki temu, wesoły wymarsz na safari, grupę kumpli ogarniętych pragnieniem życia i zabawy, zadowolonych, że czeka ich trochę przyjemności. Pirogi, komfort, kieliszki Bordeaux, a potem nagonka na to przekłęte stworzenie. Po prostu — życie!

Ale to teraz, to już nie było życie. Byliśmy na brzegu, ułożeni na gnijących barłogach, wokół przygasającego ogniska. Jedna piroga z niemal pustą beczką benzyny i trzema parami kłów, na ziemi jeszcze parę innych przedmiotów; byliśmy kloszardami tej rzeki.

Chociaż przy mnie też nie stała butelka, nie powinienem mieć żadnych złudzeń: wyglądałem dokładnie tak samo jak Stary. Mówił mi o tym już sam mój zapach. Co za upadek! Jak można było dopuścić do znoszenia takich codziennych cierpień, frustracji i napięć? I co miały znaczyć te pyskówki, które wszystko zaostrzyły? Bo przecież było już parę chwil, kiedy mieliśmy ochotę do siebie strzelać. Byliśmy trójką przyjaciół, którzy bardzo się lubili i tak dalej, i temu podobne... I oto stawaliśmy jeden przeciw drugiemu. To nielogiczne.

Jedynym wytłumaczeniem było, że wszyscy znajdowaliśmy się w stanie strasznego podenerwowania. Pograżyliśmy się w szaleństwo, nie zdając sobie z tego sprawy, i dopóki do tego nie dojdzie, nadal będziemy wariować.

Tego wieczoru wątpliwości, które ogarniały mnie chwilami w ciągu ostatnich dni, zaczynały jasno się rysować. Był tu jakiś obłęd i wydawało mi się, że wszystko jest na najlepszej drodze do koszmaru, był jakiś ogólny brak logiki w naszym położeniu, którego dobrze nie rozumiałem, ale byłem pewien, że będzie dla nas fatalny. Dostawaliśmy kopniaka za kopniakiem. Taki był oczywisty rezultat najbardziej elementarnej analizy wydarzeń. Bebe, Montaignes, Mała, boa... Zabiliśmy słonia i od razu rzecz przemieniła się w krwawą jatkę. Strzelaliśmy do siebie. Wszystko się rozpadało. Nie potrafiliśmy przeciwstawić się biegowi wypadków.

Od czasu śmierci małego kuchcika nie mieliśmy już żadnej kontroli nad tym, co się działo. Płynęliśmy z prądem. Każda próba dobiecia do brzegu zamieniała się w tragedię. Każda próba reakcji z naszej strony obracała się przeciwko nam.

Dlaczego byliśmy tutaj? Czy polowaliśmy na M'Bumbę? Ale dlaczego postanowiliśmy dotrzeć do Jeziora Dinozaurów?

Dlaczego byliśmy przekonani, że M'Bumba szedł w tym kierunku? Jaki mieliśmy dowód, że spośród tych tysięcy kilometrów kwadratowych dżungli wybierze właśnie tamto miejsce? I dlaczego nadal, pomimo wszystkich tych moich wątpliwości, byłem o tym głęboko przekonany?

Nie, nie i nie! To nie tak! Karty były sfalszowane. To nie było normalne. Zmierzaliśmy prosto do katastrofy. Trzeba zresztą być ślepym, tak jak my, żeby nie widzieć, że katastrofa już się zaczęła. Znaleźliśmy się w pułapce, która wyglądała groźnie.

Umrzeć to nie problem. Paulo i ja byliśmy zawodowcami w tej dziedzinie, wielokrotnie skazywani na śmierć, raz zostaliśmy uratowani na kwadrans przed egzekucją. Walki, bitwy, zmagania, ginący ludzie — byliśmy gotowi na to wszystko. Można powiedzieć, że na tym polegała nasza praca. Ale na razie tonęliśmy, a nie walczyliśmy. Sytuacja wymykała się spod naszej kontroli. Trzeba patrzeć na rzeczywistość trzeźwo. Zagubiliśmy się.

Nie wiedziałem nawet, jak natrafić na grunt pod nogami, bo nie pojmowałem, co spowodowało, że go utraciliśmy. Wszystko było jak za mgłą: złośliwa seria przypadków, niezauważalne pogarszanie się sytuacji za każdym

nowym zdarzeniem. Trochę tak jak czasami przy stole ruletki, kiedy się czuje, że dobre liczby nie wychodzą, bo los postanowił, że dziś się przegrywa i że nic nie wyjdzie.

Bez naszej wiedzy wszystko się wzajemnie powięzało. Ten ciąg wypadków osłabiał nas stopniowo, choć nie potrafił zmusić do opuszczenia rąk. W rezultacie przeszliśmy przez serię możliwych do zniesienia kłopotów, które pozbawiły nas w znacznym stopniu koniecznych do przeżycia zapasów i pograżyły w gównie po uszy.

Wstałem i przeciągnęłem się z głębokim westchnieniem. Co za historia! Czyżbym majaczył? Gdzie to było przedtem? Być może brakowało nam po prostu szczęścia. Jak się tego dowiedzieć? Wszystko było zafałszowane.

Wiatr znad rzeki poruszał moskitierą na wprost mojej twarzy i pieścił mi plecy zimnym powiewem. Urządziliśmy biwak na gołym brzegu, w miejscu obszernym niczym plaża, nieco zakrzywionym, gdzie rosło kilka drzew. Ściana lasu oddalona była o jakieś sześćdziesiąt metrów.

Dwie moskitiery i jedna plandeka zastępowały nam dom na piaszczysto-trawiastej plaży. A wokół, w nieskończoność, tylko duszący las...

— Trzeba się stąd zmywać — szepnąłem.

Kiedy tylko sformułowałem tę myśl, stała się ona oczywista. Było to takie proste. Wydawało się, że szczęki pułapki zaciskają się. Wystarczyło uciekać, biegnąc w przeciwną stronę. Przejść tę samą drogę w odwrotnym kierunku. Wyjść z dżungli, przedostać się do Konga, do Powszechnej Faktorii Handlowej. Albo nawet jeszcze dalej, bo naprawdę już miałem dość tego zadupia. Co stało na przeszkodzie, by zawrócić, poza naszym głupim i irracjonalnym uporem? Oczywiście, było jeszcze pragnienie zemsty za Tatave. Ale przed nami nie było przeciwnika! Nikt nie wiedział, gdzie go szukać! Nie tchórzylimy, tylko na zimno stwierdzaliśmy, że sytuacja była bez wyjścia, że prowadziła do śmierci w imię niczego, i postanowiliśmy z tym skończyć.

* * *

Tak! Tak! Oczywiście! Wrócimy z naszymi sześcioma kłami, które, dodajmy przy okazji, z nawiązką opłacą poniesione koszty.

Przepajały mnie radość i ulga, jak gdybym pozbył się ogromnego ciężaru. Znalazłem wyjście. Było oczywiste, jasne, dziecinnie proste.

Maty, wilgoć, straszliwa cisza dżungli, wszystko to nagle stało się tymczasowe i przestało tak dokuczać. Odwrót oznaczał przywrócenie całej sytuacji do jej normalnych wymiarów. Wypad wyrosniętych harcerzy w pogoni za przewrotnym słoniem, który trochę za bardzo dał im się we znaki. Przy okazji załatwiliśmy sobie kilkadziesiąt kilogramów kości słoniowej.

Najtrudniej będzie przekonać mojego upartego jak muł kumpla. Paulo nigdy nie zadał sobie trudu, by sprawdzić albo zrozumieć, czy świat, w którym działał, był szalony, nielogiczny, niebezpieczny czy jakikolwiek inny. Dla niego takie kwestie nie istniały. Szedł do przodu i rozwiązywał każdy napotykaną problem, kolejno, nigdy nie zadając sobie pytań na temat jego wagi, kształtu czy rozmiarów. Jego jedynym dążeniem zawsze było: iść dalej do przodu, ciągle dalej. Kiedy przyjdę mu powiedzieć: „*Dajmy spokój, spieprzamy stąd!*”, spojrzy na mnie dziko i powie, że skoro się łamię, to mogę sobie wziąć pirogę i zostawić go tu polującego samotnie i żebym wreszcie przestał mu zawracać głowę. Jeszcze dobrze, jeżeli pod wpływem niesmacznego śniadania nie zacznie strzelać, by przyśpieszyć mój odjazd.

Chciał dostać M'Bumbę po prostu dlatego, że wyruszył na jego poszukiwanie. Poza tym, byłem tego pewien, marzył o swoim cmentarzysku, mówił o nim coraz częściej. Według niego, jeżeli gdziekolwiek istniało, to musiało to być w tym gnijącym i tajemniczym lesie. Kiedy Paulo wbił coś sobie do głowy, zawsze było trudno go od tego odwieść. Ale kiedy zawładnęło nim marzenie, to już potrzebny był prawdziwy wyczyn. Musiałem przygotować całkowicie pewne, dyplomatyczne argumenty. Do jutra rana.

* * *

Montaignes stanie po stronie Paula, to jasne. Odkąd mocnym głosem oznajmił, że idzie z nami, po śmierci małego kuchcika ta gra zawładnęła nim całkowicie. Głęboko przeżywał wszystkie wydarzenia tej ekspedycji. Jeszcze mniej niż my zdawał sobie sprawę z aberracji, bo brakowało mu doświadczenia. Ponadto najwyraźniej podobało mu się życie w dżungli.

Wśród intelektualistów w okularach częsty jest taki mały kompleks Tarzana. Montaignes był zachwycony, że tak dobrze i skutecznie daje sobie radę w tym środowisku. Praktycznie stosował tu swoją inteligencję i był zadowolony widząc, że to działa, jak gdyby pierwszy raz zdarzyło mu się jej użyć do czegoś innego niż myślenie.

Przeżywał tu wielkie chwile i z pewnością bardzo chciał, by potrwało to dłużej, a chociaż był takim filozofem, nie miał wiele więcej rozsądku od nas. W czasie dyskusji będzie poważnym przeciwnikiem.

Ale byłem pewien, że ich przekonam. Tak czy inaczej było to konieczne. Poza tym miałem już gotowy plan: pozwolę na kontynuowanie ekspedycji jeszcze przez kilka dni, aż dotrzemy do Jeziora Dinozaurów. Kiedy Montaignes zobaczy to swoje cholerne jezioro, będzie bardziej skłonny do powrotu. Taki był nasz cel od dawna i mogło to tworzyć złudzenie, że osiągnęliśmy jakiś rezultat. Spowodować to musi pewną ulgę, jakby rozprężenie, które wykorzystam, by zarządzić odwrót. Spryt i dyplomacja, oto hasło chwili.

* * *

Uspokojony opracowanym planem i myślą, że wkrótce wszystko się zakończy, wysliznąłem się spod moskitiery i usiadłem na ziemi koło ogniska. Nalałem do menażki wody z bidonu, plastikowego obrzydliwego pojemnika, którego smakiem przesiąkała woda, i umocowałem ją nad ogniskiem do zagotowania.

Nie mieliśmy już nawet kawy. Od pewnego czasu nasze gorące napoje robione były na wywarze z jakichś gałązek i ziaren, które dały nam Małe Ludziki. Smakowało trochę herbatą, trochę pieprzem i jeszcze jakimiś nie określonymi rzeczami. Może byłoby to i smaczne z cukrem, ale nie mieliśmy już nawet cukru...

* * *

Wracać, oczywiście! Rozwiązanie było tak proste, że ogarnął mnie cichy śmiech i zaśmiewałem się pochylony nad swoim naparem. Ale byliśmy głupi! Przecież powrót to najlepsze rozwiązanie dla wszystkich! Dla tych dwóch wariatów, dla mnie, dla Małej.

Nie chciałem więcej, żeby moja księżniczka narażona była na te wszystkie niebezpieczeństwa. Uważałem, że jak na dziecko i tak już przeżyła zbyt wiele. Nieźle wyszła ze swojej ostatniej przygody i jej ręka goiła się jak należy, ale jeśli ktoś ucierpiał w tej całej historii, to z pewnością ona.

Poza tym był jeszcze nasz związek. Jeszcze jedna nienormalna rzecz. Podobnie jak poprzednio, nie mogłem zaprzeczyć, że mnie pociągała i że w myślach żywiłem dla niej ogromną, zadziwiającą czułość. Może był to

kolejny urok, jeszcze jeden rezultat napięcia, jakie towarzyszyło nam w czasie tego polowania? Musiałem przekonać się co do tego po powrocie, w bardziej normalnych warunkach.

* * *

No to już. Decyzja zapadła. Wracamy. I odwrót zacznie się natychmiast po wschodzie słońca. Nie było już mowy o dotarciu nad jezioro ani o kilku dodatkowych dniach. Trzeba działać szybko: jutro rano sprawdzę zapas benzyny, zwołam wszystkich i ruszymy.

Ja dowodziłem tą ekspedycją, do mnie więc należała decyzja, czy mieliśmy kontynuować, czy zawrócić. Nigdy nie sformułowana głośno umowa między Paulem a mną stanowiła, że zawsze dowodziłem w zakresie „wypadów” i „działań zbrojnych” i że podporządkowałem się jemu w sprawach handlowych i w razie kłopotów. Paulo zawsze uznawał ten podział, toteż uzna go i tym razem.

Zresztą, jeżeli tamci dwaj by się stawiali, gotów byłem w sposób chytry i dyplomatyczny dać im w głowę i załadować na dno pirogi. Jazda! W tył zwrot! Cała naprzód!

Myśl ta uspokajała mnie w sposób niewiarygodny. Mało brakowało, a byłbym wszystkich obudził, żeby oznajmić im dobrą nowinę i zachęcić do natychmiastowego załadowania pirogi. „*Ach, Elias, nie ma co, kiedy myślisz, to coś z tego jest! I pomyśleć, że są tacy, co uważali cię za ciemnego chama!*”

* * *

Żeby to uczcić, zrobiłem sobie coś w rodzaju papierosa. Oczywiście nie mieliśmy już tytoniu, więc tym razem znowu tropiciele dali nam jakąś dziwną mieszankę, z daleka przypominającą tytoń do cygar, z pachnącymi ziarenkami, które wydzielały obrzydliwy, słodkawy dym. Przez dłuższą chwilę pocilem się, usiłując umieścić wystarczającą ilość tej substancji w środku kartki wyrwanej z kalendarzyka, najcieńszego papieru, jakim dysponowałem. Starłem się, denerwowałem, siedząc samotnie przed ogniskiem zużyłem całe litry śliny, zanim wreszcie udało mi się uzyskać coś białego o nieregularnych kształtach, ale całkiem nadającego się do palenia.

— Aaach!...

Wyciągnąłem z ogniska małą gałązkę, zapaliłem od niej swojego peta i odrzuciłem ją do ognia. Strzelił wyższy nieco płomień, oświetlając na chwilę

okolice. Wówczas nagle ujrzałem lśniący pysk ogromnego krokodyla, o dwa metry ode mnie! Był to ludojad o bardzo ciemnych łuskach, z długimi stożkowatymi zębami, groźnie rozmieszczonymi wzdłuż całej szczęki. Jego wilgotne oczy błyszczały w świetle ognia.

Głowę zwrócił ku mnie. Wsparte na przednich łapach znieruchomiałe ogromne ciało ginęło w ciemnościach i wśród traw.

Moja ręka wsunęła się pod moskitierę i chwyciła karabin, leżący koło resztek materaca. Wycelowałem w potwora, wrzasnąłem i wystrzeliłem.

Mój krzyk i odgłos wystrzału spowodowały natychmiastowe zamieszanie. Pojawił się przede mną Paulo, w podkoszulku, z karabinem w dłoniach:

— Elias! Elias! Gdzie? Gdzie?

Montaignes wygrzebał się spod moskitiery, również z karabinem, bezskutecznie usiłując jedną ręką założyć swoją opaskę:

— Co się stało?! Paulo! Elias!

Krokodyl padł jak kloc, pysk rozleciał się na kawałki.

— To nic! To nic! Spokój! — wrzasnąłem. — Zabiłem krokodyla! Już dobrze! Spokój!

Montaignes wygrzebał się wreszcie i zapalił swoją wielką latarkę, jedną z ostatnich, które jeszcze działały, jako że — jak łatwo się domyślić — brakowało nam także baterii. Krąg białego światła otoczył ohydny trupa ludojada. Czoło było w kawałkach, nie zostały nawet oczy. Jego wielkie cielsko koloru khaki, dające czarne odbłaski, wypustki na grzbiecie, w kształcie wielkich zębów piły, schodzące aż po czubek długiego, grubego ogona, wszystko to było obrzydliwe. Łapy, żałośnie oklapłe, szerokie i potężne, zakończone były mocnymi pazurami.

— Świństwo! — warknął Paulo. — Nie powiesz mi, że to nie jest ohydne! Te paskudztwa są dobre tylko na torebki.

Nagle Mała zaczęła wrzeszczeć. Montaignes natychmiast skierował latarkę w jej kierunku. Światło odszukało ją, wydobyło z mroku najpierw moskitierę, potem Małą, z wyciągniętą ręką, a dalej, o niecałe dwadzieścia metrów, wydłużone kształty dwóch krokodyli.

— Popatrz na te ścierwa! — warknął Paulo zdenerwowany.

Oba ludojady czołgały się po brzegu, bardzo powoli, przesuając to jedną łapę, to drugą i obracając przy każdym kroku szerokim ruchem wielkie półotwarte pyski to na prawo, to na lewo.

— Czego one chcą? — spytał mnie Montaignes, kierując na nie światło latarki. — Dlaczego podchodzą tak blisko obozu? Czy takie są ich zwyczaje?

— Nie. Nigdy czegoś takiego nie widziałem.

Paulo z hałasem grzebał wśród sprzętu, mamrocząc przekleństwa pod adresem gadów.

— Ej, Mały — zawołał — mógłbyś mi poświecić?... Dziękuję. Paulo wyciągał dynamit. Wziął jedną laskę, po czym otworzył pudełko z zapalnikami.

— He! He! He! — rechotał — Skurwiele! Ja im pokażę!

Wyciągnął zapalnik, starannie wcisnął lont do środka małego walca, wsadził sobie zapalnik do ust i zagryzł parę razy, żeby lont nie wypadł. Robił to wszystko z wyraźną rozkoszą. Następnie rozpakował laskę dynamitu z jednej strony, uważnie, wysuwając język. Delikatnie zrobił mały otwór w środku, wsunął weń zapalnik i z powrotem naciągnął papier, strojąc przy tym miny pensjonarki.

— Przyszliśmy wystawić dupy na powietrze, co?! — ryknął co sił w płucach. — Ja wam je ogrzeję!

Podbiegł do nas, w kalesonach i podkoszulku, przyciskając dynamit do serca.

— Oświetl mi je, Mały! Żebym widział, gdzie są!

Montaignes skierował swoją latarkę na zwierzęta. Gady przeszły dwa metry w naszą stronę. W snopie światła ich oczy błyszczały jak małe pomarańczowe reflektorki.

— Kryjcie się! — ryknął Paulo.

Zapalił lont od płonącej szczapy. Rozległo się skwierczenie. Cofnęliśmy się i przykucnęliśmy. Paulo, z wysoko uniesionym podbródkiem, z palącym się lontem na wysokości oczu, cieszył się niczym stary kawalarz.

— Witajcie, krokodyle! — wrzeszczał. — Dziś czternastego lipca! Dobrze je oświetlaj, Mały! Niech obywatele widzą, jak wylatują w powietrze!

Rzucił laskę, ruchem zawodowca, tuż przed krokodyle, w kręgu światła, i w sekundę potem wszystko wybuchło. Eksplozja koloru krwi. Wokół przelatowały kawały mięsa. Dopadł nas podmuch, gorący i piaszczysty, ogłuszając mnie. Paulo koło mnie śmiał się dziko, chociaż go nie słyszałem. Ogarnął nas gryzący, upajający zapach dynamitu.

Potrzebowałem kilku minut, by odzyskać słuch. Wstrząśnięty Montaignes potrząsał głową i śmiał się.

— Ale potęga! Niezły pokaz siły, mój drogi!

— Dziękuję, dziękuję — odpowiadał rozanielony Paulo—Skromniś. — Nie będą już przyłazić i budzić mnie po nocy. Nawet już spać spokojnie nie można. Kurewska dżungla!

Nastawiliśmy sobie wody na herbatkę „Mały Ludzik”, opowiadając jakieś głupstwa. Cały incydent posłużył wzajemnemu pogodzeniu się, ale nagle zaintrygowały nas głuchoe odgłosy i szelesty, rozlegające się dookoła.

Montaignes zapalił latarkę. Hałas dobiegał od strony brzegu. Około trzydziestu krokodyli, długich, ogromnych, wijących się, powoli zmierzało w naszym kierunku, krok za krokiem. Po lewej zobaczyliśmy inne cienie poruszające się na brzegu. Montaignes odwrócił się. Nie było wątpliwości, tam też coś się kłębiło...

— Spływamy stąd — rozkazałem. — Zabierajcie żarcie i amunicję. Szybko!

Mała przytuliła się do mnie, przerażona. Powietrze przepelnione było coraz wyraźniejszymi szelestami. Niektóre krokodyle widać już było mimo ciemności.

— Zabierzcie wszystkie latarki!

— Mam dynamit.

— Jazda!

I jak najszybciej ruszyliśmy w kierunku przeciwnym do rzeki i tego, co z niej wylażyło. Mała biegła z ręką wczepioną w moją koszulę. Wokół nas trawa aż ruszała się. Nie mogłem zrozumieć. Ile ich było? Sto? Więcej?

Dotarliśmy do podnóża drzewa odpowiedniej grubości, o gałęziach w miarę dostępnych, jakieś pięć czy sześć metrów nad ziemią.

— No, Mała, włącz!

Jedną ręką podniosłem ją, trzymając pod pośladkami, i popchnąłem w górę. Chwyciła się pnia i w dwóch ruchach dotarła do gałęzi. Montaignes zaplątał się, usiłując nałożyć przepaskę.

— No, prędzej! Ruszaj się!

Chwycił się pnia i szybko wspiął do góry. Miałem wrażenie, że za plecami poruszała się już cała plaża: odgłosy czołgania się, szuranie po piasku...

- Włóż, Paulo, szybko!
- Ty włóż!
- Nie wygłupiaj się, włóż!

Popchnąłem go i chwyciłem drzewo zaraz po nim. Kiedy dotarł na górę, siadł okrakiem na gałęzi, zwinniejszy ode mnie, i wyciągnął do mnie rękę, żeby mi pomóc. Usiadłem koło Małej. Montaignes i Paulo siedzieli na dwóch innych gałęziach. Zerknąłem w dół.

Był już najwyższy czas. Pierwsze krokodyle były oddalone o około trzech metrów. Montaignes skierował światło w kierunku brzegu i wówczas, uczepieni naszych gałęzi, zdaliśmy sobie w pełni sprawę z koszmaru.

Cała plaża aż kipiała od tych potworów. Pokrywały ją szczelnie, na ogromnej przestrzeni. Wszystkie posuwały się naprzód tym dziwnym krokiem, powolnym i pewnym. Przy naszym drzewie było ich pełno. Ocierały się o pień. Słysząc było kłapanie paszczy i oślizłe tarcia.

Wkrótce u naszych stóp było ich z pięćdziesiąt. Mała, wciśnięta pomiędzy mnie i drzewo, drżała bezustannie.

- To niemożliwe — mamrotał Paulo. — To niemożliwe...

Krokodyle potężnymi ciosami zaczęły walić ogonami w drzewo, ciosami, które wprawiały pień w drżenie i przerażały Małą. Podobnie jak pozostali miałem nieprzepartą ochotę, by strzelać w tę masę, ale choć niezwykle potężne, nasze karabiny strzelały pojedynczymi pociskami. Jedna kula na zwierzę; ledwo starczyłoby nam amunicji, by oczyścić brzeg. Nie miało to sensu. Potrzebny byłby tu ciężki karabin maszynowy.

Nasi napastnicy uspokoili się i zaczęli się powoli wycofywać, widocznie rozumiejąc, że byliśmy dla nich zbyt wysoko. W białym snopie światła latarki patrzyliśmy, jak rozwalają nasze obozowisko. Moskitiery leciały w strzępy, materace były rozrywane na kawałki. Cała ciżba kłębiła się w miejscu, gdzie zastrzeliłem pierwszego. Aż dobiegały do nas odgłosy kłapania szczękami podczas uczy. Od chwili, kiedy się to wszystko zaczęło, instynktownie zmusiłem się do zachowania całkowicie zimnej krwi, ale teraz czułem, że słabnę.

Co się tu znowu dzieło? Skąd przyszły te wszystkie potwory? Jak to się stało, że zebrały się do ataku na nas? Co za koszmar był znowu naszym udziałem?

— To niemożliwe... To niemożliwe... Jutro zmywamy się z tego zasranego kraju. Co? Powiedz, Elias? Spływamy, dżungla oszalała.

Wstawał księżyc, pełny i biały, rzucając siną poświatę na ludojady. Po lewej, dosyć daleko, rozległy się wrzaski, przenikliwe i przerażone.

— To jeden z Małych Ludzików — powiedział Paulo. — Poszukaj go, Montaignes.

Snop światła zaczął myszkować, dopadł większego skupiska krokodyli, ogromnego ruchomego stosu wielkich, zielonych, błyszczących ciał.

— O kurwa, wpadł! — jęknął Paulo.

Krokodyle napierały, naciskając na cienki pień młodego drzewa, który uginał się pod ciężarem. Zaczepiony rękami i nogami, z głową uniesioną ku niebu, jeden z Małych Ludzików wył. Krokodyle były niecałe dwa metry poniżej i drzewo, stopniowo, wydając mrożące krew w żyłach trzaski, pochylało się coraz bardziej.

Trach! Przegięło się o dobrych dziesięć centymetrów. Mały Ludzik podciągnął się i rozpaczliwie zamachał swoimi małymi nóżkami, z całej siły opasując pień. W niewiarygodnym wysiłku jeden z potworów, spośród dziesiątek kotłujących się, sprężył się i skoczył do góry, wysuwając pysk pionowo. Szczęki zacisnęły się parę milimetrów od małych stóp naszego tropiciela. Otworzyliśmy ogień.

Nadal wyjąc jak zarzynane zwierzę Mały Ludzik w końcu oplótł nogi wokół cieniutkiego pnia. Dlaczego nieszczęsny wybrał właśnie to żalosne drzewko? Był to potworny błąd. Ludojady kłębiły się u jego stóp, włączając na siebie wzajemnie tymi okropnymi, wężowymi i pozornie nieczułymi na wszystko ruchami. Ich wielkie cielska ześlizgiwały się jedne z drugich i opadały na ziemię. Rozglądały się wtedy dokoła, z otwartą paszczą i, nadal powoli, ponownie ruszały naprzód. W krótkim czasie były ich już trzy albo cztery warstwy, niczym kłęb gigantycznych i nastroszonych łuskami węży, oślizłych, z okropnymi szczękami i wydających przerażające pomruki.

Z trudem utrzymywaliśmy równowagę, a odrzut karabinów niemal rzucał nas na ziemię. Zamki były już gorące, oczy piekły od prochu, a ramię zaczynało mnie boleć od stale ponawianych uderzeń. W szybkim tempie wystrzeliliśmy każdy po około dziesięciu naboju. Mimo mocy naszych karabinów, za każdym razem padał tylko jeden krokodyl.

Drzewo tworzyło teraz już niemal kąt prosty. Mały Ludzik, którego plecy wisiały tuż nad przepaścią, powoli popadał w obłęd. Z gardła wydobywały mu się paniczne wrzaski, jego umysł ogarniało szaleństwo.

Paszczę najwyższej położonych ludojadów znajdowały się mniej niż metr od jego pośladków. Krokodyli było teraz co najmniej ze sto, zgromadzonych wokół jego drzewa, a od strony brzegu nadciągały następne, powolne, pewne siebie, ciche. Niektóre zaczęły walić w cienki pień drzewa ogonami, prostując się nagle niczym sprężyny. Pień zatańczył od lewej do prawej, drgając gwałtownie. Łup! Łup! Znowu trochę się wygiął. Przestałem strzelać. Sprawa była beznadziejna i marnowaliśmy cenne naboje.

Mały Ludzik umilkł. Znajdował się już na dnie koszmaru. Jeden z jaszczurów wygiął się, raptownie wyprostował i skoczył, wyrzucając paszczę niczym strzałę ku górze. Chybił o milimetry, kłapnął szczęką, opadł z cichym plaśnięciem na swoich pobratymców, po czym — nieruchomy — zsunął się po spiętrzonych grzbietach i znalazł się na ziemi, okrakiem na dwóch innych nowo przybyłych. Ponownie podjął próbę wspinaczki. Inny z kolei wyskoczył i nie osiągnąwszy celu opadł. Ale teraz była to już kwestia sekund. Mały Ludzik nie mógł im się wymknąć.

— Załatwimy go? — zaproponował Paulo. — Elias, pošlij mu kulę, proszę cię.

— Za późno.

Szczęki jednego z potworów, długiego na sześć lub siedem metrów, zacisnęły się na miednicy Małego Ludzika. Tym razem dał się słyszeć trzask nie zębów, lecz kości, w potwornym odgłosie pękającego cukierka. Mała ludzka lalka rozłożyła ręce, usiłując wydać ostatni pisk, który już do nas nie dotarł, i powoli, jak w zwolnionym tempie, nieodwracalnie, opadła w sam środek masy gadów.

W gromadzie krokodyli natychmiast zawrzało. U stóp małego drzewa aż kipiało od gwałtownych ruchów. Pojawiły się żółte brzuchy, jaśniejące w snopie światła, odsunięte od ucztę mocnym uderzeniem ogona. Wysuwały się szczęki, z krwawymi strzępami sterczącymi w kącikach. Spóźnialscy wyskakiwali do góry, żeby znaleźć się na wierzchu.

Mała pojękiwała, na żalną i jednostajną nutę, bardzo cicho. Ja sam czułem w ustach jakiś paskudny smak, naprawdę gorzki.

— Zgaś to, Mały! Wiemy, że go jedzą! Nie ma po co oglądać, jak to przebiega. I tak się w końcu dowiemy, no nie? — usiłował zażartować Paulo, ale do nikogo to nie trafiło. — Lepiej poświęć mi tutaj, ja im wyperswaduję smak czarnego mięsa!

Montaignes skierował latarkę na niego. Siedząc okrakiem na gałęzi Paulo przygotowywał laski dynamitu. Miał ich pełno, w bluzie i w wielkich kieszeniach spodni od panterki, które w pośpiechu założył. Mamrocząc przekleństwa szykował zapalniki i mruczał coraz głośniejszą w miarę, jak narastała w nim złość.

— Mały biedny facet, który nic od nikogo nie chciał. Spokojnie robił swoje. Pożarty przez te skurwiele! Te kreatury! Te potwory! Zajebane glisty! Pierdolone kurewstwa! Ścierwa parszywe!

Zdecydowanymi ruchami wsuwał zapalniki w laski i gotowy dynamit chował po kieszeniach. Kiedy wyciągnął mały kawałek świeczki, który zapalił i przymocował do gałęzi, jednym susem poderwał się i wyprostował, stając obunóż na gałęzi.

— Dlaczego zjedliście mojego kumpla, ścierwa?

Montaignes skierował światło na tamtą kupę morderców, którzy zaczynali się już rozchodzić. Paulo wyciągnął rękę, zapalając laskę od świeczki, po czym powoli uniósł ją, a lont skwierczał mu w ręku.

— Smaczny był mój kumpel, skurwiele? Montaignes i ja skurczyliśmy się maksymalnie jak najbliżej pnia. Objąłem Małą wpół. Zaraz wszystko będzie latać.

— SMAKOWAŁO WAM CHOCIAŻ?!

Pięćdziesiąt krokodyli wyleciało w powietrze jednocześnie, wśród huku, który pozbawił nas słuchu, a wokół nastąpiła prawdziwa ulewa postrzępionych kawałków jaszczurzego mięsa, pochodzących z ciał rozerwanych, rozprutych, posiekanych jednym ogólnym, krótkim i brutalnym uderzeniem.

W kręgu światła widać już było tylko kupę czerwonego i nadpalonego mięsa o obrzydliwych barwach, spowitego w białawe dymy. W dłoni Paula skwierczał już lont następnej laski. Montaignes przesunął latarkę. Stado potworów wycofywało się z miejsca uczyty, ich oczy błyszczały w jaskrawym świetle. Dynamit wylądował pośrodku tej grupy.

Wszystko wybuchło; pyski, łapy i kawałki wirowały tuż nad ziemią, lecąc z wielką szybkością. Paulo cisnął trzeci ładunek. Jeden z potworów, wyrzucony do góry siłą eksplozji, przegięty do tyłu, zdawał się przez chwilę nieruchomo wisieć w powietrzu, a z brzucha wypadały mu wnętrzności, czarne i czerwone w świetle latarki.

Paulo zużywał całą swoją amunicję. Chwilami, kiedy na krótko odzyskiwałem słuch w jednym uchu, słyszałem jak ryczał:

— PRZEKŁĘTE!... WSZYSTKIE PRZEKŁĘTE!

Resztki kęp trawy i garście piachu smagały nam twarze, umazane czymś lepkiem i krwią. Montaignes, trzymając latarkę w wyciągniętej na ile się da ręce, dosłownie przykleił się do pnia, szukając osłony, drugą ręką zatykając prawe ucho, podczas gdy do lewego usiłował przycisnąć ramię.

Oślaniałem Małą plecami, z trudem utrzymując równowagę na gałęzi i także starając się chować za pniem drzewa. Paulo przez chwilę pozostawał nieruchomy, rękami zatykając uszy po wyrzuceniu każdej laski; przykucnął na skurczonych kolanach niczym kruk na drzewie, nie troszcząc się o jakąkolwiek osłonę ani o to, czym zostanie obryzgany. Podskakiwał do góry, kiedy rozbrzmiewał huk eksplozji, podnosił ręce z dzikim wzrokiem i ociekając krwią wykrzykiwał przekleństwa, całym jestestwem rozkoszując się kataklizmem.

— PRZEKLEĘĘĘTEEEEE!

* * *

Zużył dwanaście lasek, wszystko, czym dysponował, powodując niemal ciągłą eksplozję trwającą kilka minut. Potem zapanowała cisza.

Nasze drzewo wznosiło się pośrodku obszernego pobojuwiska. Montaignes był biały jak ściana. Paulo przeszedł tym razem samego siebie. Moje uszy, które przez jakiś czas przepełniał przykry świst, zaczynały stopniowo odzyskiwać dawne właściwości.

Paulo, siedząc na gałęzi z opuszczonymi nogami, zdyszany, śmiał się jak po wielkim wysiłku.

— Gdybyś chciał... studiować wnętrzności krokodyli, doktorze... Możesz zaczynać... Przygotowałem ci... sekcję...

Paznokcie Małej wpiły się w moje ręce. Nasłuchiwała, z oczami rozszerzonymi paniką, po czym wyszeptała:

— Posłuchaj... Och, posłuchaj!

Przez chwilę jeszcze czułem w uszach wate, po czym usłyszałem. Daleko i wszędzie dookoła, od strony brzegu i po bokach, szelesty i szuranie. Już pierwsze powoli wchodziły na teren pobojuwiska, gdzie te, które przeżyły, pożerały resztki. Zwabione odgłosami masakry i tonami świeżego mięsa, napływały setkami. Paulo zrezygnowany, spuścił głowę. Poszedł już cały dynamit, a zresztą i tak nigdy by go nie starczyło.

— Mam je w dupie — powtarzał pod nosem. — Mam je w dupie...

Zimne i martwe światło pełni księżycy na nowo ogarnęło okolicę. I zaczęła się prawdziwa noc, długa, przepełniona przerażeniem i odrazą wobec tego, co działo się niżej. Zimny wiatr przenikał nas do kości, drętwieliśmy na naszych gałęziach, a każdy ruch wymagał wyętej uwagi.

U naszych stóp ludojady kłębiły się setkami, zajęte swoją obrzydliwą ucztą. Montaignes zgasił latarkę, która zaczynała już słabnąć. Zresztą nie chcieliśmy nic widzieć. I tak słyszeliśmy zucie, płynne odgłosy miażdżonego mięsa i trzask łamanych kości, dobiegające ze środka orgii... Dochodził nas wstrętny odór błota i mięsa, który wkrótce stał się nie do zniesienia. Oddychaliśmy ustami. Paulo po prostu zatkał sobie nos.

Gałąź boleśnie wbiła mi się w ciało. Ramię, którym otaczałem drzemiącą, otępiałą Małą, miałem sztywne i obolałe. Biedaczka, ciągle jeszcze otrzymywała ciosy. Musiałem być stuknięty, że ją tu przyprowadziłem!

Montaignes zdjął opaskę i starał się czymś zająć.

— Chcesz pospać? Może cię trzymać? — zaproponowałem.

— Nie. Kiedy tylko zamykam oczy, lepiej słyszę i chce mi się rzygać. Co będzie dalej?

— O świcie! — wtrącił Paulo. — To się skończy o świcie. Będą chciały poleżeć na słońcu. Znajdziemy sposób, by dostać się do pirogi i zwiać stąd.

— Tak — potwierdził Montaignes. — Odejdziemy nie patrząc na boki.

— Która może być godzina?

— Nie wiem. Trzecia? W każdym razie środek nocy, do świtu jeszcze daleko. O rany, ale mnie boli dupa!

Minuty płynęły jedna za drugą, każda bardziej uciążliwa dla mięśni i nerwów. Roznosiła mnie chęć ruszenia się, biegania, skakania, rzucenia się na te potwory, wyrabiania sobie drogi maczetą, może w połowie drogi zostałbym złapany i zjedzony żywcem, ale móc się wreszcie ruszyć! Samo niebezpieczeństwo nie zatrzymałoby mnie. Ale mroziła mnie myśl o jatce

tam, na dole, i o żarłocznym mlaskaniu tych skurwieli. Skończyć wśród nich? Nad tym trzeba było się zastanowić. Mogłem przynajmniej wytrzymać do świtu. Wówczas, jeśli sprawy się nie ułożą, coś wymyślę, żeby dotrzeć do pirogi.

Starałem się skupić na możliwych trasach ucieczki i na koniecznych fortelach, zapewniających wszystkim maksimum bezpieczeństwa, i zastanawiałem się też, na wypadek prawdziwej katastrofy, jak z tego wydostać się samemu. Zajmowało to mój umysł i pozwalało lepiej znosić bieg wydarzeń.

Widziałem, jak Paulo, w mroku, obserwuje pole walki, ocenia odległości i intensywnie myśli: robił to samo co ja.

* * *

Wreszcie niebo rozjaśniło się. Nadchodził nowy dzień, niosąc ze sobą nadzieję. Ku naszej nieopisanej uldze bardzo szybko wydało się, że horda krokodyli wycofuje się. Zdaliśmy sobie sprawę, że większość potworów kieruje się ku rzece. Były tłuste, ogromne, długie niczym pnie drzew, minimum pięcio-, a najczęściej siedmiometrowe.

— Odchodzą, co? Odchodzą? Powiedz mi, że odchodzą!

— Tak. Nie ma wątpliwości. Wracają do rzeki.

Pobojowisko zostało oczyszczone. Jeśli nie liczyć dołów w ziemi i tysiący śladów pełzania, praktycznie nie pozostało nic po masakrze i po uczcie. Tam, na brzegu, zaczynały się tłoczyć. Najpierw jeden wśliznął się do rzeki, potem drugi. Teraz wycofywały się już ze wszystkich stron.

Ogarnęła mnie ogromna ulga. Skurwysyny! Ale nam dały!

— Och! Zobacz! Mały Ludzik!

Montaignes wskazywał palcem oddaloną o jakieś sto metrów od nas małą ludzką postać, u stóp drzewa, z którego właśnie zeszła. Łażące nie opodal jakieś dziesięć krokodyli, o dwadzieścia metrów dalej, nie zwracały na nią najmniejszej uwagi. Mały Ludzik długo rozglądał się wokoło, po czym puścił się biegiem w kierunku rzeki.

— Co on wyrabia? — warknął Paulo. — Tutaj! Ej, wielkoludzie! Chodź do nas!

Mały Ludzik biegł co sił w malutkich nóżkach, z torsem wygiętym do tyłu. Nagle skręcił, by ominąć miejsce, gdzie zebrały się krokodyle, i zniknął nieco dalej nad brzegiem rzeki.

— Chce je zająć od tyłu czy co, idiota jeden? To był syn! Tak kretyńsko zachowuje się tylko syn. To ojciec zginął tej nocy... Patrz, jest!

Mały Ludzik nagle stanął na brzegu, koło pirogi.

— Jasna cholera, co on wyrabia?

Rzucił się do przodu, w wodzie po kolana, trzymając cumę pirogi w rękę, po czym wdrapał się do łodzi. W dwóch susach znalazł się przy silniku, podczas gdy piroga ruszyła z prądem. Wśród masy krokodyli przeszedł jakby dreszcz nowej energii. Całe ich dziesiątki stojące na brzegu nagle weszły do wody powolnymi węzowymi ruchami. Nie sposób było już zliczyć ich podłużne kształty tuż pod powierzchnią wody.

— Płyną do niego! — wykrzyknął Montaignes. — Dureń!

Mały Ludzik wyprostował się na rufie pirogi; stojąc okrakiem nad silnikiem i utrzymując równowagę na burcie. Obszernym ruchem pociągnął sznurek rozrusznika, nie udało mu się, rozejrzał się wokoło i ponownie założył sznurek.

Nadpływały w jego kierunku ze wszystkich stron, bez pośpiechu. Jeden dotarł do pirogi i zachybotał nią uderzeniem ogona. Rozbijała się niebezpiecznie. Mały Ludzik odważnie utrzymał równowagę nad silnikiem i wysiłkiem całego ciała szarpnął za sznurek. Silnik zakrztusił się, po czym zawarczał.

— Złodziej! — ryknął Paulo.

Mały Ludzik przez chwilę walczył z rączką gazu, po czym dał całą naprzód.

— Nasze kły, do cholery! Piroga!

Piroga jak strzała przemknęła piętnaście metrów i gwałtownie uderzyła w potężną ciemną i żółtą masę ludojada, który wyskoczył z wody prosto przed nią. Zakręciła się w miejscu. Gigantyczny ogon wydobył się z wody i wyrócił ją. Silnik zadławił się i umilkł.

Mały Ludzik pojawił się na szczycie kadłuba, uczepiony oburącz. Dookoła zabalgotało, po czym najpierw tył, a potem przód pirogi uniosły się. Biedak rozpaczliwie usiłował drapać się w górę, ślizgając się po mokrym drewnie. Ale drewno pękło. Wówczas wrzeszcząc runął w tył i pochwyciły go potwory.

CZEŚĆ CZWARTA

Potem jak we śnie, milcząc, z niewidzącym wzrokiem, przeszukaliśmy brzeg opuszczony przez potwory. Nikt nie był w stanie wykrztusić słowa. Błazi, w spiekocie wczesnego ranka, długo bładziliśmy po tym, co kiedyś było naszym obozowiskiem, chodząc tam i z powrotem bez celu i pełni niepokoju.

Nad dżunglą znów panował dzień i spokój, co przywracało właściwe wymiary naszym wspomnieniom. Tu, na tym spokojnym i bezludnym brzegu, przeżyliśmy kataklizm, potworną masakrę dwóch ludzi, rozpasanie tysięcy krokodyli ogarniętych szaleństwem.

Bo były szalone! Że zaatakuje kogoś krokodyl, któremu zakłócono spokój w jego zatoczce, to rzecz normalna, na którą musi być przygotowany myśliwy w dżungli. Od biedy można sobie wyobrazić nagłą agresję ze strony dziesięciu jaszczurów, czymś podnieconych.

Ale setek? Dwóch czy trzech tysięcy?

To nonsensowne, niemożliwe. Było nie do przyjęcia, żeby taki koszmar mógł zaistnieć. Zmasowany atak krokodyli nie był zarejestrowany, nie istniał w rubryce „*ryzyko*” przyrody. A przecież pamiętaliśmy dobrze.

Rany boskie! To cała przyroda oszalała! Wszystko mówiło mi to już od dawna. Ten las nie był zwyczajnym lasem. Co miały oznaczać te długie okresy ciszy, zbyt ciężkie i jakby martwe, które niekiedy trwały po parę godzin? Co miały oznaczać te historyczne skrzeczenia ptaków, tysięcy ptaków, których nie widzieliśmy, a które ogłuszały nas całymi dniami? Co miały oznaczać te zbyt piękne kwiaty? Te nierzeczywiste klejnoty botaniki, które Montaignes określał jako nadzwyczaj rzadkie i których całe pola znajdowaliśmy pod wielkim sklepieniem?. A te posplatane formacje roślinne, upstrzone czarnymi dziurami, zbyt przepastnymi, zbyt wyszukanymi? Wszystkie te zwierzęta, które zbliżały się do nas, pozwalały się zabijać z łagodnością, zadziwiającą dla Małych Ludzików, albo które przekształcały się w niewyobrażalne potworności po zapadnięciu nocy...

Nie otaczała nas przyroda. Były tu drzewa, kwiaty i żywe istoty, jak w lesie, ale było to coś innego. Chyba że majaczyłem! Ale co człowiek ma myśleć, kiedy jest zagubiony wśród tysięcy kilometrów kwadratowych czegoś, czego nie rozumie? Co nie istnieje?

Czegoś, co zabijało nas jednego po drugim. W końcu nie przyśniły mi się te wszystkie krokodyle, nie? I wąż boa, i to wszystko, co nas spotkało! Ostatnia koszmarowa noc pozostawiła po sobie nowy niepokój. Bóg jeden wiedział, jakie jeszcze okropności mogły się wydarzyć, jakie jeszcze niebezpieczeństwa mogły na nas czyhać!

Nie chodziło tu o strach przed śmiercią. Paulo i ja pogodziliśmy się już z takimi myślami. Chodziło o lęk przed umieraniem tak daleko, w tej dziurze, od zębów lub pazurów stworzenia, o którym nic nie wiedzieliśmy. Istoty nieznanego, obdarzonej mocą, której nie znaleźliśmy, której nie potrafiliśmy zwalczać i która po załatwieniu nas pozostanie bezkarna.

Krokiem lunatyków, bez słowa i nawet na siebie nie patrząc, pozbieraliśmy skarby, jakie nam zostały. Oprócz karabinów mieliśmy garnek i pięć maczet. Były to jedyne rzeczy, których potwory nie pożarły. Moskitiera, plandeka, materace, maty... te żarłoki wszystko porozrywały i pochłonęły. Reszta dynamitu została porozrywana i w trzech czwartych połknięta. Po nabojach pozostały tylko łuski.

W kieszeniach zostało nam ich jedenaście... Było to żalosne. Piroga w dwóch kawałkach popłynęła z prądem. Parę rzeczy, które w niej się znajdowały, kły i silnik leżały teraz gdzieś pod wodą. Rzeka była głęboka, a żadne skarby nie skłoniłyby mnie tego dnia do nurkowania pod okiem nieruchomych krokodyli, które dostrzec można było na całej długości przeciwległego brzegu.

* * *

Milczący i przybici szybko oddalaliśmy się od rzeki. Trzeba było na nowo pograć się w dżunglę. Nie porozumiewając się między sobą ruszyliśmy w kierunku Jeziora Dinozaurów.

Tylko nieokreślone wspomnienia, a właściwie ich strzępy, pozostały mi po marszu, który nastąpił i trwał nieprzerwanie, jak mi się wydaje, przez wiele dni.

Szliśmy gęsiego. O ile pamiętam, przez większość czasu szedłem pierwszy. Przeżywałem okresy potwornego zmęczenia w nogach, z

nieprzepatą chęcią zatrzymania się, ale zmuszałem się, by podążać dalej. Jeszcze do tego drzewa, tam. Do tamtego kaktusa... Przez resztę czasu zapewne nie myślałem o niczym albo byłem daleko, nieobecny.

Był też deszcz, bez końca, denerwujący, spadający zimnymi szerokimi strugami spod zielonego sklepienia. Ubrania lepiły się do skóry. Włosy ociekały wodą. Gąbczasta ziemia była śliska i każdy krok wymagał ciężkiego wysiłku. I były przebudzenia w roślinnych norach, i skurcz niepokoju w żołądku, kiedy okazywało się, że nadal pada.

Deszcz rozpoczął się parę godzin po naszym wymarszu. Było bardzo gorąco, temperatura rosła szybko i stawała się trudna do zniesienia, człowiek zamieniał się w fontannę. Z niskich zarośli aż parowało. Unosiły się ciężkie zapachy. Nastąpiła cisza, tak całkowita, jak było to możliwe jedynie w tym lesie, po czym w górze, na sklepieniu, rozbrzmiewać zaczął potężny stukot.

Zrobiło się chłodniej. Po niecałej godzinie pojawiły się w dachu pierwsze przecieki. Następnie woda zaczęła spływać po roślinach kapiąc z tych spiczastych liści, które opisywał Montaignes, i tak już pozostało.

Strumienie wody, gęste zasłony małych strumyków lały się na nas bez ustanku. Wśród tego potopu nie było najmniejszego podmuchu wiatru. Woda spadała pionowo, niewyczerpana i uparta, wciskając się w od dawna już nasyconą ziemię. Powstawały potoki i kałuże. Człapaliśmy w błocie, posuwając się metr po metrze, każda noga ważyła tony, ale szliśmy naprzód. Zdarzały się upadki. Człowiek padał całym ciałem, wstawał i szedł dalej.

Dżungla oszalała. Była pełna wody, przesycona życiem ze wszystkich stron. Strzelały w górę kaktusy o kolcach ostrych jak brzytwy, nadęte, nieprzebyte. Liany kołysały się, wiły, poruszane strumieniami, które spadały na nie spod sklepienia. Kwitły ogromne kwiaty, purpurowe, białe, ciemnoniebieskie, błyszczące i ciężkie. Mchy na drzewach zamieniały się w gigantyczne fontanny: wszystko rosło w oczach!

Nie miało to sensu. Byliśmy brudni, ubłoceni, z rozszerzonymi oczami, wychudzeni, strzępy ubrań kleiły się nam do skóry, bladej i wymacerowanej przez wodę, którą cali ociekaliśmy. Maszerujące bez celu duchy, które kładły się spać nawet o tym nie pamiętając ze zmęczenia i które ruszały dalej nie otrząsnąwszy się jeszcze całkowicie ze snu.

Gdzie byliśmy? Gdzieś w pierwotnej dżungli, zmierzając ku jakiemuś jezioru. Kim byliśmy? To niewłaściwe pytanie. Co posiadaliśmy? Nic, oprócz

przynależności do świata żywych. Chociaż... Dlaczego szliśmy? Skazani, bez możliwości odwrotu. Nie było już pirogi, nie było już niczego. Nie było powrotu do cywilizacji i do życia. Praktycznie byliśmy martwi. I nie było to już specjalnie ważne. Od dawna nie mieliśmy już z czym się żegnać. Tylko ten wieczny deszcz, ten las, w którym wszystko mogło się pojawić i czego nikt z nas, zamknięty w sobie, nie chciał zobaczyć.

Szliśmy prowadzeni instynktem, nakazującym nam zatrzymać się, i pewnością, że jeśli siądziemy na ziemi, las wkrótce nas unieruchomi, połknie i strawi. Być może pokryje nas, powoli, lecz nieuchronnie, swoją roślinnością, a nekrofagi skorzystają z tego, by szybko nas zmieść z powierzchni ziemi.

Czy aż tak bardzo pragnęliśmy takiego życia? Czemu nie lepiej zdechnąć od razu, na którymś z tych legowisk ze wspaniałych kwiatów, lśniących kroplami wody, które niekiedy ukazywał nam las?

* * *

Nie przypominam sobie momentu dotarcia do jeziora. Wiem, że w pewnej chwili, zapewne w samą porę dla nas, pojawiło się przed nami. Obszerna szara powierzchnia, zakryta gęstą zasłoną bębniącego o wodę deszczu. Jezioro porastały ze wszystkich stron olbrzymie trzciny, grube i długie jak bambusy, których wiechy ugiwały się pod atakami ulewy. O jakieś dwa tysiące metrów dalej, na przeciwległym brzegu, ledwo można było dojrzeć ciemną, nieregularną masę dżungli.

Zatrzymaliśmy się, przemoczeni i nie zważając na deszcz, na skraju zielonego sklepienia, nad brzegiem wody, wśród nieruchomych drzew.

Moje pierwsze dokładne wspomnienie to jakby przejaśnienie, które nastąpiło któregoś ranka. Tamci nie poruszali się, leżąc w różnych pozycjach na ziemi. Wstałem i chwyciłem maczetę. Stałem twarzą do Jeziora, robiąc głębokie wdechy, i stwierdziłem, że deszcz ustaje.

Wśród niebieskoszarych chmur pojawił się jaśniejszy obszar. Białe, smutne światło w ciągu paru sekund odkryło przede mną całą powierzchnię jeziora, nieliczne pływające na nim rośliny i skraj lasu, ze wszystkich stron tworzący ogromny krąg. Później chmury zakryły prześwit i wszystko przybrało szarą, nieokreśloną barwę deszczu.

Odszedłem od pozostałych. Przyszła mi do głowy pewna myśl, jakiś głos mówił mi, że byłem żywy, że trzeba żyć i walczyć o to!

* * *

— Żywy! Żywy! — powtarzałem sobie idąc. Potem zacząłem krzyczeć:

— Żywy! Żyyywyyyyyy!

Parę razy ciąłem maczetą drzewa i pęki lian, robiąc dużo hałasu, by przekonać las, a także samego siebie, że byłem na nogach i gotów na wszystko, do cholery!

Nagle osłabienie powstrzymało mnie od dalszych pokazów. Byłem na nogach, ale osłabiony. Przede wszystkim trzeba rozsądnie oszczędzać siły. Miałem przed sobą ciężką pracę.

* * *

Szedłem wzdłuż brzegu i jednocześnie skrajem lasu. W większości brzeg porośnięty był gęstwą trzciny, wysokich na dziesięć metrów i zasłaniających widok. Dalej był las, oddzielony od jeziora korytarzem szerokim na dwadzieścia metrów, bardzo wilgotnym, w którym rosły karłowate palmy w kształcie kapusty. Szukałem jakiegoś luźniejszego miejsca, gdzie dżungla nie stałaby naprzeciwko jeziora zielonym murem. Wypatrywałem strefy pośredniej, między lasem a wodą, suchej, którą łatwo będzie oczyścić, żeby wybudować dom.

To było pierwsze zadanie. Nic nie da się zrobić, dopóki najpierw nie znajdę suchego miejsca. Potrzebowaliśmy schronienia, niosącego odpoczynek i dającego możliwość ukrycia się. Taki był warunek przetrwania człowieka w tym środowisku. Bez tego będę tylko zwierzęciem o niewielkich naturalnych możliwościach obrony, błakającym się, stale zmęczonym i już wkrótce bez środków do życia.

Wszystko było kwestią energii. Surowcem będą trzciny znad jeziora. Można było z nich zrobić wszystko: podłogę, meble, wygodne łóżka, ściany... Byłem też pewien, że dziewiczy las stwarzał niezliczone możliwości, jeśli tylko dysponuje się siłą i inteligencją.

Inteligencja była w tym środowisku moim jedynym atutem. Ja jeden z istot żywych w promieniu tysiący kilometrów kwadratowych dookoła obdarzony byłem zdolnością wyobraźni. Zamierzałem wykorzystać ten dar maksymalnie.

* * *

Po paru godzinach marszu odkryłem to, czego szukałem: przestrzeń usianą oddalonymi od siebie drzewami, pokrytą gęstym kobiercem niskiej roślinności, która jednak nie oprze się intensywnej pracy.

Długo przemierzałem to miejsce. Między skrajem lasu a gołym pasem nad jeziorem było jakieś sześćdziesiąt metrów. Wkrótce znalazłem to, o co mi chodziło. Był to rodzaj polany, mniej więcej okrągłej, na której rosły jedynie dwa wielkie sereczniki, oddzielonej od wody rzędem drzew i ograniczonej dżunglą z drugiej strony; grunt, teraz zmiękczonej przez deszcze, wydawał się solidny, i powinien szybko wyschnąć, gdyby przypadkiem przestało padać...

Wspiąłem się na jeden z sereczników, żeby lepiej obejrzeć polanę. Nadawała się doskonale. Oczywiście, było wiele do zrobienia, ale niczego lepszego nie można już było znaleźć. Oparłem się plecami o pień, siedząc okrakiem na gałęzi, żeby w spokoju odpocząć po marszu, i zacząłem wyobrażać sobie dom, który zbuduję na swojej nowej posiadłości.

Pozostaniemy tu na dłużej. Bóg jeden wiedział, kiedy uda nam się wrócić! Zapewne wiedział też, kiedy ktoś przez pomyłkę zabłąka się w okolicy, ale mnie na ten temat nic nie było wiadomo. Trzeba było zająć całą powierzchnię, która mi się trafiła. Stanowiła zbyt doskonale miejsce, by tego nie wykorzystać albo wykorzystać tylko jej część. Byliśmy w nieprzyjaznym środowisku. Las już nam to udowodnił. No i był jeszcze ten słoń, ciągle nieobecny, ale na którego postanowiliśmy tutaj czekać. Po to tutaj byłem. Potrzebowałem więc obszaru ogrodzonego, tak by żaden atak z zewnątrz nie mógł zagrozić naszemu życiu.

Wokół niezbędne były umocnienia. Widziałem już tę palisadę! Bardzo wysoką, na jakieś cztery metry. Będzie przebiegać między drzewami, które posłużą za wsporniki. Ogrodzenie, od drzewa do drzewa, utworzy jakby nieregularne koło. Poza tym będzie chronione fosą, wykopaną na całym obwodzie, nie licząc innych pomysłów obronnych, które przyjdą mi do głowy. Czyli, powiedzmy... czterysta metrów palisady osłoni wewnętrzną przestrzeń o średnicy około sześćdziesięciu metrów.

Mały fort, fort pionierów, oto co musiałem wybudować. Było to jedyne rozwiązanie, żeby przeżyć. Dopóki nie będzie stał, dopóty nikt z nas nie będzie w pełni bezpieczny.

Najpierw zrobiłem próbę z trzcina. Większość stanowiły ogromne zielone rury, o pniach grubych niczym młode drzewa, przeciętych co pewien czas grubymi zdrewniałymi pierścieniami. Miały od ośmiu do dziesięciu metrów wysokości. Kora lekko ustąpiła pod ciosami maczety. Pięcioma uderzeniami zwałem taką jedną, wybraną spośród najgrubszych, prostym i czystym nacięciem.

Była pusta w środku, z niewielką zawartością białej, nieco kruchej substancji, z pewnością jadalnej. Mocnymi kopnięciami waliłem w pień. Bambus zatańczył, bardzo giętki, wydając melodyjne puste odgłosy, ale ani jedno włókno nie puściło. Moje marzenie było więc wykonalne.

Pociąłem wówczas drewno na kawałki, robiąc słupy i dzidę z najwyższej części, która była najcieńsza. Zapewne szpic jej wymagał jeszcze utwardzenia w ogniu, ale byłem przekonany, że nabywszy nieco wprawy — będę w stanie wyrabiać całkiem niezłe oszczepy. Potem pociąłem bambus na pałeczki, wzdłuż włókna. Można było z tego robić prymitywne łopaty, rynny, miski itd. Zostawiłem pociętą trzcinę na ziemi i wróciłem na polanę.

Trzeba było karczować. Rosło tu dwieście albo trzysta krzaków, małe palmy, jakieś kolczaste krzewy i inne kaktusy, które należało zlikwidować. Chciałem, żeby został tylko puszysty trawiasty dywan, a i to nie na całej powierzchni. Zrobiłem, co mogłem natychmiast, nie ścinając pni. Inaczej zawsze zostałyby jakieś małe pieńki, które przeszkadzałyby nam i o które potykałibyśmy się, kiedy życie w forcie już się unormuje.

Kłęcząc kopałem w ziemi, dookoła pnia, mocnymi uderzeniami głęboko wbijając maczetę. Kiedy rozryłem już ziemię dookoła, wstawałem, chwytalem za krzak jak tylko to było możliwe i ze wszystkich sił ciągnąłem, by wyrwać go z korzeniami.

— Eeej!

Świństwa opierały się. Ciepły pot ściekał ze mnie w strugach deszczu, ale kiedy tylko wyrwałem jeden, rzucałem się na kolana przy następnym. Ta robota sprawiała mi prawdziwą radość. Za każdym razem, kiedy korzenie pękały i w końcu całe drzewko wychodziło z ziemi, odczuwałem gdzieś w środku niezwykłą radość. Nie miałem zupełnie ochoty przestać.

W ten sposób, nie szczczędząc sił, oczyściłem co najmniej jedną trzecią całego terenu. Pod koniec dnia, kiedy zaczynało już się ściemniać, stanąłem przed swoim dziełem na szeroko rozstawionych nogach, z pięściami na

biodrach, zadowolony. To dopiero jedna trzecia wstępnej roboty, ale byłem bez tchu, drżałem ze zmęczenia, byłem podrapany, pokaleczony przez kolce, z pęcherzami na dłoniach, które. teraz, kiedy przerwałem pracę, boleśnie piekły, ale nie przeszkadzało mi to delektować się własną radością.

Ruszałem się, mogłem jeszcze, byłem w stanie stawić czoło wszystkim: krokodylom, olbrzymim słoniom, wszelkim świństwu, które dżungla mogła wymyślić. Tutaj było terytorium ludzi i lepiej trzymać się od niego z daleka.

Potem ruszyłem na brzeg jeziora z myślą o znalezieniu jedzenia przed zapadnięciem nocy. Musiałem coś zabić. Z łatwością znalazłem kilka wodopojów, pełnych śladów i odcisków racic. Jak się zdawało, wiele zwierząt przychodziło tu się napić: nie będzie problemu ze zwierzyną, przynajmniej na początku.

Wkrótce znalazłem się nos w nos z małą świnią rzeczną, niezwyklego czarnego koloru. Rodzaj karłowatego dzika o długim ryju. Podszedłem powoli. Zauważyła mnie, ale najwyraźniej nie spłoszyłem jej. Gdy podchodziłem, przyglądała mi się okrągłym, zaciekawionym okiem, tak łagodnym, że powoli odłożyłem karabin.

Mogłem załatwić ją maczetą i zaoszczędzić pocisku. Postępowałem do przodu stopniowo, skulony, ściskając maczetę w dłoni tuż nad ziemią. Bez żadnego objawu strachu, jak zwierzę, które nigdy nie zetknęło się z człowiekiem, pozwoliła mi zbliżyć się na wyciągnięcie ręki, stojąc bez ruchu, tylko lekki dreszcz chwilami wstrząsał jej skórą.

Uniosłem rękę zamaszystym ruchem. Maczetą rozcięła świni pół gardła. Zwierzę rzuciło się do ucieczki, nie panując już nad ruchami. Rzuciłem się na nią, moje dłonie zacisnęły się na szorstkiej sierści jej grzbietu. Podciąłem jej nogę i wrzeszcząc przewróciłem ją. Zwierzę chrząkało z przerażenia, wydając wysokie, cienkie dźwięki. Z arterii na szyi tryskały długie czerwone strugi. Zamierzyłem się, ponownie ciąłem maczetą i tym razem ostatecznie poderznąłem gardło.

* * *

Kiedy odnalazłem swoich towarzyszy, potrząsałem nimi, żeby rozpalili ogień. Razem z Małą, bez słowa, opraciliśmy świnię, po czym upiekliśmy ją, a skórę rozwiesiliśmy do suszenia, przewidując możliwość jakiegoś zastosowania jej w przyszłości.

Po raz pierwszy od dawna mieliśmy gorący posiłek, co wywołało doznania, o których już zapomnieliśmy. Od tamtej nocy z krokodylami nie przypominałem sobie, żebym cokolwiek jadł ani też żadnego zbiorowego posiłku. Od tamtego czasu nie rozmawialiśmy też ze sobą. Byliśmy razem, a jednocześnie każdy był sam, pochłonięty własnymi myślami, trzymając się w grupie wyłącznie instynktownie, ze względu na wrogość otoczenia, nie utrzymując z pozostałymi prawdziwego kontaktu.

Ile czasu mógł trwać ten marsz w szoku? Przyglądając się teraz moim towarzyszom, wyzwolony dzięki całodziennemu wysiłkowi i kojony myślą o tym, który mnie czekał nazajutrz, mogłem ogarnąć bezmiar ich upadku. Byli chudzi i wygłodniali. Pożerali swoje porcje mięsa niczym zdziczałe gryzonie, rozszarpując je zębami, bez słowa, i wydając pomruki zadowolenia.

Kiedy się nasycili, bardzo szybko ułożyli się, skuleni, na ziemi, w tym samym miejscu, gdzie jedli.

— Dziękuję, Elias — powiedział Paulo głupawo, ze starczym uśmiechem. — Było bardzo dobre.

I otepiali pogrążyli się w drzemce.

Moja samotność skończyła się dopiero na trzeci dzień.

Wykarczowałem już wszystkie krzewy i rzuciłem je na kupę, na uboczu. Byłem nad brzegiem jeziora, ścinając bambusy i układając je w równy stos, ocierałem pot z czoła i trzymałem nogę na moich trzcinach — było tam dobrych pięćdziesiąt pni — przeklinając deszcz, kiedy zauważyłem przed sobą sylwetkę Palila..

— Policja! — powiedział. — Ma pan zezwolenie na wyrąb lasu?

Oczy miał podkrążone, policzki blade i zapadnięte. Jego wielkie oczy jeszcze bardziej niż zwykle wychodziły z orbit. Długie ubłocone włosy, zlepione deszczem, początki szarej i twardej brody... Dwie głębokie bruzdy wycieńczenia ściągały wargi ku dołowi.

Podciągnął szmatę, służącą mu za spodnie, i podrapał się po brodzie.

— Jeżeli pan architekt łaskaw — powiedział powoli — może mógłby wyjaśnić mi swój plan. Bo prawda, gdyby się okazało, że też mógłbym uczestniczyć... Jeżeli nie przeszkadzam.

Stary Paulo! Był znowu ze mną. Wycieńczony, wynędzniały, u kresu sił być może w jeszcze większym stopniu niż pozostali, ale na nogach i gotów do działania! Ogarnęła mnie radość i roześmiałem się mimo woli.

— Dobra, zrozumiałem — zdenerwował się od razu. Wysoko podniósł rękę. — Nabijaj się ze mnie! Głośno! Dasz sobie radę beze mnie, proszę! Dalej, ścinaj drzewa! Sam sobie znajdę robotę!

— Ależ, Paulo...

— Kutas! Egoista! Świnia! Pójdę zdychać trochę dalej, żeby panu architektowi nie przeszkadzał smród! Budowniczy! Kretyn!

W oczach miał taką iskierkę zdradzającą, że żartuje, nie za bardzo, ale jednak, więc pozwoliłem mu dokończyć skecz.

— Drwal... Pracownik fizyczny... Tarzan od siedmiu boleści!

Śmiałem się. Dobrze mi było ze świadomością, że jest przy mnie. Dawało mi to pociechę, przyjemne i optymistyczne uczucie, które przynosiło mi niesamowitą, ulgę. Czekające nas ogromne trudności, praca do wykonania, trudna sytuacja: wszystko to betka, skoro Stary był tu i się śmiał!

Kazałem mu usiąść i podzieliliśmy się zimnym mięsem, które ze sobą zabrałem, popijając kwartą wody z jeziora. Na razie nie było niczego lepszego. Potem wytłumaczyłem mu.

— Fort? — zapytał. — Czyli prawie zamek warowny? Tutaj?

— Tak. Tutaj.

— OK! Jestem z tobą. Mały. Poza tym...

Położył mi na piersi palec wskazujący ruchem starego nauczyciela.

— Zapamiętaj sobie. Mały, że moje doświadczenie ci się przyda. Wybudowałem coś takiego w latach pięćdziesiątych w Gujanie. A poza tym, masz: zbudowałem jeszcze jeden, niedaleko stąd, w Togo, w sześćdziesiątym drugim, z wojskiem... Jestem z tobą, Mały. Wytłumacz mi, co zamierzasz zrobić...

* * *

I rozpoczęliśmy budowę, ogromną, w samym sercu dżungli.

Mała i Montaignes dołączyli do nas tego samego dnia, i roboty trwały miesiąc, dokładnie: trzydzieści trzy dni.

Nie zwlekając rozpoczęliśmy z Pauliem budowę tymczasowego schronu, wystarczająco wygodnego, by każdy miał sucho i mógł odpocząć. Podłogę wykonaliśmy z bambusów położonych na ziemi i podtrzymywanych po

bokach kołkami z tego samego tworzywa wbitymi w ziemię. Całość wciśnięta była pomiędzy dwa sereczniki, co pozwalało wykorzystać te ostatnie jako słupy trzymające dach. Tego wieczoru noc zaskoczyła nas, kiedy pod kierunkiem Małej pletliśmy liście palmowe, ale nikt nie przerwał pracy. Nie chcieliśmy spać inaczej, jak pod własnym dachem. Zrobiliśmy szkielet stropu, również z bambusa, rozpięty pomiędzy pniami obu drzew za pomocą lian i podtrzymywany cienkimi słupkami stojącymi dookoła naszej podłogi. Mieliśmy więc kraty zamiast ścian. I opadający na dwie strony dach.

Dwie czy trzy godziny pracy po ciemku i schron był gotowy. Mała przyrzędziła nam posiłek, który zjedliśmy już „wewnątrz”. Każdy pogrążony był jeszcze we własnych myślach, ale wiedziałem, że uczyniliśmy ważny krok naprzód. W ciągu paru godzin grupa wzniosła schronienie: czworobok zapewniający tylko względne bezpieczeństwo, lecz będący naszą własnością. Trochę wysiłku i kładąc się spać odczuwaliśmy rozkosz, kiedy nie spadały już na nas krople wody. Stąd, z tej chatki, wszystko było możliwe. Ciąg dalszy i następne wyniki nie zaprzeczyły tym przewidywaniom. Wprost przeciwnie.

* * *

Tytanicznym przedsięwzięciem było wzniesienie palisady. Zaczęło się od straszliwej pracy, jaką było wykopanie na całym czterystumetrowym obwodzie wąskiego rowu, głębokiego na trochę mniej niż metr, w który wsadzone miały być bambusy tworzące palisadę.

Jedynymi narzędziami, jakimi dysponowaliśmy, były łopaty, które wycięliśmy z bambusa wykorzystując jego zaokrąglony kształt, służące do kopania i wyrzucania ziemi. Praca rozpoczęta w błocie i deszczu była wyczerpująca. Nasze bambusowe łopaty nie były najlepsze, nawet jeśli najpierw „*spulchniło się*” ziemię maczetą. Nie oszczędziliśmy wysiłków, które przyniosły jednak mierne rezultaty. Łopaty szybko się zużywały, a rękojeści kaleczyły dłonie. Ponadto, kiedy osiągnęło się już pewną głębokość, trzeba było pracować z wyciągniętą ręką, z ramieniem na pół zagłębionym w ziemi, na kolanach, w bardzo niewygodnej pozycji. Tylko bardzo drobna Mała, która pracowała jak wszyscy, potrafiła wśliznąć się do rowu i kopać, pochylona, między stopami, co było już nieco wygodniejsze.

Nie zezwalałem na żaden odpoczynek i nikt się nie skarżył, ale był to dosyć uciążliwy chrzest. Posuwaliśmy się do przodu dziesięć metrów dziennie i wszyscy byli wykończeni. W takim tempie musiało to potrwać ze

czterdzieści dni. Zwróciłem się więc do Montaignes'a i poprosiłem, by zastanowił się, co moglibyśmy zrobić, żeby uniknąć kopania na całym perymetrze.

— Hmm... Coś w rodzaju rowu przerywanego, tak?

— No tak, ale bez uszczerbku dla wytrzymałości. Na przykład maksymalnie wykorzystując drzewa jako podpory...

— Może mam pomysł... — powiedział zainteresowany nowym problemem.

I wspólnie opracowaliśmy ostateczną strukturę ogrodzenia. Zaproponował rozmieszczenie od wewnątrz ukośnych słupów, podtrzymujących palisadę...

— Jakby takie podpory, wbite w ziemię i napierające na palisadę. W ten sposób rzeczywiście moglibyśmy uniknąć części kopania. Przyszedł mi wtedy dodatkowy pomysł:

— A te podpory nie mogłyby wystawać na zewnątrz?

— Hmm... Tak, a po co?

— Żeby miały zaostrome końce!

Montaignes wyznaczył, w których miejscach należy kopać. Postanowienie o zredukowaniu prac do ludzkich wymiarów ucieszyło wszystkich. W trakcie ostatnich dni kopania rowów mieliśmy nawet jeden dzień bez deszczu, z niskim pułapem szarych chmur. A nazajutrz, kiedy się obudziliśmy, po raz pierwszy od dawna świeciło słońce. Kilka godzin później, podczas pracy, zdaliśmy sobie sprawę, że naprawdę powróciło, zdecydowane wszystko wysuszyć i rozgrzać! Nasze plecy nabierały czerwonego koloru.

* * *

Później zajęliśmy się ścinaniem bambusów. Była to praca przyjemniejsza i dużo łatwiejsza. Obliczyłem, że wielką roślinę ściąć można czterema uderzeniami maczety. Dokładnie opracowałem uderzenia i byłem bardzo dumny ze swojej szybkości. Ciach! Ciach! Ciach! Rąbałem bez przerwy i wycinałem całe lasy. Następnie bambusy przenosiliśmy do fortu, bo tak już nazywaliśmy to miejsce.

Po ukończeniu rowu, jako że wstępny montaż palisady nie wymagał udziału wszystkich, wyznaczyłem Montaignes'owi i Małej nowe zadanie.

— Potrzebujemy mebli. Łóżek, różnych rzeczy, żeby było wygodnie. Zorganizujcie jakąś funkcjonalną kuchnię. Wysłicie wyobraźnię i zróbcie wszystko, co wam się uda.

Podczas budowy schronu przekonałem się, że Mała doskonale знаła się na lianach i wiązaniach. Co do Montaignes'a, trudno sprawić mu większą przyjemność niż prosząc go, żeby coś wymyślił.

Paulo i ja wybieraliśmy trzciny najgrubsze, takie o dwudziestopięciocentymetrowych średnicach, i wbijaliśmy je w rowy cementując podstawę za pomocą ziemi, wody i drewnianych kołków, w odległości centymetra jedno od drugich, tak by było miejsce na liany, które wszystko miały wzmocnić. Na razie nie zajmowaliśmy się zaostrzonymi na końcach podporami, o których rozmawiałem z Montaignes'em. Po prostu w odpowiednich miejscach pozostawialiśmy nieco większą przestrzeń między palami.

I tak pracowaliśmy dzień po dniu. Powoli krąg zamykał się od strony lasu, zasłaniając już połowę krajobrazu. Codziennie solidnie stawialiśmy jakieś trzydzieści pali na odcinku dwudziestu metrów.

Ze swej strony Mała i Montaignes cięli bambus we wszystkich kierunkach. Powstawały pałaki, żerdzie, kołki tajemniczo powiązane między sobą, dookoła schronu było ich pełno. Najpierw zbudowali nam łóżka, proste, ale bardzo wygodne. Cztery nogi, prosto ucięte z grubych kawałków bambusa. Wewnątrz kwadrat tworzący ramę, na której rozpięta była gęsta siatka z lian. Ponadto w budowie był schron przeznaczony na kuchnię.

W ten sposób wkrótce okazało się, że z naszego brzegu wycięliśmy wszystkie bambusy, a rosnące wokół drzewa wypierały z okolicy inne rośliny, toteż teraz po następne trzciny trzeba już było chodzić dosyć daleko. W pobliżu miejsca, gdzie najpierw przybyliśmy niczym zagubione zwierzęta, rosło ich mnóstwo. Stwarzało to okazję do pieszych wycieczek, ale powrót był trudniejszy, jako że trzeba było przenosić gigantyczne trzciny długości ośmiu do dziesięciu metrów i to w ilościach przemysłowych.

Pewnego ranka wybraliśmy się tam wszyscy. Przez większość dnia cięliśmy, ile się dało. Po południu wrzuciliśmy do wody ze trzydzieści pni, powiązaliśmy je razem i tak powstała tratwa, dzięki której można było przetransportować całą resztę. Najpierw trzeba było przenieść ładunek na tę chwiejną i długą platformę. Następnie, idąc na zmianę wzdłuż brzegu w

wodzie, przeciągnęliśmy wszystko w pobliże fortu. Wycięcie kolejnych bambusów i transport pni za pomocą naszej nowej barki zajęły nam dwa dni. Ponownie zapanował dobry nastrój. Chlapaliśmy się trochę w wodzie, żartowaliśmy, a dni spędzone z dala od placu budowy zamieniały się w rodzaj pikniku: były to pierwsze chwile relaksu, na który pozwalaliśmy sobie od dawna, nie licząc okresów ścinki i transportu.

Nieustanna praca weszła nam w krew. Nikt nie musiał się przełamywać, żeby wychodzić rano. Zabieraliśmy się do roboty jak najwcześniej. Praca pozwalała nie myśleć. Las, niebezpieczeństwa, nieznana przyszłość, niepewna sytuacja, o wszystkim można było zapomnieć na placu budowy pod wpływem skupienia i fizycznego zmęczenia. Pracować oznaczało dążyć do jakiegoś celu; był to dla nas jedyny sposób, by przeżyć, by czuć się nadal uczestnikami gry pomimo naszego osamotnienia i, być może, całkowitej przegranej.

* * *

Staliśmy się nadzwyczaj efektywni, milczący i wytrwali. Zmiany przejmowaliśmy bez słowa, regularnie. Zawsze dwoje pracowało, podczas gdy trzecie z karabinem w garści odpoczywało obserwując jednocześnie okolicę. Broń oczywiście nigdy nie była daleko. Zaliczało się do niej teraz wiele przedmiotów własnej produkcji. Nawet podczas budowy, kiedy byliśmy jeszcze odsłonięci, nic nie miało prawa nas zaskoczyć.

Wewnątrz perymetru dobiegały końca ostatnie prace. Kuchnia była już czynna. Stanowiła ją przyjemna altana, z plecionych palmowych liści wspartych na bambusowym szkielecie osłaniająca dwa paleniska. Kilka pieńków różnej wysokości służyło za stoły i moździerze. Dysponowaliśmy całą baterią naczyń wyrzeźbionych w bambusie, o najbardziej niewiarygodnych kształtach, oraz całą kolekcją brązowych tykw, lakierowanych, całkowicie szczelnych i twardych niczym drewno, wykonanych z łupin ogromnego i niejadalnego owocu, rosnącego nie opodal.

By gromadzić wodę z opadów. Mała rozmieściła rząd takich tykw po drugiej stronie kuchni. Słodka woda była cenionym luksusem. Woda z jeziora, choć nie sprawiała żadnych problemów, miała nieprzyjemny błotnisty smak.

No i w całej kuchni, pozawieszane pod dachem albo ułożone w piramidki, pojawiły się kolorowe owoce i warzywa nazbierane przez. Małą. Była to jeszcze jedna oznaka życia, podobnie jak unoszące się dookoła zapachy pieczeni z dziczyzny i potraw duszonych w naszym jedynym garnku.

Mała w kuchni prześcigała samą siebie, czerpiąc z tego nowe przyjemności. Montaignes odkrył w sobie niezwykły talent do polowań z ukrycia i sam jeden zapełniał nam spiżarnię wypuszczając się codziennie na dwie–trzy godziny.

Na moją prośbę posiłki były obfite. Oznaczało to całe kilogramy owoców, które Mała musiała nazbierać. Gotowała pełne garnki ignamów, ciężkich i pysznych, bogatych w skrobię warzyw, które zjadaliśmy podlane litrami mięsnego sosu. W krótkim czasie zamieniliśmy się w atletów. Dużo jedzenia i ciągle ćwiczenia fizyczne, najlepsza recepta. Paulo, po raz pierwszy od bardzo, bardzo dawna, to znaczy od kiedy przez pięćdziesiąt dni oblegany był na szczycie laotańskiego wzgórza przez neokomunistycznych wojowników, stracił swój mały brzusek. Swoje „*jajko kolonialne*” albo „*odcisk od kontuaru*”, jak zwykł mawiać. Sylwetka Montaignes’a zmieniała się, twardniała. Smukłe i wyraźne mięśnie zarysowywały się na jego ciele. Coraz częściej obywatł się bez swojej przepaski z okularem. Mała była niesamowicie piękna.

Ja sam odzyskiwałem pełnię sił. Były nieliczne okresy w moim życiu, w różnych okolicznościach, kiedy osiągałem szczyt swoich fizycznych możliwości. Jestem mocno zbudowany, raczej krępy i nabity w wyniku uprawiania boksu, a intensywne ćwiczenie mięśni oraz wytrzymałości i energii, czyli formy, może doprowadzić do tego, że staję się bardzo potężną maszyną o niszczycielskich wręcz możliwościach, które zadziwiają mnie samego. Właśnie osiągałem to stadium.

Wybudowaliśmy dwie chaty, oddalone od siebie o dwadzieścia metrów, nadal w wypróbowanym systemie bambusa i plecionych palmowych liści. W jednej mieszkali Montaignes i Paulo. Drugą zajmowałem wspólnie z Małą, zgodnie z nowym układem w naszym życiu. Ponadto postawiliśmy mały hangar i złożyliśmy w nim drewno, licząc na składowanie tam również innych bogactw. Jego budowa zajęła nam zaledwie dwie godziny. W oddali, obok palisady, zamknięty kwadrat z palmowych liści osłaniał toaletę w postaci dziury o rekordowej głębokości, nad którą Montaignes ustawił wspaniały bambusowy tron o starannie opracowanym kształcie. Całość była składana i nadawała się do szybkiego przeniesienia, na wypadek gdyby, nasz pobyt miał się rzeczywiście przedłużyć.

Pewnego dnia palisada została ukończona.

Kosztowało nas to wiele dni prac budowlanych, kiedy pokryci błotem aż po czubek głowy ubijaliśmy i utwardzaliśmy podstawę każdego pala. Tysiąc osiemset bambusów, wszystkie dokładnie wycięte, jakby opiłowane, o zaostrzonych końcach, wystawało z ziemi na cztery metry w górę. Przez całe czterysta metrów, z pętlą zadzierzgniętą na każdym palu, przebiegało osiem rzędów lian, poziomo, w odstępach pięćdziesięciocentymetrowych. Na wysokości jakichś trzech metrów drzewa łączyły poziome deski, przywiązywane do pni ogromnymi węzłami z lian w kształcie krzyża. Ponadto, powbijane w ziemię w nieregularnych odstępach, bambusowe żerdzie o różnej długości wznosiły się ukośnie i przechodziły na drugą stronę palisady.

Docenić to można było dopiero z drugiej strony ogrodzenia. Pośrodku rozpoczynającej się w bałaganie dżungli wznosił się nagle ten patężny mur grubych czterometrowych słupów, wzmocniony grubymi węzłami lian i najeżony dziesiątkami ogromnych szpiców, sterczących na różnych wysokościach, zgrupowanych po dwa lub trzy bądź wystających samotnie, z częstotliwością mniej więcej jednego na dwa metry kwadratowe. Przypominało to gigantyczną bransoletę najeżoną gwoździami. Prymitywne, proste, solidne i agresywne. Podobało mi się szalenie. Był to mur obozu barbarzyńców.

Najlepsze referencje, by przeżyć w tej okolicy. Kiedy patrzyłem na nasze dzieło, ogarniała mnie duma. Cokolwiek by się teraz stało, byliśmy gotowi. Żaden gad nie przejdzie przez tę barierę. Drapieżnik również. Słoń prawdopodobnie byłby w stanie ją zniszczyć, ale nie od razu. Jeśli się za to weźmie, będziemy mieli czas, by się przygotować.

Kto oprócz nas potrafiłby wznieść w środku dżungli ten pomnik z drewna i lian? Kto oprócz nas potrafiłby sobie pozwolić, na granicy przeżycia, myśleć na wielką skalę i realizować zamierzenia?

My to zrobiliśmy. Takie rzeczy nie przytrafiają się każdemu i przyglądając się tej robocie zaliczyłem ją do największych osiągnięć mego życia; fort znad Jeziora Dinozaurów!

W ciągu dwudniowych polowań zabiliśmy dwieście dwadzieścia trzy jadowite węże różnych gatunków. Metoda była prosta. Montaignes zdjął z jakiegoś drzewa gniazdo szarych piskląt, dosyć dużych, zapewne szykujących

się do wylotu. Przywiązywaliśmy je za nogi do drzewa i czekaliśmy w ukryciu. Sprawdzało się to za każdym razem. Węże zwabione piskami i hałasem, jakie robiły pisklęta, nadciągały jeden po drugim.

Zabijaliśmy je lancą, co pozwalało na zachowanie bezpiecznej odległości około dwóch i pół metra, a jeśli wbiło się ją za daleko, zawsze jeszcze pozostawało szybkie i ostrożne cięcie maczetą. W większości były to mamby, małe książęce mamby koloru czarnego z żółtym brzuchem, często trudne do trafienia bambusową dzidą, inne, zielone, dłuższe i grubsze, były łatwiejszymi ofiarami. Ich liczba była zadziwiająca. Rzucały się na nasze biedne ptaszki ze wszystkich stron, Już wielokrotnie czyściłem nasz fort, ale widząc ich obfitość obiecałem sobie zrobić to raz jeszcze.

Montaignes systematycznie zbierał jad do bambusowych tub. Otrzymał w ten sposób prawie pół litra substancji, którą rozcieńczył wodą. Tak przyrządzonym zielonym płynem posmarowaliśmy każdy obronny szpic wystający z palisady. Według encyklopedycznych wiadomości Montaignes'a jad mamby powoduje postępujący paraliż u ofiary, co następnie pozwala węzom na połknięcie ugryzionego zwierzęcia. Zostało nam trochę tej trucizny i Montaignes ukrył ją, pieczołowicie zatykając bambusową tubę za pomocą lepiku, który odkrył w korze niektórych drzew.

Za wspólnym porozumieniem wszystkich narodził się rytuał, który łączył nas z resztą świata. Przez trzy dni pośrodku fortu wypalał się martwy pień drzewa zwanego „*spadkobiercą*” — *Heriteria hutiiitis*, stwierdził nasz specjalista — którego zewnętrzna drewniana powłoka, nadzwyczajnej twardości, po obróbce nazywa się nangion.

Mała odpowiedzialna była za podtrzymywanie ognia, regularnie polewając zewnętrzną powierzchnię i usuwając zwęglone resztki ze ścianki wewnętrznej, co zmuszało go do coraz głębszego wżerania się w drewno. W ten sposób otrzymaliśmy pusty w środku walec nangionu, o długości około dwu metrów, który po ustawieniu na dwóch bambusowych stojakach powiązanych lianami stał się całkiem przyzwoitym tam–tamem.

Przez ten czas Mała i Montaignes sporządzili cztery pary pałek, wyrzeźbionych w czarnym i twardym drewnie, które także wypalali ogniem. Sprzęt ten dawał dźwięki nieco suche, bez melodyjnego pogłosu, były one

jednak zróżnicowane — głębsze pośrodku i wyższe na krańcach — i niosły się daleko. Niczego więcej nie chcieliśmy.

Każdego wieczoru stawaliśmy wszyscy w rzędzie przed pniem, z pałkami w dłoniach, i waliliśmy przez godzinę.

— Pałam! Pałam! Pałam! Bam! Bam! Pałam! Pałam! Pałam!

Według układu, którego nauczyła nas Mała: Chodź! Chodź! Złe odejść! Chodź!

Nie wierzyliśmy w to zbyt. Było jednak konieczne, by raz dziennie zwrócić się ku temu światu, który opuściliśmy. Dodatkowy sposób, żebyśmy nie stali się leśnymi zwierzętami. Każdy wkładał w to całe serce, początkowo wsłuchując się w rytm, a potem stopniowo dając się ponieść.

Pomału zdałem sobie sprawę, że ta godzina wołania do świata, zmuszając nas do skoncentrowania się na rytmie, dawała wspaniałą okazję do przemyśleń. Wybijając machinalnie rytm rozmyślałem o wielu problemach, które dotyczyły naszej grupy, albo pogrążałem się w bardziej osobistych planach. Początkowo ćwiczenie to przebiegało wśród oporów i wymuszonych uśmiechów, lecz stopniowo, po dziesięciu dniach, dla każdego z nas przekształciło się w przyjemność. Toteż wieczorem stawaliśmy przed pniem, z pałkami w rękach i śmiertelnie poważni.

Pierwszym wielkim sukcesem w naszym nowym życiu było osiągnięcie celu, który sobie postawiłem: wszystko zakończyć przed nadejściem kolejnej pełni księżyca. Nie było to puste wyzwanie. Przemyślałem sobie niesłychany ciąg kłopotów, które kolejno zwały się na nas i sprawiły, że w końcu znaleźliśmy się tutaj. Wyciągnąłem z tego wniosek, że najważniejsze wydarzenia, atak M'Bumby i inwazja krokodyli ludojadów, miały miejsce podczas pełni księżyca. Na tej podstawie logiczne było sądzić, że dwukrotnie byliśmy ofiarami wpływu, jaki wywiera księżyc na dziką przyrodę.

Księżyc wywołuje szaleńcze pożądanie, przekształca ludzi w krwiożercze bestie i opętuje wariatów i mieszkańców ogrodów zoologicznych na całym świecie. Tutaj jego wpływ mógł przybierać jeszcze bardziej nieoczekiwane formy za przyczyną roślinności, oparów czy innych rzeczy. Stany nerwowego napięcia, okresy braku poczucia rzeczywistości, wszystko to zostało nam narzucone. Przeżyliśmy nadzwyczajne wydarzenia i wszystko pamiętaliśmy później jakby zdeformowane i przekształcone jakimś zewnętrznym urokiem.

Niezwykłość otoczenia, delirium roślinności i jej niespotykane rozmiary dopełniły reszty i nasze umysły dały się ponieść.

Z tego wszystkiego wyciągałem wnioski, że należało się wystrzegać pełni księżyca i że tej szczególnej nocy, jeżeli ropuchy, żmije i pająki postanowią sprzymierzyć się przeciwko hipopotamom, to niech im będzie na zdrowie... Ale trzeba, by mała ludzka kolonia, pod osłoną palisady i ścianek swoich domków, pozostała poza całą sprawą.

I wygraliśmy. Oficjalne otwarcie fortu nastąpiło trzydzieści trzy dni po rozpoczęciu pracy zbiorowej, czyli na jedną noc przed pełnią.

Cokolwiek by się miało wydarzyć, mieliśmy osłonę.

Teraz z uwagą śledziłem wpływ księżyca na otoczenie. Nic w lesie się nie wydarzyło, jeśli nie liczyć owego zwykłego kłębienia się życia dookoła przez całą noc.

Pełnia wywarła jednak wpływ na nasze życie, wewnątrz fortu: główną bohaterką wydarzenia była Mała.

Przyszła kochać się ze mną na samym początku prac, w dniu kiedy byliśmy daleko od placu budowy i ścinaliśmy trzciny nad jeziorem. Podeszła do mnie, kiedy pracowałem na uboczu, wśród wysokich kęp grubych bambusów, tkwiąc w wodzie po kostki. Stała przede mną ze skrzyżowanymi nogami, wierząc się trochę w miejscu, a jej wielkie czarne oczy spoglądały na mnie z dołu. Można by pomyśleć, że właśnie za coś ją skarciłem. Zdziwiony wbiłem maczetę w ziemię.

— Co, Mała?

Bambusy, wśród których pracowałem, otaczały nas ze wszystkich stron, odsłonięci byliśmy tylko od strony jeziora. Po drugiej stronie roślinnej kurtyny Paulo podśpiewywał sprośne piosenki i regularnie walił maczetą.

Mała zdjęła spódniczkę i pozwoliła jej opaść do wody. Chcąc nie chcąc wystawiony zostałem gwałtownie na prowokujący obraz jej piersi o sterczących ciemnych sutkach, jej długich, bardzo długich i prostych ud, delikatnego zwięzienia jej talii i malutkiego, czarnego i pokręconego trójkątka pod brzuchem.

Trzymała ręce na biodrach, oddychając ciężko, z piersiami wysuniętymi w moją stronę, i patrzyła na mnie jakby od dołu, naburmuszona, niemal wściekła. W tym jej przedstawieniu nie było śladu pozy czy prób erotycznego

uwodzicielstwa. Było to bardzo dziwne. Przyszła do mnie w odosobnione miejsce, jawnie proponowała mi swoje ciało, bez żadnego zażenowania czy wstydlivosti, jakie przejawiała wcześniej, ale nie dając również zbyt wiele. Pozwalała na siebie patrzeć tak długo, jak to było konieczne, nic więcej.

Brodząc zbliżyła się, rozsunęła moje ręce, patrząc nadal twardym wzrokiem, i pogładziła mnie po piersi szorstko silną dłonią, która nie zatrzymywała się niepotrzebnie. Potem gwałtownymi ruchami zabrała się za moje spodnie, sycząc przez zęby niecierpliwie, i przystąpiła do kolejnych pieszczot, także pozbawionych czułości. Uczepiła się mojej szyi, wspięła się na mnie, zdecydowanym ruchem oparła plecy o pnie bambusów. Oczy miała zamknięte.

Następnie maksymalnie rozwarła uda i nadziała się na mnie. Z jej gardła wydobył się chrapliwy charkot, kiedy w nią wchodziłem, po czym charkot zamienił się w pomruk, coraz szybszy, w miarę jak przyspieszał ruch jej bioder.

W ciągu paru sekund jej miednica zaczęła podskakiwać nadzwyczaj szybko, ruchem całkowicie mechanicznym, jakby jej tyłek wyregulowany był na dwie pozycje: górną i dolną. Było to tak szybkie, że aż sprawiało ból. Dopełniając miary rozorała mi szyję paznokciami, wbijając mi je w ciało z niesłychaną siłą. Ciskała się tam i z powrotem z nieoczekiwaną ruchliwością. Nagle zatrzymała się w miejscu, uniosła się, gwałtownie rozwarła uda do granic wytrzymałości mięśni i z impetem opuściła się w dół.

— Rhhh!

W tym momencie spuściłem się, nie odczuwając jednak żadnej przyjemności. Pozostało mi wrażenie, że zostałem okradziony. Coś wyłudzone ode mnie.

W jej piersi trwał jeszcze krzyk. Okropnie bolała mnie szyja. Czuję, jak po plecach spływa mi strużka krwi. Otworzyła oczy i natychmiast zeszła ze mnie. Umyła się w wodzie jeziora, przykucnięta, nieobecna duchem. Potem założyła spódniczkę i przez chwilę patrzyła na mnie bez słowa. Wyrzut i złość, jakie wyczytałem z jej pociemniałych oczu i zmarszczonych brwi, odebrały mi mowę. Zupełnie nie wiedziałem, co czynić.

Może moglibyśmy się pocałować albo zrobić coś miłego? Postąpiłem krok w jej kierunku. Natychmiast odwróciła się plecami i energicznym krokiem odeszła, przejawiając całkowitą obojętność.

* * *

Od tego momentu zabraliśmy się za budowę chaty dla nas dwojga i zaczęliśmy razem spać. Ale nie oznaczało to, że tworzyliśmy parę. Przynajmniej nie w tym sensie, jak ja to rozumiem.

Mała nigdy się do mnie nie zbliżała. Podczas dnia była obojętna, by nie powiedzieć zimna, a czasem wręcz agresywna. Wieczorem kładła się nie zwracając na mnie uwagi. Jej postawy nie potrafiłem zrozumieć i sprawiało mi to przykrość.

Dwukrotnie jeszcze przyszła wyłudzić ode mnie przyjemność, w ten sam brutalny, szybki i nieczuły sposób. Te dwa kolejne stosunki niczego w jej zachowaniu wobec mnie nie zmieniły. Nie to mnie smuciło, że nie chciała mi się oddać czy jej seksualna obojętność. Nadal pociągała mnie fizycznie i brakowało mi jej dotyku, ale szanowałem jej wybór. Natomiast zbijała mnie z tropu jej zamknięta, zimna postawa i wydawało mi się, że wyczuwam w niej wyrzut...

Przypominałem sobie cudowne chwile spędzone z nią sam na sam podczas naszych nocnych pogawędek, miłosne spojrzenia, które wymienialiśmy jak dwoje uczniów. Urok przysł i już nigdy nie przysługiwały mi jej czarujące uśmiechy ani jej rozpalone pocałunki.

Myślałem nad tym, kiedy pozwalała mi na to robota, starając się znaleźć dla jej zachowania logiczne wytłumaczenie, ale nie potrafiłem znaleźć zadowalającej odpowiedzi.

Po co szukała u mnie cielesnej rozkoszy, skoro już mnie nie kochała? Czyżby jej ciało odkryło w sobie teraz nowe potrzeby? Była młodą dziewczyną w pełni rozkwitu. W ciągu ostatnich tygodni bardzo się zmieniła. Jej piersi rozwinęły się. Jej chód stał się dojrzały, lżejszy, lecz bardziej energiczny, jakby pewniejszy siebie. Jej biodra, nie myliłem się raczej co do tego, rozrosły się od czasu, kiedy wyruszyliśmy. Subtelne przemiany cielesne, delikatne przekształcenie jej sylwetki sprawiły, że przekroczyła pewien próg. Z ładnej dziewczyny stała się ładną młodą kobietą. Zapewne gwałtowne wydarzenia i tragedie ostatnich tygodni przyspieszyły proces, który już trwał i który bez tego trwałby jeszcze miesiąc czy dwa dłużej. Widywałem już facetów, którzy po paru miesiącach przygód starzeli się o dziesięć lat. Było więc logiczne, że kobiety też się od tego starzeją.

Czy nurtowały ją nowe pragnienia? I jako prawdziwa mała Afrykanka uważała pewnie, że fakt odbywania ze mną stosunków nie musiał wcale pociągać za sobą sympatii. Jeśli tak było, smuciło mnie to bardzo. Nie było nic przyjemnego w odgrywaniu roli buhaja dla higieny małej perełki, którą uwielbiałem.

Dopuszczałem też inną możliwość. Być może Mała reagowała na tajemny instynkt wobec naszej trudnej sytuacji. Wykorzystywała swój charakter samicy, by przyłączyć się do najpotężniejszego samca w grupie, czyli do mnie, i w ten sposób korzystać z ochrony oraz uprzywilejowanej pozycji.

Zresztą natychmiast po naszym pierwszym stosunku Mała nabrała w formie nowego autorytetu. Tego samego wieczoru, po posiłku, stanęła przed nami z założonymi rękami, prosta i zdecydowana.

— Ja myć. Zawsze, zawsze myć — oświadczyła.

Paulo, który właśnie dłubał w zębie kawałkiem kości z pożartego na kolację ptaka, skarcił ją wzrokiem. Nabrał w płuca powietrza, by ryknąć, lecz Mała, przebiegła istota, odwróciła się od niego.

— Ty, Montaignes — powiedziała oskarżycielsko. — Ty, dobra kuchnia. Dlaczego ty nie przyłożyć łapy?

Przyłożyć łapy było, naturalnie, wyrażeniem, którego nauczył ją Paulo.

— Ty, Montaignes, przyłożyć łapy myć. Przyłożyć łapy kuchnia.

Montaignes, poczciwa dusza, zgodził się na rolę pomocnika kucharki, żartując głośno z nowej roli swojej szefowej. Trzeba dodać, że miał co robić. Przed tym incydentem Mała biegała i pracowała niewiarygodną ilość godzin dziennie, dzieląc czas między wyrób mebli, prace budowlane, warty, które jej również nie omijały, oraz prowadzenie gospodarstwa. Pora była, by na nowo przemyśleć jej rozkład zajęć.

Odtąd już dzień w dzień zabierała głos podczas wieczornych narad i dyskusji. Chodziła po forcie dumna niczym królowa. Wkrótce Montaignes i Paulo stali się ostrożni wydając jej polecenia. Instynktownie dodawało się „*gdybyś mogła*”, „*mógłbym cię prosić*”... Paulo nieco przedobrzeał i kłaniał się jej nisko. Śmiał się przy tym, ale Mała naprawdę przyjęła rolę żony wodza.

Nic z tego nie rozumiałem. Czy Mała, mój mały klejnocik znad brzegu rzeki, kochała mnie naprawdę? Czy miała mi coś do zarzucenia? Czy minione wydarzenia zszokowały ją bardziej, niż przypuszczałem? A może po prostu

byłem urażony afrykańskim zachowaniem, którego nie potrafiłem zrozumieć? Nie znałem odpowiedzi i na ogół dość szybko odsuwałem od siebie te pytania.

Miałem na głowie ważniejsze rzeczy. Na placu budowy prace postępowały. W niedalekiej perspektywie miałem przed sobą zagrożenie pełnią księżyca. Kłopoty mnożyły się. Wieczorem kładłem się wykończony, umysłowo i fizycznie, i w gruncie rzeczy było mi na rękę, że panienka miała humory. Sam będąc w niedobrym nastroju pozostawiałem ją naburmuszoną, nie czyniąc żadnego wysiłku. Czy to moja wina, że Afrykanki nigdy nie można zrozumieć?

Zmieniła się, kiedy nastąpiła pełnia księżyca.

Najpierw ostatni raz obszedłem fort, taki mały obchód przed snem, kopniakami sprawdzając wytrzymałość podpór i w myślach rzucając wyzwania nocy i dżungli. Potem wśliznąłem się do mojej chaty i natychmiast zauważyłem, że coś się zmieniło.

Mała uśmiechała się patrząc, jak wchodzę. Była naga na bambusowym łożu. Nie dość, że naga: leżała na boku, z wyprężonymi piersiami, eksponując w świetle księżyca cudowne zaokrąglenie swych bioder. Przypatrywała mi się łagodnie, a w oczach miała czuły błysk, którego dawno już u niej nie widziałem.

Ułożyłem się na łóżku zmęczony, nie mając ochoty zwracać na nią uwagi. Poruszyła się, przysunęła do mnie i objęła mnie w pół. Jej dłoń delikatnie przesunęła się po mojej piersi, potem po brzuchu, wzbudzając pierwszy dreszcz. Otrząsnąłem się. Zaśmiała się cicho, po czym uklękła przede mną, z dłońmi na moich ramionach. Oparła swoje czoło o moje, a w oczach miała pełno niedomówień. Popchnęła mnie głową, jakby mnie zaczepiając.

O ile dobrze ją zrozumiałem, chciała się pogodzić.

Osunęła się na łóżko i zaśmiała się, patrząc na mnie. Pięknymi dłońmi zaczęła pieścić swoje piersi.

— Elias? Mąż Elias?

— Tak — odpowiedziałem z powątpiewaniem.

Wybuchnęła śmiechem przykładając obie dłonie do twarzy, jakbym powiedział jakieś głupstwo. Potem objęła mnie, po drodze potarła piersiami o moją twarz i zanurkowała w dół. Rozpięła mi spodnie i zaczęła się mną bawić. Z jej gardła wydobywały się ciche pomruki zadowolenia. Jej długie białe

ciało, rozciągnięte w świetle księżyca, falowało w odległości paru centymetrów od moich dłoni.

Chwyciłem ją za biodra i piersi. Jęknęła radośnie i wygięła się. Przycisnęła moje dłonie do skóry, abym pieścił mocniej; zmusiła mnie do ciaśniejszego objęcia i przesuwała się powoli, tak by podsuwać mi kolejno wszystkie części swojego ciała. Opadłem na nią, w ciepło jej skóry. Jej usta i małe ząbki nie próżnowały, gryząc mnie lekko w szyję.

Rozwarła się miłośnie i przyjęła mnie wewnątrz z długim westchnieniem. Bardzo szybko zaczęła się domagać więcej.

Chciała więcej. I mocniej. Przekazywała mi tę ogromną żądzę, która ją wypełniała, nakłaniała mnie, bym ją kochał jeszcze gwałtowniej. Wykręcałem ją, rozdzierałem, orałem. W naszej małej chatce miłość przerodziła się w burzę, na łożu i dookoła niego.

Kiedy rzuciła mnie, pozbawionego sił, w poprzek łóżka, pozostałem na brzuchu i pragnąłem już tylko pięknych snów. Ona wstała śmiejąc się. Jak przez mgłę widziałem, jak zapala kawałek dukume, kory, której dym działa jak afrodyzjak. Gestami i uroczą mimiką dała mi do zrozumienia, że dzięki dukume moje przyrodzenie ponownie stanie się twarde i silne. I zaczęła się pieścić między udami.

— Potem, ty przyjsć. Tutaj, jeszcze dobrze. Hi! Hi! Bardzo dobrze! Uniosła palec w kierunku płonącego dukume, które zamocowała pod sufitem.

— Światło, dobrze! Lepiej widzieć! Ty widzieć ja? I przeciągnęła się na łożku, z rozłożonymi udami, przegięta, z dłońmi na piersiach.

— Hi! Hi! Ty widzieć ja? No już! Ty przyjsć!

Wsunęła moją dłoń między swoje uda i zaczęła mnie pieścić, długo, niezwykle łagodnie. Prowadziłem ją, pokazując, jak to robić jeszcze lepiej. Natychmiast zabrała się do dzieła. Potem zażądała mnie znowu, i wziąłem ją ponownie. Kiedy leżałem wycieńczony, przysunęła się do mnie na nowe pieszczoty, jeszcze łagodniejsze i gorętsze, i jeszcze kilkakrotnie pograżyłem się w jej rozkoszach. Wrzeszczała od paru godzin bez opamiętania, na granicy wytrzymałości gardła. Bałem się, że ją złamię, ale jej drobne silne ciało wytrzymało, wczepiało się we mnie i domagało się jeszcze.

Sen zmorzył nas razem, o wiele później, ciasno przytulonych do siebie.

Każdego ranka chodziłem „na kawę” do Paula i Montaignes’a, o jakieś dwadzieścia metrów od mojej chaty. Kiedy przychodziłem do nich. Stary zawsze był już na nogach; wstawał przed wszystkimi.

Prażąc, za radą Montaignes’a, nasiona owoców cola, bogatszych w kofeinę niż orzeszki, jak powiedział mistrz, Paulo otrzymywał ziarna, które, po drobnym zmieleniu, dawały w połączeniu z gorącą wodą ciemny i gorzki napój, nieco przypominający niesłodzoną cykorię. Wspominając z westchnieniem, że poszedł do lasu, bo Niemcy wprowadzili kartki na kawę, nazwał ten napój erzac. Każdego ranka cierpliwie ucierał sobie nową porcję.

— Ej! Elias!

Miał przestraszone, szeroko otwarte oczy, spod szortów wystawały jego łukowate nogi, rezultat połączenia obciążonych spodni i miesiąca ciężkich robót, włosy miał zmierzwiłone, a na twarzy resztki snu. Pił, trzymając w ręku bambusową łyżeczkę.

— Niepokoiłem się, Elias! Wszystko w porządku? Na pewno?

— No tak! O co chodzi?

— A jak się miewa pani Elias, dobrze? Biedna Mała! Jak ona cierpiała przez całą noc! Słyszałem, jak krzyczała, aż mi to sprawiało ból! Mam nadzieję, że nie naderwała sobie gardła? Drogi sąsiedzie! Cooo?

Natychmiast spojrzałem w inną stronę, zażenowany. Myśl o hałasie, jakiego narobiliśmy, wprawiła mnie w zakłopotanie. Z natury jestem dyskretny, i zwolennikiem prywatności spraw intymnych. Ponadto nie lubię przeszkadzać kolegom, zwłaszcza kolegom, którzy mają za sobą kilka tygodni samotności w dżungli, odgłosami moich miłosnych zmagań. Tego się nie robi.

— Ojeeej, nie bój się, żartuję! Już nie jestem w wieku, kiedy człowiek przejmuje się podbojami innych... Chcesz erzacu?

Podał mi kubek tego świństwa z colą, do którego zresztą zaczynaliśmy się już przyzwyczajać.

— W tysiąc dziewięćset... — zaczął Paulo przecierając oczy — żebyś się nie pomylił... w tysiąc dziewięćset trzydziestym szóstym może. To już tyle lat! Byłem jeszcze w Marsylii. Byłem dzieciakiem. Pracowałem na nocną zmianę w burdelach, siedziałem w recepcji. No więc była taka jedna z dobrego domu, która przychodziła, żeby dać się przelecieć, aż przyjemnie było posłuchać. Ale miała głos! W recepcji tylko ją było słyhać. Miała gadane! Tyle miała do powiedzenia, że aż klienci się skarżyli, że ich to

dekoncentruje. Sławna była ta kobieta. Była żoną jubilera z ulicy de Rome. Wyższe sfery...

Popił łyk erzacu, skrzywił się i skierował wzrok ku lekko szarawemu niebu.

— No więc... Wyobraź sobie, Elias... Co najmniej dziesięć przekleństw i ordynarnych wyrazów poznałem właśnie od niej, od tej żony jubilera.

Na progu domu pojawił się Montaignes, z oczami zmrużonymi od niewyspania, cały uśmiechnięty.

— Cześć Elias. Dobrze spałeś? — spytał mnie, znacząco mrugając. — Widziałeś, co wczoraj znalazłem?

Zaciągnął mnie do chaty, żeby pokazać swoje ostatnie cudo. Tego ranka był to bukiet rachitycznych i poskręcanych kwiatów o małych żółtawych kulkach.

— Wspaniale — powiedziałem. — No i co?

— No i powąchaj!

Roztarł jedną kulkę między palcami i w powietrzu rozszedł się niesamowity zapach: połączenie jaśminu, pieprzu i jakiejś woni łagodniejszej, jakby ambry.

— Ładnie pachnie. Co to jest?

— Nie mam pojęcia. W okolicy jest pełno gatunków, o których nigdy nie słyszałem. Będę musiał zająć się klasyfikacją...

* * *

Cholerny Montaignes! Nazbierał już nieprawdopodobny stos najróżniejszych przedmiotów. Ich chata, podobnie jak nasza, miała kształt małego domku, z drzwiami i trzema oknami, zbudowanego z liści palmowych i bambusów, długiego na dziesięć metrów i szerokiego na sześć.

Na połowie Montaignes'a wałały się w nieładzie pęki wielobarwnych piór, poukładane kawałki kory, owady nadziane na kolce od krzewów. Nieprawdopodobne ilości łupin od orzechów zawierały próbki lepików, naturalnych barwników, wyciągów z roślin, jadów i jeszcze innych rzeczy; leżały tu przemieszane liście różnych drzew, kości, kompletna czaszka drapieżnego ptaka, sokół, nietoperze oraz metalowy grot strzały, którego odkrycie stanowiło dla Montaignes'a szczególnie wzruszające przeżycie.

Po drugiej stronie chaty połowa Paula tworzyła z tamtą duży kontrast. Było tam łóżko. Bambusowy stół. Na ścianie wisiała maczeta i to wszystko.

Wyszliśmy, po czym, jako że każdy był już trochę głodny, spokojnym krokiem skierowaliśmy się w stronę kuchni. Był to ładny budynek w kształcie litery L, zapewne najbardziej udana budowla w forcie. Pięć metrów z przeznaczeniem na utensylia, stół o grubych, solidnych nogach, skrzynie w charakterze szaf. Świetlica ta, miejsce posiłków i spotkań, mogła być według życzenia albo całkowicie zamknięta, albo całkowicie otwarta. Ścianki zbudowane były z bambusowych ram, na których rozpięliśmy plecionkę z grubych zielonych palmowych liści. Ścianki te były ruchome i dzięki przemyślnemu systemowi nacięć, autorstwa Paula, można było je zamontować. W „*pokoju*” narożnym, długości około trzech metrów, mieściły się paleniska i zapas drewna. Po drugiej stronie drzew, na przestrzeni, którą można by nazwać „*zapleczem kuchennym*”, znajdowały się zapasy wody pitnej oraz przykryty matą dół na zużyta wodę.

Ociągaliśmy się, ogryzając resztki mięsa karłowatej antylopy, nieco twardego, lecz o wyrazistym smaku, popijając erzacem. Czuliśmy się trochę nieswojo, nie bardzo wiedząc, co robić. Od ponad miesiąca wstawaliśmy o świcie, by rzucać się w wir pracy aż do późnej pory kolacji i pójścia spać. A teraz wszystko było zakończone. Nie mieliśmy już do wykonania żadnych szczególnych czynności i czuliśmy się jak bezrobotni.

Paulo rozglądał się dookoła, dumny, choć jakby niepewny siebie.

— No co... Piękne to, nie? Nie bardzo wiadomo, po co to zrobiliśmy, ale jest to piękne!

* * *

Montaignes uśmiechał się, spokojny, mrużąc oczy, by lepiej rozejrzeć się po okolicy. Od pewnego czasu nie nosił już swojej przepaski. Jego szkielek od okularów zwisało mu z szyi, zawieszony na roślinnym włóknie. Od czasu do czasu, z miną starego generała, przystawiał je do oka, by sprawdzić jakiś drobiazg lub przyjrzyć się czemuś szczególnemu. Ale przez większość czasu nie posługiwał się nim wcale. Powiedział nawet, że „*wzrok to zespół kodów łączących widzianą rzecz z mózgiem*” i że wystarczyło mu, by „*dobrze*” widzieć, zmienić kody. Nieostra zielona palma: drzewo. Ząbkowana zielona masa: paprocie. Jakiś wielki kształt, który się pochyla i podnosi: Elias kopiący w ziemi maczetą. Okazuje się, że bardzo szybko można się w tym rozeznać.

Bierze się pod uwagę drobne wskazówki, zmiany światła... Jest inaczej... ale ciekawie.

Spośród nas wszystkich on i Mała przeszli najgłębsze przemiany. Montaignes był cherlawy, bo całą młodość strawił na studiowaniu, siedząc, bez ćwiczeń cielesnych. Fizycznie był nastolatkiem, kiedy do nas dołączył. Ekspedycja i siłowe prace nadały mu wygląd dorosłego. No, nie jakiegoś siłacza! Ale dobrze zbudowanego. Długie mięśnie, cienkie, ale solidne. Wyrosła mu broda, długa i delikatna, nadając ostrość jego rysom, a twarz okalały kręcone włosy, bardzo już długie.

Chodził z obnażonym torsem, w szortach z przerobionej panterki, z maczetą zawieszoną na plecach. Chodził bosy i w milczeniu cierpiał podczas pracy. Teraz jego stopy okryły się zrogowaciałą warstwą, której pozazdrościć mu mogła nawet Mała.

Paulo i ja uparcie zachowywaliśmy nasze buty, które z czasem zamieniły się w sandały, poprzywiązywane coraz bardziej skomplikowanymi systemami sznurowadeł z lian.

* * *

— Chcecie się przejść? — zapytał Montaignes. — W okolicy jest wiele ciekawych rzeczy...

Poza godzinami swojej warty i prac w forcie od jakiegoś czasu Montaignes stał się niewidoczny. Najczęściej wychodził nikogo nie informując i powracał dopiero dużo później, zawsze z upolowaną zwierzyną i sporym zbiorem owoców. Po miesiącu doskonale poznał okolicę, czego nie można powiedzieć o nas. Przyjęliśmy jego propozycję. Każdy wziął trochę prowiantu i zdecydowaliśmy się wyjść poza fort.

— Nie bierzesz swojego karabinu. Mały? — zdziwił się Paulo.

— Nie, może być potrzebny Małej. Mam swoją broń, to mi wystarczy!

I pokazał nam długą bambusową rurkę, którą rzemieniem mocował na swoim ramieniu. Co najmniej metrowa dmuchawka, do której dorobił tuzin wspaniałych malutkich strzał w kształcie stożków, zakończonych ostrzem z kości.

— To ptasie żebra — wyjaśnił — zaostrzone maczetą. Parę godzin na każdą. Tylko niech żaden tego nie dotyka! Paulo gwałtownie cofnął rękę.

— Zatrute?

— Tak. Jadem, który został po węzach.

— I... to działa?

— Doskonale.

— A żarcie nie będzie przez to zatrute? — spytał Paulo.

— No nie, pacanie — odparł Montaignes naśladowując marsylski akcent.
— Już dawno byśmy odwalili kitę! Jemy to od dwóch tygodni!

Ze skór zwierzęcych zrobił sobie podłużny pojemniczek pełniący funkcję kołczana, który stale nosił przy biodrze.

— Następna konstrukcja — łuk! — obiecał. — Zrobię go z palmowej gałęzi. Ale nie mam jeszcze dobrego rozwiązania na cięciwę. Plecione włókno z liany... albo zwierzęce jelito...

* * *

Nawet jego chód się zmienił. Zdaliśmy sobie z tego sprawę już od pierwszych godzin. Pozostający w tyle Paulo pomstował.

— O kurwa, Montaignes! Pali się, czy co? To ma być maraton, czy niedzielny spacer budowniczych?

Faktycznie Montaignes drałował przodem, skórzany kołczan obijał mu się o tyłek, stawiał długie, elastyczne kroki odbijając się od ziemi gołymi stopami, stale zbaczając z drogi, dotykając jakiejś kory, unosząc do oka monokl, by przyjrzeć się jakiemuś drobiazgowi, i co chwila przywołując nas, by pokazać niesamowicie koronkowy liść paproci albo wyjaśnić pasjonującą historię wyschniętych odchodów leżących pod kępą traw.

— Jeśli to ma być maraton, to mi powiedz — rzeził Stary. — Ja startuję w kategorii „*budowniczych*”, wracam od razu.

— Ależ nie! Chodź, pokażę ci pułapki!

I Montaignes zaciągnął nas na drugą stronę jeziora. Dzień był jasny, słońce zasłonięte cienką warstwą chmur dawało białe światło, powietrze było gorące i ciężkie. Na brzegu, pomiędzy masywami gigantycznych trzcin i skrajem lasu, zauważyłem to już wcześniej, znajdowały się liczne zbiorniki wodne, do których przychodziły różne zwierzęta. Pięć z nich Montaignes zamienił w pułapki. Zabronił nam się tam zbliżać, oprowadzając nas z daleka i komentując.

— Tutaj, pod korzeniami, są sidła. Jeszcze nic się nie złapało, ale nie tracę nadziei. A dalej są doły, widzicie je teraz?

Na początku swoich eksperymentów z pułapkami wybrał rozwiązanie najprostsze: dół najeżony zaostrzonymi i zatrutymi bambusami. Nic szczególnego. Wyczynem było dopiero niesamowite zamaskowanie otworu. Była to pokrywa z liści i gałązek przemieszanych z gnijącymi kawałkami

poszycia, odpowiednio do okolicznego terenu. Rezultat: pokrywa, nadzwyczaj delikatna, gotowa runąć pod ciężarem każdego małego zwierzęcia, była całkowicie niewidoczna.

— Najtrudniejsze — wyjaśnił — jest zamaskowanie dołu elementami z danego środowiska, tak by nie zakłócić wyglądu otoczenia. Długo obserwowałem. Zwierzęta bezustannie wachają ziemię. Trzeba przykryć dół tym, co leży w pobliżu. Inaczej zaraz wyczują, że coś jest nie w porządku. Poza tym nie wolno niczego uszkodzić, bo zaraz zauważą i pójdą pić gdzie indziej.

Jego ostatnie pułapki znajdowały się dokładnie naprzeciwko fortu, na przeciwnym brzegu jeziora, bardzo daleko od naszych pieleszy.

— Montaignes, to niemożliwe! Poznałeś już cały brzeg? Nie wiedziałem, że zapuszczasz się aż tak daleko!

— No, poznałem nie tylko jezioro. Znam też różne zakątki w dżungli...

Opuściliśmy spokojne brzegi i niewiarygodnie gładką taflę wody o tej samej barwie co niebo, by zagłębić się w dżunglę. Blisko jeziora las był przyjemniejszy i „*lżejszy*” od tego, który poznaliśmy wcześniej. Tu, jak gdzie indziej, królowały wielkie drzewa tworzące praktycznie ciągłe sklepienie. Różnica polegała na średniej warstwie, najbardziej urozmaiconej, od dwudziestu do trzydziestu metrów nad ziemią, która istniała wyłącznie w postaci gigantycznych paproci uczepionych kory oraz nieodłącznych lian. Natomiast nieodmiennie przestrzeń na ziemi pomiędzy ogromnymi pniami zajmowała dolna warstwa krzewów, również owocowych krzaków, wysokich na metr do metra pięćdziesięciu.

Po chwili Montaignes zaczął zachowywać się dużo ciszej i ostrożniej, machając do nas niecierpliwie z powodu hałasu, jaki powodowały nasze kroki.

— Ciszej! Ciszej! To bardzo ważne miejsce! Nie róbcie hałasu! Zaskoczony jego autorytatywnym tonem Paulo najwyraźniej musiał się pohamować, by nie wyrzucić z siebie długiej zwykle w takich wypadkach tyrady. Montaignes imponował nam. Poruszał się ze swobodą kogoś, kto zna okolicę na pamięć, wyprostowany i dumny, niczym pan na swoich włościach. Paulo i ja nagle poczuliśmy się jak debiutanci.

— Tam — szepnął Montaignes. — Widzicie tę polankę? Pośród niskiej roślinności roztaczał się szeroki, ogołocony krąg średnicy jakichś trzydziestu

metrów, na którego obrzeżu rosło kilka gigantycznych pni gatunku stromboria, siedemdziesięciometrowych drzew, z opadającymi kaskadami lian. Nad tym wszystkim panował najgłębszy spokój. Ciszę mącił jedynie śpiew odległych ptaków.

— Patrzcie — szepnął ledwie dosłyszalnie Montaignes — tutaj jest moja najważniejsza „strefa mordy”, chociaż zwierzęta zaczynają już się na niej poznawać.

— Tutaj polujesz?

— Nie. Tutaj są wyłącznie pułapki. Porobiłem je wszędzie. Paulo uśmiechnął się szeroko.

— Nie? — szepnął. — A gdzie je porobiłeś?

I Montaignes nam pokazał. Te nieco jaśniejsze plamy liści na ziemi: doły, głębokie na pięćdziesiąt centymetrów i najeżone ostrymi bambusami. Nieco prostsze od innych liany wśród wiązek spadających z drzew utrzymywały kloce drzewne, służące jako przeciwwagi. Do drugiego końca przywiązane były bambusowe kraty i kolce najeżone zatrutymi ostrzami. Ziemia usłana była lianami, które uruchamiały pułapki, kiedy jakieś zwierzę się w nie zaplątało.

— I działają?

— Nie wszystkie — przyznał skromnie twórca. — Liany nie pozwalają na dostatecznie szybki ruch. Nie są tak gładkie i jednolite jak sznury. Często znajduję uruchomione pułapki, kolce drzewne czy kraty, które spadły na ziemię, ale zwierzę zdążyło uciec. Dlatego wymyśliłem takie strefy. Jeżeli ustawi się pułapki co parę kroków na przestrzeni kilku metrów kwadratowych, to jeśli trafi na zwierzęta bardziej tępego od innych, któraś pułapka musi zadziałać do końca i wtedy to się opłaci.

— Matko Boska! Montaignes! I dużo masz takich miejsc?

— W lesie cztery — odpowiedział spokojnie Montaignes. — Nie zaprowadzę was tam, bo są uruchomione. Przywiązuję pośrodku małego indyka albo innego żywego ptaka i drapieżniki zaraz się schodzą, przez cały dzień.

Ale najbardziej zadziwił mnie nieco dalej, kiedy wskazał nam wielki kolczasty krzew, pozornie nieprzystępny, pod który wśliznął się ze zwinnością węża. Słyszeliśmy, jak usadawia się wewnątrz, po czym, bardzo powoli, zielony bambus dmuchawki, niemal niewidoczny, wysunął się z krzaka.

— Widzicie tę gałąź? — zapytał krzak.

O jakieś siedem albo osiem metrów dalej z ziemi wystawał kawałek złamanej, gnijącej gałęzi.

— Tam zakładam przynętę — mówił dalej kolczasty krzew. — A kiedy oprę sobie dmuchawkę na rozwidleniu gałęzi, mam ją akurat na celowniku. Potamoszera albo antylopa przychodzi i piffit!... trafiam za każdym razem.

Wyszedł czołgając się na plecach, rozpromieniony.

— No... — dodał — prawie za każdym.

— I długo tak czekasz, wśród tych kolców?

— No, trzy albo cztery godziny, to zależy. Wszystko mi jedno. Przyjemnie jest posiedzieć bez ruchu. Po jakimś czasie ma się wrażenie, że już nigdy nie będzie się można ruszyć. Słyszysz się wszystko dookoła, najmniejsze szelesty. Człowiek staje się drzewem, częścią składową lasu. Wtedy dopiero, nie wcześniej, przychodzą ofiary. Kiedy się jest statycznym, jak las... to bardzo dziwne... i pasjonujące!

Następnie Montaignes, coraz bardziej radosny, najwyraźniej szczęśliwy mogąc pochwalić się swoimi skarbami i tym, jak świetnie daje sobie radę, zaprowadził nas na zwiedzenie tego, co nazywał swoim „*sadem*”. Był to spory obszar lasu, w którym, wśród poszycia, występowały niewiarygodne ilości najróżniejszych gatunków owoców. Były tu klasyczne mangowce, przypominające karłowate jabłonie, liczne (co najmniej dziesięć) odmiany bananowców rosnące w gęstych palmowych kępach oraz inne gatunki o nieprawdopodobnych kolorach i kształtach...

— To niesamowite — zwierzał się Montaignes. — Nie znam nazw nawet trzeciej części tego, co tutaj rośnie. Po prostu fantastyczne bogactwo gatunków!

Były tam wielkie orzechy o żółtych łupinach, „*lekko kwaskowe, lecz o miękkim miąższu*”. Były białe owoce w dziwaczne zielone plamki, najeżone wypustkami, „*jadalne, lecz bez wyraźnego smaku, sycące i mdłe*”. Były jakieś długie rzeczy w kształcie awokado i koloru bakłażanów. Były też niewiarygodnie małe figi, jasnoniebieskie, niemal turkusowe.

— Pyszne, ale niestety jest ich niewiele. Każdy krzew rodzi jedną albo dwie i wygląda na to, że cykl dojrzewania jest długi. Spośród tych, które próbowałem, żadna, dotąd nie odrosła. A na przykład te wielkie żółte owoce wyrosły ponownie w niecałe trzy tygodnie.

— Jak to? Próbowalesz nie wiedząc, co to jest? — spytał nagle Paulo.

— No wiesz... potrzebny był królik doświadczalny, więc zostałem nim.

Roześmiał się szczerze.

— Jadłem jedną próbkę dziennie. I nie umarłem. To się nazywa mieć szczęście!

— Ty chyba zwariowalesz! — wrzasnął Paulo.

— Ależ nie, jestem ostrożny...

Zjadał połowę dżungli nie wiedząc, co bierze do ust, i twierdził, że jest ostrożny!

— Popatrz, na przykład tego nie ruszałem. Jestem pewien, że jest szkodliwe.

— Tak — potwierdziłem. — Wygląda podejrzanie. Był to czerwony, podłużny owoc, lśniący jakby go polakierowano, rosnący kiściami na czymś w rodzaju rododendronu.

— A nie widziałeś gdzieś przypadkiem kawy? — spytał Paulo.

— Nie, na razie nie. Przecież bym przyniósł. Są natomiast kakaowce, ale kawy nie ma.

— A tytoń? Widziałeś może tytoń?

— Nie... A szukałem, możesz mi wierzyć! — odparł śmiejąc się. — Ale cierpliwości. Nauka robi postępy! Jestem pewien, że znajdę jeszcze mnóstwo ciekawych rzeczy. Cierpliwości...

Spacer ten sprawił nam ogromną przyjemność. Od bardzo dawna, a ściślej od czasu naszej kłótni po zamordowaniu słoniątka, nie spotkaliśmy się we trójkę tylko po to, żeby być razem. Tamta, odległa już awantura nie pozostawiła śladów. Żaden z nas już o niej nie myślał.

Naszego nowego Montaignes'a aż miło było oglądać. Chłopak. rozwijał się! Ten pewny siebie i chłodny, zblazowany facet, przemierzający dżunglę niczym stary specjalista ze szkoły przetrwania, w niczym nie przypominał małego lunatycznego naukowca, który na swojej ciężkiej od kufrów pirodze wpłynął w nasze życie rok wcześniej.

Paulo przyglądał mu się z uśmiechem starej babci. Ja również czułem wzmożoną sympatią do tego młodego człowieka. Śmiało mogę powiedzieć, że właśnie tego dnia definitywnie stał się członkiem naszej paczki. Oznaczało to,

że stał się dla nas przyjacielem na dobre i złe, a dla reszty świata — awanturnikiem bez czci i wiary.

Ale wtedy, nad brzegiem Jeziora Dinozaurów, resztę świata mało to obchodziło. Nas tak. Wydarzyła się rzecz nadzwyczajna, nigdy nie widziana, więcej niż niesłychana.

Paulo położył rękę na ramieniu Montaignes'a i powiedział mu:

— Nieźle sobie dajesz radę. Mały. Masz prawidłowe reakcje. To dobrze.

Komplement? Z ust Starego? Jeszcze nigdy nie słyszałem, żeby komuś gratulował. Sądząc po promiennym uśmiechu Montaignes'a, ten doskonale zdawał sobie sprawę z wartości tych słów: były najrzadsze z rzadkich.

Wróciliśmy od strony jeziora, spokojni i powolni niczym emeryci, kiedy dzień zaczynał już powoli ustępować. W dali, nad lasem, w białym i zamglonym świetle wieczoru wznosiły się ku niebu kłęby żółtego dymu.

— Mmm, spójrz, Mały. Wiesz, co to za dymy?

— Widywałem je już nieraz.

— Ja — powiedział Stary — widywałem je często, prawie co wieczór. Zastanawiam się, co to może być...

— Nie wiem — odparł Montaignes. — Gorące źródła... albo bagna. W każdym razie to dość daleko stąd.

Stary milczał chwilę w zamyśleniu, spoglądając na jezioro i dymy unoszące się nad horyzontem, za wielką masą lasu.

— Taaak! — otrząsnął się po dłuższej chwili. — Tak. No, według mnie, to takie dymy nie wróżą nic dobrego. Taaak. Takie żółte dymy nigdy nie przyniosły nic dobrego. Możecie mi wierzyć nie podobają mi się te świństwa!

Kiedy tylko weszliśmy do fortu, zapomniałem o moich towarzyszach. Dokładniej stało się to, kiedy ujrzałem pochylone nad kuchennym paleniskiem małe spiczaste piersi mojej kochanki.

Podszedłem, by miłośnie się przywitać. Ledwie na mnie spojrzała, i to spode łba, po czym odeszła w głąb świetlicy, zostawiając mnie samego, nieporadnego w moim zmieszaniu. Zalała mnie fala smutku. Już koniec! Już mnie nie kocha!

Przez cały wieczór byłem nieswój, niezdolny dzielić dobry nastrój Paula i Montaignes'a. Mała dużo rozmawiała z nimi, a niewiele ze mną. Wspominałem uściski poprzedniej nocy, czując zarazem klucie w sercu i niepohamowane pragnienie, by zacząć na nowo. Toteż po kolacji, kiedy Mała

podśpiewując poszła się umyć i potem wróciła, naga i pachnąca, i przeszła przed nami kierując na mnie swoje czarne spojrzenie, by sprawdzić, czy na pewno ją podziwiam, kiedy pobiegła w stronę naszej chaty kręcąc małą pupką, całkowicie poddałem się radości i opuściłem towarzystwo.

Czekała na mnie na łóżku. Rzuciłem się na nią. Wkrótce zacharowała z rozkoszy, po raz pierwszy tej nocy, chwyciła przedmiot swego pożądania i z oddaniem zaczęła mi udowadniać, że niczego nie zapomniała z lekcji nocy poprzedniej. Mój Boże, jakże uzdolnione były Jej małe dłonie!

Położyłem rękę na jej włosach i lekko, lecz zdecydowanie przycisnąłem jej głowę, ucząc ją nowych pieszczot, które, jak się wydawało, spodobały się jej. Później, kiedy uznała, że dosyć już mnie zabawiła, położyła się na plecach, szeroko otwarta.

— Ty wejść. Ty wejść szybko!

Był to raczej rozkaz niż błaganie. Po paru minutach zaczęła wrzeszczeć i już nie przestała. Była nienasycona, domagając się mnie, przytrzymując, rycząc głośniej, kiedy tylko wydawało się, że zwalniam. Oddawała się najpełniej, jak mogła, jej wielkie oczy lśniły radośnie i wyrażały samicze pożądanie, które doprowadzało mnie do szału.

Uczyła się wszystkiego. Prosiła o jeszcze, bardziej nawet wymagająca niż poprzedniej nocy. Ponownie, starając się jak mogłem, by ją zadowolić, dziwiłem się takiemu zapamiętaniu. Było tego za wiele. Ponownie, i wcześniej niż poprzedniej nocy, zapomniałem całkowicie o bożym świecie i przez kilka godzin oddałem się całkowicie przyjemnościom.

Wczesnym rankiem, kiedy już miało świtać, wspólnie odświeżyliśmy się przy zbiorniku wody, zaśmiewając się. Potem przez chwilę były pocałunki i pieszczoty, kiedy to przytulona poprosiła mnie, by ją nauczyć różnych świństw, które śmiejąc się powtarzała. Wkrótce, słysząc tak nieprzyzwoite wyrazy z tak pięknych ust, poczułem przyływ resztek energii. Chwyciłem ją za kostki u nóg, zaciągnąłem na bok i rozłożyłem, zdecydowany powtórzyć wszystko od początku. Ryknęła na całe gardło.

— Tak! Tak! Do środka jeszcze! I całą wiązkę słów, których dopiero ją nauczyłem.

Następny dzień był dla mnie trudny. Z samego rana wymknęła mi się i później już tylko z oddali posyłała, mi uśmiechy pozbawione jakiegokolwiek czułości.

Usiłowałem się zmusić do myślenia w kategoriach rozsądku, a nie jak europejski szczeniak. Mała była Afrykanką. Jej jasna skóra i kształty nie powinny tego faktu przesłaniać. Dla niej nie istniała miłość na co dzień, ukradkowe całuski i pieszczoty. Romantyzm to wynalazek białych, rzecz sztuczna, forma stosunków, którą wymyśliliśmy, bo nasza rasa lubi skomplikowane historie. Afrykanie, zwłaszcza ci z buszu, jak wszyscy ludzie, dla których przeżycie jest sprawą niepewną, zupełnie nie zawracają sobie głowy takimi rzeczami. Dla nich fakt, że ulżyło się sobie z istotą płci odmiennej, wcale nie oznacza, że trzeba chodzić trzymając się za ręce albo obcałowywać przez cały dzień. Jest co innego do roboty. Miłość to wynalazek próżniaków, mających pełne żołądki i dużo wolnego czasu.

Dostawała chcicy od pełni księżyca? Więc starała się temu zaradzić. Dla niej cały problem był właśnie taki prosty. Powinienem się cieszyć, że mnie właśnie przypadła ta robota, a nie zatruwać sobie życie cierpieniami nieszczęśliwego kochanka.

Lecz słuszne myśli i obiektywna analiza problemu nic tu nie zmieniały. Choć w duchu rozwijałem nowe rasowe teorie, nie myślałem o niej inaczej jak „moja malutka”, „moja księżniczka” i używając innych równie śmiesznych zdrobniałych nazw, przy czym narastała we mnie choroba wielka jak nasze jezioro. I to jej zapamiętanie, też nienormalne, wprowadzało mnie w błąd. W nocy zachowywała się dokładnie jak biała kobieta, bardzo zakochana. Jej nocny głód i jej pragnienie przyjemności były tak wielkie, że nie potrafiłem zrozumieć, by mogła być tak obojętna i spokojna w ciągu dnia.

* * *

Wieczorem czekała na mnie, naga i pachnąca; uczepiła się mojej szyi i wyszeptwała:

— Pierdolić mnie. Pierdolić mnie mocno. Ty, jeśli chcesz, wszystko połamać!

Tej nocy sama z siebie odwróciła się do mnie tyłem, na kolanach, i rozszerzyła pośladki rękami.

— Tu! — warknęła. — Walić mnie tu!

Ponownie prześcignęła mnie samego w pragnieniach, energii i apetycie: rzuciłem się na nią tak, jak tego. chciała, i zapomniałem o wszystkim.

* * *

Wraz ze zmianą fazy księżyca uspokoiła się. Nasze stosunki uległy pewnemu rozluźnieniu, choć zdarzało się nam kochać przez całą noc. Wieczorami zwracała teraz na mnie uwagę i sympatycznie, może z mniejszą pasją, poddawała swoje drobne ciało moim pragnieniom.

Dni upływały podobne jeden do drugiego. Nigdy już nie odnajdę małej dziewczynki z tamtego okresu, czulej i delikatnej. Przyroda i przeżycia zrobiły swoje.

* * *

Miesiąc później, kiedy nastąpiła pełnia. Mała chodziła zdenerwowana przez cały dzień. Wieczorem niewiele brakowało, by zaprowadziła mnie do łóżka trzymając za rękę, a może nawet za co innego. Nastąpiły znowu trzy noce całkowitego zapamiętania i niepohamowanych wrzasków, najgłośniejszych, jakie kiedykolwiek słyszałem. Potem, po tych trzech nocach, uspokoiła się ponownie.

* * *

Życie wróciło do dawnego rytmu.

Liczba nacięć, które Montaignes codziennie wyrzynał na głównym słupie świetlicy, wskazywała, że upłynął siedemdziesiąty dzień, odkąd przybyliśmy nad Jezioro Dinozaurów.

Człowiek może się przyzwyczaić do wszystkiego, strawić każdą tragedię i dowolną sytuację. Najczęściej zabija ludzi utrata nadziei, brak woli przetrwania wobec wydarzeń, które nagle wydają się zbyt ciężkie. My walczyliśmy, co zaowocowało objęciem tego zakątka w posiadanie, i teraz czuliśmy się tu zupełnie swobodnie.

Brak wygod już nam nie dokuczał. Erzac stał się porannym napojem całkiem do przyjęcia, zwłaszcza od kiedy Paulowi udało się dodać do niego kakao. Stary zbudował sobie także leżak i długie wieczorne godziny spędzał w nim na medytacjach, niczym emeryt. Montaignes natomiast coraz więcej czasu poświęcał przyrodzie. Wielokrotnie niepokoił się już o niego, kiedy wracał bardzo późno. Ja ożeniony byłem z piękną dziewczyną, całkowicie

wyzwoloną, której pragnienia były ściśle określone w czasie. Życie płynęło dalej...

* * *

Teraz już każdy z nas miał swoją dmuchawkę i własny kołczan strzał. Spędzaliśmy na ćwiczeniach całe popołudnia, rywalizując ze sobą. W strzelaniu do celu Montaignes był nie kwestionowanym mistrzem dzięki cechującej go precyzji, a w polowaniach — dzięki swej wyjątkowej cierpliwości. Kiedy Paulo i ja siedzieliśmy nieruchomo w krzakach przez godzinę, mieliśmy ochotę zagwizdać na zwierzynę, żeby szybciej nadeszła. Po dwóch godzinach ogarniała nas nieodparta chęć spalenia dżungli, wycia i przebiegnięcia stu metrów, ile sił w nogach.

Ja byłem natomiast mistrzem w rzucie maczetą do tarczy i do żywych stworzeń. Paulo, wraz z Małą, najchętniej oddawał się łowieniu ryb. Dziewczyna znalazła w jeziorze duże szare ryby, nieruchawe, o zwolnionych reakcjach. Oboje spędzali po parę godzin z nogami w mule, trzymając w rękach bambusowe oszczepy, zawzięci, nieruchomi, gotowi do uderzenia. W dziewięciu przypadkach na dziesięć pudłowali, ale w końcu wystarczała jedna taka ryba, żeby zapewnić nam posiłek.

Montaignes, wyczerpawszy uciechy płynące z wynalezienia dmuchawki i napotykać problemy techniczne w konstruowaniu łuku, zrobił dla nas proce. Sprzęt ten składał się z długiego pasa, wyciętego ze skóry potamoszery, i zakończony był małym kwadratem utrzymującym pocisk.

Szybko osiągnęliśmy biegłość w sztuce kręcenia procą tak, by wypuścić jeden koniec dokładnie w takim momencie, żeby pocisk poleciał w kierunku celu. Znajdowaliśmy jednak bardzo mało kamieni, z wyjątkiem dna jeziora, jeśli pogrzebało się w mule.

Ulubioną bronią naszej małej kolonii, nie licząc karabinów, które stale utrzymywaliśmy w dobrym stanie i naładowane, pozostała dmuchawka, wraz z towarzyszącą zatrutą strzałą.

Świetlica powoli zapełniała się skórami węży oraz antylop, cybetek, wiewiórek oraz małpiatek potto, które śpią podwieszane u gałęzi.

Montaignes zajął się także uprawami po zewnętrznej stronie palisady. Zasadził tam wiele gatunków roślin, pochodzących z jego „sadu”, i w ten sposób zamierzał wydatnie zmniejszyć częstotliwość długich wypadów po

żywność. Niedługo wychodzić już trzeba będzie tylko po mango, ignamy i banany, które spożywalimy na skalę przemysłową.

Kiedy zastanawiałem się nad jakimś zajęciem, przyszła mi do głowy myśl o zbudowaniu łodzi. Nie miałem nic do roboty. Prace w obozie nie zajmowały dużo czasu. Piroga, albo coś w tym rodzaju, byłaby dobrą inwestycją na przyszłość.

Zacząłem nad tym myśleć. Wspomnienie Małego Ludzika, w przerażeniu czepiającego się naszej wywróconej pirogi, i jednego uderzenia ogonem, które wystarczyło krokodylowi, by ją do tego stanu doprowadzić, zniechęciło mnie do tego typu łodzi. W drodze powrotnej nie było mowy o uniknięciu Sanghi i tego wszystkiego, przez co już przeszliśmy, a więc i ludojadów, i wszystkich pozostałych miłych specjalności miejscowych.

Potrzebowaliśmy czegoś stabilnego, co zapewniłoby zarazem wygodę i swobodę ruchów, umożliwiającą obronę.

Więc? Transatlantyk? Skromniej, drobnicowiec? Bambusową platformę? Wezwałem Montaignes'a i przedstawiłem mu swój problem.

— Hmm... — powiedział. — Bambusową platformę jest łatwo zrobić, ale nigdy nie uzyska się stabilności i od pierwszej chwili będziemy przemoczeni.

— O ile któregoś dnia się po prostu nie rozpadnie... Myśleliśmy, porównywaliśmy, wymienialiśmy, aż w końcu podjęliśmy decyzję — po olśnieniu Montaignes'a.

— Dwie pirogi! □ wykrzyknął.

— Ciekawe. Więc mnożymy ryzyko przez dwa, tak?

— Nie Mam na myśli dwie pirogi połączone ze sobą, tak jak te łodzie polinezyjskie. Robią to, żeby mieć stabilność na falach.

Znałem ten system, bo kiedyś zajmowałem się w tamtych stronach handlem między wyspami, pływając właśnie w takiej pirodze z wysięgnikiem. Natychmiast podjąłem tę myśl.

Postanowiliśmy wyruszyć całą grupą na poszukiwanie odpowiedniego drzewa. Musiało być wysokie co najmniej na dwadzieścia metrów, a drewno twarde, ale jednocześnie nie za trudne do obróbki. Wełniak byłby tu idealny. W pobliżu rosło ich wiele, ale wszystkie stały mocno. Potrzebowalibyśmy dwóch miesięcy, by ściąć któryś z nich maczetą.

Wystarczyły natomiast trzy dni, by znaleźć pień chlebowca, który runął niedawno, a zatem jeszcze nie przegniły, długości dwudziestu sześciu metrów i obrośnięty co najmniej dziesięcioma metrami gałęzi. Zlikwidowanie ich zajęło nam dwa dni. W wyniku tej pracy otrzymaliśmy długi walec o średnicy mniej więcej jednego metra i jako tako regularny.

— Dobra — zdecydowałem. — Zabieramy go!

* * *

Była to jedna z tych tytanicznych prac, w których rozpoczynaniu nie mam sobie równych. Zadanie ogromne, które zajęło nam dalsze dni. Na początku, przez kilka godzin, usiłowaliśmy pień przetoczyć, wyteżając wszystkie siły. Za każdym nadludzkim wysiłkiem zyskiwaliśmy dobrych dziesięć centymetrów, stękając, pocąc się i walcząc z okolicznymi drzewami. Wysłałem wówczas wszystkich do lasu, z zadaniem dostarczenia jak najwięcej prostych gałęzi, które moglibyśmy podłożyć pod pień.

Następnego dnia rozpoczęła się prawdziwa praca. Obwiązaliśmy pień lianami niczym baleron. Stałem na jednym końcu, mocno zaklinowałem dłonie pod spodem i EEEEH! Unosiłem go na krótkie chwile. Pozostali korzystali z tego, by szybko wsuwać pod drzewo swoje gałęzie. Odpoczywałem. Nabierałem powietrza i ponownie podnosiłem swoje dziecko. Po pewnym czasie stało się możliwe przetoczenie pnia na rozłożone już gałęzie, co utworzyło pod nim szczelinę, w którą dało się wsunąć następne.

Paulo i ja zaprzęgliśmy się do lian. Montaignes i Mała pracowali przy kołach. Kiedy ciągnęliśmy, pień przesuwiał się dość łatwo, tocząc się po gałęziach. Tamtych dwoje biegało z tyłu, podnosząc uwolnione gałęzie, po czym lecieli do przodu, by je tam podłożyć.

Potrzeba było jedenaście godzin wysiłku, by dotrzeć do fortu. Następnego dnia, z bambusów i liści palmowych, zbudowaliśmy daszek, by pień był osłonięty. Ta nowa budowla ochrzczona została pompatycznym mianem „hangaru na łodzie”.

Wkrótce zdałem sobie sprawę, że maczeta nie jest idealnym narzędziem do pracy w twardym drewnie. Od biedy za każdym razem dawało się wystrugać jeden wiór, ale rzecz stawała się coraz trudniejsza w miarę zagłębiania się w drewno. Lekko szacując zanosilo się na rok pracy.

Ale cóż znaczył dla nas rok mniej czy więcej? Choćby najdłuższa i najcięższa, praca będzie postępować... Postanowiłem, że piroga i hangar na

łodzie będą miejscem, gdzie każdy w wolnych chwilach będzie przychodził wyrobić swoją normę wiórów. Zbliżała się pora deszczowa. Wkrótce będą mniejsze możliwości polowań oraz innej działalności. Przez pięć miesięcy woda będzie się lać na nas jak z cebra i drażnienie chlebowca stanie się wówczas cenną odmianą codzienności.

* * *

Któregoś ranka Paulo znieruchomiał nagle z otwartymi ustami, ze wzrokiem utkwionym w szczyt palisady od strony lasu.

— Mamy sąsiadów — powiedział. Odwróciłem się.

— Widziałeś kogoś?

Nie dostrzegłem niczego. Paulo potrząsnął głową z lekkim uśmiechem.

— Mówię ci, że widziałem. Mamy gościa i wierz mi, że to nie wymoczek!

Na szczycie palisady pojawiła się ogromna czarna głowa.

— Masz, znowu jest!

Potem wielkie czoło, szerokie i niskie, a za nim dwoje okrągłych i ciekawych oczu, okolonych kępkami czarnych błyszczących włosów i ogromny płaski nos, składający się z dwóch szeroko otwartych nozdrzy. Wreszcie wielka okrągła szczęka i ramiona zapaśnika, pokryte czarną sierścią.

— Goryl!

— Wygrałeś — odparł Paulo. — I to młody! Muszą być i inne. To bardzo miłe zwierzątka; pójdziemy zobaczyć? Kiedy szliśmy ku bramie, Montaignes zapytał nieco zaniepokojony:

— Słuchaj, Paulo, jesteś pewien, że można tak do nich pójść? Goryle są silne. Nie zaatakują nas?

— Ależ nie, mówię ci, że są cudowne! No, popatrz na Eliasa, miły jest, nie? A przecież jest potężnie zbudowany i wygląda groźnie. No, chodź, sam zobaczysz, przedstawię cię.

* * *

Goryli szpieg uciekł, kiedy tylko się poruszyliśmy. Całą rodzinę znaleźliśmy nieco dalej, rozproszoną po lesie. Górujący nad grupą, składającą się z jakichś dwudziestu osobników, ogromny samiec siedział na tyłku, miał mniej więcej dwa metry wzrostu, wielki jak pięć razy ja albo dziesięć razy jak Montaignes, i przyglądał się, jak podchodziliśmy.

— Uuu... — odezwał się Montaignes, jakby się sparzył.

— Spokój! — powiedział Paulo.

Kilkoro członków rodziny, najbliżej nas, wycofało się na nasz widok ciężkim i kołyszącym się krokiem, podpierając się długimi przednimi łapami.

— Zatrzymajmy się tu — rozkazał Paulo. — Nie należy im przeszkadzać.

Kucnęliśmy mniej więcej dwadzieścia metrów od nich. Większość małą siedziała pośród roślinności, zbierając i czyszcząc młode pędy, które następnie połykała bez ceregieli. Kilka samic, noszących na plecach małe, powoli chodziło po terenie. Dwa małe samce o krótkiej sierści bawiły się spokojnie, popychając się wzajemnie.

Nasz młody kolega schował się w ogromnej kępie roślin o mięsistych liściach. Widać było tylko czubek jego wielkiej czarnej głowy i duże okrągłe oczy, nadal nas obserwujące.

Duży samiec nie spuszczał z nas oczu. Głowę miał wielką niczym kowadło, ozdobioną dwoma imponującej wielkości nozdrzami. Jego ramiona pokryte były gęstym futrem, o włosach dłuższych niż na reszcie ciała, czarnym i błyszczącym. Na bokach futro przerzedzało się, stopniowo przechodząc w szeroką srebrzystą plamę na plecach.

Prawdziwa góra twardego mięsa z czarną maską i oczami utkwionymi w naszych małych postaciach.

— Ten — wyjaśnił Paulo — to wódz. Szef. Wszystkie samice należą do niego.

— Nie wygląda zachęcająco ten koleś — wymknęło mi się.

— Ależ nie! Nie jest taki groźny, na jakiego wygląda. Te wielkoludy prawie nigdy się nie biją. Masz, popatrz!

Czarny olbrzym zrobił: „*Huuumpf!*”, nieznacznie podskakując na siedzeniu. Natychmiast oba małe samce, które zaczynały dokazywać i hałasować, rozdzieliły się i każdy pobiegł w swoją stronę, by ukryć się w krzakach.

— Widziałeś, jaki autorytet? Nigdy żadnych problemów! I zauważ, że wódz to zawsze mędrzec. Żadnej niesprawiedliwości. Szacunek i tak dalej. Są cool, jak wy to mówicie. Wiesz, zastanawiam się, czy nie przywitać się z nim. Wygląda sympatycznie! — dodał, oddalając się.

— Paulo, nie wygłupiaj się!

— A grzeczność — odwrócił się Stary — i stosunki międzysąsiedzkie, słyszałeś o tym?

* * *

I stary wariat wkroczył pomiędzy goryle. Wódz zrobił: „*Huuumpf!*”, które moim zdaniem nie wróżyło nic dobrego, i przyglądał mu się. Paulo szedł powoli, ostrożnie, krok za krokiem, i zmierzał prosto ku wodzowi. Szybko się uspokoiłem. Wyglądało, że zna się na rzeczy. Nigdy nie opowiadał o swoich przygodach z gorylami, ale widocznie miał już z nimi do czynienia i najwyraźniej wiedział, co robi.

Paulo zatrzymał się trzy metry od wielkiego samca, który wstał. Miał ponad dwa metry i przytłaczał krzywonogą postać Starego.

— Kurwa, co on wyrabia?

„*Humpf! Humpf!*” Goryl kiwał się w miejscu. Futro na jego ramionach unosiło się, przez co stawał się jeszcze potężniejszy i sprawiał jeszcze większe wrażenie. Cała rodzina przestała ogryzać pędy i z uwagą przyglądała się widowisku.

Wódz zrobił krok do przodu i zaczął chrząkać głośniejsze. „*Grumpf! Grumpf!*” Tupał nogami w ziemię, aż się zatrzęsło. Potem nagle jakby się rozzłościł i jął walić się w piersi mocnymi uderzeniami pięści: prawdziwy tam–tam, na którego odgłos wtuliliśmy głowy w ramiona.

Pod jego stopami ziemia kołysała się. Chrząknięcia zamieniły się w donośne, basowe okrzyki... Paulo! Zostanie rozerwany na strzępy.

Stary, stojąc nieruchomo w obliczu tej burzy, jakby w ogóle ignorował goryla. Nie drgnął nawet, kiedy cała ta wielka masa runęła na niego dwoma susami. Goryl zatrzymał się dokładnie przed nim. Głowa Paula sięgała mu do piersi. Przez chwilę myślałem, że to już koniec.

Wtedy wielki samiec nagle się uspokoił i stanął nieruchomo przed Paulem, który odczekał krótką chwilę, po czym powoli zaczął się schylać, by w końcu usiąść na ziemi. Wielki goryl popatrzył na niego przez chwilę, z rozstawionymi krótkimi i grubymi jak słupy nogami, po czym odwrócił się, kołysząc z boku na bok — „*Humpf!*” □ i sam usiadł. Pozostałe goryle powróciły już do swoich czynności, tracąc wszelkie zainteresowanie dla sprawy. Paulo posiedział chwilę, potem powoli wstał.

— I co... Bardzo mi miło, nie? Proszę do nas zaglądać — usłyszeliśmy, jak mówił.

Wrócił do nas rozpromieniony.

— Mówiłem wam, że są cool! Udują mocnych, Tarzanów, ale nie szukają zaczepki. Większość myśliwych strzela, kiedy goryl odstawia ten swój cyrk, po prostu ze strachu! A wystarczy, żeby bałwan przeczekał. To wstyd strzelać do tak miłych zwierząt!

Zrędliwie powtórzył jeszcze parę razy „wstyd, wstyd”, po czym zatrzymał się, z lekkim uśmiechem, jakby sobie coś przypomniał.

— Chociaż — dodał — jeśli chodzi o mnie, jak byłem młodszy, to trzeba przyznać... Nie zawsze byłem dla nich miły...

Później dość często odwiedzał nas wielki samiec o srebrzystych plecach i jego rodzina. Poruszali się, jak się wydawało, jakby po stałej trasie dookoła jeziora, zjadając wszystkie pędy, trawy, korę i owoce w jednym miejscu, po czym przenosili się dalej, a tam przez ten czas roślinność odrastała.

Kiedy wiedzieliśmy, że są w pobliżu, zostawialiśmy na zewnątrz fortu stosy owoców. Na ogół przychodził po nie ten młody, który pierwszy nas odwiedził. Podchodził do prezentu ostrożnie, na czworakach, długo rozglądał się dookoła, by sprawdzić, czy jesteśmy w pobliżu. Potem próbował jednego owocu, obierając go starannie ze skóry zębami. Wtedy zgarniał wszystko w ramiona i zanosił jedzenie do stada, zawsze gubiąc po drodze kilka sztuk.

Ostrzegły nas pierwsze ulewy, gwałtowne i szybkie, zalewające wszystko i powtarzające się bardzo regularnie, w odstępach mniej więcej dwugodzinnych, również w nocy.

Natychmiast wewnątrz fortu kazałem wykopać cztery kanały, odprowadzające wodę, która niebawem miała nas zalać.

Zgodnie z przewidywaniami po czterech dniach nawracających deszczów, rozpoczął się potop. Była to gęsta i nieprzerwana kurtyna wielkich kropli spadających pionowo, która nadawała wszystkiemu smutną, szarą barwę, poważnie ochładzała powietrze i nigdy nie ustawała.

W strefie równikowej pada przez większą część roku, i to w skali niewiarygodnej. Montaignes mówił mi o siedmiu tysiącach milimetrów wody rocznie na metr kwadratowy, czyli o warstwie grubości siedmiu metrów! Te niesamowite ilości wynikały z tego, że deszcz padał nieprzerwanie. Padało, padało i padało.

Już drugiego dnia stało się oczywiste, że Montaignes i ja byliśmy zbyt optymistycznie nastawieni. Kanały odwadniające szybko się wypełniały i woda wystąpiła z brzegów. Wkrótce fort stał się jednym wielkim bagnem z gnijącą trawą i niebawem pokrył się warstwą czerwonej i lepkiej mazi, która brudziła wszystko.

* * *

Prace zostały zawieszono. Nie sposób było cokolwiek robić pod tym potokiem wody, która bezustannie bębniła — dzień i noc. Początkowo delektowałem się tym wymuszonym odpoczynkiem, mającym dla mnie tę zaletę, że przez cały dzień pozostawałem sam na sam z Małą.

Lecz szybciej niż tego oczekiwałem, ogarnęła nas nuda. Szarzyzna i wilgoć nie pozwalały na prawdziwe odprężenie. Pomimo naszych starań do chaty dostawało się błoto. W palmowym dachu pojawiły się przecieki i nieliczne ubrania, które nam pozostały, przestały w ogóle wysychać.

Toteż pragnąc walczyć z ogarniającą nas beczynnością i smutnym bezwładem i by odwrócić naszą uwagę od myśli o czekających nas pięciu miesiącach tego potopu, zarządziłem wielkie prace w stocznioowych warsztatach. Od tej pory większość czasu spędzaliśmy wokół pnia serecznika w hangarze, który rozbudowaliśmy, zamykając go całkowicie, o kilka kroków od bramy fortu. Montaignes zgromadził tu cały zapas dukume do produkcji pochodni i jego słodkawy zapach. Wprawiał nas w lekką euforię. Prace trwały niekiedy do późnej nocy.

W robocie tej nie było nic męczącego ani naprawdę trudnego. Drażyliśmy pirogę własnym rytmem, wszyscy wiedzieli, że mają przed sobą wiele miesięcy, by doprowadzić ją do stanu używalności. Wieczorem nikomu nie chciało się spać, bo brakowało nam wysiłku fizycznego i długich wypadów poza fort. W hangarze na łodzie odbywało się więc coś w rodzaju nocnego czuwania, podczas którego trochę drażyliśmy, a wiele dyskutowaliśmy.

Jak można rzeczywiście pasjonować się pracą, która niemal nie posuwa się do przodu? Byliśmy całkowicie pozbawieni niezbędnych narzędzi. Montaignes znalazł wprawdzie, gdzieś nad jeziorem, wielki szary i twardy kamień, który umożliwiał ostrzenie maczet na tyle, by przynajmniej wydawało się nam, że wdzieramy się w głąb drewna. Jedna z nich była jednak już tak zużyta, że zmniejszyła się do rozmiarów małego kuchennego noża. Po dłuższych wysiłkach udało nam się nadać ostrzom dwóch innych maczet

półokrągły kształt, dzięki któremu zrobiły się z nich całkiem skuteczne dłuta, za pomocą których, jeżeli napierało się z całej siły, można było ścinać z pnia długie wióry mniej więcej milimetrowej grubości. Niczego lepszego nie mieliśmy.

W ten sposób zdałem sobie sprawę zawartości metalu. Mieliśmy tylko tych sześć zniszczonych maczet jako narzędzia do wszystkiego. Metal tnie, wytrzymuje, łamie i załatwia każdy kawałek drewna. W naszej sytuacji, kiedy byliśmy go pozbawieni, doceniliśmy w pełni jego wagę. Bez niego materia staje się oporna. Gdyby nie maczety, w jaki sposób udałoby się nam zbudować nasze instalacje?

* * *

Mała siedziała z nami w hangarze na łodzie. Nie pracowała i tylko z daleka uczestniczyła w naszych dyskusjach. Przesiadywała w kącie, zawsze tym samym, i patrzyła na nas oczami, które wydawały mi się smutne. Mówiła mało, tylko wtedy, gdy ktoś się do niej zwracał i jak się wydawało nie próbowała przełamać tego osowienia, tak u niej niezwykłego.

Sądziłem, że deszcz ciąży jej bardziej niż nam. Być może uzmysławiał jej naszą izolację i odcięcie od świata. Nie zapomniałem, że była bardzo młoda, złaźniona życia i zabaw, pragnęła uczestniczyć w życiu swojej wioski zamiast siedzieć tu, zamknięta, z trzema białymi pośrodku dziewiczej dżungli.

Natomiast dwaj pozostali byli w humorach więcej niż doskonałych. Każdy dzień obfitował w paroksyzmy kretyńskiego i nie kończącego się śmiechu, zarówno jednego, jak i drugiego. Wystarczyło jakieś jedno słowo podczas rozmowy, zwykle przechodzące w kalambur, tak prostacki, jak tylko się dało, i już...

Montaignes ogarnięty był euforią, z rozszerzonymi źrenicami, mówił coraz bardziej nieskładnie, na wielkim haju pod wpływem grzybków, które znalazł gdzieś w dżungli.

Paulo, ze swej strony, był pijany. Któregoś dnia zatrzymał się na widok czerwonych owoców o pomarańczowym miąższu, popękanych i lekko gnijących, które przyniósł do fortu Montaignes.

— Co to za świństwo? — spytał uprzejmie.

— Sam nie wiem. Jakiś owoc palmy, ale nigdy nie widziałem tak wielkich. Zabawne jest to, że sama palma jest malutka. Karłowaty gatunek o olbrzymich owocach.

Paulo powąchał z zachwytem na twarzy, po czym zapytał podejrzliwie:

— No więc w końcu są to owoce palmy czy nie?

— Tak.

— Nie są trujące?

— Nie. Na sto procent nie. Próbowałem. Zresztą są niesmaczne. Stary poklepał Montaignes'a po ramieniu z tajemniczym uśmiechem na ustach.

— Niech pan botanik łaskawie nie obmawia tych zgniłych owoców. Niech pan pomyśli, że jeśli panu nie smakowały, to być może dlatego, że nie potrafił pan ich przyrządzić, panie agronomie!

Jeszcze tego samego wieczoru Paulo nastawił owoce do fermentacji. Następnego dnia widziano go, jak pomiędzy kolejnymi ulewami nerwowo biegał z jednego końca fortu na drugi. Gromadził tajemnicze sprzęty: tykwy, długi odcinek bambusowej rury irygacyjnej, i śmiał się przy tym cicho, potrząsając znacząco głową w sposób, który moim zdaniem nie wróżył nic dobrego. Kiedy Stary cieszył się bez powodu, można było praktycznie być pewnym, że szykował się jakiś monumentalny idiotyzm.

— Paulo, co ty szykujesz? — próbowałem się dowiedzieć. Popatrzył na mnie przebiegłym wzrokiem chytrego kupca.

— Nie mogę ci powiedzieć, Mały. Może się mylę... Jutro najpóźniej — obiecał — będę miał odpowiedź. Gra?

Odchylił się do tyłu i zaczął wrzeszczeć:

— Zresztą, jeśli nie gra, panie ciekawski, możesz mi to powiedzieć!....

Zrezygnowałem.

* * *

Nazajutrz Paulo zniknął na cały dzień. Pojawił się dopiero podczas wieczornego posiłku, który spożywaliśmy w hangarze na łodzie, stojącym się najgościnniejszym pomieszczeniem w forcie. Nagle wpadł jak furiat, zatrzymał się w miejscu, powstrzymał się, by nie upaść na nos, i złapał ... równowagę. Popatrzył na mnie mętным wzrokiem.

— Udało się! D... D... Do jasnego chuja! Mówię ci, że... że... że udało się! Masz, spróbuj!

Podał mi bambusową rurkę wypełnioną ciepłym jeszcze płynem, prosto z alembika, o zapachu dziewięćdziesięcioprocentowego spirytusu.

— Wi... wino palmowe!... Produkcji Paula! Moje własne! Spróbuj tylko! To dru... drugi rzut! Jest jeszcze lep... jeszcze lepszy niż pierwszy!

I od tej pory chodził pijany w sztok przez większość dnia, to znaczy po godzinie dziesiątej, kiedy to zwykle odkładał dłuto, zacierał ręce jak stary robotnik i oznajmiał:

— No, no! Już pora na kielicha! Ale tu szybko płynie czas! I bez mrugnięcia okiem wlewał w siebie potężne porcje swojej gorzkiej mikstury o smaku nafty, której sam zapach przyprawiłby normalny żołądek o skurcze. Opróżniał pojemnik, cmokał jak po koniaku i trzydzieści pięć sekund później zaczynał wariować i opowiadać kawały sprzed pół wieku, pokładając się ze śmiechu. Któregoś dnia, gdy zobaczyłem, jakie pochłania tego ilości, lekko zaniepokojony stanem jego przewodu pokarmowego odciągnąłem go na bok.

— Paulo...

— Wiem! Myślisz, że nie wiem, co chcesz mi powiedzieć?

— Paulo...

— No więc słuchaj: piję, bo nie ma nic innego do roboty, i będę pił tak długo, na jak długo starczy. Przeszkadza ci to?

— Nie. Chodzi o ciebie...

— O mnie... O mnie... Czego byś chciał? Żebym się narkotyzował, jak tamten wariat?

Bo według Paula Montaignes zwariował.

Młodzieniec przyszedł do mnie któregoś wieczoru z triumfującą miną.

— Elias! Elias! Popatrz! Znasz to?

Pokazywał mi ze dwadzieścia małych brązowych kulek.

— Tak, to grzyby.

Wzniósł oczy do nieba, uderzył się ręką w czoło, jakby ten tępy Elias naprawdę nie miał o niczym zielonego pojęcia. Wziął jeden z grzybów i dwoma paznokciami starannie zdarł ciemną błonę, którą podsunął mi pod nos.

— A to? A to? — spytał podniecony. — Co to jest, to?

— No...

— To, Elias, to psylocybina. Magia kolorów, Elias... To druga strona rzeczywistości; „*Opium powiększa to, co bezkresne, i wydłuża nieskończone*”, mawiał Baudelaire. Aaach, gdyby mógł poznać to tutaj!

Zauważyłem wówczas jego oczy o poszerzonych źrenicach, o prawie czarnej tęczówce, zauważyłem niezwykle, gorączkowe podniecenie na jego twarzy i lekkie drżenie, jakie wstrząsało całym jego ciałem.

— To te grzybki wprawiają cię w taki stan?

— Psylo! Magie mushrooms! To grzyby halucynogenne, Elias! Na jego nalegania Paulo i ja poddaliśmy się doświadczeniu. Nastąpiło kilka godzin nie kontrolowanych przemyśleń, w trakcie których wszystko zdawało się logicznie układać, ale nigdy nie prowadziło do żadnego konkretnego rozwiązania. Chwilami następowały wzrokowe odkształcenia, wydawało się, że niektóre rzeczy rosną albo nawet oddychają. Po powrocie na ziemię, dobrych sześć godzin później, nasze zdania były podzielone.

Byłem za, ale niezbyt często. Nie lubiłbym stale chodzić na haju, jak to czynił Montaignes. Mały seansik delirium, halucynacji i zaśmiewania się do rozpuku nigdy nikomu nie zaszkodził. Ale tak przez cały dzień to musiało prowadzić do zdziwienia.

Paulo ze swej strony przeklinał wszelkie narkotyki oraz narkomanów i twierdził, że następnym budynkiem w forcie będzie więzienie, bo nie było mowy o tym, żeby pozwolić hipisom na życie z nami.

Każdego ranka Montaignes zażywał swoją porcję na śniadanie. Zrezygnowaliśmy z erzacu, odkąd znalazł w lesie kępę trzciny cukrowej. Zrobiona z niej papka, rozmoczona parę dni w wodzie, dawała zielony i gęsty koncentrat, który zmieszany z gorącą wodą był pyszny i przyjemnie rozgrzewał całe ciało. Jeśli dodać do tego szczyptę prażonego kakao, napój stawał się wręcz boski.

Montaignes natomiast miał swoją miseczkę miodu. Trzymał grzybki w cukrze tak długo, aż otrzymywał czarną pastę o konsystencji miodu. Choć cukier nie likwidował całkowicie ich ohydneho smaku, pozwalał jednak jakoś je przełknąć. Zjadał kilka łyżeczek preparatu i bardzo szybko następował odjazd.

Najpierw zaciskał dłonie na krawędzi stołu, jakby przeżywał wewnętrzny szok. Na jego twarzy pojawiał się szeroki, głupawy uśmiech, który, choć potem się zmniejszał, pozostawał na niej przez resztę dnia. Jego źrenice rozszerzały się błyskawicznie, i wkrótce miał to wariackie spojrzenie towarzyszące mu nieodłącznie.

W warsztacie sadowił się zawsze w tym samym miejscu, tam gdzie w przyszłości miał być dziób pirogi, i drażył jednostajnym, regularnym ruchem, po każdej grze słów tamtego pijaka wybuchając długim śmiechem, który wstrząsał nim bez końca.

Jednym słowem był na pełnym haju przez cały dzień. W porównaniu z nimi ja byłem wzorem trzeźwości. Ale ja miałem towarzyszkę, a oni nie. Na ich miejscu robiłbym to samo.

Dni płynęły powoli i nasze schronienie w forcie, które powodowało, że byliśmy jeszcze bardziej samotni niż zwykle, zaczynało nam ciążyć. Na szczęście deszcze zelżały trochę i codziennie mieliśmy kilka spokojnych godzin. Nie było słonecznie, ale po paru tygodniach ulewy i zamknięcia przejaśnienia te wygoniły nas — spragnionych świeżego powietrza, na zewnątrz.

Podczas jednego z wypadów znalazłem, strachliwie ukrytą w ociekającej wodą kępie palmowców, małą galago, uroczą małpkę o miękkiej, krótkiej sierści i wielkich brązowych oczach zajmujących prawie całą jej głowę. Miała małe pyszczek, bardzo ciepły, i małe serduszko, które kołatało jak szalone pod moją dłoń. Zaadoptowałem ją natychmiast. Miałem dla niej zadanie do wykonania, mianowicie wywołanie uśmiechu na twarzy Małej, mojej narzeczonej, która chodziła coraz bardziej osowiała.

Mała zaklaskała w dłonie, wybuchnęła śmiechem, wyczałowała mnie dziesiątki razy i ku mojej wielkiej radości nie przestała uśmiechać się przez cały wieczór, czule przyciskając galago do piersi.

Byłem zadowolony, że trafiłem. Jej melancholia wynikała z jej osamotnienia, bez małego towarzysza dla rozrywki, jak biedny Bebe. Głupio, że wcześniej nie pomyślałem o zastąpieniu szczeniaczka.

Moja uwielbiana chodziła szczęśliwa przez kilka dni, a mała szara kulka zawsze siedziała jej na rękach albo przebywała w pobliżu. Potem jakby straciła dla niej zainteresowanie. Mała okrągła małpka obijała się w kuchni, a ona nie zwracała już na nią uwagi ani nie przyprowadzała jej do warsztatu. Po paru dniach małpka zdechła, a Mała nie zwróciła na to większej uwagi, ponownie ogarnięta całkowitą obojętnością na otoczenie.

* * *

Co też mogło jej być? Odkąd zaczęły się deszcze przygasła jeszcze bardziej. Patrząc na jej szyję i żebra zauważyłem, że straciła na wadze, a przecież nigdy nie była zbyt tęga. Zauważyłem też, że nie jadła już z nami posiłków i zaniepokoiło mnie to.

— Mała — powiedziałem — siadaj, chodź jeść!

— Nie, nie! Nie głodna!

Machała ręką z obrzydzeniem i obiecywała, że zje później, albo twierdziła, że właśnie coś przekąsiła. W nocy nie przejawiała już żadnych pragnień ani czułości, ani seksu i rzadko wieczorem wypowiadała więcej niż kilka słów.

Sądziłem, że nudzi się w obozowisku, i starałem się, by codziennie spędzić z nią kilka godzin, mając nadzieję, że uda mi się poprawić jej nastrój. Chodziliśmy na spacer albo, jeśli padało, zamykaliśmy się w naszej chacie: Brałem ją za rękę i bez końca usiłowałem spowodować, by się uśmiechnęła.

— Wiesz, któregoś dnia wyjedziemy oboje. Nie zostaniemy tutaj do końca życia. Kiedy Łódź będzie gotowa, wszyscy wrócimy, a potem zabiorę cię gdzieś bardzo daleko. Chciałabyś?

Potakiwała powoli głową, niezbyt przekonana.

— Nie wierzysz mi?

Potrząśnięcie głową.

— Polecimy samolotem. Wiesz, co to jest? To,..eee... taki ptak!

I można do niego wsiąść. Leci się do nieba. Ty, ja, w niebie. Chcesz?

— Tak.

Myśl o niebie sprawiała, że powracał jej blady uśmiech. To już było coś, ale pogrążałem się w rozpacz. Chciałem, żeby była szczęśliwa, wesół, roześmiana, taka, jaką widywałem ją dawniej. Nie rozumiałem, co ją gnębiło, i przeklinałem samego siebie za to, że byłem zbyt głupi albo zbyt niezdarny, by znaleźć właściwe słowa.

— Kochanie moje malutkie, zobaczysz. Pojedziemy do wielkiego miasta i kupię ci dwieście sukienek. Wierzysz mi, moja śliczna? I tyle biżuterii, ile będziesz chciała.

Boże! Zobaczyć choć trochę radości na tej ślicznej twarzy! Gimnastykowałem się by wymyślić coraz cudowniejsze plany, starając się rozbudzić w niej marzenia, by chociaż w myślach wyszła poza fort. Gdyby tylko ten deszcz mógł przestać padać na więcej niż kilka godzin, powtarzałem sobie, by nastąpił jaśniejszy dzień, który pozwoli mi zabrać ją na dłuższy spacer po okolicy. Byłem pewien, że to jej dobrze zrobi...

* * *

Któregoś ranka nieśmiały promień słońca przebił warstwę chmur. Przez całą noc nie padało. Postanowiłem zaryzykować, postawiłem na to, że dzień będzie słoneczny, i zaprosiłem Małą, by poszła ze mną.

— Pójdziemy na spacer? Daleko, na cały dzień? Co? Zgodziła się. Zabrałem trochę jedzenia i zaprowadziłem ją nad jezioro, gdzie zepchnąłem bambusową tratwę do wody.

— No, wskakuj! Któregoś dnia polecimy samolotem, ale dzisiaj będzie przejażdżka na wodzie. Podoba ci się?

— Tak.

Usiadłem z tyłu, moja mała księżniczka usadowiła się z przodu, ze wzrokiem utkwionym w dal. Za pomocą trzcinowej tyki odpychałem się od dna, jak najdelikatniej. Tratwa, która służyła nam do przewożenia zwałów trzcin podczas budowy fortu, była niestabilna, tańczyła we wszystkie strony i stojąc na rufie musiałem pilnie uważać, by nie upaść.

Brzegi powoli i majestatycznie przesuwwały się po bokach. Fort, osłonięty kurtyną drzew, nie był prawie znikąd widoczny. Kępy trzcin tworzyły wielkie zielone bariery, które wrzynały się głęboko w wodę.

Po godzinie pływania uznałem, że szczęście mi sprzyja. Po raz pierwszy od dawna sklepienie chmur zdecydowanie rozstało się i przepuściło promienie słońca. Siedząca na przedzie Mała, z zamkniętymi oczami, zwróciła twarz ku światłu ze słabym zrezygnowanym uśmiechem.

* * *

Pozwoliłem tratwie dryfować i sam też rozsiadłem się wygodnie. Dostrzegła to i sama przysunęła się do mnie, co nie zdarzyło się już od bardzo dawna.

— Fajna przejażdżka? Podoba ci się?

— Tak. Słońce dobre.

Upłynęło kilka cudownych godzin. Mała szybko odprężyła się. Słońce mocno prażyło nad wodą i syciliśmy się jego ciepłem. Zacząłem opowiadać głupstwa i Mała coraz wybuchała śmiechem, który podnosił mnie na duchu.

Popluskaliśmy się nawet trochę w wodzie, jak za dawnych czasów, kiedy byłem z nią taki szczęśliwy. Hałasowaliśmy, popychaliśmy się. Udawałem, że tonę, tracąc przytomność, i rozkoszowałem się jej śmiechem, kiedy wypływałem na powierzchnię.

Potem położyła się nago na tratwie, wystawiona ku słońcu. Rysy jej twarzy były bardziej odprężone niż w ciągu ostatnich tygodni. Pohamowałem pragnienie, by pogłodzić ręką to jej drobne ciało, które tak bardzo kochałem, ale nie chciałem jej przeszkadzać. Zadowalałem się patrzeniem na nią, syciłem nią oczy, powtarzając sobie, że bardzo ją kocham.

Wkrótce obudziła się, przeciągnęła, prężąc swoje piękne plecy, oczarowała mnie czułym spojrzeniem, po czym ponownie chwyciłem za trzcinę, by popłynąć dalej na zwiedzanie jeziora. Myślałem o tym francuskim uczonym, o którym opowiadał Montaignes, wariacie łudzącym się, że znajdzie tu żywe dinozaury. Jakże musiał być rozczarowany, jeśli tu dotarł — w promieniu tysiąca kilometrów nie było spokojniejszego zakątka. Patrząc z tej perspektywy nawet wysokie korony drzew i gigantyczny las nie wydawały się już wrogie. Wystarczył promień słońca i wszystko się rozjaśniało, nawet twarz mojej Małej!

Napawałem się optymizmem. Sytuacja nie była tak poważna, jak powoli zaczynałem sądzić pod wpływem tych wszystkich szarych i mokrych dni. Trzeba tylko przetrzymać do czasu ustania deszczów. To wszystko. Za parę miesięcy, kiedy nadejdą piękne dni, załadujemy łódź i opuścimy to wszystko. Była to tylko kwestia cierpliwości.

* * *

Zastanawiałem się nad tym, kiedy coś na brzegu przykuło moją uwagę. Skierowałem tam tratwę. Była tu obszerna zatoczka, pomiędzy dwiema kępami trzciny, jedna z podobnych dziesiątkom dookoła jeziora. Trawy były wydeptane i wydawało mi się, że to ślady stada bawołów, albo innej dużej grupy zwierząt. Steki, o których każda informacja mnie interesowała.

Kiedy dotarłem na odległość paru metrów od brzegu, zrozumiałem, że nie były to ślady bawołów, ale wielkie okrągłe zagłębienia po nogach słonia. Widząc ich rozmiary natychmiast zrozumiałem, kto je zostawił.

Ten okaleczony skurwysyn dotarł aż tutaj!

* * *

Wyskoczyliśmy na brzeg, by przyjrzeć się śladom z bliska. Były świeże. Ostatni raz padało poprzedniego dnia po południu. M'Bumba był więc tutaj wieczorem albo nawet tego ranka. Być może minęliśmy się o parę godzin.

— Och, kurwa!

Zapomniałem już o tym śmierdzielu. Zresztą każdy z nas odsunął go gdzieś w podświadomość. Nawet już o nim nie rozmawialiśmy. I oto teraz pojawił się znowu. Nad brzegiem Jeziora Dinozaurów, tak jak coś kiedyś nam powiedziało.

Dziwiła mnie mnogość śladów. Można by pomyśleć, że M'Bumba chodził tam i z powrotem, a przecież zakątek był raczej niewielki. Z jakichś powodów, których nie potrafiłem sobie wytłumaczyć, musiał tu łązić w kółko. Ale dlaczego? Jeżeli przyszedł się napić, jak wskazywała na to logika, nie miał żadnego powodu, by dreptać tu w miejscu. Gdyby ogarnął go szal każący walić w ziemię, jak to już widziałem wcześniej, musiałyby być zniszczenia. Ale skraj roślinności, rozpoczynającej się dziesięć metrów dalej, był całkowicie nienaruszony. A gdyby się zdenerwował, usłyszelibyśmy go, choćby z oddali.

Nie. Chodził tu wzdłuż i wszerz, stale zwrócony ku jezioru, na pewno bardzo spokojnie, ale długo. Ze spuszczoną głową, pochłonięty sprawdzaniem każdego śladu, zachodziłem w głowę i nie mogłem zrozumieć. Po chwili, przypadkowo, uniosłem głowę i mój wzrok padł na przeciwległy brzeg jeziora. Zmartwiałem.

Naprzeciwno, jakieś półtora czy dwa tysiące metrów, doskonale widoczny przez rzadkie w tym miejscu drzewa za zieloną palisadą, widniały nasz fort i mały hangar na łodzie.

Był to zapewne jedyny punkt nad jeziorem, skąd tak dobrze widoczna była nasza posiadłość.

Dlatego słoń pozostawał tutaj tak długo! Obserwował nas. Jakkolwiek mogło się to wydawać dziwne, jakkolwiek było to właściwie niemożliwe, stało się oczywiste. M'Bumba nas szpiegował...

* * *

W drodze powrotnej poprosiłem Małą, by zachowała nasze odkrycie w tajemnicy, i sam też nie powiedziałem o tym ani słowa moim towarzyszom.

— I co, Elias? Coś nowego na jeziorze?

— Och, nie. Ciągle to samo... Kąпалиśmy się... To wszystko... Udałem, że jestem w dobrym humorze, i wieczorem szybko poszedłem się położyć, by przemyśleć to w spokoju.

Kiedy tylko zauważyłem ślady, a jeszcze bardziej kiedy odkryłem ten widok na nasze włości, opanowało mnie paskudne przecucie, połączone z

jakąś głęboką rozpaczą. Wiedziałem, że pech nadal czai się w pobliżu, pomimo walki, pomimo optymizmu ostatnich miesięcy, i czułem w sercu jakieś zimno mówiące, że wszystko zaczyna się od nowa. Wystarczyła jedna sekunda, by powróciły aberracje i czary.

Nie chciałem wprowadzać w forcie psychozy strachu. Wiedziałem, że moi towarzysze, podobnie jak ja sam, zapomnieli już o M'Bumbie. Każdy pragnął tylko jednego: by ten potwór nie przybył na umówione spotkanie i zagubił się gdzieś wśród tysięcy kilometrów kwadratowych dżungli, a przede wszystkim, abyśmy już nigdy nie wspominali o nim. Każdego ogarnęła nadzieja i poczucie triumfu nad bardzo trudną sytuacją. Przyjść teraz i oświadczyć: „*Okaleczony powrócił. Szpiegował nas przez całą noc. Wie, gdzie jesteśmy i co robimy*”, w nieunikniony sposób załamałoby morale ich obu.

Mała zasnęła przy mnie. Okryłem ją palmową matą domowej roboty, żeby nie zmarzła. Czułem jej oddech na piersi i jej ciało, tak kruche, przytulone do mojego. Po raz pierwszy zwątpiłem w wytrzymałość fortu. To, co dawniej jawiło mi się niczym nienaruszalny warowny gród, teraz, kiedy zobaczyłem potwornej wielkości ślady tego skurwysyna, wydawało się bardzo kruche. Była to w końcu tylko palisada z trzciny. Przypominałem sobie zniszczenia, poczynione przez M'Bumbę, zrównane z ziemią polany, wielkie termitiery w kawałkach, wioskę Kuju...

Ach! Skurwiel! Tak bardzo chciałem o nim zapomnieć. Jedno było pewne, nie byliśmy już bezpieczni. Walcząc o odrobinę snu, podczas gdy deszcz na dworze znów zaczął padać, postanowiłem działać dla dobra ogółu już nazajutrz.

* * *

Naturalnie nie udało mi się zapaść w sen. Po paru godzinach rozmyślań i bezsenności łagodnie odsunąłem Małą i aż do rana czyściłem swój Winchester Express.

Potem zdrzemnąłem się na krótko. Kiedy się obudziłem, wszyscy siedzieli już przy śniadaniu. Zaszedłem do nich na chwilę, żeby się przywitać, i wesoło zawołałem:

— Zajmiecie się łodzią? Ja wybiorę się po trochę świeżego mięsa. I szybko wyruszyłem, nie pozostawiając jednemu i drugiemu czasu, by zaproponowali mi towarzystwo ani by się dziwili, że wybieram się na

polowanie w tak podłą pogodę. Wyszedłem za bramę i pośpiesznie, niczym złodziej, zagłębiłem się w las.

Tego ranka działałem pod wpływem przecucia, które mówiło mi, że jeśli zareaguję natychmiast, wyprzedzając wydarzenia, szczęście uśmiechnie się do mnie i zetknie mnie z M'Bumbą. Wytropię go, zastrzelę i będziemy mieli spokój aż do chwili, kiedy łódź będzie gotowa do wywiezienia nas w dal.

Były to jednak nadzieje zbyt optymistyczne i całkowicie błędne. Nie znalazłem nawet śladu słonia. Żadnego znaku. Nawet złamanej gałązki.

Szedłem najszybciej, jak mogłem, nie myśląc o zmęczeniu, o zadrapaniach i uderzeniach gałęzi. Z nieba lało się na mnie bez przerwy. Biegiem przemierzałem całe połacie brzegu jeziora, po czym zagłębiałem się w las, nie zważając na odległości. Następnie wracałem ku jezioru, z rozpaczliwie pustymi rękami, i zaczynałem od początku. Moje morale cierpiało coraz bardziej. Ciężko mi podwójne uczucie wściekłości i niepokoju na myśl o tym, co się stanie, jeżeli go nie znajdę i nie przeszkodzę mu ostatecznie w działaniu na naszą szkodę; uczucie to rosło w miarę upływu czasu.

Musiało być koło piątej po południu, kiedy, przemoczony od stóp do głów, z ubraniem w strzępach, odczuwając silny ból w piersiach, zatrzymałem się na mały posiłek. Zaraz potem ruszyłem dalej. Nawet noc nie zatrzymała mnie. W koszmarnych warunkach — całkowitych ciemnościach, błocie i wśród niewidocznej już roślinności — nadal — szukałem. Zza zaciśniętych zębów mamrotałem bezustannie przekleństwa. Moja uraza przemieniła się w nienawiść.

* * *

Powróciłem do fortu bardzo późno, wycieńczony i w okropnym stanie, pokaleczony i brudny. Zaprzestałem pościgu bardzo głęboko w lesie. Powrót był jeszcze trudniejszy niż reszta. W gardle tkwiła mi kula goryczy. Paulo czekał na mnie, popijając swój bimber. Rzucił się w moim kierunku, przerażony niczym stara kwoka.

— Elias! Na miłość boską, Elias! Przestraszyłeś mnie. Gdzieś ty byt? Opowiedz!

Objąłem go czule. Nie mogłem mu nic wytłumaczyć, bo nie byłby w stanie zasnąć. Zresztą nie miałem ani ochoty, ani siły.

— Nic... Nic... Po prostu się zgubiłem, głupia sprawa. Dużo czasu zajęło mi odnalezienie właściwej drogi. Wszystko w porządku. To ładnie, że na mnie czekałeś... Nie niepokój się... Wszystko dobrze.

I pochyliłem przy tym głowę, żeby się nie zdradzić, po czym szybko schroniłem się w swojej chacie.

Nie było wątpliwości, ulewa powróciła. Godzina po godzinie zalewały nas tony wody. Kanały ponownie przepełniły się. Przejście dwudziestu metrów w obrębie fortu, by odwiedzić kogoś w chacie, przeprawa do kuchni albo do ubikacji, pozostanie przez niecałą minutę na powietrzu równoważne było kąpieli w jeziorze, nie mówiąc o błocie i gąbczastym gruncie, w którym człowiek zagłębiał się przy każdym kroku.

Obok hangaru na łodzie w ciągu jednego ranka w deszczu wybudowaliśmy małą szatnię, tak by błoto nie dostawało się do warsztatu, w którym spędzaliśmy całe dni: niezbędne, by utrzymać to miejsce w absolutnej czystości. Dni były szare i ciemne. Zapalaliśmy pochodnie już po południu, ale i tak niewiele było widać.

Nigdy więcej nie czułem się już taki odprężony, jak w ciągu poprzednich kilku tygodni. Wiedziałem, że M'Bumba był tuż-tuż za tą zasłoną deszczu. Wisiała nad nami groźba. Jeśli nie mogłem go znaleźć podczas tego katastrofalnego dnia spędzonego na polowaniu, to dlatego, że raz jeszcze zadziałał jego czar. Znowu musieliśmy go znosić i oddać mu inicjatywę. Mógł się pojawić, kiedy chciał — będę gotów na jego przyjęcie. Cokolwiek się zdarzy.

Pobyt stał się jeszcze uciążliwszy z powodu pojawienia się chmar komarów i innych świństw, które przecież jak dotąd trzymały się z dala. W ciągu paru dni powietrze wypełniło się nimi. Wieczory przemieniły się w męczarnię. Przez całą noc legiony najróżniejszych owadów tańczyły brzęczącą sarabandę dookoła jeziora. Było od nich aż gęsto, do przesady. Montaignes odczuwał naukowe zdziwienie. Stary, czyli subtelny Paulo, mruczał, że dawno już nie było żadnego diabelstwa i że te komary jego zdaniem nie wróżą nic dobrego. Taaak... Nic dobrego!

Przygotowaliśmy maść z dość śmierdzącej papki, wydobywanej przez Montaignes'a ze środka pewnego krzaka wskazanego przez Małą. Otrzymany w ten sposób zapach przywodził na myśl zimny tytoń. Komary unikały go jak zarazy. Przez cały dzień smarowaliśmy sobie tym ciało i choć wszyscy

śmierdzieli w sposób niewyobrażalny, unikaliśmy przynajmniej zbytniego pokąsania.

Nagle Montaignes zrobił się jeszcze dziwniejszy. Jego oczy pałyły niezwykłym blaskiem i wygadywał coraz bardziej bezsensowne rzeczy. Po dwóch dniach Paulo uznał nawet, że należałoby o tym ze mną porozmawiać.

— Słuchaj no, zastanawiam się, czy nie należałoby zabronić szczeniakowi obżerania się tymi świństwami. Nigdy dobrze to na niego nie działało, ale uważam, że ostatnio już mu zupełnie odbija.

— No, wiesz, odbijało mu zawsze...

— Słuchaj, dzisiaj przez dwie godziny rozmawiał z jakąś panią! Zrób coś, Elias. Poradź mu, żeby się upijał albo coś innego!...

Następnego dnia w warsztacie, koło południa, Montaignes zachwiał się i omal nie upadł na pirogę. Wyprostował się i spojrzał na nas, z szeroko otwartymi oczami, jakby nas nie widząc, z pobladłą twarzą. Wielkie krople potu spływające po jego twarzy wyjaśniły nam wszystko.

— Ha! Nic dziwnego, przy tylu komarach! No, szczerze mówiąc uspokoiłem się. Chodź, Mały, położę cię do łóżka. To nic straszego. Pocierpisz trochę, ale za parę dni będzie po wszystkim. Masz malarię. Już się zastanawiałem, kiedy cię to złapie! Nie martw się... chodź... Zajmiemy się wszystkim.

* * *

W ciągu następnych dni Montaignes nie wstawał. Każdego ranka przenosiliśmy jego łóżko do warsztatu, żeby przebywał z nami i byśmy mogli w każdej chwili obetrzeć mu czoło i ciepło go okryć. Ataki malarii powodują piekielne przypiływy na przemian ciepła i zimna. Temperatura ciała dochodzi do 41–42°C, powodując obfite pocenie się. Wychodzi z człowieka cała woda, cały tłuszcz. Traci się kilogramy niewiarygodnie szybko. Po takiej fazie gorąca, kiedy jest się już porządnie mokrym, następuje przypiływ zimna. W ciągu paru minut wewnątrz ciała lodowacieje. Półprzytomny człowiek ledwo wie, co się z nim dzieje. Ma się tylko uczucie: raz, że ciało płonie, raz, że jest przemarznięte. Takie wycieńczające organizm skoki mogą trwać całymi dniami, czasami nawet tygodniami, niezmiennie w tym samym rytmie.

Malaria, zwana też zimnicą, wcale nie musi być śmiertelna. Silne organizmy, ludzie twardzi miewają nawroty choroby przez całe życie, dwa lub trzy razy do roku, a między nimi niekiedy przypadki zasłabnięć. Jeśli

organizm jest słabszy, ryzyko jest większe. Wszystko zależy od siły ataku i stanu chorego. Widywało się już siłaczy, którzy umierali, podczas gdy rachityczne dzieci przeżywały. Wiele zależy też od stanu poszczególnych organów wewnętrznych. Malaria może na przykład zaatakować wątrobę, jeśli ta była już wcześniej chora. Jest to jeden z powodów, dla których zimnica czyniła spustoszenie wśród białych żyjących w tropiku, zarówno osadników, jak i pozostałych. Po pewnym czasie amatorzy whisky, których procent w tej grupie jest wysoki, umierają na wątrobę.

Na malarię nie ma lekarstwa. Tylko chinina, a i to nie zawsze, może to świństwo zahamować. Ale myśmy jej nie mieli, nie było niczego, co mogłoby przynieść Montaignes'owi ulgę. Jedyne, co mogliśmy zrobić, to być przy nim podczas ataków, i mieć nadzieję, że jego organizm wytrzyma.

* * *

W hangarze na łodzie zbudowaliśmy łóżko. W ten sposób mogliśmy czuwać przy nim przez cały dzień nie przerywając pracy. Owijaliśmy go jedną z tych plecionych mat, których mieliśmy spory zapas, a kiedy dostawał drgawek, okrywaliśmy go jeszcze skórami zwierząt, głównie potamoszer.

Biedak był blady, przybrał woskową, żółtawą barwę. Jego twarz naznaczyły bruzdy, po których nieustannie ściekały wielkie krople potu. Leżał nieruchomo, pogrążony w całkowitej śpiączce przerywanej krótkimi przebudzeniami, podczas których majaczył wykrzykując bezsensowne urywki zdań. Jego pot wydzielał gorzki, mdlący zapach, którym pomału przesiąkł cały warsztat.

Paulo zajmował się chorym. Regularnie wycierał mu całe ciało szmatami, zrobionymi z kawałków starych koszul; ciągle je prał i suszył nad miską gorącej wody.

— Ale mu się przytrafiło! Biedak, dostaje nieźle w kość. Żeby tylko wytrzymał! Nie, żebym się niepokoił, ale nie podoba mi się ten jego kolor.

Stary przygotowywał rzadkie zupki z soku i miąższu owoców, zwykle o pięknej pomarańczowej barwie, do których dodawał trochę cukru z trzciny. Kiedy tylko wyglądało na to, że Montaignes się przebudzi, dwa czy trzy razy dziennie, podbiegał, by dać mu jeść. Siadał przy łóżku, z pełną tykwą na kolanach, podtrzymywał pod głowę i wlewał mu do ust gorącą miksturę.

— Połykaj! Połykaj, do cholery!... Tak... Dobrze. No, jeszcze troszeczkę. Łyzeczkę, żeby zrobić przyjemność Paulowi. No! O rany! Nawet nie ma już siły otworzyć ust! Trzymaj się, Mały! Jedz, to ci dobrze robi!

Wkrótce Paulo przyniósł do warsztatu swoje łóżko i już nie odstępował swojego podopiecznego. Kiedy przychodziłem z własnymi problemami, siedział zatroskany i ponury obok młodziaka albo pił melancholijnie swój biber z małej tykwy, a na jego twarzy malowało się zmęczenie nie przespanych nocy. Uśmiechał się do mnie, wzdychał, walił się w udo i obiecywał:

- Wyjdziemy z tego, zobaczysz! Nie martw się.
- Nie martwię się.
- Wiem, wiem. Wyjdziemy z tego, zobaczysz!

* * *

Twierdzi się, że nieszczęścia chodzą parami. Pomimo całej sympatii, jaką żywiłem dla Montaignes'a, daleko bardziej zaniepokojony i przerażony byłem niespodziewanym obrotem, jaki przybrała niemal w tym samym czasie apatia Małej.

Z biegiem czasu powoli przyzwyczałem się do jej braku apetytu, i zaniku energii. Ale teraz nie jadła już w ogóle i chudła w tempie, które mnie przerażało. Patrzyłem na nią, leżącą z oczami jeszcze otwartymi, ale utkwionymi gdzieś w dal, bez blasku, z zaostrozonymi rysami twarzy, na której skóra była jakby obciągnięta. Przypominała mi wygłodzone azjatyckie dziewczynki, wychudłe i pozbawione wszelkiej nadziei.

Potem zaczęła spać. Nie poruszała się już, leżąc przez cały dzień z zamkniętymi oczami i regularnie oddychając. Rano, kiedy wychodziłem, podczas każdej z licznych wizyt, jakie jej składałem podczas dnia, wieczorem, w nocy, pozostawała pogrążona w głębokim odrętwieniu, które mnie przerażało.

- Mała? Mała? Obudź się.

Musiałem długo nią potrząsać, zanim nastąpiła jakaś reakcja. Unosiła powieki, usiłowała uśmiechnąć się, ale nie starczało jej sił, po czym niepowstrzymanie zapadała z powrotem w letarg.

Ośluchałem ją, pragnąc znaleźć jakieś wytłumaczenie czy wskazówkę dotyczącą tej choroby, która pozwoliłaby mi na zrozumienie, co należy uczynić. Obmacywałem ją, badałem każdy centymetr jej ciała. Szukałem

jakiegoś ukrytego wylewu, starałem się znaleźć na jej skórze ślad po ukłuciu kolca lub owada, które mogło spowodować taką senność.

Nie było niczego. Poza ciągłym snem i straszliwym wychudzeniem była w doskonałym zdrowiu. Nawet rana jej przedramienia, z której małe haczyki powypadały kolejno w miarę upływu czasu, wspaniale się zabiżniła i nie mogła mieć z tym nic wspólnego. Jej oddech był spokojny, podobnie jak wyraz jej twarzy. Nie widziałem śladu cierpienia czy nawet najdrobniejszego niedomagania.

Co też mogło jej być? Odtwarzałem w myślach wszystko, co razem robiliśmy, analizowałem wspomnienia, starając się zrozumieć, kiedy mogło się jej coś przytrafić. Jedno było pewne, mianowicie, że jej przyływy złego humoru, jej dziwaczne zachowania, które jak kretyń wziąłem za wyrzuty czy drobne szykany, stanowiły pierwsze objawy pogorszenia zdrowia. Ta potworna choroba tliła się w niej już od dawna. Czy przyczyną mógł być psychiczny szok? Starałem się sprowokować jakąś reakcję krzycząc nagle, wrzeszcząc na nią.

— Obudzisz się wreszcie, do jasnej cholery! W końcu nawet ją spoliczkowałem, trzymając za ramię, dwoma powolnymi i zamaszystymi uderzeniami, których jedynym wynikiem było, że zajęczała, z półotwartymi oczami.

— Boli. Boli. Elias...

Co za dureń ze mnie! Natychmiast pożałowałem głupoty swego zachowania i ogarnęły mnie wyrzuty sumienia na widok czerwonych plam rozlewających się na jej policzkach, na twarzy znowu pogrążającej się we śnie. Działo się coś szalenie poważnego. Mała była z natury dziewczyną gwałtowną i nerwową. Gdyby coś w jej wnętrzu nie zostało zniszczone, inaczej zareagowałaby na moje uderzenia. Ale co? Co?

Gryzłem się w ten sposób i między jednymi a drugimi odwiedzinami mojej śpiącej królowej z zapamiętaniem rzucałem się na narzędzia i z całych sił drażyłem pień, wznecając chmurę wiórów, a w głowie kłębiło mi się od pytań i przygnębiających wątpliwości. Jeżeli tych dwoje nie można uzdrowić, niech przynajmniej będzie jakiś postęp w budowie łodzi, choćby po to, by dać nam złudzenie, że coś robimy.

Deszcz lał dalej, bezustannie. Trwało to już od tygodni. U Montaignes'a nie było najmniejszego oznaku zdrowienia, a Paulo czuł się coraz bardziej zmęczony.

Któregoś wieczoru, kiedy drażyłem pień silnymi pociągnięciami dłuta, walcząc z ogarniającym mnie smutkiem, powiedział nadzwyczaj spokojnie:

— Kolej na mnie.

Uniosłem głowę raptownie, ocierając z czoła pot.

— Co?

— Przyszła kolej na mnie. Wiem, że to nieodpowiednia pora, ale nic nie poradzę. Czuję ją. Jest tutaj. Dobrze ją znam, wiem.

Napełnił swoją małą tykwę „*whisky*”, jak to nazywał, i napił się długimi pociągnięciami. Jego oczy zamykały się prawie, przysłonięte dwiema wielkimi torbami powstałymi ze zmęczenia. Na jego czole perliły się wielkie krople potu, spadały mu na pierś i tam przedzierały się przez gęste uwłosienie. Oddychał ciężko, a ramiona mu opadły.

* * *

To niemożliwe! Rzuciłem narzędzia i usiadłem z głową w dłoniach. Teraz byłem znowu w gównie po uszy. Dlaczego los pastwił się nade mną od tylu miesięcy? Kolejna sytuacja przeistaczająca się w koszmar. Miałem zostać sam w tym forcie, w strugach deszczu, który sprawiał, że wszystko gniło. I właśnie Paulo, chory, musiał mnie pocieszać! Co za ironia!

— Nie martw się! Wyjdziemy z tego, bądź spokojny. Nic się nie bój. U mnie to potrwa tylko parę dni. To nie pierwszy raz, i kto wie, pewnie nie ostatni...

Pił łyk za łykiem tego swojego świństwa, jeszcze szybciej niż zwykle, walcząc z atakującą go chorobą.

— Nie martw się, Elias! To jeszcze nie tym razem, zapewniam cię... Żaden święty mnie nie chce tam, na Górze. Za bardzo się boją, że zaprowadzę burdel w raj...

Mówił do mnie i upijał się. Ja milczałem, ale szedłem za jego przykładem. Śmierdzący benzyną bimber sprawiał, że czułem kurcze żołądka, ale piłem z determinacją, tykwa za tykwą. Po paru godzinach pijaństwa brzuch mi się wzdął od tej trucizny. Paulo mówił coraz bardziej od rzeczy. Miałem ochotę stracić świadomość, przestać wiedzieć, co się dzieje. Nie chciałem zostać sam. Odmawiałem zastanawiania się nad tym, co należało

zrobić. Miałem dość, byłem zmęczony. Tego wieczoru moją jedyną reakcją było otumanić się na tyle, by przestać myśleć.

Paulo potrząsnął mną o świecie. Miał oczy szeroko otwarte, wbite w przestrzeń. Jego twarz spływała potem. Z jego przemoczonych od potu szortów na ziemię kapały krople. Jego głowa, ramiona i ręce trzęsły się konwulsyjnie, aż się przeraziłem.

— Paulo? OK?

Udało mu się pokiwać głową. Otrząsając się z pijaństwa chwyciłem go wpół. Nie stawiał żadnego oporu. Niełatwo było go przemieścić. Osłabiony litrami wypitego bimbrow z największym trudem zaciągnąłem go na łóżko, gdzie urządziłem mu wygodne legowisko z mat i skór.

Potem, skoro miałem już na miejscu dwóch chorych, wydało mi się oczywiste, że również Małą trzeba przenieść do warsztatu, by mieć wszystkich razem na oku. Powlokłem się na dwór. Nieustający deszcz zalewał ziemię i okalający las. Zostałem natychmiast przemoczony, co trochę mnie otrzeźwiło. Było paskudnie szaro, nogi tonęły w błocie. Było mi źle.

Wszedłem do naszej chaty. Jak zawsze, kiedy patrzyłem na Małą, ogarnęła mnie fala czułości. Spała, i wyglądała dokładnie tak jak wczoraj. Była delikatna, niesamowicie krucha, jej szyja i ręce stały się filigranowe, o bladym, prawie nierzeczywistym odcieniu, czarne włosy opadały na łagodny profil; leżała skulona niczym niemowlę, jakby nieobecna...

— Mała? Obudź się, kochanie. Otwórz oczy. To ja, Elias! Po dłuższej chwili spojrzała gdzieś przed siebie, ledwo otwierając powieki.

— Tak?

— Dobrze się czujesz? Pójdziemy do warsztatu, kochanie. Chcesz? Będzie ci tam lepiej.

— Tak. Spać.

I zasnęła ponownie, przeciągnawszy się niczym mała kotka. Nie pozostawało nic innego, jak przenieść ją do warsztatu. Nie byłaby w stanie samodzielnie przebyć tej odległości. Wziąłem ją więc na ręce i uniosłem. Zamurowało mnie, tak jak stałem przy łóżku z księżniczką w ramionach. Nie rozumiejąc uniosłem ją jeszcze raz, ogłuszony niespodziewaną lekkością jej ciała.

Nie ważyła nic. Potwornie nic. Do oczu napłynęło mi tyle łez, że nie potrafiłem się powstrzymać. Moja księżniczko, moja ukochana! Płacząc

patrzyłem na nią, pogrążony w rozpacz. Była taka piękna, z długimi rzesami opuszczonymi na oczy. Jej długie ręce zwisały bezwładnie, jakby zapomniane. Cóż to za potworny sen pozbawiał ją wszelkiej chęci życia?

Nie miała już niczego. Była jakby pustą kopertą. Dlaczego musiała umrzeć? Z mojej piersi wydobyło się łkanie i musiałem usiąść na łóżku. Pochylony nad jej ciałem długo dawałem upust swemu smutkowi, błagając ją, by nie odchodziła.

— Nie ty! Księżniczko moja, kochanie, nie ty!

Walczyć. Nie wolno mi było ulec. Teraz ode mnie zależało życie trojga przyjaciół. Winien im byłem opiekę i wsparcie.

Urządziłem w warsztacie szpital i spędzałem w nim cały swój czas. Montaignes i Paulo potrzebowali stałej opieki. Co godzinę starannie wycierałem ich ciała, aby nie leżeli przemoczeni. Przesuwałem każdego na łóżku, aby jeden bok miał czas wyschnąć, podczas gdy przemakał drugi. Nawet skóry powoli przesiąkały ich potem i stale wilgotne stały się nieprzyjemne w dotyku.

Naznosiłem kilogramy owoców i starałem się, bez powodzenia, odżywiać ich regularnie. Lecz ich organizmy nie przyjmowały już niczego. Paulem wstrząsały czkawki, kiedy tylko wsuwałem mu do ust łyżeczkę. Jego skóra przybrała okropny kolor, jeszcze bardziej żółty niż u Montaignes'a, i bardziej niepokojący.

Dwa czy trzy dni po swoim upadku odzyskał przytomność i oznajmił mi, leżąc na łóżku, że czuje się lepiej. Nie będzie przecież całymi dniami wylegiwał się z powodu jakiejś malarii, do cholery! A jak się czuje Mała?

Wstał, z biodrami owiązanymi skórą potamoszery, przeszedł dwa kroki i zachwiał się pod wpływem zawrotu głowy. Nadbiegłem w samą porę, by chwycić go w ramiona. W ciągu sekundy jego ciało pokryło się wielkimi kroplami gęstego potu. Ponownie stracił przytomność i od tego czasu praktycznie już jej nie odzyskał. Jego ataki drgawek, kiedy temperatura gwałtownie spadała, były zupełnie wyjątkowe. Rzucając się na łóżku, niczym epileptyk, rozkopywał wówczas maty i skóry, a czasami mało brakowało, by nie spadł na ziemię.

* * *

Montaignes od czasu do czasu wynurzał się na powierzchnię, ale nigdy nie osiągał pełnej przytomności. Przez kilkanaście minut mamrotał z szeroko

otwartymi oczami, grobowym głosem, urywki z Baudelaire'a, pełne trupów, padlin i duchów, po czym znowu odpływał w niebyt.

* * *

Deszcz. Deszcz. Deszcz! Ileż to godzin spędziłem na siedząco, opiekując się chorymi, oddany na pastwę samotności i najczarniejszym myślom, w tym bambusowym pomieszczeniu chłostanym nieustającą ulewą, sam jak palec, o całe tygodnie drogi od wszelkiej pomocy, wszelkiego ludzkiego siedliska, za jedyny widok mając tylko ciała moich dogorywających towarzyszy? Nie wychodziłem. Nie pracowałem już przy łodzi. Nie polowałem i nawet zrezygnowałem z wypadów po owoce. Oni nic nie jedli, a ja nie byłem głodny.

Czekać. Niech dojdą do siebie, jeśli w ogóle ma się to kiedyś zdarzyć, niech ustanie deszcz, niech wreszcie coś się stanie! Owe zbyt wolno upływające minuty podkopywały moje samopoczucie. Ja, poganin, który zawsze żyłem na zbyt barbarzyński sposób, by dopuścić istnienie jakichkolwiek boskich mocy, modliłem się do nich, jednej po drugiej. Błagałem je o interwencję. W myślach przywoływałem wspomnienia po rytuale i modlitwach prawosławia, które leżały gdzieś na dnie mojej pamięci, i kierowałem je do nieba, połączone z kawałkami innych wierzeń, które w życiu poznałem.

Potem wyklinałem je wszystkie, w gwałtownym przypiływie wściekłości, bo te śwynie, jak zwykle, nie robiły nic.

Czekanie to, dzień po dniu, drażyło moje siły i niszczyło moją odporność. Kiedy przychodziło załamanie, kładłem się koło Małej, brałem ją w ramiona, przytulałem się do niej i szukałem pociechy w ciepłe jej ciała.

Każde spojrzenie, jakie na nią rzucałem, bulwersowało mnie. Odchodziła powoli, bezpowrotnie. Umierała bez żadnego powodu godnego tej nazwy. Kto lub co ją zabijało? Doprowadzało mnie to do szaleństwa. Niekiedy budziła się na parę chwil, by prosić o picie.

Przynosiłem jej wody. Wypijała kilka łyków, za każdym razem trochę mniej, i pomimo moich błagań i pieszczot odchodziła ponownie. Nigdy nie udało mi się jej zatrzymać. Musiałem przestawać wymawiać jej imię, kiedy zdawałem sobie sprawę, że znów pogrzyżyła się w letargu, gdzieś daleko, na który nic nie mogłem poradzić.

Co dwadzieścia czy trzydzieści minut pochylałem się, przerażony, nad jej piersią, usiłując wychwycić bicie jej serca, tak słabe i odległe. Jeśli wątpliwości nie ustępowały, szczypałem ją, mocno, i uspokajałem się dopiero, kiedy reagowała, łagodnie mnie karcąc:

— Elias... Boli...

* * *

Pewnego wieczoru, zasypując siebie pytaniami, wreszcie zrozumiałem, co się działo. Wyszedłem z pomieszczenia, w którym się już dusiłem. Opadłem na leżak Paula i pozwoliłem, by deszcz padał mi na twarz, wrzeszcząc z napięcia i niepokoju.

Deszcz chłodził mi ciało. Pomasowałem sobie głowę i wystawiłem twarz na zacinającą ulewę, mając nadzieję, że napięcie pod czaszką nieco spadnie. Wówczas w oddali, ponad palisadą, poprzez szarzyznę jeziora, zobaczyłem owe nieco żółtawe dymy, pojawiające się w niektóre wieczory. Szkodliwe dymy, pomyślałem. I nagle przypomniałem sobie inny obraz. — Była to wioska, którą odkryliśmy na brzegu Sanghi, z tymi spokojnymi trupami, leżącymi na ziemi, choć nic nie tłumaczyło powodów ich śmierci.

Gorączka, pochodząca z jakichś bagien. To właśnie podejrzewał Montaignes. Piorunujące zatrucie albo epidemia, powiedział. Teraz znałem już prawdziwe wytłumaczenie. Podobnie jak Mała, mieszkańcy wioski zasnęli i nie obudzili się już nigdy.

Śmiałem się sam do siebie, ociekając deszczem. Było to takie proste. W tym przeklętym zakątku panował jeszcze dodatkowy koszmar, przed którym zostaliśmy przecież ostrzeżeni natychmiast po wejściu do dżungli, w swojej nieświadomości nie przywiązując jednak do tego wagi. Mała była skazana. Wszyscy byliśmy skazani. Być może ja sam też byłem już przesiąknięty tą trucizną. I ta dziwna malaria, która nie chciała ustąpić!

Fort z czterema niewytłumaczalnymi szkieletami, oto nasze przeznaczenie. Dżungla trzymała nas w garści. Przerobiła nas jak szczeniaków, a my wpadliśmy we wszystkie pułapki. Gorączka dostanie nas wszystkich.

* * *

Chodziłem po forcie, nie zważając na błoto, które sięgało do kostek, i śmiałem się histerycznie, u kresu sił, potykając się co chwila. Udupieni!

Skazani na śmierć! Przez ten straszny sen, który w tej samej chwili powoli wykańcza moją ukochaną.

Nagle stanąłem, unurzany w błocie, i wrzasnąłem, na ile starczyło mi tchu:

— Nie! Nie ja!

Dlaczego? Odmawiałem kategorycznie. Jaki też był powód tego wyroku? Żadnego. Szło tylko o przyjemność szerzenia zła, ale ja się nie dam na to nabrać.

— Nie dostaniesz mnie! Kurwa!

Nawymyślałem całemu światu, po czym znowu opadłem na leżak. Tamci powoli zdychali, ale ja się jeszcze trzymałem. Skoro oni nie żyli albo potencjalnie nie żyli, nie było żadnego powodu, żebym się poświęcał i zostawał tutaj, by stać się jednym szkieletem więcej. Trzeba się stąd zabierać i to szybko!

Zapewne miną całe miesiące, nim przedostanę się do cywilizacji czy do pierwszej wioski, która będzie ją przypominać, ale dopnę swego! Biorę Winchestera, trochę prowiantu i zostawiam wszystkich. Trzeba ratować skórę. Niech mi nikt nie opowiada o solidarności albo czymś takim. Walczyłem. Dałem z siebie wszystko. Ponownie wyczerpałem prawie wszystkie swoje siły. Tamci nie chcieli wyzdrowieć? Niech umierają beze mnie!

* * *

Było to logiczne. Cóż zrobiłby Paulo na moim miejscu, wiedząc, że śmierć wyznaczyła tutaj spotkanie? Zwiałyby. Jeszcze dobrze, jeśli nie wpakowałyby nam, płacząc, każdemu po kuli w łeb przed ostatecznym zagłębieniem się w dżunglę.

Podjąłem decyzję. Należało pozostawić fort własnemu losowi następnego dnia o świcie. Było już późne popołudnie, a w takiej ulewie zmrok zapadał szybko. Nie było sensu wychodzić do dżungli po nocy.

* * *

Prysznic i powzięte postanowienie ukończyły mnie. Wyszedłem wreszcie z tego stanu depresji i czarnych myśli, powstałych pod wpływem długotrwałego beznadziejnego oczekiwania. Wróciłem do warsztatu, by się osuszyć.

Paulo i Montaignes leżeli na plecach, z identycznym wyrazem otwartych ust, okryci matami po brodę, wśród ostrego zapachu potu i śmierci, który przesiąknął każdy przedmiot w całym pomieszczeniu.

Wypiłem łyk bimbrowy, zrobiłem parę ruchów gimnastycznych i zabrałem się do roboty.

Najpierw zgromadziłem pośrodku warsztatu wszystko, co mogło się im do czegoś przydać. Ustawiłem tam dziesięć tykw pełnych deszczówki. Następnie naznosiłem gałęzi i pośpiesznie zbudowałem dwa nowe legowiska, aby mieli sucho. Ułożyłem stos owoców, nazbieranych w „sadle” Montaignes’a.

Zgromadziłem ogromny zapas drewna i rozpałem ognisko nieco bliżej ich nowych posłań, aby podsycanie go kosztowało ich jak najmniej wysiłku. Podczas tej pracy mówiłem do nich bez przerwy, tłumacząc, że powinni zrozumieć, że musiałem ratować własne życie i że czasu miałem na to niewiele.

Ponadto, kiedy tylko dotrę do wioski, wynajmę pirogę i powrócę po nich jak najprędzej. Jeśli dopisze mi szczęście, napotkam może nawet jakieś plemię albo pojedynczych ludzi przed powrotem do ludzi Kuju, a wówczas będę mógł po nich wrócić od razu. Pozostała im do zrobienia tylko jedna rzecz: wytrzymać. Pozostać przy życiu jak najdłużej. Oddychać regularnie czekając na mnie. Potem musiałem raz jeszcze obmyć ich ciała i przesunąć ich w suche miejsce. Ani jeden, ani drugi nie zareagował w najmniejszym stopniu.

Przygotowałem swój bagaż. Winchester Express, dwie maczety, kilka owoców w małym woreczku ze skóry, zrobionym przez Montaignes’a. Dmuchałka i strzały. To wystarczy. Szykowałem swój tobołek ciągle do nich przemawiając.

— Nie niepokójcie się. Odchodzę. Ale wrócę. Słyszysz mnie, Paulo? Idę tam i z powrotem. To kwestia... powiedzmy, paru dni. Muszę stąd odejść. Słyszysz, Stary? Na moim miejscu zrobiłbyś to samo. Co, Paulo? Powiedz mi, że zrobiłbyś to samo!

Były to z pewnością ostatnie słowa, jakie do niego kierowałem, ale on ich nawet nie słyszał, mój stary kumpel.

Świt zastał mnie na łóżku Małej, mojej dziewczynki, którą trzymałem w ramionach.

— Żyj! — tłumaczyłem jej. — Błagam cię, wysłuchaj mnie przez sen i walcz o życie. Nie porzucam cię. Odchodzę, żeby wrócić. Musisz to zrozumieć, moja malutka, kochana. Elias idzie po pomoc. Wróci. Musisz tu jeszcze być, kiedy wróci.

Łagodnie ucałowałem jej usta, pogładziłem jej skronie, zamyśliłem się, patrząc na jej twarz. Po czym postanowiłem nie odchodzić...

* * *

Wydawało się, że potop nigdy się nie skończy, jak gdyby prowadził ze mną długotrwałą wojnę nerwów. Tylko w nocy zdarzały się krótkie przerwy, podczas których i tak słyszeć było hałas wodospadów spływających z drzew. Na kilka chwil chmury odsłaniały niemal okrągły księżyc tak błyszczący, że jego światło przebijało niekiedy przez zasłonę deszczu w postaci białej poświaty.

Upływały dni. Wyzbyłem się wszelkich myśli o ucieczce. Oczywiście byłem świadomy stałej obecności śmierci, ale po pierwszym odruchu samoobrony odeszła ona na dalszy plan, gardziłem nią.

Zrozumiałem, że odejście nie było właściwym krokiem. Jakieś przeczucie, jeden z tych wewnętrznych głosów, których zawsze ślepo słuchałem, zabraniało mi tego. Przeżywać przygody oznacza mieć z przeznaczeniem więcej do czynienia niż przeciętny człowiek i pozwala nauczyć się odczytywać jego znaki i sygnały.

Coś się tutaj szykowało. Musiałem być przy tym obecny. Trudno wytłumaczyć takie przeczucia.

Byłem przekonany, że rozwiązanie nastąpi tutaj, w tym forcie, który sam zbudowałem. W miarę upływu dni uczucie to stawało się coraz silniejsze, a data rozwiązania coraz bliższa. Wielka, niemal doskonale okrągła księżycowa tarcza coś zwiastowała. Wiedziałem, że to coś miało pierwszorzędne znaczenie. Był to koniec pewnej historii. Należało wydać ostatni bój, i ja miałem w tym uczestniczyć.

Zresztą tak czy inaczej nie będzie mi dane tak po prostu się z tego wywinąć. Byłem częścią tej historii i nie mogłem od niej uciec. Jedyna możliwość ucieczki zarysowała się już bardzo dawno: było to wtedy zanim zgodziliśmy się na udział w pierwszej ceremonii, w rytuale odprawionym

przez czarownika w domu z węzami. Od tego czasu byliśmy już w to wplątani.

Teraz rozumiałem to jasno. Kryzys, jaki przechodziłem w strugach deszczu, zdarł ostatnie zasłony, przysłaniające przede mną przyszłość. Było tylko jedno logiczne wyjście z tego burdelu, mianowicie walka, do której zgłosiliśmy się na ochotnika i przed którą się nie uchylę. Im bardziej rosła tarcza księżyca, tym większa ogarniała mnie pewność. Jednocześnie blizny, jakie miałem wewnątrz dłoni, zdawały się coraz bardziej wrażliwe.

* * *

Stało się to trzeciej nocy pełni.

Od poprzedniego dnia Paulo i Montaignes powoli wracali na ziemię. Okresy ich przebudzeń były teraz częstsze. Montaignes, po raz pierwszy od bardzo dawna, oprzytomniał całkowicie i wypowiedział coś innego niż cytaty z Baudelaire'a. Skorzystałem z tego, żeby odżywić ich maksymalnie, by ten przyływ energii nie został stracony.

Tej nocy, późno, obudzili się obaj i każdemu przygotowałem tykwę pełną gorącej papki owocowej, do której wsypałem całą resztkę cukru z trzciny.

Paulo miał ledwo siłę, by poruszać łyżką. Skulony, pozbawiony energii, z ustami o pięć centymetrów nad miską, wciągał po parę kropel i przełykał je w nieskończoność. Montaignes pił bezpośrednio z miski i ciekło mu po brodzie.

Przyjemnie było na nich popatrzeć.

M'Bumba zaatakował właśnie wtedy, bez żadnego ostrzeżenia. Potężny wstrząs sprawił, że zadrżała ziemia, podczas gdy w powietrzu rozchodził się donośny huk. Dobiegał od palisady od zachodu, to znaczy od strony lasu.

Natychmiast wybiegłem na zewnątrz, z Winchesterem w dłoni. Nareszcie! Doszło do spotkania, do ostatniej walki!

Ziemia ponownie zadrżała. Na moich oczach, trzydzieści metrów dalej, palisada nagle wydeła się do wewnątrz, popychana nadprzyrodzoną siłą. Przez ułamek sekundy pozostała napięta. Czulem, jak bambusowe włókna naprężają się, gotowe pęknąć. Wbity w ziemię pał wygiął się, wygiął jeszcze bardziej i złamał się z suchym trzaskiem, jakby ktoś strzelił z potwornego bicza. Jeden z kawałków wyleciał w powietrze i spadł gdzieś dużo dalej. Palisada powróciła na swoje miejsce rozbryzgując wokół błoto.

Podbiegłem, by ustawić się z boku, obok palisady, dwadzieścia metrów od atakowanego miejsca. W ten sposób będę miał słonia z profilu, kiedy

palisada puści. Będę mógł wycelować, zanim zdąży przejść pięć metrów wewnątrz fortu.

Przyklęknąłem w błocie, opierając ramię o jeden z ukośnych pali, by zamortyzować odrzut. Przyłożyłem Winchestera do oka i wycelowałem mniej więcej na wysokość głowy zwierza.

Ziemia znów zadrżała. Huk uderzenia, potworny, spowodował, że instynktownie wtuliłem głowę w ramiona. Zobaczyłem, jak palisada ugina się, jak gdyby niewidzialna ręka chwyciła ją od góry i ciągnęła ku ziemi.

I zobaczyłem go. W nowej przestrzeni, jaka pojawiła się w miejscu, gdzie palisada ugięła się pod jego naporem. Ujrzałem jego głowę, niczym skała, i kawałek karku, wiele metrów nad ziemią. Wydawało się, że jego kiel zaklinował się między bambusami, i słoń wściekle potrząsał całą konstrukcją, by się oswobodzić, co wzbudzało drgania dookoła.

Strzeliłem. Dwa razy, jeden za drugim.

Palisada powróciła na swoje miejsce, a jednocześnie potworny, wściekły ryk, mrozący krew w żyłach oddalał się w kierunku lasu.

Trafiłem go!

Podszedłem bliżej. W palisadzie pomiędzy dwoma złamanymi bambusami ział teraz długi wyłom. Po drugiej stronie nie było niczego. Skurwiel schronił się w lesie. Odgłosy łamanych gałęzi i głucho dudnienie wskazywały, że nie odszedł daleko. Pozostawał w pobliżu.

Załadowałem ponownie, gotów na drugie starcie, i znów usadowiłem się oparty o pał, klęcząc w błocie i mając nadzieję, że powróci tam, gdzie już zaatakował, bo miejsce, jak zdawałem sobie z tego sprawę, było gotowe całkowicie ustąpić.

Kurwa, trafiłem go! Biegaj teraz, kretynie! Przeleć się dookoła, rycz, ile chcesz! Ja tu cię posłucham. Mam dużo czasu. Tylko się pokaż, a urządzę ci zabawę. Dla ciebie ostatnią.

Hałasy ucichły, jakby pochłoniął je las. Zdechł? Zwiął? Żaden z tych wariantów mnie nie satysfakcjonował. Musiał być gdzieś bardzo blisko, knując nowy numer. Mój wzrok bez przerwy przeszukiwał palisadę, starając się wypatrzeć jakiś cień lub ruch, który by coś zdradził. Byłem gotów do strzału, kiedy tylko znów zaatakuje. Moje uszy starały się wychwycić, poprzez odgłosy deszczu, hałas jego kroków, by określić, skąd nadchodzi. Ale cisza panowała teraz całkowita.

* * *

Palisada za moimi plecami rozleciała się.

Pał, o który się opierałem, wyleciał w górę i zostałem odrzucony o pięć metrów do przodu. Upadłem na kolana, w błoto. Chciałem się w nim całkowicie zanurzyć. Za mną uderzenia straszliwego tarana rozpychały bambusy. Słyszałem, jak trzaskają włókna. W najwyższym napięciu, ogarnięty chłodną paniką, oczekiwałem na ostatnie potężne trzaśnięcie i potworne monstrum, które spadnie na mnie, by mnie zgnieść. Pod moimi piersiami ziemia dudniła. Hałas jego uderzeń i porykiwań, nieopisanie bliskich, rozsadał głowę.

Poczułem i usłyszałem, jak łamie się słup, po czym pada niedaleko mnie. Już. Był nade mną.

* * *

Ustały wszelkie hałasy. Nie słyszałem nawet odgłosu łamanych gałęzi ani dudnienia ziemi, które wskazałyby mi, dokąd odszedł.

Milimetr po milimetrze uniosłem się, cały ubłocony. Boże! Jakiż byłem głupi sądząc, że palisada oprze się podobnej furii! Nie byłem w stanie wykonać ruchu. Strach opanował mnie i nie chciał już opuścić. Wydawało mi się, że słyszę za sobą jakby grzmot i że czuję, jak potwór miota się parę metrów ode mnie. Drżałem. Cały byłem we własnych wymiocinach. Miałem kurcze żołądka, wstrząsały mną torsje. Klęcząc w błocie, z dłońmi przyciśniętymi do brzucha, byłem jak sparaliżowany, a serce biło jak oszalałe.

Wrzasnąłem ze wszystkich sił, kiedy zaatakował ogrodzenie, daleko ode mnie, o jakieś pięćdziesiąt metrów, naprzeciwko. Wrzeszczałem ze strachu, że tu wpadnie. Jak w koszmarnym śnie ujrzałem, jak na wszystkie strony leciały odłamki bambusa, a straszliwa siła rozrzucała je z nieopisaną wściekłością.

Potem zniknął znowu i nie pojawił się więcej. Słyszeć już było tylko przenikliwe, dalekie odgłosy. Coraz dalsze. Rezygnował.

Nie ruszałem się. Ładnych parę godzin później wstał świt, a ja nadal leżałem w błocie, śmierdzący i żaloszny, ściśnięty przerażeniem, jakiego nigdy przedtem nie odczuwałem.

Powoli, wraz z nastaniem dnia, zrozumiałem, że żyję. W trzech miejscach ogrodzenie było wgniecione, pozbawione wielkich odłamków drewna. Za moimi plecami pękło na pół, tworząc ogromną poziomą wyrwę długą na

dziesięć metrów, której widok pograżył mnie ostatecznie. Trochę więcej, tylko jeszcze jedno uderzenie, i rozwaliby wszystko. Złapałby mnie, cisnął o ziemię i ostatecznie rozgniótł.

Dlaczego tego nie uczynił? Rana musiała być poważna. Osłabiony, przez chwilę jeszcze dawał upust swej złości, po czym musiał dać za wygraną. Podniosłem z błota karabin i poszedłem się odświeżyć, stopniowo odzyskując spokój. Moje dłonie jeszcze lekko drżały i w żaden sposób nie potrafiłem temu zaradzić.

Kiedy wszedłem do warsztatu, zrozumiałem natychmiast. Paulo patrzył na mnie niewypowiedzianie smutnym wzrokiem, okryty skórą, siedząc na brzegu łóżka dziewczynki. Montaignes, nadal leżąc, cicho płakał.

Umarła.

Paulo wycofał się na swoje łóżko. Obaj nakryli się swoimi matami, jakby ogarnięci atakiem choroby, by pozostawić mnie sam na sam z moim cierpieniem.

Wziąłem ją w ramiona. Na jej twarzy malował się całkowity spokój. W ostatnim odruchu samoobrony dotykałem ją i szczypałem, ale nie było żadnej nadziei. Tym razem odeszła tak daleko, że nie mogła już wrócić.

Przeszedłem przez fort, by zanieść ją do naszej chaty, ułożyłem ją na posłaniu, po czym wziąłem maczetę i z furią zacząłem ciąć bambusową podłogę. Potem na klęczkach wykopałem w ziemi otwór. Poświęciłem na to kilka godzin, bo chciałem, by był głęboki i miał równe brzegi. Następnie naciałem bambusów odpowiedniej długości i rozłożyłem je na dnie i przy ściankach otworu, tworząc w ten sposób jakby skrzynię, możliwie regularną.

Ochroni ją to od padlinożernych zwierząt.

Uniosłem ją i delikatnie położyłem na dnie, z rękami skrzyżowanymi na piersi. Nakryłem ją matą i bardzo szybko, nie patrząc, przysypałem ziemią.

Ubijałem to miejsce, aż wszystko było zupełnie równe, po czym wyszedłem z chaty. Maczetą ciąłem słupy, aż domek zawalił się na grób. Zniszczyłem dach i ścianki, pozostawiając jedynie kupę połamanego drewna, strzegącą dostępu do grobu mojej narzeczonej.

Spoczywaj w pokoju, piękna mała dziewczynko.

* * *

Przygotowałem Paulowi i Montaignes'owi dwa nowe posłania z gałęzi i uzupełniłem ich zapas żywności. Zostało mi dziewięć naboí. Wziąłem sześć, karabin i wyszedłem z fortu.

EPILOG

Odnalazłem skurwiela parę dni później. Od mojego wyruszenia nie było żadnych śladów, jak zwykle. Wydawało się znowu, że M'Bumba wyparował. Ale prowadziły mnie jego przedśmiertne porykiwania.

Długie, ostre dochodzące od zachodu.

Obszedłem fort dookoła. Na wielu palach była krew. Nasz pomysł, by najeżyć palisadę ostrymi bambusami, okazał się dobry. Za każdym atakiem nadziewał się na nie i miałem nadzieję, że miał teraz w trzewiach pełno wężowego jadu.

Dookoła, na niewielkiej przestrzeni, odnalazłem wielkie brunatne plamy, pozostałości po litrach krwi, jakie wsiąkały w ziemię i które powiedziały mi to, co potwierdzały dalekie odgłosy. M'Bumba był ranny. M'Bumba był w agonii!

* * *

Szedłem szybko i niemal bez zatrzymywania, tracąc niekiedy kierunek porykiwań, powracając na właściwą drogę po długim błędzeniu, powstrzymywany przez roślinność, która stawała się coraz bardziej gęsta i ciemniejsza.

Zagłębiłem się w ogromny zagajnik, pełen bluszczy i kolczastych roślin, przez który mogłem się przedzierać wyłącznie używając maczety. Ryki M'Bumby były bliskie, ostre, każdy trwał jakieś trzydzieści sekund i kończył się gardłowym, ochrypłym zachłyśnięciem się, przypominającym kichanie.

Teraz, kiedy stałem bez ruchu, słyszałem wyraźnie jego oddech.

Był niedaleko, ukryty gdzieś wśród nieprzeniknionych krzaków. Żeby nie wiem jak się schował, byłem zdecydowany nawet wykarczować okolicę jeśli zajdzie potrzeba, by go odnaleźć. Był teraz zbyt blisko, by mi się wymknął. Jedyną rzeczą, o której myślałem od dwóch dni, było, by dotrzeć na czas. Odnaleźć go, ale odnaleźć go żywego. Mieliśmy niewiarygodnie dużo rachunków do uregulowania.

* * *

Nagle ujrzałem na ziemi ogromną kość. Białą goleń słonia. Nie zwróciłem na nią szczególnej uwagi, ale po chwili natknąłem się na kolejne kości, coraz liczniejsze, na wpół pokryte ziemią.

Parę kroków dalej odkryłem wielki szkielet klatki piersiowej słonia, całkowicie pokryty bluszczem, niemal niewidoczny. Mógłbym przejść obok niczego nie zauważając.

Poświęciłem trochę czasu, by odgarnąć roślinność. Szkielet był cały, uzbrojony w dwa ogromne kły, które, jak się zdawało, czekały tylko na mnie. Zapamiętałem miejsce, wyryłem parę znaków na okolicznych drzewach i ruszyłem dalej.

Przeszedłem niecałe dwadzieścia metrów i natknąłem się na następny szkielet słonia, również całkowicie pokryty roślinnością i otoczony barokową zielenią. Tu także dwa piękne kły, zakryte krzewami. Potem znalazłem trzeci, też zarośnięty. Czwarty... zrozumiałem, że poszycie pełne było trupów. Znalazłem cmentarzysko!

* * *

Nie było wątpliwości. Legendarne miejsce, do którego stare słonie przychodziły umierać! To dziwne. Zawsze, ilekroć chciało mi się o tym myśleć, wyobrażałem sobie, że musi to być nieco tajemnicza polana, w głębi dżungli, którą napotyka się przypadkiem.

Kolejny olbrzym pokryty liśćmi. Kość wyzierała jedynie miejscami, niczym fragmenty białej skały. Kły sterczały w górę pośród warstw mchów i paproci. Pod tym sklepieniem musiały leżeć wszędzie, niewidoczne. Trzeba było na nie wejść, by je zauważyć.

Ociekałem potem. Walenie maczetą było wyczerpujące i nie traciłem czasu na zachwyty nad krajobrazem. Wdzierałem się coraz głębiej w coś w rodzaju tunelu i zaczynałem się zastanawiać, czy M'Bumba ponownie postanowił zakpić sobie ze mnie, kiedy wreszcie ujrzałem go przed sobą.

Parę metrów dalej, za zasłoną z lian i skłębionych liści, ujrzałem w mroku jego monumentalny czarny zad, całym ciężarem spoczywający na ziemi. Leżał na brzuchu i odwrócony był do mnie tyłem.

Kiedy nadszedłem, uniósł głowę. Gigantyczne uszy z czarnej skóry, postrzępione, wielkie niczym parawany, zawachlowały gwałtownie, zmiatając z ziemi gałęzie. Obrzydliwy skurwysyn nie spieszył się z odejściem z tego świata, gdzie wyrządził tyle zła. Jeszcze żył.

Ależ był wielki! Jego głowa, niczym czarna nieregularna skała, była równie wysoka jak ja. Jego trąba, wielka umięśniona rura, leżała zakrzywiona bezwładnie przed nim i wydawała się bezsilna. Jedna z jego tylnych nóg była sztywna, leżała prostopadle do ciała i nieco unosiła jego zad. Klęczał na przednich nogach. Z mojej perspektywy, tak jak go widziałem, z uniesionym zadem, wyglądał, jakby właśnie potknął się o przeszkodę i głupio upadł na brodę.

Podszedłem.

— M'Bumba!! Widzisz mnie? To ja, Elias...

Jego zdewastowana czaszka pokryta była grubą czarną skórą i obszerna niczym beczka. Małe oczka, jak czarne guziki, były całkowicie pozbawione wyrazu. Powiada się, że człowiek czuje szacunek dla godnego przeciwnika. Ja nie czułem nic.

— Dobrze mnie teraz widzisz?

Drgnął w przypiływie silnej woli. Uniósł się na dobry centymetr, po czym opadł, aż zadudniła ziemia. Jedna z moich kul ugodziła go tuż nad pachwiną. Na jego boku widniało kilka dziur otoczonych ciemniejszymi plamami. Ze sztywnej tylnej nogi sterczał gruby kawał drewna: jeden z zatrutych jadem pali złamał się po wbiciu w ciało.

Obszedłem kiel, większy ode mnie, o niewiarygodnym przekroju i zagięty niczym kiel mamuta. Dziura po drugim przedstawiała potworny widok. Sterczał tam nierówno ułamany odłamek kości, długi i ostry, niczym czarny i spróchniały ząb.

Z ogromną przyjemnością uniosłem karabin, tuż przed wpatrzonym we mnie małym czarnym guziczkiem.

— I co skurwielu? Dupa, co, bałwanie? Chuju! Ty góro mięsa. Kupo gówna. Jebany zasańcu. Dostałeś wreszcie, gruba świnio, co? Co?

Uniósł głowę na dźwięk wyzwisk. Nie na długo. Strzeliłem. Oko rozprysło się i głowa opadła nagle, po czym osunęła się na bok.

— TY CHUJU! TY CHUJU! A TU MASZ ZA MOJĄ MAŁĄ. Strzeliłem w czaszkę. Straciłem słuch w prawym uchu. Dalej wrzeszczałem ładując tak szybko, jak tylko mogłem, po czym przytknąłem mu lufę do głowy.

— ZA TATAVE!

Opadł potężny odprysk kości, pozostawiając krwawą dziurę.

— ZA BEBE!

Proch gryzł mnie w oczy. Wokół czaszki skurwiela unosiły się obłoki dymu.

Wystrzeliłem dwie ostatnie kule w brzuch, ku pamięci Małych Ludzików, a każdy strzał wywoływał drgnięcie, po którym wypływał strumień krwi. Potem, jako że sześć naboji to było zbyt mało, by wyładować całą moją furię, zacząłem kopać go w dupę, walić obcasami, potem pięścią, aż otarłem sobie kostki.

Wtedy chwyciłem maczetę i waliłem, i ciąłem na oślepie, raniąc go, gdzie popadło, aż upadłem na plecy, a pot zalewał mi oczy i paliły płuca od tego szalonego bicia i wrzasku.

Później bardzo długo siedziałem naprzeciwko pokrajanego trupa, pociętego krwawymi pręgami, i odzyskiwałem spokój.

* * *

Powróciłem do fortu dopiero dużo później. Moi towarzysze leżeli i byli żywi. W paskudnym stanie, ale żywi. Natychmiast zabrałem się za ich toaletę, mimo ich słabych protestów, i odkryłem na ich łydkach pijawki, czarne i napęczniałe. Paulowi niektóre zawędrowały aż na wewnętrzną stronę ud.

Nieprzerwany deszcz spowodował zapewne, że powychodziły z jeziora. Rozpaliłem ogień, przygotowałem rozżarzoną szczapę i zabrałem się za wypalanie im główek, by je poodczepiać.

— Aj! Kurwa! — warknął Paulo, rozbudzony oparzeniem.

Z trudem pochylił się nad miejscem, przy którym byłem zajęty, i wymamrotał:

— ... pijawki. Nie zauważyłem!

Po czym spojrział na mnie i przywróciło mu to pamięć.

— I co?

— Po wszystkim, nie żyje.

Stary upadł na plecy z westchnieniem ulgi.

— To jak, mogę już umierać, nie?

— Nie wygłupiaj się.

Montaignes otworzył oczy i patrzył na mnie z nikłym uśmiechem na ustach.

— Dostałeś go... dostałeś go...

Potem odkrył na swoim ciele pijawki i przytłumiło to jego radość. Pozdejmowałem je tak szybko, jak tylko się dało, kolejno wrzucając je do ognia. Po operacji zostawały małe, czerwone i okrągłe ślady, jak po oparzeniu papierosem. Paulo opieprzał mnie i drapał się w swoją gęstą brodę, która wyrosła mu jakby niespodziewanie.

Wyszedłem. Nad fortem zapadał zmierzch. Czułem w krzyżu ogromne zmęczenie. Dookoła mnie wszędzie tylko gruzy, śmieci i błotniste kałuże. Palisada była rozwalona w trzech miejscach, bambusy połamane, większość podtrzymujących słupów wyrwana z ziemi. Będzie robota. Dużo roboty.

Poszedłem do tam–tamtu przed świetlicą. Była godzina wezwań. Cztery pary pałek leżały odwrócone, tak jak je zostawiono. Chwyciłem jedną i zacząłem walić.

Pałam! Pałam! Pałam! Bam! Bam! Bam! Bam! Pałam! Pałam! Pałam!
Bam! Bam!

Niepostrzeżenie waliłem coraz mocniej, starając się mocnymi uderzeniami zagłuszyć swój ból.

„*To znaczyć przyjsć, przyjsć*”, mówił mi jej mały głosik, tak odległy, nad brzegiem rzeki.

„*Przyjsć, przyjsć. Złe odeszło...*”

I te jej wpatrzone we mnie wielkie czarne oczy.

SPIS TREŚCI

ZŁOTO	1
CZĘŚĆ PIERWSZA	3
CZĘŚĆ DRUGA	53
CZĘŚĆ TRZECIA	121
EPILOG	311
SAHARA	319
CZĘŚĆ PIERWSZA	321
CZĘŚĆ DRUGA	359
CZĘŚĆ TRZECIA	431
PARODIA	591
PROLOG	593
CZĘŚĆ PIERWSZA	599
CZĘŚĆ DRUGA	743
EPILOG	827
GORĄCZKA	839
PROLOG	841
CZĘŚĆ PIERWSZA	843
CZĘŚĆ DRUGA	873
CZĘŚĆ TRZECIA	915
CZĘŚĆ CZWARTA	967
EPILOG	1041
SPIS TREŚCI	1047